

# RECENZJE

OPRACOWAŁ ROBERT SILVERBERG

STEPHEN KING  
ROBERT JORDAN  
TERRY GOODKIND  
URSULA K. LE GUIN  
TERRY PRATCHETT





# Legendy

## Legendy I

***Dla Marthy'ego i Ralpa, którzy z pewnością wiedzą dlaczego***

## **Wprowadzenie**

Oto książka cudów pełna i malarskich wizji – oto jedenaście barwnych, smakowitych i całkiem nowych opowiadań najpopularniejszych i najznakomitszych współczesnych twórców literatury fantastyki. Każde z nich zaprasza do szczególnego, wyobrażonego uniwersum, które uczyniło swego twórcę sławnym niemal na całym świecie.

Fantastyka to najstarszy gatunek twórczości beletrystycznej: jego początek zbiega się z narodzinami ludzkiej wyobraźni. Wystarczy pomyśleć o niezwykłych malowidłach naskalnych znalezionych w Altamirze czy Chauvet, obrazach powstałych piętnaście, dwadzieścia lub nawet trzydzieści tysięcy lat temu, by bez najmniejszego wysiłku wyobrazić sobie również tamte ogniska płonące w skutej lodem Europie, ogniska, przy których odziani w skóry szamani opowiadali nadstawiającej uszu publice niewiarygodne historie o bogach i demonach, talizmanach i zaklęciach, smokach, wilkołakach oraz cudownych krainach leżących za horyzontem. Podobnie działo się w spalonej słońcem Afryce, w pradawnych Chinach, w starożytnych Indiach, w obu Amerykach: praktycznie wszędzie, i to od tysięcy bądź nawet setek tysięcy lat. Ja sam uważam, że potrzeba snucia opowieści jest cechą uniwersalną ludzkiej kultury i że gdy tylko pojawiły się na tym świecie istoty określane mianem „ludzi”, zaraz znaleźli się wśród nich gawędziarze, bajarze i poeci, którzy poświęcili wszystkie swe wysiłki i talenty jednemu tylko: aby w miarę naszej ewolucji stwarzać drugi, też coraz bogatszy świat wyobrażeń.

Nigdy nie dowiemy się oczywiście, jakie historie snuli gawędziarze ludzi z Cro-Magnon w mroźne noce na terenach późniejszej Francji, na pewno jednak były to opowieści w znacznej mierze fantastyczne. Świadczy o tym treść tych spośród najstarszych przekazów, które przetrwały. Jeśli uznamy szeroko rozumianą twórczość fantastyczną za próbę opisu i podporządkowania sobie świata mieszczącego się poza naszą, doczesną rzeczywistością, najdawniejsza opowieść, która zachowała się do naszych czasów, czyli sumeryjski epos o herosie Gilgameszu, napisany około 2500 lat p.n.e., to nic innego jak czysta fantastyka, gdyż mamy tu bohatera poszukującego sposobu na osiągnięcie nieśmiertelności.

W *Odysei* Homera trafiamy na zmiennokształtnych, czarnoksiężników i czarodziejki, cyklopów i wielogłowe, pożerające ludzi stworzenia oraz na całe mnóstwo fantastycznych elementów, które pojawiają się zresztą również w wielu innych greckich i rzymskich opowieściach. Zbliżając się nieco bardziej do naszych czasów, spotkamy upiornego potwora Grendela ze staroangielskiego *Beowulfa*, pojawiają się wąż Midgardu, smok Fafnir i apokaliptyczny wilk Fenris z sag nordyckich. Nieco później dostrzegamy wyrosłego z germańskich legend, poszukującego daremnie nieśmiertelności Fausta. Są

niezliczone cuda z *Księgi tysiąca i jednej nocy*, są obdarzeni cechami nadprzyrodzonymi bohaterowie walijskiego *Mabinogion* i perskiego *Shah-Nameh* i mnóstwo innych jeszcze, niezwykłych i cudownych istot.

Nowe czasy – epoka mikroskopów i teleskopów, wiek maszyn parowych i kolei żelaznych, telegrafów, gramofonów i światła elektrycznego – nie położyły kresu snuciu fantazji. Owszem, trudno o zjawisko bardziej fantastyczne niż zapis brzmienia całej orkiestry symfonicznej utrwalony na małym krążku plastiku, nie da się też odmówić aury niesamowitości chwili, gdy przemawiamy do małego urzędnika, które kryje się w dłoni, a pozwala nam porozumieć się z kimś odległym o piętnaście tysięcy kilometrów. Jednak sam fakt, że wiele rzeczy uprzednio uznawanych za niemożliwe weszło ostatecznie do dokonań codzienności, nie umniejszył fascynacji tym, co niewidzialne i nieosiągalne. Ostatecznie to samo stulecie, które przyniosło nam wynalazki Thomasa Alvy Edisona i Alexandra Grahama Bella, zaowocowało także dwiema niezrównanymi opowieściami Lewisa Carolla o Alicji goszczącej w tym drugim wymiarze rzeczywistości, niezliczonymi historiami Henry'ego Ridera Haggarda, traktującymi o zaginionych cywilizacjach, oraz *Frankensteinem* Mary Wollstonecraft Shelley.

Podobnie dwudzieste stulecie – wiek komunikacji lotniczej i energii atomowej, telewizji i komputerów, operacji na otwartym sercu i zabiegów zmiany płci – nie pozbawiło nas umiłowania opowieści o cudach jeszcze niezwyklejszych. Epoka maszyn też miała swoich fantastów, jak: James Branch Cabell, A. Merritt, Edward Dunsany, E. R. Eddison, Mervyn Peake, L. Frank Baum, H. P. Lovecraft, Robert E. Howard i J. R. R. – Tolkien, którzy karmili świat swoimi niesamowitymi wizjami.

Wiek dwudziesty przyniósł jednak pewną zmianę tonu, a to za sprawą wzrostu popularności fantastyki naukowej:

odrośli literatury fantastycznej, która korzystała z wiary w ludzki geniusz, aby to, co niemożliwe lub niewiarygodne, uczynić jednak prawdopodobnym. Fantastyka naukowa wykształciła się już z górami sto lat temu w książkach Juliusza Verne'a i H. G. Wellsa, a następnie rozwijała się dzięki dziełom takich pisarzy, jak: Robert A. Heinlein, Isaac Asimov czy Aldous Huxley, by ostatecznie zyskać najwyższą poczytność i stać się literaturą sztandarową „wieku atomowego”, podczas gdy „czystą” fantastykę (a dokładniej – fantasy), czyli taką fantazję literacką, która nie podejmuje żadnych wysiłków zmierzających do empirycznego wyjaśnienia przedstawianych cudów, zaczęto uważać za gatunek przeznaczony przede wszystkim dla dzieci i równać ją z mitami oraz bajkami.

A jednak dawna fantastyka nie zniknęła, chociaż w Stanach Zjednoczonych zesłała ze sceny na blisko pięćdziesiąt lat, gdy literatura science fiction docierała do czytelników pod postacią magazynów o tak dźwięcznych nazwach jak „Amazing Stories” czy

„Astounding Science Fiction”. Czytelnikami tymi byli zwykle chłopcy lub rozgarnięci młodzi mężczyźni z zamiłowaniem do nowinek technicznych i dysput naukowych. Literaturą fantasy zajmował się wówczas programowo tylko założony w roku 1923 magazyn „Weird Tales”, jednak pojawiało się tam też sporo beletrystyki pozbawionej wątku spekulatywnego, która dzisiaj do fantasy nie zostałaby zaliczona, jak chociażby opowieści grozy.

Czasem trudno orzec, gdzie kończy się fantasy, a zaczyna fantastyka naukowa, lecz niektóre różnice wręcz rzucają się w oczy. Historie o androidach, robotach, statkach kosmicznych, obcych istotach, wehikułach czasu, wirusach z kosmosu, imperiach galaktycznych i tym podobnych zostaną najpewniej zaliczone do fantastyki naukowej. Wszystko to są bowiem zjawiska teoretycznie możliwe i pozostają w obrębie obecnego naukowego obrazu wszechświata (choć przyznać trzeba, że wehikuły czasu czy statki poruszające się z prędkością przekraczającą prędkość światła ledwie mieszczą się w nim, a może nawet wystają nieco poza jego ramy). Fantasy tymczasem wykorzystuje to, co w obrębie naszej kultury powszechnie uważa się za niemożliwe lub nie istniejące, czyli takie osobliwości, jak: czarnoksiężnicy i czarownicy, elfy i gobliny, wilkołaki i wampiry, jednorożce i zaczarowane księżniczki, skuteczne nad wyraz zaklęcia i magiczne formuły.

Fantasy jako taka nie miała naprawdę swojego magazynu aż do roku 1939, kiedy to John W. Campbell jr, czołowy wydawca tamtych czasów, wprowadził na rynek „Unknown” (potem nazywany „Unknown Worlds”), w którym pozwolił autorom szerzej korzystać z wyobraźni, niż dopuszczało to jego pojmowanie fantastyki naukowej. Wielu spośród tych pisarzy, którzy wcześniej uczynili „Astounding Science Fiction” najznakomitszym podówczas czasopismem SF – jak Robert A. Heinlein, L. Sprague de Camp, Theodore Sturgeon, Lester del Rey, Jack Williamson – stało się też podporami „Unknown”. Schemat zachowywali zwykle ten sam: najpierw należało rzucić oryginalny lub awangardowy pomysł, następnie rozwinąć go i przedstawić konsekwencje, a wszystko to w możliwie logiczny sposób. Opowieści o wstrętach czynionych gnomom wodnym albo o zaprzędaniu duszy diabłu trafiały później do „Unknown”, te o podróżach w czasie czy lotach do odległych planet publikowano zaś w „Astounding”.

Mimo to „Unknown”, chociaż ukochany zarówno przez wydawców, jak i przez czytelników, nie zdobył nigdy większej popularności i gdy przyszedł czas wojennych braków papieru, Campbell zaś musiał w roku 1943 wybierać pomiędzy jednym a drugim tytułem, zlikwidował właśnie „Unknown”, który nigdy więcej nie pojawił się już na rynku. Powojenne, nostalgiczne zwykle próby jego miłośników zmierzające do odtworzenia klimatu tamtych stron nie były szczególnie udane: „Beyond” H. L. Golda ukazało się tylko dziesięć numerów, „Fantasy Fiction” Lestera del Reya zaledwie cztery.

Jedynie „The Magazine of Fantasy”, wydawany przez Anthony'ego Bouchera i J. Francisca McComasa, znalazł miejsce na rynku, chociaż już z drugim numerem postanowiono o zmianie jego nazwy na „Fantasy and Science Fiction”. Gdy w późnych latach pięćdziesiątych fantastyka naukowa weszła na rynek tanich wydań książkowych (paperbacków), fantasy znów pozostała w tyle. W tej postaci ukazało się tylko kilka powieści fantasy, a większość z nich – jak *Umierająca Ziemia* Jacka Vance'a oraz wczesne wznowienia H. P. Lovecrafta i Roberta E. Howarda – zniknęła błyskawicznie z półek, stając się cennymi pozycjami kolekcjonerskimi.

Wszystko to zaczęło się zmieniać pod koniec lat sześćdziesiątych po nagłym pojawieniu się tanich wydań trylogii *Władcy pierścieni* J. R. R. Tolkiena (wcześniej wydawca luksusowych edycji w twardej oprawie nie pozwalał na publikację tej powieści w wersji popularnej). Niemal z dnia na dzień pojawiły się miliony czytelników spragnionych bardzo fantasy. Książki Tolkiena okazały się tak wielkim sukcesem rynkowym, że wydawcy dosłownie rzucili się na poszukiwanie innych autorów zdolnych naśladować jego pomysły i tak świat zaalała szybko fala powieści „hobbickich”, które również nierzadko osiągały zdumiewające nakłady. Mniej więcej w tym samym czasie nowych czytelników zaczęły zdobywać także opowieści Roberta Howarda o Conanie, teksty popularne wcześniej jedynie

wśród garstki największych miłośników, prawie że czcicieli gatunku. Kilka lat później Ballantine Books, wydawca tanich, paperbackowych edycji Tolkiena, zainicjowało prowadzoną przez Lina Cartera niezwykłą serię, w której przedstawiono ówczesnym odbiorcom wszystkie najlepsze dzieła takich mistrzów fantasy, jak: E. R. Eddison, James Branch Cabell, Edward Dunsany i Mervyn Peake. Od tamtej pory fantasy stała się dla wydawców gatunkiem wiodącym. To, co pięćdziesiąt lat temu było ubogim krewnym fantastyki naukowej, dzisiaj cieszy się własną, wielką sławą.

W ślad za wielkimi sukcesami Tolkiena pojawili się z czasem nowi twórcy przedstawiający swoje odrębne, bogate światy. I oni zyskiwali wielu zapalonych wielbicieli. W późnych latach sześćdziesiątych Ursula Le Guin rozpoczęła poszukujący i wieloznaczny cykl „Ziemiomorze”, Anne McCaffrey dołączyła do niej z pradawnymi postaciami smoków żyjących na planecie Pern, w świecie usytuowanym gdzieś na pograniczu fantasy i fantastyki naukowej. Kilka lat później Stephen King podbił umysły niezliczonych czytelników, sięgnąwszy po nasze archetypiczne lęki i wykorzystawszy je w wielu wspaniałych opowieściach mrocznej fantasy. Z drugiej strony pojawił się Terry Pratchett ukazujący *vis comica* satyrycznej fantasy. Tacy pisarze jak Orson Scott Card czy Raymond E. Feist zyskali uznanie za cykle „Opowieści o Alvinie Stwórcy” i „Wojnę o Rift”. Wśród nowszych dokonań mamy mamucią serię Roberta Jordana („Koło Czasu”), „Pieśń Lodu i Ognia” George’a R. R. Martina, „Miecz Prawdy” Terry’ego

Goodkinda. Wszystkie one zdobyły już sobie miejsce na panteonie współczesnej fantasy, podobnie jak cykl „Pamięć, Smutek i Cierń” Tada Williamsa.

I oto mamy ich wszystkich, zebranych w jednej, potężnej antologii, którą entuzjaści fantasy mogą smakować tygodniami. Jeszcze jedno opowiadanie z „Ziemiomorza”, nową historię z Pernu, kolejny epizod z cyklu „Mroczna Wieża”, oryginalny fragment zabawnej układanki „Świata Dysku” Pratchetta i całą resztę. Takiej książki jeszcze nie było. Zgromadzenie podobnego zespołu gwiazd do jednej książki nie było zadaniem prostym i dlatego jestem wielce wdzięczny za szczególną pomoc Martinowi H. Greenbergowi, Ralphowi Vicinazy, Stephenowi Kingowi, Johnowi Helfersowi i Virginii Kidd, którzy w taki lub inny sposób ułatwili mi znacznie pracę. I wdzięczny też jestem mojej żonie, o czym wspominać głośno właściwie nie trzeba, bo to i tak rzecz wiadoma, jednak powiem, i to nie dlatego, że niezwykła i wspaniała to osoba, która wspierała mnie na każdym kroku, ale ponieważ to ona podsunęła mi najlepszy bez wątpienia pomysł, jaki pojawił się w ramach całego przedsięwzięcia.

Robert Silverberg grudzień 1997

Przełożył Radosław Kot

# MRO CZNA WIEŻA STEPHEN KING

*The Gunslinger (1982) The Drawing of the Three (1987) The Waste Lands (1991) Wizard and Glass (1997)*

Powieści cyklu zostały osnute na motywach wiersza Roberta Browninga *Childe Roland to the Dark Tower Came* i opowiadają o Rolandzie, ostatnim rewolwerowcu zaczynającym poszukiwania Mrocznej Wieży z powodów, które – jak dotąd – znane są tylko autorowi. Po drodze Roland napotyka pozostałości bogatego niegdyś, z natury feudalnego, lecz rozwiniętego technologicznie społeczeństwa, które przeżywa okres upadku i degeneracji. Łącząc elementy fantastyki i fantastyki naukowej, Stephen King przedstawia surrealistyczną mieszankę wizji przeszłości i przyszłości.

Pierwsza księga, *The Gunslinger*, ukazuje Rolanda na pustyni, w pościgu za Mrocznym Mężem – tajemniczym czarownikiem. Z krótkich scen retrospektywnych czytelnik dowiaduje się, że Roland należał kiedyś do szlacheckiej rodziny żyjącej w świecie Mrocznej Wieży, który to świat uległ (albo i nie uległ) zagładzie za sprawą Mrocznego Męża. W trakcie wędrówki rewolwerowiec spotyka dziwnych mieszkańców tego nie nazwanego świata, w tym również Jake'a, młodego chłopca, który chociaż ginie pod koniec pierwszego tomu, odegra znaczącą rolę w pozostałych. Roland dopada Mrocznego Męża i dowiaduje się, że musi odszukać Mroczną Wieżę, tam bowiem jedynie pozna przyczynę swojej tułaczki i dowie się, co kryje się w wieży.

Następna księga, *The Drawing of the Three*, opisuje Rolanda werbującego troje ludzi, mieszkańców współczesnej Ziemi, by przyłączyli się doń w wędrówce ku Mrocznej Wieży. Są to: Eddie, człowiek mafii, Suzannah, sparaliżowana od pasa w dół dziewczyna z rozszczepieniem osobowości, i Jake, którego pojawienie się jest wielkim zaskoczeniem dla Rolanda, jako że w swoim świecie poświęcił już chłopaka podczas pogoni za Mrocznym Mężem. Rewolwerowiec ratuje ziemskie życie Jake'a, jednak będący tego skutkiem paradoks o mało nie przyprawia go o szaleństwo. Roland musi pomóc także pozostałej dwójce w walce z ich demonami. Eddie jest uzależniony od heroiny i obwinia się za to, że nie uratował życia swojemu bratu, w psychice Suzannah zaś toczy się nieustanna wojna między dwoma jej osobowościami: kobiety miłej i pogodnej oraz psychopatycznej rasistki. Każde z trojga rozwiązuje ostatecznie swoje problemy przy pomocy pozostałych i cała czwórka podejmuje wspólnie wędrówkę ku Mrocznej Wieży.

Trzecia księga, *The Waste Lands*, przedstawia pierwszy odcinek podróży oraz rysuje szczegółowo przeszłość trojga Ziemi. Momentem przełomowym jest porwanie Jake'a przez wodza sekty panującej w ruinach starego miasta, niejakiego Flagga (postać ta pojawia się również w kilku innych powieściach Kinga i zawsze jest ucieleśnieniem czystego zła). Roland ratuje chłopca i cała grupa ucieka z miasta pojazdem kolei jednoszynowej zawiadywanej przez sztuczną inteligencję, która zyskała wprawdzie samoświadomość, ale postradała zmysły. System wyzywa bohaterów na pojedynek na zagadki, przy czym stawką ma być ich życie. Ocala je, jeśli pokonają maszynę, która twierdzi, że zna wszystkie zagadki na świecie.

*Wizard and Glass*, czwarty tom cyklu, opowiada o Rolandzie, Jake'u, Suzannah i Eddie'emu kontynuujących wędrówkę ku Mrocznej Wieży, tym razem przez pustynne tereny Śródziemia, który jest pełnym grozy odbiciem dwudziestowiecznej Ziemi. Po drodze trafiają na *tlalkę*, niebezpieczne osłabienie bariery pomiędzy różnymi wymiarami czasoprzestrzeni. Roland rozpoznaje zjawisko i pojmuje, że jego świat rozpada się szybciej, niż się tego spodziewał. Wspomina też ten pierwszy raz, gdy natknął się na *tlalkę*. Było to wiele lat wcześniej, w drodze na Zachód. Towarzyszyło mu wówczas dwóch przyjaciół, Cuthbert i Alain, a sam Roland dopiero co zdobył status rewolwerowca. Ta historia sprzed lat staje się najważniejszym wątkiem tomu: trzech młodzieńców odkrywa spiszek rządu, a Roland przeżywa swą pierwszą miłość. Udaje im się pokonać konspiratorów, ale ukochana Rolanda, Susan Delgado, ginie podczas walki z rąk mieszkańców Hambry. Opowieść Rolanda pozwala Jake'owi, Eddie'emu i Suzannah pojąć motywy kierujące przyjaciółmi i przyczyny, dla których gotów jest poświęcić nawet ich, byle tylko osiągnąć cel najważniejszy: uratować swój świat. Księga kończy się w chwili, gdy cała czwórka raz jeszcze wyrusza ku Mrocznej Wieży.

Siostrzyczki z Elurii

Stephen King

[Nota odautorska: Księgi „Mrocznej Wieży” podejmują wątek w chwili, gdy Roland z Gilead, ostatni rewolwerowiec w gasnącym świecie, rusza w pościg za magikiem w czarnej szacie. Roland długo szukał Waltera i chociaż dopadł go ostatecznie w pierwszej księdze, niniejsza opowieść rozgrywa się w chwili, kiedy nasz bohater

szuka dopiero tropów przeciwnika. Można się więc zabrać do lektury – i znaleźć w tym przyjemność, mam nadzieję – również wtedy, gdy nie zna się samego cyklu. S. K.]

## I. Pełnoziemie. Puste miasto. Dzwonki. Martwy chłopak. Przewrócony wóz. Zielony lud.

Pewnego dnia pełnoziemia, tak upalnego, że gorące powietrze prawie dech odbierało, Roland z Gilead dotarł do bram miasteczka położonego w górach Desatoya. Podróżował już wówczas sam, a w dodatku wszystko wskazywało na to, że lada dzień przyjdzie mu polegać wyłącznie na własnych nogach. Przez cały poprzedni tydzień wypatrywał wszędzie lekarza od koni, teraz jednak zapewne i on nie na wiele by się zdał, nawet gdyby mieli tu takowego. Wierzchowiec Rolanda, deresz dwulatek, był już naprawdę w paskudnym stanie.

Przystrojona kwiatami niby na jakieś święto brama miasteczka stała zapraszająco otworem, lecz panująca za nią cisza nie wróżyła niczego dobrego. Rewolwerowiec nie słyszał ani stukotu końskich kopyt, ani skrzypienia kół wozów, ani pokrzykiwania straganiarzy na rynku. Dokoła rozlegało się jedynie granie świerszczy – czy jakichś innych owadów, które odzywały się po prawdzie nieco bardziej melodyjnie niż świerszcze – dziwne, przypominające uderzenia w drewno postukiwanie i słaby, trochę nierealny dźwięk małych dzwonek.

Ponadto kwiaty wplecione w żelazne pręty zdobnej bramy już dawno uschły.

Topsy kichnął potężnie dwa razy i zatoczył się nieco. Roland zsiadł czym prędzej – po części ze względu na zdrowie konia, po części w trosce o własne – nie chciał bowiem ryzykować złamania nogi, gdyby Topsy przewrócił się z nim w siodle, wybierając ten właśnie moment, by osiągnąć wolność na krańcu swej drogi.

Stanął w zakurzonych butach i brudnych dżinsach pod palącym słońcem i pogłaskał zmatowiały kark deresza. Przecesał palcami splątaną grzywę i usunął muszki gromadzące się w kącikach oczu Topsy'ego. Niech sobie składają jaja i hodują larwy po

śmierci rumaka, ale jeszcze nie teraz.

Robił dla Topsy'ego ile tylko mógł w tych warunkach, nasłuchując jednocześnie pobrzękiwania odległych dzwonek i tego osobliwego stukotu, jakby dwóch uderzających

o siebie kawałków drewna. Po chwili przerwał odruchowe bardziej niż świadome

oporzędanie wierzchowca i spojrzał w zamyśleniu na otwartą bramę.

Krzyż nad wejściem był trochę niezwykły, jednak sama brama niczym specjalnym się nie wyróżniała. Na całym Zachodzie spotykało się takie; były może mało funkcjonalne, lecz zgodne ze zwyczajem – wszystkie małe miasteczka, które odwiedził przez ostatnie dziesięć miesięcy, miały zwykle jedną taką, którą się wchodziło (bez problemów), i jedną przeznaczoną dla wychodzących (to już bywało problematyczne). Żadnej nie zbudowano po to, by powstrzymać gości, a już na pewno nie tę. Tkwiła w murze z różowej, suszonej cegły, który ciągnął się w obie strony na jakieś dwadzieścia stóp i po prostu urywał. Gdyby zamknąć ją na klucz i kłódki, starczyłoby obejść całą konstrukcję z lewa czy z prawa.

Za bramą ciągnęła się ulica, która pod każdym względem przypominała Rolandowi typową Ulicę Główną: gospoda, dwa saloony (jeden nazywał się Zagoniona Świnia, szyld nad drugim wyblakł zbyt mocno, by można było coś odczytać), sklep, kuźnia i Sala Zebrań. Był jeszcze mały, lecz całkiem zgrabny drewniany budynek ze skromną dzwonnica na szczycie, podmurówką z polnego kamienia i pomalowanym na złoty kolor krzyżem na podwójnych drzwiach. Krzyż nie różnił się niczym od tego nad bramą i oznaczał miejsce kultu Jezusa, religii niezbyt powszechnej w Śródświecie, znanej wszelako i obecnej podobnie jak inne wyznania owych czasów, choćby kult Baala czy Asmodeusza. Wiara, jak wszystko inne w tych czasach, też uległa przemianom. O ile Roland się orientował, religia krzyża jako kolejna nauczała, że miłość i morderstwo są nierozzerwalnie związane, a Bóg koniec końców i tak zawsze spija krew.

Dokoła wciąż grały owady udające świerszcze, odzywały się dzwonki jak z bajki.

1 coś dziwnie łomotało w drewno, teraz jakby ktoś bił pięścią w drzwi. Albo w wieko

trumny.



Coś tu jest cholernie nie w porządku, pomyślał rewolwerowiec. Uważaj, Rolandzie, okolica cuchnie na czerwono.

Przeprowadził Topsy'ego przez przybraną martwymi kwiatami bramę i powiódł Ulicą Główną. Na ganku przed sklepem, gdzie staruszkowie winni się zbierać na rozmowy o uprawie ziemi, polityce i szaleństwach młodzieży, stał tylko rząd pustych krzeseł na biegunach. Pod jednym z nich leżała poczerniała piszczałka z kaczana, ciśnięta tam chyba niedbale i na pewno już bardzo dawno. Belka dla koni przed Zagonioną Świnia świeciła pustkami, w oknach lokalu było ciemno. Jedno ze skrzydeł drzwi

wahadłowych zostało wyłamane i stało oparte o ścianę, drugie sterczało otwarte ze splowiałymi, zielonymi deszczułkami pochłapanymi czymś kasztanowym. Mogła to być farba, ale najpewniej nie była.

Fronton budynku firmy wynajmującej konie stał nietknięty i wyglądał niczym oblicze steranej życiem kobiety, która ma dostęp do dobrych kosmetyków, jednak z podwójnej stajni na tyłach został tylko poczerniały szkielec. Pożar musiał wybuchnąć w deszczowy dzień, pomyślał Roland, bo inaczej całe to cholerne miasto poszłoby z dymem, radując widowiskiem oczy wszystkich w bliższej i nieco dalszej okolicy.

Kościół wznosił się po prawej, w połowie odległości do rynku. Z obu stron okalały go pasy trawy, jeden oddzielający od Sali Zebrań, drugi od domku kaznodziei i jego rodziny (oczywiście, o ile była to jedna z tych sekt jezusowych, które pozwalały swoim szamanom mieć kobiety i dzieci, niektóre bowiem, bez wątpienia wiedzione szaleństwem, żądały zachowywania chociaż pozorów celibatu). Pośród trawy rosły kwiaty, trochę przywiedle, lecz w większości żywe. Cokolwiek się tu zdarzyło, nie mogło się zdarzyć dawno. Może tydzień, góra dwa temu, zważywszy na upał.

Topsy znów prychnął i ciężko opuścił łeb.

Roland dojrzał wreszcie, co tak dzwoni. Nad drzwiami i krzyżem umocowano wygięty w łagodny łuk sznur, na nim zaś wisały ze dwa tuziny małych, srebrnych dzwoneczków. Wiatru wprawdzie jakby nie było, ale widać takie dzwoneczki nigdy nie siedzą cicho... a gdy naprawdę zaczyna dmuchać, pomyślał Roland, dają pewnie do wiwatu gorzej niż plotkarskie języki.

–Hej! – zawołał, spoglądając przez ulicę na mało sugestywny, choć ogromny szyld obwieszczający, że naprzeciwko mieści się Good Beds Hotel. – Hej, jest tu kto?

Żadnej odpowiedzi, tylko dzwonienie, granie owadów i to nieustanne postukiwanie. Poza tym cisza i martwota... chociaż ktoś tu był. Ktoś albo i coś. Roland czuł, że jest obserwowany, i aż mu się włoski na karku zjeżyły.

Ruszył przed siebie, prowadząc Topsy'ego do centrum, a każdy jego krok wzbijał tumany pyłu. Czterdzieści takich kroków dalej zatrzymał się przed niskim budynkiem oznaczonym jednym tylko słowem: PRAWO. Biuro szeryfa (o ile mieli tu, tak daleko od Okręgów Wewnętrznych, prawdziwego szeryfa) przypominało zastanawiająco kościół – drewniane panele wymazane nader podejrzanym odcieniem czerwieni i kamienna podmurówka.

Dzwonki z tyłu szemrały i pobrzękiwały.

Zostawił deresza na środku ulicy i wszedł po schodkach do siedziby prawa. Wciąż doskonale słyszał dzwonki, czuł słońce palące mu kark i strumyki potu spływające po bokach. Drzwi były zatrzęsnięte, ale nie zamknięte. Otworzył je i aż cofnął się,

podnosząc przy tym rękę, gdy uwięzione w środku gorące powietrze uderzyło go bezgłośnie w twarz. Jeśli we wszystkich budynkach jest tu taki żar, to niebawem spłonie coś więcej niż ta jedna stajnia, pomyślał. A jeśli zabraknie deszczu (bo ochotniczej straży pożarnej zabrakło już wcześniej), wkrótce po miasteczku nie zostanie nawet ślad.

Oddychając możliwie jak najplycej, wszedł do środka i natychmiast usłyszał basowe brzęczenie much.

Była tu tylko jedna cela, obszerna całkiem i pusta, a jej okratowane drzwi stały otworem. Pod zabrudzoną jak drzwi saloonu pryczą leżała para skórzanych butów, jeden nie wiedzieć czemu rozpruty.

To tutaj zlatywały się muchy. Krążyły nad plamą i co rusz na niej przysiadają.

Na biurku leżał rejestr. Roland obrócił go do siebie i spojrział na czerwoną okładkę:



# REJESTR WYSTĘPKÓW I

## ZADOŚCUCZYNIENI

W LATACH PANA NASZEGO

ELURIA

Wreszcie wiedział, jak nazywa się to miasteczko: Eluria. Pięknie, ale też jakoś tak złowieszczo. Chociaż w tych okolicznościach każda nazwa byłaby raczej złowieszcza. Chciał już wyjść, gdy dojrzał drzwi zabezpieczone drewnianym skoblem.

Podszedł bliżej, zatrzymał się na chwilę i wyciągnął jeden z wielkich rewolwerów, które nosił zawieszane nisko na biodrach. Stał jeszcze chwilę ze zwieszoną głową, rozmyślając (Cuthbert, jego stary przyjaciel, zwykł mawiać, że trybiki w głowie Rolanda obracają się wprawdzie bardzo powoli, ale nader efektywnie), a potem wyciągnął skobel. Otworzył drzwi i natychmiast się cofnął, unosząc broń w oczekiwaniu ciała (na przykład tutejszego szeryfa), które runie do pokoju z podciętym gardłem i wytrzeszczonymi oczami. Ofiara WYSTĘPKU domagająca się ZADOŚCUCZYNIENIA..

I nic.

Cóż, w środku leżało z pół tuzina brudnych wdzianek dla więźniów, dwa łuki, kołczan ze strzałami, stary zakurzony motor, strzelba, która wypaliła ostatni raz chyba ze sto lat temu, i jeszcze miotła... to jednak akurat Rolanda nie obchodziło. Dla niego pakamera była pusta.

Wrócił do biurka, otworzył rejestr i przerzucił kartki. Nawet papier był nagrзany, jakby ktoś próbował upiec księgę. Poniekąd tak właśnie było, pomyślał. Gdyby Ulica Główna wyglądała nieco inaczej, mógłby oczekiwać mnóstwa doniesień o obrazie uczuć religijnych, ale nie trafił na żadne i wcale się tym nie zdziwił – ostatecznie skoro kościół mógł tu sąsadować z dwoma saloonami, miejscowi wyznawcy Jezusa musieli należeć do

tych rozsądniejszych.

Znalazł za to sporo drobnych spraw i kilka grubszych: jedno morderstwo, jedną kradzież konia i obrazę damy (co zapewne oznaczało gwałt). Mordercę przewieziono do miejscowości zwanej Lexingworth, gdzie mieli go powiesić. Roland nigdy nie słyszał o tym mieście. Następną notatką głosiła: „Zielony lud przybył skutkiem tego”. Roland nie wiedział, o co może chodzić. Ostatni zapisek donosił:

*12/P/99. Chas. Freeborn, złodziej bydła, do osądzenia*

Oznaczenie daty brzmiało mu dość obco, skoro jednak październik minął już dawno, uznał, że musi chodzić o pełnoziemie. Tak czy owak atrament wyglądał na równie świeży jak krwawa plama na pryczy, z czego można było wnosić, że niejaki Chas. Freeborn, złodziej bydła, osiągnął już wolność na krańcu swej drogi.

Wrócił do spiekoty i koronkowego brzęczenia dzwoneczków. Topsy spojrział na niego półprzytomnie i znów opuścił łeb, jakby na tej pełnej pyłu ulicy było coś do szczypania. Jakby w ogóle myślał o tym, by poszczypać jeszcze kiedyś soczystą trawę.

Rewolwerowiec zebrał wodze, otrzepał je z kurzu o wyblakłe, bezbarwne džinsy i ruszył dalej. Stukanie było coraz głośniejsze (kiedy wychodził z biura szeryfa, nie schował broni i nie widział powodu, by robić to teraz), a gdy zbliżył się do centralnego placu miasteczka, w dobrych czasach Elurii bez wątpienia targowiska, dojrzał wreszcie coś bardziej ruchomego niż dzwonki.

Po drugiej stronie placu ciągnęło się długie koryto na wodę, zrobione na oko z drzewa żelaznego (zwanego tutaj „sekwoją”), które w szczęśliwszych czasach napełniano z przerdzewiałej rury sterczącej obecnie jałowo po jego południowej stronie. Przez krawędź tej municypalnej oazy, może w połowie jej długości, zwieszała się noga w wyszarzających do szczętu spodniach i dobrze przeżutym kowbojskim bucie.

Przeżuwaniem zajmował się wielki pies o sierści ze dwa tony ciemniejszej od sztruksowych spodni powyżej. W innych okolicznościach kundel zapewne dawno zdarłby już but z nogi nieboszczyka, teraz jednak spuchnięta

stopa i łydka musiały wejść mu w paradę, postanowił więc po prostu przegryźć się przez przeszkodę. Chwytał but w paszczkę i szarpał nim w tę i z powrotem, aż obcas uderzał w drewniany bok koryta. Roland uznał, że nie pomylił się aż tak bardzo z tym stukaniem w wieko trumny.

Ale czemu on nie odejdzie po prostu trochę i nie wskoczy do koryta, żeby dobrać się do gościa od góry? – zastanawiał się. Przecież woda nie leci, nie musi się bać, że utonie.

Topsy znów ni to prychnął, ni to kaszlnął ciężko, a gdy pies natychmiast się odwrócił, Roland pojął, dlaczego zwierzak upiera się przy tej mordędze. Jedna z jego przednich łap była kiedyś złamana i zrosła się tak krzywo, że chodzenie było pewnie

mordęgą, a o skokach mógł zapomnieć. Na piersi miał łatę brudnobiałej sierści, pośród której rosły czarne włosy tworzące w zarysie kształt krzyża. Może to pies Jezusa szukający kęsa popołudniowej komunii...

Jednak w warkocie, który dobył mu się z krtani, nie było nic z treści religijnych. Zatoczył jeszcze przekrwionymi ślepiami i uniósł górną wargę, ukazując całkiem dobrze utrzymane zębiska.

–Zmiataj stąd – powiedział Roland. – Dopóki możesz.

Pies cofał się, aż trafił zadem na pogryziony but. Wyraźnie bał się przybysza, lecz nie zamierzał ustąpić mu pola. Na rewolwer w dłoni Rolanda nie zwrócił uwagi, co nie było bynajmniej tak dziwne – pewnie nigdy dotąd żadnego nie widział i sądził, że to najwyżej jakiś rodzaj pałki, a pałką można cisnąć tylko raz i kwita.

–Dalej, wynoś się! – rzucił Roland, jednak pies ani drgnął.

Właściwie powinien go zastrzelić, oszczędzając podłego żywota.

Na dodatek pies, który raz posmakował ludzkiego mięsa, mógł być zwyczajnie groźny. Roland jednak jakoś nie palił się, by zabić zwierzaka – zabij jedyne żywe jeszcze w tym mieście stworzenie (nie licząc cykaczy, oczywiście), a jakbyś zaprosił złe, żeby się tobą zajęło.

Pocisk uderzył w ziemię blisko zdrowej przedniej łapy psa. Huknęło w gorącym powietrzu i nawet owady na chwilę ucichły. Okazało się, iż pies potrafi może biegać, ale tak przy tym kulał, że aż przykro było patrzeć. Rolandowi nawet serce się lekko ścisnęło. Zwierzak stanął po drugiej stronie placu, tuż obok przewróconej platformy (z kozłem spryskanych chyba zaschniętą krwią). Obejrzał się i zawył krótko, a Rolandowi włosy nie tyle się najeżyły, ile teraz już naprawdę stanęły dęba. Potem odwrócił się, okrążył przewrócony wóz i pokuśtykał uliczką otwierającą się między dwoma straganami. Rewolwerowiec pomyślał, że to zapewne droga do tylnej bramy miasteczka.

Prowadząc wciąż umierającego konia, przeciął plac i zajrzał do koryta z drzewa żelaznego.

Właściciel nadzutego buta nie był mężczyzną, lecz chłopcem, który zaczął dopiero nabierać słusznych rozmiarów, a miały to być rozmiary naprawdę słuszne, ocenił Roland, pomijając nawet zaawansowane wzdęcie zwłok będące skutkiem trudnego do określenia, nazbyt wszelako długiego pobytu ciała w głębokiej na dziewięć cali wodzie, wprost pod palącym letnim słońcem.

Oczy chłopca, obecnie mleczne kulki, wpatrywały się w rewolwerowca niczym oczy posągu. Jego włosy były białe jak u starca, to jednak akurat sprawiła woda; wcześniej był zapewne blondynem. Nosił strój kowboja, chociaż nie mógł mieć więcej niż czternaście lub szesnaście lat. Na jego szyi, lśniąco niewyraźnie w wodzie, która zmieniała się powoli

w mocno nieświeży rosół, wisiał medalion.

Roland wcale nie miał ochoty zanurzać dłoni w brei, ale czuł się w obowiązku wydobyć medalion. Chwycił go i pociągnął. Łańcuszek puścił, on zaś uniósł ociekający kawałek złota.

Oczekiwał, że będzie to *sigul* jezusowców, coś, co oni sami zwali krucyfiksem lub krzyżykiem, na łańcuszku wisiał jednak mały prostokąt, chyba z czystego złota, z wrytym napisem:

*James Miły rodzinie. Miły BOGU*

Roland, którego obrzydzenieomal nie powstrzymało od zanurzenia dłoni w brudnej wodzie (w młodości nigdy by się do tego nie zmusił), uznał, że słusznie się przemógł. Szansa spotkania kogokolwiek z bliskich chłopaka mogła być nikła, dość wszelako wiedział o ka, by uznać, że to możliwe. Tak czy owak, dobrze zrobił. Dobrze byłoby też, gdyby zajął się pochówkiem... zakładając oczywiście, że uda mu się wyciągnąć ciało z koryta w jednym kawałku.

Zastanawiał się właśnie nad tym, próbując rozważyć, czy to ważniejsze niż coraz bardziej nagląca chęć opuszczenia miasteczka, gdy Topsy ostatecznie padł martwy.

Deresz zaskrzybiał stawami, jęknął po raz ostatni i zwałił się na ziemię. Roland obrócił się i ujrzał osiem postaci idących ulicą. Zbliżały się tyralierą jak naganiacze mający wypłoszyć ptaki czy inną drobną zwierzynę. Miały woskowozieloną skórę; w ciemności mogły świecić niczym duchy. Trudno było orzec coś o ich płci, ale czy miało to jakiegokolwiek znaczenie? A jeśli już, to dla kogo? Dla nich samych? Dla innych? Byli niemrawymi mutantami, które poruszały się powoli, przygarbione, niczym trupy ożywione dzięki arkanom magii.

Kurz tłumiał odgłosy ich kroków jak dywan. Po zniknięciu psa mieli Wszelkie szanse podejść do Rolanda na odległość ataku i uczyniliby to niechybnie, gdyby Topsy nie wyświadczył swemu panu tej ostatniej przysługi i nie umarł we właściwej chwili. Rewolwerowiec nie dostrzegł, żeby mieli broń palną, nieśli tylko rozmaite pałki – głównie nogi wyłamane ze stołów i krzeseł – chociaż jeden dźwigał coś chyba specjalnie zmajstrowanego, z głowicą najeżoną zardzewiałymi gwoździami, niegdyś zapewne własność wykidajły z saloonu, może nawet tego, który pilnował porządku w Zagonionej Świni.

Roland uniósł rewolwer i wymierzył w gościa w środku tyraliery. Teraz już słyszał człapanie ich stóp i wilgotny poświst oddechów. Zupełnie jakby wszyscy byli porządnie przeziębieni.

Tacy jak oni wychodzą najpewniej z kopalń, pomyślał Roland. Z kopalń radu na przykład, widać muszą być jakieś w okolicy. Stąd ta skóra. Ciekawe, czemu słońce ich nie zabija?

Gdy na nich patrzył, jeden z idących na skraju, istota z twarzą jak stopiona świeca, umarł właśnie czy w każdym razie upadł. Nie wiedzieć czemu Roland był pewien, że to mężczyzna. Najpierw jęknął nisko a przenikliwie, osuwając się na kolana, potem próbował złapać rękę istoty idącej obok – niekształtnego łysonia z czerwonymi wrzodami na karku. Ręki nie złapał, a sam kompan nie zwrócił nawet na niego uwagi, tylko gapił się tępo na Rolanda, zbliżając doń małymi kroczkami wraz z resztą kolegów.

–Zostańcie, gdzie jesteście! – krzyknął Roland. – Posłuchajcie mnie, jeśli chcecie dożyć wieczoru! Dobrze wam radzę!

Przemawiał głównie do tego pośrodku, który nosił przedpotopowe zupełnie, czerwone szelki naciągnięte na strzepy koszuli, a na głowie brudny melonik. Miał tylko jedno dobre oko i mierzył nim rewolwerowca tak jednoznacznie łakomym wzrokiem, że tego aż ciarki przechodziły. Istota człapiąca obok Melonika (według wszelkich znaków kobieta z zaschniętymi szczątkami piersi kołyszającymi się pod stanikiem) cisnęła w Rolanda nogą krzesła, ale chociaż rzut był mocny, pocisk upadł dobre dziesięć jardów przed celem.

Roland odwiódł kciukiem kurek rewolweru i wystrzelił. Tym razem nie kulawemu psu przed nos, lecz pod obute w resztki cholewek stopy Melonika.

Zielony lud nie uciekł, jak wcześniej pies, przynajmniej jednak przystanął. Wciąż wpatrywali się w niego chciwie. Czyżby zaginieni mieszkańcy Elurii skończyli w żołądkach tych stworzeń? Rewolwerowiec nie bardzo mógł w to uwierzyć, chociaż wiedział doskonale, że podobne kreatury nie zawahają się przed kanibalizmem. (O ile w ich wydaniu miałyby to cokolwiek wspólnego z ludożerstwem, ludźmi wszak nie byli już od dawna.) Byli jednak zbyt powolni i zbyt głupi. Gdyby odważyli się wrócić po tym, jak szeryf raz ich wygonił, to przy kolejnej próbie spalono by ich lub ukamienowano.

Wobec nierozsądnej postawy zielonych Rolandowi zaczęło zależeć na wyciągnięciu drugiego rewolweru, odruchowo wsunął więc zdjęty chłopcu medalion do kieszeni, a w ślad za nim upchnął też rozerwany łańcuszek.

Stali, gapiąc się na niego, ich pokręcone cienie zaś malowały się za nimi na ulicy. I co teraz? Kazać im wracać, skąd przyszli? Roland nie wiedział, czy posłuchają. Uznał, że tak czy owak najlepiej będzie mieć ich na oku. Jedno dobre, że rozwiązali sprawę pochówku chłopca o imieniu James: rewolwerowiec na pewno nie zostanie w miasteczku, by się nim zająć.

–Stójcie spokojnie – powiedział, szykując się do odwrotu. – Pierwszy, który się

ruszy...

Nim skończył, jeden z nich – troll o beczkowatej piersi, gębie jak u ropuchy i czymś na kształt skrzeli po obu stronach pokrytego naroślami karku – rzucił się naprzód, odzywając przy tym piskliwie i nijako zarazem. Możliwe, że miał to być śmiech. Wywijał zamasyście nogą od fortepianu.

Roland wypalił. Klatka piersiowa Ropucha zapadła się niczym przegniła połać dachu. Cofnął się chwiejnie kilka kroków, próbując odzyskać równowagę, i przycisnął wolną rękę do piersi. Potem stopy w czerwonych, welwetowych pantoflach z zadartymi noskami splątały się i gość padł, popiskując bulgotliwie i tak jakoś żałośnie. Wtedy dopiero puścił swą pałkę. Przetoczył się na bok i spróbował wstać, ale runął w pył. Ostre słońce zajrzało mu w oczy. Smugi pary zaczęły dobywać się z porów skóry, która traciła raptownie zielonkawy odcień. Słychać też było syk, taki jak ten, który powstaje, gdy splunie się na rozgrzaną płytę pieca.

To przynajmniej oszczędza rozwlekłych wyjaśnień, pomyślał Roland i powiódł spojrzeniem po pozostałych.

–Dobra, on był pierwszy. Kto drugi w kolejce?

Na razie jakby zabrakło chętnych. Stali, patrzyli i nie próbowali się zbliżyć... ale też nie cofali. Roland pomyślał, że powinien zastrzelić ich wszystkich (tak jak i tego krzyżowego psa) – wyciągnąć po prostu drugi rewolwer i posłać towarzystwo do piachu. Dla wprawnych dłoni robota na kilka sekund, zupełna dziecinada, nawet gdyby któryś próbował uciekać. Jednak nie dało się. Nie mógł. Nie tak na zimno, przecież nie był zabójcą... przynajmniej jeszcze nie.

Bardzo powoli zaczął się cofać, tak obchodząc koryto, by znalazło się między nim a napastnikami. Gdy Melonik postąpił o krok, Roland nie czekał, aż reszta pójdzie w jego ślady, tylko posłał kulę cał od nogi stwora.

–To ostatnie ostrzeżenie – powiedział. Nie miał pojęcia, czy go rozumieją, choć mówił pospolitym językiem, ale też mało go to obchodziło. Zasadniczy przekaz winni pojąć bez trudu. – Następną kulę wejdzie komuś w serce. To ma być tak: wy zostajecie, ja odchodzę. Daję wam tylko jedną szansę. Spróbujecie poleźć za mną, a zabiję. Wszystkich. Jest za gorąco na zabawy, a ja straciłem już dużo...

–Buuu! – ryknęło bulgotliwie tuż za jego plecami. Ton był jakby znajomy. Roland ujrzał kształt wyłaniający się z cienia za przewróconym wozem, do którego niemal już doszedł, i zdążył sobie tylko uświadomić, że skrył się za nim jeszcze jeden zielony.

Kiedy próbował się odwrócić, pałka spadła na jego ramię i prawa ręka zdrętwiała mu aż do nadgarstka. Zdołał utrzymać broń, wystrzelił nawet, lecz pocisk trafił w jedno z kół wozu, odłupując drzazgi i obracając je z piskiem. Usłyszał też, że zieloni na ulicy

krzyknęli chrapliwie, rzucając się do ataku.

Za wozem kryło się monstrum z dwiema głowami na karku. Jedna miała szczątkowe, obwisłe oblicze trupa, druga zaś, choć także zielona, była nieco bardziej żywotna. Szerokie wargi rozciągnęły się w radosnym uśmiechu, gdy bydłątko uniosło pałkę, by raz jeszcze uderzyć.

Roland uniósł sprawną lewą rękę i wystrzelił, pakując kulę prosto w ten wyszczerzony uśmiech, aż krew i zęby rozprysnęły się dokoła, a narzędzie wypadło z dłoni monstrum. Reszta jednak była już przy nim i pracowała zawzięcie pałkami.

Zdołał odbić tylko kilka pierwszych ciosów. Był nawet moment, gdy pomyślał, że uda mu się skoczyć za przewrócony wóz, obrócić się na pięcie i uruchomić całą artylerię. Z pewnością mógłby to zrobić. Z pewnością jego droga nie dobiegnie kresu na zalanej słońcem uliczce Elurii, małego miasteczka na dalekim Zachodzie, nie zginie z rąk bandy niezdarnych zielonoskórych mutantów. Z pewnością *ka* nie może być aż tak okrutne.

Niestety, Melonik przyłożył mu tak mocno, że miał okrążyć platformę, Roland wpadł na obracające się wciąż wolno tylne koło wozu. Opadł na czworaki. Próbując się obrócić i odparować choć część z gradu spadających nań ciosów, ujrzał, że napastników jest już znacznie więcej niż pół tuzina. Ulicą nadchodziło ku rynkowi przynajmniej trzydzieścioro zielonych mężczyzn i kobiet. To nie klan, ale całe cholerne plemię! I to na otwartym terenie, w

pełnym słońcu! Roland wiedział z doświadczenia, że zdegenerowani mutanci trzymali się ciemności i najbardziej przypominali purchawki obdarzone przypadkiem czymś na kształt mózgu. Takich bydląt jak ci tutaj nigdy jeszcze nie widział. Przecież oni...

Istota w czerwonym naprawdę była kobietą. Pod brudną materią kołysały się piersi. Była to ostatnia rzecz, jaką ujrzał, kiedy go już otoczyli, uderzając raz za razem. Pałka z gwoździami rozorała mu prawą łydkę. Raz jeszcze spróbował unieść jeden z wielkich rewolwerów. (Widział jak przez mgłę, lecz zdawał sobie sprawę, że w skutecznym prowadzeniu ognia to aż tak nie przeszkadza. Nie jemu. Zawsze miał do sprawy najlepszy dryg ze wszystkich, a Jamie De-Curry stwierdził raz nawet, że Roland mógłby strzelać równie dobrze z zawiązanym oczami, bo i tak widzi palcami.) Kopniakiem wytrącili mu broń z ręki. Drugi rewolwer wciąż jeszcze tkwił w dłoni. Roland czuł rękojęć z drewna sandałowego, ale pojął, że i tak nie zdoła go użyć.

Czuł ich odór: dławiącą woń gnijącego mięsa. A może to tylko zapach jego dłoni uniesionych bezskutecznie dla osłonięcia głowy? Zanurzył je przecież w tej wodzie, brei z kawałkami skóry i ciała martwego chłopaka...

Pałki trafiały wszędzie, jakby zieloni nie tyle chcieli go zabić, ile przerobić na bitkę. Może woleli skruszać mięso... Zapadając się w mrok, niechybny w tej sytuacji zwiastun

śmierci, usłyszał jeszcze granie owadów, szczekanie psa i dzwonki brzęczące nad drzwiami kościoła. Wszystkie te dźwięki zlały się w jedną, dziwnie słodką muzykę, lecz w końcu i ona umilkła, pochłonięta przez ciemność.

II. Wynurzenie. Zawieszony. Piękno bieli. Dwóch innych. Medalion.

Powrót między żywych nie przypominał odzyskiwania przytomności po ogłuszeniu, co zdarzyło się Rolandowi już kilka razy. Nie miał też nic wspólnego z budzeniem się ze snu. Najbardziej przypominał wynurzanie.

Umarłem, pomyślał w jakiejś chwili... gdy wróciła mu już częściowo zdolność kojarzenia. Umarłem i wzlatuję ku tym obszarom, które nawiedza się w pośmiertnym bytowaniu. Nie może być inaczej. Śpiew, który słyszę, to pieśń dusz umarłych.

Całkowita ciemność ustąpiła miejsca głębokiej szarości ciężkich, deszczowych chmur. Rozpełzały się, aż pojaśniały niczym mgła, która już wkrótce podda się słońcu. Przez cały czas rewolwerowcowi zdawało się, że unosi się, jakby spoczywał na łagodnym, lecz potężnym prądzie wstępującym.

Poczucie ruchu osłabło, a jasność pod powiekami wzrosła, więc Roland zaczął w końcu podejrzewać, że chyba jednak nie umarł. Najbardziej przekonujący był ten śpiew. Nie dusz umarłych, nie zastępów anielskich opisywanych przez kaznodziei jeżusowców – raczej owadów. Świerszczy lub cykad, tyle że bardziej melodyjny. Takich owadów, jakie słyszał w Elurii.

Po tej właśnie myśli otworzył oczy.

Jego przeświadczenie o przynależności do świata żywych zostało natychmiast wystawione na ciężką próbę. Trwał zawieszony pośrodku wielkiego obszaru nieskalanej bieli. Najpierw pomyślał, zdumiony, że to niebo, że płynie przez chmurę. Wkoło rozlegało się granie owadów. Teraz słyszał i dzwonki.

Spróbował odwrócić głowę i zakołysał się. Wisiał na czymś w rodzaju upręży. Słyszał jej skrzypienie. Muzykowanie owadów, przypominających zresztą te, które brzmiały niegdyś w trawach Gilead, zgubiło rytm. Jednocześnie Roland poczuł ból pleców. Nie wiedział, jak z żebrami, ale kręgosłup dawał jasno do zrozumienia, że jest na miejscu. O wiele bardziej dokuczala mu jedna z łydek, lecz ku swojemu zakłopotaniu rewolwerowiec nie potrafił orzec, która właściwie. To tam dosięgła mnie pałka z gwoździami, pomyślał. Głowa też łupała niczym nadtłuczone mocno jajko. Roland krzyknął, lecz zabrzmiało to jak ryk przeziębionej krowy. Prawie nie poznał swego głosu.

Wydawało mu się, że słyszy też ciche szczekanie krzyżowego psa, musiała to być jednak gra wyobraźni.

Umieram? Ocknąłem się raz jeszcze pod sam koniec? – zastanawiał się.

Czyjaś dłoń pogłaskała go po czole. Czuł ją, ale nie widział. Palce przesunęły się po skórze, tu i ówdzie rozmasowując zmarszczki. Odczucie było cudowne, jak łyk zimnej wody w upalny dzień. Chciał zamknąć oczy, lecz nagle pomyślał z przerażeniem, że może to któryś z zielonych. Na przykład właścicielka czerwonego łachmana na

resztkach cycków.

A co, jeśli tak właśnie jest? Co zrobisz? – pytał sam siebie.

–Spokojnie, człowieku – odparł głos nie tyle kobiecy, ile raczej dziewczęcy. W pierwszej chwili Roland pomyślał o Susan, dziewczynie z Mejis, która zwracała się do niego per „waść”.

–Gdzie... gdzie...

–Cicho, nie ruszaj się. Jeszcze nie.

Ból pleców złagodniał, ale obraz obolałego drzewa z konarami żeber pozostał. Skóra zdawała się falować niczym liście na wietrze. Jak to możliwe?

Odsunął to pytanie, podobnie jak wszystkie inne zresztą, i skoncentrował się na małej, chłodnej dłoni, która wciąż go głaskała.

–Spokojnie, piękny. Bóg cię kocha. Ale jesteś poważnie ranny. Nie ruszaj się. Zdrowiej.

Pies jakoś przycichł (o ile w ogóle gdzieś tu był), a Roland znów usłyszał lekkie skrzypienie. Kojarzyło mu się z końskim rzędem lub czymś (stryczek), o czym wolałby nie myśleć. Teraz zaczynał wyczuwać coś pod swoimi udami, pośladkami i... tak... pod ramionami.

Nie jestem wcale w łóżku. Już prędeż nad łóżkiem. Czy to możliwe? – dumał.

Pomyślał, że może wisieć na pasach. Pamiętał, że raz, jeszcze jako chłopiec, widział jednego gościa zawieszonoego tak w domu końskiego doktora za Wielką Salą. Stajenny poparzył się naftą tak bardzo, że nie mógł leżeć normalnie w łóżku. Zmarł potem, ale trochę to trwało – przez dwie noce jego jęki płynęły w słodką, letnią noc nad Błoniami Zebrań.

Jestem poparzony? Czarna skorupa z nogami wisząca na pasach? – zastanawiał się.

Palce musnęły środek jego czoła, rozmasowały tworzącą się tam zmarszczkę. Głos jakby odczytał jego myśli, przenikając je bystrymi, kojącymi palcami.

–Z bożą wolą wszystko będzie dobrze – powiedział. – Ale to Bóg mierzy czas, nie ty.

Nie, powiedziałby, gdyby mógł. Czas jest sprawą Wieży.

Po czym zanurzył się – równie łagodnie, jak niedawno wypływał – oddalając jednocześnie od dłoni i nierealnych dźwięków muzykujących owadów i brzęczących

dzwonek. Na jakiś czas stracił przytomność albo zapadł w sen, lecz nie było to już tak głębokie jak wcześniej.

W pewnej chwili zdawało mu się, że słyszy głos dziewczyny, chociaż pewności nie miał, tym razem bowiem pobrzmiwał gniewem lub strachem. Albo jednym i drugim.

–Nie! – zawołała. – Nie możecie mu tego zabrać i dobrze o tym wiecie! Róbcie swoje i przestańcie w ogóle o tym mówić, dalej!

Gdy ponownie odzyskał przytomność, nie był ani trochę silniejszy, ale w głowie jakby mu pojaśniało. Oczu nie otoczyła mu jednorodna biel obłoku, i tak jednak widok był uroczy. Piękno bieli, pomyślał, bo rzeczywiście nigdy w życiu nie widział jeszcze miejsca tak cudownego... Cudownego po części dlatego, że zjawił się tu wciąż jeszcze żywy, przede wszystkim jednak ze względu na panujący w nim niezmierny spokój.

Pomieszczenie było wielkie, wysokie i długie. Kiedy Roland obrócił wreszcie ostrożnie, bardzo ostrożnie głowę, by oszacować jego rozmiary, uznał, że od krańca do krańca musi mieć co najmniej dwieście jardów. Było wąskie, ale wysokie, przez co wydawało się niezwykle przestronne.

Nie było tu ścian czy sufitu, do jakich był przyzwyczajony – całość przypominała raczej rozległy namiot. Nad nim słońce, rozpraszając promienie, przenikało sfałowane połacie cienkiego, białego jedwabiu, którego biel wzięt w



pierwszej chwili za chmury. Pod tym jedwabnym sklepieniem panował wieczorny półmrok. Ściany, także jedwabne, łopotały niczym żagle wydymane bryzą. Na każdej wisiał sznur z małymi dzwoneczkami uderzającymi o materię i odzywającymi się unisono przy najłżejszym jej ruchu.

Po obu stronach przejścia stały dziesiątki łóżek, wszystkie zasłane białymi prześcieradłami i równie nieskalanymi poduszkami. Ze czterdzieści z jednej strony, a wszystkie puste, drugie tyle po stronie Rolanda, z czego dwa zajęte. Ten gość...

To ten chłopak. Ten, który był w korycie, pomyślał.

Roland wzdrygnął się odruchowo z obrzydzenia i zdumienia. Gusła i zabobony... Przyjrzał się uważniej śpiącemu młodzieńcowi.

Niemożliwe. Przywidziało ci się. Nie może być, upewniał się bezgłośnie.

Jednak nawet staranne zlustrowanie postaci nie rozproszyło wątpliwości. Chłopak wyglądał tak samo jak trup z koryta i prawdopodobnie był chory (czemuż by inaczej tu leżał?), lecz z pewnością daleki od śmierci. Roland dostrzegał powolne podnoszenie się i opadanie jego piersi i drgnienia palców zwisającej z łóżka ręki.

Nie przyjrzałeś mu się dość uważnie, by być pewnym czegokolwiek, a po kilku dniach w tym korycie nawet własna matka by go nie poznała, stwierdził w myślach.

Ale Roland, który pamiętał, jak to z jego matką bywało, wiedział swoje. Widział też, że chłopak ma na szyi złoty medalion. Ten sam, który zerwał z trupa i schował do

kieszeni przed atakiem zielonych. A teraz ktoś – pewnie gospodarze tego miejsca, którzy przywrócili chłopaka imieniem James do życia – odebrał Rolandowi medalion i na powrót zawiesił na szyi właściciela.

Kto to zrobił? Ta dziewczyna ze wspaniale chłodnymi palcami? Czy uznała w konsekwencji Rolanda za ghoul, który okrada zmarłych? Chyba nie. O wiele bardziej niepokojące byłoby, gdyby naprawdę zrekonstruowali napuchłe zwłoki młodego kowboja, by ostatecznie go ożywić.

Jakiś tuzin łóżek dalej od chłopaka i Rolanda Deschaina leżał trzeci pacjent tego osobliwego polowego szpitala. Wyglądał na cztery razy starszego niż dzieciak, a dwakroć doroslejszego niż rewolwerowiec. Miał długą, siwą raczej niż czarną brodę; rozdwojona, sięgała mu do połowy piersi. Twarz nad zarostem była opalona i pomarszczona, z workami pod oczyma. Przez lewy policzek i dalej, poza nasadę nosa biegło grube, ciemne znamię, które Roland uznał za szramę. Brodacze był albo nieprzytomny, albo spał – Roland słyszał jego chrapanie – i wisiał trzy stopy nad łóżkiem w płataninie białych, lśniących w półmroku pasów. Krzyżowały się, oplatając ciało mężczyzny ósemkami, przez co kojarzył się z żukiem złapanym w sieć egzotycznego pająka. Był w przejrzystej białej koszuli nocnej. Jeden z pasów przebiegał mu pod pośladkami, unosząc lędźwie tak, jakby chodziło o szczególne wyeksponowanie genitaliów. Przez strój widać było ciemne zarysy nóg, pokręconych chyba jak wiekowe drzewa. Roland wolał się nie zastanawiać, w ilu miejscach musiały zostać złamane, żeby tak właśnie wyglądać. A jednak zdawało się, że się ruszają. Jakim cudem, skoro brodacze jest nieprzytomny? Pewnie to tylko gra światła albo sprawa cienia... lub wiatru kołyszącego koszulą albo...

Rewolwerowiec popatrzył na jedwabny sufit, starając się opanować oszalałe nagle serce. To nie wiatr ani cienie, ani nic innego. Nogi mężczyzny rzeczywiście ruszały się, pozostając w miejscu... tak jak Roland czuł swój grzbiet: ten też się poruszał w bezruchu. Rewolwerowiec nie miał pojęcia, skąd to zjawisko, ale nie chciał wiedzieć – przynajmniej jeszcze nie teraz.

–Nie jestem gotów – wyszeptał. Wargi miał bardzo suche. Znów zamknął oczy, żeby trochę jeszcze pospać. Nie chciał myśleć o związku między wyglądem nóg brodacza a swoim stanem. A jednak...

A jednak lepiej się na to przygotuj.

Ten głos rozbrzmiewał zawsze, gdy Roland próbował sobie odpuścić, odwalić robotę czy pójść na łatwiznę. Należał do Corta, jego dawnego nauczyciela. Jako chłopcy bali się jego kija, jeszcze większy lęk budziły jednak jego słowa, szczególnie gdy żartował z ich słabości i cieszył się, słysząc narzekania na chłopięcy los.

Jesteś rewolwerowcem, Rolandzie? Jeśli tak, to przygotuj się na najgorsze.

Roland otworzył oczy i ponownie spojrzął w lewo. Kiedy obracał głowę, poczuł, że coś przesuwają mu się na piersi.

Bardzo powoli unióś prawą rękę z podtrzymującego ją pasa. Ból odezwał się w plecach i Roland zamarł. W końcu uznał, że bardziej już boleć nie będzie (przynajmniej jeśli zachowa minimum ostrożności), więc położył dłoń na mostku. Wyczuł ciasno utkaną materię. Bawełna. Podniósł głowę, aż dotknął brodą mostka, i ujrzał, że ma na sobie taką samą koszulę nocną jak brodacze.

Sięgnął pod obrąbek i odszukał palcami łańcuszek. Nieco dalej trafił na prostokątny kawałek metalu. Domyślał się, co to, ale musiał mieć pewność. Pociągnął bardzo ostrożnie, nie chcąc ruszyć żadnym z mięśni grzbietu. Złoty medalion. Uniósł go wyżej, ryzykując kolejny przyływ bólu, i przeczytał, co na nim wygrawerowano:

*James Miły rodzinie. Miły BOGU*

Wsunął medalion za koszulę i spojrzął na chłopca śpiącego na sąsiednim łóżku... a raczej nad nim. Prześcieradło naciągnięto mu na klatkę piersiową, na koszuli złocił się medalion. Taki sam, jaki nosił Roland, tyle że...

Rewolwerowiec pomyślał, że chyba rozumie. To była spora ulga.

Zerknął znów na brodacza i zdumiał się: czarna szrama widoczna jeszcze przed chwilą na policzku i nosie mężczyzny zniknęła. Pozostał tylko różowy ślad po zagojonej ranie... zapewne ciętej.

Wydawało mi się, pomyślał.

Nie, rewolwerowcu, odezwał się głos Corta. Takim jak ty nic się nie wydaje. Dobrze wiesz.

Ta odrobina ruchu znów go zmęczyła... a może było to myślenie. Granie owadów i brzmienie dzwoneczków splotło się w aż nadto sugestywną kołysankę. Tym razem Roland naprawdę zamknął oczy i zasnął.

III. Pięć sióstr. Jenna. Doktorzy Elurii. Medalion. Obietnica milczenia.

Kiedy ponownie się obudził, w pierwszej chwili wydało mu się, że wciąż śpi. Że ma senny koszmar.

Kiedyś, w tym samym czasie, gdy spotkał Susan Delgado i zakochał się w niej, znał też wiedźmę imieniem Rhea – pierwszą i jedną dotąd prawdziwą wiedźmę Śródziemia, którą spotkał. To ona przywiodła Susan do śmierci, chociaż i Roland się do tego przyczynił. Kiedy więc teraz otworzył oczy i ujrzał Rheę nie w jednej, lecz w pięciu osobach, pomyślał: Oto, do czego prowadzi wspomnianie przeszłości. Przywołując

Susan, przywołałem też Rheę z Coos. Wraz z jej siostrami.

Cała piątka nosiła powiewne habity z materii tak śnieżnej jak ściany i sufit szpitala. Stare twarze okalały równie białe kornety, skóra była poszarzała i pomarszczona niczym nagi stok wzgórza po deszczu. Ze zwojów jedwabiu otulających ich włosy (o ile miały jakieś włosy) sterczały niby filakterie pasy z małymi dzwoneczkami, które odzywały się przy każdym poruszeniu czy słowie. Na śnieżnobiałych przodach habitów widniały wyszyte krwistoczerwone róże... *sigule* Mrocznej Wieży. Zobaczywszy to, Roland pomyślał: Nie, ja nie śnię. Te wiedźmy są prawdziwe.

–Budzi się! – krzyknęła jedna z nich dziwnie kokieterijnym głosem.

–Oooo!

–Ooooch!

–Ach!

Załopotwały habitami niczym stadko ptaków. Stojąca pośrodku wystąpiła o krok, a oblicza wszystkich zafalowały jak jedwabne ściany namiotu. Roland przekonał się, że nie były tak stare – raczej w średnim wieku.

Ale naprawdę są bardzo stare. Odmieniły się teraz, pomyślał.

Ta, która im przewodziła, była nieco wyższa od pozostałych i miała szerokie, nieco wypukłe czoło. Pochyliła się nad Rolandem i dzwoneczki zaśpiewały wkoło jej twarzy. Nie wiedzieć czemu rewolwerowcowi zrobiło się niedobrze od tego dźwięku i poczuł się słabszy niż przed chwilą. Piwne oczy spojrzały uważnie, a może i chciwie.

Dotknęła przelotnie policzka chorego i natychmiast zaczęło się z tego miejsca rozpełzać odrętwienie. Spojrzała w dół, a cień niepokoju przemknął jej po twarzy. Cofnęła rękę.

–Obudziłeś się, piękny panie. Udało ci się. To dobrze.

–Kim jesteście? Gdzie ja jestem?

–Jesteśmy siostrzyczkami z Elurii – odparła. – Ja jestem siostra Mary, to jest siostra Louise, siostra Michela, siostra Coquina...

–I siostra Tamra – odezwała się ostatnia. – Piękne dziewczę lat dwudziestu jeden. – Zachichotała, a jej twarz zafalowała i przez chwilę znów była równie stara jak ten świat: miała haczykowaty nos i szarą skórę. Roland znów pomyślał o Rhei.

Podeszły bliżej, otaczając wianuszkiem uprząż, na której wisiał. Gdy spróbował się od nich odsunąć, grzbiet zabolął jak nigdy, odezwała się też ranna noga. Jęknął. Pasy zaskrzypiały.

–Ooooo!

–To boli!

–Boli go!

–Tak bardzo boli!

Przysunęły się jeszcze bliżej, jakby fascynowało je jego cierpienie.

Czuł teraz ich woń: woń wyschłej ziemi. Istota zwana siostrą Michelą wyciągnęła dłoń...

Odejdźcie! Zostawcie go! Czyż nie mówiłam wam już?

Podskoczyły, zaskoczone tym głosem. Siostra Mary wyglądała wręcz na zirytowaną, ale i ona się odsunęła, zgromiwszy pierwiej wzrokiem (Roland mógłby to przysiąc) medalion zawieszony na szyi pacjenta. Wsunęły wcześniej pod koszulę, teraz znów był na wierzchu.

Między Mary a Tamrą przepchnęła się bezceremonialnie szóstą siostrą, tym razem chyba naprawdę dwudziestojednoletnią. Miała rumiane policzki, gładką skórę i ciemne oczy. Jej biały habit falował niczym kształt ze snu. Czerwona róża na piersi dziewczęcia pałała oskarżycielsko.

–Idźcie sobie! Zostawcie go!

–Ooo, moja kochana! – zawołała siostra Louise głosem, w którym pobrzmiwały zarazem szyderstwo i złość. – To Jenna, dzieciak. Zakochała się w nim?

–Jasne! – zaśmiała się Tamra. – Dzieciak ma serce na sprzedaż!

–Och, to właśnie to, dokładnie! – zgodziła się siostra Coquina. Mary spojrzała na przybyłą z zaciśniętymi z wściekłości ustami.

–Nie masz tu czego szukać, zuchwała dziewucho.

–Jeśli przyszłam, znaczy, że mam – odpaliła Jenna. Zachowywała się jak ktoś bardzo ważny. Kędzior czarnych włosów wymknął się jej spod kornetu i zawisł nad czołem niczym przecinek. – Wynoście się. Nie będzie się z niego naśmiewać i żartować.

–Nie rozkazuj nam – powiedziała siostra Mary – bo my nigdy nie żartujemy. Sama dobrze wiesz, siostró Jenno.

Rysy dziewczyny złagodniały nieco. Roland pojął, że Jenna zaczyna się bać, i sam też zaczął się o nią lękać. O nią i o siebie.

–Idźcie – powtórzyła. – To nie pora. Nie macie jeszcze innych pod opieką?

Siostra Mary zaczęła się chyba zastanawiać. Pozostałe obserwowały ją, aż w końcu przytaknęła i uśmiechnęła się do rewolwerowca. Jej twarz znów zafalowała jak obraz w rozgrzanym powietrzu i Roland ujrzał (lub zdało mu się, że ujrzał) to, co kryło się pod zasłoną i co wydało mu się straszne i czujne zarazem.

–Bywaj, piękny panie – powiedziała do rannego. – Zostań z nami trochę, a uleczymy cię.

A mam jakiś wybór? – pomyślał Roland.

Pozostałe roześmiały się. Ich ptasie chichoty wypełniły wnętrze namiotu. Siostra Michela posłała rewolwerowcowi całusa.

–Chodźmy, panie! – zawołała siostra Mary. – Zostawmy z nim Jennę przez pamięć jej matki, którą tak kochałyśmy!

Powiedziawszy to, odprowadziła gromadkę – pięć zamiatających sukniami białych ptaków, które odlatywały przejściem między łózkami.

–Dziękuję – szepnął Roland, spoglądając na właścicielkę chłodnej dłoni... bo wiedział już, że to ona niosła mu ukojenie.

Ujęła jego palce, jakby chciała potwierdzić domysły swego pacjenta, i pogłaskała je.

–Nie chciały cię skrzywdzić – powiedziała. Roland widział jednak, że sama w to nie wierzy. On też nie dowierzał. Wyraźnie szykowały się kłopoty. Takie, w których grzęźnie się po uszy.

–Co to za miejsce?

–Nasze. Dom siostrzyczek z Elurii. Nasz klasztor, jeśli wolisz – odparła.

–To nie jest klasztor – stwierdził Roland, popatrując obok siostry na puste łóżka. – To lecznica, prawda?

–Szpital – poprawiła rewolwerowca, wciąż gładząc jego palce. – Służymy doktorom... a oni służą nam.

Czarny lok na kremowym czole fascynował go coraz bardziej – gdyby mógł i miał dość odwagi, chętnie by go dotknął. Tylko po to, żeby sprawdzić, jakie są te włosy: sztywne czy miękkie... Roland uważał, że jest śliczny, gdyż był jedynym ciemnym obiektem pośród całej tej bieli, bieli, która zdążyła mu już obrzydnąć.

–Jesteśmy szpitalniczkami... lub byliśmy... zanim świat się odmienił.

–Jesteście z jezusowców?

Spojrzała na niego zdumiona, niemal wstrząśnięta, i roześmiała się wesoło.

–Nie, nie my!

–Skoro wy jesteście szpitalniczkami... pielęgniarkami... to gdzie są doktorzy?

Przygryzła wargę, jakby zastanawiała się, co powiedzieć. Rolandowi to wahanie dziwnie się spodobało i pojął, że chociaż chory, patrzy na siostrę jak na kobietę i że zdarza mu się to po raz pierwszy od czasu śmierci Susan Delgado, czyli od bardzo dawna. Cały świat zmienił się od tamtych dni, i to wcale nie na lepsze.

–Naprawdę chcesz wiedzieć?

–Tak, oczywiście – odparł lekko zdziwiony i zaniepokojony zarazem. Patrzył na jej twarz, czekając, aż zacznie falować i zmieniać się jak oblicza tamtych, ale nic takiego się nie działo. Nie czuł też niemiłej woni cementarnej ziemi.

Poczekaj, przestrzegł się w myślach. Nie wierz w nic, co jest tutaj, a już zwłaszcza nie ufaj swoim zmysłom. Jeszcze nie teraz.

–Pewnie musisz wiedzieć – powiedziała z westchnieniem, aż zadzwoniły

dzwoneczki na jej czole. Były nieco ciemniejsze od tych, które nosiły pozostałe siostry, nie czarne, raczej

wisniowe, jakby wisiały czas jakiś w dymie nad ogniskiem. Brzmiały wszakże najczystszy srebrem. – Ale obiecaj mi, że nie zaczniesz krzyczeć i nie obudzisz tego niedorostka z sąsiedniego łóżka.

–Nedorostka?

–Tego chłopca. Obiecujesz?

–Tak jest! – odparł tonem pasującym raczej do napuszonego słownictwa Zewnętrzny Łuku. Zupełnie odruchowo przypomniał sobie dialekt Susan. – Już dość dawno nie krzyczałem, piękna pani.

Splonęła się szkarłatem intensywniejszym niż czerwień róży wyszytej na jej piersi.

–Nie zwij pięknym tego, czego nie możesz dojrzeć należycie.

–No to zdejmij kornet.

Wprowadzie twarzy dziewczyny nic mu nie zasłaniało, lecz chciałby ujrzeć jeszcze jej włosy. Widoku tychże był niemal głodny. Kaskady czerni wśród sennej bieli. Oczywiście, mogło być i tak, że strzygła je krótko zgodnie z nakazami zakonu, ale wydawało mu się to jakoś nieprawdopodobne.

–Tego mi nie wolno.

–Kto ci zakazuje?

–Wielka Siostra.

–Ta, która zwie się Mary?

–Tak jest, ona.

Odeszła kilka kroków, zatrzymała się i obejrzała przez ramię. U innej, równie pięknej dziewczyny w jej wieku gest ten byłby zaproszeniem do flirtu. Jenna była jednak poważna.

–Pamiętaj, obiecałeś.

–Tak jest, żadnych krzyków.

Kołysząc suknią, podeszła do brodacza. W półmroku rzucała na mijane łóżka jedynie rozmyty zarys cienia. Stanąwszy przy mężczyźnie (nieprzytomnym raczej niż śpiącym, pomyślał Roland), spojrzała raz jeszcze na Rolanda. Przytaknęła.

Przysunęła się z boku do zawieszzonego, kryjąc po części za płataniną jedwabnych pasów. Złożyła delikatnie dłonie na lewej stronie piersi mężczyzny, pochyliła się nad nim i pokręciła głową, jakby chciała czemuś zdecydowanie zaprzeczyć. Dzwoneczki odezwały się melodyjnie i Roland znów poczuł dziwne poruszenie na grzbiecie połączone z lekką falą bólu. Zupełnie jakby się wzdrygnął, chociaż wcale tego nie zrobił. Albo tylko śniło mu się, że to zrobił.

To, co stało się potem, o mało nie wyrwało mu jednak krzyku z gardła – musiał aż

zagryźć wargi. Nogi nieprzytomnego raz jeszcze ożyły, mimo iż żadna nawet nie drgnęła... niemniej jednak to, co na nich było, i owszem, ruszało się żwawo. Jego owłosione golenie, kostki i stopy wystające spod koszuli. Teraz pokryły się robactwem, które spływało czarną falą coraz niżej i niżej, śpiewając przy tym w marszu niczym kolumna wojska.

Roland przypomniał sobie czarną szramę na twarzy mężczyzny, szramę która zniknęła. To musiało być coś takiego. Na nim też siedziały, stąd to drżenie bez dreszczy. Miał je na plecach. Łatały go.

Nie, powstrzymanie krzyku wcale nie było takie łatwe, jak się tego spodziewał.

Insekty dotarły do palców mężczyzny i zaczęły opadać z nich falami niczym spływająca woda. Szybko i sprawnie ustawiły się na białym prześcieradle w szeroką na stopę kolumnę, po czym karnie pomaszerowały na podłogę. Było

za daleko i zbyt ciemno, aby Roland mógł się im lepiej przyjrzeć, lecz wydawało mu się, że stworzenia są dwukrotnie większe niż mrówki i prawie tak duże jak miodne pszczoły, które widywał w domu nad pełnymi kwiatów łąkami.

Śpiewały w marszu.

Brodacz nie śpiewał. Gdy rój żuczków na jego nogach zaczął się kurczyć, zadrżał i jęknął. Dziewczyna położyła mu dłoń na czole i uspokoiła, a Roland poczuł ukłucie zazdrości, i to pomimo całego obrzydzenia, które poza tym odczuwał.

Ale czy to, co widział, naprawdę było aż tak paskudne? W Gilead przy niektórych chorobach przykładano pijawki. Zwłaszcza w wypadku puchlin mózgu lub pachwin. Kiedy chodziło o mózg, każdy przyznawał, że woli najszpetniejszą nawet pijawkę od trepanacji czaszki.

Było w nich jednak coś obrzydliwego, chociaż może wyłącznie dlatego, że nie mógł dokładnie tych żuczków obejrzeć i musiał – z lekką zgrozą – wyobrazić je sobie, zawieszony i bezradny, na swoich plecach. Tyle że jego robaczki nie śpiewały. Dlaczego? Bo się pożywiały? Spały? Jedno i drugie?

Jęki brodacza przycichły. Żuczki maszerowały po podłodze w kierunku jednej z łopoczących jedwabnych ścian. Po chwili zniknęły w cieniu.

Jenna wróciła do Rolanda lekko niespokojna.

–Dobrze się spisałeś. Ale po twojej twarzy widzę, co czujesz.

–Doktorzy – powiedział.

–Tak, mają wielką moc, ale... – przyciszyła głos – ale obawiam się, że nie zdołają pomóc poganiaczowi. Z nogami jest już lepiej, rany na twarzy się zabiły, lecz ma też takie obrażenia, do których doktorzy nie dojdą. – Przesunęła dłoń po brzuchu, sugerując ich lokalizację, o ile nie rodzaj.

–A ja? – spytał rewolwerowiec.

–Porwał cię zielony lud – wyjaśniła. – Musiałeś potężnie ich rozjuszyć, skoro od razu cię nie zabili, tylko związali i pociągnęli ze sobą. Tamra, Michela i Louise zbierały akurat zioła i zobaczyły, jak się z tobą zabawiają. Kazały im przestać, ale...

–Czy mutanci zawsze was słuchają, siostró Jenno?

Uśmiechnęła, może zadowolona, że zapamiętał jej imię.

–Nie zawsze, ale zazwyczaj tak. Tym razem usłuchali, bo inaczej wisiałbyś teraz w jakiejś precince.

–Pewnie tak.

–Zdarli ci skórę prawie z całego grzbietu, był czerwony od szyi aż po pas. Blizny zostaną na zawsze, ale doktorzy prawie cię już wyleczyli. Śpiewają coraz pogodniej, prawda?

–Tak – mruknął Roland, chociaż myśl o tych czarnych robaczkach usadowionych na całych plecach, na jego żywym ciele, wciąż budziła obrzydzenie. – Winien ci jestem podziękowanie i składam je ochoczo. Jeśli mogę cokolwiek dla ciebie zrobić...

–Powiedz mi, jak się nazywasz. To właśnie.

–Jestem Roland z Gilead. Rewolwerowiec. Miałem broń, siostró Jenno... Widziałaś ją?

–Nie widziałam żadnej broni palnej – powiedziała i odwróciła wzrok. Jej policzki znów okryły się rumieńcem.

Mogła być doskonałą i prawą pielęgniarką, jednak kłamać nie potrafiła. To go ucieszyło.

O biegłych łgarzy zawsze łatwo, o ludzi uczciwych wprost przeciwnie.

Darujmy sobie na razie tę nieściskość, powiedział w duchu. To chyba ze strachu.

–Jenno! – dobiegło z cienia na drugim końcu szpitala, a rewolwerowcowi zdało się, że to bardzo daleko. Siostra Jenna podskoczyła, jakby przyłapano ją na czymś niestosownym. – Wychodź! Dość się już nagadałaś. Na cały pluton by starczyło. Daj mu spać!

–Tak jest! – odrzyknęła i spojrzała na Rolanda. – Nie zdradź mnie, że pokazałam ci doktorów.

–Słowo, będę milczał, Jenno.

Zawahała się, zagryzła wargę i nagle zsunęła kornet. Z cichym głosem dzwoneczków zatrzymał się jej na szyi. Uwolnione włosy opadły miłym cieniem na policzki.

–Jestem piękna? Jestem? Powiedz prawdę, Rolandzie z Gilead, nie oszukuj mnie. Takie oszustwo nie starcza na dłużej niż świeca.

–Jesteś piękna jak letnia noc.

Jednak to wyraz twarzy Rolanda musiał uradować ją najbardziej, bo spojrzała na niego i uśmiechnęła się promiennie. Nałożyła ponownie kornet i upchnęła pod nim luźne kosmyki.

–Wyglądam już obyczajnie? – spytała.

–Obyczajnie, jak trza – odparł, unosząc ostrożnie rękę i wskazując na jej czoło. – Jeszcze tylko jeden kosmyk... tutaj.

–Zawsze mi się po czarciu wmyka. – Skrzywiła się komicznie i zrobiła z nim porządek. Rewolwerowiec nade wszystko pragnąłby pocałować te rumiane policzki... a do kompletu może i różane usteczka.

–Teraz już wszystko w porządku – powiedział.

–Jenno! – rozległo się mocno już niecierpliwe wołanie. – Medytacje!

–Już idę! – odezwała się dziewczyna i zebrała suknie, by ruszyć truchtem. Odwróciła się jednak i spojrzała poważnie na Rolanda.

–Jeszcze jedno – szepnęła prawie i rozejrzała się szybko. – Ten złoty medalion, który nosisz... nosisz go, bo jest twój. Rozumiesz, Jamesie?

–Tak. – Roland przekręcił nieco głowę, żeby spojrzeć na śpiącego chłopca. – A to jest mój brat.

–Gdyby pytali, to tak. Jeśli powiesz co innego, Jenna wpadnie w tarapaty.

Nie spytał, jak poważne mogą być te kłopoty, ona zaś odpłynęła między rzędami pustych łóżek, podtrzymując jedną ręką suknię. Rumieniec zniknął z jej poszarzałych policzków. Roland przypomniał sobie chciwe spojrzenia pozostałych sióstr, gdy otoczyły go ciasnym wianuszkiem... i to, jak falowały im twarze.

Sześć kobiet. Pięć starych i jedna młoda.

Doktorzy, którzy śpiewają i odmaszerowują zwartą formacją po podłodze przepłoszeni dzwonieniem dzwoneczków.

I ta niesamowita sala szpitalna na jakieś sto miejsc. Sala z jedwabnym dachem i takimiż ścianami...

...i tylko trzema zajętymi łózkami.

Roland nie pojmował, dlaczego Jenna wyjęła mu medalion umarlaka z kieszeni i zawiesiła na szyi, kojarzył jednak, że gdyby sprawa się wydała, siostrzyczki z Elurii mogłyby ją zabić.

Zamknął oczy, a łagodne śpiewy owadzych doktorów znów ukołysały go do snu.

IV. Miska zupy. Chłopiec na sąsiednim łóżku. Nocna zmiana.

Śniło mu się, że bardzo wielki żuk – pewnie doktor – latał mu dokoła głowy i uderzał nieustannie w nos, co było nie tyle bolesne, ile irytujące. Roland odganiał go nieustannie,

lecz brakowało mu normalnej zwinności i wciąż chybiał. Za każdym razem żuk chichotał.

To dlatego, że zachorowałem, pomyślał.

Nie, to nie choroba, tylko zasadzka. Powalili go zdegenerowani mutanci, a uratowały siostrzyczki z Elurii.

Roland ujrzał nagle ludzki cień wyrastający z mroku za przewróconym wozem. Usłyszał chrapliwe, chciwe i mrożące krew w żyłach „Buu!”

Obudził się nagle i szarpnął w uprząży, aż pasy jęknęły, a stojąca obok kobieta, która chichotała i stukala się po nosie drewnianą łyżką, odsunęła się tak gwałtownie, że upuściła trzymaną w drugiej ręce miskę.

Roland błyskawicznie wyciągnął dłonie. Refleks miał nie gorszy niż zwykle – frustrujące go nieudolne próby pochwylenia żuczka to był tylko sen. Złapał miskę, nim zdążyło się wylać więcej niż kilka kropel. Kobieta – siostra Coquina – spojrzała na niego okrągłymi oczami.

Całe plecy zaboląły go od gwałtownego poruszenia, ale z pewnością nie był to ból tak ostry jak wcześniej, nie poczuł też, by coś ruszało mu się na skórze. Może „doktorzy” tylko spali, najpewniej jednak już sobie poszli.

Wyciągnął rękę po łyżkę, którą Coquina musiała go chyba drażnić (jakoś nie był zdumiony faktem, że jedna z siostr dokucza choremu i śpiącemu; co innego, gdyby była to Jenna), ta zaś podała ją mu, wciąż ogromnie zdumiona.

–Ależ ty jesteś szybki! – powiedziała. – To jak sztuczka magika! A ty dopiero się rozbudzasz!

–I lepiej to sobie zapamiętaj, sai – oznajmił, po czym spróbował zupy. Pływały w niej drobne kawałeczki kurzego mięsa. W innych okolicznościach uznałby, że jest nazbyt wodnista, teraz jednak smakowała jak ambrozja. Zaczął jeść łapczywie.

–Co chcesz przez to powiedzieć? – spytała. Przez pomarańczowo-różowe płyty materii sączyło się słabe światło zachodzącego słońca. W tak nikłym blasku Coquina wydawała się nawet młoda i ładna... ale to był tylko pozór. Roland był pewien, że patrzy na czarodziejski rodzaj makijażu.

–Nic szczególnego. – Rewolwerowiec odłożył łyżkę, bo jakoś za wolno mu się nią jadło, i uniósł miskę do ust. Starczyły cztery tęgie łyki. – Byłyście dla mnie miłe...

–Jasne, że tak! – rzuciła z oburzeniem.

–...i mam nadzieję, że nic się za tym nie kryje. Bo jeśli chodzi wam coś po głowach, to pamiętaj, siostrzo, że naprawdę jestem szybki. I w razie potrzeby potrafię być też niemiły.

Nie odpowiedziała, tylko odebrała pustą miskę. Uczyniła to ostrożnie, zapewne, żeby

nie dotknąć jego palców. Spojrzała przy tym na miejsce, gdzie pod koszulą krył się medalion. Roland nie dodał już nic więcej, by nie osłabiać efektu groźby przypomnieniem, że obecnie jest przecież całkiem bezbronny, nagi i na dodatek wisi na pasach, gdyż jego grzbiet nie może jeszcze znieść nacisku ciała.

–Gdzie jest siostra Jenna? – spytał.

–Oooo! – zawołała siostra Coquina, unosząc brwi. – Lubimy ją, co? Nastrój nam się od niej poprawia... – Przycisnęła dłoń do wyszytej na habicie róży i potarła ją gwałtownie.

–Nie, to nie tak – powiedział Roland. – Ale ona była dla mnie naprawdę miła. A już na pewno nie zamierzała drażnić mnie łyżką, jak niektórzy.



Uśmiech siostry Coquiny gdzieś zniknął, spojrzała na Rolanda zarazem ze złością i niepokojem.

–Nie mów o tym siostrze Mary, gdyby jeszcze przyszła. Mogłabym mieć kłopoty.

–A co mnie to obchodzi?

–Gdybyś narobił mi kłopotów, mogłabym ci się odwdzięczyć, dokuczając Jennie – oznajmiła. – Zresztą, Wielka Siostra i tak ma ją na czarnej liście. Siostry Mary nie obchodzi, co Jenna ci o niej opowiada... ale nie podoba się jej, że Jenna wróciła do nas, nosząc Ciemne Dzwonki.

Więcej nie usłyszał, bo siostra Coquina przyłożyła dłoń do nazbyt prędkich ust, jakby zdała sobie sprawę, że wypaplała za dużo.

Zaintrygowany Roland wolał nie okazywać na razie zbyt ciekawości.

–Dobrze, nic nie powiem, jeśli i ty nie zaczniesz oczerniać Jenny przed siostrą Mary.

Coquinie wyraźnie ulżyło.

–Tak jest, możemy się tak umówić. – Pochyliła się ku niemu konspiracyjnie. – Jest w Świątyni Dumania. To taka mała jaskinia w zboczu wzgórza, do której chodzimy medytować, gdy Wielka Siostra uzna, że byliśmy niegrzeczne. Będzie tak siedzieć i rozważać niestosowność swego zachowania, aż siostra Mary pozwoli jej wyjść. – Urwała na chwilę, po czym dodała pospiesznie: – A nie wiesz przypadkiem, kto tu leży obok ciebie?

Roland obrócił głowę i zobaczył, że młodzieniec obudził się i słucha. Miał oczy równie ciemne jak Jenna.

–Czy nie wiem? – powtórzył Roland możliwie najbardziej urażonym tonem. – Naprawdę sądzisz, że mógłbym nie poznać własnego brata?

–Jeśli tak, to dlaczego on jest o tyle młodszy od ciebie? – spytała inna siostra, która wynurzyła się nagle z ciemności. Była to Tamra, ta, która nazwała się dwudziestojedynolatką. Nim doszła do legowiska Rolanda, jej oblicze przypominało twarz

wiedźmy, która zapomniała już, jak to jest mieć osiemdziesiąt lat... a może i dziewięćdziesiąt. Potem jej twarz zafalowała i rewolwerowiec ujrzał pulchne, zdrowe lico trzydziestoletniej matrony. Tylko oczy pozostały takie same – z żółtawymi rogówkami, matowe w kącikach i przerażająco czujne.

–On jest najmłodszy, ja najstarszy – wyjaśnił Roland. – Pomiędzy nami jest jeszcze siedmioro rodzeństwa i dwadzieścia lat życia naszych rodziców.

–Jak miło! Ale jeśli jest twoim bratem, to musisz pamiętać jego imię, prawda? Musisz pamiętać je bardzo dobrze.

Nim rewolwerowiec zdołał cokolwiek wymyślić, młodzieniec sam się odezwał.

–One chyba sądzą, że można zapomnieć tak proste imię jak John Norman. Ale z nich dziwadła, co, Jimmy?

Coquina i Tamra spojrzały na bladego chłopaka z nie skrywaną wściekłością... i bezradnością. Na jakiś czas zostały chyba bez atutów.

–Już go nakarmiłyście – powiedział chłopak (którego medalion głosił niewątpliwie, że jest to *John. Miły rodzinie. Miły BOGU*). - Czemu nie pójdziecie teraz, żebyśmy mogli sobie pogadać?

–Proszę! – warknęła siostra Coquina. – Skoro tak staniała tu wdzięczność, to chętnie się wyniosę!

–Jestem wdzięczny za wszystko, co otrzymałem – odparł Norman, patrząc na nią spokojnie – ale nie za to, co mi się zabiera.

Tamra sapnęła przez nos, obróciła się gwałtownie, tak zamiatając spódnicami, że aż wiatr powstał od tego, i odeszła. Coquina zaczęła jeszcze chwilę.

–Zachowaj dyskrecję, a może ta, którą lubisz bardziej niż mnie, wyjdzie z jaskini już jutro, nie zaś za tydzień.

Nie czekając na odpowiedź, odwróciła się i podążyła za siostrą Tamrą.

Roland i Norman poczekali, aż obie znikną, i dopiero wtedy chłopak odezwał się półgłosem.

–Mój brat nie żyje?

Roland przytaknął.

–Wziąłem jego medalion na wypadek, gdybym spotkał kogoś, kto go znał. Po prawie należy do ciebie. Przykro mi.

–Dzięki, sai. – Przez chwilę broda mu drżała, ale opanował się. – Wiedziałem, że zieloni go ścigali, ale te stare wiedźmy nie chciały Powiedzieć nic więcej. Choć ciągle gadają, niewiele z tego wynika.

–Może nie były pewne.

–Były. Wiedziały, że nie ma wątpliwości. Mało mówią, ale wiedzą naprawdę dużo.

Tylko Jenna jest inna. To o niej ta stara siekiera mówiła jako o twojej przyjaciółce, zgadza się?

Roland znów przytaknął.

–Powiedziała też coś o Ciemnych Dzwonkach. Chętnie dowiedziałbym się, o co tu właściwie chodzi.

–Ona jest szczególnie, znaczy Jenna. To raczej księżniczka – ktoś, komu urodzenie zapewnia pozycję i kogo z tej racji nie można jej pozbawić – niż siostra. Gdy leżałem tutaj, udając na wszelki wypadek, że śpię, słyszałem, jak rozmawiały. Jenna niedawno do nich wróciła, a te Ciemne Dzwonki jakoś ją wyróżniają... chociaż to Mary ciągle wszystkim rządzi. Myślę, że Ciemne Dzwonki to część obrządku, jak te pierścienie, które dawni baronowie przekazywali z ojca na syna. To ona zawiesiła ci na szyi medalik Jimmy'ego?

–Tak.

–Nie zdejmuj go pod żadnym pozorem. – Skrzywił się smutno. – Nie wiem, czy chodzi o złoto, czy o Boga, ale wyraźnie wolą się za bardzo do niego nie zbliżać. Pewnie tylko dlatego jeszcze tu jestem. – Ściszył głos do szeptu. – One nie są ludźmi.

–Cóż, być może posługują się magią i czarami, ale...

–Nie! – krzyknął chłopak i z widocznym wysiłkiem uniósł się na łokciu. Spojrzał uważnie na Rolanda. – Myślisz o czarownicach lub Hubberach, ale one nie są ani jednym, ani drugim. W ogóle nie mają nic wspólnego z ludźmi!

–No to kim są?

–Nie wiem.

–A jak ty się tu znalazłeś, John?

John Norman opowiedział Rolandowi półgłosem to, co wiedział o swoim przypadku. On, jego brat i czterej jeszcze posiadający własne konie rzutcy młodzieńcy zostali wynajęci jako ochrona i czujka karawany siedmiu wozów z różnymi dobrami – nasionami, żywnością, narzędziami, pocztą i czterema narzeczonymi na specjalne zamówienie – podążającej do nie zrzeszonego miasta Tejuas, jakieś dwieście mil na zachód od Elurii. Dwie grupy zwiadowców krążyły na zmianę wzdłuż karawany, przy czym bracia rozdzielali się, żeby nie być w tej samej ekipie, bo – jak wyjaśnił Norman – w takich razach walczyli jak...

–Jak bracia – podsunął Roland.

–Tak jest – odparł Norman, uśmiechając się boleśnie.

Gdy karawana wpadła w Elurii w zasadzkę zielonych mutantów, trójka Normana podążała akurat jakieś dwie mile za wozami.

–Ile wozów tam widziałeś? – spytał Rolanda.

–Tylko jeden. Przewrócony.

–A ile ciał?

–Tylko ciało twojego brata.

John Norman pokiwał ponuro głową.

–To pewnie przez medalion nikt go nie tknął.

–Mówisz o mutantach?

–Nie, o siostrach. Mutanci nie zwracają uwagi ani na złoto, ani na Boga, ale te suki... – Spojrzał w głąb niemal całkiem ciemnego już namiotu. Roland czuł, że z wolna znów ogarnia go letargiczna senność, lecz dopiero po dłuższej chwili zrozumiał, iż siostry musiały dosypać mu czegoś do zupy.

–A inne wozy? – spytał. – Te, które się nie przewróciły?

–Mutanci pewnie je wzięli. I ładunek też – mruknął Norman. – Nie dbają o złoto i o Boga, siostrom zaś na nic wszelkie dobra. Pewnie mają jakieś swoje żarcie, coś, czego lepiej nie wachać. Niewątpliwie paskudztwo... jak te robale.

Wraz z resztą patrolu ruszył galopem do Elurii, ale gdy dotarli na miejsce, walka dobiegła już końca. Mężczyźni leżeli dokoła – kilku martwych, większość jednak ciągle przy życiu. Żyły też jeszcze przynajmniej dwie z narzeczonych na zamówienie. Ci, którzy przeżyli i mogli utrzymać się na nogach, byli spędzani razem przez zielonych. John Norman zapamiętał sobie tego w meloniku i kobietę w czerwonych łachmanach.

Razem z dwoma pozostałymi strażnikami próbował walczyć. Zobaczył jeszcze, jak jego kompana trafiła strzała, lecz potem ktoś uderzył go z tyłu w głowę i zapadła ciemność.

Roland zastanawiał się, czy atakujący od tyłu spryciarz nie krzyknął przypadkiem „Buuu!”, ale wolał nie pytać.

–Kiedy się obudziłem, byłem już tutaj – powiedział Norman. – Inni też, większość przynajmniej. Oblaziło ich to przekłete robactwo.

–Inni? – Rewolwerowiec spojrzał na puste łóżka. W mroku jaśniały niczym białe wyspy. – Ilu tu trafiło?

–Przynajmniej dwadzieścioro. Wyzdrowieli... znaczy, robale ich wyleczyły... a potem znikali. Jeden po drugim. Zasypiasz, a gdy się budzisz, jest jedno puste łóżko więcej. Znikali tak, aż zostałem tylko ja i ten tam dalej. – Spojrzał poważnie na Rolanda. – Teraz wiesz.

–Norman – mruknął rewolwerowiec, któremu zaczynało się dziwnie mącić w głowie. – Ja...

–Widzę, co się z tobą dzieje – odparł Norman, lecz jego głos dobiegał z bardzo daleka, jakby zza horyzontu. – To ta zupa. Ale mężczyzna musi jeść. Kobieta zresztą też.

O ile to prawdziwa kobieta. Te tutaj nie są prawdziwe. Nawet siostra Jenna. Miła nie znaczy jeszcze: normalna. – Źródło głosu było coraz odleglejsze. – W końcu stanie się taka jak one. Wspomnisz moje słowa.

–Nie mogę się ruszać. – Nawet mówienie wymagało sporego wysiłku. Zupełnie jak przy przetaczaniu głazów.

–Jasne – roześmiał się nagle Norman. Brzmiało to wstrząsająco i wracało echem wypełniającym rozrastającą się mroczną przestrzeń w głowie Rolanda. – To nie jest zwykły środek na sen, ten w zupie. Odbiera jeszcze zdolność ruchu. Ze mną już prawie wszystko w porządku, bracie... więc jak myślisz, dlaczego jeszcze tu jestem? – Norman nie przemawiał już teraz zza horyzontu, ale raczej z księżycy. – Nie sądzę, żeby któryś z nas ujrzał jeszcze słońce nad prerią.

Mylisz się, chciał odpowiedzieć Roland i dorzucić coś jeszcze w tym samym duchu, jednak nie wydał z siebie ani dźwięku. Odpywał ku ciemnej stronie księżycy i próżnia odbierała mu zdolność mowy.

A jednak nie stracił zupełnie przytomności. Może dawka „lekarstwa” w zupie siostry Coquiny była źle wyliczona,

może po prostu nie mieli tu dotąd okazji wypróbować swoich sztuczek na prawdziwym rewolwerowcu i nie zorientowali się jeszcze, kto właściwie im się trafił.

Prócz, oczywiście, siostry Jenny. Ona wiedziała.

W jakiejś godzinie nocy szepczące, chichoczące głosy i brzęczenie dzwoneczków wywabiły go z ciemności, w której trwał niezupełnie śpiący i na poły przytomny. Dokoła – tak monotonne, że z trudem tylko je słyszał – brzmiały śpiewy „doktorów”.

Otworzył oczy. Ujrzał blade błyski światła tańczące gdzieś w mroku. Chichoty i szepty były coraz wyraźniejsze. Próbował odwrócić głowę, lecz z początku nie mógł. Odpoczął chwilę, skupił wszystkie siły w twardą, niebieską kulę i spróbował raz jeszcze. Tym razem ruszył głową. Trochę tylko, ale starczyło.

Pomiędzy łózkami nadchodziło pięć sióstr: Mary, Louise, Tamra, Coauina i Michela. Chichotały jak dzieci w trakcie płatania figli i niosły małe lichtarzyki ze srebrnymi uchwyty. Dzwonki na kornetach brzęczały urywanymi nutkami. Otoczyły łóżka brodacza. Blask świec urósł w ich kręgu w lśniąca kolumnę sięgającą połowy wysokości namiotu.

Siostra Mary przemówiła zwięźle. Roland rozpoznał jej głos, ale nie słowa. Nie była to ani mowa pospolita, ani szlachetna, lecz jakiś zupełnie inny język. Jedna fraza się powtarzała: *can de lach, mi him en tow*. Rewolwerowiec pojęcia nie miał, co to może znaczyć.

Po chwili zorientował się, że doktorzy umilkli. W tle słychać było tylko dzwonki.

–*Ras me! On! On!* – zawołała potężnie a chrapliwie siostra Mary. Świece zgasły, znikł poblask bijący przez białą materię ich skrzydlatych kornetów i ponownie zapadła ciemność.

Roland czekał, zmrożony, co stanie się dalej. Próbował ruszyć ręką lub nogą, lecz bez powodzenia. Głowę mógł obrócić tylko o jakieś piętnaście stopni, poza tym był sparaliżowany jak mucha w gładkim oplocie pajęczej sieci.

Dzwoneczki podzwaniały w ciemności... i nagle usłyszał odgłos zasysania. Natychmiast zrozumiał, że na to właśnie czekał. Przez cały czas wiedział podświadomie, kim właściwie są siostrzyczki z Elurii.

Gdyby mógł unieść ręce, chętnie zatkałby uszy, żeby chociaż niczego nie słyszeć. A tak mógł tylko leżeć nieruchomo i czekać, aż skończą.

Czekać musiał bardzo długo – zdało mu się, wieczność całą. Kobiety chleptały i siorbały niczym świnię pożerające półpłynną karmę. Raz którejs się nawet odbiło, na co reszta zareagowała chichotami uciętymi krótkim „*Hais!*” siostry Mary. Dał się też słyszeć cichy i przeciągły jęk. Roland nie wiedział, czy to jęczał brodacz, ale jeśli tak, musiała to być jego ostatnia wypowiedź po tej stronie świata.

Z czasem odgłosy uczt zaczęły słabnąć, a jednocześnie raz jeszcze odezwały się żuczki – z początku nieśmiało, potem nieco pewniej. Wróciły też szepty i chichoty, zajaśniały świece. Roland leżał teraz z głową odwróconą w przeciwną stronę. Nie chciał ujawniać, że widział cokolwiek, ale nie tylko: nie chciał widzieć nic więcej. Dość się już napatrzył.

Jednak rozchichotane i szepczące siostrzyczki ruszyły teraz i ku niemu. Rewolwerowiec zamknął oczy i skoncentrował się na medalionie. Jak to powiedział Norman? „Nie wiem, czy chodzi o złoto, czy o Boga, ale wyraźnie wolą się za bardzo do niego nie zbliżać”. Zawsze to jakieś pocieszenie, szczególnie że siostrzyczki były już prawie obok. Szeptały coś nieprzerwanie w obcym języku, a medalion pozostawał jedyną ochroną.

Gdzieś z daleka dobiegło słabe naszczekiwanie krzyżowego psa.

Gdy okrążyły już Rolanda, wyczuł bijący od nich odór zepsutego mięsa. Ale w końcu, czym innym miałyby wonieć?

–Ależ piękny mężczyzna. – To siostra Mary. Przemawiała głosem niskim i spokojnym, jak w czasie medytacji.

–Ale nosi przebrzydły *sigul*. – To Tamra.

–Zedrzymy mu go! – dodała Louise.

–A wtedy zabierzemy się do pocałunków! – rzuciła Coquina.

–Pocałunki dla wszystkich! – wykrzyknęła siostra Michela z tak szczerym

entuzjazmem, że wszystkie się roześmiały.

Roland odkrył, że nie cały jednak jest tak ze szczętem sparaliżowany. Pewna część jego ciała obudziła się na dźwięk ich głosów i stanęła prosto. Czyjaś błędząca pod szatą dłoń dotknęła naprężonego członka, objęła go i zaczęła pieścić. Roland leżał przerażony, udając, że śpi, a ciepła wilgoć wylała się zeń rychło. Dłoń jednak pozostała i przesuwiała się po więdnącym narzędziu. W końcu puściła go i przesunęła się wyżej, na brzuch, tam gdzie zebrała się mała plama wilgoci.

Znów chichoty ulotne jak wiatr.

I dzwonki.

Roland uchylił powieki i spojrzał przez szparki na roześmiane oblicza jaśniejące ponad nim w blasku świec. Lśniące oczy, poźółkłe policzki, sterczące spod warg zęby. Siostry Michela i Louise przypominała kozy, jednak nie dlatego, żeby im brody wyrosły, ale za sprawą krwi brodacza.

Mary uniosła stuloną dłoń i podsunęła ją pozostałym siostram. Każda trochę zlizwała.

Roland zamknął oczy i poczekał, aż pójdą. W końcu raczyły zniknąć.

Nigdy już tu nie zasnę, pomyślał i pięć minut później świat przestał dla niego istnieć.

V. Siostra Mary. Wiadomość. Wizyta Ralpa. Los Normana. Znów siostra Mary.

Gdy się obudził, było już jasno i biały jedwabny dach łopotał na lekkim wietrze. Żuczki śpiewały w najlepsze, a po lewej Norman spał z głową przekręconą na bok i policzkiem opartym o ramię.

Byli jedynymi pacjentami. Łóżko brodacza stało puste. Prześcieradła zostały gładko zasłane, poduszka w wykrochmalonej powłoczce spoczywała jak należy u wezglowia. Po pasach do podwieszania nie został nawet ślad.

Roland przypomniał sobie świece i ich połączony blask, który bił kolumną ku sufitowi, oświetlając krąg chichoczących sióstr zebranych dokoła brodacza. I te ich cholerne brzęczące dzwonki.

Nagle, jakby wezwana niespokojnymi myślami, w przejściu pojawiła się siostra Mary, za nią zaś płynęła siostra Louise. Ta druga niosła tacę i wyglądała na zdenerwowaną. Mary, która marszczyła czoło, też nie była chyba w przesadnie dobrym nastroju.

Tak się krzywić po wielkim żarciu? – pomyślał Roland. Nieładnie, siostro.

Podeszła do łóżka rewolwerowca i spojrzała na niego z góry.

–Niezbyt mamy ci za co dziękować, sai – powiedziała bez żadnych wstępów.

–A czy ja prosiłem, żebyście mi dziękowały? – odparł Roland głosem, w którym było tyle niechęci, ile bywa w szeleście zakurzonych stronic starej książki przy próbie kartkowania.

Nie zwróciła na to uwagi.

–Sprawiłeś, że ta z nas, która dotąd była tylko oporna i uparta, obecnie prawie się zbuntowała. Cóż, jej matka postępowała tak samo i zmarła przez to krótko po oddaniu Jenny tam, gdzie jest jej miejsce. Unieś rękę, niewdzięczny.

–Nie mogę. W ogóle nie mogę się ruszyć.

–Och, głupi! Nie mówili ci nigdy, że nawet ślepej matki nie oszukasz? Sama wiem, co możesz, a czego nie. A teraz unieś rękę.

Roland dźwignął prawą rękę, udając, że wkłada w to o wiele więcej wysiłku, niż naprawdę było konieczne. Miał nadzieję, że rano będzie dość silny, by wyzwolić się z uprzęży... ale co potem? Prawdziwy marsz był jeszcze ponad jego siły, i to nawet bez kolejnej dawki „lekarstwa”... a stojąca za siostrą Mary siostra Louise właśnie zdejmowała nakrycie z kolejnej miski zupy. Roland spojrzał na danie i coś mu w brzuchu zaburczało.

Wielka Siostra musiała to usłyszeć, bo uśmiechnęła się lekko.

–Silnemu mężczyźnie nawet leżenie w łóżku dodaje apetytu, o ile poleży dość długo, oczywiście. Zgodzisz się ze mną, Jasonie, bracie Johna?

–Mam na imię James i dobrze o tym wiesz, siostrzo.

–Zaiste? – zaśmiała się ze złością. – O, la la! Ciekawe, czy jeśli wybatożę twoją ukochaną dość solidnie, tak aby grzbiet spłynął jej krwią niczym kroplami potu, to nie wycisnę z niej innego jeszcze imienia? A może w ogóle go jej nie zdradziłeś, gdy sobie szczebiotaliście?

–Tknij ją, a cię zabiję.

Znów się roześmiała. Twarz jej zafalowała, a usta zmieniły się na chwilę w coś na kształt zdychającej meduzy.

–O zabijaniu to raczej my mogłybyśmy ci coś opowiedzieć, więc lepiej nie zaczynaj tematu.

–Siostrzo, skoro tak bardzo nie zgadzacie się z Jenną, to czemu nie zwolnicie jej ze ślubów i nie pozwolicie iść swoją drogą?

–Takie jak my nie mogą zostać zwolnione ze ślubów, o odchodzeniu już nie wspominając. Zresztą, jej matka już tego próbowała i wróciła umierająca, z chorobą dziewczyną. Cóż, wykurowaliśmy małą, gdy jej matka zmieniła się już w pył niesiony wiatrem ku granicom Krańcoświata, a teraz proszę, jak się nam odwdzięcza! Na dodatek nosi Ciemne Dzwonki, *sigul* naszego zakonu. Naszego *katet*. Ale dość już, jedz, twój żołądek mówi, żeś głodny!

Siostra Louise podała miskę, spojrzeniem pobiegła jednak ku zarysowi skrytego pod koszulą medalionu. Nie podoba ci się? – pomyślał Roland i wspomniawszy tę Louise, którą widział w blasku świec: z krwią starego na policzku i niezdrowym błyskiem w wiekowych oczach, gdy pochylała się chciwie, by zlizać z dłoni siostry Mary nieco jego nasienia.

Odwrócił głowę.

–Nie chcę niczego.

–Ależ jesteś głodny! – zaprotestowała Louise. – Jeśli nie będziesz jadł, to jak wrócisz do sił?

–Przyślijcie Jennę. Zjem to, co ona mi poda.

Siostra Mary zmarszczyła wściekle czoło.

–Jej już więcej nie zobaczysz. Została zwolniona ze Świątyni Dumania po tym, jak złożyła solenną obietnicę, że zdwoi czas medytacji... i będzie się trzymać z dala od lecznicy. A teraz jedz, Jamesie, czy jak tam masz na imię. Zjedz zupkę i to co w zupce albo potniemy cię nożami i wsączymy ci to w rany flanelowymi kataplazmami. Dla nas to bez różnicy, prawda, Louise?

–Prawda – stwierdziła Louise, wciąż podsuwając mu miskę. Zupa parowała i pachniała smakowicie kurczakiem.

–Ale tobie to chyba robi różnicę – uśmiechnęła się ponuro siostra Mary, ukazując nienaturalnie duże zęby. – Na dodatek świeża krew to tutaj ryzyko. Doktorzy jej nie lubią. Podnieca ich.

Roland pomyślał, że nie tylko żuczki dostają tu fioła od zapachu krwi. Wiedział też, że jeśli chodzi o zupę, i tak nie ma wyboru. Wziął miskę i zaczął jeść powoli. Wiele by dał za to, by móc zetrzeć z oblicza siostry Mary ten uśmiech satysfakcji.

–Dobrze – powiedziała, gdy oddał jej miskę, a ona zerknęła jeszcze do środka, by sprawdzić, czy na pewno wszystko wyjadł. Wsunął rękę z powrotem w przeznaczoną na nią pętlę. Już teraz kończyła być za ciężka, żeby

mógł ją utrzymać. Czuł, jak cały świat z wolna odpływa.

Siostra Mary pochyliła się, aż habit dotknął lewego ramienia Rolanda. Czuł jej zapach, suchą woń starości, lecz nie miał sił nawet na odruch obrzydzenia.

–Zdejmij ten złoty drobiazg, a siły zaczną wracać ci szybciej. Wrzuć go do nocnika pod łóżkiem. Tam jego miejsce, bo po prawdzie teraz, gdy jest na tobie, przyprawia mnie o ból głowy i skurcz w gardle.

–Skoro tak, to sama go weź – powiedział Roland z wielkim wysiłkiem. – Jak mógłbym ci przeszkodzić, ty suko?

Oblicze siostry raz jeszcze zmieniło się w coś na kształt chmury burzowej. Gdyby nie oneśmielająca bliskość medalionu, pewnie spoliczkowałyby Rolanda. Najwyraźniej jej zdolność dotykania pacjenta kończyła się gdzieś w okolicy pasa.

–Chyba dobrze będzie, jeśli sobie to jeszcze przemyślisz – powiedziała. – Zawsze mogę wybatożyć Jennę, gdyby przyszła mi na to ochota. Wprawdzie nosi Ciemne Dzwonki, ale to ja jestem tu Wielką Siostrą. Rozważ to bardzo starannie.

Odeszła. Siostra Louise podążyła za nią, rzuciwszy przez ramię jedno tylko spojrzenie, w którym Roland odczytał i strach, i żądzę.

Muszę się stąd wydostać, pomyślał. Muszę.

Na razie jednak zdryfował ku mrocznym obszarom połowicznego snu. Chociaż może i zasnął, przynajmniej na chwilę, i to wszystko mu się śniło: miłe palce pieszczące jego dłoń oraz usta całujące ucho i szepczące: „Zajrzyj pod poduszkę, Rolandzie... ale nie zdradzaj nikomu, że tu przyszłam”.

W jakiejś chwili otworzył oczy, oczekując bezwiednie, że ujrzy nad sobą piękną, młodą twarz siostry Jenny z tym samym czarnym przecinkiem włosów wymykających się spod kornetu – ale nikogo nie było. Płachty jedwabiu jaśniały pełnym blaskiem i chociaż trudno było orzec dokładnie, która godzina, Roland uznał, że musi być około południa. Od zjedzenia drugiej miski zupy minęły ze trzy godziny.

Obok spał John Norman, pochrapując lekko i pogwizdując.

Roland spróbował unieść rękę i wsunąć ją pod poduszkę, ale dłoń nie posłuchała. Zdołał jedynie poruszyć koniuszkami palców. Cekał cierpliwie, uspokajając, jak tylko mógł, myśli. Najgorzej było z tą cierpliwością. Zastanawiał się nad słowami Normana – zasadzkę przetrwało około dwudziestu osób... przynajmniej z początku. Potem znikali jeden po drugim, aż został tylko Norman i ten tam, pomyślał.

Nie było tu żadnej dziewczyny, odezwał mu się w głowie cichy i pełny żalu głos Alaina, jednego z dawnych przyjaciół, który zgasł już wiele lat temu. Nie śmiałyby, nie teraz, gdy mają ją na oku. To był tylko sen.

Roland podejrzewał jednak, że mogło to być coś więcej niż sen.

Jakiś czas później – sądząc po zmianie oświetlenia, minęła chyba godzina – Roland znów spróbował ruszyć ręką. Tym razem zdołał wsunąć dłoń pod poduszkę. Była wypchana i miękka, leżała na szerokim pasie podtrzymującym kark. Z początku niczego nie znalazł, sięgał jednak palcami coraz głębiej, aż dotknął pęczka czegoś cienkiego, długiego i sztywnego.

Znieruchomiał, zbierając siły (cały czas wydawało mu się, że nie powietrze go otacza, ale jakaś gęsta maź), i sięgnął głębiej. Miał wrażenie, że to bukiet zasuszonych kwiatów. Owiązany na dodatek, chyba wstążką.

Rozejrzał się, by sprawdzić, czy wciąż nie ma nikogo dokoła i czy Norman śpi,

i wyciągnął to, co znalazł pod poduszką. Było to sześć bladzielonych badyli z brunatnymi czubkami, jakie widuje się na trzcinie. Wydzielaly intensywną woń przypalonych grzanek, która kojarzyła się Rolandowi z wczesnoporannymi wyprawami do kuchni Wielkiego Domu. Dawno temu, w dzieciństwie, zakradał się tam z Cuthbertem. Trzciny związano szeroką, białą jedwabną wstążką. Pod spodem znalazł złożony kawałek płótna – jak wszystko niemal w tym przeklętym miejscu jedwabnego oczywiście.

Roland oddychał ciężko i czuł krople potu spływające mu po czole. Wciąż był sam, pomyślał – i dobrze. Wyciągnął płótno i rozłożył je. Ujrzał wypisaną niezdarne kawałkiem węgla wiadomość:

**PRZEGRYZAJ GŁÓWKI. JEDNĄ NA GODZINĘ. ZA WIELE TO SKURCZ ALBO ZGON. JUTRO PRZYJDĘ. NIE DA SIĘ WCZEŚNIEJ. UWAŻAJ!**

Nie było jakiegokolwiek wyjaśnienia, ale też Roland nie potrzebował niczego więcej. Wiedział, że nie ma wyboru: jeśli tu zostanie, zginie. Wystarczy, że pozbawią go medalionu, a był pewien, że siostra Mary zdoła wysilić umysł na tyle, by wymyślić jakiś sposób.

Wgryzł się w jedną z suszonych główek. Smakiem nijak nie przypominała tamtych wypraszanych w kuchni grzanek; była gorzka i rozpaliała żołądek. Po niecałej minucie tętno przyspieszyło mu dwukrotnie, a mięśnie przebudziły się, jednak nie tak miło jak po kilku godzinach zdrowego snu. Najpierw zadrżały, potem stwardniały niczym zaciśnięte węzły. Wrażenie minęło gwałtownie, a i tętno powróciło do normy jeszcze przed upływem godziny, ale Roland wiedział już, dlaczego Jenna ostrzegła go przed zażyciem naraz więcej niż jednej główki – to był naprawdę silny środek.

Wsunął wiązkę z powrotem pod poduszkę i starannie uprzątnął kilka okruszków, które pozostały na pościeli. Potem roztarł kciukiem napis na płótnie, tak że zostały po nim tylko czarne, rozmazane smugi. Materiał wsunął obok wiązki.

Gdy Norman się obudził, porozmawiali krótko o domu młodzieńca w Delain, zwanym czasem żartobliwie Legowiskiem Smoka lub Rajem Łgarzy. Podobno tam miały się rodzić wszystkie niesamowite i niewiarygodne opowieści. Chłopak poprosił Rolanda o oddanie obu medalionów rodzicom. Jeśli oczywiście zdoła dojechać kiedyś do Delain. Wybłągał też zdanie relacji z losu, jaki spotkał Jamesa i Johna, synów Jessego.

–Sam to załatwisz – powiedział Roland.

–Nie. – Norman chciał unieść dłoń, zapewne, żeby podrapać się po nosie, ale nawet to mu się nie udało. Dźwignął rękę na jakieś sześć cali i opuścił ją gwałtownie. – Chyba jednak nie. Szkoda, że spotkaliśmy się w tak fatalnych okolicznościach... Wiesz, polubiłem cię.

–A ja ciebie, Johnie Normanie. Gdybyśmy trafili na siebie w lepszej chwili...

–Właśnie. Z dala od tych uroczych dam.

Zasnął niedługo potem i Roland nie miał już więcej okazji z nim porozmawiać... chociaż raz go jeszcze usłyszał. Wisiał nad swoim łóżkiem i udawał, że śpi, gdy John Norman krzyknął po raz ostatni.

Kiedy siostra Michela zjawiała się z wieczorną zupą, Roland dochodził akurat do siebie po szaleństwie serca i mięśni wywołanym przez drugą główkę brunatnej trzciny. Michela spojrzała na jego zarumienioną twarz z niejakim niepokojem, ale przyjęła zapewnienia, że na pewno nie gorączkuje. Sama nie mogła dotknąć skóry rewolwerowca, aby sprawdzić, jak jest naprawdę – powstrzymywał ją medalion.

Razem z zupą dostał pieróg i chociaż ciasto było gliniaste, a mięso w środku twarde, pochłonał go łakomie jak gdyby nigdy nic. Siostra patrzyła na to z pełnym zadowolenia uśmiechem; ręce założyła na piersiach i co pewien czas potakiwała. Gdy skończył zupę, wzięła miskę na tyle ostrożnie, żeby ich palce na pewno się nie spotkały.

–Zdrowiejesz – powiedziała. – Niedługo już nas opuścisz, a my zachowamy cię w dobrej pamięci, Jimmy.

–Naprawdę? – spytał cicho.

Spojrzała tylko na niego, dotknęła językiem górnej wargi, zachichotała i odeszła. Roland zamknął oczy i legł nieruchomo. Czuł, jak zbliża się kolejny letarg. Te jej niespokojne oczy... ten wysunięty język. Widywał już kobiety, które patrzyły tak na piezzonego kurczaka lub na kawał baraniny, czekając, aż danie będzie gotowe.

Jego ciało strasznie domagało się snu, lecz Roland wytrzymał jeszcze jakąś godzinę, a następnie spod poduszki wydobył kolejną główkę, co po dawce leku obezwładniającego wymagało ogromnego wysiłku. Przez chwilę myślał nawet, że mu się nie uda, ostatecznie jednak oddzielił trzcinę od wiązki. Jenna napisała, że przyjdzie następnej nocy. Oby nie z zamiarem nakłonienia go do ucieczki. Obecny stan kwalifikował go tylko do pozostania w łóżku, i to



do końca stulecia.

Rozgryzł główkę. Nowe siły wstąpiły w jego ciało, poganiając serce i wiążąc mięśnie w supły, lecz pierwsza fala ożywienia minęła niemal równie szybko, jak się pojawiła, pokonana przez silniejsze medykamenty podane w zupie. Została mu jedynie nadzieja... i sen.

Obudził się w ciemności i stwierdził, że może niemal normalnie poruszać rękami

i nogami. Wyciągnął spod poduszki kolejną trzcinę i nadgryzł ją ostrożnie. Jenna zostawiła mu ich pół tuzina, a zużył już prawie dwie.

Schował ogryzek pod poduszkę. Trząśnięcie niczym mokry pies podczas ulewy. Za wiele wziąłem, pomyślał. Będę miał szczęście, jeśli nie dostanę konwulsji.

Serce łomotało mu niczym maszyna parowa, a co gorsza, po chwili na drugim końcu pomieszczenia zobaczył blask świateł. Minął jeszcze moment i rewolwerowiec usłyszał szelest habitów i pantofli.

Bogowie, czemu teraz? Zobaczą, jak mną telepie, i wszystko się wyda... – pomyślał.

Spiął się w sobie, zamknął oczy i skoncentrował na uspokajaniu drżących kończyn. Gdyby tylko leżał w normalnym łóżku, a nie wisiał na tych przeklętych pasach, które zdawały się reagować na każdy dreszcz!

Siostrzyczki były coraz bliżej. Blask ich świateł zakwitł czerwienią pod zamkniętymi powiekami. Dziś nie chichotały, nie szeptały nawet między sobą. Kiedy stanęły już prawie obok niego, Roland zorientował się, że tym razem przyprowadziły kogoś obcego – osobnika z zapchanym nosem, który pociągał głośno przy każdym oddechu.

Roland leżał już spokojnie, w pełni panując nad sobą, chociaż mięśnie boleśnie twardniały mu jeszcze pod skórą. Gdyby ktoś spojrział nań uważnie, z pewnością natychmiast zorientowałby się, że coś jest nie tak. Serce buntowało się jak chłostany rumak, przecież na mile chyba było to widać...

Jednak to nie na niego patrzyły. Przynajmniej nie w tamtej chwili.

–Ściągnij mi to – powiedziała Mary w prostackiej odmianie potocznego języka, którą Roland ledwie rozumiał. – I temu drugiemu też. Dalej, Ralph.

–A dostanę whisky? – spytał bełkotliwy głos. Jego dialekt jeszcze trudniej było zrozumieć. – I dymu?

–Tak, tak, masę whisky i palenia, ile zechcesz, ale dopiero wtedy, kiedy zdejmiesz te paskudztwa! – padła odpowiedź wypowiedziana tonem znamionującym zniecierpliwienie, a zapewne i sporo lęku.

Roland obrócił ostrożnie głowę w lewo i uchylił nieznacznie powieki.

Pięć z sześciu siostrzyczek z Elurii zgromadziło się po drugiej stronie łóżka Johna Normana. Blask świateł wydobywał z mroku nie tylko sylwetkę śpiącego, lecz także twarze sióstr, upiorne lica rodem ze snu zdolnego przerazić najodważniejszego nawet mężczyznę. Teraz, w środku nocy i bez masek złudnego piękna, nie były nikim innym jak tylko wiekowymi trupami odzianymi w przepyszne habity.

Siostra Mary trzymała w dłoni jeden z rewolwerów Rolanda. Zobaczywszy to, rewolwerowiec poczuł nagły przypływ nienawiści i obiecał sobie, że babsztyl zapłaci jeszcze za tę zuchwałość.

W porównaniu z siostrami stojące w nogach łóżka dziwowisko wyglądało niemal jak człowiek, chociaż należało do zielonego ludu. Roland od razu rozpoznał Ralpa. Był to zapamiętany przez niego z walki w mieście właściciel melonika.

Zielony obszedł z wolna Normana od strony Rolanda, zasłaniając mu tym samym siostry. Po chwili zbliżył się jednak do głów łóżka i rewolwerowiec znów mógł coś widzieć.

Medalion leżał na koszuli – widać w jakiejś chwili chłopak przebudził się na tyle, by wyłożyć go na wierzch w nadziei, że w ten sposób ochrona będzie skuteczniejsza. Ralph ujął kawałek złota w zdeformowane, jakby częściowo stopniałe palce. Siostry obserwowały pilnie, jak napina łańcuszek... i pozwala mu opaść. Miny im się wydłużyły.

–Co mnie to obchodzi – zabalgotał. – Chcę whisky! Chcę dymu!

–Dostaniesz! – powiedziała siostra Mary. – Starczy dla ciebie i całego twego robaczywego klanu. Ale najpierw musisz zdjąć mu to szkaradztwo. Obu. Rozumiesz? I nie będziesz się z nami drażnić!

–Albo co? – spytał Ralph i roześmiał się. Rzęził przy tym jak ktoś umierający na poważną chorobę gardła czy płuc, jednak Roland i tak wolał to niż chichoty sióstr. – Albo, siostrzyczko Mary, wypijesz mi juchę? Załatwi cię na miejscu i jeszcze zaczniesz świecić w ciemności.

Mary uniosła rewolwer i wymierzyła w Ralpa.

–Zdejmuj tę przebrzydłą rzecz albo zginiesz na miejscu.

–Jak to zrobię, to też najpewniej zginę.

Siostra Mary nie odpowiedziała. Pozostałe też tylko wbijały w zielonego swe czarne oczy.

Ralph opuścił głowę, jakby się namyślał. Roland podejrzewał, że Melonik zapewne jest zdolny do myślenia. Siostra Mary i jej podwładne mogły być innego zdania, lecz skoro Ralph przetrwał tyle czasu, to musiał umieć kombinować. Tyle że idąc tutaj, nie spodziewał się ujrzeć broni Rolanda.

–Łomiarz źle zrobił, dając wam te gnaty – powiedział w końcu. – Dał i nic mi nie powiedział. Dostał za to whisky? Dostał dymu?

–To nie twoja sprawa – odparła siostra Mary. – Albo zaraz zdejmiesz chłopakowi, co trzeba, albo wpakuję kulę prosto w te resztki mózgu, które ci jeszcze zostały.

–Dobra – zabalgotał Ralph. – Jak sobie życzysz, sai.

Znowu wziął medalion w niekształtną dłoń. Bardzo powoli. Naraz jednak szarpnął gwałtownie, zrywając łańcuszek i ciskając medalion daleko w ciemność. Jednocześnie wbił długie, poszarpane paznokcie drugiej dłoni w szyję chłopaka i ją rozerwał.

Krew trysnęła z przerwanych arterii potokiem, który w blasku świec wydawał się

prawie czarny, a Norman krzyknął tylko raz bulgotliwie. Kobiety również krzyknęły, bynajmniej jednak nie z przerażenia. Wręcz przeciwnie – brzmiało to tak, jakby doznawały czegoś nad wyraz przyjemnego. Natychmiast zapomniały o zielonym, o Rolandzie i w ogóle o wszystkim prócz krwi wylewającej się z rozerwanej szyi Normana.

Upuściły świeczki, a Mary równie beztrąsko odrzuciła rewolwer. Roland zdołał jeszcze dojrzeć, jak Ralph wycofuje się czym prędzej w ciemność (whisky i tytoń mogą poczekać do następnego razu, uznał widocznie; teraz trzeba przede wszystkim ratować życie). Siostry tymczasem rzuciły się, by zaczerpnąć jak najwięcej z życiodajnego strumienia, nim ten wyschnie.

Roland leżał w ciemności, drżący, z łomoczącym sercem i słuchał, jak te harpie pożywiały się na ciele chłopaka ledwo łożko obok. Trwało to prawie całą wieczność, ale w końcu się z nim uporały. Zapaliły na nowo świece i wyszły, mrużąc coś pod nosami.

Rewolwerowiec z ulgą powitał chwilę, gdy leki z zupy znowu wzięły górę nad środkiem zawartym w trzcinie... jednak po raz pierwszy, od kiedy tu przybył, zdarzyło mu się, że nawiedziła go mara.

We śnie stał pośrodku miasta nad wzdętym trupem leżącym w korycie i rozważał znaczenie zapisu w księdze znalezionej u szeryfa. Tak, zielony lud pojawił się może pierwszy, ale po nim nadeszło coś jeszcze gorszego. Siostrzyczki z Elurii. Za rok zwać się będą siostrzyczkami z Tejuas albo z Kambero, albo z innego miasteczka na dalekim Zachodzie. Przyniosły te swoje dzwonki i zuczki... ale skąd? Kto to wie? Zresztą, czy to ważne?

Na brudną wodę obok padł jakiś cień. Roland chciał się obejrzeć, ale nie mógł – zastygł w miejscu. Nagle zielona łapa chwyciła go za ramię i obróciła. To był Ralph. Melonik mu się przekrzywił, na szyi nosił czerwony od krwi medalion Johna Normana.

–Buuu! – krzyknął Ralph, rozciągając usta w bezzębny uśmiech. Uniósł wielki rewolwer z wytartą rękojeścią z drewna sandałowego. Kciukiem odwiódł kurek...

...i Roland obudził się gwałtownie, roztrzęsiony i zlany zimnym potem. Spojrzał na łóżko po lewej. Było puste i gładko zasłane, po Johnie Normanie nie został nawet ślad. Równie dobrze mogłoby tak stać puste od lat.

Roland został sam. Niech bogowie mają go w swojej opiece, był ostatnim pacjentem siostrzyczek z Elurii, tych łagodnych i pełnych cierpliwości szpitalniczek. Jedyna żywa istota ludzka wśród potworów. Ostatni ciepłokrwisty kasek.

Ujął medalion w garść i spojrzął na długi rząd pustych łóżek. Po chwili wyciągnął spod poduszki kawałek trzciny i rozgryzł go.

Gdy kwadrans później zjawiała się siostra Mary, wziął od niej miskę, udając słabość.

Tym razem dostał nie zupę, lecz owsiankę... ale podstawowy składnik bez wątplenia został ten sam.

–Dobrze dziś wyglądasz, sai – powiedziała siostra przełożona. Sama też prezentowała się kwitnąco, żadne drgnienie zasłony nie zdradzało jej prawdziwej tożsamości pradawnego wampira. Dobrze się pożywiła i wyraźnie dodało jej to sił. Rolandowi żołądek podszedł do gardła. – Niebawem staniesz na nogi, słowo daję.

–Żadne takie – jęknął Roland tonem ciężko chorej osoby. – Jak bardzo chcesz, to mogę spróbować, ale uprzedzam, że będziecie musiały potem zbierać mnie z podłogi. Zaczynam się zastanawiać, czy nie dodajecie mi przypadkiem czegoś do jedzenia.

Roześmiała się wesoło.

–Ach, te chłopaki! Zawsze gotowe zwalić winę za swą słabość na kobiety! Ale ty się nas boisz! W głębi serca jesteś ciągle małym, przerażonym chłopcem!

–Gdzie mój brat? Śniło mi się, że wiecowałyście nad nim w nocy, a teraz jego łóżko jest puste.

Uśmiech siostry jakby zbladł, jej oczy błysnęły.

–Zaczął gorączkować i wpadł w szal. Zabraliśmy go do Świątyni Dumania. Już nieraz trzymałyśmy tam zakaźnych.

Do grobu go złożyłyście, pomyślał Roland. Może dla was to jedno i to samo, ale faktycznie, co wy możecie wiedzieć o śmierci.

–Wiem, że wcale nie jesteś bratem tego chłopca – powiedziała Mary, patrząc, jak zajada. Roland już czuł działanie tego świństwa, którego dodały mu do owsianki. Siły znów go opuszczały. – Chociaż nosisz ten *sigul*, i tak nie jesteś jego bratem. Czemu kłamiesz? Kłamstwo to grzech wobec Boga.

–Skąd ci to przyszło do głowy, sai? – spytał Roland, ciekaw, czy babsztyl wspomni coś o rewolwerach.

–Wiem swoje. Czemu nie wyznasz prawdy, Jimmy? Spowiedź podobno dobrze robi duszy.

–Przyślij do mnie Jennę, a może powiem ci więcej. Uśmiech zniknął jak zdmuchnięty.

–Czemu z nią właśnie chciałbyś rozmawiać?

–W odróżnieniu od niektórych ona gra czysto. Mary ukazała ogromne zębiska.

–Nie zobaczysz jej więcej, prostaczku. Dość już namieszałeś jej w głowie, a ja nie pozwolę na więcej.

Odwróciła się, żeby odejść. Roland wciąż udawał osłabionego, lecz chociaż nie chciał przesadzić (udawanie nigdy nie było jego mocną stroną), wyciągnął za nią dłoń z pustą miską.

–Nie weźmiesz tego?

–A nałóż to sobie na łeb zamiast szlafmocy albo w dupę sobie wetknij, co mnie to obchodzi. Będziesz jeszcze

śpiewał, ptaszku, nim z tobą skończę. Powiesz wszystko, aż każę ci się zamknąć, a wtedy zaczniesz błagać, bym pozwoliła ci opowiedzieć coś jeszcze!

Po tych słowach odeszła dumnie, unosząc suknię nad podłogę. Roland słyszał kiedyś, że tacy jak ona nie mogą się pokazywać w blasku dnia, co kłamstwem okazało się wierutnym, pradawne opowieści nie łączyły jednak ze szczętem: chociaż obok kroczącej siostry przesuwiała się po łózkach jakaś amorficzna mgiełka, to prawdziwego cienia nie rzucała.

VI. Jenna. Siostra Coquina. Tamra, Michela, Louise. Krzyżowy pies. Co się stało w szalwii.

To był jeden z najdłuższych dni w życiu Rolanda. Drzemał, ale płytko – trzcina zrobiła swoje i z wolna zaczynał wierzyć, że przy pomocy Jenny zdoła się jednak może stąd wydostać. Oczywiście, pozostawała jeszcze sprawa broni, ale zapewne i tu coś wymyśli.

Przepędzał godziny, rozmyślając o dawnych czasach: o Gilead i przyjaciółach, o konkursie na jarmarku w Szerokiej Ziemi, który o mało co by wygrał. Ostatecznie kto inny wziął gęś, ale Roland zrobił, co mógł, nikt nie powie. Myślał o matce i ojcu i o Ablu Vannayu, który kulejąc z lekka, pogodnie szedł przez życie, i jeszcze o Eldredzie Jonasie, tak samo naznaczonym, lecz jednak zaprzędanym złu... tak długo aż w końcu Roland wysadził go z siodła pewnego pięknego dnia wyrównywania rachunków.

I jak zawsze, myślał też o Susan.

„Skoro mnie kochasz, to mnie kochaj”, powiedziała... i tak też się stało.

Kochał ją.

W ten właśnie sposób mijał mu czas. Mniej więcej co godzinę Roland sięgał pod poduszkę i nadgryzał główkę trzciny. Teraz, gdy regularnie zażywał specyfik, mięśnie nie wpadały już w nieustanne drżenie, a serce reagowało spokojniej. Można by sądzić, że trzciny wygrywały z wolna walkę z medykamentem sióstr.

Rozmyta jasność słońca przesuwiała się po jedwabnym dachu, aż w końcu półmrok, który na poziomie łóżek czaił się przez cały dzień, zaczął znów ogarniać pomieszczenie. Zachodnia ściana okryła się różem i czerwienią zwiastującymi bliskość nocy.

Tego wieczoru to siostra Tamra przyszła doń z zupą i kolejnym pierogiem. W dodatku położyła obok jego dłoni pustynną lilię. Uśmiechnęła się przy tym. Policzki

miała rumiane, podobnie jak pozostałe siostry – przypominały napęczniałe do granic pijawki.

–Od wielbicielki, Jimmy – powiedziała. – Tak cię uwielbia! Lilia znaczy „nie zapomnij, co ci obiecałam”. A swoją drogą, co ci obiecała, Jimmy, bracie Johna?

–Że zobaczy się ze mną raz jeszcze i porozmawiamy.

Roześmiała się tak mocno, że aż odezwały się dzwonki nad jej czołem. Potem klasnęła, niby z radości.

–Słodziutka jest jak miód! Tak, tak! – Spojrzała na Rolanda. – Tyle, że to smutna obietnica, z tych, co to nie można ich dotrzymać. Nigdy jej już nie zobaczysz, śliczny. – Wzięła miskę. – Wielka Siostra tak postanowiła. – Wstała, wciąż uśmiechnięta. – Czemu nie zdejmiesz tego szpetnego złotego *sigula*?

–Jakoś nie mam na to ochoty.

–Twój brat zdjął. Popatrz! – Wskazała na złoty medalion leżący w drugim kącie namiotu, tam gdzie wylądował ciśnięty przez Alpha. Siostra Tamra znów zerknęła z uśmiechem na Rolanda. – Uznał, że to przez niego wciąż jest chory, i wyrzucił go. Gdybyś był mądry, zrobiłbyś to samo.

–Jakoś nie mam na to ochoty – powtórzył rewolwerowiec.

–Trudno – mruknęła, zbywając jego słowa, i zostawiła go samego pośród jaśniejących w cieniu pustych łóżek.

Mimo narastającej senności Roland czuwał tak długo, aż ciepłe kolory zachodu spelzły do szarości popiołu.

Potem sięgnął po trzcinę i poczuł przyływ siły – prawdziwej siły, nie złudnego ożywienia rozpaczliwie szamoczącego się serca. Spojrzał na jaśniejący w ostatnim świetle dnia porzucony medalion i obiecał w duchu Johnowi Normanowi, że zanieśie oba *sigule* krewnym chłopaka. O ile *ka* pozwoli, by kiedyś do nich trafił.

Po raz pierwszy tego dnia uspokoił się i pozwolił sobie na drzemkę. Kiedy się obudził, było już całkiem ciemno. Doktorzy śpiewali niezwykle przenikliwie. Wyciągnął trzcinę spod poduszki i zaczął ją przeżuwać, gdy nagle usłyszał lodowaty głos:

–Więc Wielka Siostra miała rację. Coś przed nami ukrywasz.

Serce zamarło mu na chwilę w piersi. Rozejrzał się – siostra Coquina właśnie się podnosiła. Podkraśla się, gdy spał, i schowała pod łóżkiem, by go szpiegować.

–Skąd to masz? – spytała. – Czy to...

–Dostał ode mnie.

Coquina obróciła się na pięcie. Pomiędzy łózkami nadchodziła ku nim Jenna, tym razem bez habitu, chociaż wciąż w koronce z dzwoneczkami, które jednak zdawały się spoczywać na jej ramionach. Poza tym miała na sobie prostą koszulę, najzwyczajniejsze

w świecie dżinsy i nieco zdarte pustynne buty. Trzymała coś w dłoniach. Było za ciemno, by orzec dokładnie, lecz Rolandowi wydało się, że to jego...

–Ty... – szepnęła z bezgraniczną nienawiścią siostra Coquina. – Gdy powiem o tym Wielkiej Siostrze...

–Niczego jej nie powiesz – rzucił Roland.

Gdyby zaczął planować, jak uwolnić się z podtrzymującej go uprzęży, z pewnością nic dobrego by z tego nie wynikło, ale rewolwerowiec zwykle winien przede wszystkim działać. I tak w jednej chwili miał już wolne ręce i lewą nogę. Prawa zaplątała się jednak w kostce i wisiał teraz z jedną nogą w górze.

Coquina odwróciła się ku niemu, sycząc jak kot, uniesione wargi odsłoniły ostre niczym igły zęby. Runęła ku Rolandowi z rozczapierzonymi palcami. Jej paznokcie przypominały poszarpane szpony.

Roland ujął medalion i wysunął go w jej kierunku. Aż ją odrzuciło. Powiewając białą spódnicą, obróciła się z powrotem ku siostrze Jennie.

–Tobą się zajmę, ty dziwko! – krzyknęła niskim, chrapliwym głosem.

Roland zmagał się bezskutecznie z pasem, który trzymał go za kostkę niczym mocno zadziergnięta pętla.

Kiedy Jenna uniosła ręce, przekonał się wszakże, że wzrok go nie myli: to były rewolwery wraz z kaburami i pasami, które wyniósł z Gilead po ostatnim pożarze.

–Zastrzel ją, Jenno! Zastrzel ją!

Dziewczyna jednak potrząsnęła głową jak wtedy, gdy Roland chciał zobaczyć jej włosy i namówił ją do zdjęcia kornetu. Dzwonki odezwały się tak ostro, że aż Rolanda zabolęła głowa.

Ciemne Dzwonki. *Sigul* ich katet. Co...

Na ten dźwięk doktorzy odezwali się chórem równie głośnym jak dzwonenie Jenny. Ich muzyka nie była już miła. Siostra Coquina zamarła z dłońmi uniesionymi do szyi dziewczyny, która nawet nie próbowała się uchylić. Nawet nie mrugnęła.

–Nie – wyszeptała Coquina. – Nie możesz!

–Muszę – powiedziała Jenna i Roland ujrzał zuczki. Gdy opuszczały nogi brodacza, wystąpiły jedynie w sile batalionu, teraz z cienia wynurzała się ich armia nad armiami – gdyby były ludźmi, nie owadami, w całej długiej i krwawej historii Śródziemia nie znalazłoby się tylu zbrojnych.

Nie sam ich przemarsz jednak miał Roland zapamiętać najlepiej. Przez rok lub dłużej w snach nawiedzała go zwłaszcza scena, w której ogarniały kolejne białe łóżka. Posłania czerniały parami, po jednym z każdej strony przejścia – niczym gaszone kolejno światła.

Coquina krzyknęła przenikliwie i zaczęła kręcić głową, aby ożywić swoje dzwonki,

te jednak brzmiały żałośnie i nie mogły się równać z Ciemnymi Dzwonkami.

Żuczki tymczasem maszerowały, zalewając ciemną falą sufit i łóżka.

Jenna przemknęła obok krzyczącej Coquiny, rzuciła rewolwery obok Rolanda i jednym silnym pociągnięciem uwolniła go z ostatniego pasa. Rewolwerowiec był wreszcie wolny.

–Chodź – powiedziała. – Sprawiałam, że ruszyły, ale zatrzymać je, to inna sprawa.

Coquina krzyczała teraz nie ze strachu, ale z bólu. Robale dobrały się do niej.

–Nie patrz – rzuciła Jenna, pomagając Rolandowi wstać. Pomyślał, że nigdy jeszcze zbieranie się na nogi nie sprawiło mu takiej radości. – Chodź, musimy szybko umykać, bo ona zaraz obudzi resztę. Zostawiłam twoje buty i ubranie obok ścieżki, przyniosłam, ile się dało. Jak się czujesz? Na siłach?

–Dzięki tobie. – Roland pojęcia nie miał, na ile mu tych sił starczy... ale nie to było teraz najważniejsze. Jenna podniosła jeszcze dwie główki trzciny, które wypadły spod poduszki, kiedy szamotał się z pasem, i już biegli przejściem między łózkami, byle dalej od żuczków i siostry Coquiny, której wrzaski z każdą chwilą były coraz słabsze.

Nie zwalniając kroku, Roland przypasał rewolwery.

Minęli po trzy łóżka z każdej strony i doszli do luźnego płótna na końcu namiotu... bo to rzeczywiście był namiot, a nie obszerny pawilon. Jedwabne ściany i sufit przepuszczały blask księżyca, który wisiał na niebie w trzeciej kwarcie. Łóżka zaś nie były wcale łózkami, ale sfatygowanymi pryczami.

Roland obrócił się i ujrzał ciemny kształt wijący się na podłodze w miejscu, gdzie jeszcze niedawno stała siostra Coquina. W tej samej chwili przypomniał sobie o czymś. Nieładnie!

–Zapomniałem medalionu Johna Normana!

Ogarnął go żal, prawie żałoba, jakby poniósł niepowetowaną stratę. Jenna sięgnęła do kieszeni dżinsów i wyciągnęła go; zaśnił w świetle księżyca.

–Podniosłam go z podłogi.

Roland nie wiedział, co ucieszyło go bardziej: widok medalionu czy to, że Jenna spokojnie trzymała go w dłoni. Znaczyło to, że naprawdę była inna niż pozostałe siostry.

–Weź go, nie mogę trzymać go dłużej – powiedziała nagle, jakby chciała rozproszyć jego złudne nadzieje. Gdy wziął od niej złoto, ujrzał na jej palcach ślady silnych oparzeń.

Ujął jej dłoń i ucałował każdy z nich.

–Dziękuję, sai – powiedziała i nagle ujrzał, że dziewczyna płacze. – Dziękuję, kochany. Tak cudownie być całowaną, to warte każdego cierpienia. Teraz...

Roland zobaczył, że spojrziała gdzieś w bok. Podążył za jej oczami. Po kamienistej ścieżce spływały w dół rozkołysane światła. Za nimi jaśniał budynek, w którym

mieszkały siostrzyczki – nie klasztor, ale zrujnowana hacjenda, stara chyba jak świat. Było widać tylko trzy świeczki; gdy się zbliżyły, Roland dostrzegł, że faktycznie nadchodzą tylko trzy siostry. Mary nie było z nimi.

Wyciągnął broń.

–Ooo, to rewolwerowiec! – krzyknęła Louise.

–Obrzydliwy typ! – dodała Michela.

–I znalazł już i swoją ukochaną, i swoje gnaty! – podsumowała Tamra.

–To kurewskie nasienie! – warknęła Louise.

Roześmiały się ze złością. Nie bały się... w każdym razie nie jego rewolwerów.

–Schowaj je – poleciła Jenna, a gdy spojrzała nań, przekonała się, że już to zrobił.

Tamte podchodziły coraz bliżej.

–Ooo, patrzcie, ona płacze! – zawołała Tamra.

–Nie dziwota, skoro zrzuciła habit – zauważyła Michela. – Pewnie płacze za złamanymi ślubami.

–Skąd te łzy, ładniutka? – spytała Louise.

–Bo on ucałował moje palce tam, gdzie się oparzyłam – odparła Jenna. Bo nikt nigdy jeszcze ich nie całował. Dlatego płaczę.

–Ooooo!

–Kochaniutki!

–Przy następnej okazji wetknij w nią tę swoją rzecz. Będzie jeszcze cudowniej!

Jenna znosiła te żarty bez cienia złości.

–Odchodzę z nim – oznajmiła, gdy skończyły. – Odsuńcie się.

Spojrzały na nią z rozdziawionymi gębami, nawet o śmiechu zapomniały ze zdumienia.

–Nie! – wyszeptała Louise. – Oszalałaś? Wiesz, co się stanie!

–Nie, i ty też tego nie wiesz – odparła Jenna. – Poza tym, mało mnie to obchodzi. – Zrobiła pół obrotu i wskazała wejście do namiotu. W blasku księżycy było oliwkowozielone, na dachu widniał typowy znak czerwonego krzyża. Roland zastanawiał się, ile już miast odwiedziły siostry z tym namiotem, który z zewnątrz wyglądał na mały i skromny, w środku zaś okazywał się nader mroczny i przestronny. Ile miast i ile lat to już trwa...

Z wnętrza wylewały się lśniącem jęzorem zastępy zuczków. Nie śpiewały już, a ich milczenie miało w sobie coś przerażającego.

–Odsuńcie się albo poszczuję je na was! – powiedziała Jenna.

–Nigdy się nie odważysz! – krzyknęła Michela głosem wyraźnie pełnym lęku.

–Owszem. Zajęły się już siostrą Coquiną. Przyswoiły ją sobie całkowicie.

Medycznie, ma się rozumieć.

Ich westchnienie było niczym lodowaty wiatr owiewający martwe drzewa. Wyrwało się im nie tyle ze strachu o własną skórę, ile z oburzenia. Widać Jenna dopuściła się czegoś, co przekraczało ich pojęcie.

–Zostaniesz potępiona! – powiedziała siostra Tamra.

–I kto tu mówi o potępieniu! Odsuńcie się.

Posłuchały. Gdy Roland je mijał, cofnęły się odruchowo. Jeszcze dalej cofnęły się przed Jenną.

–Potępiona? – spytał Roland, kiedy obeszli hacjendę i trafili na ścieżkę za zabudowaniami. Księżyc oświetlał skalistą okolicę, w tym i ciemny otwór na zboczu wzgórka. Najpewniej to właśnie była wspomniana przez siostry Świętynia Dumania. – Co to znaczy, że zostaniesz potępiona?

–Nieważne. Teraz bardziej martwię się siostrą Mary. Nie podoba mi się, że dotąd jej nie widzieliśmy.

Próbowała przyspieszyć kroku, ale złapał ją za ramię i obrócił ku sobie. Wciąż słyszał śpiew żuczków, chociaż teraz dość słabo; opuszczali już teren sióstr, podobnie jak Elurię. To przynajmniej podpowiadał Rolandowi kompas w jego głowie. Jeśli wciąż dobrze działał, miasto było chyba w przeciwnym kierunku. A raczej widmo miasta.

–Powiedz mi, co to znaczy.

–Zapewne nic. Nie pytaj mnie, Rolandzie, bo i po co tego dociekać? Stało się, mosty zostały spalone. Nie mogę wrócić. Zresztą, nawet gdybym mogła, wcale bym nie chciała. – Opuściła oczy i przygryzła wargę, a gdy spojrzała na Rolanda, ten dostrzegł na jej twarzy świeże łzy. – Jadałam z nimi. Czasem nie dało się inaczej. Podobnie jak ty jadałeś tę ich zupę, chociaż dobrze wiedziałeś, co w niej jest. Roland przypomniał sobie, jak John Norman stwierdził, że kobieta też musi jeść. Przytaknął.

–Ale dość tego. Jeśli ma to oznaczać potępienie, niech to będzie mój wybór, a nie ich. Matka chciała dla mnie dobrze, gdy mnie tu oddawała, ale myliła się. – Jenna zerknęła na Rolanda nieśmiało i lękliwie... lecz napotkała jego spojrzenie. – Pójdę z tobą, Rolandzie z Gilead. Jak długo będę mogła albo jak długo ty mnie ścierpisz.

–Chętnie będę dzielił z tobą drogę – powiedział. – Twoje towarzystwo jest dla mnie... „Błogosławieństwem”, chciał powiedzieć, nim jednak udało mu się dokończyć zdanie, z zatoki księżycowego cienia otaczającego pustą dolinkę wybraną przez siostry na praktykowanie szpitalnictwa dobiegł ich jakiś głos.

–Przykro niweczyć tak miło zaczęty romans, ale muszę spełnić ten smutny obowiązek.

Z cienia przed nimi wynurzyła się siostra Mary. Jej wspaniały habit z wyszytą różą

powrócił do prawdziwej postaci całunu. Spod fałdów kaptura wyglądało pomarszczone i obwisłe oblicze z parą intensywnie patrzących czarnych oczu, które przypominały zgniłe daktyle. Poniżej lśniły cztery wielkie kły.

Na z mumifikowanym czole siostry błyszcząły dzwonki... ale nie Ciemne Dzwonki, pomyślał Roland. Właśnie.

–Odsuń się – powiedziała Jenna. – Albo sprowadzę na ciebie *can tam*.

–Nie – odparła siostra Mary, podchodząc bliżej. – Nie sprowadzisz. Nie oddalą się tak bardzo od gromady. Możesz sobie dzwonić do upadłego, a i tak nie przyjdą.

Jenna próbowała, kręcąc głową jak szalona. Ciemne Dzwonki zabrzmiały przenikliwie, lecz tym razem w ich melodii zabrakło tej harmonii, która wcześniej kołał umysł Rolanda. Doktorzy, czy *can tam*, jak nazywała żuczki Wielka Siostra, nie pokazali się.

Uśmiechając się jeszcze szerzej (Rolandowi przyszło do głowy, że gdy eksperyment wciąż jeszcze trwał, siostra Mary nie była do końca pewna, czy doktorzy się nie pojawią), trupia zjawa zbliżyła się do nich. Nie tyle szła, ile raczej płynęła tuż nad ziemią. Spojrzała na Rolanda.

–Odlóż to – powiedziała.

Roland spojrzał w dół, na swoją dłoń. Trzymał w niej jeden z rewolwerów. Nie pamiętał nawet, kiedy go wyciągnął.

–O ile kula nie została pobłogosławiona lub skąpana w świętej krwi, wodzie czy nasieniu, nic nie może nam zrobić. Ja sama jestem bardziej duchem niż istotą cielesną... chociaż materialnie niczym ci nie ustępuję.

Obawiała się, że i tak spróbuje ją zastrzelić – Roland dojrzał to wyraźnie w jej oczach. Ta broń to wszystko, co masz, mówiło jej spojrzenie. Bez niej leżałbyś wciąż w namiocie, który wokół ciebie rozsnułyśmy, uwięziony w pasach w oczekiwaniu na naszą chwilę rozkoszy.

Nie strzelił zatem. Schował rewolwery i rzucił się na nią z wyciągniętymi rękami. Siostra Mary krzyknęła, głównie z



zaskoczenia, nie pokrzyzczała sobie jednak długo: Roland zacisnął palce na jej gardle i zdławił wrzask, ledwo ten się zaczął.

Ciało siostry było obrzydliwe – nie tylko żywe, ale też jakby zmienne, próbujące uciec spod dłoni Rolanda. Czuł, że porusza się jak ciecz, a gdy płynęło, napawało go nieopisaną odrazą. A jednak rewolwerowiec zwał palce jeszcze silniej, gotów wydusić z potwora całe życie.

Nagle błysnęło błękitnawo (nie z nieba, jak Roland zorientował się później, raczej w jego głowie – pojedyncza błyskawica, która całkiem pomieszała mu myśli) i coś odepchnęło jego ręce od siostry. Przez chwilę niezbyt przytomnie patrzył na zagłębienia

w jej skórze, szare, wilgotne ślady w kształcie jego dłoni. Potem poleciał do tyłu, aż wylądował na plecach na piargu, uderzając przy tym głową o kamień, od czego znów na chwilę pojaśniało mu przed oczami.

–Nie, piękny panie – powiedziała siostra Mary, uśmiechając się krzywo i obrzucając go pustym wciąż spojrzeniem. – Nie udusisz mnie, a ja ukarzę cię powoli za tę impertynencję: potnę cię na sto kawałków, by ugasić me pragnienie. Najpierw jednak zajmę się tą, co złamała śluby... i zabiorę jej te przekłete dzwonki.

–Chodź tu, a przekonamy się, czy potrafisz! – krzyknęła Jenna drżącym głosem i potrząsnęła głową. Dzwonki zagrały szyderczo, prowokująco.

Mary przestała się uśmiechać.

–Jasne, że potrafię – sapnęła, otwierając szeroko usta. Blask księżyca zajął jej do paszczęki, ukazując czerwone poduszeczki dziąseł najeżone kościanymi igłami zębów. – Potrafię i...

W górze coś warknęło. Z początku cicho, potem coraz głośniejsze, a po chwili przeszło we wściekłe ujadanie. Mary obróciła się w lewo na sekundę przed tym, jak warcząca istota wyłoniła się zza skały, na której stała. Roland dojrzał zaskoczenie malujące się na twarzy Wielkiej Siostry.

Coś rzuciło się na nią – ciemny kształt na tle gwiazd, z łapami wyciągniętymi jak u osobliwego nietoperza – ale nim jeszcze stworzenie dopadło kobiety, uderzyło ją w piersi i wgryzło się w szyję, Roland wiedział już, co to właściwie jest.

Padając pod impetem napastnika, siostra Mary krzyknęła przenikliwie, aż Rolandowi zadzwoniło w głowie niczym po koncercie Ciemnych Dzwonków. Wstał, dysząc ciężko. Ciemna sylwetka rozdzierała babę, oparłszy przednie łapy po obu stronach jej głowy, tylne zaś zagłębiwszy w klatce piersiowej dokładnie tam, gdzie niegdyś widniała róża.

Roland złapał Jennę, która zastygła, patrząc z fascynacją na powaloną siostrę.

–Dalej! – krzyknął. – Zwiewamy, zanim i nas postanowi zagryźć!

Pies nie zwrócił na nich uwagi. Rozprawiał się wciąż skutecznie z głową siostry Mary.

Jej ciało zdawało się jakoś zmieniać, chyba rozpadać, ale cokolwiek się z nim działo, Roland nie miał ochoty tego oglądać. Wolałby też oszczędzić podobnego widoku Jennie.

Na wpół odeszli, na wpół zaś odbiegli na grań wzgórza, a gdy stanęli w blasku księżyca z opuszczonymi głowami i złączonymi dłońmi, by zaczerpnąć nieco powietrza, oboje dyszeli głośno.

Powarkiwanie za nimi przycichło, ale dawało się jeszcze słyszeć, gdy siostra Jenna uniosła wreszcie głowę.

–Co to było? – spytała. – Po twojej minie widziałam, że poznajesz to coś. Jak mogło

ją zaatakować? Mamy władzę nad wszystkimi zwierzętami, na dodatek ona jest... była w tym najlepsza.

–Nie nad tym zwierzęciem – odparł Roland, przypominając sobie pechowego chłopaka z sąsiedniego łóżka. Norman nie wiedział, dlaczego medalion trzyma siostry na dystans: bez względu na to, czy chodziło o złoto czy o Boga. Teraz sprawa się wyjaśniła. – To był pies, miejski kundel. Widziałem go wcześniej na placu, zanim jeszcze zielony lud mnie ogłuszył i zabrał do sióstr. Podejrzewam, że wszystkie inne zwierzaki, które tylko mogły uciec,

dawno to już zrobiły, ale nie ten – Nie miał powodu, by bać się siostrzyczek z Elurii i chyba jakoś to pojmował. Nosi na piersi znak jeżusowców, krzyż z czarnych włosów na białej sierści. Pewnie znamię, takie z urodzenia. Tak czy owak, załatwił ją. Wiedziałem, że kręcił się w pobliżu; dwa lub trzy razy słyszałem jego naszczekiwanie.

–Ale czemu? – wyszeptała Jenna. – Czemu tu przyszedł? I czemu się na nią rzucił?

Roland znalazł tylko jedną odpowiedź – uniwersalną odpowiedź na niemądre pytania:

–Ka. Idziemy. Oddalmy się jak najbardziej od tego miejsca, zanim będziemy musieli poszukać kryjówki na dzień.

Oddalić udało im się na nie więcej niż osiem mil. O ile to było osiem mil, pomyślał Roland, gdy siadali w kępie słodko pachnącej szalwii, która rosła pod skalnym nawisem. Może nie osiem, ale pięć. To on opóźnił marsz, a dokładniej przyprawiona paskudnie zupa, którą zjadł wieczorem. Kiedy pojął, że nie zrobi już sam ani kroku, poprosił Jennę o główkę trzciny. Odmówiła, twierdząc, że przy takim zmęczeniu nagłe pobudzenie mogłoby przeciążyć mu serce.

–Poza tym – powiedziała, gdy ułożyli się w tym cichym zakątku – i tak nie pójdą za nami. Te pozostałe, znaczy Michela, Louise i Tamra, spakują się i ruszą dalej. Dobrze wiedzą, kiedy należy odejść.

Dlatego przetrwały tak długo. Dlatego w ogóle przetrwałyśmy. Pod pewnymi względami jesteśmy silne, pod wieloma innymi – słabe.

Siostra Mary o tym zapomniała i ta arogancja przyczyniła się chyba do jej końca nie mniej niż ten krzyżowy pies.

Na grań wzgórza Jenna zdołała przytaszczyć nie tylko buty i ubranie Rolanda, ale także mniejszą z jego sakw. Próbowwała przeproszać, że zostawiła rulon z posłaniem i większą sakwę (chciała je wziąć, powiedziała, lecz były za ciężkie), gdy Roland uciszył ją, kładąc palce na jej wargach. Uznał, że to cud, iż zrobiła aż tyle, a poza tym – czego nie powiedział głośno, ale ona chyba wiedziała to i tak – naprawdę ważne były tylko

rewolwery. Broń jego ojca, a wcześniej ojca jego ojca, obecna w rodzinie od czasów Arthura Elda, kiedy to zjawiska cudowne i smoki były na ziemi na porządku dziennym.

Dasz sobie radę? – spytał ją, gdy tak leżeli. Księżyc zaszedł, ale do świtu zostały jeszcze jakieś trzy godziny. Dokoła unosił się słodki aromat szalwii. Purpurowa woń, pomyślał wtedy Roland... i odtąd zawsze już tak ją określał. Wydawało mu się, że siedzi na latającym dywanie, który rychło zanieśie go do krainy snu. Chyba nigdy nie był aż tak zmęczony.

–Nie wiem, Rolandzie.

On jednak pomyślał, że Jenna wie. Kiedyś matka przyprowadziła ją tu z powrotem, teraz to już się nie powtórzy. Jadła z innymi siostrami, przyjmowała ich komunię. Ka to wielkie koło, ale też sieć, z której nikt nigdy się nie wymknął.

Był jednak zbyt zmęczony, żeby myśleć o podobnych rzeczach... a zresztą, co by mu przyszło z tych rozmyślań? Jak powiedziała Jenna, mosty zostały spalone. Nawet gdyby wrócili do doliny, najpewniej nie znaleźliby nic poza jaskinią, którą siostry zwały Świątynią Dumania. Trzy ocalałe kobiety spakowały już na pewno swój namiot z upiornego snu i pojechały po nocy dalej. Razem z dzwoneczkami i muzykalnymi żuczkami.

Spojrzał na dziewczynę, unióś rękę (wydawała się bardzo ciężka) i dotknął loku na czole Jenny.

Roześmiała się, zakłopotana.

–Zawsze mi się wymyka. To buntownik. Taki jak jego pani.

Chciała schować kosmyk pod nakrycie, ale Roland przytrzymał jej palce.

–Jest bardzo ładny – powiedział. – Czarny jak noc i piękny jak zawsze.

Usiadł, co kosztowało go nieco wysiłku. Zmęczenie ogarniało jego ciało niczym narkotyku. Ucałował ten kosmyk. Jenna przymknęła oczy i westchnęła. Poczul, jak drży mu pod wargami. Skórę na czole miała bardzo chłodną, a buntowniczy loczek był miękki jak jedwab.

–Zdejmij kornet jak wcześniej – poprosił.

Posłuchała bez słowa. Przez chwilę patrzył tylko na nią. Odwzajemniała spojrzenie ze smutkiem, ani na chwilę nie opuszczając oczu. Przesunął dłonią po jej włosach, czując ich gładką masę (jak deszcz, pomyślał, ciężki dziwnie deszcz), potem objął ją łagodnie, ucałował w oba policzki i odsunął się na chwilę.

–Pocałujesz mnie tak, jak mężczyzna całuje kobietę, Rolandzie? W usta?

–Tak.

I pocałował ją tak, jak marzyło mu się to jeszcze w namiocie. Oddała pocałunek gorąco, ale niezdarnie, niczym ktoś, kto nigdy jeszcze nie całował – chyba że we śnie.

Roland pragnął się z nią kochać (bo dawno już mu się to nie zdarzyło, a ona była piękna), lecz zasnął. Nie przerywając jej całować.

Śnił mu się krzyżowy pies, który biegł, czekając, przez pustkowia. Podążył za nim, pragnąc poznać powód takiego ożywienia zwierzęcia, i rychło się wszystkiego dowiedział. Na skraju równiny stała Mroczna Wieża, szara kamienna sylwetka na tle ciemnopomarańczowej kuli zachodzącego słońca. Budzące grozę okna naznaczały jej ściany wznoszącą się ku wierzchołkowi spiralą. Dostrzegłszy budowlę, pies zatrzymał się i zaczął wyć.

Odezwały się dzwony – przenikliwe i przerażające niczym zwiastuny zagłady – po jasnym brzmieniu sądząc srebrne, chociaż Roland wiedział na pewno, że to Ciemne Dzwonki. Na ten dźwięk okna wieży zapłonęły trupim, czerwonym blaskiem zatrutych róż. Noc rozbrzmiała krzykiem nieznośnego bólu.

Sen pierzchnął w jednej chwili, jednak krzyk pozostał, tyle że teraz był to raczej jęk, równie zresztą realny jak Wieża wznosząca się w ponurym zakątku na granicy Krańcoświata. Roland obudził się o świcie wśród miłej woni pustynnej szalwii. Wyciągnął rewolwery, zerwał się błyskawicznie i dopiero wtedy oprzytomniał.

Jenna zniknęła. Buty siostry leżały obok jej sakwy, trochę dalej, niczym zrzucona przez węża skóra ponieważ się dzinsy, a powyżej koszula. Co dziwniejsze, koszula wciąż tkwiła w spodniach. Obrazu dopełniał kornet z leżącymi w kurzu dzwoneczkami. Rolandowi wydało się z początku, że to one podzwaniają, ale był to inny, równie znajomy dźwięk.

Nie dzwonki słyszał, lecz żuczki. To doktorzy. Żuczki grały w szalwii niby świerszcze, tyle że znacznie melodyjniej.

–Jenno?

Żadnej odpowiedzi... jeśli nie liczyć żuczków, naturalnie, ich śpiewy bowiem nagle ustały.

–Jenno?

Nic. Tylko wiatr i zapach szalwii.

Nie myśląc wiele (bo i myślenie nie było mocną stroną Rolanda – o wiele lepiej działał, zdając się na odruchy), schylił się, podniósł kornet i potrząsnął nim. Ciemne Dzwonki zagrały.

Przez chwilę nic się nie działo, aż nagle z szalwii wyszło z tysiąc małych owadów, zwierając szyk na popękanej ziemi. Roland przypomniał sobie batalion schodzący z posłania starego, odsunął się o krok i tak pozostał. Stworzenia ani drgnęły.

Pomyślał, że chyba zaczyna rozumieć. Pomogło mu wspomnienie chwili, gdy dusił siostrę Mary... to wrażenie, jakby nie jednej istoty dotykał, ale całego ich mnóstwa.

I jeszcze to, co powiedziała mu Jenna: że jadała wraz z nimi. Tak, takie jak one nigdy nie giną... ale mogą się odmienić.

Owady zadrżały – cała ciemna plama na białym, piaszczystym gruncie.

Roland znów potrząsnął dzwoneczkami.

Kleks zafalował i zaczął zmieniać kształt. Z początku niepewnie, po chwili jednak owady przegrupowały szyki i zaczęły raz jeszcze, tworząc w końcu na jasnym tle coś na kształt litery C.

Tyle że to nie była litera. Rewolwerowiec zobaczył podobiznę kosmyka włosów.

Żuczki zaczęły śpiewać, a Rolandowi zdało się, że to jego imię wyśpiewują.

Wypuścił dzwonki ze zdrętwiałej ręki, a gdy te spadły z brzękiem, owadzia formacja poszła w rozsypkę. Żuczki rozbiegły się we wszystkich kierunkach. Pomyślał, że mógłby je zwołać z powrotem – starczyłoby zadzwonić – lecz po co? Co by to dało?

„Nie pytaj mnie, Rolandzie. Stało się, mosty zostały spalone”.

A jednak przyszła do niego jeszcze ten jeden, ostatni raz, narzucając swą wolę tysiącom cząstek, które straciły zdolność myślenia w chwili rozpadu całości... chociaż nie do końca, bo przecież zdołały jakoś utworzyć ten jeden znak. Ile wysiłku je to kosztowało?

Rozpełzały się coraz dalej. Część zniknęła w szalwii, inne próbowały wspinać się po górującej nad polanką skale albo wciskały się w szczeliny w wyschniętej ziemi, by przeczekać w nich dzienny skwar.

W końcu odeszły. Ona odeszła.

Roland usiadł na ziemi i ukrył twarz w dłoniach. Chciało mu się płakać, ale czas poganiał. Gdy znów uniósł głowę, oczy miał suche niczym pustynia, przez którą musiał przejść śladem Waltera, mężczyzny w czerni.

„Jeśli ma to oznaczać potępienie, powiedziała, niech to będzie mój Wybór, a nie ich”.

Niewiele wiedział o potępieniu... ale zdawało mu się, że oto zaczęła się jego długa, bardzo długa edukacja w tej materii.

Jenna ocaliła jego sakwę z tytoniem. Przykucnął i zwinął sobie skręta. Wdychając dym, spoglądał na ubranie siostry, wspominał spokojne spojrzenie jej ciemnych oczu. Przypomniawszy sobie też ślady oparzeń na jej palcach. Medalion ją zranił, ale przecież podniosła go mimo bólu, wiedząc, że Roland bardzo tego pragnął. Miał teraz na szyi oba medaliony.

Gdy słońce stanęło w zenicie, rewolwerowiec ruszył na zachód. Wiedział, że prędzej czy później znajdzie jakiegoś konia lub muła, ale na razie cieszyło go, że mógł podróżować pieszo. Przez cały dzień coś brzęczało mu w uszach, całkiem jak małe dzwonki. Kilka razy przystawał i oglądał się przez ramię, pewien, że ujrzy ciemny kształt

płynący w ślad za nim tuż nad ziemią, kształt ścigający go niczym cień, niczym wspomnienie tych chwil najgorszych. Czy najlepszych. Ale niczego nie dostrzegał. Był sam pośród niskich wzgórz na zachód od Elurii. Całkiem sam.

*Przełożył Radosław Kot*

Świat Dysku

Terry Pratchett

*The Colour of Magic (1983) Kolor magii (1994)*

*The Light Fantastic (1988) Blask fantastyczny (1995)*

*Equal Rites (1988) Równoumagicznienie (1996)*

*Mort (1989) Mort (1996)*

*Sourcery (1989) Czarodzielstwo (1997)*

*Wyrd Sisters (1990) Trzy wiedźmy (1998)*

*Pyramids (1990) Piramidy (1998)*

*Guards! Guards! (1991) Straż! Straż! (1999)*

*Eric (1991) Eryk (1997)*

*Moving Pictures (1992) Ruchome obrazki (2000)*

*Reaper Man (1992) Kosiarz (2001)*

*Witches Abroad (1994) Wyprawa czarownic (2001)*

*Small Gods (1994) Pomniejsze bóstwa (2001)*

*Lords and Ladies (1994)*

*Interesting Times (1995)*

*Soul Music (1995)*

*Maskerade (1995)*

*Men at Arms (1996)*

*Feet of Clay (1996)*

*Hogfather (1996)*

*Jingo (1997)*

*Last Continent (1997)*

*Carpe Jugulum (1998)*

*The Fifth Elephant (1999)*

Świat Dysku jest płaski i leży na czterech słoniach, stojących na skorupie ogromnego żółwia, który płynie przez nieskończoną przestrzeń. Wykorzystując tę klasyczną koncepcję mitologiczną jako punkt wyjścia, Pratchett z wdziękiem i zabawnie parodiuje liczne tematy – Shakespeare’a, kreacjonizm, fantasy heroiczną itd. – a dodatkowe materiały znajduje w krainach tak od siebie odległych jak starożytny Egipt, imperium Azteków czy Włochy okresu renesansu. Kiedy nie opisuje epok historycznych lub kultur, pozwala, by spora część jego fabuł rozgrywała się w Ankh-Morpork, tyglu wszystkich

miast fantasy, będącym połączeniem renesansowej Florencji, wiktoriańskiego Londynu i współczesnego Nowego Jorku.

Cykl świata Dysku wykorzystuje fantasy jak krzywe zwierciadło odbijające zniekształcony, ale rozpoznawalny obraz dwudziestowiecznych problemów (na przykład równouprawnienie i akcja afirmatywna nabierają nowej głębi, gdy wśród obywateli żyją wampiry, wilkołaki i zombi).

Powieści Pratchetta można z grubsza podzielić na cztery grupy.

W cyklu o Rincewindzie (*Kolor magii, Blask fantastyczny, Czarodzieństwo, Eryk, Interesting Times, Last Continent*) bohaterem jest niekompetentny, tchórzliwy (albo wyjątkowo rozsądny) mag, wciąż uciekający przed jakimś niebezpieczeństwem tylko po to, by trafić na inne, dziesięć razy gorsze. Jakkolwiek pechowo zaczynają się jego przygody, w końcu zawsze potrafi jakoś zwyciężyć i przywrócić pozory ładu – w takim sensie, w jakim używa się tego słowa na Dysku. Głównym celem satyry jest w tych książkach fantasy heroiczna, przedstawiona ze wszystkimi elementami gatunku: trollami, magami i podobną fauną. *Czarodzieństwo* na przykład to parodia Lovecraftowskiego świata potworów, *Eryk* jest żartem z Faustowskiego schematu paktu z diabłem.

Seria o babci Weatherwax (*Równoumagicznienie, Trzy wiedźmy, Witches Abroad, Lords and Ladies, Maskerade, Carpe Jugulum*) przedstawia jedną z najpopularniejszych postaci cyklu: czarownicę o żelaznym charakterze, stalowej moralności i dumie ze zbrojonego betonu, która potrafi opanować każdą sytuację; jak bohater westernu, z

technicznego punktu widzenia jest złą wiedźmą, która czyni dobro. Nowa wersja *Upiora w operze* jest podstawą *Maskerade*, natomiast *Sen nocy letniej* to temat *Lords and Ladies*, gdzie łagodne duszki szekspirowskie zastąpione zostały przez wyniosłe i złośliwe elfy z mitów celtyckich.

Cztery powieści tworzące cykl o Śmierci (*Mort, Reaper Man, Soul Music, Hogfather*) opisują przygody Śmierci, osobnika pozbawionego poczucia humoru, który w sekrecie żywi cieplejsze uczucia dla ludzi. A jego niezdolność zrozumienia tychże ludzi pozwala osiągnąć prawdziwy patos. W *Morcie* Śmierć bierze sobie urlop, pozostawiając wszystkie zadania dwójce pomocników obdarzonych jeszcze bardziej litościwymi sercami, w *Reaper Man* zaś Śmierć staje się – chwilowo – śmiertelny i może się przekonać, co naprawdę oznacza człowieczeństwo.

Książki o Straży Miejskiej (*Straż! Straż!, Men at Arms, Feet of Clay, Jingo, The Fifth Elephant*) łączą fantasy z kryminałem policyjnym, osiągając odpowiednio zabawne rezultaty. W *Straż! Straż!* dość niechlujna, ale uczciwa Nocna Straż z Ankh-Morpork musi walczyć ze smokiem sprowadzonym w celu usunięcia rządzącego miastem Patrycjusza i osadzenia na tronie marionetkowego władcy. Z kolei w *Men at Arms* Straż

podąża śladami maniakalnego mordercy, który szaleje z jedynym na Dysku egzemplarzem broni palnej (zbudowanym przez dyskowy odpowiednik Leonarda da Vinci).

Oddzielna powieść *Piramidy* wprowadza nowoczesny sposób myślenia do pewnej wersji Egiptu faraonów. *Moving Pictures* wykorzystuje narzędzia świata Dysku, by zbadać prawdziwą magię kina. *Small Gods* prezentuje mroczny, choć zabawny opis powstania religii, której jedyna „prawda” głosi, iż świat Dysku jest kulisty, nie płaski.

W *Rybkach małych ze wszystkich mórz* Pratchett prezentuje nową przygodę babci Weatherwax, osoby chętnej do współzawodnictwa i wierzącej przy tym, że „zająć drugie miejsce” to synonim słowa „przegrać”...

Rybki małe ze wszystkich mórz Terry Pratchett

Problemy zaczęły się – nie pierwszy raz zresztą – od jabłka.

Cała ich torba leżała na białym, nieskazitelnie czystym stole babci Weatherwax. Czerwone i okrągłe, lśniące i soczyste, gdyby znały przyszłość, tykałyby jak bomby.

–Zatrzymaj je sobie. Stary Hopcroft powiedział, że dostanę, ile zechcę – oświadczyła niania Ogg. – Smaczne, trochę się marszczą, ale świetnie się trzymają.

–Nazwał jabłka na twoją cześć? – upewniła się babcia. Każde jej słowo było kropelką kwasu w powietrzu.

–To przez moje rumiane policzki – wyjaśniła niania. – I wyleczyłam mu nogę, kiedy w zeszłym roku spadł z drabiny. I jeszcze przygotowałam dla niego maść na łysinę.

–Nie podziiała – przypomniała babcia. – Ta jego peruka... Strasznie jest zobaczyć coś takiego na kimś jeszcze żywym.

–Ale był wdzięczny, że okazałam zainteresowanie.

Babcia Weatherwax nie odrywała wzroku od jabłek. Owoce i warzywa znakomicie rosły w górach, gdzie lata były gorące, a zimy mroźne. Percy Hopcroft znany był jako świetny sadownik, zawsze z pędzelkiem z wielbłądziej sierści w ręku i chętny do seksualnych wybryków ogrodowych.

–Sprzedaje swoje sadzonki w całej okolicy – stwierdziła niania Ogg. – Zabawnie pomyśleć, że już wkrótce tysiące ludzi będzie mogło spróbować niani Ogg.

–Kolejne tysiące – mruknęła kwaśno babcia.

Szalona młodość niani była niczym otwarta księga, chociaż dostępna jedynie w gładkich szarych okładkach.

–Dziękuję ci, Esme. – Niania Ogg rozmarzyła się na chwilę. Potem spojrzała na koleżankę z fałszywą troską. – Chyba nie jesteś zazdrosna, prawda? Nie masz mi za złe tej chwili radości?

–Ja? Zazdrosna? O co miałabym być zazdrosna? Przecież to tylko jabłka. Nic ważnego...

–Tak właśnie sobie myślałam. Drobny gest, żeby zrobić przyjemność starszej pani. A co tam u ciebie?

–Świetnie. Świetnie.

–Nazbierałaś już drewno na zimę?

–Prawie.

–To dobrze – ucieszyła się niania Ogg. – To dobrze.

Przez chwilę siedziały w milczeniu. Jakiś motyl na parapecie, zbudzony niezwykle o tej porze ciepłem, wybijał skrzydełkami szybki rytm, próbując dosięgnąć wrześniowego słońca.

–Twoje ziemniaki... już chyba wykopane? – zaczęła niania.

–Tak.

–Nasze nieźle się w tym roku udały.

–To dobrze.

–I zasoliłaś fasolę?

–Tak.

–Pewnie nie możesz się już doczekać Prób w przyszłym tygodniu?

–Tak.

–I na pewno ćwiczyłaś?

–Nie.

Niani Ogg wydało się, że mimo słonecznego blasku pogłębiają się cienie w kątach pokoju. Samo powietrze stawało się mroczne. Chatka czarownicy jest czuła na nastroje właścicielki. Ale brnęła dalej. Głupcy pędzą na złamanie karku, są jednak ślamazarami w porównaniu ze starszymi paniami, które już niczego nie muszą się obawiać.

–Przydziesz w niedzielę na obiad?

–A co będzie?

–Wieprzowina.

–W sosie jabłkowym?

–Tak...

–Nie – przerwała jej babcia.

Coś zaskrzypiało za nianią – otworzyły się drzwi. Ktoś, kto nie jest czarownicą, próbowałby jakoś wytłumaczyć to zjawisko: powiedziałyby, że to tylko wiatr, oczywiście. A niania Ogg, choć skłonna zgodzić się z tą teorią, dodałaby jednak: Dlaczego tylko wiatr i w jaki sposób zdołał unieść skobel?

–Wiesz, nie mogę tak plotkować z tobą do wieczoru – rzekła i wstała szybko. – O tej porze roku na pewno masz mnóstwo zajęć.

–Tak.

–No to już pójdę.

–Do widzenia.

Wiatr zatrzasnął drzwi, gdy niania pospiesznie maszerowała ścieżką.

Przyszło jej do głowy, że być może posunęła się odrobinę za daleko. Ale tylko odrobinę.

Kłopot z byciem czarownicą – przynajmniej w przekonaniu niektórych osób – polega na tym, że człowiek musi tkwić na wsi. Niani to nie przeszkadzało. Miała tu wszystko,

czego potrzebowała. Miała wszystko, czego potrzebowała kiedykolwiek, choć w przeszłości kilka razy skończyli się jej mężczyźni. Obce strony nadają się do krótkich odwiedzin, ale do niczego poważnego. Mają tam ciekawe drinki i zabawne jedzenie, lecz obce strony to miejsce, dokąd się wyrusza, robi to, co być może trzeba zrobić, i wraca tutaj, gdzie się żyje naprawdę. Niania Ogg była tutaj szczęśliwa.

Oczywiście, pomyślała, przechodząc przez trawnik, nie ma takiego widoku z okna. Niania mieszkała w miasteczku, ale babcia mogła spojrzeć ponad lasem, ponad polami, aż po wielki, kolisty horyzont Dysku.

Taki widok, twierdziła niania, może wyssać człowiekowi umysł z głowy.

Tłumaczyli jej kiedyś, że świat jest płaski, co jest rozsądne, i że płynie w przestrzeni na grzbietach czterech słoni stojących na skorupie żółwia – co nie musi się zgadzać z rozsądkiem. Wszystko to jednak działo się Gdzieś Tam, i mogło się sobie dziać z błogosławieństwem i całkowitą obojętnością niani, dopóki ona sama żyła we własnym światku o średnicy dziesięciu mil, który wciąż nosiła wokół siebie.

Esme Weatherwax chciała jednak więcej, niż mogło jej dać nieduże królestwo. Była inną czarownicą.

Niania zaś uważała za swój obowiązek obronę babci Weatherwax przed nudą. Cała ta sprawa z jabłkami była drobnostką, niewielką złośliwością, jeśli się nad nią zastanowić, lecz Esme potrzebowała czegoś, co czyni każdy dzień wartym przeżywania. Skoro musi to być gniew i zazdrość, niech będzie. Babcia zacznie teraz planować jakieś małe zwycięstwo, drobne upokorzenie, o którym tylko one dwie będą wiedzieć. I na tym się skończy. Niania żywiła przekonanie, że poradzi sobie ze złym humorem przyjaciółki. Ale na pewno nie z jej znudzeniem. Znudzona czarownica jest zdolna do wszystkiego.

Ludzie powtarzają czasem: „Za dawnych lat musieliśmy sami szukać sobie rozrywek”, jakby był to znak jakiejś moralnej przewagi. Może zresztą był, ale nikt by nie chciał, żeby to czarownica zaczęła się nudzić i szukać sobie rozrywek. Głównie dlatego, że czarownice miewają o rozrywkach najdziwniejsze wyobrażenia. A Esme była bez wątplenia najpotężniejszą czarownicą, jaka żyła w górach od pokoleń.

W dodatku zbliżały się Próby, a one zawsze na parę tygodni gwarantowały Esme właściwy nastrój. Współzawodnictwo cieszyło ją niczym mucha pstrąga.

Niania Ogg także lubiła Próby Czarownic. Można było przyjemnie spędzić dzień na powietrzu, a wieczorem rozpalano wielkie ognisko. Czym byłyby Próby Czarownic bez solidnego ogniska na zakończenie?

Potem można w popiele piec ziemniaki.

Popołudnie zmieniło się w wieczór, a cienie z kątów, spod stołków i blatów wypełzły i zlały się w jeden.

Babcia bujała się lekko w fotelu, a mrok spowijał ją coraz bardziej. Jej twarz przybrała wyraz głębokiego skupienia.

Drwa w palenisku rozsypały się w popiół. Jedna po drugiej gasły iskierki.

Mrok gęstniał.

Stary zegar tykał na kominku. Przez długi czas był to jedyny słyszalny odgłos.

Potem rozległ się cichy szelest. Papierowa torba na stole poruszyła się i zmarszczyła jak przekłuty balon. Powietrze z wolna wypełnił silny zapach zgnilizny.

Po chwili wypełzł pierwszy robak.



Niania Ogg zdążyła wrócić do domu i właśnie nalewała sobie piwa, kiedy ktoś zastukał. Z westchnieniem odstawiała dzbanek i poszła otworzyć drzwi.

–O, witam panie. Co porabiacie w tych stronach? W dodatku w taki chłodny wieczór?

Cofnęła się do pokoju, a za nią weszły jeszcze trzy czarownice. Nosiły czarne szaty i szpiczaste kapelusze, jak przystało w tym fachu. Dzięki temu każda z nich wyglądała inaczej. Nic bardziej niż jednolity kostium nie pozwala człowiekowi wyrazić swojej indywidualności. Zmarszczka tutaj i zakładka tam to szczegóły, które tym głośniejsze krzyczą wobec pozornej, no... jednolitości.

Kapelusz babuni Beavis na przykład miał bardzo płaskie rondo i czubek, którym można by czyścić uszy. Niania lubiła babunię Beavis. Była może nazbyt wykształcona, co czasami wręcz wylewało się jej z ust, ale wahała tabakę i sama naprawiała sobie buty, a to w uproszczonej wizji świata niani Ogg oznaczało, że jest się W Porządku.

Ubranie matuli Dismass cechował nieład zrozumiały u kogoś, kto wskutek odklejonej siatkówki w oku duszy żył w różnych czasach jednocześnie. Psychiczne zamieszanie jest dostatecznie kłopotliwe u zwykłych ludzi, a o wiele gorsze, gdy umysł ma zdolności okultystyczne. Pozostawała jedynie nadzieja, że tylko swoją bieliznę nosi na wierzchu.

Niania wiedziała, że z matulą jest coraz gorzej. Czasami jej pukanie było słychać na kilka godzin przed przybyciem. Za to ślady na ścieżce pojawiały się po paru dniach.

Serce niani zamarło na widok trzeciej czarownicy, i to nie dlatego, że Letycja Skorek była złą kobietą. Wręcz przeciwnie. Uważano ją za przywoitą, pełną dobrych chęci i łagodną, przynajmniej dla mniej agresywnych zwierząt i co czystszych dzieci. Zawsze też chętnie wyświadczała człowiekowi przysługę. Problem w tym, że wyświadczała ją dla jego dobra, choćby nawet ta przysługa nie była dobra akurat w jego mniemaniu. W rezultacie człowiek tak jakby przewracał się na drugą stronę, a to już niedobrze.

W dodatku była zamężna. Niania nie miała nic przeciwko zamężnym czarownicom.

Przecież nie istniały żadne reguły. Sama miała w życiu licznych mężów, a z trzema nawet wzięła ślub. Ale pan Skorek był emerytowanym magiem dysponującym podejrzenie wielkimi zasobami złota. Niania podejrzewała więc, że dla Letycji czary to tylko sposób na zabicie czasu. Że są tym, czym dla innych kobiet w pewnych klasach haftowanie ornatów do kościoła albo odwiedzanie biedaków.

Była też bogata. Niania nie miała pieniędzy, stąd jej odruchowa niechęć do takich, którzy mieli.

Letycja nosiła aksamitny płaszcz, tak czarny, że wyglądał, jakby ktoś wyciął dziurę w świecie. Niania nie miała nic takiego. Więcej: wcale nie chciała pięknego aksamitnego płaszcza i nie zależało jej na takich rzeczach. Nie rozumiała więc, dlaczego inni mają je posiadać.

–Dobry wieczór, Gytho. Co u ciebie słychać? – powitała ją babunia Beavis.

Niania wyjęła fajkę z zębów.

–Jestem zdrowa jak rzepa. Wejdźcie.

–Ten deszcz jest okropny – stwierdziła matula Dismass.

Niania spojrzała na niebo, fioletowe i czyste w wieczornym chłodzie. Ale tam, gdzie przebywał teraz umysł matuli, prawdopodobnie trwała ulewa.

–Wejdz, osuszysz się – zaproponowała uprzejmie.

–Niech szczęśliwe gwiazdy świecą nad naszym spotkaniem – rzekła Letycja.

Niania ze zrozumieniem pokiwała głową. Letycja zawsze przemawiała tak, jakby uczyła się czarownictwa z książki kogoś całkiem pozbawionego wyobraźni.

–No tak – mruknęła.

Rozmawiały uprzejmie do chwili, gdy niania podała herbatę i ciasteczka. Wtedy głos zabrała babunia Beavis.

–Jesteśmy komitetem Prób, nianiu – oznajmiła tonem wyraźnie wskazującym, że zaczyna się oficjalna część wizyty.

–Tak? Naprawdę?

–Weźmiesz udział, przypuszczam?

–Oczywiście. Zrobię, co do mnie należy.

Niania zerknęła w bok. Letycja miała na twarzy uśmiech, który wcale się jej nie spodobał.

–W tym roku jest duże zainteresowanie – podjęła babunia. – Ostatnio sporo dziewcząt wybiera nasz fach.

–Żeby zdobywać chłopców, można by pomyśleć – wtrąciła Letycja i prychnęła z wyższością.

Niania powstrzymała się od komentarza. Wykorzystywanie magii do zdobywania

chłopców wydawało się jej całkiem rozsądnym zastosowaniem. W dodatku jednym z podstawowych zastosowań.

–To miło – stwierdziła. – Zawsze to lepiej wygląda, kiedy startuje nas więcej. Ale.

–Przepraszam, nie zrozumiałam – zdziwiła się Letycja.

–Powiedziałam „ale” – wyjaśniła niania – bo ktoś zamierzał to powiedzieć, zgadza się? Cała ta pogawędka była wstępem do wielkiego „ale”. Znam się na tym.

Wiedziała, że narusza protokół. Powinny rozmawiać uprzejmie jeszcze co najmniej siedem minut, zanim wreszcie przejdą do rzeczy. Ale obecność Letycji działała jej na nerwy.

–Chodzi o Esmę Weatherwax – wyjaśniła babunia Beavis.

–Tak? – odparła niania, wcale nie zaskoczona.

–Też pewnie weźmie udział?

–Nie słyszałam, żeby kiedyś zrezygnowała. Letycja westchnęła.

–Zapewne nie... nie mogłaby jej pani przekonać, żeby... żeby w tym roku się wycofała?

Niania była wstrząśnięta.

–Znaczy: toporem? – upewniła się.

Trzy wiedźmy wyprostowały się jednocześnie.

–Widzisz... – zaczęła babunia, odrobinę zawstydzona.

–Powieм szczerze, pani Ogg – przerwała jej Letycja. – Trudno jest skłonić kogoś do udziału w Próbach, kiedy wiadomo, że wystąpi w nich panna Weatherwax. Ona zawsze wygrywa.

–Zgadza się – przyznała niania. – To jest konkurs.

–Ale ona zawsze wygrywa!

–I co?

–W innych konkursach – rzekła Letycja – wolno jednej osobie wygrać najwyżej trzy lata z rzędu, a potem musi się na jakiś czas odsunąć.

–Tak, ale tu chodzi o czarowanie. Zasady są inne.

–A jakież to?

–Nie ma żadnych. Letycja poprawiła spódnicę.

–Może pora, by je wprowadzić.

–Aha – mruknęła niania. – A wy po prostu chcecie pójść i wytłumaczyć to Esme? Odważysz się, babuniu?

Babunia Beavis unikała jej spojrzenia. Matula Dismass wpatrywała się w zeszyły tydzień.

–Rozumiem, że panna Weatherwax jest bardzo dumną kobietą – odezwała się

Letycja.

Niania Ogg pyknęła z fajki.

–Równie dobrze można powiedzieć, że morze jest pełne wody.

Trzy czarownice przez chwilę rozważały jej słowa.

–Sądzę, że to cenna uwaga – przyznała Letycja. – Ale jej nie zrozumiałam.

–Jeśli w morzu nie ma wody, to nie jest ono morzem, tylko taką wściekle wielką dziurą w ziemi – wyjaśniła niania Ogg. – Z Esme też o to chodzi... – Głośno pociągnęła z cybucha. – Ona się składa z samej dumy, rozumiecie? Nie jest po prostu dumną osobą.

–Może więc powinna się nauczyć skromności...

–A z jakiego powodu ma być skromna? – zapytała ostrym tonem niania.

Ale Letycja, jak wiele miękkich z pozoru osób, wewnątrz była twarda i niełatwo się uginała.

–Ta kobieta wyraźnie ma naturalny talent i naprawdę powinna być wdzięczna za...

W tym miejscu niania Ogg przestała słuchać. „Ta kobieta”, myślała. Więc do tego doszło.

W każdym fachu wygląda to podobnie. Prędzej czy później ktoś uznaje, że konieczna jest organizacja. A wtedy jednego tylko można być pewnym: że organizatorzy nie są tymi ludźmi, którzy w powszechnej opinii osiągnęli szczyty zawodowych umiejętności. Ci ludzie zbyt ciężko pracują. Trzeba uczciwie przyznać, że organizowaniem nie zajmują się także ci najgorsi. Oni również zbyt ciężko pracują. Nie mają innego wyjścia.

Nie, do takich spraw zabierają się ludzie mający dość czasu oraz skłonność do biegania i krzątania. I znowu trzeba uczciwie przyznać, że świat potrzebuje ludzi, którzy krzątają się i biegają. Tyle że niekoniecznie trzeba ich lubić.

Nagła cisza była znakiem, że Letycja skończyła.

–Naprawdę? Coś podobnego – powiedziała niania. – To ja jestem naturalnie utalentowana. My, Oggówny, mamy czary we krwi. Nigdy nie musiałam się z nimi męczyć. Ale Esme... Owszem, ma trochę talentu, to fakt, ale niezbyt wiele. Ona tylko każe mu pracować ciężko jak demony. A wy chcecie ją prosić, żeby przestała?

–Miałymy raczej nadzieję, że pani to zrobi – odparła Letycja.

Niania otworzyła usta, by rzucić jedno czy dwa przekleństwa, lecz zrezygnowała.

–Wiecie co? Możecie jej to jutro powiedzieć – zaproponowała. – A ja pójdę z wami, żeby ją przytrzymać.

Kiedy nadeszły dróżką, babcia Weatherwax zbierała Ziola.

Codzienne zioła dla chorych albo do kuchni zwane są prostymi. Zioła babci nie były proste. Były wyrafinowane, albo i gorzej. Nie zbierało się ich z eleganckim koszykiem

i parą błyszczących nożyc. Babcia używała noża. I trzymano go przed sobą krzesła. Oraz skórzanego kapelusza, rękawic i fartucha jako drugiej linii obrony.

Nawet ona nie wiedziała, skąd pochodzą niektóre Ziola. Korzonki i nasiona sprowadzano z całego świata, a może w większej jeszcze odległości. Część miała kwiaty, które odwracały się za przechodzącym, inne strzelały cierniami do przelatujących ptaków, a kilka babcia przywiązała do palików – nie po to, by się nie przewróciły, ale po to, by na drugi dzień wciąż były na miejscu.

Niania Ogg nigdy nie próbowała wyhodować żadnego zioła, którego nie można palić albo nadziać nim kurczaka. Teraz słyszała, jak babcia pomrukuje:

–No dobra, łobuzy...

–Dzień dobry, panno Weatherwax! – zawołała głośno Letycja Skorek.

Babcia Weatherwax zeszywniała, bardzo ostrożnie opuściła krzesło i odwróciła się powoli.

–Pani – poprawiła.

–Wszystko jedno – zapewniła wesoło Letycja. – Mam nadzieję, że dobrze się pani czuje?

–Aż do teraz. – Babcia niemal niedostrzegalnie skinęła głową pozostałym trzem czarownicom.

Zapadła wibrująca cisza, która wzbudziła lęk niani Ogg. Babcia powinna ich przecież zaprosić na filiżankę czegoś. Tego wymagał rytuał. Trzymanie ludzi na dworze dowodziło fatalnych manier. Prawie, choć nie aż tak fatalnych, jak nazwanie starszej, niezamężnej czarownicy „panną”.

–Przyszłyście w sprawie Prób – stwierdziła babcia. Letycja niemal zemdląła.

–Tego... Skąd...

–Bo wyglądacie jak komitet. Nietrudno zgadnąć. – Babcia ściągnęła rękawice. – Zwykle nie potrzebowałyśmy komitetu. Wieści się rozchodziły i wszystkie zjawiałyśmy się gdzie trzeba. A teraz nagle ktoś wszystko organizuje... – Przez chwilę babcia wyglądała, jakby toczyła ciężką wewnętrzną bitwę, ale wreszcie dodała obojętnie: – Kociołek stoi na ogniu. Lepiej wejdźcie.

Niania odprężyła się. Może jednak istnieją zwyczaje, których nie złamie nawet babcia Weatherwax. Choćby ktoś był twoim najgorszym wrogiem, trzeba go zaprosić, podać herbatę i ciasteczka. Więcej: im gorszy wróg, tym lepsza jest zastawa i wyższa jakość ciasteczek. Później można gościom życzyć, żeby ich piekło pochłonęło, ale pod własnym dachem należy ich karmić, póki nie pękną.

Małe, ciemne oczy niani spostrzegły, że kuchenny stół wciąż jeszcze błyszczy wilgocią po niedawnym myciu.

Kiedy napełniono już filiżanki i wymieniono uprzejmości – a przynajmniej kiedy wypowiedziała je Letycja, babcia zaś przyjęła w milczeniu – samozwańcza przewodnicząca poprawiła się na krześle.

–W tym roku zainteresowanie Próbami jest duże, panno... eee... pani Weatherwax – zaczęła.

–To dobrze.

–Wygląda wręcz na to, że czarownictwo w Ramtopach przeżywa coś w rodzaju renesansu.

–Renesansu, tak? Coś podobnego.

–To rozsądny wybór tych młodych kobiet, droga prowadząca do władzy. Nie sądzi pani?

Wiele osób umie mówić kąśliwym tonem – niania wiedziała o tym dobrze. Ale babcia Weatherwax potrafiła też kąśliwie słuchać. Potrafiła sprawić, by coś zabrzmiało głupio, tylko tego wysłuchując.

–Ma pani ładny kapelusz – zauważyła babcia. – Aksamit, prawda? Nie pochodzi z naszych okolic, jak się domyślam.

Letycja musnęła rondo i zaśmiała się lekko.

–To od Boggiego z Ankh-Morpork.

–Doprawdy? Kupiony w sklepie?

Niania Ogg zerknęła w kąt pokoju, gdzie na stojaku stał odrapany drewniany stożek. Przypięte do niego zwoje czarnej bawełny i wiklinowe witki tworzyły podstawę wiosennego kapelusza babci.

–Szyty u krawca – poprawiła Letycja.

–I te spinki – ciągnęła babcia. – Same półksiężyce i sylwetki kotów...

–Ty też masz broszkę w kształcie półksiężyca, prawda, Esme? – wtrąciła niania Ogg, uznawszy, że nadeszła odpowiednia chwila, by oddać strzał ostrzegawczy. Od czasu do czasu, kiedy była w kwaśnym humorze, babcia miała sporo do powiedzenia na temat biżuterii czarownic.

–To prawda, Gytho. Mam broszkę w kształcie półksiężyca. Taki istotnie jest jej kształt. Bardzo praktyczny kształt do spinania płaszcza taki półksiężyc. Ale u mnie to nic nie znaczy. Zresztą, przerwałaś mi właśnie wtedy, kiedy chciałam zauważyć, jak twarzowe spinki nosi pani Skorek. Bardzo... magiczne.

Niania odwróciła głowę jak kibic na meczu tenisowym i spojrzała na Letycję. Chciała się przekonać, czy zabójcza strzała dosięgła celu. Ale Letycja się uśmiechała... Niektórzy po prostu nie potrafią zobaczyć tego, co oczywiste, nawet na końcu dziesięciofuntowego młota.

–Skoro już mowa o magii... – rzekła Letycja, jak urodzona przewodnicząca zmuszając pozostałe, by przeszły do kolejnego punktu programu. – Pomyślałam, że omówimy z panią kwestię jej uczestnictwa w Próbach.

–Tak?

–Czy sądzi pani... to znaczy: czy nie sądzi pani, że to trochę nieuczciwe wobec innych, że wygrywa pani co roku?

Babcia Weatherwax spojrzała na podłogę, a potem na sufit.

–Nie – uznała w końcu. – Jestem od nich lepsza.

–Nie wydaje się pani, że odbiera to ducha innym uczestniczkom? Znowu to badanie podłogi i sufitu...

–Nie.

–Ale startują, wiedząc, że nie zwyciężą.

–Ja też.

–Nie, pani z pewnością...

–Chcę powiedzieć, że też startuję, wiedząc, że nie zwyciężą – wyjaśniła jadowicie babcia. – A one powinny startować, wiedząc, że ja nie zwyciężę. Nic dziwnego, że przegrywają, skoro nie potrafią osiągnąć właściwego stanu umysłu.

–To gasi ich entuzjazm.

Twarz babci wyrażała szczere zdumienie.

–A co im przeszkadza walczyć o drugie miejsce?

Letycja nie dawała za wygraną.

–Mieliśmy nadzieję, że uda się nam przekonać panią, Esme, do przejścia w stan spoczynku. Mogłaby pani na przykład wygłosić krótkie, zachęcające przemówienie, wręczyć nagrodę i... i możliwe, że nawet zostać... no, jedną z sędziów.

–Będą sędziowie? Nigdy nie byli potrzebni. Wszyscy zwykle wiedzieli, kto wygrał.

–To prawda – poparła ją niania. Przypomniała sobie sceny pod koniec jednych czy drugich Prób. Kiedy wygrywała babcia Weatherwax, wszyscy o tym wiedzieli. – Szczera prawda.

–Byłby to miły gest – ciągnęła Letycja.

–Kto postanowił, że potrzebni są sędziowie? – spytała babcia.

–Tego... komitet... to znaczy... właśnie... kilka z nas się zebrało. Tylko żeby pokierować sprawami...

–Rozumiem. Flagi?

–Słucham?

–Chcecie porozwieszać małe chorągiewki na sznurkach? I może jeszcze ktoś będzie sprzedawał jabłka na patyku i takie rzeczy?

–Jakieś dekoracje z pewnością...

–Jasne. Tylko nie zapomnijcie o ognisku.

–Ależ oczywiście. Jeśli tylko będzie miłe i bezpieczne.

–No tak. Zgadza się. Wszystko powinno być miłe i bezpieczne. Pani Skorek odetchnęła z ulgą.

–No cóż, widzę, że wszystko ustaliliśmy – powiedziała.

–Doprawdy? – zdziwiła się babcia.

–Myślałam, że zgodziliśmy się...

–Zgodziliśmy? Rzeczywiście? – Babcia sięgnęła po pogrzebacz i gwałtownie szturchnęła palenisko. – Rozważę te sprawy.

–Nie wiem, pani Weatherwax, czy mogę być z panią szczera – rzuciła Letycja.

Pogrzebacz zamarł w powietrzu.

–Słucham.

–Zdaje pani sobie sprawę, że czasy się zmieniają. Chyba wiem, tak mi się wydaje, skąd w pani to przekonanie, że musi pani wszystkich traktować z wyższością i nieuprzejmie. Ale proszę mi wierzyć, a mówię to jako przyjaciółka, że będzie pani łatwiej, jeśli trochę pani

złagodnieje i spróbuje być miłsza. Jak choćby obecna tu nasza siostra Gytha.

Uśmiech niani Ogg zmienił się w kamienną maskę. Letycja zdawała się tego nie zauważać.

–Obawiają się pani chyba wszystkie czarownice na pięćdziesiąt mil stąd – mówiła dalej. – Przyznaję, że posiada pani sporo cennych umiejętności, ale czary nie polegają na tym, żeby być starą zrzedłą i straszyć ludzi. Mówię to jako przyjaciółka...

–Proszę mnie znowu odwiedzić, gdyby trafiły panie w te okolice – przerwała jej babcia.

To był sygnał. Niania Ogg poderwała się nerwowo.

–Myślałam, że przedyskutujemy... – protestowała Letycja.

–Odprawdzą was do głównego traktu – obiecała niania, podnosząc czarownice z krzesel.

–Gytho! – rzuciła ostro babcia Weatherwax, kiedy cała grupa znalazła się już za progiem.

–Tak, Esme?

–Mam nadzieję, że jeszcze do mnie zajrzysz!

–Tak, Esme.

Niania ruszyła biegiem, by doścignąć trójkę czarownic na ścieżce.

Letycja kroczyła z godnością. Błędem byłoby oceniać ją po obwisłych policzkach

i wyszukanej fryzurze, po bezsensownej gestykulacji podczas rozmowy. Była przecież czarownicą. A kto zaczepi czarownicę, ten... ten stanie przed czarownicą, którą właśnie zaczepił.

–Nie jest miłą osobą – świergotała Letycja. Ale był to świergot wielkiego drapieżnego ptaka.

–Ma pani rację – zgodziła się niania. – Ale...

–Najwyższy czas, żeby pokazać jej właściwe miejsce.

–Niby...

–Dręczy panią straszliwie, pani Ogg. Zamężną kobietę w pani wieku!

Niania zmrużyła oczy – tylko na chwilę.

–Taki ma styl – stwierdziła.

–Bardzo złośliwy i niemiły styl, moim zdaniem!

–O tak – potwierdziła krótko niania. – Style często takie są. Ale pani...

–Wystawisz coś na straganie, Gytho? – wtrąciła pośpiesznie babunia Beavis.

–Przyniosę może parę buteleczek... – niania Ogg westchnęła z rezygnacją.

–Och, domowe wino? – ucieszyła się Letycja. – Jak miło.

–Coś w rodzaju wina, owszem – przyznała niania. – No, tu już macie drogę. Ja tylko... Ja tylko powiem jeszcze „dobranoc”...

–To poniżające, że tak pani biega koło niej – orzekła Letycja.

–Cóż, może. Rzeczywiście. Można się przyzwyczaić. Dobrej nocy.

Kiedy wróciła do chatki, babcia Weatherwax stała na środku pokoju z twarzą jak nie pościelone łóżko i skrzyżowanymi ramionami. Tupała nogą.

–Wyszła za maga – oznajmiła, gdy tylko jej przyjaciółka przekroczyła próg. – Nie powiesz mi chyba, że to właściwe.

–No wiesz, magowie mogą się żenić. Muszą tylko oddać laskę i szpiczasty kapelusz. Żadne prawo im tego nie zakazuje, pod warunkiem, że zrezygnują z magii. Praca powinna być im żoną.

–Myślę, że mieć taką żonę, to rzeczywiście ciężka praca – mruknęła babcia, rozciągając wargi w kwaśnym uśmiešku.

–Dużo marynowałaś w tym roku? – spytała niania, wykorzystując skojarzenia ze słowem „ocet”, które właśnie przyszły jej do głowy.

–Muszki zalęgły mi się w cebuli.

–Szkoda. Tak lubisz cebulę.

–Nawet muszki muszą coś jeść. – Babcia zerknęła gniewnie w stronę drzwi. – Miły gest... – burknęła.

–Ma szydełkowaną serwetkę na pokrywie w wygodce – poinformowała niania.

–Różową?

–Tak.



–Miło.

–Nie jest zła. Robi dużo dobrego w Skrzypkowym Łokciu. Ludzie dobrze o niej mówią.

Babcia parsknęła niechętnie.

–A czy o mnie dobrze mówią?

–Nie, Esme. O tobie mówią szeptem.

–Bardzo dobrze. Widziałaś jej spinki?

–Wydały mi się całkiem ładne, Esme.

–To całe dzisiejsze czarownictwo. Sama biżuteria i żadnych pantalonów.

Niania, która i jedno, i drugie uważała za zbędne, próbowała wznieść wał ochronny przed wzbierającą falą żółci.

–To właściwie zaszczyt, że tak się boją twojego udziału – zauważyła.

–To miłe. Niania westchnęła.

–Czasami warto spróbować czegoś miłego, Esme.

–Nigdy nikomu nie szkodzę, jeśli nie mogę pomóc. Wiesz o tym, Gytho. I nie potrzebuję żadnych falbanek ani fikuśnych etykietek.

Niania westchnęła, tym razem ciężiej. Oczywiście, to prawda. Babcia była staromodną czarownicą. Nie robiła tego, co ludzie uważali za dobre, tylko to, co było słuszne. Kłopot w tym, że ludzie nie zawsze doceniają to, co słuszne. Choćby wczoraj, kiedy stary Pollitt spadł z konia. Chciał dostać jakiś środek przeciwbólowy, potrzebował zaś kilku sekund agonii, kiedy babcia nastawiała mu zwichnięty staw. A ludzie pamiętali ból.

Łatwiej żyć z nimi, kiedy pamięta się o falbankach, okazuje troskę i pyta „Jak się czujesz?” Esme nie zaprzętała sobie głowy pytaniem, bo przecież wiedziała. Niania Ogg również wiedziała, ale też zdawała sobie sprawę, że zdradzenie tej wiedzy budzi u innych ciężkie dreszcze.

Pochyliła głowę. Stopa babci wciąż stukała o podłogę.

–Planujesz coś, Esme? Znam cię. Masz tę minę...

–Jaką minę, jeśli wolno spytać?

–Taką samą jak wtedy, kiedy znaleziono na drzewie tego gołego bandytę. Cały czas

wrzeszczał, że ściga go jakiś straszny potwór. Zabawne, ale nie było żadnych śladów łap. Taką minę.

–Zasłużył na więcej za to, co zrobił.

–Tak... I jeszcze miałaś taką minę, kiedy znaleźli starego Hoggetta całego w sińcach w jego chlewiku, a on nie chciał o tym mówić.

–Chodzi ci o starego Hoggetta, który bił żonę, czy o starego Hoggetta, który już nigdy nie podniesie ręki na kobietę? – upewniła się babcia, a jej wargi ułożyły się w coś, co można by nazwać uśmiechem.

–Miałaś też taką minę, kiedy śnieg osunął się na chatę Millsona zaraz po tym, jak nazwał cię starym, wścibskim tobołem...

Babcia zawahała się. Niania była prawie pewna, że osunięcie nastąpiło z przyczyn naturalnych, a także, że babcia wie o tych podejrzeniach. Duma toczyła walkę z uczciwością...

–To możliwe – stwierdziła wreszcie babcia.

–Minę kogoś, kto może zjawić się na Próbach i... i coś zrobić. Od wzroku babci Weatherwax powinno zaskwierczeć powietrze.

–Aha. Więc o to mnie podejrzewasz? Do tego doszłyśmy, tak?

–Letycja uważa, że należy iść z duchem czasów...

–I co? Masz rację, powinniśmy. Idę z duchem czasów. Ale nikt nie powiedział, że trzeba go popychać. Chcesz już iść, Gytho, jak przypuszczam. Chętnie zostanę sama z moimi myślami.

Myśli niani, która z ulgą spieszyła ścieżką w stronę domu, krążyły wokół faktu, że babcia Weatherwax nie jest dobrą reklamą czarownictwa. Oczywiście, w czarach jest najlepsza, nie ma wątpliwości. Przynajmniej w niektórych. Ale młoda dziewczyna, która wybiera sobie takie życie, może spytać: Czy o to chodzi? Człowiek pracuje ciężko i wyrzeka się różnych rzeczy, a w końcu osiąga jedynie ciężką pracę i wyrzeczenia?

To nieprawda, że babcia nie miała żadnych przyjaciół, jednak wzbudzała głównie szacunek. Ludzie szanują też chmury burzowe. Chmury odświeżają glebę. Są potrzebne. Ale nie są miłe.

Niania Ogg położyła się do łóżka w trzech flanelowych koszulkach, ponieważ w jesienne noce pojawiały się już przymrozki. Była też pełna niepokoju.

Wiedziała, że wojna została wypowiedziana. Wzburzona babcia zdolna była do strasznych rzeczy, a to, że rzeczy te przytrafiały się tym, którzy w pełni na nie zasługiwali, nie czyniło ich mniej strasznymi. Niania była pewna, że przyjaciółka planuje coś potwornego.

Sama niezbyt lubiła zwyciężać. Zwyciężanie to nałóg, z którym ciężko zerwać, w dodatku stawia on człowieka w pozycji trudnej do obrony. Trzeba iść przez życie czujnie, wciąż wyglądając nowej dziewczyny z lepszą miotłą czy szybszą ręką na żabie.

Przewróciła się pod górą kaczego puchu.

W świecie babci Weatherwax nie było miejsca na drugie miejsca. Albo się wygrywało, albo przegrywało. W przegrywaniu zresztą nie ma nic złego, poza tym oczywiście, że się wtedy nie wygrywa. Niania starała się zawsze stosować taktykę godnej przegranej. Ludzie lubią tych, którzy prawie wygrywają. Stawiają wtedy drinki i mówią: „Minimalnie pani przegrała”, co jest ładniejszym komplementem od „Minimalnie pani wygrała”.

Przegranani mają więcej zabawy, uważała. Ale babci Weatherwax szkoda było czasu na takie rzeczy.

W ciemnej chacie babcia Weatherwax patrzyła, jak gaśnie ogień. Ściany pokoju były szare, barwy, jaką stary tynk nabywa nie tyle od brudu, ile z powodu wieku. Nie miało tu miejsca nic, co nie było użyteczne, przydatne, nie pracowało na siebie.

Niania Ogg każdą płaską powierzchnię w swym domu zmuszała do służby w roli tła dla ozdób i kwiatów w doniczkach. Ludzie dawali niani Ogg różne rzeczy. Tanie, odpustowe śmiecie, jak nazywała je babcia – przynajmniej publicznie. Co myślała o nich w skrytości swego umysłu, tego nigdy nie zdradzała.

W tych szarych godzinach nocy niełatwo było jej rozważać fakt, że ludzie przyjdą na jej pogrzeb chyba tylko po to, by się upewnić, iż naprawdę nie żyje.

Następnego dnia Percy Hopcroft otworzył drzwi kuchenne i spojrzał prosto w błękitne oczy babci Weatherwax.

–O rany – mruknął pod nosem.

Babcia chrząknęła z zakłopotaniem.

–Panie Hopcroft, przychodzę w sprawie tych jabłek, które nazwał pan na cześć pani Ogg – wyjaśniła.

Kolana Percy’ego zaczęły dygotać, a peruka zsuwać się na tył głowy, ku spodziewanemu bezpieczeństwu podłogi.

–Chciałam panu za to podziękować, gdyż bardzo ją pan ucieszył – kontynuowała babcia

głosem, który komuś dobrze ją znającemu wydałby się dziwnie monotony. – Zrobiła tu wiele dobrego i pora, by spotkała ją za to jakaś nagroda. Wpadł pan na bardzo dobry pomysł.

Dlatego przynoszę panu ten drobiazg...

Hopcroft odskoczył, kiedy babcia sięgnęła pod fartuch i wyjęła niewielki czarny flakonik.

–Jest bardzo rzadki z powodu rzadkich ziół w nim zawartych. Które są rzadkie. Niezwykle rzadkie zioła.

Hopcroftowi przyszło w końcu do głowy, że powinien wziąć buteleczkę. Chwycił ją za szyjkę tak ostrożnie, jakby się obawiał, że zacznie gwizdać albo wyrosną jej nóżki.

–Eee... Bardzo pani dziękuję – wymamrotał.

Babcia sztywno skinęła głową.

–Niech błogosławione będzie to domostwo – powiedziała, odwróciła się i odeszła ścieżką.

Hopcroft ostrożnie zamknął drzwi i oparł się o nie plecami.

–Pakuj się, ale już! – krzyknął do wyglądającej z kuchni żony.

–Co?! Przecież to jest nasze życie! Nie możemy go tak po prostu zostawić!

–Lepiej uciec, niż potem kicać, kobieto! Czego ona chce ode mnie? O co jej chodzi? Nigdy nie jest miła!

Pani Hopcroft nie ustępowała. Ich dom wreszcie zaczął wyglądać tak, jak powinien, a niedawno kupili nową pompę. Niektóre rzeczy trudno porzucić.

–Więc odetchnij i się zastanów – poradziła. – Co jest w tej butelce?

Hopcroft spojrzał na podarunek trzymany w wyciągniętej ręce.

–Chcesz się przekonać?

–Przestań się trząść, człowieku! Przecież niczym ci nie groziła, prawda?

–Powiedziała: „Niech błogosławione będzie to domostwo”! Dla mnie brzmi to bardzo groźnie! To przecież była babcia Weatherwax!

Postawił buteleczkę na stole. Oboje przyglądali się jej skuleni w pozie charakterystycznej dla osób gotowych do natychmiastowej ucieczki, gdyby cokolwiek zaczęło się dziać.

–Na etykietce stoi „Odradzac włośów” – zauważyła pani Hopcroft.

–Nie będę tego używał!

–Ale ona potem zapyta. Zawsze tak robi.

–Jeśli ci się wydaje, że...

–Możemy najpierw wypróbować na psie.

–To dobra krowa.

William Poorchick ocknął się z zadumy przy dojeniu i rozejrzał po łące. Dłonie wciąż pociągały za wymiona.

Zza żywopłotu wynurzał się czarny szpiczasty kapelusz. William drgnął tak mocno, że mleko polało mu się do lewego buta.

–Daje dużo mleka, prawda?

–Tak, pani Weatherwax! – wyjąkał.

–To dobrze. I oby czyniła to jeszcze długo. Tak myślę. Życzę miłego dnia.

I szpiczasty kapelusz podążył dalej drogą.

Poorchick wpatrywał się w odchodzącą czarownicę. Po chwili chwycił wiadro i chlupiąc przy każdym kroku, pobiegł do stodoły.

–Rummage! – krzyknął na syna. – Złaź tu zaraz! Chłopiec wyrzał ze stryszku; trzymał w ręku widły.

–Co się stało, tato?

–Masz natychmiast odprowadzić Daphne na targ, rozumiesz?

–Co? Przecież daje najwięcej mleka ze wszystkich! Tato...

–Dawała, synu, dawała. Babcia Weatherwax właśnie rzuciła na nią klątwę! Sprzedajmy ją zaraz, zanim jej rogi odpadną!

–A co powiedziała, tato?

–Powiedziała... powiedziała... „Oby jeszcze długo dawała dużo mleka”...

Poorchick zawahał się.

–Nie brzmi to jak straszna klątwa, tato – zauważył Rummage. – Znaczy... nie jak zwykła klątwa. Moim zdaniem, rokuje nadzieje.

–Niby... ale chodzi o to... jak... ona... mówiła...

–A jak mówiła, tato?

–Właściwie... to... miło.

–Dobrze się czujesz, tato?

–Jak to... mówiła... – Poorchick urwał na moment. – Tak być nie może – stwierdził. – Nie może! Nie ma prawa tak sobie chodzić i być miła! Nigdy nie była miła! W dodatku mam w bucie pełno mleka!

Tego dnia niania Ogg postanowiła zająć się swoim sekretnym destylatorem w lesie. Destylator był najgłębszą tajemnicą z możliwych, ponieważ wszyscy w królestwie dokładnie wiedzieli, gdzie jest, a tajemnica utrzymywana przez tak wiele osób musi być rzeczywiście wyjątkowa. Nawet król wiedział, ale miał dość rozumu, by udawać, że nie wie. Dzięki temu nie musiał żądać podatków, niania zaś nie musiała odmawiać. A co roku na Noc Strzeżenia Wiedźm dostawał baryłkę takiego miodu, jaki mógłby być, gdyby pszczoły nie żyły w abstynencji. Wszyscy rozumieli tę sytuację, nikt nie musiał nikomu płacić żadnych pieniędzy i dzięki temu, w skromnym zakresie, świat stawał się szczęśliwszym miejscem. I nikogo nie przeklinano tak, że aż komuś zęby wypadły.

Niania drzemała. Pilnowanie destylatora to praca na cały dzień i całą noc. Jednak w końcu głosy ludzi, raz po raz wykrzykujących jej imię, okazały się zbyt natrętne.

Oczywiście, nikt nie odważył się wyjść na łąkę. W ten sposób przyznałby, że wie o jej położeniu. Dlatego wszyscy przedzierali się przez krzaki dookoła.

Niania przedarła się także. Powitały ją pełne udawanego zdumienia spojrzenia, których nie powstydziałaby się amatorska trupa teatralna.

–No dobrze. Czego chcecie? – spytała.

–Pani Ogg, myśleliśmy, że pewnie pani... wyszła na spacer po lesie – wyjaśnił Poorchick, a tymczasem zapach, którym można by czyścić szkło, unosił się w podmuchach wiatru. – Musi pani coś zrobić! Chodzi o panią Weatherwax!

–Co się stało?

–Wy powiedzcie, Hampicker!

Mężczyzna obok Poorchicka zdjął z szacunkiem kapelusz i stanął z pozie „aj-senor-

banditos-ograbili-naszą-wioskę”.

–Mój chłopak i ja, psze pani, kopaliśmy studnię, a ona przechodziła obok...

–Babcia Weatherwax?

–Tak, psze pani, i powiedziała... – Hampicker przełknął ślinę. – „Nie znajdziecie tu wody, mój poczciwy człowieku. Lepiej kopcie w tym zagłębieniu przy kasztanie”! Ale my kopaliśmy dalej i nie znaleźliśmy ani kropli!

Niania zapaliła fajkę. Nie paliła w pobliżu destylatora od czasu, kiedy przypadkowa iskra posłała beczkę, na której akurat siedziała, na pięćdziesiąt sążni w górę. Miała szczęście, że jodła wyhamowała jej upadek.

–Rozumiem. A potem zaczęliście kopać pod kasztanem? – spytała łagodnie.

Hampicker był wyraźnie wstrząśnięty tą sugestią.

–Nie, psze pani! Skąd można wiedzieć, co chciała, żebyśmy tam znaleźli?!

–I przekląła moją krowę! – dodał Poorchick.

–Naprawdę? A jak?

–Powiedziała, żeby dawała dużo mleka! – Poorchick urwał. Teraz, kiedy to powtórzył... – Chodzi o to, w jaki sposób mówiła – dodał niepewnie.

–A jakiż to sposób?

–Miły!

–Miły?

–Uśmiechała się i w ogóle! Teraz boję się nawet pić to mleko! Niania była zdumiona.

–Nie bardzo rozumiem, w czym problem...

–Wytłumaczcie to psu Hopcrofta – rzekł Poorchick. – Przez nią Hopcroft nawet na chwilę nie może zostawić biednego zwierzaka!

Cała rodzina wariuje! Hopcroft go strzyże, żona ostrzy nożyce, a obaj chłopcy ciągle szukają miejsc, gdzie można by zakopać sierść.

Cierpliwe pytania niani wyjaśniły rolę, jaką w tych wydarzeniach odegrał „Odradzac włosów”.

–I dał go psu...?

–Pół butelki, pani Ogg.

–Chociaż Esme zawsze pisze na etykiecie: „Jedną małą łyżeczkę raz w tygodniu”? I nawet wtedy lepiej nosić luźne spodnie?

–Mówi, że był strasznie zdenerwowany, pani Ogg! Co ona wyprawia? Nasze żony trzymają dzieciaki w chałupach, bo gdyby nagle się na nie uśmiechnęła...

–To co?

–Przecież jest czarownicą!

–Ja też. I ja się do nich uśmiecham – przypomniawszy niania Ogg. – Ciągłe za mną biegają i proszą o cukierki.

–Tak, ale... pani jest... znaczy... ona... znaczy... pani nie... znaczy, niby...

–Przecież to dobra kobieta – przypomniawszy mu niania. Uczciwość kazała jej dodać: – Na swój sposób. Przypuszczam, że naprawdę jest woda koło kasztana i że krowa Poorchicka będzie dawała dobre mleko, a jeśli Hopcroft nie czyta etykiet na butelkach, to zasługuje na głowę, w której można się przejrzeć. No ale jeśli myślicie, że Esme Weatherwax przeklina dzieci, to macie tyle rozumu co dżdżownica. Krzyczy na nie przez cały dzień, to prawda. Ale nie przeklina. Nie jest zdolna do takich rzeczy.

–Tak, tak... – Poorchick niemal jęczał. – Ale to nie jest w porządku, o to tylko nam chodzi. Ona sobie spaceruje i jest miła, a człowiek nie wie, na czym stoi.

–Albo kica – dodał ponuro Hampicker.

–No dobrze już, dobrze. Zajmę się tym – obiecała niania.

–Ludzie nie powinni tak sobie chodzić i robić to, czego się po nich nie oczekuje – dodał słabym głosem Poorchick. – Wszystkich to denerwuje.

–My tu popilnujemy pani desty... – zaczął Hampicker, po czym zatoczył się do tyłu, dysząc ciężko i trzymając za brzuch.

–Proszę nie zwracać na niego uwagi, to nerwy – wyjaśnił Poorchick, rozcierając łokieć. – Zbierała pani zioła, nianiu?

–Zgadza się – odparła niania, maszerując szybko po zeschniętych liściach.

–W takim razie zgaszę ogień! – zawołał za nią Poorchick.



Kiedy nadeszła niania Ogg, babcia siedziała na ganku. Przebierała w jakimś worku, a wokół niej leżały stare ubrania.

W dodatku nucila pod nosem. Niania Ogg zaczęła się martwić: babcia Weatherwax, jaką znała, nie aprobowała muzyki.

I jeszcze uśmiechnęła się, zobaczywszy przyjaciółkę – a w każdym razie kącik jej ust uniósł się lekko. To było naprawdę niepokojące. Zazwyczaj babcia uśmiechała się tylko

wtedy, kiedy coś złego spotykało kogoś, kto na to zasłużył.

–Jak miło cię widzieć, Gytho!

–Dobrze się czujesz, Esme?

–Nigdy nie czułam się lepiej, moja droga. Nucenie nie cichło.

–Ee... Przebierasz gałgany? – spytała niania. – W końcu uszyjesz tę narzutę?

Do niezachwianych wierzeń babci Weatherwax należało przekonanie, że pewnego dnia uszyje pikowaną narzutę. Jednak zadanie to wymagało cierpliwości, więc w ciągu piętnastu lat doszła do trzeciego kwadratu. Lecz i tak zbierała stare ubrania – jak większość czarownic. Tak wypadało. Stare ubrania miały swoją osobowość, jak stare domy. Jeśli chodzi o stare, ale jeszcze nie do końca znoszone ubrania, czarownice nie przejawiały ani krzty godności.

–Gdzieś tu była... – mruzczała babcia. – Aha, mam. – Wyciągnęła z worka suknię – w zasadzie różową. – Wiedziałam, że gdzieś tu ją schowałam – mówiła dalej. – Prawie nie używana. I prawie mój rozmiar.

–Chcesz ją włożyć? – nie dowierzała niania.

Skierowane ku niej przenikliwe spojrzenie błękitnych oczu mogłoby odciąć człowieka na wysokości kolan. Niania z ulgą przyjęłaby odpowiedź: „Nie, chcę ją zjeść, tępą krowo”. Jednak jej przyjaciółka uspokoiła się natychmiast.

–Myślisz, że nie pasuje? – spytała zatroskana.

Kołnierzyk był obsyty koronką... Niania przełknęła ślinę.

–Zwykle ubierasz się na czarno – przypomniała. – Nawet częściej niż zwykle. Raczej zawsze.

–I smętnie wyglądam – odparła babcia. – Pora na coś weselszego, nie sądzisz?

–A w dodatku jest taka strasznie... różowa.

Babcia odłożyła suknię i – ku przerażeniu niani – ujęła ją za rękę.

–Wiesz, Gytho – powiedziała z przekonaniem – uważam, że w sprawie Prób upierałam się jak osioł.

–Oślica – poprawiła ją odruchowo niania.

Na moment oczy babci ponownie zmieniły się w dwa szafiry.

–Co?

–Ehm... Byłaś uparta jak oślica. Nie jak osioł.

–Aha... No tak, rzeczywiście. Dziękuję, że zwróciłaś mi na to uwagę. W każdym razie pomyślałam, że naprawdę lepiej się wycofać, pójść tam i kibicować młodszemu. Chodzi mi o to, rozumiesz... Nigdy nie byłam zbyt miła dla ludzi, prawda?

–Ehem...

–Próbowałam – tłumaczyła babcia. – Ale z przykrością stwierdzam, że nie wyszło to tak, jak się spodziewałam.

–Nigdy nie miałaś talentu do... do bycia miłą – przyznała niania.

Babcia uśmiechnęła się. Niania przyglądała się jej czujnie, ale nie spostrzegła niczego prócz szczerej troski.

–Może z czasem nabiorę wprawy...

I babcia poklepała dłoń niani. A niania przyglądała się tej dłoni, jakby właśnie stało się z nią coś przerażającego.

–Kiedy widzisz... wszyscy się przyzwyczaili, że jesteś taka, no... stanowcza.

–Pomyślałam, że przygotuję dżem i ciastka na stragan z wypiekami – dodała babcia.

–No... to dobrze.

–Czy są w okolicy jacyś chorzy, których mogłabym odwiedzić?

Niania spojrzała na drzewa. Sytuacja pogarszała się z każdą chwilą. Sprawdziła w pamięci, czy w pobliżu jest ktoś dostatecznie chory, by wymagał wizyty, ale jednak na tyle zdrowy, by przeżył szok odwiedzin babci Weatherwax. Jeśli chodziło o praktyczną psychologię i niektóre odmiany fizjoterapii, babcia nie miała sobie równych. Co więcej, tę drugą potrafiła stosować nawet na odległość, gdyż niejedna cierpiąca dusza podrywała się z łóżka i

odchodziła, czy wręcz uciekała biegiem na wieść, że babcia nadchodzi.

–Wszyscy akurat całkiem dobrze się czują – stwierdziła dyplomatycznie.

–Może jacyś starzy ludzie wymagają pociechy?

Obie kobiety uważały za oczywiste, że określenie „starzy ludzie” ich nie dotyczy. Czarownica w wieku dziewięćdziesięciu siedmiu lat nie jest stara. Starość zdarza się innym.

–Wszyscy są raczej weseli.

–Więc może mogłabym opowiedzieć dzieciom jakieś bajki?

Niania pokiwała głową. Babcia zrobiła to już kiedyś, gdy przelotnie ogarnął ją właściwy nastrój. Udało się całkiem dobrze, przynajmniej jeśli chodzi o dzieci. Z otwartymi buziami słuchały starej ludowej legendy. Problem pojawił się, kiedy wróciły do domu i spytały rodziców, jak się wypruwa flaki.

–Siedziałabym w bujanym fotelu i opowiadała. Pamiętam, że tak się to robi. I mogłabym przygotować dla nich moje specjalne toffikowe jabłuszka z melasy. Byłoby miło.

Niania raz jeszcze kiwnęła głową, zalekniona i oszołomiona. Uświadomiła sobie, że tylko ona stoi na drodze niszczącej fali miłych wydarzeń.

–Toffi – powtórzyła. – Czy to ta odmiana, która pęka jak szkło, czy może ta, po której musieliśmy naszemu Pewseyowi otwierać buzię łyżką?

–Chyba wiem, co mi się wtedy nie udało.

–Zdajesz sobie sprawę, Esme, że ty i cukier jakoś do siebie nie pasujecie. Pamiętasz swoje całodniowe irysy?

–Wystarczały na cały dzień, Gytho.

–Tylko dlatego, że nasz Pewsey nie mógł jednego wyjąć z buzi, dopóki nie wyrwaliśmy mu dwóch zębów. Lepiej trzymaj się marynat, Esme. Z marynatami świetnie sobie radzisz.

–Przecież muszę coś zrobić, Gytho! Nie mogę przez cały czas być starą zrzędą. Już wiem! Pomogę przy Próbach! Na pewno mają dużo pracy.

Niania uśmiechnęła się w duchu. Więc o to chodzi...

–Chyba tak – przyznała. – Pani Skorek z radością ci powie, co masz robić.

I okaże się tym większą idiotką, pomyślała, bo przecież widzę, że coś knujesz.

–Porozmawiam z nią – postanowiła babcia. – Mogę pomóc w milionie spraw, jeśli tylko przyłożę się do pracy.

–Nie mam wątpliwości – zgodziła się szczerze niania. – Przeczuwam, że dokonasz wielkiego dzieła.

Babcia znowu zaczęła grzebać w worku.

–Ty też będziesz, Gytho, prawda?

–Ja? Za nic na świecie bym tego nie opuściła.

Niania wstała wyjątkowo wcześnie. Jeśli miały się zdarzyć jakieś nieprzyjemne wypadki, chciała siedzieć w pierwszym rzędzie.

Zdarzyły się sznury chorągiewek. Kiedy szła na Próby, widziała między drzewami ich przeraźliwie kolorowe pętle.

Dostrzegała w nich coś dziwnie znajomego... Teoretycznie nie powinno być możliwe, by ktoś dysponujący parą nożyc nie potrafił wyciąć trójkąta. A jednak komuś się to udało. Było też oczywiste, że chorągiewki zrobiono z pracowicie pociętych starych ubrań. Niania domyśliła się tego, gdyż zwykle niewiele chorągiewek ma kołnierzyki.

Na polu Prób ludzie ustawiali stragany i potykali się o dzieci. Komitet stał niepewnie pod drzewem, od czasu do czasu zerkając na różową postać na szczycie bardzo wysokiej drabiny.

–Przyszła jeszcze przed świtem – poinformowała Letycja Skorek. – Powiedziała, że przez całą noc wycinała chorągiewki.

–Powiedz jej o ciastkach – przypomniała babunia Beavis.

–Przyniosła ciastka? – zdumiała się niania. – Przecież nie umie piec...

Komitet odsunął się nieco. Wiele pań przyniosło na Próby swoje wypieki. Taka była tradycja i nieoficjalny dodatkowy konkurs. Pośród półmisków stała wielka patera

wypełniona... przedmiotami nieokreślonego kształtu i koloru. Wyglądały, jakby stado małych krów objadło się rodzynek, a potem pochorowało. Były to Urciastka, ciastka prehistoryczne, ciastka wielkiej wagi i znaczenia nie mające miejsca pośród lukrowanych drobiazgów.

–Nigdy nie miała do tego talentu – stwierdziła niepewnie niania. – Czy ktoś już ich kosztował?

–Hahaha – odparła z godnością babunia.

–Twarde, co?

–Można nimi zatłuc trolla na śmierć.

–Ale była taka... taka dumna – wtrąciła Letycja. – I jeszcze ten dżem...

Wskazała wielki słój. Zdawało się, że wypełnia go zestalona, fioletowa lawa.

–Ładny... kolor – wykrztusiła niania. – Próbowaliście?

–Nie mogliśmy wyciągnąć łyżki – mruknęła babunia.

–Ależ z pewnością...

–A włożyliśmy ją młotkiem.

–Co ona knuje, pani Ogg? – spytała Letycja. – Ma słaby, mściwy charakter. Jest pani jej przyjaciółką – dodała tonem sugerującym, że to raczej oskarżenie niż stwierdzenie faktu.

–Nie wiem, co wymyśliła, pani Skorek.

–Sądziłam, że będzie się trzymać z daleka.

–Powiedziała, że okaże zainteresowanie i zachęci młode adeptki.

–Coś knuje – powtórzyła mrocznie Letycja. – Te ciastka to spisek dla podkopania mojego autorytetu.

–Nie, ona zawsze tak piecze – uspokoiła ją niania. – Zwyczajnie nie ma do tego zdolności.

Twój autorytet, tak?

–Już prawie skończyła z chorągiewkami – zameldowała babunia. – Zaraz spróbuje znowu się do czegoś przydać.

–No... możemy ją chyba poprosić, żeby posiedziała przy Szczęśliwym Połowie.

Niania nie rozumiała.

–Chodzi o tę balię z otrębami, z której dzieci wyławiają różne rzeczy?

–Tak.

–I chce pani tam posłać babcię Weatherwax?

–Tak.

–Ale ona ma dość dziwaczne poczucie humoru, jeśli rozumie pani, co mam na myśli.

–Dzień dobry wszystkim!

To był głos babci Weatherwax. Niania Ogg знаła go prawie całe życie. Ale tym razem wydawał się inny: brzmiał miło.

–Zastanawialiśmy się, czy zechciałaby pani popilnować balii z otrębami, panno Weatherwax.

Niania drgnęła. Ale babcia odpowiedziała spokojnie:

–Z radością, pani Skorek. Nie mogę się doczekać widoku ich twarzyczek, kiedy będą wyciągać zabawki.

Ani ja, pomyślała niania.

Kiedy pozostałe rozeszły się w pilnych sprawach, zbliżyła się do przyjaciółki.

–Dlaczego to robisz? – spytała.

–Naprawdę nie wiem, o co ci chodzi, Gytho.

–Widziałam już, jak cofają się przed tobą groźne zwierzęta. Na miłość bogów, widziałam nawet, jak raz złapałaś jednoroźca. Co teraz planujesz?

–Wciąż nie wiem, Gytho, o czym mówisz.

–Jesteś zła, bo nie pozwoliły ci wystartować, i przygotowujesz straszliwą zemstę?

Przez chwilę obie rozglądały się po polu. Zaczynało się wypełniać. Ludzie rzucali w kręgle, żeby wygrać prosiaka, albo wspinali się na słup wysmarowany tłuszczem. Amatorska Orkiestra Lancre próbowała zaprezentować składankę popularnych melodii – szkoda tylko, że każdy z muzyków grał inną. Dzieci biły się ze sobą. Zapowiadał się upalny dzień, prawdopodobnie ostatni w tym roku.

Ich wzrok przyciągnął otoczony linami kwadrat pośrodku pola.

–Wystąpisz w Próbach, Gytho? – zainteresowała się babcia.

–Nie odpowiedziałas na moje pytanie!

–A jakież to było pytanie?

Niania postanowiła nie dobijać się do zamkniętych drzwi.

–Owszem, zamierzam wystartować – przyznała.

–Mam więc nadzieję, że zwyciężysz. Kibicowałabym ci, ale to nie byłoby uczciwe wobec pozostałych. Wmieszam się w tłum i będę cichutko jak myszka.

Niania spróbowała podstępu. Rozciągnęła usta w szerokim, różowym uśmiechu i szturchnęła babcię porozumiewawczo.

–Dobrze, dobrze – powiedziała. – Ale mnie możesz przecież powiedzieć. Nie chciałabym czegoś przeoczyć, kiedy to się zdarzy. Więc tylko daj mi jakiś znak, że zaraz zaczniesz. Zgoda?

–O jakim „tym” mówisz, Gytho?

–Esme Weatherwax, czasem naprawdę mam ochotę ci przyłożyć!

–Ojej, naprawdę? – zmartwiła się babcia.

Niania Ogg nieczęsto przeklinała, a przynajmniej nieczęsto używała słów wykraczających poza granice tego, co mieszkańcy Lancre uważali za „barwny język”. Wyglądała wprawdzie, jakby zwykle rzucała brzydkimi słowami i dopiero co wymyśliła jakieś szczególnie udane, ale czarownice w większości bardzo uważają na to, co mówią. Nigdy nie wiadomo, do czego zdolne są słowa, kiedy znajdują się poza zasięgiem słuchu.

Teraz jednak niania zaklęła pod nosem i rozpałała w trawie kilka ogników.

To wprowadziło ją w odpowiedni nastrój do Klątw.

Podobno dawno temu kierowano je na żywy, oddychający – przynajmniej na początku konkursu – obiekt. Uznano jednak, że nie jest to właściwe w dniu tradycyjnie przeznaczonym na rodzinne spacerowanie, więc od kilkuset lat Klątwy rzucano na Pechowego Charliego, który – jakkolwiek na to patrzeć – był zwykłym strachem na wróble. A że klątwy dotyczyły zwykle umysłu przeklinanego, stanowiło to niejaki problem. Nawet „Niech ci słoma spleśnieje i wypadnie marchewka” nie robiło specjalnego wrażenia na dyni. Ale punkty przyznawano za ogólny styl i inwencję.

Nikt się zresztą szczególnie nie wysiłał. Wszyscy wiedzieli, jaki jest najważniejszy turniej, a nie był to Pechowy Charlie.

Któregoś roku babcia Weatherwax sprawiła, że dynia eksplodowała. Nikt nie wiedział, jak tego dokonała.

Ktoś zejdzie dzisiaj wieczorem z tego pola i wszyscy będą wiedzieli, że to zwyciężczyni, niezależnie od tego, co mówią punkty. Można dostać nagrodę dla Czarownicy w Najszpiczastym Kapeluszu albo za przystrojenie miotły, ale to za ledwie pokazy dla

publiczności. Liczy się tylko Sztuczka, nad którą wszystkie pracowały całe lato.

Niania wylosowała ostatnią pozycję, numer dziewiętnasty. W tym roku pojawiło się sporo czarownic. Wieści o rezygnacji babci Weatherwax rozeszły się szybko, gdyż nic nie rozchodzi się szybciej od wieści w magicznej społeczności – nie muszą podróżować na poziomie gruntu. Liczne szpiczaste kapelusze przesuwają się i pochylały wśród tłumu.

Czarownice są zwykle tak towarzyskie jak koty. Ale – znowu jak koty – mają swoje miejsca, chwile i tereny neutralne, na których spotykają się w czymś zbliżonym do zgody. Odbychał się zatem powolny, złożony taniec...

Czarownice spacerowały, witały się ze sobą, wychodziły na spotkanie nowo przybyłym... Przypadkowi przechodnie mogliby uwierzyć, że zebrały się tu stare przyjaciółki. Zresztą, na pewnym poziomie, były przyjaciółkami. Ale niania spoglądała na to okiem czarownicy i widziała subtelne przesunięcia, czujne oceny, kontakty wzrokowe o precyzyjnie dostrojonej intensywności i czasie trwania.

Kiedy czarownica wchodziła na arenę, zwłaszcza jeśli była stosunkowo mało znana, wszystkie pozostałe szukały jakiegoś pretekstu, by nie spuszczać jej z oka. Jeśli to możliwe, udając przy tym, że wcale nie zwracają na nią uwagi.

Naprawdę przypominały koty. Koty wiele czasu spędzają, obserwując się nawzajem. Kiedy muszą walczyć, to jedynie po to, by przypieczętować coś, co już rozstrzygnęły w głowach.

Niania wiedziała to wszystko. Wiedziała także, że większość czarownic jest życzliwa (ogólnie), łagodna (dla pokornych), wielkoduszna (dla zasługujących, bo nie zasługujący dostawali więcej, niż im się należało) i generalnie oddana swemu powołaniu, które oferuje w życiu raczej kopniaki niż całusy. Ani jedna nie mieszkała w chatce ze słodyczy, chociaż te młodsze, nowoczesne, eksperymentowały z różnymi odmianami chrupkiego pieczywa. Nawet dzieci, którym dobrze by to zrobiło, nie trafiały do ich piekarników. Czarownice zwykle robiły to, co zawsze: wygładzały sąsiadom drogę na świat i ze świata i pomagały pokonywać co trudniejsze przeszkody między jednym a drugim.

Aby tak żyć, trzeba mieć wyjątkowy charakter. I wyjątkowe ucho, ponieważ spotyka się ludzi w okolicznościach, w których skłonni są do zwierzeń: gdzie zakopali pieniądze, kto jest ojcem albo dlaczego znowu mają podbite oko. Potrzebne są też wyjątkowe usta: takie, które pozostają zamknięte. Dotrzymywanie tajemnic daje siłę. A siła zyskuje szacunek. Szacunek to twarda waluta.

W tym siostrzanym bractwie – tyle że to nie żadne bractwo, raczej luźne zbiorowisko chronicznych samotniczek; grupa czarownic to nie sabat, ale niewielka wojna – zawsze ważna jest świadomość własnej pozycji. Nie ma ona nic wspólnego z tym, co reszta świata uważa za hierarchię. Niczego się nigdy nie mówi. Kiedy jednak któraś ze starszych czarownic umiera, czarownice mieszkające w pobliżu przychodzą na pogrzeb i wygłaszają



kilka słów pożegnania; potem, samotne i poważne, wracają do domów, a w głębi ich umysłów szarpie się natrętna myśl: Weszłam o jeden szczebel wyżej.

Nowo przybyłe obserwowano bardzo, ale to bardzo uważnie.

–Dzień dobry, pani Ogg – odezwał się jakiś głos za plecami niani. – Mam nadzieję, że znajduję panią w dobrym zdrowiu?

–Jak się pani miewa, pani Shimmy? – Niania odwróciła się. Jej myślowa baza danych wyrzuciła kartę katalogową: Clarity Shimmy, mieszka ze starą matką pod Ostrocieniem, wacha tabakę, dobra ze zwierzętami. – A jak tam pani mama?

–Pochowaliśmy ją w zeszłym miesiącu, pani Ogg.

Niania Ogg dosyć lubiła Clarity, ponieważ rzadko ją widywała.

–Ojej... – zmartwiła się.

–Ale powiem jej, że pani pytała. – Clarity zerknęła na arenę. – Kim jest ta tłusta dziewczyna w linach? – spytała. – Z tyłkiem jak kula do kręgli na huśtawce?

–To Agnes Nitt.

–Trzeba przyznać, że ma głos do przeklinania. Po takiej klątwie człowiek wie, że został przeklęty.

–O tak, los pobłogosławił ją dobrym, przeklinającym głosem – zgodziła się uprzejmie niania. – Esme Weatherwax i ja udzieliłyśmy jej kilku wskazówek – dodała.

Clarity obejrzała się.

Na brzegu pola niewielka, różowa postać siedziała samotnie przy Szczęśliwym Połowie. Jakoś nie ciągnęły tam tłumy. Clarity pochyliła się ku niani.

–Co ona... tego... robi?

–Nie mam pojęcia. Myślę, że postanowiła być miłą dla wszystkich.

–Esme? Miła?

–No... tak – potwierdziła niania. Wcale nie zabrzmiało to lepiej, kiedy komuś powiedziała.

Clarity przyglądała się jej przez chwilę. Niania zauważyła, że robi dyskretny znak lewą ręką; potem odeszła szybko.

Szpiczaste kapelusze zbierały się w grupki po trzy lub cztery. Szpice zbliżały się do siebie, stykały w ożywionej rozmowie, a potem otwierały się jak kwiaty i odwracały w stronę dalekiej plamy różu. Później jeden kapelusz oddalał się od grupy i kierował ku następnej, gdzie proces się powtarzał. Wyglądało to jak bardzo powolna reakcja łańcuchowa. Podniecenie narastało i wkrótce pewnie nastąpi wybuch.

Od czasu do czasu ktoś oglądał się i zerkał na nianię, więc przeszła szybko między straganami i dotarła do kramu krasnoluda Zakzaka Wręcemocnego, wytwórcy i dostawcy magicznych drobiazgów dla łatwowiernych. Skinął jej uprzejmie głową ponad kartką z napisem: SZCZĘŚLIWE PODKOWY 2 DOLARY SZTUKA.

–Witam, pani Ogg! – zawołał. Niania odkryła, że się denerwuje.

–Co w nich jest szczęśliwego? – spytała, biorąc podkowę do ręki.

–Za każdą dostaję dwa dolary – wyjaśnił Wręcemocny.

–I dlatego są szczęśliwe?

–Szczęśliwe dla mnie. Pani zapewne też chce kupić, pani Ogg?

Gdybym wiedział, że będą takie popularne, przywiózłbym drugą skrzynkę. Niektóre damy kupowały po dwie.

Zaakcentował słowo „damy”.

–Czarownice kupowały szczęśliwe podkowy? – zdumiała się niania Ogg.

–Jakby jutro miało nie nadejść – odparł Zakzak. Zmarszczył czoło: to jednak były czarownice... – Ehm... ale nadejdzie... prawda?

–Jestem tego prawie zupełnie pewna – uspokoiła go niania, ale nie wydawał się pocieszony.

–Nagle bardzo wzrósł popyt na zioła ochronne – poinformował. A że był krasnoludem i Potop uznawał za doskonałą okazję, by zarobić na ręcznikach, dodał jeszcze: – Może i panią zainteresują, pani Ogg?

Niania pokręciła głową. Jeśli kłopoty miały nadejść ze strony, w którą wszyscy patrzyli, to nie pomoże byle gałązka ruty. Wielki dąb byłby lepszy, ale też nie na pewno.

Atmosfera święta wyraźnie mroczniała. Niebo wciąż miało barwę bladego błękitu, lecz za horyzontami myśli zbierały się gromy. Czarownice były niespokojne, a ponieważ tak wiele ich zgromadziło się w jednym miejscu, nerwowość odbijała się od jednej do drugiej i – wzmocniona – obejmowała wszystkich obecnych. Znaczyło to, że nawet zwykli ludzie, dla

których „runa” oznaczała suszoną śliwkę, zaczęli odczuwać głęboką, egzystencjalną troskę tego rodzaju, który skłania do pokrzykiwania na dzieci i szukania okazji do drinka.

Niania spojrzała w szczelinę między dwoma kramami. Różowa postać wciąż tam siedziała – cierpliwa, choć trochę strapiona. Przed nią ustawiła się wielka kolejka pustych miejsc.

Niania przemykała się od jednego straganu do drugiego, aż w końcu dotarła do wypieków. Stało tu sporo ludzi. Pośrodku blatu wyrastał zapomniany stos potwornych ciastek i słój dżemu. Ktoś złośliwy wypisał obok kredą: WYJMIJ ŁYŻKĘ ZE SŁOJA! 3 PRÓBY ZA PENSA!!!

Uznała, że bardzo rozsądnie postanowiła się ukrywać, gdy nagle usłyszała za sobą szelest słomy. To komitet ją wytropił.

–Czy dobrze poznaję pani pismo, pani Skorek? – spytała niania. – To okrutne. To wcale nie jest... miłe.

–Postanowiłyśmy, że pójdzie pani i porozmawia z panną Weatherwax – oznajmiła Letycja. – Musi natychmiast przestać.

–Co przestać?

–Coś miesza w głowach ludzi! Przyszła tu, by rzucić na nas wpływ, zgadłam? Wszyscy wiedzą, że czaruje w głowach. Wszystkie to czujemy! Psuje wszystkim święto!

–Przecież tylko siedzi na boku – zaprotestowała niania.

–Tak, ale jak siedzi, jeśli wolno spytać? Niania ponownie wyjrzała zza straganu.

–No... chyba zwyczajnie. Wie pani... zgięta w połowie, z kolanami...

–Proszę posłuchać, Gytho Ogg... – Letycja pokiwała srogo palcem.

–Jeśli chcecie, żeby sobie poszła, to same jej to powiedzcie! – warknęła niania. – Mam już dosyć...

Przerwał jej rozpaczliwy krzyk dziecka.

Czarownice spojrzały po sobie, a potem ruszyły biegiem przez pole do Szczęśliwego Połowu.

Mały chłopczyk leżał na ziemi i szlochał. Był to Pewsey, najmłodszy wnuk niani.

Poczuła lód w żołądku. Chwyciła dziecko na ręce i spojrzała wrogo na babcię.

–Co mu zrobiłaś, ty... – zaczęła.

–Nieciemlali! Nieciemlali! Ciemzołnieza! Ciemzołniezazołnieza – ZOOŁNIEEZA!!!

Dopiero teraz niania zauważyła szmacianą lalkę w brudnej ręczce Pewseya oraz wyraz zapłakanej, urażonej wściekłości na tym kawałku twarzy, który pozostał widoczny wokół rozwartych do wrzasku ust...

–JaciemciemZOŁNIEZAA!

...a potem miny innych czarownic i twarz babci Weatherwax. Poczła straszliwy, lodowaty wstyd przelewający się przez buty.

–Mówiłam, że może ją wrzucić z powrotem i spróbować jeszcze raz – wyjaśniła zmartwiona babcia. – Ale nie chciał słuchać.

–...ciemZOŁ...

–Pewsey, jeśli natychmiast nie przestaniesz wrzeszczeć, niania... – zaczęła niania Ogg i rzuciła najstraszniejszą groźbę, jaka jej przyszła do głowy: -...niania już nigdy nie da ci cukierka!

Pewsey zamknął buzię, wstrząśnięty tą niewyobrażalną karą. Ale wtedy, ku przerażeniu niani, Letycja Skorek wyprostowała się i wystąpiła naprzód.

–Panno Weatherwax, wolałybyśmy, aby pani stąd odeszła.

–W czymś przeszkadzam? – przestraszyła się babcia. – Miałam nadzieję, że nie. Nie chcę nikomu przeszkadzać. On tylko wyłowił lalkę i...

–Pani... pani niepokoi ludzi.

Lada moment, pomyślała niania. Lada moment podniesie głowę, zmruży oczy i jeśli Letycja nie cofnie się o dwa kroki, to jest twardsza ode mnie.

–Nie mogę zostać i popatrzeć? – spytała cicho babcia.

–Wiem, w co pani gra. Chce pani zepsuć całe święto, prawda? Nie może pani znieść myśli o przegranej, więc zaplanowała pani coś paskudnego.

Trzy kroki, uznała niania. Inaczej nie zostanie nic oprócz kości. Już zaraz...

–Nie chciałam niczego zepsuć – zapewniła babcia. Westchnęła ciężko i wstała. – Może rzeczywiście pójdę do domu...

–Nigdzie nie pójdziesz! – oświadczyła niania Ogg i pchnęła ją z powrotem na krzesło. – Co ty o tym myślisz, Beryl Dismass? A ty, Letty Parkin?

–One wszystkie... – zaczęła Letycja.

–Nie ciebie pytam!

Czarownice za plecami Letycji unikały wzroku niani.

–Wiesz, nie o to chodzi... Znaczy, nie uważamy... – zaczęła niepewnie Beryl. – Przecież... zawsze bardzo szanowałyśmy... ale... wiesz, to ma być święto dla wszystkich...

Umilkła. Letycja tryumfowała.

–Doprawdy? Może rzeczywiście powinniśmy już iść – rzekła kwaśnym tonem niania. – Nie odpowiada mi tutejsze towarzystwo. – Rozejrzała się. – Agnes! Pomóż mi odprowadzić babcię do domu.

–To niepotrzebne... – szepnęła babcia, ale dwie czarownice chwyciły ją pod ręce i łagodnie pchnęły przez tłum. Ludzie rozstępowali się przed nimi, a potem patrzyli, jak odchodzą.

–W tej sytuacji to chyba najlepsze wyjście dla wszystkich – stwierdziła Letycja.

Kilka czarownic starało się omijać wzrokiem jej twarz.

W babcinej kuchni całą podłogę zaścielały ścinki materiału, a zakrzepły dżem ściekał soplami ze stołu, tworząc niewzruszoną bryłę na podłodze. Garnek odmakął w kamiennym zlewie, ale było jasne, że prędzej przerdzewieje żelazo, niż zmiękną w nim resztki dżemu.

Obok stał rząd pustych słoików po marynatach.

Babcia usiadła i złożyła ręce na kolanach.

–Napijesz się herbaty, Esme? – zaproponowała niania Ogg.

–Nie, moja droga, dziękuję. Wracajcie na Próby. Dam sobie radę.

–Jesteś pewna?

–Posiedzę tu sobie cichutko. Nie przejmujcie się mną.

–Ja nie wracam! – syknęła Agnes, kiedy tylko wyszły za próg. – Nie podoba mi się uśmiech Letycji...

–Mówiłaś kiedyś, że nie podoba ci się zmarszczone czoło Esme.

–Owszem, ale zmarszczkom można zaufać. Hm... Nie sądzisz chyba, że traci...

–Jeśli nawet, nikt nie zdoła tego odkryć – odparła niania. – A teraz wracajmy. Jestem

przekonana, że ona coś planuje...

Żeby tylko wiedziała, co takiego, myślała. Nie zniosę dłużej tego wyczekiwania.

Zanim jeszcze wróciły na pole, wyczuła rosnące napięcie. Oczywiście, napięcie było zawsze, to przecież element Prób. Tym razem jednak miało gorzki, nieprzyjemny posmak. Zabawy wciąż trwały, ale zwykli ludzie odchodzili, wystraszeni dziwnym uczuciem, którego nie potrafili określić, a które jednak określiło dla nich czas

zakończenia święta. Same czarownice przypominały aktorów na dwie minuty przed końcem filmu grozy, kiedy wiedzą, że potwór lada chwila zaatakuje po raz ostatni, pytanie tylko, przez które drzwi wskoczy.

Grupa czarownic otaczała Letycję. Niania słyszała podniesione głosy. Szturchnęła którąś, stojącą z boku i obserwującą wszystko posępnym wzrokiem.

–Co się dzieje, Winnie?

–Reena Trump zawałiła swój występ i jej koleżanki twierdzą, że powinna spróbować jeszcze raz, bo była strasznie zdenerwowana.

–To przykre.

–A Virago Johnson uciekła, bo jej zaklęcie pogodowe się nie udało.

–Zniknęła w chmurach, co?

–Ja sama cała się trzęsłam. Masz szansę, Gytho.

–Wiesz przecież, Winnie, że nigdy nie zależało mi na nagrodach. Liczy się uciecha, którą daje udział.

Czarownica zerknęła na nią z ukosa.

–Mówisz to tak, że prawie można by ci uwierzyć – mruknęła. Podeszła babunia Beavis.

–Twoja kolej, Gytho – oznajmiła. – Postaraj się, dobrze? Jak dotąd jedyną konkurentką jest pani Weavitt i jej gwizdząca żaba, chociaż, szczerze mówiąc, nie umiała powtórzyć żadnej melodii. Biedactwo było istnym kłębkim nerwów.

Niania Ogg wzruszyła ramionami i wkroczyła między liny. Gdzieś w oddali ktoś dostał ataku hysterii, a szlochy przerywało czasem pełne troski pogwizdywanie.

W przeciwieństwie do magii magów, magia czarownic nie wymaga zwykle korzystania z wielkich, pierwotnych mocy. Różnica jest taka, jak między młotem a lewarem. Czarownice na ogół szukają właściwego punktu, w którym niewielka zmiana przyniesie odpowiedni

rezultat. Aby wywołać lawinę, można albo wstrząsnąć górą, albo dokładnie wyznaczyć miejsce, gdzie powinien upaść płatek śniegu.

Tego lata niania dla rozrywki pracowała nad Słomianym Człowiekiem. Uznała, że to idealna sztuczka. Była zabawna, odrobinę dwuznaczna, łatwiejsza, niż się wydawała, ale dowodziła, że się stara. No i praktycznie nie miała szans na wygraną.

Niech to lichy! Liczyła, że pokona ją ta żaba. W letnie wieczory słyszała przecież, jak pięknie gwizdże.

Skoncentrowała się.

Źdźbła słomy poruszyły się na ściernisku. Musiała tylko wykorzystać podmuchy wiatru snujące się nad polami, pozwolić im działać tutaj i tutaj, zakręcić spiralą w górę i...

Usiłowała opanować drżenie rąk. Robiła to przecież setki razy – mogłaby powiązać tę słomę w supły. Wciąż jednak widziała twarz Esme Weatherwax, siedzącej nieruchomo, zdziwionej i zakłopotanej, gdy niania Ogg przez sekundę gotowa była zabijać...

Zdołała jakoś ustawić nogi, sugestię ramion i głowy... Widzowie nagrodzili ją oklaskami. A potem zbłąkany powiew chwycił dzieło, nim zdążyła się skupić na jego pierwszym kroku, i rozrzucił w stos bezużytecznej słomy.

Wykonała kilka nerwowych gestów, próbowała zmusić Człowieka do powstania. Przekręcił się tylko, zaplątał i znieruchomiał.

Zabrzmiały nerwowe, sporadyczne oklaski.

–Przepraszam... jakoś mi dzisiaj nie wychodzi – wymamrotała niania i zeszła z areny.

Sędziny zebrały się na naradę.

–Moim zdaniem, żaba całkiem dobrze sobie radziła – oświadczyła niania trochę głośniejszym głosem, niż było to konieczne.

Wiatr, tak niechętny jeszcze przed chwilą, dmuchnął mocniej. Psychiczny mrok otaczający Próby został teraz wzmocniony przez rzeczywisty zmierzch.

Ciemny stos drewna wznosił się na krańcu pola. Jak dotąd nikt nie miał serca, by go podpalić. Niemal wszyscy poza czarownicami wrócili do domów. Wszelka radość odpłynęła już dawno.

Sędziowski krąg rozstał się i Letycja Skorek ruszyła w stronę zawodniczek. Jej uśmiech tylko odrobinę stężał w kącikach ust.

–No cóż, to była trudna decyzja – zaczęła wesóło. – Ale cóż za wyrównany poziom! Wybór

nie należał do łatwych...

Między mną a żabą, która zapomniała, jak się gwizdże, za to łapa uwięzła jej w mandolinie, pomyślała niania. Zerknęła na swe siostry czarownice. Niektóre znała od sześćdziesięciu lat... Gdyby kiedykolwiek czytała książki, mogłaby teraz tak samo czytać w ich twarzach.

–Wszystkie wiemy, kto zwyciężył, pani Skorek – rzekła, przerywając potok słów.

–O czym pani mówi, pani Ogg?

–Nie ma wśród nas ani jednej, która potrafiłaby się dziś skupić jak należy. A większość miała szczęśliwe amulety. Czarownice? Kupujące szczęśliwe amulety?

Kilka kobiet spuściło głowy.

–Nie rozumiem, dlaczego wszyscy tak się boją panny Weatherwax! Bo ja na pewno nie! Myśli pani, że rzuciła na nas urok?

–I to dość potężny, sądząc po działaniu – potwierdziła niania. – Proszę posłuchać, pani Skorek. Żadna dziś nie wygrała, nie tym, co udało się nam pokazać. Wszystkie to wiemy. Więc może zwyczajnie wróćmy do domów, co?

–Stanowczo nie! Dałam za ten puchar dziesięć dolarów i zamierzam go wręczyć...

Martwe liście zaszeleściły na drzewach. Czarownice skupiły się. Zagrzechotały gałęzie.

–To wiatr – szepnęła niania Ogg. – Tylko...

A potem babcia po prostu stała obok. Jakby dopiero teraz zauważyły, że stoi tam przez cały czas. Potrafiła wtapiać się w tło.

–Pomyślałam, że przyjdę zobaczyć, kto zwyciężył – powiedziała – Dołączę do oklasków i w ogóle...

Letycja podeszła do niej, czerwona ze złości.

–Grzebałaś ludziom w głowach?! – wrzasnęła.

–Jak mogłabym tego dokonać, pani Skorek? – spytała grzecznie babcia. – Wobec tylu amuletów?

–Kłamiesz!

Niania Ogg usłyszała liczne syknięcia, a jej było najgłośniejsze. Słowa są życiem czarownic.



–Nigdy nie kłamię, pani Skorek.

–Czy zaprzeczasz, że postanowiłaś zepsuć mi dzień? Niektóre z czarownic, stojące na obrzeżach grupy, zaczęły się wycofywać.

–Przyznaję, że mój dżem nie każdemu mógł przypaść do gustu, ale nigdy... – zaczęła skromnie babcia.

–Rzuciłaś wpływ na wszystkich!

–Chciałam tylko pomóc, może pani spytać kogokolwiek...

–Zrobiłaś to! Przyznaj! – Głos Letycji był skrzekliwy jak wrzask mewy.

–I z pewnością nie rzucałam...

Babcia odwróciła głowę, gdy Letycja uderzyła ją w twarz. Przez chwilę nikt nie oddychał. Nikt nawet nie drgnął. Babcia podniosła powoli rękę i roztarła policzek.

–Sama wiesz, że mogłabyś to zrobić bez trudu!

Niani wydawało się, że krzyk Letycji odbija się echem aż od gór.

Puchar wypadł jej z rąk i zaszeleścił na słomie.

Cała scena nabrała życia. Dwie siostry czarownice podeszły szybko, chwyciły Letycję za ramiona i odciągnęły łagodnie. Nie protestowała.

Wszystkie pozostałe czekały, co zrobi babcia Weatherwax. Uniósła głowę.

–Mam nadzieję, że pani Skorek nic nie dolega – odezwała się. – Wydawała się nieco... podenerwowana.

Odpowiedziało jej milczenie. Niania Ogg podniosła upuszczony puchar i postukała w niego palcem.

–Hmm – mruknęła. – Tylko pozłacany. Jeśli zapłaciła za niego dziesięć dolarów, to ktoś biedaczkę okradł. – Rzuciła puchar babuni Beavis, która chwyciła go w powietrzu. – Oddaj jej jutro, dobrze?

Babunia kiwnęła głową, starannie unikając wzroku babci Weatherwax.

–Ale nie musimy psuć sobie całego święta! – zawołała wesoło babcia. – Niech ten dzień skończy się jak należy! Tradycyjnie. Pieczone ziemniaki, prawoślaz i opowieści przy ognisku. I wybaczenie. Co było – minęło.

Niania wyczuła nagłą, ogarniającą wszystkich ulgę. Czarownice nabrały życia, kiedy tylko pękł czar, którego od początku wcale nie było. Nastąpiło ogólne prostowanie ramion i początki krzątania, gdy ruszały do juków przy miotłach.

–Hopcroft dał mi cały worek ziemniaków – powiedziała niania, kiedy wokół nich zabrzmiały swobodne rozmowy. – Pójdę je przyciągnąć. Możesz rozpaść ogień, Esme?

Nagła zmiana w powietrzu kazała jej podnieść głowę. Oczy babci lśniły w półmroku.

Niania miała dość rozsądku, by rzucić się na ziemię.

Dłoń babci Weatherwax uniosła się w górę łukiem jak kometa, a iskry trysnęły na boki.

Stos drewna eksplodował. Błękitno-biały płomień strzelił w górę i zatańczył na tle nieba, rysując cienie na ścianie lasu. Strącał kapelusze, przewracał stoły, tworzył figury, zamki, sceny ze sławnych bitew, splecione dłonie i tańce w kręgu. Pozostawił w oczach fioletowe obrazy, wypalone aż do mózgu...

A potem przygasł i zmienił się w zwykłe ognisko.

–Nic nie mówiłam o zapomnieniu – stwierdziła babcia.

Kiedy babcia Weatherwax i niania Ogg wracały o świcie do domu, ich buty nurzały się we mgle. Ogólnie, była to przyjemna nocka. Po dłuższej chwili odezwała się niania.

–To nie było miłe, co zrobiłaś.

–Nic nie zrobiłam.

–No tak... To nie było miłe, czego nie zrobiłaś. To jak odsunąć komuś stół, kiedy właśnie chce usiąść...

–Ludzie, którzy nie patrzą, na czym siadają, powinni lepiej zostać na stojąco.

Deszcz zaszeleścił na liściach – jeden z tych krótkich, przelotnych deszczów, które powstają, gdy kilka kropli nie chce się wiązać z grupą.

–No dobrze – ustąpiła niania. – Ale byłaś trochę okrutna.

–Słusznie – przyznała babcia.

–A niektórzy mogą pomyśleć, że trochę złośliwa.

–Słusznie.

Niania zadrżała. Myśli, które przebiegły jej przez głowę przez te kilka sekund, kiedy Pewsey

zaczął krzyczeć...

–Nie dałam wam żadnego powodu – rzekła babcia. – Nikomu nie wsadziłam do głowy nic, czego tam wcześniej nie było.

–Przykro mi, Esme.

–Słusznie.

–Ale... Letycja nie chciała być okrutna. Owszem, jest zarozumiała i zawzięta...

–Znasz mnie, odkąd byliśmy dziewczynkami, prawda? – przerwała jej babcia. – Przez lata tłuste i chude, dobre i złe?

–No oczywiście, ale...

–I nigdy nie przyszło ci do głowy, żeby powiedzieć: „Mówię to jako przyjaciółka”, prawda?

Niania pokręciła głową. To rzeczywiście ważny punkt. Nikt choć odrobinę przyjazny nie powiedziałby czegoś takiego.

–A właściwie jaką władzę daje czarownictwo? – zainteresowała się babcia. – To głupie słowo.

–Nie mam pojęcia – odparła niania. – Prawdę mówiąc, zostałam czarownicą, żeby łapać chłopców.

–Myślisz, że nie wiem?

–A dlaczego ty zostałam czarownicą, Esme?

Babcia przystanęła, spojrzała w mroźne niebo, a potem na ziemię.

–Sama nie wiem – wyznała. – Chyba, żeby wyrównać rachunki.

I to jest to, pomyślała niania.

Jeleń odbiegł pospiesznie, kiedy stanęły przed domkiem babci. Przy drzwiach kuchennych wyrósł stos równo ułożonego drewna na opał, a na progu leżały dwa worki. W jednym znalazły wielki ser.

–Wygląda na to, że byli tu Hopcroft i Poorchick – zauważyła niania.

–Hmm...

Babcia obejrzała starannie, choć z błędami zapisaną kartkę papieru przyczepioną do

drugiego worka:

*Szanowna Pani Weatherivax, bedem szczyrze wdzięczny, jeśli pozwoli pani nazwać tą nowo wspaniałą odmianę „Esme Weatherwax”. Łączem wyrazy szacunku i życzem dobrego zdrowia, Percy Hopcroft.*

–No, no, no – Ciekawe, kto mu podsunął ten pomysł.

–Nie mam pojęcia – zapewniła niania.

–Mogłabym się założyć, że nie masz.

Powąchała podejrzliwie worek, rozwiązała sznurek i wyjęła jedną Esme Weatherwax.

Była okrągła, odrobinę spłaszczona i szpiczasta na jednym końcu. Była cebulą.

Niania Ogg przełknęła ślinę.

–Przecież mówiłam mu, żeby...

–Słucham?

–Nie, nic.

Babcia Weatherwax obracała cebulę w dłoniach, raz po raz, a świat – za pośrednictwem niani Ogg – oczekiwał wyroku. Wreszcie podjęła decyzję, która wyraźnie sprawiła jej satysfakcję.

–Bardzo pożyteczna rzecz taka cebula – stwierdziła. – Twarda. Ostra.

–Dobra dla organizmu – dodała niania.

–Dobrze się trzyma. Poprawia smak.

–Pikantna... – W przypiływie ulgi niania Ogg pogubiła się w metaforze. – Pasuje do sera...

–Nie musimy się posuwać aż tak daleko. – Babcia Weatherwax delikatnie odłożyła cebulę do worka. Głos wciąż miała serdeczny. – Zajrzysz na filiżankę herbaty, Gytho?

–Ee... Chyba lepiej już pójdę...

–Jak chcesz.

Babcia przymknęła drzwi, ale nagle znieruchomiła, a potem uchyliła je znowu. Niania dostrzegła błękitne oko obserwujące ją przez szczelinę.

–Ale miałam rację – rzuciła babcia. To nie było pytanie. Niania kiwnęła głową.

–Miałaś.

–To miło.

*Przełożył Piotr W. Cholewa*

## **Miecz Prawdy**

### **Terry Goodkind**

*Wizard's First Rule (1994) Pierwsze prawo magii (REBIS 1998, 1999)*

*Stone of Tears (1995) Kamień Łez (REBIS 1998)*

*Blood of the Fold (1996) Bractwo Czystej Krwi (REBIS 1999)*

*Temple of the Winds (1997) Świątynia Wichrów (REBIS 1999)*

*Soul of the Fire (1999) Dusza ognia (REBIS 2000)*

*Faith of the Fallen (2000) Nadzieja pokonanych (REBIS 2001)*

*The Pillars of Creation (2001) Filary świata (REBIS, w przygotowaniu)*

Terry Goodkind zadebiutował wspaniale na scenie fantasy w roku 1994, publikując *Pierwsze prawo magii* - opowieść o Richardzie Cypherze, młodym człowieku, który dowiadyje się, że tylko on może pokonać złego czarodzieja Rahla Posępnego chcącego zapanować nad wszystkimi krainami i ludami. Kolejne powieści cyklu „Miecz Prawdy” zaprowadziły Goodkinda na listy bestsellerów.

Gdy Richard przypadkiem spotyka Kahlan, piękną i tajemniczą kobietę ściganą przez czterech asasynów, nie spodziewa się wcale, że wydarzenie to już na zawsze odmieni jego życie leśnego przewodnika. Richard, chłopak mający własne niepokojące sekrety, pomaga Kahlan odnaleźć czarodzieja, którego ta poszukuje. Kiedy jednak zaczyna zanikać granica oddzielająca krainy, odkrywa, że nie tylko znalazł się w osobliwym nowym świecie, ale i został uczestnikiem starań dziewczyny, która pragnie powstrzymać Rahla Posępnego, charyzmatycznego i przebiegłego władcę dalekiej O'Hary. Rahl Posępny walczy z mieszkańcami Midlandów zarówno orężem, jak i podstępными namowami, starając się zdobyć moc, która pozwoli mu całkowicie nad nimi zapanować. Młodzi mają bardzo niewiele czasu, by odnaleźć szkatuły, w których zamknięto ową moc. Muszą to uczynić, zanim Rahl Posępny zdoła sprawić, że osiągnie ich bezlitosne przeznaczenie. Richard, który zapalał głębokim uczuciem do Kahlan, musi poznać odwieczną prawdę: zło zawsze stara się zawładnąć niczego nie podejrzewającym światem. To już nie tylko walka o przyszłość i o

wolność, lecz również wyprawa w głąb siebie. Chłopak otrzymuje najważniejszy oręż – Miecz Prawdy. Dowiaduje się też, że stawka jest o wiele wyższa niż po prostu życie i śmierć, a także, że apatia, niewiedza i chciwość często maskują niewyraźną granicę między dobrymi i złymi wyborami.

*W Kamieniu Łez* Richard Cypher stara się zapanować nad wrodzonym magicznym

darem, przekonuje się jednak, że wysiłek towarzyszący władaniu ową magią zagraża jego życiu. Chcąc ratować ukochanego, zdesperowana Kahlan odsyła go z Siostrami Światła. Siostry – obiecując, że nauczą Richarda kontrolować magiczny dar – zabierają go aż za Dolinę Zaginionych, do Pałacu Proroków w Starym Świecie. W tym czasie Kahlan wyrusza na poszukiwania ich przyjaciela i mentora, Zedda, Pierwszego Czarodzieja. Podczas tej podróży odkrywa, że Imperialny Ład zaatakował miasto Ebinissię i wymordował jej mieszkańców. Dziewczyna musi przekształcić wojsko złożone z młodych rekrutów w siłę zdolną nie tylko przeciwstawić się nowemu zagrożeniu dla Midlandów, ale i zemścić się na Ładzie. Okazuje się, że wśród nauczycielek Richarda są też takie, które złożyły przysięgę Opiekunowi zaświatów i chcą wykorzystać chłopaka do uwolnienia swego władcy. Richard już nieświadomie im pomógł: posługując się swoim darem, rozdarł zasłonę oddzielającą królestwo zmarłych od świata istot żywych. Chłopak zdoła uratować świat tylko wtedy, gdy odnajdzie Kamień Łez, lecz żeby tego dokonać, musi uciec z Pałacu Proroków, w którym go uwięziono. Szansę ucieczki daje jedynie opanowanie daru, i to zanim jeszcze Siostry Mroku zdołają wykorzystać więźnia do swych celów, a następnie zabić.

*Bractwo Czystej Krwi*, trzecia powieść cyklu, to historia imperatora Imperialnego Ładu ze Starego Świata, który pragnie podbić Midlandy. Jagang wykorzystuje armię zagorzałych wrogów magii do oczyszczenia Midlandów ze wszystkich tych, którzy mają wrodzony magiczny dar. Imperator – Nawiedzający Sny władający swoistą magią – bierze do niewoli Siostry Mroku i wykorzystuje je przeciw Richardowi i Kahlan, ci zaś, którzy nazywają się Bractwem Czystej Krwi, snują własne plany opanowania Midlandów. Imperialny Ład zaleje krainy konfederacji i wtrąci w niewolę ich ludy, a ostatnie płomyki wolności zgasną na zawsze – chyba że Richard zdoła przejąć władzę i zjednoczyć podzielone Midlandy.

*W Świątyni Wichrów* imperator Jagang nasyła asasyna na Richarda i rozpętuje śmiertelną zarazę. Każdego dnia straszliwa choroba zabija coraz więcej ludzi, a Richard z Kahlan desperacko szukają jakiegoś leku. Ich zaufanie do siebie i miłość zostają poddane próbie w ciągu wydarzeń, w których poświęcenie przeplata się ze zdradą. Codziennie umierają setki, a potem tysiące ludzi, więc Poszukiwacz Prawdy i Matka Spowiedniczka muszą odnaleźć Świątynię Wichrów i zdecydować, czy są gotowi zapłacić straszliwą cenę za możliwość wejścia w jej progi.

Opowiedziana tutaj historia zdarzyła się na wiele lat przed wypadkami opisanymi w *Pierwszym prawie magii*.

**Dług Wdzięczności Terry Goodkind**

–Co tam masz w worku, kochanieńka?

Abby obserwowała stadko łabędzi, których biel uroczo kontrastowała z ciemnymi, niebotycznymi murami wieży – Ptaki mijały w locie wały obronne, bastiony, wieże i mosty oświetlone przez wiszące nisko słońce. Czekala cały dzień i nieustannie miała wrażenie, że ponura budowla się jej przygląda. Spojrzała na stojącą przed nią zgarbioną staruszkę.

–Przepraszam, o co mnie pytałaś?

–Pytałam, co tam masz w worku. – Stara łypnęła na nią, wysuwając czubek języka przez szczelinę po brakującym zębie. – Coś drogocennego?

Abby przycisnęła do siebie konopny worek i odsunęła się nieco od uśmiechniętej kobiety.

–Tylko trochę moich rzeczy, nic więcej.

Spod pobliskiej masywnej opuszczonej kraty wyszedł oficer, a za nim adiutanci i gwardziści. Miejsca było tyle, że żołnierze mogli swobodnie przejść, a mimo to Abby i pozostali suplikanci czekający u czoła kamiennego mostu jeszcze bardziej odsunęli się na bok. Oficer o srogim spojrzeniu minął ich, nie odpowiadając na salut pilnujących mostu strażników, którzy przyłożyli pięści do serca.

Przez cały dzień do wieży wchodzili i wychodzili z niej żołnierze z rozmaitych krain oraz członkowie Gwardii Obywatelskiej Aydindril, wielkiego miasta leżącego u stóp góry. Niektórzy wyglądali na utrudzonych podróżą. Mundury innych wciąż jeszcze nosiły ślady niedawnych walk – były powalane ziemią, kopciem i krwią. Abby dostrzegła nawet dwóch oficerów z rodzinnej kotliny Pendisan. W jej oczach byli jeszcze chłopcami, chłopcami, którzy zbyt szybko zostaną odarci z młodzieńczości i, podobnie jak wąż za szybko zrzucający starą skórę, osiągną poznaczoną bliznami dojrzałość.

Widziała również takie mnóstwo ważnych ludzi, że ledwo mogła uwierzyć własnym oczom. Ujrzała czarodziejki, doradców, a w mieście nawet Spowiedniczkę z Pałacu Spowiedniczek. Kiedy podążała ku wieży wijącą się drogą, prawie z każdego zakrętu mogła obserwować tę wspaniałą budowlę z białego kamienia. W owym pałacu odbywały się zgromadzenia Naczelnej Rady konfederacji Midlandów, którym przewodziła sama Matka Spowiedniczka. Tutaj też mieszkały Spowiedniczki.

Wcześniej Abby tylko raz widziała Spowiedniczkę. Kobieta odwiedziła jej matkę, a sama Abby, która nie miała wtedy jeszcze dziesięciu lat, nie mogła oderwać oczu od długich włosów kobiety. W małym miasteczku Coney Crossing żadna kobieta poza

matką Abby nie była na tyle ważna, by nosić włosy sięgające ramion. Delikatne, ciemnokasztanowe włosy Abby ledwo zasłaniały uszy. Gdy szła przez miasto ku Wieży Czarodzieja, z trudem powstrzymywała się od gapienia na szlachcianki, których włosy sięgały ramion lub były nawet nieco dłuższe. Tymczasem podążająca do wieży

Spowiedniczka, ubrana w prostą, czarną atlasową suknię – zwyczajowy strój Spowiedczek – miała włosy do połowy pleców.

Abby bardzo chciałyby się przyjrzeć dokładniej tak wspaniałym, długim włosom i osobie na tyle ważnej, żeby nie musiała ich ścinać, ale przyklękła wraz z innymi na jedno kolano i jak oni bała się unieść pochyloną w pokłonie głowę, by nie napotkać wzroku tej kobiety. Mówiono, że spojrzenie w oczy Spowiedniczki mogło kosztować utratę rozumu, jeśli miało się szczęście, lub duszy – jeśli się go nie miało. Matka Abby twierdziła, że to nieprawda i że jedynie dotknięcie mocą Spowiedniczki potrafi spowodować coś takiego, lecz Abby nie zamierzała właśnie dzisiaj sprawdzać prawdziwości owych opowieści.

Stojąca przed Abby starucha, odziana w kilka spódnic, z których Wierzchnia zabarwiona była henną, i opatulona ciemnym szalem, Przyjrzała się mijającym ich żołnierzom i nachyliła ku niej.

–Lepiej przynieść kość, kochanieńka. Słyszałam, że są w mieście tacy, co za odpowiednią cenę sprzedadzą ci kość, jakiej potrzebujesz.

Czarodzieje nie biorą solonej wieprzowiny. Oni mają soloną wieprzowinę. – Rzuciła okiem na stojących za Abby ludzi: zajmowali się swoimi sprawami. – Lepiej sprzedaj swoje rzeczy i miej nadzieję, że ci wystarczy na kość. Czarodzieje nie chcą tego, co im przynosi jakaś wiejska dziewczyna. Trudno zyskać przychylność czarodzieja. – Popatrzyła na plecy żołnierzy, którzy dochodzili właśnie do końca mostu. – I to nawet tym, co wypełniają ich rozkazy.

–Ja tylko chcę z nimi porozmawiać. To wszystko.

–Z tego, com słyszała, solona wieprzowina nie zapewni ci nawet rozmowy. – Stara spoglądała na dłoń, którą Abby starała się osłonić krągły przedmiot ukryty w konopnym worku. – Dzban twojego wyrobu też nie. Bo to dzban, prawda, kochanieńka? – Uniosła piwne oczy osadzone w pomarszczonej twarzy i bacznie, przenikliwie spojrzała na Abby. – Dzban?

–Tak. To dzban, który sama zrobiłam – odparła zapytana.

Kobieta uśmiechnęła się sceptycznie i wsunęła kosmyk krótkich, siwych włosów pod wełnianą chustę. Zaciśnęła zdeformowane palce na marszczeniu rękawa szkarłatnej sukni Abby i odrobinę uniosła rękę młodej kobiety, żeby się jej lepiej przyjrzeć.

–Może za tę bransoletę dostaniesz tyle, że wystarczy na porządną kość.

Abby spojrzała na bransoletę. Wykonano ją z dwóch metalowych drucików, które splatały się w połączone ze sobą kółka.

–Matka mi to dała. Jest cenna jedynie dla mnie.



Na splekane wargi starej wypełził uśmiezek.

–Duchy uważają, że nie ma potężniejszej mocy nad matczyne pragnienie chronienia dziecka.

Abby delikatnie uwolniła rękę.

–Duchy wiedzą, że to prawda.

Zakłopotana dociekliwością kobiety, która nagle bardzo się rozgadała, usiłowała znaleźć coś, czemu by się mogła spokojnie przyglądać. Od patrzenia w przepaść pod mostem kręciło się jej w głowie, a ponieważ miała już dość obserwowania Wieży Czarodzieja, udała, że coś przyciągnęło jej uwagę, i odwróciła się ku grupce ludzi, przeważnie mężczyzn, czekających razem z nią u czoła mostu. Zaczęła też pogryzać resztkę chleba, który kupiła wcześniej na targu w mieście. Abby krępowała się rozmawiać z obcymi. Przez całe życie nie widziała tak wielu ludzi, a tym bardziej zupełnie jej obcych. W Coney Crossing знаła każdego. To miasto wzbudziło w niej lęk, wznosząca się ponad nim na stoku góry wieża jeszcze większy, ale najbardziej przerażał ją powód, dla którego tu przybyła. Chciała wrócić do domu. Jeśli jednak nie zrobi tego, po co tu przyszła, nie będzie już żadnego domu ani kogokolwiek, do kogo mogłaby wrócić.

Spoza uniesionej kraty dobiegł grzmot kopyt i wszyscy spojrzeli w tamtą stronę. Gnały ku nim wielkie, ciemnobrązowe lub czarne konie – Abby jeszcze nigdy nie widziała tak dużych rumaków. Jeźdźców chroniły lśniące napierśniki, kolczugi i skórzane uniformy, większość dzierżyła w dłoni lance lub drzewca długich proporców będących oznaką wysokiego stanowiska i rangi. Na moście przyspieszyli, kopyta wierzchowców wzbiły kurz i żwir, a oni przemknęli, siejąc iskry odbijającego się od napierśników słońca i migocąc barwami. Abby rozpoznała ich – byli to sandariańscy lansjerzy. Z trudem tylko potrafiła sobie wyobrazić, że wróg miałby odwagę uderzyć na takich żołnierzy. Poczowała, jak się jej kurczy żołądek. Zdała sobie sprawę, że nie musi sobie tego wyobrażać i że nie może pokładać nadziei w takich dzielnych wojakach jak tamci. Jej jedyną nadzieją był czarodziej, a i owa nadzieja – w miarę jak Abby czekała – stawała się coraz bardziej mglista. A mogła tylko czekać.

Raz jeszcze spojrzała na Wieżę Czarodzieja – w samą porę, by ujrzeć, jak posągowa kobieta w prostych szatach wychodzi z przejścia w potężnym kamiennym murze. Proste, czarne włosy, rozdzielone przedziałkiem i sięgające ramion, podkreślały biel skóry. Niektórzy z czekających komentowali szeptem przejazd sandariańskich żołnierzy, lecz

umilkli, dostrzegłszy ową kobietę. Czterej żołnierze pełniący wartę u czoła kamiennego mostu przepuścili ją.

–Czarodziejka – szepnęła stara do Abby.

Abby wiedziała to i bez niej. Rozpoznała proste, lniane szaty ozdobione wokół szyi żółtymi i czerwonymi paciorkami, które układały się w starożytne symbole tej profesji. Jedno z najwcześniejszych wspomnień Abby wiązało się z matką. Spoczywała w jej ramionach i

dotykała takich paciorków jak te, na które teraz patrzyła.

Czarodziejka skłoniła głowę przed czekającymi, by przedstawić swoje prośby, i uśmiechnęła się.

–Wybaczcie, proszę, że kazaliśmy wam tutaj czekać cały dzień.

Nie wynika to z braku szacunku ani nie należy do naszych obyczajów. Przy toczącej się wojnie nie da się jednak, niestety, uniknąć takiej zwłoki. Mamy nadzieję, że nikt z was nie ma nam tego za złe.

Tłum wymruczał, że oczywiście nie. Abby powątpiewała, czy znalazłby się w nim ktoś na tyle odważny, by powiedzieć coś innego.

–Co z wojną? – spytał jakiś stojący z tyłu mężczyzna. Czarodziejka spojrzała nań spokojnym wzrokiem.

–Wkrótce się zakończy, z błogosławieństwem dobrych duchów.

–Oby duchy sprawiły, że D’Hara padnie – dodał błagalnie ów człowiek.

Czarodziejka przemilczała to. Obserwowała twarze, czekając, czy jeszcze ktoś się odezwie albo o coś zapyta. Ale nikt już nic nie powiedział.

–Pójdźcie więc za mną, proszę. Zgromadzenie rady dobiegło końca i kilku czarodziejów wysłucha was.

Czarodziejka obróciła się w stronę Wieży Czarodzieja i ruszyła ku niej. W tym momencie trzech mężczyzn wyminęło czekających i ustawiło się na przedzie, tuż przed starą. Kobieta chwyciła aksamitny rękaw jednego z nich.

–A za kogóż to się uważasz, że wypychasz się przede mnie, skoro czekałam tu cały dzionek? – syknęła.

Najstarszy z mężczyzn – odziany w bogate, ciemnopurpurowe szaty z czerwonym, kontrastującym podbiciem rozcięć w rękawach – wyglądał na szlachetnie urodzonego, któremu towarzyszyli dwaj doradcy, a może strażnicy. Spojrzał gniewnie na starą.

–Nie masz nic przeciwko temu, prawda?

Abby pomyślała, że nie zabrzmiało jej to w ogóle jak pytanie.

Stara cofnęła dłoń i umilkła.

Mężczyzna z sięgającymi ramion puklami siwych włosów spojrzał na Abby. W ocienionych krzaczastymi brwiami oczach lśniło wyzwanie. Abby przełknęła ślinę

i nie powiedziała ani słowa. I tak nie miała żadnych zastrzeżeń, a przynajmniej takich, które chciałaby ujawniać. Wiedziała tylko, że ów szlachetnie urodzony był wystarczająco ważny, by uniemożliwić jej otrzymanie audiencji.

Uwagę kobiety przyciągnęło mrowienie wywołane przez bransoletę. Dotknęła palcami nadgarstka dłoni, w której trzymała worek. Bransoleta była ciepła. Nie zdarzyło się to od śmierci jej matki. Tak naprawdę Abby wcale się nie zdziwiła – tyle tu było magii. Tłumek ruszył za czarodziejką.

–Okropni są – szepnęła stara przez ramię. – Okropni jak zimowa noc i równie zimni.

–Ci mężczyźni? – spytała równie cicho Abby.

–Nie. – Stara skinęła głową. – Czarodziejki. Czarodzieje też. O nich mówię. Wszyscy, co się urodzili z magicznym darem. Lepiej, żebyś w tym worku miała coś naprawdę ważnego, bo jak się to czarodziejom nie spodoba, to cię mogą zmienić w proch.

Abby mocniej objęła worek. Jej matka umarła, nim zobaczyła wnuczkę: to była najgorsza rzecz, jaką zrobiła w całym swoim życiu. Kobieta powstrzymała się od płaczu i pomodliła do dobrych duchów, żeby stara myliła się co do czarodziejów i żeby ci byli równie wyrozumiali jak czarodziejki. Modliła się gorąco, żeby ten czarodziej zechciał jej pomóc. Modliła się też o wybaczenie: by dobre duchy rozumiały. Choć była bardzo wzburzona, ze wszystkich sił starała się zachować spokojne oblicze. Przycisnęła pięść do brzucha. Modliła się o siłę. Nawet teraz modliła się o siłę.

Czarodziejka, trzech mężczyzn, stara, Abby i reszta tych, którzy zjawili się, by przedstawić swe prośby, przeszli pod potężną metalową kratą i znaleźli się na terenach wieży. Abby ze zdumieniem stwierdziła, że w obrębie masywnych zewnętrznych murów powietrze jest ciepłe. Poza nimi trwał chłodny jesienny dzień, podczas gdy tutaj powietrze było wiosenne i ciepłe.

Trakt wijący się na zboczu góry, kamienny most zawieszony nad przepaścią i chroniona kratą brama to jedyna droga prowadząca do wnętrza Wieży Czarodzieja – chyba że się było ptakiem. Wysypany żwirem wewnętrzny dziedziniec okalały niebotyczne ściany z ciemnego kamienia, w których wycięto wysokie okna. Było tutaj sporo drzwi, a droga biegła tunelem w głąb budowli.

Powietrze było ciepłe, lecz miejsce to zmroziło Abby krew w żyłach. Nie była pewna, czy stara nie miała przypadkiem racji co do czarodziejów. Życie w Coney Crossing dzieliła przepaść od spraw władających magią.

Abby nigdy przedtem nie widziała czarodzieja, a ze znanych jej ludzi widziała ich tylko jej matka. Ta jednak nigdy o tym nie opowiadała, a jeśli już, to po to tylko, by ostrzegać, że tam, gdzie chodzi o czarodziejów, nie należy wierzyć nawet w to, co się

widzi na własne oczy.

Czarodziejka powiodła ich w górę po czterech granitowych, wygładzonych w ciągu setek lat stopniach i przeprowadziła przez drzwi z nadprożem z czarnego granitu w różowe cętki aż do właściwej wieży. Uniosła ramię w ciemności i skierowała je w bok. Zapłonęły lampy wzdłuż ściany.

To była bardzo prosta magia – niezbyt imponujący pokaz magicznych zdolności – ale kilka osób z tyłu zaczęło szeptać z zaniepokojeniem, podążając przez rozległy hol. Abby pomyślała, że skoro wystraszyła ich taka odrobina magii, to w ogóle powinni zrezygnować ze spotkania z czarodziejami.

Przecinali właśnie wspaniały westybul, którego piękna Abby nawet nie potrafiłaby sobie wyobrazić. Czerwone marmurowe kolumny wspierały łuki pod balkonami. Pośrodku fontanna wyrzucała wysoko strumienie wody, która opadała i spływała kaskadami do coraz większych mis w kształcie muszli. Oficerowie, czarodziejki i mnóstwo innych ludzi siedziało na białych marmurowych ławach lub też stało w niewielkich grupkach, prowadząc ożywione rozmowy zagłuszane szmerem wody.

Znaleźli się w o wiele mniejszej komnacie i czarodziejka nakazała im gestem, by usiedli na rzeźbionych dębowych ławach ustawionych pod jedną ze ścian. Abby była przeraźliwie zmęczona, więc z ulgą wykonała polecenie.

Światło, które docierało przez umieszczone ponad ławami okna, padało na trzy gobeliny zawieszane po przeciwnej stronie. Tkaniny zakrywały niemal całą ścianę i przedstawiały przemierzający miasto uroczysty pochód. Abby nigdy nie widziała czegoś takiego, lecz dręczący ją niepokój spowodował, że oglądanie tej majestatycznej sceny nie sprawiało jej zbyt przyjemności.

Na środku posadzki z kremowego marmuru osadzono wykonany z mosiądzu symbol: krąg, wewnątrz którego znajdował się dotykający go wierzchołkami kwadrat, w którym z kolei umieszczony był krąg dotykający boków kwadratu. W środkowym kręgu znajdowała się ośmioramienna gwiazda – z wierzchołków jej ramion wybiegały linie przecinające oba kręgi, a każdy z owych promieni dzielił na pół kąt kwadratu. Wzór ten, zwany Grace, często rysowali ludzie dysponujący magicznym darem. Zewnętrzny krąg symbolizował obrzeże leżącego poza nim nieskończonego świata duchów. Kwadrat przedstawiał granicę oddzielającą świat duchów – zaświaty, świat zmarłych – od wewnętrznego kręgu oznaczającego obrzeże świata istot żywych. W centrum tego wszystkiego tkwiła gwiazda symbolizująca Światło – Stwórcę. Było to graficzne przedstawienie kontinuum daru: od Stwórcy, poprzez życie, po śmierć i przekraczanie granicy dzielącej ludzi od wieczności wśród duchów we władanym przez Opiekuna królestwie zaświatów. Lecz symbolizowało również nadzieję, nadzieję na pozostanie

w Świetle Stwórcy od narodzin, poprzez życie i po śmierci, w zaświatach.

Mówiono, że Światła Stwórcy odmawiano w zaświatach jedynie duchom tych, którzy za życia dopuścili się wielkiej niegodziwości.

Abby wiedziała, że zostanie skazana na wieczne mroki w zaświatach Opiekuna. Nie miała wyboru.

Czarodziejka założyła ręce na piersiach.

–Pomocnik wywoła wszystkich po kolei. Czarodziej przyjmie każdego z was. Wojna wrze, więc proszę, byście krótko przedstawiali swoje sprawy. – Powiodła wzrokiem po czekających. – Czarodzieje wysłuchują składających prośby, bo wynika to ze zobowiązań wobec tych, którym wszyscy tu służyjemy, ale spróbujcie zrozumieć, że indywidualne pragnienia przynoszą często uszczerbek dobru ogółu. Jeśli się pomaga tylko jednej osobie, to tym samym odmawia się pomocy wielu innym. Toteż odmowa spełnienia jakiejś prośby nie oznacza potępienia samej potrzeby, lecz wybór tej, która jest ważniejsza dla ogółu. W czasach pokoju czarodzieje rzadko spełniają prośby poszczególnych ludzi. A w takich czasach jak te, podczas wielkiej wojny, niemal się o tym nie słyszy. Zrozumcie, proszę, że to konieczność, a nie lekceważenie waszych pragnień. – Czarodziejka przyjrzała się zgromadzonym – nikt nie zamierzał zrezygnować. A już na pewno nie Abby. – Dobrze więc. Mamy dwóch czarodziejów, którzy mogą wysłuchać waszych prośb. Jeden z nich przyjmie was wszystkich.

Odwróciła się i chciała już odejść. Abby poderwała się z ławy.

–Mogę coś powiedzieć, o pani?

Kobieta spojrzała na nią budzącym niepokój wzrokiem.

–Mów.

Abby postąpiła ku niej.

–Muszę się zobaczyć z samym Pierwszym Czarodziejem. Z czarodziejem Zoranderem.

Tamta uniosła brew.

–Pierwszy Czarodziej jest bardzo zajęty.

Abby sięgnęła do worka i wyjęła zeń obszywkę dekoltu matczynych szat. Stała się pośrodku Grace i ucałowała żółte oraz czerwone paciorki na obszywce.

–Jestem Abigail, zrodzona z Helsy. Na Grace i duszę mojej matki, muszę się zobaczyć z czarodziejem Zoranderem. Proszę. Nie wyruszyłam w podróż z błahego powodu. Tu chodzi o życie ludzi.

Czarodziejka patrzyła na wyhaftowaną paciorkami obszywkę, którą Abby chowała do worka.

–Abigail, zrodzona z Helsy. – Spojrzała Abby w oczy. – Zaniosę twe słowa

Pierwszemu Czarodziejowi.

–Pani. – Abby odwróciła się i zobaczyła, że stara też podniosła się z ławy. – I ja byłabym rada zobaczyć się z Pierwszym Czarodziejem.

Podnieśli się również trzej mężczyźni. Najstarszy, najwyraźniej najważniejszy spośród nich, rzucił czarodziejce spojrzenie tak pozbawione wszelkiej uniżoności, że zakrawało na pogardliwe. Długie, siwe włosy opadły na aksamitne szaty, kiedy omiół wzrokiem siedzących, jakby sprawdzał, czy ktoś jeszcze ośmielił się wstać. Kiedy nikt się nie podniósł, ponownie skupił uwagę na czarodziejce.

–Chcę się widzieć z czarodziejem Zoranderem.

Czarodziejka przyjrzała się stojącym, a potem popatrzyła na siedzących na ławach.

–Pierwszego Czarodzieja zasłużenie nazywa się Wichrem Śmierci. Wielu z nas obawia się go nie mniej niż nasi wrogowie. Czy jeszcze ktoś chce kusić los?

Żaden z czekających na ławach ludzi nie miał odwagi spojrzeć w jej przenikliwe oczy. Wszyscy w milczeniu potrząsnęli głowami.

–Zaczekajcie, proszę – zwróciła się do siedzących. – Wkrótce zjawi się ktoś, kto zaprowadzi was do czarodzieja. – Raz jeszcze spojrzała na pięcioro stojących ludzi. – Czy każde z was jest tego naprawdę pewne?

Abby skinęła głową. Stara kobieta także. Szlachetnie urodzony odpowiedział gniewnym spojrzeniem.

–A więc dobrze. Pójdźcie za mną.

Szlachetnie urodzony i jego dwaj towarzysze wysunęli się przed Abby. Stara kobieta wydawała się zadowolona z miejsca na szarym końcu. Poprowadzono ich w głąb Wieży Czarodzieja.

Podążali wąskimi holami i szerokimi korytarzami, z których jedne były ciemne i skromne, inne zaś zadziwiały przepychem. Wszędzie znajdowali się żołnierze Gwardii Obywatelskiej – napierśniki lub kolczugi zakrywały ich czerwone tuniki z czarnymi obszywkami. Wszyscy byli uzbrojeni po zęby w miecze, topory bojowe i noże, a wielu miało jeszcze piki z szerokimi, kolczastymi grotami.

Obszerne schody z białego marmuru, obrzeżone zwiniętą spiralnie na końcach, kamienną balustradą, prowadziły do pomieszczenia wyłożonego ciepłą dębową boazerią. Na przymocowanych do ścian podstawkach stały lampy z wypolerowanymi srebrnymi zwierciadłami. Na trójnożnym stoliku spoczywała z kolei kryształowa lampa o dwóch pojemnikach i dwóch kloszach, której blask mieszał się z żółtawym światłem lamp ze zwierciadłami. Gruby dywan zdobiony wyszukаныmi niebieskimi wzorami zakrywał niemal całą drewnianą podłogę.

Po obu stronach dwuskrzydłowych drzwi trzymali wartę dwaj nieskazitelnie

umundurowani żołnierze Gwardii Obywatelskiej. Obaj byli równie olbrzymi i z pewnością bez trudu poradziłoby sobie z każdym zagrożeniem, jakie mogłoby nadciągnąć od strony schodów.

Czarodziejka skinęła głową ku tuzinowi wyściełanych skórzanych krzesel ustawionych w czterech grupach. Abby zaczęła, aż jej towarzysze zajmą miejsca, po czym usiadła z dala od nich. Położyła worek na kolanach i oparła na nim dłonie.

Czarodziejka wyprostowała się sztywno.

–Przekażę Pierwszemu Czarodziejowi, że proszący czekają na posłuchanie.

Gwardzista otworzył przed nią skrzydło drzwi. Gdy wchodziła do obszernej komnaty, Abby udało się tam zerknąć. Dostrzegła, że pomieszczenie było dobrze oświetlone przez szklane świetliki. W szarych kamiennych ścianach były jeszcze inne drzwi. Nim skrzydło zamknęło się za czarodziejką, Abby zdołała jeszcze dostrzec sporo bardzo zaaferowanych mężczyzn i kobiety.

Siedziała odwrócona plecami do trzech mężczyzn i starej kobiety, głaszcząc bezwiednie leżący na jej kolanach worek. Raczej nie obawiała się, że mężczyźni odezwą się do niej, lecz nie chciała rozmawiać z kobietą – to by ją tylko rozproszyło. Przez cały czas powtarzała w myślach to, co chciała powiedzieć czarodziejowi Zoranderowi.

A przynajmniej się starała, nie mogąc przestać myśleć o tym, co powiedziała czarodziejka: że Pierwszego Czarodzieja nazywali Wichrem Śmierci nie tylko D'Harańcy, ale i jego podwładni z Midlandów. Abby wiedziała, że nie była to opowiadka, która miała odstraszyć proszących od zajętego ważnymi sprawami czarodzieja. Sama słyszała, jak ludzie szeptali o swoim wielkim czarodzieju Wicher Śmierci. A szept ten przesycony był strachem.

D'Hara miała poważny powód, by obawiać się tego człowieka, jej Wroga – Abby słyszała, że zabił niezliczone rzesze d'harańskich żołnierzy. Gdyby nie najechali Midlandów z zamiarem ich podbicia, to, rzecz jasna, nie poczuliby gorącego wichru śmierci.

Gdyby nie ich najazd, Abby nie siedziałaby teraz w Wieży Czarodzieja – przebywałaby w domu, a jej bliscy byłiby bezpieczni.

Znów odczuła osobliwe mrowienie wywoływane przez bransoletę. Przesunęła po niej palcami i stwierdziła, że jest niezwykle ciepła. Nie zdziwiło jej, że bransoleta rozgrzała się w pobliżu osoby obdarzonej tak wielką mocą. Matka powiedziała, by nosiła ją stale i że pewnego dnia okaże się bardzo cenna. Abby nie wiedziała, jak do tego dojdzie, a matka umarła i nigdy jej tego nie wyjaśniła.

Czarodziejki były znane z tego, że mają swoje sekrety i nie zdradzają ich nikomu, nawet córkom... Może gdyby Abby miała wrodzony dar...

Zerknęła przez ramię na pozostałych. Stara kobieta odchyliła się na oparcie i wpatrywała w drzwi. Towarzysze szlachetnie urodzonego skrzyżowali ramiona i niedbale rozglądali się po komnacie, ich przywódca zaś robił coś bardzo dziwnego: owinał wokół palca pukiel rudawoblond włosów i gładził je kciukiem, wpatrując się w dwuskrzydłowe wrota.

Abby pragnęła, by czarodziej się pospieszył i wysłuchał jej prośby, ale czas dłużył się niemiłosiernie. Właściwie to chciałyby, żeby odmówił. Nie, napomniała się, tak nie może się stać. Musi to uczynić, pomimo swego strachu i odrazy. Drzwi nagle się otworzyły. Czarodziejka ruszyła ku Abby.

Szlachetnie urodzony poderwał się gwałtownie.

–Ja zobaczę się z nim pierwszy. – W jego głosie brzmiała lodowata groźba. – To nie jest prośba.

–To my powinnyśmy zostać najpierw wysłuchane – powiedziała odruchowo Abby. Gdy czarodziejka skrzyżowała ramiona, uznała, że musi to wyjaśnić. – Czekałam od świtu. Przede mną była jedynie ta kobieta. Ci mężczyźni zjawili się pod koniec dnia.

Ruszyła z miejsca, lecz stara złapała ją za ramię zdeformowanymi palcami.

–A może jednak puścimy tych panów przodem, kochanieńka?

Nie jest ważne, kto przybywa pierwszy, ale to, kto ma ważniejszą sprawę.

Abby chciała już krzyknąć, że jej sprawa jest ważna, lecz uświadomiła sobie, że stara kobieta ratuje ją być może przed poważnymi kłopotami w jej załatwieniu. Niechętnie skinęła głową czarodziejce. Gdy tamta wprowadzała trzech mężczyzn do komnaty, Abby czuła na plecach spojrzenie staruszki. Objęła mocniej worek, tłumiąc niepokój, i powiedziała sobie, że teraz to już długo nie potrwa i że wkrótce się z nim zobaczy.

Kiedy czekały, stara milczała, a Abby była z tego zadowolona. Od czasu do czasu zerknęła na drzwi, błagając przy tym dobre duchy, żeby jej pomogły. Zrozumiała jednak, że było to daremne: dobre duchy z pewnością nie zechcą jej w tym pomóc.

Zza drzwi dobiegł głośny ryk. Przypominał świst mknącej strzały, odgłos smagnięcia



szpicrutą, lecz był o wiele głośniejszy i gwałtownie przybierał na sile. Skończył się ostrym trzaskiem, któremu towarzyszył błysk światła wydobywającego się przez szpary wokół drzwi. A drzwi zatrzęsły się na zawiasach.

Nagła cisza dzwoniła Abby w uszach. Stwierdziła, że zaciska dłonie na poręczach krzesła.

Otworzyły się oba skrzydła i z komnaty wyszli towarzysze szlachetnie urodzonego, a za nimi czarodziejka. Przystanąłi w poczekalni. Abby wstrzymała oddech.

Jeden z mężczyzn trzymał w zgięciu ramienia głowę swego pana. Zbielała twarz zastygła w niemym krzyku. Na dywan kapłała krew.

–Wyprowadzić ich – syknęła czarodziejka przez zaciśnięte zęby do jednego z gwardzistów.

Żołnierz wskazał piką schody, każąc ruszać mężczyznom przodem, sam zaś poszedł za nimi. Schodzili, a purpurowe krople krwi plamiły białe stopnie. Abby siedziała sztywno z szeroko otwartymi oczami. Była wstrząśnięta.

Czarodziejka obróciła się ku niej i staruszce. Kobieta wstała.

–Uznałam, że nie będę dziś zaprzętać głowy Pierwszemu Czarodziejowi. Przyjdę innego dnia, jeśli zajdzie potrzeba. – Nachyliła się ku Abby. – Nazywam się Mariska. – Ściągnęła brwi. – Oby dobre duchy sprawiły, że ci się powiedzie.

Podeszła do schodów, oparła dłoń na marmurowej balustradzie i ruszyła w dół. Czarodziejka pstryknęła palcami i wskazała ręką. Drugi gwardzista pospieszył ku starej, a czarodziejka odwróciła się w stronę Abby.

–Pierwszy Czarodziej przyjmie cię teraz.

Abby poderwała się na nogi. Próbowwała złapać oddech i aż się zachłysnęła powietrzem.

–Co się stało? Dlaczego Pierwszy Czarodziej to zrobił?

–Ktoś przysłał tego człowieka, żeby zapytał o coś Pierwszego Czarodzieja. Pierwszy Czarodziej udzielił odpowiedzi.

Abby tuliła do siebie worek, jakby od tego zależało jej życie, i wpatrywała się w plamy krwi na podłodze.

–Czy i ja mogę otrzymać taką odpowiedź?

–Nie znam pytania, które chcesz zadać. – Pierwszy raz twarz czarodziejki odrobinę złagodniała. – Chcesz, żebym cię stąd zabrała? Możesz się zobaczyć z innym czarodziejem albo jeszcze raz wszystko przemyśleć i wrócić tu innego dnia, jeśli nadal będziesz tego chciała.

Abby powstrzymała siłą łzy rozpacz. Nie było wyboru. Potrząsnęła głową.

–Muszę się z nim zobaczyć.

Czarodziejka westchnęła głęboko.

–Dobrze więc. – Wzięła Abby pod ramię, jakby chciała jej pomóc utrzymać się na nogach. – Pierwszy Czarodziej przyjmie cię teraz.

Wprowadziła ściskając kurczowo konopny worek Abby do komnaty, w której czekał Pierwszy Czarodziej. Osadzone w żelaznych kinkietach pochodnie nie paliły się jeszcze. Światło późnego popołudnia, wpadające przez oszklone świetliki, zupełnie wystarczało do rozjaśnienia wnętrza. Pachniało tutaj smołą, naftą, pieczonym mięsiwem, wilgotnym kamieniem i zastarzałym potem.

W komnacie panował ruch i zamieszanie. Kręciło się mnóstwo ludzi i wydawało się,

że mówią wszyscy jednocześnie. Na solidnych, rozstawionych nieco bezładnie stołach stały wygaszone lampy i płonące świece, leżały księgi, zwoje, mapy, kreda, resztki potraw, pióra, воск do pieczętowania i całe mnóstwo najdziwniejszych przedmiotów: od kłębków sznurka do częściowo napełnionych woreczków z piaskiem. Obok stołów stali zatopieni w rozmowie lub toczący spory ludzie, inni szukali czegoś w księgach, ślęczeli nad zwojami lub przesuwali na mapach małe kolorowe przyciski. Jeszcze inni zwijali wzięte z półmisków plastry pieczeni i pogryzali je, obserwując tamtych albo doradzając im pomiędzy jednym kęsem a drugim.

Czarodziejka, która wciąż trzymała Abby pod ramię, nachyliła się ku niej.

–Pierwszy Czarodziej poświęci ci część swojej uwagi. W tym samym czasie będą doń mówić również inni ludzie. Nie denerwuj się i nie zagub. Będzie cię słuchać, tak jak będzie słuchać lub mówić do pozostałych. Nie zwracaj uwagi na ich słowa, tylko przedstaw sprawę, z którą tu przyszłaś. Wysłucha cię.

–I jednocześnie będzie rozmawiać z innymi? – spytała z osłupieniem Abby.

–Tak – odparła czarodziejka i lekko ścisnęła ramię Abby. – Staraj się zachować spokój i nie wydawać sądu na podstawie tego, co się wydarzyło przed chwilą.

Uśmiercenie. To miała na myśli. Miała na myśli to, że ów człowiek przybył porozmawiać z Pierwszym Czarodziejem i został za to zabity. A ona miała to tak po prostu wyrzucić z pamięci? Abby spojrzała w dół i zobaczyła, że kroczy po krwawym śladzie. Nigdzie nie dostrzegła bezgłowego ciała.

Znowu poczuła mrowienie wywołane przez bransoletę i zerknęła na nią. Dłoń, która ścisnęła jej ramię, sprawiła, że się zatrzymała. Uniosła głowę i zobaczyła przed sobą poruszającą się

chaotycznie grupę ludzi. Jedni dołączali do niej z boku, inni dokądś odchodzili. Część mówiła coś z wielkim przekonaniem, wymachując przy tym rękami. Tak wielu ludzi mówiło naraz, że z trudem wyławiała pojedyncze słowa. A w tym samym czasie do grupy dołączali inni i mówili niemal szeptem. Wydawało się jej, że patrzy na ludzki odpowiednik pszczelego roju.

Uwagę Abby przyciągnęła jakaś stojąca z boku, odziana w biel postać. Zesztywniała, dostrzegłszy długie włosy i patrzące wprost na nią fiołkowe oczy. Wydała zduszony okrzyk, padła na kolana i pokłoniła się tak nisko, że aż zaboląły ją plecy. Drżała i trzęsła się, obawiając się najgorszego.

Chwilę przed tym, nim padła na kolana, dostrzegła, że biała atłasowa suknia miała taki sam kwadratowy dekolt jak czarne. Masa długich włosów nie pozostawiała wątpliwości. Abby nigdy przedtem nie widziała tej kobiety, lecz natychmiast pojęła, kim ona jest. Nie można Jej było z nikim pomylić. Tylko jedna z nich nosiła białą szatę.

To była Matka Spowiedniczka we własnej osobie.

Abby słyszała nad sobą jakąś rozmowę, jednak bała się przysłuchiwać, bo może właśnie przyzywano śmierć.

–Powstań, moje dziecię – powiedział dźwięczny głos.

Abby zrozumiała, że to oficjalna formułka wygłaszana przez Matkę Spowiedniczkę. Dopiero po chwili pojęła, że nie była to groźba, ale zwyczajne podziękowanie za ukłon. Wpatrywała się w kałużę krwi na podłodze i zastanawiała, co ma zrobić. Matka nigdy nie pouczyła jej, jak ma się zachowywać, jeśli kiedykolwiek spotka Matkę Spowiedniczkę. O ile wiedziała, żaden mieszkaniec Coney Crossing nie widział nigdy Matki Spowiedniczki, a tym bardziej nie znalazł się tuż przy niej. No i żaden z nich nie widział również czarodzieja.

–Wstań – burknęła do niej z góry czarodziejka.

Abby podniosła się, ale mimo że mdliło ją od widoku krwi, wciąż patrzyła w podłogę. Nawet czuła zapach posoki, taki sam jak po niedawnym uboju jednego z ich zwierząt. Długi ślad wskazywał, że ciało zawleczono do jednych z drzwi w głębi komnaty.

–Czarodzieju Zoranderze – powiedziała spokojnie czarodziejka w chaos rozmów – to Abigail, zrodzona z Helsy. Pragnie cię o coś prosić. Abigail, to Pierwszy Czarodziej Zeddicus Zu’l Zorander.

Abby ośmieliła się ostrożnie podnieść wzrok. Napotkała spojrzenie orzechowych oczu.

Przed nią, po obu stronach, stały grupy ludzi: wielcy, groźni oficerowie, z których część wyglądała nawet na generałów; kilku starszych mężczyzn w prostych lub ozdobnych strojach; kilku mężczyzn w średnim wieku w zwykłych szatach lub w liberii; trzy czarodziejki; różni inni mężczyźni i kobiety, no i Matka Spowiedniczka.

Człowiek tkwiący w centrum tej kotłowniny, mężczyzna o orzechowych oczach, nie wyglądał tak, jak Abby się spodziewała. Nastawiła się na spotkanie z jakimś szpakowatym, gburowatym starcem. A ten był młody – być może równie młody jak ona. Szczupły, lecz muskularny, miał na sobie najskromniejsze szaty wykonane z materiału nieco tylko lepszego niż konopne płótno worka Abby – oznakę swojej wysokiej rangi.

Młoda kobieta nie spodziewała się wcale, że taki człowiek może być Pierwszym Czarodziejem. Pamiętała, co mówiła jej matka: tam, gdzie chodzi o czarodziejów, nie wierz nawet własnym oczom.

Wszyscy dokoła mówili do niego, spierali się z nim, kilku nawet krzyczało, czarodziej jednak milczał i spoglądał w oczy Abby. Miał przyjemną, pozornie łagodną twarz, mimo że jego faliste kasztanowe włosy wyglądały na bardzo niesforne, lecz jego oczy... Abby jeszcze nigdy nie widziała takich oczu. Zdawało się, że wszystko widziały,

wszystko wiedziały, wszystko rozumiały. A jednocześnie były zaczerwienione i zmęczone, jakby omijał go sen. Dostrzegła w nich również cień rozpacz. Mimo to był spokojny w samym środku burzy. W tej właśnie chwili całą uwagę poświęcił Abby, jakby poza nią nie było nikogo w komnacie.

Pukiel włosów, który Abby zobaczyła na palcu szlachetnie urodzonego, był teraz owinięty wokół palca czarodzieja. Dotknął go ustami i opuścił rękę.

–Powiedziano mi, że jesteś córką czarodziejki. – Jego głos zabrzmiał w panującym wokół tumultcie jak szmer spokojnie płynącej wody. – Czy i ty masz dar, dziecko?

–Nie, panie...

Kiedy odpowiadała, czarodziej odezwał się do mężczyzny, który właśnie skończył mówić:

–Powiedziałem ci, że jeśli to zrobisz, będziemy ryzykować ich utratę. Poślij wiadomość, że chcę, by ruszył na południe.

Wysoki oficer, do którego przemówił czarodziej, wyrzucił w górę ramiona:

–Ale on twierdzi, że według wiarygodnych informacji zwiadowców D'Harańczycy ruszyli na wschód od niego.

–Nie o to chodzi – odparł czarodziej. – Chcę, by zamknięto owo przejście na południe. To tam skierowały się ich główne siły. Są wśród nich mający dar. To ich właśnie musimy zabić.

Wysoki oficer zasalutował, przykładając pięść do serca, a Zeddicus mówił już do starej czarodziejki:

–Tak, to prawda, trzy inwokacje przed próbą transpozycji. Tej nocy odnalazłem zapiski.

Stara czarodziejka odeszła, a jej miejsce zajął człowiek mówiący coś w obcym języku i pokazujący czarodziejowi rozprostowany zwój. Ten spojrział na zwój, przeczytał coś i odprawił gestem mężczyźną, jednocześnie wydając mu polecenia w tym samym obcym języku.

–Więc ciebie dar ominął? – Znow patrzył na Abby. Kobieta poczuła, jak pali ją twarz i uszy.

–Tak, czarodzieju Zoranderze.

–Nie ma się czego wstydzić, dziecko – powiedział. Matka Spowiedniczka szeptała mu właśnie coś konfidencjonalnie na ucho.

Lecz było się czego wstydzić. Nie odziedziczyła daru po matce – ominął ją. Ludzie z Coney Crossing mogli polegać na matce Abby. Pomagała chorym lub rannym. Doradzała ludziom w sprawach rodzinnych i w sprawach społeczności. Jednych swatała, innym wymierzała karę, jeszcze innym wyświadczała przysługi, które można było oddać

tylko dzięki magii. Była czarodziejką; chroniła mieszkańców Coney Crossing. Publicznie wszyscy ją szanowali, lecz prywatnie niektórzy się jej bali i nienawidzili jej. Szanowano ją za dobro, jakie czyniła dla ludzi z miasteczka. Część mieszkańców bała się jej i nienawidziła, bo miała dar – bo władała magią. Pewni ludzie pragnęli żyć bez jakiegokolwiek magii w ich pobliżu.

Abby nie miała daru i nie mogła pomagać w chorobie, leczyć ran czy dręczących lęków. Ogromnie chciałyby służyć pomocą w takich przypadkach, lecz nie była w stanie. Kiedy Abby spytała matkę, jak może znosić całą tę niewdzięczność i wrogość, ta odparła, że pomoc sama w sobie jest zadośćuczynieniem i że nie powinno się za nią oczekiwać wdzięczności. Powiedziała też, że jeśli oczekuje się za to wdzięczności, można wieść bardzo nieszczęśliwe życie.

Ludzie odsuwali się od Abby: za życia jej matki robili to dyskretnie, po jej śmierci – otwarcie. Mieszkańcy Coney Crossing spodziewali się, że córka czarodziejki będzie im pomagać tak, jak pomagała jej matka. Nie mieli pojęcia o darze i o tym, że często nie przechodzi on na potomstwo, więc uważali, że Abby jest samolubna.

Zorander tłumaczył czarodziejce coś wiążącego się z rzucaniem czaru. Kiedy skończył, spojrzął przelotnie na Abby, nim zajął się kimś innym. Teraz ona potrzebowała jego pomocy.

–O co chciałaś mnie prosić, Abigail?

Kobieta mocniej zacisnęła palce na worku.

–Chodzi o moje rodzinne Coney Crossing. – Przerwała, bo wskazywał coś w podsuniętej mu księdze. Dał jej znak, by mówiła dalej, gdy jakiś człowiek wyjaśniał mu zawilości związane z odczynianiem podwójnego czaru. – Tam jest okropnie ciężko – podjęła Abby. –

Oddziały D'Harańczyków przeszły przez Crossing...

Pierwszy Czarodziej odwrócił się do starszego mężczyzny z długą, białą brodą. Nosił skromne szaty, więc Abby domyśliła się, że i on jest czarodziejem.

–Powiadam ci, Thomasie, że to się da zrobić – upierał się – Nie twierdzę, że zgadzam się z Naczelną Radą, tylko mówię ci, czego się dowiedziałem o ich jednomyślnej decyzji, że to ma być przeprowadzone. Nie utrzymuję, że rozumiem dokładnie, jak to działa, ale przestudiowałem to i wiem, że jest wykonalne. Jak już powiedziałem radzie, mogę to zapoczątkować. Muszę jeszcze tylko zdecydować, czy zgadzam się z nimi, że powinienem to zrobić. Ów człowiek, Thomas, przetarł dłonią twarz.

–A więc według ciebie to, co słyszałem, to prawda? Rzeczywiście uważasz, że to możliwe? Straciłeś rozum, Zoranderze?

–Odszukałem to w księdze w Wieży Pierwszego Czarodzieja. W księdze spisanej

jeszcze przed wojną ze Starym Światem. Widziałem to na własne oczy. Rzuciłem całe mnóstwo sieci weryfikacyjnych, żeby to sprawdzić. – Znow zajął się Abby. – Tak, to był pewnie legion Anarga. Coney Crossing leży w kotlinie Pendisan.

–To prawda – odparła Abby. – Więc ta d'harańska armia przeszła tamtędy i...

–Kotlina Pendisan odmówiła połączenia się z resztą Midlandów pod wspólnym dowództwem, które kieruje oporem przeciw najazdowi D'Hary. Jej przywódcy wybrali suwerenność i samodzielną walkę z wrogiem. Powinni ponieść konsekwencje swojej decyzji.

Stary czarodziej szarpał brodę.

–Ale czy wiesz, że to prawda? Czy to wszystko zostało potwierdzone? Chodzi mi o to, że ta księga ma pewnie tysiące lat. To mogły być zaledwie domniemania. Sieci weryfikacyjne nie zawsze potwierdzają całą strukturę czegoś takiego.

–Wiem to równie dobrze jak ty, Thomasie, lecz w tym wypadku twierdzę, że to możliwe – odparł czarodziej Zorander. Zniżył głos do szeptu: – Chrońcie nas duchy, to jest prawdziwe.

Serce Abby biło mocno. Chciała mu opowiedzieć swoją historię, ale nie wiedziała, jak się wtrącić do tej rozmowy. Musiał jej pomóc. To był jedyny sposób.

Bocznymi drzwiami wbiegł jakiś oficer i przepchnął się przez tłum otaczający Pierwszego Czarodzieja.

–Czarodzieju Zoranderze! Właśnie dostałem wieści! Wykorzystaliśmy rogi, które posiałeś, i podziałało! Urdlandzkie wojska uciekły!

Jedne głosy ucichły. Inne nie.

–Ten sposób ma przynajmniej trzy tysiące lat – powiedział Pierwszy Czarodziej do mężczyzny z białą brodą, po czym położył dłoń na ramieniu oficera i nachylił się ku niemu. – Przekaż generałowi Brainardowi, żeby utrzymał pozycje nad rzeką Kern. Niech nie pali mostów, ale je utrzyma. Powiedz mu, by rozdzielił swoich ludzi. Połowa niech trzyma w szachu Urdlandczyków; miejmy nadzieję, że nie zdołają znaleźć następcy swojego bitewnego czarodzieja. Resztę ludzi niech Brainard poprowadzi na północ i pomoże przeciąć drogę ucieczki Anarga. To nasza główna troska, lecz mosty mogą nam być potrzebne, żebyśmy mogli ścigać Urdlandczyków.

Jeden z pozostałych oficerów, starszy mężczyzna wyglądający na generała, poczerwieniał.

–Zatrzymać się na linii rzeki? Kiedy rogi zrobiły swoje i tamci uciekają? Po co?! Możemy ich rozgromić, nim zdążą się przegrupować, połączyć z innymi oddziałami i raz jeszcze ruszyć na nas!

Spojrzały nań orzechowe oczy.

–A wiesz, co czai się za granicą? Ilu żołnierzy zginie, jeśli Panis Rahl ma coś, czego rogi nie przepędzą? Ilu niewinnych już zginęło? Ilu naszych żołnierzy zginie, walcząc z nimi na ich ziemiach, ziemiach, których nie znamy tak dobrze jak oni?

–A ilu naszych ludzi zginie, jeśli nie pozbawimy ich zdolności do ponownego ataku?! Musimy ruszyć za nimi w pościg. Panis Rahl nigdy nie spocznie. Postara się wymyślić coś, co pozwoli mu uśmiercić nas wszystkich podczas snu. Musimy ich ścigać i wybić do nogi.

–Pracuję nad tym – odparł tajemniczo Pierwszy Czarodziej. Starzec szarpnął brodę i skrzywił się sarkastycznie.

–Tak, on myśli, że wypuści na nich zaświaty.

Paru oficerów, dwie czarodziejki i kilku mężczyzn zamilkło i popatrzyło z nie tajonym niedowierzaniem.

Ku Abby nachyliła się czarodziejka, która przyprowadziła ją na audiencję.

–Chciałaś rozmawiać z Pierwszym Czarodziejem. Mów. Jeśli straciłaś odwagę, to cię stąd zabiorę.

Abby oblizwała wargi. Nie miała pojęcia, jak mówić w trakcie tak ożywionej dyskusji, lecz wiedziała, że musi, więc podjęła:

–Nie wiem nic o tym, panie, co zrobiła moja rodzinna kotlina Pendisan. Mało wiem o królu, a już zupełnie nic o radzie czy o wojnie.

Jestem z małej osady i wiem tylko tyle, że jej mieszkańcy są w poważnych tarapatkach. Wróg pokonał naszych obrońców. Jest tam midlandzkie wojsko, które idzie ku D'Harańczykom.

Czuła się głupio, mówiąc do człowieka, który prowadził jednocześnie tyle rozmów, przede wszystkim jednak była rozgniewana i sfrustrowana. Ci ludzie umrą, jeżeli nie skłoni go, żeby pomógł.

–Ilu D'Harańczyków? – zapytał czarodziej.

Abby otworzyła usta, ale ubiegł ją jeden z oficerów.

–Nie wiemy na pewno, ilu zostało w legionie Anarga. Mogą być poranieni, lecz są jak rozwścieczony ranny byk. Teraz znajdują się blisko swoich ziem. Mogą albo znów na nas uderzyć, albo nam uciec.

Sanderson nadciąga od północy, a Mardale podąża od południowego zachodu. Anargo popełnił błąd, wchodząc do Crossing: teraz musi walczyć lub uciekać na swoje ziemie. Musimy rozgromić jego wojska. To może być nasza jedyna szansa.

Pierwszy Czarodziej przesunął kciukiem i palcem wskazującym po gładko wygolonej szczęce.

–Wciąż jeszcze nie wiemy, ilu ich jest. Zwiadowcy zasługiwali na zaufanie, lecz nie wrócili. Musimy założyć, że nie żyją. A poza tym dlaczego Anargo zrobił coś takiego?

–Cóż, to najkrótsza droga ucieczki do D'Hary – odparł oficer.

Pierwszy Czarodziej zwrócił się ku czarodziejce i odpowiedział na pytanie, które właśnie zadała:

–Nie możemy sobie na to pozwolić. Powiedz im, że odmówiłem.

Nie rzucę dla nich sieci tego rodzaju i nie dam im na to środków za mgliste „może”.

Czarodziejka skinęła głową i pospiesznie odeszła. Abby wiedziała, że sieć to czar rzucany przez czarodziejkę. Najwyraźniej tak samo nazywał się czar rzucany przez czarodzieja.

–Hmm, skoro to możliwe – mówił brodaty mężczyzna – to chciałbym zobaczyć twoje tłumaczenie tekstu. Taka licząca trzy tysiące lat księga to ogromnie ryzykowna rzecz. Nie wiemy, jak czarodzieje z owych czasów wykonywali większość tego, co robili.

Pierwszy Czarodziej po raz pierwszy spojrział nań gniewnie.

–Chcesz dokładnie zobaczyć to, o czym mówię, Thomasie? Kształt czaru?



Ton jego głosu sprawił, że część ludzi w komnacie zamilkła. Pierwszy Czarodziej rozpostarł ramiona, nakazując wszystkim, by się odsunęli. Matka Spowiedniczka stanęła tuż za jego lewym ramieniem. Czarodziejka odciągnęła Abby krok do tyłu.

Zeddicus Zu'l Zorander dał znak. Jakiś mężczyzna wziął ze stołu niewielki woreczek i podał go mu. Abby spostrzegła, że piasek na stolikach nie był rozsypany ot tak sobie, ale że wyrysowano na nim jakieś symbole. Matka Abby też czasem używała piasku do rysowania czarów, przeważnie jednak korzystała z rozmaitych przedmiotów, jak na przykład sproszkowanej kości czy ususzonych ziół. Wykorzystywała piasek do treningu – uroki, prawdziwe uroki, muszą być wyrysowane we właściwym porządku i bezbłędnie.

Pierwszy Czarodziej przykucnął i zaczerpnął z woreczka garść piasku. Rozsypał go na podłodze – piasek sączył się spomiędzy palców zaciśniętej w pięść dłoni. Dłoń czarodzieja Zorandera poruszała się z wielką precyzją. Zatoczył ramieniem krąg, rysując koło. Znow nabrał piasku i wyrysował wewnętrzny krąg. Zdawało się, że rysuje symbol Grace.

Matka Abby zawsze rysowała w drugiej kolejności kwadrat, wszystko po kolei, do środka, a potem idące na zewnątrz promienie. Czarodziej Zorander wykreślił w mniejszym kole ośmioramienną gwiazdę. Narysował strzelające na zewnątrz linie, które przecinały oba koła, lecz jedną pomiął.

Powinien jeszcze nakreślić kwadrat symbolizujący granicę między światami. Był Pierwszym Czarodziejem, więc Abby sądziła, że nie ma znaczenia, iż rysuje to w innej kolejności niż czarodziejka z tak małej osady jak Coney Crossing. Ale kilku mężczyzn, których Abby uważała za czarodziejów, i stojące za nim dwie czarodziejki patrzyli na

siebie z powagą.

Zorander wyrysował dwa boki kwadratu. Nabrał piasku z woreczka i zaczął rysować dwa pozostałe, ale zamiast linii prostej nakreślił łuk wchodzący głęboko w skraj wewnętrznego kręgu, który symbolizował świat żywych. Łuk nie zakończył się na zewnętrznym kręgu, lecz go przeciął. Pierwszy Czarodziej dorysował ostatni bok, też wygięty w łuk i wnikaający w wewnętrzny krąg. Zetknął ów łuk z drugim tam, gdzie brakowało linii idącej od Światła. W przeciwieństwie do trzech pozostałych rogów kwadratu, ten zamykał się poza większym kręgiem – w świecie zmarłych.

Ludzie wstrzymali oddech. W komnacie na chwilę zapadła cisza, a potem ci z darem zaczęli szeptać niespokojnie.

Czarodziej Zorander wstał.

–Zadowolony jesteś, Thomasie?

Twarz mężczyzny była równie biała jak jego broda.

–Chroń nas, Stwórco. – Spojrzał na Zorandera. – Rada nie w pełni to rozumie. Szaleństwem byłoby zrobienie czegoś takiego.

Pierwszy Czarodziej zignorował go i zwrócił się do Abby:

–Ilu D’Harańczyków widziałaś?

–Trzy lata temu nadleciały roje szarańczy. Wzgórza dokoła Coney Crossing były aż brązowe. Myślę, że widziałam więcej D’Harańczyków, niż było tej szarańczy.

Czarodziej Zorander mruknął z niezadowoleniem. Spojrzał na symbol, który wyrysował.

–Panis Rahl nie zrezygnuje. Jak długo jeszcze, Thomasie? Ile czasu upłynie, nim wynajdzie jakąś nową sztuczkę i znów wyśle na nas Anarga? – Powiódł wzrokiem po otaczających go ludziach. – Przez ile lat sądziliśmy, że zniszczą nas hordy najeźdźców z D’Hary? Ilu naszych zabiła magia Rahla? Ile tysięcy zmarło od gorączki, którą zesłał? Ile tysięcy zostało poparzonych i wykrwawiło się na śmierć od dotknięcia ludzi cieni, których wyczarował? Ileż to wiosek, miasteczek i miast stał z powierzchni ziemi?

Nikt się nie odezwał, więc podjął:

–Całe lata zabrało nam cofnięcie się znad krawędzi. W końcu bieg wojny się odwrócił: wróg ucieka. Mamy teraz trzy możliwości. Pierwsza: pozwolić mu uciec i mieć nadzieję, że nigdy już na nas nie napadnie. Sądzę, że za jakiś czas spróbują raz jeszcze. To pozostawia dwie możliwości: możemy ścigać wroga aż do jego leży i wybić go kosztem życia dziesiątków, a może nawet setek tysięcy naszych żołnierzy, albo ja mogę to zakończyć.

Obdarzeni magiczną mocą z niepokojem popatrywali na wyrysowany na podłodze Grace.

–Wciąż jeszcze mamy inną magię – odezwał się któryś z czarodziejów. – Możemy się nią posłużyć w tym samym celu, nie wywołując przy tym takiego kataklizmu.

–Czarodziej Zorander ma rację – wtrącił kolejny. – Podobnie jak rada. Wróg zasłużył sobie na taki los. Musimy to na nich zesłać.

W komnacie znów zawrzały spory. Czarodziej Zorander spojrzał Abby w oczy. Wyraźnie nakazywał, by wreszcie zakończyła swoją prośbę.

–Moi, mieszkańcy Coney Crossing, zostali pojmani przez D’Harańczyków. Inni też. Mają czarodziejkę, która pęta jeńców urokiem.

Błagam cię, czarodzieju Zoranderze: musisz mi pomóc. Kiedy się chowałam, usłyszałam rozmowę czarodziejki z ich oficerami. D’Harańczycy chcą wykorzystać brańców jako tarczę. Chcą, żeby przyjęli na siebie śmiertcioną magię, którą na nich zesłesz, albo piki i strzafy midlandzkiej armii. Jeśli postanowią zawrócić i zaatakować, to popędzą przed sobą jeńców.

Nazywają to „tępieniem oręża wrogów na ich własnych kobietach i dzieciach”.

Nikt na nią nie spojrzał. Wszyscy znów rozmawiali i spierali się. Jakby życie tych wszystkich ludzi nie zasługiwało na ich uwagę.

Abby czuła, że oczy palą ją od łez.

–Musisz mi pomóc, bo ci niewinni ludzie umrą. Błagam cię, czarodzieju Zoranderze: musimy uzyskać od ciebie pomoc. Inaczej oni wszyscy zginą.

Spojrzał na nią przelotnie.

–Niczego nie możemy dla nich zrobić.

Abby z trudem oddychała, powstrzymując łzy.

–Pojmali mojego ojca i resztę rodziny. Męża. Córeczkę. Ona nie ma jeszcze pięciu lat. Jeżeli uderzysz, oni zginą. Musisz ich odbić albo zrezygnować z ataku.

Wyglądał na szczerze zasmuconego.

–Przykro mi. Nie mogę im pomóc. Oby dobre duchy czuwały nad nimi i zabrały ich dusze w Światło.

Zaczął się odwracać.

–Nie! – wrzasnęła Abby. Niektórzy umilkli, inni jedynie na nią spojrzeli i dalej rozmawiali. – Moje dziecko! Nie możesz! – Włożyła rękę do worka. – Mam kość...

–Jak wszyscy – mruknął, przerywając jej. – Nie mogę ci pomóc.

–Ależ musisz!

–Musielibyśmy zrezygnować z naszego zamiaru. A w ten czy inny sposób musimy zgnieść wojska D’Hary. Ci niewinni ludzie zostali w to wplątani. Nie mogę dopuścić, by D’Harańczykom powiódł się ten podstęp, bo zaczną go szeroko stosować i zginą kolejni niewinni ludzie. Należy udowodnić wrogowi, że to nie odwiedzie nas od naszych zamiarów.

–Nie! – lamentowała Abby. – Ona jest tylko dzieckiem! Skazujesz na śmierć moje dzieciątko! Tam są jeszcze inne dzieci! Cóż z ciebie za potwór?!

Już nikt poza czarodziejem jej nie słuchał; wszyscy rozmawiali. Głos Pierwszego Czarodzieja przebił się przez gwar i poraził uszy Abby jak echo dzwonu.

–Jestem człowiekiem, który musi podejmować takie właśnie decyzje. Muszę odmówić twojej prośbie.

Abby krzyczała, przytłoczona cierpieniem wywołanym przez swoją klęskę. Nawet nie pozwolono jej pokazać, co przyniosła.

–Ale to jest dług. Poważny dług – łkała.

–Który nie może być teraz spłacony.

Abby krzyczała histerycznie. Czarodziejka zaczęła ją odciągać. Kobieta wyrwała się jej i wybiegła z komnaty. Potykała się, schodząc po schodach, ledwo widziała przez łzy. U stóp schodów osunęła się na podłogę i łkała rozpaczliwie. Nie pomoże jej. Nie pomoże jej bezbronnemu dziecku. Jej córeczka umrze.

Czyjaś dłoń dotknęła ramienia wstrząsanej łkaniem Abby. Ktoś przytulił ją łagodnie. Czułe palce odgarnęły jej włosy – płakała w ramionach jakiejś kobiety. Inna dłoń dotknęła jej pleców i poczuła strumień kojącej magii.

–Zabija moją córeczkę. Nienawidzę go – załkała.

–Właśnie tak trzeba, Abigail – powiedział nad nią czyjś głos. – Trzeba się wyplakać, cierpiąc w ten sposób.

Abby otarła oczy, ale nie mogła powstrzymać łez. Czarodziejka była obok niej, u stóp schodów. Podniosła wzrok na kobietę, która ją tuliła. To była Matka Spowiedniczka we własnej osobie. Mogła jej zrobić wszystko co najgorsze, nic to Abby nie obchodziło. Jakie to miało znaczenie? Co w ogóle miało teraz znaczenie?

–To potwór – wychlipała. – Dobrze go nazywają. Jest niegodziwym Wichrem Śmierci. A tym razem zabija moje dzieciątko, nie wroga.

–Rozumiem, dlaczego tak uważasz, Abigail, ale to nieprawda – odezwała się Matka Spowiedniczka.

–Jak możesz tak mówić?! Moja córeczka jeszcze nie zakosztowała życia, a on ją zabije! Mój mąż umrze. Ojciec też, jednak on przynajmniej długo żył. A moje dzieciątko nie!

Znów zaczęła zawodzić i rozpaczać histerycznie, a Matka Spowiedniczka ponownie ją tuliła. Lecz Abby nie chciała pocieszenia.

–Masz tylko jedno dziecko? – spytała czarodziejka.

Potaknęła i spazmatycznie wciągnęła powietrze.

–Miałam jeszcze chłopczyka, ale zmarł w czasie porodu. Akuszerka powiedziała, że już nie

będę mieć dzieci. Mała Jana zostanie moim jedynym dzieckiem. – Znów ogarnęła ją straszliwa rozpacz. – A on ją zabije. Tak jak tego człowieka, który wszedł przede mną. Czarodziej Zorander to potwór. Oby dobre duchy poraziły go i zabiły.

Czarodziejka, smutna i wzruszona, odgarnęła jej włosy z czoła.

–Nie rozumiesz. Widzisz tylko drobną cząstkę wszystkiego.

W gruncie rzeczy wcale tak nie myślisz.

Lecz Abby właśnie tak myślała.

–Gdybyś miała...

–Delora to rozumie – odezwała się Matka Spowiedniczka, wskazując czarodziejkę. – Ma dziesięcioletnią córeczkę i syna.

Abby zerknęła na tamtą. Czarodziejka uśmiechnęła się do niej życzliwie i potwierdziła skinieniem głowy.

–Ja też mam córkę – dodała Matka Spowiedniczka. – Ma dwanaście lat. I ja, i Delora rozumiemy twoją rozpacz. Pierwszy Czarodziej także.

Abby zacisnęła dłonie w pięści.

–On nie może tego rozumieć! Dopiero co wyrósł z chłopięcych lat, a chce zabić moje dziecko! Jest Wichrem Śmierci i obchodzi go tylko jedno: zabijanie ludzi!

–Usiądź obok mnie, Abigail. – Matka Spowiedniczka poklepała dłonią marmurowy stopień. – Pozwól, że ci coś opowiem o tym człowieku.

Wciąż jeszcze pochlipując, Abby podciągnęła się i usiadła na schodach. Matka Spowiedniczka była od niej starsza o jakieś dwanaście, czternaście lat i wyglądała bardzo sympatycznie z tymi swoimi fiołkowymi oczami. Długie włosy sięgały jej aż do talii. Uśmiechała się ciepło. Abby nigdy nie przyszło na myśl, żeby traktować Spowiedniczkę jak kobietę, lecz teraz widziała w niej właśnie kobietę. I już nie bała się jej tak jak przedtem. Nie bała się, bo już nic gorszego nie mogłoby jej spotkać.

–Czasami opiekowałam się Zeddicusem, gdy był jeszcze małym szkrabem, a ja dorastającą dziewczyną. – Matka Spowiedniczka zapatrzyła się w dal z tęsknym uśmiechem. – Dawałam mu klapsy, kiedy się źle zachowywał, a potem ciągnęłam za ucho, żeby spokojnie siedział na lekcji. Był wielkim psotnikiem, lecz powodowała nim ciekawość, a nie złośliwość. Wyrósł na wspaniałego człowieka. Gdy wybuchła wojna z D’Harą, czarodziej Zorander długo nam nie pomagał. Nie chciał walczyć, nie chciał ranić ludzi. W końcu jednak, kiedy wódz D’Hary, Panis Rahl, zaczął korzystać z magii, Zedd zrozumiał, że jedynie w walce leży

nadzieja na ocalenie życia wielu ludzi. Tobie i innym Zeddicus Zu'l Zorander może się wydawać młody, lecz jest szczególnym czarodziejem, który przyszedł na świat ze związku czarodzieja i czarodziejki. Był

cudownym dzieckiem. Nawet tutejsi czarodzieje, a niektórzy byli jego nauczycielami, nie zawsze pojmują, jak mu się udaje rozwikłać pewne tajemnice zawarte w księgach lub jak wykorzystuje swój dar do uzyskania tak wielkiej mocy. Pojmujemy jednak, że ma serce. Wykorzystuje nie tylko swój rozum, ale i swoje serce. Właśnie dzięki temu, i z wielu innych powodów, mianowano go Pierwszym Czarodziejem.

–Tak – odezwała się Abby – doskonale mu idzie bycie Wichrem Śmierci.

Matka Spowiedniczka uśmiechnęła się nieznacznie i dotknęła dłonią piersi.

–My, którzy znamy go naprawdę, mówimy o nim między sobą „Sztukmistrz”. Na to miano naprawdę sobie zasłużył. Wichrem Śmierci nazwaliśmy go na użytek innych, żeby zasiać strach w sercach wrogów. Ale i niektórzy ludzie stojący po naszej stronie wzięli sobie do serca ten przydomek. Twoja matka miała dar, więc pewno potrafisz zrozumieć, że ludzie czasami bez potrzeby boją się tych, którzy władają magią.

–A czasem ci z magicznym darem są naprawdę potworami, których nic nie obchodzi życie, jakie niszczą – upierała się Abby.

Matka Spowiedniczka patrzyła przez chwilę w oczy Abby, a potem ostrzegawczo uniosła palec.

–Powiem ci coś w zaufaniu o Zeddicusie Zu'l Zoranderze. Jeśli jednak kiedykolwiek powtórzysz komuś tę historię, to nigdy ci nie wybaczę, że zawiodłaś moje zaufanie.

–Na pewno nie rozaplamię, ale nie rozumiem...

–Posłuchaj.

Abby umilkła i Matka Spowiedniczka zaczęła opowieść.

–Zedd ożenił się z Erilyn. Była cudowną kobietą. Bardzo ją wszyscy kochaliśmy, lecz nie tak mocno jak on. Mieli córeczkę.

–Ile ma lat? – Abby nie zdołała powściągnąć ciekawości.

–Mniej więcej tyle, ile twoja – odparła Delora. Abby przełknęła ślinę.

–Rozumiem.

–Kiedy Zedd został Pierwszym Czarodziejem, sprawy nie wyglądały dobrze. Panis Rahl stworzył za pomocą magii ludzi cieni.

–Jestem z Coney Crossing. Nigdy nie słyszałam o czymś takim.

–Wojna i tak miała niepomyślny dla nas przebieg, a tu jeszcze Panis Rahl nauczył swoich czarodziejów, jak wykorzystywać magię do tworzenia ludzi cieni. – Matka Spowiedniczka westchnęła, na nowo przeżywając tamtą udrękę. – Nazywa się ich tak, bo są jak cienie unoszące się w powietrzu. Nie mają wyraźnego kształtu. To nie są żywe istoty, lecz wytwory magii. W starciu z nimi oręż jest równie nieprzydatny jak wobec dymu. Przed ludźmi cieniami nie sposób się ukryć.

Płyną ku tobie przez pola lub lasy. Odnajdą cię. A kiedy kogoś dotkną, ciało takiej osoby pokrywa się bąblami, puchnie i w końcu pęka.

Człowiek umiera, krzycząc ze straszliwego bólu. Nawet mający magiczny dar nie mogą uleczyć osoby, którą dotknął człowiek cień. Gdy wróg atakował, jego czarodzieje wysyłali przodem ludzi cieni. Początkowo znajdowaliśmy całe bataliony naszych dzielnych młodych żołnierzy wybite do nogi. Wydawało się nam, że nie ma już nadziei.

To była nasza najczarniejsza godzina.

–A czarodziej Zorander zdołał ich powstrzymać? – spytała Abby.

Matka Spowiedniczka potaknęła.

–Zbadał całą sprawę i wyczarował rogi bojowe. Ich magia odpędza ludzi cieni tak, jak wiatr odpędza dym. Poza tym magia rogów tropiła tych, którzy rzucali tamten urok, i zabijała ich. Jednak rogi nie są niezawodne: Zedd musi nieustannie dostosowywać ich magię do zmian wprowadzanych przez wroga w jego urokach. Panis Rahl odwołał się też do innej magii: zesłał gorączkę i mdłości, wycieńczające choroby, żaby, które wywołują ślepotę, najrozmaitsze okropności. Pierwszy Czarodziej pracował dzień i noc i zdołał sobie z tym poradzić. Magia Panisa Rahla została powstrzymana i nasze wojska znów mogły walczyć na równych warunkach. Dzięki czarodziejowi Zoranderowi odwrócił się los wojny.

–To wszystko piękne, ale...

Matka Spowiedniczka raz jeszcze uniosła palec, nakazując jej milczenie. Abby ugryzła się w język, a tamta opuściła dłoń i podjęła:

–Dokonania Zedda ogromnie rozwścieczyły Panisa Rahla. Władca D’Hary próbował go zabić, ale mu się nie powiodło, więc wysłał bojówkę, żeby zabiła Erilyn.

–Bojówkę? A co to takiego?

–Bojówka to czterech zawodowych asasynów, którzy ruszają ze zleceniem pod ochroną uroku rzuconego przez tego, kto ich wysłał: przez Panisa Rahla. Mają nie tylko zabić swoją

ofiarę, ale zrobić to w niewyobrażalnie brutalny i straszliwy sposób – odparła czarodziejka.

Abby przełknęła ślinę.

–I oni... zamordowali jego żonę?

Matka Spowiedniczka nachyliła się ku niej.

–Zostawili ją przy życiu z połamanymi rękami i nogami.

–Żywą? – wyszeptała Abby. – Dlaczego zostawili ją żywą, skoro miała zostać zabita?

–Zrobili to, by Zedd znalazł ją, krwawiącą i z połamanymi kośćmi, umierającą w straszliwej męce. Mogła tylko z miłością szeptać jego imię. – Matka Spowiedniczka przysunęła się jeszcze bliżej. Mówiła cicho, a Abby czuła na twarzy jej oddech. – Kiedy

spróbował ją uzdrowić za pomocą swojego daru, ożywił magicznego czerwia.

Abby ledwo zdołała zamrugać powiekami.

–Magicznego czerwia...?

–Jeszcze żaden czarodziej nie zdołał go wykryć. – Matka Spowiedniczka skurczyła palce i wykonała przed brzuchem Abby gest rozdierania. – Czerw rozdarł jej wnętrzności. Ponieważ Zedd posłużył się pełnym miłości dotknięciem magii, Erilyn zmarła, krzycząc z bólu, a on klęczał przy niej zupełnie bezradny.

Abby skrzywiła się i dotknęła brzucha. Prawie czuła tamtą ranę.

–To okropne.

Fioletowe oczy Matki Spowiedniczki były twarde jak stal.

–Bojówka pojmała ich córeczkę. Dziewczynkę, która widziała wszystko, co zrobili jej matce.

Abby znów poczuła w oczach piekące łzy.

–I to samo zrobili ich córeczce?

–Nie. Zabrali ją ze sobą.

–Więc wciąż żyje? Wciąż jest nadzieja?

Biała atlasowa szata Matki Spowiedniczki zaszeleściła cicho, gdy kobieta oparła się o balustradę i położyła dłonie na kolanach.



–Zedd poszedł śladem bojówki. Odnalazł ją, lecz jego córka została już oddana innym, a ci z kolei przekazali dziecko jeszcze innym i tak dalej, więc żaden z asasynów nie miał pojęcia, gdzie jest mała i kto ją więzi.

Abby popatrzyła na czarodziejkę, a potem raz jeszcze spojrzała na Matkę Spowiedniczkę.

–Co czarodziej Zorander zrobił bojówce?

–To, co i ja bym im zrobiła. – Twarz Matki Spowiedniczki zastygła w grymasie lodowatej pasji. – Sprawił, że pożałowali, iż się urodzili.

Sprawił, że żałowali tego bardzo, bardzo długo.

Abby się cofnęła.

–Rozumiem.

Matka Spowiedniczka starała się uspokoić i czarodziejka podjęła opowieść.

–Czarodziej Zorander posługuje się czarem, którego nikt z nas nie pojmuje. Ów urok więzi Panisa Rahl'a w jego pałacu w D'Harze.

Pomaga unieszkodliwić zaklęcia, których Rahl używa przeciw nam i pozwala naszym żołnierzom przepędzać jego wojska, jeśli na nas napadną. Lecz Panis Rahl pała olbrzymim gniewem do człowieka, który udaremnił mu podbój Midlandów. Niemal co tydzień zdarzają się zamachy na życie czarodzieja Zorandera. Rahl nasyła

najrozmaitszych niebezpiecznych i złych ludzi, nawet Mord-Sith.

Abby wstrzymała oddech. To ostatnie określenie już słyszała.

–Kim są te Mord-Sith?

Czarodziejka przyglądała lśniącej czarnej włosy. Jej wzrok był gniewny, a na twarzy malowała się wrogość i nienawiść.

–Mord-Sith to kobiety w czerwonych skórzanych uniformach, z włosami splecionymi w pojedynczy warkocz. Takie są symbole ich profesji. Uczą je torturowania i zabijania tych, którzy mają magiczny dar. Jeżeli taka osoba spróbuje się posłużyć swoją magią przeciw Mord-Sith, ta potrafi przechwycić jej dar i obrócić go przeciwko właścicielowi. Nie ma ucieczki przed Mord-Sith.

–Ale na pewno ktoś, kto ma tak potężny dar jak czarodziej Zorander...

–Nawet on przegrałby, gdyby spróbował użyć magii przeciw Mord-Sith – powiedziała Matka Spowiedniczka. – Pokonać Mord-Sith można tylko zwykłym orężem, a nie magią. W walce z taką kobietą skuteczną jest jedynie moc Spowiedniczki. Sama zabiłam dwie. Od niepamiętnych czasów profesja Mord-Sith jest w Midlandach zakazana, po części ze względu na brutalne metody ich szkolenia, lecz w D’Harze do dziś kultywuje się okropną tradycję chwywania młodych kobiet i tresowania ich na Mord-Sith. D’Hara to odległa i tajemnicza kraina. Mamy o niej tylko taką wiedzę, jaką wynieśliśmy z niefortunnych doświadczeń. Mord-Sith pojmały kilku naszych czarodziejów i czarodziejek. Schwytni nie mogli ani się zabić, ani uciec. Nim umarli, wyznali wszystko, co wiedzieli. Panis Rahl zna nasze zamysły. Nam z kolei udało się schwytać kilku wysoko postawionych D’Harańczyków i dzięki dotknięciu Spowiedniczki mamy pojęcie, ile wiedzą o naszych planach. Czas działa na naszą niekorzyść. Abby otarła wewnątrz dłoni o uda.

–Ale ów człowiek, który zginął, nim weszłam, by zobaczyć się z Pierwszym Czarodziejem, nie mógł być asasynem. Tych dwóch, którzy z nim byli, pozostawiono przy życiu.

–Nie, on nie był asasynem. – Matka Spowiedniczka splótła dłonie. – Uważam, że Panis Rahl wie o uroku odnalezionym przez czarodzieja Zorandera. Wie, że może on zniszczyć całą D’Harę. Panis Rahl rozpaczliwie pragnie się pozbyć czarodzieja Zorandera.

W fiołkowych oczach Matki Spowiedniczki można było odczytać jej przenikliwą inteligencję. Abby odwróciła wzrok i skubała sterczącą z worka nitkę.

–Nie rozumiem, co to ma wspólnego z tym, że odmówił ratowania mojej córeczki. On sam ma córkę. Czyż nie zrobiłby wszystkiego, by ją odzyskać? By odzyskać ją całą i zdrową?

Matka Spowiedniczka pochyliła głowę i gładziła czoło palcami, jakby chciała się pozbyć silnego bólu.

–Człowiek, który wszedł przed tobą, był posłańcem. Wieść, którą przyniósł, przekazano przez wiele rąk, żeby nie można było ustalić jej źródła.

Abby poczuła gęsią skórkę.

–Co to była za wieść?

–Oddał Zeddowi pukiel włosów jego córeczki. Panis Rahl zaoferował życie córki Zedda w

zamian za to, że Pierwszy Czarodziej podda mu się i zostanie stracony.

Młoda kobieta zacisnęła worek w dłoniach.

–Czyż kochający córkę ojciec nie zrobiłby i tego, żeby ocalić jej życie?

–Jakim kosztem? – wyszeptała Matka Spowiedniczka. – Kosztem życia tych wszystkich, którzy umrą bez jego pomocy? Nie mógłby postąpić tak egoistycznie nawet dla ratowania kogoś, kogo kocha ponad wszystko. Zanim odmówił pomocy twojemu dziecku, odrzucił tamtą propozycję, skazując tym samym na śmierć swoją niewinną córeczkę.

Abby poczuła, jak ulatuje jej nadzieja. Myśl o przerażeniu Jany, o jej krzywdzie sprawiała, że młodej kobiecie kręciło się w głowie i czuła mdłości. Znow zaczęła płakać.

–Ale ja go nie proszę, żeby poświęcił innych dla ratowania mojego dziecka.

Czarodziejka łagodnie dotknęła jej ramienia.

–On uważa, że oszczędzenie tych ludzi pozwoliłoby D’Harańczykom uciec, a potem zabić jeszcze więcej osób.

Abby desperacko szukała rozwiązania.

–Ale ja mam kość.

Czarodziejka westchnęła.

–Połowa tych, którzy przychodzą do czarodzieja, przynosi ze sobą kość, Abigail. Handlarze przekonują przedkładających prośby, że to prawdziwe kości. A ludzie, zdesperowani tak jak ty, kupują je.

–Zazwyczaj przychodzą prosić czarodzieja, żeby dał im życie wolne od magii – odezwała się Matka Spowiedniczka. – Większość ludzi boi się magii i obawiam się, że teraz, kiedy D’Hara w ten sposób wykorzystuje magię, woleliby już nigdy nie mieć z nią nic wspólnego. Zabawny powód, żeby kupować kość, zabawny podwójnie, bo kupują fałszywe kości, wierząc, iż są prawdziwe, by prosić o uwolnienie od magii.

Abby zamrugnęła powiekami.

–Ale ja nie kupiłam kości. To prawdziwy dług. Matka powiedziała mi o tym na łożu śmierci. Powiedziała, że ten dług wiąże samego czarodzieja Zorandera.

Czarodziejka z niedowierzaniem przymrużyła oczy.

–Prawdziwe długi o takim charakterze są niezwykle rzadkie, Abigail. Może miała tę kość, a ty myślałaś...

Abby rozchyliła worek, żeby czarodziejka mogła do niego zajrzeć. Ta spojrzała i umilkła. Z kolei zerknęła do worka Matka Spowiedniczka.

–Wiem, co mi mama powiedziała – upierała się Abby. – Powiedziała mi też, że jeśli będą jakieś wątpliwości, to on może to sprawdzić. Wtedy pozna, że to prawda i że dług przeszedł z ojca na niego.

Czarodziejka dotknęła paciorków przy dekolcie.

–Mógłby to zbadać. Będzie wiedział, czy to prawda. Co wcale nie znaczy, że ów dług musi być teraz spłacony.

Abby śmiało pochyliła się ku czarodziejce.

–Mama powiedziała, że to prawdziwy dług i że musi być spłacony. Błagam, Deloro, ty się na tym znasz. Kiedy się z nim zobaczyłam, ci wszyscy krzyczący ludzie wprawili mnie w zakłopotanie. Nerozsądnie zrezygnowałam z upierania się przy swoim i nie poprosiłam, żeby sprawdził kość. – Odwróciła się i chwyciła za ramię Matkę Spowiedniczkę. – Pomożecie mi? Powiecie mu, co mam, i poprosicie, żeby to sprawdził?

Matka Spowiedniczka namyślała się z nieprzeniknioną miną. W końcu powiedziała:

–Tu wchodzi w grę dług związany z magią. Taką rzecz należy poważnie rozważyć. Porozmawiam z czarodziejem Zoranderem w twojej sprawie i poproszę, by udzielił ci prywatnej audiencji.

Abby mocno zamknęła oczy znów płakała.

–Dziękuję, dziękuję.

Ukryła twarz w dłoniach i płakała z ulgi – ponownie rozgorzała w niej nadzieja.

Matka Spowiedniczka chwyciła Abby za ramiona.

–Powiedziałam, że spróbuję. On może odmówić mojej prośbie.

Czarodziejka zaśmiała się smutno.

–To mało prawdopodobne. Wykręciłabym mu ucho. Ale pamiętaj, Abigail, że bez względu na kość to wcale nie oznacza, iż przekonamy go, by ci pomógł.

Abby otarła policzki.

–Rozumiem. Dziękuję wam. Dziękuję wam za zrozumienie.

Czarodziejka otarła kciukiem łzę z podbródka Abby.

–Mówi się, że córka czarodziejki jest córką wszystkich czarodziejek.

Matka Spowiedniczka wstała i wygładziła białą szatę.

–Może zabrałabyś Abigail do kwatery dla podróżujących kobiet, Deloro. Odpoczęłaby nieco. Masz pieniądze, dziecko?

–Tak, Matko Spowiedniczko.

–To dobrze. Delora zaprowadzi cię na noc do kwatery. Wróć do wieży tuż przed wschodem słońca. Spotkamy się z tobą i powiemy, czy udało się nam przekonać Zedda, by sprawdził twoją kość.

–Będę się modlić do dobrych duchów, żeby czarodziej Zorander mnie wysłuchał i pomógł mojej córeczce. – Nagle zawstydziły ją jej słowa. – I o jego córeczkę też się będę modlić.

Matka Spowiedniczka dotknęła dłonią policzka kobiety.

–Módl się za nas wszystkich, dziecko. Módl się, żeby czarodziej Zorander poraził D’Harę magią, nim będzie za późno dla wszystkich dzieci Midlandów, zarówno starych, jak i młodych.

Kiedy szły ku miastu, Delora unikała tematu obaw i nadziei Abby i tego, jak magia może się przyczynić do jednych i do drugich. Rozmowa z czarodziejką w pewien sposób przypominała rozmowę z matką. Czarodziejki unikają dyskusji o magii z kimś, kto nie ma daru, obojętnie, czy to córka czy nie. Abby wydawało się, że jest to dla nich równie krępujące, jak dla niej było krępujące pytanie Jany, skąd mama wzięła dziecko w brzuszku.

Było już późno, lecz na ulicach roiło się od ludzi. Zewsząd docierały do Abby pełne zatroskania dysputy na temat wojny. Na jednym z narożników stała grupa kobiet i płacziwie rozmawiała o mężczyznach, którzy wiele miesięcy temu poszli na wojnę, i o tym, że nie było wieści o ich losie.

Delora zaprowadziła Abby na rynek i skłoniła do kupienia niewielkiego bochenka chleba z zapieczonym wewnątrz mięsem oraz oliwkami. Tak naprawdę Abby wcale nie była głodna, ale czarodziejka wymogła na niej obietnicę, że jednak coś zje. Abby obiecała jej to, pragnąc uniknąć wszystkiego, co mogłoby ściągnąć na nią niełaskę.

Kwatery dla kobiet mieściły się w bocznej uliczce, pośród ściśniętych mocno budynków. Dochodząca z targu wrzawa niosła się wąskim przejściem, docierała tu wokół budynków – napływała równie swobodnie jak sikorka latająca w gęstym lesie. Abby zastanawiała się, jak ludzie mogą żyć tak blisko siebie, widząc jedynie inne domy i innych ludzi. Dumiała też, czy zdoła zasnąć przy tych dziwacznych dźwiękach i hałasach, jednak od kiedy opuściła dom, i tak rzadko spała, choć noce we wsiach były przeraźliwie ciche.

Czarodziejka życzyła jej dobrej nocy i zostawiła posępną, milkliwą kobietą. Ta zaprowadziła Abby do pokoju na końcu długiego korytarza i zostawiła w nim na noc, zabrawszy wcześniej srebrną monetę. Abby siedziała na brzegu łóżka, pogryzała chleb i rozglądała się po pokoju oświetlonym lampą stojącą na półce obok łóżka. Zapieczone w chlebie mięso było twarde i żyłaste, ale ładnie pachniało, przyprawione czosnkiem i solą.

Pokój nie miał okna i było w nim o wiele ciszej, niż się spodziewała. W drzwiach nie było zasuwki, lecz kobieta powiedziała jej, żeby się nie martwiła, bo mężczyźni nie mają wstępu do tego budynku.

Abby odłożyła chleb i obmyła twarz w misie stojącej na prostej umywalni. Zdumiało ją, że woda zrobiła się aż tak brudna. Skręciła knot, ile się dało, ale nie zgasiła płomienia, bo nie chciała spać w zupełnych ciemnościach w obcym miejscu. Leżała w łóżku, wpatrując się w poplamiony zaciekami sufit, i modliła się gorąco do dobrych duchów, choć wiedziała, że nie wysłuchają takiej prośby jak jej. Zamknęła oczy i pomodliła się również za córeczkę czarodzieja Zorandera. Łzy przerywały modły Abby – miała uczucie, że krwawi jej serce.

Nie wiedziała, jak długo leżała w łóżku, przyzywając sen i pragnąc, żeby był już ranek, kiedy drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem. Na przeciwległej ścianie zarysował się czyjś cień.

Abby zamarła z szeroko otwartymi oczami, wstrzymała oddech i patrzyła, jak przygarbiona postać zbliża się do jej łóżka. To nie była kobieta zarządzająca kwaterami. Byłaby wyższa. Abby zacisnęła palce na szorstkim kocu, myśląc, że może zdoła go zarzucić na intruzkę i dopaść drzwi.

–Nie obawiaj się, kochanieńka. Przyszłam się dowiedzieć, czy powiodło ci się w wieży.

Abby odetchnęła i usiadła.

–Mariska? – To była kobieta, która razem z nią czekała cały dzień przed Wieżą Czarodzieja. – Aleś mnie wystraszyła!

Płomyk lampy rozbłysł na krótko w oczach starej, gdy obserwowała twarz Abby.

–Powinnaś się obawiać gorszych rzeczy, zamiast lękać o swoje bezpieczeństwo.

–Co masz na myśli?

Mariska się uśmiechnęła i nie był to pokrzepiający uśmiech.

–Uzyskałaś, coś chciała?

–Pierwszy Czarodziej mnie przyjął, jeśli o to ci chodzi.

–I co powiedział, kochanieńka? Abby spuściła nogi z łóżka.

–To moja sprawa.

Szczwany uśmiezek rozszerzył się.

–O nie, kochanieńka. To nasza sprawa.

–Co przez to rozumiesz?

–Odpowiedz na pytanie. Nie zostało ci dużo czasu. Twojej rodzinie nie zostało dużo czasu.

Abby skoczyła na równe nogi. – Skąd wiesz...?

Stara chwyciła nadgarstek Abby i wykręciła go, zmuszając, żeby ta usiadła.

–Co powiedział Pierwszy Czarodziej?

–Powiedział, że nie może mi pomóc. To boli. Puść mnie.

–To źle, źle, kochanieńka. Bardzo źle dla twojej małej Jany.

–Skąd... skąd o niej wiesz? Ja nigdy...

–Więc czarodziej Zorander odrzucił twoją prośbę. Takie złe wieści. – Młasnęła. – Biedna, nieszczęśliwa, mała Jana. Ostrzegano cię. Znałaś cenę niepowodzenia.

Puściła jej nadgarstek i odwróciła się. Człapała ku drzwiom, a myśli Abby kłębiły się jak oszalałe.

–Nie! Błagam! Jutro mam go znów zobaczyć. O świcie.

Mariska łypnęła przez ramię.

–Czemu? Czemu zgodzi się raz jeszcze cię przyjąć, skoro już ci odmówił? Kłamstwa nie przedłużą życia twojej córce. Nie pomogą jej.

–To prawda. Przysięgam na duszę matki. Rozmawiałam z czarodziejką, tą, która wprowadziła nas do wieży. Po tym, jak czarodziej Zorander odrzucił moją prośbę, rozmawiałam i z nią, i z Matką Spowiedniczką. Zgodziły się go przekonać, żeby udzielił mi prywatnego posłuchania.

Mariska zmarszczyła czoło.

–Czemu?

Abby wskazała worek leżący w nogach łóżka.

–Bo pokazałam im, co przyniosłam.

Stara kobieta rozchyliła worek zdeformowanym palcem i patrzyła przez chwilę. Potem przysunęła się do Abby.

–Musisz to jeszcze pokazać czarodziejowi Zoranderowi?

–Właśnie. Załatwią mi posłuchanie u niego. Jestem tego pewna. Jutro mnie przyjmie.

Mariska wyciągnęła nóż z za pasa. Machała nim z wolna przed twarzą Abby.

–Coraz bardziej mamy dość czekania na ciebie. Kobieta oblizwała wargi.

–Ale ja...

–Rankiem wracam do Coney Crossing. Żeby zobaczyć twoją przerażoną, małą Janę. – Wsunęła dłoń za szyję Abby, chwyciła jej włosy i unieruchomiła głowę. – Jeśli mi go przyprowadzisz, to mała będzie wolna, jak ci obiecano.

Abby nie mogła skinąć głową.

–Przyprowadzę. Przysięgam. Przekonam go. Jest związany długiem.

Mariska przysunęła nóż tak blisko do oka Abby, że ostrze muskało jej rzęsy. Kobieta bała się mrugnąć.

–Przybądź za późno, a zatopię ostrze w oku małej Jany. W samym oku. Drugie jej zostawię, żeby mogła patrzeć, jak będę wycinać serce jej ojcu, i żeby wiedziała, jak to strasznie boli, nim zrobię jej to samo. Rozumiesz, kochanieńka?

Abby jęknęła, że rozumie. Strumienie łez spływały jej po policzkach.

–Grzeczna dziewczynka – szepnęła Mariska, nachylając się tak blisko, że Abby poczuła ostry zapach kiełbaski, którą stara zjadła na kolację. – Jeżeli zwęszę jakiś podstęp, wszyscy umrą.

–Nie będzie żadnych podstępów. Pospieszę się. Sprowadzę go.

Mariska cmoknęła Abby w czoło.

–Jesteś dobrą matką. – Puściła włosy młodej kobiety. – Jana cię kocha. Płacze za tobą dzień i noc.



Starucha zamknęła za sobą drzwi, a drżąca Abby zwinęła się w kłębek na łóżku i płakała, gryząc palce.

Delora pochyliła się ku niej, kiedy szły szerokim wałem obronnym.

–Na pewno nic ci nie jest, Abigail?

Wiatr zwał Abby włosy na twarz. Odgarnęła je i spojrzała na leżące w dole miasto, które właśnie zaczynało się wynurzać z mroku. Modliła się w milczeniu do ducha matki.

–Na pewno. Miałam złą noc. Nie mogłam spać.

Poczuła dotknięcie ramienia Matki Spowiedniczki.

–Rozumiemy. Przynajmniej zgodził się cię wysłuchać. Zacerpnij z tego otuchę. To dobry człowiek, naprawdę.

–Dziękuję. Dziękuję wam za pomoc – wyszeptała Abby ze wstydem.

Czekający na wale obronnym ludzie – czarodzieje, czarodziejki, oficerowie i inni – milkli natychmiast na widok trzech kobiet i kłaniali się Matce Spowiedniczce. Abby rozpoznała kilka osób, które widziała poprzedniego dnia, a wśród nich czarodzieja Thomasa. Mężczyzna pomrukiwał coś pod nosem, ogromnie zniecierpliwiony i poirytowany, i przeglądał plik papierów pokrytych znakami, w których młoda kobieta rozpoznała magiczne symbole.

U krańca wału obronnego dotarły do kamiennej ściany okrągłej wieżyczki. Stromy dach opuszczał się nisko nad zaokrąglonymi u szczytu drzwiami. Czarodziejka zaskrobała w nie i otworzyła, nie czekając na odpowiedź. Zauważyła, że Abby zmarszczyła brwi.

–Rzadko słyszy pukanie – wyjaśniła cicho.

Kamienna komnata była mała, ale przytulna. Okrągłe okno po prawej wychodziło na leżące w dole miasto, umieszczone po lewej natomiast na niebotyczne mury Wieży Czarodzieja, których najwyższe partie lśniły różowo w pierwszych, słabych promieniach brzasku. W ozdobnym żelaznym kandelabrze tkwiło mnóstwo świec dających ciepłe światło.

Czarodziej Zorander, z twarzą otoczoną niesfornymi kasztanowymi włosami, podpierał się rękami o blat stołu i studiował jakąś księgę. Trzy kobiety zatrzymały się.

–Czarodzieju Zoranderze, przyprowadziłyśmy Abigail, zrodzoną z Helsy – odezwała się czarodziejka.

–Kurczę, kobieto, słyszałem twoje pukanie, jak zawsze – burknął, nie podnosząc wzroku.

–Nie mów tak do mnie, Zeddicusie Zu’l Zoranderze – odburknęła Delora.

Zignorował czarodziejkę i potarł gładki podbródek, wpatrując się w leżącą przed nim księgę.

–Witaj, Abigail.

Abby skubała worek. Potem zreflektowała się i dygnęła.

–Dziękuję, czarodzieju Zoranderze, żeś zechciał mnie przyjąć.

Twoja pomoc to dla mnie gardłowa sprawa. Jak ci już mówiłam, chodzi o życie niewinnych dzieci.

Czarodziej wreszcie podniósł wzrok. Długo przyglądał się Abby, po czym wyprostował się.

–Gdzie leży granica?

Abby spojrzała na stojące przy niej czarodziejkę i Matkę Spowiedniczkę. Żadna nie odwzajemniła spojrzenia.

–Wybacz, czarodzieju Zoranderze, jaka granica?

Tamten zmarszczył brwi.

–Zakładasz, że życie młodych ma większą wartość. Granica, moje dziecko, poza którą życie staje się mało ważne. Gdzie ona leży?

–Ale dziecko...

Uniósł ostrzegawczo palec.

–Nie próbuj grać na moich uczuciach, mówiąc o wartości życia dziecka, jakby wartość życia zależała od wieku. Kiedy życie staje się mało warte? Gdzie leży granica? W jakim wieku? Kto o tym decyduje? Każde życie jest wartościowe. Martwi są martwi, bez względu na wiek. Nie myśl, że zaćmisz mi umysł gruboskórnym, rozmyślnym graniem na uczuciach, niczym jakiś będący u władzy nierzetelny człowiek, który podżega gniew nierozumnego tłumu.

Ostrzeżenie odebrało Abby mowę. Czarodziej spojrzał na Matkę Spowiedniczkę.

–A jeśli chodzi o biurokratów, co ma do powiedzenia Naczelna Rada?

Matka Spowiedniczka splotła dłonie i westchnęła.

–Przekazałam im twoje słowa. Szczerze mówiąc, nic ich to nie obeszło. Chcą, żeby to się

stało.

Mruknął z niezadowoleniem.

–Ach tak? – Orzechowe oczy spojrzały na Abby. – Wygląda na to, że rada nie dba o życie dzieci, jeśli są to dzieci D’Harańczyków. – Przetarł dłonią zmęczone oczy. – Nie twierdzę, że nie pojmuję takiego rozumowania lub że się z nim nie zgadzam, ale, o dobre duchy, to nie oni mają to zrobić. Nie zrobią tego swoimi rękami, tylko moimi.

–Rozumiem, Zeddzie – szepnęła Matka Spowiedniczka.

Znów zauważył stojącą przed nim Abby. Przyglądał się jej, jakby rozważał coś głęboko. Zaniepokoiło ją to. Uniósł dłoń i poruszył palcami.

–No to pokaż mi ją.

Abby podeszła do stolika, sięgając jednocześnie do worka.

–Skoro nie można cię przekonać, żebyś pomógł niewinnym ludziom, to może to będzie dla ciebie więcej znaczyć. – Wyciągnęła z worka czaszkę matki i położyła ją na otwartej dłoni czarodzieja. – To dług kości, dług wdzięczności. Żądam jego spłaty.

Czarodziej uniósł brew.

–Zwyczajowo przynosi się tylko drobny fragment kości, dziecko.

Abby poczuła, że się rumieni.

–Nie wiedziałam – wyjąkała. – Chciałam być pewna, że wystarczy do sprawdzenia...  
Chciałam być pewna, że mi uwierzysz.

Łagodnie przesunął dłonią po sklepieniu czaszki.

–Wystarczy fragment drobniejszy od ziarenka piasku. – Patrzył Abby w oczy. – Matka ci tego nie powiedziała?

Abby potrząsnęła głową.

–Powiedziała tylko, że ten dług przeszedł na ciebie z ojca. I że musi być spłacony, jeśli się tego zażąda.

–Istotnie, musi – wyszeptał.

Mówił i jednocześnie wodził dłonią po czaszce. Kość była matowa i powalana ziemią, z której Abby ją wyciągnęła. Wcale nie była tak nieskazitelnie biała, jak się Abby spodziewała. Przerażało ją odgrzebywanie matczynych szczątków, lecz to drugie – jeszcze

bardziej.

Pod palcami czarodzieja kość zaśniła miękkim bursztynowym blaskiem. Abigail prawie wstrzymała oddech, kiedy powietrze zaczęło cicho szemrać, jakby same duchy szeptały do Zeddicusa. Czarodziejka dotykała paciorków wokół szyi. Matka

Spowiedniczka przygryzała dolną wargę. Abby się modliła.

Czarodziej Zorander położył czaszkę na stole i odwrócił się do nich plecami. Bursztynowy blask zgasł.

Mężczyzna milczał, więc Abby przerwała ciężką ciszę.

–I co? Jesteś zadowolony? Przekonałeś się, że dług jest prawdziwy?

–O tak – odparł spokojnie, nie odwracając się ku nim. – To prawdziwy dług kości i dopóki nie zostanie spłacony, dopóty będzie się z nim wiązała magia.

Abby skubała wystrzępiony brzeg worka.

–Mówiłam ci. Matka nie okłamałaby mnie. Powiedziała mi, że nie spłacono go za jej życia, więc po jej śmierci stanie się długiem kości.

Czarodziej powoli odwrócił się ku niej.

–Czy powiedziała ci coś o okolicznościach zaciągnięcia tego długu?

–Nie. – Abby zerknęła z ukosa na Delorę i dodała: – Czarodziejki nie zdradzają sekretów. Ujawniają tylko to, co chcą.

Uśmiechnął się przelotnie i mruknął, potwierdzając to.

–Powiedziała tylko, że to sprawa między nią i twoim ojcem i że będzie przechodzić na potomstwo, póki dług nie zostanie spłacony.

–Twoja matka mówiła prawdę. Ale to nie znaczy, że dług musi być spłacony teraz.

–To solenny dług kości. – Abby dała upust strachowi i frustracji. – Żądam spłaty! Musisz wypełnić zobowiązanie!

Czarodziejka i Matka Spowiedniczka wpatrywały się w ścianę, skrępowane tym, że jakaś pozbawiona daru kobieta podniosła głos i krzyczała na samego Pierwszego Czarodzieja. Abby nagle pomyślała, że za taką bezczelność mogą ją ukarać nagłą śmiercią. Gdyby jej nie pomógł, mogła nawet umrzeć, a co tam.

Matka Spowiedniczka spytała, zapobiegając ewentualnym skutkom wybuchu Abby:

–Czy próba powiedziała ci, jak zaciągnięto ów dług, Zeddzie?

–Zaiste – odparł. – Mój ojciec też mówił mi o nim. Próba dowiodła, że to ten sam dług, o którym opowiadał ojciec, i że stojąca przede mną kobieta jest drugą stroną w tym zobowiązaniu.

–Jak więc został zaciągnięty ów dług? – spytała czarodziejka.

Uniósł otwarte dłonie.

–Uleciało mi to z pamięci. Przepraszam, ale jestem jeszcze bardziej zapominalski niż ostatnio.

–I ty ośmielasz się oskarżać czarodziejki o małomówność? – prychnęła Delora.

Zorander patrzył na nią przez chwilę bez słowa, a potem spojrzął z ukosa na Matkę Spowiedniczkę.

–Rada chce, by to się stało, nieprawdaż? – Uśmiechnął się łobuzersko. – A więc się stanie.

Matka Spowiedniczka pochyliła głowę na bok.

–Jesteś pewny... Zeddzie?

–O co chodzi? – wtrąciła się Abby. – Uznajesz dług czy nie?

Czarodziej wzruszył ramionami.

–Zażądałaś spłaty długu. – Wziął ze stołu małą księgę i wsunął ją do kieszeni szaty. – Kimże ja jestem, by z tym dyskutować?

–Drogie duchy – szepnęła do siebie Matka Spowiedniczka. – Zeddzie, tylko dlatego, że rada...

–Jestem tylko czarodziejem, który spełnia prośby i zachcianki ludzi – przerwał jej.

–Ale jeśli tam pojedziesz, narazisz się niepotrzebnie na niebezpieczeństwo.

–Muszę się znaleźć niedaleko granicy, bo inaczej obejmie to także część Midlandów. Coney Crossing jest równie dobrym miejscem do rozpętania pożogi jak każde inne.

Uszczęśliwiona Abby prawie nie słyszała dalszych słów.

–Dziękuję, czarodzieju Zoranderze. Dziękuję.

Okrążył stół i chwycił ją za ramię szczupłymi, lecz zadziwiająco mocnymi palcami.

–Ciebie i mnie wiąże dług kości. Krzyżują się drogi naszego życia. – Uśmiechał się zarazem szczerze i smutno. Otoczył silnymi palcami nadgarstek Abby, jej bransoletę, i włożył w dłonie kobiety czaszkę jej matki. – Mów do mnie Zedd, Abby.

Skinęła głową, bliska łez.

–Dziękuję, Zeddzie.

Na zewnątrz, w blasku wczesnego poranka, otoczył ich tłumek. Przepychał się ku nim czarodziej Thomas, wymachując swoimi papierzyskami.

–Zoranderze! Przystudiowałem dane, które mi dostarczyłeś. Muszę z tobą porozmawiać.

–Więc mów – rzekł Pierwszy Czarodziej, mijając go. Tłum ruszył za nimi.

–To szaleństwo.

–Nigdy nie twierdziłem, że tak nie jest.

Jakby na dowód prawdziwości swoich słów czarodziej Thomas potrząsnął papierami.

–Nie możesz tego zrobić, Zoranderze!

–Rada postanowiła, że to ma się stać. Wojna musi się skończyć, dopóki mamy przewagę i zanim Panis Rahl wymyśli coś, czemu nie zdołamy zaradzić.

–Chodzi mi o to, że zbadałem tę sprawę i przekonałem się, że nie będziesz mógł

tego dokonać. Nie pojmujemy mocy, jaką władali tamci czarodzieje. Przejrzałem dane, które mi dostarczyłeś. Nawet same próby zapoczątkowania czegoś takiego wytworzą wielki żar.

Zedd zatrzymał się, zbliżył twarz do twarzy Thomasa i uniósł brwi w pełnym kpiny zdziwieniu.

–Naprawdę, Thomasie? Tak sądzisz? Zainicjowanie czaru ognia, który rozedrze materię świata żywych, mogłoby spowodować niestabilność elementów sieci pola?

Zedd gwałtownie ruszył dalej, a mężczyzna z białą brodą gnał za nim.

–Zoranderze! Nie będziesz w stanie tego kontrolować! Gdybyś mógł to zapoczątkować, a wcale nie twierdzą, że wierzę, iż możesz, naruszyłbyś Grace. Inwokacja wykorzystuje żar. A wyłom zasila tę kaskadę. Nie będziesz w stanie tego kontrolować. Nikt nie zdoła zrobić czegoś takiego!

–Ja zdołam – mruknął Pierwszy Czarodziej.

Thomas wściekle potrząsał trzymanymi w garści papierami.

–Twoja arogancja zabije nas wszystkich, Zoranderze! Uszkodzona zasłona zostanie rozdarta i zginie całe życie. Żądam, byś pokazał mi księgę, w której znalazłeś ów czar. Muszę sam to zobaczyć. Całość, a nie tylko część!

Pierwszy Czarodziej zatrzymał się i uniósł palec.

–Gdybyś mógł zobaczyć tę księgę, Thomasie, byłbyś Pierwszym Czarodziejem i miałbyś dostęp do Wieży Pierwszego Czarodzieja. Ale nim nie jesteś i nie możesz.

Twarz Thomasa płonęła szkarłatem, kontrastując z bielą jego brody.

–To szaleńczy akt desperacji!

Czarodziej Zorander poruszył palcem. Papiery wyrwały się z dłoni starego czarodzieja, zawirowały i zapłonęły, a wiatr rozwiął popiół.

–Niekiedy, Thomasie, pozostaje nam jedynie akt desperacji. Jestem Pierwszym Czarodziejem i zrobię to, co zrobić muszę. Dość. Już nic więcej nie chcę o tym słyszeć. – Odwrócił się i chwycił za rękaw jakiegoś oficera. – Postaw w stan pogotowia lansjerów. Zbierz tyle jazdy, ile zdołasz. Natychmiast wyruszamy do kotliny Pendisan.

Oficer przyłożył pięść do serca i pospiesznie odszedł. Inny, starszy i wyglądający na o wiele wyższego rangą, odchrząknął i spytał:

–Czy mogę poznać twój zamysł, czarodzieju Zoranderze?

–To Anargo jest prawą ręką Panisa Rahla i wspólnie z nim nasyła na nas śmierć. Krótko mówiąc, zamierzam im tę śmierć odesłać – odparł Pierwszy Czarodziej.

–Wiodąc lansjerów do kotliny Pendisan?

–Tak. Anargo zatrzymał się w Coney Crossing. Generał Brainard idzie na północ, ku kotlinie Pendisan, generał Sanderson podąża z południa, żeby się z nim połączyć,

a Mardale nadciąga od południowego zachodu. Ruszymy tam z lansjerami i tymi rodzajami wojsk, które mogą się do nas przyłączyć.

–Anargo nie jest głupcem. Nie wiemy, ilu jeszcze ma przy sobie innych czarodziejów i osób z darem, za to wiemy dobrze, do czego oni są zdolni. Szarpali nas raz za razem. Nareszcie się im odpłaciliśmy. – Oficer starannie dobierał słowa. – Jak sądzisz, na co czekają? Dlaczego nie wycofali się do D’Hary?

Zedd oparł dłoń o mur zwieńczony blankami i zapatrzył się na świt, na leżące poniżej miasto.

–Anargo uwielbia podstępny. Realizuje je bardzo teatralnie. Chce, byśmy sądzili, że stoją tam pobici. Kotlina Pendisan to jedyne miejsce w tych górach, gdzie wojska mogą się dość szybko przemieszczać. Coney Crossing jest dobrym polem bitwy, ale nie na tyle obszernym, byśmy ich mogli oskrzydlić czy z łatwością manewrować.

Stara się nas tam zwabić.

Oficera wcale to nie zdziwiło.

–Ale dlaczego?

Zedd obejrzał się na niego przez ramię.

–Najwyraźniej uważa, że na takim terenie nas pokona. Ja jestem innego zdania. Wie, że nie możemy dopuścić, by zagrożenie tutaj pozostało, i zna nasze plany. Chce mnie tam zwabić, a następnie zgładzić i w ten sposób rozwiązać zagrożenie, które dla nich stanowię.

–Hmm... a więc sądzisz, że według Anarga gra jest warta świeczki – myślał na głos oficer.

Zedd znów wpatrywał się w miasto leżące poniżej Wieży Czarodzieja.

–Jeśli Anargo się nie myli, może zwyciężyć w Coney Crossing.

Gdy już ze mną skończy, da wolną rękę swoim ludziom z darem, za jednym zamachem wytnie w pień nasze wojska i nie napotykając właściwie oporu, zajmie serce Midlandów, Aydindril. On uważa, że nim spadną śniegi, zgładzi mnie, rozbije w proch nasze połączone armie, zakuje w kajdany lud Midlandów i wręczy bat Panisowi Rahlowi.

Oficer patrzył nań osłupiały.

–I ty zamierzasz zrobić to, na co liczy Anargo, i stawić mu tam czoło?

Zedd wzruszył ramionami.

–A mam wybór?

–Wiesz przynajmniej, w jaki sposób Anargo zamierza cię zabić, żebyśmy mogli podjąć środki ostrożności? Jakoś przeciwdziałać?

–Obawiam się, że nie. – Zniecierpliwiony, zbył całą sprawę machnięciem ręki i spojrzął na Abby. – Lansjerzy mają dobre wierzchowce. Pojedziemy co koń wyskoczy. Wkrótce będziemy w twoich rodzinnych stronach, będziemy tam na czas i wtedy

zajmiemy się naszą sprawą.

Abby tylko skinęła głową. Nie potrafiła wyrazić słowami ulgi, jaką sprawiło jej



zadośćuczynienie przedłożonej prośbie, ani wstydu, że jej modlitwa została wysłuchana. A przede wszystkim nie mogła pisać ani słowa o przerażeniu, jakie wzbudzało w niej to, co robiła, bo знаła plany D'Harańczyków.

Muchy roily się wokół wyschniętych resztek trzewi – wszystkiego, co pozostało z cennych włośchatych świń Abby. Zaszlachtowano nawet parę zarodową, którą dostała w prezencie ślubnym od rodziców.

Rodzice wybrali też Abby męża. Kobieta nigdy wcześniej go nie widziała: przybył z Lynfordu, miasta, w którym matka i ojciec kupili świnie. Ogromnie się niepokoiła, kogo też wybrali jej na męża. Miała nadzieję, że będzie to ktoś o pogodnym charakterze, ktoś, kto rozjaśni uśmiechem jej życiowe troski.

Kiedy po raz pierwszy zobaczyła Philipa, pomyślała, że to najpoważniejszy człowiek na świecie. Jego młoda twarz wyglądała tak, jakby się nigdy nie uśmiechał. W noc po owym spotkaniu ukołysała się do snu, płacząc nad tym, że będzie musiała spędzić życie z takim poważnym mężczyzną. Sądziła, że czeka ją ponury los.

Abby przekonała się, że Philip był pracowitym człowiekiem, który patrzył na świat z promiennym uśmiechem. A owego pierwszego dnia – jak się dowiedziała – przybrał najpoważniejszą z możliwych min, żeby jego nowa rodzina nie uznała go za próżniaka, który nie zasługuje na ich córkę. Wkrótce się przekonała, że może na niego liczyć. I pokochała go jeszcze przed narodzinami Jany.

A teraz Philip – i wielu innych – liczył na nią.

Po raz drugi pogrzebała kości matki i otarła dłonie. Zobaczyła, że wszystkie płoty – Jana tak często patrzyła, jak Philip je naprawiał – zostały zwalone. Wychodząc z domu, spostrzegła, że w stodole brakuje wrót. Zniknęło wszystko, co mógł spożyć człowiek lub zwierzę. Nie przypominała sobie, żeby jej dom był kiedykolwiek tak spustoszony.

To nie ma znaczenia, powiedziała sobie. Nie liczy się, byle tylko Jana do niej wróciła. Płoty można naprawić. Świnie się kiedyś kupi. A Jany nikt nie zastąpi.

–Abby, jak to się stało, że ciebie nie pojмали, skoro wzięli twojego męża, córeczkę i wszystkich innych? – zapytał Zedd, przyglądając się jej zrujnowanemu obejściu.

Kobieta weszła do środka przez wyważone drzwi, myśląc, że jej dom nigdy jeszcze nie wydawał się taki mały. Nim wyruszyła do Aydindril, do Wieży Czarodzieja, wydawał się jej taki duży. Tu śmiał się Philip, wypełniając skromną izbę rozmową, radością i bezpieczeństwem. Na kamiennym palenisku rysował węglem zwierzaki dla Jany.

–Pod tą klapą jest piwnica – wskazała Abby. – Tam byłam, kiedy usłyszałam to, o czym ci opowiadałam.

Zedd przesunął czubkiem buta po zagłębieniu, w które wkładało się palce przy podnoszeniu klapy.

–Uprawdzali twojego męża i córeczkę, a ty tam zostałeś? Twoja córeczka cię wołała, a ty nie rzuciłaś się jej na pomoc?

Abby zmusiła się, by odpowiedzieć.

–Wiedziałałam, że jeśli wyjdę, to zabiorą i mnie. Wiedziałałam, że powinnam pozostać w ukryciu, a potem sprowadzić pomoc. Tylko tak mogłam uratować rodzinę. Matka zawsze mi powtarzała, że nawet czarodziejka nie jest mądrzejsza od głupca, jeśli postępuje tak jak on. Mówiła, że najpierw trzeba wszystko przemyśleć.

–Mądra rada. – Zedd odłożył pogiętą i podziurawioną chochlę, po czym łagodnie położył dłoń na ramieniu Abby. – Musiało ci być ciężko słuchać płaczu twojej córki i mimo to tak rozsądnie postąpić.

–Powiedziałaś szczerą prawdę – wyszeptła kobieta. Wskazała przez okno w bocznej ścianie. – O tam, za rzeką Coney, leży miasto. Zabrali ze sobą Janę i Philipa, gdy szli po mieszczan. Mieli i innych, których pojмали wcześniej. Wojsko rozbiło obóz za tamtymi wzgórzami.

Zedd stał w oknie i patrzył na odległe wzniesienia.

–Mam nadzieję, że ta wojna wkrótce się skończy. Pozwólcie, drogie duchy, by się skończyła.

Abby pamiętała pouczenia Matki Spowiedniczki, żeby nie powtarzać zasłyszanej od niej opowieści, i nigdy nie spytała ani o córeczkę czarodzieja, ani o jego zamordowaną żonę. Kiedy w czasie pospiesznej jazdy ku Coney Crossing mówiła o tym, jak kocha Janę, czarodziejowi musiało serce pękać na myśl, że jego córeczka też jest w brutalnych łapach wroga i że skazał ją na śmierć, by ocalić życie wielu, wielu ludzi. Zedd otworzył drzwi sypialni.

–Co tam jest? – spytał, wsuwając głowę do izby.

–Sypialnia – odparła wyrwana z zadumy Abby. – W tyle są drzwi do ogrodu i stodoły.

Zedd nigdy nie wspominał o zmarłej żonie i porwanej córce, ale wiedza o nich drążyła Abby tak, jak wzbierająca wiosenna rzeka drąży szczelinę w lodzie.

Przez frontowe drzwi weszła Delora i Zedd cofnął się sprzed sypialni.

–Miasto za rzeką zostało splądrowane, jak mówiła Abigail. Wygląda na to, że uprawdzili wszystkich mieszkańców – oznajmiła czarodziejka.

Zedd odgarnął do tyłu faliste włosy.

–Jak daleko do rzeki?

Abby wskazała za okno. Zapadała noc.

–O, jest tam. Jakies pięć minut drogi.

Coney – płynąc ku rzece Kern – zwalniała swój bieg w dolinie i rozlewała się szeroko, dzięki czemu stawała się na tyle płytka, że łatwo ją było przebyć w bród. Mostu nie było: droga wiodła na brzeg i pojawiała się znów po drugiej stronie. Choć w całej dolinie Coney była szeroka niemal na ćwierć mili, jej wody sięgały ledwie do kolan. Zdradziecka bywała tylko podczas wiosennych roztopów. Miasto Coney Crossing leżało dwie mile za rzeką, na stokach wzgórz, i podobnie jak pagórek, na którym stało obejście Abby, było poza zasięgiem wiosennych wód.

Zedd ujął łokieć Delory.

–Jedź z powrotem i powiedz wszystkim, żeby zajęli pozycje. Jeśli coś pójdzie źle... jeśli coś się nie uda, powinni atakować. Trzeba rozgromić legion Anarga, choćby mieli iść za nim aż do samej D'Hary.

Delora nie miała zadowolonej miny.

–Nim wyjechaliśmy, Matka Spowiedniczka wymogła na mnie obietnicę, że nie dopuszczę, byś został sam. Kazała mi baczyć, żeby obdarzeni magicznym darem zawsze byli w pobliżu, na wypadek gdybyś ich potrzebował.

Abby również słyszała, jak Matka Spowiedniczka wydawała te polecenia. Gdy mijali kamienny most, obejrzała się na Wieżę Czarodzieja i dostrzegła na wysokim wale obronnym Matkę Spowiedniczkę obserwującą ich odjazd. Matka Spowiedniczka pomogła Abby, kiedy ta bała się, że wszystko jest już stracone. Zastanawiała się, co też teraz będzie z tą kobietą.

Wtem uświadomiła sobie, że nie musi się nad tym zastanawiać. Przecież wiedziała.

Czarodziej puścił mimo uszu słowa czarodziejki.

–Abby też odeślę, gdy tylko jej pomogę. Nie chcę, by ktokolwiek był w pobliżu, kiedy rzucę czar.

Delora złapała go za kołnierz i przyciągnęła ku sobie. Miała minę, jakby chciała go zbesztać. Ale tylko go uściskała.

–Błagam cię, Zeddzie, nie pozbawiaj nas Pierwszego Czarodzieja w twojej osobie –

szepnęła.

Mężczyzna pogładził jej czarne włosy.

–Miałbym was wszystkich wydać Thomasowi? – zakpił. – Nigdy.

Pył wzbity przez kopyta konia Delory rozwiął się w zapadającym mroku. Zedd i Abby schodzili ku rzece. Kobieta prowadziła go ścieżką wśród wysokich traw i sitowia, tłumacząc, że tu są lepiej skryci niż na drodze. Rada była, że się nie upierał, by iść drogą.

Wchodzili w zarośla, a ona przyglądała się bacznie mrocznym cieniom to po jednej stronie ścieżki, to po drugiej. Serce biło jej mocno. Trzask gałązki pod stopą sprawiał, że się wzdrygała.

I stało się to, czego się obawiała, o czym wiedziała, że się stanie.

Skądś wyskoczyła postać w długim okryciu z kapturem i odepchnęła ją na bok. Zobaczyła błysk ostrza, kiedy Zedd pchnął napastnika w zarośla. Przykucnął i położył dłoń na ramieniu leżącej w trawie Abby.

–Nie wstawaj – szepnął rozkazująco.

Na jego palcach zaczęło narastać światło. Przyzywał magię. Właśnie tego od niego oczekiwali.

Łzy paliły oczy Abby. Chwyciła czarodzieja za rękaw.

–Nie korzystaj z magii, Zeddie. – Ból w piersi niemal uniemożliwiał jej mówienie. – Nie...

Postać znów wyskoczyła z mroków panujących w zaroślach. Zedd wyrzucił dłoń w górę. Błyskawica rozdarła noc i uderzyła w otuloną peleryną osobę.

To nie napastnik upadł – to Zedd krzyknął i zwałił się na ziemię. Skierowano przeciw niemu to, czym chciał porazić wroga, i teraz cierpiał straszliwie. Nie mógł ani się podnieść, ani odezwać. To dlatego chcieli, by przywołał magię – żeby mogli go pojmać.

Stojąca nad czarodziejem postać spojrzała gniewnie na Abby.

–Zrobiłaś, co do ciebie należało. Odejdź.

Abby czmychnęła w trawy. Napastnik odrzucił kaptur i zdjął pelerynę. Pomimo mroku Abby dostrzegła długi warkocz i czerwony skórzany uniform. To była jedna z tych kobiet, o których jej opowiedano – kobiet wykorzystywanych do chwytania ludzi z darem. To była Mord-Sith.

Mord-Sith z satysfakcją patrzyła, jak leżący u jej stóp czarodziej wije się w straszliwym

bólu.

–No, no, no. Wygląda na to, że sam Pierwszy Czarodziej popełnił właśnie olbrzymi błąd.

Skórzany uniform zatrzeszczał, kiedy pochyliła się nad leżącym mężczyzną, uradowana jego cierpieniem.

–Dostałam całą noc na sprawienie, byś żałował, że ośmieliłeś się nam przeciwstawić. Rankiem pozwolę ci patrzeć, jak nasze wojska unicestwiają twoich ludzi. Potem mam cię zabrać do samego lorda Rahla, do człowieka, który nakazał zabić twoją żonę, żebyś mógł go błagać, by rozkazał mi zabić także ciebie. – Kopnęła go. – Będziesz mógł błagać lorda Rahla o śmierć i patrzeć, jak umiera twoja córka.

Zedd mógł jedynie krzyczeć z przerażenia i z bólu.

Abby odpełzła na czworakach głębiej w chaszczce. Przecierała oczy i usiłowała patrzeć. Była przerażona widokiem tego, co zrobiono człowiekowi, który zgodził się jej pomóc tylko dlatego, że odziedziczył dług wobec jej matki. A ci ludzie wymusili na niej udział w tym wszystkim za cenę życia Jany. Kiedy się tak cofała, spostrzegła nóż upuszczony przez Mord-Sith w chwili, gdy Zedd odepchnął ją w zarośla. Broń miała go tylko sprowokować do działania – prawdziwym orężem była magia. Mord-Sith wykorzystała przeciwko Zeddowi jego własną magię. Zrobiła to, żeby go powalić i pojmać. Teraz zaś wykorzystywała ją, by go dręczyć.

Taka była cena. Abby na nią przystała. Nie miała wyboru.

Lecz jaki los szykowała innym?

Jak mogła ratować życie córeczki kosztem istnienia tak wielu innych ludzi? Czy Jana ma wyrosnąć na niewolnicę tych, którzy będą temu winni? Przy matce, która na to pozwoliła? Dziewczynka dorastałaby, ucząc się bić pokłony Panisowi Rahlowi i jego służalcem, ucząc się podporządkowywać złu lub, co gorsza, uczestniczyłaby chętnie w tym wszystkim, ponieważ nigdy nie zaznałaby smaku wolności i wartości honoru.

Abby wydawało się, że cały jej świat legł w gruzach.

Chwyciła nóż. Zedd jęczał z bólu, a Mord-Sith pochyliła się nad nim i robiła mu coś paskudnego. Abby – nim zdążyła zmienić zdanie – ruszyła ku kobiecie. Zabijała zwierzęta. Powiedziała sobie, że teraz będzie podobnie. Bo to nie byli ludzie, lecz zwierzęta. Uniosła broń.

Czyjaś dłoń zamknęła jej usta. Druga – chwyciła nadgarstek.

Abby jęknęła z rozpacz, że ją zatrzymano, że nie powstrzymała tego szaleństwa, kiedy jeszcze mogła. Czyjeś usta, tuż przy jej uchu, nakazały jej milczenie. Szarpiąc się z osobą

otuloną w pelerynę z kapturem, wykręciła ile tylko zdołała głowę i w ośmiu blasku dnia ujrzała patrzące na nią fiołkowe oczy. Przez chwilę nie mogła tego pojąć: skąd ta kobieta się tutaj wzięła, skoro widziała ją na wale obronnym wieży. Ale to naprawdę była ona.

Abby się uspokoiła. Matka Spowiedniczka puściła ją i dała znak, żeby się cofnęła. Córka czarodziejki nie protestowała – schowała się w chaszczę, a tamta wyciągnęła dłoń ku kobiecie w czerwonej skórce. Mord-Sith pochylała się nad krzyczącym czarodziejem, zaabsorbowana dręczeniem go.

W oddali brzęczały i grały owady. Natarczywie rechotały żaby. Tuż obok, jak zawsze, chlupotała i szemrała woda – znajomy, kojący dźwięk, który kojarzył się z domem.

A potem gwałtownie zadrżało powietrze. Padł bezdźwięczny grom. Odebrał Abby

oddech. Wstrząs niemal pozbawił ją przytomności, a każdy jej staw i każdy mięsień przeszył ostry ból. Nie było błyskawicy – zatrzęsło się jedynie powietrze. Wydawało się, że świat zamarł na chwilę w bezruchu. Trawa się położyła, jakby wichur rozchodził się kręgiem od Mord-Sith i Matki Spowiedniczki. Ból zniknął, Abby przyszła do siebie.

Młoda kobieta nigdy tego nie widziała i nie spodziewała się, że kiedykolwiek zobaczy, nie miała jednak najmniejszych wątpliwości, że była właśnie świadkiem, jak Spowiedniczka uwolniła swoją moc. Matka powiedziała Abby, że powoduje to tak zupełne zniszczenie umysłu ofiary, iż staje się ona ślepo oddanym sługą Spowiedniczki. Wystarczy jedno jej słowo, a taka osoba wyzna wszystko, bez względu na to, jaką zbrodnię usiłowała poprzednio zataić.

–Pani – załkała Mord-Sith.

Abby – najpierw porażona bezdźwięcznym gromem uwolnionym przez Matkę Spowiedniczkę, teraz zaś zadziwiona cierpieniem skulonej na ziemi kobiety – poczuła, że na jej ramieniu zaciska się czyjaś dłoń. To był czarodziej. Grzbietem drugiej dłoni ocierał krew z ust. Z trudem oddychał.

–Zostaw ją jej losowi.

–Zeddie... Tak mi przykro... Próbowałam ci powiedzieć, żebyś nie używał magii, ale pewno nie krzyknęłam dość głośno, byś mnie usłyszał.

Uśmiechnął się mimo oczywistego bólu.

–Usłyszałem cię.

–To czemu wykorzystałeś swój dar?

–Pomyślałem, że w końcu nie okażesz się osobą zdolną do popełnienia takiej okropności i

ujawnisz swój prawdziwy charakter. – Odciągnął ją od krzyków. – Posłużyliśmy się tobą. Chcieliśmy, by sądzili, że się im powiodło.

–Wiedziałaś, co chciałam zrobić? Wiedziałaś, że miałam cię tu sprowadzić, by mogli cię pojmać?

–Miałem dobry pomysł. Od pierwszej chwili było po tobie widać więcej, niż chciałaś ujawnić. Nie jesteś ani dobrym szpiegiem, ani biegłym zdrajcą. Jak tylko się tu zjawiliśmy, zaczęłaś obserwować cienie i podskakiwałaś, gdy odezwał się jakiś owad.

Spiesznie podeszła ku nim Matka Spowiedniczka.

–Nic ci nie jest, Zeddie?

Położył jej dłoń na ramieniu.

–Wyjdę z tego. – W oczach wciąż miał strach. – Dziękuję, że się nie spóźniłaś. Przez chwilę bałem się...

–Wiem. – Matka Spowiedniczka uśmiechnęła się przelotnie. – Miejmy nadzieję, że twoja sztuczka okaże się tego warta. Masz czas aż do świtu. Powiedziała, że oczekują, iż

będzie cię torturować całą noc i przyprowadzi im dopiero rankiem. Ich zwiadowcy ostrzegli Anarga o pojawieniu się naszych wojsk.

W sitowiu Mord-Sith krzyczała tak, jakby odzierano ją żywcem ze skóry.

Abby wstrząsnął dreszcz.

–Usłyszą ją i domyślą się, co się stało.

–Nawet jeśli usłyszą ją z tej odległości, pomyślą, że to Zedd, którego torturuje. – Matka Spowiedniczka wyjęła nóż z dłoni Abby. – Cieszę się, że nie zawiodłaś mojego zaufania i w końcu postanowiłaś się do nich nie przyłączać.

Młoda kobieta otarła dłonie o spódnicę, zawstydzona tym, co uczyła, tym, co zamierzała uczynić. Zaczynała się trząść.

–Zamierzasz ją zabić?

Matka Spowiedniczka, choć wyglądała na bardzo osłabioną po użyciu swej mocy przeciw Mord-Sith, miała to samo twarde, zdecydowane spojrzenie.

–Mord-Sith różni się bardzo od innych ludzi. Nie przychodzi do siebie po dotknięciu Spowiedniczki. Będzie straszliwie cierpieć, nim umrze, a może umrze przed świtem. – Obejrzała się w stronę, z której dobiegały krzyki. – Powiedziała nam to, co chcieliśmy

wiedzieć, a Zedd musiał odzyskać swoją moc. To miłosierny uczynek.

–A mi daje czas na to, co muszę zrobić. – Czarodziej odwrócił ku sobie twarz Abby, odwrócił od miejsca, z którego dochodziły wrzaski. – I czas na odzyskanie Jany. Masz czas aż do rana.

–Mam czas aż do rana? Co przez to rozumiesz?

–Wytlumaczę ci to, ale pospieszmy się, żebyś miała jak najwięcej czasu. A teraz rozbierz się.

Abby miała coraz mniej czasu.

Chodziła wyprostowana po obozowisku D’Harańczyków, starając się nie okazywać strachu, który czuła. Całą noc robiła to, co nakazał czarodziej: zachowywała się wyniośle. Okazywała pogardę każdemu, kto na nią spojrzał. Warczała na każdego, kto chciał się do niej odezwać.

Jednak niewielu ośmielało się przyciągnąć uwagę osoby, która wyglądała na odzianą w czerwoną skórę Mord-Sith. Zedd poradził jej również, by zaciskała w dłoni oręż Mord-Sith. Wyglądał jak mały, czerwony skórzany bicz. Abby nie miała pojęcia, jak działał – czarodziej powiedział jedynie, że do jego użycia trzeba magii i że ona, Abby, nie będzie się mogła nim posłużyć – ale wspaniale działał na tych, którzy dostrzegali go w jej dłoni: znikali w mroku, chcąc uciec jak najdalej od blasku obozowych ognisk, jak najdalej od Abby.

Przynajmniej ci, którzy się jeszcze nie położyli. Większość spała, ale nie brakowało też czujnych strażników. Zedd odciął warkocz Mord-Sith i przypiął go Abby. W mroku różnica w kolorze włosów nie rzucała się w oczy. Gdy strażnicy patrzyli na Abby, dostrzegali Mord-Sith i szybko kierowali swoją uwagę gdzie indziej.

Lęk na twarzach ludzi, do których się zbliżała, mówił Abby, że musi wyglądać groźnie. Nie mieli pojęcia, jak mocno bije jej serce. Była wdzięczna mrokom nocy, że skrywają przed D’Harańczykami jej uginające się ze strachu kolana. Zobaczyła tylko dwie prawdziwe Mord-Sith – obie spały – i trzymała się od nich z dala, tak jak nakazał jej Zedd. Prawdziwych Mord-Sith tak łatwo by się nie zmyliło.

Czarodziej dał jej czas aż do świtu. Czas uciekał. Powiedział Abby, że umrze, jeśli nie zdąży wrócić w porę.

Cieszyła się, że zna rzeźbę terenu, inaczej bowiem już dawno zgubiłaby się wśród namiotów, ognisk, wozów, koni i mułów. Wszędzie stały oparte o siebie grotami piki i lance. Weterynarze, kowale, ludzie opierający strzały i najrozmaitsi inni rzemieślnicy pracowali całą noc. Powietrze było gęste od dymu, słychać było brzęk kutego metalu i odgłosy ciosanego drewna. Abby nie wiedziała, jak można spać w takim hałasie – a jednak ludzie tu spali.



Wkrótce rozległy obóz obudzi się wraz z nowym dniem – dniem bitwy, dniem, w którym żołnierze zrobią to, co najlepiej potrafią. Teraz spali, żeby nabrać sił do mordowania armii Midlandów. Abby słyszała, że D'Harańczycy doskonale znają swoje rzemiosło.

Młoda kobieta szukała niestrudzenie, lecz nie odnalazła ani ojca, ani męża, ani córeczki. Nie zamierzała rezygnować. Postanowiła, że jeśli ich nie odszuka, umrze razem z nimi. Znalazła powiązanych razem brańców, przytroczonych do drzew lub unieruchomionych na ziemi, żeby nie mogli uciec. Bardzo wielu było w łańcuchach. Niektórych rozpoznała, jednak większości – nie. Wielu grup jeńców pilnowali wartownicy.

Abby ani razu nie zobaczyła żołnierza śpiącego na warcie. Kiedy na nią patrzyli, zachowywała się tak, jakby kogoś szukała i miała ochotę zatruć mu życie, gdy go już odnajdzie. Zedd powiedział, że od tego, czy zagra przekonująco swoją rolę, zależy bezpieczeństwo jej samej i jej rodziny. Córka czarodziejki myślała o ludziach krzywdzących jej dziecko i nie musiała udawać gniewu.

Ale miała coraz mniej czasu. Nie mogła ich znaleźć, a wiedziała, że Zedd nie będzie czekał. Stawka była zbyt wielka; teraz to rozumiała. Zaczynała doceniać fakt, że czarodziej i Matka Spowiedniczka starali się zakończyć wojnę, że byli ludźmi zmuszonymi poświęcić życie kilkorga dla zachowania życia wielu.

Abby odchyliła zasłonę w wejściu do kolejnego namiotu i zobaczyła śpiących żołnierzy. Kucnęła i przyjrzała się twarzom przywiązanych do wozów jeńców. Patrzyli na nią pustym wzrokiem. Pochyliła się, żeby spojrzeć na oblicza przytulonych do siebie dzieci. Nie mogła odnaleźć Jany. Wielki obóz rozciągał się w pagórkowatej okolicy – mała mogła być gdziekolwiek. Szła wśród zygzakowato rozstawionych namiotów i drapała się w nadgarstek. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to bransoleta drażni jej skórę. Stawała się coraz cieplejsza, w miarę jak Abby posuwała się naprzód, a potem zaczęła stygnąć. Kobieta zmarszczyła brwi. Z ciekawości zawróciła. Bransoleta rozgrzała się tam, gdzie dróżka zakręcała. Córka czarodziejki przystanęła na chwilę i spojrzała w mrok. Niebo właśnie zaczynało się rozjaśniać. Ruszyła między namiotami i szła dopóty, dopóki bransoleta nie ostygła, po czym wróciła w miejsce, w którym się rozgrzała, i wybrała nowy kierunek – tam gdzie rozgrzała się jeszcze bardziej.

Wręcz dając jej tę ozdobę, matka prosiła, by zawsze miała ją na ręce, i dodała, że pewnego dnia okaże się ona cenna. Abby zastanawiała się, czy bransoleta ma magiczną moc, która pomoże jej odnaleźć córeczkę. Zbliżał się świt, więc miała już tylko tę szansę. Szła pośpiesznie, kierując się zmianą temperatury bransolety.

Bransoleta doprowadziła Abby do dużej grupy śpiących żołnierzy. Nie było widać żadnych więźniów. Wśród leżących w kocach i śpiworach chodzili wartownicy. Stał tam tylko jeden namiot: prawdopodobnie postawiony dla jakiegoś oficera, domyślała się. Nie wiedząc, co robić, szła między śpiącymi D'Harańczykami. W pobliżu namiotu bransoleta wywoływała już mocne mrowienie.

Abby spostrzegła, że wartownicy kręcą się dokoła niewielkiego namiotu jak muchy wokół mięsa. Przez płótno przesączał się blask; prawdopodobnie w środku płonęła świeca. Z boku spał ktoś, kto nie był żołnierzem. Podeszła bliżej i przekonała się, że była to kobieta: Mariska.

Stara spała, pochrapując lekko. Abby stała jak sparaliżowana. Wartownicy spojrzeli na nią.

Musiała coś zrobić, nim zdążą ją o cokolwiek spytać, więc obrzuciła ich gniewnym spojrzeniem i ruszyła ku namiotowi. Starła się nie hałasować; strażnicy sądzili, że widzą Mord-Sith, ale Mariska połapałaby się raz-dwa. Gniewny wzrok Abby wystarczył, by żołnierze zapatrzyli się w mroki nocy.

Z bijącym mocno sercem chwyciła zasłonę w wejściu do namiotu. Wiedziała, że w środku powinna być Jana. Powiedziała sobie, że nie wolno jej płakać, gdy zobaczy córkę. Przypomniała sobie, że powinna zasłonić dłonią buzię Jany, zanim mała krzyknie z radości – inaczej pojmą je, nim Abby zdoła uciec ze swoją dziewczynką.

Bransoleta była tak gorąca, że niemal parzyła. Abby schyliła się i weszła do niskiego namiotu.

Na rozłożonych na ziemi kocach siedziała drżąca mała dziewczynka otulona postrzępioną wełnianą peleryną. Spojrzała w górę wielkimi oczami, przerażona tym, co może się jeszcze zdarzyć. Abby poczuła ukłucie bólu. To nie była Jana.

Patrzyły na siebie – mała dziewczynka i Abby. Płonąca z boku świeca oświetlała twarzyczkę dziecka, musiała też więc oświetlać twarz młodej kobiety. W wielkich szarych oczach, które wyglądały tak, jakby patrzyły na niewyobrażalne okropieństwa, pojawiła się decyzja.

Mała błagalnie wyciągnęła ramiona.

Abby instynktownie osunęła się na kolana, podniosła dziewczynkę i przytuliła jej drżące ciało. Chude ręce wysunęły się spod postrzępionej peleryny i z całej siły objęły szyję kobiety.

–Pomożesz mi? Pomożesz? – prosiło płaczkliwie dziecko.

Zanim ją przytuliła, Abby dobrze obejrzała buzię dziewczynki. Nie miała najmniejszych wątpliwości. To była córeczka Zedda.

–Przyszłam, żeby ci pomóc – pocieszyła ją. – Zedd mnie przysłał.

Mała zakwiliła. Abby odsunęła ją od siebie na długość ramienia.

–Zabiorę cię do taty, ale ci ludzie nie mogą się domyślić, że cię ratuję. Możesz udawać razem ze mną? Będiesz udawać, że jesteś moim więźniem, żebym cię mogła stąd zabrać?

Bliska łez dziewczynka potaknęła. Miała te same faliste włosy co Zedd i takie same oczy, choć jej były zadziwiająco szare, a nie orzechowe.

–To świetnie – szepnęła Abby, dotykając chłodnego policzka małej, niemal zagubiona w jej szarych oczach. – Zaufaj mi, a ja cię stąd wydostanę.

–Ufam ci – powiedział cichy głosik.

Abigail złapała leżący w pobliżu sznur i okręciła go wokół szyi dziewczynki.

–Postaram się nie zrobić ci krzywdy, ale oni muszą uwierzyć, że jesteś moim więźniem.

Mała zerknęła ze strachem na powróż, jakby go dobrze знаła, potem jednak skinęła główką na znak, że się zgadza.

Kobieta wysunęła się z namiotu i wyprostowała, a następnie pociągnęła sznur i wywlokła dziewczynkę. Wartownicy spojrzeli na nią.

Gdy ruszyła przed siebie, jeden z żołnierzy łypnął gniewnie i podszedł bliżej.

–Co jest?

Abby przystanęła, uniosła czerwony skórzany bicz i wycelowała go w nos strażnika.

–Kazano ją przyprowadzić. Kimże jesteś, by pytać?! Z drogi albo wypatroszę cię na śniadanie!

Żołnierz zbladł i pospiesznie odsunął się na bok. Abby odmaszerowała energicznie, nim miał czas się zastanowić, a mała zapierała się, uprawdopodobniając jej słowa.

Nikt nie ruszył za nimi. Abby chciała biec, ale nie mogła. Chciała nieść małą, ale nie mogła. Musiało to wyglądać tak, jakby Mord-Sith odprowadzała więźnia.

Nie wybrała najkrótszej drogi do Zedda. Poszła wzgórzami w górę rzeki do miejsca, w którym drzewa schodziły niemal na sam brzeg, dając osłonę. Czarodziej powiedział jej, gdzie ma przekroczyć Coney, i ostrzegł, żeby nie wracała inną drogą. Porozstawiał magiczne pułapki, by D’Harańczycy nie mogli zejść ze wzgórz i przeszkodzić mu w tym, co zamierzał zrobić.

W pobliżu rzeki, trochę w dół biegu, Abby dostrzegła wiszący nisko nad ziemią kłęb mgły. Zedd wyraźnie ostrzegwał, by nie zbliżała się do żadnej mgły. Podejrzewała, że to jakaś trująca chmura, którą wyczarował.

Plusk wody powiedział kobiecie, że jest niedaleko rzeki. Różowe niebo dawało już tyle światła, że kiedy w końcu dotarła na skraj lasu, zobaczyła wodę. Za jej plecami, na wzgórzach, stał rozległy obóz, ale pościgu nie było. Abby zdjęła sznur z szyi dziewczynki. Mała patrzyła na nią wielkimi, okrągłymi oczami.

–Trzymaj się mnie i bądź cichutko.

Przycisnęła do ramienia głowę dziecka i pobiegła ku rzece.

Widziała światło, ale nie był to świt. Dotarły właśnie przez lodowatą wodę na drugi brzeg, kiedy Abby zauważyła je pierwszy raz. Biegła brzegiem i – zanim jeszcze dostrzegła źródło tego blasku – wiedziała już, że to magia, jakiej nigdy przedtem nie widziała. W górę rzeki, ku Abby, niósł się cichy i wysoki dźwięk. Czuła swąd, jakby płonęło samo powietrze.

Dziewczynka przywarła do niej mocno; płakała i bała się odezwać: bała się mieć nadzieję, że ją ocalono, jak gdyby słowa mogły sprawić, iż to wszystko rozwieje się niczym sen po przebudzeniu. Abby czuła, że po jej policzkach też płyną łzy.

Minęła zakole rzeki i dostrzegła czarodzieja. Stał na środku rzeki, na skałce, której Abby nigdy wcześniej nie widziała. Skałka wystawała nad powierzchnię ledwo na kilka cali i dlatego wydawało się, że czarodziej stoi na wodzie. Patrzył w kierunku odległej D'Hary, a przed nim unosiły się w powietrzu ciemne, falujące kształty. Wirowały dokoła, jakby były przywiązane do Zedda, zmieniały się, ostrzegały i kusiły go ruchami ramion i palców, które wyglądały jak gdyby były z dymu.

Czarodzieja opływało żywe światło. Cudowne, jasne i ciemne barwy lśniły i igrały z falującymi w powietrzu cieniami. Było to zarazem najpiękniejsze i najstraszniejsze ze wszystkiego, co Abby miała do tej pory okazję zobaczyć. Magia, którą przyzywała jej matka, nigdy nie była tak... świadoma.

Lecz najbardziej przerażające było to, co unosiło się w powietrzu przed czarodziejem. Wyglądało jak płynna kula, tak rozżarzona, że z jej wnętrza promieniował blask, podczas gdy powierzchnię pokrywał spękany żużel. Struga wody z rzeki uniosła się ku niebu, po czym opadła na obracającą się srebrzystą sferę. Woda zasyczała i zmieniła się w parę, a łagodny poranny wiaterek unióś jej białe obłoczki. Oziębiona kula ściemniała, ale silny wewnętrzny żar znów stopił szklistą powierzchnię równie szybko, jak woda ją schłodziła: wrzała teraz i pulsowała niczym zawieszona w powietrzu ponura groźba.

Znieruchomiła Abby pozwoliła, by dziewczynka ześliznęła się na pokryty mułem brzeg. Mała wyciągnęła ramiona.

–Tatuś.

Był za daleko, żeby ją usłyszeć, a mimo to usłyszał.

Zedd odwrócił się ku nim, zarazem wielki mocą magii, którą Abby widziała, lecz nie pojmowała, i po ludzku kruchy. Oczami pełnymi łez patrzył na stojącą obok Abby córeczkę. Ten mężczyzna, który naradzał się z duchami, wyglądał, jakby pierwszy raz zobaczył prawdziwą zjawę. Zeskoczył ze skałki i ruszył ku nim przez wodę. Przytulił dziewczynkę, a ona dopiero teraz zaczęła płakać z długo powstrzymanego przerażenia.

–Cicho, kochanie, już dobrze – uspokajał ją Zedd. – Tatuś jest przy tobie.

–Och, tatusiu, oni skrzywdzili mamę. Byli tacy okropni. Tak ją dręczyli... – chlipała, przytulona do jego szyi.

Uciszał ją czule.

–Wiem, kochanie. Wiem.

Dopiero teraz kobieta dostrzegła czarodziejkę i Matkę Spowiedniczkę; stały z boku i patrzyły na nich. One również płakały. Abby była rada z ocalenia córki czarodzieja, lecz to tylko wzmagало jej rozpacz po tym, co sama utraciła. Dławiły ją łzy.

–Cicho, cicho, kochanie – Zedd uspokajał swoje dziecko. – Jesteś już bezpieczna. Tatuś nie pozwoli, żeby coś ci się stało. Jesteś już bezpieczna. – Czarodziej spojrział na Abby. Uśmiechnął się do niej z wdzięcznością przez łzy, a dziewczynka zasnęła. – Malutki czar – wyjaśnił zdumionej Abby. – Potrzebuje wypoczynku, a ja muszę skończyć to, co zacząłem. – Podał kobiecie śpiącą córkę. – Mogłabyś ją zanieść do swojego domu, Abby? Wyśpi się, ja zaś to dokończę. Połóż ją do łóżka i ciepło opatul. Będzie spać.

Abby, myśląc o swojej córeczce pozostającej w łapach tych bestii za rzeką, zdołała jedynie skinąć głową. Cieszyła się radością Zedda i nawet była dumna, że ocaliła jego dziecko, ale biegnąc do domu, umierała z żalu, że nie zdołała ocalić własnej rodziny.

Położyła śpiącą dziewczynkę w swoim łóżku. Zastłoniła małe okno w sypialni i – nie mogąc się powstrzymać – odgarnęła jedwabiste włoski i pocałowała małą w czołko. Dziecko spało bezpiecznie, a ona zbiegła z pagórka ku rzece. Chciała poprosić Zedda, żeby dał jej trochę więcej czasu, by mogła tam wrócić i poszukać swej córeczki. Lęk o Janę sprawiał, że serce Abby biło jak szalone. Miał wobec niej dług i jeszcze go nie spłacił.

Zaciskając dłonie, zatrzymała się zadyszana nad samą wodą. Patrzyła na stojącego na skałce czarodzieja otoczonego blaskiem i cieniem. Wiedziała wystarczająco dużo o magii, żeby bać się do niego podejść. Docierały do niej wymawiane śpiewnie słowa; chociaż nigdy wcześniej ich nie słyszała, rozpoznała rytm rzucanego uroku, rozpoznała słowa przyzywające straszliwe moce.

Na ziemi obok Abby był wykreślony ów dziwaczny symbol – Grace – naruszający świąty życia i śmierci. Wyrysowano go migotliwym bielutkim piaskiem, który odcinał się ostro na tle ciemnego szlamu. Sam widok tego symbolu sprawiał, że Abby drżała i nawet nie próbowała

się zastanawiać nad jego znaczeniem. Wokół znaku, tym samym migotliwym białym piaskiem, wyrysowano geometryczne wzory magicznych inwokacji.

Abby opuściła ręce i już miała krzyknąć coś do czarodzieja, kiedy nachyliła się ku niej Delora. Abby drgnęła ze zdumienia.

–Nie teraz, Abigail. Nie przeszkadzaj mi w środku tej części – szepnęła czarodziejka.

Młoda kobieta niechętnie usłuchała. Była tu również Matka Spowiedniczka. Abby zagryzała dolną wargę, patrząc, jak czarodziej wyrzuca przed siebie ramiona. Barwne iskry okoliły wijące się strzepy cienia.

–Ale ja muszę. Nie mogłam odnaleźć mojej rodziny. Musi mi pomóc. Musi ich ocalić. To dług kości, który należy spłacić.

Tamte kobiety wymieniły spojrzenia.

–Dał ci szansę, Abby, dał ci czas – powiedziała Matka Spowiedniczka. – Próbował. Zrobił, co było w jego mocy, a teraz musi pomyśleć o innych.

Matka Spowiedniczka wzięła Abby za rękę, czarodziejka otoczyła ręką jej ramiona, a młoda kobieta stała, łkając, na brzegu rzeki. To się nie powinno tak skończyć. Nie po tym, przez co przeszła, nie po tym, co zrobiła. Przytłaczała ją rozpacz.

Stojący ze wzniesionymi ramionami czarodziej przywoływał jeszcze więcej blasku, jeszcze więcej cieni, jeszcze więcej magii. Rzeka burzyła się wokół niego. Sycząca w powietrzu kula powiększała się i powoli zbliżała do wody. Z rozżarzonej, wirującej sfery mocy strzelały snopy blasku.

Słońce wschodziło za wzgórzami znajdującymi się za plecami D'Harańczyków.

Coney nie była tutaj tak szeroka jak wszędzie, więc Abby dostrzegła ruch wśród drzew na drugim brzegu. Kręcili się tam żołnierze, lecz nie wychodzili z lasu z obawy przed mgłą wiszącą nad brzegiem.

Za rzeką, u stóp porośniętych drzewami wzgórz, pojawił się inny czarodziej, żeby przyzwać magię. I on stał na skałce, a ze wzniesionych ramion biło migotliwe światło. Abby spodziewała się, że silne poranne słońce zaćmi ten blask, tak się jednak nie stało.

Młoda kobieta nie mogła już tego znieść.

–Zeddie! Zeddie! Obiecałeś! Odnalazłam twoją córeczkę! A co z moją?! Nie rób tego, błagam! Nie rób tego, dopóki nie będzie bezpieczna! – zawołała przez rzekę.

Czarodziej odwrócił się i spojrzał na nią tak, jakby patrzył z wielkiej dali, z innego świata.

Muskały go ramiona ciemnych postaci. Palce ciemnego dymu dotykały jego twarzy, nakazując, by na powrót zwrócił na nie uwagę, lecz on spoglądał na Abby.

–Tak mi przykro. – Abby mimo odległości wyraźnie słyszała jego szept. – Dałem ci czas, żebyś spróbowała ich odnaleźć. Nie mogę poświęcić już ani chwili, bo inaczej niezliczone rzesze matek będą opłakiwać swoje dzieci: matki, które żyją, i te w świecie duchów.

Powrócił do magii, a Abby zawodziła z żalu. Obie kobiety próbowały ją pocieszyć, jednak bezskutecznie.

Grzmot przetoczył się wśród wzgórz. Zgiełk otaczający Zedda wzrósł jeszcze i rozbrzmiał echem w dolinie. W górę strzeliły snopy oślepiającego blasku. Był to dziwaczny widok: blask przyćmiewający promienie słońca.

Przeciwny czar za rzeką jakby rzucił się naprzód. Smugi blasku skręciły się niczym dym i pochyliły, by spleść z blaskiem okalającym Zedda. Mgła nad brzegiem Coney rozwiła się nagle.

W odpowiedzi Zedd rozrucił szeroko ramiona. Kula ciekłego, płonącego blasku zagrzmiała. Opływająca ją woda zagotowała się i z rykiem zmieniła w parę. Powietrze jęczało, jakby protestowało przeciwko temu.

Za plecami czarodzieja, na drugim brzegu rzeki, spomiędzy drzew wysypywali się d'harańscy żołnierze, pędząc przed sobą jeńców. Ludzie krzyczeli z przerażenia. Cofali się przed magią czarodzieja, lecz pchnięcia włóczy i mieczy gnały ich do przodu.

Abby widziała, jak pod ciosami kling padli ci, którzy nie chcieli iść. Reszta, usłyszawszy ich śmiertelne wrzaski, ruszyła naprzód jak owce przed wilkami.

Jeżeli Zeddowi się nie powiedzie, armia Midlandów wejdzie do doliny i runie na wroga. Jeńcy znajdą się pomiędzy wojskami.

Drugim brzegiem szła jakaś postać, wlokąc za sobą dziecko. Abby oblał zimny pot, a potem przeszył lodowaty dreszcz. Mariska. Młoda kobieta obejrzała się przez ramię. To

było niemożliwe. Zmrużyła oczy i patrzyła za rzekę.

–N i e e e! – krzyknął Zedd.

Mariska ciągnęła za włosy córeczkę Zedda.

Prawdopodobnie stara szła ich śladem i znalazła małą śpiącą w domu Abby. I wykradła dziewczynkę, której nikt nie pilnował. Mariska ustawiła dziecko przed sobą, żeby Zedd dobrze je widział.

–Skończ z tym i poddaj się, Zoranderze, albo ona umrze!

Abby wyrwała się z trzymających ją ramion i rzuciła do wody.

Walczyła z nurtem, usiłując biec, dotrzeć do czarodzieja. Odwrócił się i spojrzał jej w oczy. Zamarła.

–Wybacz. – Własny głos wydał się jej przedśmiertną prośbą. – Myślałam, że jest bezpieczna.

Zedd z rezygnacją skinął głową. Nie mógł już nic zrobić. Znów spojrzał na wroga. Rozłożył ramiona. Rozsunął palce, jakby nakazywał, żeby wszystko się zatrzymało – zarówno ludzie, jak i magia.

–Puść wolno więźniów! Puść ich, Anargo, a daruję wam wszystkim życie! – zawołał przez rzekę do wrogiego czarodzieja.

Nad wodą zabrzmiał rechot Anarga.

–Poddaj się albo ona umrze – zasyczała Mariska.

Stara wyciągnęła nóż z za pasa i przycisnęła ostrze do gardła dziewczynki. Mała krzyczała ze strachu, wyciągała do ojca ramionka, a jej małe palce szarpały powietrze.

Abby znów walczyła z nurtem. Krzyczała, błagając Mariskę, żeby puściła córkę Zedda. Stara nie zwracała uwagi ani na nią, ani na czarodzieja.

–Ostatnia okazja! – zawołała.

–Słyszałeś jej słowa. Poddaj się lub mała umrze – warknął przez rzekę Anargo.

–Wiesz, że nie mogę przedłożyć mojej sprawy nad dobro moich ludzi! To rzecz między nami, Anargo! Puść ich! – odkrzyknął Zedd.

Nad wodami Coney poniósł się śmiech czarodzieja z D’Hary.

–Jesteś głupcem, Zoranderze! Miałeś swoją szansę! – Na jego twarzy odmalowała się wściekłość. – Zabij ją! – krzyknął do Mariski.

Zedd wrzasnął, przyciskając pięści do boków. Wydawało się, że wściekłość jego krzyku rozedrze poranek.

Mariska podniosła za włosy zawodzące dziecko. Abby z niedowierzania aż zachłysnęła się oddechem, gdy stara rozplatała małej gardło.

Dziecko zamachało rączkami. Krew trysnęła na zdeformowane palce Mariski, która ze



złośliwą uciechą cięła raz za razem. Ostatnie, mocne cięcie. Zalane krwią ciało

dziewczynki opadło na ziemię. Abby czuła narastające mdłości. Szlam na brzegu zabarwił się na czerwono.

Stara kobieta podniosła wysoko odciętą głowę i wydała zwycięski okrzyk. W powietrzu kołysały się strzępy ciała i nitki krzepnącej krwi. Drobne usta zastygły w niemym krzyku. Abby objęła ramionami nogi Zedda.

–Drogie duchy, tak żałuję! Wybacz mi, Zeddzie!

Zawodziła z żalu i przerażenia, z szoku wywołanego tak straszliwym widokiem.

–I cóż mam teraz według ciebie zrobić, dziecko? – spytał ochryple czarodziej. – Chciałabyś, żebym pozwolił im zwyciężyć, by ocalić twoją córeczkę od losu mojej? Powiedz mi, dziecko, co powinienem zrobić?

Abby nie mogła błagać o życie swojej rodziny kosztem życia tych wszystkich ludzi. Jej zbolełe serce nie mogło na to pozwolić. Jak mogłaby poświęcić życie i spokój innych, byle tylko ocaleli jej najukochańsi?

Nie byłaby wówczas lepsza od zabijającej niewinnej dzieci Mariski.

–Zabij ich wszystkich! – zawołała do czarodzieja. Wskazała na Mariskę i nienawistnego czarodzieja Anarga. – Zabij tych bydlaków! Zabij ich wszystkich!

Zedd wyrzucił przed siebie ramiona. Grzmot wstrząsnął powietrzem poranka. Kula płynnego blasku – jakby uwolniona przez czarodzieja – zanurzyła się w wodzie. Ziemia zadrżała od uderzenia. W górę buchnęła potężna fontanna wody i pary. Trzęsło się powietrze. Straszliwe drżenie zmieniło wodę w pianę.

Abby przykucnęła, woda sięgała jej teraz do talii. Odrętwiała nie tylko z zimna, ale i na myśl, że oto opuściły ją dobre duchy, które – jak sądziła – do tej pory czuwały nad nią. Zedd odwrócił się, złapał kobietę za ramię i wciągnął obok siebie na skałkę. To był inny świat.

Otoczające ich kształty nawoływały również Abby. Docierały aż do skałki, przekraczając granicę między życiem a śmiercią. Pod wpływem ich dotknięć ogarniał Abby przejmujący ból, przerażająca radość i głęboki spokój. Blask przenikał jej ciało, wypełniał ją tak, jak powietrze wypełnia płuca, i wybuchał deszczem iskier w jej umyśle. Ogłuszał ją basowy, ryczący dźwięk rozszalałej magii.

Przez wodę przedarł się zielony blask. Za rzeką Anargo runął na ziemię. Skałka, na której stał, rozpadła się na ostre niczym igły kawałki. Żołnierze wrzasnęli z przerażenia, gdyż powietrze wypełniło się wirującymi kłębamii dymu i iskrami blasku.

–Uciekajcie! Dopóki jeszcze możecie! Uciekajcie, ratujcie życie! – krzyknęła Mariska i już biegła ku wzgórzom. – Zostawcie jeńców, niech zginą! Ratujcie siebie! Uciekajcie!

Nastrój za rzeką gwałtownie się zmienił. D’Harańczycy rzucili broń. Puścili sznury

i łańcuchy więźniów. Odwrócili się i umknęli, wzbijając tumany kurzu. W jednej chwili uciekała cała armia, która dopiero co stała groźnie naprzeciw nich.

Kątem oka Abby dostrzegła, że czarodziejka i Matka Spowiedniczka starają się biec pod prąd. Choć woda sięgała im zaledwie do kolan, hamowała ruchy kobiet niczym muł.

Abigail obserwowała to wszystko jakby we śnie. Pływała w spowijającym ją blasku. Ból i uniesienie zlały się w jedno. Blask i mrok, dźwięk i cisza, radość i smutek – stapały się, były wszystkim i niczym w tyglu szalejącej magii.

Za rzeką armia D’Harańczyków zniknęła w lasach. Ponad drzewa wzbił się kurz, znacząc drogę, którą umykały ich wozy, konni i piesi. Tymczasem na brzegu czarodziejka i Matka Spowiedniczka wpędzały ludzi do wody, krzycząc coś do nich; Abby nie rozumiała ich słów, zaabsorbowana melodyjnymi trelami powodującymi barwne wizje, które przesłaniały to, co starały się jej ukazać oczy.

Przez chwilę młoda kobieta sądziła, że umiera. Pomyślała, że to nie szkodzi. A potem jej myśli raz jeszcze uniosły się w chłodnej barwie i gorącym blasku, w rytmicznej melodii magii i ząbwiących się światów. Obejmowało ją ramię Zedda i wydawało się jej, że to matka znów ją tuli. Może nawet tak było.

Docierało do niej, że ludzie przedostają się na midlandzki brzeg Coney, że biegną przed czarodziejką i Matką Spowiedniczką. Zniknęli w chaszczach, a potem zobaczyła ich daleko, za wysokimi trawami, jak biegli w górę stoku wzgórza, chcąc znaleźć się jak najdalej od cudownej magii buchającej z rzeki.

Grzmot wstrząsał światem wokół Abby. Podziemny huk sprawił, że czuła ostry ból w piersiach. Powietrze poranka rozdarł jękliwy dźwięk szarpanej stali. Dokoła tańczyły i burzyły się wody rzeki.

Para już-już miała poparzyć nogi Abby. Powietrze było aż białe. Zgiełk tak bardzo ranił jej uszy, że mocno zacisnęła powieki. Mimo to jednak widziała to samo, co wtedy, gdy miała otwarte oczy – cienie wirujące w zielonej poświacie. Wszystko zdawało się jej szaleństwem, nie mogła w tym dostrzec sensu. Zielona furia szarpała jej ciałem i duszą.

Poczuła ból, jakby coś w niej pękło. Zachłysnęła się oddechem i otworzyła oczy. Straszliwa ściana zielonego ognia oddalała się od nich ku drugiemu brzegowi. Fontanny wody były w górę niczym odwrócona ulewa. Nad powierzchnią wody splatały się błyskawice.

Požoga dotarła do tamtego brzegu i ziemia rozstała się pod nią. Z rozdartego gruntu

trysnęły błyski fioletowego światła, niczym krew innego królestwa.

Jednak najgorsze było wycie. Wycie umarłych – Abby była o tym przekonana. Miała wrażenie, że jej dusza jęczy ze współczucia dla wypełniających powietrze bolesnych krzyków. W cofającej się ścianie zielonego blasku cienie wiły się, wołały i błagały, próbując uciec ze świata zmarłych.

Abby pojęła, czym była owa ściana – była śmiercią przywołaną do świata żywych.

Czarodziej naruszył granicę między światami.

Młoda kobieta nie miała pojęcia, ile czasu minęło; w osobliwym blasku, w którym się unosiła, czas jakby nie istniał, nie było też niczego stałego. Nie było żadnego znajomego odczucia, które pomogłoby jej to zrozumieć.

Wydawało się jej, że ściana zielonego ognia zatrzymała się pośród drzew na stoku wzgórza. Te, przez które przeszła, i te, które teraz w niej tkwiły, poczerniały i uschły pod dotknięciem śmierci. Nawet trawa, po której przesunął się zielony płomień, wyglądała jak wypalona letnim słońcem.

Zielony mur zmatowiał. Czasem wydawało się, że znika jej przed oczu: raz lśniący i zielony niczym płynne szkło, innym razem ledwo widoczny jak rzędząca mgła. Rozbiegał się w obie strony – ściana śmierci mknąca przez świat żywych.

Abby uświadomiła sobie, że znów słyszy rzekę – znajome, kojące chlupotanie i pluskanie, które słyszała całe życie i na które zwykle nie zwracała uwagi.

Zedd zeskoczył ze skałki. Ujął dłoń kobiety i pomógł jej zejść. Mocno uchwyciła się jego ręki, bo wciąż kręciło się jej w głowie.

Czarodziej pstryknął palcami i skałka, na której dopiero co stali, uniosła się w powietrze i Abby wstrzymała oddech ze strachu. Nie mogła uwierzyć własnym oczom: Zedd pochwycił skałkę, która zmieniła się w mały kamyk. Była mniejsza niż jajko. Pierwszy Czarodziej mrugnął do Abby i schował kamyk do kieszeni. Osądziła, że owo mrugnięcie to najdziwniejsza rzecz, jaką mogła sobie wyobrazić, jeszcze dziwniejsza od zamieniającej się w kamyk skałki.

Czarodziejka i Matka Spowiedniczka czekały na brzegu. Pomogły Abby wyjść z wody.

–Zeddzie, dlaczego to się nie porusza? – spytała groźnie czarodziejka.

Abigail uznała, że był to bardziej zarzut niż pytanie. Ale Zedd i tak to zignorował.

–Tak mi przykro, Zeddzie. To moja wina. Nie powinnam zostawiać jej samej. Powinnam z

nią zostać. Tak mi przykro – wykrztusiła Abby.

Czarodziej, ledwo słysząc jej słowa, patrzył na ścianę śmierci po drugiej stronie rzeki. Wykonał zgiętymi palcami taki gest, jakby przywoływał coś z głębi piersi. W jego dłoniach buchnął płomień, powietrze zadrżało. Wyciągnął przed siebie ręce, jak gdyby coś ofiarowywał. Abby osłoniła dłonią twarz przed żarem.

Zedd uniósł pulsującą kulę płynnego ognia. Rosta w jego dłoniach, wirowała i koziółkowała, ryczała i syczała wściekle. Trzy kobiety się cofnęły. Abby słyszała o takim ogniu. Słyszała kiedyś, jak matka wymieniła cicho jego nazwę: ogień

czarodzieja. Nawet wtedy – choć nie miała pojęcia, co to, i nigdy tego nie widziała – Abby poczuła chłód. Ogień czarodzieja przywoływano, by pognębić wroga. Owa kula nie mogła być niczym innym.

–Za to, że zabiłeś moją ukochaną, moją Erilyn, matkę naszej córeczki, i za śmierć niewinnych ukochanych innych niewinnych ludzi posyłam ci, Panisie Rahlu, dar śmierci – wyszeptał Zedd.

Czarodziej otworzył ramiona. Przyzwany przez swego pana błękitno-złoty płynny ogień ruszył, nabierając prędkości, i pomknął ku D’Harze, rozdzierając z rykiem powietrze. Gdy kula mijiała rzekę, urosła; gnała z wściekłym rykiem, odbijając się jak w lustrze w tysiącach kropeł.

Ogień czarodzieja przemknął nad rozrastającą się ścianą zielonego blasku, ledwo musnąwszy jej górny brzeg. Strzelił zielony płomień, część się oddzieliła i poleciała za kulą niczym dym za ogniem. Śmiercionośna mieszanina gnała z rykiem ku widnokręgowi. Wszyscy patrzyli za nią, aż zniknęła w oddali.

Blady i wycieńczony Zedd odwrócił się ku nim, a Abby wczepiła się w jego szatę.

–Tak mi przykro, Zeddzie. Nie powinnam... Położył jej palce na ustach i uciszył.

–Ktoś na ciebie czeka.

Skinął głową. Abby się odwróciła. Przy sitowiu stał Philip, trzymając Janę za rączkę. Abby poczuła taką radość, że aż wstrzymała oddech. Jej mąż obdarzył ją swoim charakterystycznym uśmiechem. Obok niego stał ojciec; również uśmiechał się i z aprobatą kiwał głową.

Kobieta wyciągnęła ramiona i pobiegła ku nim. Jana skrzywiła się i przytuliła do Philipa. Abby padła przed nią na kolana.

–To mama. Tylko ma jakieś nowe ubranie – uspokoił małą ojciec.

Abby zrozumiała, że jej córka przestraszyła się czerwonego skózanego uniformu. Uśmiechnęła się przez łzy do swego dziecka.

–Mama! – krzyknęła Jana na widok owego uśmiechu.

Abby objęła córeczkę. Śmiała się i tak mocno ścisnęła Janę, że mała zaczęła protestować. Philip czule dotknął ramienia żony. Kobieta wstała i przytuliła się doń; łzy odebrały jej głos. Ścisnęła rączkę Jany, a ojciec uspokajająco położył jej dłoń na plecach.

Zedd, Delora i Matka Spowiedniczka poprowadzili ich ku ludziom czekającym na szczycie wzgórza. Wraz z uwolnionymi więźniami czekali żołnierze – przeważnie oficerowie, niektórych z nich Abby rozpoznała – kilku innych ludzi z Aydindril i czarodziej Thomas. Wśród uwolnionych byli również mieszkańcy Coney Crossing, ludzie, którzy nie darzyli względami Abby, córki czarodziejki. Lecz to byli jej ludzie, ludzie z jej rodzinnej miejscowości, ludzie, których chciała ocalić.

Zedd położył dłoń na ramieniu Abigail. Młoda kobieta zauważyła ze zdumieniem, że jego faliste, kasztanowe włosy były teraz miejscami białe jak śnieg. Nawet nie patrząc w lustro, wiedziała, że i jej włosy tak się zmieniły, kiedy tkwiła w owym miejscu poza światem życia.

–Oto Abigail, zrodzona z Helsy – zawołał czarodziej do zgromadzonych ludzi. – To ona przybyła do Aydindril, by prosić mnie o pomoc. Choć nie ma magicznego daru, to właśnie jej zawdzięczacie wolność. Niepokoiła się o was wystarczająco, by błagać o wasze życie.

Abby – obejmowana w tali przez Philipa – trzymając w dłoni rączkę Jany, popatrzyła na czarodzieja, na czarodziejkę i na koniec na Matkę Spowiedniczkę. Ta uśmiechnęła się. Abigail pomyślała, że to dowodzi nieczułości, skoro dopiero co na ich oczach zamordowano córkę Zedda. Wyszeptała to. Uśmiech Matki Spowiedniczki stał się jeszcze szerszy.

–Nie pamiętasz? Nie pamiętasz, jak go nazywamy? – spytała, nachylając się ku młodej kobiecie.

Abby, otumaniona wszystkimi wydarzeniami, nie mogła pojąć, o czym mówi zwierzchniczka Spowiedniczek. Przyznała, że nie pamięta, a wtedy Matka Spowiedniczka i czarodziejka odciągnęły ją i poprowadziły ku domowi obok grobu, w którym na nowo pogrzebała po powrocie czaszkę matki.

Matka Spowiedniczka uchyliła drzwi do sypialni. Na łóżku, tam gdzie Abby ją położyła, wciąż spała córeczka Zedda. Młoda kobieta z niedowierzaniem patrzyła na dziecko.

–Sztukmistrz. Przecież mówiłam ci, że tak go nazywamy – powiedziała Matka Spowiedniczka.

–I nie jest to pochlebne określenie – mruknął Zedd, stając za nimi.

–Ale... jak? – Abby ścisnęła skronie palcami. – Nie rozumiem.

Zedd wskazał na coś. Abby dopiero teraz dostrzegła leżące tuż przy tylnych drzwiach ciało. To była Mariska.

–Kiedy pokazałaś mi tę izbę, gdy byliśmy tu pierwszy raz, zastawiłem kilka pułapek na tych, którzy chcieliby wyrządzić zło. Pułapki zabiły tę kobietę, bo przyszła tu z zamiarem porwania mojej śpiącej córeczki – wyjaśnił Zedd.

–Więc tamto wszystko było złudzeniem? – spytała osłupiała Abby. – Jak mogłeś zrobić coś tak okrutnego? Jak mogłeś?

–Zamierzają się na mnie zemścić – tłumaczył czarodziej. – Nie chciałem, żeby moja córka zapłaciła tę samą cenę co żona. Ponieważ mój czar zabił tę kobietę, kiedy chciała skrzywdzić mi córkę, mogłem się posłużyć jej zjawą i wprowadzić ich w błąd. Wrogowie

znali Mariskę, wiedzieli, że działa na rozkaz Anarga. Wykorzystałem to, co spodziewali się zobaczyć, żeby przekonać ich i tak wystraszyć, by uciekli, zostawiwszy wcześniej więźniów. Rzuciłem czar śmierci, by wszyscy myśleli, że oglądają śmierć mojej małej. Dzięki temu wróg sądzi, że moja córka nie żyje i nie będzie jej ścigał, nie będzie próbował jej skrzywdzić. Zrobiłem to, żeby uchronić ją od nieprzewidzianego.

Czarodziejka spojrzała nań gniewnie.

–Gdyby to był ktoś inny, Zeddicusie, i zrobił to z innego niż ty powodu, to już ja bym zadbała, by poniósł karę za rzucenie czaru śmierci. – Uśmiechnęła się. – Dobra robota, Pierwszy Czarodzieju.

Wszyscy czekający na zewnątrz oficerowie chcieli wiedzieć, co się dzieje.

–Dziś nie będzie bitwy. Właśnie zakończyłem wojnę – powiedział im Zedd.

Krzyknęli ze szczerzej radości. Abby podejrzewała, że gdyby Zedd nie był Pierwszym Czarodziejem, podrzuciliby go. Wyglądało na to, że pokój sprawił największą radość tym, którzy mieli za zadanie walczyć o niego.

Bardzo spokojnie czarodziej Thomas – Abby jeszcze nigdy go takim nie widziała – odchrząknął i powiedział:

–Zoranderze... po prostu nie mogę uwierzyć własnym oczom. – Jego twarz przybrała w końcu zwykły, gniewny wyraz. – Ale ludzie niemal buntują się przeciw magii. Będzie jeszcze gorzej, kiedy tylko rozejdą się wieści o tych wydarzeniach. Prośby o uwolnienie od magii są liczniejsze z każdym dniem, a ty jeszcze dołałeś oliwy do ognia. Przez ciebie możemy mieć rewoltę.

–Wciąż chcę wiedzieć, dlaczego to się nie przesuwają. Chcę wiedzieć, dlaczego tam tkwi, zielone i nieruchome – burknęła z tyłu Delora.

Zedd zignorował ją i spojrzał na starego czarodzieja.

–Mam dla ciebie zadanie, Thomasie. – Przywołał gestem kilku oficerów i urzędników z Aydindril, po czym przesunął palcem przed ich twarzami i przybrał srogi, pełny determinacji wyraz twarzy.

–Mam robotę dla was wszystkich. Ludzie mają powody, żeby się bać magii. Dzisiaj widzieliśmy magię śmiertelności i niebezpieczną. Potrafię zrozumieć ich strach. I dlatego spełnię ich życzenie.

–Coś takiego! – zadrwił Thomas. – Nie możesz położyć kresu magii, Zoranderze! Nawet ty nie możesz tego dokonać!

–Nie położę kresu magii – odparł Zedd – lecz ofiaruję im miejsce, w którym jej nie będzie. Chcę, byście powołali grupę osobistości, która objechałaby całe Midlandy i przedstawiła ten projekt. Wszyscy, którzy chcą opuścić świat zależny od magii, powinni się przenieść na ziemie leżące na zachodzie. Tam będą mogli wieść życie wolne od

magii. Zapewniam, że magia nie będzie mogła naruszać ich spokoju.

–Nie możesz składać takich obietnic! – Thomas wyrzucił ramiona w górę.

Zedd wskazał rosnącą ku niebu ścianę zielonego ognia.

–Mogę przywołać jeszcze jedną ścianę śmierci, przez którą nic nie przeniknie. Po jej drugiej stronie będzie kraina pozbawiona magii. Tam ludzie będą wieść życie bez jej ingerencji. Chcę, żebyście dopilnowali, by wiadomość o tym obiegła całe Midlandy. Aż do wiosny chętni będą się mogli przenosić na zachodnie ziemie. Ty, Thomasie, zagwarantujesz, że nie uda się tam nikt z magicznym darem. Mamy księgi, którymi możemy się posłużyć, by mieć pewność, że to miejsce jest wolne od najmniejszego śladu magii. Możemy ich zapewnić, że magii na pewno tam nie będzie. A wiosną, kiedy wszyscy chętni znajdą się w swojej nowej krainie, wzniosę granicę oddzielającą ich od niej. Za jednym zamachem spełnię większość napływających do nas próśb – wreszcie będą mieć życie wolne od magii. Oby strzegły ich dobre duchy i oby nigdy nie żalowali, że spełniło się ich życzenie. Thomas w podnieceniu wskazał na mur zielonego ognia, który Zedd sprowadził na świat.

–A co z tym? Jeżeli ludzie natkną się na to w ciemnościach, to co będzie? Wejdą prosto w śmierć.

–Nie tylko w ciemnościach – odparł Zedd. – Gdy się już ustabilizuje, będzie ledwo widoczna. Musimy ustanowić strażników, by trzymali ludzi z dala od tej ściany. Musimy wytyczyć pas w pobliżu granicy i wyznaczyć żołnierzy, którzy nie dopuszczaliby tam ludzi.

–Żołnierzy? Czyżbyś chciał zorganizować oddział strażników granicy? – spytała Abby.

–Tak – odparł Zedd, unosząc brew. – To dobra nazwa. Strażnicy granicy.

Umilkli wszyscy, którzy słuchali słów czarodzieja. Nastrój się zmienił, zapanowała powaga: czekało ich odpowiedzialne zadanie. Abby nie mogła sobie wyobrazić miejsca, w którym nie byłoby magii, wiedziała jednak, że niektórzy bardzo czegoś takiego pragną.

W końcu Thomas potaknął.

–Sądzę, Zeddzie, że tym razem dobrze to wymyśliłeś. Czasem musimy służyć ludziom, nie służąc im. – Inni pomrukami wyrazili swoją aprobatę, chociaż, podobnie jak Abby, uważali to za smutne rozwiązanie.

–A więc postanowione – oznajmił Pierwszy Czarodziej.

Odwrócił się i obwieścił zgromadzonemu tłumowi kres wojny oraz mający nastąpić podział, który spełni ponawiane od lat prośby niektórych. Dla tych, którzy tego pragną, zostanie utworzona poza Midlandami kraina bez magii.

Ludzie albo paplali o tak tajemniczej i dziwacznej sprawie jak kraina bez magii, albo radowali się kresem wojny. W tym czasie Abby szepnęła Janie, żeby przez chwilę zaczekała razem z tatą. Ucałowała córeczkę, a potem odciągnęła Zedda na bok.

–Mogę z tobą pomówić, Zeddzie? Mam pytanie.

Czarodziej uśmiechnął się, wziął Abby za łokieć i pociągnął do jej niewielkiego domu.

–Chcę sprawdzić, jak tam moja córeczka. Chodź ze mną.

Abby porzuciła wszelką ostrożność: ujęła jedną ręką dłoń Delory, drugą dłoń Matki Spowiedniczki i pociągnęła je za sobą. One też miały prawo to usłyszeć.

–Zeddzie, mogę wiedzieć, jaki to dług miał twój ojciec wobec mojej matki? – spytała, gdy tylko oddalili się od tłumu.

Czarodziej uniósł brew.

–Mój ojciec nie miał żadnego długu wobec twojej matki.

Abby zmarszczyła brwi.

–Przecież to był dług kości, który przeszedł z ojca na ciebie i z mamy na mnie.

–A tak, to był prawdziwy dług, ale nie wobec twojej matki. To był dług twojej matki.



–Co takiego?! – zdumiała się Abby. – Co masz na myśli?

Zedd się uśmiechnął.

–Kiedy matka cię rodziła, miała poważne kłopoty. Umierałyście w trakcie porodu. Ojciec odwołał się do magii, żeby pomóc twojej matce. Helsa jednak błagała go, by ocalił i ciebie. No i, żeby cię zatrzymać w świecie żywych i uratować z łap Opiekuna, ojciec, nie dbając o własne bezpieczeństwo, dokonał tego, co przekraczało wytrzymałość, jakiej można by się spodziewać po czarodzieju. Twoja matka była czarodziejką, więc pojmowała, co łączyło się z uratowaniem twego życia. Z wdzięczności za to, co uczynił mój ojciec, uznała przysięgą swój dług wobec niego. Kiedy zmarła, dług przeszedł na ciebie.

Abby, otwierając szeroko oczy, starała się to na nowo przemyśleć. Matka nigdy nie opowiedziała jej o tym długu.

–Ale... ale masz na myśli, że to ja miałam dług wobec ciebie? Ze dług kości spoczywał na mnie?

Zedd otworzył drzwi do izby, w której spała jego córeczka, i zajrzał tam z uśmiechem.

–Dług został spłacony, Abby. Magia bransolety, którą dostałaś od matki, była związana z owym długiem. Dziękuję za życie mojej córki.

Abby zerknęła na Matkę Spowiedniczkę. Rzeczywiście, Sztukmistrz.

–No to czemu mi pomogłeś, skoro dług kości ciążył na mnie, a nie na tobie? Skoro to naprawdę był mój dług?

Zedd wzruszył ramionami.

–Dla nas nagrodą jest pomaganie innym. Nigdy nie wiemy, czy i w jaki sposób uzyskamy rewanż. Sama pomoc jest nagrodą, żadna inna nie jest ani potrzebna, ani lepsza.

Abby patrzyła na śliczną małą dziewczynkę, która spała w jej sypialni.

–Jestem wdzięczna dobrym duchom, że pomogłam zatrzymać ją w świecie żywych. Może nie mam daru, lecz przewiduję, że będzie bardzo ważną osobą nie tylko dla ciebie, ale i dla innych.

Zedd z uśmiechem patrzył na śpiącą córkę.

–Sądzę, moja droga, że możesz mieć dar prorokowania, bo ona już jest osobą, która ma udział w zakończeniu wojny, dzięki czemu ocaliła życie niezliczonych ludzi.

Czarodziejka wskazała za okno.

–Wciąż chcę się dowiedzieć, dlaczego tamto się nie porusza. Miało przejść przez D’Harę i wyjąłowić ją, oczyścić z wszelkiego życia, zabić ich wszystkich za to, co uczynili. –  
Nachmurzyła się jeszcze bardziej. – Dlaczego to tutaj tkwi?

Zedd skrzyżował ramiona.

–To zakończyło wojnę. I wystarczy. Owa ściana jest częścią samych zaświatów, świata śmierci. Ich armia nie zdoła się przez to przedostać. Dopóki granica będzie trwać, dopóty nie będą mogli zacząć z nami wojny.

–A jak długo tak będzie? Zedd wzruszył ramionami.

–Nic nie trwa wiecznie. Na razie będzie pokój. Zabijanie ustało. Czarodziejka nie wyglądała na usatysfakcjonowaną.

–Przecież oni próbowali nas wszystkich zabić!

–Ale teraz już im się to nie uda. I w D’Harze są niewinni ludzie, Deloro. To, że Panis Rahl chciał nas podbić i ujarzmić, wcale nie oznacza, że wszyscy mieszkańcy D’Hary są źli. Wielu przyzwoitych D’Harańczyków cierpiało pod srogimi rządami. Jak mógłbym zabić wszystkich mieszkańców D’Hary, nie wyłączając tych, którzy nie spowodowali żadnego zła i chcieli tylko wieść życie w spokoju? Delora przesunęła dłonią po twarzy.

–Czasami cię nie poznaję, Zeddicusie. A innym znów razem jesteś straszliwym Wichrem Wojny.

Matka Spowiedniczka patrzyła przez okno w stronę D’Hary. Zwróciła fioletowe oczy na czarodzieja.

–Będą tam również tacy, Zeddzie, którzy przez to staną się twoimi dozgonnymi wrogami. Zyskałeś sobie zawziętych nieprzyjaciół. Pozostawiłeś ich przy życiu.

–Wrogowie świadczą o twojej reputacji – odparł Zedd. Przełożyła Lucyna Targosz

## **Opowieści o Alvinie Stwórcy**

### **Orson Scott Card**

*Seventh son (1987) Siódmy syn (1993) Red Prophut (1988) Czerwony prorok (1996) Prentice Alvin (1989) Uczeń AMn (1995) Ahin journeyman (1996) AMn czeladnik (1999) Hearthfire (1998)*

W „Opowieściach o Alvinie Stwórcy”, alternatywnej wizji historii, która nigdy się nie wydarzyła, Orson Scott Card pokazuje, jaki mógłby być świat, gdyby nie doszło do amerykańskiej Wojny o Niepodległość i gdyby magia z ludowych wierzeń naprawdę działała.

Ameryka Północna jest podzielona na kilka prowincji, a Francuzi i Hiszpanie wciąż żywo zaznaczają swoją obecność w Nowym Świecie. Trwająca w Europie rewolucja naukowa zmusza wielu ludzi z „talentem”, czyli umiejętnościami magicznymi, do emigrowania do Ameryki. Przybywają tam ze swoją magią. Książki cyklu opisują życie Alvina, który jest siódmym synem siódmego syna i z tego już tylko powodu dysponuje niespotykaną mocą. Jego przeznaczeniem jest dorosnąć do statusu Stwórcy, szczególnej postaci, jakiej nie widziano już od tysiąca lat. Niemniej każdy Stwórca musi stawić czoło swojemu Niszczycielowi, istocie reprezentującej niezmiernie, nadnaturalne zło. Adwersarz Alvina stara się wykorzystać przeciwko niemu jego rodzonego brata, Calvina.

Podczas swoich peregrynacji Alvin poznaje otaczający go świat i spotyka się z takimi problemami, jak niewolnictwo i nieustanna wrogość między osadnikami a rdzennymi Amerykanami, którzy władają zachodnią częścią kontynentu. Akcja cyklu zdaje się zmierzać ku ostatecznej konfrontacji Alvina z Niszczycielem, przy czym stawką w tej walce będzie los całego kontynentu, a może i świata.

## **Szeroko Uśmiechnięty Mężczyzna Orson Scott Card**

Pierwszy raz Alvin Stwórca napotkał go pośród stromych, lesistych wzgórz wschodniego Kenituck. Alvin podążał akurat drogą ze swym podopiecznym, Arthurem Stuartem, rozprawiając albo o niuansach filozofii, albo o tym, jak najlepiej przyrządzić fasolę w trakcie podróży, nie pamiętam już dokładnie, gdy dotarł do poręby, na której pewien mężczyzna kuczał z uniesioną głową i wpatrywał się w drzewo. Jak na owe czasy i tamto miejsce nie było w nim nic szczególnego poza tym jednym drobiazgiem, że szczyrzył zęby jakby w szerokim uśmiechu. Ubrany był w kozie skóry, na głowie nosił czapkę z futra szopa, a obok niego leżał w trawie muszkiet. W tamtych dniach wielu niespokojnych, młodych ludzi zapuszczało się w dziewicze lasy, by polować na ścieżkach wydeptanych przez dziką zwierzynę.

A jednak godzi się wspomnieć, że wschodnie Kenituck nie było już wówczas tak całkiem niecywilizowane i większość jego mieszkańców zamieniała latem szaty z koziej skóry na lżejsze, bawełniane. Chyba że byli akurat zbyt biedni, by sprawić sobie jakiegokolwiek nowe. Może więc ten właśnie szczegół sprawił po części, że Alvin zatrzymał się nagle i spojrzał na osobnika. Arthur Stuart oczywiście robił zawsze to samo co Alvin, jeśli tylko nie miał akurat jakiegoś nader ważnego powodu, by postąpić inaczej, tak więc również on przystanął na skraju łąki i umilkł zapatrzony.

Uśmiechnięty wpatrywał się w środkowe gałęzie starej, sparszywiającej sosny przytłoczonej nieco przez sąsiednie, wolniej rosnące drzewa liściaste. Jednak to nie do drzewa szczyrzył zęby. Nie, proszę pana, on uśmiechał się do niedźwiedzia.

Są niedźwiedzie i niedźwiedzie, wiadomo. Starsze brunatne misie potrafią być równie groźne jak psy, co znaczy, że gdy ruszysz na nie z kijem, to zasłużenie dostaniesz za swoje, ale w każdym innym przypadku zostawią cię w spokoju. Jednak niektóre czarne

niedźwiedzie i grizzly aż pałą się do bitki i zaraz jeżą sierść na grzbiecie niczym jeżozwierze w nadziei, że palniesz coś głupiego i dasz im pretekst, by dać ci w ucho i urwać łeb z płuckami. Zupełnie jak podpity rzeczny szczur.

To był właśnie ten rodzaj niedźwiedzia. Może niezbyt stary, ale z pokazowo zjeżonym włosom i wcale nie dlatego na drzewie, żeby się bał, lecz za sprawą miodu, który oblepiał mu sierść do spółki z pszczołami tak strudzonymi próbami użądlenia go poprzez ten kołtun, że w większości już martwymi i bez żądeł. Nie brakowało wszakże i brzęczenia przypominającego chór chłopków, co to nie znają słów hymnu, więc tylko mruczą pod nosem do taktu, z tym jednak zastrzeżeniem, że pszczoły nawet melodii jakoś nie trzymały.

I tak sobie siedzieli. Jeden na dole i uśmiechnięty od ucha do ucha, drugi na górze i z wyszczerzonymi kłami, a obaj pilnie na się spoglądali.

Alvin i Arthur stali dobre kilka minut i jak patrzyli, tak nic się w tej scenie nie zmieniało. Mężczyzna siedział na ziemi i gapił się w górę, niedźwiedź zerkał z konaru w dół. Żaden z nich nawet nie drgnął na znak, że zauważył przybyłych.

W końcu to Alvin postanowił się odezwać.

–Nie wiem, kto rozpoczął ten podejrzany pojedynek, ale wiem, kto go wygra.

Mężczyzna odpowiedział mu przez zaciśnięte zęby, nie zmieniając wyrazu twarzy:

–Przepraszam, że nie wstaję, by uścisnąć wam dłonie, ale porażam właśnie niedźwiedzia uśmiechem.

Alvin pokiwał w zadumie głową, bo w stwierdzeniu tym niewątpliwie było coś z prawdy.

–Niemniej odnoszę wrażenie, że niedźwiedź myśli chyba to samo, tylko odwrotnie – powiedział.

–Niech sobie myśli, co chce – odparł tamten. – I tak zejdzie z tego drzewa.

–Sprawi pan to samym uśmiechem? – spytał Arthur Stuart, który jako młodszy łatwiej się zdumiewał.

–Módl się, żebyś nigdy nie wyszczerzył się do ciebie – rzucił mężczyzna. – Przykro by było oddawać potem twojemu panu pełną cenę zbytu za tak bystrego Murzynka jak ty.

Wielu popełniało podobny błąd, biorąc Arthura Stuarda za niewolnika, lecz ostatecznie był na poły czarnym, a kraj na południe od Hio uznawał wówczas jeszcze niewolnictwo. Przeznaczeniem czarnego człowieka było tam zostać czyjąś własnością i niczego innego nie mógł i nie powinien w owych stronach oczekiwać. Alvin nie wyprowadzał nikogo z błędu ze względów bezpieczeństwa: jeśli ludzie uznają, że Arthur Stuart ma już swojego pana, to nie

będzie ich kusić, żeby samemu pretendować do tej roli.

–To musi być naprawdę przekonujący uśmiech – powiedział Alvin Stwórca. – Nazywam się Alvin. Jestem czeladnikiem kowalskim.

–W tych stronach nie ma wiele roboty dla kowala. Trochę dalej na zachód będzie lepiej. Więcej osadników. Tam spróbuj. – Mężczyzna wciąż cedził słowa przez zęby.

–Może tak zrobię – stwierdził Alvin. – Jak się nazywasz?

–Nie ruszajcie się – odparł tamten. – I zostańcie, gdzie jesteście. Schodzi.

Niedźwiedź ziewnął, zlął po pniu, stanął na czterech łapach i pokiwał łbem, jakby wsłuchiwał się we własną, niedźwiedzią muzykę, czy co tam misie słyszą. Sierść wokół pyska lśniła mu od miodu, na kudłach jaśniały małe kropki martwych pszczoł. Cokolwiek sobie kombinował, nie miał długiego pomysłu. Stanął na tylnych łapach niczym

człowiek, przednie wyciągnął w górę i rozdziawił paszczę jak dziecko, które pokazuje mamusi, że owszem, zjadło już kasek.

Uśmiechnięty też wstał i wyciągnął ręce, po czym otworzył usta, ukazując całkiem udany garnitur zębów, jak na człowieka oczywiście, bo do niedźwiedzich jego kły nawet się nie umywały. Na misiu zrobiło to chyba jednak wrażenie, bo opadł na ziemię i bez jakichkolwiek pretensji zniknął w krzakach.

–Teraz to moje drzewo – powiedział specjalista od uśmiechów.

–Niewiele ci z niego przyjdzie – stwierdził Alvin.

–Miód prawie już się skończył – dodał Arthur.

–Moje jest drzewo i ziemia wokoło.

–A co zamierzasz z nim zrobić? Nie wyglądasz na rolnika.

–Zamierzam się tu wyspać. A że nie lubię, gdy niedźwiedzie zakłócają mi sen, musiałem mu pokazać, kto tu rządzi – odparł mężczyzna.

–I to cały pożytek, jaki czerpiesz ze swego talentu? – spytał Arthur Stuart. – Przekonujesz niedźwiedzie, żeby schodziły ci z drogi?

–Zimą śpiam pod niedźwiedzim futrem. Jak sobie ustawię misia, to zostaje ustawiony, aż skończę, co mam do roboty – odpowiedział mężczyzna.

–A nie obawiasz się, że któregoś dnia trafi kosa na kamień? – spytał niewinnie Alvin.

–Nie ma takiego kamienia. Mój uśmiech to księżę wśród uśmiechów. Król zaprawdę.

–Cesarz uśmiechów – dopowiedział Arthur Stuart. – Napoleon uśmiechów!

Ironia w głosie Arthura była nazbyt wyraźna, żeby umknąć nawet uśmiechaczowi.

–Niewyparzoną gębę ma ten twój chłopak.

–Przynajmniej się z nim nie nudzę – odparł Alvin. – Teraz, gdy byłeś już uprzejmy przegonić niedźwiedzia, widzę, że to świetne miejsce, byśmy zatrzymali się tutaj i zbudowali kanoe.

Arthur Stuart spojrział na niego jak na wariata.

–A po co nam kanoe?

–Bo lubię wygodę. Popłyniemy nim w dół strumienia.

–Mnie to nie obchodzi – oświadczył mężczyzna. – Zwodujcie je sobie, zatopcie, ubierzcie zamiast czapki albo nawet zjedzcie na kolację, ale tutaj go nie zbudujecie. – Wciąż się uśmiechał.

–Popatrz tylko, Arthurze. Facet nawet się nam nie przedstawił, a już szczyrzy na nas zęby – powiedział Alvin.

–To nie zadziała – orzekł Arthur Stuart. – Szczyrzyli się do nas politycy, kaznodzieje i czarownicy, nawet prawnicy, a oni to mieli zębiska.

Słyszając to, mężczyzna sięgnął po muszkiet i wycelował go dokładnie w serce Alvina.

–Rozumiem zatem, że sam uśmiech nie starczy – powiedział.

–Mam wrażenie, że tutaj nie cenią skutnictwa – mruknął Alvin. – Chodźmy gdzieś dalej, Arthurze.

–Nie tak szybko – stwierdził tamten. – Tak sobie myślę, że chyba przysłużę się sąsiadom, jeśli sprawię, że nigdy nie odejdziecie z tej polany.

–Po pierwsze, to nie masz żadnych sąsiadów – powiedział Alvin.

–Wszyscy ludzie są moimi braćmi i sąsiadami – odrzekł uśmiechnięty. – Jezus tak powiedział.

–O ile pamiętam, chodziło mu o Samarytan, a ci nie muszą się mnie obawiać.

–Ja jednak widzę wędrowca, który kryje swój worek przed moim spojrzeniem.

Była to prawda, gdyż w worku spoczywał złoty pług i Alvin starał się zawsze trzymać go na plecach, tak by był w połowie zasłonięty jego barami. Nie chciał niepokoić napotkanych widokiem worka ruszającego się samodzielnie w chwilach, gdy pługowi zbierało się na manewry. Teraz jednak Alvin odpowiedział na wyzwanie, wysuwając worek przed siebie.

–Nie mam nic do ukrycia przed kimś, kto trzyma broń.

–Mężczyzna z workiem – ciągnął tamten – który twierdzi, że jest kowalem, ale za całe towarzystwo ma chłopaka zbyt chudego i małego, by nadawał się na ucznia w tym fachu. Taki chłopak pasuje jednak jak ulał, żeby wśliznąć się przez okno stryżku lub szparę poddasza jakiejś gorszej chaty. I tak sobie myślę, że ten z workiem jest akurat dość wysoki i silny, by podsadzić chłopaka. A jak ten wejdzie, to otworzy od środka drzwi złodziejowi. I dlatego uważam, że jeśli was teraz zastrzelę, to tylko przysłużę się światu.

–Tacy rabusie nie chadzają po lasach – zachnął się Arthur Stuart. – Niewiele tu do rabowania.

–Nie powiedziałem, że jesteście aż tak bystrzy – rzucił mężczyzna.

–Jednak zrobisz lepiej, jeśli wycelujesz swój muszkiet w kogoś innego – stwierdził cicho Arthur Stuart. – O ile chcesz mieć jeszcze kiedyś z niego pożytek.

W odpowiedzi uśmiechnięty pociągnął za spust. Buchnął płomień i lufa muszkietu eksplodowała, rozkwitając na końcu żelaznym, poszarpanym kwiatem. Kula wytoczyła się z niej powoli i spadła ciężko na trawę.

–Coście zrobili z moją bronią?! – warknął uśmiechnięty.

–To nie ja pociągnąłem za cyngiel – stwierdził Alvin. – Ponadto zostałeś ostrzeżony.

–I jak miewa się teraz twój uśmiech? – zaciekawiał się Arthur Stuart.

–Dobrze, bo ogólnie to wesoły ze mnie chłopak – powiedział mężczyzna, wyciągając długi nóż.

–Lubisz ten nóż? – spytał Arthur Stuart.

–Dostałem go od mojego przyjaciela, Jima Bowiego – odpowiedział mężczyzna. – Oblupiłem nim już ze skóry sześć niedźwiedzi i tyle bobrów, że sam ich nie zliczę.

–No to popatrz na lufę twojego muszkietu, a potem na ostrze tego świetnego noża i rusz porządnie głową – powiedział Arthur Stuart.

Mężczyzna zerknął na rozsadzoną lufę, potem zaś na nóż.

–No i co? – spytał.

–Myśl dalej, a zrozumiesz.

–Pozwalasz mu, by gadał jak biały?

–Gdy spotykam kogoś, kto strzela do mnie z muszkietu, to pozwalam Arthurowi, by przemawiał do niego jak wola jego i ochota – odparł Alvin.

Uśmiechnięty zastanawiał się ponad minutę, po czym – jakkolwiek wydawało się to niemożliwe – uśmiechnął się jeszcze szerzej, odłożył nóż i wyciągnął dłoń.

–Masz jakiś talent – powiedział.

Alvin uściskał jego dłoń. Arthur Stuart wiedział, co teraz nastąpi, bo już to widywał. Chociaż Alvin przedstawił się jako kowal i każdy, kto miał oczy, mógł się domyślić krzepkości jego rąk i ramion, uśmiechnięty uparł się jednak pokonać obcego w walce.

Nie, żeby Alvin miał coś przeciwko odrobinie sportu. Pozwolił uśmiechniętemu ciągnąć, szarpać, wykręcać i ścisnąć swoją dłoń, aż biedak się zagrzał. Z boku mogłoby to nawet ująć za coś w rodzaju walki, gdyby nie fakt, że Alvin właściwie nie brał w niej udziału i wyglądał, jakby zamierzał się zdrzemnąć.

W końcu objawił zainteresowanie przeciwnikiem i ścisnął mu dłoń tak mocno, że uśmiechnięty opadł z krzykiem na kolana i zaczął błagać Alvina o zwrot kończyny.

–Nie, żebym miał się nią jeszcze kiedyś posłużyć – jęczał – ale rękawiczki sprzedają parami. I co ja zrobię z tą drugą?

–Ani mi w głowie zatrzymywać twoją dłoń – powiedział Alvin.

–Wiem, ale pomyślałem sobie, że możesz zechcieć porzucić ją tutaj, na łące, a mnie samego wyekspediować gdzie indziej – odparł uśmiechnięty.

–Nigdy nie przestajesz się uśmiechać? – spytał Alvin.

–Nawet nie śmiem. Ile razy spróbuję, zaraz jakieś złe mnie dopada.

–Jednak lepiej byś zrobił, nawet jeśli musisz się do mnie wykrzywiać, gdybyś celował z muszkietu w ziemię, a ręce trzymał w kieszeni.

–Paluchy zbiłeś mi w jeden, a kciuk chyba zaraz wyskoczy – mruknął uśmiechnięty. – Chcę się poddać.

–Nie starczy chcieć.

–Poddaję się.



–Żadne takie. Nie wykpisz się tak łatwo. Chcę od ciebie dwóch rzeczy – powiedział Alvin.

–Pieniędzy nie mam, a jeśli zabierzesz mi paści, to jakbyś mnie zabił.

–Po pierwsze, masz się przedstawić, a po drugie, pozwolić nam zbudować kanoe nie gdzie indziej, ale tutaj.

–O ile nie zaczną mnie od dzisiaj zwać „Jednoręki Davy”, to jestem Crockett. Na cześć tatusia. A co do tego drzewa, przyznaję, że się myliłem. Jest wasze. I ja, i misio zawędrowaliśmy daleko od domów, więc czeka nas długa droga przed nocą.

–Możesz tu zostać. Starczy miejsca dla wszystkich – powiedział Alvin.

–Nie dla mnie – odparł Davy Crockett. – Moja dłoń, jeśli jeszcze do mnie wróci, spuchnie tak bardzo, że nie zmieści się na tej porębie.

–Zrobisz nam przykrość, jeśli teraz odejdziesz. Nowy przyjaciel to w tych stronach cenny nabytek – powiedział Alvin i puścił rękę, a tamtemu aż łzy napłynęły do oczu, gdy zaczął macać ostrożnie obolałą dłoń i palce, badając, czy któryś z nich nie zamierza przypadkiem odpaść.

–Miło mi pana poznać, panie Czeladniku Kowalski – powiedział Davy. – I ciebie też, chłopcze. – Skinął wesoło głową, szczerząc się jak oberżysta. – Tak sobie myślę, że nie możesz być rabusiem. Ani zapewne tym sławnym Uczniem Kowalskim, który ukradł swemu mistrzowi złoty pług i uciekł, unosząc zdobycz w worku.

–W życiu niczego nie ukradłem. A skoro nie trzymasz już broni, nic ci do mojego worka – stwierdził Alvin.

–Z przyjemnością przyznaję ci pełne prawo do tej krainy. I do skrytych pod tą ziemią minerałów, i do deszczu i słońca ponad nią, i jeszcze do budulca i futer oraz skór – powiedział Davy.

–Jesteś prawnikiem? – spytał podejrzliwie Arthur Stuart.

Miał odpowiedzieć, Davy obrócił się na pięcie i oddalił z polany, podobnie jak wcześniej niedźwiedź. Na dodatek w tym samym kierunku. Szedł godnie i powoli, chociaż wolałby biec. Tyle że wówczas wstrząsana i kołysana dłoń za bardzo by go bolała.

–Chyba już go nie zobaczymy – powiedział Arthur Stuart.

–Chyba niezupełnie – odparł Alvin.

–A to czemu?

–Bo zmieniłem go w środku na podobieństwo niedźwiedzia. Niewiele, ale zawsze. A misia

odmienilem tak, żeby miał coś z Davy'ego.

–Nie powinienes tak grzebać w ludziach – mruknął Arthur Stuart.

–Diabeł mnie podkusił.

–Nie wierzę w diabła.

–A ja owszem. Sądzę tylko, że jest zupełnie inny, niż go malują.

–Naprawdę? No to jak wygląda?

–Tak jak ja. Tylko większym szelmą mu z oczu patrzy.

Alvin i Arthur zabrali się do pracy przy kanoe. Ścięli drzewo stosownych rozmiarów – dwa cale szersze niż biodra Alvina – rozpalili ogień na jednej stronie pnia, potem wybrali popioły i zaczęli się wgryzać w głąb. Była to robota powolna i gorąca i im dłużej pracowali, tym bardziej rosło zdumienie Arthura Stuarta.

–Widzę, że wiesz, co robisz, ale nam przecież nie trza kanoe – powiedział do Alvina.

–Nie potrzebujemy kanoe – poprawił go Alvin. – Panna Larner słusznie by się skrzywiła, gdyby usłyszała, jak mówisz.

–Po pierwsze, Tenskwa-Tawa nauczył cię biegać po lesie na sposób czerwonych, czyli szybciej, niż płynie jakiegokolwiek kanoe, i bez tylu zachodów – powiedział Arthur.

–Nie chce mi się biegać.

–Po drugie – ciągnął Arthur Stuart – woda próbuje ci zaszkodzić, gdy tylko ma okazję. Panna Larner wspominała, że nim skończyłeś dziesięć lat, zamachnęła się na ciebie aż szesnaście razy.

–To nie była woda, tylko Niszczyciel. Obecnie jakoś nie próbuje już sztuczek z wodą. Już prędzej zadręcza mnie, każąc wysłuchiwać głupich pytań.

–Po trzecie, chyba zapomniałeś, że mamy się spotkać z Mikiem Finkiem i Verilym Cooperem, a całe to zamieszanie z kanoe wcale nie pomoże nam stawić się na czas.

–Poćwiczą trochę cierpliwość. To im na pewno nie zaszkodzi – stwierdził spokojnie Alvin.

–Po czwarte – warknął Arthur Stuart, którego z każdą odpowiedzią Alvina trafiał coraz większy szlag – po czwarte i ostatnie, jesteś Stwórcą, u licha, i mógłbyś po prostu pomyśleć to drzewo już wydrążone i pływające, zwodować je lekko jak piórko, tak że gdybyś nawet miał powód, żeby budować kanoe, a powodu nie masz po temu żadnego, i jeszcze jakieś miejsce, żeby je zwodować, bo miejsca też nie masz, bo przecież na pewno

nic nie każe ci zaprzęgać mnie do tej roboty!

–Za ciężka dla ciebie?

–Cięższa, niż trzeba, znaczy za ciężka.

–Zależy, co komu trzeba – odparł Alvin. – Masz rację: ja nie buduję kanoe po to, by popłynąć nim w dół rzeki. Również nie po to, by podróżować szybciej.

–No to po co? A może w ogóle postanowiłeś zacząć działać tak bardziej bez sensu?

–Ja w ogóle nie buduję kanoe – stwierdził Alvin.

Arthur Stuart tak gwałtownie ukląkł w płytkim jeszcze wyżłobieniu, że aż popiół poszedł wokół.

–No to co to jest?! Może dom?!

–Och, to ty budujesz kanoe – powiedział Alvin. – I owszem, potem ruszymy nim rzeką, co płynie tam dalej. Ale to ty budujesz, a nie ja.

Arthur pracował chwilę w ciszy, żeby sobie to wszystko przemyśleć.

–Chyba wiem, co robisz – powiedział po kilku minutach.

–Co niby?

–Przerabiasz mnie na swoją modłę.

–Blisko.

–Skłaniasz mnie, bym zmienił to drzewo w coś innego, lecz jednocześnie wykorzystujesz drzewo, by odmieniło mnie.

–A w kogo niby chcę cię zmienić?

–No, chyba w stwórcę – odparł Arthur Stuart. – Ale w takiego, co potrafi stwarzać tylko kanoe, niestety, a to zupełnie ktoś inny niż uniwersalny Stwórca twojego pokroju.

–Od czegoś trzeba zacząć.

–Ty nie zaczynałeś. Urodziłeś się i już wiedziałeś, jak stwarzać.

–Urodziłem się z talentem – powiedział Alvin. – Jednak nie od razu wiedziałem, jak go używać, kiedy go używać i czemu. Nauczyłem się miłować stwarzanie dla niego samego. Potem nauczyłem się kochać drzewo i kamień wyczuwane pod rękami, a dzięki temu

nauczyłem się zaglądać do środka, współodczuwać, rozumieć, jak co działa, czemu pozostaje spojone i jak co rozdzielić we właściwy sposób.

–Ale ja nie tego się uczę – odparł Arthur.

–Na razie.

–Nie, proszę pana. Nie widzę, co jest w środku, nie wyczuwam niczego prócz obolałego grzbietu. I jeszcze tego, że pot mnie zalewa i coraz bardziej wkurza mnie ta praca, w którą mnie wrobiłeś, chociaż mógłbyś załatwić wszystko jednym mrugnięciem – stwierdził Arthur Stuart.

–To już coś – mruknął Alvin. – Zaczynasz przynajmniej wyczuwać siebie.

Arthur Stuart poprychał jeszcze trochę, wyrabując nadpalone drewno.

–Któregoś dnia przebierze się miarka, całe to twoje mędrkowanie wyjdzie mi uszami i więcej cię już nie posłucham. Skończy się łażenie za tobą jak za panią matką.

Alvin pokręcił głową.

–Czyżbyś zapomniał, Arthurze Stuarcie, że próbowałem cię odwieść od zamiaru towarzyszenia mi w tej wyprawie?

–A więc o to chodzi? Karzesz mnie za to, że poszedłem za tobą, gdy tego nie chciałeś?

–Powiedziałaś, że chcesz dowiedzieć się czegoś o tym, jak to jest być Stwórcą – odparł Alvin. – A gdy próbuję cię uczyć, słyszę tylko jęki i narzekania.

–Bo dodatkowo każesz mi jeszcze pracować. Ale zauważ, że cały czas, jak gadamy, ja pracy nie przerwałem.

–To prawda.

–I tu jest coś, o czym nie pomyślałeś – stwierdził Arthur Stuart. – Robiąc kanoe, niszczymy przy okazji drzewo.

Alvin potaknął.

–To normalne. Nie można stworzyć czegoś z niczego. Zawsze coś przetwarzasz, a gdy staje się czymś nowym, przestaje być tym, czym było wcześniej.

–Zatem każde stwarzanie jest też niszczeniem.

–I dlatego Niszczyciel wie zawsze, gdzie jestem i co robię. Czyniąc własne dzieło, działam też trochę na jego modłę – stwierdził Alvin.

Dla Arthura Stuarta nie miało to większego sensu, ale żadna mądrzejsza riposta nie przychodziła mu do głowy. Zanim wymyślił cokolwiek, wypalanie i dłubanie dobiegło końca i proszę, mieli wreszcie swoje kanoe. Zaciągnęli je nad strumień, zwodowali, wsiedli i ze wszystkim przewrócili. Kanoe wywróciło się z nimi jeszcze trzy razy, aż w końcu Alvin się poddał i skorzystał ze swego talentu, by wyczuć punkt ciężkości łódki i przekształcić ją stosownie, poprawiając stateczność.

Arthur Stuart obśmiał się jak norka.

–I jaką niby naukę mam z tego wyciągnąć? Jak zbudować złe kanoe?

–Zamknij się i wiosłuj.

–Płyniemy z prądem i nie muszę wiosłować. Poza tym kijem kiepsko się wiosłuje, a niczego innego nie mam.

–No to wysuń go za burtę i pilnuj, żebyśmy nie uderzyli w brzeg. Bo jak będziesz tylko gadał, to na pewno nas to nie ominie – powiedział Alvin.

Arthur Stuart zajął się odpychaniem kanoe od brzegu i płynęli tak, aż ich struga wpadła do większego strumienia, a potem do jeszcze większego, na końcu zaś do rzeki. Przez cały czas Arthur zastanawiał się nad tym, co usłyszał od Alvina, i zachodził w głowę, o co w tym wszystkim chodziło, czego właściwie powinien się w ten sposób nauczyć. Uparcie wychodziło mu, że jakaś nauka w tym wszystkim na pewno była, ale wciąż nie potrafił orzec jaka.

Ponieważ ludzie budują miasta nad rzekami, to gdy płyniesz taką, prędzej czy później na jakieś trafiasz. Im też się to zdarzyło pewnego ranka, kiedy mgła unosiła się

jeszcze nad wodą, a oni nie do końca się jeszcze obudzili. Po prawdzie osada nie zasługiwała na miano miasta, ale też i rzece daleko było do prawdziwej rzeki, a ich kanoe tylko z grubsza przypominało kanoe. Dobili do brzegu, po czym wyciągnęli swoją łódź na ląd. Alvin zarzucił na ramię worek z pługiem i pomaszzerowali między domy akurat w chwili, gdy mieszkańcy wstawali i szykowali się, by powitać dzień.

W pierwszym rzędzie szukali zajazdu, lecz miejscina była za mała na takie luksusy i zbyt niedawno założona: był tam ledwo tuzin domów i jedna ulica uczęszczana tak rzadko, że aż trawą zarosła. Nie znaczyło to jednak, że musieli pożegnać się z nadzieją na śniadanie. Dzień nastawał jasny, ludzie wstawali, brali się do pracy. Mijając dom z obórką na tyłach, usłyszeli tink-tink-tink zwiastujące, że ktoś doi krowę do ocynkowanego wiadra. W sąsiednim obejściu ujrzeli kobietę wychodzącą z kurnika z jajkami, które drób zniósł w nocy. Obiecujący widok.

–Macie może coś dla podróżnych? – spytał Alvin.

Kobieta zmierzyła go od stóp do głów i bez słowa weszła do domu.

–Gdybyś nie był tak szpetny, to by nas zaprosiła – powiedział Arthur Stuart.

–Za to kto na ciebie spojrzy, to jakby anioła ujrzał – odciął się Alvin.

Usłyszeli, jak otwierają się drzwi domu.

–Może pospieszyła, żeby ugotować nam te jajka – zasugerował Arthur.

Jednak to nie kobieta stanęła w progu, lecz mężczyzna, który chyba nie dał sobie zbyt wiele czasu na podopinanie przyodziewku, w tym także spodni, gdyż nie trzymały się zbyt pewnie na swoim miejscu. Można by się zakładać, jak rychło portki gospodarza wylądują na ganku, i Alvin z Arthurem chętnie by się tym zajęli, gdyby nie wycelowana w nich paskudnie rusznica.

–Idźcie stąd – powiedział mężczyzna.

–Już idziemy – oznajmił Alvin. Zrzucił worek na ramię i ruszył ścieżką przed domem. Lufa strzelby podążyła w ślad za nim. Jak można się było spodziewać, gdy znaleźli się dokładnie przed gankiem, spodnie gospodarza opadły do kostek. Wyglądał na złego i zakłopotanego jednocześnie. Opuścił lufę i cały ładunek wysypał się, spadając na deski deszczem ołowianych kulek. Mężczyzna naprawdę się zmieszał.

–Jak się ładuje tak dużą broń, to trzeba uważać. Ja na ten przykład zawijam zawsze śrut w papier, żeby mi nie wypadł – powiedział Alvin.

Mężczyzna spojrzał na niego wściekle.

–Zawinałem.

–Też tak sędzę – odparł Alvin.

Tyle że ołów leżał na ganku niczym milczący dowód winy. A jednak Alvin mówił prawdę: papier wciąż tkwił w lufie. Alvin skłonił go tylko do rozdarcia się na samym

przedzie tak, by śrut mógł się wysypać.

–Spodnie panu opadły – powiedział Arthur Stuart.

–Idźcie sobie – warknął mężczyzna z coraz bardziej purpurowym obliczem. Jego żona zerknęła z otwartych drzwi.

–Cóż, jak pan wie, zamierzaliśmy to zrobić – stwierdził Alvin – ale skoro chwilowo niezbyt może nas pan zabić, to czy wolno mi zadać kilka pytań?

–Nie – odpowiedział mężczyzna. Odłożył broń i podciągnął spodnie.

–Przede wszystkim chciałbym poznać nazwę tego miasta. Jak brzmi: Przyjazne Sioło czy Ciepłe Powitanie?

–Ani tak, ani tak.

–No to dwie możliwości mamy już z głowy. Muszę dalej zgadywać czy powiesz nam normalnie, jak człowiek?

–Może Spodniowo Opadłe? – mruknął Arthur Stuart.

–To Westville w Kenituck. A teraz idźcie sobie – powiedział tamten.

–Po drugie, chciałbym wiedzieć, czy poza wami, zbyt biednymi, jak widzę, by podzielić się z wędrowcami, jest tu może ktoś nieco lepiej prosperujący i gotów pomóc podróżnym? Mamy trochę srebra na zapłatę.

–Takim jak wy nikt nie da nic do zjedzenia – odparł mężczyzna.

–Rozumiem już, czemu trawa zarosła ulicę – powiedział Alvin. – Ale na tyłach to musicie trzymać chyba masę podróżnych, którzy zmarli z głodu, licząc daremnie na śniadanie.

Mężczyzna nie odpowiedział, bo klęczał akurat, zbierając kulki śrutu, jednak jego żona wysunęła głowę za próg.

–Jesteśmy równie gościnni jak wszyscy – rzuciła, udowadniając, że też potrafi mówić. – Ale nie dla szeroko znanych włamywaczy i złodziei.

Arthur Stuart gwizdnął z cicha.

–O co się założysz, że Davy Crockett tędy przechodził?

–Nigdy w życiu niczego nie ukradłem – powiedział Alvin.

–No to co masz w worku? – dociekała kobieta.

–Aż mnie kusi, by powiedzieć, że noszę tam głowę takiego jednego, co mierzył do mnie niedawno z muszkietu, ale, niestety, uszedł żywy, z głową na karku, dzięki czemu mógł tu rozpowiadać o mnie kłamstwa.

–Zatem wstydzisz się pokazać ten złoty pług, który ukradłeś?

–Jestem kowalem, proszę pani, i noszę tu moje narzędzia. Jeśli chcecie, możecie je zobaczyć – powiedział Alvin. Ostatnie zdanie skierował również do tych, którzy zebrali się w tym czasie na ulicy lub wyszli na ganki sąsiednich domów. Niektórzy byli

uzbrojeni. – Nie wiem, co słyszeliście – powiedział, kładąc worek na ziemi – ale sami popatrzcie. – Otworzył worek i pozwolił materii opaść, tak że wszyscy ujrzeli młot, szczypcę, miechy i gwoździe. Ani śladu pługa.

Wszyscy popatrzyli uważnie, jakby chcieli policzyć gwoździe.

–Może to nie o ciebie chodziło – mruknęła jakaś kobieta.

–O mnie, o mnie, proszę pani. I jestem pewien, że plotki te rozgłasza traper w czapie z szopiego futra. Nazywa się Davy Crockett.

–To przyznajesz się, że jesteś tym czeladnikiem kowalskim, który ukradł pług, i trudnisz się złodziejstwem?

–Nie, proszę pani. Przyznaję tylko, że miałem pecha do pewnego trapera, który zwykł obgadywać ludzi za ich plecami. – Zaciągnął poły worka i zawiązał go. – A teraz, jeśli wszyscy chcecie mnie przepędzić, to proszę bardzo, wiedzcie jednak, że nie przepędzacie złodzieja, bo nim nie jestem. Wymierzylście we mnie i w tego głodnego chłopca broń, odmawiając poczęstunku, chociaż nie macie przeciwko mnie nic, żadnego dowodu oprócz słów innego, równie obcego tu jak ja wędrowca.

Jakby zawstydzili się, słysząc podobne oskarżenie, ale nie wszyscy.

–Davy’ego znam – powiedziała pewna stara kobieta, widać mniej czuła na głos sumienia. – Ciebie dotąd na oczy nie widziałam.

–I już mnie pani więcej nie zobaczy, obiecuję – odparł Alvin. – Może być pani pewna, że gdziekolwiek jeszcze trafię, opowiem o Westville w Kenituck, w którym wędrowiec nie może liczyć na kęs stawy i gdzie zaocznie orzekną o jego winie.

–Jeśli to nieprawda, to skąd wiesz, że to Davy Crockett nam o tobie opowiadał? – spytała staruszka.

Pozostali zaczęli potakiwać i mruzczyć, jakby to właśnie miał być koronny dowód winy.

–Bo właśnie Davy Crockett rzucił mi to oskarżenie w twarz – odparł Alvin. – On jeden uznał nas, mnie i mojego chłopca, za złodziei.

Powiem wam to samo, co powiedziałem jemu: jeśli jesteśmy włamywaczami, to czemu nie siedzimy w ludnym mieście, gdzie jest mnóstwo bogatych domów do okradzenia? W tak biednym mieście jak wasze złodziej prędzej z głodu umrze, nim znajdzie coś wartego zrabowania.

–Nie jesteśmy biedni – powiedział mężczyzna stojący na ganku.



–Ale jedzenia dla wędrowców nie macie. Ani zamków w drzwiach – odparł Alvin.

–Widzicie! – krzyknęła staruszka. – Już sprawdził nasze drzwi, żeby wiedzieć, jak łatwo będzie się im włamać!

Alvin pokręcił głową.

–Niektórzy nawet wróbla oskarżą o grzech, a wierzbę o szaleństwo.

Objął Arthura i obrócił się, żeby odejść tą samą drogą, którą przyszli.

–Poczekaj, przybyszu! – krzyknął za nimi jakiś mężczyzna. Gdy obrócili głowy, ujrzeli rosnącego gościa zbliżającego się powoli na koniu. Ludzie schodzili mu z drogi.

–Szybko, Arthurze – szepnął Alvin. – Poznajesz, kto to?

–Młynarz – odparł Arthur Stuart.

–Dzień dobry, panie Młynarzu! – krzyknął Alvin.

–Skąd wiesz, czym się trudnię? – spytał mężczyzna.

–Chłopak odgadł.

Młynarz podjechał bliżej i spojrzał na Arthura Stuarda.

–Jak na to wpadłeś?

–Przemawia pan jak ktoś nawykły do rządzenia, jedzie pan na koniu, a ludzie rozstępują się przed panem. W mieście tej wielkości to czyni pana młynarzem – powiedział Arthur.

–A w większym? – spytał młynarz.

–Byłby pan prawnikiem lub politykiem.

–Bystry chłopak – zauważył mężczyzna.

–Nie, jemu się tylko gęba nie zamyka – stwierdził Alvin. – Kiedyś go biłem, żeby tyle nie gadał, ale już mi ręce opadły. Teraz jedyne, co go ucisza, to jedzenie, najchętniej placki, ale nie gardzimy też gotowanymi, smażonymi lub sadzonymi jajkami.

Młynarz roześmiał się.

–Chodźcie do mnie, mieszkam zaraz za osadą. Trzeba iść drogą w dół, ku rzece.

–Wie pan, mój ojciec jest młynarzem – powiedział Alvin. Mężczyzna przychylił głowę.

–No to dlaczego ty nim nie jesteś?

–Cóż, ojciec ma ośmiu synów i nie ja jestem najstarszy, a wszyscy młynarzami nie mogą przecież zostać, więc wybrałem kowalstwo. Jednak obeznany jestem z młynami i jak pozwoli pan zapłacić mi za śniadanie, to może w czym pomogę.

–Chodź, a zobaczymy, ile potrafisz – rzucił młynarz. – A co do tych tutaj, to nie przejmuj się. Gdyby jaki obcy powiedział im, że słońce jest z masła, to zaraz spróbowaliby rozsmarować je na chlebie. – Stojący wokół jakoś nie docenili dowcipu, to jednak nie zraziło młynarza. – Mam też małą kuźnię i jeśli to co nieco nie zawadzi, znajdzie się kilka koni do podkucia.

Alvin przytaknął na zgodę.

–No to idźcie do domu i poczekajcie na mnie. Przyjadę niebawem, tylko odbiorę pranie – powiedział młynarz.

Spojrzał na kobietę, która pierwsza rozmawiała z Alvinem. Błyskawicznie wbiegła domu, aby zebrać rzeczy młynarza.

Gdy tylko zniknęli wieśniakom z oczu na drodze do młyna, Alvin zaczął chichotać.

–Z czego się śmiejesz? – spytał Arthur Stuart.

–Z tego gościa ze spodniami wokół kostek i śrutem wysypującym się z lufy.

–Nie podoba mi się ten młynarz – zauważył Arthur.

–Ale chce nas poczęstować śniadaniem, więc chyba nie może być tak całkiem zły.

–To, żeby pokazać się przed ludźmi.

–Może, ale przepraszam, placki chyba od tego nie zaśmierdną.

–Nie podoba mi się jego głos.

Słyszając to, Alvin spojrzał poważniej na chłopca. Arthur miał talent do głosów.

–Coś w nim wyczuwasz?

–Chciwość i skąpstwo – odparł Arthur Stuart.

–Może i tak. Ale lepsze to już niż wyszukiwanie jagód i orzechów i ściąganie wiewiórki z drzewa.

–Lub łowienie ryb – dodał Arthur, krzywiąc się niemiłosiernie.

–Młynarzy czasem oskarża się o różne rzeczy – zauważył Alvin. – Ludzie muszą gdzieś mleć ziarno, wiadomo, zawsze jednak uważają, że młynarz bierze za dużo. Tak więc młynarze przywykli do zarzutów. Może to właśnie usłyszałeś w jego głosie.

–Może – odparł Arthur Stuart i zmienił temat. – Jak ukryłeś pług, otwierając worek?

–Zrobiłem pod workiem dziurę w ziemi i pług zszedł im z oczu – wyjaśnił Alvin.

–Nauczysz mnie robić takie rzeczy?

–Zrobię co w mojej mocy. Jeśli jeszcze i ty się przyłożysz...

–A jak było z patronem w broni, z której do ciebie mierzył?

–Mój talent go rozdarł, ale spodnie opadły własnym przemyśłem i dopiero wtedy ładunek się wysypał.

–To ty nie poganiałeś tych spodni?

–Gdyby dopiął szelki, nic by się nie stało.

–A to nie jest wszystko niszczenie? – spytał Arthur Stuart. – Rozsypywanie śrutu, ściąganie portek, wpajanie im poczucia winy za to, że cię nie zaprosili...

–Miałem pozwolić, żeby wygnali nas bez śniadania?

–Obywałem się już bez śniadania.

–Zrzędzisz – ocenił Alvin. – Co cię wzięło, żeby krytykować moje pomysły?

–Tak mnie omotałeś, że sam, tymi rękami, zrobiłem kanoe. Podobno w ramach nauki stwarzania. No to patrzę teraz, ile właściwie stwarzasz, a co spojrzę, to widzę, jak niszczysz.

Alvina zabolął nieco ten przytyk. Nie, żeby się obraził, ale zamyślił się osobliwie i przez resztę drogi do młyna prawie się nie odzywał.

Minął niemal tydzień i oto widzimy, jak Alvin pracuje w młynie po raz pierwszy od czasu, gdy opuścił dom ojca w Vigor Kościele i został uczniem kowalskim w Hatrack River. Z początku uszczęśliwiony wodził dłońmi nad maszynami, sprawdzając dopasowanie wielkich kół zębatach. Arthur Stuart, który go obserwował, widział wyraźnie, jak każdy tknięty przez Alvina fragment urządzeń zaczynał zaraz sprawniej działać – z mniejszym tarciem i mniejszymi luzami zarazem – i coraz więcej siły rzeki przenosiło się na kamienie młyńskie. Maszyneria pracowała szybciej i płynniej, rzadziej się zacinała, mniej szarpała. Rack Miller, bo tak się mężczyzna nazywał, też rzecz zauważył, ale skoro nie widział Alvina przy pracy, uznał, że to zasługa dobrych narzędzi i smarowideł.

–Dobra oliwa i bystre oko cuda robią z maszynami – powiedział i Alvin musiał się zgodzić.

Jednak po kilku pierwszych dniach radość Alvina zmaląła, zaczął bowiem dostrzegać to samo, co Arthur Stuart zauważył na samym początku: Rack należał do tych młynarzy, którzy pracowali na złą opinię wszystkich. Robił to całkiem subtelnie. Ludzie przynosili w worku ziarno do zmielenia, Rack rzucał je garściami w otwór w kamieniu, potem zmiatał mąkę na tacę, a z niej do tego samego worka, w którym było ziarno. Wszyscy młynarze tak robili i nikt nie ważył worka przed i po, bo każdy wiedział, że podczas mielenia zawsze trochę się traci.

U Racka było inaczej o tyle, że trzymał gęsi. Miały prawo do ziaren, które spadły w młynie, na podwórku i pod żarna, a nawet (jak mawiali niektórzy) w domu Racka. Młynarz nazywał je swoimi córkami, co było dość niesmaczne, jeśli wziąć pod uwagę, że ostatnią zimę przetrwało tylko kilka niosek i ze dwa gąsiory. Arthur Stuart od razu dostrzegł, jak się rzeczy mają, Alvin pojął to po pełnym uczucia opatrzeniu maszynierii: chodziło o karmienie tych gęsi. W każdym młynie zawsze rozsypie się trochę ziarna i nie ma na to rady, wiadomo. Jednak gdy Rack brał worek, to nigdy nie chwycił za górę, jak się należy, ale za szew z boku, tak w połowie wysokości, i dlatego ziarno wysypywało się przez całą drogę do kamieni. A potem czerpał z worka pełnymi garściami i ciskał z takim rozmachem, że całkiem sporo ziarna trafiało na bok kamienia miast na górę i spadało oczywiście w słomę na podłodze, skąd natychmiast zniknęło w gęsiach żołądkach.

–Czasem to aż ćwierć całości – powiedział Alvin Arthurowi Stuartowi.

–Liczyłeś ziarenka? A może masz wagę w oczach?

–Potrafię poznać. I nigdy mniej niż jedna dziesiąta.

–I pewnie jeszcze uważa, że nie kradnie, bo to nie on, tylko gęsi – powiedział Arthur Stuart.

–Młynarz ma prawo zebrać z tego, co spadło, swoją dziesięcinę, ale żeby dwa albo i trzy razy tyle, w gęsinie na dodatek...

–Może niepotrzebnie się wyrywam, lecz ośmielę się zauważyć, że to nie twoja sprawa.

–Ja tu jestem dorosły, a nie ty.

–Może i jesteś, ale jak patrzę na to, co robisz, to nabieram wątpliwości – powiedział Arthur Stuart. – Ostatecznie to nie ja się wałęsam po dziele stworzenia, zostawiwszy w Hatrack River ciężarną żonę, i to nie mnie grożą wciąż więzieniem czy naładowaną bronią.

–Chcesz powiedzieć, że gdy widzę złodzieja, powinienem siedzieć cicho?

–Myślisz, że tubylcy ci podziękują?

–Mogliby.

–Gdy zapakujesz ich młynarza do więzienia? A co wtedy zrobią z ziarnem?

–Młyn do więzienia nie pójdzie.

–A, więc masz ochotę tu zostać? Chcesz popracować dla nich w młynie, aż wyuczysz czeladnika? To może mnie wybierzesz? Założę się, że z radością będą płacić wolnemu półczarnemu i czeladnikowi młynarza na dodatek. Co myślisz? Jeśli w ogóle myślisz, oczywiście.

To było zaiste dobre pytanie, bo tak naprawdę nikt nigdy nie wiedział, co Alvin właściwie myśli. Gdy mówił, to zwykle prawdę – nie należał do tych, co lubią oszukiwać. Pamiętał jednak, kiedy się nie odzywać, żeby nikt nie poznał jego myśli. Lecz Arthur Stuart i tak wiedział. Mógł być tylko chłopcem, bliskim dorosłości wprawdzie, bo strzelał już w górę, a dłonie i stopy mężczyźni mu szybciej niż nogi i ręce nadażały rosnać, ale był ekspertem, zatwierdzonym prawem zwyczajowym specjalistą w jednej dziedzinie: znał się na osobie Alvina, czeladnika kowalskiego, wędrownego różdżkarza i czarownika wszechstronnego zastosowania, potajemnego wytwórcy złotych pługów i fachowca od naprawy wszechświata. Wiedział, że Alvin musi mieć jakiś plan zakończenia tego złodziejskiego procederu bez pakowania kogokolwiek do więzienia.

Alvin poczekał na stosowną chwilę, a dokładnie na rano, gdy było już blisko żniw i gdy ludziska wymiatali i zwozili stare zboże, by zrobić miejsce na nowe. W kolejce do młyna ustawili się ludzie z miasteczka i pobliskich farm, a Rack, jak zwykle, prócz zwykłych obowiązków zajął się karmieniem gęsi. Kiedy jednak wręczał klientowi uboższy niemal o czwartą część wagi worek mąki, Alvin złapał tłustą gąskę i ją też podał gościowi.

Klient i Rack spojrzeli na niego jak na wariata, ale Alvin udał, że nie zauważa

konsternacji młynarza.

–Rack narzekał, jak bardzo dręczy go fakt, że te jego gęsi zjadają tyle ziarna – powiedział do klienta. – Tak więc w tym roku każdy stały klient dostanie po gęsi, żeby mu to jakoś wynagrodzić. Jak długo gęsi starczy, naturalnie. Zaraz widać, że Rack to honorowy facet, prawda?

Coś było widać, choć niekoniecznie akurat to, cóż jednak Rack mógł powiedzieć? Zaciśnął zęby i patrzył z wymuszonym uśmiechem, jak Alvin wydaje gąskę za gąską, zawsze z tym samym wyjaśnieniem, tak że co któryś klient odchodził zdumiony, ale i uradowany, a wcześniej dziękował wylewnie darczyńcy za materiał na gwiazdkową ucztę, do której zostały zaledwie cztery miesiące. Gęsi już teraz były porządnie wyrosnięte i tłuste, do tamtej zaś pory miały się zmienić w prawdziwe potwory.

Obserwujący wszystko Arthur Stuart nie musiał długo czekać na skutki tej akcji. Gdy tylko Rack pojął, co się dzieje, zaczął chwytać worki za górę, a nie z boku, a i garści ziarna brał mniejsze, przez co ani ziarenko nie spadało z żaren na ziemię. W ten sposób młynarz nauczył się szybko podziwu godnej akuracności i zaczął oddawać klientom worki lżejsze tylko o należną mu dziesięcinę. Wyraźnie nie miał ochoty żywić gęsi, którym i tak pisane było trafić zimą na cudzy stół!

Kiedy dzień pracy się skończył i w obejściu zostało jedynie pięć niosek i dwa gąsiory, Rack spojrzał koso na Alvina.

–Nie chcę tu łgarza. Dla takich nie mam pracy.

–Łgarza? – spytał Alvin.

–Okłamałeś ich, że to ja chciałem dać im te gęsi!

–No, może za pierwszym razem to nie była zupełnie prawda, ale kiedy pan nie zaprotestował, to potem już tak, zgadza się? – I Alvin uśmiechnął się niczym Davy Crockett do niedźwiedzia.

–Nie zażywaj mnie tą swoją logiką. Sam wiesz, co zrobiłeś – powiedział Rack.

–Jasne, że wiem. Uszczęśliwiłem pańskich klientów, bo pierwszy raz, od kiedy się pan tu zjawiał, odchodzili zadowoleni z usługi. Przy okazji zrobiłem z pana uczciwego człowieka – odparł Alvin.

–Uczciwym człowiekiem to ja już byłem przedtem – oznajmił Rack. – Nigdy nie brałem więcej, niż mi się należało, i żyłem jak należy w tym opuszczonym przez Boga miejscu.

–Przepraszam uniżenie, ale Bóg nigdy nie opuścił tego miejsca, chociaż ci i owi z okolicy być może o Nim zapomnieli.

–Nie potrzebuję już twojej pomocy – wycedził Rack. – Chyba pora, byś ruszał w drogę.

–A kto sprawdzi maszynę do ważenia wozów ze zbożem? Nie zdążyłem nawet jeszcze na nią spojrzeć – zaprotestował Alvin.

Rack jakoś nie poganiał Alvina do tej kontroli – z ciężkiej wagi przed młynem korzystano tylko w czasie żniw, kiedy rolnicy przywozili całe ziarno, które z góry przeznaczyli do zmielenia. Wtaczali wozy na platformę połączoną szeregiem dźwigni z szalkami, na których równoważono ich ciężar o wiele lżejszymi odważnikami. Po rozładunku ważono znowu pusty wóz, a różnica między oboma pomiarami mówiła, ile ziarna przywieźli. Kupujący z kolei przyjeżdżali pustymi wozami, ważyli je, ładowali i ponownie ważyli. Waga była całkiem zmyślną maszyną i nic dziwnego, że Alvin chętnie by się jej bliżej przyjrzał.

Rack jednak nie zamierzał do tego dopuścić.

–Moja waga to moja sprawa, a ty jesteś tu obcy – powiedział Alvinowi.

–Jadam przy pana stole, śpiam w pana domu – odparł Alvin. – Jaki ze mnie obcy?

–Ten, kto rozdaje moje gęsi, nie jest i nigdy nie będzie mi ani bratem, ani swatem.

–Trudno. Odejdę. – Nie przestając się uśmiechać, Alvin spojrzał na swojego podopiecznego. – Wyruszamy w drogę, Arthurze Stuarcie.

–Nie od razu – odezwał się Rack Miller. – Jesteś mi winien za trzydzieści sześć posiłków z ostatnich sześciu dni. Nie zauważyłem, by ten czarny chłopak zjadał choć kęs mniej od ciebie. Musisz to odsłużyć.

–Już to zrobiłem. Sam pan powiedział, że maszyna w młynie pracuje o wiele lepiej.

–Nie zrobiłeś niczego, czego ja sam nie mógłbym załatwić z oliwiarką.

–A jednak ja to zrobiłem, a nie pan, i zarobiłem w ten sposób na swoje utrzymanie. Chłopak też pracował. Zamiatał, naprawiał, czyścił i ważył.

–Chcę twojego chłopaka do pracy na sześć dni. Mamy żniwa na karku, więc potrzebna mi dodatkowa para rąk i mocny grzbiet. Widziałem, jak dobrze pracuje, i wiem, że się nada.

–No to przyjmij nas obu na trzy dni. Nie rozdaję już więcej gęsi.

–Nie mam już gęsi do rozdania, oprócz niosek. Zresztą nie chcę tu żadnego syna młynarza. Chłopak ma pracować i kwita.

–No to zapłacimy ci srebrnymi monetami.

–A co mi tutaj po srebrze? Na co je wydam? Najbliższe większe miasto to Carthage po drugiej stronie Hio i rzadko kiedy ktoś tam jeździ.

–Nie wyręczę się Arthurem Stuartem, żeby spłacać swoje długi. Nie jest moim...

Zanim jeszcze Alvin dokończył to zdanie, Arthur wiedział już, co jego przyjaciel chce powiedzieć: że Arthur Stuart nie jest jego niewolnikiem. W obecnej sytuacji byłoby

to najgłupsze z możliwych posunięć, toteż Arthur czym prędzej wtrącił się Alwinowi w słowo.

–Chętnie odpracuję dług – powiedział – tyle że to się chyba nie da zrobić. No bo tak: przez sześć dni zjem kolejne osiemnaście posiłków i będę znów winien jeszcze trzy dni, przez które siądę do stołu dziewięć razy, co da półtora dnia do odpracowania i coś mi się wydaje, że tym sposobem nigdy nie spłacę długu.

–Ano tak – zachnął się Alvin. – Paradoks Zenona z Elei.

–A ty mówiłeś mi, że „całe to filozoficzne gładzenie” nigdy mi się na nic nie przyda – powiedział Arthur Stuart, nawiązując do sprzeczek, które wybuchały między nimi jeszcze w trakcie pobierania nauk u panny Larner, zanim ta stała się panią Alwinową, żoną kowala.

–O czym wy, u czarta, gadacie? – spytał Rack Miller.

Alvin próbował mu to wyjaśnić.

–Każdego dnia, gdy Arthur Stuart będzie dla pana pracować, zaciągnie jednocześnie połowę tego długu, który spłaca pracą, tak więc zawsze będzie w połowie drogi do uwolnienia. Będzie to coraz mniejsza połowa, ale do celu nie dotrze nigdy.



–Nie chwytam – powiedział Rack. – A to czemu?

Jednak Arthur Stuart myślał już o czym innym. Rack Miller naprawdę potrzebował pomocy na czas żniw i chętnie zatrzymałby Alvina, gdyby nie sprawa gęsi, o które wciąż był wściekły, i najpewniej jeszcze czegoś, co planował, a czego Alvin nie powinien zobaczyć. Nie podejrzewał nawet, że ten półczarny „służący” był równie bystry jak jego opiekun i sam też potrafił niejedno dojrzeć.

–Zostanę i zobaczę, jak uda się nam rozwiązać paradoks – powiedział Arthur Stuart.

Alvin przyjrzał mu się uważnie.

–Muszę odszukać człowieka od niedźwiedzia, Arthurze.

To nieco zachwiało postanowieniem Arthura. Skoro Alvin zamierzał rozliczyć się z Davym Crockettem, zanosilo się na sceny, których Arthur wolałby nie przeoczyć. Z drugiej jednak strony była też zagadkowa sprawa młyna, jeśli zaś Alvin sobie pójdzie, Arthur Stuart będzie miał szansę rozwikłać ją samodzielnie. Druga pokusa okazała się silniejsza.

–Powodzenia. Będę za tobą tęsknił – powiedział Arthur.

Alvin westchnął.

–Nie zamierzałem zostawiać cię tutaj na łasce tego nieortodoksyjnego miłośnika gęsi.

–Że jak? – spytał Rack, coraz bardziej pewny, że chyba jednak go tu obrażają.

–Cóż, najpierw nazywasz je swoimi córkami, potem gotujesz i zjadasz – wyjaśnił

Alvin. – Żadna kobieta za ciebie nie wyjdzie. Bałaby się zostawić cię sam na sam z dziećmi.

–Precz z mojego młyna! – ryknął Rack.

–Chodźmy, Arthurze.

–Ale ja chcę zostać – zaprotestował Arthur Stuart. – Na pewno nie będzie mi gorzej niż wtedy, gdy zostawiłeś mnie z dyrektorem szkoły. (Co jest inną zupełnie historią, którą godzi się opowiedzieć osobno.)

Alvin wbił wzrok w Arthura. Nie był Żagwią jak jego żona i nie potrafił wejrzeć w płomień serca chłopaka, jednak widać dostrzegł coś, co skłoniło go do uszanowania woli podopiecznego.

–Dobrze, idę, ale wrócę za sześć dni i na pewno się spotkamy. Nie podniesiesz na chłopca ręki ani kija, będziesz go dobrze żywił i traktował.

–Za kogo mnie masz? – oburzył się Rack.

–Za kogoś, kto zawsze dostaje to, czego chce.

–Miło, że to zauważyłeś.

–Wszyscy o tym wiedzą. Problem w tym, że sam nie wiesz za dobrze, czego powinieneś pragnąć – stwierdził Alvin.

Alvin uśmiechnął się raz jeszcze, uchylił kapelusza i zostawił Arthura Stuarta.

Cóż, Rack wart był swego słowa. Zaprzągnął Arthura Stuarta do przygotowań żniwnych. Letnie deszcze opóźniły dojrzewanie zbóż, więc zdążyli ze wszystkim. Arthur dostawał jeść do woli i mógł spać ile trzeba, chociaż już nie w domu, lecz w młynie: skoro był służącym Alvina, który sobie poszedł, brakło już pretekstu, by półczarny sypiał w domu młynarza.

Chłopak zauważył, że klienci zaczęli przybywać do młyna w całkiem dobrych humorach, i to niezależnie od sprawy, jaką mieli do załatwienia. Szczególnie chętnie zaglądali podczas deszczu, gdy nie dawało się pracować w polu. Sprawa z gęsiami rozniosła się i wszyscy wierzyli, że był to naprawdę pomysł Racka. Nikt nie podejrzewał nawet, by Alvin mógł mieć z tym coś wspólnego. Tak zatem miast uprzejmego dystansu, z jakim zwykle traktuje się młynarzy, zaczęli zachowywać się nader bezpośrednio. Rack pierwszy raz miał okazję usłyszeć takie same plotki i dowcipy jak wszyscy. Został kumem i było to dlań całkiem nowe doświadczenie. Arthur Stuart spostrzegł, że ta akurat zmiana bardzo młynarza ucieszyła.

Potem, gdy do powrotu Alvina został już tylko jeden dzień, zaczęły się żniwa i rolnicy z gospodarstw na wiele mil wokoło zjechali z pełnymi wozami. Już rano ustawili się w kolejce do wagi. Najpierw należało wyprząc konie, by Rack mógł zważyć cały wóz. Potem zaprzęgało się konie, ściągało wóz z platformy, a reszta oczekujących

pomagała rozładować worki ze zbożem – jasne, że pomagali, bo wiedzieli, że jak pomogą, to sami szybciej wrócą do domu – po czym znowu wtaczano wóz na wagę i ważono go raz jeszcze, tym razem pusty. Rack sprawdzał różnicę między wynikami i zapisywał, ile funtów zboża dany rolnik dostarczył.

Arthur Stuart przeliczył te słupki w głowie i wyszło mu, że młynarz nie próbował żadnych cudów z arytmetyką. Później chłopak przyjrzał się uważnie, czy Rack nie próbuje na przykład stawać na platformie przy ważeniu pustego wozu, ale nic takiego również się nie działo.

Potem, pewnej ciemnej nocy, przypomniał sobie, jak jeden z rolników, cofając pusty wóz, narzekał na platformę.

–Czy on nie mógł zbudować tej wagi przy rampie, żebyśmy mogli ważyć wozy zaraz po

rozładowaniu, bez tego durnego przetaczania?

Arthur Stuart nie wiedział, jak działa waga, ale dał sobie dzień na przemyślenie sprawy i wspomniawszy innego jeszcze rolnika, który chciał zważyć swój pusty wóz, podczas gdy jego poprzednik rozładowywał ziarno. Rack spojrzał na niego groźnie.

—Jak chcesz robić po swojemu, to zbuduj sobie własny młyn — powiedział i na tym sprawa się skończyła.

Tak, Rack jak oka w głowie pilnował, by wozy ważono po kolei. Pełny, pusty, pełny, pusty. Nigdy inaczej. Tak samo, tylko odwrotnie działało się, gdy przyjeżdżali kupcy mający zawieźć zboże do wielkich miast na wschodzie. Zważyć pusty, załadować, zważyć pełny.

Do powrotu Alvina Arthur Stuart rozwiązał już niemal wszystkie elementy zagadki.

W tym czasie Alvin wędrował daleko w lasach, szukając Davy'ego Crocketta, mężczyzny, który sam jeden sprawił, że aż dwie sztuki broni celowały w różnym czasie w serce Alvina. Jednak nie o zemście myślał, lecz o ratowaniu łobuza.

Pamiętał bowiem, co zrobił Crockettowi i niedźwiedziowi, i śledził płomienie ich serc. Nie widział tak dobrze jak Margaret, potrafił jednak dostrzec ich istnienie i rozróżnić, który do kogo należy. Po prawdzie, wiedząc dobrze, że żadna rusznica nie zdoła go zabić i żadne więzienie nigdy go nie zatrzyma, Alvin rozmyślnie przybył do miasteczka Westville tylko dlatego, że wcześniej zawitał tam Davy Crockett z niedźwiedziem na ogonie, chociaż o idącym za nim krok w krok misiu nie miał jeszcze wtedy pojęcia.

Obecnie jednak zdawał już sobie z tego sprawę, i to aż za dobrze. Jeszcze we młynie Racka Alvin ujrzał, że Davy i niedźwiedź znów się spotkali, tyle że tym razem wyszło trochę inaczej. Wcześniej bowiem Alvin odszukał wśród cząsteczek ciała to miejsce, gdzie mieściły się talenty, i podarował Davy'emu nieco z najlepszego talentu misia

i odwrotnie, teraz więc jeden wart był drugiego i Alwinowi pozostało dopilnować, aby nikomu nic się nie stało. Koniec końców to właśnie przez Alvina, przynajmniej po części, Davy nie miał już muszkietu, którym mógłby się bronić. Owszem, Crockett był ze wszech miar winien wycelowania go w Alvina, ale ten ostatni nie musiał od razu aż tak bardzo demolować lufy.

Przemierzywszy lekkim biegiem sporą połąć lasów i przeskoczywszy kilka strumieni, Alvin najpierw pożywił się na polance pełnej krzaczków dzikich truskawek, co rosły nad strumieniem, a potem — jeszcze przed zachodem słońca — odszukał właściwe miejsce. Miał zatem sporo czasu, by szczegółowo zbadać sytuację. Zgodnie z oczekiwaniami, zastał obu na porębie. Davy i niedźwiedź sterczeli niecałe pięć stóp od siebie, szczerząc się i patrząc jeden na drugiego, a żaden nie chciał ustąpić. Misio najeżył się cały, ale nie mógł przebić uśmiechu Davy'ego, Davy zaś okazywał się niedźwiedzią zaiste wytrwałością i obojętnością na ból, przez co, choć siedzenie musiał mieć już w odciskach i bliski był szaleństwa z niewyspania, szczerzył jednak wciąż zęby na całego.

Alvin pojawił się na polanie zaraz po zachodzie słońca. Wyszedł zza niedźwiedzia.

–Trafił swój na swego, co Davy? – spytał.

Davy skupiał całą uwagę na niedźwiedziu i na Alvina już mu jej nie starczyło.

–Coś mi się zdaje, że ten misiek nie ma ochoty robić tej zimy za twoje futro – powiedział Alvin.

Davy nic, tylko się szczyrzył.

–Po prawdzie, to chyba wiem, który z was przegra – ciągnął Alvin. – To będzie ten, który pierwszy uśnie. A misie tyle czasu przesypiają zimą, że z nastaniem lata prawie się nie pokładają.

Davy szczyrzył się dalej.

–Z tego, co widzę, powieki zaraz same ci się zamkną, mimo że przed tobą, cały szczęśliwy, siedzi niedźwiedź i szczyrzy się do ciebie. Z czystej miłości i oddania, ma się rozumieć.

Davy szczyrzył się coraz bardziej szczyrze. No, może w jego spojrzeniu pojawiło się nieco więcej desperacji.

–I tylko jedna sprawa, Davy – powiedział Alvin. – Niedźwiedzie są zazwyczaj porządniejsze niż ludzie. Owszem, zdarzają się też złe niedźwiedzie i dobrzy ludzie, ale to kwestia zwykłej statystyki. O wiele prędeż zaufam niedźwiedziowi niż człowiekowi, bo ten pierwszy zwykle lepiej wie, co robi. Tak więc najciekawsze, dla ciebie przynajmniej, to kwestia, co też ów niedźwiedź uzna, że godzi mu się uczynić, gdy już wyszczerzy cię ze szczętem.

Nic tylko szczyrze szczyrzenie wyszczerzenia.

–Niedźwiedzie nie potrzebują okryć z ludzkiej skóry. Muszą gromadzić sadło na zimę, ale w zasadzie nie jadają w tym celu mięsa.

Owszem, spożywają wiele ryb, jednak ty nie jesteś stworzeniem wodnym i niedźwiedź o tym wie. Poza tym on nie ma cię za produkt mięsny, bo inaczej nie szczyrzyłby się do ciebie. Widzi w tobie rywala, ma cię za równego sobie. Nie ciekawi cię, co zrobi? Naprawdę nie chciałbyś się dowiedzieć, jak brzmi odpowiedź na to pytanie?

Światło było już dość słabe i mało co dawało się dostrzec z obu konkurentów prócz białych zębów Davy'ego i niedźwiedzia. Oraz ich oczu.

–Jedną noc już tak przesiedziałeś. Wytrzymasz jeszcze jedną? Nie sądzę. Podejrzewam raczej, że przyjdzie ci poznać niedźwiedzie miłosierdzie – powiedział Alvin.

Dopiero teraz, gdy sen prawie już go ogarnął, Davy odważył się przemówić.

–Pomóż mi.

–A jak miałbym to zrobić?

–Zabij tego niedźwiedzia.

Alvin zaszedł cicho misia od tyłu i położył mu rękę na barku.

–Czemu miałbym to zrobić? Ten niedźwiedź nigdy nie mierzył do mnie z muszkietu.

–To już po mnie – wyszeptał Davy i uśmiech spelzł z jego twarzy. Skłonił głowę, a potem runął do przodu. Leżąc na ziemi, zwinął się w kłębek i czekał, aż go niedźwiedź zabije.

Ale nic takiego się nie stało. Misio podszedł, trącił go nosem, obniuchał, przetoczył nieco w jedną i drugą stronę. To, że potencjalna ofiara popiskiwała przy tym trwożnie, nie zrobiło na nim wrażenia. Potem położył się obok Crocketta, objął go jedną łapą i zasnął.

Davy własnym zmysłem nie wierzył. Choć wciąż był przerażony, zbudziła się w nim jakaś nadzieja. Ze wszystkich sił starał się opierać senności.

A jednak albo niedźwiedź miał latem lżejszy sen, albo Davy ruszył się nazbyt szybko, dość że ledwie sięgnął po nóż przy pasie, a misio już nie spał. Kłapnął paszczką tuż przy ręce Crocketta. Trochę, jakby się chciał bawić, trochę tytułem ostrzeżenia.

–Pora spać. Zasłużyłeś na wypoczynek. Niedźwiedź zresztą też. Sam zobaczysz: jutro będzie lepiej – powiedział Alvin.

–Co się ze mną stanie?

–Nie sądzisz, że to raczej pytanie do niedźwiedzia?

–Ty go kontrolujesz. To wszystko twoja sprawka – powiedział Davy.

–Sam się kontroluje – odparł Alvin, starannie omijając drugą sprawę, bo dobrze wiedział, że tutaj Davy ma rację. – I ciebie też. Właśnie ustalili, kto tu jest panem. Jutro dowiemy się, co niedźwiedzie robią z udomowionymi ludźmi.

Davy zaczął szeptać modlitwę.

Niedźwiedź położył mu ciężką łapę na ustach.

–Po paciorku – zaintonował Alvin. – Słońce zaszło. Mrok zapada. Spać.

I tak, kiedy Alvin wrócił do Westville, wiódł ze sobą dwóch przyjaciół: Davy’ego Crocketta i wielkiego, starego grizzly. Och, gdy niedźwiedź wszedł do miasta, ludzie przerażili się nie na żarty i zaraz pobiegli po strzelby, ale starczyło, by wyszczerzył się do nich, a nie

próbowali nawet strzelać. Kiedy zaś misio trącił lekko Davy'ego, ten wystąpił o krok i powiedział kilka słów:

–Mój przyjaciel nie włada zbyt biegle amerykańskim, ale wolałby, żebyście odłożyli strzelby i nie mierzyli w niego. Chętnie ujrzałby też michę kleiku lub talerz chleba, gdyby wam trochę zbywało.

Tym sposobem niedźwiedź wyjadł sobie drogę przez Westville i nie musiał dla tej uczy podnosić łapy na nikogo prócz Crocketta. Ludziska dawali bez oporów, bo nie co dzień widuje się człowieka, który służy misiovi przy posiłku. A to jeszcze nie był koniec. Potem Crockett spędził dobrą chwilę na iskaniu niedźwiedzia, szczególnie w okolicach zadu, oraz na śpiewaniu mu piskliwym głosem różnych utworów. Davy wypiszczwał niemal wszystkie piosenki, które kiedykolwiek słyszał, i nieważne było, czy słyszał je w całości czy we fragmencie, czy raz czy więcej, bo nic tak dobrze nie odświeża pamięci, również pamięci melodii i słów piosenek, jak jedenastostopowy niedźwiedź stukający pazurzystą łapą w ramię, abyś śpiewał dalej. Gdy repertuar już się wyczerpał, Davy z musu zaczął improwizować, a ponieważ niedźwiedź nie miał wyrobionego gustu muzycznego, to i te przyśpiewki z reguły jakoś przechodziły.

Co do Alvina, to przy każdej okazji zwoływał gawieź i pytał Crocketta, czy to prawda, że on, Alvin, jest włamywaczem i czy rzeczywiście jako uczeń kowalski ukradł złoty pług. Davy zaprzeczał niezmiennie. Mówił, że nie, że to nieprawda, że było to kłamstwo rozpowszechniane z rozmysłem dlatego jedynie, iż Davy był wtedy wściekły na Alvina i chciał się odegrać. Ile razy Davy wygłaszał te słowa prawdy, tyle razy niedźwiedź mrucał z aprobatą i klepał go po plecach. Sam Crockett nabrał w kwestii łapy i poklepywania na tyle odwagi, że prawie już w gacie nie popuszczał.

Dopiero gdy obeszli całe miasteczko i kilka domostw na jego obrzeżach, cała procesja ruszyła ostatecznie do młyna. Konie protestowały oczywiście przeciw obecności niedźwiedzia, ale tylko trochę i wyłącznie z początku, Alvin bowiem przemówił do każdego z osobna i wszystkie uspokoił. Misio tymczasem zwinął się w kłębek

i zdrzemnął nieco z brzuchem wypchanym ziarnem pod rozmaitą postacią. Davy wszelako nie odchodził daleko, gdyż grizzly węszył nawet przez sen, czy jego człowiek jest w pobliżu.

A jednak przyznać trzeba, że ogólnie Davy Crockett trzymał się jak mógł. Miał chłop swoją dumę.

–Różne rzeczy robi się dla przyjaciół, a ten tu misio jest mi przyjacielem – powiedział. – Jak sami się domyślacie, koniec z zastawianiem paści, tak więc szukam teraz jakiejś normalnej pracy, żeby pomóc memu przyjacielowi przygotować się do zimy. Przecież muszę zarobić na ziarno i mam nadzieję, że znajdzie się u was dla mnie nieco roboty. Obiecuję, że niedźwiedź nie ruszy waszego inwentarza, usiądzie tylko i będzie sobie patrzył.

Cóż, słuchali go oczywiście, bo trudno nie poświęcić chwili uwagi człowiekowi, który z jakiegoś powodu najął się na służącego u niedźwiedzia, jednak żadnemu nawet się nie śniło, by dopuścić misia w pobliże chlewika czy kojca z kurczętami, szczególnie że zwierz nie wykazywał najmniejszych skłonności, by uczciwie zarobić na jedzenie. Jeśli zechce, myśleli, to i tak sobie weźmie i będą stratni.

Podczas gdy niedźwiedź drzemał, a Davy rozmawiał z rolnikami, Alvin i Arthur mogli się wreszcie przywitać. Arthur Stuart zaraz opowiedział, do czego doszedł.

–W mechanizmie wagi jest coś, co sprawia, że przy ważeniu pełnego wozu wychodzi mniej, a przy ważeniu pustego więcej, tak że rolnicy tracą na tym, co przywożą. Potem jednak, bez żadnych manipulacji, gdy waży się puste wozy kupujących, wychodzi, że są cięższe niż w rzeczywistości, po załadowaniu zaś waga z kolei ujmuje im ciężaru i sprzedając to samo ziarno, Rack znów dodatkowo na nim zarabia.

Alvin przytaknął.

–Sprawdziłeś naocznie, czy dokładnie tak to wygląda?

–Jedyna pora, kiedy mnie nie pilnuje, to wieczór, a po ciemku na dole nie da się niczego zobaczyć. Zresztą nie zwariowałem jeszcze, by ryzykować, że złapie mnie na tym, jak węszyć po nocy przy maszynerii.

–Miło mi, że używasz mózgowicy.

–Powiedział ktoś, kto pozwala się zamykać w więzieniu.

Alvin skrzywił się na podopiecznego, lecz jednocześnie wysłał przenikacz do schowanego pod ziemią mechanizmu wagi. Rzeczywiście, było tam urządzenie zapadkowe, które włączało się przy jednym ważeniu, powodując, że dźwignie unosiły się nieco i waga nie doważała, przy drugim zaś wyłączało, a dźwignie opadały i waga pokazywała za dużo. Nic dziwnego, że Rack nie chciał, by Alvin zajmował się maszynerią.

Alvin znalazł proste rozwiązanie. Kazał Arthurowi stanąć obok wagi, ale nie na samej platformie. Rack spisał wagę pustego wozu i podczas gdy ten ściągano z platformy, młynarz stał w pobliżu i przeliczał słupki. Kiedy wóz zjechał już z wagi, Alvin obrócił się i spojrzał na Arthura.

–Co robisz, głupi?! – krzyknął tak, by wszyscy na pewno go słyszeli. – Kto ci kazał włączyć na wagę?!

–Wcale tam nie stałem! – odkrzyknął Arthur Stuart.

–Wydawało mi się, że nie stał – powiedział rolnik. – Byłem blisko i miałem na niego oko, żeby nie wszedł.

–A ja widziałem, że stał na platformie. I myślę, że ten rolnik nie powinien być stratny o wagę chłopaka w ziarnie! – stwierdził Alvin.

–Jestem pewien, że chłopak nie wszedł na platformę – powiedział Rack, rzucając okiem na obliczenia.

–Możemy to prosto sprawdzić. Wtoczmy wóz z powrotem na wagę – zaproponował Alvin.

Młynarz zaniepokoił się wyraźnie.

–Zrobimy inaczej. Dodam do sumy tyle, ile waży chłopiec – zwrócił się do farmera.

–A czy *ta waga* jest dość czuła, by go zważyć? – spytał Alvin.

–Pojęcia nie mam. Jakoś to oszacujemy – mruknął Rack.

–Nie! – krzyknął Alvin. – Rolnik nie chce żadnych szacowań, należy mu się dokładnie za tyle, ile przywiózł. Wciągnijmy wóz z powrotem i zważmy go raz jeszcze.

Rack miał już zaprotestować, lecz Alvin go ubiegł.

–Chyba że coś nie gra z wagą. Ale przecież waga musi być w porządku, prawda?

Młynarz jakby zbladł nieco. Nie miał żadnej możliwości manewru.

–Waga jest w najlepszym porządku – warknął.

–No to zważmy wóz i sprawdźmy, czy to, że mój chłopak stał na wadze, zrobiło jakąś różnicę.

Jak można się domyślić, gdy ustawili wóz z powrotem na platformie, okazało się, że jest o prawie sto funtów lżejszy niż za pierwszym razem. Świadkowie nie kryli konsternacji.

–Przysięgłbym, że chłopak nawet stopy nie postawił na wadze – mruknął jeden. A drugi dodał: – Nigdy bym nie pomyślał, że ten chłopak może ważyć sto funtów.

–Jest grubokościsty – powiedział Alvin.

–Nie, proszę pana, to moja głowa jest taka ciężka, bo pełna – stwierdził Arthur Stuart i parsknął śmiechem.

Miller próbował robić dobrą minę do złej gry.

–Jaka tam głowa... To przez jądanie przy moim stole. Z piętnaście funtów ma ode mnie!

Jednak musiał podwyższyć farmerowi kwotę o równowartość stu funtów.



Następny miał na platformę wjechać pełny wóz, waga tymczasem gotowa była podać wynik przeszacowany. Na próżno Rack ogłaszał gromko, że dość już na dzisiaj, bo jest zmęczony: Alvin zaoferował, że zajmie się ważeniem, a rolnicy poświadczą, iż spisuje wszystko, jak należy.

–Chyba nie każe pan im czekać cały dzień z tym ziarnem? – spytał. – Zważymy wszystkie!

I do zachodu słońca zważyli trzydzieści wozów, a farmerzy jak jeden mąż wymieniali pełne zadowolenia uwagi, jaki to był dobry rok, że plony okazały się większe niż zwykle. Arthur Stuart słyszał, jak jeden narzekał, że jego wóz okazał się w tym roku lżejszy niż kiedykolwiek dotąd, ale zaraz zażegnał sprawę.

–To nieważne, czy waga pokazuje dużo czy mało – rzucił tak głośno, by wszyscy słyszeli. – Liczy się różnica między ważeniem na pełno i na pusto, a jak długo to wciąż ta sama waga, wszystko musi się zgadzać.

Rolnicy zastanowili się nad tym i stwierdzili, że to rzeczywiście właśnie tak. Rack jakoś nie palił się z żadnymi wyjaśnieniami.

Arthur Stuart też przeliczył sobie wszystko dokładnie i uznał, że Alvin niezupełnie sprawiedliwie rzecz rozwiązał. Wręcz przeciwnie nawet – w tym roku to Rack został po królewsku oszukany, bo zapisał rolnikom kwoty o wiele wyższe niż to, co naprawdę przywieźli. Jeden dzień takiego procederu bogaty młynarz mógł jeszcze jakoś przetrzymać, ale i Alvin, i Arthur wiedzieli, że przed świtem Rack będzie chciał ustawić mechanizm po staremu: żeby ujmowała przy pełnych wozach i dodawała przy pustych.

Obaj jednak wesoło pożegnali się z młynarzem i nie komentowali nawet widocznej ochoty tamtego, by wreszcie pozbyć się gości na dobre.

Tej nocy latarnia Racka Millera przesunęła się, rozkołysana, między domem a młynem. Zamknął za sobą drzwi młyna i skierował do kłapy w podłodze, wejścia do podziemnego pomieszczenia, w którym mieścił się mechanizm wagi, ale ku swemu zdumieniu stwierdził, że coś leży na klapie. Był to niedźwiedź. A w objęciach śpiącego misia spoczywał Davy Crockett.

–Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzamy – powiedział Davy – ale niedźwiedziowi przyszło do głowy, że tu właśnie będzie spał, a ja jakoś nie byłem skłonny się z nim spierać.

–Ale on nie może tu spać – sapnął młynarz.

–Ty mu to powiedz. Jak ja mu coś sugeruję, to nie zwraca uwagi – odparł Davy.

Młynarz krzyczał i wyklócał się, lecz na misiu nie zrobiło to żadnego wrażenia. Rack sięgnął po długi kij i dźgnął zwierza, ale niedźwiedź tylko otworzył jedno oko, wyrwał gospodarzowi kij z ręki i zmiażdżył go w zębach jak zapałkę. Rack Miller zapowiedział, że pójdzie po

strzelbę, ale na to Davy wyciągnął nóż.

–Jeśli tak, to będziesz musiał zabić też mnie, bo jeśli zrobisz mu krzywdę, to oprawię cię jak gęś na święta – powiedział.

–Ciebie też chętnie załatwię – warknął Rack.

–A jak wytłumaczysz się wtedy ludziom z mojej śmierci? O ile zdołasz zabić niedźwiedzia jednym strzałem, oczywiście. Bo czasem taki grizzly to przyjmie nawet pół tuzina kul, a i tak urwie człowiekowi łeb i spokojnie pójdzie sobie na ryby. Masa tłuszczu, dużo mięśni. Ale ty chyba dobrze strzelasz?

I tak wyszło, że następnego ranka mechanizm ważył wciąż dokładnie odwrotnie, niżby Rack sobie tego życzył, i nie zmieniło się to aż do końca żniw. W ciągu dnia niedźwiedź i jego sługa zajadali kleik i chleb, popijali likier zbożowy i wylegiwali się w zacienionych miejscach, gromadząc niezmiennie tłumy gapiów chętnych ujrzeć to dziwowisko. Skutkiem powszechnego zainteresowania wciąż ktoś kręcił się koło młyna, nawet w nocy nie było spokoju. Podobnie było, gdy zaczęli się zjawiać kupcy, żeby zabrać ziarno.

Opowieści o niedźwiedziu, który oswoił człowieka, ścigały zresztą nie tylko gapiów. Gospodarze znacznie liczniej przyjechali tym roku do Racka, żeby sprzedać plony i zobaczyć przy okazji dziwowisko, niejeden kupiec też nadłożył drogi, tak że obroty były gdzieś o połowę większe. Gdy pod koniec sezonu Rack Miller siadł nad księgami, wyszło mu, że jest na potężnym minusie. Kupcy zapłacili mu mniej, niż był winien rolnikom. Kompletna plajta.

Opróżnił kilka dzbanów likieru, odbył szereg długich spacerów, ale pod koniec października nadzieja ostatecznie go opuściła. W jakiejś gorszej chwili przystawił sobie pistolet do głowy i nacisnął spust, ale proch z jakiegoś powodu nie chciał się zapalić. Potem próbował się powiesić, jednak co zrobił pętlę, to węzeł puszczał i już. Skoro nawet rozstać z życiem mu się nie udało, poniechał tego pomysłu i pewnej głębokiej nocy porzucił młyn, księgi finansowe, wszystko. Choć i to z musu, bo najpierw zamierzał spalić całość, tyle że ogień wciąż gasł. Koniec końców odszedł z tym, co miał na grzbiecie i gęsią pod każdą pachą. Gęsi robiły jednak tyle jazgotu, że wypuścił obie, nim jeszcze zostawił miasteczko za sobą.

Gdy było już pewne, że Rack nie wyjechał na wakacje, obywatele miasteczka i niektórzy zamożniejsi gospodarze z okolicy spotkali się pewnego dnia w opuszczonym domu młynarza, żeby przejrzeć księgi. Szybko dowiedzieli się dość, by mieć pewność, że

nie ujrzą już więcej Racka Millera. Podzielili równo straty między gospodarzy, ale pokazało się, że właściwie nikt na tym nie stracił. Owszem, rolnicy dostali mniej, niż zapisał w księgach Rack Miller, ale i tak więcej niż w ubiegłych latach, zatem żniwa wciąż można było uważać za udane. Gdy zaś przyszło do inspekcji całego majątku, odkryli także zapadkę w mechanizmie wagi i wszystko stało się jasne jak słońce.

Ostatecznie uznali, że dobrze było pozbyć się Racka Millera, a niektórzy podejrzewali, że to właśnie kowal Alvin i jego półczarny chłopak obrócili przeciwko młynarzowi jego sztuczki. Próbowali nawet ich odszukać i darować młyn z wdzięczności. Ktoś słyszał, że przyszli z Vigor Kościoła w Wobbish i napisali tam, z dobrym skutkiem zresztą: otrzymali odpowiedź od ojca Alvina. „Mój chłopak pomyślał, że możecie złożyć mu podobną propozycję, i poprosił mnie, bym podsunął wam lepsze rozwiązanie. Powiedział, że skoro człowiek tak źle sprawował się w roli młynarza, to może lepiej wyjdzie z niedźwiedziem, szczególnie że ten akurat niedźwiedź ma sługę gotowego poprowadzić mu księgi”.

Propozycja najpierw spotkała się ze śmiechem, potem jednak niektórym się spodobała. Gdy przedstawili ją Crockettowi i misiowi, ci zaraz się zgodzili. Grizzly miał odtąd ziarna do oporu i starczało, że pokazał się gawiedzi w porze żniw, zimą zaś mógł sypiać w suchym i ciepłym miejscu. W latach, kiedy decydował się na udział w godach, młyn bywał pełen niedźwiedziątek, które jednak nie sprawiały kłopotu i nawet niedźwiedzice, chociaż trochę podejrzliwe, spuszczały pojednawczo z tonu, szczególnie że dla nich Davy wciąż był godnym przeciwnikiem i w razie potrzeby poszczerzył się trochę, a wszelkie kłopoty z obcymi miškami przechodziły jak ręką odjął.

Co do Davy’ego, to prowadził rzetelnie księgi, a wcześniej naprawił wagę, by zawsze pokazywała uczciwie. W miarę upływu czasu tak go polubiono, że niektórzy zaczęli przebąkiwać o wybraniu Crocketta burmistrzem. Odmówił, oczywiście, jako że nie był panem samego siebie. Obiecał jednak, że jeśli wybiorą niedźwiedzia, to chętnie posłuży jako jego sekretarz i tłumacz. I tak też zrobili. Po kilku latach misiowego burmistrzowania zmienili nazwę miasta na Bearsville i jako Niedźwiedziowo miasto rozkwitło. Wiele lat później, gdy Kenituck przyłączyło się do Stanów Zjednoczonych Ameryki, nie zastanawiano się długo, kogo godzi się wybrać z tej części stanu do Kongresu, i stąd właśnie przez siedem kadencji niedźwiedź kładł łapę na Biblii razem z innymi kongresmanami, a potem przesypiał uczciwie wszystkie sesje, w których uczestniczył, głosował zaś i przemawiał za niego jego sekretarz, niejaki Davy Crockett, który każdy występ kończył niezmiennie słowami: „W każdym razie tak to wygląda z punktu widzenia starego niedźwiedzia”.

*Przełożył Radosław Kot*

## **Majipoor**

### **Robert Silverberg**

*Lord Valentine’s Castle (1980) Zamek Lorda Valentine’a (1995) Majipoor Chronicles (1981) Kroniki Majipooru (1996) Valenline Pontifex (1983) Valenline Pontifex (1998) The Mountain of Majipoor (1995) Góry Majipooru (1998) Sorcerers of Majipoor (1997) Czarnoksiężnicy Majipooru (1999) Lord Prestimion (1999) wydanie polskie w przygotowaniu*

Gigantyczną planetę Majipoor, o średnicy co najmniej dziesięciokrotnie przewyższającej

Średnicę naszej, zasiedlili w odległej przeszłości koloniści z Ziemi, którzy znaleźli sobie na niej miejsce wśród Piurivarów – inteligentnej rasy tubylców nazywanych przez ludzi Zmiennokształtnymi lub Metamorfami ze względu na ich wrodzoną zdolność do zmiany wyglądu. Majipoor to planeta niezwykle wręcz piękności, z przewagą łagodnego klimatu, pełna zoologicznych, botanicznych i geologicznych cudów. Na Majipoorze wszystko rozgrywa się w wielkiej skali, jest wspaniałe, wręcz cudowne.

W ciągu tysiącleci pogłębiała się jednak przepaść między kolonistami a Piurivarami, co doprowadziło w końcu do długiej wojny. Tubylcy zostali pokonani i zesłani do obszernych rezerwatów w odległych zakątkach planety. W tym okresie na Majipoorze osiedlili się także przedstawiciele gatunków pochodzących z innych planet: maleńcy, sprawiający niesamowite wrażenie Woonowie, wielcy, włochaci, czteroręcy Skandarzy, dwugłowi Su-Suherisi i jeszcze inni. Niektóre z tych ras, przede wszystkim Vroonowie i Su-Suherisi, miały wrodzone zdolności parazmysłowe umożliwiające im uprawianie różnych odmian magii. A jednak w ciągu tysięcy lat historii Majipooru na planecie dominowali ludzie. Kwitli i mnożyli się, aż w końcu populacja Majipooru sięgnęła miliardów. Mieszkali przede wszystkim w miastach liczących od dziesięciu do dwudziestu milionów mieszkańców.

Wypracowany w ciągu wieków system rządów najprościej można byłoby nazwać niedziedziczną podwójną monarchią. Obejmując rządy, starszy władca, zwany Pontifexem, wybierał młodszego – Koronala. Formalnie rzecz biorąc, Koronal był adoptowanym synem Pontifexa, po którego śmierci obejmował rządy, mianując kolejnego Koronala. Obaj władcy rezydowali na Alhanroelu, największym i najgęściej

zaludnionym z trzech kontynentów Majipooru: Pontifex na najniższym poziomie rozległego podziemnego miasta nazywanego Labiryntem, które opuszczał tylko w wyjątkowych okolicznościach, Koronal przeciwnie – w ogromnym zamku na szczycie wysokiej na niemal pięćdziesiąt kilometrów Góry Zamkowej, wokół której zaawansowane maszyny utrzymywały atmosferę i klimat wiecznej wiosny. Od czasu do czasu Koronal zstępował z Góry, by odbyć Wielki Objazd, podróż po Majipoorze, której celem było przypomnienie ludności planety o potędze i mocy jej władców. Biorąc pod uwagę ogrom świata, trwała ona zwykle kilka lat i niezmiennie wiodła Koronala na drugi z kontynentów, Zimroel, gdzie gigantyczne miasta rozrzucone są wśród potężnych rzek i dzikich tropikalnych lasów. Nieco rzadziej Koronal odwiedzał także trzeci kontynent: leżący na południu, spalony słońcem Suvrael, niemal w całości pokryty pustynią przypominającą Saharę.

Kolejna para w systemie rządów Majipooru pojawiła się później. Rozwinięcie na skalę planetarną metody kontaktów telepatycznych umożliwiło wysyłanie nocami przesłań o charakterze wizji i wartościach terapeutycznych. Odpowiedzialna za nie jest Pani Snów, matka rządzącego Koronala, której siedziba znajduje się na Wyspie rozmiarów kontynentu, położonej w pół drogi między Alhanroelem i Zimroelem. Następnie powstała kolejna instancja posługująca się telepatią: Król Snów. Dysponując potężniejszymi urządzeniami umożliwiającymi kontakt telepatyczny, kontroluje on i karze przestępców oraz tych obywateli Majipooru, których zachowania odbiegają od norm przyjętych na planecie. Rządy

Króla Snów są dziedziczne i przejmują je kolejni członkowie zamieszkującej Suvrael rodziny Barjazidów.

Pierwsza powieść cyklu, *Zamek Lorda Valenline'a*, opowiada o uwięzionym powodzeniem spisku, którego ofiarą padł legalny Koronał, Lord Valentine, zastąpiony na tronie przez samozwańca. Valentine, pozbawiony pamięci i wypuszczony na wolność na Zimroelu, zarabia na życie jako wędrowny żongler, stopniowo jednak odzyskuje świadomość tego, kim był, i rozpoczyna krótką, uwięzioną powodzeniem kampanię o odzyskanie władzy. W kolejnej powieści, *Valentine Pontifex*, Lord Valentine, w głębi serca pacyfista, zmuszony zostaje do walki ze zbuntowanymi Metamorfami marzącymi o wygnaniu ze swej planety zniechęconych kolonistów. Koronałowi udaje się zwyciężyć i przywrócić pokój przy pomocy potężnych stworzeń zwanych smokami morskimi, niewątpliwie inteligentnych, choć o ich inteligencji nikt na Majipoorze nie miał do tej pory pojęcia.

W zbiorze opowiadań *Kroniki Majipooru* przedstawione są sceny z życia obywateli tej wielkiej planety – z całej jej historii i z różnych poziomów społecznych -przedstawiające szczegóły, które nie znalazły się w powieściach. Akcja krótkiej powieści

*Góry Majipooru* toczy się pięćset lat po śmierci Valentine'a w mroźnych górach północy, gdzie odkryto odrębną, barbarzyńską ludzką cywilizację.

Kolejna książka cyklu, *Czarnoksiężnicy Majipooru*, rozpoczyna nową trylogię, której bohaterowie żyją tysiąc lat przed panowaniem Valentine'a. Magia i czary stały się wówczas czymś powszednim. Koronał Lord Prestimion – pozbawiony władzy przez syna poprzedniego Koronała, którego wspierają czarnoksiężnicy i magowie – celem odzyskania tronu wszczyna wojnę domową, podczas której wykorzystuje moce nadnaturalne. W drugim tomie trylogii, zatytułowanym *Lord Prestimion*, władca ten musi uporać się z problemami zrodzonymi z zaklęcia, które rozkazał rzucić magom pod koniec wojny.

Akcja przedstawionego tu opowiadania toczy się kilka lat po zakończeniu wojny z Metamorfami, proces pojednania jeszcze się jednak nie zakończył. Valentine jest Pontifexem od kilku lat.

## **Siódma Świątynia Robert Silverberg**

Orszak władcy dzielił od Równiny Velalisier zaledwie jeden stromy podjazd na nierównej, kamienistej drodze. Podążający na czele kolumny Valentine dotarł na grzbiet wzgórza, zatrzymał się i, zdumiony, spojrział w dół. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że ziemia, na którą patrzy, od czasu jego ostatniej wizyty przeszła zdumiewającą transformację.

–Popatrzcie tylko – powiedział. – W tej krainie trzeba zawsze oczekiwać niespodzianek... a oto i niespodzianka przeznaczona specjalnie dla nas.

U jego stóp rozciągała się płytka, lecz szeroka, sucha i jałowa dolina. Ze szczytu wzgórza, nieco na wschód od miejsca, gdzie prowadzono prace archeologiczne, powinien bez trudu

dostrzec ogromne, owiewane piaskiem ruiny. Stało tu niegdyś słynne miasto Zmiennekształtnych, w którym – w pradawnych czasach – zdarzyło się tyle strasznych rzeczy, w którym doszło do potwornego Świętokradztwa, do profanacji. Teraz jednak – choć musiało to być złudzenie – wprost przed ich oczami, tam gdzie powinny się przecież znajdować resztki zawalonych domów, widać było gigantyczne jezioro o bladoróżowym przy brzegu, a ciemnoszarym na głębi lustrze... Woda na pustyni, na której nie było miejsca na wodę.

Najwyraźniej inni członkowie jego świty także ją widzieli. Czy jednak rozumieli, że to tylko złudzenie? Że to tylko igraszka promieni słońca i wzbitego przez wiatr pyłu? Że to fatamorgana, którą nad martwym Velalisier stworzył południowy upał i że jego dziełem było to nieprawdopodobne jezioro pośrodku pustyni, które zalało martwe miasto?

Jezioro rozciągało się od zbocza wzgórza, na którym stali, aż po dalekie, szaroniebieskie monolity wyznaczające dawniej zachodnią granicę miasta. Velalisier zniknęło. Zniknęły zniszczone przez czas pałace, kościoły i świątynie, czerwone bazaltowe bloki areny, szerokie płaszczyzny niebieskiego kamienia będące ołtarzami ofiarnymi, namioty archeologów pracujących od zeszłego roku wśród ruin na życzenie samego Valentine'a. Widać było tylko sześć wąskich, wysokich piramid, najwyższych budowli prehistorycznej stolicy Metamorfów; ich wierzchołki wyłaniały się z szarej toni niczym ostrza sztyletów wbitych rękojeściami w dno nie istniejącego, niemożliwego jeziora.

–To dzieło magii – szepnął Tunigorn, jeden z najstarszych towarzyszy Valentine'a i jego przyjaciel z dzieciństwa, a obecnie Minister Spraw Zewnętrznych na dworze

Pontifexa. Nakreślił w powietrzu święty znak. Na stare lata stał się wyjątkowo przesądny.

–Nie sędzę – uśmiechnął się Valentine. – Powiedziałbym, że to po prostu igraszki światła.

I nagle, jakby Pontifex władał magią i swą mocą mógł odczyniać uroki, silny powiew północnego wiatru rozwiał mgłę, a wraz z nią znikła iluzja jeziora, gdyż oczywiście była to wyłącznie iluzja. Valentine i jego przyjaciele stali teraz pod bezlitosnym, nagim, stalowobłękitnym niebem, patrząc na prawdziwe Velalisier: nagą płaszczyznę pełną kamiennych ruin, martwą pustynię piaskoszarych, wygładzonych przez nie milknący tu wiatr skorup, które jak okiem sięgnąć zaścielały jałową ziemię. Tylko tyle zostało po prastarej, opuszczonej przed tysiącami lat stolicy Metamorfów.

–No cóż, zapewne miałeś rację, Wasza Wysokość – powiedział Tunigorn. – Magia czy nie, panie, ale bardziej podobało mi się to, co widziałem przed chwilą. Jezioro było piękne, a te ruiny sprawiają przynębiające wrażenie.

–Tak czy inaczej tu, na pustyni, nie ma niczego, co mogłoby się podobać – stwierdził diuk Nascimonte z Ebersinul. By wziąć udział w tej ekspedycji, Nascimonte porzucił swe wielkie posiadłości leżące po przeciwnej stronie Labiryntu. – To żalony fragment naszego świata i

na zawsze już taki pozostanie. Gdybym to ja był Pontifexem, Wasza Wysokość, zbudowałbym tamę na Glayge i na wieczność pogrzebał to miasto wraz z całą jego ohydą pod trzema kilometrami wody.

Valentine nie potrafił obronić się przed myślą, że słowa diuka przynajmniej częściowo są zgodne z prawdą. Bardzo łatwo było uwierzyć, że stare, mroczne czary wciąż jeszcze tu działają, że magia włada pustynią, na której kwitła niegdyś wielka cywilizacja.

Lecz oczywiście Valentine nie mógł wziąć słów Nascimonte'a poważnie.

–Zatopić święte miasto Metamorfów! – powiedział, uśmiechając się. – Doskonały pomysł. Na tym właśnie polega dyplomacja, Nascimonte. Z pewnością przysłużyłoby się to pokojowi między naszymi rasami!

Nascimonte, szczupły, muskularny osiemdziesięcioletni mężczyzna o szafirowoniebieskich oczach płonących niczym klejnoty w opalanej na ciemny brąz, pomarszczonej twarzy, odpowiedział mu uśmiechem.

–Two słowa, panie, dowodzą tego, co i tak wszyscy wiemy: lepiej dla świata, byś ty był Pontifexem, a nie ja. Mnie brak twojej tolerancji, twojej dobroci, a już zwłaszcza, jeśli pozwolisz mi to powiedzieć, w kontaktach z tymi obrzydliwymi Metamorfami. Wiem, że kochasz ich i zamierzasz wspomóc w próbie wydobycia się z nędzy, w której żyją. Dla mnie jednak, Valentine, są oni wyłącznie dokuczliwymi szkodnikami i na zawsze już takimi pozostaną. Nie tylko dokuczliwymi, ale wręcz niebezpiecznymi!

–Cicho! – Valentine wciąż się uśmiechał, lecz pozwolił też, by w jego głosie zabrzmiała nuta zniecierpliwienia. – Bunt dawno się skończył. Najwyższy czas zapomnieć o nienawiści sprzed wieków.

Nascimonte jedynie wzruszył ramionami.

Valentine odwrócił się i znów spojrzał na ruiny. Tam, w dole, czekały na nich tajemnice większe od niezwykłego złudzenia. W mieście gruzów zdarzyło się coś, co uznano by za okropność nawet w jego tajemniczej, groźnej przeszłości: morderstwo. A gwałtowna śmierć z czyjejś ręki nie była na Majipoorze zjawiskiem powszechnym. Valentine przyjechał tu z przyjaciółmi właśnie po to, by wyjaśnić tę tajemnicę.

–Ruszamy – polecił Pontifex. – W drogę.

Ponaglił wierzchowca i pierwszy ruszył stromą ścieżką prowadzącą wprost do nawiedzonego miasta.

Z bliska ruiny wydały się Valentine'owi znacznie mniej przygnębiające niż podczas jego dwóch poprzednich wizyt w Velalisier. Zimowe deszcze musiały padać tu obficie niż zazwyczaj, ponieważ wśród przewracanych głazów i wydm barwy popiołu kwitły

wszędzie dzikie kwiaty. W zestawieniu z ponurą szarością ich błękit, czerwień, żółć i biel dawały efekt niemal muzycznej harmonii. Igrały wśród nich spijające nektar z kielichów delikatne kelebekki o jaskrawych skrzydłach, a drobne muszki ferushas wisały w powietrzu w rojach niczym ciemne plamy na srebrzystej mgle.

W Velalisier działo się jednak więcej cudów – nie tylko kwitły tu kwiaty i tańczyły owady. Zjeżdżający z gór Valentine stwierdził nagle ze zdumieniem, że ożywiona wyobraźnia podsuwa mu fantastyczne obrazy, zupełnie jakby tuż poza jego polem widzenia rozciągał się świat żywej magii. Odprawiające szalony, kuszący taniec duszki oraz elfy powstały z wybrukowanej ostrymi kamieniami jałowej, kwaśnej ziemi i śpiewały mu bezgłośnie o prastarych dziejach Majipooru. Nad ruinami unosiła się niewidoczna z daleka, barwiąca powietrze na zielono mgiełka – zapewne gra południowego światła odbijającego się w kryształach skały. Niezależnie od jej pochodzenia efekt był prawdziwie czarodziejski.

Nieoczekiwane w tym groźnym miejscu piękno poprawiło nastrój Pontifexa, niezwykle ponurego od chwili, kiedy przed tygodniem dotarła do niego wieść o gwałtownej śmierci, jaką zginął w tych ruinach znany i ceniony archeolog Metamorfów, Huukaminaan. Valentine wiele obiecywał sobie po pracach, których celem było odkrycie tajemnic i zrekonstruowanie stolicy Zmiennekształtnych, a ten mord mógł zniweczyć jego plany.

Przed orszakiem wyrosły namioty archeologów rozbite na obszernej piaszczystej równinie i powiewające z daleka na wietrze jaskrawą zielenią, brązem oraz szkarłatem.

Valentine dostrzegł też, że na jego powitanie wyruszyła delegacja pracujących tu naukowców: widział leniwe wierzchowce idące stępą długą, prostą aleją w kanionie zrujnowanych domów. Na czele jechała kierująca pracami wykopaliskowymi Magadone Sambisa.

–Wasza Wysokość – powiedziała, zsiadając z konia i witając Pontifexa należnym mu, skomplikowanym znakiem poddania. – Witamy w Velalisier.

Valentine rozpoznał ją z najwyższym trudem. Zaledwie rok wcześniej stanęła przed nim w sali audiencyjnej w Labiryncie i zapamiętał ją jako energiczną, zdecydowaną i pełną zapału silną kobietę o błyszczących oczach, krągłych, zaróżowionych policzkach oraz lśniących, kręconych rudych włosach, które opadały jej na ramiona. Teraz Magadone Sambisa wydawała mu się drobniejsza, zgarbiona, przegrana; oczy miała zapadnięte, twarz pomarszczoną i chudą, a jej rude włosy straciły połysk. Zdumienie malowało się na jego twarzy jedynie przez najkrótszą z chwil, lecz archeolog dostrzegła je i natychmiast się wyprostowała, jakby próbowała przywołać wspomnienie dawnej żywotności.

Zamierzał przedstawić ją diukowi Nascimonte'owi, księciu Mirigantowi i innym członkom swej grupy, ale uprzedził go Tunigorn, który wystąpił przed szereg i przejął na siebie ten obowiązek.



Był czas, kiedy obywatele Majipooru nie mogli zwracać się bezpośrednio do Pontifexa, lecz musieli kierować swe słowa do urzędnika na jego dworze, nazywanego Najwyższym Rzecznikiem. Valentine natychmiast rozprawił się z tym zwyczajem, podobnie jak z innymi sztywnymi regułami imperialnego protokołu. Tunigorn jednak, człowiek z natury konserwatywny, nigdy nie pogodził się do końca z tymi zmianami. Robił co w jego mocy, by zachować aurę świętości otaczającą niegdyś urząd Pontifexa. Valentine uważał te jego wysiłki za zabawne, a nawet czarujące i jedynie sporadycznie go one irytowały.

Wśród witającej go delegacji nie było pracujących w Velalisier archeologów – Metamorfów. Magadone Sambisa pojawiła się przed nim w towarzystwie zaledwie pięciu ludzi i Ghayroga. Wydawało się dziwne, że pominęła Piurivarów. Tunigorn uroczyście powtórzył podane mu nazwiska, popełniając zresztą błędy chyba przy każdym z nich, i dopiero potem cofnął się, pozwalając zabrać głos Valentine'owi.

–Czy rezultaty prac archeologicznych są zadowalające? – spytał Pontifex.

–Całkiem zadowalające, Wasza Wysokość. Więcej niż zadowalające. A przynajmniej były do chwili, gdy... gdy... – Sambisa umilkła, jednak żal, zdumienie, niezrozumienie i beznadziejność – wszystkie jej uczucia – można było odczytać z bezradnego gestu, który zastąpił słowa.

Dla niej, dla pracujących tu archeologów morderstwo musiało być niczym śmierć w rodzinie, musiało być stratą przerażającą i niewytłumaczalną.

–Tak, rozumiem. Do chwili, gdy...

Valentine rozmawiał z nią łagodnie, lecz stanowczo. Czy dotychczasowe śledztwo, pytał, ujawniło jakieś nowe, ważne informacje?

Pojawiły się istotne tropy? Czy ktoś wziął na siebie odpowiedzialność za tę zbrodnię? Jest w ogóle jakiś podejrzany? A może archeolodzy spotkali się z groźbami lub zapowiedziami kolejnych ataków?

Okazało się jednak, że żadnych nowych informacji nie ma. Zabójstwo Huukaminaana było najwyraźniej odosobnionym, nagłym, niezrozumiałym atakiem, niewyobrażalnym ciosem zadany w trakcie postępujących rażno prac. Zwłoki zamordowanego Metamorfa zwrócono już jego ludowi do pochówku, powiedziała Sambisa i jej ciałem wstrząsnął dreszcz, którego nie potrafiła ukryć. Ekipa próbowała teraz zapomnieć o zabójstwie, otrząsnąć się z przygnębienia i wrócić do pracy.

Najwyraźniej nie odpowiadała jej rozmowa na ten temat. Uciekła od niego przy pierwszej nadarzającej się okazji.

–Wasza Wysokość jest z pewnością zmęczony po podróży. Czy mogę zaprowadzić go do jego kwatery?

Dla Valentine'a i jego dworu wzniesiono trzy namioty. By do nich dotrzeć, trzeba było przemierzyć teren, na którym prowadzono wykopaliska. Valentine z przyjemnością przyglądał się efektom ciężkiej pracy, dzięki której obszar ten oczyszczono z niszczycielskich kęp giętkich chwastów i zdrewniałych pnączy, jakie od tysiącleci cierpliwie wrastały między głazy i rozszczepiały je.

Po drodze Magadone Sambisa opowiadała niezmiernie o co bardziej interesujących zabytkach miasta, zupełnie jakby Pontifex był turystą, ona zaś jego przewodnikiem. Tam widać pozostałości wspaniałego akweduktu, który wciąż jeszcze imponuje, mimo że jest całkowicie zrujnowany. Tam z kolei widać wielką, otoczoną ostrymi odłamkami skał arenę. A to reprezentacyjny bulwar miasta, wybrukowany błyszczącymi na zielono kamieniami.

Opowiadała o archeologicznych i mitologicznych cudach Velalisier, dosłownie zapominając oddychać. Słowa wylewały się z niej nieprzerwanym strumieniem; wydawało się to nienaturalne, wręcz histeryczne. Z pewnością nie czuła się swobodnie w towarzystwie Pontifexa Majipooru. Valentine zdążył się przyzwyczać do ludzi tak właśnie reagujących na jego osobę, w Velalisier był już jednak wcześniej i znał większość obiektów, które mu pokazywała. A poza tym Sambisa była blada, najwyraźniej zmęczona i żał mu było, że w tak bezsensowny sposób wydatkuje resztki

swojej energii.

A jednak nie było sposobu, żeby ją powstrzymać. Mijali właśnie wysoką konstrukcję z szarego kamienia, która wyglądała, jakby miała się zawalić od kichnięcia.

–To tak zwany Pałac Ostatniego Króla – powiedziała. – Nazwa jest prawdopodobnie niewłaściwa, ponieważ jednak budowle ochrzcili tym mianem Piurivarzy, używamy go powszechnie... z braku lepszego.

Valentine zauważył, że używa nazwy tubylców z ich własnego języka. Piurivarzy. Naukowcy podchodzili do tej sprawy bardzo formalnie, nigdy nie nazywali Piurivarów Zmiennokształtnymi lub Metamorfami jak normalni ludzie. Musi o tym pamiętać.

Gdy mijali ruiny pałacu, przedstawiła mu suchą, naukową wersję opowieści o mitycznym Ostatnim Królu z dawnych czasów, rządzącym, gdy Metamorfowie dokonali świętokradczego aktu, po którym opuścili miasto, uznając je za przeklęte. Valentine znał doskonale tę legendę – znali ją chyba wszyscy mieszkańcy Majipooru. Mimo to słuchał z uprzejmą uwagą owej historii sprzed wielu tysięcy lat, z czasów, gdy na planecie nie osiedlili się jeszcze ludzie. Metamorfowie z Velalisier, najwyraźniej w napadzie szaleństwa, wyłowili wówczas z oceanu dwa smoki morskie, ogromne, inteligentne stworzenia o niezwykłych cechach umysłu, otaczane przez tubylców boską czcią. Przewieźli je przez miasto, rzucili na platformy ofiarne, poćwiartowali długimi nożami, a mięso spalili na stosie przed Siódmą Piramidą, składając je w ofierze jakiemuś nieokreślonemu, jeszcze większemu bóstwu, w którego istnienie uwierzyli król i jego poddani. Kiedy prości ludzie z miasteczek otaczających

Velalisier dowiedzieli się o tej przerażającej orgii – głosiła legenda – zaatakowali je, zniszczyli świątynię, w której złożono bluźnierczą ofiarę, zamordowali Ostatniego Króla, zburzyli jego pałac, wygnali z miasta w dzicz obywateli, zniszczyli akwedukt, a na rzece zaopatrującej stolicę Metamorfów w wodę zbudowali tamy, tak by Velalisier na zawsze pozostało jałową pustynią, przeklętą na wieczność jaskinią jaszczurek, pajaków i jakkaboli.

Magadone Sambisa skończyła opowieść. Zapanowało milczenie, którego Valentine i jego przyjaciele nie przerywali. Przed nimi pojawił się najbardziej znany zabytek miasta: sześć smukłych piramid, z których pierwsza stała praktycznie na dziedzińcu Pałacu Ostatniego Króla, inne zaś zbudowano blisko siebie, w jednej linii wyznaczającej wschód.

–Kiedyś było ich siedem – powiedziała Magadone Sambisa. – Piurivarzy zburzyli jednak siódmą tuż przed ostatecznym opuszczeniem miasta. Zostały po niej tylko fragmenty kamieni. Tam właśnie mieliśmy rozpocząć prace, kiedy... kiedy... – przerwała, odwracając wzrok.

–Tak – powiedział cicho Valentine. – Rozumiem.

W tym miejscu droga prowadziła między dwoma kolosalnymi platformami zbudowanymi z wielkich bloków niebieskiego kamienia; współcześni Metamorfowie nazywali je Stołami Bogów. Mimo że przez dwieście stuleci gromadził się wokół nich gruz i niesiony wiatrem piach, platformy te wciąż wznosiły się o dobre trzy metry nad poziom równiny. Na każdej z nich mogły się pomieścić setki ludzi.

–Czy wiesz, Wasza Wysokość, co to takiego? – spytała archeolog grobowym głosem.

–Tak. To ołtarze ofiarne. Na nich właśnie dokonano Świętokradztwa – odparł Valentine.

–To prawda. I tu także zamordowano Huukaminaana. Pokażę ci, gdzie to się stało. Nie stracimy wiele czasu.

Gestem wskazała widoczne nieco dalej stopnie wykute z tego samego niebieskiego kamienia co platformy. Po stopniach można się było dostać do tej najbardziej wysuniętej na zachód. Magadone Sambisa zeskoczyła z wierzchowca i szybko wspięła się na szczyt. Obróciła się na najwyższym stopniu, czekając na Pontifexa z wyciągniętą ręką, jakby był on starcem, któremu trzeba pomóc we wspinaczce, choć przecież Valentine był dziś niemal tak samo zręczny jak w czasach młodości. A jednak z prostej grzeczności próbował ująć wysuniętą dłoń, lecz archeolog cofnęła ją w ostatniej chwili, jak gdyby nagle doszła do wniosku, że normalnemu człowiekowi nie wolno dotykać Pontifexa. Ten uśmiechnął się, złapał ją i szybko wskoczył na szczyt platformy. Tuż za nim po schodach wbiegł lekko diuk Nascimonte, a jego śladem podążył kuzyn i bliski doradca Valentine'a, ksiązę Mirigant, niosący na ramieniu Vroona, czarownika Autifona Deliambera. Tunigorn pozostał na dole, uznawszy najwyraźniej, że to wslawione Świętokradztwem i rzezią miejsce nie jest w jego guście.

Powierzchnia ołtarza – szorstka od przewiewanego przez tysiąclecia piasku, porośnięta tu i ówdzie kępkami chwastów oraz czerwonym i zielonym mchem – ciągnęła się przed jego oczami, przytłaczająca w swoim ogromie. Nie sposób wręcz było sobie wyobrazić, jak Zmiennokształtni, o delikatnych i jakby pozbawionych kości ciałach, choćby nie wiadomo ilu ich przy tym pracowało, zdołali ściągnąć na to miejsce tyle ciężkich kamiennych płyt.

Magadone Sambisa wskazała żółtą taśmę przymocowaną do kamieni kilka metrów dalej. Układała się w kształt sześciokątnej gwiazdy.

– Tam go znaleźliśmy – powiedziała. – A raczej... raczej jego część. Inna była tam. – Wyciągnęła palec w stronę drugiej gwiazdy z żółtej taśmy. – I tam. – Pokazała trzecią gwiazdę.

– Ciało zostało pocięte? – zdumiał się Valentine.

– Właśnie, pocięte. Wszędzie było pełno krwi, widać jeszcze jej ślady. – Archeolog znów się zawahała, a Valentine widział, jak drży. – Brakowało... brakowało tylko głowy. Znaleźliśmy ją daleko, w ruinach Siódmej Piramidy.

– Nie znają wstydu! – nie wytrzymał diuk Nascimonte. Nie potrafił opanować gniewu. – Są gorsi niż zwierzęta. Powinniśmy zgładzić ich wszystkich, zetrzeć z powierzchni planety!

– Kogo masz na myśli? – spytał Valentine.

– Wiesz, kogo mam na myśli, Wasza Wysokość. Doskonale wiesz, kogo mam na myśli!

– A zatem sądzisz, że winnym tej zbrodni jest Zmiennokształtny?

– Ależ skądże, jakżebym mógł, Wasza Wysokość. – Nascimonte nie krył ironii. – Taka myśl nawet nie powstała mi w głowie. Zabójcą jest przecież niewątpliwie jeden z naszych archeologów. Powiedzmy, że jego motywem była zawodowa zazdrość. Martwy Zmiennokształtny dokonał jakiegoś wielkiego odkrycia, a któryś z ludzi uznał, że sława należy się jemu. Myślisz, że tak się to odbyło, Valentine? Jak sądzisz, czy jakikolwiek człowiek byłby zdolny urządzić taką jatkę?

– Tego właśnie musimy się dowiedzieć, przyjacielu – stwierdził Valentine spokojnie. – Wydaje mi się, że na razie jest jeszcze za wcześnie na wyciąganie wniosków.

Magadone Sambisa przyglądała się im szeroko otwartymi oczami, zupełnie jakby nie potrafiła przyjąć do wiadomości zachowania Nascimonte'a, który najwyraźniej ośmielił się kpić z Pontifexa i pouczać go.

– Być może powinniśmy się teraz udać do namiotów – powiedziała w końcu.

Valentine siedział na idącym stępą wierzchowcu. Prowadzącą do obozu alejkę otaczały z

obu stron piętrzące się ruiny. Jakie to dziwne, myślał, znów znaleźć się w tym niesamowitym, groźnym, uginającym się pod ciężarem wieków miejscu. Cóż, w każdym razie wy dostał się z Labiryntu. Z jego punktu widzenia wszystko było lepsze niż Labirynt.

Velalisier odwiedzał trzeci raz. Po raz pierwszy przyjechał do tego miasta bardzo dawno temu, gdy był jeszcze Koronalem, w tym zdumiewającym, lecz krótkim okresie, kiedy jego miejsce na tronie zajmował uzurpator, Dominin Barjazid. Zatrzymał się tu, mając u boku garstkę przyjaciół: Carabellę, Nascimonte'a, Sleeta, Ermanara, Deliambera i kilku jeszcze innych, podczas marszu na północ, na Górę Zamkową, gdzie pokonał samowładcę w krótkiej bitwie kończącej Wojnę o Tron.

Wówczas był jeszcze młody. Dziś – już nie. Pontifexem, starszym monarchą Majipooru, został przed dziewięciu laty, po czternastu latach rządów, które sprawował jako Koronał. W jego złotych włosach pojawiły się pasma siwizny i choć wciąż był

zwinny, szczupły i muskularny niczym sportowiec, powoli zaczynał już odczuwać ciężar lat.

Wówczas, podczas pierwszej wizyty w Velalisier, poprzysiągł, że oczyści ruiny z obrastających je wszechobecnych chwastów i pnączy, że z jego polecenia archeolodzy zbadają i odrestaurują stare, powalone przez czas budynki. Zamierzał wyznaczyć w tym dziele specjalną rolę przywódcom Metamorfów, jeśli tylko będzie im to odpowiadało. Planował i miał nadzieję, że zniechęconym i zepchniętym na boczne tory życia Majipooru tubylcom przywróci należne im miejsce, wiedział bowiem, że w ich duszach szaleje gniew i że nie sposób nadal utrzymywać ich w rezerwach, w których zostali umieszczeni przez jego przodków.

Dotrzymał słowa. Po kilku latach powrócił do Velalisier, by przekonać się na własne oczy, jak postępują prace. Nie spodziewał się jednego: Zmiennekształtni, śmiertelnie urażeni faktem, że człowiek ingeruje w to, co uważają za święte, nie zareagowali na jego zaproszenie i całkowicie zlekceważyli prace archeologiczne.

Wkrótce Valentine dowiedział się, iż rzeczywiście pragnęli odbudować Velalisier, ale zamierzali zrobić to własnoręcznie... i to dopiero wówczas, gdy ludzie i koloniści innych ras zostaną wygnani z ich planety, a oni znów przejmą nad nią pełną kontrolę. Planowane od dawna powstanie wybuchło kilka lat po tym, jak odzyskał tron. Pierwsza pracująca w Velalisier grupa archeologów zdążyła zaledwie oczyścić część ruin i przygotować pierwsze plany miasta, kiedy – po wybuchu Buntu – wszelkie prowadzone badania trzeba było przerwać na czas nieokreślony.

Valentine pokonał zbuntowanych Zmiennekształtnych. Zaprowadzając pokój, próbował przede wszystkim wynagrodzić tak wiele krzywd wyrządzonych Metamorfom, jak tylko było to możliwe. Danipiur – tak Piurivarzy nazywali swoją królową – została Potęgą Królestwa na równych prawach z Pontifexem i Koronalem. Valentine tymczasem sam został Pontifexem i przeniósł się do Labiryntu. Jako Pontifex wrócił do pomysłu pełnego zbadania i

odbudowania Velalisier, tym razem jednak upewnił się, że ma poparcie Metamorfów i że na miejscu ich archeolodzy będą pracować ręka w rękę z uczonymi ze słynnego i cenionego Uniwersytetu w leżącym na północy Arkilon, którzy mieli kierować wykopaliskami.

W ciągu roku zrobiono bardzo wiele, by zabezpieczyć ruiny przed całkowitym zniszczeniem, które groziło im od tak wielu lat. Teraz jednak nie potrafił się cieszyć tymi niewątpliwymi osiągnięciami. Okropna śmierć, którą najstarszy z archeologów Metamorfów zginął na antycznym ołtarzu, dowodziła, że miastem wciąż jeszcze rządziły ciemne, złowrogie siły. Harmonia, którą, jak sądził, przyniosły światu jego rządy, mogła się okazać znacznie bardziej krucha, niż przypuszczał.

Nim Valentine zdążył się rozgościć w przeznaczonym dla niego namiocie, zapadł zmierzch. Zwyczaj, od którego nie zamierzał odstępować, nakazywał, by Pontifex miał namiot tylko dla siebie. Towarzyszka życia Valentine'a, Carabella, postanowiła zostać w Labiryncie; prawdę mówiąc, próbowała wszystkiego, by i jego zniechęcić do tej wyprawy. Tunigorn, Mirigant, Nascimonte i Vroon zajęli drugi namiot, trzeci przeznaczony był dla oddziału ochrony, który towarzyszył Pontifexowi w Velalisier.

Valentine wyszedł w zapadające dokoła obozowiska ciemności. Na niebie rozbłysły pierwsze gwiazdy, nad horyzontem pojawiła się poświata wstającego Wielkiego Księżyca. Powietrze było suche, rześkie, niemal dotykalne i kruche, zupełnie jakby można je było rozerwać w dłoniach i zgnieść, tak by przeleciało między palcami niczym ziarnka suchego piasku. Wydawało się też nienaturalnie nieruchome i ciche.

No, pomyślał Valentine, ale przynajmniej wydostałem się spod dachu, patrzę na prawdziwe gwiazdy i oddycham powietrzem, które, choć suche, jest prawdziwym powietrzem, a nie ludzkim tworem krążącym w trzewiach Labiryntu. Za samo to winien był wdzięczność losowi.

Tradycja zakazywała przecież Pontifexowi wychodzić na świat.

Jego miejsce było w Labiryncie, powinien chować się w jego głębi, w przypisanych władcy komnatach ukrytych pod kolejnymi poziomami podziemnego miasta, chroniony przed oczami zwykłych śmiertelników. To Koronal, młodszy władca, który mieszkał w gigantycznym Zamku o czterdziestu tysiącach sal zajmującym szczyt Góry Zamkowej i sięgającym ponad niebo, był aktywnym monarchą, widocznym symbolem królewskiego splendoru Majipooru. Valentine jednak nienawidził Labiryntu, w którym musiał mieszkać. Cieszyła go każda możliwość wyrwania się na światło dzienne i sam takie okazje stwarzał.

A poza tym tej akurat podróży nie mógł uniknąć. Zabójstwo Huukaminaana było poważną sprawą, śledztwo należało przeprowadzić na najwyższych szczeblach władzy, a Koronal Lord Hissune przebywał obecnie o wiele miesięcy drogi stąd, odwiedzając daleki Zimroel. Pontifex musiał go więc zastąpić.

–Kochasz widok otwartego nieba, prawda? – spytał diuk Nascimonte, który właśnie wynurzył się z sąsiedniego namiotu i podszedł do Valentine’a. Jego zazwyczaj ostry, kpiący głos brzmiał w tej chwili niezwykle łagodnie. – Ach, rozumiem cię dobrze, przyjacielu. Rozumiem cię bardzo dobrze.

–Tam, gdzie zmuszony jestem żyć, rzadko widuję gwiazdy, Nascimonte.

–Zmuszony jestem żyć – powtórzył starzec i nagle roześmiał się. – Najpotężniejszy człowiek naszego świata jest jego niewolnikiem. Co za ironia! To smutne.

–Od chwili, w której zostałem Koronalem, wiedziałem, że pewnego dnia

zamieszkać w Labiryncie. Próbowałem przyzwyczaić się do tej myśli. Choć wiesz przecież, że nie spodziewałem się zostać Koronalem. Gdyby Voriach nie zginął...

–Owszem, Voriach... – Voriach był bratem Valentine’a, starszym synem Najwyższego Doradcy Damiandane’a, i to jego od dziecka przyzwyczajano do myśli, że będzie Koronalem. Nascimonte uważnie przyjrzał się Pontifexowi. – To Metamorfa wypuścił strzałę, która zabiła go podczas polowania. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości, prawda?

Valentine poczuł się nieco niepewnie. Przesząpił z nogi na nogę.

–Jakie znaczenie ma teraz to, kto go zabił? Voriach nie żyje, a mnie wyniesiono na tron, gdyż byłem synem mego ojca. Nałożono mi na głowę koronę, o której nigdy nawet nie marzyłem. Wszyscy wiedzieli przecież, że los skazał na nią Voriacha.

–Los skazał Voriacha na coś znacznie gorszego niż korona. Biedny Voriach.

Tak, oczywiście, biedny Voriach. Zabity podczas polowania w ósmym roku rządów, przeszyty strzałą wypuszczoną przez kryjącego się gdzieś wśród drzew mordercę – Metamorfa. Przyjmując koronę po bracie, Valentine skazał się nieodwołalnie na zstąpienie do Labiryntu po śmierci rządzącego Pontifexa i należnym mu z prawa wyborze nowego Koronala, skazał się na zamieszkanie w ponurej jamie wygrzebanej głęboko w ziemi.

–Jak sam powiedziałaś, zdecydował los i dziś ja jestem Pontifexem. Niech i tak będzie, Nascimonte. Ale nie zamierzam kryć się do końca życia w mroku. Nie potrafię.

–Niby dlaczego miałbyś się tak zachowywać? Pontifex może przecież robić, co mu się żywnie podoba.

–Owszem, ale tylko w granicach określonych przez prawo i zwyczaje.

–Przecież dostosowujesz prawo i zwyczaje do swoich potrzeb, Valentinie. Zawsze tak postępowałaś.

Nascimonte mówił oczywiście prawdę. Valentine nie był nigdy konwencjonalnym władcą. Pozbawiony tronu przez samozwańca, wędrował przecież po świecie, zarabiając na życie jako żongler, nie wiedząc, kim jest ani co się z nim stało, ponieważ wrogowie wymazali jego pamięć – i spędzone w ten sposób lata odmieniły go całkowicie. Gdy ponownie objął rządy i znów zamieszkał na Górze Zamkowej, zachowywał się jak żaden chyba Koronał w historii: zstępował do zwykłych ludzi, szerząc z uśmiechem ewangelię pokoju i miłości wzajemnej, choć przecież Zmiennekształtni szykowali wówczas wojnę, dzięki której zamierzali pozbyć się znenawidzonych kolonistów i odzyskać władzę nad swoim światem. A kiedy podczas kampanii okazało się, że musi jednak zostać Pontifexem, bronił się przed tym bardzo długo. W końcu przekazał władzę swemu protegowanemu, Lordowi Hissune'owi, i wprost z pięknej Góry zszedł do podziemnego

świata, tak obcego jego naturze.

W ciągu kolejnych dziewięciu lat wykorzystywał wszystkie okazje, by uciec z Labiryntu. Żaden Pontifex w historii nie wychodził z niego częściej niż raz na mniej więcej dziesięć lat i to tylko po to, by uczestniczyć w odprawianych na Zamku uroczystościach. Valentine jednak korzystał z każdej możliwości wyskoczenia tu czy tam, zupełnie jakby wciąż musiał odprawiać formalne Wielkie Objazdy, które należały przecież do obowiązków Koronała. Lord Hissune za każdym razem wykazywał godną pochwały cierpliwość, choć jasne było, że młodego Koronała niecierpliwi ów jakże nietypowy zwyczaj Pontifexa, który tak często pokazywał się ludziom.

–Zmieniam to, co moim zdaniem należy zmienić – powiedział Valentine. – Jestem jednak winien Hissune'owi to, by jak najrzadziej pojawiać się publicznie.

–No cóż, w każdym razie w tej chwili stąpasz po ziemi, a nie pod nią!

–Rzeczywiście. W tym jednym jedynym wypadku chętnie nie skorzystałbym jednak z szansy opuszczenia Labiryntu. Ale Hissune odwiedza Zimroel i...

–Tak. Istotnie, nie miałeś wyboru. Musisz przeprowadzić tu śledztwo osobiście. – Obaj umilkli na chwilę. – Straszna sprawa to morderstwo. – Nascimonte pierwszy przerwał panującą ciszę. – Okropne! Kawałki ciała tego biedaka porozrzucane po całym ołtarzu!

–Podobnie jak kawałki rządowej polityki w stosunku do Metamorfów, prawda? – Pontifex uśmiechnął się smutno.

–Sądziś, że mógł to być mord polityczny?

–Kto wie? Ale obawiam się najgorszego.

–Ty, wieczny optymista?!

–Właściwszym określeniem byłoby „realista”, Nascimonte. Realista!



Stary diuk wybuchnął śmiechem.

–Jak wolisz, Wasza Wysokość. – Znów zamilkli i tym razem milczeli dłużej niż poprzednio.

–Valentinie, proszę o wybaczenie za moje dzisiejsze zachowanie – powiedział wreszcie Nascimonte. Mówił ciszej niż przed chwilą. – Zbyt surowo osądziłem Zmiennokształtnych, mówiąc, że to szkodniki, które trzeba wytruć. Dobrze wiesz, że naprawdę wcale tak nie myślę. Jestem starym człowiekiem i czasami mówię rzeczy surowe, które zdumiewają mnie samego.

Valentine skinął głową, ale nie powiedział ani słowa.

–Nie powinienem również z taką pewnością twierdzić, że tego biedaka musiał zamordować inny Metamorf. Miałaś rację, mówiąc, że nie nadszedł czas, by wyciągać wnioski. Na razie nie zaczęliśmy jeszcze nawet zbierać dowodów. W tej chwili nie mamy

podstaw, by zakładać, że...

–Wręcz przeciwnie, Nascimonte. Mamy wszelkie podstawy, by to zakładać.

–Wasza Wysokość! – Diuk patrzył na Pontifexa, zdumiony.

–Nie bawmy się w takie gierki, stary przyjacielu. W tej chwili nikt nas nie słucha, jesteśmy tylko my dwaj. Prywatnie możemy rozmawiać szczerze, nie oszukując się, prawda? To, co powiedziałeś o morderstwie, wydało mi się słuszne. Owszem, oznajmiłem ci, że nie powinniśmy wyciągać przedwczesnych wniosków, ale bywa, iż wnioski są tak oczywiste, że nasuwają się same. Nie ma żadnego racjonalnego powodu, dla którego jeden z archeologów – ludzi albo, powiedzmy, Ghayrogów – miałby zamordować swojego kolegę. W ogóle nie widzę powodu, by ktokolwiek miał to zrobić. Morderstwo to takie rzadkie przestępstwo, Nascimonte! Nie rozumiemy nawet motywów kierujących kimś, kto decyduje się go dokonać. A jednak tu ktoś go dokonał.

–To prawda.

–A motyw kierujący przedstawicielami jakiejś rasy najtrudniej nam zrozumieć? Moim zdaniem, można z niemal całkowitą pewnością powiedzieć, że zabójcą był Zmiennokształtny: albo archeolog z pracującego tu zespołu, albo przybyły z zewnątrz specjalnie w celu zgładzenia ofiary.

–Istotnie, wydaje się, że to rozsądne założenie. Ale z jakiego powodu Metamorf miałby zabijać Metamorfa?

–Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. I dlatego właśnie jestem tu, by przeprowadzić śledztwo. Mam nieprzyjemne wrażenie, że nie spodobają mi się odpowiedzi na pytania, które będziemy musieli zadać.

Tego wieczoru, przy kolacji, którą podano w otwartej mesie archeologów, pod czystym, czarnym niebem płonącym jaskrawym blaskiem mnóstwa wirujących gwiazd, jakie oświetlały białym, zimnym światłem tajemnicze zarysy otaczających ich ruin, Valentine poznał cały zespół archeologów, którym kierowała Magadone Sambisa. Było ich siedemnastu: siedmioro ludzi, dwóch Ghayrogów i ośmiu Metamorfów. Wszyscy sprawiali wrażenie spokojnych, całkowicie pogrążonych w badaniach naukowców. Choćby nie wiem jak wyteżał wyobraźnię, Valentine nie potrafił dostrzec w którymś z nich mordercy cwiartującego ciało swego powszechnie szanowanego kolegi Huukaminaana.

–Czy tylko wy macie dostęp do wykopalisk? – spytał Magadone Sambisę.

–My, no i oczywiście pracujący z nami za dnia robotnicy.

–Ach! A gdzie w tej chwili są ci robotnicy?

–Mają własny obóz, wioskę położoną za ostatnią z piramid. Wracają tam po zachodzie słońca i przychodzą dopiero na początek robót następnego dnia.

–Rozumiem. Ilu ich jest? Wielu?

Sambisa spojrzała ponad stołem na bladego Metamorfa o końskiej twarzy i bardzo skośnych oczach. Był to Kaastisiik, nadzorca stanowiska archeologicznego odpowiedzialny za codzienną pracę robotników.

–Jak sądzisz? Stu? – spytała.

–Stu dwunastu – odpowiedział Kaastisiik i zacisnął cienką kreskę ust, demonstrując w ten sposób zachwyty precyzją odpowiedzi, której udzielił.

–To w większości Piurivarzy, prawda?

–To wyłącznie Piurivarzy – stwierdziła Sambisa. – Sądziliśmy, że najlepiej będzie, jeśli zatrudnimy miejscowych robotników, zwłaszcza że przecież nie tylko prowadzimy w mieście prace badawcze, lecz także, do pewnego stopnia, odbudowujemy je. Nie wyglądało na to, że razi ich obecność archeologów innych niż oni ras, ale powierzenie ludziom choćby części prac przy rekonstrukcji Velalisier mogliby uznać za obraźliwe.

–To najęci do pracy miejscowi, prawda?

–Wasza Wysokość, w bezpośrednim sąsiedztwie ruin nie ma żadnych osiedli Piurivarów. W okolicznych prowincjach mieszka ich bardzo niewielu. Musieliśmy sprowadzić ich z daleka, niektórych wręcz z Piurifayne.

Valentine uniósł brew.

–Z Piurifayne?

Była to prowincja na Zimroelu, bardzo odległym kontynencie leżącym za Morzem Wewnętrznym. Przed ośmioma tysiącami lat wielki wojownik, Lord Stiamot, który na zawsze pogrzebał nadzieje Metamorfów na pełną niezależność w ich własnym świecie, wygnał tych, którzy przeżyli wydaną im przez niego wojnę, do tropikalnej dżungli Piurifayne, gdzie dla jeńców stworzono specjalne rezerwy. Mimo że wprowadzone przez niego ograniczenia dawno już zostały zniesione i Zmiennokształtni od wieków mieli prawo mieszkać, gdzie się im podobało, Piurifayne pozostało największym ich skupiskiem na Majipoorze i właśnie w tej dżungli buntownik Faraataa stworzył swą tajną organizację i wywołał Bunt, który zalał spokojny Majipoor niczym fala wrzącej lawy.

–Oczywiście przepytaliście ich wszystkich? Wiecie, gdzie każdy był i co robił, kiedy zginął Huukaminaan? – spytał Tunigorn.

Magadone Sambisa wyprostowała się, zdumiona.

–Mieliśmy traktować ich jak podejrzanych o dokonanie morderstwa?

–Przecież są podejrzani o dokonanie morderstwa!

–Książę, to prości robotnicy, którzy kopią dla nas i dźwigają ciężary. Nie ma wśród nich morderców, tego jestem absolutnie pewna. Oni szanowali doktora Huukaminaana.

Uważali go za strażnika swojej przeszłości, jego osoba była dla nich święta. To nie do pomyślenia, by któryś popełnił tak straszną, tak przerażającą zbrodnię. To nie do pomyślenia!

–Dwadzieścia tysięcy lat temu, o czym była pani uprzejma nam dzisiaj przypomnieć, na rozkaz Króla Zmiennokształtnych zarżnięto na tych tam ołtarzach dwa wielkie smoki morskie – powiedział Nascimonte, spoglądając w niebo, jakby przemawiał do powietrza. – Z pani słów wynikało jasno, że w owym czasie Zmiennokształtni darzyli smoki znacznie większym szacunkiem niż wasi robotnicy doktora Huukaminaana. Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, ale nazywali je, zdaje się, „*królami wód*”, nadawali im imiona, uważali za świętych starszych braci i nawet się do nich modlili. A jednak to właśnie tu, w Velalisier, złożyli z nich krwawą ofiarę, którą do dziś nazywają Świętokradztwem. Nie mylę się, prawda? Pozwolę więc sobie zauważyć, że skoro Król Zmiennokształtnych mógł dokonać czegoś tak potwornego w przeszłości, nie wydaje się nieprawdopodobne, by w naszych czasach, przed tygodniem, któryś z pani robotników z sobie tylko znanych powodów zdecydował się na czyn równie potworny, a mianowicie na zamordowanie nieszczęsnego doktora Huukaminaana... na tymże samym ołtarzu.

Magadone Sambisa siedziała bez słowa, wyprostowana i oszołomiona, jakby przed momentem diuk Nascimonte wymierzył jej policzek. Przez chwilę nie była nawet w stanie mówić, a gdy oprzytomniała, jej głos był ochrypły.

–Jak można wykorzystać starożytny mit, fantastyczną legendę tylko po to, by rzucić podejrzenie na spokojnych, niewinnych...

–Ach, więc jest to mit i legenda, kiedy pragnie pani ochronić tych spokojnych i niewinnych kopaczy, lecz potwierdzona historyczna prawda, kiedy chce pani, byśmy drżeli z zachwytu, spoglądając na kupę zwietrzałych kamieni?

–Proszę! – Valentine ostrzegł Nascimonte’a ostrym spojrzeniem. – Bardzo proszę. – Zwrócić się do Magadone Sambisy. – O której godzinie popełniono morderstwo?

–Późną nocą. Z pewnością po północy.

–To ja ostatni widziałem doktora Huukaminaana – powiedział jeden z Metamorfów, kruchy i delikatny, o wyglądającej bardzo elegancko szmaragdowej skórze. Nazywał się Vo-Siimifon i przedstawiono go jako autorytet w dziedzinie języka oraz pisma dawnych Piurivarów. – Siedzieliśmy razem do późnej nocy w moim namiocie, dyskutując na temat znalezionych dzień wcześniej inskrypcji. Litery były niezwykle małe, doktor Huukaminaan skarżył mi się nawet na ból głowy i w końcu powiedział, że zamierza się przespacerować. Ja poszedłem spać. Doktor Huukaminaan nie wrócił ze spaceru.

–To musiał być długi spacer, stąd do ołtarzy ofiarnych – zauważył Mirigant. – Bardzo długi spacer. Powiedziałbym, że co najmniej pół godziny w jedną stronę. Dla

kogoś w jego wieku być może nawet dłużej. Rozumiem, że był starszą osobą?

–Tylko, że jeśli spotkał kogoś za obozem, ten ktoś mógł go zmusić do pójścia w kierunku ołtarzy – wtrącił Tunigorn. – I...

–Czy nocą obóz jest strzeżony? – przerwał mu Valentine.

–Nie. Nie widzieliśmy powodu, by wystawiać straż.

–A same wykopaliska? Czy także nie są chronione, ogrodzone...?

–Nie.

–A więc gdy tylko zrobiło się ciemno, każdy mógł opuścić wioskę robotników i czekać na drodze na doktora Huukaminaana – zauważył Valentine. Spojrzał na Vo-Siimifona. – Czy doktor miał zwyczaj chodzić na spacer przed snem?

–Nic o tym nie wiem.

–A gdyby z jakiegoś powodu zdecydował się na przechadzkę, czy wydaje się prawdopodobne, by poszedł aż tak daleko?

–Jak na swoje lata był zdrowy i silny – stwierdził Piurivar. – Mimo wszystko uważam, że na

zwykły spacer przed snem nie poszedłby aż tak daleko.

–To prawda. Jestem tego samego zdania. – Valentine zwrócił się ponownie do Magadone Sambisy. – Obawiam się, że będziemy niestety musieli zadać kilka pytań robotnikom. A także wszystkim członkom pani zespołu. Rozumie pani, że w tej chwili nie możemy wykluczyć nikogo z grona podejrzanych?

Oczy archeolog zabłyśły.

–Czy ja także jestem podejrzana, Wasza Wysokość?

–Obecnie nikt nie jest podejrzany – odparł Valentine. – Albo inaczej: podejrzany jest każdy. Chyba że uda się wam przekonać mnie, iż doktor Huukaminaan popełnił samobójstwo, obcinając sobie członki i rozrzucając je po całym ołtarzu ofiarnym.

Noc była chłodna, rankiem jednak słońce wręcz wyskoczyło na niebo. Niemal od razu, choć było przecież bardzo wcześnie, powietrze zadrżało od pustynnego upału. Prace na wykopaliskach, o czym zostali poinformowani, trzeba było zaczynać już o brzasku, około południa bowiem słońce praktycznie je uniemożliwiało.

Kiedy o wschodzie Magadone Sambisa pojawiła się przed jego namiotem, Valentine był już gotowy ją przyjąć. Na prośbę kobiety mieli mu dziś towarzyszyć jedynie wybrani członkowie oddziału ochrony, a nie przyjaciele. Tunigorn i Mirigant protestowali, jednak Sambisa nie ustąpiła ani na krok. Pontifex będzie jej towarzyszył sam, a kiedy obejrzy to, co zostanie mu pokazane, zdecyduje, czy powinien podzielić się tą wiedzą z innymi.

Ich celem była Siódma Piramida. Czy też raczej szczątki Siódmej Piramidy, ponieważ nie zostało z niej nic z wyjątkiem kwadratowej podstawy o rozmiarach mniej

więcej sześć na sześć metrów, wykonanej z tego samego czerwonego bazaltu, z którego zbudowano arenę i niektóre budynki publiczne miasta. Na wschód od niej widać było niewielkie odłamki kolumny rozrzucone na zdumiewająco wielkiej przestrzeni. Wyglądało to tak, jakby jakiś rozgniewany gigant uderzył ją swoją wielką dłonią od zachodniej strony wystarczająco mocno, by rozpadła się na tysiąc kawałków. Nieco z boku, za rozproszonymi gruzami, Valentine widział ostry szczyt nienaruszonej Szóstej Piramidy, odległej o jakieś sto pięćdziesiąt metrów. Wznosił się ponad kępę skręconych drzew, dalej zaś stał rząd innych piramid, z których ostatnia dotykała wręcz Pałacu Ostatniego Króla.

–Według legend Piurivarów – powiedziała Magadone Sambisa – co tysiąc lat mieszkańcy Velalisier urządzali w mieście uroczysty festiwal i na pamiątkę każdego z nich wznosili piramidę. O ile mogliśmy to stwierdzić dzięki badaniom i datowaniu sześciu piramid, rzeczywiście tak było. O tej wiemy, że jest ostatnia. Jeśli wolno nam wierzyć legendom – tu spojrzęła znacząco w oczy Pontifexa – zbudowano ją, by upamiętnić festiwal, podczas którego doszło do Świątokradztwa. Ukończono ją tuż przed zdobyciem i zniszczeniem miasta przez Piurivarów, którzy przybyli ukarać mieszkańców Velalisier za złożoną przez

nich ofiarę.

Skinęła na Pontifexa i poprowadziła go ku północnej części roztrzaskanej kolumny. Oddalili się o mniej więcej piętnaście metrów od jej podstawy i zatrzymali. Odcięto tu ostrożnie fragment bruku, tworząc kwadratową dziurę wystarczająco wielką, by mógł się w niej zmieścić mężczyzna. Widać było także początek podziemnego korytarza prowadzącego w kierunku piramidy.

Do dużego głazu umieszczonego po lewej stronie wejścia przyczepiono jaskrawożółtą taśmę tworzącą kształt gwiazdy.

–To tu właśnie znaleźliście głowę? – spytał Valentine.

–Nie tu. Niżej. – Archeolog wskazała wejście do korytarza. – Proszę za mną, Wasza Wysokość.

Valentine'owi towarzyszyło w tej wycieczce sześcioro żołnierzy gwardii: gigantka Lisamon Hultin, jego osobista strażniczka, która nie odstępowała go ani na krok od czasów, gdy zarabiał na życie żonglerką; dwaj potężni, włochaci Skandarzy; kilku żołnierzy Pontyfikatu, których odziedziczył po swym poprzedniku, oraz... Metamorf Aarisiim, niegdyś przyboczny buntownika Faraatay, który opuścił go w ostatnich godzinach Buntu, zdając się na łaskę Pontifexa, i od tej pory towarzyszył mu wszędzie. Cała szóstka wystąpiła teraz, zamierzając towarzyszyć swemu panu, choć Skandarzy i Lisamon Hultin z racji rozmiarów z pewnością nie zmieściliby się w wejściu. Magadone Sambisa gwałtownie potrząsnęła głową i Valentine z uśmiechem nakazał gestem gwardii,

by poczekała na niego na zewnątrz.

Zeszli do podziemia; Sambisa niosła zapaloną pochodnię. Schody, precyzyjnie wycięte w ziemi, były strome i zagłębiały się na mniej więcej trzy metry, po czym kończyły nagle poziomym korytarzem. Korytarz wybrukowano szerokimi płytami wyciętymi z błyszczącego, zielonkawego kamienia. Sambisa oświetliła je pochodnią i Valentine dostrzegł, że zostały ozdobione wyrytymi znakami, hieroglifami czy może runami podobnymi do tych, które widział na ceremonialnym bulwarze obok Pałacu Ostatniego Króla.

–To nasze wielkie odkrycie – powiedziała. – Pod każdą z siedmiu piramid istnieją świątynie, o których nikt nie wiedział, których istnienia nawet nie podejrzewano. Jakieś sześć miesięcy temu pracowaliśmy przy trzeciej piramidzie, próbując wzmocnić jej fundamenty, i wówczas natrafiliśmy przypadkiem na pierwszą z nich. Została obrabowana, najprawdopodobniej jeszcze w starożytności. Mimo wszystko odkrycie to było fascynujące i oczywiście natychmiast zaczęliśmy szukać podobnych świątyń pod pozostałymi pięcioma, nienaruszonymi piramidami. Znaleźliśmy je, także splądrowane. Wstrzymaliśmy prace i przez pewien czas nie kopaliśmy pod Siódmą Piramidą. Założyliśmy po prostu, że nie znajdziemy tam nic interesującego, że została obrabowana, gdy zburzono samą piramidę.

Potem ja i Huukaminaan uznaliśmy, że warto jednak to sprawdzić, i zbudowaliśmy wejście, z którego właśnie skorzystaliśmy. Jeden dzień pracy i dotarliśmy do wybrukowanego korytarza. Chodź za mną, Wasza Wysokość.

Zeszli nieco głębiej i znaleźli się w starannie zbudowanym tunelu. Był tak szeroki, że czterech ludzi mogło iść nim obok siebie, a jego ściany wyłożono cienkimi, ustawionymi poprzecznie jak książki na półce kawałkami czarnego kamienia. Ściany przechodziły w strop w formie ostrych łuków wykonany z tego samego budulca. Same łuki obrobiono wyjątkowo starannie, niewątpliwie bardzo dawno temu. Powietrze w tunelu było gorące, suche, zatęchłe; stare, martwe i pozbawione życia. Valentine czuł w nozdrzach jego przesiąknięty martwością zapach.

–Ten rodzaj podziemnego przejścia nazywamy procesyjnym – wyjaśniła Magadone Sambisa. – Używali go prawdopodobnie kapłani niosący ofiary do świątyni.

W bladym świetle pochodni Valentine dostrzegł blokującą im drogę ścianę z ozdobnego białego kamienia.

–Czy to fundamenty piramidy? – spytał.

–Nie. To ściana świątyni oparta o podstawę piramidy. Właściwa piramida znajduje się dalej. Inne świątynie zbudowano tak samo: przylegają do fundamentów piramid. Różnica polega tylko na tym, że w przypadku reszty świątyń ściany te były rozbite. Tej najwyraźniej nigdy nie obrabowano.

Valentine zagwizdał cicho.

–Co może być w środku? – spytał.

–Nie wiemy. Zbadanie tej świątyni odkładaliśmy na później.

Czekaliśmy na powrót Lorda Hissune'a z Objazdu Zimroelu. Chcieliśmy, by przy otwarciu świątyni był on i Wasza Wysokość. Teraz jednak... to morderstwo...

–Rozumiem – powiedział cicho Valentine, a po chwili dodał: – Dziwne. Zburzono miasto, obalono Siódmą Piramidę, zniszczono ją tak, że nie zostało niemal nic, a jednak świątynię pod nią pozostawiono nietkniętą. Należałoby raczej oczekiwać, że splądrowane zostanie całe Velalisier.

–Może w świątyni zamurowano coś, do czego plądrujący nie chcieli się nawet zbliżyć? W każdym razie jest to jakieś wyjaśnienie.

Być może nie dowiemy się prawdy nawet wtedy, gdy otworzymy świątynię. Jeśli ją otworzymy.

–Jeśli?

–Wasza Wysokość, to może nie być takie proste. Chodzi mi o problemy polityczne. Musimy przedyskutować tę sprawę, ale nie w tej chwili.

Valentine skinął głową. Wskazał palcem widoczne w ścianach rzędy nisz. Były głębokie na dwadzieścia, a wysokie na trzydzieści centymetrów – wykuto je w skale pół metra nad posadzką.

–Czy tu właśnie składano ofiary? – spytał.

–Tak, Wasza Wysokość. – Magadone Sambisa oświetliła je pochodnią, poruszając ręką od prawej do lewej. – W niektórych znaleźliśmy mikroskopijne ślady kwiatów, w innych ułamki naczyń i kamieni. Oraz ślady tkanki zwierzęcej. – Wahała się przez chwilę. – A dalej, w ostatniej niszy po lewej...

Płomień pochodni oświetlił żółtą taśmę w kształcie gwiazdy.

–Tu? – Valentine aż westchnął, wstrząśnięty.

–Właśnie tu znaleźliśmy głowę Huukaminaana. Ułożoną starannie pośrodku niszy, twarzą w stronę korytarza. Jak swego rodzaju ofiara.

–Ofiara złożona komu? Dlaczego?

Archeolog tylko wzruszyła ramionami i potrząsnęła głową. Nagle powiedziała:

–Powinniśmy już wracać, Wasza Wysokość. Tu, w podziemiach, powietrze nie jest zdrowe. Nie można nim oddychać przez dłuższy czas. Chciałam tylko pokazać Waszej Wysokości, gdzie znajduje się ta świątynia. I gdzie znaleźliśmy ostatnią... brakującą... część ciała doktora Huukaminaana.

Jeszcze tego samego dnia Magadone Sambisa pokazała Valentine'owi oraz towarzyszącym mu Tunigornowi i Mirigantowi inne znaczące odkrycie: cmentarz,

którego istnienia wcześniej nawet nie podejrzewano, miejsce pochówku starożytnych mieszkańców Velalisier.

A w każdym razie miejsce pochówku części ich ciał.

–Na całym cmentarzu nie znaleźliśmy ani jednego grobu, w którym znajdowałoby się kompletne ciało. Wszędzie napotykalismy wyłącznie na jego drobne części: palec, ucho, wargę, fragment stopy. Zdarzały się nawet organy wewnętrzne. Każda część ciała została bardzo starannie zabalsamowana, a następnie umieszczona pod nagrobkiem w pięknie wykonanym kamiennym naczyniu. Część jest całością... coś w rodzaju metaforycznego



pogrzebu.

Valentine przyglądał się temu miejscu, sparaliżowany zdumieniem. Nigdy jeszcze, choć przecież dane mu było w różnych okolicznościach podziwiać cuda planety, którą rządził, nie widział czegoś tak niezwykłego jak ten mający dwadzieścia tysięcy lat cmentarz Metamorfów.

Całość miała najwyżej trzydzieści pięć metrów długości na dwadzieścia szerokości. Zasypany piaskiem, porośnięty chwastami, znajdował się niedaleko końca jednego z ceremonialnych bulwarów prowadzących z północy na południe. Na tak niewielkiej powierzchni stłoczono jeden na drugim może nawet dziesięć tysięcy grobów, a każdy z nich upamiętniał nagrobek z brązowego piaskowca szerokości dłoni i wysokości niespełna czterdziestu centymetrów. Wszędzie dokoła widać było te nagrobki – zniszczone przez czas, pochylone, opierające się jeden o drugi w sposób najzupełniej chaotyczny, tak że cmentarz wyglądał jak gęsty las małych steli, z których żadna nie stała pionowo. Efekt był wręcz niesamowity.

Dawno, dawno temu wszystkie ustawione były z pewnością starannie przez kochające dłonie nad naczyniem zawierającym tę część ciała drogiego zmarłego, którą wybrano do pochówku. W pewnym momencie Metamorfowie z Velalisier zdecydowali się jednak chować tu coraz więcej i więcej zmarłych. Trwało to przez stulecia, aż wreszcie powstał chaotyczny labirynt grobów; na każdym metrze kwadratowym cmentarza było ich kilkanaście.

Stawiano ciągle nowe nagrobki, nie zważając na to, że każdy kolejny niszczył jeden lub więcej starszych, osłabiał je, wyrывał z ziemi. Smukłe stele stały teraz powykrzywiane we wszystkich możliwych kierunkach i pod wszystkimi możliwymi kątami, przypominając las, przez który przeszedł monstrualny huragan lub pod którym ziemia zachwiała się podczas niszczycielskiego trzęsienia ziemi. Nie było dwóch identycznie przekrzywionych tablic.

Na każdym z nagrobków, dokładnie w jednej trzeciej jego wysokości, licząc od góry, wyrzeźbiony był elegancki znak – skomplikowany symetryczny wzór oparty na kształcie koła. Podobne motywy znajdowano także w innych częściach miasta. Tu wszystkie były inne. Czy symbolizowały imiona zmarłych? Czy były formą modlitwy do jakiegoś dawno zapomnianego boga?

– Nie mieliśmy pojęcia, że cmentarz ten w ogóle istnieje – powiedziała Magadone Sambisa.  
– To pierwsze miejsce pochówku odkryte w Velalisier.

– Mogę to potwierdzić swoim doświadczeniem – przytaknął Nascimonte, uśmiechając się i wesoło puszczając do niej oko. – Wie pani, dawno, dawno temu sam prowadziłem tu coś w rodzaju prac wykopaliskowych. Szukałem grobów, zakopanych skarbów, które mógłbym gdzieś sprzedać. Za rządów fałszywego Koronala Valentine’a zostałem zmuszony do

opuszczenia mej ziemi i mieszkałem na pustyni. Byłem bandytą. Nie udało nam się wówczas znaleźć żadnego grobu. Ani jednego.

–Nam też, chociaż próbowaliśmy – powiedziała archeolog. – To odkrycie zawdzięczamy wyłącznie szczęściu. Cmentarz był ukryty głęboko pod wydmami, od trzech do sześciu metrów pod ich powierzchnią. Nikt nie podejrzewał nawet, że może tu być. Podczas ostatniej zimy pewnego dnia przeszła jednak tędy potężna trąba powietrzna. Zawisła nad tą częścią miasta na dobre pół godziny, a kiedy wyczerpała swą energię, okazało się, że zdołała przenieść gdzie indziej całą wydmę, odsłaniając tę zdumiewającą kolekcję nagrobków. Tu. Popatrzcie tylko.

Przykłęknęła i usunęła cieką warstwę piasku z podstawy najbliższego nagrobka. Pod nią znajdowała się pokrywka niewielkiego naczynia wykutego w białym kamieniu. Zdjęła ją i odłożyła. Tunigorn prychnął z obrzydzenia. Valentine pochylił się, by lepiej widzieć. W naczyniu leżało coś, co przypominało skręcony kawałek ciemnej skóry.

–Wszystkie groby wyglądają podobnie – powiedziała Sambisa. – Symboliczny pochówek, który zabiera możliwie najmniej miejsca. Skuteczny system, jeśli weźmiemy pod uwagę, jak wielka była populacja Velalisier w okresie jego świetności. Grzebano tylko niewielki kawałek ciała zmarłego, balsamując go tak skutecznie, że nawet po wielu tysiącach lat jest jeszcze w całkiem niezłym stanie. Resztę składano być może na wzgórzach za miastem, gdzie ulegała naturalnemu rozkładowi. Ciała Piurivarów szybko się rozkładają. Po tak długim czasie nie pozostał po nich nawet najmniejszy ślad.

–Jak to wygląda w porównaniu z ceremoniałem pochówku współczesnych Metamorfów? – zapytał Mirigant.

Magadone Sambisa spojrzała na niego dziwnie.

–Nie wiemy praktycznie nic o metodach pochówku współczesnych Piurivarów – odparła. – Potrafią utrzymać swe tajemnice w sekrecie. Sami nigdy nam o tym nie opowiadali, a my byliśmy chyba zbyt uprzejmi, by zapytać, ponieważ w archiwach nie ma o tym żadnej wzmianki.

–Przecież w pani ekipie są Zmiennokształtni – zauważył Tunigorn. – Z pewnością nie byłoby nietaktem spytać współpracowników o tego rodzaju sprawy. Po co uczyć Metamorfów archeologii, skoro jest się zbyt delikatnym i dba o ich uczucia do tego stopnia, że nie wykorzystuje się ich wiedzy o własnej rasie.

–Jeśli o to chodzi, dyskutowałam z doktorem Huukaminaanem na temat cmentarza niedługo po jego odkryciu. Układ i gęstość grobów zdziwiły go najwyraźniej, ale pomysł grzebania fragmentu ciała zamiast całych zwłok nie wydawał mu się niezwykły. Dał mi do zrozumienia, że to, co widzieliśmy w mieście, pod pewnymi względami wcale nie różni się od pochówków współczesnych Piurivarów. Wówczas nie mieliśmy czasu, by zagłębiać się w szczegóły, i

zrezygnowaliśmy z kontynuowania tego tematu. A teraz... teraz...

I znów na jej twarzy pojawił się wyraz, który gościł tam zawsze, gdy rozmowa wracała do sprawy gwałtownej śmierci Metamorfa: wyraz zdumienia, beznadziei, niepewności i zmieszania.

Pod pewnymi względami wcale nie różni się od pochówków współczesnych Piurivarów, powtórzył w myśli Valentine, mając na uwadze to, jak rozczłonkowano ciało Huukaminaana, jak jego części pozostawiono na ołtarzu ofiarnym, a głowę zaniesiono do tunelu pod Siódmą Piramidą i troskliwie ułożono na spoczynek w niszy podziemnej świątyni.

Było coś nieprawdopodobnie wręcz obcego w tym obrzydliwym akcie poćwiartowania ciała, co po raz kolejny doprowadziło Valentine'a do nieprzyjemnego i w gruncie rzeczy niczego nie wyjaśniającego, najwyraźniej jednak nieuniknionego wniosku: mordercą Metamorfa musiał być Metamorf. Jak wspomniał wcześniej Nascimonte, mord miał wymiar rytualny, który pod każdym możliwym względem wskazywał właśnie na Zmiennokształtnych.

Wciąż jednak nie sposób było doszukać się w nim sensu. Valentine nie mógł po prostu uwierzyć, by starzec został zabity przez członka swej rasy.

–Jaki był Huukaminaan? – spytał. – Nigdy go nie spotkałem. Pobudliwy? Kłótniwy?

–Nie, nie, skądże znowu. Był uprzejmy i łagodny. Błyskotliwy naukowiec w swojej dziedzinie. Wszyscy go kochali, zarówno Piurivarzy, jak i ludzie.

–Przynajmniej jedna osoba nie kochała go aż tak bardzo – zauważył Nascimonte.

Być może jego teorię należałoby jednak rozważyć, pomyślał Valentine.

–Czy nie doszło do jakiegoś sporu na tle zawodowym? Na przykład o to, co kto odkrył lub kto jest autorem tej albo innej teorii?

Magadone Sambisa spojrzała na Pontifexa, jakby podejrzewała go o szaleństwo.

–Czy Wasza Wysokość uważa, że my, naukowcy, zabijamy się z takich powodów?

–Rzeczywiście, zadałem głupie pytanie. – Valentine uśmiechnął się. – No dobrze, załóżmy, że w toku prac doktor Huukaminaan znalazł jakiś cenny przedmiot, nieocenionej wartości skarb, który na rynku antykwarycznym mógłby mu przynieść fortunę. Czy dla kogoś nie byłby to wystarczający motyw morderstwa?

I znów to zdumione spojrzenie.

–Wasza Wysokość, skarby, które tu znajdujemy, to prymitywne statuetki z piaskowca i cegły z inskrypcjami, a nie złote tiary i szmaragdy wielkości jaja gihorny. Wszystko, co

warto było ukraść, zrabowano stąd przed wieloma, wieloma wiekami. A nam nie przychodzi nawet do głowy, by sprzedawać zabytki znalezione w trakcie prac wykopaliskowych, tak jak nie przychodzi nam do głowy, by... by... by się nawzajem mordować. Odnalezione dzieła dzielimy równo między muzeum uniwersyteckie w Arkilon i skarbiec Piurivarów w Ilirivoyne. W każdym razie... nie, nie warto tego nawet rozważać.

To absurdalny pomysł. – Policzki Sambisy poczerwieniały. – Z całym szacunkiem. Błagam o wybaczenie, Wasza Wysokość.

Valentine tylko machnął ręką.

–Próbuję po prostu znaleźć jakieś prawdopodobne wyjaśnienie tajemnicy tego morderstwa. A przynajmniej coś, od czego moglibyśmy zacząć śledztwo.

–Mogę ci w tym pomóc, Valentinie – powiedział nagle Tunigorn. Jego zazwyczaj otwartą, szczerą twarz szpecił grymas złości, a grube, czarne brwi miał ściągnięte tak mocno, że aż tworzyły jedną prostą linię. – Nie możemy zapomnieć o jednej, podstawowej sprawie: na Velalisier ciąży klątwa. Przecież doskonale o tym wiesz. Klątwa. Sami Zmiennokształtni rzucili na to miasto mroczne zaklęcie – jedna Bogini wie, jak wiele tysięcy lat temu – gdy zniszczyli Velalisier, by pokarać tych, którzy zarżnęli dwa smoki morskie. Przeklęli miasto na wieczność. Od tej pory mieszkają tu jedynie duchy. Wysyłając tu tych swoich archeologów, Valentinie, naruszyłeś ich spokój. Rozgniewałeś je. Postanowiły zaatakować. Ich pierwszym krokiem było zabójstwo tego Huukaminaana. Zapamiętaj sobie moje słowa: to jeszcze nie koniec.

–Czy twoim zdaniem duchy naprawdę mogą pociąć ciało człowieka na pięć czy sześć części i rozrzucić je na całkiem sporej przestrzeni?

Tunigorna wcale to nie rozbawiło.

–Nie wiem, co duchy mogą zrobić, a czego nie – odparł z uporem. – Powiedziałem ci tylko to, co mi przyszło do głowy.

–Dziękuję ci, dobry, stary przyjacielu. – Valentine uśmiechnął się łagodnie. – Rozważymy twoje słowa z należnym im szacunkiem. – Zwrócił się do Magadone Sambisy. – Muszę pani powiedzieć, co mi przyszło do głowy po tym, co pokazała mi

pani dzisiaj tu i w świątyni piramidy. Chodzi mi o to, że zabójstwo Huukaminaana sprawia na mnie wrażenie mordu rytualnego i że jest związane z jakimś rytuałem Piurivarów. Nie twierdzę, że tak musiało być, lecz tylko, że na to wygląda.

–A jeśli tak rzeczywiście było?

–Mielibyśmy punkt wyjścia. Nadszedł czas, by przejść do drugiej fazy śledztwa. Proszę uprzejmie, żeby dziś po południu zebrała pani wszystkich archeologów Piurivarów.

Chciałbym z nimi porozmawiać.

–Ze wszystkimi razem czy z każdym z osobna?

–Najpierw ze wszystkimi – powiedział Valentine. – A potem zobaczymy.

Archeolodzy pracowali na dużym terenie, a każdy z nich zajęty był swoimi badaniami, więc Magadone Sambisa poprosiła Valentine'a, żeby nie wzywał ich przed końcem dnia. Gromadzenie ich trwałoby tak długo, argumentowała, że do obozu wracaliby w południowym słońcu. Musieliby wędrować wśród ruin, przygnieceni upałem, zamiast przesiedzieć najgorętsze godziny w jakiejś ciemnej jaskini w oczekiwaniu na chłodniejsze popołudnie. „Spotkajmy się o zachodzie słońca. Niech skończą zaplanowaną na ten dzień pracę”, powtarzała.

Wydawało się to rozsądne. Pontifex przystał na jej propozycję. Sam jednak nie potrafił spokojnie doczekać zmroku. Morderstwo głęboko nim wstrząsnęło. Świadczyło o tym, że właśnie kolejny raz za jego życia świat pogrąża się w ciemności. Przez bardzo długi okres swej historii ogromny Majipoor był światem spokojnym, jego obywatele żyli wygodnie i dostatnio, a wszelkie przestępstwa były rzadkością. A jednak za życia tego pokolenia zamordowano Koronala Lorda Voriaxa, następnie zaś w wyjątkowo przewrotny sposób strącono z tronu jego brata, pozbawiając go na pewien czas władzy.

Wszyscy wiedzieli doskonale, że za oboma tymi zamachami stali Zmiennekształtni.

Potem, gdy Valentine odzyskał tron, nadszedł Bunt wszczęty przez przepelnionego nienawiścią Metamorfa Faraataę. Jego owocem były plagi, głód, rozruchy, panika o światowym zasięgu oraz gigantyczne zniszczenia. Valentine stłumił Bunt, sięgając w głąb duszy, do Faraatay, i odbierając mu życie, o czym jako człowiek łagodny do dziś nie mógł myśleć bez wstrętu i przerażenia. A jednak zrobił to, co było wówczas konieczne.

Teraz zaś – w nowej erze pokoju, którą rozpoczął, zostając Pontifexem – w najbrutalniejszy chyba możliwy sposób zostaje nagle zamordowany podziwiany i kochany naukowiec – Piurivar. Ginie w świętym mieście Piurivarów, pracując w grupie archeologów nad projektem zainicjowanym przez samego Pontifexa, który chciał w ten sposób okazać szacunek, jaki ludzie – koloniści – żywią dla rdzennych mieszkańców Majipooru. I, przynajmniej w tej chwili, wszystko wskazywało na to, że mordercą

Piurivara był Piurivar.

A przecież zakrawało to na szaleństwo!

Być może Tunigorn miał jednak rację. Być może tu, w Velalisier, spełniała się jakaś pradawna klątwa? Valentine'owi trudno było pogodzić się z tą myślą. Nie wierzył w klątwy. A mimo to, mimo to...

Nie mogąc usiedzieć spokojnie na miejscu, mimo rosnącego upału Pontifex przechadzał się niezmordowanie po mieście, ciągnąc za sobą nieszczęśliwych przyjaciół. Wielkie złotozielone oko słońca paliło ich bezlitośnie. Rozgrzane powietrze tańczyło im przed oczami. Porastające ruiny niewielkie krzaczki o skórzastych liściach zdawały się zwijać, by uniknąć wyprażenia. W miarę wzrostu temperatury nieruchomiały nawet niezliczone jaszczurki, przedtem biegające bez wytchnienia po kamieniach.

–Można by pomyśleć, że zostaliśmy przeniesieni na Suvrael – sapnął Tunigorn, zadyszany, lecz wytrwale dotrzymujący kroku Pontifexowi. – Takie temperatury przypominają raczej to nieszczęsne południe, a nie nasz przyjazny Alhanroel.

Nascimonte spojrział na niego i uśmiechnął się kpiąco.

–Oto jeszcze jeden przykład złościwości Piurivarów, mój diuku.

Kiedy Velalisier żyło, dokoła rosły zielone lasy, a klimat był tu przyjazny i chłodny. Potem jednak odwrócono bieg rzeki, lasy zniknęły i nie pozostało nic, tylko nagie głązy, na które patrzysz, a które chłoną teraz południowy żar jak gąbka i utrzymują go. Jeśli mi nie wierzysz, zapytaj naszą panią archeolog. Tę krainę z rozmysłem zamieniono w pustynię, wymierzając karę tym, którzy tu właśnie popełnili Świętokradztwo.

–To kolejny powód, żeby być gdzie indziej – burknął Tunigorn. – Ale nie, nie, nasze miejsce jest tu, z Valentine'em, teraz i zawsze.

Pontifex nie zwracał uwagi na ich rozmowę. Podążał bezmyślnie przed siebie, skręcał z jednej zarośniętej chwastami ścieżki w drugą i trzecią, mijał zwalone kolumny i roztrzaskane fasady budynków, przechodził obok ruin domów, które niegdyś mogły być sklepami lub gospodami, zostawiał za sobą ledwie widoczne ślady fundamentów budowli będących kiedyś wspaniałymi pałacami. Nie natknął się na żadne oznaczenia, a nie było z nimi Magadone Sambisy, która do znudzenia wyjaśniałaby mu zapewne, co było czym, gdzie i dlaczego. Patrzył na nędzne szczątki wielkiego Velalisier i tyle tylko wiedział: oglądał szkielet starożytnej metropolii.

Nawet on bez trudu wyobraził sobie, że trafił do jaskini upiorów sprzed tysięcy lat. Błysk odbitego światła w plątaninie odłamków obalonych kolumn... dziwny zgrzytliwy dźwięk wydany być może przez stwora pełzającego tam, gdzie nie widziało się żadnych stworzeń... cichy syk osypującego się piasku, piasku poruszającego się jakby z własnej woli...

–Za każdym razem, gdy odwiedzam te ruiny – powiedział do Miriganta, który szedł w tej chwili najbliżej niego – najbardziej dziwi mnie fakt, że to wszystko jest takie stare. Czuję wręcz, jak przygniata mnie ciężar historii.

–Historii, której nikt nie pamięta – zauważył Mirigant.

–Mimo to ma ona swój ciężar.

–Nie jest to jednak nasza historia.

Valentine spojrział karcąco na kuzyna.

–Skoro tak twierdzisz. Ale to przecież historia Majipooru, a więc czyja, jeśli nie nasza?

Mirigant tylko wzruszył ramionami.

Czy to, co powiedziałem, miało sens, czy też ten upał pomieszał mi zmysły? – zastanawiał się Pontifex.

Całą uwagę poświęcił tej właśnie sprawie. Nagle doznał wizji potężnej niczym wybuch i ujrzał w niej cały ogromny Majipoor z jego wielkimi kontynentami, rzekami rozległymi jak morza, nieprzebytymi oceanami, gęstymi, tropikalnymi dżunglami i wielkimi, suchymi pustyniami, lasami drzew wielkich niczym góry, górami zamieszkanymi przez przedziwne, cudowne stwory i z ogromnymi miastami, w których żyło wiele milionów mieszkańców. Jego duszę zalała mieszanina wrażeń, zapach tysięcy gatunków kwiatów i tysięcy gatunków przypraw, wspaniały smak tysięcy gatunków mięs, bukiet tysięcy gatunków win. Majipoor jego duszy był światem nieskończonych bogactw, nieskończonej różnorodności.

Przez przypadek – związki krwi i nieszczęśliwą śmierć brata – to on został najpierw jego Koronalem, a potem Pontifexem. Dwadzieścia miliardów ludzi obwołało go swoim władcą. Twarz Valenrine'a widniała na monetach, ludzie chwalili jego rządy, a jego nazwisko pojawi się w spisie władców w Domu Kronik i nikt nie wymaże go z historii.

Był jednak taki czas, gdy na Majipoorze nie panowali Koronale i Pontifexi. Był czas, gdy nie istniało ani Nimoya, ani Alaisor, ani Pięćdziesiąt Miast Góry. Velalisier zaś istniało, nim na Majipoorze pojawił się człowiek.

Jakim prawem ośmielił się włączyć je, martwe na tysiące lat przed tym, jak pierwsi koloniści przybyli tu w swoich statkach kosmicznych, w nurt ludzkiej historii? W rzeczywistości przepaść między ich Majipoorem a naszym Majipoorem jest tak wielka, pomyślał, że być może nie uda się jej przekroczyć.

W każdym razie nie mógł się pozbyć wrażenia, że tłum duchów tego miasta – duchów, w które przecież nawet nie wierzył – otacza go w tajemnicy i że ich furia nie została bynajmniej złagodzona. W jakiś sposób musi sobie poradzić z tą furią, którą najwyraźniej rozpętano dziś i która objawiła się w postaci obrzydliwego mordy na

nieszkodliwym, pogrążonym w badaniach naukowych starcu. Dusza Valentine'a i wszystko, co się na nią składało, reagowała na ten akt pełnym obrzydzenia niedowierzaniem. Pontifex zdawał sobie jednak sprawę, że jego los i być może los świata zależy od tego, czy znajdzie rozwiązanie mrocznej zagadki, która pojawiła się nagle niczym niszczycielska eksplozja.

–Proszę o wybaczenie, Wasza Wysokość – nie wytrzymał Tunigorn, przerywając

rozmyślenia Valentine'a. Przed nimi pojawił się kolejny labirynt korytarzy prowadzących wśród ruin. – Jeszcze jeden krok w tym upale, a padnę na ziemię, bełkocząc niczym szaleniec. Czuję, jak topi mi się mózg.

–Ależ, drogi Tunigornie, to oczywiste, że powinieneś natychmiast poszukać schronienia i schłodzić sobie głowę. Nie możemy przecież dopuścić, byś stracił to, co w niej jeszcze pozostało, prawda, przyjacielu? – Valentine wyciągnął rękę, wskazując obóz. – Wracaj, oczywiście. Ja chyba będę kontynuował spacer.

Nie miał pojęcia, co nim kieruje, czuł jednak, że musi z uporem przeć przed siebie wśród niezmiernych, pokrytych wydmami i rozgrzanych słońcem ruin, szukając nie wiadomo czego. Jego przyjaciele odchodzili jeden po drugim, wyczerpani, tłumacząc się i przepraszając, aż w końcu u boku Pontifexa pozostała tylko niezmiernowana, zawsze wierna Lisamon Hultin. To ona chroniła go przed niebezpieczeństwami Lasów Mazadone, gdy walczył o powrót na tron na Górze; ona strzegła go w trzewiach smoka morskiego, który połknął ich oboje w pobliżu Piliplok, roztrzaskawszy uprzednio statek, którym płynęli z Zimroelu na Alhanroel; to ona w końcu wycięła mu drogę przez jego cielsko i ratowała od utonięcia. Wiedział, że Lisamon nie opuści go i teraz. Rzeczywiście, wyglądało na to, że jest gotowa maszerować u jego boku dzień, noc i kolejny dzień, jeśli tego będzie od niej wymagał.

Ostatecznie jednak i on miał dość. Południe minęło dawno, słońce chyliło się ku zachodowi. Ostre cienie – różowe, fioletowe i granatowe – wyciągnęły się ku niemu. Valentine'owi zakręciło się w głowie, widział niewyraźnie, zmęczył bowiem wzrok nieustannym zmaganiem z oślepiającym blaskiem promieni słonecznych odbitych od ruin i piasku; każda aleja wydawała mu się taka sama jak poprzednia i następna. Nadszedł czas powrotu do obozu. Niezależnie od tego, za co ukarał się tą wyczerpującą wędrówką po krainie śmierci i zniszczenia, nacierpiał się już wystarczająco. Wracił do obozu, wspierając się od czasu do czasu na ramieniu Lisamon Hultin.

Magadone Sambisa czekała na niego w towarzystwie ośmiu archeologów Metamorfów. Pontifex zdążył wykąpać się i odpocząć, zjadł też lekki posiłek. Spotkał się z nimi tuż po zachodzie słońca w swym namiocie, mając u boku jedynie małego Vroona, Autifona Deliambera. Pragnął wyrobić sobie zdanie o Metamorfach, skupić się na nich,

a nie na uwagach Nascimonte'a i reszty, Vroon natomiast dysponował czarodziejskimi umiejętnościami, które Pontifex cenił bardzo wysoko. Ten mały stwór o wielu mackach potrafił z całą pewnością dostrzec swymi wielkimi, bystrymi złotymi oczami to, co mogło umknąć wzrokowi człowieka.

Metamorfowie usiedli w półkolu przed Valentine'em mającym po lewej ręce Vroona. Pontifex przyjrzał się im uważnie po kolei: od szefa wykopalisk Kaastisiika, do paleografa Vo-Siimifona. Zmiennokształtni odpowiedzieli mu niewzruszonymi spojrzeniami. Ci Piurivarzy o twarzach jak z gumy i skośnych oczach pozostali niemal obojętni i cierpliwie słuchali jego



opowieści o tym, co widział: o cmentarzu, o strzaskanej piramidzie i o ukrytej pod nią świątyni oraz niszy, w której morderca tak starannie ustawił odciętą głowę doktora Huukaminaana.

–Czy zgodzicie się, że morderstwo, jak się wydaje, ma pewien aspekt rytualny? – spytał. – Rozczłonkowane ciało, zniesiona do kaplicy i umieszczona w niszy ofiarnej głowa... – Utkwił wzrok w Thiurinen, specjalistce od ceramiki, drobnej kobiecie o pięknej, zielonkawej skórze. – Co pani o tym sądzi?

–Jako badacz ceramiki nie mam w tej sprawie wyrobionej opinii – odparła spokojnie.

–Nie pytam o opinię fachową, interesuje mnie natomiast, co pani o tym sądzi jako członek zespołu. Jako koleżanka doktora Huukaminaana. Czy umieszczenie głowy w świątyni nie oznacza złożenia ofiary?

–To, że nisze były przeznaczone na ofiary, jest w tej chwili wyłącznie naszą hipotezą roboczą – odparła natychmiast Metamorfka. – Nie chcę spekulować na ten temat.

Nie chciała spekulować i nie spekulowała. Podobnie jak pozostali: Kaastisiik, Vo-Siimifon, stratygraf Pamikuuk, kusztosz wykopalisk Hieekraad, specjalista z zakresu architektury Driismiil, autorytet w dziedzinie paleotechniki Piurivarów Klelliin i ekspert metalurg Viitaal-Twuu. Wszyscy oni uprzedzająco grzecznie, lecz stanowczo i bez wahania odmówili dyskusji o możliwym rytualnym aspekcie morderstwa. Czy poćwiartowanie ciała doktora Huukaminaana koresponduje w jakiś sposób z praktykami pogrzebowymi w historii Velalisier? Czy umieszczenie jego głowy w niszy można porównać do ofiary prześlągalnej złożonej jakiemuś bóstwu? Czy w tradycji Piurivarów istnieje coś, co można byłoby skojarzyć z tego rodzaju zabójstwem? Nie potrafili powiedzieć. Nie chcieli powiedzieć. Nie otrzymał też żadnej konkretnej odpowiedzi na pytanie, czy ich kolega miał jakichś wrogów w zespole.

Piurivarskim odpowiednikiem wzruszenia ramion skwitowali jego słowa, kiedy zastanawiał się głośno, czy mógł wybuchnąć spór o jakiś cenny, odkryty przedmiot i czy

śmierć doktora Huukaminaana nie mogła być skutkiem dyskusji na temat bardziej abstrakcyjny, na przykład sporu o charakter znalezisk lub nawet o cele ekspedycji. Na sugestię, że to któryś z nich mógł zabić kolegę z takich lub zbliżonych powodów, zareagowali obojętnie, bez śladu oburzenia. Zachowywali się tak, jakby sama myśl o tego rodzaju motywach morderstwa była dla nich niepojęta, zbyt obca, by poświęcić jej choć odrobinę uwagi.

Podczas rozmowy Valentine zadbał o to, by każdemu z Metamorfów zadać choćby jedno bezpośrednie pytanie, rezultat jednak był za każdym razem identyczny. Nie otrzymywał żadnej odpowiedzi, choć nie wyglądało na to, by rozmówcom zależało na jej uniknięciu. Zdecydowanie odmawiali współpracy, lecz nie budzili tym szczególnych podejrzeń.

Wydawali się po prostu tymi, kim byli: pogrążonymi bez reszty w badaniach naukowcami oddanymi próbom wyrwania ziemi tajemnic swej rasy, specjalistami, którzy nie wiedzieli nic o tajemnicy, jaka nagle się im objawiła. Valentine nie odniósł wrażenia, że siedzi w towarzystwie mordercy.

A jednak... jednak...

Byli przecież Zmiennokształtnymi, on zaś Pontifexem, przywódcą rasy, która ich podbiła, i następcą na poły legendarnego króla i rycerza sprzed ośmiu tysięcy lat, Lorda Stiamota – władcy, który na zawsze pogrzebał marzenia Metamorfów o niepodległości. Mimo że łagodna i uczona, ósemka siedzących przed nim Piurivarów – nawet gdyby nie chciała – musiała przecież odczuwać gniew na widok swych panów, choć ukrywała go dobrze, w głębi duszy. Naukowcy nie mieli powodu, by mu pomagać. Nie czuli się w żaden sposób zobowiązani do mówienia prawdy. I – chociaż może przemawiało przez niego wrodzone, nie zwalczone uprzedzenie rasowe – intuicja podpowiadała mu, by nie przyjmować za prawdę niczego, co mu powiedzą. Czy może ufać wrażeniu, że siedzi wśród niewinnych? Czy człowiekowi kiedykolwiek uda się przeniknąć maskę nieruchomych, obojętnych twarzy Piurivarów i odkryć, co czują i co myślą?

–Jak sądzisz – zwrócił się do Deliambera, gdy tylko Metamorfowie wyszli z jego namiotu – są czy nie są mordercami?

–Najprawdopodobniej nie – odparł Vroon. – Nie ci. Ci są zbyt delikatni, zbyt cywilizowani. Ale nie powiedzieli nam wszystkiego. Jestem tego pewien.

–A więc też to czułeś?

–Ponad wszelką wątpliwość. Wyczułem... czy wiesz, Wasza Wysokość, co znaczy vroońskie słowo *hsirthiir*?

–Nie, nie wiem.

–Trudno je przetłumaczyć. Dotyczy ono sytuacji, w której wypytuje się kogoś, kto nie zamierza kłamać, ale też nie chce wcale powiedzieć ci prawdy, chyba że dokładnie

wiesz, jak do niej dotrzeć. Ma się wyraźne wrażenie, że pod powierzchnią tego, co się słyszy, ukryta jest cała warstwa znaczeń, ale nikt ich nie pozna, chyba że zada to jedno bezpośrednie pytanie, które mu je odkryje. W gruncie rzeczy oznacza to, że trzeba już mieć informację, której się szuka, nim zada się pytanie mające ją odkryć. To niesłychanie frustrujące uczucie, *hsirthiir*, niemal bolesne. Jak bicie dziobem w kamienną ścianę. W tej chwili czuję, że jestem w stanie *hsirthiir*. I ty najwyraźniej też, Wasza Wysokość.

Musiał odwiedzić jeszcze jedno miejsce. Dzień był wyjątkowo długi i Valentine padał ze zmęczenia, ale czuł też wewnętrzną potrzebę załatwienia wszystkich najważniejszych spraw za jednym zamachem, więc po zapadnięciu ciemności poprosił Magadone Sambisę, by

zaprowadziła go do wioski robotników – Metamorfów.

Archeolog wcale się to nie podobało.

–Wasza Wysokość, nie mamy zwyczaju zakłócać ich spokoju, kiedy już skończą pracę i wrócą do siebie – powiedziała.

–Popelniać morderstw także nie macie chyba zwyczaju. Nie mówiąc już o wizytach Pontifexa. Wolę porozmawiać z nimi dziś, niż zakłócać jutrzejsze prace, jeśli oczywiście nie ma pani nic przeciwko temu.

I tym razem był z nim Deliamber oraz, na własne życzenie, także Lisamon Hultin. Tunigorn był zbyt zmęczony, żeby mu towarzyszyć, bo wędrówka wśród ruin w południe wyczerpała go całkowicie, Mirigant miał gorączkę i objawy łagodnego udaru słonecznego, natomiast niezmożony diuk Nascimonte, mimo zaawansowanego wieku, natychmiast zgodził się stanąć u jego boku. Ostatnim członkiem wyprawy był Aarisiim, Metamorf w służbie gwardii Pontifexa, którego Valentine trzymał przy sobie nie tyle ze względu na ochronę – o to umiała już zadbać Lisamon Hultin – ile ze względu na problem *hsirthiir*.

Aarisiima, choć zmienił niegdyś barwy, Valentine uważał za godnego zaufania w takim przynajmniej stopniu, w jakim Metamorf mógł być w ogóle jego godny. Ryzykował życiem, zdradzając mu w czasach Buntu swego mistrza, Faraataę, gdy ten przekroczył wszelkie granice, zagroziwszy zamordowaniem królowej Zmiennokształtnych. Być może był teraz w stanie pomóc wykryć to, czego nie uchwycił nawet dysponujący czarodziejskimi mocami Deliamber.

Wioska robotników okazała się zbiorowiskiem byle jakich szałasów położonych dość daleko od miejsca, w którym prowadzono wykopaliska. Jej tymczasowy charakter i prowizoryczna konstrukcja schronień jako żywo przypominały Valentine'owi Ilirivoyne, stolicę Metamorfów w dżungli Zimroelu, którą odwiedził przed wieloma laty, lecz to miejsce było jeszcze smutniejsze i jeszcze bardziej przygnębiające. W Ilirivoyne nie brakowało przynajmniej Metamorfom smukłych, prostych, młodych drzewek oraz

lian przydatnych do zbudowania choćby najprymitywniejszych szałasów, podczas gdy tu jedynym dostępnym materiałem budowlanym były pustynne, skręcone w upale krzaczki, które porastały Równinę Velalisier. Schronienia robotników były więc żałosne.

Mimo wszystko dowiedzieli się jakoś, że odwiedzi ich Pontifex. Przybywszy na miejsce, Valentine zastał ich w grupkach po ośmiu lub dziesięciu, stojących przy szałasach i najwyraźniej czekających na jego przybycie. Wyglądali nędznie, sprawiali wręcz wrażenie wygłodzonych, byli chudzi, godni politowania, odziewali się w szmaty i w ogóle pod każdym względem różnili się od wyrafinowanych uczonych, miejskich Metamorfów Magadone Sambisy – członków grupy archeologów. Valentine musiał się wręcz zastanowić, skąd w tak niesprzyjającym klimacie brali siłę na kopanie.

Kiedy zobaczyli Pontifexa, wyszli mu na spotkanie. Otoczyli jego oraz jego przyjaciół, a Lisamon Hultin aż syknęła i położyła dłoń na rękojeści miecza.

Zmiennokształtni najwyraźniej nie chcieli jednak skrzywdzić władcy. Tłoczyli się dookoła, bardzo podnieceni. Ku zdumieniu Valentine'a, powitali go niezmiernie uniżenie, przepychając się, by ucałować rąbek jego tuniki. Klękali przed nim w piasku, wręcz bijąc mu pokłony.

–Nie! – krzyknął Pontifex. – To nie jest konieczne! To nie jest właściwe!

Magadone Sambisa zdążyła już szorstkim tonem rozkazać robotnikom, żeby się cofnęli, a Lisamon Hultin i Nascimonte siłą odpychali tych, którzy podeszli zbyt blisko. Gigantka robiła to spokojnie, skutecznie i beznamiętnie, lecz Nascimonte boleśnie szturchał Metamorfów, a w jego płonących oczach było wyraźnie widać pogardę. Stojący dalej natychmiast zajmowali jednak miejsca odpędzonych, przepychając się gwałtownie i z determinacją.

Ci chudzi, zmęczeni, spracowani kopacze okazywali swój szacunek dla Pontifexa tak natrętnie, iż Valentine podejrzewał, że demonstrowane przez nich uczucia są po prostu fałszywe i że ostentacyjnie przekraczają granice tego co pożądane i właściwe. Zastanawiał się, jak prawdopodobne jest, by jakakolwiek grupa Piurivarów, choćby prostych, nieuczonych i spokojnych, mogła czuć prawdziwą, czystą radość na widok Pontifexa Majipooru? A także na ile możliwe jest, by zwykli robotnicy zorganizowali tego rodzaju manifestację spontanicznie, z własnej inicjatywy i bez niczyjej pomocy.

Niektórzy z nich, mężczyźni i kobiety, posunęli się wręcz do tego, że naśladowali postaci gości, co uchodziło wśród nich za wyraz szacunku. Przed Valentine'em paradowali więc niewyraźni, wypaczeni Valentine'owie, kilku Nascimonte'ów, groteskowo pomniejszone Lisamon Hultin. Sam Pontifex zetknął się już kiedyś z takim powitaniem – było to podczas wizyty w Ilirivoyne i wówczas wydawało mu się to niepokojące, a po trosze nawet przerażające. W tej chwili również był niespokojny.

Niech Zmiennokształtni zmieniają kształty – mają tę zdolność, więc niechże używają jej do woli – jednak w wizerunkach gości, które przybrali, było coś niemal złowrogiego.

Niepokój tłumu rósł, Metamorfowie zachowywali się wręcz histerycznie. Valentine, zawsze spokojny, zaczął się niepokoić. Tubylców było około setki, jemu towarzyszyło zaledwie kilka osób. Jeśli Zmiennokształtni stracą panowanie nad sobą, może się zdarzyć najgorsze.

Nagle poprzez hałas przebił się mocny głos wołający „Cofnąć się! Cofnąć!” Cała grupa nędznych, obdartych Zmiennokształtnych błyskawicznie cofnęła się, odsuwając od Valentine'a, zupełnie jakby rozproszono ją uderzeniami bicia. Zapadła cisza, robotnicy znieruchomieli. Z zamarłego tłumu wyszedł niezwykle wysoki, muskularny Metamorf. Gestykulując dramatycznie, powiedział głębokim głosem, który nie przypominał głosu żadnego znanego Pontifexowi Metamorfa:

–Jestem Vathiimeraak. Kieruję pracą tych ludzi. Z pokorą witam cię wśród nas, Pontifeksie.

Jesteśmy twymi sługami.

On sam nie zachowywał się jednak uniżenie. Wyglądał na bardzo pewnego siebie i najwyraźniej miał władzę. Natychmiast przeprosił za niestosowne zachowanie swoich podwładnych, tłumacząc, że to tylko prości wieśniacy, których zdumiała i zachwyciła możliwość spotkania jednej z Potęg Majipooru, więc okazali szacunek w jedyny sposób, jaki znali.

–Znam tego Metamorfa – szepnął Aarisiim do ucha Valentine’a.

Valentine nie zdołał się jednak dowiedzieć czegoś więcej, w tej właśnie bowiem chwili Vathiimeraak odwrócił się, wydał jakieś polecenie, unosząc dłoń, i znów rozpoczęło się szaleństwo. Mieszkańcy wioski biegali we wszystkich kierunkach jednocześnie: niektórzy wracali od razu z talerzami parówek i pełnymi wina naczyniami dla gości, inni wynosili z chat chwiejne stoły i ławy. Valentine’a i jego przyjaciół ponownie otoczyły tłumy, tym razem częstujące ich przysmakami przygotowanymi specjalnie na przyjęcie świty Pontifexa.

–Dają nam swoją kolację – zaprotestowała Magadone Sambisa. Poleciała Vathiimeraakowi odwołać ucztę, lecz potężny Metamorf zaprotestował uprzejmie, twierdząc, że odrzucenie ich gościnności będzie dla mieszkańców wioski obrazą, i w rezultacie goście nie mieli wyboru – musieli zasiąść przy stole i spróbować tego, czym ich poczęstowano.

–Jeśli pozwolisz, Wasza Wysokość – powiedział Nascimonte, kiedy Valentine sięgał po naczynie z winem, po czym wyjął mu je z ręki i wypił łyk. Odczekał chwilę, a następnie pozwolił napić się także Pontifexowi. Nalegał również, by mógł spróbować parówek z jego talerza oraz podanych z nimi kawałków warzyw.

Valentine’owi do głowy nawet nie przyszło, by mieszkańcy wioski mogli chcieć ich otruć, pozwolił jednak bez protestów staremu diukowi odprawić ten nieważny, uroczy rytuał z dworskiej przeszłości. Zbyt lubił starca, by odmówić mu tej przyjemności.

Uczta trwała pewien czas, nim Vathiimeraak zwrócił się w końcu wprost do Pontifexa.

–Wasza Wysokość, domyślam się, że odwiedziłeś nas w związku ze śmiercią doktora Huukaminaana?

Valentine drgnął, zaskoczony taką bezpośredniością.

–A czy nie mogło być tak – spytał z uśmiechem – że chciałem po prostu sprawdzić, jakiego dokonano postępu w pracach archeologicznych?

Metamorf nie zamierzał wdawać się w politykę.

–Zrobię co w mojej mocy, by pomóc ci odnaleźć mordercę, Wasza Wysokość – zapewnił, podkreślając słowa mocnym uderzeniem w stół. Na moment zarysy jego mocnej,

zdecydowanej twarzy rozmazały się, jakby za chwilę miał niezamierzenie zmienić kształty.

Pontifex wiedział, że wśród Metamorfów oznacza to wielkie napięcie i mocne uczucia. – Bardzo szanowałem doktora Huukaminaana. Praca dla niego była prawdziwym zaszczytem. Często sam kopałem, gdy byłem zdania, że praca jest zbyt delikatna, by powierzyć ją rękom mniej sprawnym niż moje. Z początku uważał, że to niewłaściwe i że nadzorca robotników nie powinien pracować fizycznie, ale powiedziałem mu: „Nie, nie, doktorze Huukaminaan, błagam, bym mógł dostąpić tego zaszczytu”, a on zrozumiał i pozwolił... Jak mogę pomóc schwytać sprawcę tego strasznego czynu?

Wydawał się tak uroczystry, tak szczery i przemawiał pozornie tak otwarcie, że Valentine, niemal wbrew sobie, natychmiast poczuł nieufność. Głęboki głos Vathiimeraaka i dobór jakże uroczystrych słów sprawiał wrażenie wręcz teatralne. Jego szczerość wydawała się równie przesadna jak reakcja kopaczy: to całe klęknięcie i całowanie rąbka tuniki nie wzbudzało sympatii, wyglądało bowiem na świadomie przesadzone.

Jesteś zbyt podejrzliwy wobec tych ludzi, powiedział sobie. Ten Piurivar przemawia w sposób, jaki uznaje za właściwy w obecności Pontifexa. Poza tym będzie użyteczny.

–Ile wiesz o tym, jak popełniono morderstwo? – spytał głośno.

Metamorf przemówił bez wahania, jakby już dawno przygotował sobie odpowiedź na to pytanie.

–Wiem, że został zamordowany w ubiegłym tygodniu, późną nocą, pomiędzy Godziną Gihorny a Godziną Szakala. Ktoś, jedna osoba lub więcej, wywabił go

z namiotu i zaprowadził do Stołów Bogów, gdzie został zabity, a następnie poćwiartowany. Części ciała doktora Huukaminaana znaleźliśmy następnego ranka w różnych miejscach na zachodniej platformie, to znaczy wszystkie oprócz głowy, którą odnaleziono tego samego dnia, lecz później, w jednej z nisz pod Świątynią Upadku.

Standardowa odpowiedź, pomyślał Valentine, ale poznałem dzięki niej nowy szczegół.

–Świątynia Upadku? – zdziwił się. – Nigdy przedtem nie słyszałem tego określenia.

–Miałem na myśli świątynię pod Siódmą Piramidą – powiedział Vathiimeraak. – Nie otwartą jeszcze świątynię, którą odnalazła Magadone Sambisa. Użyłem określenia, którym nazywamy ją między sobą. Zauważyłeś, Wasza Wysokość, że powiedziałem „odnalazła”, nie zaś „odkryła”. My zawsze wiedzieliśmy, że ta świątynia jest tam, pod piramidą. Nikt nas jednak o nią nie pytał, więc nic nikomu nie mówiliśmy.

Valentine spojrzał na Deliambera. Mały Vroon lekko skinął głową. *Hsirthiir* raz jeszcze.

Coś tu jednak było nie w porządku.

–Wydaje mi się, że doktor Magadone Sambisa poinformowała mnie, iż świątynię tę odkryła przypadkowo, wspólnie z doktorem Huukaminaanem. Powiedziała też, że wyglądał on na równie zaskoczonego tym odkryciem jak ona. Twierdzisz, że ty wiedziałeś o świątyni, a doktor Huukaminaan nie?

–Nie ma Piurivara, który nie wiedziałby o istnieniu Świątyni Upadku – stwierdził nieporuszony Vathiimeraak. – Zamknięto ją podczas Świątokradztwa. Wierzymy, że zawiera jego dowody. Jeśli doktor Magadone Sambisa miała wrażenie, że doktor Huukaminaan nie wiedział o jej istnieniu, to było ono błędne. – Ponownie rysy jego twarzy zamazały się, zadrżały. Kiedy spojrzął na Magadone Sambisę, w jego wzroku był strach. – Nie chciałem pani obrazić, zaprzeczając jej słowom.

–Nie czuję się obrażona – powiedziała archeolog dość sztywno. – Jeśli jednak doktor Huukaminaan wiedział wcześniej o istnieniu tej świątyni, to nic mi o niej nie wspomniał.

–Być może miał nadzieję, że nie zostanie odnaleziona.

Magadone Sambisa nie zdołała w pełni ukryć, jak dalece zmieszały ją słowa Vathiimeraaka. Valentine wyczuł, że dzieje się coś dziwnego i że powinien pójść tym tropem. Ale oddalali się przecież od tego, co najważniejsze.

–Chciałbym, żebyś zrobił jedno – powiedział do nadzorca. Sprawdź, gdzie był każdy z tych ludzi w czasie, kiedy popełniono morderstwo. – Z góry wiedział, jak zareaguje Metamorf, więc dodał pośpiesznie: – Nie sugeruję, że uważamy w tej chwili, iż winny jest ktoś z wioski. Na razie nikt nie jest jeszcze podejrzany. Po prostu musimy wiedzieć o każdym, kto znajdował się tej nocy w pobliżu stanowisk wykopaliskowych.

–Zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby się tego dowiedzieć.

–Wiem, że twa pomoc będzie nieoceniona.

–Wasza Wysokość będzie także potrzebował pomocy naszego khivanivoda – stwierdził Vathiimeraak. – Dziś nie ma go między nami. Medytuje w najdalszym okręgu miasta, modląc się o oczyszczenie duszy mordercy, kimkolwiek on jest. Poślę po niego, gdy tylko wróci.

Kolejna drobna niespodzianka! Khivanivod był świętym mężem Piurivarów, kimś pomiędzy kapłanem a czarodziejem. Wśród współczesnych Metamorfów prawie się ich już nie spotykało, tym bardziej dziwiło więc, że jeden z nich mieszka w tak prymitywnej, położonej z dala od cywilizacji wiosce. Być może jednak najwyżsi religijni przywódcy Piurivarów zdecydowali, że khivanivod powinien się znaleźć w Velalisier na czas prac archeologicznych i pilnować, by święte miasto nie poniosło jakiegoś uszczerbku oraz by wszystko działo się zgodnie z wymaganiami religii. Dziwne wszakże, że Magadone Sambisa ani słowem nie wspomniała o jego obecności.

–Ależ oczywiście – powiedział Valentine nieco niepewnie. – Wyślij go do mnie przy pierwszej okazji. Oczywiście.

Kiedy opuścili wioskę i wracali do obozu, Nascimonte powiedział:

–No cóż, Valentine, z przykrością zmuszony jestem stwierdzić, że kolejny raz powątpiewam w mądrość twych postępów.

–Musisz strasznie cierpieć z mojego powodu – odparł Valentine. – Powiedz mi, Nascimonte, jakież to błąd popełniłem?

–Potraktowałeś tego Vathiimeraaka jak sojusznika i pomocnika w śledztwie. W rzeczywistości zleciłeś mu zadanie odpowiednie dla zaufanego policjanta.

–Mnie wydaje się on wystarczająco godny zaufania. A wieśniacy boją się go jak ognia. Dlaczego nie miałby zadawać dla nas pytań? Gdybyśmy próbowali wypytywać ich sami, zamknęliby się jak ostrygi, a przynajmniej opowiadałoby nam jakieś fantastyczne historie. Moim zdaniem, Vathiimeraak będzie umiał wyciągnąć z nich prawdę, choćby siłą. No, w każdym razie jakąś jej, być może drobną, ale użyteczną część.

–Jeśli sam nie jest mordercą – powiedział Nascimonte.

–A jest? Czyżbyś już rozwiązał tę sprawę, przyjacielu? Morderstwo popełnił Vathiimeraak?

–Uważam, że to całkiem prawdopodobne.

–Mógłbyś mi to wyjaśnić? Nascimonte wskazał Aarisiima.

–Powiedz mu – polecił.

–Wasza Wysokość – rzekł Metamorf – kiedy pierwszy raz zobaczyłem Vathiimeraaka, powiedziałem ci, że chyba skądś go znam.

I to prawda, choć dopiero po pewnym czasie przypomniałem sobie skąd. Jest krewniakiem buntownika Faraatay. W czasach, gdy jeszcze przebywałem w Piurifayne, często widywałem go u jego boku.

Nieoczekiwana wiadomość! Valentine zachował jednak kamienną twarz.

–Czy ma to jakieś znaczenie? – zapytał spokojnie. – Przecież ogłosiliśmy amnestię, Aarisiimie. Wszystkim buntownikom, którzy po klęsce kampanii Faraatay zobowiązali się zachowywać pokój, darowano winy. Przywrócono im także pełnię praw obywatelskich. Ze wszystkich mych przyjaciół zwłaszcza tobie nie muszę chyba o tym przypominać.

–Co jednak nie znaczy, że wszyscy oni z dnia na dzień zmienili się w dobrych obywateli, prawda, Valentine? – przerwał mu Nascimonte. – Musimy przecież uznać za



prawdopodobne, że ten Vathiimeraak, krew z krwi Faraatay, wciąż nosi w sercu potężną...

Valentine spojrzał na Magadone Sambisę.

–Czy wiedziała pani, że jest krewnym Faraatay, kiedy zatrudniała go pani jako nadzorcę?

–Nie, Wasza Wysokość – odpowiedziała zawstydzona archeolog. – Choć wiedziałam, że uczestniczył w Buncie i skorzystał z amnestii. Dostał też wyjątkowo dobre rekomendacje. Przecież kazano nam wierzyć, że amnestia nie była pustym gestem, prawda? Że Bunt skończył się i został zapomniany i że ci, którzy wzięli w nim udział, lecz pokajali się, zasługują, by okazać im...

–A czy myśli pani, że szczerze się pokajali? – przerwał jej Nascimonte. – Czy ktoś w ogóle może odpowiedzieć z całą pewnością na to pytanie? Ja twierdzę, że jest oszustem od czubka głowy aż do pięt. Ten jego głos, taki głęboki, taki dźwięczny... ten pretensjonalny sposób mówienia... te wyrazy najgłębszego, unizonego szacunku dla Pontifexa... to wszystko oszustwo i nic tylko oszustwo! A jeśli chodzi o zabójstwo Huukaminaana, wystarczy przecież tylko na niego spojrzeć. Myślisz, że łatwo było tak poćwiartować tego nieszczęśnika? Ale ten Vathiimeraak jest zbudowany jak byk bidlak. W tłumie owych nieszczęsnych kopaczy widać go było niczym drzewo dwikka na równinie!

–To, że jest wystarczająco silny, by dokonać zbrodni, nie dowodzi jeszcze, że jej dokonał. – Valentine zaczął się irytować. – Co zaś do tej drugiej sprawy, pokrewieństwa z Faraataą, to jaki mógłby mieć przez to motyw, by zamordować nieszkodliwego, starego archeologa Metamorfów? Nie, Nascimonte. Nie, nie, nie! Ty i Tunigorn w pięć minut zdecydowałibyście pewnie, że tego Piurivara trzeba zaraz zamknąć na całe życie w lochach Sangamor, głęboko pod Zamkiem. My jednak chcielibyśmy mieć choć cień

dowodu, nim nazwiemy kogoś mordercą. – Zwrócił się do Magadone Sambisy: – A co z tym khivanivodem? Dlaczego nie powiedziano nam, że w wiosce mieszka khivanivod?

–Odszedł stamtąd dzień po morderstwie, Wasza Wysokość. – Archeolog spojrzała na niego przestraszona. – Prawdę mówiąc, całkiem o nim zapomniałam.

–Jaki on jest? Opisz mi go.

–Stary. Brudny. – Wzruszyła ramionami. – Żałosny, hałaśliwy, przesądny stwór, jak wszyscy ci plemienni szamani. Cóż mogę powiedzieć? Nie lubiłam, kiedy kręcił się po terenie wykopalisk. Musieliśmy go jednak tolerować: był chyba ceną, jaką zapłaciliśmy za prawo prowadzenia badań.

–Czy sprawiał jakieś problemy?

–To w zasadzie nic poważnego. Ciągle się wszędzie kręcił, chyba w strachu, czy nie popełnimy przypadkiem jakiegoś świętokradztwa. Świętokradztwa! W mieście, które sami

Piurivarzy zniszczyli i obłożyli klątwą. Cóż gorszego możemy zrobić w Velalisier niż to, co zrobili jego mieszkańcy?

–To była ich stolica – powiedział po prostu Valentine. – Mogli zrobić z nią, co im się podobało, a to, co zrobili, nie dowodzi bynajmniej, że z radością przyjęli nasze pojawienie się i grzebanie w ich ruinach. Ale... czy ten khivanivod rzeczywiście próbował przerwać prace?

–Sprzeciwiał się otwarciu Świątyni Upadku.

–Aha. Wspomniała mi pani, że były z tym jakieś problemy natury politycznej. Wniósł formalny protest?

Valentine wynegocjował pozwolenie na prowadzenie wykopalisk w Velalisier, ale Piurivarzy mieli prawo weta w każdym aspekcie prac archeologicznych, który z jakiegokolwiek powodu by się im nie podobał.

–Powiedział tylko, że nie życzy sobie, by otwierano świątynię. Uzgodnił nawet spotkanie ze mną i z doktorem Huukaminaanem, podczas którego mieliśmy się jakoś porozumieć, znaleźć kompromis, choć osobiście nie wyobrażam sobie kompromisu pomiędzy otwarciem świątyni a nie otwieraniem świątyni. W każdym razie, z powodów oczywistych i tragicznych, do spotkania nie doszło. Teraz, gdy ty tu jesteś, Wasza Wysokość, być może zgodzisz się wystąpić w naszym imieniu w dyskusji z Torkkinuuminaadem, kiedy pojawi się z powrotem w wiosce.

–Torkkinuuminaad? Tak nazywa się khivanivod?

–Właśnie tak, Wasza Wysokość.

–Na imionach Zmiennokształtnych język można sobie połamać – jęknął Nascimonte. – Torkkinuuminaad! Vathiimeraak! Huukaminaan! – Spojrzał na Aarisiima z wyrzutem. – Na Boginię, przyjacielu, czy musieliście ponadawać sobie imiona nie do

wypowiedzenia? Przecież mogliście się nazywać po prostu...

–Nasz system jest bardzo logiczny – stwierdził niewzruszony Aarisiim. – Podwójna samogłoska w pierwszej części oznacza...

–Odlóżcie tę dyskusję na później, dobrze? – Zniecierpliwiony Valentine machnął ręką. Ponownie zwrócił się do Magadone Sambisy: – Pytam z ciekawości: jakie były stosunki khivanivoda z doktorem Huukaminaanem? Trudne? Napięte? Czy szaman sądził, że ci, którzy wrywają chwasty spomiędzy ruin i odbudowują niektóre budynki, dopuszczają się świętokradztwa?

–Ależ skąd. Doskonale się im współpracowało. Szanowali się, choć Bogini jedna wie,

dlaczego doktor Huukaminaan tolerował w ogóle choćby przez pół godziny obecność u swego boku tego brudnego dzikusa. Dlaczego pytasz, Wasza... Co? Sugerujesz, że to Torkkinuuminaad mógł popełnić morderstwo?

–Czy to takie nieprawdopodobne? Sama nie powiedziała pani o nim ani jednego dobrego słowa.

–Irytował i przeszkadzał, to prawda. Jeśli chodzi o świątynię, Zdecydowanie spowalniał nasze prace, ale żeby od razu miał być Mordercą? Nawet ja nie posunęłabym się aż tak daleko. Każdy widział, że on i doktor Huukaminaan bardzo się lubili.

–Mimo wszystko powinniśmy go przesłuchać – zauważył Nascimonte.

–Oczywiście – potwierdził Valentine. – Pragnę, by jutro wysłano posłańca. Niech go odnajdzie. Przebywa gdzieś w mieście, prawda? Proszę go znaleźć i przyprowadzić do nas. Jeśli przerwiecie mu medytacje, to trudno. Powiedzcie, że Pontifex chce się z nim widzieć.

–Dopilnuję tego osobiście, Wasza Wysokość – obiecała Magadone Sambisa.

–Pontifex jest teraz bardzo zmęczony i zamierza udać się na spoczynek.

–Gdy został sam we wspaniałym, królewskim namiocie, nieprawdopodobnie zmęczony po wyczerpującym, pozornie nie kończącym się dniu, Valentine odkrył nagle, że bardzo brakuje mu Carabelli i że tęskni mocniej, niż się spodziewał, za tą szczupłą, drobną kobietą, która dzieliła z nim życie od samego początku drogi po władzę, gdy znalazł się, samotny, w Pidruid, porcie na wybrzeżu Zimroelu, pozbawiony pamięci, nie wiedząc nic o sobie. To ona – kochająca w nim nie władcę, lecz zwykłego człowieka – nieświadoma, że ma do czynienia z Koronalem, któremu odebrano duszę, pomogła mu dołączyć do trupy żonglerów Zalzana Kavola. Powoli, powoli ich losy połączyły się i kiedy Valentine zaczął się pięć na szczyt świata, towarzyszyła mu aż do końca tej drogi.

Jakże pragnął mieć ją teraz przy sobie! Pragnął, by usiadła przy nim, marzył o rozmowie, jaką zawsze prowadzili wieczorem. Mógłby poradzić się jej, przedstawić wszystkie niejasne fakty i spostrzeżenia, które wyniósł z rozmów i obserwacji,

a Carabella zapewne pomogłaby mu to wszystko uporządkować, rozplatać tajemnice ruin starego miasta. No i dodawałaby mu otuchy już samą swoją obecnością.

Carabella nie pojechała z nim jednak do Velalisier. Twierdziła, że ta podróż to niepotrzebna, głupia strata czasu. Że nie powinien osobiście prowadzić śledztwa w sprawie morderstwa archeologa. Tłumaczyła, że winien posłać Tunigorna, Miriganta, może nawet Sleeta, któregośkolwiek z wysokich urzędników Pontyfikatu. Po co ma się pojawiać na miejscu osobiście?

–Po prostu muszę – odpowiedział. – Ponieważ zobowiązałem się włączyć Metamorfów w

główny nurt życia na naszej planecie. Prace archeologiczne w Velalisier są ważnym elementem tej integracji. Morderstwo budzi we mnie podejrzenia, że istnieje konspiracja, która próbuje ją sabotować.

–To dość nieoczekiwany wniosek – zaprotestowała Carabella.

–Nieoczekiwany? Niech i tak będzie. Wiesz przecież, jak bardzo pragnę uwolnić się choć na chwilę od Labiryntu, choćby na tydzień, na dwa tygodnie. Tak więc pojedę do Velalisier.

–A ja nie. Nienawidzę tych ruin. To straszne miejsce, miejsce zniszczenia i śmierci. Widziałam je dwukrotnie i wiem, że jego urok na mnie nie działa. Jeśli pojedziesz, pojedziesz beze mnie.

–Mimo to zamierzam tam pojechać.

–Więc jedź. Jeśli musisz. – Carabella pocałowała Valentine’a w czubek nosa. Rzadko się kłócili, rzadko nawet nie zgadzali się ze sobą, tym razem wszakże jej postanowienie okazało się stanowcze i do Velalisier wyruszył sam. Dzisiejszą noc Carabella spędzała w sypialni władcy Labiryntu, on zaś miał spać tu, we wspaniałym namiocie, lecz samotnie, zagubiony wśród spalonych słońcem ruin miasta duchów.

Duchy odwiedziły go. W snach.

Pojawiły się tak wyraźne, tak namacalne, że przez chwilę sądził, iż ma do czynienia z przesłaniem, czyli bezpośrednią, niosącą treści komunikacją we śnie.

Takiego przesłania nie miał jednak nigdy w życiu. Ledwie zamknął oczy, już kroczył przez żalostne ruiny martwego Velalisier. Z odłamków każdego roztrzaskanego głazu unosiły się upiorne, tajemnicze światełka. Miasto błyszczało pulsującym, upiornym żółtym i zielonym blaskiem. Z powietrza przyglądały mu się kpiąco świecące, upiorne twarze. Samo słońce skakało jak szalone po niebie.

Otworzyła się przed nim czarna dziura prowadząca w głąb ziemi. Wstąpił w nią bez wahania. Schodził po masywnych, porośniętych mchem schodach, antycznych i zdobionych równie antycznymi runami. Każdy krok stawiał z wielkim trudem. Mimo iż cały czas schodził, zdawało mu się, że się wspina. Walcząc ze zmęczeniem, zanurzał się

coraz głębiej i głębiej, lecz wrażenie, że pnie się po stromej ścianie otchłani, nie opuszczało go ani na chwilę, zupełnie jakby musiał dotrzeć na szczyt niewiarygodnie wysokiej piramidy, nie kruchej i smukłej jak te w Yelalisier, ale nieprawdopodobnie wręcz wielkiej i masywnej. Wyobrażał sobie, że walczy ze zboczem góry, tyle że była to odwrócona góra, pogrążona czubkiem w ziemi. I wiedział, że jednak schodzi, że zanurza się w labirynt znacznie straszliwszy od tego, w którym przyszło mu mieszkać na co dzień.

Upiorne twarze duchów pojawiały się przy nim w oszałamiających błyskach światła i znikwały,

zastąpione przez inne. Z mroku dobiegał go ostry, szaleńczy śmiech. Powietrze było wilgotne, gorące, duszne, a grawitacja wręcz nieznośna. Schodził dalej, poziom po poziomie, widząc w krótkich błyskach chorego żółtego światła jaskinie, które otaczały go ze wszystkich stron i rozchodziły się we wszystkich kierunkach pod najbardziej nieprawdopodobnymi kątami jednocześnie do wewnątrz i na zewnątrz.

I nagle oszołomiła go przeraźliwa jasność. Oświectliły go promienie bijącego przed nim i od dołu słońca, blask ostry i groźny.

Valentine czuł, jak jakaś siła ciągnie go, bezsilnego, w stronę tego straszliwego światła. Nagle, bez żadnego widocznego przejścia, znalazł się na Równinie Velalisier. Stał na jednej z wielkich kamiennych platform nazywanych Stołami Bogów.

W rękę trzymał długi nóż, właściwie zakrzywioną szablę błyszczącą groźnie w bezlitosnych promieniach południowego słońca. A gdy rozejrzał się dokoła, zobaczył potężną procesję zbliżającą się od wschodu, od strony odległego morza: tysiące istot, setki tysięcy, armię mrówek w marszu. Nie, dwie armie, gdyż procesja rozdzieliła się na dwie poruszające się równoległe kolumny, a na końcu każdej z nich, daleko na horyzoncie, toczyła się na tytanicznych kołach gigantyczna drewniana platforma. Maszerujący ciągnęli je powoli, trzymając grube sznury; jęcząc i dysząc ciężko, posuwając się do przodu krótkimi szarpnięciami, ciągnęli za sobą wozy, stopa po stopie, krok po kroku.

Na platformach leżały dwa skrępowane smoki morskie, wielkich rozmiarów królowie wód. Te ogromne stworzenia patrzyły wściekle na prześladowców, lecz mimo swej siły nie mogły uwolnić się z więzów. I za każdym pociągnięciem sznurów zbliżały się do bliźniaczych kamiennych ołtarzy zwanych Stołami Bogów.

Do miejsca złożenia ofiary.

Do miejsca, gdzie miało dojść do monstrualnego Bluźnierstwa, gdzie czekał już na nie Valentine, Pontifex Majipooru, z wielkim, ostrym, lśniącem nożem w rękę.

–Wasza Wysokość... Wasza Wysokość!

Valentine zamrugał i obudził się, niezbyt przytomny. Stał nad nim Zmiennokształtny,

wyjątkowo wysoki i wyjątkowo smukły, o oczach tak wąskich i tak skośnych, że w pierwszym momencie zdawało się, iż w ogóle nie ma oczu. Pontifex usiadł, zaniepokojony, lecz natychmiast się odprężył, Metamorfem tym był bowiem Aarisiim.

–Krzyknąłeś, panie – powiedział. – Właśnie szedłem poinformować cię o bardzo dziwnym odkryciu, którego dokonałem przed chwilą. Byłem przed namiotem, kiedy usłyszałem twój głos. Czy wszystko w porządku, Wasza Wysokość?

–Miałem sen. Bardzo nieprzyjemny sen. – Valentine w dalszym ciągu był pod jego

wrażeniem, koszmar wciąż czaił się gdzieś w zakamarkach jego mózgu. Zadrżał, próbując wyzwolić się spod jego wpływu. – Która godzina, Aarisiimie?

–Godzina Haigusa, Wasza Wysokość.

A więc północ minęła już jakiś czas temu. Zbliżał się świt.

Valentine rozluźnił się, próbując przyjść do siebie. Leżał z szeroko otwartymi oczami i wpatrywał się w niemal całkowicie pozbawioną rysów twarz Metamorfa.

–Dowiedziałeś się czegoś? Czego?

Kolor ciała Piurivara zmienił się z bladozielonego na ciemniejszy, soczysty. Skośne oczy zamknęły się kilkakrotnie, raz za razem.

–Dziś w nocy rozmawiałem z członkiem ekipy archeologów, kobietą imieniem Hieekraad, która rejestruje wydobyte w trakcie prac przedmioty. Przyprowadził ją do mnie nadzorca robotników, Vathiimeraak. Wydaje mi się, że są kochankami.

Valentine poruszył się niecierpliwie.

–Wróć do sprawy, Aarisiimie.

–Właśnie miałem zamiar, Wasza Wysokość. Ta Hieekraad, jak się wydaje, opowiedziała Vathiimeraakowi takie rzeczy o wykopaliskach, jakich zwykły nadzorca sam nie mógłby się dowiedzieć. On właśnie opowiedział mi o tym wczoraj wieczorem.

–I?

–Okłamywali nas, Wasza Wysokość. Wszyscy ci archeolodzy, cała grupa. Świadomie ukrywali coś ważnego. Coś bardzo ważnego, jakieś bardzo znaczące odkrycie. Kiedy Vathiimeraak dowiedział się od Hieekraad, że oszukano nas w ten sposób, skłonił ją, by do mnie przysłała i powiedziała całą prawdę.

–Mów dalej.

–Chodzi o to... – Aarisiim przerwał. Zachwiał się, jakby lada moment miał się zwalić w bezdenną otchłań. – Dwa tygodnie przed śmiercią doktor Huukaminaan odkrył grób, o którym wcześniej nikt nic nie wiedział. Znajdował się na pustym, nie zabudowanym terenie po zachodniej stronie miasta. Huukaminaanowi towarzyszyła Magadone Sambisa. Był to grób z czasów historycznych, już po opuszczeniu miasta. Powstał niedługo po rządach Lorda Stiamota.

–Ale jak to możliwe? – Valentine zmarszczył brwi. – Pomijając już tak drobną i mało ważną sprawę, że na miasto rzucono klątwę i że żaden Piurivar nie ośmielił się postawić tu stopy

po jego zniszczeniu, Stiamot zesłał ich przeciw wszystkim do rezerwatów na Zimroelu! Sam doskonale o tym wiesz. Coś tu się nie zgadza.

–Wasza Wysokość, to nie był grób Piurivara.

–Co?!

–Pochowano w nim człowieka. Hieekraad twierdzi, że człowiek ten był Pontifexem.

Valentine mniej by się zdumiał, gdyby Aarisiim podłożył mu pod namiot ładunek wybuchowy.

–Pontifexem? Tu, w Velalisier, pochowano Pontifexa?

–Tak twierdzi Hieekraad. Jej zdaniem, nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. Na ścianie grobowca są symbole Labiryntu, tego rodzaju rzeczy... przy ciele znaleziono insygnia ceremonialne... zachowały się inskrypcje... wszystko to wskazuje, że mamy do czynienia z grobowcem Pontifexa, z grobowcem sprzed tysięcy lat. Tak mi powiedziała i według mnie, mówiła prawdę. Vathiimeraak stał nad nią, kiedy rozmawialiśmy, i nic, tylko się w nią wpatrywał. Sądzę, że była wówczas zbyt przestraszona, by kłamać.

Valentine wstał. Chodził po namiocie, nie mogąc się opanować.

–Na Boginię, Aarisiimie! Jeśli to prawda, to powinienem ją poznać, nim ujrzała światło dzienne. A w najgorszym razie archeolodzy winni przedstawić mi ją, gdy tu przyjechałem. Jest tu grób Pontifexa sprzed tysiącleci, a oni to przede mną ukrywają! Nie do wiary!

–To Magadone Sambisa zakazała rozpowszechniać wiadomości o tym odkryciu. Nikt nie miał się o nim oficjalnie dowiedzieć. Nawet robotnikom nie powiedziano, co wykopali. Mieli o tym wiedzieć tylko pracujący na miejscu archeolodzy.

–Według świadectwa Hieekraad, prawda?

–Tak jest, Wasza Wysokość. Powiedziała mi, że Magadone Sambisa wydała odpowiednie polecenia, gdy tylko otwarto grobowiec. A potem dodała, że doktor Huukaminaan sprzeciwiał się jej poleceniom i że w tej sprawie doszło do poważnego nieporozumienia. W końcu zwyciężyła jednak Sambisa. Gdy doktor Huukaminaan padł ofiarą morderstwa i gdy rozeszła się wieść, że to ty, Wasza Wysokość, zamierzasz osobiście przeprowadzić śledztwo tu, w Velalisier, Magadone Sambisa zwołała odprawę personelu i zarządziła, że nie wolno powiedzieć ci o tym ani słowa, Wasza Wysokość. Wszystkim biorącym udział w wykopaliskach oznajmiono, że właśnie tobie nie wolno nic o tym powiedzieć.

–Nieprawdopodobne – szepnął Valentine.

–Wasza Wysokość, proszę, byś podczas śledztwa chronił Hieekraad – nie wytrzymał Aarisiim. – Będzie miała poważne kłopoty, jeśli Magadone Sambisa dowie się, że to przez

nią historia grobowca ujrzała światło dzienne.

–Nie tylko Hieekraad będzie miała kłopoty. – Valentine poderwał się na równe nogi. Zrzucił nocną koszulę i zaczął się ubierać.

–Jest jeszcze jedna rzecz, Wasza Wysokość. Khivanivod... Torkkinuuminaad... jest w tej chwili przy tym grobie. To właśnie miejsce wybrał sobie na medytację. Poinformował mnie o tym ów nadzorca, Vathiimeraak.

–Doskonale. – Valentine poczuł, jak kręci mu się w głowie. – Piurivarski wiejski szaman bełkocze sobie te swoje modlitwy na grobie Pontifexa. Toż to cudowne! Aarisiimie, przyprawdź natychmiast Magadone Sambisę.

–Wasza Wysokość, o tej godzinie...

–Słyszałeś, co powiedziałem?!

–Wasza Wysokość... – Metamorf wykazał się nareszcie wystarczającą uległością. Skłonił się nisko i udał na poszukiwanie Magadone Sambisy.

–Grób Pontifexa sprzed tysięcy lat i nikt nic o tym nie wie? Grób Pontifexa sprzed tysięcy lat, a kiedy urzędujący Pontifex przybywa zobaczyć wykopaliska, wszyscy robią wszystko, żeby tylko się o nim nie dowiedział? Upewniam panią, że wydaje mi się to absolutnie niewiarygodne.

Od świtu dzieliła ich jeszcze godzina. Magadone Sambisa, wezwana na rozmowę z Pontifexem wprost z łóżka, sprawiała wrażenie jeszcze bledszej i bardziej wyczerpanej niż poprzedniego dnia, a w jej oczach błysnął nawet strach. Mimo wszystko tkwiła w niej wciąż ta niezmożona siła, która uczyniła ją najwybitniejszą przedstawicielką reprezentowanego przez nią zawodu, a w głosie kobiety brzmiało nawet wyzwanie.

–Kto powiedział ci o tym grobie, Wasza Wysokość? Valentine nie podjął wyzwania.

–To pani rozkazała, by nikomu o nim nie mówić, prawda?

–Tak.

–Jak rozumiem, doktor Huukaminaan gwałtownie się temu sprzeciwiał?

Udało mu się wzbudzić jej gniew.

–Powiedzieli ci wszystko, Wasza Wysokość. Kto? Kto?!

–Proszę nie zapominać, że to ja tu zadaję pytania. A więc prawdą jest, że doktor Huukaminaan nie zgodził się z panią w sprawie zatajenia tego odkrycia?



–Tak – powiedziała cicho archeolog.

–Dlaczego?

–Uważał, że dopuściłby się w ten sposób występku przeciwko prawdzie. –

Magadone Sambisa wciąż mówiła bardzo cicho. – Wasza Wysokość, musisz zrozumieć, że doktor Huukaminaan poświęcił się wyłącznie pracy. Tak jak my, chciał poznać nieznaną fakty z przeszłości naszej planety, przestrzegając rygorystycznie formalnych zasad archeologii. Interesowała go jedynie archeologia, był prawdziwym, klasycznym naukowcem.

–Tymczasem pani nie poświęciła się archeologii aż do tego stopnia, prawda?

Magadone Sambisa zarumieniła się i uciekła wzrokiem w bok.

–Przyznaję, że to, co zrobiłam, można interpretować w ten właśnie sposób. Czasami jednak nawet poszukiwanie prawdy musi ustąpić miejsca surowej rzeczywistości, przynajmniej na jakiś czas. Pontifex z pewnością temu nie zaprzeczy. Miałam swoje powody, moim zdaniem bardzo ważne, by nie rozpowszechniać wiadomości o odkryciu grobu. Doktor Huukaminaan nie zgadzał się ze mną w tej sprawie. Długo się spieraliśmy. Pierwszy raz doszło do konfliktu między nami, kierującymi wspólnie tą ekspedycją.

–I w końcu trzeba go było zamordować, tak? Ponieważ zgodził się wprawdzie z panią, ale niechętnie, i nie była pani pewna, czy się przypadkiem nie wygada?

–Wasza Wysokość! – W tym okrzyku brzmiało niewiarygodne wręcz zdumienie.

–Przecież mógł to być motyw morderstwa, prawda?

Sambisa wpatrywała się w niego nieprzytomnie. Rozłożyła bezradnie ręce w geście błagania. Przez dłuższą chwilę nie była w stanie nic powiedzieć, potem jednak odzyskała przytomność umysłu.

–Wasza Wysokość, to, co sugerujesz, uważam za wyjątkowo obraźliwe. Zataiłam odkrycie grobu, to prawda, ale przysięgam, że nie miałam nic wspólnego ze śmiercią doktora Huukaminaana. Nie mam słów, by opisać, jak bardzo go podziwiałam. Mieliśmy różne opinie w sprawach zawodowych, ale... – Umilkła i tylko potrząsnęła głową.

Sprawiła wrażenie do cna wyczerpanej. – Nie zabiłam go – powiedziała ledwie słyszalnie. – I nie mam pojęcia, kto to zrobił.

Valentine postanowił przyjąć jej wyjaśnienie, przynajmniej na razie. Nie potrafił uwierzyć, że Sambisa jedynie odgrywa przygnębienie.

–Doskonale – oznajmił. – Chciałbym się tylko dowiedzieć, dlaczego postanowiła pani ukryć

fakt odkrycia grobu?

–By to wyjaśnić, Wasza Wysokość, muszę wpierw opowiedzieć ci starą piurivarską legendę wywodzącą się z mitologii tego narodu. Usłyszałam ją od khivanivoda Torkkinuuminaada w dniu, gdy znaleźliśmy grobowiec.

–Czy to konieczne?

–Owszem, Wasza Wysokość.

–W takim razie słucham – westchnął Valentine.

Magadone Sambisa zwilżyła wargi i wzięła głęboki oddech.

–Pewnego razu był sobie Pontifex – zaczęła – który rządził niedługo po podbiciu Piurivarów przez Lorda Stiamota. Jako bardzo młody człowiek Pontifex ów walczył w tej wojnie. Zarządzał obozem jenieckim. Słuchał tam historii, które jeńcy opowiadali sobie przy ognisku. Była wśród nich też historia Świątokradztwa w Velalisier.

Dowiedział się z niej, jak to Ostatni Król złożył w ofierze dwa smoki morskie, co doprowadziło do zniszczenia miasta. Dowiedział się także o Siódmej Piramidzie i o znajdującej się pod jej ruinami świątyni nazywanej Świątynią Upadku. Miały się w niej podobno znajdować przedmioty z czasów Świątokradztwa, które, według legendy, użyte w odpowiedni sposób, mogły obdarzyć właściciela niemal boską mocą władania czasem i przestrzenią. Młody żołnierz zapamiętał tę historię i wiele lat później, gdy został Pontifexem, przybył na pustynię z zamiarem odkrycia Siódmej Piramidy, Świątyni Upadku, i otwarcia jej.

–By zdobyć te magiczne przedmioty i wykorzystać je do uzyskania boskiej władzy nad czasem i przestrzenią?

–Oczywiście.

–Zdaje mi się, że wiem, jak się zakończy ta historia.

–Być może tak, Wasza Wysokość. Pontifex znalazł piramidę. Wykopano tunel i natrafiono na kamienny korytarz prowadzący do ściany, za którą znajdowało się wejście do świątyni. Poczynił przygotowania do jej zburzenia.

–Przecież powiedziała pani, że świątynia pozostała nietknięta. Że od czasu opuszczenia Velalisier nikt do niej nie wszedł. Tak mi się przynajmniej wydaje.

–Pozostała nietknięta. Jestem tego pewna.

–A więc ten Pontifex...?

–Miał właśnie rozbić ścianę, gdy Piurivar, który w nocy ukrył się w tunelu, przeszył mu serce

mieczem.

–Chwileczkę. – Valentine zaczął się irytować. – Mówi pani, że Piurivar pojawił się znikąd i zabił Pontifexa? P i u r i v a r? Niedawno rozmawiałem na ten temat z Aarisiimem. Nie tylko nie było wówczas na Alhanroelu Piurivarów, których Stiamot przeniósł do rezerwatów na Zimroelu, ale w dodatku Velalisier zostało obłożone klątwą przez samych Metamorfów: klątwą, która zakazywała przedstawicielom tej rasy choćby zbliżać się do miasta.

–Wszystkim z wyjątkiem strażników świątyni, którzy zostali wyjęci spod działania klątwy.

–Strażników świątyni? Jakich strażników? Nikt nigdy nie wspominał mi o jakichś strażnikach.

–Ja też dowiedziałam się o nich dopiero z opowieści Torkkinuuminaada. A jednak wydaje się, że w momencie zniszczenia i porzucenia miasta podjęto decyzję o pozostawieniu tu niedużej grupy strażników, której zadaniem było strzec siódmej świątyni, pilnować, by nikt się do niej nie włamał i nie przywłaszczył sobie znajdujących się tam przedmiotów. I ta grupa przetrwała w mieście przez stulecia. Strażnicy byli na miejscu, gdy pojawił się tu Pontifex. Jeden z nich ukrył się w tunelu i zabił Pontifexa, który zamierzał wdrzeć się do świątyni.

–Ludzie tego Pontifexa pochowali go tutaj? Dlaczegoż się na to zdecydowali?

Magadone Sambisa uśmiechnęła się.

–Oczywiście po to, żeby nie nagłaśniać sprawy – powiedziała. – Zastanów się, Wasza Wysokość: oto Pontifex przybywa do Velalisier po tajemnicze, magiczne i zakazane przedmioty, po czym zostaje zamordowany przez Piurivara, o którego istnieniu nikt nie miał pojęcia, Piurivara żyjącego w opuszczonym podobno mieście. Gdyby wieść o tym się rozniosła, wszyscy zostaliby skompromitowani.

–Rzeczywiście, to prawda.

–Urzędnicy Pontyfikatu z całą pewnością nie pragnęli, by świat dowiedział się, że Pontifexa zabito praktycznie pod ich nosem. Nie zależało im też szczególnie na nagłaśnianiu sprawy nie odkrytej świątyni, bo z pewnością ściągnęłoby to do Velalisier gromady poszukiwaczy. No i absolutnie nie należało rozgłaszać, że Pontifex zginął z ręki Piurivara, otworzyłoby to bowiem ledwie zabliznione rany z czasów podboju i doprowadziło zapewne do okrutnej akcji odwetowej.

–A więc tragiczna śmierć Pontifexa została ukryta.

–Tak jest. Wykopano mu grób w odległym zakątku miasta i pochowano, zachowując jakiś odpowiedni do sytuacji rytuał, po czym wszyscy wrócili z informacją, że Jego Wysokość zmarł nagle w ruinach na nieznaną chorobę, tak więc sprowadzanie jego ciała do Labiryntu celem odprawienia należnego królowi świata pogrzebu wydawało się nieostrożne. Pontifex

ów miał na imię Ghorban: jest ono wymienione w inskrypcji w komorze grobowej. Pontifex Ghorban, trzeci od czasów Lorda Stiamota. Istniał naprawdę. Sprawdziłam to w Domu Kronik. Jest tam wymieniony.

–Nie znam tego imienia.

–Niewielu je zna. Nie należał do najwybitniejszych Pontifexów. Poza tym kto pamięta ich wszystkich? Mieliśmy ich setki w ciągu całych tysięcy lat naszej historii. Ghorban był Pontifexem bardzo krótko, a jedyne znaczące wydarzenie z czasów jego rządów bardzo troskliwie ukryto przed światem i wymazano z historii. Mówię oczywiście o wizycie w Velalisier.

Valentine skinął głową. Często przystawał przed wielką tablicą w Domu Kronik

w Labiryncie, wielokrotnie przyglądał się wypisanej na niej długiej liście władców, zwracając uwagę przede wszystkim na tych, którzy zostali zapomniani. Meyk, Spurifon, Hesnaine, Kandibal... i wielu, wielu innych. W swych czasach musieli być wielcy, lecz ich czasy minęły tysiące lat temu. Skoro tak twierdziła Magadone Sambisa, na liście było też niewątpliwie imię Ghorbana, który przez pewien czas rządził w chwale jako Koronał Lord Ghorban, mieszkał na szczycie Góry Zamkowej, a następnie, w sile wieku, wstąpił na tron Pontifexa, z jakiegoś powodu złożył wizytę w przeklętym Velalisier, gdzie zginął, został pogrzebany i odszedł w niepamięć.

–Przedziwna opowieść – stwierdził Valentine. – Ale jaki ma związek ze sprawą ukrycia grobu Ghorbana?

–Przyświecają mi te same cele, które przyświecały urzędnikom Pontyfikatu, kiedy decydowali o ukryciu prawdziwej przyczyny śmierci swego władcy. Jak wiesz, Wasza Wysokość, zwykli ludzie wystarczająco boją się Velalisier. Straszna historia Świątokradztwa, klątwa, opowieści o grasujących wśród ruin duchach, fakt, że miasto sprawia rzeczywiście przerażające wrażenie... przecież wiesz, Wasza Wysokość, jacy są ludzie, z jakimi obawami przyjmują wszystko, co nowe. Obawiałam się, że jeśli historia Ghorbana wyjdzie na jaw... tajemnicza świątynia, poszukiwania tajemniczej, magicznej wiedzy przez zapomnianego Pontifexa sprzed tysiącleci, jego śmierć z ręki Piurivara... że spowoduje to tak silną reakcję ludzi skierowaną przeciw prowadzonym w Velalisier wykopaliskom, iż zostaną one zarzucone. Tylko o to mi chodziło, Wasza Wysokość. Można chyba powiedzieć, że próbowałam uratować pracę. Nic więcej.

Była to zaiste zawstydzająca spowiedź. Magadone Sambisa opowiadała o śmierci dawnego Pontifexa głośno, z zapalem, lecz teraz głos miała cichy, płaski, bez wyrazu. Valentine uznał to za jeszcze jeden dowód na to, że archeolog mówi prawdę.

–Doktor Huukaminaan nie zgadzał się z twierdzeniem, że ujawnienie odkrycia grobu może stanowić zagrożenie dla prac, tak?

–Uznawał, że takie ryzyko istnieje. Ale to go nie obchodziło. Nie obchodziło go, że ludzie mogą zażądać zamknięcia wykopalisk i że wówczas przez najbliższe pięćdziesiąt, sto czy pięćset lat nikt nie będzie tu pracował. Kryszałowa uczciwość nie pozwalała mu na ukrycie fragmentu historii, niezależnie od motywów, którymi by się przy tym kierowano. Pokłóciliśmy się i wreszcie zmusiłam go, by uznał mój punkt widzenia. Przecież wiesz, Wasza Wysokość, jaka potrafię być uparta. Ale nie zabiłam go. Gdybym miała kogoś zabić, to przecież nie doktora Huukaminaana. Wybrałabym raczej khivanivoda, który rzeczywiście próbuje doprowadzić do zamknięcia wykopalisk w Velalisier.

–Doprawdy? Powiedziała pani, że doskonale zgadzał się z doktorem Huukaminaanem.

–W zasadzie tak. Ale wczoraj powiedziałam także, że w jednej sprawie mieli zdecydowanie odmienne poglądy. Chodziło o otwarcie świątyni. Jak wiesz, Wasza Wysokość, ja i doktor chcieliśmy ją otworzyć, gdy tylko ty i Lord Hissune znajdziecie się na miejscu. Khivanivod sprzeciwiał się temu bardzo gwałtownie. Nie zgłaszał zastrzeżeń do naszej pracy, lecz jeśli chodzi o świątynię, był nieubłagany. Powtarzał raz za razem, że Świątynia Upadku to Święte Świętych, najświętsze miejsce Piurivarów.

–I w tym zapewne ma rację.

–Czy więc ty też, Wasza Wysokość, uważasz, że nie powinniśmy otwierać świątyni?

–Uważam tylko, że niektórym najważniejszym przywódcom Piurivarów niekoniecznie musi się to spodobać.

–Przecież sama Danipiur dała nam prawo do prowadzenia prac w Velalisier! Więcej, zarówno ona, jak i inni przywódcy Piurivarów rozumieją, że przybyliśmy tu, by odbudować miasto, najlepiej, jak to będzie możliwe, odwrócić skutki działania czasu, tysiący lat, podczas których niszczało ono i nikogo to nie obchodziło! Temu nie mogą się przecież sprzeciwiać. Po trzecie i najważniejsze, by mieć całkowitą pewność, że nie urazimy czymkolwiek Piurivarów, przystaliśmy na to, że w ekipie znajdzie się tyle samo ich archeologów co obcych oraz że doktor Huukaminaan i ja będziemy kierować pracami na równych prawach.

–A jednak gdy doszło między wami do pierwszego poważnego sporu, okazało się, że jest pani nieco równiejsza, prawda?

–W tej jednej sprawie, sprawie grobu Ghorbana, rzeczywiście. – Magadone Sambisa sprawiała wrażenie nieco wytrąconej z równowagi. – Ale był to oczywisty wyjątek. Poza tym zgadzaliśmy się we wszystkim, dosłownie we wszystkim. Na przykład w sprawie otwarcia świątyni.

–Tę decyzję zawetował khivanivod, nie mylę się?

–Wasza Wysokość, khivanivod nie ma prawa wetować niczego.

Umowa stanowi, że każdy Piurivar, który z powodów religijnych sprzeciwi się jakiemuś aspektowi naszej pracy, może zgłosić swój sprzeciw Danipiur, a ta rozsądzi sprawę w porozumieniu z tobą, panie, albo z Lordem Hissune'em.

–Owszem. To ja opracowałem ten dekret. – Valentine przymknął oczy i przycisnął powieki palcami. Od samego początku powinien się przeciw spodziewać tego rodzaju problemów. Velalisier miało tragiczną historię. Zdarzyło się tu wiele strasznych rzeczy. Miasto otaczała wciąż tajemnicza aura magii Zmiennekształtnych, mimo że popadło w ruinę przed tysiącami lat.

Czyżby spodziewał się, że zniknie ona, gdy rozpoczną tu pracę archeolodzy?

Niestety, archeolodzy także się w niej zanurzyli. Po pewnym czasie otworzył oczy i powiedział:

–Z tego, co mówił mi Aarisiim, wnoszę, że miejscem, w którym khivanivod postanowił odprawić swe medytacje, jest grób Ghorbana, którego istnienie próbowała pani ukryć przede mną z takim wysiłkiem, i że w tej chwili tam właśnie przebywa. Nie mylę się?

–O ile wiem, nie, Wasza Wysokość.

Pontifex podszedł do wyjścia z namiotu i spojrzał na zewnątrz. Na wielkiej kopule niebios pojawiły się pierwsze ciemnożółte pasma zwiastujące zbliżanie się świtu.

–Zeszłej nocy wydałem polecenie, by wysłano na jego poszukiwanie posłańca, a pani upewniła mnie, że posłaniec zostanie wysłany. Oczywiście nie powiedziała mi pani, że wie, gdzie kryje się khivanivod. Skoro pani wie, proszę wysłać posłańca natychmiast. Chcę z nim porozmawiać dziś, z samego rana.

–A jeśli nie zechce przyjść, Wasza Wysokość?

–Macie sprowadzić go siłą.

Khivanivod Torkkinuuminaad wyglądał i zachowywał się dokładnie tak obrzydliwie, jak mogło to wynikać ze słów Magadone Sambisy, choć należało przypuszczać, iż to, że ochrona Valentine'a musiała zagrozić, że wywlecze go siłą z grobu Ghorbana, z pewnością nie poprawiło mu humoru. To Lisamon Hultin, nie zważając na groźby i przekleństwa, kazała mu opuścić grób. Zaklęcia Piurivarów nie przeraziły jej w najmniejszym nawet stopniu; zapowiedziała po prostu khivanivodowi, że jeśli nie pójdzie na spotkanie z Pontifexem z własnej woli i na własnych nogach, to ona go po prostu na to spotkanie zanieśli.

Szaman Zmiennekształtnych okazał się starym, wynędzniałym mężczyzną, którego cały strój stanowiła przepaska na biodrach, wykonana z cienkich pasm suszonej trawy, i obrzydliwy

amulet zrobiony z plecionych nóg owadów i tym podobnych rzeczy, wiszący na jego szyi na porwanym, brudnym sznurku. Był tak stary, że skórę miał bardziej szarą niż zielonkawą. Skośne oczy, pogrążone głęboko w luźnych zwojach grubej skóry, patrzyły na Pontifexa z wściekłością.

Valentine zaczął rozmowę pojednawczym tonem.

–Proszę o wybaczenie za zakłócenie medytacji. Nim wrócę do Labiryntu, muszę jednak załatwić pewne nie cierpiące zwłoki sprawy, a twoja obecność była w tym celu niezbędna.

Szaman nie odezwał się ani słowem. Valentine zignorował jego milczenie.

–Przede wszystkim na terenie wykopalisk popełniono poważne przestępstwo.

Zabójstwo doktora Huukaminaana jest zbrodnią nie tylko przeciw sprawiedliwości, lecz również przeciw wiedzy. Jestem tu po to, by odszukać i ukarać zabójcę.

–A co to ma wspólnego ze mną? – spytał khivanivod, przyglądając się Pontifexowi ponurym wzrokiem. – Skoro popełniono morderstwo, musisz znaleźć i ukarać mordercę, jeśli czujesz, że takie jest twoje zadanie. Dlaczego jednak słudze Bogów, Którzy Są brutalnie, siłą przerywa się święte z nimi obcowanie? Ponieważ rozkazał tak Pontifex Majipooru? – Metamorf roześmiał się ochryple. – Pontifex! Dlaczego polecenia Pontifexa miałyby cokolwiek dla mnie znaczyć? Służę tylko Bogom, Którzy Są.

–Słyszysz także Danipiur. – Valentine nie tracił cierpliwości. – I ja, i Danipiur jesteśmy zaś władcami Majipooru. – Wskazał palcem archeologów: ludzi, nie ludzi i Piurivarów, stojących nieopodal w jednej grupie. – Oni wszyscy pracują dziś w Velalisier, ponieważ Danipiur wyraziła zgodę na zamieszkanie w mieście. Zdaje się, że ty sam też jesteś tu, gdyż zezwoliła na to Danipiur. Słyszysz poradą duchową tym członkom swej rasy, którzy tu pracują.

–Jestem tu, ponieważ chcą tego Bogowie, Którzy Są i z żadnego innego powodu.

–Niech będzie, jak mówisz. Teraz jednak stoi przed tobą twój Pontifex. Będzie zadawał ci pytania, a ty na nie odpowiesz.

Jedyną odpowiedzią było kwaśne spojrzenie szamana.

–W sąsiedztwie ruin Siódmej Piramidy odkryto świątynię – mówił dalej Valentine. – Jak rozumiem, zmarły doktor Huukaminaan zamierzał ją zbadać. Ty stanowczo się temu sprzeciwiałeś. Czy to prawda?

–Tak, to prawda.

–Na jakiej podstawie?

–Świątynia jest miejscem świętym, którego nie mogą zbrukać dłonie profanów.

–Jakie może być miejsce święte w mieście, które zostało obłożone klątwą?

–Mimo to świątynia jest święta – powtórzył z uporem khivanivod.

–Mimo że nikt nie wie, co się w niej znajduje?

–Ja wiem, co się w niej znajduje.

–Ty? Skąd?

–Jestem strażnikiem świątyni. Wiedzę tę strażnicy przekazują z pokolenia na pokolenie.

Valentine poczuł, jak wzdłuż kręgosłupa przebiega mu zimny dreszcz.

–Ach! Strażnik! Strażnik świątyni. – Umilkł na chwilę. – A więc, jak sądzę, jesteś oficjalnie naznaczonym następcą strażnika, który kiedyś, przed tysiącami lat, zamordował tu Pontifexa? A miejsce, w które się udałeś, by odprawić swe modły, to grób tegoż Pontifexa. Tak mi przynajmniej powiedziano. Czy to prawda?

–Tak, to prawda.

–W takim razie – Valentine uśmiechnął się lekko – jestem zmuszony rozkazać moim strażnikom, by zwrócili na ciebie szczególną uwagę. W tej chwili bowiem, przyjacielu, wydaję Magadone Sambisie i jej kolegom polecenie, by przygotowali się do otwarcia siódmej świątyni. Jak rozumiem, decyzja ta może ściągnąć na moją głowę niebezpieczeństwo. Z twoich rąk.

Torkkinuuminaad sprawiał wrażenie bezgranicznie zdumionego. Nagle, gwałtownie i nieopanowanie, zaczął zmieniać kształty, to kurcząc się, to wyciągając, a zarys jego ciała zamazywał się lub wyostrzał z nieprawdopodobną wręcz szybkością. Archeolodzy – ludzie, dwóch Ghayrogów i mała grupka Piurivarów – gapili się na Pontifexa, jakby powiedział coś, czego nie da się objąć rozumem. Oszołomieni byli chyba nawet Tunigom, Mirigant i Nascimonte. Tunigom obrócił się i powiedział coś, na co Mirigant zareagował wyłącznie wzruszeniem ramion; stojący obok Nascimonte także wzruszył bezradnie ramionami.

–Wasza Wysokość – przerwała milczenie Magadone Sambisa. Głos miała ochryply. – Czy dobrze cię zrozumiałam? Byłam pewna, że niedawno oznajmiłeś, iż dla wszystkich będzie najlepiej, jeśli świątynia pozostanie zamknięta.

–Ja miałem tak powiedzieć? Ja? – Valentine potrząsnął głową. – Ależ nie, skąd! Ile czasu potrzebujecie, by przygotować się do pracy?

–Ile... chwileczkę. – Archeolog mówiła bardziej do siebie niż do obecnych. – Urządzenie



nagrywające, oświetlenie, wiertła do kamienia... – Ucichła, kończąc rachunek w myślach. – Będziemy gotowi za około pół godziny – oznajmiła.

–Doskonale. A więc zabierajcie się do roboty.

–Nie! – zapiszczał Torkkinuuminaad z wściekłością. – To się nie może zdarzyć!

–Ale się zdarzy – oznajmił Valentine. – W twojej obecności. Obaj będziemy się temu przyglądać. – Gestem przywołał Lisamon Hultin. – Porozmawiaj z nim, Lisamon – powiedział. – Uświadom mu tak dobitnie, jak okaże się to konieczne, że będzie dla niego znacznie lepiej, jeśli zachowa spokój.

–Wasza Wysokość, czy mówisz poważnie? – nie wytrzymała Magadone Sambisa.

–O, tak. Nawet bardzo poważnie.

Ten dzień zdawał się mieć sto godzin.

W normalnych warunkach otwarcie każdego zamkniętego szczelnie przez wieki pomieszczenia jest zajęciem bardzo skomplikowanym. W tym wypadku, ze względu na symboliczne znaczenie świątyni, możliwe polityczne implikacje jej otwarcia oraz wagę całej sprawy, postępowano ze szczególną ostrożnością.

Valentine oczekiwał na zakończenie pierwszego etapu pracy na powierzchni. Wyjaśniono mu, czym zajmowała się w tej chwili ekipa: prowadzono kable oświetlenia; kładzono rury służące do wentylowania pomieszczenia w trakcie wiercenia w murze; za pomocą urządzeń dźwiękowych upewniano się, że rozbicie ściany chroniącej wejście nie spowoduje zawalenia się stropu podziemnej sali; sprawdzano także, czy tuż przy niej nie znajdują się jakieś ważne przedmioty i czy konieczne prace murarskie nie spowodują ich zniszczenia.

Trwało to wiele godzin, lecz wreszcie rozpoczęto cięcie muru.

–Chciałbyś to zobaczyć, Wasza Wysokość? – spytała Magadone Sambisa.

Mimo założenia wentylacji Valentine natychmiast stwierdził, że w tunelu oddycha się z trudem. Powietrze było gorące i martwe już podczas jego pierwszej wizyty, teraz jednak, gdy w środku tłoczyło się kilka osób, było w dodatku rozrzedzone. Musiał mocno wyęźać płuca, a i tak kręciło mu się w głowie.

Grupa archeologów rozstąpiła się, pozwalając mu przejść. Jaskrawe światło odbijało się od białej, kamiennej fasady świątyni i oślepiało go. W przejściu znajdowało się pięć osób: trójka Piurivarów i dwójka ludzi. Wierceniem zajmował się osobiście potężny nadzorca kopaczy, Vathiimeraak. Asystował mu Kaastisiik, szef wykopalisk. Za nimi stał Driismil, specjalista z zakresu architektury, któremu towarzyszyła kobieta, Shimrayne Gelvain – architektura była najwyraźniej także jej specjalnością. Magadone Sambisa, ostatnia w

kolejce, spokojnym głosem wydawała polecenia.

Ścianę rozbierano kamień po kamieniu. Oczyszczono już mniej więcej ćwierć metra kwadratowego, tuż nad rzędem nisz ofiarnych. Za ścianą znajdował się nierówny mur grubości najwyżej jednej cegły. Vathiimeraak, mrużąc coś do siebie w swoim języku, wybijał właśnie dłutem jedną z cegieł. Kiedy wyleciała, rozpadając się na drobne kawałki, ich oczom ukazała się ściana wewnętrzna z tego samego kamienia co ściany korytarza.

Prace murarskie przerwano. Zmierzono szereg warstw ściany, wykonano zdjęcia. Następnie Piurivar wrócił do wiercenia. Valentine poczuł, że od oddychania nieruchomym, kwaśnym powietrzem robi mu się niedobrze, ale zwalczył słabość.

Vathiimeraak naciął kamień nieco głębiej, cofnął się i pozwolił Kaastisiikowi usunąć okruchy. Dwójka architektów dokładnie obejrzała odsłonięty fragment kamiennej ściany, wymieniła kilka uwag, po czym oboje uzgodnili coś z Magadone Sambisą. Vathiimeraak gotów był już wrócić do wiercenia.

–Potrzebujemy światła – powiedziała nagle Sambisa. – Niech ktoś poda mi lampę.

Któraś ze stojących z tyłu osób miała lampę. Archeolodzy podawali ją sobie, aż trafiła do ich szefa. Sambisa poświeciła nią przez otwór w murze i aż westchnęła ze zdumienia.

–Wasza Wysokość... Wasza Wysokość, proszę tu wrócić i spojrzeć.

Do wnętrza świątyni wpadał pojedynczy promyk światła lampy.

W jego blasku Valentine dostrzegł obszerną prostokątną salę; jeśli nie liczyć dużej, kwadratowej kamiennej płyty, była całkowicie pusta. Samą płytę wykuto najwyraźniej ze szklistego czarnego opalu pokrytego żyłkami szkarłatnego rubinu. Z podobnego materiału sporządzono stojący w Zamku wspaniały tron Confalume'a.

Na płycie leżały jakieś przedmioty, z tej odległości nie sposób było powiedzieć jakie.

–Jak długo potrwa wybicie wejścia wystarczająco dużego, by zmieścił się w nim człowiek?

–Okolo trzech godzin, Wasza Wysokość.

–Uporajcie się z tym w dwie. Zaczekam na górze. Wezwijcie mnie, gdy będziecie gotowi. I proszę dopilnować, by nikt nie wszedł do świątyni przede mną.

–Daję ci na to moje słowo – obiecała Magadone Sambisa.

Po godzinie oddychania starym powietrzem tunelu nawet pustyńne, gorące i suche, było

prawdziwym błogosławieństwem dla płuc. Długie cienie, ciągnące się od podstaw wygiętych w półksiężyc wydm, powiedziały Valentine'owi, że popołudnie nadeszło dawno i że już mija. Tunigorn, Mirigant i Nascimonte krążyli niecierpliwie, omijając szczątki zwałonej piramidy. Vroon Deliamber stał nieruchomo w pewnej odległości od nich.

–No i co? – spytał Tunigorn.

–Wybili w ścianie niewielki otwór. W środku coś jest, na razie jednak nie wiemy co.

–Skarby? – Tunigorn uśmiechnął się pożądliwie. – Góry szmaragdów, diamentów i jadeitu?

–Oczywiście. I nie tylko szmaragdów, diamentów i jadeitu. Skarby. Nieprzeliczone skarby, Tunigornie. – Zachichotał i obrócił się. – Masz trochę wina, Nascimonte?

–Jak zwykle, przyjacielu. Wino z Muldemar. Doskonały rocznik.

Wręczył butelkę Pontifexowi, a ten przechylił ją do ust, nie przerywając, by zachwycić się bukietem – traktował wino jak wodę.

Cienie wydłużyły się. Na horyzoncie pojawił się fragment jednego z pomniejszych księżyców.

–Wasza Wysokość? Czy zechciałbyś zejść na dół?

Valentine wszedł do tunelu za archeologiem Vo-Siimifonem.

Otwór w ścianie był już wystarczająco duży, aby mógł przejść przezeń jeden człowiek. Magadone Sambisa wręczyła Pohnfexowi lampę. Ręka jej drżała.

–Wasza Wysokość, muszę cię prosić, byś niczego nie dotykał i byś w żaden sposób nie zakłócił integralności świątyni. Nie odbierzemy ci przywileju pierwszeństwa, proszę jednak, abyś pamiętał, że jesteśmy ekspedycją naukową.

–Rozumiem – rzekł Valentine. Przekroczył kamienny próg, pozostałość po ścianie, która maskowała niegdyś wejście do świątyni, i wstąpił do środka.

Podłogę zrobiono z jakiegoś lśniącego kamienia, być może różowego kwarcu. Pokrywała ją cienka warstewka kurzu. Nikt nie stąpał po tej podłodze od dwudziestu tysięcy lat, pomyślał Valentine. I nigdy, nigdy nie powstała na niej stopa człowieka.

Podszedł do potężnego bloku czarnego kamienia znajdującego się pośrodku wnętrza i oświetlił go. Tak, był to jeden fragment oszlifowanego czarnego opalu z żyłkami rubinu, taki sam jak ten, z którego wykonano tron Confalume'a. Spoczywał na nim pojedynczy arkusz złotej blachy, również przykryty cienką warstwą pyłu tłumiącą odbity blask jasnego światła lampy. Arkusz ozdabiał skomplikowany piurivarski ornament oraz oszlifowane w kaboszon

kamienie, najprawdopodobniej beryle, czerwony chalcedon i lazuryt. W centrum leżały obok siebie dwa długie, białe przedmioty, które mogły być sztyletami wyciętymi z białego kamienia. Na ich widok Valentine poczuł dreszcz zachwytu i zdumienia. Wiedział, czym są.

–Wasza Wysokość! Wasza Wysokość! – krzyknęła Magadone Sambisa. – Powiedz nam, co widzisz. Proszę! Bardzo proszę!

Valentine nie odpowiedział – było zupełnie tak, jakby Magadone Sambisa wcale się nie odezwała. Pograżył się we wspomnieniach, cofnął do odległej o osiem lat chwili, gdy kończył się Bunt Faraatay.

Trzymał wówczas w dłoni ostry, długi biały przedmiot, dokładnie taki jak te dwa, i czuł jego przedziwny chłód, chłód zwiastujący ukryte gdzieś, pod nim, jądro płomienia. Słyszał odległą muzykę przenikającą do jego umysłu, wir oszałamiających dźwięków.

Wówczas, w tej godzinie, trzymał w dłoni ząb smoka morskiego. Jakaś tajemnicza moc tego zęba sprawiła, że połączył swój umysł z umysłem króla wody Maazmoorna, smoka dalekiego Morza Wewnętrzznego. Dzięki tej pomocy Valentine Pontifex sięgnął przez cały świat, zadał decydujący cios niepoprawnemu buntownikowi imieniem Faraataa i zakończył jego powstanie.

Czyje były te zęby?

Wydawało mu się, że potrafi odpowiedzieć na to pytanie. Stał w Świątyni Upadku, w Miejscu Świętokradztwa. Dawno temu niedaleko stąd dwaj królowie wód wyłowieni z oceanu zostali złożeni w ofierze na ołtarzach z niebieskiego kamienia. I nie był to mit, lecz historia. Valentine wiedział o tym doskonale, Maazmoorn pokazał mu bowiem ówczesne wydarzenia podczas połączenia umysłów, i to w sposób, który wykluczał

wszelkie wątpliwości. Znał nawet imiona zabitych smoków: król wód Niznorn i król wód Domsitor. Czy jeden z tych zębów należał do Niznorna, a drugi do Domsitora?

Dwadzieścia tysięcy lat.

–Wasza Wysokość! Wasza Wysokość!

–Jeszcze chwilę – oznajmił Valentine, jakby mówił z drugiego końca świata.

Wybrał ząb po lewej. Chwycił go mocno i syknął, gdy jego chłód sparzył mu palce. Zamknął oczy, poddając umysł smoczniej magii. Poczuł, jak jego duch szybuje coraz dalej i dalej, aż ku jakiemuś smokowi pogrążonemu w morskiej głębi – być może znów Maazmoornowi lub któremuś z wielu innych gigantycznych władców oceanów – a przez cały czas słyszał głęboki ton dzwonów, grzmącą muzykę umysłu stworzenia.

Otrzymał dar wizji i zobaczył prastarą ofiarę, ujrział zdarzenie znane pod nazwą Upadku.

Ze spotkania z Maazmoornem, z połączenia z jego umysłem wiedział, że nazwa „Upadek” jest błędna. Nie doszło do żadnego Świętokradztwa. Smoki dobrowolnie złożyły się w ofierze, formalnie akceptując w ten sposób potęgę Tego, Co Jest, największej siły w naturze.

Smoki dobrowolnie ofiarowały się na śmierć Piurivarom z dawnego Velalisier. Piurivarzy z Velalisier być może nawet wiedzieli, co robią, lecz ich prości krewni z otaczających miasto prowincji nie mieli o tym najmniejszego pojęcia. Ci prymitywni tubylcy wymyślili więc sobie Świętokradztwo, uśmiercili Ostatniego Króla Velalisier, obalili Siódmą Piramidę, a następnie zburzyli swą starożytną stolicę i przeklęli ją na wieki. Tej świątyni wszakże nie ośmielili się ruszyć.

Ściskając w dłoni ząb, Valentine uczestniczył w ofierze smoków morskich. Nie ze związanymi, szarpiącymi się w więzach i wijącymi w furii smokami, jak widział to w koszmarze poprzedniej nocy. Nie. Teraz była to uroczysta ceremonia, dostojne poddanie się ciała nieuniknionej śmierci. A kiedy błysnęły ostrza noży, kiedy królowie wód zginęli, kiedy ich ciemne ciała niesiono na stosy i palono, aż po kraniec wszechświata poniósł się triumfujący ton wspaniałej harmonii.

Odłożył ten ząb i ujął drugi. Ścisnął go. Poczuł. Oddał się jego mocy.

Tym razem muzyka była bardziej nieharmonijna. Zobaczył jakiegoś nie znanego mu mężczyznę w średnim wieku ubranego w bogaty, wyraźnie historyczny strój, strój odpowiedni dla Pontifexa. Szedł ostrożnie tym samym korytarzem, w którym czekali teraz na niego archeolodzy, przyświecając sobie dymiącą pochodnią. Valentine obserwował Pontifexa sprzed wieków, podchodzącego do białej, dziewiczo czystej ściany świątyni. Widział, jak kładzie na niej dłoń i jak przyciska ją, jakby chciał otworzyć wejście tylko swą siłą. A potem obrócił się, skinął na robotników z kilofami

i łopatami i polecił im, by otworzyli mu drogę.

Nagle z mroku wyłoniła się jakaś postać. Zmiennokształtny, wysoki, chudy, o ponurej twarzy, zrobił krok do przodu, skoczył i jednym potężnym pchnięciem nie do sparowania uderzył od dołu w serce mężczyzny w szatach Pontifexa.

–Wasza Wysokość, błagam! – głos Magadone Sambisy brzmiał niemal rozpaczliwie.

–Tak – odpowiedział Valentine niewyraźnym głosem człowieka zbudzonego z głębokiego snu. – Już wychodzę.

Na razie miał dość wizji. Położył lampę na posadzce, kierując ją w stronę rozbitej ściany, by oświetlić sobie drogę do wyjścia. Ostrożnie ujął dwa smocze zęby, trzymając je lekko na obróconych w górę dłoniach i pilnując, by nie wzbudzić znów uściskiem ich mocy, teraz bowiem nie miał ochoty otwierać przed nimi umysłu, i ruszył w stronę wyjścia.

Archeolog spojrzała na niego, przerażona.

–Wasza Wysokość, proszę przecież, byś nie dotykał żadnych przedmiotów znajdujących się w świątyni, nie zakłócał jej...

–Tak. Wiem. To, co zrobiłem, zostanie mi wybaczone.

I nie była to bynajmniej prośba.

Przeszedł przez grupkę archeologów, którzy rozstępowali się przed nim, idącym w stronę wyjścia. Wszyscy wpatrywali się w to, co niósł na wzniesionych dłoniach.

–Przyprowadź mi khivanivoda – powiedział cicho do Aarisiima.

Słońce już niemal zaszło i ruiny nabierały powoli tajemniczego, groźnego wyglądu, który miały przede wszystkim w nocy, w chłodnym, jasnym, księżycowym świetle.

Zmiennokształtny oddalił się szybko, żeby wykonać polecenie. Valentine pragnął, by podczas otwierania świątyni szaman znalazł się jak najdalej, więc mimo gwałtownych protestów został związany i pozostawiony w obozie archeologów pod strażą kilku żołnierzy z gwardii Pontifexa. Dwaj potężni, włochaci Skandarzy przyprowadzili go teraz, trzymając mocno pod ramiona.

Nienawiść i gniew kipiały wręcz w Torkkinuuminaadzie niczym woda w gorącym źródle. Patrząc na jego zieloną, kanciastą, trójkątną twarz, Valentine odczuł nagle i z wielką mocą obecność starożytnej magii tego świata sięgającej ku niemu przez tysiąclecia, magii zrodzonej na beczasowym, mglistym Majipoorze o jego świcie, kiedy to tylko Zmiennokształtni, swobodni i wolni, wędrowali wśród wszystkich jego niezmiernych cudów.

Pontifex pokazał mu dwa smocze zęby.

–Czy wiesz, co to takiego, Torkkinuuminaadzie?

Napięły się ciężkie worki skóry otaczające oczy Metamorfa, oczy błyszczące żółto z wściekłości.

–Dopuszcieś się najstraszliwszej profanacji i umrzesz za to w najstraszliwszych mękach.

–A zatem wiesz, prawda?

–To Święte Świętych. Muszą natychmiast powrócić do świątyni.

–Dlaczego postanowiłeś zabić doktora Huukaminaana?

Khivanivod odpowiedział mu tylko gniewnym i niepokornym spojrzeniem.

Zabiłby mnie swą magią, gdyby tylko mógł, pomyślał Valentine. I dlaczego nie? Wiem przecież, czym dla niego jestem. Jestem władcą Majipooru, a zatem również wcieleniem Majipooru, więc gdyby jeden cios noża mógł zniszczyć nas wszystkich, dopełnić naszego przeznaczenia, on chętnie by go zadał.

Tak. Valentine był wcieleniem Wroga, wcieleniem tych wszystkich, którzy pewnego dnia spadli na Majipoor z jasnego nieba i zabrali świat Piurivarom, którzy tam, gdzie niegdyś rosły dziewicze lasy, gdzie rozciągały się dziewicze łąki, wybudowali ogromne miasta i których miliardy rozdarły delikatną materię, wrażliwą sieć ich życia.

–Spójrz na mnie – powiedział do szamana. – Spójrz mi prosto w oczy, Torkkinuuminaadzie.  
– I mocno zacisnął dłonie na talizmanach, które wyniósł ze świątyni.

Gdy zamykał umysł, ich potęga uderzyła w niego z przerażającą siłą. Odczuł pełnię wrażeń, nie wzmocnioną podwójnie, lecz zwielokrotnioną. Mimo to nie upadł, skoncentrował się i całą siłą swego umysłu wtargnął do umysłu khivanivoda.

Przyjrzał mu się, wkroczył weń i niemal natychmiast znalazł to, czego szukał.

Północ, ciemność. Na niebie rąbek księżyca. Niebo płonie gwiazdami. W ich świetle widać namioty archeologów. Z jednego z nich ktoś wychodzi. Piurivar. Chudy, w sile wieku, porusza się ostrożnie.

Doktor Huukaminaan.

Na drodze czeka na niego inna krucha postać, także Metamorf, także stary i chudy, ubrany dziwnie, niechlujnie.

To khivanivod przygląda się sobie okiem swego umysłu.

Za nim poruszają się jakieś niewyraźne postacie, jest ich pięć... sześć... siedem. Sami Zmiennokształtni. Wyglądają na mieszkańców wioski. Stary archeolog chyba ich nie widzi. Rozmawia z khivanivodem, który gestykuje, pokazuje mu coś. Toczy się jakaś dyskusja. Doktor Huukaminaan kręci głową. I znów gesty, znów wymiana słów. Dochodzi do jakiegoś porozumienia, wygląda na to, że problem został rozwiązany.

Na oczach Valentine'a szaman i archeolog idą razem drogą prowadzącą do serca ruin.

Wieśniacy wyłaniają się z cieni, w których dotychczas mieli kryjówkę. Otaczają starca, chwytają go, kneblują. Podchodzi do niego khivanivod.

Jest uzbrojony w nóż.

Valentine nie musiał obserwować, co działo się dalej. Nie chciał oglądać ani strasznej sceny ćwiartowania zwłok na kamiennej platformie, ani niesamowitego rytuału, który odbył się w wiodącym do świątyni korytarzu, kiedy to złożono głowę starego archeologa w niszy ofiarnej.

Rozluźnił dłonie zaciśnięte na smoczych zębach.

–A teraz – powiedział do szamana, na którego twarzy gniew i nienawiść zastąpił wyraz, który można byłoby wziąć niemal za rezygnację – nie ma już chyba powodu, by cokolwiek udawać. Dlaczego zabiłeś doktora Huukaminaana?

–Bo chciał otworzyć świątynię – odparł Metamorf głosem bez wyrazu.

–Tak. Oczywiście. Ale Magadone Sambisa też chciała ją otworzyć. Dlaczego nie zabiłeś więc jej?

–Był jednym z nas. Okazał się zdrajcą. Ona się nie liczy. A także dlatego, że był bardziej niebezpieczny dla naszej sprawy. Wiedzieliśmy, że jej zdołamy przeszkodzić w otwarciu świątyni, gdybyśmy tylko sprzeciwili się temu wystarczająco stanowczo. Jego nic nie było w stanie powstrzymać.

–Ale przecież świątynia została otwarta – zdziwił się Valentine.

–Owszem, jednak tylko dlatego, że ty tu przybyłeś. Gdyby nie to, doprowadzilibyśmy do zamknięcia wykopalisk. Śmierć Huukaminaana wzburzyłaby świat, udowodniła wszystkim, że Velalisier wciąż jest przeklęte. Przybyłeś i otworzyłeś świątynię, ale klątwa dosięgnie cię tak, jak przed wiekami dosięgła Pontifexa Ghorbana.

–Nie ma żadnej klątwy – powiedział spokojnie Valentine. – W mieście tym zdarzyło się wiele nieszczęść, lecz nie ciąży nad nim klątwa, tylko przekleństwo nieporozumień budowanych na nieporozumieniach.

–Świętokradztwo...

–Nigdy nie było też Świętokradztwa. Była za to ofiara. Zniszczenie miasta przez Piurivarów z prowincji było straszną pomyłką.

–Czy znasz naszą historię lepiej od nas, Pontifeksie?

–Znam. Lepiej od was. – Valentine spojrział na nadzorcę robotników. – Vathiimeraaku, w twojej wiosce mieszkają mordercy. Wiem, kim są. Wróć tam teraz i ogłoś, że jeśli winni wystąpią i przyznają się do zabójstwa, otrzymają przebaczenie po tym, jak w pełni oczyszczą swe dusze.

Następnie zwrócił się do Lisamon Hultin.



–Jeśli chodzi o khivanivoda, chcę, by przekazano go urzędnikom Danipiur. Odpowie za zbrodnię przed sądem swego narodu. To jej sprawa. Następnie...

–Wasza Wysokość! – krzyknął ktoś. – Uważaj!

Valentine obrócił się błyskawicznie. Skandarzy strzegący szamana cofnęli się i patrzyli na swe dłonie tak, jakby właśnie wyrwali je z rozżarzonego pieca. Torkkinuuminaad, wolny, zbliżył twarz do twarzy Pontifexa. Patrzył na niego z szatańskim napięciem.

–Pontifeksie – szepnął. – Spójrz na mnie, Pontifeksie. Spójrz na mnie!

Zaskoczony Valentine nie mógł się bronić. Poczuł, jak ogarnia go dziwne odrętwienie. Zęby smoka wysunęły się mu z bezwładnych dłoni. Szaman zmieniał teraz kształty w serii groteskowych, dokonywanych w szalonym tempie przekształceń, aż w pewnej chwili miał kilkanaście ramion i nóg, kilka ciał. Rzucił czar. Valentine czuł się jak ćma złapana w pajęczą sieć. Powietrze nagle wydało mu się gęste, zamazało przed oczami, znikąd pojawił się wiatr. Stał nieruchomo, próbując odwrócić wzrok od oczu khivanivoda, ale nie był w stanie tego dokonać. Nie był też w stanie pochylić się, dosięgnąć leżących tuż przy nim smoczych zębów. Stał i drżał oszołomiony. Czuł płomień w piersiach, nie mógł zaczerpnąć tchu.

Wokół siebie widział upiory. Widział Zmiennokształtnych, kilkunastu, kilkuset, kilka tysięcy... Płonące oczy. Zęby, szpony, noże. Otoczyła go horda morderców: tańczyli, podskakiwali, kręcili się, syczeli, kpili z niego i z pogardą wykrzykiwali jego imię...

Zgubił się w wirze antycznej magii...

–Lisamon?! – krzyknął z rozpaczą. – Deliamber?! Pomóżcie mi... pomóżcie...

Nie wiedział nawet, czy rzeczywiście wypowiedział te słowa.

Nagle przekonał się, że jego przyjaciele zrozumieli niebezpieczeństwo. Pierwszy zareagował Deliamber: biegł w jego kierunku, wymachując mackami i konstruując w pośpiechu przeciwczar – gesty i uderzenia siły umysłu mające zneutralizować moc emanującą z Torkkinuuminaada. Maleńki Deliamber otoczył szamana swoją vroomską magią, gdy nagle z drugiej strony pojawił się Vathiimeraak, z wielką odwagą złapał khivanivoda, nie zwracając najmniejszej uwagi na jego czary, i zmusił go do przyklęknienia, aż głowa Piurivara oparła się o piach u stóp Pontifexa.

Valentine poczuł, jak słabnie i rwie się sieć piurivarskiej magii, jak znika i wreszcie uwalnia jego duszę. Ich umysły oderwały się od siebie z niemal słyszalnym trzaskiem.

Vathiimeraak zwolnił więźnia i odsunął się. Jego miejsce zajęła Lisamon Hultin, groźnie górująca nad drobnym Metamorfem. Było już jednak po wszystkim. Szaman nie śmiał się

poruszyć, tylko krzywił twarz w poczuciu klęski.

–Dziękuję – powiedział Valentine z prostotą, zwracając się do Deliambera i Vathiimeraaka. Machnął niedbale ręką. – Zabierzcie go.

Lisamon Hultin przerzuciła khivanivoda przez ramię jak worek kalimbotów i ruszyła do obozowiska.

Zapadła długa, pełna zdumienia cisza. Wreszcie przerwała ją Magadone Sambisa.

–Nic ci się nie stało, Wasza Wysokość?

Valentine tylko skinął głową.

–A wykopaliska? – dodała z napięciem po najkrótszej chwili milczenia. – Co się stanie z pracami archeologicznymi? Czy będą kontynuowane?

–Dlaczego nie? Jest tu jeszcze wiele do zrobienia. – Valentine cofnął się o kilka kroków. Dotknął dłońmi piersi i gardła. Wciąż jeszcze odczuwał nacisk bezlitosnych, niewidzialnych dłoni.

Magadone Sambisa ani myślała kończyć.

–A to? – spytała, wskazując smocze zęby. Jej głos był teraz pewniejszy, bardziej agresywny. Znow mogła rządzić, odzyskała już energię. – Gdybym mogła o nie prosić, Wasza Wysokość...

–Weź je – rzucił gniewnie Valentine. – Należy je odnieść do świątyni. Potem macie zamurować wybitą dziś dziurę.

Spojrzała na niego tak, jakby przed jej oczami Pontifex sam zmienił się w Piurivara. Ostрым, niegodnym spokojnego naukowca tonem spytała:

–Co?! Wasza Wysokość! Doktor Huukaminaan poświęcił dla nich życie! Znalezienie świątyni było jego największym osiągnięciem. Jeśli ją teraz zamkniemy...

–Doktor Huukaminaan był ideałem naukowca. – Valentine nie próbował nawet ukryć zmęczenia. – Zapłacił życiem za umiłowanie prawdy. Ty, jak sądzę, nie miłujesz prawdy aż do tego stopnia, więc natychmiast wykonasz moje polecenie.

–Wasza Wysokość, błagam...

–Nie. Dość błagań. Ja nie udaję i nigdy nie udawałem człowieka nauki, znam jednak swe obowiązki. Są skarby, które powinny pozostać w ukryciu na zawsze. Te skarby nie należą do nas. Nie wolno nam ich badać, nie wolno umieszczać w muzeum. Świątynia jest dla Piurivarów miejscem świętym, choćby sami nie rozumieli jej świętości. Wszyscy zapłaciliśmy

za to, że w ogóle została odkryta. Prace archeologiczne można kontynuować w innych częściach miasta. Zęby smoków należy odnieść do świątyni, a wejście do niej zamurować. I wszyscy macie trzymać się od niej z daleka. Zrozumiałaś?

Magadone Sambisa obrzuciła go nic nie rozumiejącym spojrzeniem, ale skinęła głową.

–Świetnie. Doskonale.

Pustynię ogarnął już mrok nocy. Valentine czuł obecność całych pokoleń duchów Velalisier. Zdawało mu się, że czepiają się jego tuniki kościstymi palcami, jakies

niesamowite, ciche głosy szeptały mu do uszu zaklęcia prastarej magii.

Pragnął już tylko opuścić ruiny. Jak na jedno życie, odwiedzał je aż za często.

Powiedział do Tunigorna:

–No cóż, stary przyjacielu, wydaj rozkazy, niech wszyscy przygotowują się do natychmiastowego wyjazdu.

–Teraz, Valentinie? O tak późnej porze?

–Teraz, Tunigornie, teraz. – Pontifex uśmiechnął się. – Wiesz, w porównaniu z tym miejscem Labirynt wydaje mi się niemal atrakcyjny! Mam wielką ochotę powrócić do znajomego, wygodnego świata. Przygotuj wszystko do wyjazdu, dobrze? Za długo już tu jesteśmy.

*Przełożył Krzysztof Sokołowski*

## **Ziemiomorze**

### **Ursula K. Le Guin**

*A Wizard of Earthsea (1968) Czarnoksiężnik z Archipelagu (1983) The Tombs of Atuan (1971) Grobowce Atuanu (1990) The Farthest Shore (1972) Najdalszy brzeg (1991) Tehanu: The last Book of Earthsea (1990) Tehanu (1991) Tales From Earthsea (2001)*

Ziemiomorze to świat ludzi i smoków. Smoki trzymają się zwykle na uboczu i bywają niebezpieczne, a ich językiem jest Mowa Tworzenia. Pewne wydarzenia i opowieści (zrelacjonowane w *Tehanu*) sugerują, że niegdyś smoki i ludzie należeli do jednego rodzaju, jednak dawno temu ich drogi się rozeszły i od tej pory nie żyją w przyjaźni. Wśród ludzi magia jest darem, wszelako nawet ci, którzy się z nim rodzą, muszą nauczyć się go wykorzystywać tak samo, jak zgłębia się tajniki sztuk czy nauki. Istotnym elementem studiowania magii jest nauka przynajmniej paru słów z Mowy Tworzenia, w której wyrażane są prawdziwe imiona wszystkich rzeczy. Poznając prawdziwe imię osoby czy przedmiotu,

czarodziejka lub czarnoksiężnik zyskuje władzę nad tym kimś lub czymś. Władza ta, rzecz jasna, może zostać spożytkowana w dobrych albo w złych celach.

Akcja *Czarnoksiężnika z Archipelagu* zaczyna się na wyspie Gont. Młody i obdarzony wielkim talentem do magii pastuszek Ged trafia do Szkoły Czarnoksiężników na wyspie Roke. Tam, próbując dowieść swej przewagi nad innym chłopcem, wywołuje z królestwa zmarłych cień, który zaczyna krążyć po świecie żywych, podążając za młodzieńcem z wyspy na wyspę i skłaniając go ku temu, co złe i niebezpieczne. Ostatecznie, zyskawszy pomoc swego nauczyciela, Ogiona, Ged zwraca się przeciwko prześladowcy i ściga go w desperacji przez cały świat aż do granicy śmierci. Tam Ged staje twarzą w twarz ze swoim cieniem i odkrywa, że są jednym i tym samym. To uzdrawia Geda i czyni go na powrót całością.

Tom *Grobowce Atuanu* ukazuje jedną z czterech wysp Kargadu, gdzie żyje lud odmienny mową i zwyczajami od mieszkańców Archipelagu. Mała Tenar zostaje odebrana rodzicom. Otrzymuje nowe imię, Arha, co znaczy „pożarta”. Jest wychowywana na Jedyńą Kapłankę Grobowców, pradawnego sanktuarium na wyspie Atuan, miejsca odosobnienia, gdzie dostęp mają wyłącznie kobiety lub eunuchy. Nauka

bliska jest już końca, gdy w podziemiach Labiryntu, serca świętego przybytku, napotyka obcego, na dodatek mężczyznę. To Ged, obecnie potężny czarnoksiężnik, poszukujący zaginionej połowy pierścienia Erreth-Akbego, na którym wryto Runę Pokoju, obecnie przepołowioną pęknięciem. Obowiązkiem młodej kapłanki jest uśmiercić intruza, jednak ona zaczyna rozmawiać z jeńcem i z wolna pojmuje, że skutkiem poddania się bezsensownemu i okrutnemu rytuałowi sama została więźniem Grobowców. Ged przywraca jej prawdziwe imię. Tak jak on uwalnia Tenar, tak ona uwalnia jego – wyprowadza czarnoksiężnika z Labiryntu i razem uciekają z połączonym znów w całość Pierścieniem Pokoju. Tenar zostaje z honorami przyjęta w Havnorze, Mieście Królów Ziemiomorza, jednak Ged zamierza zabrać ją do swego starego mistrza Ogiona na Goncie, gdzie dziewczyna będzie mogła zamieszkać i oddać się nauce.

W *Najdalszym brzegu* Ged, obecnie Arcymag Roke i najpotężniejsza osoba na Archipelagu, wyrusza z młodym Arrenem, księciem Enladów, na wyprawę dla rozwikłania zagadki, dlaczego siła magii zdaje się ostatnio słabnąć. Po osobliwych przygodach na dalekim południu trafiają na wyspy smoków, a dokładniej na Selidor, najbardziej na zachód wysuniętą spośród tych wysp. Tam, szukając rozwiązania problemu, przechodzą do królestwa śmierci, bezwodnej krainy ciemności. W niej spotykają czarnoksiężnika Coba, który szukając dla siebie nieśmiertelności, naruszył granicę pomiędzy życiem a śmiercią. Ged odbiera Cobowi moc i zasklepia ranę pomiędzy światami, co jednak wyczerpuje wszystkie jego siły. Arren, który ma objąć pusty od pięciu stuleci tron Ziemiomorza, sprowadza go z powrotem pomiędzy żywych. Potem smok Kalessin przenosi ich na Roke, gdzie Ged oddaje cześć Arrenowi jako królowi i dzięki smokowi powraca w końcu na swą rodzinną wyspę Gont.

Tom zatytułowany *Tehanu*, chociaż powstał siedemnaście lat po *Najdalszym brzegu*, podejmuje opowieść tam, gdzie została przerwana. Tenar z Grobowców nie została z Ogionem, tylko poślubiła rolnika Flinta, urodziła dwoje dzieci i spędziła trzydzieści lat na gospodarstwie. Umierający Ogion wysłał po nią, ona zaś zostaje po śmierci starego maga w jego domu. Razem z nią zamieszkuje tam zaadoptowana córka Tenar, dziewczynka imieniem Therru – zgwałcona wcześniej, dotkliwie poparzona i pozostawiona na pewną śmierć przez mężczyzn, którzy podróżowali z jej matką. Jest to ciche i wystraszone dziecko, w którym kryje się jednak niezmiernie duża moc. Smok przynosi na Gont Geda, zmęczonego jednak i chorego, pozbawionego magicznych mocy i zawstydzonego tym tak bardzo, że skłonny jest ukrywać się nawet przed poszukującym go Arrenem. Aspen, uczeń Coba, ściąga na Gont złą magię. Handy, jeden z tych, którzy dopuścili się zbrodni na Therru, wciąż kręci się w pobliżu. Młody król zabiera Tenar z powrotem do gospodarstwa jej męża, gdzie na kobietę i dziecko napada Handy i reszta.

Ged przybywa akurat na czas, by ich odeprzeć. Tej zimy Ged zostaje z Tenar na farmie, i chociaż stracił magiczną moc, w końcu odnajduje się jako świadomy swej płci mężczyzna. Wiosną Aspen zwabia Geda i Tenar z powrotem do domu Ogiona, a ponieważ nie władają magią, stają przed nim bezbronni. Poniżej ich i niemal zabija, niemniej okaleczona i słaba Therru odnajduje wreszcie swe imię, Tehanu, i zyskuje dostęp do swej mocy. Używając Mowy Tworzenia, wzywa Kalessina. Smok unicestwia Aspena i wita Therru jako córkę. Na razie przyjdzie jej żyć z Gede i Tenar, potem jednak przystanie do smoków. „Oddaję wam swoje dziecko”, mówi Kalessin Gedowi, „jak wy oddacie mi swoje”.

# WAŻKA

URSULA K. LE GUIN

## 1. Iria

Przodkowie jej ojca byli panami wielkiej i dostatniej dziedziny na rozległej, bogatej wyspie Way. Za królów nie rościli sobie praw ani do tytułów, ani do dworskich przywilejów, toteż gdy nadeszły mroczne lata po upadku Mahariona, ich władza nad ziemią i zamieszkującymi ją ludźmi nie osłabła. Przeciwnie, dbali z powodzeniem o plony, w miarę możliwości zaprowadzali sprawiedliwość i zwalczali pomniejszych tyranów. Gdy za sprawą mędrców z Roke na Archipelag powróciły ład i pokój, ród rozkwitł na jakiś czas, podobnie jak należące do niego wsie i gospodarstwa. Obfitość i piękno tej krainy łąk, wyżynnych pastwisk i zwieńczonych dąbrowami wzgórz stały się z czasem wręcz przysłowiowe. Ludzie powiadali o bydłe „tłuste jako krowa z Irii”, o ludziach zaś – „fartowny jak Irianin”. Tamtejsi panowie i dzierżawcy zaczęli dodawać miano Irianina do swych imion. Wszelako, chociaż rolnicy i pasterze tej krainy stali się z latami krzepcy i solidni jak dęby, władający domeną ród odmienił się mniej udanie.

Dwaj pretendujący do spadku bracia poróżnili się na tyle, że podzielili majątek. Jeden zapuścił swe dziedzictwo z chciwości, drugi z głupoty. Jeden miał córkę, która poślubiła kupca i próbowała zarządzać swoimi dobrami z miasta, drugi miał syna, którego synowie znów się skłócili, skutkiem czego część majątku uległa dalszemu rozdrobnieniu. Do czasu narodzin dziewczynki zwanej Ważką majątek Irii, wciąż jeden z najpiękniejszych zakątków Ziemiomorza, przypominać zaczął nieco pole bitwy, tyle nagromadziło się tam waśni i dowodzonych przed sądami pretensji. Pola zarosły zielskiem, dachy zagród się zapadły, dojarnie stały puste i nie używane. Pasterze przeprowadzili stada przez góry na lepsze łąki, a stary dom, który wzniesiono niegdyś wśród dębów na wzgórzu pośrodku majątku, popadł częściowo w ruinę.

Jego właścicielem był mężczyzna zwący się Władcą Irii, jeden z czterech pretendentów to tego tytułu, tyle że pozostałych trzech tytułowało się Władcami Starej Irii. Na udowodnienie swoich praw do całej rozdrobnionej domeny poświęcił młodość i spadek. Chcąc ją zjednoczyć pod swym władaniem w takiej postaci jak przed wiekami, spędził całe lata w sądach i antyszambrach Lordów Way w Shelieth, w końcu jednak wrócił, pokonany i rozgoryczony. Przepędzał odtąd wiosny i zimy, popijając czerwone wino z ostatniej pozostałej mu winnicy i obchodząc granice posiadłości w towarzystwie sfory zaniedbanych i niedożywionych psów, które miały strzec jego ziemi przed obcymi.

Ożenił się jeszcze podczas pobytu w Shelieth, z kobietą, której na Irii nikt nie znał.

Podobno przybyła z innej wyspy, położonej gdzieś na zachodzie. Nigdy zresztą nie dotarła do siedziby męża, zmarła bowiem w mieście podczas porodu. Mężczyzna wrócił do domu z trzyletnią córką, którą przekazał pod opiekę gospodyni, i zaraz o dziewczynce zapomniał. Jeśli myślał o niej jeszcze potem, to tylko wtedy, gdy był pijany. Szukał jej wówczas, a gdy znajdował, kazał stawać obok swego fotela lub siadać mu na kolanach i słuchać opowieści o wszystkich krzywdach, które wyrządzono tak jemu, jak i całemu rodowi. Przeklinał, krzyczał, płakał i dalej pił. Ją też zmuszał do picia i nakłaniał, by uszanowała swe dziedzictwo i poświęciła się dla Irii. Popijała wino, ale nie cierpiała tych przekleństw, wymuszanych przysięg i łez ani późniejszego przytulania w pijackiej tkliwości. Gdy tylko mogła, uciekała i chowała się między psami, końmi lub bydłem i przysięgała im, że pozostanie wierna matce, której nikt tutaj nie znał, nie szanował, nie wspominał szczerze. Poza córką, naturalnie.

Gdy miała trzynaście lat, stary opiekun winnicy i gospodyni, ostatnie dwie osoby pozostałe w domu z całej służby, przyszli do swego pana i przypomnieli mu, że pora uroczyste nadać dziewczynce imię. Spyтали, czy mają posłać do Westpool po czarownika, czy może wystarczy miejscowa wiejska wiedźma. Władca Irii wpadł we wściekłość.

–Wiejska wiedźma?! – wrzeszczał. – Jakaś heksiara ma nadać prawdziwe imię córce Irianina?! A może ma to zrobić zdradziecki czarownik, sługa tych złodziei ziemi, którzy ograbili mego dziadka i odebrali mu Westpool?! Jeśli ten tchórz postawi stopę na mojej ziemi, poszczuję go psami! Żywcem wydrą mu wątrobę! Dalej, powiedzcie mu to, jeśli wola go wzywać!

I tak dalej. Stara Daisy wróciła do kuchni, stary Coney do winnicy, a trzynastoletnia Ważka uciekła z domu i zbiegła ze wzgórza do wioski, przeklinając po drodze ojcowymi słowy psy, które podniecone wrzaskami, zaniósł się szczekaniem i ruszyły za dziewczynką.

–Wracajcie, niewdzięczne! – krzyknęła. – Do domu, podstępni zdrajcy!

Psy ucichły i zawróciły z opuszczonymi ogonami.

Ważka znalazła wiejską wiedźmę przy owcy, której trzeba było usunąć robaki z zakażonej rany. Wiedźma zwała się Róża, podobnie zresztą jak bardzo wiele innych kobiet na Way i pozostałych wyspach Archipelagu Hardic. Ludzie skrywający prawdziwe imię, by ustrzec swą moc, podobnie jak diament kryje w swym wnętrzu blask, wolą zwykle przedstawiać się publicznie imieniem jak najzwyczajniejszym, takim, które nie będzie wyróżniać ich z tłumu.

Róża mruczała pod nosem zakłęcie uzdrawiające, przede wszystkim polegała jednak na krótkim, ostrym nożu trzymanym w dłoni. Owca znosiła zabieg cierpliwie i w ciszy,

spojrzenie bursztynowych oczu wbijała gdzieś przed siebie i tylko co pewien czas unosiła rączkę lewej przedniej nogi i wzdychała. Ważka przyjrzała się z bliska pracy Róży. Wiedźma wydlubała robaka, cisnęła go na ziemię, napluła na niego i znów zagłębiła ostrze w ranie. Dziewczynka przytuliła się do owieczki, owieczka zaś do Ważki, co obie w jakiś sposób uspokoiło. Róża wyciągnęła ostatniego robaka, rzuciła go obok i opluła.

–Teraz podaj mi tamto wiadro – powiedziała.

Przemyła ranę słoną wodą. Owca odetchnęła głęboko i nagle ruszyła przed siebie, opuszczając podwórko. Dość miała leczenia i wracała do domu.

–Bucky! – krzyknęła Róża.

Spod krzaka wyłonił się brudny i zaspany chłopiec. Pobiegnął zaraz w ślad za owcą, za którą był nominalnie odpowiedzialny, chociaż to ona była starsza, większa, lepiej odżywiona i zapewne znacznie mądrzejsza niż podrostek.

–W domu powiedzieli, że powinnaś nadać mi imię – obwieściła Ważka. – Ale ojciec wpadł w szal i już. Nie ma gadania.

Wiedźma nic nie odparła. Wiedziała, że dziewczynka ma rację. Skoro Władca Irii raz powiedział, że na coś zezwala albo i nie, to potem nigdy nie zmieniał już zdania. Był zbyt dumny, aby ustąpić. Ostatecznie tylko słabi raz mówią jedno, innym razem drugie.

–Czemu sama nie mogę sobie nadać prawdziwego imienia? – spytała Ważka, gdy Róża myła nóż i dłonie w słonej wodzie.

–Bo to nie zadziała.

–Ale dlaczego? Dlaczego trzeba do tego wiedźmy albo czarnoksiężnika? Co takiego robicie?

–Cóż – mruknęła Róża i wylała słoną wodę na klepisko małego podwórka przed swym domem, który jak większość domostw wiedźm, stał w pewnym oddaleniu od wioski. – Cóż – powtórzyła, prostując grzbiet i rozglądając się wkoło, jakby w poszukiwaniu odpowiedzi. Albo owcy. Lub może ręcznika. – Widzisz, do tego trzeba wiedzieć co nieco o mocy – stwierdziła w końcu i spojrzała jednym okiem na Ważkę. Drugie mierzyło nieco w bok, jak zwykle zresztą. Ważka nigdy nie była pewna, czy zez jest cechą lewego czy prawego oka Róży, zawsze jednak któreś z nich patrzyło nie wiadomo gdzie.

–Jakiej mocy?

–Tej jedynej – odparła Róża i tak jak wcześniej owca, ruszyła nagle przed siebie. Weszła do domu. Ważka podążyła za nią, ale tylko do progu. Nie wchodzi się do domu wiedźmy bez zaproszenia.

–Powiedziałaś, że ją mam – rzuciła dziewczyna w zadymiony półmrok jedynej izby domu.

–Powiedziałam, że masz w sobie siłę, i to wielką – odparła wiedźma z ciemności. – Sama też to wiesz. Do czego ci ona posłuży, nie odpowiem. To się dopiero okaże. Ale tyle siły, aby samemu nadać sobie imię, nikt nie ma.

–Czemu? Co może być bardziej mną niż moje imię?

Zapadła dłuższa chwila ciszy.

Wiedźma wyłoniła się z domu ze steatytowym wrzecionem i kulą nie odtłuszczoną wełny. Usiadła na ławce obok drzwi i zakręciła wrzecionem. Wysnuła z jard szarobrunatnej przędzy i dopiero wtedy odpowiedziała:

–Moje imię jest mną. To prawda. Ale poza tym? To sposób, w jaki nazywa mnie ktoś inny. Gdyby nie było innego, po cóż byłoby nosić jakieś imię?

–Ale... – zaczęła Ważka, lecz urwała, pojmując wagę argumentu. – Zatem imię musi być darem? – zapytała po chwili.

Róża skinęła głową.

–Nadaj mi imię, Rózo – poprosiła dziewczynka.

–Twój tata nie pozwala.

–Ale ja chcę.

–On tu rządzi.

–Może trzymać mnie w biedzie, może sprawić, że będę głupia i do niczego, ale nie ma prawa wzbraniać mi imienia!

Wiedźma westchnęła. Zupełnie jak owca. Ciężko, z rezygnacją.

–Dziś wieczorem – powiedziała Ważka. – Przy naszym źródle pod Wzgórzem Irii. On się nie dowie, a czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. – Po części się przymawiała, po części była po prostu zła.

–Należałoby wyprawić ci porządne imieniny. Takie z ucztą i tańcami, jak każdemu w twoim wieku – stwierdziła wiedźma. – Imię nadaje się w południe. Potem jest muzyka, zabawa i tak dalej. Ale skradać się po nocy, żeby nikt nie wiedział...

–Starczy, że ja będę wiedzieć. A po czym poznajesz, jakie imię nadać, Rózo? Woda ci podpowiada?

Wiedźma poruszyła przecząco stalowosiwą głową.

–Nie mogę ci powiedzieć. – Jej „nie mogę” w żadnym razie nie znaczyło „nie chcę”, więc Ważka czekała. – Jak wspomniałam, to sprawa mocy. To po prostu przychodzi. – Róża przestała prążyć i spojrzała jednym okiem na chmurę na zachodnim nieboskłonie; drugie badało północną część nieba. – W tamtej wodzie jesteś ty, dziecko, którym byłaś. Najpierw odbiera się dziecięce imię. Ludzie dalej będą się nim do ciebie zwracać, ale ono nie będzie już prawdziwym imieniem. Nigdy zresztą nie było. I przestaniesz być dzieckiem, i przestaniesz mieć imię. Potem trzeba czekać. Otworzyć umysł, jak... jak

otwiera się drzwi domu, żeby wpuścić wiatr. I ono przyjdzie. Język sam je wypowie. Odetchniesz i jest. Wtedy trzeba tchnąć je w dziecko. Nie da się go wymyślić. Można tylko pozwolić, aby przyszło. Przyszło poprzez ciebie do tego, czyją jest własnością. To sprawa mocy, i tyle. Ty sama nie robisz nic, musisz tylko wiedzieć, jak pozwolić, aby to się stało. To cała sztuka.

–Magowie potrafią więcej – rzuciła dziewczynka.

–Nikt nie potrafi więcej – odparła Róża.

Ważka zakręciła głową, aż coś strzeliło jej cicho w karku. Przeciągnęła nerwowo ręce i nogi.

–Zrobisz to? – spytała.

Róża skinęła głową na tak.

Spotkały się w ciemnościach na ścieżce pod Wzgórzem Irii. Dawno po zachodzie słońca i na długo przed świtem. Róża otoczyła ich lekką poświatą, by mogły przejść bezpiecznie przez podmokły teren wokół źródła, nie wpadając w żadne ze skrytych w trzcinach oczek. W chłodnym mroku pod nielicznymi gwiazdami i ciemnym masywem wzgórza rozebrały się i weszły do płytkiej wody, aż ich stopy zapadły się głęboko w miękkie muł. Wiedźma dotknęła



dłoni dziewczynki.

–Zabieram ci twe imię, dziecko – powiedziała. – Nie jesteś już dzieckiem. Nie masz imienia.

Znieruchomiały w ciszy.

–Miej imię, kobieto – wyszeptła wiedźma. – Jesteś Irian.

Chwilę jeszcze trwały bez poruszenia, potem wiatr owiał ich nagie ramiona. Zadrżały, wyszły z wody i wysuszyły się jak mogły. Boso przebrnęły przez ostre trzciny i splątane korzenie, aż – ciągle ponure – trafiły na ścieżkę. Tutaj dopiero Ważka dała szeptem upust złości:

–Jak mogłaś mnie tak nazwać?

Wiedźma nie odpowiedziała.

–To nie w porządku. To nie jest moje prawdziwe imię! Myślałam, że ono będzie mną, ale tak jest jeszcze gorzej. Pomyliłaś się. No, ale jesteś tylko wiedźmą. Źle to zrobiłaś. To jego imię. Ja go nie chcę.

Nie chcę go nosić. To nie ja. I tak ciągle nie wiem, kim jestem. Bo na pewno nie jestem Irian! Nie jestem Irianką!

Wiedźma ciągle milczała. Szły obok siebie w ciemności, aż w końcu Róża odezwała się głosem pełnym strachu i usprawiedliwienia:

–Takie przyszło...

–Jeśli powiesz je komuś, to cię zabiję – przerwała jej Ważka.

Wiedźma stanęła jak wryta.

–Powiedzieć komuś? – syknęła niczym kot. Ważka też się zatrzymała.

–Przepraszam – powiedziała po chwili. – Ale czuję się... czuję się, jakbyś mnie zdradziła.

–Wypowiedziałam twoje prawdziwe imię. Nie sądziłam, że będzie właśnie takie, i wcale nie jest mi z tym łatwo. Zupełnie, jakbym zostawiła coś nie dokończone. Ale to jest twoje imię. Jeśli masz je za zdradzieckie, to znaczy, że takie jest. – Róża zawahała się. – Jeśli szukasz sposobności, by odpłacić zdradą, to proszę, dam ci sposobność – dodała głosem mniej nabrzmiałym złością, prawie chłodnym. – Nazywam się Etaudis.

Znów zerwał się wiatr. Obie zatrzęśły się z zimna. Podzwaniając zębami, stały naprzeciwko siebie na ścieżce, ale ledwie widziały się nawzajem. Ważka wyciągnęła po omacku rękę i napotkała dłoń wiedźmy. Objęły się serdecznie, ciepło, a potem pospieszyły dalej: wiedźma do swej chaty obok wioski, dziedziczka Irii na wzgórze do zrujnowanego domu, gdzie te same psy, które tak łatwo pozwoliły jej odejść, teraz przywitały dziewczynę wielkim skomleniem i szczekaniem. Obudziły przy tej okazji wszystkich w promieniu pół mili i tylko jeden Władca Irii nie drgnął pogrążony w pijackim śnie obok wygasłego kominka.

## 2. Ivory

Mieszkający w Westpool Władca Irii nazywał się Birch i wprawdzie nie posiadał starego rodowego domostwa, ale zajmował środkową, najbogatszą część dawnego majątku. Jego ojciec nie miał serca do kłótni z krewnymi, znacznie bardziej interesowały go winnice i sady, przez co pozostawił Birchowi ziemię wręcz kwitnącą. Birch wynajął ludzi, by zarządzali gospodarstwami i winiarniami, doglądali bednarzy i przewoźników, a sam cieszył się bogactwem. Poślubił nieśmiałą córkę młodszego brata Lorda Wayfirth i niezmiennie upajał się świadomością, że jego własne córki są dzięki temu szlachetnej krwi. W owych czasach modne było pośród dobrze urodzonych mieć czarnoksiężnika na usługi, prawdziwego czarnoksiężnika z laską i w szarym płaszczu, takiego wykształconego na Wyspie Mędrców. Również Władca Irii postarał się o jednego i ściągnął go z Roke do Westpool. Zdumiał się przy tym, jak łatwo załatwić sprawę, jeśli tylko zapłaci się stosowną sumę.

Młodzieniec zwany Ivory, co znaczyło „kość słoniowa”, nie nosił po prawdzie jeszcze ani laski, ani płaszcza. Wyjaśnił, że czarnoksiężnikiem zostanie dopiero wtedy, gdy powróci na Roke. Mistrzowie wysłali go w świat, by zebrał trochę doświadczenia,

żadna bowiem szkoła nie może zastąpić prawdziwej, życiowej mądrości. Szczególnie kandydatowi na czarnoksiężnika. Usłyszawszy to, Birch spojrział na przybysza z powątpiewaniem, ale Ivory zapewnił go, że nauczył się na Roke wszystkich arkanów magii, jakie mogą się okazać potrzebne w Irii, w Westpool czy w ogóle na Way. Aby to udowodnić, sprawił, że przez jadalnię najpierw przebiegło stado jeleni, potem z południowej ściany wychynęły łabędzie i wyleciały przez północną, na końcu zaś pośrodku stołu ukazała się w srebrnej misie fontanna. Gdy Władca Irii i jego rodzina poszli ostrożnie w ślady czarnoksiężnika i napełnili z niej kielichy, okazało się, że to nie woda, ale słodkie, złociste wino.

–Wino z Andradów – powiedział młodzieniec, uśmiechając się skromnie, ale z zadowoleniem, i tym sposobem pozyskał sobie i żonę, i córki gospodarza, Birch zaś pomyślał, że zaiste, nabytek wart jest swej ceny, chociaż lepiej by było, gdyby wyczarował wytrawnego czerwonego faniana z tutejszych winnic, którym można się nawet upić, jeśli dość się go wychyli, a nie tę zabarwioną miodem wodę.

Jeśli młody czarnoksiężnik naprawdę szukał sposobności, aby nabyć doświadczenia, to wiele mu się ich w Westpool nie trafiało. Ilekroć zjawiali się u Bircha goście z Kembermouth czy sąsiednich majątków, Ivory uświetniał ich wizyty galopadą jeleni, łabędziami i fontannami złocistego wina. Opracował też całkiem udane pokazy fajerwerków na ciepłe, wiosenne wieczory. Jeśli jednak zjawiali się u pana zarządcy sadów albo winnic z pytaniem, czy czarnoksiężnik nie mógłby w tym roku zwiększyć plonów gruszek albo uchronić fanińskiej winorośli na południowym stoku wzgórza od czarnej zarazy, Birch mawiał: „Czarnoksiężnik z Roke nie będzie się zniżał do takich drobnostek. Idziecie do wioskowego czarownika, niech zarobi na swoje utrzymanie!” A gdy najmłodsza córka przyszła z dokuczliwym kaszlem, żona Bircha nie śmiała fatygować młodego mędrca, tylko posłała bez rozgłosu po Różę ze Starej Irii, prosząc ją z góry, by weszła tylnymi drzwiami i przyłożyła może kataplazm lub zaśpiewała stosowne zaklęcie, które uzdrowi dziecko. Ivory nigdy nie dowiedział się o niedomaganiu dziewczynki, podobnie jak o gruszkach czy winorośli. Zajmował się głównie sobą, jak przystało na biegłego w sztukach i uczonego. Dnie spędzał, zwiedzając bliższą i dalszą okolicę na czarnej klaczy użyczonej przez pracodawcę, gdy ten usłyszał wprost, że nie po to gość przybył tu aż z Roke, aby pieszo grzęznąć w błocie polnych dróg.

Podczas tych wycieczek mijał czasem stary dom stojący na wzgórzu pomiędzy wiekowymi dębami. Raz skręcił z wioski na drogę wiodącą ku siedzibie, ale zaraz opadła go sfora wychudzonych i prawie dzikich psów. Klacz się wystraszyła, zaczęła wierzgać, aż w końcu rzuciła się do ucieczki, tak więc Ivory omijał odtąd stary dom z daleka. Lubił

jednak na niego spoglądać, podobało mu się to dawne gmaszysko drzemiące leniwie w blasku słońca wczesnowiosennych popołudni.

Spytał Bircha, co to za miejsce.

–Iria – usłyszał. – To znaczy Stara Iria. Prawnie dom należy do mnie, jednak po stuleciu sporów i procesów mój dziadek zrezygnował z niego, aby położyć kres swarom. Niemniej pan na tamtych włościach wciąż chętnie by się ze mną wadził, gdyby nie chodził zbyt pijany, żeby składnie gadać. Nie widziałem go już od wielu lat. Chyba ma córkę.

–Ona ma na imię Ważka i sama robi tam wszystko. Widziałam ją raz w zeszłym roku. Jest wysoka i piękna jak obsypane kwieciami drzewo – powiedziała najmłodsza córka, Róża, której pisane było pomieścić radość całego życia w czternastu ledwie latach pilnych obserwacji. Urwała i zanosła się kaszlem. Jej matka spojrziała lękliwie na czarnoksiężnika. Chyba tym razem usłyszał kaszel? Uśmiechnął się do młodej Róży i matka nabrała otuchy. Przecież nie uśmiechałby się tak, gdyby wyczuł w kaszlu Róży cokolwiek poważnego?

–Ten stary nie ma z nami nic wspólnego – powiedział Birch z niesmakiem, a taktowny Ivory nie pytał więcej. Bardzo jednak chciał zobaczyć dziewczynę piękną jak obsypane kwieciami drzewo. Zaczął regularnie przejeżdżać obok Starej Irii. Kręcił się po wiosce u stóp wzgórza, aby wziąć może kogoś na spytki, ale nie było tam ani gdzie przysiąść, ani z kim porozmawiać. Zezowata czarownica raz tylko na niego spojrziała i schowała się w swojej chacie. Gdyby ruszył wprost do gmachu, musiałby stawić czoło sforze piekielnych ogarów i pewnie pijanemu gospodarzowi na dodatek. Może jednak warto spróbować, pomyślał: dość miał ze szczętem nudów życia w Westpool, a wcześniej nigdy nie uchylał się przez ryzykiem. Jechał pod górę tak długo, aż otoczyły go psy. Ujadały opętańczo i sięgały zębami do nóg klaczy, która spłoszyła się, zaczęła wierzgać i uciekłyby, gdyby nie zaklęcie powstrzymujące i siła ramion czarnoksiężnika. Psy skakały teraz do jego nóg i już miał uwolnić klacz z zaklęcia, zezwalając, by umknęła, gdy pomiędzy psami zjawił się ktoś, kto klnąc stworzenia, zaczął przepędzać je rzemieniem. Kiedy Ivory’emy udało się wreszcie skłonić spienioną i zdyszana klacz, aby stanęła spokojnie, ujrzał

dziewczynę piękną jak okryte kwieciami drzewo. Była bardzo wysoka i mocno spocona, miała duże dłonie, stopy, także usta, nos i oczy, i jeszcze potargane, okryte kurzem włosy. I krzyczała na skamlące, cofające się psy:

–Spokój! Wracajcie do domu, ścierwa! Dzikie suki syny!

Ivory pomacał dłonią prawą nogę. Psie kły rozdarły mu spodnie i rozorały łydkę. Pojawiła się już krew.

–Nie zrobiły jej krzywdy? – spytała młoda kobieta. – O, zdradzieckie robactwo! –

Pogłaskała prawą przednią nogę klaczy. Uniosła dłonie poplamione krwią zmieszaną z potem. – Chwilę, spokojnie – powiedziała. – Dzielna dziewczynka, bardzo dzielna. – Klacz opuściła łeb i zadrżała. Wyraźnie odczuła ulgę. – Co to za pomysł, żeby kazać jej wystawać pośrodku stada psów? – spytała z wyraźną złością, unosząc głowę i spoglądając na czarnoksiężnika.

Chociaż klęczała przy nodze klaczy, a Ivory patrzył na nią z siodła, nagle poczuł się bardzo, ale to bardzo mały. Dziewczyna nie czekała na odpowiedź.

–Poprowadzę ją – oznajmiła, wstając i wyciągając ręce po wodze.

Ivory zrozumiał, że ma zsiąść. Posłuchał.

–Mocno ją zraniły? – spytał, spoglądając na nogę klaczy, ale ujrzał tylko placek jasnej, krwawej piany.

–Chodź już, kochana – powiedziała dziewczyna, nie zwracając uwagi na czarnoksiężnika. Klacz podążyła za nią ufnie wyboistą ścieżką obiegającą szczyt wzgórza i kończącą się przy stajni z cegły i kamienia, gdzie nie było koni, lecz jedynie gnieźdzące się pod stropem i śmigające ze szczebiotem jaskółki.

–Uspokajaj ją – rzuciła kobieta, oddała mu wodze i zostawiła oboje w tym pustym miejscu. Wróciła po jakimś czasie, dźwigając ciężkie wiadro, i wzięła się do obmywania nogi klaczy. – Zdejmij z niej siodło – powiedziała takim tonem, że bez trudu dawało się wyczuć kończącą polecenie nie wypowiedzianą inwektywę „ty głupcze”.

Ivory posłuchał, po części zirytowany obejściem olbrzymki, po części jednak zaintrygowany. Nie przywodziła mu na myśl obsypanego kwieciami drzewa, lecz rzeczywiście była piękna. Wybujala i dzika, ale piękna. Klacz poddała się jej bez reszty. Gdy rzuciła: „Przesuń kopyto!”, zwierzę posłuchało bez zwłoki. Dziewczyna wytarła ją całą, narzuciła derkę z powrotem na grzbiet i wyprowadziła klacz na słońce.

–Nic jej nie będzie – stwierdziła. – Rana jest głęboka, ale jeśli będziesz ją przemywać cztery lub pięć razy dziennie słoną wodą, zagoi się чисто. Przepraszam. – Ostatnie dodała szczerze, chociaż niechętnie, jakby wciąż zastanawiała się nad osobliwym zachowaniem czarodzieja, który dozwolił, żeby klacz ucierpiała. Dopiero teraz spojrzała na niego wprost. Miała czyste, pomarańczowobrazowe oczy przypominające barwą ciemne topazy lub bursztyny. Dziwne były to oczy, patrzące na tej samej wysokości co jego własne.

–Też przepraszam – powiedział, siląc się na beztroski, lekki ton.

–To iriańska klacz z Westpool. Jesteś zatem czarnoksiężnikiem? Skłonił się.

–Ivory z Wielkiego Portu Havnor, do usług. Czy mogę...

–Myślałam, że jesteś z Roke – przerwała mu.

–Jestem – odparł, znów pewny siebie.

Przyjrzała mu się tymi osobliwymi oczami, które były dla niego równie nieodgadnione jak ślepie owcy. A potem zasypała go pytaniami:

–Mieszkałeś tam? Uczyłeś się na Roke? Znasz Arcymaga?

–Tak – odrzekł z uśmiechem. Zaraz jednak skrzywił się i przycisnął na chwilę dłoń do goleni.

–Też jesteś ranny?

–To nic – stwierdził. Istotnie, ku jego lekkiej irytacji rana przestała już nawet krwawić.

Dziewczyna wróciła oczami do jego twarzy.

–I jak tam jest... jak jest na Roke?

Lekko tylko kulejąc, Ivory przeszedł kilka kroków do pieńka, z którego kiedyś pewnie dosiadano koni, spoczął na nim i wyciągnął nogę przed siebie, by ulżyć nieco urażonemu miejscu. Spojrzał na kobietę.

–Nie da się opisać Roke w kilku słowach. Potrwa, nim ci odpowiem. Ale cała przyjemność po mojej stronie.

–On jest czarnoksiężnikiem. Albo prawie – powiedziała czarownica Róża. – Czarnoksiężnikiem z Roke! Nie wolno ci zadawać mu pytań! – Była bardziej niż wzburzona. Była wręcz wystraszona.

–Jemu to nie przeszkadza – uspokoiła ją Ważka. – Tyle że rzadko odpowiada.

–No jasne!

–Czemu to takie jasne?

–Bo jest czarnoksiężnikiem! Bo ty jesteś kobietą bez własnej sztuki, bez wiedzy, bez wykształcenia!

–Mogłaś mnie uczyć! Nigdy nie chciałaś!

Róża zbyła tę kwestię machnięciem dłoni.

–No właśnie. Więc muszę uczyć się od niego – stwierdziła Ważka.

–Coś ci się pomyliło. Czarnoksiężnicy nie uczą kobiet.

–A ty i Broom sprzedajecie sobie zaklęcia.

–Broom jest wioskowym czarownikiem. To mądry mężczyzna. Zgłębiał Wyższe Kunszty w Wielkim Domu na Roke!

–Powiedział mi, jak tam jest – wtrąciła Ważka. – Wkracza się do miasta Thwil i potem są drzwi wychodzące na ulicę, ale zawsze zamknięte. Wyglądają tylko jak zwykłe drzwi.

Czarownica słuchała, niezdolna oprzeć się urokowi drobnych sekretów. Zauroczenie było zaraźliwe.

–Gdy się zapuka – ciągnęła dziewczyna – wychodzi mężczyzna, który wygląda

zupełnie zwyczajnie i poddaje cię próbie. Musisz znać pewne słowo, hasło, żeby cię wpuścić. Jak go nie znasz, to nigdy nie wejdiesz. Ale jak już pozwoli ci przekroczyć próg, to widzisz, że od środka te drzwi wyglądają całkiem inaczej: są z rogu, z wyrzeźbionym na nich drzewem, a odrzwia są z zęba, jednego zęba smoka, który żył dawno, dawno temu, przed Erreth-Akbem, przed Morredem, zanim jeszcze ludzie pojawili się na Ziemiomorzu. Wtedy, na początku, były tu tylko smoki. Ten ząb znaleziono na Górze Onn, na Havnorze, w samym środku świata. A liście drzewa są tak cienkie, że prześwieca przez nie światło, a mimo to drzwi są tak mocne, że jak Odźwierny je zamknie, to żadne zaklęcie ich nie otworzy. A potem Odźwierny prowadzi cię do jednej sali, do drugiej, aż zgubisz się całkiem, i wtedy nagle wychodzisz i jesteś pod gołym niebem. Na Dziedzińcu Fontanny, w najgłębszej głębi Wielkiego Domu. I tam czeka Arcymag, jeśli jest akurat w Domu...

–Mów dalej – mruknęła czarownica.

–To wszystko, co mi opowiedział – odparła Ważka. Wkoło niej znów, na powrót, roztaczał się chmurny, wiosenny dzień i znajoma do obrzydliwości wieś, brązowiejące bezlistne korony dębów, frontowe podwórko chaty Róży i jej siedem owiec pasących się na Wzgórzu Irii. – Bardzo waży słowa, gdy mowa o Mistrzach. Róża skinęła głową.

–Ale opowiedział mi trochę o uczniach.

–To pewnie bezpieczny temat.

–Nie wiem – rzekła Ważka. – Posłuchać tak o Wielkim Domu to wspaniała sprawa, ale sądziłam, że i jego

mieszkańcy... Nie wiem. Oczywiście, gdy tam przybywają, są w większości tylko chłopcami, ale myślałam, że oni... – Umilkła zakłopotana i zapatrzyła się na owce na wzgórzu. – Niektórzy z nich są naprawdę źli i głupi – dodała cicho. – Dostają się do szkoły, bo są bogaci. I uczą się po to, żeby zdobyć większe bogactwa. Albo moc.

–Cóż, jasne, że tak – powiedziała Róża. – Po to właśnie idzie się do Szkoły!

–Ale moc, jak mi powiedziałaś, to nie to samo co sztuka zmuszania ludzi, by robili, co chcesz, czy płacili ci...

–Nie?

–Nie!

–Jeśli słowo może uleczyć, to może też zranić – powiedziała wiedźma. – Jeśli dłoń może zabić, może też wyleczyć. Kiepski to prom, co pływa tylko w jedną stronę.

–Ale na Roke uczą się wykorzystywać moc w dobrych celach, nie żeby krzywdzić czy dla własnej korzyści.

–Wszystko robi się zawsze poniekąd dla własnej korzyści. Tak bym powiedziała. Trzeba jakoś żyć. Ale co ty wiesz? Zarabiam na życie, robiąc to, co potrafię, ale nie

tykam wyższych kunsztów, niebezpiecznych sztuk w rodzaju przywoływania zmarłych. – Róża wykonała gest mający zażegnać ryzykowny temat.

–Czyli wszystko jest niebezpieczne – stwierdziła Ważka, patrząc poprzez owce, wzgórze i drzewa na martwe i bezbarwne głębie, otchłanie puste niczym pogodne niebo tuż przed wschodem słońca.

Róża przyjrzała się dziewczynie. Świadoma była swej niewiedzy, kim właściwie jest Irian, kim będzie. Dużą, silną, niewykształconą i niewinną, niezgrabną i gniewną kobietą – to owszem. Ale od jej dzieciństwa Róża widziała w Ważce coś więcej, coś znacznie przewyższającego to, kim była na co dzień. A gdy Irian spoglądała tak właśnie w przestrzeń, wydawało się, że sięga w czas czy miejsce gdzieś poza tym światem, poza siebie, ku obszarom, których wiedza czarownicy żadną miarą nie obejmowała. W takich chwilach Róża bała się jej i bała się o nią.

–Właśnie, pomyśl o tym – powiedziała, krzywiąc się. – Zgadza się, wszystko jest niebezpieczne. Zagadywanie czarnoksiężników w szczególności.

Ważka dość kochała i szanowała Różę, dość jej ufała, by nie lekceważyć nigdy ostrzeżeń wiedźmy, ale nie wyobrażała sobie, że Ivory mógłby się okazać niebezpieczny. Nie rozumiała go, ale żeby bać się tego mężczyzny? Wydawało jej się to dziwnym pomysłem. Próbowwała odnosić się do niego z respektem, ale nic z tego nie wyszło. Wydawał się jej bystry i przystojny, jednak nie myślała o nim wiele. Bardziej interesowały ją jego opowieści. Wiedział to wszystko, co chciała poznać, i po trochu jej to przekazywał, ale zawsze okazywało się, że to wciąż nie ta wiedza, i Ważka znów pragnęła czegoś więcej. Był wobec niej cierpliwy, ona zaś była wdzięczna za tę cierpliwość, bo wiedziała, że czarnoksiężnik myśli i działa szybciej niż ona. Czasem, gdy wychodziła na jaw rozległość jej niewiedzy, uśmiechał się, ale nigdy nie posuwał się do szyderstwa czy wypominania. Podobnie jak czarownica, lubił odpowiadać pytaniem na pytanie, tyle że na pytania Róży Ważka zawsze potrafiła odpowiedzieć, jego pytania zaś budziły myśli, które nigdy wcześniej nie przychodziły dziewczynie do głowy. Były to myśli zdumiewające, niemiłe, czasem nawet bolesne, odmieniające wszystkie jej dotychczasowe przekonania.

Co dnia rozmawiali długo na dziedzińcu stajni, gdzie przywykli się spotykać, a ona pytała go i za każdym razem dowiadywała się czegoś nowego, chociaż Ivory odpowiadał nie za chętnie i nigdy wyczerpująco. Oslania Mistrzów, myślała Ważka, broni jasnego obrazu Roke. Aż któregoś dnia czarnoksiężnik uległ jej namowom i zaczął odpowiadać zupełnie swobodnie.

–To dobrzy ludzie – stwierdził. – Arcymag był bez wątpienia kimś wielkim i mądrym. Ale odszedł. A Mistrzowie... Niektórzy trzymają się z boku, zgłębiając arkana

wiedzy, poszukując nowych wzorów, nawet nieznanymi jeszcze imion, ale nic z ich pracy nie wynika. Inni są ambitni, lecz kryją swe ambicje pod szarym płaszczem mądrości.

Roke nie jest już pępkiem Ziemiomorza. Teraz najważniejszy jest Dwór na Havnorze. Roke żyje dumną przeszłością i chroni się przed dniem dzisiejszym tysiącami zakłęb. A co znajdujemy wewnątrz zakłębionych murów?

**Skłócone ambicje, strach przed wszystkim, co nowe, lęk przez młodymi gotowymi rzucić wyzwanie władzy starców. A w samym środku nie ma nic. Tylko pusty dziedziniec. Arcymag nigdy nie wróci.**

**–Skąd wiesz? – szepnęła Ważka. Spojrzał na nią poważnie.**

**–Smok go uniósł.**

**–Widziałeś to? Widziałeś? – Zacisnęła dłonie, wyobrażając sobie ten lot. Długo trwało, nim powróciła duchem na skąpane w słońcu klepisko przed stajnią. I znów zaczęła się zdumiewać. – Ale jeśli nawet odszedł, to przecież jest chyba wśród Mistrzów ktoś prawdziwie mądry?**

**Czarnoksiężnik uśmiechnął się melancholijnie.**

**–Tajemniczość i mądrość Mistrzów nie znaczy wiele w pełnym świetle dnia. Ważniejsze są sztuczki, cudowne iluzje. Ludzie nie chcą słuchać o tym, co pod spodem. Pragną tajemnic i złudzeń. Jak ich winić? W życiu większości z nich zdarza się niewiele pięknego lub cennego.**

**Jakby dla zilustrowania swoich słów, uniósł z ziemi ułomek cegły z pokruszonej nawierzchni ścieżki i cisnął go w górę. Zaraz zamigotał wkoło ich głów delikatnymi błękitnymi skrzydłami motyla. Ivory wysunął palec i motyl przysiadł na nim lekko. Czarnoksiężnik potrząsnął dłonią i na ziemię spadł kawałek cegły.**

**–W moim życiu niewiele jest cennego – powiedziała dziewczyna, patrząc w ziemię. – Umiem tylko prowadzić gospodarstwo, nie ustępować i mówić prawdę. Ale gdy pomyślę, że nawet na Roke rządzi kłamstwo, to zaczynam nienawidzić tych mężów, którzy mnie, nas wszystkich, oszukali. Przecież to na pewno nie tak. Nie wszystko jest załgane. Arcymag wszedł w labirynt Siwych i wrócił z Pierścieniem Pokoju. Wybrał się z młodym królem do krainy śmierci, pokonał maga pająka i powrócił. Sam król zdał sprawę z tych wydarzeń.**

**Nawet tutaj przybywają harfiarze, by o tym śpiewać, był też bajarz i opowiedział...**

**Ivory ponuro skinął głową.**

**–Ale Arcymag stracił całą moc w krainie martwych. Może i cała magia została wtedy osłabiona.**

**–Zaklęcia Róży wciąż działają tak samo dobrze – zauważyła Ważka.**

**Ivory uśmiechnął się. Nic nie powiedział, ale dziewczyna pojęła, że poczyniania wiejskiej wiedźmy to dla niego zaiste błahostka, że on widział naprawdę wielkie dzieła**

**i prawdziwe potęgi. Westchnęła ciężko.**

**–Och, gdybym tylko nie była kobietą! – rzuciła od serca.**

**Znów się uśmiechnął.**

**–Jesteś piękną kobietą – powiedział całkiem naturalnym tonem. Prawienia komplementów zaniechał, gdy zauważył, jak bardzo Ważka tego nie cierpi. – Dlaczego wolałabyś być mężczyzną?**

**–Bo wtedy mogłabym popłynąć na Roke! Zobaczyłabym Wielki Dom, mogłabym się uczyć! Czemu, czemu przyjmują tam tylko mężczyzn?**

**–Tak ustalił pierwszy Arcymag całe wieki temu. Ale... ja też się nad tym zastanawiałem.**

**–Naprawdę?**

**–I to często. W Wielkim Domu widziałem ciągle tylko chłopców i mężczyzn, w Szkole to samo. Wiedziałem też, że miejskie kobiety same trzymają się z dala, że żadna z nich nawet stopy nie postawi na polach wkoło Pagórka Roke. Raz na ileś lat zdarza się, że wpuszczą jakąś wielką panią na zewnętrzne dziedzińce. A i to tylko na chwilę... Dlaczego tak jest? Czy kobiety naprawdę są tak ograniczone? A może Mistrzowie się ich obawiają, boją się, że zostaną zepsuci... Chociaż nie, lękają się raczej przyznać, że kobiety mogłyby odmienić regułę, do której zwykli się stosować... czystość tej reguły...**

–Kobiety potrafią żyć równie czysto jak mężczyźni – rzuciła otwarcie Ważka. Wiedziała, że brakuje jej właściwej czarnoksiężnikowi oglądy i subtelności, jednak nie potrafiła zachowywać się inaczej.

–Oczywiście – przyznał, uśmiechając się szeroko. – Ale czarownice nie zawsze zachowują czystość, prawda...? Może tego właśnie boją się Mistrzowie. Może celibat nie jest wcale tak niezbędny, jak naucza Reguła Roke. Może służy nie tyle utrzymaniu nieskalanej mocy, ile zachowaniu jej dla siebie. Kobiety trzymane są na dystans, podobnie wszyscy, którzy nie godzą się na los eunucha, aby nie osłabić tego jedyne rodzaju mocy, nie osłabić władzy... Kto wie? A gdyby pojawiła się magini? To by wszystko odmieniło! Zaprzeczyłoby regułąm!

Widziała, jak przechwytuje jej myśli, jak tańczy z każdą, wybiegając daleko do przodu, jak bawi się nimi, przekształcając po kolei, niczym ten odłamek cegły przemieniony w motyla. Nie potrafiła ruszyć z nim do tańca, nie potrafiła podjąć zabawy, ale patrzyła z podziwem.

–Mogłabyś popłynąć na Roke – powiedział, a oczy mu się zaświeciły od radosnej chęci, by namieszać, rzucić wyzwanie. Odpowiedziała mu błagalna cisza, zaczął więc naciskać: – Mogłabyś. Jesteś wprawdzie kobietą, ale wygląd można zmienić. Masz serce,

odwagę i siłę woli mężczyzny. Mogłabyś wejść do Wielkiego Domu. Tego jestem pewien.

–A co bym tam robiła?

–To co wszyscy uczniowie. Mieszkałabyś sama w kamiennej celi i uczyła się, jak być mądrą! Trochę inaczej pewnie by to wyglądało, niż sobie wymarzyłaś, ale i o marzeniach też nauczyłabyś się niejednego.

–Nie dam rady. Rozpoznają mnie. Nie zdołam nawet wejść. Sam powiedziałaś, że tam jest Odźwierny. Nie znam słowa, które trzeba mu rzec.

–Tak, nie znasz hasła. Ale tego mogę cię nauczyć.

–Możesz? To dozwolone?

–Nie obchodzi mnie, co komu wolno, a co nie – powiedział z miną tak marsową, jakiej jeszcze u niego nie widziała. – Sam Arcymag powiedział kiedyś: „Reguły są po to, aby je łamać”. niesprawiedliwość je stwarza, odwaga pozwala przełamywać. Starczy mi odwagi, jeśli i tobie jej nie zabraknie!

Spojrzała na niego. Nie mogąc wykrztusić ani słowa, wstała i po chwili opuściła stajnię. Ruszyła ścieżką obiegającą wzgórze w połowie wysokości. Jeden z psów, jej ulubiony, olbrzymi i brzydki ogar z potężnym łbem, ruszył za swoją panią. Zatrzymała się na stoku nad wypływającym pośród bagienek źródłem, w którym dziesięć lat temu Róża nadała jej imię. Długo tam stała. Pies usiadł obok i wpatrzył się w jej twarz. Nie potrafiła zebrać myśli, ale jedno zdanie powracało: Mogłabym pojechać na Roke i dowiedzieć się, kim jestem.

Spojrzała na zachód. Niebo nad polami trzciny, wierzbami i ciągnącymi się dalej pagórkami trwało czyste, pogodne. Wydawało się Ważce, że jej dusza ulatuje w to niebo i opuszcza ją, znika.

Coś zastukało lekko: kopyta zbliżającej się ścieżką czarnej klaczy. Ważka oprzytomniała. Zawołała do czarnoksiężnika i zbiegła ku niemu ze wzgórze.

–Pojadę – powiedziała.

Nie planował wprawdzie podobnych awanturniczych przedsięwzięć, nawet mu to nie postało w głowie, musiał jednak przyznać, że całe to szaleństwo dość mu się podoba. Perspektywa spędzenia długiej i szarej zimy w Westpool ciążyła mu na sercu niczym głaz. Nie znalazł tu niczego dla siebie, dopiero Ważka... Zagościła w jego myślach. Jej żywiołowa i niewinna siła podbiła go bez reszty, uległ jednak namowom dziewczyny, by zrealizować własne, co tu dużo mówić, plany, a i sama sprawa, jak uważał, warta była zachodu. Niech tylko Ważka z nim pojedzie, to już będzie coś na kształt wygranej. A jeśli jeszcze żart się uda... Pomysł, aby wprowadzić ją do Szkoły na Roke w męskim przebraniu, kusił go niezmiernie. Toż to była wspaniała szansa, aby utrzyć nosa

pobożnym i nadętym Mistrzom i ich przypochebcom. Najpewniej sprawa się szybko wyda, ale gdyby naprawdę zdołał przeprowadzić kobietę przez te drzwi, chociaż na chwilę, słodka byłaby to zemsta!

Problemem były pieniądze. Dziewczyna myślała naturalnie, że taki wielki czarnoksiężnik strzeli palcami i już: przeniesie ich przez morze na magicznym statku niesionym nie mniej magicznym wiatrem. Jednak gdy jej powiedział, że będą musieli zapłacić za podróż, odparła prosto:

–Mam zaskórniaki.

Cenił sobie jej sposób mówienia, typowo wiejski, chociaż czasem się jej obawiał. Nie cierpiał tego. W snach zawsze to on pragnął jej, nigdy odwrotnie. Tęsknił za ognistymi i słodkimi, unicestwiającymi wręcz objęciami dziewczyny. W tych marzeniach ona była wszystkim, on zaś niczym. Budził się wówczas roztrzęsiony i zawstydzony. W świetle dnia, gdy znów widział jej wielkie, brudne dłonie, gdy rozmawiała z nim jak prosta wiejska dziewczucha, wracała mu pewność siebie, wracało poczucie wyższości. Żałował tylko, że nie ma komu powtórzyć jej powiedzonek. Dawni przyjaciele z Wielkiego Portu uznaliby je za zabawne.

–Mam zaskórniaki – powtórzył sobie, wracając do Westpool, i roześmiał się. – Zaiste, mam coś za skórą – dodał głośno. Czarna klacz zastrzygła uchem.

Birchowi oznajmił, że otrzymał wiadomość od Mistrza Złotej Ręki, swojego nauczyciela na Roke, i musi zaraz wyruszać. O co chodzi, oczywiście nie powiedział, ale zapewnił, że nie zabierze to wiele czasu. Pół miesiąca w jedną stronę, drugie tyle na powrót – pojawi się najpóźniej sporo przed Odłogami. Musiał też poprosić Bircha o wypłacenie z góry pensji, żeby miał na podróż i życie, bo przecież czarnoksiężnik z Roke nie może polegać na ludzkiej łaskawości, ale powinien kupować sobie wszystko jak zwykły człowiek. Birch przyznał mu rację, toteż nie miał innego wyjścia, jak tylko wyposażyć czarnoksiężnika w sakiewkę. Były to pierwsze prawdziwe pieniądze, jakie trafiły do jego kieszeni od wielu lat: dziesięć płacideł z kości słoniowej z wizerunkiem Ottera z Shelieth z jednej strony i Runą Pokoju, na cześć króla Lebannena, z drugiej.

–Witajcie, małe imienniczki – powiedział, gdy został z nimi sam na sam. – Razem z zaskórniakami starczycie akurat.

Nie zdradził Ważce wiele ze swoich planów, głównie dlatego, że sam ich za bardzo nie układał, licząc na ślepy traf i ufając swemu rozumowi, który rzadko go dotąd zawodził, jeśli naturalnie dawało się skorzystać z jego podpowiedzi. Dziewczyna prawie nie zadawała pytań. Chciała wiedzieć jedynie, czy całą drogę przyjdzie jej odbyć w męskim przebraniu.

–Tak – odparł. – Ale tylko w przebraniu. Zakłęcie podobieństwa nałożę na ciebie

dopiero na Roke.

–Myślałam, że użyjesz raczej zaklęcia Przemiany.

–To by nie było mądre – powiedział, udanie naśladując surowy ton Mistrza Przemian. – W razie potrzeby oczywiście bym to uczynił, ale sama się przekonasz, że czarnoksiężnicy wolą nie szafować wielkimi zaklęciami. Nie bez powodu.

–Równowaga – stwierdziła dziewczyna, przyjmując to jak coś najbardziej oczywistego. Jak zwykle zresztą.

–No i może dlatego jeszcze, że obecnie podobne sztuki nie mają tej mocy co dawniej – dodał. Sam nie wiedział, dlaczego właściwie stara się umniejszyć jej wiarę w moc czarów; może dlatego, że każda szczerba w jej sile, jej spoistości, była mu ułatwieniem. Zaczął od próby zaciągnięcia jej do łóżka, którą to grę uwielbiał. Z czasem gra zmieniła się w rodzaj rywalizacji, czego się nie spodziewał, ale nie potrafił już jej teraz przerwać. Postanowił nie tyle zdobyć dziewczynę, ile ją pokonać. Nie mógł przecież pozwolić, aby to ona zwyciężyła jego. Musiał dowieść jej, i sobie, że te wszystkie sny były bez znaczenia.

Wcześniej, gdy próbował się do niej zalecać, przełamać fizyczną obojętność jej wielkiego ciała, zniecierpliwiony rzucił na nią zakłęcie uwodzące. Pogardzał sobą za słabość, która zmusiła go do wyszukania tej formuły, chociaż była to formuła skuteczna. Rzucił ją, gdy Ważka naprawiała krowi postronek, charakterystyczny zbieg okoliczności. Ona jednak nie stopniała z ochoty, jak dziewczyny z Havnoru czy Thwil, które wcześniej zwykł wykorzystywać, tylko zamilkła, posmutniała jakby. Przestała pytać bez końca o Roke, sama też jakoś nie odpowiadała na zagadywanie. Gdy podszedł ostrożnie i ujął jej dłoń, uderzyła go w twarz, aż w głowie zaszumiało. Potem wstała i bez słowa wyszła ze stajni. Paskudne psisko podreptało za nią. Obejrzała się jeszcze, szczerząc zęby w uśmiechu.



Skierowała się do starego domu. Gdy czarnoksiężnikowi przestało dzwonić w uszach, poszedł za nią w nadziei, że czar jednak zadziałał i że w ten szczególny sposób postanowiła zaprosić go wreszcie do łóżka. Gdy był już blisko budynku, usłyszał brzęk tłuczonej zastawy. Zapijaczony ojciec Ważki wyszedł chwiejnym krokiem, ale wyraźnie wystraszony i zmieszany. Ściągał go głośny i gniewny głos córki:

–Precz z domu, pijaku zdradziecki! Rozpustniku śmierdzący i bezwstydney!

–Wzięła mi kubek – pisnął niczym szczenię Władca Irii, patrząc na obcego. Psy, skomlać, tłoczyły się dookoła. – I stłukła go.

Ivory poszedł i nie wracał przez dwa dni. Trzeciego dnia podjechał na próbę w pobliże Starej Irii. Dziewczyna zeszła z góry, aby się z nim spotkać.

–Przepraszam, Ivory – powiedziała, spoglądając nań ciemnopomarańczowymi

oczami. – Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Byłam zła. Ale nie na ciebie. Wybacz, proszę.

Wybaczył jej bez zwłoki i więcej po to zakłęcie nie sięgał.

Już niebawem, myślał teraz, już niebawem obędzie się bez zaklęcia. Zdobędzie rzeczywistą władzę nad dziewczyną. Zrozumiał w końcu, jak osiągnąć cel. Sama mu to umożliwiła. Była niesamowicie silna i zdecydowana, ale szczęśliwie była też głupia. On wręcz przeciwnie.

Birch wysłał właśnie do Kembermouth wóz z sześcioma beczkami dziesięcioletniego faniana zamówionego przez tamtejszego handlarza winem. Ucieszył się, że czarnoksiężnik pojedzie jako ochrona, gdyż wino było cenne i chociaż młody król zaprowadzał porządek, jak tylko mógł energicznie, na drogach wciąż można się było natknąć na bandy rozbójników. Tak zatem Ivory opuścił Westpool na wielkim wozie ciągniętym przez cztery perszerony. Wóz toczył się z wolna, trzęsąc na nierównej drodze, a Ivory siedział z tyłu, machając nogami. Przy Wzgórzu Jackass z pobocza podniosła się jakaś postać i poprosiła woźnicę o podwiezienie.

–Nie znam cię – odparł tamten, unosząc ostrzegawczo bat.

–Niech chłopak wsiada, dobry człowieku – powiedział Ivory, obchodząc wóz. – Nie zrobi ci krzywdy, gdy ja tu jestem.

–Ale proszę mieć na niego oko, panie – mruknął woźnica.

–Niezawodnie – odparł Ivory, puszczając oko do Ważki. Stosownie brudna i przebrana w starą bluzę roboczą chłopaka od wszystkiego, legginsy i obrzydliwy kapelusz, dziewczyna nie odmruknęła. Grała bezbłędnie swoją rolę nawet wtedy, gdy zwieszając nogi, siedli oboje z tyłu wozu za sześcioma wielkimi beczkami po ponad sto dwadzieścia galonów każda, które oddzieliły ich wyraźnie od sennego woźnicy. Równie sennie, letnie wzgórza i pola przesuwaly się z wolna obok. Ivory próbował zaczepiać dziewczynę, ale ona tylko pokręciła głową. Być może teraz, gdy przyszło do realizacji zwariowanego pomysłu, zaczęła się jednak bać. Trudno było orzec. Siedziała milcząca i poważna. Jak już wezmę ją pod siebie, to potem może być strasznie nudno, pomyślał Ivory. Myśl ta wzburzyła go na chwilę, ale gdy spojrział na dziewczynę, obawy pierzchy uśmierzone jej masywną i realną obecnością.

Wiodąca przez niegdysiejszą Domenę Irii droga pozbawiona była zajazdów. Gdy słońce zbliżyło się do płaskich, zachodnich równin, zatrzymali się w gospodarstwie, gdzie oferowano stajnię dla koni, schronienie dla wozów i siano na strychu stajni dla woźniców. Strych był ciemny, pełen siana i wonny. Ivory nie czuł wcale pożądania, chociaż Ważka zległa niecałe trzy stopy od niego. Tak dobrze grała przez cały dzień męczyznę, że nawet jego w połowie przekonała. Może jednak uda się jej oszukać starych! – pomyślał, uśmiechnął się do tej myśli i zasnął.

Następnego dnia podróży przeszły nad nimi dwie letnie burze z ulewą i zmrokiem dotarli do Kembermouth, otoczonego murami, dostatniego miasta portowego. Zostawili woźnicę, by zajął się sprawami swego pana, i ruszyli poszukać gospody przy nabrzeżach. Ważka podziwiała miasto w milczeniu, które równie dobrze mogło być oznaką zdumienia, dezaprobaty lub zwykłej tępoty.

–Miłe miasteczko – powiedział Ivory – ale gdzie mu do Havnoru. To jedyne prawdziwe miasto tego świata.

–Chyba mało kto handluje z Roke? – spytała jedynie i już wiedział, że miejskim doświadczeniem jej nie zaimponuje. – Pewnie potrwa, nim znajdziemy statek, który nas tam zabierze?

–Jeśli będę miał łaskę, to nie.

Przestała rozglądać się wkoło i przez chwilę kroczyła w głębokim zamyśleniu. Poruszała się naprawdę pięknie, śmiało i z wdziękiem, głowę trzymała wysoko.

–Chcesz powiedzieć, że muszą posłuchać czarnoksiężnika? Ale ty nie jesteś czarnoksiężnikiem.

–To kwestia formalna. Starsi uczniowie mogą pokazywać się z łaską, jeśli występują w imieniu Roke. Tak jak ja teraz.

–Bo mnie tam zabierasz?

–Tak, prowadzę im ucznia. Nader zdolnego ucznia!

Nie pytała więcej. Nigdy nie próbowała się sprzeczać, była to jedna z jej niewątpliwych zalet.

Odezwała się dopiero przy kolacji, którą jedli przed frontem tawerny przy nabrzeżu.

–Uważasz, że mam wielki talent? – spytała z niezwykłą dla niej nieśmiałością.

–W mojej ocenie tak.

Zamyśliła się. Rozmowa z nią zwykle przebiegała na raty.

–Róża mawiała, że mam moc, ale nie wiedziała, jakiego rodzaju. A ja... ja też to czuję, ale zupełnie nie poznaję, co to takiego.

–Po to jedziesz na Roke, żeby się dowiedzieć – powiedział, unosząc ku niej szklanicę. Po chwili ona wzięła swoją i uśmiechnęła się tak czule i promiennie, aż Ivory dodał odruchowo: – I obyś znalazła to, czego szukasz!

–Jeśli tak się stanie, to dzięki tobie – stwierdziła.

W owej chwili kochał ją za szczerość serca i gotów był wyprzeć się wszystkich niecznych zamiarów. Widział w niej jedynie swą towarzyszkę w niezwyklej przygodzie i współautorkę przedniego żartu.

Gospoda była zatłoczona i musieli dzielić pokój z dwoma innymi podróżnymi, jednak myśli czarnoksiężnika były tak czyste, że aż sam trochę się z siebie podśmiewał.

Następnego ranka zerwał w kuchennym ogródku gospody porządnie wyrosnięte ziele i zaczarował je na podobieństwo solidnej łaski, takiej okutej miedzią i wysokiej dokładnie na jego wzrost.

–Co to za drewno? – spytała przejęta Ważka, widząc go z łaską.

–Rozmaryn – odpowiedział ze śmiechem i ona też się roześmiała. Potem ruszyli wzdłuż nabrzeża, pytając o statek płynący na południe, który zabrałby czarnoksiężnika i jego ucznia na Wyspę Mędrców. Rychło trafili na solidny frachtowiec zmierzający na Wathort, którego właściciel zgodził się przewieźć czarnoksiężnika za dobre słowo, a jego ucznia za pół ceny. Chociaż nawet pół ceny pochłonęło połowę zaskórniaków, w zamian mieli się cieszyć luksusem własnej kabiny, *Wydra Morska* była bowiem pokładowym dwumasztowcem.

Gdy rozmawiali jeszcze z właścicielem, na nabrzeże zajechał wóz, z którego zaczęto wyładowywać sześć znajomych beczek.

–To nasze – powiedział Ivory.

–Płyną do miasta Hort – stwierdził właściciel statku.

–Z Irii – dodała Ważka i obejrzała się na ląd. To był jedyny raz, gdy widział, aby zerknęła za siebie.

Zaklinacz pogody zjawił się na pokładzie tuż przed wypłynięciem. Nie był to czarnoksiężnik z Roke, ale

wyniszczony sztormami męczyzna w znoszonym żeglarskim płaszczu. Ivory pozdrowił go gestem laski. Czarownik obejrzał sobie dostojnego obcego od stóp do głów i powiedział:

–Na tym statku tylko jeden zajmuje się pogodą. Jeśli to nie będę ja, to schodzę na brzeg.

–Jestem tylko pasażerem, panie pogodowy. Chętnie zostawię wiatry w pańskich rękach.

–I dobrze – powiedział tamten i nie odezwał się więcej do czarnoksiężnika.

Niemniej podczas podróży rozmawiał parę razy z Ważką, czym Ivory nieco się niepokoił. Ignorancja i łatwości dziewczyny mogły jej przyczynić kłopotów. A to oznaczałoby kłopoty i dla niego. O czym mogła rozmawiać z pogodowym? Spytał w końcu.

–O tym, co się z nami stanie – odrzekła.

Spojrzał na nią zdumiony.

–Z nami wszystkimi – wyjaśniła. – Z Way, Felkway, Havnore, Wathort i Roke. Z wszystkimi mieszkańcami wysp. On mówi, że gdy zeszłej jesieni szykowano koronację króla, Lebannen wysłał na Gont po Arcymaga, żeby on go koronował, ale tamten nie przybył. Wciąż nie ma nowego Arcymaga. Tak więc sam wziął sobie koronę. Jedni

mówią, że to źle, bo król nie objął tronu jak należy. Inni powiadają zaś, że król sam jest arcymagiem. Tyle że nie jest czarnoksiężnikiem, tylko królem. Na to jeszcze inni dodają, że znów powrócą mroczne lata niesprawiedliwości, a czary używane będą do złych celów.

–Ten stary zaklinacz pogody powiedział to wszystko? – spytał po chwili Ivory.

–To pewnie zwykłe pogłoski – odparła Ważka, jak zwykle widząc wszystko najprościej.

Cokolwiek powiedzieć, zaklinacz pogody znał swój fach. *Wydra morska* gnała na południe i chociaż trafiali na letnie szkwały i silniejsze fale, to sztormy i przeciwnie wiatry ich omijały. Zawijali dla wyładunku jednych towarów i załadunku drugich do portów na północnych brzegach O, do Olien, Lengu, Kamery i Portu O, a potem skierowali się na zachód, by wysadzić pasażerów na Roke. Gdy wzięli kurs na zachód, Ivory poczuł, jak coś zaczyna ścisnąć go w żołądku, bo aż za dobrze wiedział, jak pilnie strzeżona jest ta wyspa. Nie potrafił przewidzieć, czy zaklinacz pogody zdoła odwrócić od nich wiatr Roke, jeśli ten uderzy od dziobu. A gdyby do tego doszło, to Ważka z pewnością spyta, czemu się zerwał. Czemu nie dopuszcza ich do wyspy?

Z radością zauważył, że czarownik też zaczyna się niepokoić. Stawał przy sterniku, wspinał się na bocianie gniazdo i kazał wybierać żagiel za każdym razem, gdy poczuł najmniejszy nawet podmuch zachodniego wiatru. W końcu wiatr ten przyniósł przelotną burzę z ulewą i Ivory zszedł do kabiny. Ważka została na pokładzie. Bała się wody, jak wyjaśniła. Nie umiała pływać.

–To musi być straszne utonąć. Bez powietrza do oddychania... – powiedziała i wzdrygnęła się. Żadnego innego lęku nigdy nie okazała. Nie lubiła jednak tej niskiej i ciasnej kabiny, wołała spędzać dni na pokładzie, w ciepłe noce nawet tam spała. Ivory nie próbował jej przekonywać miłym słowem, wiedział, że nic dobrego by z tego nie wynikło. Aby ją mieć, musi nad nią zapanować, a tego zdoła dokonać dopiero na Roke.

Wrócił na pokład. Przejaśniało się, zachodzące słońce wyjrzało zza chmur. Na tle złocistego nieba zarysował się wysoki i ciemny masyw wzgórza.

Ivory spojrzał na ten krajobraz z tęskną nienawiścią.

–To Pagórek Roke – powiedział zaklinacz pogody do Ważki, która stała obok niego przy relingu. – Teraz wpływamy do Zatoki Thwil, gdzie nie wieją nigdy żadne inne wiatry prócz tych, których oni sobie życzą.

Zanim weszli do zatoki i rzucili kotwicę, zapadł zmierzch.

–Rano zejdem na ląd – powiedział Ivory kapitanowi.

Ważka czekała na niego w maleńkiej kabinie. Była poważna jak zwykle, ale oczy lśniły jej radośnie.

–Rano zejdziemy na ląd – powtórzył jej Ivory. Skinęła głową.

–Dobrze wyglądam? – spytała.

Usiadł na wąskiej koi i spojrział na nią. Siedziała na własnej, równie wąskiej koi. Nie mogli spojrzeć na siebie wprost, bo nie było tu miejsca na kolana.

W Porcie O dziewczyna kupiła sobie za jego sugestią porządną koszulę i spodnie, żeby bardziej przypominać kandydata do Szkoły. Twarz miała ogorzałą od wiatru i wyszorowaną, włosy upięte podobnie jak Ivory. Równie porządnie umyte dłonie złożyła na udach. Długie, silne dłonie, całkiem jak u mężczyzny.

–Nie wyglądasz na mężczyznę – powiedział i dziewczyna posmutniała. – Nie dla mnie, ale dla mnie nigdy nie będziesz wyglądać jak mężczyzna. Jednak nie ma powodów do niepokoju. Im to wystarczy.

Niespokojnie kiwnęła głową.

–Wielka próba będzie naprawdę wielka, Ważko – powiedział, zaczynając rozmowę, którą od wielu wieczorów układał sobie w myślach, leżąc samotnie w kabinie. – Aby wejść do Wielkiego Domu, trzeba pokonać drzwi.

–Zastanawiałam się nad tym – rzekła skwapliwie Ważka. – Czy nie mogłabym po prostu powiedzieć im, kim jestem? Gdybyś wstawił się za mną... przyznałabym się nawet, że jestem kobietą i że mam pewien dar... i obiecałabym dochować ślubów i przyjąć zakłęcie celibatu, mieszkać osobno, gdyby tak chcieli...

Przez cały czas jej perory Ivory kręcił energicznie głową.

–Nie, nie, nie, nie. To beznadziejne. Bez sensu. Fatalny pomysł!

–Nawet gdybyś...

–Nawet gdybym się za tobą wstawił. Nie posłuchaliby. Reguła Roke zabrania nauczania kobiet tak Wyższych Kunsztów, jak i choćby słowa z Mowy Tworzenia. Zawsze tak było. Nie posłuchają zatem. Trzeba im dopiero pokazać, jak to jest! I pokażemy im, że może być inaczej. Musisz się zdobyć na odwagę, Ważko. Nie wolno ci pozwalać sobie na słabość, na myślenie, że jak ich ładnie poprosisz, żeby cię wpuścili, to ci nie odmówią. Odmówią z pewnością. A jeśli ujawnisz się za wcześnie, to cię ukarzą. I mnie też. – Ostatnie zdanie wymówił ze szczególnym naciskiem, a w duchu dodał: Przepadnij. Przyjrzała mu się tymi nieodgadzionymi oczami.

–No to co mam robić? – spytała w końcu.

–Ufasz mi, Ważko?

–Tak.

–Czy zaufasz mi całkowicie i do końca, wiedząc, że ryzykuję dla ciebie więcej, niż ty ryzykujesz w całym tym przedsięwzięciu?

–Tak.

–Zatem musisz przekazać mi to słowo, które wypowiesz przed Odźwiernym.

Spojrzała na niego zdumiona.

–Ale to ty miałeś mi je zdradzić. To hasło...

–To twoje prawdziwe imię. O nie cię spyta. – Pozwolił, aby sens tych słów w pełni do niej dotarł, po czym łagodnie podjął wątek: – Aby przygotować Zakłęcie Podobieństwa na tyle pełne i skuteczne, by Mistrzowie Roke uznali cię za mężczyznę i tylko mężczyznę, muszę znać twoje prawdziwe imię. – Znów umilkł na chwilę. Gdy mówił sam, gotów był uwierzyć, że wszystko to jest prawdą, a słowa płynęły mu potoczyć, głos brzmiał łagodnie: – Mogłem je poznać znacznie wcześniej, ale postanowiłem nie stosować żadnej z mych sztuk, chciałem, żebyś zaufała mi na tyle, by z własnej woli zdradzić mi swe imię.

Spojrzała na swoje złączone na kolanach dłonie. W słabym, czerwonym blasku kabinowej latarni jej rzęsy

rzucały długie, delikatne cienie na policzki. W końcu uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

–Nazywam się Irian – powiedziała.

Uśmiechnął się. Nie odpowiedziała uśmiechem.

Nie odezwał się. Po prawdzie nie wiedział, co począć. Gdyby wiedział, że pójdzie tak łatwo, spytałby ją o imię już wiele dni, tygodni wcześniej i zyskałby możliwość uczynienia z dziewczyną co wola i ochota bez całego tego wariactwa, wydatków i wątpliwości, a szczególnie podróży morskiej i pielgrzymki na Roke! Teraz dopiero dojrzał rozmiar swojego szaleństwa. Nigdy nie zdołał tak jej przebrać, aby oszukała Odźwiernego. Ani na chwilę go nie oszuka. Pomysł dokuczenia Mistrzom w zamian za doznane od nich poniżenia okazał się mrzonką. Ogarnięty obsesyjnym pragnieniem omotania dziewczyny, wpadł we własne sidła. Z goryczą zauważył, że jak zawsze uwierzył we własne łągarstwa, zaplątał się we własnoręcznie uplecioną sieć. Raz już, na Roke, zrobił z siebie głupca i teraz znowu... Wezbrał w nim podszyty żalem gniew. Wszystko na nic, nigdy nic mu się nie uda.

–Co się stało? – spytała.

Jej łagodny i matowy głos całkiem go rozbroił. Skrył twarz w dłoniach. Z trudem powstrzymywał łzy wstydu.

Położyła mu dłoń na kolanie. Po raz pierwszy go dotknęła. Tyle czasu czekał na tę chwilę, a teraz ścierpł, czując ciepło jej palców.

Miał ochotę ją zranić, wstrząsnąć tak, by zmazać z jej twarzy ten łagodny wyraz naiwności, ale w końcu jedynie powiedział:

–Ja tylko chciałem się z tobą kochać.

–Ty chciałeś?

–A co, masz mnie za eunucha? Myślisz, że wykastrowałem się zaklęciem, aby zostać świętym? Jak sądzisz, dlaczego nie mam laski? Dlaczego nie jestem w Szkole? Naprawdę uwierzyłaś we wszystko, co ci mówiłem?

–Tak – odparła. – Przepraszam. – Nie cofnęła ręki z jego kolana. – Możemy się kochać, jeśli chcesz.

Usiadł prosto i znieruchomiał.

–Kimże jesteś? – spytał w końcu.

–Nie wiem. To dlatego chciałam przyjechać na Roke. Żeby się dowiedzieć.

Uwolnił się i wstał, zginając kark: żadne z nich nie mogło stać prosto w nazbyt niskiej kabinie. Zaciskając i rozprostowując pięści, odwrócił się do niej plecami i odsunął jak mógł najdalej.

–Nie dowiesz się. To wszystko kłamstwa, same bzdury. Tamci starcy tylko bawią się słowami. Jak nie chciałem grać wedle ich reguł i odszedłem. Wiesz, co zrobiłem? – Obrócił się i pokazał zęby w wilczym uśmiechu triumfu. – Sprowadziłem do mojego pokoju dziewczynę z miasta. Do mojej celi. Mojej kamiennej celi, gdzie żyłem w celibacie. Okno wychodziło na ulicę. Obyło się bez zaklęć, bo nie da się czarować w miejscu tak przesiąkniętym ich magią. Ale ona chciała przyjść i przyszła, a ja spuściłem jej z okna drabinkę sznurową. Wspięła się po niej. I byliśmy zajęci sobą, gdy ci starcy weszli! Ale pokazałem im! A gdybym zdołał cię wprowadzić, to pokazałbym tych staruchom raz jeszcze. Odplaciłbym się im pięknym za nadobne!

–Dobrze, spróbuję – powiedziała.

Zdumiał się.

–Z innych powodów niż ty, ale ciągle chcę spróbować – dodała. – Skoro pokonaliśmy już taki kawał drogi... A ty znasz moje imię.

To prawda, znał jej prawdziwe imię. Gorzało mu w myślach niczym gorące węgle, jaśniało jak bursztyn. Nie potrafił go ogarnąć. Nie potrafił wykorzystać. Ani wymówić.

Spojrzała na niego. Jej ostre rysy złagodniały dziwnie w cienistym blasku latarni.

–Jeśli zabrałeś mnie aż tutaj po to jedynie, żeby się ze mną kochać, Ivory, to możemy się kochać. Jeśli ciągle tego chcesz.

W milczeniu pokręcił głową. Dopiero po chwili odzyskał mowę. Roześmiał się.

–Już nie... chwila po temu... chyba minęła...

Popatrzyła na niego bez żalu czy wyrzutu. I bez wstydu.

–Irian – powiedział i teraz nagle jej imię samo napłynęło mu na język. Brzmiało słodko i odświeżająco niczym woda dla spragnionego. – Oto, co musisz zrobić, aby wejść do Wielkiego Domu.

### 3. Azver

Zostawił ją na rogu ulicy, wąskiej i myląco nijakiej uliczki wiodącej pomiędzy ślepych murami ku drewnianym drzwiom osadzonym w wyższej ścianie. Rzucił na nią zaklęcie i wyglądała teraz jak mężczyzna, chociaż wcale się tak nie czuła. Objęli się, bo przecież, cokolwiek by powiedziec, zostali przyjaciółmi, towarzyszami, a on wszystko, co zrobił, zrobił dla niej.

–Odwagi! – rzucił i kazał jej iść.

Ruszyła uliczką i stanęła przed drzwiami. Obejrzała się jeszcze, ale on już zniknął.

Zapukała.

Po chwili usłyszała szczęknięcie klamki. Drzwi się otworzyły. Stał w nich pospolicie wyglądający mężczyzna w średnim wieku.

–Co mogę dla ciebie zrobić? – spytał. Nie uśmiechał się, ale ton głosu wyrażał uprzejme zainteresowanie.

–Wpuść mnie do Wielkiego Domu, panie.

–Znasz drogę? – Jego migdałowe oczy spoglądały na nią z uwagą, chociaż Ważce zdawało się, że dzieli ich wiele mil. Albo lat.

–Wchodzi się tędy, panie.

–Wiesz, czyje imię musisz mi podać, nim wejdiesz?

–Moje własne, panie. Brzmi Irian.

–Zaprawdę?

Dziewczyna nie wiedziała, co powiedzieć. Przez chwilę stała w milczeniu.

–To imię, które nadała mi czarownica Róża z mojej wioski na Way. Wiosną, pod Wzgórzem Irii – stwierdziła w końcu, prostując się i stawiając na prawdomówność.

Odźwierny przyglądał się jej. Trwało to niemal wieczność.

–Zatem to jest twoje imię – powiedział. – Ale może nie jedyne. Zdaje się, że masz jeszcze jedno.

–Nie znam go, panie.

Znów zapadła długa chwila ciszy.

–Może tutaj zdołam je poznać, panie.

Odźwierny skłonił lekko głowę. Łagodny uśmiezek pofałdował mu policzki. Odstąpił na bok.

**–Wejdz, córko.**

**Przeszła przez próg Wielkiego Domu.**

**Zasłona zaklęcia czarnoksiężnika opadła z niej jak pajęczyna. Znów była sobą, odzyskała własny wygląd.**

**Ruszyła za Odźwiernym kamiennym korytarzem. Dopiero na końcu przejścia pomyślała, aby się obejrzeć i na własne oczy zobaczyć światło przenikające przez tysiąc liści drzewa wyrzeźbionego w wysokich wrotach, co tkwiły w białych, kościanych odrzwiach.**

**Spieszący korytarzem młody mężczyzna w szarym płaszczu przystanął nagle na ich widok. Zapatrzył się na Irian, potem skinął lekko głową i poszedł dalej. Obejrzała się. On też.**

**Korytarzem przemknęła kula mglistego, zielonkawego światła. Unosiła się na wysokości oczu i najwyraźniej podążała za młodzieńcem. Odźwierny machnął ręką i kula go ominęła. Irian odchyliła się i zanurkowała gwałtownie, ale i tak poczuła, jak zimny ogień muska jej włosy i przechodzi górą. Odźwierny obejrzał się i uśmiechnął, tym razem szerzej. Chociaż nie powiedział ani słowa, poczuła, że pamięta o jej obecności, która nie jest mu obojętna. Wstała i ruszyła za nim.**

**Zatrzymali się przed dębowymi drzwiami. Zamiast zapukać, Odźwierny narysował na nich szczytem laski mały znak runiczny. Laska była lekka, z jakiegoś szarawego drewna. Rozległ się dźwięczny głos „Wejść!” i drzwi się otworzyły.**

**–Poczekaj tu, proszę, Irian – powiedział Odźwierny i wszedł do pokoju, zostawiając drzwi szeroko otwarte. Dziewczyna dostrzegła regały i książki, i stół zarzucony innymi tomami, kałamarzami i pismami, i jeszcze paru chłopców siedzących przy stole, i siwego, krępego mężczyznę pograżonego w rozmowie z Odźwiernym. Widziała, jak zmienia się jego twarz, jak rzuca jej krótkie, zdumione spojrzenie i pyta o coś Odźwiernego, cicho, ale z przejęciem.**

**Potem obaj do niej wyszli.**

**–Mistrz Przemian z Roke. Irian z Way – przedstawił ich sobie Odźwierny.**

**–Wybacz, że będziemy mówić o tobie w twojej obecności, młoda pani – rzekł Mistrz Przemian – ale to konieczne. Mistrz Odźwierny, nigdy nie kwestionowałem twych osądów, ale Reguła wyraża się jednoznacznie. Muszę cię spytać, co sprawiło, że ją złamałeś i wprowadziłeś tu tę kobietę.**

**–Poprosiła – odparł Odźwierny.**

**–Ale... – zaczął i urwał Mistrz Przemian.**

**–Kiedy ostatni raz kobieta poprosiła o przyjęcie do Szkoły?**

**–Wiedzą, że Reguła na to nie zezwala.**

**–Wiedziałaś o tym, Irian? – spytał Odźwierny.**

**–Tak, panie.**

**–Co cię tu sprowadziło? – spytał Mistrz Przemian, głosem surowym, nie kryjąc jednak ciekawości.**

**–Mistrz Ivory powiedział, że mogę wśliznąć się jako mężczyzna. Chociaż ja uważałam raczej, że powinnam otwarcie się przedstawić. Zachowam celibat jak wszyscy, panie.**

**Na policzkach Odźwiernego znów pojawiły się dwa szerokie półksiężycy uśmiechu. Oblicze Mistrza Przemian pozostało nieruchome, chociaż zamrugał oczami.**

**–Z pewnością... tak... – powiedział po chwili. – Zamysł szczeroci z pewnością lepszy jest i godny pochwały. O jakim Mistrzu wspomniłaś?**

**–O Ivorym – wtrącił się Odźwierny. – To ten chłopak z Wielkiego Portu Havnor, którego wpuściłem trzy wiosny**

temu i wypuściłem w zeszłym roku, jak może pamiętasz.

–Ivory! Ten, który uczył się u Złotej Ręki? Jest tutaj? – spytał ze złością Mistrz Przemian, zwracając się do Irian.

Dziewczyna wyprostowała się jedynie i nie powiedziała ani słowa.

–W Szkole go nie ma – stwierdził z uśmiechem Odźwierny. – Oszukał cię, młoda kobieto. Oszukał, próbując oszukać nas.

–To ja go wykorzystałam, aby przyprowadził mnie tutaj i zdradził, co trzeba powiedzieć przy wejściu – oparła Irian. – Nie przybyłam, by kogokolwiek oszukiwać, ale żeby się uczyć, dowiedzieć się tego, co pragnę wiedzieć.

–Często się zastanawiałem, dlaczego właściwie wpuściłem tego chłopaka – mruknął Odźwierny. – Teraz zaczynam rozumieć.

Słyszając to, Mistrz Przemian spojrział na niego z uwagą.

–Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał po chwili. Bardzo poważnie.

–Sądzę, że Irian z Way przybyła do nas w poszukiwaniu odpowiedzi nie tylko na własne, ale i nasze dylematy – rzekł Odźwierny równie poważnym głosem. – I myślę, że to jest coś, co powinniśmy omówić w dziewięciu.

Mistrz Przemian przyjął sugestię z nieskrywanym zdumieniem, o nic jednak nie pytał.

–Ale bez uczniów – zastrzegł.

Odźwierny skinął głową na zgodę.

–A ona może na razie zamieszkać w mieście – dodał Mistrz Przemian z niejaką ulgą.

–Żebyśmy decydowali o niej za jej plecami?

–Chyba nie wprowadzisz jej do Sali Rady? – spytał z niedowierzaniem Mistrz Przemian.

–Arcymag wpuścił tam niegdyś pewnego chłopaka, Arrena.

–Ale... ale Arren to król Lebannen...

–A kim jest Irian? Mistrz Przemian zamilkł.

–Do czego zmierzasz, przyjacielu? – spytał w końcu cicho, z szacunkiem. – Czegóż

mamy się nauczyć? Kim ona jest, że tak się za nią wstawiasz?

–A kim my jesteśmy, żeby jej odmawiać, nie wiedząc nawet, kim ona jest? – Kobietą – powiedział Mistrz Przywołań.

Irian kilka godzin czekała w komnacie Odźwiernego, niskim, jasnym i pustym pokoju z małym oknem wychodzącym na ogrody na tyłach Wielkiego Domu – rozległe, dobrze utrzymane, z długimi zagonami i grządkami warzyw, zieleniny i ziół, z krzaczkami jagód i drzewami owocowymi na dalszym planie. Dojrzała krzepkiego i opalonego mężczyznę, który przyszedł z dwoma chłopcami, aby wypielić jedną z grządek warzywnych. Dla uspokojenia myśli śledziła ich uważną pracę i żałowała, że nie może się do nich przyłączyć. Oczekiwanie i poczucie obcości trudne były do zniesienia. W pewnej chwili zjawił się Odźwierny, przynosząc jej talerz z zimnym mięsem, chlebem i szalotkami. Zjadła, co kazał jej jeść, ale żucie i przełykanie kosztowało ją wiele wysiłku. Ogrodnicy poszli sobie i nie było nawet na co popatrzeć, jeśli nie liczyć rosnących po cichu kabaczków i skaczących wróbli. I jeszcze krążącego wysoko na niebie jastrzębia oraz kołysanych łagodnie wiatrem wierzchołków wysokich drzew rosnących poza ogrodem.

Odźwierny w końcu wrócił.

–Chodź, Irian, spotkasz Mistrzów Roke – powiedział i serce załomotało jej w piersi. Poszła za Odźwiernym



plątanią korytarzy, aż dotarli do sali z ciemnymi ścianami i rzędem wysokich, ostrołukich okien. Stała tam grupa mężczyzn. Wszyscy spojrzeli na nią, gdy weszła.

–Irian z Way, moi panowie – oznajmił Odźwierny i zapadła cisza. Pokazał Irian, by weszła dalej. – Mistrza Przemian już poznałaś – stwierdził i przedstawił wszystkich pozostałych, ale ona i tak nie zapamiętała wszystkich ich specjalności. Tylko Zielarza skojarzyła od razu, bo to jego wzięła wcześniej za ogrodnika. Na najmłodszego ze wszystkich wyglądał wysoki mężczyzna z surową i piękną twarzą wyrzeźbioną jakby z ciemnego kamienia. To był Mistrz Przywołań. Odezwał się pierwszy, ledwo Odźwierny skończył mówić:

–Kobieta.

Odźwierny skinął głową, spokojnie jak zawsze.

–Czy to dlatego zwołałaś zebranie Dziewięciu? Tylko i wyłącznie po to?

–Tylko i wyłącznie z jej powodu – odparł Odźwierny.

–Widziano smoki latające nad Morzem Najgłębszym. Roke nie ma Arcymaga, a wyspy prawdziwie koronowanego króla. To jest coś, czym naprawdę trzeba się zająć – powiedział Mistrz Przywołań głosem ciężkim i zimnym jak kamień. – Kiedy to

uczynimy?

Zapadła krępująca cisza. Odźwierny nie śmiał się odezwać.

–Czy przyprowadziłaś tę kobietę do Domu jako uczennicę, Mistrzu Odźwierny? – spytał w końcu drobny, jasnooki mężczyzna w czerwonej tunice skrywanej pod szarym płaszczem czarnoksiężnika.

–Jeśli nawet, to od was zależy, czy przyjmiecie ją, czy nie.

–Ale jak było? – domagał się odpowiedzi ten w tunice. Uśmiechał się lekko.

–Mistrzu Sztuki – powiedział Odźwierny – poprosiła mnie, bym wpuścił ją jako uczennicę, a ja nie widziałem powodu, aby odmówić.

–Powodów miałaś aż nadto – zauważył Mistrz Przywołań.

–Nie nam to oceniać – stwierdził ktoś obdarzony niskim, czystym głosem. – To sprawa Reguły Roke, której przysięgliśmy przestrzegać.

–Nie sądzę, aby Odźwierny skłonny był tak łatwo się jej przeciwstawić – odezwał się kolejny, którego Irian do tej chwili nie zauważyła, chociaż był rośli, siwowłosy i grubokościsty, o ostrych rysach twarzy. W odróżnieniu od innych, mówiąc, patrzył na dziewczynę. – Jestem Kurremkarmerruk – przedstawił się. – Tutaj jako Mistrz pilnuję stosowności imion, z moim na czele. Kto nadał ci twoje, Irian?

–Róża, wiedźma z naszej wioski, panie – odparła dziewczyna, stając prosto i pewnie, chociaż głos drżał jej piskliwie.

–Czyżby została źle nazwana? – spytał Odźwierny. Kurremkarmerruk pokręcił głową.

–Nie, ale...

Mistrz Przywołań, który stał tyłem do nich przed wygaszonym kominkiem, nagle się obrócił.

–Imiona, które widzimy nadają sobie nawzajem, to nie nasza sprawa – powiedział. – Jeśli ta kobieta z jakiegoś powodu cię interesuje, Mistrzu Odźwierny, to wybadaj ją sobie poza naszymi murami, z drugiej strony drzwi, których ślubowałaś strzec. Tutaj nie ma dla niej miejsca, nigdy nie będzie. Ona może zasiać wśród nas co najwyżej kontuzję, niezgodę i jeszcze bardziej nas osłabić. Powiedziałem, co trzeba, i nie odezwę się więcej w jej obecności. Jediną możliwą odpowiedzią na świadomie popełniony błąd może być tylko cisza.

–Cisza nie wystarczy, mój panie – odezwał się ktoś, kto wcześniej milczał. Irian wydał się bardzo osobliwy, miał

bladoczerwoną skórę, długie jasne włosy i wąskie oczy barwy lodu. Mówił też dziwnie, jakby z wysiłkiem, zniekształcając słowa. – Cisza może być odpowiedzią na wszystko i na nic.

Mistrz Przywołań uniósł ciemną, szlachetną twarz i spojrzał na bladego przez cały

pokój, ale się nie odezwał. Bez słowa czy gestu znów się odwrócił i wyszedł. Irian odsunęła się, gdy ją mijał. Miała wrażenie, że tuż obok otworzył się nagle grób, zimna, ciemna i mokra mogiła. Zatchnęło ją na chwilę, nie mogła złapać oddechu. Gdy znów poczuła się lepiej, dostrzegła, że Mistrz Przemian i blady przyglądają się jej uważnie.

Mężczyzna z głosem jak potężny dzwon też na nią patrzył.

–Rozumiem, że ten, kto cię tu przyprowadził, chciał naszej krzywdy, ale twoim zamiarem to nie było – powiedział surowym tonem. – Jednak przebywając tutaj, Irian, szkodzisz i nam, i sobie. Wszystko, co znajdzie się nie na swoim miejscu, przynosi jakąś szkodę. Nawet najczystsza nuta niweczy piękno utworu, gdy zabrzmi w nieodpowiedniej chwili. Kobiety zdobywają wiedzę od innych kobiet. Więdźmy uczą się swej sztuki od innych więdźm i czarowników, nie od czarnoksiężników. To, czego mu ty nauczamy, to język nie dla kobiecych ust. Młode serce buntuje się przeciwko takim prawom i nazywa je niesprawiedliwymi, arbitralnie ustanowionymi. Ale one są słuszne, istnieją nie dlatego, że tak nam się podoba, lecz by oddawać istotę rzeczy. Sprawiedliwi i niesprawiedliwi, głupi i mądrzy, wszyscy muszą ich przestrzegać, bo inaczej zmarnują życie i utoną w żalu.

Mistrz Przemian i stojący obok niego szczupły mężczyzna o bystrym obliczu pokiwali zgodnie głowami.

–Przykro mi, Irian – odezwał się Mistrz Sztuki. – Ivory był moim uczniem. Jeśli źle go uczyłem, to tym gorzej uczyniłem, odprowadzając go stąd. Miałem go za kogoś bez znaczenia, kogoś nieszkodliwego. Jednak skłamał tobie i oszukał cię. Nie masz jednak powodów do wstydu. To jego wina. I moja.

–Nie wstydzę się – powiedziała Irian. Ogarnęła ich wszystkich spojrzeniem. Czowała, że powinna podziękować im za uprzejme potraktowanie, ale słowa nie chciały się układać. Skłoniła się niezgrabnie, obróciła i wyszła z sali.

Odźwierny dogonił ją na skrzyżowaniu korytarzy, gdy przystanąła, nie wiedząc, gdzie skręcić.

–Tędy – powiedział, idąc obok dziewczyny. – I tędy – podpowiedział ponownie po chwili. Nie trwało długo, a doszli do drzwi. Te nie były z rogu i kości, ale ze zwykłego dębu, bez rzeźbień, czarne i masywne. Z żelaznym, wypolerowanym przez wieki rygłem. – To tylne drzwi – wyjaśnił mag, otwierając zamknięcie. – Tak zwana Brama Medry. Pilnuję obu wejść.

Otworzył wrota. Jasność dnia poraziła oczy Irian. Gdy znów zaczęła coś widzieć, ujrzała ścieżkę wiodącą od progu przez ciągnące się dalej ogrody i pola. Dalej rosły wysokie drzewa, po prawej wznosił się Pagórek Roke. Jednak parę kroków przed wejściem stał jasnowłosy mężczyzna z wąskimi oczami. Zupełnie jakby na nich czekał.

–Jesteś, Tkaczu – powiedział Odźwierny, ani trochę nie zdumiony.

–Gdzie odsyłacie tę panią? – spytał Mistrz Wzorów, osobliwie wymawiając słowa.

–Nigdzie – odparł Odźwierny. – Wypuszczam ją tak, jak wcześniej wpuściłem na jej życzenie.

–Pójdiesz ze mną? – spytał Tkacz dziewczynę.

Spojrzała na niego i na Odźwiernego, ale nic nie powiedziała.

–Nie mieszkam w Domu. W żadnym domu – powiedział Mistrz Wzorów. – Mieszkam tutaj, w Gaju. Ach... – westchnął nagle, obracając się. Nieco dalej na ścieżce stał rosły, białowłosy mężczyzna, Kurremkarmerruk, Mistrz Imion. Pojawił się tam dopiero wtedy, gdy Tkacz powiedział „Ach”. Irian patrzyła ze zdumieniem to na jednego, to na drugiego.

–To tylko wyobrażenie, pozór, przesłany na odległość wizerunek mej osoby – wyjaśnił Irian starszy mężczyzna. – Ja też nie mieszkam tutaj, lecz wiele mil stąd – Wskazał na północ. – Możesz przybyć do mnie, gdy już skończycie z Tkaczem. Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o twoim imieniu. – Skłonił się lekko pozostałym magom i już go nie było. Przez miejsce, które dopiero co zajmował, przeleciał basujący rozgłośnie trzmieł.

Irian wbiła spojrzenie w ziemię. Po dłuższej chwili odchrząknęła, ale głowy nie podniosła.

–Czy naprawdę szkodzę, przebywając tutaj?

–Nie wiem – odparł Odźwierny.

–W Gaju nijak nie zaszkodzisz – powiedział Tkacz. – Chodź. Jest tam stary dom, chata. Stara i brudna. Ale tobie to nie przeszkadza, co? Poczekaj chwilę. Sama zobaczysz.

Skierował się ścieżką pomiędzy grządką pietruszki a krzaczkami jakichś roślin strączkowych. Spojrzał jeszcze na Odźwiernego i uśmiechnął się lekko. Poszła za nim.

Maszerowali jakieś pół mili. Po prawej rósł pagórek, coraz wyższy w wieczornym słońcu. Za nimi szarzała dachami posadowiona na mniejszym wzniesieniu Szkoła. Gaj widniał już prawie przed nimi. Irian widziała dęby i wierzby, kasztany i jesiony, i wysokie drzewa iglaste. Z gęstej, nakrapianej słonecznymi plamkami ciemności Gaju wypływał strumyk o zielonych brzegach wydeptanych na buro w miejscach, gdzie bydło i owce schodziły do wodopoju lub by przedostać się na drugą stronę. Przełazem opuścili pastwisko, na którym pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt owiec szczypało krótką, jasną trawę, i stanęli nad strumieniem.

–To ten dom – powiedział mag, wskazując na niski, obrośnięty mchami dach rysujący się w popołudniowych cieniach pośród drzew. – Zostań na noc. Chcesz?

To była prośba, nie polecenie, ale Irian i tak jedynie skinęła głową, że owszem.

–Przyniosę jedzenie – oznajmił i odszedł krokiem tak szybkim, że zaraz zniknął w mroku pod drzewami. O wiele mniej raptownie niż Mistrz Imion, rzecz jasna, toteż Irian patrzyła za nim, aż straciła go z oczu, a potem ruszyła przez wysokie trawy i trzciny do domku.

Wyglądał na bardzo stary. Kiedyś wiele razy go przebudowywano, ale ostatnio uczyniono to już dawno temu. Nikt też od dłuższego czasu w nim nie mieszkał, co się po prostu czuło, i było to miłe wrażenie. Coś podpowiadało, że ci, którzy tu spiali, mieli zawsze spokojne sny. Widok porysowanych i poszczerbionych ścian, ślady obecności myszy oraz pajaków i nader ubogie umeblowanie nie były dla Irian żadną nowością. Znalazła łysawą miotłę i trochę posprzątała, potem rozwinęła swój koc na zbitym z desek łóżku. W szafce z wypaczonymi drzwiczkami trafiła na nadtłuczony dzban. Napełniła go wodą ze strumienia, który, wspaniale czysty, płynął ledwie dziesięć kroków od drzwi. Zrobiła to wszystko jakby w transie, po czym usiadła na trawie z plecami opartymi o nagrzaną wciąż słońcem ścianę. I usnęła.

Gdy się obudziła, Mistrz Wzorów siedział obok, a pomiędzy nimi leżał na trawie koszyk.

–Głodna? Jedz – powiedział.

–Zjem później, panie. Dziękuję.

–A ja jestem głodny już teraz – stwierdził mag i wydobył z koszyka jajko na twardo. Obtłukł je, obrał i zjadł. – Nazywają go Domem Wydry – powiedział. – Jest bardzo stary. Tak stary jak Wielki Dom. Wszystko tu jest stare. My też... My, Mistrzowie.

–Ty nie – rzekła Irian, oceniając, że Tkacz może mieć trzydzieści do czterdziestu lat, chociaż po prawdzie trudno było poznać. Jego włosy były nie tyle siwe, ile białe.

–Ale z daleka przyszedłem. Czasem mile mogą zastąpić lata. Jestem Kargiilem, z Karego. Wiesz, gdzie to jest?

–Tam, gdzie żyją Siwi! – powiedziała Irian, otwarcie wbijając spojrzenie w maga. Przypomniała sobie wszystkie ballady Daisy o Siwych, którzy przyplłynęli ze wschodu, aby spustoszyć ziemię i nadzieć niewinne dzieci na swoje piki, opowieść o tym, jak Erreth-Akbe stracił Pierścień Pokoju, a także nowe pieśni i Opowieść Króla o tym, jak Arcymag Krogulec poszedł pomiędzy Siwych i powrócił z tym pierścieniem...

–Siwi?

–Obsypani siwizną, białowłosi – wyjaśniła Irian, odwracając oczy z zakłopotaniem.

–Aha – mruknął w końcu. – Mistrz Przywołań nie jest stary. – Przyjrzał się jej z ukosa tymi wąskimi, jasnoblękitnymi oczami.

Milczała.

–Chyba się mnie obawiasz – zauważył.

Skinęła głową.

Znów minął im jakiś czas w milczeniu.

–W cieniu tych drzew nic ci nie grozi. Oprócz prawdy.

–Gdy mnie mijał – powiedziała cicho – ujrzałam grób.

–Aha. – Zebrał skorupki jajka w mały stosik bielejący na ziemi obok jego kolana. Potem ułożył resztki w półksiężyc, a następnie w okrąg. – Tak – powiedział, patrząc na skorupki. Wygrzebał dołek, zgarnął je tam i zakopał. Ostrożnie i czysto. I otrzepał ręce. Znów spojrzał przelotnie na Irian. – Byłaś czarownicą, Irian?

–Nie.

–Ale masz trochę wiedzy.

–Nie. Nie mam. Róża nie chciała mnie uczyć. Powiedziała, że nie śmie, bo chociaż mam moc, to ona nie wie, kim jestem.

–Róża to mądry kwiat – powiedział mag bez uśmiechu.

–Ale ja wiem, że mam... mam coś do zrobienia, że powinnam kimś zostać. Dlatego chciałam tu przybyć. Aby się dowiedzieć. Właśnie tutaj, na Wyspie Mędrców.

Przywykła już do tej dziwnej twarzy i z wolna zaczynała poznawać, kiedy co wyraża. Teraz miała wrażenie, że Mistrz posmutniał. Odezwał się głosem oschłym, chropawym i spokojnym. Szybko wymawiał słowa:

–Mężowie z Wyspy nie zawsze są mądrzy, co? – powiedział. – Może jeden Odźwierny. – Zerknął na nią, ale znowu nie wprost. Ich oczy spotykały się tylko przelotnie. – Lecz tutaj, w lesie, pod drzewami... To dawna mądrość, co się nie starzeje. Nie mogę cię uczyć. Ale mogę cię zabrać do Gaju. – Po dłuższej chwili wstał. – Tak?

–Tak – odparła niepewnie.

–Ten dom ci odpowiada?

–Tak...

–Zatem jutro – rzucił i odszedł.

I tak przez pół miesiąca albo i więcej upalnych, letnich dni Irian sypiała w Domu Wydry, miejscu nader spokojnym, i jadła to, co Mistrz Wzorów przyniósł jej koszyku: jajka, ser, zieleninę, owoce, wędzoną baraninę. Każdego popołudnia chadzała z nim do Gaju wysokich drzew, gdzie ścieżki wydawały się biec za każdym razem inaczej, niż pamiętała, a czasem jakby nawet wymykały się daleko poza granice lasu. Przemierzali je w ciszy, z rzadka rozmawiali podczas odpoczynków. Mag w ogóle był milkliwy i chociaż dawało się w nim wyczuć jakaś dzikość, nigdy jej dziewczynie nie okazał. W jej obecności był zawsze spokojny i naturalny jak te drzewa, rzadkie ptaki i małe,

czworonożne leśne stworzenia. Tak jak zapowiedział, nie próbował jej uczyć. Gdy spytała o Gaj, powiedział, że razem z Pagórką Roke stał tam, odkąd Segoy stworzył wyspy świata, a przesyczone magią korzenie drzew łączą się z korzeniami wszystkich puszczy, które są i jeszcze będą.

–Czasem Gaj trwa w jednym miejscu, czasem w innym. Ale zawsze jest.

Nigdy nie miała okazji zobaczyć, gdzie on mieszka. Myślała, że sypia tam, gdzie ma akurat ochotę, przynajmniej w te ciepłe, letnie noce. Spytała go, skąd bierze jedzenie, i usłyszała, że czego nie dostarczą ze Szkoły, przynoszą mu okoliczni rolnicy, zadowoleni z ochrony roztaczanej przez Mistrzów nad ich stadami, polami i sadami. Dla Irian to miało sens. Na Way określenie „czarnoksiężnik z pustą michą” było synonimem czegoś niewyobrażalnego, niesłychanego. Ale ona sama nie miała mocy magicznej i musiała poszukać innego sposobu, żeby zarobić na swoje

utrzymanie. Jak mogła, tak wyremontowała Dom Wydry. Narzędzia pożyczyła od pewnego rolnika, gwoździe i zaprawę kupiła w mieście Thwil, bo przecież ciągle jeszcze miała połowę zaskórniaków.

Tkacz nigdy nie przychodził do niej przed południem, ranki zatem miała wolne. Przywykła do samotności, ale wciąż brakowało jej Róży, Daisy i Coneya, i jeszcze kurczaków, krów i owiec, nawet tych dzikich, głupich psów i całej pracy, którą wykonywała w domu, starając się utrzymać w Starej Irii jaki taki ład i pilnując, aby było co na stół postawić. Pracowała więc co rano niespiesznie, aż dostrzegła maga wyłaniającego się spośród drzew z jasnymi włosami pożółkłymi od słońca.

Spacerując po Gaju, nie myślała już o zarabianiu czy zasługiwaniu się.

Kiedyś spytała, czy zjawiają się tu czasem uczniowie z Wielkiego Domu.

–Czasami – usłyszała. Innym razem powiedział: – Moje słowa są niczym. Posłuchaj liści. – Żadnej innej nauki poza tą skąpą uwagą jej nie przekazał. Nastawiała jednak ucha na szum liści, gdy kołysał nimi lekki podmuch i gdy wichura targała wierzchołkami drzew. Patrzyła na taniec cieni i myślała o skrytych w ciemności ziemi korzeniach. Była naprawdę zadowolona, że się tu znalazła. Zawsze jednak, chociaż nic jej nie gonilo, wydawało jej się, że na coś czeka. Wrażenie spokojnego oczekiwania narastało, ilekroć wychodząc spod drzew, widziała nad sobą otwarte niebo.

Raz, gdy przeszli już kawał drogi wśród nie znanych jej, bardzo wysokich drzew iglastych, usłyszała wołanie. Czy był to krzyk, czy granie rogu, na pewno dochodziło z wielkiej dali, prawie na granicy słyszalności. Stała zwrócona ku zachodowi i pilnie nastawiła uszu. Mag poszedł dalej i zawrócił dopiero wtedy, gdy nie zauważył jej obok siebie.

–Słyszałam... – zaczęła, ale nie potrafiła powiedzieć, co to właściwie było.

Też spróbował coś usłyszeć. W końcu ruszyli dalej w ciszy głębszej niż zazwyczaj, podkreślonej tym odległym wołaniem.

Nigdy nie wchodziła do Gaju bez niego i upłynęło wiele dni, nim zostawił ją samą między drzewami. Jednak pewnego popołudnia, gdy dotarli na polanę pomiędzy dębami, powiedział:

–Zaraz wrócę, dobrze? – i odszedł szybkim, cichym krokiem.

Niemal zaraz zniknął pośród migotliwej, ruchliwej zieleni lasu.

Nie miała ochoty badać go sama. Spokój tego miejsca skłaniał do przysięścia, nasłuchiwania i obserwacji; wiedziała też, jak zdradliwe mogą być ścieżki i że Gaj był, jak powiedział Tkacz, „większy wewnątrz niż na zewnątrz”. Usiadła w nakrapianym słonecznymi plamkami półmroku i zajęła się śledzeniem cienistych kształtów liści tańczących na ziemi. Wkoło leżała gruba warstwa żołądźzi; chociaż nigdy nie widziała w lesie dzika, rozpoznała ich ślady. Przez chwilę czuła woń lisa. Jej myśli krążyły i płynęły równie cicho i spokojnie jak przewiewający łagodnie polanę ciepły wietrzyk.

Dotąd nierzadko zdarzało się, że czuła pustkę w głowie, że tłoczyły się tam wyłącznie puszczańskie drzewa, tego dnia jednak pojawiły się wspomnienia. Żywe i wyraźne. Pomyślała o Ivorym. Była ciekawa, czy znalazł statek, którym mógłby powrócić na Havnor. Powiedział jej, że nigdy nie wróci do Westpool, że najbardziej ze wszystkiego ukochał Wielki Port Królewskiego Miasta i że, jak dla niego, wyspa Way mogłaby zapaść się pod wodę równie głęboko jak Solea. Ona jednak myślała o drogach i polach Way nie inaczej jak z miłością. Wspomniała Starą Irię, otoczone bagienkami źródło pod Wzgórzem Irii, stary dom powyżej. Przypomniała sobie, jak Daisy zimowymi wieczorami śpiewała w kuchni ballady, wystukując rytm kawałkami drewna. Przypomniała sobie starego Coneya chodzącego po winnicy ze swym ostrym jak brzytwa nożem i pokazującego, jak przycinać winorośl „do żywego”; i Różę, jej Etaudis, szepczącą zaklęcia mające ulżyć chłopcu ze złamaną ręką. Miałaś szczęście poznać mądrych ludzi, pomyślała. Uciekała wprawdzie od wspomnienia ojca, ale ruch liści i gra cieni przyciągnęły także je. Zobaczyła go pijanego, krzyczącego. Poczwała na sobie jego łapczywe, drżące ręce. Ujrzała go płaczącego, chorego, zawstydzonego i wezbrał w niej żal, i rozpląnął się po chwili niczym ból przechodzący, gdy się leniwie prostuje kości. Ojciec znaczył dla niej o wiele mniej niż matka, której nigdy nie znała.

Przeciągnęła się i jej wygrzane ciało zaraz poczuło ulgę. Pomyślała o Ivorym. Nie miała w życiu nikogo, kogo mogłaby pragnąć. Gdy młody czarnoksiężnik przyjechał po raz pierwszy, taki smukły i arogancki, chciała nawet,

żeby zaczął ją pociągać. Ale nic z tego nie wyszło, nie mogło, i tak uznała, że chroni go jakiś czar. Róża wyjaśniła jej, jak działają zaklęcia czarnoksiężników: „tak, że nigdy nie wchodzi do jego, czy ich, głowy,

bo wtedy, widzisz, to by im zabrało moc, jak mówią”. Ale Ivory, biedny Ivory, nie miał żadnej osłony. Jeśli ktoś tu w ogóle był pod działaniem zaklęcia czystości, to już prędzej ona, gdyż mimo jego uroku i gładkości, zdołała go wyłącznie polubić, a z pożądań objawiła jedynie żądzę wiedzy, pociąg do wszystkiego, czego mógł ją nauczyć.

Siedząc w głębokiej ciszy Gaju, zaczęła się nad sobą zastanawiać. Ani jeden ptak nie śpiewał, wiatr zamarł, liście zwisły nieruchomo. Czyżbym była zaczarowana? Może jestem bezpłodna, niekompletna? Może tak naprawdę nie jestem kobietą? – spytała sama siebie i popatrzyła na swoje nagie ramiona, łagodne krągłości pełnych piersi pod koszulą.

Gdy uniosła głowę, ujrzała Siwego. Wyłonił się z mroku alejki wielkich dębów i szedł ku niej przez polanę.

Stanął przed nią. Czuła, że się rumieni, że twarz i szyja jej płoną, w głowie szumi, a w uszach dzwoni. Szukała słów, jakiegokolwiek tematu, by odwrócić od siebie jego uwagę, ale niczego nie wymyśliła. Usiadł obok. Wbiła spojrzenie w ziemię, udając, że uważnie ogląda leżący obok jej dłoni szkielet zeszłorocznego liścia.

Czego ty chcesz? – zadała sobie pytanie i odpowiedź nadeszła, ale nie pod postacią słów. Poczula ją całym ciałem i duszą: ognia, większego ognia niż ten, i lotu, płomienistego lotu...

Oprzytomniała. Znow siedziała w spokojnym powietrzu pod drzewami. Siwy siedział obok z opuszczoną głową. Pomyślała, jak lekko i krucho wygląda, jak cicho i żałośnie. Nie było się czego bać. Nie działo się nic złego.

Podniósł na nią spojrzenie.

–Irian, słyszysz liście?

Wiatr znów się ruszył i poniósł szepty między dębami.

–Słabo – odparła.

–A wychwytyujesz słowa?

–Nie.

Żadne nie powiedziało nic więcej. W końcu on wstał i Irian poszła za nim ścieżką, która zawsze, prędzej czy później, wyprowadzała ich na Thwilburn i Dom Wydry. Gdy tam dotarli, było już późne popołudnie. Tkacz zszedł do strumienia i napił się wody w miejscu, gdzie potok opuszczał las, jeszcze przed wszystkimi brodami. Uczyniła to samo. Potem siedli w chłodnej, wysokiej trawie na brzegu i Mistrz zaczął mówić:

–Mój lud, Kargowie, czci bogów. Bliźniaczych bogów, braci. Król też jest bogiem. Ale przed nimi i po nich są strumienie. Jaskinie, głązy, wzgórze, drzewa. Ziemia. Ciemność ziemi.

–Dawne Potęgi – powiedziała Irian.

Skinął głową.

–Nasze kobiety je czują. Tutaj też, czarownice. I ta wiedza jest zła, co?

Ilekroć dodawał do swej wypowiedzi drobne pytanki „co?” albo „prawda?”, tylekroć ją zaskakiwał. Nic nie odpowiedziała.

–Ciemność jest zła, co?

Irian wciągnęła głęboko powietrze i spojrzała mu w oczy.

–„Tylko w ciemności światło” – odparła.

–Aha – mruknął. Odwrócił głowę i nie dostrzegła wyrazu jego twarzy.

–Muszę odejść – stwierdziła. – Mogę chodzić po Gaju, ale nie mieszkać tutaj. To nie jest moje... moje miejsce. A Mistrz Pieśni powiedział, że pozostając tutaj, wyrządzam szkodę.

–Wszyscy wyrządzamy szkodę naszym istnieniem – rzucił Tkacz. Zgodnie ze swym zwyczajem zaczął z wolna tworzyć nowy wzór z tego, co akurat miał pod ręką: ułożył na brzegu rzeki ogonek liścia, źdźbło trawy i kilka kamyków. Przyglądał się im i zmieniał kompozycję. – I ja też mam na ten temat coś do powiedzenia.

Urwał i długo trwało, nim podjął wątek.

–Wiesz, że smok przyniósł naszego pana Krogulca, jego i młodego króla, z powrotem z brzegów śmierci. Potem smok zabrał Krogulca do jego domu, bo moc go opuściła, nie był już magiem. Tak więc potem Mistrzowie Roke spotykali się tutaj, w Gaju, by jak zwykle wybrać nowego Arcymaga. Ale nie wyszło jak zwykle. Mistrz Przywołań też wyprawił się do krainy martwych, on to potrafi, jego kunszt go tam zanosi, i powrócił jeszcze przed przybyciem smoka. Widział tam naszego pana i młodego króla, widział ich w tym kraju za kamiennym murem. Powiedział, że już nie wrócą, że nasz pan Krogulec kazał mu wracać do nas, do życia, i zanieść to słowo. Ogarnęła nas żaloba po naszym panu.

–Ale potem przyleciał smok, Kalessin, i przyniósł go żywego.

–Mistrz Przywołań był wśród nas, gdy stanęliśmy na Pagórku Roke i ujrzelśmy Arcymaga kłękającego przed królem Lebannenem. Potem smok zabrał naszego przyjaciela, a Mistrz Przywołań padł na ziemię. Leżał jak martwy. Był zimny, jego serce nie biło, chociaż oddychał. Zielarz użył swego kunsztu, ale nie zdołał go obudzić. „Nie żyje”, powiedział. „Ciągle oddycha, ale jest martwy”. Opłakaliśmy go zatem. Potem, ponieważ byliśmy przerażeni i wszystko moje wzory pokazywały zmianę i niebezpieczeństwo, spotkaliśmy się, aby wybrać nowego Strażnika Roke, Arcymaga, aby nas poprowadził. Na radzie w miejsce Mistrza Przywołań wybraliśmy młodego króla. Wydawało się nam całkiem właściwe, by zasiadał między nami. Tylko Mistrz Przemian z początku protestował, ale potem się zgodził. Jednak co do nas, to siedzieliśmy i siedzieliśmy, ale nie mogliśmy wybrać. Gadaliśmy o tym i o tamtym, ale

nie padło ani jedno imię. A potem ja... – Urwał na chwilę. – A potem przyszło na mnie to, co mój lud nazywa *eduevanu*, cudzy oddech. W moich myślach pojawiły się nie moje słowa i wypowiedziałem je: *Hama Condun!* Kurremkarmerruk stwierdził, że to po hardyjsku, i przetłumaczył: „Kobieta z Gontu”, ale gdy wróciłem do przytomności, nie potrafiłem wyjaśnić, co to ma znaczyć. I tak rozstaliśmy się, nie wybrawszy Arcymaga. Król odpłynął krótko potem, a z nim Mistrz Wiatrów. Przed koronacją udali się na Gont poszukać naszego pana i dowiedzieć się, co znaczy ta „kobieta z Gontu”. I co? Nie znaleźli go, spotkali tylko moją krajankę, Tenar Noszącą Pierścień. Powiedziała, że nie jest tą kobietą, której szukają. I tak na nic, na nikogo nie trafili. Lebannen uznał moje słowa za proroctwo, które dopiero się wypełni. I sam nałożył sobie w Havnorze koronę na głowę.

Razem z Zielarzem uznaliśmy, że Mistrz Przywołań nie żyje. Myśleliśmy, że oddech został mu skutkiem jakiegoś jego wcześniejszego zaklęcia, którego nie pojmovaliśmy. Podobnego do zaklęcia węży zdolnych sprawiać, że serce im bije nawet długo po śmierci. Wprowadźcie myśl o pochowaniu oddychającego ciała wydawała nam się wręcz przerażająca, ale był zimny, krew nie krążyła, brakło w nim duszy. To było jeszcze straszniejsze. Przygotowaliśmy zatem wszystko, by go pogrzebać. I wtedy, całkiem nagle, już w grobie, otworzył oczy. Poruszył się i odezwał. Powiedział: „Sam siebie wezwałem do życia, aby uczynić to, co winno zostać uczynione”. – Tkacz mówił z coraz większym wzburzeniem. W pewnej chwili rozrzucił wzór z kamyków. – Kiedy wrócił więc Mistrz Wiatrów, znów byliśmy w dziewiątkę. Ale podzieleni. Mistrz Przywołań upierał się, że powinniśmy zebrać się ponownie i wybrać Arcymaga. Nie ma wśród nas miejsca dla króla, powiadał. A ta „kobieta z Gontu”, kimkolwiek może być, i tak nie pasuje do mężczyzn z Roke. Widzisz? Mistrzowie Wiatrów, Pieśni, Przemian i Sztuki poparli go. I dodali, że tak jak król Lebannen powrócił z martwych, wypełniając proroctwo, tak i Arcymag powróci.

–Ale... – zaczęła Irian i umilkła.

–Wiesz, sztuka przyzywania... to coś... bardzo strasznego... zawsze niebezpiecznego. Tutaj – wskazał na zielonozielony półmrok lasu – tutaj nie ma przywoływania. Nie da się przyzwać nikogo zza muru. Nawet muru nie ma. – Na chwilę jego twarz stała się obliczem wojownika, ale gdy spojrzął na drzewa, rysy mu złagodniały. – I tak teraz z ciebie czyni powód do naszego spotkania. Ale nie pójde do Wielkiego Domu. A przywołać mnie nie zdoła.

–Nie przyjdzie tutaj?

–Nie sądzę, by mógł wejść do Gaju. Czy na Pagórek Roke. Na Pagórku wszystko jest takie, jakie jest.

Nie rozumiała, co to ma znaczyć, ale nie zapytała, zajęta inną myślą.

–Powiedziałeś, że używa mnie jako powodu do spotkania.

–Tak. Aby odprawić jedną kobietę, trzeba dziewięciu magów. – Rzadko się uśmiechał, ale tym razem naprawdę poweselał. – Mamy się spotkać, aby utrzymać w mocy Regułę Roke i wybrać Arcymaga.

–Jeśli odejdę... – ujrzała, jak kręci głową – mogę pójść do Mistrza Imion...

–Tutaj jesteś bezpieczniejsza.

Możliwość szkodzenia bardzo ją niepokoiła, ale nie pomyślała w tym wszystkim, że mogłaby znaleźć się w niebezpieczeństwie. Teraz wydało się to jej dość niepojęte.

–Nic mi nie będzie – powiedziała. – Zatem ty, Mistrz Imion

–Odźwierny...?

–...nie chcemy, aby Thorion został Arcymagiem. Podobnie Mistrz Zielarz, chociaż on zajmuje się prawie wyłącznie grządkami i mało co mówi. – Dostrzegł zdumione spojrzenie Irian. – Tak, prawdziwe imię Mistrza Przywołań to Thorion. Przecież umarł, prawda?

Wiedziała, że król Lebannen używa otwarcie swego prawdziwego imienia. On też wrócił z martwych. Jednak że Mistrz Przywołań czyni tak samo... to był dla niej wstrząs, źródło niepokoju.

–A.. uczniowie?

–Też są podzieleni.

Pomyślała o Szkole, w której tak krótko zabawiła. Stąd, spod koron Gaju, postrzegala ją jako mury szczelnie kryjące jednych i powstrzymujące drugich. Jak zagroda, jak klatka. Czy można w takim miejscu zachować równowagę?

Mistrz Wzorów ułożył na piasku cztery kamyki w półkole.

–Żałuję, że Krogulec odszedł. Chciałbym umieć odczytać, co wypisuje gra cieni. Ale jedyne, co słyszę w mowie liści, to zapowiedź Przemiany. Przemiana... Wszystko się zmieni prócz nich. – Spojrzał tęsknie na drzewa. Słońce już zachodziło. Wstał, cichym głosem życzył dziewczynie dobrej nocy i odszedł, znikając w gęstwinie.

Posiedziała przez chwilę nad strumieniem Thwilburn. To, co usłyszała, napełniło ją niepokojem, podobnie jak jej własne myśli i odczucia nawiedzające ją w Gaju. Dręczyło ją, że cokolwiek tutaj pomyśli czy poczuje, może się stać źródłem zgrzyoty. Poszła do domu, przygotowała sobie na kolację wędzone mięso, chleb i letnią sałatę. Zjadła, nie czując smaku, i ułożyła się znużona na brzegu strumienia. Było spokojnie i ciepło, w późnym zmierzchu tylko najjaśniejsze gwiazdy przebijały przez cienką warstwę mlecznych chmur. Irian zsunęła sandały i opuściła stopy do wody. Była chłodna, ale bywały w niej nagrzane słońcem warstwy. Dziewczyna zrzuciła ubranie, męskie spodnie

i koszulę, pod którymi nic nie nosiła, i zanurzyła się w wodzie. Czowała napór omywającego jej ciało prądu. W Irii nigdy nie pływała w strumieniach, a morza, z jego szarym i zimnym falowaniem, nie cierpiała, jednak ta bystra struga sprawiała jej tego wieczoru przyjemność. Pozwalała się jej unosić, przesuwając dłońmi po śliskich kamieniach na dnie i po własnych, równie gładkich bokach, nogi plątały się jej w wodorostach. Gdy tak ze spojrzeniem wzniesionym ku białym i łagodnym ognikom gwiazd poddawała się pieszczocie strumienia, spłynęły z niej wszystkie troski i całe zmęczenie.

Nagle przebiegł ją dreszcz. Woda pochłodziła. Zebrawszy nieco sił, wciąż jednak rozluźniona, spojrzała na brzeg. Nad nią widniała czarna sylwetka mężczyzny.

Zerwała się na równe nogi.

–Wynoś się! – krzyknęła, stojąc w wodzie. – Wynoś się, ty zdrajco, ty parszywcu fałszywy, albo wątrobę ci wyrwę! –



Podciągając się na kępach trawy, wyskoczyła na brzeg. Nikogo. Wciąż trzęsąc się ze złości, sięgnęła po ubranie i naciągnęła je, wciąż głośno przeklinając: – Ty tchórzliwy czarnoksiężniku! Ty zdradziecki sukinsynu!

–Irian?

–On tu był! – wykrzyknęła. – Ten parszywiec, Thorion! – Ruszyła żwawo na spotkanie Mistrza Wzorów, który pokazał się w blasku gwiazd obok domu. – Kąpałam się w strumieniu, a on stał na brzegu i gapił się na mnie!

–To był tylko jego obraz, posłanie. Nie mógł ci zrobić krzywdy, Irian.

–Posłanie, ale z oczami! Obraz, ale taki, co widział! A może on... – zamilkła, zgubiwszy słowo. Zrobiło się jej niedobrze. Zadrżała i przełknęła zimną ślinę, która nagle zebrała się jej w ustach.

Mistrz Wzorów podszedł bliżej i ujął jej dłonie. Miał ciepłe ręce, a jej było tak zimno, tak przerażająco zimno, że przytuliła się do maga. Stali tak przez chwilę i chociaż Irian odwróciła od niego twarz, ich dłonie trwały połączone, a ciała przytulone mocno do siebie. W końcu uwolniła się, wyprostowała, odgarnęła mokre włosy.

–Dziękuję – powiedziała. – Zmarzłam.

–Wiem.

–Ale mnie nigdy nie jest zimno. To jego sprawka.

–Powiedziałem ci, Irian, że on nie może tu przyjść, nie może cię skrzywdzić.

–On w ogóle nie może mnie skrzywdzić. Nigdzie – powiedziała i poczuła, jak znowu ciepła krew zaczyna krążyć w jej żyłach. – Jeśli spróbuje, zniszczę go.

–Aha – mruknął Mistrz Wzorów.

Spojrzała na niego w świetle gwiazd.

–Powiedz mi swoje imię, nie to prawdziwe, ale takie, którym mogłabym cię nazywać, gdy o tobie pomyślę – poprosiła.

Przez dłuższą chwilę stał w milczeniu.

–Gdy byłem jeszcze barbarzyńcą na Karego-Ał, nazywałem się Azver. Po hardyjsku znaczy to „sztandar bojowy”.

–Dziękuję.

Leżała bezsennie w domku, czując, jak powietrze gęstnieje, a niski sufit napiera na nią coraz bardziej, aż nagle zasnęła głęboko. Obudziła się równie gwałtownie, gdy tylko wschodni horyzont zaczął szarzeć. Podeszła do drzwi, aby zobaczyć to, co polubiła najbardziej, czyli niebo o przedświcie. Opuściwszy oczy, ujrzała zawiniętego w szary płaszcz Azvera, Mistrza Wzorów, śpiącego mocno na progu domku. Wycofała się bezgłośnie w głąb izby. Chwilę potem zauważyła, że nieco sztywno, drapiąc się w głowę jak zwykły, nie do końca obudzony człowiek, odchodzi wolno z powrotem do lasu.

Irian miała co robić: skrobała ostatnio wewnętrzną ścianę domku, szykując ją pod nowy tynk, jednak nim słońce zajrzało do okien, ktoś zapukał w otwarte drzwi. Na zewnątrz stał ten, którego poznała jako Mistrza Ziół. Wyglądał nader cieleśnie, masywnie niczym brunatny wół, szczególnie obok przysadzistego, nieco skrzywionego, starego Mistrza Imion.

Podeszła do progu i wymamrotała coś na kształt powitania. Zaniepokoił ją widok tych Mistrzów Roke: ich obecność znaczyła, że spokojny czas dobiegł końca, nie będzie więcej dni włóczęgi z Mistrzem Wzorów po cichym, letnim lesie. Noc też dobiegła końca. Irian wiedziała o tym, ale wolałaby nie przyjmować tego do wiadomości.

–Mistrz Wzorów posłał po nas – powiedział Zielarz. Nie wyglądało na to, że jest tym uradowany. Potem dojrzał rosnącą pod oknem kępę długiej trawy. – To velver, ktoś z Havnoru musiał go tu zasadzić. Nie wiedziałem, że w

ogóle rośnie gdziekolwiek na tej wyspie. – Z uwagą przyjrzał się roślinie i schował nieco kłosek do swojej torby.

Irian przyglądała się tymczasem Mistrzowi Imion. Dyskretnie, ale uważnie. Próbowwała ustalić, czy był posłaniem, czy może realną, obecną duszą i ciałem istotą. Nic nie sugerowało, aby występował jako zjawia, ale ona nie mogła się pozbyć dziwnego wrażenia, że jednak. Gdy wszedł w smugę słonecznego światła i nie rzucił cienia, już wiedziała.

–Daleko stąd do miejsca, gdzie mieszkasz, panie? – spytała. Skinął głową.

–Siebie zostawiłem w pół drogi – powiedział i spojrzął gdzieś nad jej ramieniem. Nadchodził Mistrz Wzorów, teraz uczciwie już wybudzony.

–Czy Odźwierny też przyjdzie? – zapytał, przywitawszy się.

–Powiedział, że lepiej zrobi, jeśli będzie pilnował drzwi – odparł Zielarz, zamknął

ostrożnie wyposażoną w wiele przegródek torbę i spojrzął na pozostałych. – Ale nie wiem, czy zdoła. Jak tu upilnować wszystkie wejścia do mrowiska?

–Co się dzieje? – spytał Kurremkarmerruk. – Czytałem o smokach. Nie zwróciłem uwagi. Ale wszyscy chłopcy, których uczyłem w Wieży, odeszli.

–Wezwani – rzucił sucho Zielarz.

–I co? – spytał jeszcze oschlej Mistrz Imion.

–Mogę powiedzieć jedynie, co ja o tym sędzę – powiedział z wahaniem Zielarz. Z wahaniem i niechętnie.

–To powiedz – poprosił stary mag. Zielarz wciąż się zastanawiał.

–Nie nam sądzić tę dziewczynę – rzekł w końcu.

–Jest pod moją opieką – rzucił Azver.

–Przybyła tu właśnie teraz – powiedział Mistrz Imion – i biorąc wszystko pod uwagę, nie może to być przypadek. Każdy z nas wie, co o tym sądzić. Wiadomo, że pod jednymi imionami kryją się następne, mój panie uzdrowicielu.

Czarnooki mag skłonił głowę.

–Niech tak będzie – zgodził się z wyraźną ulgą, uznając wyższość ich osądu nad własnym. – Thorion długo rozmawiał z innymi Mistrzami i z młodymi. Tajne spotkania, kręgi wtajemniczenia, plotki i poszeptywanie. Młodszy uczniowie przelękli się, paru pytało mnie i Odźwiernego, czy mogą odejść. Pozwoliliśmy im. Ale w porcie nie ma żadnego statku i żaden nie wszedł do Zatoki Thwil, odkąd zawinął ten, który przywiózł ciebie, pani. Następnego dnia odpłynął, biorąc kurs na Wathort. Mistrz Wiatrów tak ustawił Wiatr Roke, by nikogo nie dopuszczać. Nawet gdyby król chciał przybyć, nie wylądowałby na Roke.

–Aż wiatr się nie zmieni, co? – rzucił Tkacz.

–Thorion mówi, że Lebannen nie jest naprawdę królem, skoro nie został koronowany przez Arcymaga.

–Nonsens! Żadnego historycznego uzasadnienia! – wykrzyknął stary Mistrz Imion. – Pierwszy Arcymag pojawił się całe wieki po odejściu poprzedniego króla. Roke sprawowała rządy prawem namiestnika.

–Aha – mruknął Mistrz Wzorów. – I teraz zarządca niezbyt ma ochotę oddać klucze właścicielowi, gdy ten wreszcie powrócił.

–Pierścień Pokoju znów jest cały – powiedział Zielarz głosem spokojnym, ale pełnym troski. – Proroctwo się spełniło. Syn Morreda nosi koronę, a jednak wciąż nie mamy pokoju. Co poszło nie tak? Dlaczego nie możemy osiągnąć równowagi?

–Co zamierza Thorion? – spytał Mistrz Imion.

–Sprowadzić tu Lebannena – odparł Zielarz. – Młodzi mówią coś o „prawdziwej

koronacji”. Drugiej koronacji, właśnie tutaj. W wykonaniu Arcymaga Thoriona.

–Przepadnij! – zakrzyknęła Irian, czyniąc palcami znak odzeganający słowo od stania się ciałem. Żaden z mężczyzn nawet się nie uśmiechnął, a Zielarz ponowocześnie powtórzył ten sam gest.

–Jak on może ich wszystkich utrzymać? – mruknął Mistrz Imion. – Zielarzu, byłeś tutaj, gdy Irioth wyzwał Krogulca i Thoriona. Miał chyba większy dar niż Thorion. Przywykł wykorzystywać ludzi, panował nad nimi bez reszty. Czy Thorion robi to samo?

–Nie wiem – odparł Zielarz. – Mogę tylko powiedzieć, że gdy z nim jestem, gdy jestem w Wielkim Domu, to czuję, jakby wszystko, co zostało zrobione, było właśnie tym najlepszym, co należało uczynić. I że nic się nigdy nie zmieni. Nic nie urośnie. Nieważne, jakie leczenie przedsięwzięmę, choroba i tak zakończy się zgonem. – Rozejrzał się wkoło niczym ranny bawół. – I myślę, że tak jest naprawdę. Nie da się odzyskać Równowagi inaczej, jak nieruchomiejąc. Za daleko się posunęliśmy. Że Arcymag i Lebannen poszli cieleśnie żywi do krainy śmierci i wrócili... to nie było w porządku. Złamali prawo, którego nie wolno łamać. Thorion wrócił po to, aby naprawić ten błąd.

–Odesłać ich z powrotem pomiędzy martwych? – spytał Mistrz Imion, a Tkacz dodał:

–Kto wie, jak brzmi to prawo?

–Istnieje mur – zauważył Zielarz.

–Ten mur nie sięga tak głęboko jak korzenie moich drzew – odparł Tkacz.

–Lecz co do równowagi, to masz rację, Zielarzu. Straciliśmy ją – powiedział ostrym, zdecydowanym tonem Kurremkarmerruk. – Ale kiedy i gdzie zboczyliśmy na złą drogę? O czym zapomnieliśmy, co zignorowaliśmy, przeoczyliśmy?

Irian patrzyła to na jednego, to na drugiego.

–Gdy równowaga została zaburzona, bezruch nie pomaga. Bezwarunkowo pogarsza tylko sprawę – rzekł Mistrz Wzorów. – Chyba że... – Poruszył szybko rękami, jakby coś odwracał. W górę i w dół.

–Co może być gorszego niż wezwanie siebie z martwych? – spytał Mistrz Imion.

–Thorion był najlepszym z nas. Dzielne serce, szlachetny umysł – rzucił Zielarz niemal z gniewem. – Krogulec go kochał. Podobnie jak my wszyscy.

–Sumienie go osaczyło – mruknął Mistrz Imion. – Sumienie kazało mu samemu jednemu zabrać się do naprawy wszelkiej rzeczy. Aby tego dokonać, odrzucił śmierć. Tak jak wyrzeka się życia.

–I kto mu się przeciwstawi? – spytał Tkacz. – Ja mogę jedynie skryć się przed nim w lasach.

–A ja w mojej wieży – dodał Mistrz Imion. – Ale ty, Zielarzu, tkwisz razem

z Odźwiernym w pułapce Wielkiego Domu. W murach, które wznieśliśmy, aby nie dopuściły zła. Albo go nie wypuściły, jak może się okazać.

–Jest nas czterech przeciwko jemu jednemu – zauważył Tkacz.

–Przeciwko pięciu – poprawił go Zielarz.

–Czyżbyśmy naprawdę mieli stanąć na skraju puszczy, którą Segoy jeszcze zasadził, i pograć się w dyspućie, jak zniszczyć się nawzajem?

–Tak – stwierdził Mistrz Wzorów. – Co długo trwa niezmiennie, w końcu niszczy samo siebie. Puszcza żyje wiecznie, ponieważ nieustannie umiera i nieustannie się odradza. Nie dozwolę, by jego martwa ręka mnie dotknęła. Mnie albo króla, który natchnął nas nadzieją. Obietnica została uczyniona, nadeszła przez moje usta.

„Kobieta z Gontu” ... Dopilnuję, aby te słowa nie zostały zapomniane.

–Zatem powinniśmy się udać na Gont? – spytał Zielarz, porwany zapalem Azvera. – Tam jest Krogulec.

–I Tenar Nosząca Pierścień – dodał Azver.

–I może jest tam nasza nadzieja – mruknął Mistrz Imion.

Stali w milczeniu. Niepewni, ale gotowi podsycać nadzieję.

Irian też się nie odzywała, tyle że w niej nadzieja już wygasła. Na jej miejsce pojawił się wstyd, poczucie, że jest nic nie znaczącym, niezauważalnym pyłkiem. Oto dzielni i mądrzy mężowie szukają sposobu ocalenia tego, co kochają, ale nie wiedzą, co uczynić. A jej brakuje przecież tak ich wiedzy, jak i możliwości, nie może wpływać na ich decyzje. Odsunęła się od nich, czego nawet nie zauważyli. Podeszła do strumienia Thwilburn w miejscu, gdzie wypływając z lasu, spadał małą kaskadą z paru głązów. Woda mieniła się jasno w blasku porannego słońca i szumiała szczęśliwie. Irian chciało się płakać, ale nigdy nie była dobra w ronieniu łez. Stała na brzegu i zapatrzyła się w wodę, aż wstyd z wolna przemienił się w gniew. Wróciła to trzech mędrców.

–Azverze.

Spojrzał na nią zdumiony i postąpił krok.

–Dlaczego złamałeś dla mnie Regułę? Czy to właściwe czynić tak dla kogoś, kto nigdy nie zostanie nikim na wasze podobieństwo?

Azver zmarszczył brwi.

–Odźwierny wpuścił cię, ponieważ poprosiłaś – powiedział. – Ja zabrałem cię do Gaju, gdyż liście drzew powiedziały mi twoje imię, zanim jeszcze się pojawiłaś. *Irian*, powtarzały, *Irian*. Dlaczego przybyłaś, nie wiem, ale na pewno nie przypadkiem. Mistrz Przywołań też to wie.

–Może przybyłam, aby go zniszczyć. Spojrzał na nią bez słowa.

–Może przybyłam zniszczyć Roke. Jego jasne oczy zapłonęły.

–Spróbuj!

Stała przed nim i nagle przebiegł ją dreszcz. Długi, przeciągły. Poczwała, jakby była większa niż on, roślejsza niż jej zwykła postać, osobiwie wielka. Mogłaby zgnieść go jednym palcem. On stał przed nią mały. Dzielny, przelotny w swym bycie człowiek. Bezbronny śmiertelnik. Wciągnęła głęboko powietrze i odsunęła się od niego.

Poczucie wielkości powoli ulatywało. Odwróciła lekko głowę i spojrzała na siebie ze zdumieniem, odnotowując opalone ramię, podwinięty rękaw, chłodną i zieloną trawę wkoło sandała. Znów spojrzała na Tkacza. Wciąż wydawał się jej bardzo kruchy. Było jej go żal, ale podziwiała go. Chciała go ostrzec, w jak wielkim niebezpieczeństwie się znalazł, ale nie mogła znaleźć słów. Obróciła się i wróciła do małej kaskady. Usiadła i ukryła twarz w dłoniach. Odcięła się od niego. Odcięła się od świata.

Głosy rozmawiających magów docierały do niej na podobieństwo szumu płynącej wody. Strumień mówił swoje, magowie swoje, ale wśród ich słów brakło tych właściwych.

#### 4. Irian

Gdy Azver zwrócił się ku pozostałym, było w wyrazie jego twarzy coś tak dziwnego, że Zielarz aż zapytał:

–Co jest?

–Nie wiem – odparł. – Może nie powinniśmy opuszczać Roke.

–Zapewne i tak nie zdołamy – stwierdził Zielarz. – Jeśli Mistrz Wiatrów pchnie przeciw nam wicherę...

–Wracam, gdzie jestem – odezwał się nagle Kurremkarmerruk. – Nie lubię porzucać siebie, jakby chodziło o stary

but. Dołączę do was wieczorem.

I zniknął.

–Chętnie przejdę się trochę pod drzewami, Azverze – powiedział Zielarz, wzdychając przeciągle.

–A idź, Deyalu. Ja tu zostanę.

Zielarz oddalił się, Azver zaś przysiadł na prostej ławie, którą Irian ustawiła pod frontową ścianą domku. Spojrzał w górę strumienia na dziewczynę: skulona trwała w bezruchu na brzegu. Owce na pastwisku między nimi a Wielkim Domem beczwały cicho, poranne słońce przygrzewało solidnie.

Jego ojciec nazwał go Sztandarem Bojowym. Ale młodzieniec zostawił wszystko, co znał, i przybył na zachód, gdzie od drzew Gaju Wewnętrzznego nauczył się swego prawdziwego imienia i został Tkaczem Roke. Cały obecny rok cienie, gałęzie i korzenie

przemawiały w milczącym języku puszczy o jednym tylko: o zniszczeniu, o przekraczaniu barier, łamaniu reguł, o przemianie wszelkiej rzeczy. I ta pora już nadeszła, to wiedział. Przyszła wraz z dziewczyną.

Musiał wziąć ją pod swoje skrzydła, zaopiekować się nią. Zrozumiał to, ledwie ją zobaczył. Chociaż, jak powiedziała, przybyła zniszczyć Roke, musiał jej służyć. Uczynił to z ochotą. Chodziła z nim po puszczy wysoka, niezgrabna, nieustraszona. Wielkim, ostrożnymi dłońmi rozcierała cierniste gałązki krzaków jeżyn. Jej oczy, bursztynowobrazowe niczym woda strumienia Thwilburn w cieniu, widziały wszystko; słuchała uważnie i spokojnie. Chciał ją chronić i wiedział, że nie zdoła. Dał jej trochę ciepła, gdy zziębła. Nic więcej nie mógł jej ofiarować. Pójdzie teraz, gdzie ma iść. Nie pojmowała niebezpieczeństwa. Nie miała żadnej wiedzy prócz niewinności, za całą osłonę miała tylko gniew. Kim jesteś, Irian? – pomyślał, patrząc na nią skuloną niczym zwierzę uwięzione w swej niemocie.

Jego przyjaciel wrócił z lasu i chwilę posiedział obok na ławie. W południe wrócił do Wielkiego Domu, uzgodniwszy, że rano wróci z Odźwiernym. Mogliby poprosić pozostałych Mistrzów, by spotkali się w nimi w Gaju, ale...

–Ale on i tak nie przyjdzie – powiedział Deyala i Azver skinął głową.

Cały dzień pozostawał w pobliżu Domu Wydry, czuwając nad Irian. Dopilnował, by siadła z nim do posiłku. Weszła do domku, ale gdy zjedli, wróciła ma swoje miejsce przy strumieniu i znów zastygła tam w bezruchu. Mag też zaczął odczuwać ociężałość ciała i umysłu, otępienie wręcz, które odganiał, ale całkiem odgonić nie mógł. Przypomniał sobie oczy Mistrza Przywołań i nagle zrobiło mu się zimno, bardzo zimno, chociaż siedział w pełnym blasku grzejącego miło letniego słońca. Rządzi nami umarli, pomyślał i nie mógł potem pozbyć się tej myśli.

Z wdzięcznością przyjął widok Kurremkarmerruka nadciągającego powoli korytem strumienia. Szedł boso, brodząc w wodzie, buty niósł w jednej ręce, w drugiej trzymał wysoką laskę. Mruknął coś pod nosem, gdy stopa omsknęła mu się z kamienia. Usiadł na brzegu, by osuszyć nogi i włożyć obuwie.

–Gdy będę wracał do Wieży, pożyczę wózek i kupię muła – zapowiedział. – Stary jestem, Azverze.

–Wejdz do domu – rzekł Tkacz i podał Mistrzowi Imion wodę i coś do zjedzenia.

–Gdzie dziewczyna?

–Śpi. – Azver skinął głową w kierunku, gdzie leżała zwinięta w trawie nad małą kaskadą.

Upał słabł, Gaj kładł się cieniami na trawie, chociaż Dom Wydry kąpał się wciąż w pełnym blasku. Kurremkarmerruk usiadł na ławie i oparł się plecami o ścianę chaty.

Azver przysiadł na progu.

–Doczekaliśmy końca całej sprawy – powiedział starzec, przerywając ciszę.

Azver tylko skinął głową.

–Co cię tu sprowadziło, Azverze? – spytał Mistrz Imion. – Nieraz już chciałem cię o to spytać. To długa, bardzo długa droga.

A w Kargadzie nie ma chyba żadnych czarnoksiężników.

–Nie. Ale mamy to, co tworzy czary. Wodę, kamienie, drzewa, słowa...

–Ale nie macie słów Tworzenia.

–Nie. Ani smoków.

–Nigdy ich tam nie było?

–Chyba tylko w najdawniejszych opowieściach. Zanim pojawili się bogowie. Zanim przyszli ludzie. Nim ludzie stali się ludźmi, były tylko smoki.

–A to ciekawe – powiedział stary uczony, siadając nieco bardziej prosto. – Wspominałem ci, że czytałem właśnie o smokach. Wiesz, że podobno widziano je nad Morzem Najgłębszym, daleko na wschód, aż po Gont. Bez wątplenia pojawił się tam Kalessin, który zaniósł Geda do domu. Widziało go wielu marynarzy, którzy dla lepszego efektu pomnożyli bestie w opowieściach. Ale pewien chłopiec przysięgał, że cała jego wioska widziała tej wiosny smoki krążące na zachód od Góry Onn. I tak zacząłem szukać w starych księgach wzmianek, kiedy właściwie przestały zapuszczać się na wschód od Pendoru. I w jednej natrafiłem na coś bardzo podobnego do twojej opowieści. Że ludzie i smoki byli niegdyś jednym rodzajem, ale doszło między nimi do kłótni. Jedni udali się na zachód, drudzy na wschód, a z czasem utworzyli dwie osobne rasy i zapomnieli o swoim wspólnym pochodzeniu.

–My podążyliśmy najdalej na wschód – rzekł Azver. – A wiesz, jak w moim języku określa się wodza armii?

–*Erdan* - powiedział z naciskiem Mistrz Imion i roześmiał się. – Czyli jętka albo smok... Mógłbym prześledzić całą etymologię aż do skrajnej zagłady... – dodał po chwili. – Ale coś mi się zdaje, Azverze, że właśnie tam dotarliśmy. Nie pokonamy go.

–Ma przewagę – zgodził się beznamyślnie Azver.

–Ma. Ale... ale gdybyśmy jednak go zwyciężyli, chociaż to mało prawdopodobne, niemożliwe wręcz, to gdy on wróci między martwych i zostawi nas tu żywych, co zrobimy? Co będzie potem?

–Nie mam pojęcia – odparł Azver po bardzo długiej chwili.

–Twoje liście i cienie nic ci nie podpowiadają?

–Mówią tylko o przemianie. O przekształceniu. – Gwałtownie podniósł głowę. Zebrane w stado owce rozbiegły się nagle. Ktoś nadchodził ścieżką od Wielkiego Domu.

–Grupa młodych – rzucił Zielarz, ledwie łapiąc dech, gdy do nich dotarł. – Armia Thoriona. *Zbliżają się*. Żeby zabrać dziewczynę. I żeby ją przegnać. – Stał, żeby odetchnąć. – Odźwierny rozmawiał z nimi, gdy wychodziłem, ale myślę...

–Oto i on – powiedział Azver i zaraz obok pojawił się Odźwierny z gładką, ciemną twarzą. Spokojny jak zwykle.

–Powiedziałem im, że jeśli wyjdą dziś Bramą Medry, to nigdy nie powrócą już do tego domu, który znają – stwierdził. – Paru się wtedy cofnęło, ale Mistrz Wiatrów i Kantor pogonili resztę dalej. Niebawem tu będą.

Z pól na wschód od Gaju dobiegały coraz wyraźniej ludzkie głosy.

Azver podszedł szybko do miejsca, gdzie leżała Irian, inni za nim. Obudziła się i wstała. Wyglądała na bardzo zaspianą, ledwie przytomną. Magowie stanęli wkoło niej niczym straż. Po chwili zza domku wyłoniło się około trzydziestu mężczyzn, głównie starszych uczniów. W tłumku widniało z pięć czy sześć lasek czarnoksiężników, wiódł ich Mistrz Wiatrów. Szczupła twarz o ostrych rysach wyglądała dziś staro, zdradzała napięcie i zmęczenie, ale przywitał czterech magów uprzejmie, używając pełnych tytułów. Odpowiedzieli mu, po czym Azver przejął inicjatywę.

–Wejdz do Gaju, Mistrzu Wiatrów – powiedział. – Tam poczekamy na pozostałych z Dziewięciu.

–Najpierw musimy się uporać z tym, co nas dzieli – odparł Mistrz Wiatrów.

–To trudna sprawa – mruknął Mistrz Imion.

–Kobieta, która wam towarzyszy, narusza Regułę Roke. Musi odejść. Przy nabrzeżu czeka już na nią statek. Czekają też wiatr, który, słowo daję, nie ustanie aż do Way.

–Nie wątpię, mój panie – powiedział Azver. – Ale nie sądzę, by ona chciała odpłynąć.

–Panie Tkaczu, czyżbyś zamierzał przeciwstawić się naszej Regule i naszej społeczności, która tak długo zgodnie wspierała ład przeciwko siłom zniszczenia? Czy to ty właśnie, spośród wszystkich ludzi, naruszysz wzór?

–Wzór to nie szkło, by pękać tak od razu – odrzekł Azver. – To tchnienie. To ogień. – Wypowiedzenie tych słów kosztowało go sporo wysiłku. – Wzór nie zna śmierci – dodał, ale we własnym języku, i nikt go nie zrozumiał. Przyniósł się do Irian, aż poczuł ciepło jej ciała. Stała, patrząc bez słowa, w zwierzęcym zaiste milczeniu, jakby nie pojmowała słów nikogo z obecnych.

–Pan nasz Thorion powrócił z martwych, aby wszystkich nas uratować – powiedział Mistrz Wiatrów z więcej niż przekonaniem. – Zostanie Arcymagiem. Pod jego władaniem Roke utrzyma swą postać. Król otrzyma z jego rąk prawdziwą koronę i rządzić będzie za jego przewodnictwem. Tak jak Morred. Żadne wiedźmy nie będą

kałać świętej ziemi. Żadne smoki nie zagrażą Morzu Najgłębszemu. Zapanuje ład, bezpieczeństwo i pokój.

Żaden z magów mi nie odpowiedział. W zapadłej ciszy dało się słyszeć głos kogoś z tłumu:

–Daj nam wiedźmę.

–Nie – odparł Azver, ale to było wszystko, co mógł im odpowiedzieć. Jego wierzbowa laska, którą trzymał w dłoni, była teraz tylko kawałkiem drewna.

Ze wszystkich czterech jedynie Odźwierny poruszył się i odezwał. Wystąpił o krok, spojrzał najpierw na jednego młodzieńca, potem na drugiego i kolejnego.

–Zaufaliście mi, podając mi swe imiona – powiedział. – Czy teraz też mi zaufacie?

–Mój panie – przemówił jeden z nich, o ciemnej twarzy, z laską czarnoksiężnika. – Ufamy ci i tym samym prosimy, abys kazał wiedźmie odejść, a wtedy wróci pokój.

Irian wyszła do przodu. Uprzedziła odpowiedź Odźwiernego:

–Nie jestem wiedźmą – powiedziała, a jej głos pobrzmiwał wysokimi tonami, nieco metalicznie, przynajmniej po uprzednim męskim basowaniu. – Nie znam kunsztów. Nic nie umiem. Przybyłam po naukę.

–Nie uczymy kobiet – stwierdził Mistrz Wiatrów. – Wiesz o tym.

–Niczego nie wiem – odrzekła Irian i postąpiła kolejny krok. Stała tuż przed magiem. – Powiedz mi, kim jestem.

–Znaj swe miejsce, kobieto – wycodził tamten przez zęby.

–Moje miejsce – powiedziała powoli, przeciągając głoski. – Moje miejsce jest na wzgórzu. Tam, gdzie wszystkie rzeczy stają się takie, jakie są naprawdę. Powiedz umarłemu, że tam właśnie się spotkamy.

Mistrz Wiatrów milczał, ale grupa za nim zaszemrała ze złością i paru próbowało ruszyć ku dziewczynie. Azver wsunął się pomiędzy nich a Irian. Jej słowa wyzwoliły go z odrętwienia, usunęły paraliż, który skrępował mu ciało i mowę.

–Powiedz Thorionowi, że spotkamy się na Pagórku Roke – rzucił. – Gdy przyjdzie, będziemy tam na niego czekać. A teraz chodź ze mną – zwrócił się do Irian. Mistrz Imion, Odźwierny i Zielarz ruszyli za obojgiem w głąb Gaju. Podążali po wyraźnie widocznej ścieżce, ale gdy młodzi próbowali iść ich śladem, ścieżka zniknęła.

**–Wracajcie! – krzyknął na młodzieńców Mistrz Wiatrów.**

**Zawrócili zdezorientowani. Bliskie zachodu słońce wciąż kąpało pola i dachy Wielkiego Domu w blasku, w lesie jednak panował już całkiem gęsty półmrok.**

**–Szamaństwo – powiedzieli. – Świętokradztwo, profanacja.**

**–Lepiej odejdźcie – polecił Mistrz Wiatrów z nagle spoważniałym obliczem i zatroskanym spojrzeniem. Ruszył zaraz z powrotem do szkoły, a oni za nim. W ich**

**klótliwych głosach słyhać było i złość, i frustrację.**

**Nie uszli daleko w Gaj, nie oddalili się nawet od strumienia, gdy Irian zatrzymała się, skręciła w bok i przycupnęła przy olbrzymich i pokręconych korzeniach wierzby, która zwieszała się nad wodą. Magowie stanęli wkoło niej.**

**–Przemawiała cudzym tchem – powiedział Azver. Mistrz Imion skinął głową.**

**–Zatem musimy za nią podążać? – spytał Zielarz.**

**Tym razem to Odźwierny pochylił głowę. I uśmiechnął się blado.**

**–Na to wygląda.**

**–No to niech tak będzie – mruknął Zielarz, patrząc na nich cierpliwie, z troską. Odszedł kilka kroków i przyklęknął nad jakąś roślinką czy grzybem w poszyciu lasu, by to sobie obejrzeć.**

**Czas mijał jak zwykle w Gaju: nieodczuwalnie, ale i nieubłaganie, i dzień z wolna zaczął zwiastować swój kres. Dało się to słyszeć w drzeniu liści, w dalekim śpiewie ptaków, którym odpowiadały inne, jeszcze bardziej oddalone. Irian wstała powoli. Nie powiedziała ani słowa, tylko spojrzała na ścieżkę i ruszyła przed siebie. Magowie za nią.**

**Wyszli na spokojny, otwarty przestwór wieczornego powietrza. Niebo na zachodzie jaśniało jeszcze łuną, gdy przekraczali strumień Thwilburn i maszerowali polami ku Pagórkowi Roke, który ciemniał przed nimi czarną kopułą na tle nieboskłonu.**

**–Nadchodzą – zauważył Odźwierny. Mężczyźni nadciągali przez ogrody i ścieżką od Wielkiego Domu. Wszyscy magowie i wielu uczniów. Prowadził ich Thorion, Mistrz Przywołań, wysoka postać w szarym płaszczu, z długą laską z białego jak kość drewna otoczonego słabą poświatą.**

**Tam, gdzie obie ścieżki się spotykały i dalej razem wiły się pod górę, Thorion przystanął i poczekał na nich. Irian wyszła mu na spotkanie.**

**–Irian z Way – powiedział Mistrz Przywołań niskim, czystym głosem. – Aby nastać mogły ład i pokój oraz przez wzgląd na równowagę wszystkich rzeczy, wzywam cię, byś zaraz opuściła tę wyspę.**

**Nie możemy dać ci tego, o co prosisz, i błagamy za to wybaczenia.**

**Jeśli jednak zapragniesz tu zostać, stracisz możliwość wybaczenia i będziesz musiała poznać, ku czemu wiedzie łamanie reguł.**

**Stała przed nim, niemal równie wysoka jak on, tak samo prosta, z uniesioną głową. Milczała przez dłuższą chwilę, aż w końcu odezwała się głosem wysokim, chropawym:**

**–Chodź na wzgórze, Thorionie. – Zostawiła go u zbiegu ścieżek na samym dole i przeszła kilka kroków. Obróciła się i spojrzała na niego. – Co cię wstrzymuje przed wejściem na górę? – spytała.**

**Powietrze mroczyło wkoło nich. Na zachodzie jaśniała już tylko mglista, czerwona**

**linia tuż nad horyzontem, wschodni nieboskłon zwieszał się cieniem nad morzem.**

**Mistrz Przywołań spojrzał na Irian. Powoli unióśł ręce i białą laskę, po czym wymówił zaklęcie. Wymówił je w języku, którego uczyli się wszyscy czarnoksiężnicy na Roke, języku ich kunsztu, Mowie Tworzenia:**



–Irian, na imię tve wzywam cię i zobowiązuję, byś mnie posłuchała!

Zawahała się, jakby przez chwilę chciała ulec, podejść do niego, ale potem wykrzyczała:

–Nie jestem wyłącznie Irian!

Słyszac to, Mistrz Przywołań ruszył ku niej biegiem. Wyciągnął ręce, jakby chciał ją złapać, powstrzymać, ale teraz oboje byli już na wzgórzu. Nagle ona urosła ponad nim, pomiędzy obojgiem zajaśniał ogień, czerwony płomień zamigotał w mroku, jego blask odbił się w czerwonozłotych łuskach, szerokich skrzydłach... i zniknął. I znowu na ścieżce stała jedynie kobieta, a przed nią skłaniał się coraz niżej ku ziemi wysoki mężczyzna. Skłaniał się, aż zleął.

Pierwszy ruszył się Zielarz, uzdrowiciel. Wszedł na ścieżkę i ukląkł przy Thorionie.

–Mój panie – powiedział. – Przyjacielu.

Pod fałdami szarego płaszcza jego dłonie natrafiły tylko na splątaną odzież, złamaną laskę i stos wyschłych kości.

–Tak lepiej, Thorionie – rzekł i zapłakał. Wiekowy Mistrz Imion podszedł do kobiety.

–Kim jesteś?

–Nie znam mego drugiego imienia – odparła. Tak jak wcześniej do Mistrza Przywołań, tak i teraz odezwała się w Mowie Tworzenia, języku smoków.

Odwróciła się i ruszyła ku szczytowi wzgórza.

–Irian! – zawołał Azver. – Czy wrócisz do nas?! Zatrzymała się i poczekała, aż do niej podejdzie.

–Wrócę, jeśli mnie zawezwiecie.

Dotknęła palcami jego dłoni. Wciągnął gwałtownie powietrze.

–Gdzie się wybierasz? – spytał.

–Do tych, którzy nadadzą mi prawdziwe imię. W ogniu, nie w wodzie. Do mojego ludu.

–Na zachód.

–Poza zachód – odparła.

Odwróciła się od nich i poszła dalej, coraz wyżej w gęstniejącej ciemności. Gdy tak się oddalała, dojrzeli, wszyscy jak tam byli, potężne boki w złocistej łusce, ostry koniec węzowego ogona i pazury, i jasny ogień jej oddechu. Na szczycie przystanęła na chwilę

i obróciła podłużną głowę, aby ogarnąć wzrokiem całą wyspę Roke. Najdłużej spoglądała na Gaj, teraz tylko plamę ciemności pośród mroku. Potem z odgłosem, jakby ktoś potrząsał arkuszami brązu, rozprostowała szerokie skrzydła i wzbiła się w powietrze. Okrążyła jeszcze Roke i odleciała.

Wiązka płomieni i smuga dymu niknęły coraz dalej w mroku nocy.

Azver, Mistrz Wzorów, stał, ściskając w lewej dłoni prawą, poparzoną dotknięciem dziewczyny. Spojrzał na mężczyzn stojących w milczeniu u stóp wzgórza. Wszyscy spoglądali w ślad za smoczą.

–No i co teraz zrobimy, przyjaciele? – spytał.

Odpowiedział mi jedynie Odźwierny:

–Myślę, że wrócimy do naszego domu i otworzymy szeroko wszystkie drzwi.

*Przełożył Radosław Kot*

## **Pamięć, Smutek i Cień**

### **Tad Williams**

*The Dragonbone Chair (1988) Smoczy tron (REBIS, 1993, 1994) Stone of Farewell (1990) Kamień rozstania (REBIS, 1993, 1995) To Green Angel Tower (1993) Wieża Zielonego Anioła (REBIS, kolejne tomy od 1994)*

Trylogia Tada Williamsa rozgrywa się na całym obszarze Osten Ard, od bagien krainy Wran na południu, po Yiaanuc, kraj trollów, na skutej lodami północy, ale jej główne wątki biorą swój początek w wielkiej twierdzy Hayholt.

Opowieść rozpoczyna się w chwili śmierci Prestera Johna, potężnego króla ludzkiego rodu, który panował na zamku przez wiele lat, a swoimi rządami objął nie tylko Erkynland, lecz niemal wszystkie narody Osten Ard. Waśnie królewskich synów przeradzają się w wojnę, w wyniku której cały świat staje na granicy zagłady, gdyż nieśmiertelny Ineluki wykorzystuje spór dla swoich celów. Wśród osób wciągniętych w wir apokaliptycznych zmagań są Simon Snieżnowłosa, córka jednego z królewskich synów Miriamele, troll Binabik, tajemnicza wiedźma Geloe oraz niemal nieśmiertelni Sithowie służący wiernie Inelukiemu, który oddał kiedyś życie w ich obronie.

Pięć wieków przed erą Prestera Johna, u schyłku dziejów jego istniejącego od wielu tysięcy lat imperium, w Hayholt panował Ineluki, a sam zamek znany był pod pradawnym imieniem Asu'a. Kiedy śmiertelnicy obiegli twierdzę, Ineluki rzucił straszliwe zaklęcie; był to jednocześnie akt samobójczy, który miał powstrzymać ludzkich parweniuszy. Ineluki wraz ze swoimi poplecznikami zginął w płomieniach, a Asu'a uległ w znacznym stopniu zniszczeniu, lecz ci członkowie rodzaju ludzkiego, którzy przetrwali, odbudowali zamek na ruinach wielkiej twierdzy Sithów i wzięli go w posiadanie. W ciągu wieków panowali w nim kolejni władcy, wśród nich Król Czapla, Król Ostrokrzew, a także Król Rybak, o którym opowiadały legendy z Osten Ard, żaden z nich jednak nigdy nie zagościł tam na dłużej, dopóki nie pojawił się osławiony Prester John.

### **Człowiek z płomieni Tad Williams**

Choć minęło już tyle lat, wciąż zrywam się w środki, ku nocy i widzę jego udręczoną twarz. I za każdym razem, gdy przychodzi kolejny koszmar, nie potrafię ulżyć jego cierpieniu. Opowiem więc tę historię z nadzieją, że wtedy spoczną może ostatecznie duchy, jeśli w ogóle jest to możliwe w miejscu, gdzie żyje więcej duchów niż żywych dusz. Słuchajcie jednak uważnie, gdyż jest to opowieść, której mówiąca te słowa sama w pełni nie pojmuje.

Opowiem wam o Lordzie Sulisie, moim sławnym ojczymie. Opowiem wam o przepowiedni, którą usłyszałam od wiedźmy. Opowiem wam o miłości, którą utraciłam. Opowiem wam o nocy, kiedy ujrzałam człowieka z płomieni.

Tellarin obsypywał mnie drobnymi podarunkami, które dla mnie wcale nie były drobne. Mój kochanek przynosił mi słodycze, a potem śmiał się, widząc, jak pożeram je łapczywie.

–Ach, mała Bredo – mawiał. – Dziwne to, ale i cudowne zarazem, że zwykły żołnierz przemycił miódowe figi dla królewskiej córki. – A potem całował mnie, przytulał swoją ogorzałą twarz do mojej i składał na mych ustach pocałunki słodsze od wszystkich fig, jakie stworzył Bóg.

Ale Sulis nie był w rzeczywistości królem, tak jak ja nie byłam jego prawdziwą córką.

Tellarin nie we wszystkim się jednak mylił. Rzeczywiście, dziwna i cudowna zarazem była radość, którą czułam, widząc mojego żołnierza lub słysząc, jak gwizdże pod oknem.

Mój prawdziwy ojciec, człowiek, który dał mi życie, zginął w zimnych wodach jeziora Kingslake, kiedy byłam bardzo mała. Jego towarzysze mówili, że w ich sieć wpadł ogromny szczupak, który wciągnął mego ojca Ricwalda do wody, inni jednak szeptali, że zginął z rąk swoich kompanów, a ci obciążyli potem ciało kamieniami.

Wszyscy wiedzieli, że ojciec otrzymałby sztandar i włócznie Wielkiego Tana na następnym zgromadzeniu wszystkich tanów Ludu znad Jeziora. Przed nim Wielkim Tanem wybrano jego ojca i wuja, dlatego niektórzy szeptali, że pokarał go sam Bóg, gdyż jeden ród nie powinien tak długo dzierżyć władzy. Byli też i tacy, którzy utrzymywali, że towarzyszom ojca zapłacono za jego śmierć, co miało zaspokoić ambicje innej rodziny.

Wszystkiego tego dowiedziałam się z opowieści mej matki Cynethrith. Była młoda,

gdy zmarł ojciec, i miała dwoje dzieci: mnie, niespełna pięcioletnią dziewczynkę, i starszego o dwa lata syna Aelfrica. Jako ostatni z rodu zamieszkaliśmy w domu ojca mego ojca, a wśród Ludu znad Jeziora w Erkyndlandzie był to bardzo szacowny dom. Szacowny, lecz nie szczęśliwy. Godric, mój dziadek, przez dwa dziesiątki lat panował jako Wielki Tan, nim choroba nie zakończyła jego rządów. Oczekiwał, że syn pójdzie w jego ślady. Niestety, po śmierci mego ojca musiał patrzeć, jak wojownik z innego rodu dzierży sztandar i włócznie. Od tamtej chwili wszystko, co się działo na świecie, wydawało się tylko potwierdzać jego opinię, że najlepsze dni Erkyndlandu i Ludu znad Jeziora minęły.

Godric zmarł, nim skończyłam siedem lat. Cały ten okres między śmiercią ojca a zgonem dziadka nie był szczęśliwy dla mojej matki: przez wszystkie te lata musiała nieustannie wysłuchiwać narzekań i wyrzutów na temat tego, jak prowadziła dom i jak wychowywała mnie oraz Aelfrica, jedyne dzieci jego zmarłego syna. Dziadek spędzał wiele czasu z Aelfrikiem, próbując zrobić z niego mężczyznę, który mógłby kiedyś odzyskać sztandar i włócznie dla naszej rodziny, ale mój brat był drobny i nieśmiały i chyba nikt nie wierzył, że

zostanie głową czegoś więcej niż własnego domostwa. Godric winił za to moją matkę, twierdząc, że wychowywała go jak dziewczynę.

Mojej osobie poświęcał mniej uwagi. Nigdy nie był wobec mnie okrutny, raczej srogi i oschły, lecz sama jego postać – szczeciniasta, siwa broda, grzmiący głos i pozbawione kilku palców dłoń – tak mnie przerażała, że w jego obecności kuliłam się odruchowo. Przykro mi, jeśli była to jeszcze jedna z przyczyn, które odebrały mu radość życia.

Krótko mówiąc, lata wdowieństwa mej matki przepelniały smutek i gorycz. Niegdyś pani swojego domu i żona Wielkiego Tana, została nagle tylko jedną z trzech dorosłych córek w domu zgorzkniałego starca, gdyż jedna z sióstr mojego ojca także straciła męża, najmłodsza zaś, niezamężna, nigdy nie opuściła domu, by opiekować się ojcem na jego starość.

Myślę, że matka przyjęłaby z radością najbiedniejszego z rybaków, który poprosiłby o jej rękę, gdyby tylko miał własny dom i żadnych żyjących krewnych. Tak się jednak nie stało i zamiast biednego rybaka pojawił się mąż, który wstrząsnął całym stuleciem.

–Jaki on jest? – zapytał mnie kiedyś Tellarin. – Opowiedz mi o swoim ojczymie.

–Jest twoim panem i dowódcą. – Uśmiechnęłam się. – Czy mogę ci powiedzieć coś, czego nie wiesz?

–Powiedz mi, co mówi, kiedy jest w domu, przy stole, powiedz mi, co robi – dopytywał się Tellarin, po czym spojrzał na mnie, a jego długa twarz przypomniła mi nieoczekiwane oblicze zdumionego chłopca. – Ach! Już choćby zastanawianie się nad czymś podobnym graniczy niemal ze świętokradztwem!

–Jest zwykłym mężczyzną – odpowiedziałam mu i przewróciłam oczami. Śmieszne wydawało mi się to, w jaki sposób jedni mężczyźni myśleli o innych: że ten jest taki wielki i ważny, gdy oni sami tacy mali! – Je, śpi, puszcza wiatry. Kiedy jeszcze żyła moja matka, mawiała, że w łóżku zajmuje miejsca za trzech, ponieważ wciąż się rzucał i mówił głośno przez sen. – Celowo przedstawiałam ojczyma jako zwykłego człowieka, gdyż nie podobało mi się, że Tellarin bardziej interesuje się nim niż mną.

Wtedy mój nabbański żołnierz spoważniał.

–Z pewnością bardzo dotknęła go śmierć twojej matki. Musiał ją bardzo kochać.

Jakbym ja nie cierpiała z tego powodu! Powstrzymałam się, żeby nie zrobić kolejnej miny, i odpowiedziałam mu, przepelniona młodzieńczą pewnością siebie:

–Myślę, że on jej w ogóle nie kochał.

Matka opowiadała mi kiedyś, że gdy mój ojczym i jego świta pierwszy raz pojawili się na

łąkach, zmierzając na północ, w kierunku Kingslake, wydawało się, iż same zastępy niebieskie zstąpiły na ziemię. Ich nadejście obwieszczał dźwięk trąb, przyciągając ludność z najmniejszych osad, jak gdyby przechodziła pielgrzymka albo procesja z relikwiami świętego. Zbroje i kopie rycerzy lśniły oślepiająco, a na wszystkich sztandarach migotała czapla, wyszyty złotą nicią herb ich pana. Nawet konie Nabbańczyków były większe i okazalsze niż nasze biedne erkymlandzkie kuce. Za niewielką armią podążały stada owiec i bydła, a dalej jechały wozy, niezliczone mnóstwo wozów – było ich tyle, że jeszcze dzisiaj, choć minęło już sześć dziesięcioleci, widać koleiny, które odcisnęły na obliczu naszej ziemi.

Byłam wtedy dzieckiem i nic z tego nie widziałam, nie wtedy. Słyszałam tylko pogłoski w wielkiej sali mojego dziadka, szepty moich ciotek i matki, zajętych wyszywaniem. Potężny pan, który do nas przybył, to nabbański szlachcic, mówiono, nazywany przez wielu Sulisem Apostatą. Twierdzi, że przychodzi w pokoju i zamierza osiaść nad brzegami Kingslake. Jest wygnańcem z własnego kraju – heretykiem, jak utrzymywali niektórzy, wypędzonym przez Lektora pod groźbą ekskomuniki z powodu zuchwałych pytań dotyczących życia Usiresa Aedona, naszego błogosławionego Odkupiciela. Nie, mówili inni, musiał opuścić dom z powodu spisku kapłanów. Rozzłościć duchownego, to jak nastąpić na węża, szeptali.

W tamtych czasach Matka Kościół nie miał jeszcze zbyt dużych wpływów w Erkymlandzie i chociaż większość mieszkańców ochrzczono w wierze aedonickiej, niewielu tylko darzyło pełnym zaufaniem katedrę Sancellan Aedonitis. Ludzie nazywali ją często „ulem kapłanów”, twierdząc, że ci, zamiast służyć Bogu, budowali władzę.

Wielu wciąż jeszcze tak uważa, ale nie mówią już tego głośno w miejscach, w których mogliby ich usłyszeć obcy.

Dzisiaj wiem o tych rzeczach o wiele więcej niż w dniach, kiedy się wydarzyły. O wiele więcej też rozumiem teraz, gdy jestem stara i żadnego bohatera z mojej opowieści nie ma już wśród żywych. Oczywiście, nie ja pierwsza przeszłam tę smutną ścieżkę. Zrozumienie zawsze przychodzi za późno, tak myślę.

Lord Sulis rzeczywiście poróżnił się z Kościołem, a ponieważ w Nabbanie Kościół i państwo były ściśle związane, stał się również wrogiem Imperatora w Sancellan Mahistrevis. Ród mojego przyszłego ojczyma był jednak na tyle potężny, że nie uwięziono go ani nie stracono, lecz poradzono tylko opuścić Nabban. Jego ziomkowie sądzili, że wybrał Erkymland, gdyż każdy szlachcic mógł zostać królem w tym państewku, w moim kraju, Sulis miał jednak swoje powody, o wiele mroczniejsze i poważniejsze, niż ktokolwiek mógłby się domyślać. Tak więc przybył nad brzegi Kingslake z całym swoim dworem, z rycerzami, piechotą, ich kobietami i dziećmi, a liczebnością dorównywali ludności niewielkiego miasteczka.

Mimo siły swego oręża Nabbańczycy traktowali Lud znad Jeziora z zaskakującą uprzejmością, tak więc w ciągu kilku tygodni między mieszkańcami ich osady i naszymi ludźmi zawiązały się bardzo przyjazne stosunki i zaczął kwitnąć handel. Dopiero gdy Lord

Sulis obwieścił tanom, że zamierza osiedlić się w Wielkiej Twierdzy, opuszczonym zamku na rubieżach naszego kraju, Erkynlandczycy z niepokojem przyjęli nowinę.

Ogromna, pusta budowla, zamieszкана jedynie przez wiatr i cienie, spoglądała z góry na nasze ziemie od czasów narodzin najstarszych legend. Nikt nie pamiętał, kto wybudował Wielką Twierdzę; jedni twierdzili, że olbrzymy, inni zaklinali się, że wzniosły ją czarodziejskie istoty. Podobno jakiś czas panowali w niej Ludzie z Północy, mieszkańcy Rimmersgard, lecz oni dawno już odeszli, wypędzeni przez smoka z fortecy, którą odebrali Miłującym Pokój. Tyle opowieści spowijało ten zamek! Gdy byłam mała, jedna ze służebnic mej matki powiedziała mi, że w fortecy mieszkają już tylko wiedźmy i niespokojne duchy. Wiele razy rozmyślałam w nocy o tym opuszczonym, smaganym wiatrem miejscu na szczycie klifu, od którego dzieliło mnie zaledwie pół dnia drogi, a potem nie mogłam zasnąć przez długie godziny, przestraszona.

Tanowie zaniepokoiли się na myśl o tym, że ktoś miałby odbudować starą fortecę, ale nie tylko dlatego, iż bali się budzić duchy. Położenie Wielkiej Twierdzy, nawet jeśli była wciąż w ruinie, czyniło ją niezwykle silnym posterunkiem, wręcz fortecą nie do zdobycia, gdyby tylko obsadzić jej mury zbrojnymi. Jednak tanowie znaleźli się w trudnym położeniu. Może nawet Lud znad Jeziora był liczniejszy od ludzi Sulisa, lecz rycerze spod herbu czapli mieli lepsze uzbrojenie, a nabbańscy żołnierze znani byli ze swej dyscypliny – pół legionu Wilków Morskich Imperatora rozniosło dziesięciokrotnie większą armię Thrithingów w bitwie, którą stoczono zaledwie kilka lat wcześniej.

Ponadto Osweard, nowy Wielki Tan, był młody i nie miał doświadczenia jako dowódca. Pomniejsi tanowie zwrócili się o radę do mego dziadka Godrica, prosząc, by pomówił z nabbańskim lordem i wybadał jego prawdziwe intencje.

Tak więc Lord Sulis stanął w progach domu mego dziadka i po raz pierwszy ujrzał moją matkę.

Jako mała dziewczynka lubiłam wierzyć, że Sulis zakochał się w mej matce Cynethrith w tej samej chwili, gdy ujrzał ją stojącą za tronem jej teścia w wielkiej sali Godrica. Była piękna, tyle wiem. Nim zmarł mój ojciec, wszyscy w domu zwali ją Łabędziem Ricwalda z powodu jej długiej szyi i śnieżnobiałych ramion. Włosy miała bladozłote, a oczy tak zielone jak wody Kingslake latem. Przeciętny mężczyzna pokochałby ją od pierwszego wejrzenia. Lecz „przeciętny” to ostatnie słowo, jakim można by opisać mego ojczyma.

Gdy jako młoda kobieta sama po raz pierwszy się zakochałam, pojęłam, że Sulis nie kochał mej matki. Czy ktoś zakochany mógł być tak zimny jak on? Tak ponuro uprzejmy? Rozkochana w Tellarinie, moim tajemnym kochanku, zrozumiałam wtedy, że człowiek, który został moim ojczymem, a wcześniej spojrział na moją matkę, nie mógł czuć do niej niczego, co przypominałoby miłość.

Dziś nie jestem już tego taka pewna. Tyle rzeczy wygląda inaczej, gdy myślę o nich teraz.

Zaszedłszy tak daleko na ścieżce wieku, nabrałam dystansu, jakbym patrzyła na moje życie ze szczytu wzgórza, choć w pewnym sensie wiele rzeczy widzę o wiele wyraźniej.

Sulis był roztropnym mężem, dlatego od razu zauważył nienawiść, jaką mój dziadek Godric pałał do Wielkiego Tana – słyhać ją było w każdym jego słowie. Mówiąc o pogodzie, nie omieszkął nigdy wspomnieć, jak to lato bywało cieplejsze, a zima krótsza, kiedy sam był Wielkim Tanem, i że gdyby jego syn objął po nim rządy, każdy dzień przypominałby pierwszy dzień miesiąca Maia. Widząc to, Sulis zaczął zabiegać o względy zgorzkniałego starca, wpierw podsuwając mu drobne podarki i prawiąc wywarzone komplementy, a potem ubiegając się o rękę jego synowej.

Gdy dziadek miał już wystarczająco dobre zdanie o przybyszu, Sulis wykonał mistrzowskie posunięcie. Poprosił o rękę mej matki, oferując – za wdowę! – wiano, jakiego nie mogłaby się spodziewać córka panującego Wielkiego Tana: okazałą liczbę mieczy i dumnych nabbańskich rumaków, a także złotą zbroję. Obiecał też Godricowi, że zostawi mnie i mojego brata na wychowanie w jego domu.

Godric wciąż jeszcze żywił pewne nadzieje co do Aelfrica, więc bardzo się ucieszył. Ja niespecjalnie go obchodziłam. Potem obaj uznali, że moja matka byłaby szczęśliwsza, gdyby mogła wychowywać w nowym domu choć jedno ze swoich dzieci.

Tak więc zostało postanowione i potężny lord z obcego kraju wszedł do rodziny starego Wielkiego Tana. Godric oznajmił pozostałym tanom, że Sulis nie żywi złych zamiarów i że swoim uczynkiem dowiódł, iż pragnie żyć w pokoju pośród Ludu znad Jeziora. Dodał też, o czym wcześniej zapewnił go szlachcic, że kapłani ze świty Sulisa wypędzą niespokojne duchy z Wielkiej Twierdzy, dlatego nowy pan w starym zamku przyniesie im podwójne błogosławieństwo.

Nie wiem, co myślał o tym Osweard i pomniejsi tanowie. Widząc entuzjazm Godrica i potęgę nabbańskiego lorda, a być może i zawstydzeni w głębi serca śmiercią mojego ojca, ulegli. Lord Sulis i jego żona otrzymali Wielką Twierdzę, otoczoną pokruszonymi murami i zamieszkaną przez duchy.

Czy moja matka kochała drugiego męża? Tego nie potrafię powiedzieć, podobnie jak nie wiem, co czuł Sulis. Odeszli tak dawno temu, że poza mną nie ma już wśród żywych nikogo, kto by znał ich oboje. Gdy ujrzała go po raz pierwszy na progu domu Godrica, z pewnością prezentował się okazale. Nie był już młody – jak moja matka, zdążył owdowieć, choć od tej chwili minęło tylko dziesięciolecie, tymczasem ona dopiero co utraciła małżonka – lecz był wielkim mężem z największego z miast. Nosił śnieżnobiały płaszcz narzucony na zbroję i spięty na ramieniu lapisową klamrą w kształcie rodowej czapli. Wkroczył do sali z hełmem pod pachą, tak więc matka ujrzała, że niewiele ma włosów – tylko trochę kręconych z tyłu głowy i za uszami. Był wysoki, dobrze zbudowany, miał ogolony, zarysowany mocno podbródek i szeroki, wydatny nos. Jego silne, grube rysy nadawały mu wygląd kontemplacyjny, więcej, smutny nieco; była to twarz, jak powiedziała mi kiedyś matka, którą



mógłby mieć Sam Bóg w Dzień Osądu.

Wzbudzał w niej strach i podziw zarazem – wyczułam to, gdy mówiła o ich pierwszym spotkaniu. Ale czy kochała go wtedy lub później? Nie potrafię powiedzieć. Czy ma to jakieś znaczenie? Po tylu latach trudno powiedzieć, że tak jest.

Nie miała łatwego życia w domu swego teścia, więc bez względu na uczucia, jakie żywiła do Sulisa, była z pewnością szczęśliwa, że wychodzi za niego.

W miesiącu, w którym zmarła – weszłam wtedy w trzynasty rok życia – matka wyznała mi, że według niej Sulis bał się ją pokochać. Nigdy mi tego nie wyjaśniła, gdyż była już wtedy bardzo osłabiona i nawet mówienie sprawiało jej trudność, dlatego nie wiem, co miała na myśli.

Nim wymówiła ostatnie słowa, powiedziała coś jeszcze mniej zrozumiałego. Gdy ból tak bardzo ścisnął jej pierś, że traciła oddech na długie chwile, zebrała się na wysiłek i wyrzuciła z siebie to jedno zdanie: „Jestem duchem”.

Może miała na myśli swoje cierpienie, może chciała powiedzieć, że trwa uciepiona tego świata jak nieśmiały duch, który miał pójść do Nieba, snuje się wokół miejsc

poznanych za życia. Jej ostatnie życzenie upewniło mnie, że miała już dość tego świata. Mimo to wciąż się zastanawiam, czy jej słowa mogły mieć jakieś inne znaczenie. Może chciała powiedzieć, że jej życie po śmierci mojego ojca przypominało życie ducha? A może sugerowała raczej, że stała się cieniem we własnym domu, czymś, co czaiło się w mrokach korytarzy Wielkiej Twierdzy w oczekiwaniu, że jej drugi mąż dostrzeże to w końcu i da mu prawdziwe życie, czego ten milczący, obciążony tajemnicą człowiek nigdy nie uczynił.

Moja biedna matka. Nasza biedna, umęczona rodzina!

Niewiele pamiętam z pierwszego roku małżeństwa mej matki z Lordem Sulisem, ale nigdy nie zapomnę dnia, w którym znaleźliśmy się w nowym domu. Wysłano tam wcześniej ludzi, by możliwie najbardziej ułatwić nam przyjazd. Wiem, że tak było, bo po przybyciu zastaliśmy ogromny namiot na porośniętym trawą Wewnętrznym Dziedzińcu. Spaliśmy w nim przez pierwsze miesiące, lecz dziecko, jakim wtedy byłam, wyobrażało sobie, że znaleźliśmy się w miejscu, w którym nie stanęła wcześniej stopa śmiertelnika. Za każdym rogiem spodziewałam się ujrzeć ogra lub czarownicę.

Przejechawszy drogą, która wiodła przez szczyt klifu u wybrzeża Kingslake, dotarliśmy do muru kurtynowego i zaczęliśmy okrążyć zamek. Wysłani przodem ludzie wycięli drogę w cieniu murów, co znacznie ułatwiło nam przejazd. Podążaliśmy więc tunelem wyciętym między murem a ścianą lasu. W miejscach, gdzie nie do końca wykarczowano drzewa i krzewy, las Kingswood dochodził do samego zamku, napierając korzeniami i lianami na ogromne kamienie jego murów.

Przy północnej bramie ujrzelismy oczyszczoną część zbocza, nic poza pniami i osmaloną ogniem trawą; nikomu się jeszcze nie śniło, że w tym miejscu wyrośnie kiedyś tętniące życiem Erkynchester. Część roślinności pozostała, dlatego kolumny zburzonej na połę wartowni wciąż oplatały liany. Ich korzenie wyrastały ze szczelin dziwnego, lśniącego kamienia, a grube, splątane warkocze pnączy tworzyły coś na kształt altany.

–Widzisz? – Lord Sulis rozłożył silne ramiona, jakby sam zaprojektował i stworzył ciągnące się przed nim pustkowie. – Największy i najstarszy zamek będzie naszym domem.

Gdy poprowadził ją przez próg do ruin prastarej twierdzy, matka zrobiła na piersi znak Drzewa.

Teraz wiem wiele rzeczy, których nie wiedziałam pierwszego dnia pobytu w Wielkiej Twierdzy. Niektóre z opowieści o tym miejscu, jak się przekonałam, nie są prawdziwe, lecz inne z pewnością tak. Przede wszystkim nie ulega wątpliwości, że mieszkali tam Ludzie z Północy. Co krok znajdowałam monety, na których wybito proste

„F”, symbol ich Króla Fingila, a robotnicy mojego ojczyrna odkopali na Zewnętrznym Dziedzińcu fragmenty ich długich drewnianych domów. Tak więc doszłam do wniosku, że skoro prawdziwa jest opowieść o Ludziach z Północy zamieszkujących to miejsce, to nie ma powodów, by nie wierzyć w legendę o smoku lub o tym, jak Ludzie z Północy w okrutny sposób wymordowali nieśmiertelnych mieszkańców zamku.

Wcale nie potrzebowałam tak prozaicznych dowodów jak ruiny czy monety, by uwierzyć, że nasz dom pełen jest niespokojnych duchów. Przekonałam się o tym ponad wszelką wątpliwość w noc, kiedy ujrzałam człowieka z płomieni.

Może ktoś, kto wyrósł w Nabbanie albo w jednym z wielkich miast południa, nie dziwiłby się tak bardzo, widząc po raz pierwszy Wielką Twierdzę, ale ja byłam dzieckiem Ludu znad Jeziora. Wcześniej największym budynkiem, jaki kiedykolwiek widziałam, była ogromna sala w naszym mieście, w której każdej wiosny spotykali się tanowie, a którą można by ukryć w jednej z części Wielkiej Twierdzy i nikt nigdy by jej nie znalazł. Już pierwszego dnia naszego pobytu w fortecy uznałam, że jedynie olbrzymy mogły zbudować tak potężny zamek.

Mur kurtynowy robił ogromne wrażenie na małej dziewczynce – dziesięć razy większy ode mnie, z ogromnych, surowych kamieni, które, jak sobie wyobrażałam, tylko największy spośród ogrów potrafił ustawić na miejscu – lecz mur wewnętrzny, czy raczej jego pozostałości, oprócz tego, że olbrzymi, był także piękny. Ułożono go ze śnieżnobiałego, wypolerowanego jak klejnoty kamienia; ogromne bloki dorównywały rozmiarami kamieniom z muru zewnętrznego, tutaj jednak połączono je tak starannie, że z pewnej odległości wydawały się jednym kawałkiem, jakby z ziemi wyrastał półksiężyc z kości słoniowej lub z innej kości.

Wiele budowli w twierdzy zostało spalonych lub zburzonych, niektóre po to, by dostarczyć

kamienia ludziom z Rimmersgard, którzy zbudowali swoją wieżę – pękata jak beczka, lecz bardzo wysoką. W każdym innym miejscu z pewnością podziwiałabym ogromną budowlę Ludzi z Północy, która zdominowała wszystko dokoła, ale nie w każdym innym mieście mogłabym zobaczyć Wieżę Anioła.

Wtedy jeszcze nie znałam jej nazwy – nie miała żadnej, ponieważ postać na jej czubku była ledwo widoczna – lecz gdy tylko ją zobaczyłam, od razu uznałam, że nigdzie indziej nie znalazłabym czegoś podobnego, i choć raz nie była to przesadna dziecięca gadanina. Wejście blokowały gruzy, których Ludzie z Północy nigdy ostatecznie nie uprzątnęli, a dolna fasada w znacznej części pokruszyła się i odpadła na skutek jakiegoś niewyobrażalnego kataklizmu, tak że pozostała jedynie podstawa z surowego kamienia, która i tak wznosiła się ku niebu niczym ogromny, biały kiel przewyższający każde drzewo, przewyższający wszystko, co zbudowała ręka śmiertelnika.

Podniecona, ale i przestraszona pytałam wciąż matkę, czy wieża nie przewróci się na nas. Próbowала mnie uspokoić, tłumacząc, że stoi tam dłużej, niż potrafię to sobie wyobrazić, że może stała tam nawet przed tym, jak u brzegów Kingslake pojawili się ludzie, co z kolei nasunęło mi inne, jeszcze dziwniejsze myśli.

„Przynieś mi smoczy pazur”, to ostatnie słowa, jakie wypowiedziała do mnie moja matka.

Początkowo sądziłam, że w końcowych godzinach życia wróciła myślami do pierwszych dni naszego pobytu na zamku.

Opowieść o smoku z Wielkiej Twierdzy, który wypędził ostatnich Ludzi z Północy, była zbyt stara, żeby przestraszyć słuchaczy, chyba że opowiadano ją małej dziewczynce. Ludzie z otoczenia ojczyma przynosili mi kawałki wypolerowanego kamienia – dopiero później dowiedziałam się, że były to okruchy rzeźb umieszczonych na ścianach w najstarszych częściach zamku – i mówili: „Widzisz, to kawałek pazura ogromnego, czerwonego smoka. Bestia mieszka w jaskiniach pod zamkiem, ale nocą wychodzi czasem na górę i węszy dokoła. Szuka dziewczynek na pożarcie!”

Z początku wierzyłam im, potem jednak, kiedy urosłam i przestałam być tak łatwowierna, kpiłam sobie na samą myśl o smoku. Teraz, chociaż jestem już stara, znowu dręcą mnie sny o nim. Czasem nawet podczas bezsennej nocy wydaje mi się, że wyczuwam jego obecność w ciemności pod zamkiem, czuję niepokój, który mąci jego długi, głęboki sen.

Tak więc tamtej nocy, kiedy moja umierająca matka kazała mi przynieść smoczy pazur, pomyślałam, że przypomniały jej się chwile z naszego pierwszego roku na zamku. Już miałam pójść poszukać jednego ze starych kamieni, ale zatrzymała mnie jej służąca, Ulca – tak Nabbańczycy nazywali swoje pokojówki – która powiedziała mi, że nie o to chodziło matce. Smoczy pazur, jak mi wyjaśniła, dawano tym, którzy bardzo cierpieli, by zaznali ulgi szybkiej śmierci. Ulca mówiła to ze łzami w oczach: pewnie jako dość gorliwa aedonitka nie popierała podobnych praktyk, ponieważ jednak była młodą i rozsądną kobietą, nie chciała

tracić czasu na dyskusje o tym, co jest złe, a co dobre w danej chwili. Wyjaśniła mi, że coś takiego mogę dostać tylko od kobiety o imieniu Xanippa, która mieszka w osadzie powstałej tuż za murami Wielkiej Twierdzy.

Wtedy wyrastałam już na kobietę, lecz w dużej mierze czułam się jeszcze dzieckiem. Przeraziła mnie myśl, że będę musiała wyjść za mury zamku po zmroku, ale przecież prosiła mnie o to matka, co więcej, odmowa spełnienia prośby na łożu śmierci uznawana była za grzech jeszcze na długo przed tym, nim Matka Kościół określił, co jest dobre, a co złe. A więc zostawiłam Ulcę przy łożu matki i wyszłam w noc wypełnioną ciemnością i deszczem.

Kobieta zwana Xanippą była kiedyś dziwką, gdy jednak przybyło jej lat i tłuszczu, uznała, że czas zmienić zawód, i została zielarką. Jej waląca się, wypełniona dymem i okropnymi zapachami chata stała przyklejona do południowego muru kurtynowego twierdzy. Włosy tej kobiety przypominały ptasie gniazdo, a wiązała je czymś, co niegdyś było piękną wstążką. Jej być może urodziwa w przeszłości, zmieniona przez tłuszczyk i lata twarz wyglądała, jakby wyciągnięto ją z sieci rybackiej. Była tak ogromna, że w trakcie mojej wizyty, a podejrzewam, że nie tylko, nie wstawała wcale ze swojego stołka przy ogniu.

Początkowo Xanippa patrzyła na mnie podejrzliwie, gdy jednak dowiedziała się, kim jestem i po co przyszedłam, a wyraz mej twarzy upewnił ją, że mówię prawdę, przyjęła trzy małe monety, po czym kazała sobie podać kuferek z popękanego drewna, który stał w kącie przy palenisku. Jak jego pani, niechybnie pamiętał lepsze czasy. Wsparty kufer o brzuch, zaczęła niezwykle ostrożnie przeszukiwać jego zawartość, co wcale do niej nie pasowało, sądząc po wnętrzu izby.

– Jest – powiedziała wreszcie. – Smoczy pazur. – Wyciągnęła rękę w moją stronę i pokazała mi coś czarnego i zakrzywionego. Bez wątplenia był to pazur, lecz stanowczo za mały, by mógł należeć do jakiegokolwiek smoka, którego potrafiłam sobie wyobrazić. Xanippa dostrzegła moje wahanie. – To łapa sowy, głupia. Ale nazywają ją smoczym pazurem. – Wskazała na małą szklaną kulkę nasuniętą na czubek pazura. – Nie zdejmuj jej i nie rozbij. W ogóle nie dotykaj.

Masz jakąś sakiewkę?

Pokazałam jej mały mieszek, który zawsze nosiłam na rzemieniu, zawieszony na szyi. Kobieta skrzywiła się.

– Materiał jest bardzo cienki. – Z jednej z kieszeni bezkształtnej szaty wyjęła gałgan, owinęła nim pazur i dopiero wtedy wrzuciła go do mieszka, który wsunęła mi z powrotem za stanik. Chowając go, uszczypnęła mnie w pierś tak mocno, że aż syknęłam z bólu, a następnie poklepała po głowie. – Miłościwa Rhiapo, czy ja kiedyś byłam tak młoda? – mruknęła. – Ale co tam, bądź ostrożna, kwiatuszku.

Na końcu pazura jest trochę sercojadu z bagien Wranu. Wystarczy jedno ukłucie i umrzesz

dziewicą. – Roześmiała się. – A tego chyba nie chcesz, co?

Wycofałam się do drzwi. Xanippa uśmiechnęła się, widząc, że się boję.

–I przekaz coś ojcu. Nie znajdzie tego, czego szuka, wśród tutejszych bab ani wśród zielarek Ludu znad Jeziora. Powiedz mu, że może mi wierzyć, bo gdybym potrafiła rozwiązać jego zagadkę, z pewnością bym to zrobiła i, och, drogo by musiał zapłacić! Ale nie, będzie musiał odnaleźć Leśną Wiedźmę i jej zadać swoje pytania.

Zaśmiała się raz jeszcze, gdy otworzyłam drzwi i wybiegłam z chaty. Deszcz

rozpadał się na dobre, więc potknęłam się kilka razy, mimo to jednak biegłam przez całą drogę na zamek.

Kiedy wróciłam, dowiedziałam się, że kapłan był już i poszedł, podobnie jak mój ojczym, który nie powiedział ani słowa, jak twierdziła Ulca. Matka zmarła wkrótce po moim wyjściu. Zawiodłam ją, zostawiłam, by cierpiała i umarła w samotności, bez rodziny. Przepęłniał mnie palący smutek i wstyd i myślałam, że ból ten nigdy mnie nie opuści. Kobiety przygotowywały ją do pogrzebu, a ja siedziałam tylko i płakałam. Smoczy pazur kołysał się na mojej piersi, niemal zapomniany.

W ciągu następnych tygodni błąkałam się po zamku, zagubiona i pogrążona w smutku. Minał prawie miesiąc od pogrzebu matki, gdy przypomniałam sobie o wiadomości od Xanippy, którą miałam przekazać ojczymowi.

Znalazłam go na murach, gdzie stał wpatrzony w wody Kingslake, i opowiedziałam mu o tym, co usłyszałam od Xanippy. Nie zapytał, jak to się stało, że jestem posłańcem takiej kobiety. Nie dał mi nawet wyraźnie poznać, że mnie słyszał. Wciąż patrzył na coś w oddali, może na łodzie rybackie, słabo widoczne we mgle.

Pierwsze lata w zrujnowanej Wielkiej Twierdzy były ciężkie nie tylko dla mnie i dla mojej matki. Nadeszła pierwsza ponura zima i Lord Sulis musiał nadzorować odbudowę, a jednocześnie podtrzymywać na duchu swoich ludzi.

Co innego przysiąc w porywie lojalności, że pójdzie się wszędzie za wypędzonym dowódcą, a co innego, kiedy oznacza to prawdziwe wygnanie. Gdy nabbańscy żołnierze zrozumieli, że zimny Erkynland, liche państewko, już na zawsze będzie ich domem, pojawiły się problemy: pijaństwo, bójk, a także nieporozumienia między ludźmi Sulisa a miejscowymi... moimi ludźmi, powinnam była powiedzieć, lecz bywały chwile, że o tym zapominałam. Po śmierci matki czułam się czasem tak, jakbym to ja była wygnańcem, który znalazł się wśród nabbańskich nazw, twarzy i mowy, chociaż stąpałam po mojej ziemi.

Wprawdzie nie mieliśmy powodów do radości tamtej pierwszej zimy, ale przeżyliśmy i trwaliśmy dalej. Jeśli jednak urodził się taki, który miał przetrwać podobne próby, z pewnością był nim mój ojczym.

Kiedy patrzę teraz na niego oczyma wyobraźni, widzę jego krzaczaste brwi i surową twarz i wyobrażam go sobie jako wyspę, samotną wyspę po drugiej stronie niebezpiecznych wód, wyspę, która leży blisko brzegu, lecz której nikt nigdy nie odwiedza. Byłam wtedy za młoda i zbyt nieśmiała, by spróbować zawołać do niego ponad przesmykiem, który nas rozdzielał, chociaż nie miało to znaczenia, ponieważ Sulis nie wyglądał na kogoś, kto żałuje swojej samotności. Nawet w pełnej ludzi sali siedział zawsze ze wzrokiem wbitym w ścianę, jakby potrafił dostrzec przez kamień jakieś lepsze

miejsce. Nawet w chwilach najlepszego humoru rzadko słyszałam go śmiejącego się. Jeśli już, to na jego ustach pojawiał się zdawkowy uśmiech sugerujący, że i tak nikt nie zrozumiałby dowcipów, które uważał za śmieszne.

Nie był złym człowiekiem, czy nawet trudnym w pożyciu, jak mój dziadek Godric, lecz gdy widziałam, jak bardzo oddani są mu jego żołnierze, nie potrafiłam tego pojąć. Tellarin powiedział mi kiedyś, że gdy został towarzyszem Avallesa, usłyszał od innych, jak Lord Sulis wyniósł z pola bitwy dwóch rannych poddanych, a szedł tam dwukrotnie, zasypywany strzałami Thrithingów. Jeśli to prawda, łatwo można zrozumieć, dlaczego jego ludzie tak go kochali, lecz wypełnione echem korytarze Wielkiej Twierdzy nie dawały zbyt wielu sposobności do podobnych wyczynów.

Kiedy jeszcze byłam młoda, Sulis poklepywał mnie po głowie albo zadawał jakieś pytanie, co miało być oznaką jego ojcowskiej troski, a co w rzeczywistości pokazywało, że nie jest do końca pewien, ile mam lat i czym się interesuję. W miarę jak stawałam się kobietą, on stawał się coraz bardziej zasadniczy. Chwalił moje stroje albo robótki w taki sam sposób, w jaki witał mieszkańców Wielkiej Twierdzy w czasie Aedonmansy, gdy wywoływał każdego po imieniu, którego nauczył się z ksiąg zarządcy dworu, i życzył mu dobrego roku.

Po śmierci mej matki Sulis odsunął się od nas jeszcze bardziej, jakby jej strata ostatecznie uwolniła go od codziennych obowiązków, które zawsze wykonywał w tak mechaniczny, wyuczony sposób. Coraz mniej czasu poświęcał rządzeniu, coraz częściej za to zagłębiał się w lekturze – czasem spędzał nad książką całe noce, otulając się szczelnie przed chłodem i wypalając świece szybciej niż reszta domowników razem wzięta.

Z rodzinnego Nabbanu przywiózł głównie opasłe tomy religijnych pouczeń, ale też i księgi historyczne i wojskowe. Od czasu do czasu pozwalał mi obejrzeć którąś, lecz wtedy, choć pobierałam już nauki, czytałam jeszcze bardzo wolno i nie rozumiałam dziwnych nazw oraz przeznaczenia urzędzeń, które pojawiały się w opisach bitew. Miał też i inne książki, na które jednak nie pozwolił mi nawet zerknąć. Te, oprawione w zwykłe okładki, trzymał zamknięte w drewnianych skrzyniach. Gdy po raz pierwszy ujrzałam, jak chowa jedną z nich, jeszcze długo potem wracało do mnie wspomnienie tej chwili. Zastanawiałam się, jakież to muszą być księgi, że trzeba je trzymać w zamknięciu.

W jednej z drewnianych skrzyń chował własne zapiski, o czym dowiedziałam się dopiero dwa lata później, kiedy miała nadejść noc Czarnego Ognia.

Było to w tym samym roku, w którym umarła moja matka. Pewnego dnia zastałam go w sali tronowej, pogrążonego w lekturze, i wtedy właśnie Lord Sulis jeden jedyny raz

naprawdę spojrzał na mnie.

Gdy zapytałam nieśmiało, co robi, pozwolił mi obejrzeć księgę, którą trzymał na kolanach – pięknie iluminowaną historię proroka Varrisa ze złotą czapłą Honsa Sulis na okładce. Przesunęłam palcem po ilustracji przedstawiającej łamanego kołem Varrisa.

–Biedny, biedny człowiek – powiedziałam. – Jak on musiał cierpieć. A wszystko dlatego, że pozostał wierny Bogu. Z pewnością Pan przywitał go z radością w Niebiosach.

Obraz umęczonego proroka poruszył się niespodziewanie – widocznie sprawiłam, że mój ojczym drgnął. Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że wpatruje się we mnie intensywnie: brązowe oczy miał szeroko otwarte i przepełnione uczuciami, których nie potrafiłam odczytać, więc przez moment bałam się, że chce mnie uderzyć. I rzeczywiście, uniósł ogromną dłoń, lecz bardzo powoli. Dotknął moich włosów, a potem zacisnął dłoń w pięść, nie przestając mi się przyglądać.

–Wszystko mi odebrali, Bredo. – Powiedział to przez gardło ściśnięte bólem, którego nie pojmowałam. – Ale ja nigdy nie ugnę karku. Nigdy.

Wstrzymałam oddech, niepewna i wciąż nieco przestraszona. Chwilę później opamiętał się. Przyłożył dłoń do ust, udając kaszel – nie znałam innego, który byłby bardziej niezdarny w udawaniu – i kazał mi odejść, by móc dokończyć lekturę, póki miał jeszcze światło. Do dziś nie wiem, kogo miał wtedy na myśli, kto mu odebrał wszystko. Imperator i jego dwór w Nabbanie? Kapłani Matki Kościoła? A może Bóg i Jego armia aniołów?

Wiem natomiast, że próbował mi wtedy opowiedzieć o tym, co trawiło jego duszę, ale nie umiał znaleźć słów. Wiem też, że przynajmniej w tamtej jednej chwili współczułam mu całym sercem.

Mój Tellarin zapytał mnie kiedyś:

–Jak to możliwe, że żaden inny nie chciał, byś była jego? Jesteś piękna, a do tego córka króla.

Ale, jak już mówiłam wcześniej, Lord Sulis nie był moim ojcem ani królem, a lustro, które wcześniej należało do mej matki, nie pozostawiało wątpliwości, że mój żołnierz przeceniał mą urodę. W przeciwieństwie do matki, jasnowłosej, jasnolicej kobiety, byłam ciemna. Ona miała smukłą szyję, długie nogi i ramiona oraz kształtne biodra, ja urodziłam się drobna jak chłopiec. Nigdy nie zajmowałam dużo miejsca na ziemi, pod nią też nie zajmę zbyt dużo. Gdy będą kopać mój grób, nie trzeba będzie wzruszać zbyt wiele gruntu.

Ale Tellarin mówił słowami miłości, która, niczym zaklęcie, przepędza zdrowy rozsądek.

–Jak to się stało, że wybrałaś takiego prostaka? – zapytał mnie kiedyś. – Jak możesz kochać mężczyznę, który miast ziemi może dać ci tylko farmę, jaką można kupić za żołnierski żołd? Który nie da twoim dzieciom tytułów i zaszczytów?

Jako że miłość nie potrafi rachować, powinnam mu wtedy odpowiedzieć. Miłość dokonuje wyboru, a potem oddaje się bez reszty.

Gdyby zobaczył siebie takim, jakim ujrzałam go po raz pierwszy, nie pytałby o nic.

Stało się to pewnego dnia, wczesną wiosną, w piętnastym roku mego życia. O świcie straż dostrzegła łodzie na Kingslake. Nie były to zwykłe łodzie rybackie, lecz barki, a na każdej więcej niż tuzin ludzi wraz z rumakami. Wielu ludzi z zamku wybiegło na brzeg, by zobaczyć podróżnych i wypytać się o nowiny.

Kiedy już znieśli na brzeg wszystkie swe dobra, Tellarin i jego kompani dosiedli koni i pojechali ścieżką w górę zbocza, do głównej bramy. Odbudowano ją krótko przed ich przybyciem z prostych, nie okorowanych belek, lecz była wystarczająco mocna, by powstrzymać wroga w wypadku ataku. Ojczym miał powody, by nie zapominać o ostrożności, co potwierdziła delegacja, która przybyła tamtego dnia.

Na czele grupy stał przyjaciel Tellarina, Avalles, rycerz konny, a jednocześnie jeden z bratanków w rodzinie Sulisów, lecz trudno było nie zauważyć, który z nich tak naprawdę cieszył się oddaniem żołnierzy. Kiedy ujrzałam go po raz pierwszy, mój Tellarin miał zaledwie dwadzieścia lat. Nie był przystojny – twarz miał za długą, a nos za duży, by jego oblicze mogło być wzorem dla wdzięcznych twarzy aniołów z rycin w księgach mego ojczyma – ale wydał mi się całkiem piękny. Jadąc na swym koniu, zdjął hełm, by poczuć poranne słońce, a jego złociste włosy powiewały na wietrze. Nawet ja, niedoświadczona dziewczyna, widziałam, że jest wciąż za młody jak na wojownika, zauważyłam też jednak podziw, którym darzył go jego towarzysz.

Tellarin odnalazł mnie w tłumie otaczającym mego ojczyma, a potem uśmiechnął się, jakby mnie rozpoznał, choć nie widzieliśmy się nigdy wcześniej. Krew popłynęła szybciej w mych żyłach, lecz tak niewiele wiedziałam wtedy o świecie, że nie rozpoznałam gorączki miłości.

Ojczym uściskał Avallesa, a następnie pozwolił, by Tellarin i pozostali klękali przed nim i oddali mu hołd, choć z pewnością pragnął jak najszybciej zakończyć tę ceremonię i wrócić do swoich ksiąg.

Posłańców wysłała z Nabbanu rada rodzinna rodu Sulisa. List przywieziony przez Avallesa informował mego ojczyma, że znowu mówi się o nim na dworze Imperatora, w dużej mierze za sprawą aedonickich kapłanów. Gdyby chodziło o jakiegoś biedaka żywiącego dziwaczne, może nawet mało religijne przekonania, nie byłoby sprawy, jeśli jednak podobne poglądy padają z ust szlachcica, który posiada ziemię, bogactwa i znane

nazwisko, wielu wpływowych ludzi może się czuć zagrożonych. Dlatego w obawie o życie



mego ojczyrna rodzina wysłała ten doborowy oddział wraz z ostrzeżeniem, by zachował większą niż kiedykolwiek ostrożność.

Wprawdzie przybysze mieli ważniejsze zadania, lecz wieści z domu były zawsze mile widziane, a poza tym doszło też do radosnych spotkań, gdyż wielu członków nowego oddziału walczyło niegdyś u boku żołnierzy armii mojego ojczyrna.

Kiedy wreszcie Lord Sulis mógł ponownie oddać się lekturze, lecz zanim jeszcze Ulca zdążyła wyprowadzić mnie z sali, Tellarin zapytał Avallesa, czy może zostać mi przedstawiony. Avalles był ponurym młodzieńcem o grubych rysach i twarzy pokrytej słabym zarostem, starszym od Tellarina zaledwie o kilka lat, ale tak przesiąkniętym powagą typową w jego rodzie, że sprawiał wrażenie głupawego starego wuja. Chwyciwszy mnie zbyt mocno za rękę, wymamrotał kilka pochwał pod moim adresem, opowiadając, jakie to piękne kwiaty rosną na północy, po czym przedstawił przyjacielowi.

Tellarin nie ucałował mej dłoni, za to bardzo mocno objął mnie spojrzeniem jasnych oczu i powiedział:

–Pani, ten dzień zostanie w mej pamięci na zawsze. – I skłonił się.

Wtedy Ulca chwyciła mnie za łokieć i odciągnęła do tyłu.

Nawet ogarnięta gorączką miłosną, która miała mnie rozpalać przez cały piętnasty rok mego życia, nie mogłam nie zauważyć, że zmiany, jakie dostrzegłam u ojczyrna po śmierci matki, pogłębiały się.

Lord Sulis nie opuszczał już prawie swoich komnat, a z księgami i zapiskami rozstawał się tylko na krótkie chwile, by zająć się najbardziej palącymi sprawami. Regularnie rozmawiał tylko z Ojcem Ganarisem, prostolinijnym kapelanem wojskowym, który jako jedyny kapłan przybył z nim z Nabbanu. Sulis ulokował dawnego towarzysza z pól bitewnych w nowo wybudowanej kaplicy zamkowej, jednym z nielicznych miejsc, jakie pan Wielkiej Twierdzy jeszcze odwiedzał. Trudno było jednak powiedzieć, aby jego wizyty sprawiały staremu kapelanowi wielką radość. Któregoś razu zobaczyłam ich w chwili, gdy się żegnali. Kiedy Sulis odwrócił się i ruszył przez dziedziniec, walcząc z wiatrem, Ganaris odprowadził go spojrzeniem smutnym i ponurym, spojrzeniem kogoś, kto patrzy na przyjaciela trawionego śmiertelną chorobą.

Może gdybym spróbowała, potrafiłabym jakoś pomóc mojemu ojczymowi. Może znaleźlibyśmy inną ścieżkę od tej, która zaprowadziła nas pod rosnące w ciemności drzewo. Prawda jest jednak taka, że choć widziałam oznaki, nie zwracałam na nie większej uwagi. Tellarin, mój żołnierz, zaczął się do mnie zalecać – najpierw tylko rzucał spojrzenia i pozdrawiał, potem przesyłał drobne upominki – przez co wszystko inne

w moim życiu straciło niemal znaczenie.

W rzeczywistości mój świat zmienił się tak bardzo, jakby nad Wielką Twierdzą zaświeciło nowe, większe słońce, którego promienie wypełniły najdalsze zakamarki zamku. Uczucie, jakim darzyłam jasnookiego Tellarina, nadało nowe znaczenie najbardziej nawet przyziemnym czynnościom. Przykładałam się pilnie do nauk religijnych i lekcji czytania, by sprawić się jak najlepiej w rozmowie z ukochanym... no, może poza dniami, kiedy w ogóle nie miałam na to ochoty, pogrążona w marzeniach o nim. Chodziłam po całym zamku w nadziei, że gdzieś go spotkam, że nasze spojrzenia skrzyżują się choć na chwilę na dziedzińcu albo w korytarzu. Nawet opowieści, które Ulca snuła podczas robótek, a które dotąd sprawiały, że przyjemniej mijał czas, brzmiały inaczej. Teraz to my byliśmy królową i królewiczem, którzy się zakochali. Cierpiałam z nimi, a ich ostateczny triumf przepełniał mnie słodyczą tak ogromną, że bałam się, iż któregoś dnia zemdleję.

W końcu Ulca, która domyślała się, lecz nie miała pewności, nie chciała już więcej opowiadać mi jakichkolwiek historii, w których się całowano.

Wtedy jednak miałam już swoją opowieść, którą żyłam przez cały czas. Mój pierwszy pocałunek znalazłam w ogrodzie owianym zimowym wiatrem, w cieniu wieży Ludzi z Północy. Od tamtej chwili ta brzydka budowla zawsze już wydawała mi się piękna, a ilekroć na nią patrzyłam, robiło mi się ciepło, nawet w najzimniejsze dni.

–Twój ojczym mógłby mnie skrócić o głowę – powiedział wtedy mój żołnierz, dotykając delikatnie swoim policzkiem mojego. – Zdradziłem i służbę, i jego zaufanie.

–Skoro więc i tak jesteś już potępiony, możesz ukraść jeszcze trochę – odpowiedziałam mu szeptem, pociągnęłam go głębiej w cień i całowałam tak długo, aż zdrętwiały mi usta. Czułam, że żyję tak, jak nigdy wcześniej, i niemal napełniało mnie to szaleństwem. Byłam spragniona mojego żołnierza, jego pocałunków, oddechu, głosu.

Obdarowywał mnie drobiazgami, których próżno było szukać w ponurym domu Lorda Sulisa: przynosił mi kwiaty, słodycze, bawidelka kupione na targach w Erkynchester, nowym mieście, które powstało za murami zamku. Z trudem przychodziło mi wkładać do ust miodowe figi, które dla mnie kupował: nie dlatego, że były zbyt drogie na jego sakiewkę – nie był bogaty jak jego przyjaciel Avalles – lecz dlatego, że to on mi je podarował. Jedzenie tak cennych podarunków wydawało mi się ogromnym marnotrawstwem.

–W takim razie zjadaj je powoli. Będą całowały twoje usta wtedy, kiedy ja nie mogę – powiedział mi.

Oddałam mu się, oczywiście, całkowicie i bez reszty. Nie zwracałam uwagi na mroczne opowieści Ulki o zbrukanych kobietach, które rzucały się w wody Kingslake,

o pannach odsyłanych w niełasce do domu czy o bękartach, które dawały początek okrutnym wojnom. Oddałam Tellarinowi i serce, i ciało. Któż postąpiłby inaczej? Gdyby dane mi było raz jeszcze stać się tamtą dziewczyną, która z ponurego dzieciństwa weszła

w dzień pełen blasku, postąpiłabym tak samo, i to równie ochoczo. Chociaż dzisiaj widzę, jaka byłam głupia, nie mogę winić tamtej dziewczyny. Kiedy jest się młodym i ma przed sobą tak wiele życia, brakuje cierpliwości, nie rozumie się, że nadejdą jeszcze inne dni, inne czasy, inne okazje. Bóg takimi nas stworzył. Kto wie dlaczego?

Jeśli chodzi o mnie, nie czułam wtedy niczego poza wrzieniem krwi. Gdy zapukał do mych drzwi w środku nocy, powiodłam go do mego łóżka. Potem odszedł, a ja płakałam, lecz wcale nie ze wstydu. Przychodził do mnie jeszcze wiele razy, kiedy siwiała jesień, a gdy nadeszła zima, zbudowaliśmy nasz sekretny, wypełniony ciepłem świat. Nie wyobrażałam sobie choćby chwili bez niego.

Głupia młodość, bo przecież przeżyłam bez niego już tyle lat. I nawet zaznałam w życiu wiele przyjemności od chwili, gdy go straciłam, choć wtedy nie dałabym wiary, że będzie to możliwe. Myślę też jednak, że nigdy już nie żyłam tak intensywnie i tak prawdziwie jak w pierwszym roku mojego szaleńczego odkrycia. Jakbym przeczuwała, że nie dane nam będzie zostać długo ze sobą.

Jakkolwiek to nazwiemy: losem, przeznaczeniem czy też wolą Niebios, gdy spoglądam wstecz, widzę teraz, jak każde z nas zostało popchnięte, jak wszyscy zostaliśmy przygotowani na drogę do ciemnych miejsc.

Którejś nocy miesiąca Feyevera owego roku zaczęłam zdawać sobie sprawę, że mym ojczymem owładnęło coś więcej niż tylko roztargnienie. Biegłam korytarzem do mojej komnaty – zdążyłam się pożegnać z Tellarinem i byłam jeszcze podniecona spotkaniem z nim – gdy niemal wpadłam na Sulisa. Najpierw zdumiałam się, potem przeraziłam. Byłam pewna, że moje przewinienie jest równie widoczne jak krew na białym prześcieradle. Czekałam, drżąc, aż mnie zdemaskuje. On jednak zamrugał tylko i podniósł wyżej świecę.

–Breda? Co ty wyprawiasz, dziewczyno? – zapytał.

Ostatni raz nazwał mnie „dziewczyną” jeszcze przed śmiercią mej matki. Włosy miał potargane, jakby sam wracał ze schadzki, jeśli jednak nawet tak było, to z pewnością nie była ona przyjemna. Przygarbiony, wydawał się tak zmęczony, że z trudem utrzymywał głowę w górze. Mężczyzna, który wywarł tak ogromne wrażenie na mej matce w czasie ich pierwszego spotkania w sali Godrica, zmienił się niemal nie do poznania.

Owinięty był w koce, lecz nogi od kolan w dół miał gołe. Czy mógł to być ten sam Sulis, zastanawiałam się, który, jak długo go znałam, ubierał się każdego dnia z taką samą starannością, z jaką wyznaczał linie ataku na polu bitwy? Poczułam się nieswojo na

widok jego bladych, bosych stóp.

–Ja... nie mogłam zasnąć, panie. Zapragnęłam zaczerpnąć świeżego powietrza.

Musnął mnie spojrzeniem, a potem zaczął bacznie wpatrywać się w cienie. Nie wyglądał

bynajmniej na zdezorientowanego, raczej na przestraszonego.

–Nie powinnaś wychodzić z komnaty o tak późnej porze. Te korytarze są pełne... – Zawahał się na moment, powstrzymując, by nie powiedzieć tego, co zamierzał. – Są pełne przeciągów – dokończył wreszcie. – Zmykaj stąd, dziewczyno.

Patrząc na niego, czułam się nieswojo. Gdy odchodziłam powoli, nie mogłam się powstrzymać i powiedziałam:

–Dobranoc, panie, i niech cię Bóg błogosławi.

Pokręcił głową, jakby zadrżał, po czym odwrócił się i ruszył przed siebie.

Kilka dni później do Wielkiej Twierdzy przyprawiono w kajdanach wiedźmę.

Dowiedziałam się o tym od Tellarina. Kiedy leżeliśmy przytuleni, zaspokoiwszy wprzód nasze żądze, odezwał się niespodziewanie:

–Lord Sulis pojmał wiedźmę.

Zaskoczyły mnie jego słowa. Nawet ja, tak mało doświadczona, wiedziałam, że nie jest to temat, jaki zwykle porusza się w łóżku.

–Jak to?

–To kobieta, która mieszka w lesie Aldheorte – powiedział, wymawiając erkyndlandzką nazwę z charakterystyczną dla niego czarującą niezdarnością. – Często przychodzi na targ do miasteczka w dole Ymstreccy, na wschód od zamku. Dobrze ją tam znają, bo leczy ziołami, usuwa kurzajki i takie tam. Tak przynajmniej twierdzi Avalles. Przypomniały mi się słowa Xanippy, które miałam przekazać ojczymowi owej nocy, kiedy zmarła moja matka. Chociaż noc była ciepła, przykryłam kocem nasze wilgotne ciała.

–Dlaczego Lord Sulis ją uwięził? – spytałam.

Tellarin pokręcił tylko głową.

–Pewnie dlatego, że jest wiedźmą i nie żyje życiem bożym. Avalles z kilkoma żołnierzami zatrzymał ją i przyprowadził tutaj dziś wieczór.

–Mało to handlujących korzeniami i zielarek chodzi po targowiskach miasteczek w okolicy jeziora? Dlaczego akurat ją uwięzili?

–Mój pan uważa, że nie jest po prostu starą, nieszkodliwą zielarką – odparł Tellarin. – Kazał ją zamknąć w jednej z najgłębszych cel pod salą tronową i zakuć w kajdany jej ręce i nogi.

Oczywiście, musiałam ją zobaczyć, wiedziona tyle ciekawością, ile troską o ojczyzna, który

zdawał się popadać w coraz większe szaleństwo.

Rano, gdy Sulis spoczywał jeszcze w swym łożu, zesłam do lochów. Kobieta była jedynym więźniem – rzadko korzystano z głębokich cel, gdyż ci, których tam wtrącano, umierali najczęściej od chłodu i wilgoci, nim odsiedzieli karę, służąc za przykład innym – a strażnik ochoczo pozwolił pasierbicy pana zamku pogapić się na wiedźmę. Wskazał ostatnie drzwi w podziemnym korytarzu.

Musiałam się wspiąć na palce, by zobaczyć cokolwiek przez zakratowany otwór w drzwiach. W korytarzu płonęła tylko jedna pochodnia, umieszczona na ścianie za moimi plecami, dlatego wiedźma niemal całkowicie pozostawała w cieniu. Tak jak powiedział Tellarin, na nadgarstkach i kostkach miała łańcuchy. Siedziała na podłodze, w końcu celi pozbawionej okien, zgarbiona, przez co wyglądała jak przemoczony jastrząb.

Kiedy patrzyłam na nią, łańcuchy zadźwięczały lekko, chociaż nie podniosła głowy.

–Czego chcesz, córeczko? – Jej głos brzmiał zaskakująco nisko.

–Lord... Lord Sulis jest moim ojczymem – bąknęłam w końcu, jakby to coś wyjaśniało.

Otworzyła gwałtownie oczy, ogromne i żółte. Już wcześniej przypominała mi drapieżnego ptaka, teraz wręcz bałam się, że podfrunie i wbije we mnie swe ostre szpony.

–Przyszłaś prosić w jego imieniu? – spytała. – Odpowiem ci to samo co jemu. Nie ma odpowiedzi na jego pytanie. Przynajmniej ja jej nie znam.

–Jakie pytanie? – zapytałam nieśmiało.

Wiedźma przyglądała mi się długą chwilę, a potem dźwignęła się na nogi. Widziałam, że z trudem tylko podniosła łańcuchy. Podeszła bliżej drzwi, szurając ciężko, aż znalazła się w plamie światła padającego z korytarza. Ciemne włosy miała obcięte krótko, jak mężczyzna. Nie była ani ładna, ani brzydka, ani wysoka, ani niska, lecz emanowała z niej jakaś moc, widoczna zwłaszcza w nieruchomych żółtych oczach, które pochwyciły i przytrzymały moje spojrzenie. Była czymś, czego nigdy wcześniej nie widziałam i czego w ogóle nie rozumiałam. Mówiła jak zwykła kobieta, ale miała w sobie dzikość podobną do grzmotu pioruna czy mignięcia spłoszonego jelenia. Stałam bezradnie w objęciach jej spojrzenia i czekałam, kiedy rzuci na mnie urok.

Wreszcie potrząsnęła głową.

–Nie chcę mieszać cię w szaleństwo twojego ojca, dziecinko.

–On nie jest moim ojcem. Ożenił się z moją matką. Jej śmiech zabrzmiał niemal jak szczeknięcie.

–Rozumiem.

Przestępowałam niepewnie z nogi na nogę, przyciskając wciąż twarz do prętów. Nie potrafiłam powiedzieć, dlaczego w ogóle z nią rozmawiałam i czego od niej chciałam.

–Dlaczego zakuli cię w kajdany?

–Bo się mnie boją.

–Jak się nazywasz?

Zmarszczyła brwi, lecz nic nie odpowiedziała, więc zapytałam raz jeszcze:

–Naprawdę jesteś wiedźmą?

Westchnęła.

–Idź już, córeczko. Jeśli nie masz nic wspólnego z szaleństwem twego ojczyma, najlepiej zrobisz, trzymając się od tego z daleka. Nie trzeba czarownicy, by zobaczyć, że nie skończy się to dobrze.

Jej słowa przestraszyły mnie, wciąż jednak nie potrafiłam oderwać się od drzwi celi.

–Chcesz czegoś? Jedzenia, picia?

Ponownie skierowała na mnie ogromne, płonące oczy.

–Ten dom jest jeszcze dziwniejszy, niż myślałam. Nie, dziecinko.

Pragnę nieba i mego lasu, ale tego ty nie możesz mi dać. Twój ojciec twierdzi, że mnie potrzebuje, więc nie pozwoli mnie zagłodzić.

Potem wiedźma odwróciła się i odeszła w głąb celi, ciągnąc łańcuchy po kamiennej podłodze. Wracałam na górę z głową pełną myśli: podnieconych myśli, smutnych myśli, przestraszonych myśli, a wszystkie one kotłowały się w niej jak ptaki w zamkniętym pokoju.

Po Marrisie nastał Avrel i nadeszły wiosenne dni, a wiedźma wciąż tkwiła w lochach mojego ojczyma. Nie dostał od niej tego, czego pragnął. Odwiedzałam ją wielokrotnie, lecz choć zawsze na swój sposób była dla mnie uprzejma, mówiła jedynie o rzeczach nieistotnych. Często prosiła, żebym opisała jej, jak tego ranka wyglądał szron na ziemi lub jakie ptaki pojawiły się na drzewie i jak śpiewały, ponieważ – zamknięta w pozbawionej okien celi wykutej w kamiennej ścianie – nie widziała i nie słyszała niczego, co działo się na świecie.

Nie wiem, co mnie do niej ciągnęło. Zdawało mi się, że wiedźma dzierży klucze do wielu tajemnic: do szaleństwa mojego ojczyma, do smutku mojej matki, a także do obaw, że podstawy mojego nowego szczęścia nie są solidne.

Wprawdzie było tak, jak mówiła, i ojczym karmił ją, nie pozwalając przy tym – wyjąwszy samo uwięzienie – by źle ją traktowano, mimo to jednak chudła z dnia na dzień, a cienie pod jej oczyma stawały się coraz głębsze. Tęskniła za wolnością i jak dzikie zwierzę uwięzione w klatce chorowała z powodu swego nieszczęścia. Serce bolało mnie, gdy patrzyłam na nią, i cierpiałam, jakby mnie samej skradziono wolność. Za każdym razem znajdowałam ją coraz bardziej osłabioną i zamkniętą w sobie, co przywodziło bolesne wspomnienia ostatnich dni mojej matki. Po każdej wizycie

zaszywałam się w miejscu, gdzie mogłam być sama, i płakałam. Nawet godziny spędzone z Tellarinem nie potrafiły złagodzić mego smutku.

Pewnie nienawidziłabym ojczyma za jej cierpienia, gdyby nie to, że i on marniał z każdym dniem jak uwięziony w lustrzanym odbiciu jej zimnej celi. Nie wiem, jakie to było pytanie, lecz – choć zacny był z niego człowiek – gnębiło Sulisa tak bardzo, że zdecydował się odebrać jej wolność. Gnębiło go tak bardzo, że choć prawie już spał, siedział do świtu pogrążony w lekturze lub pisał coś, mrużąc do siebie w dziwnym uniesieniu. Nie wiem, jakie to było pytanie, lecz obawiałam się, że on i wiedźma mogą umrzeć z jego powodu.

Jeden jedyny raz zebrałam się na odwagę i zapytałam, dlaczego uwięził wiedźmę, a on – wpatrzony ponad mą głowę w niebo, jakby przybrało nowe kolory – odpowiedział:

–Zbyt wiele tu drzwi, dziewczyno. Otwierasz jedno, potem inne i widzisz, że jesteś tam, skąd wyszłaś. Nie mogę odnaleźć drogi.

Jeśli tak brzmiała odpowiedź, to nie rozumiałam jej ani trochę.

Zaoferowałam wiedźmie śmierć, a ona w zamian dała mi przepowiednię.

Kiedy wstałam, wartownicy na murze Wewnętrznego Dziedzińca obwieszczali północną straż. Leżałam w łóżku od wielu już godzin, jednak sen nie przychodził. Owinięta w najcieplejszy płaszcz wymknęłam się na korytarz. Za drzwiami słyszałam głos ojczyma, jakby z kimś rozmawiał, co bardzo mnie zasmuciło, bo wiedziałam, że jest sam.

O tej godzinie straż na dole pełnił stary, pokurczony żołnierz, który nawet się nie poruszył, pogrążony we śnie, kiedy go mijałam. Pochodnia na ścianie prawie się wypaliła, więc w pierwszej chwili nie dostrzegłam jej w mroku celi. Chciałam ją zawołać, ale nie wiedziałam, co powiedzieć. Wydawało mi się, że czuję na sobie ciężar ogromnego, pogrążonego we śnie zamku.

Wreszcie usłyszałam brzęk łańcuchów.

–Czy to ty, córeczko?

Mówiła bardzo słabym głosem. Po chwili wstała i podeszła ciężko do drzwi. Nawet w tak słabym świetle wyglądała okropnie – jakby umierała. Położyłam dłoń na sakiewce, która

wisała na mej szyi. Odmówiwszy w duchu modlitwę, dotknęłam złotego Drzewa i powiodłam dłonią po łuku przedmiotu, który nosiłam od chwili śmierci mej matki. W następnej chwili, rozświetlonej jakby własnym blaskiem, innym niż migotanie pochodni, wyciągnęłam z sakiewki smoczy pazur i wsunęłam go między pręty.

Uniosła brwi, gdy brała go ode mnie. Delikatnie obróciła przedmiot w dłoni i uśmiechnęła się smutno.

–Zatruty pazur sowy. Bardzo rozsądne. Dla mnie czy dla moich oprawców?

Wzruszyłam bezradnie ramionami.

–Chciałaś być wolna. – Tylko tyle potrafiłam powiedzieć.

–Nie w ten sposób, córeczko – odparła. – Przynajmniej nie tym razem. Podałam się, czy też raczej zawarliśmy umowę. W zamian za wolność zgodziłam się dać twemu ojczymowi to, czego, jak mu się zdaje, pragnie. Muszę zobaczyć i poczuć niebo. – Ostrożnie oddała mi pazur.

Wpatrywałam się w nią niemal chora z żądzy poznania prawdy.

–Dlaczego nie chcesz zdradzić mi swojego imienia?

Znowu uśmiechnęła się smutno.

–Ponieważ nikt nie zna mego prawdziwego imienia, a każde inne byłoby kłamstwem.

–A zatem skłam.

–Doprawdy, dziwny to dom! Dobrze. Ludzie z Północy nazywają mnie Valada.

Wymówiłam powoli jej imię, by poczuć je na ustach.

–Valada. I teraz cię uwolni?

–Wkrótce, jeśli obie strony dotrzymają umowy.

–Na czym polega ta umowa?

–Jest zła dla wszystkich. – Zobaczyła mój wyraz twarzy. – Lepiej, żebyś nie wiedziała, naprawdę. To szaleństwo przyniesie komuś śmierć. Widzę to tak wyraźnie jak twoją twarz między prętami.

Czułam, że zamiast serca mam w piersi zimny kamień.

–Czyją śmierć?



Wydawała się coraz słabsza; domyśliłam się, że męczy ją stanie z kajdanach.

–Nie wiem. I tak powiedziałam ci za dużo, córeczko. To nie są sprawy dla ciebie.

Mogłam już tylko odejść, jeszcze bardziej przybita i zagubiona. Wiedźma będzie wolna, lecz ktoś inny umrze. Nie wątpiłam w jej słowa – nie wątpiłby nikt, kto zobaczyłby przenikliwe spojrzenie jej smutnych oczu. Gdy wracałam do komnaty, korytarze Wewnętrznego Dziedzińca wydawały mi się zupełnie nowym miejscem, dziwnym i nieznanym.

Uczucie, jakie żywiłam dla Tellarina, wciąż było zdumiewająco silne, ale po tym, jak usłyszałam przepowiednię wiedźmy, dręczył mnie smutek i niepokój, dlatego też nasza miłość przypominała bardziej kominek, dzięki któremu zimny pokój staje się przytulniejszy, niż słońce, które ogrzewa wszystko – jak to było wcześniej.

Chłód w moim sercu zmienił się w przenikliwe zimno najmroźniejszej z zim, gdy podsłuchiłam Tellarina i Avallesa. Rozmawiali o tajemniczym zadaniu, które wyznaczył im Lord Sulis, a które miało coś wspólnego z wiedźmą. Nie mogłam się zorientować,

w czym rzecz, gdyż nawet mój ukochany i jego przyjaciel nie znali do końca planów Sulisa, a ponadto słowa były przeznaczone tylko dla nich. Domyślałam się, że ojczym wyczytał w swoich księgach, iż zbliża się czas czegoś ważnego. Należało rozpalić lub odnaleźć jakiś ogień. Mieli odbyć niedługą podróż nocą, choć nie powiedzieli – a może sami jeszcze nie wiedzieli – kiedy dokładnie. Obaj byli wyraźnie zaniepokojeni.

Już wcześniej bałam się, wiedząc, że największe niebezpieczeństwo grozi mojemu biednemu, otumanionemu ojczymowi, teraz jednak wprost umierałam ze strachu. Ledwo trzymałam się na nogach przez resztę dnia, nie mogąc pozbyć się myśli, że coś złego może się również przytrafić Tellarinowi. Tyle razy gubiłam paciorki podczas wyszywania, że w końcu Ulca zabrała mi robótkę. Gdy nadeszła noc, długo nie mogłam zasnąć, a kiedy wreszcie zapadłam w sen, obudziłam się zdyszana i drżąca: w moim śnie Tellarin płonął w ogniu, a ja nie potrafiłam mu pomóc.

Całą noc przewracałam się z boku na bok. Jak mogłabym obronić ukochanego? Ostrzeżenie na nic by się nie zdało. Był uparty, poza tym wierzył głównie w rzeczy, które mógł dotknąć, więc nie przejąłby się słowami wiedźmy. A gdyby nawet mi uwierzył? Miałby odmówić wykonania rozkazu Lorda Sulisa z powodu ostrzeżenia, jakie otrzymał ode mnie, potajemnej kochanki? Nie, nie potrafiłabym przekonać Tellarina, żeby tam nie szedł; o lojalności wobec swojego pana mówił prawie tak często jak o swoich uczuciach dla mnie.

Umierałam ze strachu i z ciekawości. Co planował mój ojczym? Co takiego wyczytał w swych księgach, że postanowił ryzykować nie tylko własne, lecz również życie mojego ukochanego?

Nie mogłam liczyć na to, że któryś z nich powie mi cokolwiek. Co do tego nie miałam wątpliwości. Nawet wiedźma stwierdziła, że nie jest to sprawa dla mnie. Jeśli chciałam się

czegoś dowiedzieć, mogłam liczyć tylko na siebie.

Postanowiłam zobaczyć księgi ojczyma, te, które chował przede mną i wszystkimi innymi. Kiedyś byłoby to niemożliwa, teraz jednak – ponieważ całymi nocami czytał i pisał, mówiąc do siebie – mogłam być pewna, że gdy już wreszcie zaśnie, będzie spał jak zabity.

Następnego dnia, wczesnym rankiem, zakradłam się do jego komnaty. Dawno już odesłał wszystkich służących, a nikt nie ośmielał się pukać do jego drzwi, jeśli nie został wezwany. Tak więc byliśmy sami.

Leżał rozciągnięty, z głową zwisającą do tyłu z prostego łóżka. Gdybym nie wiedziała, jak surowe prowadził życie, pomyślałabym, że upił się na umór, gdyż charczał okrutnie, jego przykrycie zaś było w wielkim nieładzie, ale przecież wiedziałam, że Sulis niezwykle rzadko sięgał po puchar.

Klucz do zamkniętych skrzyń nosił na szyi. Kiedy wyciągałam mu go ostrożnie spod koszuli, mimowolnie zauważyłam, że pogrążony we śnie wydaje się o wiele szczęśliwszy. Jego czoło nie było już tak pobrużdżone jak za dnia, a szczęki zaciśnięte w typowym grymasie roztargnienia. Choć nie mogłam zapomnieć o tym, co zrobił Valadzie, w tamtej chwili szczerze mu współczułam. Bez względu na to, jakie szaleństwo ogarnęło go ostatnimi czasy, onegdaj był na swój sposób miłym człowiekiem.

Poruszył się, wydając nieokreślony dźwięk. Z bijącym mocno sercem szybko przełożyłam nad jego głowę klucz z taśmą.

Odnalazszy drewniane skrzynie, otworzyłam je i wyciągnęłam zakazane księgi ojczyma, po czym zaczęłam kartkować kolejne tomy, nasłuchując jego oddechu. Większość woluminów napisano w językach, których nie znałam, w dwóch czy trzech zaś nie rozpoznałam nawet rodzaju liter. Te zrozumiałe dla mnie zawierały baśniowe opowieści albo historie dotyczące Wielkiej Twierdzy z czasów, gdy mieszkali tam Ludzie z Północy.

Upłynęła już niemal godzina, gdy natrafiłam na luźno oprawioną księgę zatytułowaną *Pisma Vargellisa Sulisa, Siódmego Lorda Honsa Sulis, Obecnie Głowy Rodu Sulisów na Wygnaniu*. Pierwsze jej strony wypełniały ciasno kolejne linijki starannego pisma mojego ojczyma, później jednak litery były coraz większe i coraz mniej kształtne, te na ostatnich stronach przypominały zaś dziecięce próby nauki pisania.

W pewnym momencie przestraszył mnie odgłos z łóżka, lecz szybko zorientowałam się, że ojczym chrząknął tylko, przewracając się na bok. Przebiegałam wzrokiem zapiski tak szybko, jak tylko mogłam.

Obejmowały ostatni okres jego życia – najwcześniejsze daty pochodziły z pierwszego roku naszego pobytu w Wielkiej Twierdzy. Znaczną część kronik zajmowały opisy kolejnych zadań związanych z odbudową zamku, a także ważnych wyroków, jakie wydał Sulis, pan twierdzy i podległych mu ziem. Tom zawierał także inne zapiski, bardziej osobistej natury,

lecz te były lakoniczne. Owego strasznego dnia, prawie przed trzema laty, zanotował tylko: „Cynethrith Zmarła na Gorączkę Płucną. Zostanie Pochowana na Cyplu”.

Moje imię wymienił tylko raz w jednym zdaniu zapisanym kilka miesięcy wcześniej: „Breda szczęśliwa Dzisiaj”. Poczułam dziwny smutek, przeczytawszy, że mój ponury ojczym zauważył to i odnotował.

Dalsze strony nie wspominały już prawie o sprawach związanych z domem czy zarządzaniem, gdyż Sulis stracił dla nich zainteresowanie. Za to coraz więcej jego zapisków dotyczyło chyba rzeczy, o których dowiedział się ze swoich ksiąg. W pewnym miejscu przeczytałam: „Plesinnen twierdzi, że Śmiertelność zostaje strawiona w Bogu,

tak jak Ogień trawi Konar czy Gałąź. Jak więc...” Dalsza część tekstu została zamazana, tak że mogłam odczytać tylko pojedyncze słowa, jak „gwoździe”, a potem „Święte Drzewo”. Inna z jego notatek zawierała listę „Przejsć”, które odnalazł ktoś o imieniu Nisses; każde z nich było opatrzone krótkim komentarzem, który mi niczego nie wyjaśniał. „Zmienił miejsce”, napisał w jednym miejscu drżącą ręką mój ojczym. Gdzie indziej zaś „z Czasów, gdy Nikt nie Przebywał” albo „Spotkał Mroczną Istotę”.

Dopiero na dwóch ostatnich stronach znalazłam słowa dotyczące kobiety uwięzionej w celi pod salą tronową.

„Wreszcie Zapiśałem Słowa kobiety o imieniu Valada. Nikt inny spośród Żyjących na Północ od Perdruin nie posiada Wiedzy na temat Czarnego Ognia. Musi Powiedzieć mi Wszystko, co wie”. Poniżej, kilka dni później, zapisał jeszcze bardziej drżącą ręką: „Wiedźma wykręca się, ale ja nie mogę pozwolić sobie na kolejne niepowodzenie, jak w Wigilię Elysiamansy. Noc Kamienowania będzie jeszcze raz Czasem Głośnych Głosów pod Twierdzą. Ściany będą cienkie. Pokaże mi Drogę Czarnego Ognia albo nie ma innej Nadziei. Albo ona mi odpowie, albo Śmierć”.

Odłożyłam księgę, usiłując zrozumieć cokolwiek z tego, co przeczytałam. Bez względu na to, co zamierzał mój ojczym, miało się to stać niebawem: Noc Kamienowania, ostatnia noc Avrel wypadła za kilka zaledwie dni. Na podstawie zapisków nie potrafiłam odgadnąć, czy wiedźmie wciąż groziło niebezpieczeństwo – czy zamierzał ją zabić, gdyby się jej nie udało, czy też gdyby próbowała go oszukać – ale nie miałam wątpliwości, że poszukiwania tego, co zwano Czarnym Ogniem, sprowadzą niebezpieczeństwo na wszystkich, a co najważniejsze i najbardziej przerażające – na mojego żołnierza, Tellarina. Mój ojczym raz jeszcze poruszył się niespokojnie we śnie i jęknął. Schowałam jego książki i wymknęłam się na korytarz.

Przez cały dzień czułam niepokój i podniecenie, tym razem jednak nie było to podniecenie podsycane miłością. Bałam się bardzo o mojego kochanka, martwiłam się o mojego ojczyma i o wiedźmę Valadę, ale przecieź nie mogłam wyjawic ani tego, co wiedziałam, ani tego, jak to odkryłam. Po raz pierwszy od dnia, kiedy pocałował mnie mój żołnierz, czułam

się samotna. Posiadłam tajemnice, lecz w przeciwieństwie do Sulisa nie miałam nawet księgi, której mogłabym je powierzyć.

Pójdę za nimi, zdecydowałam ostatecznie. Pójdę za nimi do miejsca, o którym wspominał mój ojczym, do miejsca, gdzie ściany są cienkie, a głosy mocne. Będę wypatrywała niebezpieczeństwa, kiedy oni zajmą się poszukiwaniami Czarnego Ognia. Ochronię ich wszystkich. Będę ich aniołem.

Wreszcie nadeszła Noc Kamienowania.

Nawet gdybym nie poznała zapisków ojczyma, i tak pewnie bym się domyśliła, że

nadszedł czas poszukiwań Czarnego Ognia, gdyż Tellarin stał się bardzo niespokojny. Oczywiście niczego mi nie powiedział, kiedy leżeliśmy obok siebie w mojej komnacie, lecz czułam, że z niepokojem oczekuje wydarzeń tej nocy. Jednak nie miał wyjścia, nie mógł zapomnieć o więzach krwi i honoru.

Żachnął się, kiedy pocałowałam go w ucho i zanurzyłam dłoń w jego włosach.

–Mężczyzna musi mieć trochę spokoju, dziewczyno.

–Dlaczego ty masz być mężczyzną, a ja dziewczyną? – drażniłam się z nim, udając rozbawienie, chociaż wcale nie było mi wesoło. – Czy dzieli nas aż taka różnica wieku? I czy nie oddałam ci już tego, co czyni mnie kobietą?

Mój żołnierz był zbyt zniecierpliwiony, by usłyszeć choć nutę uczucia w mych słowach.

–Dzieckiem jest każdy, kto nie potrafi przestać, kiedy go o to proszą. A mężczyzną jestem dlatego, że noszę insygnia żołnierskie i muszę oddać życie, jeśli zechce tego mój pan.

Tellarin był starszy ode mnie o pięć lat i wtedy ta różnica wieku imponowała mi niemal tak bardzo jak jemu, teraz jednak uważam, że wszyscy mężczyźni są młodszy od swych kobiet, szczególnie gdy urażony zostanie ich honor.

Kiedy tak leżał, wpatrzony w sufit, wyraz złości na jego obliczu zmienił się w powagę, a ja wiedziałam, że myśli o tym, co miał zrobić tej nocy. Ja także się bałam, więc znów go pocałowałam, tym razem delikatnie, i przeprosiłam.

Gdy wyszedł, maskując wymówkami prawdziwe powody, ja również przygotowałam się do podróży. Już wcześniej ukryłam mój najcieplejszy płaszcz oraz sześć grubych świec; schowałam je w miejscu, w którym nie mogła ich znaleźć ani Ulca, ani inne służące. Gotowa do wyjścia, dotknęłam złotego Drzewa matki, które spoczywało na mej piersi, i odmówiłam modlitwę za bezpieczeństwo wszystkich, którzy pójdą ze mną w ciemność.

Noc Kamienowania – ostatnia noc Avrela, wigilia pierwszego dnia miesiąca Maia, czarne

godziny, kiedy to, jak głoszą legendy, duchy wędrują, dopóki nie zapędzi ich z powrotem do grobu świt i pianie koguta. Cisza spowijała Wielką Twierdzę, gdy wyruszyłam w ciemności za ukochanym i pozostałymi. Wydawało się, że zamek nie tyle śpi, ile wstrzymał oddech i czeka.

Pod Wieżą Anioła są schody i tam właśnie się udali. Dowiedziałam się o tym dopiero tamtej nocy, kiedy nasłuchiwałam, otulona moim ciemnym płaszczem, stojąc w cieniu muru naprzeciw wieży. Było ich czworo: mój ojczym, Tellarin, jego przyjaciel Avalles i kobieta zwana Valadą. Mimo umowy ramiona wiedźmy pozostały skrępowane. Bardzo jej współczułam, widząc ją związaną jak zwierzę.

Robotnicy, którzy remontowali wieżę, położyli drewnianą podłogę na pokruszoną starą posadzkę – może dlatego, by nikt nie wpadł do jednej z wielu dziur, jakie pozostały, a może dlatego, by zasłonić wszystkie przejścia do najgłębszych części zamku. Niektórzy proponowali nawet, żeby zamurować całą starą podłogę, tak by nic nigdy nie mąciło snu bogobojnych ludzi.

Właśnie z powodu tej drewnianej podłogi musiałam czekać długo, nim ruszyłam za nimi przez zewnętrzny portal, wiedziałam bowiem, że upłynie trochę czasu, zanim usuną deski. Przyczajona w cieniu, pod ścianą wieży, rozmyślałam o postaci Anioła, którego stawiono na jej szczycie; był czarny od brudu stuleci, którego nie mógł zmyć żaden deszcz, i przechylony tak, jakby miał spaść za chwilę. Kim był? Jednym z błogosławionych świętych? Czy miał to być znak, że strzeże mnie tak, jak ja zamierzałam czuwać nad Tellarinem i pozostałymi? Spojrzałam w górę, ale szczyt wieży tonął w ciemnościach.

Wreszcie odważyłam się nacisnąć klamkę i przekonałam się, że drzwi wieży nie są zaryglowane. Miałam nadzieję, że znaczy to, iż Anioł rzeczywiście czuwa nade mną.

W wieży panował nieprzenikniony mrok, więc jeszcze na progu zapaliłam pierwszą świecę od hubki, która zdążyła się już niemal wypalić. Odgłos mych kroków w kamiennym korytarzu wydał mi się przerażająco głośny, lecz nie sprowadził nikogo, kto dopytywałby się o cel mojej wizyty w tym miejscu. Nie słyszałam odgłosów ojczyma ani pozostałych.

Zatrzymałam się na moment przed ogromnymi schodami, które pięły się w górę, zastanawiając się, co znajdą robotnicy, gdy odrzucą wszystkie gruzy i dotrą na szczyt – prace do dziś nie zostały ukończone, a myśl ta wciąż nie daje mi spokoju. Pewnie zabraknie mi życia, by się o tym przekonać. Czy odkryją skarby zostawione przez baśniowe istoty? A może tylko ich kruche kości?

Nawet gdyby nie zdarzenia tamtej nocy, Wieża Anioła stałaby się nieodłączną częścią moich myśli tak samo, jak trwa nieustannie nad wielką twierdzą i leżącymi w jej cieniu ziemiami. Myślę, że żaden śmiertelnik nie pozna wszystkich jej tajemnic.

Kiedyś, dawno temu, śniło mi się, że ojczym kazał mi oczyścić Anioła, a ja mimo wysiłków

nie potrafiłam zeszkrobać błota z jego twarzy i członków. Potem powiedział mi, że to nie moja wina i że Bóg dałby mi siły, gdyby rzeczywiście chciał odstąpić oblicze Anioła, a jednak płakałam długo, niepokieszona.

Z holu weszłam do miejsca, w którym podłoga odpadła wielkimi płatami. Zastanawiałam się, co mogło roztrzaskać kamienne płyty, nie burząc przy tym całej wieży. Droga, którą podążyli mój ojczym i ukochany, nie była łatwa, dlatego szłam bardzo ostrożnie przez gruzy, pochylając się i trzymając przed sobą świecę. Żałowałam,

nie po raz ostatni zresztą, że wybrałam się w miękkich pantoflach. Schodząc coraz niżej, poraniłam stopy i podarłam w kilku miejscach suknię, w końcu jednak dotarłam do rumowiska mniejszych kamieni, które kiedyś były podłogą, przynajmniej pół tuzina mojej wysokości poniżej poziomu Wewnętrznego Dziedzińca. Na środku tego pola usianego drobnymi odłamkami widniała ogromna czarna dziura większa od pozostałych i podobna do otwartej paszczy, która czekała, żeby mnie połknąć. Zbliżywszy się do jej krawędzi, usłyszałam płynące z głębi głosy, które, jak przypuszczałam, musiały należeć do Sulisa i pozostałych, chociaż brzmiały dziwnie. Zobaczyłam odgarnięte kamienie i wejście na ginące w cieniu schody podobne do lśniących, białych ust ze stopniami w środku. Z dołu dobiegł śmiech. Nie był to głos kogoś, kogo znałam.

Mimo przeżyć poprzednich dni nigdy wcześniej tak się nie bałam, wiedziałam jednak, że w ciemnościach na dole jest mój Tellarin. Zrobiłam znak Drzewa na piersi i weszłam na schody.

Początkowo nigdzie ich nie widziałam.

W blasku świecy zejście jeszcze bardziej przypominało mroczną gardziel, która czekała, żeby mnie połknąć, lecz strach nie mógł mnie oddzielić od mojego ukochanego, wręcz przeciwnie – dodawał szybkości moim krokom. Schodziłam szybko na dół, aż w końcu wydało się, że zeszałam pod zamek tak samo nisko, jak wysoko nad nim wznosiła się Wieża Anioła – a mimo to wciąż ich nie widziałam.

Cały czas słyszałam nieznane mi głosy i nie wiedziałam, czy to złudzenie, czy może wiatr, który, jak mówią, nieustannie penetruje pieczary klifów Kingslake. Niektóre zdawały się rozbrzmiewać tak blisko, że – byłam pewna – gdyby nie świeca, mogłabym wyciągnąć rękę i dotknąć osoby, która do mnie szeptała, a jednak nie widziałam nikogo w migocącym świetle. Głosy mamrotały coś niewyraźnie, a czasem śpiewały w miękkim i smutnym języku, którego nie rozumiałam ani nawet nie rozpoznawałam.

Wiedziałam, że powinnam zawrócić i popędzić z powrotem w blask księżyca, na świeże powietrze, lecz chociaż pozbawione ciało szepty napełniały mnie przerażeniem, nie wyczuwałam w nich wrogości. Jeśli były to duchy, nie wiedziały chyba nawet, że tam jestem.

Zupełnie jakby zamek mówił do siebie albo siedzący przed kominkiem starzec wspominał przeszłość.

Schody skończyły się szerokim podestem; na obu jego końcach widniały otwarte wejścia. Patrząc na nie, mimowolnie pomyślałam o przejściach z ksiąg mego ojczyma. Niezdecydowana, którą wybrać drogę, przyjrzałam się płaskorzeźbom w kształcie delikatnych winorośli i kwiatów, jakich nigdy wcześniej nie widziałam. Nad jednymi z drzwi słowik przysiadł na gałęzi drzewa. Inne drzewo rozpościerało swój konar nad

kolejnym wejściem, czy raczej, jak się zorientowałam, poruszywszy świecą, były to konary tego samego drzewa wyrzeźbione dokładnie nade mną, na suficie, co sprawiało wrażenie, że to ja jestem jego pniem. Gałąź nad drugim z wejść oplótł smukły wąż. Zadrżałam i ruszyłam w stronę drzwi ze słowikiem, lecz w tym momencie usłyszałam słowa dobiegające z ciemności.

–...jeśli mnie okłamałaś. Jestem cierpliwy, ale...

Nie miałam wątpliwości, że to mój ojczym. Nawet gdybym nie rozpoznała jego cichego głosu, domyśliłabym się tego z jego słów, bo zawsze tak mówił. Powiedział prawdę – rzeczywiście był cierpliwy. Przypominał jeden z kamieni ułożonych w krąg na szczycie wzgórza; twarde, chłodne i nieruchome, potrzebowały ciepła całego lata, żeby się rozgrzać. Czasem czułam, że miałabym ochotę złamać kij na jego karku, byleby tylko odwrócił się i naprawdę spojrzał na mnie.

Sądziłam, że zdarzyło się to tylko raz, owego dnia, kiedy powiedział mi, że zabrali mu wszystko. Potem dowiedziałam się, że spojrzał na mnie jeszcze kiedyś; może dostrzegł mój uśmiech tamtego dnia, gdy mój kochanek wręczył mi podarek albo pocałował, i zapisał w swojej księdze „Breda szczęśliwa Dzisiaj”.

Słowa mego ojczyma dochodziły z drugich drzwi. Zapaliłam kolejną świecę od pierwszej, z której niemal nic już nie zostało, i podążyłam za głosem Sulisa przez wejście ozdobione wężem.

Wciąż szłam w dół, coraz niżej i niżej. Zdawało mi się, że ta podróż trwa długie godziny, gdy przemierzałam opuszczone korytarze, które wiły się niczym nić z rozprutego worka. W blasku świecy widziałam kamień, który, jak wiedziałam, był bardzo stary, a mimo to wydawał się jaśniejszy i młodszy od tych na górze. W niektórych miejscach wejścia z korytarza prowadziły do zawałonych gruzem komnat, które bez wątpienia musiały być równie ogromne i równie wysokie jak najwyższe komnaty w Nabbanie, o jakich słyszałam. Widoczne dokoła rzeźby były tak delikatne i precyzyjne, że można by je wziąć za prawdziwe ptaki, rośliny i drzewa zamienione w kamień magicznymi zaklęciami, które tak często pojawiały się w opowieściach mej matki i Ulki.

Zdumiewała mnie myśl, że cały ten świat spoczywał w swoim grobowcu pod nami tak

długo, jak długo mieszkaliśmy w Wielkiej Twierdzy i jeszcze pokolenia wcześniej. Wiedziałam, że patrzę na pradawny dom czarodziejskiego ludu. Choć słyszałam wiele opowieści i na własne oczy oglądałam wieżę, nie wyobrażałam sobie wcześniej, co potrafili robić z kamieniem; w jednym miejscu burzył się jak wodna piana albo migotał jak lód, w innym wyginał się łukiem, imitując najcieńsze gałązki wierzby. Czy rzeczywiście Ludzie z Północy zabili ich wszystkich? Po raz pierwszy rozumiałam, co to oznacza, i przeraziłam się jeszcze bardziej. Ci, którzy stworzyli całe to piękno, zostali

wymordowani, a ich dom zajęty przez morderców – nic dziwnego, że w ciemności słychać było tyle niespokojnych głosów. Nic dziwnego, że cień smutku padał na każdego, kto mieszkał w Wielkiej Twierdzy. Zamek z naszych dni stanął na fundamentach popełnionego dawno morderstwa. Zbudowano go na śmierci.

Myśl ta nie dawała mi spokoju. Połączyła się w moim umyśle ze wspomnieniem nieobecnego spojrzenia mojego ojczyma i skutej łańcuchami wiedzy. Wiedziałam, że dobro nie może pochodzić od zła. Nie bez ofiary. Nie bez krwi i pokuty.

Coraz bardziej się bałam.

Może i tak było, że Miłujący Pokój odeszli, ale ich wielki dom pozostał żywy.

Podążając nieustannie w dół odcisniętymi w pyle stuleci śladami ojczyma i jego towarzyszy, zorientowałam się nagle, że wybrałam złą drogę. Korytarz zakończył się stosem kamieni, a gdy wróciłam do ostatniej poprzecznej odnogi, nie mogłam nigdzie znaleźć śladów stóp. Także samo miejsce wydało mi się obce, jakby ruiny się przesunęły. Zamknęłam oczy w nadziei, że usłyszę głos Tellarina, który, byłam pewna, moje serce usłyszy przez wszystkie mury Erkynlandu. Jednak doszedł mnie szept duchów, który niósł się jak jesienny wietrzyk, pełen szelestów i westchnień.

Zgubiłam się.

Po raz pierwszy zdałam sobie jasno sprawę z tego, jak głupio postąpiłam. Znalazłam się w miejscu, w którym nie powinnam się znaleźć. Nikt nie wiedział, że tam jestem, i gdy wypali się ostatnia świeca, nigdy nie wyjdę z ciemności.

Otarłam łzy. Płaczem nie odzyskałam ni ojca, ni matki. Teraz też w niczym mi nie pomoże.

Próbowałam odnaleźć drogę powrotną, lecz głosy tańczyły dokoła mnie niczym śpiew niewidzialnych ptaków i niebawem zorientowałam się, że błędzę bez celu. Otumaniona szeptami w mej głowie i skaczącymi cieniami dwukrotnie omal nie wpadłam w ogromne dziury w podłodze. Kopnięciem strąciłam kamień do jednej z nich, lecz spadał tak długo, że nie miałam już odwagi nasłuchiwać.

Wydawało mi się, że ciemność zamyka się wokół mnie coraz szczelniej, że już nigdy chyba nie wyjdę z niej i dołączę do szepczącego chóru, lecz szczęśliwym trafem, przypadkiem czy



zrządzeniem losu skręciłam w korytarz, którego wcześniej nie widziałam, i znalazłam się u szczytu kolejnych schodów. Z ciemności w dole płynął głos wiedźmy Valady.

–...ani armii, ani domowników, którym mógłbyś rozkazywać, Lordzie Sulisie. Ci, którzy tu mieszkali, nie żyją, ale żyje ich dom. Musisz wziąć to, co dostaniesz...

Zdawało mi się, że wiedźma poznała moje myśli. Zadrżałam, usłyszawszy me przeczucia, lecz pospieszyłam w kierunku głosu, bojąc się, że lada chwila ucichnie

i nigdy go już nie usłyszę.

Wydawało się, że minęła kolejna godzina, choć tak długo już błądziłam w niespokojnej ciemności, że trudno było cokolwiek powiedzieć. Nawet ukochany i pozostali przypominali duchy unoszące się przede mną jak nasiona mniszka, wciąż poza moim zasięgiem.

Schody nieprzerwanie opadały niczym kręgi spirali. Nim wypaliła się trzecia i czwarta świeca, zdołałam dostrzec ogromne przestrzenie, które mijaliśmy poziom po poziomie, jakby to była pielgrzymka po kolejnych sferach Niebios. Czasem, gdy świece zamigotały na drewnianej podstawie, myślałam, że widzę coś więcej. Zdawało mi się, że ruiny ożywają. Na krótkie chwile głosy stawały się wyraźniejsze, a cienie jakby przybierały konkretne kształty. Gdy przymykałam oczy, widziałam niemal jasne, roześmiane postacie.

Dlaczego Ludzie z Północy zniszczyli coś tak pięknego? I jak to możliwe, że lud, który zbudował takie miejsce, został pokonany przez śmiertelników, choćby nie wiem jak okrutnych i spragnionych krwi? W ciemności przede mną zakwitło czerwono-żółte światło, a gładkie kamienne schody zdawały się drżeć w jego blasku. Przez moment myślałam, że to raz jeszcze moja wyobraźnia, potem jednak usłyszałam mego ukochanego z tak bliska, że wydawało mi się, iż moglibyśmy się pocałować, gdybyśmy tego chcieli.

–Nie ufaj jej, panie – powiedział Tellarin wyraźnie przestraszonym głosem. – Znowu kłamie.

Niezmiernie uradowana, lecz nagle znów ostrożna zasłoniłam dłonią płomień świecy i najciszej jak potrafiłam ruszyłam szybko w dół schodami. Kiedy głosy stały się wyraźniejsze i przekonałam się, że to światło ich pochodni, zgasłam świecę. Choć bardzo się ucieszyłam, że ich odnalazłam, wiedziałam, że nie byłiby zachwyceni.

Podkrađłam się bliżej światła, wciąż jednak nie widziałam Tellarina i pozostałych, gdyż coś na kształt chmury dymu zasłaniało mi widok. Zobaczyłam cztery kształty dopiero wtedy, gdy zeszłam na sam dół i stanęłam na podłodze ogromnej komnaty.

Sala, na środku której stali, była tak ogromna, że nawet światło pochodni mego kochanka i Avallesa nie docierało do jej najwyższych kątów. Przed nimi wznosiło się coś, co wzięłam za obłok dymu. Wciąż nie widziałam wyraźnie, co to, chociaż pochodnie płonęły w odległości ramienia, teraz jednak wyglądało to jak ogromne drzewo o czarnym pniu i liściach. W głębokim cieniu widać było tylko jego kontury, zupełnie jakby spowijał je ciemny całun

podobny do mgły, która zakrywa wzgórze w zimowy poranek. Ale wiedziałam, że to nie mgła. To była czysta Ciemność.

–Musisz się zdecydować, czy będziesz słuchał mnie czy młodego żołnierza –

powiedziała wiedźma do mojego ojczyma. – Mówię ci raz jeszcze: jeśli zetniesz choćby liść, zostaniesz naznaczony piętnem niszczyciela i nie wyjdzie ci to na dobre. Nie czujesz tego?

–Moim zdaniem, Tellarin ma rację – oświadczył Avalles, lecz powiedział to bez przekonania.  
– Ona chce nas oszukać.

Ojczym spojrzał na wiedźmę.

–Po co nas tu przywiodłaś, skoro nie możemy zabrać drewna? – zapytał ją powoli, jakby mówienie kosztowało go wiele wysiłku.

W odpowiedzi Valady wyczułam gorzki uśmiech.

–Więziłeś mnie w wilgotnym, kamiennym lochu przez dwa księżyce, domagając się odpowiedzi na swe szalone pytania. Po coś mnie tu ciągnął, skoro nie wierzysz w me słowa?

–Ale drewno...?

–Nie mówiłam, że nie możesz zabrać niczego na spalenie. Powiedziałam tylko, że byłbyś głupcem, gdybyś przyłożył ostrze noża albo siekiery do pnia Wielkiego Magicznego Drzewa. Pod nim leżą jednak obłamane gałęzie, jeśli masz dość odwagi, żeby ich poszukać.

Sulis zwrócił się do Avallesa:

–Idź, bratanku, i zbierz trochę drewna.

Młody rycerz zawahał się, lecz po chwili wręczył pochodnię mojemu ojczymowi i podszedł nieco niepewnie do ogromnego, ciemnego drzewa. Schylony, wszedł pod gałęzie i natychmiast zniknął. Chwilę później wynurzył się.

–Ciemno... nic nie widzę – powiedział, dysząc ciężko. Oczy miał szeroko otwarte. – Tam coś jest, jakby zwierzę. Czuję... czuję, jak oddycha. Tellarin ma lepsze oczy.

Nie! – chciałam krzyknąć. Drzewo czekało spowite mrokiem, którego nie potrafił przeniknąć blask żadnej pochodni. Zamierzałam już wybiec z kryjówki i błagać ukochanego, by nie zbliżał się do niego, wtedy jednak Lord Sulis, jakby usłyszał mój bezgłośny krzyk, zaklął i oddał pochodnię Avallesowi.

–Na Pelippę i jej puchar! – rzucił. – Sam to zrobię.

Zanim jeszcze zdążył ruszyć ku gałęziom, wydało mi się, że usłyszałam szept liści, choć nie czułam wiatru. Delikatny szelest wzmógł się, może dlatego, że ojczym przeciskał się przez gęste konary. Mijały długie chwile, a szelest jeszcze bardziej się wzmagał. Wreszcie Sulis, chwiejąc się, wynurzył się spod drzewa, a w obu rękach trzymał coś, co przypominało długi cień. Tellarin i Avalles podskoczyli, żeby mu pomóc, lecz powstrzymał ich, potrząsając głową, jakby otrzymał cios. Nawet w tak ciemnej komnacie widziałam, że bardzo zbladł.

–Mówiłaś prawdę, Valado – powiedział. – Żadnego noża ani siekiery.

Potem kazał Avallesowi i Tellarinowi ułożyć krąg z kamieni. Pośrodku złożył skrzyżowane kawałki drewna, które wyniósł spod drzewa, i podpalił je. Kiedy ożył dziwny płomień czarodziejskiego drewna, w komnacie jakby pociemniało – wydawało się, że ognisko nachyliło ku sobie płomienie pochodni i wessało ich blask. Ogień skoczył wyżej.

Szelest ucichł. Wszystko pogrążyło się w ciszy, nawet płomień. Z bijącym sercem podeszłam bliżej, zapominając prawie, że powinnam się schować. Rzeczywiście, widziałam Czarny Ogień, który płonął teraz w tym zagubionym miejscu, ogień, który palił się jak każdy inny, a jednak jego płomienie były ranami zadanymi samej materii świata – były to dziury tak ciemne i puste jak bezgwiazdne niebo.

Trudno uwierzyć, ale to właśnie ujrzałam. Patrzyłam przez płomień Czarnego Ognia, lecz nie widziałam rzeczy po drugiej stronie ogniska. Spoglądałam gdzie indziej, w nicość, jak myślałam z początku, niebawem jednak kształt i barwy wynurzyły się nad ogień, jakby coś wywróciło powietrze na drugą stronę.

W ogniu ukazała się twarz. Musiałam zebrać wszystkie siły, żeby powstrzymać krzyk.

Nigdy wcześniej nie widziałam nikogo, kto przypominałby tę postać otoczoną czarnymi płomieniami. Rysy jej twarzy były jakoś zniekształcone, broda zbyt wąska, ogromne oczy skierowane w kącikach ku górze. Mimo że włosy miał długie i siwe, nie wyglądał staro. Był nagi od pasa w górę, a jego bladą, połyskującą skórę pokrywały straszliwe blizny, lecz choć spoczywał w płomieniach, pochodziły raczej z przeszłości.

Czarny Ogień pozbawiał kształtu nawet ciemność. Wszystko dokoła niego pochyliło się, jakby powłoka świata zadrżała, naciągnięta niczym odbicie na wodnej bańce.

Człowiek z płomieni zdawał się drzemać w ogniu, lecz był to sen straszny, niespokojny. Wił się, wznosząc dłonie ku twarzy, jakby bronił się przed okropnym atakiem. Kiedy wreszcie otworzył oczy, były nieprzeniknione jak sama ciemność i patrzyły na rzeczy, których nie widziałam, na cienie gdzieś daleko za ogniem. Jego usta wykrzywił grymas niemego, przeraźliwego krzyku, więc choć bałam się okropnie tej obcej mi istoty, na widok jej cierpienia poczułam głęboki smutek. Jeśli wciąż żył, dlaczego płomienie nie strawiły jeszcze jego ciała? A jeśli był duchem, dlaczego śmierć nie położyła kresu jego cierpieniom?

Tellarin i Avalles, obaj przerażeni, odsunęli się od ognia. Avalles zrobił znak Drzewa.

Mój ojczym zwrócił się do Valady, wpatrzony w twarz człowieka z płomieni:

–Dlaczego nie przemówił do nas? Zrób coś!

Wiedźma roześmiała się piskliwie.

–Lordzie Sulisie, pragnąłeś spotkać jednego z Sithów, jednego z Miłujących Pokój. Pragnąłeś odnaleźć przejście, ale niektóre z nich nie wiedzą gdzie indziej, lecz do kiedy indziej. Czarny Ogień znalazł ci jednego z Sithów. On śpi, ale słyszy cię poprzez wieki. Mów do niego! Ja dotrzymałam obietnicy.

Wyraźnie poruszony, Sulis przemówił do człowieka z ognia.

–Rozumiesz mnie?! – zawołał.

Człowiek z płomieni wygiął ciało, ale teraz jego ciemne, pozbawione spojrzenia oczy zwróciły się w stronę mego ojczyma.

–Kto tam jest? – zapytał, a ja usłyszałam ten głos bardziej w mojej głowie niż w komnacie. – Kto chodzi Ścieżką Snów? – Zjawa uniosła dłoń, jakby potrafiła sięgnąć poprzez wieki i dotknąć nas. Na moment wyraz zdziwienia zastąpił grymas bólu na jego dziwnej twarzy. – Śmiertelnicy! Dlaczego przychodzicie do mnie? Dlaczego burzycie sen Hakatriego z rodu Tańczącego Roku?

–Jestem Sulis. – Drżący głos ojczyma postarzał go bardzo w tej chwili. – Niektórzy nazywają mnie Apostatą. Poświęciłem wszystko, co mam, wiele lat spędziłem na studiach, by zadać pytanie, na które może odpowiedzieć tylko jeden z Miłujących Pokój. Pomożesz mi?

Wydawało się, że człowiek z płomieni nie słucha go. Na jego ustach ponownie zawitał grymas bólu, tym razem jednak krzyk nie był już niemy. Próbowałam zakryć uszy, lecz brzmiał już w mojej głowie.

–Ach, to boli! – jęknął obcy. – Wciąż czuję na sobie krew bestii, nawet we śnie. Nawet kiedy kroczę Ścieżką Snów!

–Krew bestii...? – powtórzył mój ojczym, zdumiony. – Smoka? Co ty mówisz?!

–Przypominał ogromną, czarną żmiję – mówił dalej Hakatri. – Poszliśmy za nim z bratem do głębokiej jamy, a potem walczyliśmy i pokonaliśmy go. Niestety paląca krew gada splamiła mnie i nigdy już nie zaznam spokoju. Na Ogród, co to za ból! – Wydał z siebie zduszony szloch i zamilkł na chwilę. – Obaj zanurzyliśmy w nim nasze miecze – podjął opowieść głosem, który teraz brzmiał niemal jak śpiew – ale szczęście dopisało memu bratu, Inelukiemu. Uniknął palącej rany. Czarna, czarna była jego posoka i gorętsza nawet od płomieni Tworzenia! Obawiam się, że śmierć sama nie ukołaby tego bólu...

–Zamilcz! – ryknął Sulis przepętniony gniewem i cierpieniem. – Wiedzmo, czy na nic nasze zaklęcie? Dlaczego on mnie nie słucha?

–Nie ma tu żadnego zaklęcia poza tym, które otwiera przejście – odpowiedziała. – Być może Hakatri dotarł do tego przejścia, bo pali go krew smoka. Nie ma gorszej rzeczy

na tej ziemi niż krew bestii. Myślę, że to przez swoje rany trzyma się blisko Ścieżki Snów. Pytaj go, Nabbańczyku. Może ci odpowiedzieć jak każdy inny nieśmiertelny, którego mógłbyś spotkać.

Teraz dopiero to poczułam. Poczułam uścisk losu, który nas tam sprowadził. Wstrzymałam oddech, uwięziona między przerażeniem, które wypełniało mnie niczym zimny wiatr, domagając się głośno, bym zostawiła Tellarina i wszystko inne i uciekała, a przemożną chęcią przekonania się, co przywiodło mojego ojczyma na to niewiarygodne spotkanie.

Lord Sulis zwiesił na moment głowę, jakby teraz, kiedy nadszedł ten moment, nie był pewien, co chce powiedzieć. Wreszcie zaczął mówić, najpierw cicho, lecz z każdą chwilą jego głos nabierał mocy.

–Kościół naucza nas, że Bóg objawił się na tym świecie pod postacią Usiresa Aedona i że dokonał wielu cudów, leczył chorych i chromych, aż Imperator Crexis kazał go powiesić na Drzewie Straceń. Wiesz o tym, Hakatri?

Człowiek z płomieni przewrócił niewidzącymi oczami i spojrzał w stronę Sulisa. Nie odpowiedział, ale wydawało się, że słucha.

–Aedon Odkupiciel obiecał, że wszyscy żyjący zostaną zebrani i że nie będzie śmierci – mówił dalej mój ojczym. – To prawda, bo był bogiem, który przyszedł na ten świat pod ludzką postacią, i potwierdzają to jego cuda. Jednak czytałem wiele na temat twojego ludu, Hakatri. Cuda, jakie czynił Usires Aedon, mogły być dziełem jednego z was, Sithów, a nawet kogoś, kto tylko w połowie był nieśmiertelny. – Jego uśmiech przypominał uśmiech trupiej czaszki. – W końcu nawet moi najzagorzalsi krytycy na łonie Matki Kościoła przyznają, że Usires nie miał ojca z rodu ludzkiego.

Ponownie spuścił na chwilę głowę, zbierając siły lub może słowa. Zaczepnęłam powietrza, bo od dłuższego już czasu wstrzymywałam oddech. Avalles i Tellarin patrzyli nieruchomym wzrokiem, przerażeni i zdumieni zarazem. Twarz wiedzmy Valady pozostawała w cieniu.

–Śmierć zabrała mi obie żony, i obie bezpowrotnie – powiedział ojczym. – Pierwsza przed śmiercią dała mi syna, pięknego chłopca imieniem Sarellis. On także zmarł w strasznych mękach, stąpawszy na gwóźdź wystający z podkowy. Gwóźdź! Zabrała go śmiertelna gorączka. Młodzieńcy, którymi dowodziłem, ginęli setkami, tysiącami, ich ciała zaścięły pola bitewne jak łuski szarańczy, a wszystko to za kawałek ziemi albo, czasami, z powodu kilku słów. Moi rodzice też zmarli, nim zdążyliśmy sobie wszystko powiedzieć. Śmierć zabrała mi wszystkich, których prawdziwie kochałem. – Jego ochrypy głos nabierał coraz

większej siły, jakby samą jego mocą chciał zburzyć mury Niebios. – Matka Kościół nakazuje mi wierzyć, że kiedyś znowu się z nimi połączę –

mówił dalej. – Naucz nas tymi słowami: „Niech pociechą dla was będą czyny Usiresa, naszego Pana, gdyż zadaniem jego było pokazać nam, że nie powinniśmy bać się śmierci”. Ale czy mogę mieć pewność? Nie potrafię tak po prostu uwierzyć! Czy Kościół mówi prawdę? Czy ponownie ujrzę tych, których kocham? Czy będziemy żyć dalej? Przywódcy Kościoła ogłosili mnie heretykiem i nazwali Apostatą, bo nie chciałem się wyzbyć wątpliwości dotyczących boskości Aedona. Ale ja muszę wiedzieć! Powiedz mi, Hakatri, czy Usires był jednym z was? Czy uczyniono go bogiem po to tylko, żeby nas uszczęśliwić, a kapłanom zapewnić bogactwo? – Zamrugnął gwałtownie, powstrzymując łzy; złość i cierpienie całkowicie zmieniły jego twarz. – Nawet gdyby Bóg miał mnie skazać na wieczne męki w piekle, muszę wiedzieć. Czy nasza wiara jest kłamstwem?

Trząśnięty teraz tak bardzo, że aż zatoczył się do tyłu i nieomal upadł. Nie poruszył się nikt poza człowiekiem z płomieni, którego ciemne, niewidzące oczy podążyły za Sulisem.

Zorientowałam się, że ja także płaczę, i otarłam cicho łzy. Nie mogłam znieść widoku ojczyzna uginającego się pod ciężarem szczerego bólu, a jednocześnie czułam złość. Wszystko to uczynił z tego powodu? Dla czegoś tak nieodgadnionego odsunął się od mojej matki i niemal zniszczył swoje życie?

Minęły długie chwile ciszy, nim Hakatri raz jeszcze przemówił powoli:

–Wy, śmiertelnicy, zawsze torturujecie samych siebie. – Zamrugnął, a jego twarz poruszyła się w tak dziwny sposób, że musiałam się odwrócić, zanim spojrzałam na niego ponownie, starając się zrozumieć jego słowa. – Lecz najbardziej dręczycie się, szukając odpowiedzi na pytania, na które nie można odpowiedzieć.

–Nie można? – powtórzył Sulis. Wciąż drżał. – Jak to?

Człowiek z płomieni uniósł smukłe dłonie, co, jak się domyślałam, miało być gestem pokoju.

–To bowiem, co zostało przeznaczone dla śmiertelników, nie jest objawione Zida'ya, w każdym razie nie bardziej niż wam wiedza o naszym Ogrodzie czy o tym, dokąd idziemy, gdy opuszczamy to miejsce. Posłuchaj mnie, śmiertelniku. A jeśli nawet wasz mesjasz rzeczywiście był jednym z Dzieci Świtu, czy byłby to dowód na to, że nie było to wołanie waszego Boga? Czy przez to słowa waszego Odkupiciela byłyby mniej prawdziwe? – Hakatri pokręcił głową w dziwny sposób, który upodabniał go do ptaka.

–Powiedz mi tylko, czy Usires był jednym z was – domagał się Sulis. – Oszczędź mi swojej filozofii i odpowiedz! Bo ja też płonę! Ten ogień nie daje mi spokoju już od lat!

Kiedy ucichło echo krzyku mego ojczyzna, istota w kręgu czarnych płomieni znieruchomiła i po raz pierwszy wydawało się, że naprawdę spogląda poprzez czas. Kiedy znowu się

odezwała, jej głos przepelniał smutek.

–My, Zida'ya, niewiele wiemy o poczynaniach śmiertelników. Są też tacy wśród nas, którzy odłączyli się i których czyny pozostają dla nas nie znane. Nie sędzę, by wasz Usires Aedon był jednym z Dzieci Świtu, ale ani ja, ani żaden z nas nie powie ci nic więcej. – Ponownie uniósł dłonie, splatając palce w dziwnym, niezrozumiałym geście. – Przykro mi.

Ciałem Hakatriego wstrząsnął jeszcze większy dreszcz, być może znowu czuł ból płomieni, który potrafił jakoś powstrzymać, gdy słuchał mojego ojczyma. Sulis nie czekał, czy obcy powie coś jeszcze. Zbliżywszy się do ognia, kopnął magiczne drewno, wzniecając snop wirujących iskier, a potem opadł na kolana z twarzą ukrytą w dłoniach.

Człowiek z płomieni zniknął.

Ciszę, która zdawała się nie mieć końca, przerwała wiedźma.

–Lordzie Sulisie, czy teraz dotrzymasz umowy? Powiedziałeś, że uwolnisz mnie, jeśli zaprowadzę cię do jednego z nieśmiertelnych. – Mówiła głosem nie pozbawionym łagodności, co mnie zaskoczyło.

Kiedy wreszcie jej odpowiedział, z trudem tylko można było zrozumieć jego słowa. Dał znak ręką.

–Avallesie, zdejmij jej łańcuchy. Nie jest mi już potrzebna.

Pośród długiej nocy smutku poczułam wreszcie ukłucie szczęścia, gdyż zrozumiałam, że mimo moich obaw wiedźma, mój ukochany, a nawet mój udręczony ojczym przeżyją ten koszmar. Kiedy Avalles, roztrzęsiony tak bardzo, że z trudem jedynie trzymał w dłoni klucz, zaczął zdejmować kajdany, przez moment wyobraziłam sobie, iż mój ojczym powróci do zdrowia, nagrodzi Tellarina za odwagę i oddanie i wraz z moim ukochanym zamieszkamy gdzieś daleko od domu pełnego duchów.

W następnej chwili usłyszałam nieoczekiwany krzyk ojczyma. Odwróciłam się i ujrzałam, że padł na brzuch i drży od płaczu. Widok spokojnego, opanowanego Sulisa tak całkowicie pogrążonego w rozpacz był w pewnym sensie najstraszniejszym obrazem, jaki ujrzałam tamtej nocy.

A potem, kiedy nie ucichło jeszcze echo jego krzyków odbite do niewidocznego sufitu komnaty, echo, któremu zawtórował szelest liści ciemnego drzewa, coś innego przyciągnęło moją uwagę. W miejscu, gdzie wcześniej stała wiedźma, dostrzegłam dwie walczące postacie. Początkowo myślałam, że to Avalles i Valada, lecz natychmiast pojęłam, że wiedźma stoi z tyłu i przygląda się temu zaskoczona. Pochodnie Avallesa i Tellarina leżały na ziemi, a oni sami zwarli się ze sobą. Zdumiona i całkowicie bezradna, patrzyłam, jak się przewracają. Chwilę później zobaczyłam sztylet, który wzniósł się i opadł. Walka ustała.

–Tellarinie! – zawołałam i pobiegłam przed siebie.

Wstał, ocierając brud z twarzy, a potem spojrzał na mnie ze zdziwieniem, kiedy wyłoniłam się z cienia. Dostrzegłam krew na jego ostrzu. Stał nieruchomo, przestraszony albo zaskoczony.

–Breda? Co tu robisz?

–Dlaczego on cię zaatakował?! – krzyknęłam. Avalles leżał skurczony na ziemi w ciemnej, rosnącej kałuży. – Przecież był twoim przyjacielem!

W odpowiedzi pochylił się i pocałował mnie, a potem odwrócił i podszedł do swego pana, który wciąż klęczał na ziemi. Mój ukochany oparł kolano na jego plecach i chwycił go z tyłu za włosy, odciągnął głowę Sulisa, aż ujrzeliśmy jego lśniąca od łez twarz.

–Nie chciałem zabić Avallesa – wyjaśnił mój żołnierz, zwracając się na poły do mnie, na poły do Lorda. – Ale on nalegał, żeby przyjść tutaj. Bał się, że zdobędę większe względy jego wuja, jeśli nie będzie go w pobliżu. – Pokręcił głową. – Szkoda. Tylko ciebie miałem zabić, Sulisie, i długo czekałem na równie dogodną okazję.

Mimo niewygodnej pozycji ojczym uśmiechnął się pełnym bólu grymasem.

–Kto z Sancellan cię przysłał?

–Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? Masz mnóstwo wrogów w Nabbanie, Sulisie Apostato. Heretyk z ciebie i schizmatyk, jesteś niebezpieczny. Powinieneś wiedzieć, że nie pozwolą ci budować władzy na tym pustkowiu.

–Nie przybyłem tutaj, by budować władzę – jęknął ojczym. – Przybyłem, żeby znaleźć odpowiedzi na moje pytania.

–Tellarinie! – Usiłowałam zrozumieć coś, czego nie potrafiłam ogarnąć. – Co ty robisz?!

–To nie ma nic wspólnego z nami, Bredo. – Znowu mówił spokojniejszym głosem.

–Czy ty...? – Nie mogłam tego z siebie wydusić. Łzy przesłoniły mi komnatę, tak samo jak wcześniej przesłonił ją Czarny Ogień. – Czy... udawałeś tylko, że mnie kochasz? Czy wszystko po to, żebyś mógł go zabić?

–Nie! Nie potrzebowałam twojej pomocy, dziewczyno. I tak zdobyłem już jego zaufanie. – Mocniej chwycił mojego ojczyma, aż przestraszyłam się, że zaraz złamie mu kark. – To, co nas łączy, jest dobre i prawdziwe, Bredo. Zabiorę cię do Nabbanu. Teraz będę bogaty, a ty zostaniesz mą żoną. Będziesz mieszkała w prawdziwym mieście, a nie na jakiejś kupie diabelskich kamieni.



–Kochasz mnie? Naprawdę mnie kochasz? – Bardzo chciałam mu wierzyć. – W takim razie wypuść mojego ojczyrna, Tellarinie!

Zmarszczył brwi.

–Nie mogę. Otrzymałem to zadanie, zanim jeszcze cię poznałem, i muszę je

wypełnić. On jest szalony, Bredo! Sama widziałaś horror tej nocy. Widziałaś demona, którego przywołał zakazanymi czarami, więc wiesz, że nie może dłużej żyć.

–Proszę, nie zabijaj go! Błagam cię!

Uciszył mnie, unosząc dłoń.

–Przysięgłem memu panu w Nabbanie. Muszę wypełnić to jedno zadanie, a potem będziemy wolni.

Zaklinałam go na miłość, lecz pozostał nieugięty. Zagubiona, nie potrafiąc dłużej sprzeczać się z człowiekiem, który dał mi tyle radości, zwróciłam się do wiedźmy. Liczyłam na jej pomoc, zobaczyłam jednak, że Valada zniknęła. Odeszła na wolność, zostawiając nas, byśmy się pozabijali, jeśli taka była nasza wola. Wydawało mi się nawet, że dostrzegłam jakiś ruch, lecz była to jeszcze jedna zjawka, która unosiła się bezszelestnie na swych skrzydłach.

Lord Sulis milczał. Nie próbował uwolnić się z uścisku Tellarina, czekał biernie na śmierć niczym stary byk na zarżnięcie. Zobaczywszy, jak skóra na jego karku naciąga się mocno, kiedy przełyka ślinę, rozplakałam się. Podeszłam bliżej, gdy mój ukochany przyłożył mu nóż do gardła. Sulis spojrzał na mnie, ale nic nie powiedział. Wyraz oczu nie zdradził żadnej z jego myśli, które ukrył głęboko.

–Powiedz mi raz jeszcze, że mnie kochasz – poprosiłam, stając u boku Tellarina. Kiedy spojrzałam na przestraszoną i triumfującą zarazem twarz mego żołnierza, mimowolnie pomyślałam o Wielkiej Twierdzy, miejscu zbudowanym na morderstwie, w którego zepsutym wnętrzu staliśmy. Przez chwilę zdawało mi się, że wróciły głosy duchów, kiedy przez moją głowę przewalił się okropny huk. – Powiedz mi to raz jeszcze – błagałam go. – Proszę.

Mój ukochany nie odsunął ostrza od gardła Sulisa, lecz odparł:

–Oczywiście, że cię kocham, Bredo. Pobierzemy się i będziesz miała u stóp cały Nabban. Nigdy już nie będziesz sama i nigdy już nie będzie ci zimno. – Kiedy pochylił się do przodu, poczułam pod palcami, jak napinają się jego wspaniałe mięśnie. Zawahał się, usłyszawszy brzęk szklanej kulki, która spadła na kamień.

–Co...? – zapytał i wyprostował się nagle, przyciskając dłoń do miejsca w pasie, gdzie ukłuł

go pazur.

Zatoczyłam się do tyłu i upadłam, zalewając się łzami. Za sobą słyszałam charczący oddech Tellarina, potem jego nóż zagrzechotał o kamienną podłogę.

Nie miałam dość sił, by spojrzeć na niego, ale nigdy nie zapomnę tego chrapliwego oddechu.

Teraz, kiedy jestem już starą kobietą, wiem, że ta tajemnicza twierdza będzie miejscem, gdzie umrę. Gdy dokonam żywota, pochowają mnie pewnie obok mej matki

i Lorda Sulisa.

Po owej długiej nocy spędzonej pod zamkiem Król Czapla, jak Lud znad Jeziora nazywał mojego ojczyrna, znowu był taki jak dawniej.

Jeszcze przez wiele lat panował w Wielkiej Twierdzy i z czasem nawet mój zazdrosny, awanturniczy lud docenił w nim władcę, choć królewskie rządy nie przetrwały tak długo jak sam Sulis.

Mój ślad na tym świecie będzie jeszcze mniejszy.

Nigdy nie wyszłam za mąż, a mój brat Aelfric spadł z konia i zmarł, nie pozostawiając po sobie potomków. Dlatego więc – choć Lud znad Jeziora wciąż kłóci się o to, kto powinien nieść sztandar i włączyć Wielkiego Tana – nie poprowadzi ich już nikt z mojego rodu. Nie sądzę też, aby po mojej śmierci pozostał ktoś w wielkim zamku, który odbudował Lord Sulis; niewielu już pozostało w całym naszym gospodarstwie, a ci, którzy jeszcze tu mieszkają, są tutaj z miłości do mnie. Kiedy odejdę, nie będzie nawet komu doglądać grobów.

Nie potrafię powiedzieć, dlaczego wybrałam na dom to ponure miejsce ani dlaczego przedłożyłam życie mojego ojczyrna nad żywot pięknego, podstępного Tellarina. Może dlatego, że bałam się budować na krwi coś, co powinno stanąć na czymś lepszym. Może dlatego, że miłość nie potrafi rachować, dokonuje wyboru, a potem oddaje się bez reszty.

Bez względu na powody, dokonałam wyboru.

Po tym, jak wyniósł mnie z wnętrza zamku, ojczyrn prawie nigdy nie wspominał o tamtej strasznej nocy. Do końca swoich dni pozostał niedostępny, pogrążony w cieniu, czasami jednak zdawało mi się, że wyczuwam w nim spokój, jakiego wcześniej w nim nie było. Nie potrafiłam powiedzieć, skąd ta odmiana.

Kiedy już legł na łożu śmierci, a jego oddech słabł z każdym dniem, siedziałam przy nim niemal cały czas i opowiadałam o wszystkim, co działo się w Wielkiej Twierdzy –

0 odbudowie, która jeszcze się nie skończyła, o poddanych i ich zwierzętach – jakby miał wstać w każdej chwili i zabrać się do pracy, chociaż oboje wiedzieliśmy, że tak się nie stanie.

Gdy nadeszła jego ostatnia chwila, leżał z wyrazem spokojnego oczekiwania na twarzy – nie był to strach, lecz coś trudniejszego do opisanie. Kiedy wydawał ostatnie tchnienie, nieoczekiwanie przypomniało mi się coś, co przeczytałam w jego książce.

1 zrozumiałam nagle, jak bardzo pomyliłam się tamtej nocy, dawno temu.

„Pokaże mi Drogę Czarnego Ognia albo nie ma innej Nadziei. Albo ona mi odpowie, albo Śmierć”, napisał.

Zrozumiałam, że nie zamierzał jej zabić, gdyby nie dała mu, czego pragnął. Chciał raczej powiedzieć, że jeśli wiedźma nie pomoże mu znaleźć odpowiedzi, będzie musiał poczekać na śmierć i wtedy dowie się prawdy.

Teraz więc miał otrzymać odpowiedź na pytanie, które dręczyło go od tak dawna.

Bez względu na to, jaka była odpowiedź, Sulis nie wrócił, żeby się nią podzielić. Teraz jestem starą kobietą i wkrótce sama się przekonam. Może zabrzmie to dziwnie, lecz nie obchodzi mnie to specjalnie. Przez rok spędzony z Tellarinem, w ciągu miesięcy wypełnionych gorącą miłością, przeżyłam całe życie. Potem żyłam już innym: było długie, powolne, a drobne przyjemności w znacznej mierze rekompensowały w nim chwile cierpień. Z pewnością dwa życia wystarczą dla jednej osoby; komu potrzebna wieczność nieśmiertelnych? W końcu, jak wykazał człowiek z płomieni, nie ma nic szczególnego w wieczności wypełnionej bólem.

Teraz, kiedy już opowiedziałam moją historię, nawet duchy, które czasem budzą mnie o północy, przypominają raczej starych przyjaciół niż coś, czego należy się bać.

Dokonałam wyboru.

I nie żałuję.

*Przełożył Paweł Kruk*

**Piesn Lodu i Ognia**

**George R. R. Martin**

*A Game of Thrones (1996) Gra o tron (1996-1998) A Clash of Kings (1998) Starcie królów (2000) A Dance with Dragons (w przygotowaniu) The Winds of Winter (zapowiedź)*

„Pieśń Lodu i Ognia” George’a R. R. Martina to jeden ze świeższych cykli fantasy; w ostatecznej postaci ma liczyć cztery tomy. Cała ta imponująca saga została osadzona w świecie Siedmiu Królestw, krainie, w której naturalny porządek pór roku uległ zaburzeniu do tego stopnia, że i lato, i zima trwają wielokrotnie dłużej, niż powinny.

Pierwszy tom rozpoczyna się w chwili, gdy trzy szlacheckie rody konspirują, aby usunąć z tronu szalonego króla i przejąć kontrolę nad królestwem. Łączące Lannisterów, Baratheonów i Starków chwiejne przymierze rozpada się, kiedy nowy król, Robert Baratheon, prosi Neda Starka, żeby opuścił swe leżące na północy miasto Winterfell i przybył pomóc mu sprawować rządy jako Ręka Króla, druga najpotężniejsza osoba w Siedmiu Królestwach. Wysiłki Neda, który stara się rozwikłać sprawę zamordowania swego poprzednika na tym urzędzie, doprowadzają rychło do konfliktu z królową i jej braćmi. Równowaga wpływów wielkich rodzin zostaje zachwiana. Podczas gdy gra o tron nabiera niebezpiecznego rozmachu, na północy, za wielkim lodowym murem odgradzającym Siedem Królestw od ziemi ludzi, do życia budzą się jeszcze bardziej złowrogie siły.

Pojawia się groźba wojny domowej: oto Lannisterowie zabijają króla Roberta i próbują przejąć władzę. Przeciwstawiają się im tylko Starkowie i Baratheonowie. Jednocześnie głowa rodziny Targaryen, Viserys, oddaje swą siostrę za żonę w zamian za armie, dzięki którym chce ponownie podbić Siedem Królestw.

W następnych tomach cyklu autor zamierza przedstawić rozwój i rozwiązanie tego okrutnego, wielostronnego konfliktu mającego umęczyć ów targany niepokojami świat.

Przedstawione tu opowiadanie toczy się w czasach o setki lat wcześniejszych niż okres opisany w *Grze o tron*.

## **Błądny Rycerz**

### **Opowieść z Siedmiu Królestw**

#### **George R. R. Martin**

Wiosenne deszcze rozmiękczyły ziemię, więc Dunk i nie miał kłopotów z wykopaniem grobu. Wybrał miejsce na zachodnim stoku niskiego wzgórza, bo stary zawsze uwielbiał oglądać zachody słońca. „Kolejny dzień z głowy i kto wie, co jutro nam przyniesie, co, Dunk?” – wzdychał. Jednak pewnego ranka lunął deszcz i przemoczył ich do suchej nitki, a potem zerwał się porywisty i wilgotny wiatr, który trzeciego dnia przyniósł ochłodzenie. Czwartego ranka stary był zbyt słaby, żeby utrzymać się w siodle, teraz zaś już nie żył. Ledwie kilka dni wcześniej jechali razem i rycerz śpiewał starą pieśń o podróży do Gulltown na spotkanie z piękną panną, tyle że zamiast Gulltown wstawiał Ashford. „Dalej, do Ashford, gdzie czeka dziewczyna, hej-ho, hej-ho”, przypomniał sobie Dunk, kopiąc grób.

Kiedy dół był już wystarczająco głęboki, wziął ciało starego na ręce i złożył je w ziemi. Niski i szczupły za życia, bez kolczugi, hełmu i pasa rycerz zdawał się nie ważyć więcej niż worek

suchych liści. Dunk był wysokim jak na swój wiek, kudłatym i grubokościstym szesnastolatkiem, a może siedemnastolatkiem – nikt bowiem nie był do końca pewny, kiedy właściwie się urodził – o nieco nieproporcjonalnych kończynach. Zaczynał dopiero dorastać, a i tak miał już raczej siedem niż sześć stóp wzrostu. Stary często wychwalał jego siłę, zawsze głośno i szczerze, ale też nie miał niczego więcej, co mógłby mu ofiarować.

Dunk złożył go na dnie grobu i chwilę nad nim postał. Deszcz znów wisiał w powietrzu i chłopak wiedział, że powinien usypać mogiłę, nim lunie, trudno mu było jednak ciskać grudy ziemi na Wymęczoną starą twarz. Septon by się zdał, żeby odmówić kilka modlitw, ale ma tylko mnie, pomyślał. Stary nauczył Dunka wszystkiego, co sam wiedział o mieczach, tarczach i kopiach, nigdy jednak nie miał talentu do przemawiania.

–Zostawiłbym ci twój miecz, ale zardzewieje w ziemi – powiedział przeprasającym tonem. – Bogowie pewnie dadzą ci nowy. Bardzo żałuję, żeś umarł, ser. – Umilkł, niepewny, co właściwie powinien jeszcze dodać. Nie znał żadnych modlitw, przynajmniej żadnej w całości, bo stary rzadko się modlił. – Byłeś prawdziwym rycerzem i nigdy nie uderzyłeś mnie, jeśli na to nie zasłużyłem – rzekł w końcu. – Poza tym jednym razem w Maidenpool. To ten posługacz z gospody zjadł wdowie placek, a nie ja, mówiłem ci... Ale to już nieważne. Bogowie cię przyjmą, ser. – Strącił nogą trochę ziemi, a potem zaczął metodycznie zasypywać dół, nie spoglądając przy tym do środka. Dane mu było długie życie. Musiał mieć raczej sześćdziesiąt niż pięćdziesiąt lat, a ilu

mężczyzn może to o sobie powiedzieć? – pomyślał. Przynajmniej doczekał jeszcze jednej wiosny.

Słońce skłaniało się ku zachodowi, gdy zajął się końmi. Konie były trzy: jego, z wygiętym grzbietem, klacz starego i Grom, rumak bojowy, którego dosiadał jedynie podczas turniejów i w czasie walki. Wielki kasztanowaty ogier nie był już tak szybki ani silny jak kiedyś, wciąż jednak spoglądał bystro i stąpał pewnie. I był wart więcej, niż Dunk kiedykolwiek posiadał. Jeśli sprzedam Groma i Kasztankę, a razem z nimi siodła i rząd, to dostanę dość srebra, żeby... – pomyślał i zmarszczył brwi. Nie znał innego losu niż życie błędnego rycerza, który jeździ od warowni do warowni, służy temu czy innemu panu, walczy dla nich w bitwach i jada przy ich stołach, a gdy wojna się kończy, rusza dalej. Od czasu do czasu, chociaż rzadziej, zdarzały się jeszcze turnieje. Dunk wiedział też, że podczas chudych zim niektórzy z błędnych rycerzy parali się również rozbójnictwem, chociaż stary nigdy do nich nie należał.

Znajdę pewnie innego dobrze urodzonego bez giermka i będę oporządzał mu zwierzaki i czyścił kolczugę, pomyślał. Albo pojedę do jakiegoś miasta, do Lannisport lub Królewskiej Przystani, i wstąpię do Straży Miejskiej. Coś wymyślę...

Rzeczy starego złożył pod dębem. W płóciennej sakiewce znalazł trzy sztuki srebra, dziewiętnaście miedzianych pensów i wyszczerbiony granat. Jak większość błędnych rycerzy, stary nie posiadał wiele poza końmi i bronią. Dunk odziedziczył po nim łańcuszkową kolczugę, którą setki razy oczyszczał z rdzy, żelazny półhełm z szerokim noskiem i łata na

lewej skroni, pas z popękanej brązowej skóry oraz miecz w pochwie z drewna i skóry. I jeszcze sztylet, brzytwę i osełkę, nagolenniki i naszyjnik zbroi, ośmiostopową jesionową kopię z ostrym, żelaznym szpikulcem oraz dębową tarczę z poobijanym okuciem, na której widniał herb ser Arlana z Pennytree: uskrzydłony srebrny kielich na brązowym polu.

Dunk spojrzął na tarczę, sięgnął po pas i znów przyjrzał się tarczy. Na chude biodra starego pas był akurat, ale chłopak nigdy go nie dopnie. Podobnie nic mu nie przyjdzie z kolczugi. Przymocował pochwę do konopnej liny, tą obwiązał się po postu w pasie i dopiero wtedy wyciągnął miecz.

Ostrze było proste i ciężkie, z porządnie kutej stali. Rękojeść zrobiono z drewna i owinięto miękką skórą, jelec zaś powstał z czarnego, polerowanego kamienia. Chociaż prosty, dobrze leżał w ręce, a Dunk wiedział, jaki jest ostry, bo przed spoczynkiem strawił nad nim wiele wieczorów z osełką, szmatką i oliwą. Pasuje mi do ręki nie gorzej niż jemu, a na Łąkach Ashford szykuje się turniej, pomyślał.

Grzbiet Miłej był wygodniejszy niż starej Kasztanki, lecz Dunk i tak był obolały i zmęczony, gdy dojrzał wreszcie przed sobą gospodę. Wysoki, otynkowany, choć

drewniany budynek stał nad strumieniem i tak zapraszająco jaśniał oknami, że nie sposób było minąć go obojętnie. Mam trzy sztuki srebra, pomyślał, starczy na dobry posiłek i sporo piwa, gdybym chciał coś wypić.

Gdy zsiadł z konia, ze strumienia wygramolił się nagi chłopak i zaczął się wycierać szorstkim, brunatnym płaszczem.

–Jesteś stajennym? – zagadnął go Dunk.

Chłopak nie wyglądał na więcej niż osiem czy dziewięć lat, chudy był do tego, miał niezdrową, ziemistą cerę, a nagie stopy zapadały mu się po kostki w błoto. Najdziwniejsze były jednak jego włosy, a dokładniej ich brak.

–Trzeba przeczesać mojego konia. I nakarmić wszystkie trzy. Zajmiesz się nimi?

Chłopak spojrzął na niego wyzywająco.

–Mógłbym. Gdybym zechciał.

Dunk zmarszczył brwi.

–Nie będziemy tak rozmawiali. Jestem rycerzem. Zapamiętaj to sobie.

–Nie wyglądasz na rycerza.

–A czy wszyscy rycerze wyglądają tak samo?

–Nie, ale też nie przypominają ciębie. Nawet pasa nie masz, miecz zawiesiłeś na sznurku.

–I to dobre, jeśli trzyma. A teraz opatrz moje konie. Jak dobrze się sprawisz, dostaniesz miedziaka. Jak źle, dam ci w ucho.

Nie czekając na reakcję stajennego, skierował się do drzwi gospody.

Spodziewał się, że o tej porze będzie zatłoczona, jednak wspólna sala świeciła pustkami. Przy jednym ze stołów przysnął paniczek w adamaszkowej opończy, chrapiąc głośno z twarzą w kałuży rozlanego wina. Poza nim nie było nikogo. Dunk stał, rozglądając się niepewnie, aż w końcu z kuchni wyłoniła się przysadzista kobieta o bladej twarzy.

–Siadaj pan, gdzie chcesz – powiedziała. – Co ma być: picie czy jedzenie?

–Jedno i drugie. – Dunk wybrał krzesło przy oknie, byle dalej od śpiącego.

–Mamy dobre jagnię pieczone z ziołami i jeszcze kaczkę, co je mój syn upolował. Co wybiera?

Dunk gdzieś od pół roku nie jadł w gospodzie. Może dłużej.

–Wszystko.

Kobieta roześmiała się.

–No, duży jest, miejsca starczy. – Wyciągnęła metalowy kufel z pokrywką i postawiła go na stole. – Pokój na noc też?

–Nie. – Dunk niczego bardziej nie pragnął niż miękkiego materaca i dachu nad głową, ale nie mógł sobie pozwolić na rozrzutność. Poślanie na ziemi wystarczy.

–Coś do zjedzenia, coś do wypicia i ruszam do Ashford. Jak to daleko?

–Dzień jazdy. Na rozstajach, przy spalonym młynie, trzeba na północ. Mój chłopak zajął się twoimi końmi czy znowu gdzieś poleciał?

–Nie, jest tutaj – odparł Dunk. – Jakoś nie macie dziś ruchu.

–Pół miasta pojechało obejrzeć turniej. Moje dzieciaki też by pojechały, gdybym im pozwoliła. Dostaną tę gospodę po mnie, chociaż chłopak pewnie wcześniej za wojskiem gdzieś pociągnie, a i dziewczucha wzdycha i chichocze, ile razy rycerza zobaczy. Słowo daję, że nie wiem czemu. Rycerze to takie same chłopcy jak wszyscy, a cena jajec od pojedynków nie skacze. – Przyjrzała się Dunkowi uważniej: miecz i tarcza mówiły jedno, pas z liny i grubo tkana tunika drugie. – Też na turniej?

Nim odpowiedział, upił łyk piwa. Miało intensywny smak i ciemno-orzechowy kolor. Takie dokładnie, jak lubił.

–Ano. I to ja zostanę zwycięzcą – stwierdził.

–Naprawdę? – spytała kobieta, nawet dość uprzejmie. Paniczyk na drugim końcu sali uniósł głowę z kałuży wina. Twarz miał chorobliwie żółtą, skołtunione, jasnobrązowe włosy ze wszystkiego najbardziej przypominały szcurze gniazdo, a na brodzie jaśniała szczecina. Otarł usta i mrugnął na Dunka.

–Śniłeś mi się – powiedział i wskazał młodziana drżącym palcem. – Ale trzymaj się ode mnie z daleka, słyszysz? Jak najdalej.

Dunk spojrzał na niego niepewnie.

–Panie?

Kobieta pochyliła się nad nim.

–Proszę się nim nie przejmować, ser. Ciągle tylko pije i opowiada o swoich snach. Dopilnuję jedzenia.

I czym prędzej wyszła.

–Jedzenie? – wycedził paniczyk takim tonem, jakby chodziło o mocno nieprzystojny wyraz. Wstał z trudem, jedną ręką trzymając się stołu, żeby nie upaść. – Będę rzygał – zapowiedział. Przód tuniki miał w zastarzałych plamach czerwonego wina. – Chciałem kurwy, ale tu nie można żadnej znaleźć. Wszystkie pojechały do Ashford. Bogowie miłosierni, muszę łyknąć wina.

Niepewnym krokiem opuścił salę, a Dunk słyszał, jak nucąc coś pod nosem, zaczął się wspinać po schodach.

Pożałowania godna istota. Ale czemu twierdził, że mnie poznaje? – pomyślał Dunk. Zastanowił się nad tym przelotnie, popijając piwo.

Jagnię było tak dobre jak najlepsze, które zdarzało mu się jadać, a kaczka, pieczona

z czereśniami i cytryną, smaczniejsza jeszcze nawet i mniej tłusta niż zazwyczaj.

Właścicielka gospody przyniosła też groszek polany masłem i wciąż jeszcze ciepły owsiany chleb. To są właśnie zalety stanu rycerskiego: dobre jedzenie, piwo na zawołanie i nikt nie daje ci w łeb, pomyślał, ogryzając resztki mięsa z kości. Do posiłku wypił drugi kufel piwa, trzeci zamówił na splukanie całości, czwarty zaś, bo nikt mu nie powiedział, że nie powinien tego robić. Potem rzucił kobiecie sztukę srebra i jeszcze dostał z powrotem całą garść miedziaków.



Gdy wyszedł z gospody, było już ciemno. Żołądek miał pełny, sakiewkę lżejszą nieco, ogólnie jednak było mu błogo. Idąc do stajni, usłyszał rzenie i głos chłopaka mówiący: „Spokojnie, mały”. Dunk zmarszczył brwi i przyspieszył kroku.

W środku ujrzał stajennego w zbroi starego, i to na grzbiecie Groma. Kolczuga była za długa, a hełm mało oczu mu nie zakrywał, zsunięty do tyłu na tysej głowie. Chłopak był naprawdę przejęty, ale wyglądał absurdalnie. Dunk stanął w drzwiach i roześmiał się serdecznie.

Stajenny podniósł głowę, oblał się rumieńcem i zeskoczył na ziemię.

–Panie, nie chciałem...

–...niczego ukraść – dokończył za niego Dunk, starając się zachować surowy ton. – Zdejmij zbroję i ciesz się, że Grom nie kopnął cię w ten głupi łeb. To rumak bojowy, a nie kucyk.

Chłopak zsunął hełm i rzucił go na słomę.

–I tak mógłbym na nim jeździć – powiedział, siląc się na odwagę.

–Zamknij się. Mam dość twojej bezczelności. Zdejm jeszcze kolczugę. Co ty sobie wyobrażasz?!

–A jak niby mam odpowiedzieć z zamkniętymi ustami?

Chłopak wysunął się z kolczugi, która spadła na ziemię.

–Do odpowiedzi możesz się odezwać – stwierdził Dunk. – A teraz pozbieraj kolczugę, wyczyść ją i odłóż, skąd wzięłeś. Z hełmem zrób to samo. Nakarmieś konie, jak ci kazałem? I wyszczotkowałeś Miłą?

–Tak – odparł chłopak, otrzepując kolczugę ze słomy. – Jedzie waść do Ashford, prawda? Niech mnie pan weźmie ze sobą, ser.

Właścicielka gospody słusznie go ostrzegła.

–A co by powiedziała na to twoja matka?

–Moja matka? – Chłopak skrzywił się nagle. – Moja matka nie żyje. Nic by nie powiedziała.

Więc to jej pasierb, nie syn? – zdumiał się Dunk, trochę jeszcze skołowany po tyłu kuflach piwa.

–Jesteś sierotą? – spytał niepewnie.

–A ty? – odpalił chłopak.

–Kiedyś byłem – przyznał Dunk. Dopóki mnie stary nie przygarnął, pomyślał.

–Jeśli mnie weźmiesz, zostanę twoim giermkim.

–Nie potrzebuję giermka.

–Każdy rycerz potrzebuje giermka. A waść chyba nawet bardziej niż inni – stwierdził chłopak.

Dunk podniósł ostrzegawczo dłoń.

–A ciebie chyba nikt dawno za uszy nie wytargał. Napelnij mi worek owsem. Ruszam do Ashford... ale sam.

Jeśli nawet chłopak się przestraszył, to nie dał tego po sobie poznać. Przez chwilę stał urażony z rękami założonymi na piersiach i Dunk miał już dać sobie z nim spokój, gdy jednak zajął się owsem.

Dunkowi ulżyło.

Szkoda, że nie mogę... ale lepiej mu będzie tu, w gospodzie, bo giermkowi błędnego rycerza nigdy nie wiedzie się aż tak dobrze. To byłaby z mojej strony niedźwiedzia przysługa, pomyślał.

Wciąż jednak wyczuwał rozczarowanie stajennego. Dosiadłszy Miłej i wzięwszy wodze Groma, uznał, że miedziak będzie na miejscu.

–To twoje, chłopcze, za pomoc – powiedział i rzucił mu z uśmiechem monetę, lecz stajenny nawet nie próbował jej złapać. Upadła na ziemię pomiędzy jego nagimi stopami. Schylać też się nie zamierzał.

Weźmie ją, gdy tylko odjadę, pomyślał Dunk i zawrócił konia, po czym wyjechał z gospody z luzakami na wodzy. Drzewa jaśniały w blasku księżyca, bezchmurne niebo jarzyło się gwiazdami. Oddalając się drogą, czuł na plecach spojrzenie milczącego wciąż i urażonego stajennego.

Popołudniowe cienie wydłużyły się już znacznie, gdy ściągnął wodze na skraju rozległych Łąk Ashford. Wśród traw wyrosło już sześćdziesiąt namiotów – małych i bardzo dużych, okrągłych i kanciastych, z płótna żaglowego lub zwykłego, czasem z jedwabiu. Wszystkie jednak były kolorowe, z długimi proporcami powiewającymi na centralnych drągach. Całość prezentowała się barwniej niż łąka polnych kwiatów z ich intensywną czerwienią, słonecznymi żółciami, niezliczonymi odcieniami błękitu i zieleni, głębokiej czerni, szarości i purpury.

Stary jeździł z niektórymi spośród tych rycerzy, innych Dunk znał z opowieści

przekazywanych w salach zajazdów i przy ogniskach. Wprawdzie nigdy nie zgłębił magicznej sztuki pisania i czytania, jednak błędny rycerz nieugięcie wprowadzał go

w tajniki heraldyki i często przepytywał podczas jazdy. Słowiki były symbolem lorda Carona z Bagien, który z harfą wyprawiał cuda nie mniejsze niż z kopią. Koronowany jeleń oznaczał ser Lyonela Baratheona zwanego Wesołą Burzą. Dunk dojrzał też myśliwego Tarlych, purpurową błyskawicę rodu Dondarrionów i czerwone jabłko Fossowayów. Tam ryczał złoty lew Lannisterów na karmazynowym polu, gdzie indziej przez bladozielone pole płynął ciemnozielony żółw morski Estermontów. Brunatny namiot pod czerwonym ogierem mógł należeć tylko do ser Otha Brackena, którego zwano Brutalem od czasu, gdy przed trzema laty podczas turnieju w Królewskiej Przystani zdarzyło mu się zabić lorda Quentyna Blackwooda. Dunk słyszał, że ser Otho tak mocno uderzył przytępieniem toporem w hełm lorda Blackwooda, że zmiażdżył nie tylko wizjer, lecz również twarz przeciwnika. Na polu widniały także znaki Blackwoodów, który rozbili namioty na zachodnim skraju, byle dalej od ser Otha. Pomiędzy nimi zaś... Marbrand, Mallister, Cargyll, Westerling, Swann, Mullendore, Hightower, Florent, Frey, Penrose, Stokeworth, Darry, Parren, Wylde. Wyglądało na to, że każdy znamienity ród z zachodu i południa przysłał tu rycerza, a czasem nawet trzech, by stanęli w szranki ku chwale pięknej panny.

Dunk z miłą chęcią obejrzał pawilony, lecz zdawał sobie sprawę, że nie ma tam dlań miejsca. Sam spędzi tę noc tylko pod grubym, wełnianym płaszczem. Kiedy panowie będą biesiadować, pałaszując kapłony i prosiaki, on pożywi się twardą soloną wołowiną. Wiedział dobrze, że rozkładając się na skraju znamienitego pola, naraziłby się zarówno na milczącą pogardę, jak i na jawne szyderstwa. Kilku może potraktowałoby go uprzejmię, to jednak byłoby poniekąd jeszcze gorsze.

Herbowa gołota musi pilnie baczyć na swą godność, by nie upodobnić się do zwykłych najemników. Muszę sobie zasłużyć na miejsce w tej kompanii. Jeśli będę dobrze walczył, jakiś lord przyjmie mnie do swego rodu. Będę jeździł w cnym towarzystwie i co wieczór jadał świeże mięso w sali zamku, a na turniejach stawiał własny namiot. Ale najpierw muszę się dobrze spisać, myślał. Z niechęcią zostawał za sobą tereny turnieju i skierował konie między drzewa.

Na skraju wielkiej łąki, dobre pół mili od miasta i zamku, znalazł miejsce, gdzie zakręt strumienia uformował głębokie jeziorko. Jego brzegi porastała gęsto trzcina, a nad wszystkim królował okryty bujnym już listowiem wysoki wiąz. Wiosenna trawa była zielona niczym rycerski proporzec i bardzo miękka. Piękny zakątek, i na dodatek wciąż wolny. Tutaj stanie mój namiot, powiedział sobie Dunk, namiot z dachem z liści i zieleńszy niż wszystkie proporce Tyrellów i Estermontów.

Najpierw zajął się końmi, a gdy już je opatrzył, rozebrał się i wszedł do jeziorka, by zmyć kurz po podróży.

„Prawdziwy rycerz jest nie tylko dobry, ale i czysty”, mawiał stary, nalegając, by kąpali się

od stóp do głów przy każdej zmianie księżycy, i to bez względu na to, czy śmierdzieli już, czy jeszcze nie. Teraz, gdy Dunk sam był rycerzem, postanowił stosować się w pełni do słów starego.

Usiadł nagi pod wiązem, żeby się osuszyć. Cieszył się ciepłem wiosennego wietrzyku na nagiej skórze i obserwował ważki krążące leniwie wśród trzcin. Czemu w dawnej mowie ważki nazywa się muszymi smokami? – zastanawiał się. Przecież nie mają nic ze smoków. Nie, żeby Dunk widział kiedyś smoka. Stary to owszem. Dunk ze sto razy słyszał tę historię, jak to dziadek zabrał kiedyś młodego ser Arlana do Królewskiej Przystani, gdzie widzieli ostatniego smoka na rok przed tym, jak tamten umarł. Była to zielona samica, mała jednak, karłowata chyba i z pomarszczonymi skrzydłami. Z żadnego jej jaja nic się nigdy nie wykuło.

„Gadają, że król Aegon ją otruł”, powtarzał stary. „Trzeci Aegon z rzędu, nie ojciec króla Daerona, ale ten zwany Zgubą Smoków albo Aegonem Pechowym. Bał się smoków, bo widział kiedyś, jak bestia wuja pożarła mu matkę. Od czasu, gdy smoki wyginęły, lata robią się coraz krótsze, a zimy dłuższe i sroższe”.

Słońce schowało się za wierzchołki drzew i zrobiło się chłodniej. Gdy Dunk poczuł, że ramiona pokrywa mu gęsia skórka, wytrzepał tunikę i spodnie o pień drzewa, by oczyścić je z największego brudu, i czym prędzej wszystko ubrał. Rano poszuka mistrza gier, by wpisać się na listę, na razie jednak miał pilniejsze sprawy, bez których nie było nawet co marzyć o dopuszczeniu do turnieju.

Nie musiał przeglądać się w wodzie, by widzieć, że nie przypomina za bardzo rycerza, narzucił więc tarczę ser Arlana na plecy tak, by widać było herb. Zostawiwszy spętane konie na bujnej trawie pod wiązem, ruszył pieszo ku wielkiej łące.

Na co dzień łąka służyła mieszkańcom leżącego po drugiej stronie rzeki Ashford jako zwykły grunt gromadzki, teraz jednak zmieniła się nie do poznania. Przez wieczór wyrosło tu drugie miasto, miasto z jedwabiu w miejsce kamienia, większe jednak i piękniejsze niż to prawdziwe. Wzdłuż skraju pola pobudowali swe stragany niezliczeni kupcy gotowi sprzedawać owce i owoce, pasy i piernaty, misy i pelisy, cynowe dzbany i chleb owsiany, kamienie szlachetne, pierze szpetne, przyprawy i jeszcze ryż, mydło i powidło. Wśród tłumu kręcili się kuglarze, lalkarze i magicy próbujący zarobić na swym fachu... a także kwiat kurestwa i amatorzy cudzych sakiewek. Dunk czujnie przykrył dłonią swój zapas monet.

Kiedy wyczuł woń kielbasek przysmażanych nad dymiącym ogniskiem, ślina napłynęła mu do ust. Za dobytego z sakiewki miedziaka kupił sobie jedną i jeszcze róg piwa. Jedząc, patrzył, jak malowany drewniany rycerz walczy z drewnianym smokiem.

Lalkarka operująca smokiem też wyglądała niezgorzej: wysoka, z oliwkową cerą i czarnymi włosami Dorneanki. Była smukła niczym lanca i miała nikły bardzo biust, lecz Dunkowi podobała się jej twarz i to, jak zmuszała palcami zawieszzonego na sznurkach smoka, by kłapał paszczką i wywijał ogonem. Chętnie rzuciłby dziewczynie miedziaka, gdyby mu jakiś

zbywał. Teraz jednak, niestety, potrzebował każdego grosza.

Jak na to liczył, wśród kupców byli też płatnerze. Tyroshi z rozdwojoną brodą sprzedawał zdobne hełmy, fantastyczne, przepyszne dzieła sztuki z wizerunkami ptaków i zwierza wszelakiego, kapiące od złota i srebra. Gdzie indziej odkrył stragan z tanimi stalowymi mieczami i inny, na którym ostrza były o wiele lepszej jakości – jednak Dunk nie miecza dziś szukał.

Właściwego człowieka znalazł na końcu długiego szeregu. Przed kupcem leżała piękna łańcuszkowa kolczuga i para przypominających odwłoki homarów stalowych rękawic. Dunk przyjrzał się im uważnie.

–Dobra robota – powiedział.

–Lepszej nie znajdziesz – usłyszał. Przysadzisty płatnerz nie miał więcej niż pięć stóp wzrostu, ale w barach nie był wcale węższy od Dunka. Nosił czarną brodę, miał potężne dłonie i żadną miarą nie wyglądał na człowieka pokornego.

–Potrzebuję zbroi na turniej – obwieścił Dunk. – Kolczugi z kołnierzem, nagołenników i pełnego hełmu.

Półhełm starego pasowałby mu na głowę, lecz wolałby nie poprzestawać na tak skromnej ochronie twarzy jaką był szłom. Płatnerz przyjrzał mu się od stóp do głów.

–Duży jesteś, ale mam i większe zbroje. – Wyszedł zza blatu. – Klęknij, chcę zmierzyć ci ramiona. I ten gruby kark. – Dunk przyklęknął, a tamten przyłożył mu do barków sznurek z supełkami, pomruczał coś pod nosem, chrząknął, przełknął i znów chrząknął. – Unieś rękę. Nie tą, prawą. – Chrząknął po raz trzeci. – Możesz wstać. – Potem zmierzył długość nogi od pachwiny aż do ziemi i obwód łydki, a sprawdzwszy obwód w pasie, nie mógł powstrzymać się od kolejnej serii chrząknięć. – Mam na wozie kilka blach, które mogą na ciebie pasować – stwierdził w końcu. – Bez upiększeń ze złota czy srebra, proszę cię, tylko dobra, prosta stal. Robię hełmy, co wyglądają jak hełmy, a nie skrzydlate świnię na ananasie. I sprawiają się jak hełmy, nawet jak ktoś da ci kopią w łeb.

–Tego właśnie szukam – powiedział Dunk. – Ile?

–Osiemset sztuk srebra. W ramach uprzejmości.

–Osiemset? – To było więcej, niż oczekiwał. – Ja... mógłbym dać ci w zamian starą zbroję zrobioną na kogoś mniejszego... półhełm i kolczugę łańcuszkową...

–Stalowy Pate sprzedaje tylko swoją robotę – stwierdził mężczyzna. – Ale może

przyda mi się na surowiec. O ile nie jest zbyt pordzewiała. Wezmę, co dajesz, i oddam zbroję za sześćset.

Dunk mógłby próbować wyprosić zbroję już teraz, na wiarę, domyślał się jednak, jaką odpowiedź by otrzymał. Dość podróżował ze starym, aby przekonać się o nieufności kupców względem błędnych rycerzy, którzy czasem po prawdzie niewiele różnili się od rabusiów.

–Dam ci teraz dwie sztuki srebra, a rano przyniosę resztę i zbroję.

Płatnerz przyjrzał mu się uważnie.

–Za dwie sztuki poczekam dzień. Potem sprzedam, co mam, pierwszemu, który przyjdzie.

Dunk wygrzebał z sakiewki dwie monety i położył na twardej dłoni płatnerza.

–Dostaniesz wszystko. Zamierzam zostać zwycięzcą.

–Naprawdę? – Pate sprawdził jedną z monet zębami. – Znaczy, ci wszyscy inni przejechali tylko po to, żeby ci pogratulować?

Księżyc wzniósł się już całkiem wysoko, gdy Dunk dotarł wreszcie z powrotem pod więz. Za nim Łąki Ashford jaśniały od pochodni, odgłosy pieśni i śmiechy niosły się nad trawami, jednak młodzieniec był raczej ponury. Myślał wciąż tylko o jednym: jak zdobyć srebro na zbroję. A jeśli mu się nie uda...

–Wystarczy mi tylko jedno zwycięstwo. Przecież to nie aż tak wiele – mruknął pod nosem.

A jednak stary nigdy nie liczył nawet na tyle. Ser Arlan nie stawał w szranki od dnia, gdy księżę Smoczej Wyspy zrzucił go z konia podczas turnieju w Końcu Burzy. Zdarzyło się to już wiele lat temu.

„Nie każdy może się pochwalić, że złamał siedem kopii w walce z najznakomitszym rycerzem Siedmiu Królestw”, powiadał. „Lepiej i tak bym sobie nie poradził, więc po co miałbym się starać?”

Dunk podejrzewał, że zaważyła na tym nie tyle osoba księcia Smoczej Wyspy, ile wiek ser Arlana, jednak nigdy nie ośmielił się spytać. Stary miał swoją dumę. Do samego końca. Jestem szybki i silny, tak zawsze mawiał, ale co dla niego było prawdą, dla mnie być nie musi, pomyślał przekornie Dunk.

Przedzierał się właśnie przez kępę chwastów, ważąc w myślach swoje szanse, gdy ujrzał między krzakami płomień ogniska. Co jest? – zdumiał się, lecz już po chwili trzymał miecz w dłoni i z hałasem biegł przez trawę.

Wpadł na polanę, krzycząc i przeklinając, ale zatrzymał się jak wryty na widok siedzącego przy ognisku chłopaka.

–Ty! – Opuścił miecz. – Co ty tu robisz?

–Piekę rybę – odparł łysy chłopak. – Chcesz trochę?

–Ale jak się tu znalazłeś? Ukradłeś konia?

–Przyjechałem na wózku, którym jeden człowiek dostarcza jagnięta na stół lorda Ashford.

–No to lepiej sprawdź, czy jeszcze nie odjechał, albo poszukaj sobie innego transportu. Nie chcę cię tutaj.

–Nie zmusisz mnie do powrotu – odparł impertynencko chłopak. – Dość mam już tej gospody.

–A ja mam dość twojej bezczelności – ostrzegł go Dunk. – Powinienem przerzucić cię przez koński grzbiet i odwieźć do domu.

–To musiałbyś wędrować aż do Królewskiej Przystani – powiedział tamten. – Straciłbyś turniej.

Królewska Przystań... Przez chwilę Dunk zastanawiał się, czy to nie jakiś żart, ale przecież chłopak żadną miarą nie mógł wiedzieć, że tam właśnie się urodził. Najpewniej to jeszcze jeden potępieniec z Pchlego Zadka, ale kto mógłby go winić, że chciał się wyrwać z tak podłego miejsca? – rozmyślał.

Zrobiło mu się głupio, że stoi tak z mieczem nad ośmioletnim chłopakiem, sierotą na dodatek. Schował oręż i zerknął groźnie na dzieciaka, dając mu do zrozumienia, że nie życzy sobie żadnych łgarstw. Powinienem mu przynajmniej złoić skórę, pomyślał, jednak chłopak wyglądał tak żałośnie, że trudno byłoby podnieść na niego rękę. Dunk rozejrzał się po obozowisku. Ogień płonął wesoło w zgrabnym kręgu z kamieni, konie zostały wyszczotkowane, a ubrania zwieszały się z gałęzi wiązu prawie nad ogniskiem i schły w najlepsze.

–A one tam skąd?

–Uprałem je – wyjaśnił przybysz. – Potem oporządziłem konie, rozpałem ogień i złowiłem rybę. Ustawiłbym też twój namiot, ale nie mogłem go znaleźć.

–To jest mój namiot – powiedział Dunk i wskazał dłonią gałęzie wysokiego wiązu ponad nimi.

–To drzewo – stwierdził tamten, wyraźnie nie pojmując.

–Prawdziwemu rycerzowi tyle wystarczy. Łatwiej usnę pod gwiazdami niż w jakimś zadymionym namiocie.

–A jeśli będzie padać?

–Drzewo mnie osłoni.

–Liście przeciekają.

Dunk roześmiał się.

–Nie da się zaprzeczyć. Cóż, prawdę mówiąc, brakuje mi pieniędzy na namiot. A ty lepiej obróć tę rybę, bo spali się od spodu, gdy z wierzchu będzie jeszcze surowa. Nie nadałbyś się na kuchcika.

–Gdybym zechciał, to bym się nadał – mruknął chłopak, ale obrócił rybę.

–Co się stało z twoimi włosami? – spytał Dunk.

–Medycy mi zgolili.

Nagle, zupełnie jakby nabrał jakichś podejrzeń, chłopak naciągnął na głowę kaptur brązowego płaszcza.

Dunk słyszał, że golenie włosów praktykowano czasem przy leczeniu niektórych chorób lub w wypadku inwazji pasożytów, na przykład wszy albo innych gnid.

–Jesteś chory?

–Nie. Jak się nazywasz?

–Dunk.

Przeklęty chłopak roześmiał się, jakby nigdy w życiu nie słyszał niczego śmieszniejszego.

–Dunk? – powtórzył. – Ser Dunk? Żadne imię dla rycerza. To skrót od Duncana?

Czy był to skrót? Stary nigdy nie nazywał go inaczej niż Dunk, a młodzieniec nie pamiętał wiele z wcześniejszego okresu.

–Tak, od Duncana – potwierdził. – Ser Duncan z... – Dunk nie miał żadnego innego miana, również rodowego. Ser Arlan znalazł go dziczejącego w zaułkach Pchlego Zadka, chłopak nie poznał nigdy matki ani ojca. I co miał powiedzieć? „Ser Duncan z Pchlego Zadka” nie brzmiało zbyt rycersko. Mógłby wybrać Pennytree, ale co będzie, jeśli ktoś spyta go, gdzie to jest? Dunk nigdy tam nie był, a stary niewiele o nim opowiadał. Zmarszczył czoło, aż w końcu wymyślił. – Ser Duncan Wysoki.

Wysoki był niewątpliwie, nikt nie mógł zaprzeczyć, a na dodatek przydomek brzmiał szlachetnie.



Tyle że ten mały piskorz ani myślał podejść do zagadnienia poważnie.

–Nigdy nie słyszałem o ser Duncanie Wysokim.

–A co, znasz wszystkich rycerzy w Siedmiu Królestwach? Chłopak spojrzał na niego śmiało.

–Wszystkich dobrych.

–Imię dobre jak każde inne. Po turnieju wszyscy będą je znać.

A ty masz jakieś imię, złodziejaszku?

Dzieciak zawahał się.

–Jajo.

Dunk nawet się nie roześmiał. Głowę ma jak jajo. Mali chłopcy potrafią być okrutni,

dorośli zresztą też, pomyślał.

–Jajo – powtórzył. – Powinienem złożyć ci skórę do krwi i odesłać, ale prawda jest taka, że brak mi nie tylko namiotu, lecz również giermka. Jeśli obiecasz robić wszystko, co ci każę, pozwolę ci służyć mi w czasie turnieju. Potem, no cóż, zobaczymy. Jeśli okaże się, że warto cię zatrzymać, kupię ci ubranie i dam ci jeść. Wprawdzie ubranie będzie proste, a do jedzenia głównie solona wołowina i ryby oraz od czasu do czasu – gdy zbraknie gajowego – dziczyzna, ale głodny chodzić nie będziesz. Przyrzekam też, że nie będę cię bić, o ile na to nie zasłużysz. Jajo uśmiechnął się.

–Tak, mój lordzie.

–Ser – poprawił go Dunk. – Jestem tylko błędnym rycerzem. – Zastanawiał się, czy stary patrzy na niego z góry. Będę uczył go sztuki walki tak samo, jak ty uczyłeś mnie, ser. Chyba ma do tego talent, może pewnego dnia sam zostanie rycerzem, mówił do niego w myślach.

Zabrali się do ryby i chociaż w środku była jeszcze surowa, a chłopak nie usunął wszystkich ości, smakowała o niebo lepiej niż twarda solona wołowina.

Jajo zasnął wkrótce przy dogasającym ogniu, Dunk zaś ułożył się w pobliżu na wznak, wsunął dłonie pod głowę i zapatrzył w nocne niebo. Słyszał muzykę dobiegającą z terenów turniejowych, pół mili od nich. Całe niebo pełne było gwiazd. Tysiące tysięcy gwiazd... Jedna z nich spadła, gdy tak patrzył – jasnozielona smuga ciągnęła się przez połowę nieboskłonu, po czym zgasła.

Spadająca gwiazda przynosi szczęście temu, kto ją zobaczy, pomyślał Dunk. A tamci siedzą teraz w swoich namiotach i jedwab mają nad głowami, a nie gwiazdy. Więc to

szczęście jest w całości moje.

Rano obudziło go pianie koguta. Jajo wciąż spał skulony pod zapasowym płaszczem starego. Cóż, chłopak nie uciekł w nocy, a na początek dobre i to, doszedł do wniosku Dunk. Obudził dzieciaka, trącając go stopą.

–Wstawaj. Czekają nas mnóstwo roboty. – Chłopak zerwał się całkiem sprawnie i przetarł oczy. – Pomóż mi osiodłać Miłą.

–A co ze śniadaniem?

–Jest solona wołowina. Ale dopiero potem.

–Nakarmię wcześniej konia – powiedział Jajo. – Ser.

–Raczej mojej pięści posmakujesz, jeśli nie zrobisz, jak każę. Dawaj szczotki. Są w jukach przy siodle. Tak, w tych.

Wyszczotkowali gniadego wierzchowca, narzucili mu na grzbiet najlepsze siodło ser Arlana i mocno dociągnęli popręgi. Dunk zauważył, że Jajo był nawet pracowity. O ile mu się chciało, oczywiście.

–Zapewne nie będzie mnie przez większość dnia – powiedział chłopakowi, siedząc już w siodle. – Zostań tutaj i pilnuj porządku. Upewnij się, czy w pobliżu nie kręcą się jacyś inni złodzieje.

–Czy w razie potrzeby mogę wziąć miecz, by ich odegnać? – spytał Jajo. Dunk dopiero teraz zauważył, że chłopak ma oczy niebieskie, ale tak ciemne, iż prawie purpurowe. Łysa głowa sprawiała, że wydawały się bardzo duże.

–Nie. Nóż wystarczy. Lepiej byłoby, gdybym zastał cię po powrocie, słyszysz? Spróbuj mnie okraść i uciec, a i tak cię wytropię, słowo daję. Psami wytropię.

–Nie masz psów – zauważył Jajo.

–Na twoją cześć skombinuję parę – stwierdził Dunk, po czym zawrócił Miłą ku łące i od razu ruszył żwawym kłusem w nadziei, że taka groźba starczy, by skłonić chłopaka do uczciwości. Poza ubraniem na grzbiecie, zbroją w sakwie i koniem pod siedzeniem cały majątek zostawił w obozowisku. Głupi jestem okropnie, że ufam temu chłopakowi tak bez reszty, ale stary też mi kiedyś zaufał, uznał ostatecznie. Matka musiała mi go przysłać, żebym mógł spłacić dług.

Gdy jechał przez pole, słyszał dźwięczenie młotów dobiegające znad rzeki, gdzie cieśle zbijali barierki i wysoką lożę dla dostojnych gości. Pojawiło się też kilka nowych pawilonów,

a wcześniej przybyli rycerze albo odsypiali ostatnią noc, albo zasiadali właśnie do śniadania. Dunk czuł dym z palenisk i woń bekonu.

Na północ od łąki płynęła rzeka Cockleswent, dopływ potężnego Manderu. Za płytkim brodem leżało miasto i zamek. Podczas swoich podróży ze starym Dunk widział wiele takich miast z regularnymi jarmarkami, ale to było szczególnie piękne. Pobielone domy ze strzechami miały w sobie coś kuszącego. Kiedy był mniejszy, dziwił się, jak można mieszkać w takim miejscu, gdzie co noc sypia się z dachem nad głową i co rano przychodzi budzić się w tych samych ścianach. Możliwe, że już niebawem się tego dowiem. No i Jajo też, pomyślał. To całkiem prawdopodobne. Dziwniejsze cuda zdarzają się każdego dnia.

Zamek Ashford wzniesiono z kamienia na bazie trójkąta, z okrągłymi wieżami wyrastającymi na trzydzieści stóp z każdego z wierzchołków i grubym murem zwieńczonym blankami. Teraz zwieszały się z nich pomarańczowe proporce z białym symbolem słonecznego szewronu tutejszego lorda. Bram strzegli zbrojni z halabardami odziani w pomarańczowo-białe stroje. Niby obserwowali wchodzących i wychodzących, przede wszystkim jednak żartowali sobie z jakąś uroczą mleczarką. Dunk ściągnął wodze, zatrzymując się przed niskim, brodatym mężem, który wyglądał mu na kapitana, i spytał o mistrza gier.

–Pytasz o Plummera, naszego namiestnika. Pokażę ci.

Na podwórku stajenny przejął Miłą, a Dunk narzucił na ramię poobijaną tarczę ser Arlana i poszedł za kapitanem do wieżyczki wzniesionej w załomie muru. Kamienne schody wiodły stamtąd na blanki.

–Przybyłeś wpisać imię swego pana na listę? – spytał kapitan, gdy pokonywali kolejne stopnie.

–Sam chcę się zapisać.

–Naprawdę? – Dunk nie potrafił orzec, czy tamten żartował. – To te drzwi. Zostawię cię tutaj i wrócę na mój posterunek.

Gdy Dunk otworzył drzwi, ujrzał namiestnika siedzącego przy stole na kozłach i skrobiącego coś gęsim piórem na kawałku pergaminu. Mężczyzna miał rzadkie siwe włosy i pociągłą, ściągniętą twarz.

–Tak? – zapytał, podnosząc głowę. – Czego waść chcesz?

Dunk zamknął za sobą drzwi.

–Waszmość jesteście namiestnikiem Plummerem? Przybyłem na turniej. Chcę się wpisać na listę.

Plummer wydał wargi.

–Turniej mego lorda przeznaczon jest dla rycerzy. Jesteś takowym? Dunk przytaknął i zastanowił się, czy jego uszy są już czerwone.

–Nosisz waść może jakieś miano?

–Dunk. – Dlaczego tak odpowiedział? – Ser Duncan. Wysoki.

–A skąd jesteś, ser Duncanie Wysoki?

–Zewsząd. Byłem giermkim ser Arlana z Pennytree, od kiedy skończyłem pięć czy sześć lat. To jego tarcza. – Pokazał ją namiestnikowi. – Jechał na turniej, lecz przeziębził się po drodze i zmarł, przybyłem więc w jego zastępstwie. Zanim odszedł, pasował mnie na rycerza swym mieczem. Tym oto. – Dunk wyciągnął miecz starego i położył go na podziobanym blacie.

Mistrz gier ledwie zaszczyił ostrze spojrzeniem.

–Tak, to na pewno miecz. Jednak nie słyszałem nigdy o tym Arlanie z Pennytree. Powiadasz, że byłeś jego giermkim?

–Zawsze uważał, że powinienem zostać rycerzem tak jak on. Gdy umierał, kazał podać sobie miecz i powiedział, żebym klęknął. Dotknął klingą raz mego prawego, raz lewego ramienia i wypowiedział kilka słów, a kiedy wstałem, oznajmił, że jestem już rycerzem.

–Hmmm. – Plummer potarł nos. – Każdy rycerz może mianować innego rycerzem, to prawda, chociaż zwyczaj każe poprzedzić złożenie ślubów nabożeństwem i połączyć je z namaszczeniem. Miałeś jakichś świadków?

–Tylko drozda na akacji. Słyszałem, jak śpiewał, gdy mój pan wygłaszał formułę pasowania. Wezwał mnie, bym był rycerzem dobrym i prawym, bym był posłuszny siedmiu bogom, otaczał opieką słabych i niewinnych i wiernie służył memu panu, broniąc królestwa ze wszystkich sił, a ja przysięgłem, że tak właśnie będzie.

–Bez wątpienia. – Plummer jakoś nie miał ochoty zwracać się do niego „ser”, czego Dunk nie mógł nie zauważyć, ale też nie mógł nic na to poradzić. – Muszę się porozumieć z lordem Ashford. Czy twój zgasły pan lub ty byliście znani któremuś z szanownych, zebranych tu rycerzy?

Dunk zastanawiał się chwilę.

–Czy jest tu pawilon z chorągwią rodu Dondarrionów? Purpurową błyskawicą na czarnym polu?

–Z tego rodu przybył ser Manfred.

–Trzy lata temu ser Arlan służył jego ojcu w Dorne. Ser Manfred może mnie pamiętać.

–Sugerowałbym, żebyś z nim porozmawiał. Jeśli zechce przemówić za tobą, przyprowadź go jutro rano o tej samej porze.

–Jak każesz, panie.

Dunk skierował się do drzwi.

–Ser Duncanie – zawołał za nim namiestnik.

Dunk obrócił się.

–Jesteś świadom, że ten, kto przegra w turnieju, oddaje swój oręż, zbroję i konia zwycięzcy i musi je potem wykupić?

–Wiem.

–A masz z czego zapłacić okup?

Dunk był już pewien, że uszy płoną mu szkarłatem.

–Nie będę musiał – powiedział, modląc się, żeby naprawdę tak było. Trzeba mi tylko jednego zwycięstwa. Jeśli wygram pierwszy pojedynek, dostanę zbroję i konia pokonanego albo jego złoto i będę wypłacalny, myślał.

Zszedł powoli po schodach, niepewny, co właściwie powinien teraz zrobić. Na podwórku złapał jednego ze stajennych.

–Muszę pomówić z koniuszym lorda Ashford.

–Zaraz go poszukam.

W stajniach było zimno i mrocznie. Gdy przechodzili, nerwowy szary ogier kłapnął na nich zębami, ale Miła tylko zarżała cicho i wtuliła mu chrapy w dłoń.

–Dobra z ciebie dziewczynka, prawda? – mruknął.

Stary zawsze powiadał, że dobry rycerz nie powinien zbyt kochać swego wierzchowca, bo niejedynemu padnie pod nim, ale sam jakoś się do tej rady nie stosował. Dunk często widywał, jak oddawał ostatniego miedziaka za jabłko dla starej Kasztanki lub owies dla Miłej czy Groma. Klacz była zwykłym koniem pod wierzch dla ser Arlana i przez lata nosiła go niestrudzenie wzdłuż i wszerz Siedmiu Królestw. Dunk czuł się, jakby zdradzał starą przyjaźń, ale czyż miał inny wybór? Kasztanka była za stara, żeby cokolwiek za nią dostać, a Grom musiał posłużyć mu w turnieju.

Minął jakiś czas, nim koniuszy raczył się pojawić. Czekając, Dunk posłyszał granie trąb na murach i głosy na podwórku. Zciekawiony, podprowadził Miłą do drzwi stajni, by zobaczyć, co się dzieje. Przez bramę wlewała się spora partia rycerzy i dosiadających koni łuczników – przynajmniej setka ludzi. A czego niektórzy dosiadali... Tak wspaniałych wierzchowców Dunk jeszcze nie widział. Jakiś wielki pan przyjechał, doszedł do wniosku. Zaczepił przebiegającego obok stajennego.

–Kim oni są?

Chłopak spojrzał nań ze zdumieniem.

–Nie widzisz proporców?

Wyrwał się i pognął dalej.

Proporce... Gdy Dunk odwrócił głowę, wiatr rozwinął czarną wstęgę umocowaną na długich drzewcach i srogi, trójgłowy smok rodu Targaryenów nieomal rozpostarł skrzydła i buchnął prawdziwym, szkarłatnym ogniem. Chorążym był wysoki rycerz w białej łuskowej zbroi ze złotymi zdobieniami i nieskazitelnie białym płaszczu na ramionach. Oprócz niego dwaj jeszcze jeźdźcy odziani byli od stóp do głów w biel. Straż Królewska z monarszym sztandarem, skonstatował. Nic dziwnego, że lord Ashford i jego synowie spieszyli już od wrót warowni, a za nimi podążała piękna, niska dziewczyna z żółtawymi włosami i okrągłą, różową twarzą. Jak dla mnie, to wcale nie jest taka piękna, pomyślał Dunk. Dziewczę od lalek było o wiele ładniejsze.

–Jeżdż no z tego kucyka, chłopcze, i zajmij się moim koniem.

Jeździec opuścił się z siodła tuż przed stajnią. On mówi do mnie, zorientował się Dunk.

–Nie jestem stajennym, mój panie.

–Aż tak brak ci rozumu? – Mówiący te słowa nosił czarny płaszcz obrębiony szkarłatnym atłasem, pod spodem jednak jego strój był płomieniście czerwony, żółty i złoty. Smukły i prosty jak lanca, chociaż tylko średniego wzrostu, był niemal w wieku Dunka. Dumną i wyrazistą twarz okalały pukle srebrzysto-złotych włosów, czoło miał wysokie, kości policzkowe wydatne, nos prosty, a skórę jasną i nieskalanie gładką. Jego oczy miały odcień głębokiego fioletu. – Jak nie umiesz sobie radzić z końmi, to przynieś

mi trochę wina i jeszcze dziewczuchę jakąś sprowadź.

–Przepraszam, mój panie... ale służącym też nie jestem. Mam zaszczyt być rycerzem.

–Upada stan rycerski w naszych podłych czasach – mruknięto książątka, ale zaraz przybiegł jeden ze stajennych, młodzieniec zaś przekazał mu wodze swego gniadosza pełnej krwi i natychmiast zapomniał o Dunku. Chłopakowi ulżyło i czym prędzej wycofał się do stajni, aby poczekać na koniuszego. Dość miał towarzystwa wszystkich tych wielkich panów ze wspaniałych pawilonów i tylko księcia mu brakowało...

Że piękniś był księciem, nie ulegało wątpliwości. W żyłach Targaryenów płynęła krew mieszkańców zaginionej za morzami Valyrii, a srebrzysto-złote włosy i fioletowe oczy stawiały ich ponad zwykłymi ludźmi. Dunk wiedział, że księżę Baelor liczył już całkiem sporo lat, jednak ten tu mógł być jednym z jego synów: Valarrem, którego dla odróżnienia od ojca zwano często „Młodym Księciem”, albo Matarysem, „Jeszcze Młodszym Księciem”, jak przezwał go kiedyś błazen starego lorda Swanna. Byli oczywiście jeszcze inni książęta, kuzyni Valarra i Matarysa. Dobry król Daeron wychował czterech synów, z których trzech miało już własnych potomków. Linia smoczycy królów wygasła niemal za dni jego ojca, powiadano jednak powszechnie, że Daeron II i jego synowie zadbali o jej przetrwanie po wsze czasy.

–Ty. Szukałeś mnie – odezwał się oschle koniuszy lorda Ashford, czerwonolicy mężczyzna w pomarańczowej liberii. – O co chodzi? Nie mam czasu na...

–Chcę sprzedać tego wierzchowca – przerwał mu szybko Dunk, nie czekając, aż koniuszy się go pozbędzie. – To dobra klacz, trzyma krok...

–Mówię, że nie mam czasu. – Niemal nie spojrzał na Miłą. – Mojemu panu nie trzeba takich koni. Zabierz ją do miasta, może Henly da ci za nią kilka sztuk srebra.

Ledwo to powiedział, odwrócił się.

–Dziękuję, panie – rzucił Dunk, nim tamten zdołał odejść. – Panie, czy król też przybywa?

Koniuszy roześmiał się głośno.

–Dzięki bogom, nie. Ta inwazja krwi książęcej to i tak wystarczająco ciężka próba. Gdzie ja znajdę stajnie dla tych wszystkich koni? A obrok?

Odszedł, pokrzykując na stajennych.

Zanim Dunk opuścił stajnie, lord Ashford powiódł swoich możliwych gości do pałacu. Mimo to dwaj królewscy strażnicy w białych zbrojach i śnieżnych płaszczach zostali na podwórku pogrążeni w rozmowie z kapitanem warty. Dunk zatrzymał się przed nimi.

–Panowie, jestem ser Duncan Wysoki.

–Witaj, ser Duncanie – odparł roślejszy z dwóch rycerzy. – Jestem ser Roland

Crakehall, a to mój ślubowany brat, ser Donnel z Duskendale.

Siedmiu szermierzy Straży Królewskiej stanowiło elitę rycerstwa Siedmiu Królestw i ustępowało pozycją może tylko następcy tronu, samemu Baelorowi Breakspearowi.

–Przybyłście zapisać się na turniej? – spytał z niepokojem Dunk.

–Nie przystoi nam stawać przeciwko tym, których przysięgaliśmy chronić – odparł ser Donnel, mężczyzna o rudych włosach i takiejż brodzie.

–Książę Valarr ma zaszczyt być jednym z szermierzy lady Ashford – wyjaśnił ser Roland. – Dwóch jego kuzynów zamierza go wyzwać. Reszta przyjechała tylko po to, aby popatrzeć.

Dunkowi ulżyło. Podziękował białym rycerzom za uprzejmość i wyjechał z zamku, nie czekając, aż kolejny książę znajdzie dlań jakąś robotę. Książątka w sile trzech, dumiał, kierując klacz ku ulicom Ashford. Yalarr był najstarszym synem księcia Baelora, drugim w kolejności pretendentem do Żelaznego Tronu, Dunk nie miał jednak pojęcia, ile właściwie potomek odziedziczył ze sławnego talentu ojca do robienia mieczem i włócznią. O pozostałych książętach z rodu Targaryenów wiedział jeszcze mniej. I co pocznę, gdy przyjdzie mi stawać przeciwko księciu? Pozwolą w ogóle, bym zmierzył się z kimś tak wysoko urodzonym? – zastanawiał się. Nie znał odpowiedzi. Stary powiadał kiedyś, że jego podopieczny jest gruboskórny niczym mur warowni i Dunk gotów był obecnie uznać, że to święta prawda.

Henly wyrażał się o Miłej z uznaniem do czasu, gdy dowiedział się, że klacz jest na sprzedaż. Wtedy nagle zaczął dostrzegać jej wady. Zaproponował trzysta sztuk srebra. Dunk odparł, że liczy raczej na trzy tysiące. Po długich, okraszonych przekleństwami targach ustalili cenę na siedemset pięćdziesiąt sztuk srebra, co było sumą bliższą wstępnej



propozycji kupca, a nie Dunka. Jednak Henly naprawdę nie zamierzał dać więcej i Dunk musiał się poddać. Kolejna różnica zdań pojawiła się w chwili, gdy przyszło do siodła. Zdaniem Dunka, nie było ono wliczone w cenę, kupiec uważał wręcz przeciwnie.

Ostatecznie dobili targu i Henly poszedł po pieniądze, Dunk zaś pogłaskał grzywę Miłej i szepnął klaczy, aby była dzielna.

–Jeśli wygram, to wrócę cię wykupić, obiecuję.

Nie miał przy tym wątpliwości, że wszystkie niedostatki wierzchowca znikną do jutra jak ręką odjął i jego cena będzie co najmniej dwukrotnie wyższa.

Henly wręczył chłopakowi trzy sztuki złota i resztę w srebrze. Dunk przygryzł jedną z monet i uśmiechnął się. Nigdy wcześniej nie próbował złota, nigdy go nawet nie miał. Złote monety zwano „Smokami” od wybitego z jednej strony wizerunku trójgłowego smoka Targaryenów. Na odwrocie widniała podobizna króla. Na dwóch monetach Dunk

poznał profil króla Daerona, trzecia była starsza, mocno zużyta – ukazywała kogoś zupełnie innego. Powyżej wypisano jego imię, lecz Dunk nie potrafił przecież czytać. Zauważył jednak, że moneta została porządnie oberżnięta, i natychmiast głośno zwrócił na to uwagę kupcowi. Tamten pomruczał trochę, ale dorzucił jeszcze kilka sztuk srebra i garść miedziaków dla wyrównania wagi. Dunk oddał mu zaraz kilka drobnych monet.

–To dla niej. – Wskazał Miłą. – Żeby miała owsa wieczorem. I jabłko.

Z tarczą na ramieniu i workiem ze starą zbroją na plecach ruszył przez zalane słońcem ulice Ashford. Ciężące w kieszeni pieniądze wyraźnie poprawiły mu humor, chociaż z drugiej strony nieco się lękał. Stary nigdy nie powierzał mu więcej niż jedną czy dwie monety, a za taką sumę mógłby przeżyć cały rok. Ale co zrobię, gdy się skończą? Sprzedam Groma? – myślał. W ten sposób mógł łącznie skończyć jako wyjęty spod prawa rozbójnik. Druga taka szansa się nie powtórzy, muszę postawić wszystko na jedną kartę, wiedział.

Gdy przechodził przez bród na południowy brzeg rzeki, słońce stało już całkiem wysoko i tereny turniejowe znowu się ożywiły. Sprzedawcy wina i kielbasek uwijali się jak w ukropie, a tańczący misio człapał w rytm śpiewanej przez jego pana piosenki: „Niedźwiedź, niedźwiedź i panna piękna...” Kuglarze robili dużo szumu, lalkarze zaś kończyli kolejne przedstawienie.

Zatrzymał się, by zerknąć na dobijanie drewnianego smoka. Gdy kukielka rycerza odrąbała łeb bestii i czerwony pył sypnął się z karku na trawę, Dunk roześmiał się głośno i rzucił dziewczynie dwa miedziaki.

–Jeden za wczoraj – zawołał. Chwyciła monety w powietrzu i uśmiechnęła się. Dunk nie widział jeszcze tak wdzięcznego uśmiechu.

To było do mnie czy do pieniędzy? – zastanawiał się. Dunk nigdy jeszcze nie był z dziewczyną i dość go to peszyło. Przed trzema laty, kiedy sakiewka starego była akurat pełna po półrocznej służbie u ślepego lorda Florenta, opiekun obwieścił młodziakowi, że przyszła pora, aby zabrać go do burdelu, gdzie uczynią zeń mężczyzną. Potem jednak się upił, a gdy wytrzeźwiał, niczego nie pamiętał, Dunk zaś nie śmiał mu przypominać. Zresztą, nie był pewien, czy chciałby kurewki. Rycerz winien poszukać sobie wysoko urodzonej panny, a gdyby to się nie udało, i tak wolałby dziewczynę, która lubiłaby raczej jego niż jego srebro.

–Napijesz się piwa? – spytał lalkarkę, gdy ta zbierała trociny i wsypywała je z powrotem do wnętrza smoka. – Znaczy ze mną? A może masz ochotę na kielbaskę? Zjadłem jedną wczoraj, dobra była. Chyba wieprzowa.

–Dziękuję, panie, ale zaraz mamy następne przedstawienie.

Dziewczyna wstała i podbiegła szybko do grubej kobiety, która wcześniej prowadziła drewnianego rycerza. Dunk został z głupią miną. Piękna dziewczyna. I wysoka. Nie musiałbym klękać, żeby ją ucałować, myślał. Wiedział, jak się całuje. Rok temu nauczył się tego od jednej dziewczyny w tawernie w Lannisport, ale była tak niska, że musiała usiąść na stole, by dosięgnąć jego ust. Aż mu uszy zapłonęły, gdy to sobie przypominał. Powinien teraz myśleć o turnieju, a nie o całowaniu.

Cieśle lorda Ashford bielili właśnie wysokie do pasa barierki, które miały dzielić walczących. Dunk przyjrzał się ich pracy. Było pięć torów ułożonych w kierunku północ-południe, tak aby żadnemu z zawodników słońce nie świeciło w oczy. Po wschodniej stronie pola wzniesiono trzyczęściową widownię z pomarańczowym baldachimem mającym ocieniać skutecznie lordów i ich damy. Większości wyznaczono miejsca na ławach, lecz pośrodku widniały cztery fotele z wysokimi oparciami dla lorda Ashford, jego pięknej pani i książęcych gości.

Dalej, na wschodnim skraju, postawiono słup do ćwiczeń z kopią i z pół tuzina rycerzy zamierzało się nań, aż cały się obracał, gdy trafiali w przymocowaną do ramienia tarczę. Jako kolejny rozpędził się Brutal Bracken, po nim zaś lord Caron z Bagien. Takiej wprawy jak oni to nie mam na pewno, pomyślał Dunk z niepokojem.

Gdzie indziej ćwiczyli piesi – nacierali na siebie z drewnianymi mieczami w dłoniach, podczas gdy ich giermkowie doradzali im krzykiem to czy tamto. Dunk przyjrzał się zwałistemu młodzianowi, który próbował stawić opór muskularnemu rycerzowi, zwinnemu i szybkemu niczym górski kot. Obaj nosili na tarczach czerwone jabłko Fossowayów, jednak młodszy szybko padł pod gradem ciosów.

–Oto jabłuszko, co jeszcze nie dojrzało do zerwania – stwierdził starszy, palnąwszy przeciwnika w hełm. Młodszy Fossoway był cały posiniaczony, a nawet krwawił, tymczasem jego przeciwnik nawet się porządnie za zasapał. Uniósł przyłbicę, rozejrzał się i

dostrzegł Dunka.

–Hej, ty tam, duży. Tak, do ciebie mówię, rycerzu uskrzydłonego kielicha. Czy to prawdziwy miecz widzę u twego boku?

–Jest po prawie mój – odparł Dunk prawie tonem obrony. – Jestem ser Duncan Wysoki.

–A ja ser Steffon Fossoway. Zechcesz zmierzyć się ze mną, ser Duncanie Wysoki? Chętnie skrzyżowałbym oręż z kimś nowym. Mój kuzyn jeszcze nie dojrzał do robienia mieczem, jak sam zresztą widziałeś.

–Zgódź się, ser Duncanie – zaczął namawiać go pobity Fossoway, ściągnając hełm. – Może ja nie dojrzałem, ale za to mój kuzyn zdołał już przejrzeć ze szczętem. Trzeba wytrząsnąć mu ze łba nasiona.

Dunk pokręcił głową. Czemuż te paniątka postanowiły wciągnąć go w swoją sprzeczkę? Nie miał na to najmniejszej ochoty.

–Dziękuję, ser, ale czekają mnie pewne pilne sprawy.

Z takimi pieniędzmi w kieszeni nie czuł się zbyt swobodnie. Im szybciej zapłaci Pate'owi i odbierze zbroję, tym rychlej wróci mu spokój.

Ser Steffon spojrział nań z wyrzutem.

–Błędny rycerz ma swoje sprawy. – Rozejrzał się w poszukiwaniu innego przeciwnika. – Witam, ser Grance. Co za traf. Zmierz się ze mną. Znam już wszystkie żalosne sztuczki, które mój kuzyn Raymun zdołał zrządzeniem losu opanować, a ser Duncan błędnie się spieszy. Proszę do mnie...

Dunk odszedł powoli z czerwonym licem. Nie znał zbyt wielu sztuczek, nawet tych żalonych, i wcale nie chciał, by ktokolwiek ujrzał go w walce przed turniejem. Stary powtarzał zawsze, że im więcej wie się o swoim wrogu, tym łatwiej go podejść. Rycerze w rodzaju ser Steffona mieli bystre oko i natychmiast dostrzegali słabości przeciwnika. Dunk był silny i szybki, a spora waga i zasięg ramion stanowiły dodatkowe atuty, jednak ani przez chwilę nie sądził, że dorównuje innym umiejętnościami. Ser Arlan nauczył go ile mógł, lecz stary nawet w młodości nie należał do najznakomitszych rycerzy. Tacy nie pędzą błędnego życia i nie umierają na skraju błotnistej drogi. Ze mną będzie inaczej, poprzysiągł sobie Dunk. Pokażę im, że potrafię być kimś więcej niż tylko błędnym rycerzem.

–Ser Duncanie! – zawołał młodszy Fossoway, dogoniwszy młodzieńca. – Nie powinienem namawiać waści na pojedynki z moim kuzynem, ale rozżłościła mnie jego arogancja, a waść taki rosły jesteś, więc pomyślałem... cóż, myliłem się. Nie masz na sobie zbroi, mógłby złamać waści rękę, gdyby zechciał, a może i kolano rozłupać. Lubi obijać ludzi na

placu ćwiczeń, by posiniaczeni byli potem łatwiejsi, gdy przyjdzie mu spotkać się z nimi na poważnie.

–Waści nie połamął.

–Nie, ale ja jestem jego krwi, chociaż to on jest tym jabłkiem, co na wyższej gałęzi dojrzewa, o czym zresztą wiecznie mi przypomina. Jestem Raymun Fossoway.

–Miło waści poznać. Weźmiecie obaj udział w turnieju?

–On na pewno. Co do mnie, to chętnie, gdybym tylko mógł. Na razie jestem dopiero giermkim. Kuzyn obiecał, że pasuje mnie na rycerza, ale wciąż się upiera, że jeszcze nie dojrzałem. – Raymun miał kwadratową twarz, spłaszczony nos, krótkie, kręcone włosy i całkiem szczerzy uśmiech. – Na moje oko wyglądasz waść na kogoś, kto zwykł wyzywać innych. W czyjąż tarczę zamierzasz uderzyć?

–Wszystko mi jedno – odparł Dunk zgodnie z etykietą, chociaż po prawdzie daleki był w tej kwestii od obojętności. – Pojawię się na turnieju dopiero trzeciego dnia.

–A do tej pory paru mistrzów już odpadnie, rozumiem – powiedział Raymun. – Niech Wojownik się do waści uśmiechnie, ser.

–I do waszeci też.

Jeśli on jest tylko giermkim, to na co mi być rycerzem? Jeden z nas wychodzi w ten sposób na skończonego głupca, pomyślał Dunk. Srebro w sakiewce brzęczało mu przy każdym kroku, ale wiedział, że może je stracić w mgnieniu oka. Nawet reguły turnieju nie sprzyjały mu w tej materii, dając niewielkie szanse spotkania niedoświadczonego lub słabego przeciwnika.

Sam turniej mógł się potoczyć według jednego z kilku porządków, zależnie od kaprysu możnowładcy, który akurat organizował celebrę. Zdarzały się bitwy między zespołami rycerzy albo ogólne młócki. Z tych ostatnich zwycięsko wychodził ten, który najdłużej ostał się na polu. Przy systemie indywidualnych pojedynków o doborze par czasem decydował los, a czasem mistrz gier.

Lord Ashford sprosił rycerzy dla uczczenia trzynastych imienin swej córki. Piękna panna miała zasiąść u boku ojca jako panująca Królowa Miłości i Piękna. Pięciu cieszących się jej względami mistrzów miało bronić pannicy, wszyscy inni rycerze kwestionowali zatem, chcąc nie chcąc, przymioty córki władcy. Gdy jednak ktoś pokona któregoś z mistrzów, będzie musiał zająć jego miejsce – przynajmniej do chwili, aż sam zostanie wyrzucony z siodła. Pod koniec trzeciego dnia walk pozostała na placu piątka miała zdecydować, czy piękna panna zatrzyma koronę Miłości i Piękna, czy też powinna przekazać ją innej.

Dunk wpatrzył się w trawiaste pole i puste miejsca na trybunie i zadumał się nad swoimi

szansami. Potrzebował tylko jednego zwycięstwa, potem będzie się już mógł zwać jednym ze zwycięzców z Łąk Ashford. Choćby był nim ledwo przez godzinę... Stary przeżył blisko sześćdziesiąt lat, a nigdy nie był zwycięzcą. To chyba nie są przesadzone nadzieje, o ile bogowie będą sprzyjać, pomyślał. Przypomniawszy sobie te wszystkie pieśni, które słyszał, pieśni o ślepym Symeonie Gwiazdookim i szlachetnym Serwynie herbu Lustrzana Tarcza, księciu Aemonie zwanym Smoczym Rycerzem, o ser Ryamie Redywne i Florianie Głupcu. Wszyscy oni pokonali wrogów o wiele straszniejszych niż ci, z którymi Dunk miał się zmierzyć. Ale oni byli wielkimi bohaterami, szlachetnie urodzonymi herosami. Poza Florianem. A kimże ja jestem? Dunkiem z Pchlego Zadka? Ser Duncanem Wysokim? – zastanawiał się.

Podejrzewał, że niebawem pozna prawdę. Zarzucił worek na plecy i ruszył ku straganom kupców, gdzie winien czekać Pate.

Jajo sprawił się całkiem dobrze i Dunk był zadowolony; obawiał się w duchu, że giermek ucieknie, miast zajmować się obozowiskiem.

–Dostałeś dobrą cenę za swoją klacz? – spytał chłopak.

–Skąd wiesz, że ją sprzedałem?

–Odjechałeś wierzchem, a wracasz pieszo i nie jesteś nawet w części tak wściekły, jak byłbyś, gdyby ci ją ukradli.

–Dostałem, ile trzeba. – Dunk wyjął nową zbroję, żeby pokazać ją chłopakowi. – Jeśli masz kiedyś zostać rycerzem, musisz nauczyć się odróżniać dobrą stal od złej. Patrz, to jest robota jak trzeba. Kolczuga z podwójnego łańcuszka, każde ogniwo łączy się z dwoma innymi, widzisz? Daje lepszą ochronę niż pojedyncza. I hełm. Pate zrobił go z zaokrąglonym wierzchem, widzisz krzywiznę? Miecz i topór ześlizną się po nim. W taki z płaskim zwieńczeniem mogłyby się wbić. – Dunk nasunął szyszak na głowę. – I jak wygląda?

–Nie ma przyłbicy – zauważył Jajo.

–Ale są otwory wentylacyjne. Przyłbica to zawsze słaby punkt. – Tyle wyjaśnił mu Pate. – Gdybyś wiedział, ilu rycerzy dostało strzałę w oko, kiedy unieśli przyłbicę, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, to też byś żadnej nie chciał.

–Nie ma też kryzy – dodał Jajo. – Równa blacha.

Dunk zdjął hełm.

–Dla takich jak ja wystarczy. Widzisz, jaka jasna jest ta stal? Będziesz pilnował, żeby zawsze tak wyglądała. Wiesz, jak czyścić kolczugę?

–W barylce z piaskiem – odparł chłopiec. – Ale ty nie masz barylki. Kupiłeś może namiot,

ser?

–Aż tak dobrej ceny za klacz to nie dostałem. – Ten szczeniak dla własnego dobra nie powinien być taki śmiały. Trzeba będzie wybić mu to z głowy, pomyślał Dunk. Wiedział jednak, że ręki na niego nie podniesie. Podobała mu się jego śmiałość. Sam chciałby być taki. Mój giermek jest odważniejszy ode mnie. I bardziej rozgarnięty na dodatek. – Ty też ładnie sobie poradziłeś, Jajo. Rano pojedziesz ze mną, rzucimy okiem na pole turniejowe, kupimy nieco owsa dla koni, a dla nas świeży chleb. Może też trochę sera, na jednym ze straganów widziałem całkiem dobry.

–Będę musiał wchodzić do zamku?

–A czemu nie? Pewnego dnia zamierzam osiąść w jakimś. Mam nadzieję dorobić się godnego miejsca jeszcze za życia.

Chłopak nie odpowiedział. Pewnie boi się wejść do zamku lorda, pomyślał Dunk. Ale i czego oczekiwać... Wyrośnie z tego z czasem. Błędny rycerz wrócił do podziwiania swej zbroi i rozmyślał nad tym, jak długo ją ponosi.

Ser Manfred był szczupłym mężczyzną z wiecznie kwaśną miną. Nosił czarną opończę naznaczoną purpurową błyskawicą rodu Dondarrionów, lecz Dunk pamiętał

przede wszystkim jego niesforną grzywę rudo-złotych włosów.

–Ser Arlan służył waszemu ojcu, gdy wybrał się z lordem Caronem wykurzyć ogniem i mieczem Sępiego Króla z Gór Czerwonych, ser – powiedział, przyklękając na jedno kolano. – Byłem wtedy tylko chłopcem, ale służyłem mu już za giermka. Ser Arlanowi z Pennytree.

Ser Manfred spojrzał z ukosa.

–Nie, nie znam go. Ani ciebie, chłopcze. Dunk pokazał mu tarczę starego.

–To był jego znak, uskrzydłony kielich.

–Mój ojciec wziął na tamtą wyprawę osiem setek rycerzy i blisko cztery tysiące pieszych. Trudno, żebym pamiętał ich wszystkich, o tarczach nie mówiąc. Możliwe, że byłeś z nami, ale... – Ser Manfred wzruszył ramionami.

Dunkowi na chwilę mowę odjęło. Stary odniósł ranę w służbie twojego ojca, jak mogłeś go zapomnieć? – pomyślał.

–Ale jeśli jakiś lord czy rycerz się za mną nie wstawi, nie pozwolą mi wziąć udziału w turnieju.

–Co ja za to mogę? – rzekł ser Manfred. – I tak poświęciłem ci już wystarczająco dużo

czasu, ser.

Jeśli wróci na zamek bez ser Manfreda, wszystko przepadnie. Dunk spojrzął uważnie na błyskawicę jaśniejącą na czarnej opończy rycerza.

–Pamiętam, jak ojciec waszeci opowiadał w obozie, skąd wziął się znak rodu Dondarrionów. Pewnej burzliwej nocy pierwszy z waszego rodu przynosił wiadomość przez Bagna Dorne'u. Strzała zabiła pod nim konia, a on sam spadł na ziemię. Dwóch Dorneńczyków wyszło z mroku w pierścieniowych kolczugach i hełmach z kryzami.

Miecz pękł pod przodkiem waszeci w trakcie upadku. Gdy to ujrzał, pomyślał, że już po nim. Kiedy jednak Dorneńczycy podeszli, aby go zabić, błyskawica uderzyła z nieba. Była jasnopurpurowa. Rozszczepiła się, trafiła obu odzianych w stal wrogów i zabiła ich na miejscu. Wiadomość dotarła i dała Burzowemu Królowi zwycięstwo nad Dorneńczykami, przez co z wdzięczności mianował posłańca szlachcicem. Pierwszy lord Dondarrion przyjął za swój znak rozdwojoną błyskawicę na czarnym polu usianym gwiazdami.

Jeśli Dunk miał nadzieję, że wyrze w ten sposób na ser Manfredzie jakieś wrażenie, to nie mógł się bardziej pomylić.

–Každy pomywacz i parobek na służbie mojego ojca wcześniej czy później poznaje tę historię. Że i ty ją słyszałeś, nie czyni jeszcze z ciebie rycerza. Pokój z tobą, ser.

Wracając z ciężkim sercem do zamku Ashford, Dunk zastanawiał się, co takiego powiedzieć Plummerowi, by ten mimo wszystko dopuścił go do turnieju. Namiestnika nie było jednak w komnacie w wieżycze, a strażnik kazał go szukać w Wielkiej Sali.

–Mogę tu poczekać? – spytał Dunk. – Jak długo tam zabawi?

–A skąd mam wiedzieć? Rób, jak uważasz.

Wielka Sala nie była tak wielka, jak zdarzało się to pałacowym salom, ale też zamek w Ashford nie należał do najokazalszych. Ledwo Dunk przekroczył próg, dostrzegł namiestnika. Stał wraz z lordem Ashford i tuzinem innych mężów na drugim końcu pomieszczenia. Dunk ruszył ku gromadzie wzdłuż obwieszających ścianę gobelinów w kwiaty i owoce.

–...idę o zakład, że gdyby to byli twoi synowie, to bardziej byś się przejmował – usłyszał Dunk, gdy się zbliżał. Słowa te wypowiedział zirytowany mężczyzna z prostymi włosami i przyciętą z kantami brodą. Jedno i drugie miał tak jasne, że w półmroku sali zdawały się śnieżnobiałe. Z bliska można było jednak zauważyć, że włosy ma po prostu siwe z lekką domieszką barwy złocistej.

–Daeronowi już się to zdarzało – odparł ktoś inny, zasłonięty akurat przez Plummera. –

Niepotrzebnie kazałeś mi się zapisywać. Turnieje interesują go akurat tak samo jak Aerysa czy Rhaegela.

–Przez co chcesz powiedzieć, że chętniej dziwki ujeżdża niż konie – warknął ten pierwszy, mocno zbudowany, silny i bez wątpienia ksiązę, bo nosił skórzaną brygantynę nabijaną srebrnymi ćwiekami, na wierzch zaś narzucił ciężki czarny płaszcz obszyty gronostajami. Policzki szpeciły mu częściowo tylko skryte pod zarostem ślady po syfilisie. – Nie trzeba przypominać mi o wadach mego syna, bracie. Ma tylko osiemnaście lat i może się jeszcze zmienić. I zmieni się, na bogów przeklętych, albo przysięgam, że go zatłukę.

–Nie rób z siebie głupca. Daeron jest, jaki jest, ale to wciąż twoja krew. I moja. Nie wątpię, że ser Roland go odszuka, a wraz z nim i Aegona.

–Tak, gdy turniej już się skończy.

–Aerion już tu jest, a on czym jak czym, ale włącznie władza na pewno lepiej niż Daeron, jeśli to turniejem się martwisz. – Dunk dojrzał wreszcie mówiącego te słowa. Siedział na fotelu z wysokim oparciem, w dłoni trzymał zwój pergaminów. Lord Ashford zaglądał mu przez ramię. Nawet gdy siedział, wyglądał na znacznie wyższego niż ten drugi, przynajmniej jeśli sądzić po długich nogach, które wyciągnął przed siebie. Miał ciemne, lecz poznaczone siwizną, krótko przycięte włosy i gładko wygoloną brodę. W przeszłości musiał chyba mieć złamany nos, możliwe nawet, że więcej niż jeden raz. Chociaż strój nosił prosty – zwykły zielony kubrak, brunatny płaszcz i zdarte buty – miał w sobie coś z monarchy. Ten mąż przywykł rządzić innymi i całkowicie zawierzał swoim osądom.

Do Dunka dotarło, że wszedł w bardzo nieodpowiedniej chwili i jest tu osobą nader niepożądaną. Najlepiej wyjdę i poczekam, aż skończą, postanowił, lecz było już za późno. Ksiązę ze srebrzystą brodą zdążył go zauważyć.

–Kim jesteś i czemu nas nachodzisz? – spytał ostro.

–Nasz namiestnik oczekuje tego rycerza – stwierdził siedzący i uśmiechnął się do Dunka w szczególny sposób, jakby chciał zasugerować, że przez cały czas zdawał sobie sprawę z jego obecności. – Już prędzej my jesteśmy tu intruzami. Podejź bliżej, ser.

Dunk podszedł, niepewny, czego właściwie od niego oczekują. Spojrzał na Plummera, ale nie uzyskał żadnej pomocy. Namiestnik, tak pełen sił wczoraj, dziś stał bez słowa i wpatrywał się w kamienie posadzki.

–Panowie – powiedział Dunk – prosiłem ser Manfreda Dondarriona o wstawiennictwo, żebym mógł się wpisać na listę, ale odmówił. Powiada, że mnie nie zna. Jednak ser Arlan mu służył, przysięgam. Mam jego miecz i tarczę, i...

–Tarcza i miecz nie czynią rycerza – stwierdził lord Ashford, wielki, łysy mężczyzna z okrągłą, rumianą twarzą. – Plummer mówił mi o tobie. Nawet jeśli uznamy, że ten oręż



należał do ser Arlana z Pennytree, to przecież mogłeś go znaleźć przy martwym i po prostu ukraść. Jeśli nie przedstawisz bardziej wiarygodnego dowodu, na przykład na piśmie...

–Pamiętam ser Arlana z Pennytree – odezwał się cicho mąż siedzący na fotelu. – Nic mi nie wiadomo, by wygrał kiedyś turniej, ale też nigdy nie skalał się kłamstwem. Szesnaście lat temu w Królewskiej Przystani pokonał w ogólnej walce lorda Stokewortha i Bastarda herbu Harrenhal, a wiele lat wcześniej w Lannisport wysadził z siodła samego Siwego Lwa. W tamtych czasach lew nie był jeszcze tak siwy, zaręczam wam.

–Opowiadał mi o tym wiele razy – potwierdził Dunk. Wysoki mąż przyjrzał mu się uważnie.

–Zatem na pewno pamiętasz prawdziwe imię Siwego Lwa. Przez chwilę Dunk czuł w głowie kompletną pustkę. Tysiące razy stary opowiadał mi tę historię, tysiące razy... lew, lew, jego imię, imię, imię... – ponaglał się w myślach. Był już bliski rozpacz, ale nagle sobie przypomniał.

–Ser Damon Lannister! – wykrzyknął. – Siwy Lew! Teraz to lord Casterly Rock.

–Zaiste – odparł uprzejmie wysoki. – Rano wpisze cię na listę. – Zaszleścił trzymanymi w dłoni pergaminami.

–Jak możesz pamiętać jakiegoś błędnego rycerza, któremu z górą szesnaście lat temu udało się pokonać Damona Lannistera? – spytał książę z siwą brodą, marszcząc przy tym brew.

–Zwykłem dobrze poznawać moich przeciwników.

–A co ty możesz mieć wspólnego z błędnymi rycerzami?

–To było dziewięć lat temu, w Końcu Burzy. Lord Baratheon zorganizował rozgrywki dla uczczenia narodzin wnuka. Los sprawił, że w pierwszym pojedynku potykałem się właśnie z ser Arlanem. Złamaliśmy cztery kopie, nim ostatecznie wysadziłem go z siodła.

–Siedem – poprawił go Dunk z naciskiem. – I to było w walce przeciwko księciu Smoczej Wyspy!

Ledwo to powiedział, pożałował, że w ogóle otwierał gębę. „Dunk-kunk, gruboskórny jak mur zamku”, słyszał prawie wymówkę starego.

–Tak było – uśmiechnął się łagodnie książę ze złamanym nosem. – Wiem jednak, że opowieść obrasta z latami w legendę. Nie myśl źle o swoim dawnym mistrzu, ale obawiam się, że to naprawdę były tylko cztery kopie.

Dunk był wdzięczny losowi, że w sali jest tak ciemno, bo wiedział, że uszy ma szkarłatne, albo i jeszcze gorzej.

–Mój panie. – Nie, tak też nie, napomniał się. – Wasza Łaskawość. – Opadł na kolana i opuścił głowę. – Jak waść powiedziałaś, cztery, ja nie... ja nigdy... stary, ser Arlan zwykł mawiać, że mam skórę grubą jak mur zamku i powolny w myśleniu jestem niczym żubr.

–I jak żubr silny, wnosząc z wyglądu – powiedział Baelor Breakspear. – Nic się nie stało, ser. Wstań.

Dunk zrobił, co mu kazano, chociaż dalej nie wiedział, czy może w ogóle spojrzeć księciu w oczy. Rozmawiam z Baelorem Targaryenem, księciem Smoczej Wyspy, Ręką Króla i dziedzicem Żelaznego Tronu Aegona Zdobywcy, myślał szybko. Cóż mógł błędny rycerz rzec takiej osobie?

–Oddałeś mu, waść, konia i oręż i nie wzięłeś okupu, jak pamiętam – wydukał. – Sta... ser Arlan powiedział mi, że duch rycerstwa przemówił przez Waszą Łaskawość i że pewnego dnia Siedem Królestw bezpiecznymi przejdzie w wasze ręce.

–Mam nadzieję, że to jeszcze nieprędko – powiedział książę Baelor.

–Tak – rzucił przerażony Dunk. Omal nie dodał: „Wcale nie chciałem przez to powiedzieć, że wypatruję śmierci naszego króla”, ale w porę się powstrzymał. – Przepraszam, panie. Znaczy, Wasza Łaskawość.

Nagle przypomniał sobie, że rosy mąż ze srebrną brodą nazwał księcia Baelora bratem. On też jest smoczej krwi, ale ze mnie głupiec, pomyślał. To mógł być tylko książę Maekar, najmłodszy z czterech synów króla Daerona. Księża Aerysa interesowały wyłącznie księgi, a książę Rhaegel był niespełna rozumu i nader chorowity. Żaden z nich nie wyruszyłby w podróż przez pół królestwa, by wziąć udział w turnieju, jednak Maekar

był podobno urodzonym wojownikiem, groźnym, choć ciągle pozostawał w cieniu starszego brata.

–Pragniesz wpisać się na listę? – spytał książę Baelor. – To sprawa dla mistrza gier, ale osobiście nie widzę powodu, aby ci odmawiać.

Namiestnik uniósł głowę.

–Jak sobie życzysz, panie.

Dunk chciał ich zasypać podziękowaniami, lecz książę Maekar mu w tym przeszkodził.

–Dobrze już, dobrze. Rozumiemy, że jesteś wdzięczny. A teraz odejdz w pokoju.

–Musisz wybaczyć memu szlachetnemu bratu – powiedział książę Baelor. – Dwóch jego synów zapodziało się gdzieś pod drodze na turniej i bardzo się o nich niepokoi.

–Wiele strumieni przybrało po wiosennych deszczach – wyrwał się Dunk. – Pewnie tylko się spóźniła.

–Nie przybyłem tutaj, aby wysłuchiwać rad błędnego rycerza – mruknął książę Maekar do brata.

–Możesz już iść, ser – powiedział książę Baelor, ciągle całkiem uprzejmie.

–Tak, mój panie.

Skłonił się i odwrócił, nim jednak zdołał się oddalić, książę raz jeszcze go zawołał.

–Ser, jeszcze jedno. Jesteś krewniakiem ser Arlana?

–Tak, panie. Znaczy, nie. Nie jestem.

Książę spojrział na tarczę Dunka, a dokładniej na wymalowany tam uskrzydłony kielich.

–Wedle prawa tylko syn z prawego łoża może dziedziczyć po rycerzu. Musisz sobie znaleźć nowy, własny znak, ser.

–Uczynię to – powiedział Dunk. – Dziękuję raz jeszcze, Wasza Łaskawość. Ujrzycie, jak dzielnie będę stawał.

„Tak dzielnie jak Baelor Breakspear”, mawiał często stary.

Sprzedawcy wina i kiełbasek wciąż nie mogli narzekać na brak klientów, a między stoiskami i namiotami pojawiły się jeszcze dziewczki sprzedajne, niektóre zresztą całkiem ładne, zwłaszcza jedna rudowłosa. Dunk nie mógł oczu oderwać od jej piersi, tak kusząco poruszały się pod obszerną koszulą. Mijając ją, pomyślał o srebrze ukrytym w sakiewce. Gdybym zechciał, mógłbym ją mieć. Polubiłaby brzęk moich monet. Mógłbym ją zabrać do obozowiska i mieć przez całą noc, gdyby tak mi się podobało, myślał. Nigdy nie zległ jeszcze z kobietą, a przecież może się zdarzyć, że zginie w pierwszym pojedynku. Turnieje bywają niebezpieczne... lecz dziwki też, stary nieraz go ostrzegał. Mogłaby

mnie okraść podczas snu i co bym wtedy zrobił? – pytał się w myślach. Gdy rudowłosa obejrzała się na niego przez ramię, Dunk tylko pokręcił głową i przyspieszył kroku.

Chłopaka znalazł przed teatrzykiem kukielkowym. Jajo siedział na ziemi ze skrzyżowanymi nogami i kapturem naciągniętym na głowę tak, by nie było widać łysiny. Bał się wchodzić do zamku, co Dunk przypisywał jego wstydlivosti i świadomości niskiej pozycji. Uważa, że nie jest dość wart, aby ocierać się o lordów i damy, o wielkich książętach nie mówiąc, skonstatował. Dunk sam był taki w młodości. Cały świat poza Pchlim Zadkiem wydawał mu się zarówno przerażający, jak i fascynujący. Jajo potrzebuje tylko trochę czasu i już, uznał. Obecnie lepiej było dać mu kilka miedziaków i pozwolić pobuszować między straganami, niż

ciągnąć do zamku.

Tego ranka lalkarze przedstawiali historię Floriana i Jonquil. Gruba Dorneanka prowadziła Floriana w zbroi z gałganka, wysoka dziewczyna trzymała zaś sznurki Jonquil.

–Nie jesteś rycerzem – wypowiadała rolę postaci, poruszając jednocześnie w dół i w górę jej żuchwą. – Znam cię. Jesteś Florianem Głupcem.

–Jestem, miła pani – odparła druga kukielka, klękając. – Największym w dziejach głupcem jestem i największym rycerzem.

–Głupcem i rycerzem? – spytała Jonquil. – To niesłychane.

–Miła pani, jeśli chodzi o kobiety, wszyscy mężczyźni są zarówno głupcami, jak i rycerzami – powiedział Florian.

Przedstawienie było dobre, smutne i za serce chwytające zarazem, z całkiem żwawą walką na miecze pod koniec i ładnie malowanym olbrzymem. Gdy się skończyło, grupa kobieta ruszyła między publiczność, aby pozbierać monety, dziewczyna natomiast zaczęła pakować kukielki.

Dunk wziął chłopaka i podszedł do niej.

–Panie? – powiedziała, patrząc z ukosa i uśmiechając się nieśmiało. Była o głowę niższa od Dunka, ale i tak wyższa od wszystkich dziewczyn, które widział.

–To było świetne! – zakrzyknął Jajo. – Podoba mi się, jak nimi poruszasz. Jonquil, smokiem i wszystkimi. Widziałem już przedstawienie kukielkowe w zeszłym roku, ale oni tylko szarpali lalkami. Wasze poruszają się płynnie.

–Dziękuję – odpowiedziała uprzejmie.

–Wasze lalki są wspaniałe wyrzeźbione – dodał Dunk. – Szczególnie smok. Sami je robicie?

Przytaknęła.

–Mój stryjek je rzeźbi, ja maluję.

–Mogłabyś coś dla mnie namalować? Dam miedziaka. – Dunk zsunął tarczę z ramienia i pokazał jej znak. – Muszę to zamalować czymś innym.

Dziewczyna przyjrzała się tarczy, a potem jemu.

–A co to ma być?

Dunk jeszcze się nad tym nie zastanawiał. Skoro nie uskrzydłony kielich starego, to co? Nic nie przychodziło mu do głowy. „Dunk-kunk, gruboskórny jak mur zamku”.

–Nie wiem... nie jestem pewien. – Uszy znów mu zapłonęły. Trudno. – Musisz mnie chyba mieć za skończonego głupca.

Uśmiechnęła się.

–Wszyscy mężczyźni są głupcami i wszyscy rycerzami.

–A jakie masz farby? – spytał w nadziei, że może to mu coś podsunie.

–Mogę tak je wymieszać, by uzyskać każdy kolor, jakiego sobie zażyczysz.

Brzą na herbie starego zawsze wyglądał Dunkowi bardziej na oliwkowy.

–Pole ma być barwy zachodzącego słońca – powiedział nagle. – Stary lubił zachody słońca. A znak...

–Wiąz – odezwał się Jajo. – Wielki wiąz, taki jak ten przy jeziorku, z brunatnym pniem i zielonymi gałęziami.

–Tak – mruknął Dunk. – To będzie dobre. Wiąz... ale ze spadającą gwiazdą nad koroną. Możesz to wymalować?

Dziewczyna kiwnęła głową.

–Daj mi tarczę. Namaluję to późną nocą i będzie gotowe na rano.

–Nazywam się ser Duncan Wysoki – powiedział, wręczając jej tarczę.

–A ja Tanselle – roześmiała się. – Tanselle za Wysoka, jak wołają mnie chłopcy.

–Dla mnie wcale nie jesteś za wysoka – wykrztusił Dunk. – Jesteś wzrostu akurat do...

Urwał, uprzytomniwszy sobie, co chciał powiedzieć, i znów spiekł raka.

–Do? – spytała Tanselle, przekrzywiając z zaciekawieniem głowę.

–Pracy kukielkami – dokończył Dunk, nieco się jękając.

Pierwszy dzień turnieju wstał jasny i pogodny. Dunk kupił całą sakwę jedzenia, tak że mogli urządzić sobie ucztę z gęsich jaj, opiekanego chleba i bekonu, gdy jednak wszystko było już gotowe, młodzieniec dziwnie stracił apetyt. Żołądek mu się czemuś skurczył, choć przecież nie był to jeszcze dzień, w którym miał walczyć. W pierwszych pojedynkach występowali rycerze znamienitych rodów i wielkiej sławy, lordowie, ich synowie i zwyczajcy z innych

turniejów.

Jajo gadał przez całe śniadanie, rozważając szanse tych czy innych rycerzy. Wcale nie żartował ze mnie, gdy mówił, że zna wszystkich dobrych rycerzy Siedmiu Królestw, pomyślał ponuro Dunk. Wstydził się, że słucha z takim zapałem obdartego chłopaka,

sieroty na dodatek, lecz Jajo pamiętał mnóstwo rzeczy, które mogły się przydać, gdyby trafił na któregoś z tych mężów podczas turnieju.

Łąkę zapełnił tłum ludzi. Wszyscy pracowali łokciami, by przepchnąć się jak najbliżej barierki. Dunk był w tym równie dobry jak wszyscy i ostatecznie znalazł się sześć stóp od pola. Gdy Jajo zaczął narzekać, że tylko tyłki gawiedzi zostają mu do podziwiania, posadził sobie chłopaka na ramionach. Trybuna po drugiej stronie pola wypełniała się szlachetnie urodzonymi. Pojawili się też kilku bogaczy z miasta i wielu rycerzy, którzy nie mieli dzisiaj walk. Nie było ani śladu księcia Maekara, Dunk dostrzegł jednak księcia Baelora. Siedział u boku lorda Ashford. Słońce lśniło złoto na klamrze, którą spiał płaszcz, i małym diademem na jego skroni, poza tym wszakże nosił się prościej niż niejedyn lord. Po prawdzie, nie wygląda z tymi ciemnymi włosami na Targaryena, pomyślał. Dunk podzielił się tą uwagą z chłopakiem.

–Mówi, że to po matce – przypomniał mu chłopak. – Była doneańską księżniczką.

Pięciu mistrzów rozbiło swoje namioty na północnym krańcu pola, tuż nad rzeką. Mniejsze dwa były pomarańczowe, przed ich wejściami wisiały tarcze ukazujące białe słońce i szewron. To musieli być synowie lorda Ashford, Androw i Robert – bracia pięknej panny. Dunk nigdy nie słyszał, aby inni rycerze zachwalali cnoty młodzieńców, co sugerowało, że zapewne jako pierwsi odpadną z turnieju.

Obok stał o wiele większy pawilon w barwie głębokiej, przygaszonej zieleni. Łopotą nad nim złota róża Highgarden, taki sam symbol widniał też na zielonej tarczy stojącej przy wejściu.

–To Leo Tyrell, lord Highgarden – powiedział Jajo.

–Wiem – mruknął poirytowany Dunk. – Stary i ja służyliśmy pod Highgardenem, zanim jeszcze się urodziłeś.

Dunk ledwo pamiętał tamte czasy, lecz ser Arlan często opowiadał o Leo Longthornie, jak go czasem zwano, żartownisiu mimo siwizny we włosach.

–A ten obok namiotu, ten smukły i siwy w zieleni i złocie, to musi być lord Leo.

–Tak – rzekł Jajo. – Widziałem go kiedyś w Królewskiej Przystani. Wolałbyś nie rzucać mu wyzwania, ser.

–Nie pytam cię o radę, kogo powinienem wyzwać, a kogo nie, chłopcze.

Czwarty namiot zszyto z rombów płótna, na przemian czerwonych i białych. Dunk nie znał tych barw, lecz Jajo powiedział mu, że należą do ser Humfrefya Hardynga z Doliny Arryn.

–W zeszłym roku wygrał wielką ogólną bitwę w Maidenpool, ser, i pokonał w pojedynkach ser Donnela z Duskendale oraz lordów Arryna i Royce’a.

Ostatni namiot należał do księcia Valarra. Był z czarnego jedwabiu, z rzędem szkarłatnych proporców zwieszających się z dachu na podobieństwo długich jęzorów ognia. Tarcza przy wejściu lśniła czernią z wizerunkiem trójgłowego smoka rodu Targaryenów. Obok stał żołnierz Straży Królewskiej w połyskliwej białej zbroi kontrastującej z czernią tkaniny. Dunk zastanowił się, czy ktokolwiek z wyzywających ośmieli się dotknąć smoczej tarczy. Ostatecznie Valarr był jednym z wnuków króla i synem Baelora Breakspeara.

Niepotrzebnie się niepokoił. Gdy dźwięk rogów wywołał przeciwników, cała piątka mistrzów dostała szansę obrony czci pięknej panny. Dunk słyszał pomruk tłumu towarzyszący pojawieniu się wyzywających, którzy stanęli na południowym krańcu pola. Heroldowie obwieszczali głośno imię każdego z nich, a ci przystawali kolejno przed trybuną i pochyłali kopie przed lordem Ashford, księciem Baelorem oraz piękną panną, potem zaś przemierzali się okrężną drogą na północną stronę terenu, by wybrać przeciwników. Siwy Lew z Casterly Rock uderzył w tarczę lorda Tyrella, złotowłosey ser Tybolt Lannister zaś wyzwał najstarszego syna lorda Ashford. Lord Tully z Riverrun wybrał pokrytą rombami tarczę ser Humfrefya Hardynga, ser Abelar Hightower tarczę Valarra, a młodszy Ashford miał ruszać przeciwko ser Lyonelowi Baratheonowi, rycerzowi zwanemu Wesołą Burzą.

Potem wyzywający przejechali z wolna z powrotem na południowy kraniec, aby tam oczekiwać przeciwników: ser Abelar w srebrze i szarościach z ukoronowaną płomieniami kamienną wieżą strażniczą na tarczy; obaj Lannisterowie w karmazynach i ze złotymi lwami Casterly Rock; Wesoła Burza lśniący od złotogłowa, ze złotym jeleniem na piersi i żelaznym porożem na hełmie; lord Tully w pasiastym niebiesko-czerwonym płaszczu spiętym na ramionach srebrnymi broszami. Wszyscy wymierzili w niebo dwunastostopowe kopie i czekali, a porywisty wiatr szarpał ich proporcami.

Po północnej stronie giermkowie trzymali już jasno przybrane rumaki mistrzów. Podawali hełmy, kopie i tarcze, a wszystko to nie mniej wspaniałe niż u przeciwników: Ashfordowie powiewali pomarańczowymi jedwabiami, ser Humfrefy pysznił się bielą i czerwienią, lord Leo siedział na białym koniu z zielonym aksamitnym rzędem zdobionym złotymi różami. No i był jeszcze Valarr Targaryen. Młody Książę miał konia czarnego jak noc, dokładnie pod kolor zbroi, i także kopie, tarczę i rząd. Na szczycie jego hełmu jaśniał pomalowany na czerwono trójgłowy smok z rozpostartymi skrzydłami. Bliźniaczy smok widniał na czarnej powierzchni tarczy. Każdy z obrońców nosił zawiązaną na przedramieniu pomarańczową wstążkę, znak łask pięknej panny.

Gdy mistrzowie podjechali stępa na pozycje, na Łąkach Ashford zapanowała niemal całkowita cisza. Potem zagrał róg i w mgnieniu oka nieruchoma scena ożyła. Dziesięć par ostróg wbiło się w boki dziesięciu wielkich rumaków bojowych, dziesięć krtani

zaczęło popisywać się krzykiem, czterdzieści żelaznych podków zryło trawę, a dziesięć kopii opadło do poziomu i zamarło w tej pozycji. Całe pole niemal się zatrzęsło, gdy broniący honoru pięknej panny i ich przeciwnicy zderzyli się w grzechocie stali i drewna. W jednej chwili byli już daleko od siebie i zawracali do następnego podejścia. Lord Tully zachwiał się w siodle, ale nie spadł. Gdy gawiedź ujrzała, że wszystkie kopie poszły w drzazgi, zaryczała z aprobatą. Był to bardzo dobry znak, zapowiedź udanego turnieju i świadectwo umiejętności jego uczestników.

Giermkowie wręczyli rycerzom nowe kopie i odbiegli. Ostrogi znowu wytoczyły krew z boków koni. Dunk czuł, jak ziemia trzęsie się mu pod stopami. Siedzący na jego ramionach Jajo wykrzykiwał coś radośnie i wymachiwał chudymi rękami. Najbliżej nich galopował Młody Książę. Dunk widział wyraźnie, jak czubek jego czarnej kopii trafił w wieżę strażniczą na tarczy przeciwnika i ześliznął się na jego pierś, widział, jak kopia ser Abelara kruszy się na napierśniku Valarra. Siwy ogier w srebrnoszarej uprzęży aż cofnął się od impetu uderzenia, a wyrwany ze strzemion ser Abelar Hightower runął gwałtownie na ziemię.

Lord Tully też legł na murawie, strącony przez ser Humfreya Hardynga, lecz poderwał się zaraz i wyciągnął miecz, a ser Humfrey odrzucił nie skruszoną kopię i zsiadł, by potykać się pieszo. Ser Abelar jakoś się do tego nie palił. Jego giermek podbiegł do swego pana, zsunął mu hełm i wezwał pomoc. Dwóch pachołków odniosło nieprzytomnego rycerza do namiotu. Pozostali, którzy wciąż siedzieli w siodłach, szykowali się do następnego ataku. Pękły kolejne kopie, ale tym razem lord Leo Tyrell wycelował tak dokładnie, że gładko zerwał Siwemu Lwu hełm z głowy. Lord Casterly Rock obrócił nie chronioną niczym głowę, uniósł dłoń w pozdrowieniu i zsiadł z konia, ustępując pola. W tym czasie ser Humfrey skłonił lorda Tully'ego do kapitulacji, pokazując, że mieczem robi równie sprawnie jak kopią.

Tybolt Lannister i Androw Ashford musieli najeżdżać na siebie jeszcze trzy razy, aż w końcu ser Androw za jednym zamachem stracił tarczę, siodło pod tyłkiem i wszelkie szanse na zwycięstwo. Młodszy Ashford wytrwał nieco dłużej, łamiąc na ser Lyonelu Baratheonie ni mniej, ni więcej tylko dziewięć kopii. Mistrz i wyzywający spadli jednocześnie przy dziesiątym nawrocie, ale tylko po to, by ruszyć na siebie pieszo, z mieczem przeciwko buzdyganowi. Ostatecznie ser Robert Ashford uznał swą porażkę, lecz jego ojciec na trybunie nie wyglądał wcale na strapionego tym faktem. Owszem, obaj synowie lorda zostali wykluczeni z grupy mistrzów, wcześniej jednak stawali godnie przeciwko dwóm spośród najlepszych rycerzy Siedmiu Królestw.

Ale ja muszę sprawić się jeszcze lepiej, pomyślał Dunk, patrząc, jak zwycięzca i pokonany obejmują się i razem schodzą z pola. Dla mnie to za mało, walczyć dobrze

i przegrać. Muszę wygrać przynajmniej pierwszą walkę albo stracę wszystko.



Ser Tybolt Lannister i Wesola Burza mieli teraz zająć miejsce w szeregu obrońców panny, zastępując tych, których pokonali. Giermkowie zaczęli już zwijać pomarańczowe namioty. Kilka stóp dalej Młody Książę siadł dla zaczerpnięcia oddechu w swoim obozowym fotelu przed wielkim, czarnym namiotem. Zdjął hełm. Włosy miał czarne jak ojciec, jednak biegła przez nie jasna smuga. Służący podał mu srebrny kielich. Rycerz upił trochę. Jeśli jest mądry, to kazał sobie podać wodę, a nie wino, pomyślał Dunk. Zaciekawilo go, czy Valarr zaiste odziedziczył bitność ojca, czy może trafił tylko na najslabszego przeciwnika.

Fanfary obwieściły, że na polu pojawi się zaraz trzech następnych rycerzy. Heroldowie wykrzyczeli ich imiona.

–Ser Pearse z rodu Caron, lord Bagien!

Na jego tarczy widniała podobizna harfy, chociaż opończę miał całą wyhaftowaną w słowiki.

–Ser Joseth z rodu Mallisterów z Seagard.

Ser Joseth nosił skrzydlaty hełm, a na jego tarczy srebrny orzeł leciał przez niebo w kolorze indygo.

–Ser Gawen z rodu Swann, lord Stonehelm z Przylądka Gniewu.

Jego znakiem była spleciona w walce para łabędzi – jeden czarny, drugi biały. Zbroja, płaszcz i strój konia też stanowiły mieszankę bieli i czerni, nawet pochwa miecza i kopia były w paski.

Lord Caron, harfiarz i pieśniarz, a przy tym rycerz znamienity, wybrał różę lorda Tyrella, Ser Joseth romby ser Humfrefya Hardynga, czarno-biały lord Gawen Swann zaś wyzwał czarnego księcia z białym strażnikiem. Dunk potarł brodę. Lord Gawen był bardziej wiekowy niż Arlan z Pennytree, a stary przecież już nie żył.

–Jajo, który z tych wyzywających jest najgroźniejszy? – spytał chłopaka, który zdawał się wiedzieć wszystko o stanie rycerskim.

–Lord Gawen – odparł Jajo bez namysłu. – Przeciwnik Valarra.

–Księcia Valarra – poprawił go Dunk. – Giermek musi dbać o stosowny język, chłopcze.

Cała trójka stanęła w gotowości, gdy tylko trzech mistrzów dosiadło wierzchowców. Ludzie wkoło robili zakłady i zagrzewali krzykiem wytypowanych, jednak Dunk patrzył tylko na księcia. Przy pierwszym najeździe uderzył w tarczę lorda Gawena, a czubek kopii ześliznął się podobnie jak wcześniej, podczas walki z ser Abelarem Hightowerem, tyle że tym razem został odbity w trochę innym kierunku, gdzie nie napotkał przeszkody. Lord Gawen wymierzył czysto w pierś księcia i złamał na nim kopię. Przez chwilę

wydawało się, że Valarr spadnie, lecz złapał równowagę.

Za drugim razem Valarr skierował kopię bardziej w lewo, celując w napierśnik przeciwnika, ale trafił w ramię. Jednak nawet tak niecelne uderzenie było wystarczająco potężne, aby stary rycerz wypuścił oręż. Zamachał jeszcze ręką, próbując utrzymać się w siodle, i spadł. Młody Książę zeskoczył z konia i dobył miecza, lecz powalony pokiwał na niego i uniósł przyłbicę.

–Poddaję się, Wasza Łaskawość! – zawołał. – Dobra walka.

Lordowie na trybunach powtórzyli jego okrzyk, gdy Valarr przyklęknął, by pomóc wstać siwowłosemu rycerzowi.

–To wcale nie była dobra walka – mruknął Jajo.

–Siedź cicho albo wracaj do obozowiska.

Trochę dalej znoszono właśnie z pola nieprzytomnego ser Josetha Mallistera, natomiast lord harfy i lord róży ruszyli skwapliwie na siebie z toporami, co tłum przywitał radosnym wrzaskiem. Dunka tak intrygowały poczynania Valarra Targaryena, że ledwo ich zauważał. To dobry rycerz, ale nic ponadto, pomyślał. Miałbym z nim szanse. Gdyby bogowie pozwolili, mógłbym nawet wysadzić go z siodła, a w pieszej walce okazałoby się, że ważę więcej i jestem silniejszy.

–Załatw go! – wrzeszczał z zapalem Jajo, wiercąc się na barkach Dunka. – Załatw go! Rąbnij go! Tak! Tam jest! Tam jest!

Wyglądało na to, że kibicuje lordowi Caronowi. Harfiarz muzykował obecnie w innej nieco tonacji, zmuszając graniem stali lorda Leo do cofania się krok za krokiem. Tłum jakby sprzyjał obu po równo, bo wiwaty mieszały się w porannym powietrzu z przekleństwami. Topór lorda Pearse'a trafił w tarczę lorda Leo z taką siłą, że aż drzazgi poszły spod płatków złotej róży. Ostatecznie wszystkie płatki opadły, a sama tarcza pękła i rozpadła się na dwoje. W tej samej chwili ostrze lorda Leo trafiło w trzonek broni przeciwnika, przecinając go jakąś stopę od dłoni. Rycerz róży odrzucił szczątki tarczy i runął na przeciwnika, który przyklęknął po chwili, wyśpiewując znak poddania.

Reszta poranka i spora część popołudnia minęły dość podobnie. Wyzywający pojawiali się na polu we dwóch, trzech, a czasem i w pięciu. Grały trąby, heroldowie wykrzykiwali kolejne imiona, rumaki szarżowały, tłum wiwatował, kopie trzaskały jak zapalki, a miecze dzwoniły po hełmach i kolczugach. Wszyscy – zarówno lordowie, jak i pospólstwo – zgodnie przyznawali, że to wspaniały początek turnieju. Ser Humfrey Hardyng i ser Humfrey Beesbury, dzielny młody rycerz w stroju w żółte i czarne pasy i z trzema ulami na tarczy, skruszyli nie mniej niż tuzin kopii w wielkim pojedynku, który lud nazwał rychło „Bitwą Humfreyów”. Ser Tybolt Lannister został wysadzony z siodła przez ser Jona Penrose'a i złamał miecz przy upadku, jednak walcząc samą tarczą,

wygrał ostatecznie i pozostał mistrzem. Jednooki ser Robyn Rhysling, posiwiały i wiekowy rycerz z brodą jak sól z pieprzem, stracił przy pierwszym najeździe hełm zerwany kopią lorda Leo, lecz nie chciał się poddać. Trzy razy ruszali na siebie, wiatr rozwiewał siwe włosy ser Robyna, a drzazgi z pękających kopii śmigają mu koło twarzy. Było to tym dziwniejsze, że jak powiedział Jajo, ser Robyn stracił oko nie dawniej niż pięć lat wcześniej skutkiem trafienia taką właśnie drzazgą. Leo Tyrell nazbyt cenił obyczaj rycerski, by wycełować kopię w nie chronioną niczym głowę przeciwnika, ale Dunk i tak nie mógł wyjść ze zdumienia nad uporem i odwagą – a może głupotą? – Rhyslinga. Ostatecznie lord Highgarden trafił ser Robyna w napierśnik tuż nad sercem i posłał go zgrabnym saltem na ziemię.

Ser Lyonel Baratheon też stoczył kilka godnych uwagi pojedynków. Przy pomniejszych przeciwnikach wybuchał często gromkim śmiechem już w chwili, gdy dotykali jego tarczy, i nie przestawał się śmiać, kiedy dosiadał rumaka, szarżował i zrzucał ich z siodła. Jeśli któryś nosił jakąś kryzę na hełmie, ser Lyonel strącał ją i ciskał w tłum. Kryzy były zdobione, z drewna lub wyciskanej skóry, czasem malowane lub nawet inkrustowane srebrem, tak że pokonani nie byli wcale zachwyceni jego zwyczajem, dzięki któremu szybko stał się ulubieńcem pospólstwa. Nie trzeba było długo czekać, żeby zaczęli go wybierać tylko ci bez kryz na hełmach. Chociaż ser Lyonel skutecznie ośmieszał wszystkich przeciwników, Dunk był coraz bardziej przekonany, że rycerzem dnia powinien zostać ser Humfrey Hardyng, który pokonał czternastu, w komplecie wyśmienitych, przeciwników.

Pod koniec dnia brązowe fanfary obwieściły pojawienie się całkiem nowego zawodnika. Wjechał na wielkim gniadym rumaku z wycięciami w czarnej końskiej zbroi, spod której przebłyskiwała żółta, karmazynowa i pomarańczowa materia. Gdy zbliżył się do trybuny i pozdrowił siedzących, Dunk ujrzał jego oblicze pod podniesioną przyłbicą i poznał księcia, którego spotkał w stajniach lorda Ashford. Jajo zacisnął mu uda na karku.

–Przestań – sapnął Dunk. – Chcesz mnie udusić?

–Książę Aerion Brightflame – zakrzyknął herold – z Czerwonej Warowni w Królewskiej Przystani, syn Maekara, księcia Summerhall z rodu Targaryenów, wnuk Daerona Dobrego, drugiego tego imienia, króla Andalów, Rhoynarów i Pierwszych Ludzi, władcy Siedmiu Królestw.

Aerion nosił na tarczy trójgłowego smoka, jednak w żywszych znacznie kolorach niż ten ze znaku Valarra: jedna głowa była pomarańczowa, druga żółta, trzecia czerwona, buchający im z pyska ogień miał zaś złotą barwę jesiennych liści. Opończę miał koloru dymu i płomieni, a na czarnym hełmie jaśniała kryza pomalowana ognistym szkarłatem.

Po przystanku potrzebnym, by skłonić kopię przed księciem Baelorem, przystanku tak krótkim, że niemal tylko dla formalności uczynionym, pogalopował na północny koniec pola, minął namioty Wesolej Burzy, lorda Leo i zwolnił dopiero przy pawilonie księcia Valarra. Młody Książę wstał i patrzył zza tarczy, a Dunkowi zdało się, że jeszcze chwila, a konny ją

uderzy... ale roześmiał się tylko i pojechał dalej, aż zadudnił włącznią o romby ser Humfreya Hardynga.

–Wychodź, wychodź, mały rycerzu! – zaśpiewał czystym głosem. – Czas, byś stawiał czoło smokowi.

Ser Humfrey skłonił lekko głowę przed przeciwnikiem, ale wsiadając na konia i biorąc kopię i tarczę, całkiem go już ignorował. Widzowie ucichli, gdy obaj zajęli miejsca. Dunk usłyszał szcęk opuszczanej przyłbicy księcia Aeriona. Odezwał się róg.

Ser Humfrey ruszył, nabierając z wolna prędkości, jego przeciwnik zaś od razu spiął konia ostrogami, zrywając go do galopu. Jajo mimowolnie zacisnął uda.

–Zabij go! – krzyknął nagle. – Zabij go na miejscu, zabij go, zabij go, zabij go!

Dunk nie był pewien, do którego właściwie rycerza Jajo adresuje te okrzyki.

Kopia księcia Aeriona, złota na szpicy i pokryta czerwonymi, pomarańczowymi oraz żółtymi pasami, wysunęła się ponad barierę. Za nisko, pomyślał Dunk, ledwie to ujrzał. Chybi jeźdźca i trafi konia, musi ją podnieść. Nagle Dunk zaczął z przerażeniem podejrzewać, że Aerion wcale nie zamierza unieść kopii. Ale przecież nie może chyba...

W ostatniej chwili ogier ser Humfreya próbował cofnąć się przed orężem i przewrócić ślepiami ze strachu, ale było już za późno. Kopia wbiła się w szyję zwierzęcia tuż nad chroniącymi pierś blachami i w fontannie jasnej krwi wyszła z drugiej strony. Kwicząc opętańczo, koń runął na bok, rozbijając przy tym drewnianą barierkę. Ser Humfrey próbował zeskoczyć, lecz stopa uwięzła mu w strzemieniu. Wszyscy usłyszeli jego krzyk w chwili, gdy padający wierzchowiec przygniół mu nogę do szczątków barierki.

Na Łąkach Ashford podniosła się niebywała wrzawa. Ludzie wybiegli na pole, by wydobyć ser Humfreya spod zwierzęcia, jednak konający ogier powstrzymał ich, wierzgając kopytami. Aerion pocwałował na koniec pola, zawrócił i przygalopował, też coś pokrzykując, lecz niemal ludzki skowyt oszalonego z cierpienia konia wszystko zagłuszył. Aerion zeskoczył z siodła, dobył miecza i ruszył na powalonego przeciwnika, aż jego giermkowie i jeden z giermków ser Humfreya musieli go odciągać. Jajo skrzywił się wyraźnie.

–Zsadź mnie – powiedział. – Biedny koń. Zsadź mnie.

Dunkowi też zrobiło się niedobrze. Co ja zrobię, jeśli podobny los spotka Groma? – pomyślał. Wojownicy z toporami dobili rumaka ser Humfreya, skracając mu męki. Kwik

ucichł. Dunk odwrócił się i ruszył przez ciżbę. Gdy wyszli na otwarty teren, zsadził Jajo z ramion. Chłopakowi kaptur opadł z głowy, oczy mu płonęły.

–Straszny widok – mruknął Dunk – ale giermek musi być silny. Obawiam się, że na innych

turniejach zobaczysz jeszcze gorsze wypadki.

–To nie był wypadek – powiedział roztrzęsiony Jajo. – Aerion zrobił to celowo. Sam widziałeś.

Dunk zmarszczył brwi. Też podejrzewał coś takiego, ale nie bardzo mógł uwierzyć, by jakiś rycerz okazał się tak niegodny, szczególnie rycerz smoczej krwi.

–Widziałem, jak pewien żółtodziób stracił panowanie nad kopią – stwierdził z uporem. – I nie chcę więcej o tym słyszeć. Coś mi się zdaje, że dzisiaj turniej dobiegł końca. Idziemy, chłopcze.

Co do końca walk tego dnia miał rację. Nim udało się jakoś zapanować nad chaosem, słońce pochyliło się mocno ku zachodowi i lord Ashford ogłosił przerwę do następnego dnia.

Gdy cienie wieczoru ogarnęły łąkę, na jej skrajach zapalono setki pochodni. Dunk kupił sobie róg piwa i pół rogu dla chłopaka, by nieco go pocieszyć. Przez jakiś czas kręcili się tu i tam, nasłuchując grania piszczałek i bębnow i oglądając przedstawienie kukielkowe o Nymerii, wojowniczej królowej z dziesięcioma tysiącami statków. Lalkarze mieli tylko dwa modele okrętów, ale i tak zdołali przedstawić za ich pomocą całą bitwę morską. Dunk chciał zapytać Tanselle, czy skończyła już może malować jego tarczę, ale widział, że jest bardzo zajęta. Poczekam, aż skończy wieczorne przedstawienia. Może potem będzie spragniona, postanowił.

–Ser Duncanie! – rozległo się za jego plecami. – Ser Duncanie! – rozległo się powtórnie, aż Dunk przypomniał sobie osobę. – Widziałem cię dzisiaj wśród pospólstwa z tym chłopakiem na ramionach – powiedział Raymun Fossoway, podchodząc z uśmiechem. – Zaiste, trudno was przeoczyć.

–Ten chłopiec to mój giermek. Jajo, to Raymun Fossoway.

Dunk musiał wypchnąć chłopaka przed siebie, lecz nawet wtedy Jajo pochylił głowę, a mamrocząc pozdrowienie, wpatrywał się twardo w buty Fossowaya.

–Witam, chłopcze – rzucił Fossoway. – Ser Duncanie, czemu nie zajrzysz na galerię dla gości? Wszyscy rycerze są tam mile widziani.

Dunk dobrze czuł się wśród pospólstwa i służących, więc sam pomyślał, by zająć miejsce wraz z damami i znanymi rycerzami, przyprawiało go o rumieniec.

–Ale dzięki temu nie widziałem z bliska ostatniego pojedynku, co i bardzo dobrze.

Raymun skrzywił się odruchowo.

–Ja też wolałbym go nie oglądać. Lord Ashford ogłosił ser Humfrefya zwycięzcą i nagrodził

rumakiem księcia Aeriona, jednak i tak nie będzie mógł dalej walczyć. Ma nogę złamaną w dwóch miejscach. Książę Baelor wysłał własnych medyków, by się

o niego troszczyli.

–Będzie nowy mistrz na miejsce ser Humfrefya?

–Lord Ashford zamyslał wstawić lorda Carona albo tego drugiego ser Humfrefya, tego, który tak wspaniale stawał przeciw Hardyngowi, lecz książę Baelor uważa, że w tych okolicznościach nie godzi się usuwać po cichu z pola pawilonu ser Humfrefya ni jego tarczy. Pewnie więc będzie czterech mistrzów zamiast pięciu.

Czterech mistrzów, pomyślał Dunk. Leo Tyrell, Lyonel Baratheon, Tybolt Lannister i książę Valarr. Dość widział tego dnia, by przekonać się, że z pierwszymi trzema nie ma żadnych szans. Co pozostawiało tylko...

Błądny rycerz nie może wyzwąć księcia. Valarr jest drugi w kolejce do Żelaznego Tronu. To syn Baelora Breakspeara, w jego żyłach płynie krew Aegona Zdobywcy, Młodego Smoka i księcia Anemona, Smoczego Rycerza, a ja jestem tylko zwykłym chłopakiem, którego stary znalazł pod sklepem z garnkami w Pchlim Zadku, dumiał.

Była to bolesna myśl.

–A kogo zamierza wyzwąć twój kuzyn? – spytał Raymuna.

–Ser Tybolta, żeby wszystko było po równo. Pasują do siebie. Niemniej pilnie obserwował wszystkie pojedynki. Jeśli rano któryś z mistrzów okaże się ranny albo widać po nim będzie zmęczenie czy słabość, to możesz być pewien, że Steffon jego właśnie wyzwie. Nikt nigdy nie oskarżył go o nadmiar cnót rycerskich. – Roześmiał się, jakby chciał złagodzić powagę oskarżenia. – Ser Duncanie, dasz się zaprosić na puchar wina?

–Muszę się jeszcze czymś tu zająć – odparł Dunk zakłopotany miłym gestem, za który niezbyt mógłby się odwdziżyć.

–Poczekam tutaj, aż przedstawienie się skończy, i przyniosę ci tarczę, ser – powiedział Jajo. – Potem będą grać Symeona Gwiazdookiego i znów pokażą walkę ze smokiem.

–Sam widzisz, ktoś zajął się już twoją sprawą, a wino czeka – stwierdził Raymun. –

1 to Arbor. Jak możesz odmawiać?

W ten sposób Dunkowi skończyły się wymówki i nie miał innego wyjścia, jak tylko podążyć za Raymunem, zostawiając Jajo na przedstawieniu. Nad złocistym namiotem Fossowayów łopotał wizerunek jabłka, a na tyłach dwóch służących przyrządzało nad ogniem koziołka z miodem i z ziołami.

–Jeśliś głodny, to jest też coś do zjedzenia – rzucił Raymun, przytrzymując Dunkowi

połę wejścia. Wnętrze oświetlał grzejący miło kosz z płonącymi węglami. Gospodarz napełnił puchary winem. – Powiadają, że Aerion jest wściekły na lorda Ashford za przekazanie jego rumaka ser Humfreyowi – przekazał, nalewając. – Ale założę się, że to jego własny wuj zaproponował to rozwiązanie. – Podał Dunkowi puchar.

–Książę Baelor to honorowy mąż.

–A Jasny Książę nie? – roześmiał się Raymun. – Nie rozglądaj się tak trwoźnie, ser Duncanie, jesteśmy tu sami. To żadna tajemnica, że Aerion to kawał drania. Dzięki niech będą bogom, że jest daleko w kolejce do tronu.

–Naprawdę uważasz, że celowo zabił konia?

–A jak można w to wątpić? Gdyby książę Maekar tu był, wszystko potoczyłoby się inaczej. To pewne, słowo daję. Gdy ojciec patrzy, Aerion nic, tylko się uśmiecha i udaje wielkiego rycerza, tak przynajmniej mówią. Jednak gdy ojca nie ma...

–Widziałem, że fotel księcia Maekara stoi pusty.

–Opuścił Ashford w poszukiwaniu synów. Pojechał z nim Roland Crakehall ze Straży Królewskiej. Gadają, że na rozbójników trafili, ale założę się, że młody książę gdzieś zapił.

Wino było smaczne, o bogatym bukiecie – Dunk w życiu nie pił lepszego. Uważnie przeplukał usta, zanim je przełknął.

–O którym księciu mówisz?

–O dziedzicu Maekara. Nazywa się Daeron, po królu, ale wołają go Daeron Pijak. Chociaż tylko wtedy, kiedy ojciec tego nie słyszy. Był z nim też najmłodszy chłopak. Wyjechali razem z Summerhall, ale nigdy nie dotarli do Ashford. – Raymun osuszył i odstawił puchar. – Biedny Maekar.

–Biedny? – spytał zdumiony Dunk. – Królewski syn?

–Czwarty syn króla – zaznaczył Raymun. – Nie jest tak dzielny jak książę Baelor ani tak bystry jak książę Aerys, ani nawet tak łagodny jak książę Rhaegel. A teraz musi jeszcze ścierpieć to, że jego synowie nikną w cieniu synów brata. Daeron to opój, Aerion jest próżny i okrutny, trzeci syn był tak mało obiecujący, że dali go do Cytadeli, by wykształcił się na medyka, najmłodszy zaś...

–Ser! Ser Duncanie! – krzyknął zdyszany Jajo, wpadając do namiotu. Kaptur znów zsunął mu się z tysej głowy, a blask kosza z węglami odbijał w dużych, czarnych oczach. – Pospiesz się, robią jej krzywdę!

Zdezorientowany Dunk zerwał się na równe nogi.

–Krzywdę? Kto?

–Aerion! – krzyknął chłopak. – Robi jej krzywdę. Lalkarce. Szybko!

Jajo zawrócił w miejscu i wypadł w noc.

Dunk chciał pobiec za nim, lecz Raymun chwycił go za ramię.

–Ser Duncanie, on powiedział, że to Aerion. Książę krwi. Uważaj.

Dunk wiedział, że to dobra rada. To samo słyszał zawsze od starego, ale przecież nie mógł się teraz zawahać. Wyrwał się ser Raymunowi i wybiegł z namiotu. Zaraz usłyszał krzyki dobiegające od strony straganów kupieckich. Jajo niemal już tam zniknął. Dunk pobiegł jego śladem, a że miał o wiele dłuższe nogi, szybko dogonił swego giermka.

Gapie otaczali teatrzyk szczelnym murem. Dunk przepchnął się przez tłum, ignorując przekleństwa, którymi go obrzucano. Zbrojny w królewskich barwach zastąpił mu drogę, ale Dunk położył mu dłoń na piersi i pchnął tak mocno, że mężczyzna wylądował tyłkiem na ziemi.

Scena teatrzyku była wywrócona, gruba Dorneanka leżała obok i płakała, jeden zbrojny trzymał w dłoniach lalki Floriana i Jonquil, drugi zaś podpalał je pochodnią. Trzech innych wojaków otwierało skrzynie z kukiełkami. Wyrzucali je i deptali. Smok został już rozbity na kawałki – w innym miejscu leżało skrzydło, w innym głowa, a ogon był w trzech częściach. Pośrodku tego wszystkiego stał książę Aerion w czerwonym aksamitnym kubraku z długimi rękawami i wykręcał Tanselle ręce. Dziewczyna klęczała i błagała o łaskę, lecz książę, ignorując prośby, otworzył jej siłą dłoń i złapał jeden z palców. Dunk stał ogłupiały i oczom nie wierzył. Nagle usłyszał cichy trzask i Tanselle krzyknęła.

Jeden z ludzi Aeriona próbował go chwycić, ale poleciał w bok. Trzy długie kroki wystarczyły, by dopaść księcia i obrócić go szarpnięciem za ramię. Dunk zapomniał o sztylcie, o mieczu, zapomniał wszystko, czego nauczył go stary. Najpierw zbił Aeriona z nóg, potem kopnął go w brzuch. Gdy książę sięgnął po nóż, Dunk przydepnął mu nadgarstek i znów kopnął, tym razem w usta. Mógłby tam zabić Aeriona, gdyby nie służył tegoż, którzy ostatecznie go obkoczyli. Złapali go za obie ręce, inny przyłożył mu w plecy. Ledwo Dunk pozbywał się jednego, zaraz na jego miejsce pojawiała się dwóch kolejnych.

Ostatecznie powalili go i unieruchomili. Aerion wstał z zakrwawionymi ustami. Pogrzebał w nich palcem.

–Obruszyłeś mi ząb – powiedział – więc zaraz zajmę się twoimi. – Odgarnął włosy z oczu. – Gdzieś cię już widziałem.



–Wzięłeś mnie za stajennego.

Aerion uśmiechnął się, aż znów krew mu pociekła.

–Przypominam sobie. Nie chciałeś wziąć mojego konia. Czemu ryzykowałeś życie? Dla tej dziwki? – Tanselle leżała zwinięta w kłębek i ścisnęła obolałą dłoń. Trącił ją czubkiem buta.  
– Nie jest tego warta. To zdrajczynie. Smok nigdy nie ma prawa przegrać.

On oszalał, pomyślał Dunk, lecz wciąż jest książęcym synem i zamierza mnie zabić. Gdyby Dunk znał jakieś modlitwy, może zacząłby je odmawiać, ale brakło czasu. Niezbyt nawet miał kiedy się przestraszyć.

–Nic więcej nie powiesz? – spytał Aerion. – Nudzisz mnie, ser. – Dotknął znowu ust. – Przynieście młot i wybijcie mu wszystkie zęby. Poczekajcie – zakomenderował. – Potem rozetniecie jego brzuch i pokażecie mu, jakiego koloru ma wnętrzności.

–Nie! – krzyknął Jajo. – Nie ruszaj go!

Bogowie, chłopak jest odważny aż do głupoty, pomyślał Dunk. Próbował się uwolnić, jednak bez powodzenia.

–Powstrzymaj język, głupi. Uciekaj, bo i tobie zrobią krzywdę!

–Nie zrobią – powiedział Jajo, podchodząc bliżej. – Gdyby spróbowali, odpowiedzieliby za to przed moim ojcem. I przed wujem. Puszczajcie go, powiedziałem. Wate, Yorkel, znacie mnie. Róbcie, co każę.

Dłonie trzymające Dunka zniknęły. Najpierw jeden, potem drugi i reszta odsunęli się od niego. Któryś nawet przyklęknął. Dunk niczego nie pojmował. Tłum rozstał się nagle przed Raymunem Fossowayem podążającym ku nim w zbroi, hełmie i z mieczem w dłoni. Za nim szedł podobnie przygotowany jego kuzyn, Steffon, i jeszcze z pół tuzina zbrojnych spod znaku czerwonego jabłka.

Książę Aerion nie zwrócił na nich uwagi.

–Bezczelny gówniarz – powiedział do chłopaka, spluwając mu krwawo pod nogi. – Co zrobiłeś z włosami?

–Ściałem je, bracie – odparł Jajo. – Żeby nie być podobnym do ciebie.

Drugi dzień turnieju był pochmurny. Z zachodu wiał przenikliwy wiatr. Przy tej pogodzie tłumy będą dziś mniejsze, pomyślał Dunk. O wiele łatwiej byłoby o miejsce przy samym ogrodzeniu. Jajo usiadłby na barierce, ja stałbym za nim, dodał.

Wyszło jednak inaczej. Jajo miał dziś najpewniej miejsce na trybunie, cały w jedwabiach i

futrach, Dunk zaś mógł jedynie oglądać cztery ściany celi w wieży, gdzie zamknęli go ludzie lorda Ashford. Cella miała okno, ale wychodziło na zupełnie inną stronę. Dunk wspiął się do niego po wschodzie słońca i długo popatrywał, ponury, na miasto, pola i puszcę. Odebrali mu pas z mieczem, sztylet oraz srebro. Pozostawało mieć nadzieję, że Jajo lub Raymun zadbali o Kasztankę i o Groma.

–Jajo – mruknął pod nosem Dunk. Jego giermek, wyrostek wychowany na ulicach Królewskiej Przystani. Czy jakiś rycerz zrobił z siebie kiedyś większego głupca? Dunk-kunk, gruboskórny i słabujący na umyśle, przedrzeźniał się w myślach.

Od kiedy żołnierze zgarnęli ich wszystkich w trakcie awantury przy zniszczonym teatrzyku kukielkowym, Dunk nie miał okazji porozmawiać ani z chłopakiem, ani

z Raymunem, ani z Tanselle, ani nawet z lordem Ashford. Zastanawiał się, czy jeszcze ich kiedyś zobaczy. Spodziewał się, że zostanie w tej celi na zawsze, czyli do śmierci. I co ja narobiłem? – spytał z goryczą sam siebie. Skopałem syna księcia, kopnąłem go w twarz.

Pod szarym niebem proporce szlachetnie urodzonych, lordów i wielkich mistrzów, nie miały już tak kusić barwami, bez słońca ginął gdzieś blask stalowych hełmów, a złocenia i srebrne ozdoby traciły znacznie na wspaniałości, jednak Dunk i tak żałował, że nie może wraz z tłumem podziwiać potyczek. To byłby dobry dzień dla błędnych rycerzy, mężów w zwykłych zbrojach dosiadających nieopancerzonych koni.

Mógł je jednak słyszeć. Wiatr niósł wyraźne granie rogów heroldów, od czasu do czasu słychać też było ryk tłumu, który podpowiadał, że ktoś spadł z konia, wstał lub uczynił coś szczególnie śmiałego. Słabo dudniły kopyta, czasem brzęczały miecze lub z hukiem uderzała kopia. Dunk krzywił się, ile razy słyszał to ostatnie, i przypominał sobie trzask łamanego przez Aeriona palca Tanselle. Czasem słyszał jeszcze coś – kroki na korytarzu za drzwiami, stukot podków na dziedzińcu poniżej, krzyki i rozmowy dobiegające z zamku. Niekiedy wrzawa turnieju je zagłuszała, co i dobrze.

„Błędny rycerz to najprawdziwszy z rycerzy”, powiedział mu kiedyś stary. „Inni rycerze służą wielkim panom, którzy ich utrzymują albo nadają im ziemie, my zaś służymy tam, gdzie sami uważamy za stosowne, i tylko tym, których sprawę uważamy za słuszną. Każdy rycerz ślubuje bronić słabych i niewinnych, ale my jesteśmy tej przysiędze jakby najwierniejsi”. – Dunk prawie zapomniał już owe słowa, które teraz powróciły z dziwną siłą. Podobnie chyba jak do starego pod koniec.

Ranek przeszedł w popołudnie. Odległa wrzawa turnieju zaczęła słabnąć i zamierać. Mrok z wolna sączył się do celi, lecz Dunk tkwił w oknie i patrzył na gęstniejące cienie, starając się zapomnieć o pustym żołądku.

W końcu usłyszał kroki i brzęk żelaznych kluczy. Wstał, gdy drzwi się otworzyły. Weszło dwóch strażników, jeden niósł lampkę oliwną. Zaraz za nim pojawił się ktoś z tacą, a

następnie... Jajo.

–Zostawcie lampę i jedzenie i wyjdźcie – rozkazał.

Posłuchali, nie zamknęli jednak ciężkich drewnianych drzwi. Woń jedzenia uświadomiła Dunkowi, jak bardzo był głodny. Na tacy czekał gorący chleb i miód, misa rozgotowanego groszku, a do tego pieczone mięso z cebulkami. Usiadł przy tacy, rozerwał chleb i wepchnął kęs do ust.

–Nie ma noża – zauważył. – Boją się, że cię pchnę?

–Nie podzielili się ze mną swoimi myślami – powiedział Jajo. Nosił teraz czarny wełniany kubrak ze ściągniętym pasem i długimi rękawami z naznaczonego czerwonymi

paskami atłasu. Na jego piersi widniał trójgłowy smok rodu Targaryenów.

–Stryj kazał mi błagać cię uniżenie o wybaczenie za to, że cię oszukałem.

–Twój stryj. Znaczą księżę Baelor. Chłopak zmieszał się.

–Nie zamierzałem kłamać.

–Ale skłamałeś. We wszystkim. Od imienia zaczynając. Nigdy nie słyszałem o księciu Jajo.

–Po naszymu to skrót od Aegona. Mój brat Aemon tak mnie nazwał. Mówił do mnie Jajo. Teraz jest w Cytadeli, uczy się na medyka. Daeron też mnie czasem tak wołał, podobnie siostry.

Dunk odgryzł kawałek mięsa. Koźlina przyprawiona jakimiś znamienitymi korzeniami, których nigdy dotąd nie próbował. Tłuszcz pociekł mu po brodzie.

–Aegon – powtórzył. – Oczywiście, że Aegon. Jak Aegon Smok.

Ilu Aegonów było królami?

–Czterech – odparł chłopak. – Czterech Aegonów.

Dunk przełknął i oderwał następny kęs chleba.

–Czemu to zrobiłeś? Dla żartu, żeby zabawić się kosztem błędnego rycerza?

–Nie. – Oczy chłopaka wypełniły się łzami, zachował jednak godną postawę. – Miałem zostać giermkim Daerona. To mój najstarszy brat. Nauczyłem się wszystkiego, czego trzeba, żeby być dobrym giermkim, ale Daeron nie jest dobrym rycerzem. W ogóle nie ma ochoty brać udziału w turniejach, więc gdy tylko opuściliśmy Summerhall, zgubił eskortę. Zamiast jednak zawrócić, wysforował się pod samo Ashford w nadziei, że tam nigdy nie

będą nas szukać. To on ogolił mi głowę. Wiedział, że ojciec wyśle za nami ludzi. Daeron ma zwykle włosy, jasnobrązowe, nic szczególnego, ale moje są takie jak u Aeriona i u ojca.

–Smocza krew – powiedział Dunk. – Srebrzystozłote włosy i purpurowe oczy. Wszyscy to wiedzą.

Gruboskórny Dunk, pomyślał zaraz.

–Tak. Daeron mi je zgolił. Chciał, żebyśmy ukryli się tam do końca turnieju. Dopiero gdy wzięłeś mnie za stajennego i... – Spuścił oczy. – Nie interesowało mnie, czy Daeron będzie walczyć czy nie, ale chciałem zostać giermkim. Czyimkolwiek. Przepraszam, ser.

Przykro mi, ser.

Dunk spojrział na niego w zamyśleniu. Wiedział, jak to jest, gdy chce się czegoś tak bardzo, że nawet kłamstwo nie jest straszne, byle tylko przybliżyć się do celu.

–Myślałem, żeś podobny do mnie – stwierdził. – Może i zresztą tak jest. Ale całkiem inaczej.

–A jednak obaj jesteśmy z Królewskiej Przystani – powiedział z nadzieją chłopak.

Dunk nie mógł powstrzymać śmiechu.

–Owszem, ty ze szczytu Wzgórza Aegona, ja z samego dołu.

–To nie jest tak daleko, ser. Dunk nadgryzł cebulkę.

–Nie muszę przypadkiem zwracać się do ciebie „Mój Panie” albo „Wasza Łaskawość” czy jakoś tak?

–Na dworze, owszem – przyznał chłopak – ale poza mów mi waść Jajo. O ile zechcesz, ser.

–Co ze mną zrobią?

–Mój stryj chce cię zobaczyć. Jak już zjesz, ser.

Dunk odsunął tacę i wstał.

–No to jestem gotów. Skopałem już jednemu księciu gębę, więc lepiej, żebym drugiemu nie kazał czekać.

Na czas turnieju lord Ashford oddał swoje komnaty księciu Baelorowi, toteż Jajo – nie, Aegon, trzeba będzie do tego imienia przywyknąć – poprowadził Dunka do samego serca zamku. Baelor siedział przy blasku woskowej świecy i czytał. Dunk klęknął przed nim.

–Wstań – powiedział książę. – Chcesz wina?

–Wedle życzenia Waszej Łaskawości.

–Nalej ser Duncanowi puchar słodkiego, czerwonego dorneańskiego, Aegonie – polecił książę. – Tylko postaraj się go nie oblać, dość mu już kłopotów narobiłeś.

–Na pewno nie rozleje, Wasza Łaskawość – wtrącił się Dunk. – To dobry chłopak. Dobry giermek. I jestem pewien, że wcale nie chciał mnie pognębić.

–Nie trzeba chcieć, żeby dokuczyć. Widząc, co jego brat wyrabia z tymi lalkarkami, Aegon powinien pobiec do zamku, a nie po ciebie. To nie była przysługa. Twoje zaś, ser, poczynania... Cóż, na twoim miejscu zrobiłbym pewnie to samo, ale ja jestem następcą tronu, a nie błędnym rycerzem. Nie postąpiłeś mądrze, uderzając królewskiego wnuka, nawet w gniewie. I bez względu na to, w jakiej sprawie.

Dunk skrzywił się ponuro. Jajo podał mu srebrny puchar wypełniony po brzegi winem. Dunk podziękował skinieniem głowy i upił długi łyk.

–Nie cierpię Aeriona – rzucił Jajo. – I musiałem pobiec po ser Duncana, stryju, bo do zamku było za daleko.

–Aerion jest twoim bratem – stwierdził z naciskiem książę. – Kapłani powiadają, że winniśmy kochać naszych braci. A teraz zostaw nas samych, Aegonie. Chcę porozmawiać z ser Duncanem sam na sam.

Chłopak odstawił dzban z winem i skłonił się sztywno.

–Jak sobie życzysz, Wasza Łaskawość.

Podszedł do drzwi salonu i zamknął je cicho za sobą. Baelor Breakspear spojrzał Dunkowi uważnie w oczy.

–Ser Duncanie, powiedz mi, jaki z ciebie właściwie rycerz? Jak wprawny w rzemiośle?

Dunk nie wiedział, co odpowiedzieć.

–Ser Arlan nauczył mnie robić mieczem i tarczą, ćwiczyłem na pierścieniach i słupach.

Książę Baelor wyraźnie się zmartwił.

–Mój brat Maekar wrócił kilka godzin temu. Znalazł swego dziedzica pijanego w gospodzie dzień drogi stąd na południe. Maekar nigdy się do tego nie przyzna, lecz moim zdaniem, miał nadzieję, że jego synowie prześcigną na tym turnieju moich. Obaj jednak okryli go niesławą, a on nic nie może zrobić. To krew z jego krwi. Maekar jest teraz zły i szuka kogoś, na kim mógłby wyładować swój gniew. Wybrał ciebie.

–Mnie? – spytał cicho Dunk.

–Aerion naopowiadał mu już różnych rzeczy, a i Daeron nie pomógł, bo chcąc wytłumaczyć się z tchórzostwa, wymyślił historyjkę o wielkim rozbójniku, którego przypadkiem napotkał na drodze, a który uprowadził Aegona. Obawiam się, że ty masz być tym rozbójnikiem. Daeron twierdzi, że kilka dni spędził, szukając cię tu i tam, aby odbić brata.

–Ale Jajo powie mu przecież prawdę. Znaczący Aegon...

–Jajo powie, w to nie wątpię – przyznał książę Baelor. – Ale wiadomo, że chłopak raz już skłamał, jak sam dobrze pamiętasz. Któremu synowi mój brat uwierzy? Co do owych lalkarek, Aerion tak zagmatwał już sprawę, że wyjdzie z tego pewnie oskarżenie o zdradę stanu. Smok jest znakiem domu królewskiego. Jeśli ktoś pokazuje zabijanego smoka, któremu krwawy pył sypie się z szyi... Owszem, to bez wątpienia nic strasznego, ot, niewinny teatrzyk, ale z drugiej strony to trochę niemądre. Aerion nazwał to zawołanym atakiem na ród Targaryenów, zachętą do rewolty. Maekar łączył się z tym zgodził. Mój brat jest uparty, wszystkie swe nadzieje związał z Aerionem, skoro Daeron tak go rozczarował.

– Książę upił wina i odstawił puchar. – W cokolwiek mój brat wierzy, jedno nie podlega dyskusji: wytoczyłeś krew smoka. Za taką obrazę musisz zostać oskarżony, osądzony i ukarany.

–Ukarany? – Dunkowi wcale się to nie podobało.

–Aerion będzie chciał twojej głowy, z zębami czy bez, ale nie dostanie jej, to ci obiecuję. Procesu jednak zabronić mu nie mogę. Skoro mój królewski ojciec jest setki

kilometrów stąd, osądzić musimy cię we dwóch, mój brat i ja, razem z lordem Ashford jako gospodarzem i lordem Tyrellem z Highgarden, który jest jego lennikiem. Ostatnim razem, gdy uznano kogoś winnym przelania królewskiej krwi, skończyło się na postanowieniu ucięcia ręki, która dopuściła się obrazy.

–Miałbym stracić rękę? – spytał pobladły Dunk.

–I stopę. Kopnąłeś go, nie pamiętasz? Dunk nie zdołał wykrztusić ani słowa.

–Oczywiście, będę skłaniał pozostałych sędziów do okazania miłosierdzia. Jestem następcą tronu i prawą ręką króla, co ma swoją wagę. Niemniej mój brat też jest kimś. To zwiększa ryzyko.

–Ja... – zaczął Dunk. – Ja... Wasza Łaskawość... ja... – Lalkarze nie dopuścili się żadnej zdrady, to był tylko drewniany smok, który nigdy nie miał symbolizować domu monarszego, chciał powiedzieć, ale jakoś nie zdołał. Słowa gdzieś uleciały, przecież nigdy nie był zbyt wymowny.

–Ale masz jeszcze inny wybór – powiedział cicho książę Baelor. – Lepszy czy gorszy, nie

orzeknę, ale przypominam ci, że każdy rycerz oskarżony o zbrodnię ma prawo zażądać rozstrzygnięcia przez pojedynek. Pytam cię zatem raz jeszcze, Duncanie Wysoki, jak dobrym jesteś rycerzem? Ale szczerze.

–Próba siedmiu – powiedział z uśmiechem książę Aerion. – To chyba moje prawo, jak sądzę.

Książę Baelor zastukał palcami w blat i zmarszczył brwi. Siedzący po jego lewicy lord Ashford pokiwał powoli głową.

–Czemu? – spytał książę Maekar, pochylając się ku synowi. – Boisz się stawić czoło temu błędnemu rycerzowi w pojedynkę i chcesz, żeby bogowie zdecydowali o prawdziwości twojego oskarżenia?

–Bać się? – obruszył się Aerion. – Kogoś takiego? To absurd, ojczcie. Myślałem tylko o moim ukochanym bracie. Daerona ten ser Duncan też oszukał i on pierwszy ma prawo żądać jego krwi. Przy próbie siedmiu obaj będziemy mogli stawić mu czoło.

–Zbytńia to uprzejmość, bracie – mruknął Daeron Targaryen. Najstarszy syn księcia Maekara wyglądał jeszcze gorzej niż wcześniej w gospodzie. Wytrzeźwiał wprawdzie i jego czarno-czerwony kubrak był już czysty, ale oczy wciąż miał nabiegłe krwią i krople potu na czole. – Wystarczy mi, jeśli sam usieczesz tego łobuza.

–Miło, że tak we mnie wierzysz, kochany bracie – odparł książę Aerion cały w uśmiechach – ale postąpiłbym nazbyt samolubnie, gdybym pozbawił cię możliwości własnoręcznego dowiedzenia prawdy słów przez wystawienie ciała na szwank. Nalegam na próbę siedmiu.

Dunk całkiem się zgubił.

–Wasza Łaskawość, cni lordowie – powiedział w kierunku podwyższenia – nie rozumiem. Co to za próba siedmiu?

Książę Baelor poprawił się nerwowo w fotelu.

–Jeszcze jedna postać walki grupowej. Pradawna i rzadko stosowana. Przybyła do nas przez wąskie morze wraz z Andalami i ich siedmioma bogami. Jak w każdej próbie walki, tak i tutaj oskarżyciel i oskarżony potykają się, by ustalić, który ma rację. Andalowie wierzyli, że jeśli po każdej stronie stanie siedmiu wojowników, to uhonorowani tym bogowie chętniej sprawią, że wynik będzie naprawdę sprawiedliwy.

–Albo może po prostu lubili walkę na miecze bardziej niż inni – dodał lord Leo Tyrell z cynicznym uśmiechem. – Tak czy owak, ser Aerion ma swoje prawa. Skoro żąda próby siedmiu, tedy musi do niej dojść.

–Mam zatem walczyć z siedmioma mężami? – spytał bezradnie Dunk.

–Nie sam, ser – odezwał się niecierpliwie książę Maekar. – Nie udawaj głupca, nic ci z tego nie przyjdzie. Musi być siedmiu na siedmiu. Twoją sprawą jest znaleźć jeszcze sześciu rycerzy gotowych stanąć w walce u twego boku.

Sześciu rycerzy, pomyślał Dunk. Równie dobrze mogliby mu kazać znaleźć sześć tysięcy zbrojnych. Nie miał braci, kuzynów ani dawnych towarzyszy z licznych batalii. Czemu sześciu obcych miałyby ryzykować życie, broniąc błędnego rycerza przed dwoma książętami?

–Wasze Łaskawości, a co będzie, jeśli nikt nie zechce stanąć po mojej stronie?

Maekar Targaryen spojrział na niego lodowato.

–Nigdy nie brak ludzi gotowych bronić słusznej sprawy. Jeśli nie znajdziesz nikogo, ser, to dlatego, że jesteś winien. Czyż to nie oczywiste?

Dunk nigdy nie czuł się tak samotny jak wtedy, gdy wychodził z zamku Ashford, słysząc za sobą opadającą ze szczękiem kratę. Padał deszcz słaby prawie jak mżawka, lecz młodzieniec i tak dostał dreszczy, poczuwszy go na skórze. Po drugiej stronie rzeki przy niektórych namiotach płonęły jeszcze pochodnie otoczone kręgami tęczowego poblasku. Pół nocy minęło, domyślił się Dunk. Za kilka godzin świt. A ze świtem nadejdzie śmierć, pomyślał.

Oddali mu miecz i srebro, jednak kiedy przechodził bród, czuł ciągle pustkę w głowie. Zastanawiał się, czy nie obawiają się, że wskoczy na koń i ucieknie. Mógłby, gdyby chciał, ale byłby to koniec marzeń o stanie rycerskim. Znalazłby się odtąd poza prawem i któregoś dnia jakiś lord pojmałby go pewnie, po czym skrócił o głowę. Lepiej umrzeć rycerzem, niż żyć w taki sposób, powiedział sobie. Mokry do kolan ruszył przez

wymarłe pole. Większość namiotów była ciemna, a ich właściciele od dawna już spali, gdzieś tam płonęło jednak kilka świeczek. Z kilku innych dobiegały Dunka przytłumione jęki i krzyki rozkoszy. Ciekawe, czy umrze, nie zaznawszy kobiety?

Potem usłyszał parskanie konia. Dziwnie znajome... To Grom! Obrócił się i pobiegł. Był! Przywiązano go razem z Kasztanką przed dużym okrągłym namiotem, z którego bił łagodny, złocisty blask. Proporzec na maszcie zwisał, przemoczony, ale Dunk i tak rozpoznał ciemne półkole jabłka Fossowayów. Dla niego był to znak nadziei.

–Rozstrzygnięcie przez pojedynek – mruknął Raymun. – Na bogów, Duncanie, to oznacza walkę na ostrą broń, morgenszterny, topory bojowe... miecze nie będą stępione, rozumiesz?

–Raymun Wahliwy – rzucił szyderczo kuzyn Raymuna, ser Steffon. Jego płaszcz z żółtej wełny ozdobiło jabłko ze złota i kamieni granatu. – Nie ma się co bać, kuzynie, to rycerska walka. Skoro nie jesteś rycerzem, nie ryzykujesz całości swej skóry. Ser Duncanie, masz za



sobą jednego przynajmniej Fossowaya. Widziałem, co Aerion zrobił tym lalkarkom. Jestem po twojej stronie.

–I ja też... – warknął ze złością Raymun. – Chciałem tylko powiedzieć...

–Kto jeszcze będzie z nami walczył, ser Duncanie? – wtrącił się jego kuzyn.

Dunk rozłożył bezradnie ręce.

–Nie znam nikogo innego. No, może poza ser Manfredem Dondarrionem, ale on nie chciał nawet wstawić się za mną, by uznano mnie za rycerza, więc i głowy nadstawiać nie będzie.

Ser Steffonowi jakby nieco mina zrzędała.

–Zatem potrzebujemy pięciu dobrych mężów. Szczęśliwie mam tu więcej niż pięciu przyjaciół. Leo Longthorn, Wesoła Burza, lord Caron, Lannisterowie, ser Otho Bracken... tak, i jeszcze Blackwoodowie, chociaż oni nigdy nie staną po tej samej stronie co Bracken. Pójdę porozmawiać z niektórymi...

–Nie będą zachwyceni, gdy ich obudzisz – zauważył jego kuzyn.

–Tym lepiej. Rozzłoszczeni, tym chętniej staną do walki. Możesz na mnie polegać, ser Duncanie. Kuzynie, jeśli nie wrócę przed świtem, przynieś moją zbroję i dopilnuj, by Gniew został osiodłany, i tak dalej. Spotkamy się na wybiegu wyzywających. – Roześmiał się. – Długo będą pamiętać ten dzień, słowo daję.

Wyszedł z namiotu cały szczęśliwy. Raymunowi ten nastrój jakoś się nie udzielił.

–Pięciu rycerzy – powtórzył ponuro, gdy kuzyn już się oddalił. – Wzdragam się pozbawiać cię nadziei, ale...

–Jeśli twój kuzyn sprowadzi tych, o których mówił...

–Leo Longthorna? Brutala Brackena? Wesołą Burzę? – Raymun wstał. – Owszem,

zna ich wszystkich, ale wątpię, czy oni znają jego. Dla Steffona to okazja, żeby się pokazać, tobie zaś chodzi o życie. Powinieneś poszukać własnego zespołu. Pomogę ci. Lepiej mieć zbyt wielu popleczników niż za mało. – Na zewnątrz rozległ się jakiś hałas i Raymun obrócił głowę. – Kto idzie? – spytał, gdy jakiś chłopak odgarnął połę namiotu. Zaraz za nim pojawił się szczupły mężczyzna w przemoczonym czarnym płaszczu.

–Jajo? – Dunk zerwał się na nogi. – Co ty tu robisz?!

–Jestem twoim giermkim – odparł chłopiec. – Ktoś przecież będzie musiał cię uzbroić, ser.

–Czy twój lordowski ojciec wie, że wyszedłeś z zamku?

–Na bogów, miejmy nadzieję, że nie. – Daeron Targaryen rozpiął klamrę płaszcza i materia zsunęła mu się z ramion.

–Ty?! Oszalałeś, że przychodzisz?! – Dunk wyciągnął nóż. – Powiniennem pchnąć cię w brzuch.

–Zapewne tak – przyznał książę Daeron. – Chociaż może wcześniej nalej mi wina. Spójrz tylko na moje dłonie. – Wyciągnął rękę i widać było, że trzęsie się jak osika.

Dunk podszedł do niego wściekły.

–Mniejsza o twoje ręce. Skłamałeś na mój temat.

–Musiałem coś powiedzieć, kiedy ojciec zaczął pytać, gdzie się podział mój mały brat – odpowiedział książę. Usiadł, ignorując i Dunka, i jego nóż. – Prawdę mówiąc, nie wiedziałem w ogóle, że gdzieś zniknął. Na dnie kielicha z winem go nie było, a nigdzie indziej nie spoglądałem, tak więc... – westchnął.

–Ser, mój ojciec zamierza przyłączyć się do oskarżycieli – wtrącił się Jajo. – Błagałem go, by tego nie czynił, ale nie chce słuchać. Powiada, że to jedyny sposób ocalenia honoru Aeriona. I Daerona też.

–Chociaż wcale nie prosiłem, by ktokolwiek troszczył się o mój honor – powiedział kwaśno książę Daeron. – Cokolwiek się dotąd z nim działo, jakoś się nie zamartwiałem. Ale nic to. Tak czy owak, nie musisz się mnie obawiać, ser Duncanie. Nie cierpię koni, bardziej brzydzę się chyba tylko mieczy. Ciężkie to i ostre. Zrobię co w mojej mocy, by wypaść ładnie podczas pierwszego pojedynku, potem jednak... Cóż, mam nadzieję, że zdołasz palnąć mnie zgrabnie w hełm, tak by aż zadzwoniło, najlepiej w cudzych uszach, a nie w moich, jeśli wiesz, o czym mówię. Bracia lepsi są ode mnie w walce, w tańcu, w pomyślunku i czytaniu ksiąg, ale żaden nie dorówna mi, gdy chodzi o polegwanie bez przytomności w błocie.

Dunk patrzył tylko i zastanawiał się, czy gość nie robi zeń przypadkiem durnia.

–Czemu przyszedłeś?

–Żeby osobiście cię ostrzec – powiedział Daeron. – Mój ojciec rozkazał Straży Królewskiej, by się do niego przyłączyła.

–Straży Królewskiej? – spytał poruszony Dunk.

–Tak, tym trzem, którzy tu są. Dzięki bogom, że stryj Baelor zostawił resztę, znaczy czterech, w Królewskiej Przystani u boku naszego królewskiego dziada.

–Ser Roland Crakehall, ser Donnel z Duskindale i ser Willem Wylde – odezwał się Jajo, podpowiadając nazwiska.

–Nie mieli zresztą wielkiego wyboru – stwierdził Daeron. – Ślubowali bronić życia króla i rodziny królewskiej, a moi bracia i ja jesteśmy krwi smoka, bogowie pomóżcie.

Dunk policzył na palcach.

–To daje sześciu. Kto jest siódmy?

Księżę Daeron wzruszył ramionami.

–Aerion kogoś znajdzie. Jak będzie trzeba, to kupi. Nie brak mu złota.

–Kogo masz? – spytał Jajo.

–Kuzyna Raymuna, ser Steffona.

–Tylko jednego? – skrzywił się Daeron.

–Ser Steffon poszedł popytać przyjaciół.

–Mogę sprowadzić ludzi – powiedział Jajo. – Rycerzy. Naprawdę mogę.

–Jajo, ja będę walczyć z twoimi braćmi – mruknął Dunk.

–Ale Daerona przecież nie skrzywdzisz – stwierdził chłopak. – Powiedział ci, że padnie, ledwie go tkniesz. A Aerion... pamiętam, że gdy byłem mały, przychodził po zmroku do mojej sypialni i wsuwał mi sztylet między nogi. Mówił, że ma zbyt wielu braci, więc pewnej nocy przerobi mnie na siostrzyczkę, by się ze mną ożenić. Wrzucił też mojego kota do studni. Mówił, że tego nie zrobił, ale on zawsze kłamie.

Księżę Daeron westchnął z rezygnacją.

–Jajo ma rację. Aerion to potwór. Uważa się za smoka w ludzkiej postaci, rozumiesz. Dlatego tak go zezłościło to przedstawienie kukielkowe. Szkoda, że nie urodził się jako Fossoway. Miałby się wtedy za jabłuszko i wszystkim nam łatwiej by się żyło, ale cóż. – Pochylił się, podniósł swój płaszcz i otrząsnął go z deszczu. – Muszę wśliznąć się z powrotem do zamku, nim ojciec zacznie coś podejrzewać. Ostatecznie, ile można ostrzyć miecz... Ale zanim pójdę, chciałbym zamienić z tobą słowo na osobności. Można, ser Duncanie?

Dunk przyjrzał się księciu podejrzliwie.

–Jak sobie życzysz, Wasza Łaskawość. – Schował sztylet. – Muszę jeszcze odebrać moją tarczę.

–Jajo i ja poszukamy rycerzy – obiecał Raymun.

Książę Daeron owinął się płaszczem i naciągnął kaptur. Dunk wyszedł za nim na mżawkę. Ruszyli ku wozom kupców.

–Śniłeś mi się – powiedział książę.

–Mówiłeś już to w gospodzie.

–Naprawdę? No proszę. Moje sny są inne niż twoje, ser Duncanie. Moje są prawdziwe. Boję się ich. Ty też mnie wystraszyłeś. Śniłem o tobie i o martwym smoku. Wielka, ogromna bestia ze skrzydłami jak cała łąka. Upadł na ciebie, ale ty przeżyłeś, a smok był martwy.

–Zabiłem go?

–Nie wiem, ale widziałem cię tam i smoka też. Kiedyś byliśmy władcami smoków, znaczy my, Targaryenowie. Teraz smoków już nie ma, ale my zostaliśmy. Nie chcę dzisiaj umrzeć. Bogowie wiedzą czemu, ale nie chcę. Zrób mi więc tę uprzejmość i bacz pilnie, by Aeriona usiec.

–Ja też nie chcę umierać – powiedział Dunk.

–No, ja cię nie zabiję, ser. Wycofam też moje oskarżenie, chociaż to nic nie da, jak długo Aerion będzie podtrzymywał swoje. – Westchnął. – Możliwe, że skazałem cię moim kłamstwem. Jeśli tak, to przepraszam, piekło czekać mnie za to będzie, wiem. I to pewnie takie, gdzie nie ma wina.

Wzdrygnął się i tak się rozstali pośród zimnej mżawki.

Kupcy wycofali wozy na zachodni skraj łąki, pod gaj brzóz i olch. Dunk stanął pod drzewami i spojrzał bezradnie na puste miejsce po wozie lalkarzy. Odjechali. Tego się właśnie obawiał. Gdybym nie był tak słaby na umyśle, też bym uciekł, dodał jeszcze. Ciekawe, co teraz robi bez tarczy. Srebra na nową miał dość, ale czy znajdzie jakąś na sprzedaż...

–Ser Duncanie – rozległo się w ciemności. Dunk obrócił się. Za nim stał Pate z żelazną latarnią. Krótki skórzany płaszcz okrywał nagi tors, szeroką pierś i grube ramiona porastały mu ciemne, gęste włosy. – Jeśli po tarczę przyszedłeś, to ona zostawiła ją u mnie. – Obejrzał Dunka od stóp do głów. – Nogi dwie, ręce dwie. Zatem rozstrzygnięcie przez pojedynkę, zgadza się?

–Próba siedmiu. Skąd wiesz?

–Cóż, mieli do wyboru albo ucałować cię i uczynić lordem, albo skrócić o to i owo. Pierwsze

zdarza się tylko w bajkach, skutków drugiego nie widzę. Chodź ze mną.

Jego wóz łatwo było rozpoznać po mieczu i kowadle wymalowanych na boku. Dunk wspiął się do środka, gdzie płatnerz odwiesił latarnię na hak, strząsnął mokry płaszcz i wciągnął przez głowę szorstką tunikę. Potem opuścił przymocowany do ściany blat zastępujący stół.

–Siadaj – powiedział, podsuwając gościowi stół. Dunk przysiadł.

–Dokąd pojechała?

–Wszyscy wyruszyli do Dorne'u. Stryj dziewczyny to mądry człowiek. Co z oczu, to z pamięci. Zostań na widoku, a smok cię zapamięta. Poza tym nie chciał chyba, żeby widziała, jak umierasz. – Pate poszedł na drugi koniec wozu, pogrzechotał chwilę w mroku i wrócił z tarczą. – Krawędź była z cienkiej, taniej stali, przerdzewiałej do tego i poobijanej – powiedział. – Zrobiłem nową, dwakroć tak grubą, i jeszcze wzmocniłem taśmami od tyłu. Teraz będzie cięższa, ale i wytrzymała. Dziewczyna wymalowała co trzeba.

Tanselle spisała się lepiej, niż Dunk mógłby oczekiwać. Nawet w świetle latarni słoneczne barwy mieniły się bogactwem odcieni, a drzewo wyrastało wysoko i dostojnie. Spadająca gwiazda przecinała dębowe niebo jasną smugą. Dopiero teraz Dunk pomyślał, że przecież ta gwiazda spada. Czegóż to symbol? Czy i on spadnie równie szybko? A zachód słońca wiąże się przecież w heraldyce z nocą.

–Powinienem pozostać przy kielichu – mruknął. – Miał przynajmniej skrzydła i mógł odlecieć, a ser Arlan mawiał, że czara pełna była wiary, przyjaźni i wszelkiego dobra, które można wychylić. Ten malunek kojarzy się ze śmiercią.

–Ten wiąż żyje – zauważył Pate. – Widzisz te zielone liście? Liście środka lata. Widziałem już tarcze z czaszkami, wilkami i krukami, nawet tarcze z wizerunkami wisielców i uciętych głów. Skoro tamte dobrze służyły, ta też się nada. Znasz starą rymowankę o tarczy? „Dębie w żelazie strzeż mnie pilnie...”

–„...bo śmierć mi inaczej i piekło niechybnie” – dokończył Dunk. Dawno już nie przypominał sobie tego wierszyka. Stary przekazał mu go wiele lat temu. – Ile chcesz za nową krawędź i wszystko?

–Od ciebie? – Pate podrapał się po brodzie. – Miedziaka.

Deszcz przestał padać, gdy pierwsze zorze zabarwiły niebo na wschodzie, ale zrobił swoje. Cały plac turniejowy zmienił się w brunatne bagienko z kępami powydzieranej darni. Ludzie lorda Ashford usunęli już przegrody. Kłęby mgły snuły się nad ziemią niczym blade węże, gdy Dunk skierował się na miejsce spotkania. Pate podążył za nim.

Trybuna zaczęła się już zapęłniać, lordowie i damy zasiadali opatuleni płaszczami mającymi chronić ich przed porannym chłodem. Pospółstwo też schodziło się z wolna, kilkuset widzów

stało już przy barierkach. Aż tyłu przyszło, by zobaczyć, jak umieram, pomyślał gorzko Dunk, lecz pomylił się ze szczętem.

–Niech ci szczęścia sprzyja – usłyszał po przejściu kilku kroków od jakiejś kobiety. Inny mężczyzna podszedł, żeby uścisnąć jego dłoń.

–Niech bogowie dodadzą ci sił, ser.

Potem braciszek z zakonu żebraczego pobłogosławił dobrym słowem jego miecz, a jakaś pannica pocałowała go w policzek. Przyszli dla mnie, pomyślał.

–Dlaczego? – spytał płatnerza. – Kim ja dla nich jestem?

–Rycerzem, który pamięta, co ślubował – odparł Pate.

Raymuna znaleźli za zewnątrz obszaru zarezerwowanego dla wyzywających, na południowym skraju pola. Czekał przy koniach kuzyna i Dunka. Grom rzucał się niespokojnie, czując ciężar pancerzy okrywających jego grzbiet i łeb oraz narzuconej na całość kolczugi. Pate obejrzał blachy i pochwalił robotę, chociaż nie wyszła spod jego ręki. Skądkolwiek Fossoway wydobył tę zbroję, Dunk był mu bezgranicznie wdzięczny.

Potem zobaczył pozostałych: jednookiego męża z brodą jak sól z pieprzem, młodego rycerza w opończy w żółte i czarne pasy i ulami na tarczy. Robyn Rhysling i Humfrey Beesbury, pomyślał zdumiony. I jeszcze ser Humfrey Hardyng. Hardyng siedział na rudym rumaku Aeriona, obecnie odzianym w białe i czerwone romby.

Podszedł do nich.

–Panowie, jestem waszym dłużnikiem.

–To Aerion jest nam coś winien – odparł ser Humfrey Hardyng. – I zamierzamy odebrać nasz dług.

–Słyszałem, że złamałeś waść nogę.

–Dobrze słyszałeś – powiedział Hardyng. – Nie mogę chodzić, ale jak długo siedzę na koniu, mogę walczyć.

Raymun odciągnął Dunka na bok.

–Pomyślałem, że Hardyngowi może się marzyć rewanż, i rzeczywiście, chętnie skorzystał z szansy. Przy okazji wyszło, że ten drugi Humfrey to mąż jego siostry. Ser Robyna przyprowadził Jajo, znali się z innych turniejów. Tak więc jest was pięciu.

–Sześciu – powiedział zaskoczony Dunk, wskazując rycerza, który właśnie wchodził na wybieg. Giermek prowadził za nim konia.

–Wesoła Burza.

O głowę wyższy od Raymuna i prawie tak rosły jak Dunk ser Lyonel otulił się opończą ze złotogłowa, na której widniał ukoronowany jeleń, znak rodu Baratheonów. Rogaty hełm dźwigał pod pachą. Wyciągnął rękę do Dunka.

–Ser Lyonelu, nie wiem, jak dziękować ci za przybycie – powiedział Dunk. – Ani ser Steffonowi, że waść namówił.

–Ser Steffon? – spojrzał ze zdumieniem ser Lyonel. – To twój giermek do mnie przybiegł. Ten chłopak, Aegon. Moi próbowali go odgonić, ale przemknął im się pod nogami i jeszcze wylał mi dzban wina na głowę – roześmiał się rycerz. – Od ponad stu lat

nie zdarzyło się, by ktoś porwał się na próbę siedmiu, wiesz? Ani myślę przegapić taką okazję, skoro mogę powalczyć z królewskimi i jeszcze przytrzeć nosa księciu Maekarowi.

–Sześciu – powiedział Dunk do Raymuna Fossowaya, gdy ser Lyonel dołączył do pozostałych. To już dawało nadzieję. – Twój kuzyn na pewno jeszcze kogoś przyprowadzi.

Wrzawa urosła nad polem. Na północnym jego krańcu pojawiła się kolumna jeźdźców. Przodem podążało trzech rycerzy Straży Królewskiej – białych niczym duchy w swoich malowanych zbrojach i snujących się za nimi długich, równie białych płaszczach. Nawet tarcze mieli białe jak gładź dziewiczego śniegu. Za nimi podążał książę Maekar z synami. Aerion dosiadał nakrapianego siwka, a przy każdym jego kroku spod pancerzy wyzierała szara, pomarańczowa i ruda materia. Rumak jego brata był mniejszy, w czarno-złotej łuskowej kolczudze. Na hełmie powiewała mu jedwabna zielona kita. Jednak to ich ojciec wyglądał najgroźniej: z ramion, hełmu i grzbietu wzdłuż kręgosłupa wyrastały mu czarne smocze zęby, a przy siodle miał nabijaną kolcami pałkę. Dunk nie widział jeszcze równie upiornej broni.

–Sześciu – zauważył nagle Raymun. – Jest ich tylko sześciu.

Rzeczywiście. Trzech białych rycerzy i trzech czarnych, pomyślał Dunk. Im też brakuje ludzi. Czy to możliwe, by Aerion nie mógł znaleźć siódmego? Co to ma znaczyć? Będą walczyć sześciu na sześciu miast w dwie siódemki?

Jajo podszedł do zamyślonego Dunka.

–Ser, pora włożyć zbroję.

–Dzięki, giermku. Będziesz tak dobry?

Pate też pomógł. Kolczuga i naszyjnik, nagolenniki i rękawice, czepiec i to, co mocowało się u męża na samym dole – z wolna odziali go w stal, po trzykroć sprawdzając każde zapięcie. Ser Lyonel przysiadł jeszcze, żeby naostrzyć miecz osełką, Humfreyowie

rozmawiali z cicha, ser Robyn modlił się, a Raymun Fossoway chodził w tę i z powrotem, niecierpliwiąc się, dlaczego jego kuzyn jeszcze nie nadjeżdża.

Dunk był już w pełni ubrany, gdy ser Steffon zjawił się wreszcie na miejscu.

–Raymunie – zawołał – moja kolczuga, jeśli łaska.

W tym czasie włożył podbity miękko kubrak, akurat pod stal.

–Ser Steffonie – powiedział Dunk. – Co z twoimi przyjaciółmi?

Potrzebujemy jeszcze jednego rycerza, żeby było siedmiu.

–Obawiam się, że potrzebujecie dwóch – powiedział ser Steffon.

Raymun poprawiał mu tył kolczugi.

Dunk nie pojął jego słów.

–Dwóch, panie?

Ser Steffon wziął rękawicę z pięknych stalowych płytek, wsunął dłoń do środka i zgiął palce na próbę.

–Tu widzę pięciu – powiedział, gdy Raymun przypasywał mu miecz. – Beesbury, Rhysling, Hardyng, Baratheon i ty.

–No i ty – odparł Dunk. – To daje sześciu.

–Ja jestem siódmym – stwierdził z uśmiechem ser Steffon – ale po drugiej stronie. Walczę wraz z księciem Aerionem i oskarżycielami.

Raymun miał już podać kuzynowi hełm, ale zamarł jak gromem rażony.

–Nie.

–Tak. – Ser Steffon wzruszył ramionami. – Ser Duncan na pewno to zrozumie. Mam swoje powinności wobec księcia.

–Powiedziałeś mi, że może na tobie polegać – wykrztusił poblady Raymun.

–Naprawdę? – Wziął hełm z ręki kuzyna. – Na pewno byłem wtedy szczery. Przyrowadź mi konia.

–Sam go sobie przyrowadź! – rzucił gniewnie Raymun. – Jeśli myślisz, że mi się to podoba, to nie tylko drań z ciebie, ale jeszcze i tuman.



–Drań? – syknął ser Steffon. – Hamuj język, Raymunie. Jesteśmy jabłkami z tego samego drzewa, ty zaś jesteś moim giermkiem. A może zapomniałeś już o swojej przysiędze?

–Nie. Ale ty chyba zapomniałeś o swojej. Ślubowałeś być rycerzem.

–Zanim ten dzień się skończy, będę kimś więcej. Lordem Fossowayem. Podoba mi się ten tytuł.

Z uśmiechem na twarzy włożył drugą rękawicę i poszedł po konia. Inni obrońcy zmierzyli go pogardliwym spojrzeniem, ale nikt nie próbował zatrzymać.

Dunk patrzył, jak ser Steffon prowadzi swego wierzchowca przez pole. Dłonie zacisnął w pięści, lecz gardło zbyt miał zduszone, by rzec choć słowo. Zresztą, słowa zamiarów kogoś takiego i tak nie odmienia, pomyślał.

–Pasuj mnie na rycerza – powiedział Raymun, kładąc dłoń na ramieniu Dunka. – Zajmę miejsce kuzyna. Ser Duncanie, pasuj mnie.

Przyklęknął na jedno kolano.

Dunk zmarszczył brwi i sięgnął po miecz, ale zawahał się jeszcze.

–Raymunie, ja... nie powinienem.

–Musisz. Beze mnie jest was tylko pięciu.

–Ten chłopak ma rację – powiedział ser Baratheon. – Uczyń to, ser Duncanie. Każdy rycerz może pasować drugiego rycerza.

–Powątpiewasz w moją odwagę? – spytał Raymun.

–Nie. Nie to, ale...

Wciąż się wahał.

Fanfary ruszyły welon porannej mgły. Zaraz potem przybiegł Jajo.

–Ser, lord Ashford cię wzywa.

Wesoła Burza pokręcił niecierpliwie głową.

–Idź do niego, ser Duncanie. Ja pasuję giermka Raymuna na rycerza. – Wysunął miecz z pochwy i zajął bezceremonialnie miejsce Dunka. – Raymunie z domu Fossowayów – zaczął uroczyście, dotykając klingą prawego ramienia giermka – w imię Wojownika wzywam cię, byś był dzielny. – Miecz przemieścił się na lewe ramię. – W imię Ojca wzywam cię, byś był sprawiedliwy. – Znów dotknął prawego. – W imię Matki wzywam cię, byś bronił młodych i

niewinnych. – Raz jeszcze oręż spoczął na lewym ramieniu. – W imię Dziewicy wzywam cię, byś był obrońcą wszystkich kobiet...

Dunk zostawił ich. Ulżyło mu, ale czuł się winny. Wciąż jest nas o jednego za mało, pomyślał, gdy Jajo przyprowadził mu Groma. Gdzie znajdę ostatniego? Zawrócił konia i podjechał powoli ku trybunie, gdzie czekał na niego lord Ashford. Z północnego końca łąki zmierzał już ku nim książę Aerion.

–Ser Duncanie, wygląda na to, że jest was tylko pięciu – rzucił wesoło.

–Sześciu – poprawił go Dunk. – Ser Lyonel pasuje właśnie Raymuna Fossowaya na rycerza. Będziemy walczyć sześciu przeciw siedmiu.

Zdarzało się, że niektórzy wygrywali przy o wiele gorszym stosunku sił.

Jednak lord Ashford pokręcił głową.

–Tak nie można, ser. Jeśli nie zdołasz znaleźć jeszcze jednego rycerza, który stanąłby u twego boku, zostaniesz uznany winnym zarzucanych ci zbrodni.

Winnym, pomyślał Dunk. Winnym obluźnienia zęba. I za to mam umrzeć.

–Panie, proszę jeszcze o chwilę.

–Masz ją.

Dunk ruszył powoli wzdłuż ogrodzenia. Na trybunie tłoczyli się rycerze.

–Panowie! – zawołał do nich. – Czy nikt z was nie pamięta ser Arlana z Pennytree? Byłem jego giermkim. Służyliśmy u wielu spośród was. Jadaliśmy przy waszych stołach, sypialiśmy pod waszym dachem. – Ujrzał Manfreda Dondarriona siedzącego w najwyższym rzędzie. – Ser Arlan odniósł ranę w służbie waszego lordowskiego ojca. – Rycerz powiedział coś do damy obok i nie zwrócił uwagi na Dunka, który musiał jechać dalej. – Lordzie Lannister, ser Arlan wysadził waści raz podczas turnieju. – Siwy Lew wpatrywał się pilnie w swe rękawice i nie chciał podnieść oczu. – Był dobrym człowiekiem i nauczył mnie, co to znaczy być rycerzem. Nie tylko miecz i kopia się

liczą, ale także honor. „Rycerz broni niewinnych”, mawiał. To wszystko, co uczyniłem. Potrzebuję jeszcze jednego rycerza, który do mnie dołączy. Tylko jednego. Lordzie Caron? Lordzie Swann? – Lord Swann prychnął śmiechem, gdy lord Caron szepnął mu coś do ucha.

Dunk powściągnął wodze przed ser Otho Brackemem.

–Ser Otho, wszyscy wiedzą, żeś wielkim mistrzem – powiedział cichszym nieco głosem. –

Błagam cię, przyłącz się do mnie. W imię dawnych i nowych bogów. Staję w słusznej sprawie.

–Możliwe – odparł Brutal Bracken, który przynajmniej potrudził się, by odpowiedzieć. – Ale to twoja sprawa, nie moja. Nie znam cię, chłopcze.

Ze ściśniętym sercem Dunk przejechał jeszcze kilka razy przed rzędami bladego rycerstwa.

–Czy nie ma wśród was prawdziwych rycerzy?! – krzyknął w rozpacz.

Odpowiedziała mu tylko cisza.

Książę Aerion roześmiał się na drugim końcu pola.

–Smoka nie da się oszukać – zawołał.

–Ja zajmę miejsce przy boku ser Duncana – rozległ się nagle czyjś głos. Z nadrzecznych mgieł wyłonił się czarny ogier z równie czarnym rycerzem w siodle. Dunk ujrzał smoczą tarczę i malowaną na czerwono kryzę hełmu z trzema otwartymi smoczymi paszczami.

Młody Książę. Bogowie miłosierni, czy to naprawdę on? – pomyślał Dunk.

Lord Ashford myślał widać tak samo.

–Książę Valarr?

–Nie. – Czarny rycerz uniósł przyłbicę. – Nie zamierzałem uczestniczyć w turnieju, więc nie wzięłem rynsztunku. Mój syn był tak dobry, że użyczył mi swojego, mój panie. – Książę Baelor uśmiechnął się niemal ze smutkiem.

Dunk widział, że w szeregach oskarżycieli powstało spore zamieszanie. Książę Maekar wypuścił konia.

–Postradałeś zmysły, bracie?! – Wskazał na Dunka. – Ten człowiek zaatakował mojego syna!

–Ten mąż bronił słabych, jak przystało prawdziwemu rycerzowi – odparł książę Baelor. – Niech bogowie zdecydują, czy uczynił słusznie czy może wręcz przeciwnie.

Szarpnął wodze, zawrócił potężnego rumaka Valarra i ruszył stępą na południowy kraniec pola.

Dunk podjechał do niego na Gromie. Pozostali obrońcy zgromadzili się wkoło. Robyn Rhysling, ser Lyonel, Humfreyowie. Dobrzy mężowie, ale czy dość dobrzy? –

myślał Dunk.

–Gdzie jest Raymun?

–Ser Raymun, jeśli łaska – rzucił niedawny giermek, uśmiechając się ponuro spod hełmu z pióropuszem. – Wybaczcie, panowie, ale musiałem zmienić nieco znak, żeby nie mylono mnie z moim czci pozbawionym kuzynem. – Pokazał im tarczę. Na połyskliwym złotym polu widniało jabłko Fossowayów, zasadniczo wciąż takie samo, tyle że nie czerwone, ale zielone. – Obawiam się, że faktycznie jeszcze nie dojrzałem... ale lepsze jabłko zielone niż robaczywe, co?

Ser Lyonel roześmiał się, a i Dunk mimowolnie się wyszczerzył. Nawet księżę Baelor jakby kiwnął głową z aprobatą.

Septon, kapłan Siedmiu, wyszedł przed trybunę i uniósł kryształ, wzywając tłum do modlitwy.

–Słuchajcie wszyscy uważnie – powiedział półgłosem Baelor. – Przy pierwszej szarży oskarżyciele będą uzbrojeni w ciężkie bojowe kopie. Jesionowe, długie na osiem stóp, okute obręczami, żeby nie pękały, i zakończone stalowym szpikulcem dość ostrym, by przy tym impecie, wzmocnionym masą konia z jeźdźcem, przebić się przez blachy.

–Użyjemy takich samych – powiedział ser Humfrey Beesbury.

Za ich plecami septon lorda Ashford wzywał Siedmiu, by spojrzeli na ziemię i osądziли spór, przyznając zwycięstwo rzecznikom słusznej sprawy.

–Nie, weźmiemy zwykłe kopie turniejowe.

–Ale one się połamią – zauważył Raymun.

–Lecz mają za to dwanaście stóp długości. Jeśli trafimy, oni nawet nie zdołają nas dotknąć. Celujcie w hełm lub w pierś. Podczas turnieju wypada złamać kopię na tarczy przeciwnika, tu jednak chodzi o życie. Jeśli wysadzimy ich z siodeł, a sami się utrzymamy, zdobędziemy przewagę. – Spojrzał na Dunka. – Jeśli ser Duncan zginie, wypadnie na to, że bogowie uznali go winnym, i walka się skończy. Jeśli zginą obaj oskarżyciele lub wycofają swe zarzuty, też będzie po potyczce. W przeciwnym razie trzeba będzie czekać, aż z którejś strony wszystkich siedmiu padnie lub wszyscy poproszą o łaskę.

–Księżę Daeron nie będzie walczył – zauważył Dunk.

–W każdym razie nie będzie walczył dobrze – roześmiał się ser Lyonel. – Jednak i tak musimy się zmierzyć z trzema białymi mieczami.

Baelor przyjął to spokojnie.

–Mój brat popełnił błąd, żądając od żołnierzy Straży Królewskiej, by walczyli dla jego syna.

Ich śluby zabraniają im zranić księcia krwi, a tak się szczęśliwie składa, że ja jestem właśnie księciem krwi. – Uśmiechnął się blado. – Trzymajcie pozostałych z dala

ode mnie, aż uporam się z tymi trzema.

–Mój książę, czy to rycerskie? – spytał ser Lyonel Baratheon, gdy septon zakończył inwokację.

–Bogowie orzekną – odparł Baelor Breakspear.

Na Łąkach Ashford zapadła głęboka, pełna wyczekiwania cisza.

Osiemdziesiąt jardów dalej szary ogier Aeriona prychał niecierpliwie i rozgrzebywał kopytem błotnisty grunt. Grom był natomiast spokojny – był starszym już koniem, weteranem pół setki turniejowych walk i wiedział, czego się od niego oczekuje. Jajo podał Dunkowi tarczę.

–Niech cię bogowie wesprą, ser.

Widok wiązu i spadającej gwiazdy dodał Dunkowi ducha. Przełożył lewą rękę przez pętlę i zacisnął dłoń na uchwycie. Dębie w żelazie strzeż mnie pilnie, bo śmierć mi inaczej i piekło niechybnie, powtórzył w myślach rymowankę. Pate przyniósł kopię, jednak Jajo uparł się, że to on wsunie ją Dunkowi do ręki.

Z obu stron jego towarzysze uzbroili się we własne i stanęli szeroką tyralierą. Książę Baelor zajął miejsce po prawej, a ser Lyonel po lewej, jednak wąskie otwory hełmu nie pozwalały Dunkowi zobaczyć wiele ponad to, co działo się dokładnie przed nim. Z pola widzenia zniknęły trybuny i ciżba przy ogrodzeniu, widział tylko błotniste pole, zwiewaną wiatrem mgłę, rzekę, miasto i zamek na północy, a przede wszystkim Młodego Księcia na szarym rumaku, z płomienistym hełmem i smokiem na tarczy. Giermek podawał mu właśnie kopię, długą na osiem stóp i czarną jak noc. Przebije mi nią serce, jeśli tylko zdoła, pomyślał.

Zabrzmiął róg.

Na krótką chwilę Dunk znieruchomiał jak muszka w bursztynie, chociaż wszystkie konie już ruszyły. Ogarnęła go panika. Wszystko zapomniałem, pomyślał nieprzytomnie. Zapomniałem ze szczętem, wstydem się okryję, przegram z kretesem.

Grom go uratował. Wielki ogier wiedział, co robić, i nie bacząc na zdezorientowanego jeźdźcę, ruszył wolnym kłusem, a wtedy trening Dunka wziął wreszcie górę. Dotknął lekko ostrogami brzucha wierzchowca i osadził kopię we wzmocnieniu. Jednocześnie przesunął tarczę tak, że chroniła niemal cały jego lewy bok. Trzymał ją pod kątem dającym szansę na odbicie uderzenia. Dębie w żelazie strzeż mnie pilnie, bo śmierć mi inaczej i piekło niechybnie, powtórzył raz jeszcze.

Tłum szemrał ledwie – niczym fale odległego morza. Grom przeszedł do galopu. Dunk zacisnął zęby i przytrzymał mocniej nogami boki wierzchowca, by zgrać swoje ruchy z jego skokami. Jestem Gromem i Grom jest mną, jedna z nas istota, połączona,

jednym jesteśmy, myślał. Powietrze wewnątrz hełmu zrobiło się naraz tak gorące, że ledwo mógł oddychać.

W trakcie turniejowego pojedynku miałby przeciwnika po drugiej stronie barierki i nie musiałby wysuwać kopii ponad karkiem Groma, tylko ustawiłby ją bardziej pod kątem, który sprawiał zresztą, że drewniane kopie łatwiej pękały. Jednak teraz barierki nie było i przeciwnicy szarżowali wprost na siebie. Wielki, czarny ogier księcia Baelora był znacznie szybszy od Groma i Dunk dojrzał kątem oka, jak towarzysz wysforowuje się przed tyralierę. Pozostałych bardziej wyczuł, niż zobaczył. Oni nie są ważni, tylko Aerion się liczy, tylko on, pomyślał.

Smok nadciągał. Grudy błota leciały spod kopyt jego rumaka, który galopował z rozdętymi chrapami. Czarna kopia sterczała ku górze. „Rycerz, który opuszcza kopię w ostatniej chwili, ryzykuje, że opuści ją zanadto”, powiadał mu stary. Dunk wymierzył swoją kopię w środek piersi księżątka. Kopia to przedłużenie ręki, powiedział sobie. To mój palec, drewniany palec. Muszę go tylko tknąć moim długim, drewnianym palcem.

Starł się nie dostrzegać rosnącego z każdym krokiem szpikulca czarnej kopii Aeriona. Na smoka, popatrz na smoka, pomyślał. Wielka trójgłowa bestia spoglądała z tarczy przeciwnika, rozpościerała czerwone skrzydła, pluła złotym ogniem. Nie, patrz tylko tam, gdzie zamierzasz trafić, przypomniał sobie nagle, jednak kopia zaczęła już dryfować w bok. Dunk próbował ją ponownie nastawić, ale było już za późno. Ujrzał, jak uderza w tarczę Aeriona dokładnie między dwiema głowami smoka i zsuwa się na plamę malowanych płomieni. Rozległ się trzask i Grom zachwiał się lekko, a chwilę później coś z wielką siłą uderzyło Dunka w bok. Konie zderzyły się gwałtownie z chrzęstem zbroi. Grom potknął się, Dunk wypuścił z ręki resztki kopii i byli już daleko od przeciwnika. Młodzieniec walczył rozpaczliwie, aby utrzymać się w siodle, Grom zataczał się na błotnistym podłożu, tylne nogi uciekały mu i ślizgały się, aż ogier uderzył zadem o ziemię.

–Wstawaj! – ryknął Dunk, uderzając go ostrogami. – Wstawaj, Gromie!

Jakimś cudem stary koń znalazł dość sił.

Dunk czuł palący ból pod żebrami, coś ściągało mu lewą rękę. Aerion zdołał przebić kopią dąb, węglę i stał, a trzy stopy rozszczepionego drewna z ostrym żelaznym szpikulcem sterczały z drugiej strony wbite w bok Dunka. Młodzieniec sięgnął prawą ręką, ujął drzewce tuż przy nasadzie ostrza, zacisnął zęby i wyszarpnął żelazo z rany. Popłynęły krew, poczerwieniała i kolczuga, i opończa. Świat się zakołysał i Dunk omal nie spadł. Słabo, jak przez mgłę słyszał obolały swoje imię wykrzykiwane przez wiele, bardzo wiele ust. Jego piękna tarcza była już bezużyteczna. Odrzucił ją, odrzucił też pękniętą kopię i wszystko inne,

po czym wyciągnął miecz, lecz ból był tak silny, że nie

marzył nawet, aby się zamachnąć.

Prowadząc Groma w ciasnym półokręgu, spróbował dojrzeć, co się dzieje z pozostałymi. Ser Humfrey Hardyng przyłgął do grzbietu konia, wyraźnie ranny. Drugi ser Humfrey leżał bez ruchu na czerwonym od krwi błocie, a z pachwiny sterczała mu ułamana kopia. Książę Baelor, z całą wciąż kopią, minął go galopem w pościgu za jednym z królewskich, którego zaraz zrzucił z siodła. Inny biały leżał już w błocie. Maekara też ktoś wysadził i książę walczył pieszo. Trzeci z królewskich bronił się właśnie przed ser Robynem Rhyslingiem.

Aerion, gdzie jest Aerion? – pomyślał. Usłyszawszy narastający tętent, odwrócił gwałtownie głowę. Grom parsknął i cofnął się przed nadciągającym w pełnym galopie ogierem Aeriona, ale był to daremny wysiłek.

Tym razem nie było szansy ocalenia. Miecz wypadł Dunkowi z dłoni i ziemia wybiegła mu na spotkanie. Wylądował gwałtownie, aż wszystkie kości go zabołały. Krzyknął i przez chwilę leżał nieruchomo, niezdolny do czegokolwiek innego. W ustach czuł smak krwi. Dunk-kunk, myślał, że zostanie rycerzem, przebiegło mu przez myśl. Wiedział, że albo wstanie, albo umrze. Jęcząc, zmusił się do dźwignięcia na kolana. Ledwie mógł oddychać, niczego nie widział. Lewy otwór w hełmie zatkany był błotem. Zbierając się na nogi, Dunk otarł hełm pancernym paluchem. Chwila, przecież to...

Przez palce ujrzał nadlatującego smoka i kolczasty morgensztern wirujący na końcu łańcucha. Głowa jakby rozpadła mu się na kawałki.

Kiedy znów otworzył oczy, leżał na ziemi, rozpostarty na wznak. Błoto zeszło z hełmu, ale teraz jedno oko zalała mu krew. Nad sobą widział tylko szare niebo. Twarz mu płonęła, czuł chłodny metal napierający na skroń i policzek. Rozwalił mi łeb, umieram, pomyślał. Co gorsza, pozostali umrą razem z nim. Raymun i książę Baelor i reszta. Zawiodłem ich. Nie jestem mistrzem, nie jestem nawet błędnym rycerzem, myślał. Przypomniał sobie deklarację księcia Daerona, że nikt nie dorówna mu w leżeniu w błocie. Nigdy mnie nie widział, ot co, przeszło mu przez myśl. Wstyd był jeszcze gorszy od bólu.

Smok znów się nad nim pojawił.

Miał trzy głowy i skrzydła jasne jak płomień – czerwone, żółte i pomarańczowe. Zanosił się śmiechem.

– Błagaj o łaskę i uznaj swą winę, a skończy się może tylko na obcięciu ręki i stopy. A, i te ząbki, ale co znaczy kilka zębów? Ktoś taki ja ty lata całe może przeżyć na kleiku z groszku.  
– Smok znów się zaśmiał. – Nie? No to posmakuj tego.

Kolczasta kula zatoczyła kilka kręgów na niebie i runęła ku głowie Dunka niczym spadająca gwiazda.

Dunk odtoczył się na bok.

Skąd wziął na to siły, tego sam nie wiedział, ale jakoś się udało. Runął Aerionowi pod nogi, zacisnął odziane w stal ramię wokół jego uda i ściągnął przeklinającego rycerza na ziemię. Po chwili był już na nim. Niech sobie teraz macha tym swoim morgenszternem, rzucił w myślach. Książę próbował przyłożyć Dunkowi krawędzią tarczy w głowę, ale poobijany hełm zneutralizował cios. Aerion był silny, lecz Dunk okazał się silniejszy, a do tego większy i cięższy. Złapał tarczę przeciwnika obiema dłońmi i wykręcał ją, aż w końcu pękł rzemień. Potem opuścił ją na hełm książątka raz, drugi i trzeci, aż prysnęły wkóło płomienie odłupane z kryzy. Tarcza była grubsza niż tarcza Dunka – porządny dąb okuty żelazem. Odpadł kolejny płomień i następny. Książę został bez ozdób, ale Dunk wciąż uderzał.

W końcu Aerion puścił bezużyteczny morgensztern i sięgnął do biodra po sztylet. Zdołał wyciągnąć go z pochwy, kiedy jednak Dunk uderzył go w dłoń tarczą, ostrze poleciało w błoto.

Mógł pokonać ser Duncana Wysokiego, ale nie Dunka z Pchlego Zadka, pomyślał. Stary nauczył go sztuki walki na miecze, pokazał, jak pojedynkować się podczas turnieju, lecz Dunk potrafił walczyć już wcześniej, tyle że inaczej – tak jak walczy się o przeżycie w wąskich i mrocznych uliczkach najgorszych dzielnic miasta. Odrzucił poobijaną tarczę i uniósł wizjer hełmu Aeriona.

„Wizjer to zawsze słaby punkt”, przypomniał sobie słowa Pate’a. Książę przestał się szarpać. Oczy nabiegły mu krwią, były przerażone. Dunk najchętniej wyrwałby mu jedno i uniósł w stalowych palcach, ale to by nie było po rycersku.

–Poddaj się! – wrzasnął.

–Poddaję się – szepnął smok, ledwo poruszając bladymi wargami. Dunk zamrugnął zdumiony i przez chwilę własnym uszom nie dowierzał. To już po wszystkim? – pomyślał. Pokręcił wolno głową, próbując dojrzeć cokolwiek. Cios, który przyjął na prawą stronę hełmu, połowicznie go oślepił, ale ujrzał, jak książę Maekar próbuje utorować sobie pałką drogę do syna. Książę Baelor twardo go powstrzymywał.

Dunk pozbierał się na nogi i pociągnął księcia Aeriona za sobą. Niezdarnie porozpinał rzemień przy hełmie i zdjął go z głowy. Zaraz zalała go powódź dźwięków: jęki, przekleństwa i wrzask tłumu, wściekłe rzenie ogiera, tętent innego konia goniącego bez jeźdźca po polu. Wszędzie stał dzwoniła o stal. Raymun potykał się z kuzynem tuż przed trybuną, obaj byli pieszo. Tarcze mieli w drzazgach, ich jabłka ledwo można było rozpoznać. Jeden z królewskich znosił ранnego brata z pola, obaj wyglądali tak samo w białych płaszczach i zbrojach. Trzeci strażnik leżał powalony, a Wesół Burza dołączył do księcia Baelora w walce z księciem Maekarem. Pałka, topór i miecz zderzały się co

chwila w różnych kombinacjach, trafiając też w tarcze i zbroje. Za każdy celny cios Maekar



zbierał trzy od przeciwników i Dunk widział, że długo to już nie potrwa. Muszę zakończyć walkę, nim ktoś zginie, pomyślał.

Książę Aerion sięgnął niespodziewanie po morgensztern, ale Dunk kopnął go w plecy i wprasował w glebę, potem zaś chwycił za obie nogi i pociągnął przez pole. Zanim dotarł przed trybunę, gdzie siedział lord Ashford, Jasny Książę był jak z wychodka wyciągnięty. Dunk postawił go mniej więcej pionowo i zagrzechotał przeciwnikiem, aż błoto poszło na lorda Ashford i piękną pannę.

–Powiedz im!

Aerion Brightflame miał usta pełne ziemi i trawy. Najpierw musiał je wypluć.

–Wycofuję oskarżenie.

Dunk nie potrafił powiedzieć później, czy zszedł z pola o własnych siłach, czy może ktoś musiał go sprowadzić. Cały był obolały, a kilka miejsc łupało szczególnie paskudnie. To jak, jestem teraz prawdziwym rycerzem? – zastanawiał się. Jestem mistrzem?

Jajo pomógł mu zdjąć nagolenniki i naszyjnik. Dunk dostrzegł też krzątających się przy nim Raymuna i Pate’a, ale zbyt mu się wzrok mącił, żeby odróżnić, który, co robił. Słyszał głosy, czuł manipulujące przy nim palce. Jeden Pate narzekał, Dunk poznał głos.

–Patrzcie tylko, co on zrobił z moją zbroją – mówił. – Poobijana, podziurawiona, porysowana. Właśnie, i po co ja się tak trudziłem, pytam? Obawiam się, że teraz trzeba go będzie wyciąć z tych blach.

–Raymunie – odezwał się nagle Dunk. – Co z innymi? Jak sobie poradzili? – Musiał wiedzieć. – Czy ktoś zginął?

–Beesbury – odparł Raymun. – Zabity przez Donnela z Duskendale w pierwszym starciu. I jeszcze ser Humfrey jest ciężko ranny. Reszta tylko poobijana. Oprócz ciebie.

–A oni? Oskarżyciele?

–Ser Willema Wylde’a ze Straży Królewskiej zniesiono z pola nieprzytomnego, a ja złamałem chyba kilka żeber kuzynowi. W każdym razie mam taką nadzieję.

–A książę Daeron? – wydukał młodzieniec. – Przeżył?

–Jak go ser Robyn zrzucił z konia, to leżał potem, gdzie padł. Może mieć pękniętą stopę, bo jeszcze jego koń na niego wleciał.

Chociaż ledwie przytomny, Dunk poczuł ogromną ulgę.

–No to sen mu się nie spełnił. Ten o martwym smoku. Chyba że Aerion zginął. Ale pewnie

nie?

–Nie – powiedział Jajo. – Oszczędziłeś go. Nie pamiętasz?

–Ledwie. – Wszystkie wspomnienia z niedawnej walki zatarty się nagle i zlały. – W jednej chwili jestem jak pijany, w drugiej umieram z bólu.

Położyli go na plecach i zaczęli naradzać nad nim, podczas gdy on patrzył w chmurne niebo. Wydawało mu się, że ciągle jest rano. Zastanawiał się, jak długo właściwie trwała ta walka.

–Bogowie miłosierni, kopia wbiła mu łańcuszki głęboko w ciało – usłyszał głos Raymuna. – Zacznie się paprać, chyba że...

–Upijcie go i zalejcie mu ranę wrzącym olejem – zaproponował ktoś. – Tak to robią medycy.

–Winem – rozległ się głos jak z metalowej studni. – Nie olejem, bo to go zabije, ale wrzącym winem. Przyślę medyka Yormwella, aby go obejrzał, kiedy skończy już opatrywać mego brata.

Nad nim stał wysoki rycerz w czarnej, ale noszącej ślady wielu trafień zbroi. Książę Baelor, pomyślał Dunk. Szkarłatny smok na jego hełmie stracił głowę, oba skrzydła i większość ogona.

–Wasza Łaskawość – powiedział Dunk. – Oddaję się na twe usługi. Proszę, jestem twoim rycerzem.

–Moim rycerzem. – Czarny mąż zachwiał się i oparł dłoń na ramieniu Raymuna. – Potrzebuję dobrych rycerzy, ser Duncanie. Królestwo... – Jego głos brzmiał dziwnie niewyraźnie. Może książę przygryzł sobie język.

Dunk poczuł się upiornie zmęczony. Był bliski utraty przytępi ności.

–Twoim rycerzem – powtórzył szeptem.

Książę pokiwał powoli głową.

–Ser Raymunie... mój hełm, gdybyś był tak miły... Przyłbica się zacięła, a palce... palce mam jak z drewna...

–Już, Wasza Łaskawość. – Raymun ujął hełm księcia w obie dłonie i chrząknął zmieszany. – Pate, miły, pomóż.

Płatnerz wspiął się na stołek.

–Stal jest wgnieciona z tyłu, na dole, Wasza Łaskawość. Bardziej z lewej. Wczepiła się w kołnierz. Dobra stal, że zatrzymała taki cios.

–Najpewniej to braterska pałka – zachrypiał Baelor. – Silny jest. Ale dziwnie... dziwnie się czuję...

–Już puszcza – powiedział Pate i uniósł poobijany hełm. – Bogowie łaskawi... Bogowie, bogowie, bogowie zachowajcie...

Dunk ujrzał, jak z hełmu wypada coś czerwonego i mokrego. Ktoś krzychał strasznie, piskliwym głosem. Na tle szarego nieba chwiała się wysoka sylwetka księcia

w czarnej zbroi z połową ledwie czaszki. Widać było czerwoną krew i białą kość, i jeszcze coś – coś sinoszarego i ciastowatego. Przez oblicze księcia Baelora Breakspeara przebiegł grymas zdumienia podobny do chmury przemykającej przed licem słońca. Rycerz uniósł dłoń i dotknął palcami tyłu głowy. Uczynił to bardzo lekko. I zaraz potem upadł.

Dunk złapał go.

–Wstawaj – powiedział wówczas podobno, tak jak wtedy, gdy Grom przysiadł w trakcie turnieju. – Wstawaj, wstawaj! – Potem jednak nie pamiętał, by mówił cokolwiek, a książę nie wstał już nigdy więcej.

Baelor z rodu Targaryenów, książę Smoczej Wyspy, Ręka Króla, Obrońca Królestwa i dziedzic Żelaznego Tronu Siedmiu Królestw Westerosu spoczął na stosie na podwórku zamku Ashford na północnym brzegu rzeki Cockleswent. Inne wielkie rody mogły chować swoich zmarłych w ciemnej ziemi lub topić ich w zimnym i zielonym morzu, ale Targaryenowie byli smoczej krwi i pisany był im koniec w płomieniach.

Był najznamienitszym rycerzem swoich czasów i niektórzy sugerowali, że powinien stawić czoło ciemności odziany w kolczugę i blachy, z mieczem w dłoni. Ostatecznie jednak przeważyło zdanie jego koronowanego ojca, a Daeron II był pokojowego usposobienia. Gdy Dunk przechodził obok mar Baelora, ujrzał, że księcia odziano w czarną aksamitną tunikę z wyszytym szkarłatną nicią na piersi trójgłowym smokiem. Na szyi miał ciężki złoty łańcuch, skryty w pochwie miecz spoczywał obok, hełm jednak tkwił na głowie – cienki złoty hełm z podniesioną przyłbicą, by wszyscy mogli widzieć twarz rycerza.

Valarr, Młody Książę, stanął u stóp stosu. Był bardzo podobny do ojca, choć niższy trochę, smuklejszy i przystojniejszy, bez dwakroć złamanego nosa, który nadawał obliczu królewskiego potomka zwyklejszy, ludzki wygląd. Valarr miał brązowe włosy, wciąż jednak ze srebrzystozłotą smugą. Dunkowi przypominał Aeriona, ale wiedział, że to pozorne podobieństwo. Jajo, któremu odrastały już włosy jasne jak u brata, przybył odziany całkiem skromnie jak na księcia.

Gdy Dunk przystanął, by przekazać wyrazy współczucia, księżę Valarr spojrzął na niego chłodnymi, błękitnymi oczami i zamrugął.

–Mój ojciec miał ledwie trzydzieści dziewięć lat. Mógł zostać wielkim królem, największym od czasów Aegona Smoka. Czemu bogowie go zabrali, a zostawili ciebie? – Potrząsnął głową. – Odejdź w pokoju, ser Duncanie. Odejdź.

Dunk bez słowa wykuśtykał z zamku i wrócił do obozowiska nad zielonym jeziorkiem. Nie potrafił odpowiedzieć na pytanie Valarra. Ani na własne. Medycy i wrzące wino zrobili swoje i jego rana goiła się dobrze, choć miała mu po niej pozostać

głęboka blizna między lewą pachwiną a sutkiem. Wiedział, że ile razy na nią spojrzy, zawsze pomyśli o Baelorze. Raz uratował mnie swoim mieczem, raz słowem, chociaż był już praktycznie martwy, gdy stał nade mną, pomyślał. To wszystko było takie dziwne, bez sensu, burzyło porządek świata. Bo jak to możliwe, że księżę ginie, aby błędny rycerz mógł przeżyć? Dunk usiadł pod więzaniem i wpatrzył się w milczeniu w swoje stopy.

Gdy wieczorem pewnego dnia pojawiło się w obozowisku czterech strażników w królewskich barwach, Dunk był pewien, że przybyli go zabić. Zbyt słaby i zmęczony, by sięgnąć po miecz, usiadł z plecami opartymi o więzanie i czekał.

–Nasz księżę uprasza o prywatną rozmowę.

–Który księżę? – spytał czujnie Dunk.

–Ten księżę – rozległ się chropawy głos, nim kapitan zdążył odpowiedzieć. Zza więzania wyszedł Maekar Targaryen.

Dunk wstał powoli. Czego on może ode mnie chcieć? – zastanawiał się.

Maekar skinął dłonią i strażnicy zniknęli równie nagle, jak się pojawili. Księżę przyglądał się przez chwilę Dunkowi, po czym odwrócił się i wolnym krokiem podszedł do jeziorka. Stał tam i spojrzął na swoje odbicie w wodzie.

–Wysłałem Aeriona do Lys – obwieścił nagle. – Może kilka lat w Wolnych Miastach zmieni go na lepsze.

Dunk nigdy nie był w Wolnych Miastach i nie wiedział, co powiedzieć. Ucieszył się, że Aerion zniknął z Siedmiu Królestw, i miał nadzieję, że nigdy już do nich nie wróci, ale czegoś takiego nie mówi się ojcu. Stał bez słowa.

Księżę Maekar obrócił ku niemu twarz.

–Niektórzy powiadają, że umyśliłem zabić mego brata. Bogowie wiedzą, że to kłamstwo, ale będę słyszał te szeptaki już do śmierci. To moja pałka zadała ten fatalny cios, co do tego

nie mam wątpliwości.

Poza mną stawał w walce tylko przeciwko trzem żołnierzom Straży Królewskiej, a ich ślubowanie zmuszało do poprzestania na obronie.

Zatem to ja. Dziwne, ale nie pamiętam tego uderzenia, które rozbiło mu czaszkę. Czy to miłosierna łaska, czy przekleństwo? Chyba po trosze jedno i drugie...

Dunkowi zdało się, że księżę czeka na odpowiedź.

–Nie potrafię orzec, Wasza Łaskawość. – Być może powinien nienawidzić Maekara, ale mimo wszystko odczuwał doń osobliwe współczucie. – Wasza Łaskawość uderzył pałką, ale to przeze mnie księżę Baelor zginął. Zatem i ja przyczyniłem się do jego śmierci.

–Tak – przyznał księżę. – Te pogłoski też usłyszysz. Król jest stary. Gdy umrze, Valarr, a nie jego ojciec, zasiądzie na Żelaznym Tronie. Ile razy przegra jakąś bitwę lub

zdarzy się nieurodzaj, głupcy będą powtarzać: „Bealor nigdy by na to nie pozwolił, ale błędny rycerz go zabił”.

Dunk wiedział, że w tych słowach jest sporo prawdy.

–Gdybym nie walczył, obciąłbyś mi waść rękę. I stopę. Czasem, gdy siadam pod tym drzewem i patrzę na moje nogi, zastanawiam się i pytam, czy nie mógłbym się bez jednej obejść. Bo jak moja stopa może być warta życie księcia? I pozostałych dwóch też, bo Humfreyowie byli dobrymi mężami.

Ser Humfrey Hardyng zmarł od ran poprzedniej nocy.

–I co ci drzewo odpowiada?

–Nie słyszę, by cokolwiek odpowiadało. Ale stary, ser Arlan, każdego wieczoru mawiał: „Ciekaw jestem, co ranek przyniesie”. Nigdy tego nie wiedział i my też nie. Może przyjdzie i taki ranek, gdy bardzo będę potrzebował tej stopy? Kiedy królestwo będzie jej potrzebowało bardziej nawet niż żywego księcia?

Maekar przetrawiał to czas jakiś, krzywiąc się pod bladłosrebrzystą brodą, która spowodowała, że jego twarz wydawała się jakby nieco kwadratowa.

–Niepodobna – powiedział nieswoim głosem. – Królestwo ma wielu błędnych rycerzy. Wszyscy są dwunożni.

–Jeśli Wasza Łaskawość zna lepszą odpowiedź, to chętnie jej wysłucham.

Maekar zmarszczył brwi.

–Być może bogowie gustują w okrutnych żartach. Albo w ogóle nie ma żadnych bogów. A może wszystko to nie ma żadnego znaczenia. Spytałbym Najwyższego Septona, ale gdy ostatni raz do niego poszedłem, powiedział mi, że człowiek i tak nigdy nie pojmie bożego dzieła. Może powinien spróbować przespać się pod tym drzewem. – Książę się skrzywił. – Mój młodszy syn, jak się zdaje, jest z ciebie dumny, ser. Pora, by został giermkim, ale mówi, że nie będzie służył żadnemu rycerzowi prócz ciebie. To trudny chłopak, jak już zauważyłeś. Przyjmiesz go?

–Ja? – Dunk otworzył bezgłośnie usta, zamknął je i znów otworzył. – Jajo... znaczy Aegon... to dobry chłopiec, ale, Wasza Łaskawość, to wprawdzie zaszczyt, ale... jestem tylko błędnym rycerzem.

–To można zmienić – stwierdził Maekar. – Aegon wróci do mojego zamku w Summerhall. Jak chcesz, to znajdzie się tam miejsce i dla ciebie. Będiesz rycerzem mojego domu. Złożysz mi przysięgę na miecz, a Aegon będzie mógł zostać twoim giermkim. Gdy ty będziesz szkolił jego, moi mistrzowie dokończą twojej edukacji. – Książę spojrzał na Dunka z ukosa. – Twój ser Arlan bez wątpienia zrobił co tylko w jego mocy, ale wciąż masz jeszcze sporo zaległości.

–Wiem, panie. – Dunk rozejrzał się wkoło. Popatrzył na zieloną trawę, na trzciny, na wysoki wiąz i drobne fale na powierzchni jeziora. Jakaś ważka polatywała nad wodą, może zresztą to ta sama co wtedy. Co będzie, Dunku? – spytał sam siebie. Ważka czy smok? Kilka dni temu odpowiedziałby bez namysłu. Teraz, gdy mógł mieć wszystko, o czym marzył, perspektywa tego nowego życia zaczęła go przerażać. – Na chwilę przed śmiercią księcia Baelora przysięgłem być jego rycerzem.

–Zarozumiałys. I co odpowiedział?

–Że królestwo potrzebuje dobrych ludzi.

–Prawda. I co z tego?

–Przyjmę twego syna na giermka, Wasza Łaskawość, ale nie w Summerhall. W każdym razie nie od razu, dopiero za parę lat. Wydaje mi się, że na razie Aegon dość ma zamków. Przyjmę go tylko wtedy, gdy będzie mógł ruszyć ze mną w drogę. – Wskazał na starą Kasztankę. – Będzie jechał na moim koniu, nosił mój stary płaszcz, czyścił moją kolczugę i ostrzył mój miecz. Będziemy sypiać w zajazdach i stajniach, czasem w dworach rycerzy na włościach lub pomniejszych panów, a nawet pod gołym niebem, jak wypadnie.

Książę Maekar spojrzał na niego z niedowierzaniem.

–Czyżby walka zmysły ci pomieszała? Aegon to książę krwi. Smoczej krwi. Tacy jak on nie sypiają po rowach i nie jadają twardej solonej wołowiny. – Zauważył, że Dunk się zawahał. – O co chodzi? Czego tak obawiasz się mi powiedzieć? Słucham, ser.

–Założę się, że Daeron nigdy nie spał w rowie – odparł bardzo cicho Dunk. – I że Aerion zawsze jadał świeżą i krwistą wołowinę.

Maekar Targaryen, książę Summerhall, mierzył Dunka z Pchlego Zadka spojrzeniem przez długi, bardzo długi czas. Ruszał przy tym bezgłośnie szczękami pod srebrzystą brodą, aż w końcu odwrócił się bez słowa i odszedł w milczeniu. Dunk słyszał, jak odjeżdża ze swoimi ludźmi. Gdy zniknęli, zapadła cisza, w której pobrzmiwało tylko brzęczenie przemykających ponad wodą ważek.

Chłopak zjawił się następnego dnia o świcie. Był w starych butach, brunatnych portkach i brązowej, wełnianej tunice, na którą narzucił znoszony płaszcz podróżny.

–Mój szanowny ojciec powiedział, że mam ci służyć.

–Mam ci służyć, ser – przypomniał mu Dunk. – Możesz zacząć od osiodłania koni. Kasztanka jest twoja, traktuj ją dobrze. Nie chcę cię widzieć na Gromie, aż sam cię na nim nie posadzę.

Jajo poszedł po siodła.

–Gdzie jedziemy, ser?

Dunk zastanawiał się przez chwilę.

–Nigdy nie byłem za Górami Czerwonymi. Nie chciałbyś obejrzeć sobie Dorne'u?

Jajo uśmiechnął się szeroko.

–Słyszałem, że mają tam dobre przedstawienia kukielkowe – powiedział.

Przełożył Radosław Kot

## **Jeźdźcy Smoków z Pern**

**Anne Mccaffrey**

### **Trylogia Podstawowa**

*Dragonflight (1969) Jeźdźcy smoków (REBIS, 1991) Dragonquest (1971) W pogoni za smokiem (1995) The White Dragon (1978) Biały smok (1995)*

### **Trylogia Harfiarzy**

*Dragonsong (1976) Śpiew smoków (1995) Dragonsinger (1977) Smoczy śpiewak (1995) Dragondrums (1978) Smocze werble (1996)*

## Inne Pozycje Cyklu

*Moreta, Dragonlady of Pern* (1983) *Moreta, pani smoków z Pern* (1996) *Nerilka's Story* (1986) *Opowieści Nerilki* (1996) *Dragonsdawn* (1988) *Narodziny smoków* (1997) *The Renegades of Pern* (1989) *Renegaci z Pern* (1997) *All the Weyrs of Pern* (1991) *Wszystkie weyry Pern* (1998) *The Chronicles of Pern* (1992) *The Girl Who Heard the Dragons* (1994) *The Dolphins of Pern* (1994) *Delfiny z Pern* (1998) *The Second Chronicles of Pern: Red Star Rising* (tyt. bryt.), *Dragonseye* (tyt. am.) (1996) *Smocze Oko* (1998) *The Masterharper of Pern* (1998) *Mistrz harfiarzy z Pern* (1999) *The Sky of Pern* (2000) *Niebiosa Pern* (2001) *Gift of Dragons* (2002)

*Dragon's Kin* (z Toddem McCaffreyem, 2003) *Dragon Blood* (Todd McCaffrey, 2004) *The Atlas of Pern* (1984)

*The Dragonlovers Guide To Pern* (1989) *Ilustrowany przewodnik po planecie Pern* (2000)

Tytułem wstępu drobne wyjaśnienie: w cyklu „Jeźdźcy smoków z Pern” nie ma czarów, magicznych broni, adeptów magii, krasnoludów czy elfów. Są za to smoki. I bardzo spójny świat, po którym powstały nawet przewodniki i atlas. A oto, jak się to wszystko zaczęło.

Ludzie, niezadowoleni z przesyconego techniką życia na Ziemi, postanowili skolonizować inną planetę, na której istnienie nie byłoby tak uzależnione od technologii. Kilkuset osadników dotarło do systemu Rukbat, posiadającego sześć planet, z których pięć poruszało się po stałych orbitach, jedna zaś krążyła dziko wokół pozostałych. Trzecia planeta nadawała się do zamieszkania, toteż osiedlili się na niej i nazwali ją Pern. Wykorzystali przywiezione materiały oraz same statki do jej skolonizowania i przekształcenia w nowy dom.

Pern byłby idealnym miejscem, gdyby nie jedna rzecz: w nieregularnych odstępach czasu w jego pobliżu przelatowała szоста planeta, uwalniając przy tym chmury mikoryzoidowatych zarodników niszczących wszelkie życie organiczne, jakiego dotkną, i na lata wyjaławiających zupełnie ziemię, na którą spadną. Koloniści nazwali je Nićmi i natychmiast zaczęli szukać sposobu pozwalającego skutecznie z nimi walczyć i je niszczyć.

Ktoś wpadł na pomysł, by wykorzystać zamieszkujące Pern ogniste jaszczurki, niewielkie gady, które potrafiły ziać ogniem i latać. Dawały się łatwo oswajać, stanowiły więc doskonały materiał do badań. Dzięki genetyce i selektywnej hodowli po kilku pokoleniach koloniści dysponowali rasą z początku stosunkowo niewielkich, potem jednak w pełni już wyrosniętych smoków. Współpraca smoków z jeźdźcami pozwoliła zniszczyć Nici podczas najbliższego Opadu i utrzymać kolonię na planecie. Ustalono quasi-feudalną strukturę społeczności rolniczej i zbudowano odpowiedniki miast, acz o specjalnym przeznaczeniu: w weyrach mieszkały smoki i ich jeźdźcy, w warowniach administratorzy i rolnicy, w siedzibach zaś rzemieślnicy.



Wiele powieści i opowiadań o Pernie traktuje o sprawach codziennego życia i polityki wewnętrznej między warowniami a weyrami w okresach wyznaczanych przez kolejne Opady. Cały cykl obejmuje ponad dwa i pół tysiąca lat, od pierwszego lądowania kolonistów do odkrycia przez ich potomków zapomnianej wiedzy przechowywanej w głównym komputerze flagowego statku kolonizacyjnego.

Akcja pierwszej trylogii, zwanej „podstawową”, toczy się dwadzieścia pięć wieków po lądowaniu. Bohaterka *Jeźdźców smoków*, Lessa, wraz z dwoma innymi jeźdźcami, F'larem i F'norem, są przekonani, że zbliża się kolejny Opad, ponieważ jednak od ostatniego upłynęło już czterysta lat, spotykają się z powszechną niewiarą

i sceptycyzmem. Poza próbami zmobilizowania mieszkańców do obrony Lessa ma jeszcze inny problem: wie, że na planecie nie ma wystarczającej liczby smoków, by można było skutecznie zniszczyć Nici podczas Opadu. Dlatego decyduje się na desperacki krok: dzięki smoczej umiejętności poruszania się pomiędzy cofa się w czasie o czterysta lat, do momentu tuż po ostatnim Opadzie. Jeźdźcy smoków z tego okresu zaczynają się właśnie nudzić, dlatego też bez trudu przekonuje większość z nich, by udali się z nią do jej czasów i pomogli zniszczyć Nici podczas kolejnego Opadu. Przybywają w samą porę i likwidują zagrożenie.

Akcja *W pogoni za smokiem* rozgrywa się siedem lat później. Stosunki między Jeźdźcami z Przeszłości, jak nazywani są ci sprowadzeni przez Lessę, a współczesnym pokoleniem jeźdźców stają się coraz bardziej napięte. Po walce z jednym ze starych jeźdźców F'nor zostaje wysłany na Południowy Kontynent, by się wykurował i odzyskał siły utracone w wyniku poniesionych ran. Odkrywa tam pędraki zdolne neutralizować Nić już po tym, jak wkopie się ona w ziemię. Rozumiejąc, że odkrył nową, potężną broń, zaczyna planować, jak rozmieścić ją równomiernie na obu kontynentach. W tym samym czasie nieoczekiwany Opad przyspiesza pojedynek Fiara, Władcy Weyru Benden, z Tronem – przywódcą Jeźdźców z Przeszłości. Fiar zwycięża i doprowadza do wygnania wszystkich tych jeźdźców, którzy nie chcą zaakceptować go jako nadrzędnego Władcy Weyrów.

Wygnani udają się na Południowy Kontynent.

Ostatni tom trylogii, *Biały smok*, opisuje losy Jaxoma, który od chwili Wylęgu opiekuje się genetyczną anomalią: jedynym białym smokiem na Pernie. Ponieważ jest on mniejszy od wszystkich innych smoków, no i nikt nigdy nie słyszał o smoku albinosie, obaj stają się obiektem uprzedzeń i drwin ze strony innych jeźdźców smoków. Jaxom ma także zostać lordem jednej z najstarszych warowni na planecie – Ruathy – toteż nie brakuje wątpliwości w jego kwalifikacje. Zarówno Jaxom, jak i Ruth, jego smok, udowadniają w końcu, ile są warcy, wykazując przy okazji, że większe nie zawsze znaczy lepsze. Jaxom otrzymuje obiecaną warownię, zdobywa dziewczynę i staje się ważnym członkiem społeczności.

Druga trylogia, określana mianem „Trylogii Harfiarzy” lub „Trylogii młodzieżowej”, przeznaczona jest dla nieco młodszych czytelników i opisuje losy Menolly – uzdolnionej

dziewczyny, która z nie docenianej przez nikogo córki staje się harfiarką i opiekunką ognistych jaszczurek.

Kolejne powieści oraz opowiadania, podobnie jak ta nowela, traktują o rozmaitych aspektach życia kolonistów od początków obecności ludzi na planecie.

Zaznaczyć należy, że utwory nie są pisane czy wydawane chronologicznie oraz że

opowiadania opublikowane zostały w dwóch antologiach rozmaitych opowiadań autorki, toteż nie wszystkie dzieła wchodzące w skład każdego z tomów należą do tego cyklu. Mowa tu o *Get of the Unicorn* i *The Girl Who Heard the Dragons*.

## **Posłańcy Anne Mccaffrey**

Tenna dotarła do szczytu wzniesienia i przystanęła, by wyrównać oddech. Pochyliła się i wsparła dłonie o kolana, bo taka pozycja przynosiła ulgę mięśniom pleców. Po chwili ruszyła powoli dalej i – jak ją nauczono – kopała lekko na boki, co rozluźniało mięśnie ud i łydek. Wciągała przy tym i wypuszczała powietrze przez usta, dopóki oddech się nie wyrównał, a potem odpięła od pasa manierkę, upiła łyk i przepłukała usta, jak zwykle wysuszone po długim biegu. Wypluła wodę i wzięła następny łyk, pozwalając, by chłodny płyn powoli spłynął do gardła. Noc była wystarczająco chłodna, więc nie pocila się za bardzo, gdyby jednak pozostała dłużej w bezruchu, mogłaby się przeziębic.

Nie musiała: była w dobrej formie, o czym świadczyło tempo, w jakim wyrównała oddech. Przypięła manierkę, sprawdziła sakwę z listami i szybkim marszem ruszyła w dół zbocza. Noc była zbyt ciemna, żeby ryzykować bieg bez blasku księżyca, a Belior jeszcze nie pojawił się nad horyzontem. Tę część szlaku знаła jedynie z opowieści, nigdy jej nie przemierzała, co także zwiększało niebezpieczeństwo. Jak dotąd szło jej nieźle: prawie skończyła pierwsze w życiu Przejście, i to stosunkowo łatwo, bo krótkimi odcinkami, bez forsowania się. Posłańcy dbali o siebie, a żaden zarządzający stacją agent nie przeciążyłby nowicjusza. Ona zaś była nowicjuską, biegła zaledwie drugi sezon. Jeśli będzie miała szczęście, za kilka dni osiągnie brzeg Zachodniego Morza – był to jej pierwszy duży test w roli ekspresowego posłańca. Kiedy dotrze do Warowni Fort, pozostanie jej tylko pokonać Zachodnią Grań.

W połowie drogi ze szczytu napotkała skalistą grań, przed którą ją ostrzegano, a gdy już ją pokonała i odruchowo sprawdziła, czy sakwa znajduje się na swoim miejscu, zwiększyła tempo, unosząc wyżej kolana i przechodząc w długie susy, z których słyneśli posłańcy.

Naturalnie pierwotni biegacze, którzy – jak wieść niosła – potrafili przebiec dziennie nawet sto mil, już dawno wymarli, ale pamięć o nich pozostała żywa. Ich umiejętności i poświęcenie stanowiły przykład dla wszystkich posłańców przemierzających szlaki Pernu. Według legend nie było ich wielu, ale to oni właśnie założyli stacje, gdy w czasie Pierwszego Opadu Nici okazało się, że trzeba szybko przekazywać dłuższe wiadomości.

Ponieważ potrafili wprowadzić się w coś w rodzaju transu, mogli przebiegać duże odległości oraz utrzymywać wysoką temperaturę ciała w czasie zamieci śnieżnych i pokonywania pól lodowych. Oni też wytyczyli i wykonali szlaki, które przecinały wzdłuż i wszerz cały kontynent.

Podczas gdy jedynie Lordowie Warowni i Mistrzowie Cechów mogli sobie pozwolić na utrzymywanie biegusów dla kurierów, normalny człowiek, chcąc przekazać wiadomość rodzinie, przyjacielom czy współpracownikom, był w stanie bez trudu pokryć koszty listu przenoszonego w sakwie posłańca od stacji do stacji. Posłańcy zawsze w ten właśnie sposób nazywali owe budowle: „stacjami”, a kierujących nimi – „agentami”. To była część historii ich rzemiosła. Co prawda wiadomości przekazywane biciem w bębny, jeśli były krótkie i nadawane przy odpowiedniej pogodzie, stanowiły szybszą i skuteczniejszą formę komunikacji, ale wystarczył silny wiatr, a stawały się całkowicie niezrozumiałe. Jak długo więc ludzie będą chcieli wysyłać wiadomości na piśmie, tak długo posłańcy będą niezastąpieni.

Tenna często myślała z dumą o tradycji swojego fachu, co bardzo ją pokrzepiało w czasie długich, samotnych podróży. Biegło się jej dobrze: podłoże było twarde, lecz sprężyste, a nawierzchnia starannie pielęgnowana od czasu, gdy wykonali ją legendarni przodkowie. Porastający drogę mech nie tylko ułatwiał bieg, lecz również pomagał stwierdzić, czy jest się na szlaku – rósł tylko na nich. Każdy posłaniec bez trudu rozpoznawał, czy stąpa po szlaku czy też z niego zbieżył.

Belior w pełni ukazał się już za jej plecami, oświetlając okolicę, Tenna przyspieszyła więc kroku. Biegła z łatwością, oddychając równomiernie i trzymając uniesione, zgięte w łokciach ręce przy boku, by nie dawać – jak to określał jej ojciec – „uchwytów”, za które mógł ją złapać wiatr i zmniejszyć tempo biegu. W takich okolicznościach – przy dobrym kroku, odpowiednim świetle i w chłodny wieczór – czuła, że mogłaby biec wiecznie. Gdyby nie morze, do którego w końcu dotrze, potrafiłaby okrążyć cały Pern.

Pokonała kolejne wzniesienie, a gdy zaczęła z niego zbiegać, Belior stał już tak wysoko, że nie musiała zwalniać kroku. Zwolniła dopiero wtedy, gdy dostrzegła przed sobą strumień, choć powiedziano jej, że bród jest wyłożony płaskimi, pewnie osadzonymi kamieniami. Chłodna woda sięgała jej do kostek, a kamienie rzeczywiście były płaskie, wołała jednak nie ryzykować. Na drugim brzegu skręciła lekko na południe, gdyż tam właśnie kierował się szlak.

Miała już za sobą połowę drogi do Warowni Fort – na miejsce powinna dotrzeć o świcie. Szlak był często używany, prowadził wzdłuż wybrzeża na południowy zachód, ku innym warowniom, ale większość przesyłek, które niosła, przeznaczona była dla mieszkańców Fortu, dla niej więc oznaczało to koniec podróży. A o wyposażeniu kwater posłańców w Forcie słyszała tyle, że nie całkiem mogła w to uwierzyć. Co prawda posłańcy raczej nie dopowiadali pewnych rzeczy, niż przesadzali, lecz to, co mówili o stacji w Forcie, było zadziwiające.

Pochodziła z rodziny posłańców: ojciec, stryjowie, kuzynostwo, dziadkowie,

rodzeństwo i dwie ciotki – bądź to w przeszłości, bądź obecnie – przemierzali szlaki od Nerat do Wysokich Grani i od Benden do Boli, czyli cały kontynent. Matka twierdziła, że są do tego stworzeni. Sama nie przenosiła już listów; zarządzała dużą stacją na północnym krańcu Lemos, gdzie kończyły się równiny Keroon, a zaczynały rosnać potężne drzewa zwane z uwagi na kształt miotelnikami. Występowały one jedynie w tym rejonie Pernu, o ich wielkości zaś najlepiej świadczyło przekonanie Tenny z dzieciństwa, że w ich koronach smoki z Weyru Benden odpoczywają podczas lotów przez kontynent. Dopiero Cesila wyjaśniła córce, że smoki na pewno tam nie odpoczywają, bo nie muszą – przelatują pomiędzy, docierając tam, gdzie chcą się znaleźć, prawie natychmiast. To, co wzięła za odpoczynek, musiało być cotygodniowym polowaniem.

Cesila wykonała dziewięć pełnych Przejść, nim wyszła za innego posłańca i zajęła się produkowaniem przyszłych posłańców.

–Smukli jesteście i długonodzy, z dużymi płucami i silnymi kośćmi. Mamy to po przodkach. Ano zdarza się paru, co wolą szybkość od odległości, ale z nich pożytek tylko na Zebraniach, bo mijają linię mety, zanim inni rozpoczną bieg. Mamy na tym świecie własne miejsce, jak każde rzemiosło czy jeźdźcy. Każdy jeden robi, co umie, i wie, do czego się nada. Tkacze, garbarze, farmerzy, rybacy, kowale czy posłańcy za jedno. Wszyscy potrzebni są.

–Nie tego uczy nas Pieśń Obowiązku – zaprotestował młodszy brat Tenny.

–Może. – Cesila uśmiechnęła się. – Ale ja tak ją śpiewam i wy też tak będziecie. A w ogóle to już ja sobie pogadam z następnym harfiarzem, który tu zawita. Jeśli chce przesyłać listy, niech śpiewa jak się należy.

Zdecydowany ruch głowy zakończył dyskusję.

Gdy tylko dzieci dojrzały, sprawdzono, czy nadają się na posłańców. Nogi Tenny przestały rosnać w czasie piętnastego Obrotu i wtedy też starszy posłaniec z innej rodziny przeprowadził próbę. Przed sprawdzianem dziewczyna była strasznie nerwowa, co Cesila skwitowała na swój zwykły, czyli bezpośredni sposób:

–Dziwiątkę dzieci dałam waszemu ojcu, a czworo z nich już jest posłańcami. Ty też nim będziesz, nie bój się.

–Ale Sedra...

–Twoja siostra zaliczyła dwa pełne Przejścia, nim znalazła swego chłopca i zajęła się majstrowaniem nowego pokolenia, więc też się liczy. Żeby mieć dobrych posłańców, trzeba być dobrej krwi, a my jesteśmy. – Cesila zamilkła na chwilę, by upewnić się, że Tenna nie będzie przerywać. – Miałam jedenaścioro rodzeństwa. Wszyscy zostali posłańcami i

wszyscy robili kolejnych posłańców. Ty też będziesz biegać, bądź spokojna. – Zaśmiała się.  
– Chociaż jak długo, tego nikt nie wie, ale tak to już z nami jest...

Tenna, choć nikomu o tym nie mówiła, już dawno zdecydowała, że woli biegać, niż rodić przyszłych posłańców. Doszła do tego wniosku kilka tygodni po tym, jak uznano, że podrosła wystarczająco, by móc opiekować się młodszym rodzeństwem. Miała ciotkę, która nigdy nie znalazła sobie męża i biegała znacznie dłużej niż Cesila. Teraz zarządzała stacją na szlaku Igen. Tenna postanowiła biegać równie długo jak ona, albo i dłużej, a zarządzanie stacją było całkiem dobrym zajęciem dla kogoś, kto nie mógł już wystarczająco wysoko podnosić kolana. Jej matka była dobrą agentką, toteż Tenna wiedziała doskonale, jak powinno się prowadzić stację. Gorąca woda winna być zawsze w pogotowiu, bo nic tak nie pomaga przy skurczach czy bólach kończyn. Dobre jedzenie, wygodne łoża i umiejętność leczenia to podstawa. Te ostatnie Cesila miała opanowane naprawdę dobrze – tak wszyscy twierdzili. W dodatku na stacji zawsze coś się działo: posłańcy nieustannie przemierzali kontynent i choć nie przybywali regularnie, robili to często, za każdym razem przynosząc wieści z innych rejonów Pernu. Wiele było ciekawych, sporo wesołych, a człowiek mógł się dowiedzieć wszystkiego, co się działo w warowniach, siedzibach czy nawet weyrach. No i naturalnie mógł się dowiedzieć tego, co posłańców interesowało najbardziej: jakie są szlaki, co się na nich zmieniło i które odcinki wymagają naprawy nawierzchni po ulewie czy jakimś kataklizmie.

Uspokoila się znacznie, gdy ojciec powiedział jej, że o dokonanie oceny poprosił Malluma ze stacji Telgar – spotkała go kilka razy, kiedy gościł w ich stacji, i nawet lubiła. Podobnie jak inni posłańcy, był chudy i nosił przepaskę podtrzymującą włosy, które zaczynały już siwieć na skroniach. Rodzice nie zdradzili, kiedy się go spodziewają, ale pojawił się wkrótce, pewnego słonecznego ranka, zaznaczając swe przybycie na tablicy przy drzwiach i kuśtykając do najbliższego siedziska.

–Odbiłem piętę – wyjaśnił, ocierając czoło pomarańczową przepaską i biorąc od Tenny kubek wody. – Musimy ponownie wygrabić południowy szlak, kamienie się chyba na nim rodzą. Cesila, masz może gdzieś pod ręką swój magiczny kataplazm?

–Zaraz będzie. Nastawiłam czajnik, ledwie zobaczyłam, jak się wleciesz.

–Się nie wlokłem, tylko uważałem, żeby nie stawiać pięty na ziemi.

–Nie próbuj mnie oszukać, ty ochwacona sieroto. – Cesila zanurzyła woreczek z okładem, zwanym także kataplazmem, we wrzątku, wyciągnęła go i sprawdziła palcem temperaturę.

–Może ktoś przejąć przesyłki? Niektóre powinny szybko znaleźć się na południu.

–Ja je wezmę – oświadczył Fedri, wychodząc ze swego pokoju i kończąc zawiązywać przepaskę. – Mam kilka z porannego kursu ze wschodu... Jak pilne są twoje?

–Hmm... Powinny dotrzeć na jarmark w Igen.

–Będą tam przed zmrokiem – prychnął Fedri, rozkładając starannie przesyłki

w sakwie, nim przytroczył ją do pasa i umieścił na plecach. – Do zobaczenia.

Zapisał kredą na tablicy czas przyjęcia listów i wybiegł. Skręcił na południe, po czym – ledwie znalazł się na szlaku – przeszedł w długi krok. Tenna, która dotąd obserwowała ojca, wyciągnęła spod siedzenia stołek i podstawiła go pod nogę Malluma. Dostrzegła jego przyzwalający gest, rozsznurowała mu prawy but z doskonale wyprawionej skóry i zdjęła go ostrożnie.

Mallum sam robił sobie buty, szyjąc je dokładnymi i ciasnymi ściegami.

–Hmm. – Cesila klęknęła obok i przyglądała się spuchniętej, czerwonej pięcie. – Żeś rąbnął na początku drogi, nie?

–Tak – przyznał i syknął, gdy matka Tenny przyłożyła mu okład. – Auć!... Nie jest czasem za gorący?

W odpowiedzi Cesila prychnęła przecząco i z wprawą zabandażowała stopę.

–To tą twoją panienkę mam sprawdzić? – Mallum odprężył się i uśmiechnął do Tenny. – Najładniejsza ze wszystkich.

–Uroda w biegu nie pomaga, choć przyznaję, że nie jest brzydka. Lepiej, żeby miała dłuższe nogi... Ma na imię Tenna.

–Uroda to niezła rzecz, Cesilo. Widać, że rysy ma po tobie.

Kobieta prychnęła ponownie, tym razem jednak bez przekonania – widać było, że nie miała nic przeciwko uwagom Malluma. W swoim czasie musiała być naprawdę ładna, gdyż mimo trybu życia i liczby dzieci ślady urody pozostały, a temu, że jest wciąż zgrabna, ma drobne dłonie i stopy oraz zwinne ciało, nikt nie mógł zaprzeczyć. W skrytości ducha Tenna żałowała, że nie jest do niej bardziej podobna.

–Silne, długie nogi – ocenił Mallum, dając jej znak, żeby się zbliżyła i zdjęła buty, tak by mógł obejrzeć jej stopy. – Ładne zresztą też. Silne kości... drobna figura bez śladu tłuszczu. Żebyś tylko w zimie nie miała z tego powodu problemów. Dobra, jutro, jak mi się noga zagoi, pobiegamy trochę.

Uwaga o braku tłuszczu była starym komentarzem posłańców, lecz Mallum wygłosił go życzliwie i z uśmiechem. Na dalsze pogawędki nie starczyło czasu, gdyż nagle zaroilo się od posłańców i obie miały pełne ręce roboty przy sprawdzaniu adresów, przepakowywaniu sakw, podawaniu jedzenia, grzaniu wody na kąpiel czy opatrywaniu skaleczeń, głównie nóg. Był koniec wiosny, większość posłańców używała spodni dopiero od późnej jesieni do końca zimy. Przy cieplej pogodzie niektórzy biegali nawet na bosaka, choć nie było to rozsądne.

Na noc zostało tak wielu gości, że wieczór minął szybko na opowieściach i rozmowie. Dzięki temu Tenna zapomniała o strachu przed poranną próbą.

Późną nocą przybył posłaniec zdążający na północ, lecz przyniósł wiadomości

adresowane częściowo na wschód, a ponieważ Malluma przestała już boleć pięta, zdecydował, że je weźmie i dostarczy, chociaż nie tak szybko jak zwykle.

–Dobrze jest rozruszać nogę po czymś takim. Weź sakwę, ja muszę się oszczędzać. – Uśmiechnął się bez złościwości. Wszyscy posłańcy wiedzieli, że sakwy są lekkie – więcej ważyła skóra, z której je sporządzono, niż same przesyłki. – Ale najpierw pokaż mi swoje buty.

Buty były najważniejszą częścią wyposażenia posłańca.

Do zmiękczenia skóry użyła specjalnych oliw i olejków, których skład oraz sposób mieszania przekazywano w rodzinie z pokolenia na pokolenie. Zmiękczoną skórę uformowała na kopytach wyrzeźbionych przez stryja tak, by oddawały kształt jej stóp. Stryj robił podobne dla całej rodziny.

Jej szwy były dobre, lecz nie tak drobne jak szwy Malluma; zamierzała nad nimi popracować. Gotowe buty pasowały niczym rękawiczki; wybrała średniej długości kolce, bo były najlepsze w suchym sezonie. Długodystansowi posłańcy nosili zapasową parę butów z krótszymi kółkami, które bardziej nadawały się na twardszy teren, zwłaszcza w porze letniej. Teraz pracowała nad zimowym obuwiem: sięgało do połowy łydki i wymagało znacznie więcej zmiękczenia i dopasowywania. Musiało też być wodoodporne, a impregnacja zajmowała sporo czasu. Nawet zimowe buty były jednak lekkie i wykonane z lepszej skóry niż normalne, które nosili przedstawiciele innych rzemiosł, łącznie z – co było zrozumiałe – szwcami. U innych liczyła się trwałość, a nie wygoda.

Mallum oddał jej buty, kiwając z aprobatą głową, i sprawdził, czy pas nie będzie jej ocierał, zwłaszcza na plecach, gdzie umieszczano sakwę. Potem sprawdził, czy szorty nie będą się jej wpijać w nogi i czy bluza bez rękawów jest wystarczająco długa, by osłonić nerki. Choroba nerek była dla posłańca przekleństwem, gdyż częste przerwy na oddanie moczu rujnowały rytm biegu.

–Możemy wyruszać – ocenił, gdy upewnił się, że wszystko jest w porządku.

Stojąca w drzwiach Cesila skinęła tylko głową, potwierdzając jego opinię, i oboje wyszli. Skierowali się na wschodni szlak, nim jednak zniknęli jej z pola widzenia, wydała specyficzny okrzyk posłańca, po którym stanęli jak wryci i odwrócili się. Matka Tenny wskazała na niebo, które przemierzał klucz smoków. Był to naprawdę rzadki widok, jako że ostatnimi czasy smoki z Benden nieczęsto się pokazywały.

Był to najlepszy z możliwych znaków. Smoki leciały dostojnie, a sekundę później zniknęły.

Tenna uśmiechnęła się: szkoda, że posłańcy nie potrafią pomyśleć, dokąd chcą dotrzeć, i już się tam znaleźć w sposób, w jaki mogą podróżować smoki. Mallum – jakby znał jej myśli – uśmiechnął się zachęcająco i odwrócił ponownie w kierunku, w którym

mieli iść. A Tenna przestała się denerwować – gdy ruszył, zgrała z nim krok przy trzecim odbiciu od ziemi. Ponownie skinął głową bez słowa, za to z widoczną aprobatą.

–Bieganie to nie tylko szybkie przebieranie nogami i błyskanie piętami po oczach tym, co są za tobą – odezwał się po kilku minutach, nie odrywając wzroku od szlaku, choć musiał go znać równie dobrze jak dziewczyna. – Właściwie to nauka równomiernego wykorzystania siebie i swego kroku, znajomość powierzchni i szlaków, które masz pokonać, czy świadomość tego, jak trzeba się zachowywać na dłuższych trasach. Trzeba wiedzieć, kiedy zwolnić i po prostu iść kawałek, kiedy i co jeść i pić, by nie stać się ociężałym. Należy poznać szlaki oraz trakty różnych Przejść i wiedzieć, na jaką pogodę można trafić... A na północy także nauczyć się poruszania po śniegu.

Przede wszystkim jednak trzeba wiedzieć, kiedy szukać schronienia i pozwolić pogodzie się wyszaleć, żeby przy tej okazji nie oberwać i móc dostarczyć przesyłki najszybciej, jak to możliwe.

Przytaknęła bez słowa – słyszała to już wielokrotnie na stacji, zarówno od krewnych, jak i od innych posłańców, ale tym razem Mallum mówił to wszystko tylko na jej użytek, więc zwykła uprzejmość nakazywała uważnie go słuchać. Obserwowała przy okazji jego krok, by sprawdzić, czy pięta mu nie dokucza, ale nie była wystarczająco dyskretna – zauważył jej spojrzenie i uśmiechnął się.

–Pamiętaj, żeby na dłuższe trasy brać ze sobą trochę tego okładu, bo nigdy nie wiadomo, kiedy może być potrzebny. Jak choćby mnie się to przytrafiło.

Każdy, najlepszy nawet posłaniec mógł źle postawić stopę, a choć nie nosili ich dużo, leki – przynajmniej te podstawowe – każdy rozsądnie myślący miał przy sobie. Pomarańczowe przepaski albo szarfy – ponieważ były długie – wykorzystywano zazwyczaj do usztywniania skręconych lub zwichniętych kończyn. Mieszczący się w dłoni naoliwiony pakiecik zawierał kawałek materiału nasączonego wywarem używanym do dezynfekowania ran: przy drobniejszych skaleczeniach wywar działał jak środek przeciwbólowy. Rodzina Cesili dodatkowo nosiła też porcję jej okładu.

–Jak się biegnie z ładną dziewczyną, człowiekowi jest różniej – ocenił, gdy przeskoczyli wąski strumyk i zwiększyli tempo na płaskim odcinku.

Tenna bez problemu dotrzymywała mu kroku i nie gubiła rytmu, wołałaby jednak, żeby Mallum przestał się tak rozwodzić nad jej wyglądem. Ładna buzia nie pomagała zostać dobrym posłańcem, a chciała zostać najlepszym.

Gdy w południe dotarli do stacji Irmy, Tenna nie była nawet specjalnie zmęczona; miała



tylko lekko przyspieszony oddech. Natomiast Mallum, ledwie zwolnił, zaczął nieznacznie kuleć.

–Hmm... powinienem poczekać jeszcze jeden dzień i zrobić nowy okład – ocenił. –

Na szczęście Cesila dała mi trochę kataplazmu. Mówiłem, że może się przydać.

Tenna z uśmiechem wskazała na kieszonkę, w której miała podobną porcję.

Stara Irma wyszła im na spotkanie.

–Nada się, Mallum? – spytała z uśmiechem na opalonej twarzy.

–Pewnie, że się nada. Ma w sobie krew posłańców i to widać. Niełatwo będzie dotrzymać jej kroku – odparł z błyskiem rozbawienia w oczach.

–Zdałam? – Tenna potrzebowała konkretnej odpowiedzi.

–Zdałaś, zdałaś – odparł i roześmiał się, potrząsając jednocześnie nogami, by zapobiec skurczom. – Nie ma obaw. Irma, masz gorącą wodę, żebym mógł sobie zrobić kataplazm?

–Zaraz będzie. – Irma wróciła do budynku i po chwili pojawiła się z powrotem z miską gorącej wody, którą postawiła na długiej ławie, niezbędnym elemencie wyposażenia każdej stacji.

Ława stała przy ścianie, pod wysuniętym okapem, który dawał schronienie przed słońcem i deszczem – większość posłańców miała obsesję na punkcie obserwowania szlaków, by jak najwcześniej dowiedzieć się, kto nadbiega. Wyślizgane od wieloletniego wysiadania ławy umieszczano zawsze tak, by zapewniały dobry widok. W przypadku stacji Irmy pozwalały obserwować zbieg czterech szlaków.

Tenna odruchowo wyciągnęła spod niej stółek i podstawiła go Mallumowi pod prawą stopę. Rozsznurowała i zdjęła but, po czym umieściła na mieniącej się już wszystkimi barwami tęczy pięcie gorący okład i owinęła ją podanym przez Irmę bandażem.

–Dzień odpoczynku – zarządziła agentka po obejrzeniu stopy w czasie opatrunku. – Dzisiaj też nie powinieneś się ruszać.

–I miałem zrezygnować z okazji przebiegnięcia się z taką ładną dziewczyną?!

–Ech, te chłopcy. Wszyscyście tacy sami – burknęła agentka.

Tenna poczuła, że się czerwieni, choć Mallum raczej z niej nie drwił.

Było to o tyle dziwne, że nikt dotąd nie rozwodził się nad jej urodą.

–Nie przeciążył nogi – zaprotestowała, uśmiechając się niepewnie. – Szlak biegnie głównie po płaskim i ma dobrą nawierzchnię.

–Jeszcze by tego brakowało, żeby biegał po górach! To by dopiero była głupota!

–Jest coś dla Tenny do zabrania? – spytał rzeczowo Mallum. – Miałaby pierwszą pełną misję jako posłaniec.

–Znajdzie się. – Irma mrugnęła porozumiewawczo. – Ale najpierw powinniście coś zjeść. Jest zupa i świeży chleb.

–No proszę – ucieszył się Mallum, przenosząc ostrożnie nogę, gdyż temperatura okładu musiała dać mu się we znaki nawet mimo stwardniałej podeszwy.

Nim skończyli jeść, zjawili się dwóch kolejnych posłańców: przemierzający trasę z Bitry na zachód mężczyzna, którego Tenna nie знаła, i jeden z synów Armii.

–Mogę to zanieść do Dziewięćdziesiątej Siódmej – zaofiarowała się Tenna, używając oficjalnej nazwy rodzinnej stacji.

–To dobrze. – Długodystansowy posłaniec z trudem łapał powietrze. – To pilne... Twoje imię?

–Tenna.

–Córka... Fedriego?... To... mi wystarczy... Gotowa?

–Jasne. – Wyciągnęła dłoń, wzięła od niego sakwę i umieściła na swoim pasie. – A twoje?

–Masso – odparł, sięgając po podany przez Irmę kubek wody.

Zapisała czas wyjścia na tablicy i skierowała się na zachodni szlak. Ruszyła, machając ręką do Malluma, który pożegnał ją tradycyjnym okrzykiem.

Do domu dotarła szybciej niż poprzednio do Armii, a przesyłki zabrał w dalszą drogę jeden z jej braci, Silan.

–No to oficjalnie jesteś posłańcem. – Cesila objęła córkę. – I to z nie najgorszym pierwszym czasem. Było się czego bać?

–Nie zawsze jest tak łatwo – ostrzegł Fedri. – Ale czas masz naprawdę dobry: nie spodziewałem się ciebie przed północą. To dobry początek.

Przez pierwsze lato i zimę Tenna odbywała krótkie, jednoetapowe misje wokół stacji Dziewięćdziesiątej Siódmej, nabierając doświadczenia i gromadząc siły niezbędne do biegów długodystansowych. Poznawała też okoliczne stacje i przygotowywała sprzęt oraz

odzież na wszystkie pory roku. Najdłuższą i najtrudniejszą okazała się misja do leżącego na wybrzeżu Greystones – zdążyła tuż przed silną śnieżycą. A zaraz po niej musiała dotrzeć dwie stacje dalej na północ, gdyż do stacji Osiemnastej, w której była chwilowo jedynym posłańcem, dobiegł inny, bardzo wyczerpany, z wymagającą pilnego doręczenia wiadomością. Dotyczyła ona kutra rybackiego, który wymieniał maszt, a ponieważ statek spóźniał się już z powrotem do portu macierzystego, rodziny rybaków przyjęły wieści z ulgą.

Zazwyczaj takie informacje przekazywano za pomocą bębnow, lecz tym razem uniemożliwił to silny wiatr – dotarłaby całkowicie niezrozumiała. Był to ciężki bieg: mróz, wiatr, śnieg oraz nisko położony szlak skutecznie się do tego przyczyniły. Chociaż pozwoliła sobie na godzinny odpoczynek w jednych ze zbudowanych przy szlaku schronów ratujących życie w czasie Opadu Nici, miała tak dobry czas, że zdobyła dwa szwy na pasie, co łącznie z poprzednimi pozwoliło jej awansować do grona czeladników.

Jeśli misję do Warowni Fort zakończy z dobrym czasem, zarobi dwa dodatkowe

szwy, a była pewna, że wynik będzie miała dobry... Był to ten rodzaj przyjemnej świadomości, którą, jak twierdzili posłańcy, zdobywało się dzięki doświadczeniu, podobnie jak wiedza o tym, ile czasu się biegło, wynikała ze stanu nóg. Ponieważ nie odczuwała objawów towarzyszących poważnemu zmęczeniu i wciąż biegła sprężyście, była pewna, że bez problemów dotrze w dobrym czasie do stacji Trzysetnej, czyli do Fortu. Naturalnie, jeśli wcześniej nie złapie jej skurcz, jako że tego niebezpieczeństwa nie dało się przewidzieć – nadchodziło bez ostrzeżenia. Co prawda starała się pamiętać o tabletkach, które posłańcy połykali, by zapobiegać skurczom, czy o ziołach, jeśli już zauważyła je gdzieś po drodze, lecz na tę dolegliwość nikt jeszcze nie wynalazł skutecznego lekarstwa.

Nie powinna się rozpraszać, ale szlak był łatwy, a noc przyjemna i trudno się jej było skupiać cały czas wyłącznie na tym, co robiła. Sprawy miałyby się inaczej, gdyby pogoda była zła czy oświetlenie słabe. Na dodatek okolica była zbyt często odwiedzana, aby czały się tam najczęściej zagrażające posłańcom niebezpieczeństwa: węże tunelowe czy renegaci. Węże spotykano zazwyczaj o świcie lub tuż przed zachodem słońca, gdy polowały. Na renegatów, mimo że na szczęście mniej licznych, można się było natknąć o każdej porze – byli też bardziej niebezpieczni, jako że byli ludźmi, choć czasami nic bynajmniej nie odróżniało ich od zwierząt. Ponieważ posłańcy nie nosili pieniędzy, atakowano ich stosunkowo rzadko – główny cel renegatów stanowili kurierzy i samotni podróżni. Zresztą nie słyszała, by ostatnio zaatakowali kogokolwiek tak daleko na zachodzie. Z drugiej strony jednak zdarzało się, że napadali nie dla pieniędzy, lecz dla zabawy. W ciągu ostatnich trzech Obrotów były dwa takie wypadki, w północnym Lemos i Bitrze, kiedy to posłańcy zostali pobici z czystej złości.

Jeśli zima była wyjątkowo ciężka, zdarzało się, że posłańca atakowało stado wygłodniałych wherów, należało to jednak do rzadkości. Najczęściej zagrożenie stanowiły węże, zwłaszcza w połowie lata, kiedy wylęgały się młode. Ostatniego lata jej ojciec miał pecha: wbiegł w sam środek gniazda i zdziwił się, jak błyskawicznie potrafią się poruszać te ociężałe

przeważnie stworzenia. Nim się obejrzał, młode wspięły się po jego nogach, kłusując gdzie popadło, choć na szczęście były to bardziej zadrapania niż poważniejsze rany. Nim zdołał się ich pozbyć, dotarły na wysokość krocza i Cesila twierdziła potem złośliwie, że przy tej okazji zranione zostało coś więcej niż tylko duma jej męża.

W takie jednak jak ta, księżycowe noce bieg stanowił czystą przyjemność – powietrze było wystarczająco chłodne, by osuszyć pot, jednak nie aż tak chłodne, żeby ziębić, mech pod stopami zapewniał sprężystość podłoża, a szlak biegł prosto i był pusty, dzięki czemu mogła sobie pozwolić na myślenie o czymś zupełnie innym. W Forcie

wkrótce miał się odbyć jarmark – sama niosła wiadomości dotyczące tego wydarzenia – a zawsze wiązała się z nim zwiększona korespondencja: polecenia od tych, którzy nie mogli zjawić się osobiście, pytania lub prośby do Mistrzów Cechów czy też inne nie cierpiące zwłoki sprawy. Przy odrobinie szczęścia weźmie może w nim udział, co było tym większą atrakcją, że od dawna nie miała po temu okazji, a potrzebowała dobrze wyprawionej skóry na nową parę butów.

Przed wyruszeniem sprawdziła, czy dysponuje wystarczającym kredytem – księgi rachunkowe całej rodziny prowadziła Cesila – i wzięła stosowny kwit. Zarobiła dość, by móc się trochę potargować, zwłaszcza że posłańcy byli finansowo wiarygodni i można było kupić rzeczy za nieco większą kwotę od wypisanej. Na skóry powinno wystarczyć. Poza tym przy takiej okazji zawsze odbywały się tańce, a tańczyć lubiła i – co ważniejsze – jeśli tylko znalazła odpowiedniego partnera, tańczyła całkiem dobrze, szczególnie podrzucanego. Fort był dużą warownią, co zapewniało dobrą zabawę, a ponieważ tu właśnie mieściła się Siedziba Cechu Harfiarzy, gwarantowało to najlepszą z możliwych muzykę. Zrozumiałe więc było, że niemal ją słyszała, choć nie traciła oddechu na nucenie.

Znajdowała się na szerokim, łagodnym zakręcie, który omijał skalne wzniesienie. To sprawiło, że wróciła myślami do rzeczywistości. Szlaki biegły możliwie najprościej, by ułatwiać jak najszybszy bieg. Wiedziała, że zaraz za łukiem jest odnoga w prawo, która prowadzi prosto do Fortu. Nie powinna jej przegapić, gdyż musiałaby zawrócić, a to oznaczało utratę rytmu i przedłużenie misji.

Niespodziewanie pod stopami poczuła wibracje, choć ich źródło zasłaniały krzewy rosnące wzdłuż szlaku. Wytężyła słuch. Zdołała usłyszeć zbliżający się ciężki oddech, więc mimo że nie bardzo wiedziała, co się zbliża, zbiegła w lewo, zostawiając wolny środek szlaku. Jakkolwiek na to patrzeć, znajdowała się na szlaku posłańców, a nie na drodze czy polu, i teoretycznie nikt poza posłańcami nie miał prawa się tu znajdować. Ale źródłem odgłosów i drżenia gruntu na pewno nie był posłaniec. Dostrzegła szybko zbliżającą się czarną masę i skoczyła w krzaki.

Zdażyła w ostatnim momencie – jeździec minął ją o włos i pognał dalej.

–Dureń! – wrzasnęła, wypluwając liście.

Następną minutę zajęło jej wyczesanie gałązek z włosów, pozbieranie się i wyplucie liści o specyficznym, kwaskowym smaku. Oznaczał on, że wpadła w kępę cierniowców, a o tej porze krzaki owe nie miały jeszcze liści chroniących ludzi przed porastającymi gałęziami i przypominającymi włosy kolcami, które zwano też czasem cierniami. Dopiero jesienią pojawiały się na nich jagody, ponieważ jednak za przyjemności trzeba płacić, kolce stanowiły jakby naturalną przeciwwagę. Co dziwniejsze, jeździec ani nie stanął, ani

nie zawrócił, by sprawdzić, co się z nią stało, a jeśli nawet jej nie dostrzegł, musiał przynajmniej usłyszeć inwektywę. Zresztą jakim prawem w ogóle tu był?! Dla podróżnych biegła niedaleko normalna droga o utwardzonej nawierzchni...

–Poczekaj, już ja cię dostanę! – obiecała mu z wściekłością.

A potem zdała sobie sprawę, że ma podrapane ręce, twarz, ramiona i piersi, toteż czym prędzej wyciągnęła pakiet dezynfekujący i zaczęła przemywać ranki. Czuła je i posykiwała, gdy płyn, którym nasączono bandaż, wnikał w ciało. Ból nie był silny, a sok w krwi byłby znacznie gorszy, podobnie jak pozostawione w skórze kolce. Delikatnie wyjęła te, które mogła znaleźć na rękach, ale wiedziała, że nie odnalazła wszystkich. Nie mogła też ocenić rozmiaru szkód. Jedno było pewne: nawet jeśli zdoła uniknąć infekcji, z pewnością stanie się obiektem żartów, posłańcy bowiem powinni móc utrzymać się na nogach w każdej sytuacji, nie zaś miotać się po zaroślach. Z drugiej strony, skaleczenia mogły pomóc jej odszukać jeźdźca, którego czekało spore i nieprzyjemne doświadczenie. Bo nie zamierzała puścić mu płazem jego zachowania. Jeśli nawet nie zdąży załatwić tego osobiście, zrobią to inni: posłańcy nieraz już trafiali do Władców Weyrów czy Warowni i z zasady dopinali swego.

Opatrzyła, co mogła, i opanowała się, na ile potrafiła – złość nie pomoże jej dotrzeć do Fortu, za to skutecznie przyćmi zdrowy rozsądek. I tak miała szczęście: kilka zadrapań i igieł, gdy mogła zostać poważnie poturbowana, a może nawet złamać nogę, co dla posłańca oznaczało prawdziwą tragedię. Gdyby nie zeszła ze środka szlaku... Choć uspokoila się, jak tylko potrafiła, nie mogła się skoncentrować i wpaść w rytm. Na szczęście do celu było już niedaleko; zaczynała odczuwać gwałtownie rosnące zmęczenie. Skoro nie była w stanie biec w zwykły, rytmiczny sposób, mogła tylko zwolnić i oszczędzać siły.

Mimo że zbliżał się poranek, nie miało to nic wspólnego z przyjemnością, którą zazwyczaj odczuwała, gdy kończyła o tej porze misję. To ponownie ją zirytowało. Nie dość, że głupek jeden mógł spowodować wypadek, w wyniku którego przesyłki zostałyby dostarczone z opóźnieniem, to jeszcze podkowy mogły poważnie uszkodzić nawierzchnię. Później przez wiele godzin trzeba byłoby sadzić nowy mech na miejsce uszkodzonego. Było nader wątpliwe, aby miała okazję osobiście powiedzieć kretynowi, co o nim myśli – zdążyła do Fortu, podczas gdy on najwyraźniej z niego wyjechał, i to w pośpiechu, co sugerowało ważną, być może długodystansową przesyłkę – ale na pewno tak tego nie zostawi. Zagrożenia wynikające z głupoty należało likwidować w zarodku. Miała tylko nadzieję, że

inni posłańcy też usłyszą go wystarczająco wcześnie, by uniknąć wypadku...

Dlatego posłaniec musiał cały czas uważać, nawet gdy tak jak ona nie miał podstaw do podejrzeń, będąc na szlaku nocą, przy dobrej pogodzie i samemu.

Stacja znajdowała się tuż obok głównego wejścia do Warowni Fort, w której – zgodnie zresztą z przekazami historycznymi – zaczęto korzystać z posłańców. Działo się to setki Obrotów temu i pierwotnie chodziło wyłącznie o dostarczanie wiadomości pilnych a krótkodystansowych, zwłaszcza w czasie Opadu. Posłańcy towarzyszyli wówczas ekipom poszukującym Nici, na wypadek niebezpieczeństwa. Ani późniejsza budowa wież służących do przekazywania wiadomości za pomocą bębnow, ani powstanie gońców wykorzystujących biegusy nie zmniejszyło zapotrzebowania na usługi posłańców, choć miało wpływ na zawartość przesyłanych przez nich przesyłek. Stacja w Forcie była pierwsza, największa i najlepiej wyposażona. Trzypiętrowa z zewnątrz, wchodząca głęboko w skałę, szczyciła się najlepszą łaźnią ze wszystkich na kontynencie. Gorąca bieżąca woda oraz wanny niespotykanych rozmiarów były wręcz legendarne wśród posłańców, nic więc dziwnego, że Cesila wielokrotnie powtarzała córce, by przy pierwszej okazji wzięła przesyłki na zachód i robiła, co mogła, byleby tylko zakończyć misję w Forcie.

Tenna dotarła do Fortu w stanie skutecznie wykluczającym jakąkolwiek radość: powłócząc nogami, doszła do szerokiej ulicy, przy której była położona stacja. Ręce piekły ją coraz bardziej, a nogi bolały i sprawiały wrażenie ołowianych. Trochę poprawiły jej humor pozdrowienia stajennych, gdyż stajnie znajdowały się po drodze, ale na zmęczenie czy ból nie miało to już wpływu.

Kiedy stanęła przed drzwiami i wyciągnęła dłoń w stronę sznurka przymocowanego do dzwonka, te otworzyły się, jakby zarządzający stacją agent miał szósty zmysł pozwalający wyczuwać gości.

–Tak mi się zdawało, że słyszałem, jak ktoś się zbliża – powitał ją z uśmiechem na pobrużdżonej zmarszczkami twarzy i podtrzymał, widząc, że chwieje się na nogach. – I to ktoś nowy, choć wyglądasz mi znajomo... Miło zobaczyć z samego rana ładną buzię.

Mężczyzna był chyba najstarszym posłańcem, jakiego w życiu widziała, ale jego roześmiane i bystre oczy świadczyły, że wiek nie musi oznaczać ociężałości.

Tenna wykrztusiła, kim jest i jak się nazywa, odpięła sakwę i poruszając nogami, by rozluźnić mięśnie, weszła powoli do dużego pokoju. Dopiero po chwili uspokoiła oddech na tyle, by zameldować urzędowo:

–Tenna, w drodze ze stacji Dwieście Ósmej z wiadomościami ze wschodu. Miejscem docelowym wszystkich przesyłek jest Warownia Fort.

–Witamy na stacji Trzysetnej – odparł równie uroczyście mężczyzna, odbierając od niej

sakwę i zaznaczając na umieszczonej na lewo od drzwi tablicy czas przybycia. – Wszystko dla nas, tak?

Nim sprawdził przesyłki, podał jej kubek wody, z którym Tenna wyszła na zewnątrz, wciąż kopiąc na boki, żeby rozluźnić mięśnie. Pierwszy haust jak zwykle służył do przepłukania ust – wypluła go potem na bruk, a resztę wypiała. To nie była zwykła woda: dodano do niej jakiegoś soku, dzięki czemu znacznie lepiej gasił pragnienie.

–Niekoniecznie wyglądasz – zauważył agent, stając w drzwiach i wskazując na zaschniętą krew. – W co wpadłaś?

–W cierniowce – warknęła przez zaciśnięte zęby. – Jakiś zwariowany jeździec prawie mnie rozjechał na łuku przy skale, galopując po naszym szlaku, czego nie miał prawa robić!

Zaskoczyła ją złość we własnym głosie – w końcu starała się mówić rzeczowo.

–Haligon. – Mężczyzna pokiwał głową, krzywiąc się z niesmakiem. – Ponad godzinę temu widziałem go przy stajniach. Już go ostrzegałem, by nie korzystał ze szlaku, ale twierdzi, że to mu oszczędza pół godziny, a poza tym przeprowadza eks-per-i-ment.

–Mógł mnie zabić.

–Powiedz mu to. Może jak usłyszy kilka słów od kogoś ładnego i młodego, to dotrze to do jego zakutego łba, bo jak słyszy to od takiego starego grzyba jak ja, udaje, że deszcz pada.

Reakcja rozmówcy upewniła Tennę, że słusznie się denerwuje, choć nie bardzo rozumiała, jak uroda może pomóc w urzędzeniu komuś awantury. Równie skutecznie mogła to zrobić najbrzydsza z posłańców, jaką знаła, gdyby tylko była wystarczająco wygadana.

–Musisz się wymoczyć, żeby można usunąć ci kolce. Przemyślaś skaleczenia, jak widzę... to dobrze. Przyślę do ciebie Pendę. Moja kobieta ma duże doświadczenie w tych sprawach, ale to najgorsza pora na kolce cierniowca, zresztą wiesz o tym. I tak dotarłaś tu w dobrym czasie... co dowodzi, że jesteś nie tylko ładna. Wejdz na pierwsze piętro, skręć w prawo i w czwarte drzwi po lewej. Tam znajdziesz łaźnię. Nikt chwilowo z niej nie korzysta, więc będziesz miała spokój. Ręczniki są na półkach, a ubranie zostaw w środku: do zmiernych zostanie wyprane i wysuszone. Po nocnym biegu będziesz chciała coś zjeść i się wyspać. Zejdź na dół, wszystko będzie gotowe.

Podziękowała mu, skierowała się ku schodom i zaczęła przestawiać drewniane kloce, w jakie zmieniły się jej nogi. Ciągnąc stopy po stopniach, cieszyła się, że są obite grubym chodnikiem, inaczej bowiem kolce zostawiłyby w drewnie głębokie bruzdy. No, ale przecież to miejsce wybudowano z myślą o posłańcach.

–Czwarte drzwi... – wymamrotała już na korytarzu.

Pchnęła je i znalazła się w największej łaźni, jaką w życiu widziała. Powietrze

wypełniał subtelny i przyjemny aromat, pod tylną ścianą znajdowało się pięć wanien przedzielonych zasłonami na wypadek, gdyby ktoś chciał się odgradzić od reszty pomieszczenia, na środku zaś stały dwa stoły do masażu. Pod każdym były półki pełne olejków i maści i to właśnie mieszanina ich zapachów nadawała powietrzu ten miły zapach. Nawet łaźnia w Warowni Keroon nie mogła się równać z tą. W pomieszczeniu było gorąco, toteż zaczęła się pocić, a pot z kolei spowodował swędzenie skaleczeń, czym prędsiej odszukała więc alkowę, w której mieściła się szatnia, i rozebrała się. Jedną ścianę zajmowały półki pełne wielkich ręczników oraz przeznaczonych na każdą pogodę spodni, koszul i grubych skarpet wszelkich rozmiarów i odmian. Skarpety doskonale ogrzewały zziębnięte stopy, a były na tyle grube, że pozwalały chodzić bez butów, jeśli ktoś miał obolałe nogi. Swoje ubranie odruchowo złożyła w kostkę. Wzięła gruby ręcznik, który rozmiarami przypominał koc, i skierowała się ku najbliższej wannie.

Ręcznik zawiesiła na haku wbitym w tym celu w ścianę i zanurzyła się w ciepłej wodzie. Wanna była tak głęboka, że gdy dotknęła stopami dna, nad głową miała jeszcze sporo wody, co było już czystą rozpustą. I czystą przyjemnością – postanowiła korzystać z każdej okazji, by brać przesyłki do Fortu. Co prawda woda podrażniła skaleczenia, ale było to nic w porównaniu z ulgą, jaką przynosiła zmęczonym mięśniom.

Wanna była tak ogromna, że niemal mogła w niej pływać, a już z pewnością bez trudu przyjmować dowolną pozycję. Po chwili blisko powierzchni odkryła w ścianie występ przypominający wygiętą półkę i z uśmiechem zadowolenia – co prawda po ładnych kilku sekundach – zrozumiała, że służy do oparcia głowy. Dzięki temu twarz utrzymywała się nad powierzchnią, a reszta ciała mogła się bezwładnie unosić na wodzie. Natychmiast zresztą skorzystała z tego udogodnienia i stwierdziła, że kąpiel może być znacznie przyjemniejsza, niż dotąd sądziła.

–Tenna? – Łagodny kobiecy głos wyrwał ją z błogiego bezruchu. – Jestem Penda. Torlo powiedział mi, że trzeba cię opatrzeć. Przyniosłam trochę ziół, bo o tej porze kolce cierniowca potrafią być wyjątkowo zdradzieckie i złośliwe.

–Wiem – przyznała Tenna, nie chcąc otwierać oczu, ale zdając sobie sprawę, że nie ma wyjścia. – Dziękuję za pomoc.

–Chodź, obejrzymy skaleczenia i wyjemy to, czego sama nie mogłaś. – Penda podeszła szybko do wanny, lecz po sposobie, w jaki chodziła, i tak widać było, że miała złamane biodro. Stało się to dawno i nauczyła się już z tym żyć, ale poruszała się nieco bokiem. – Ładna jesteś. Bez problemu rozliczysz się z Haligonem przy następnej okazji.

–Jak go poznam? I dlaczego ma mi pomóc to, że jestem ładna?

–Bo on lubi ładne dziewczęta. – Penda mrugnęła porozumiewawczo. – Zobaczymy, co się



da zrobić, żebyś na niego poczekała. Nauczka, jaką od ciebie dostanie, może

przydać się nam wszystkim.

Tenna roześmiała się i na znak Pendency pokazała jej ręce.

–Hmm... większość to zadrapania, ale na kantach dłoni masz trzy kolce. Dobrze, że je namoczyłaś, bo skóra napęczniała. Inaczej mogłybyśmy ich nie zauważyć. Zaraz je wyjmemy, nie ma co ryzykować. – Z przepastnej kieszeni fartucha wyciągnęła kilka flakoników, wybrała jeden i wlała z niego do wanny około dwudziestu kropel. – Wymocz się teraz i nie martw się opróżnieniem wanny: sama to robi, a zanim ktoś inny będzie chciał wziąć kąpiel, znowu będzie w niej woda. Potem powyjmuję ci kolce. Chcesz, żebym cię wymasowała, czy wolisz się najpierw wyspać?

–Wolałabym najpierw masaż.

–To przyjdę tu, jak będzie czas, i przyniosę ci coś do zjedzenia. Wyszła, Tenna zaś opadła z powrotem w ciepłą kąpiel. Na stacji rodziców była wanna, i to tak długa, że mogli się w niej wyciągnąć nawet najwyżsi posłańcy, ale pod zbiornikiem z wodą cały czas trzeba było utrzymywać ogień, żeby woda była wystarczająco ciepła, gdy okaże się potrzebna. No i trzeba było myć wannę... Zapach ziół wypełnił powietrze, przywołując senny błogostan...

Nic więc dziwnego, że prawie spała, gdy Penda wróciła z tacą zawierającą kłah, świeżo upieczony chleb, miskę owsianki i, jakżeby inaczej, słoik dżemu z jagód cierniowca.

–Przesyłki przekazano adresatom – oznajmiła. – Możesz spać spokojnie, wiedząc, że misja dobiegła końca.

Tenna zjadła wszystko do ostatniego okruszka, a Penda w tym czasie zmieszała odpowiednie olejki. Potem dziewczyna położyła się na stole i – na ile mogła – rozluźniła, a starsza kobieta zaczęła wyciągać z niej kolce za pomocą pincetki. W sumie znalazła ich dziewięć. Wszystkie przypominały włosy: były cienkie, długie i elastyczne. Wysmarowała zadrapania i ranki specjalną maścią, po której przestały boleć i piec, a następnie zaczęła masaż. Robiła to delikatnie i zdecydowanie, co dowodziło dużej wprawy. Przy okazji odkryła skaleczenia na plecach, z których wydobyła jeszcze kilka kolców. Dokończyła masaż i Tenna znów zaczęła ogarniać senność.

–Wstań, zanim zaśniesz. – Penda klepnęła ją silniej. – Trzecie drzwi po lewej to twój pokój.

Tenna niechętnie ocknęła się z błogiego rozleniwienia i wstała, owijając się ciasniej ręcznikiem, bo nagle zrobiło się jej chłodno. Ręcznik musiała przytrzymać, żeby nie spadł, gdyż jak większość kobiet posłańców nie miała imponującego biustu, co przy tym zajęciu było raczej zaletą niż wadą.

–Nie zapomnij butów – przypomniała Penda, widząc, jak zmęczona jest dziewczyna.

–Twoje ubranie będzie czekało wyprane, kiedy wstaniesz.

–Dziękuję. – Tym razem nie była to zdawkowa uprzejmość.

W grubych skarpetach, które tamta pomogła jej włożyć, przeszła po omacku przez korytarz i pchnęła trzecie drzwi po lewej. Z korytarza wpadało dość światła, by dostrzegła łóżko przy ścianie. Zamknęła drzwi i po omacku dotarła do niego. Opuszczony ręcznik leżał na podłodze, a ona zdążyła się jeszcze położyć i przykryć pledem, nim westchnęła i zapadła w sen.

Tennę obudziły śmiechy i rozmowy na korytarzu. Ktoś uchylił drzwi i do środka wpadało tyle światła, że dostrzegła swoje ubranie – suche, czyste i złożone na stołku, obok którego zostawiła buty. Dopiero w tym momencie zdała sobie sprawę, że wciąż ma na nogach skarpety, co dobitnie wskazywało, jak zmęczona poszła spać. Ledwie oprzytomniała, zaczęła sprawdzać stan swego ciała: dłonie i ręce miała chłodne i nic jej nie bolało, a to znaczyło, że Penda znalazła i wyjęła wszystkie kolce. Natomiast na lewym ramieniu i prawej nodze miała po jednym miejscu, które było zdecydowanie zbyt gorące i doskwierało zbyt mocno jak na jej gust. Pięć kolejnych miejsc znalazła w takich zakamarkach, że nie zdołała ich dostrzec; były ciepłe i obolałe. Gdy wstała, odkryła kolejne: dwa na udach, jedno na lewej łydce i dwa na prawej. Oznaczało to, że ucierpiała bardziej, niż sądziła, a sprawa była poważna, kolce przebijały się bowiem przez ciało do żył, a gdy już znalazły się we krwi, krążyły po organizmie aż do chwili, kiedy dotarły do serca, co z reguły kończyło się śmiercią. Jęknęła, potrząsnęła głową i ubrała się, a potem złożyła pled tak, jak go zastała, i wyszła.

Po drodze minęła łaźnię, z której dobiegały męskie głosy i kobiecy śmiech. Gdy zaczęła schodzić po schodach, dotarła do niej smakowita woń pieczystego, na co jej żołądek zareagował kategoriycznym burczeniem. Główną salę oświetlało słońce wpadające przez wąskie, lecz wysokie okno i wyglądało na to, że przespała większość dnia. Z jednej strony uzdrowiciel powinien obejrzeć skaleczenia, z drugiej jednak Penda знаła się na tym równie dobrze, jeśli nie lepiej, mając częściej do czynienia z podobnymi przypadkami...

–Witamy ochotniczkę na kolację – oznajmił głośno Torlo, skupiając na niej uwagę obecnych.  
– To Tenna, nad ranem miała na szlaku spotkanie z Haligonem.

Sądząc po ponurych przytaknięciach i nieżyczliwych, rzeczowych komentarzach, wszyscy wiedzieli, w czym rzecz, a niektórzy także to przeżyli.

–Juzem mówił Groghe’emu, co będzie wypadek, a ón co na to? – odezwał się jeden ze starszych mężczyzn. – Pedziałem mu, co przez gówniarza, co nie szanuje praw i własności, bydą ranni. Nie jezdeś piersza, co na niego trafiła. Nie słyszałaś, co jedzie?

Pytanie skierowane było do Tenny, ale Torlo odpowiedział na nie, zanim zdążyła otworzyć usta:

–Spotkała go na łuku przy skale.

–Złe miejsce, nic tam nie widać – zgodził się drugi, kiwając głową z sympatią. – Widzę, żeś się podrapała. Penda wysmarowała cię swoją miksturą?

Tenna przytaknęła.

–To nic ci nie będzie. Ja twoich już na szlakach widziałem... Musisz być Fedriego i Cesili, nie? Ładniejsza jesteś od matki, a ona była ładną kobietą. – Uśmiechnął się porozumiewawczo do pozostałych.

Tenna zdecydowała się zignorować komplement, za to przyznać się do rodziców, co też zrobiła.

–Byłeś na stacji Dziewięćdziesiątej Siódmej? – spytała na koniec.

–Raz czy dwa, ale dawno – przyznał z szerokim uśmiechem.

Dopiero wówczas zauważyła, ile szwów zdobi jego pas. Torlo przerwał jednak tę pogawędkę, bo zauważył zaczerwienione i opuchnięte miejsca na jej lewym ramieniu i inne, nie osłonięte przez ubranie.

–Rany z kolcami – ocenił zwięźle.

Inni otoczyli ją i potwierdzili ocenę.

–Czasami się zastanawiam, czy te jagody są warte ryzyka – mruknął któryś, wracając na miejsce.

–Najgorzej się pokłuć właśnie teraz – dodał inny.

–Misler, kopnij się do Siedziby Uzdrowicieli – polecił jednemu Torlo.

–To chyba nie będzie konieczne... – zaprotestowała słabo Tenna. Uzdrowicielom trzeba było płacić, a jeśli zapłaci, nie starczy jej na skóry.

–Nie bój nic: Groghe zapłaci. I zwierzę, i jeździec należą do Lorda Warowni, to i on musi płacić za poczynione przez nich szkody – uspokoił ją agent.

–Jak nie uspokoi tego durnia, to któregoś dnia będzie musiał zapłacić wykupne za śmierć któregoś z nas. Podkowy zostawiły dużo dziur? – spytał jeden z obecnych.

–Żadnych. Mech wytrzymał i wrócił do poprzedniego kształtu – przyznała z niechęcią Tenna.

–Hmm... tak niby i powinien...

–Co nie znaczy, że Haligon może jeździć w tę i z powrotem po naszych szlakach, jakby ktoś je zrobił dla jego rozrywki!

Misler wyszedł, a pozostali przedstawili się kolejno, dodając oprócz imienia, z jakiej stacji pochodzą. Na koniec Tenna dostała w garść kielich wina. Widząc jej zdziwienie, Torlo wyjaśnił:

–Dzisiaj nie jesteś na dyżurze.

–Muszę dokończyć moje pierwsze Przejście – sprzeciwiła się, siadając na wolnym miejscu.

–Dokuńczysz, nie bój nic – zapewnił ją Grolly, który wcześniej odezwał się pierwszy, i uniósł kielich w geście otuchy.

Pozostali poszli za jego przykładem.

Wypiła, ale i tak wiedziała swoje: kilka zadrapań i skaleczeń nie mogło powstrzymać jej od osiągnięcia zachodniego wybrzeża. Upiła wina akurat wtedy, gdy z piętra zeszła grupa biegaczy, która zakończyła kąpiel. Zanim wszystkim mającym następnego dnia wolne nalano wina, Misler wrócił w towarzystwie mężczyzny w barwach uzdrowicieli, który musiał zdrowo przebierać nogami, by dotrzymać kroku długonogiemu posłańcowi. Uzdrowiciel przedstawił się jako Beveny, wyjaśnił, że jest czeladnikiem, i poprosił, by Penda się doń przyłączyła, co w oczach Tenny znacznie poprawiło jego wizerunek.

Ponieważ skaleczenia były na rękach, nogach i ramionach, konsultację przeprowadzono w ogólnej sali; Tenna musiała się tylko przebrać w szorty. Konsultacja zmieniła się w konsylium, jako że posłańcy, osobiście zainteresowani stanem dziewczyny, nie szczędzili dobrych rad i złośliwych sugestii. Beveny widocznie był do nich przyzwyczajony, gdyż pierwsze rozważał poważnie, a drugie komentował równie ironicznie.

–Sądzę, że w tej ranie i w dwóch na nogach pozostały kolce. Porządny okład i spokojna noc powinny sobie z nimi poradzić – ocenił na koniec.

Wnosząc z zachowania, większość obecnych uważała podobnie. Wywiązała się naturalnie dyskusja na temat okładów, maści i kataplazmów, Tenny zaś umieszczono w wygodnym fotelu z rozkładanym podnóżkiem, który umożliwiał wyciągnięcie nóg. Nigdy dotąd nie była obiektem tylu zabiegów, choć sama niejednokrotnie pomagała opatrywać i doglądać rannych posłańców na stacji Dziewięćdziesiątej Siódmej. Tamto jednak było czymś normalnym, natomiast skupienie na sobie uwagi i troski, i to na dodatek w tak wielkiej stacji jak ta, było wysoce zawstydzające, toteż co rusz próbowała bagatelizować swoje rany. Zaproponowała też okład matki, o którym trzech obecnych wyraziło się jak najpochlebniej, ale okazało się, że jest on doskonały na stłuczenia, nie zaś na infekcje, więc Beveny oddał go jej ze słowami:

–Mam nadzieję, że nie przyda ci się na poobijane nogi.

I przygotował własny, dodając wody dostarczonej przez Pendę. Mieszanka miała aromatyczny zapach i spotkała się z aprobatą obecnych.

Tenna zdawała sobie sprawę, jakie mogą być skutki nałożenia gorącego okładu, więc przygotowała się jak potrafiła, nie chcąc robić przedstawienia. Okazało się, że był to

zbędny wysiłek – Beveny nałożył na każde zaczerwienienie niewielkie grudki mazi, a temperaturę dobrał tak, że przyjemnie rozgrzewały, nie parząc przy tym. Następnie każde z miejsc zabandażował, by okład pozostał na ranie, i w efekcie Tenna czuła każde z tuzina skaleczeń, acz nie było to specjalnie nieprzyjemne czy drażniące uczucie.

–Sprawdzę jutro, ale nie masz się czym martwić – zapewnił z przekonaniem, które przyniosło jej znaczną ulgę.

–Pewnie, a jakby co, to mamy całą Siedzibę Uzdrowicieli o rzut kamieniem – skomentował Torlo, odprowadzając go do drzwi i czekając uprzejmie, aż zniknie z pola widzenia. – Miły chłopak... aha, jest i kolacja!

Z podaniem posiłku czekano najwyraźniej na zakończenie opatrunku, gdyż Penda przywiodła całą procesję z gotowymi daniami i natychmiast zaczęła organizować kolację.

–Rosa, bierz tacę. Spacia, łyżka i widelec dla Tenny – poleciała. – Ma się nie ruszać. Grolly, dziewczyna ma pusty kieliszek... Reszta ustawić się w kolejkę!

Jednocześnie odcięła z pieczeni apetycznie wyglądający płat i nałożyła go na talerz, który Rosa wraz z tacą natychmiast przyniosła Tennie. Ta ponownie się zawstydziła, bo zawsze to ona pomagała, a nie jej pomagano, teraz zaś usługiwały jej dwie dziewczyny. Na szczęście przybyły kolejne dwie grupy posłańców – ze wschodu i z południa – i na jakiś czas przestała być gwoździem programu.

Nie trwało to długo: gdy nowo przybyli umyli się i zeszli na posiłek, opowiedziano im dokładnie, co i dzięki komu jej się przytrafiło, oraz przekazano dokładną diagnozę. Okazało się, że na Haligona natknęli się wszyscy, a jeśli nie, to i tak znali kogoś, kto miał tę wątpliwą przyjemność, i Tenna coraz bardziej dojrzywała do tego, żeby zamiast awantury po prostu nakłaść mu po gębie. W końcu jednak temat się wyczerpał i zaczęto mówić o mającym się odbyć za trzy dni jarmarku.

Dziewczyna westchnęła cicho: za trzy dni będzie już w pełni sił i na szlaku. Naprawdę chciała jak najszybciej zakończyć swoje pierwsze Przejście – jarmark, nawet w Forcie, nie był aż tak ważny. No, prawie. Nie była to jednak ostatnia okazja do wzięcia udziału w zabawie, nawet gdyby miała to być jej pierwsza taka zabawa w najstarszej warowni na Pernie.

Stacja była domem dla dwóch dziewczyn: czarnowłosej, lokowatej Rosy o miłej twarzy i przekornym błysku w oczach oraz Spacji, blondynki z długimi, prostymi włosami zebranymi

modą posłańców w koński ogon i o bardziej dystyngowanym zachowaniu, choć w języku także była cięta, czego dowodziły jej pełne uszczypliwości rozmowy z młodszymi posłańcami. One też zainicjowały nieformalny koncert na cześć Tenny, prezentując najnowsze pieśni ułożone przez harfiarzy. Solistką była Rosa, Spacia dołączyła do niej altem, a pozostali, jak kto mógł. Najwytrwalsi okazali się trzej

mężczyźni: jeden grał na gwizdku, dwaj inni tworzyli chór. Wieczór zrobił się całkiem miły, zwłaszcza że Grolly na zmianę z Torlem pilnowali, by Tenna nie miała pustego kielicha, toteż nic dziwnego, że Rosa i Spacia – pod pretekstem dopilnowania, by nie zsunęły się bandaże – pomagały jej dojść do sypialni. Przez cały czas rozmawiały o tym, w co się ubiorą i z kim mają nadzieję zatańczyć.

–Jutro mamy dyżur – przypomniała Rosa, gdy pomogły Tennie spocząć na łożu. – Więc jak wstaniesz, nas już prawdopodobnie nie będzie.

Życzyły sobie wszystkie dobrej nocy i Tenna została sama. Kręciło się jej w głowie, ale było to dziwnie przyjemne uczucie. Szybko też zasnęła.

Obudziła się tuż przed tym, jak Torlo zjawił się ze śniadaniem.

–Jak się dziś czujesz?

–Dobrze, tylko noga... – Odsunęła pled, pokazując mu bolące miejsce.

–Hmm... z tym będzie kłopot, wszedł pod kątem. Zaraz wezwę Beveny'ego.

–Ale... przecież Penda wie, jaki okład mi zaaplikował...

–Pewnie, że wie, ale przed Lordem Groghe'em musi stanąć uzdrowiciel, by opowiedzieć o stanie, w jakim się znalazłaś przez tego bęcwała.

Tennę zatkało – posłaniec nie stawał przed Lordem Warowni, nie mając naprawdę poważnej sprawy czy powodu do narzekania, a jej zranienia nie były aż tak poważne.

–Posłuchaj, moja panno. – Torlo pogroził jej palcem. – Jestem zarządzającym stacją agentem, tak? Więc jak mówię, że pójdziemy do Lorda Warowni, to pójdziemy, bo to w ogóle nie powinno się stać i od tego trzeba zacząć!

Beveny zaordynował długie moczenie w wannie i dostarczył środek, który należało dodać do wody.

–Pendrze zostawię dodatkowy okład, na wypadek gdyby sama kąpiel nie pomogła – dodał, pokazując jej trzy cienkie, elastyczne kolce, które wyjął z ramienia i z nóg. – Chcemy ten ostatni mieć tu, nie w tobie.

Przykrył wszystkie szklanymi płytkami z jednej strony, a chustką z drugiej i związał mocno.

–Mocz się przynajmniej godzinę i nie chodź za wiele. Nie chcę, żeby kolec zdołał wniknąć głębiej, bo wtedy naprawdę będą kłopoty – zakończył, a gdy Tenna wstrząsnął dreszcz, uśmiechnął się i dokończył: – Nie martw się. Wieczorem powinno być po wszystkim. A za dwa dni zatańczymy razem.

–Za dwa dni już mnie tu nie będzie.

–Że jak, proszę? – Uśmiechnął się szerzej. – Nie zrezygnuję tak łatwo z tańca. A poważnie, to nie jesteś jeszcze wyleczona i nie nadajesz się do pracy. Najpierw muszą się zagoić wszystkie ranki, zwłaszcza te, które masz na goleniach, bo w czasie biegu tam

właśnie najłatwiej może się dostać brud i kurz. Są niewielkie, ale głębokie i mogą się stać źródłem zakażenia. Tobie może się wydać, że to drobnostka, lecz opatrywałem wielu posłańców i wierz mi, wiem, co mówię.

–Oj... – jęknęła, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

–Właśnie. – Uścisnął lekko jej ramię. – Dokończysz Przejście, jak wyzdrowiejesz. Teraz odpoczywaj. Wy, posłańcy, jesteście twardzi, odpoczynek dobrze ci zrobi.

I wyszedł, a Tenna udała się do łaźni.

Rosa i Spacia oraz Grolly i wszyscy inni posłańcy znajdujący się na stacji mieli mnóstwo pracy, tyle że w krótkich, kilkugodzinnych misjach. Roznosili specjalne, pilne przesyłki, które musiały możliwie najszybciej dotrzeć jeśli nie do Siedziby Harfiarzy, to do innych siedzib czy do Lorda Warowni. Wszystkie pochodziły, jak to wdzięcznie ujęła Rosa, „z zadupia albo jeszcze dalej”.

–Nie przejmuj się nami – wyjaśniła, spostrzegłszy, że Tenna, która czuła się jak darmożjad, zaczęła się wiercić. – Przed każdym jarmarkiem tak jest i zawsze narzekamy. Nie można tego brać poważnie, a zabawa jest tego warta. Skoro już o tym mowa, to przypomniało mi się, że nie masz stroju.

–Nie martwcie się mną...

–Nie opowiadaj bzdur – przerwała jej Spacia. – Chcemy i będziemy, tylko coś mi się widzi, że nic z naszej garderoby nie będzie na ciebie pasować...

Obie były niższe od Tenny prawie o głowę i choć żadna nie była gruba, to też nie były aż tak szczupłe jak ona. Nagle odwróciły się do siebie i powiedziały jednocześnie:

–Silvina!

–Możesz chodzić? – spytała Spacia, ujmując Tenna pod ramię.

–Mogę, ale...

–To wstawaj i chodź! – Rosa ujęła ją pod drugie. – Silvina zarządza Siedzibą Harfiarzy i zawsze znajdzie co trzeba.

–Ale... ja... – zaczęła Tenna i umilkła: po zdeterminowanych minach obu dziewcząt widać było, że dyskusja nie wchodzi w grę.

Posłusznie więc poszła za nimi.

–Zabieracie ją do Silviny? – spytała Penda, wychodząc z kuchni. – Dobrze, bo nie mam nic, co by na nią pasowało, a powinna wyglądać najlepiej jak się da, kiedy spotka się z tą łajzą Haligonem.

–Dlaczego? – zdziwiła się Tenna, zupełnie nie rozumiejąc, po co ma być elegancka, żeby rozliczyć się ze sprawcą wypadku.

–Bo chodzi o reputację stacji – oświeciła ją Rosa ze złośliwym uśmiechem. – Mamy swoją dumę. Możesz być gościem, ale jak długo przebywasz w stacji Fort, jesteś jedną

z nas i musisz wyglądać przyzwoicie.

–Nie, żebyś normalnie wyglądała nieprzyzwoicie, ale na taką okazję trzeba wyglądać specjalnie, a nie masz żadnej sukni... – dodała pośpiesznie Spacia.

–Poza tym to twój pierwszy jarmark tutaj...

–I prawie skończyłaś swoje pierwsze Przejście...

Nie sposób było je przegadać, a rzeczywiście poza strojem roboczym nie miała nic innego, więc trudno było o logiczne argumenty. W końcu przestała ich szukać.

Jako że zbliżał się wieczór, zastały Silvinę sprawdzającą w biurze papiery. Nic zatem dziwnego, że była szczęśliwa, mogąc zająć się czymkolwiek innym. Wysłuchała, o co chodzi, i zaprowadziła je do znajdujących się w podziemiach magazynów.

–Mamy sporo kostiumów, na wypadek gdyby solista chciał nosić barwy harfiarzy – wyjaśniła, zatrzymując się przy drugich z rzędu zamkniętych drzwiach. – Nie masz nic przeciwko niebieskiemu?

Prawdę mówiąc, sędzę, że będzie ci w nim bardzo dobrze, i wydaje mi się, że mam tu coś w sam raz dla ciebie.

Jej głos był tak melodyjny, iż Tenna stwierdziła, że bardziej słucha jego brzmienia niż treści.



Silvina tymczasem otworzyła szafę i po dłuższych poszukiwaniach – pełna była bowiem różnych strojów – wyjęła długą suknię z rękawami i delikatnym obszyciem. Wszystkie trzy jęknęły na jej widok.

–Jest śliczna – przyznała Tenna. – Ale nie mogę nosić czegoś tak cennego.

–Nonsens. – Silvina ucięła dyskusję w zarodku. – Zdejmuj bluzę.

Kiedy dziewczyna ostrożnie włożyła suknię, delikatność materiału sprawiła, że poczuła się jakoś tak... specjalnie. Obróciła się na pięcie i długa suknia zawirowała, a rękawy wydęły się wokół ramion. Był to najpiękniejszy strój, jaki kiedykolwiek zdarzyło się jej nosić, toteż dokładnie go obejrzała. Zapamiętała szczegóły kroju i zdobienia, chcąc je wykorzystać, gdy zarobi dość, by sprawić sobie ucziwą kreację na zabawę. Ta, którą miała w domu, była bez porównania skromniejsza i prawdę mówiąc, nie nadawała się na taką imprezę jak tańce w warowni. Nurtowało ją tylko to, czy można tańczyć w czymś tak eleganckim albo co będzie, jeśli wyleje coś na suknię...

–Nie jestem pewna... – zaczęła.

–To zacznij być! – przerwała jej Rosa. – Granat podkreśla piękno twojej cery i oczu... Są niebieskie czy to suknia sprawia takie wrażenie? I pasuje, jakby była szyta na miarę!

Tenna spojrzała w wycięcie dekoltu – osoba, na którą szyto suknię, miała znacznie obfitszy biust, co było widać na pierwszy rzut oka. Nie zrażona tym Silvina szperała już w jakichś szufladach.

–Są! – ucieszyła się, wyciągając dwie poduszeczki specyficznego kształtu, po czym z wprawą wepchnęła je dziewczynie za dekolt.

Zrobiła to tak błyskawicznie, że Tenna zorientowała się dopiero po fakcie i nie zdążyła zaprotestować.

–Tak jest znacznie lepiej – oceniła Spacia i zachichotała. – Ja też się muszę wypychać, ale gdybym miała takie piersi, to majtałyby przy każdym kroku.

Tenna dotknęła ostrożnie rozrośniętego nagle biustu. Uczucie było nieco dziwne, lecz gdy spojrzała w lustro, stwierdziła, że wygląda znacznie lepiej i bardziej... no bardziej... tego, stosownie. Materiał był niesamowicie miękki i przyjemny w dotyku, a kolor...

–To barwa harfiarzy! – powiedziała zaskoczona.

–Oczywiście, że nasza. – Silvina rozejrzała się. – To bez znaczenia, bo będziesz nosiła sznury posłańców. Choć w tej chwili, jeśli wybaczysz mi szczerą, niezbyt wyglądasz na posłańca.

Tenna musiała przyznać, że z taką figurą wygląda znacznie lepiej: miała wąską kibić, co suknią podkreślała, zanim rozszerzała się na biodrach, maskując fakt, iż są kościste.

–To... nie wypadnie w czasie tańca?

–Jak zdejmiesz suknię, przyszyję wkładki i nic ich nie ruszy – zapewniła ją Silvina.

Szycie zajęło kobiecie mniej czasu, niż Tenna sądziła, i gotowa po poprawkach suknia została złożona, po czym znalazła się na jej ramieniu.

–Teraz jeszcze buty. Nie może przecież nosić kolców... – dodała Spacia.

–Chociaż przydałyby się, biorąc pod uwagę całe to tałałajstwo, które się zjedzie – zauważyła Rosa.

Silvina przyjrzała się badawczo długim, wąskim stopom Tenny i zmieniła pomieszczenie. To, w którym się znalazły, zastawione było regałami o wielu półkach pełnych pudeł i pudełek. Zdjęła jedno z nich i wyciągnęła parę miękkich, czarnych zamszowych butów do kostki.

–Powinny pasować... Przymierz.

Nie pasowały, lecz Silvina nie zniechęciła się. Odpowiednia okazała się czwarta z kolei, ciemnoczerwona para. Były tylko nieco za duże.

–Wciągnij grube skarpety i będą w sam raz – doradziła Spacia.

Podziękowały i wyszły – Tenna ostrożnie niosąc suknię, Rosa buty, a Spacia prostą spódnicę, którą według Silviny należało dla lepszego efektu włożyć pod suknię.

Ostatni kolec został wyciągnięty rano i Beveny dołączył go do pozostałych, przekazując cały pakiecik Torlo, który uśmiechnął się z ponurą satysfakcją.

–No to mamy dla Lorda Groghe’a dowód, że nasza skarga jest jak najbardziej

uzasadniona – oświadczył, spoglądając na Tennę, po czym, nim zdążyła zaprotestować, dodał: – Ale dopiero po jarmarku, bo teraz ma za dużo spraw na głowie, a poza tym będzie wtedy w znacznie lepszym humorze. Jak więc sama widzisz, musisz tu do tego czasu zostać.

–A nie mogę pobiegać na krótkie odległości?

–Hmm... Nie lubisz siedzieć beczynn timer, co?

Tenna potrząsnęła głową.

–No, Beveny, co na to powiesz? Może wrócić do pracy? – spytał Torlo.

–Na krótkich odcinkach i po płaskim terenie – zawyrokował zapytany i dorzucił złośliwie: – I nigdzie tam, gdzie może jeździć Haligon.

Po tych słowach wyszedł.

Tuż po południu Torlo stanął koło ławy, z której obserwowała ustawianie straganów.

–Jest krótka trasa do portu, weźmiesz? Właśnie bębny przekazały wiadomość o zawinięciu statku. Cały ładunek jest dla Fortu, a my potrzebujemy jego manifest. – Ujął Tennę pod ramię, wprowadził do budynku, gdzie wisiał plan warowni i okolic, i pokazał jej trasę, mówiąc: – Prosta droga i cały czas w dół. A z powrotem nie jest tak stromo, żebyś miała problemy.

Naturalnie Tenna zgodziła się i wycieczka sprawiła jej przyjemność, choć było nieco chłodnawo. Rozgrzała się jednak szybko, a dodatkową satysfakcję miała z faktu, że kapitan z ulgą oddał jej manifest. Statek został już rozładowany, gdyż większość towarów przeznaczona była na jarmark, i chciał jak najszybciej otrzymać zapłatę. A to było niemożliwe dopóty, dopóki dokumenty nie trafią do odbiorców. Oprócz tego miał też sakwę adresowanych do Fortu listów ze wschodniego wybrzeża i w efekcie Tenna wracała z większym niż zwykle obciążeniem.

Mięśnie nóg protestowały delikatnie, ale nie zwolniła tempa, mimo że pod koniec prawa noga zaczęła silnie dawać się jej we znaki. Kolejna kąpiel powinna rozwiązać problem, a na dodatek następnego dnia zaczynał się jarmark.

Tego wieczoru stacja była pełna, ponieważ posłańcy przybywali ze wszystkich stron. Trzeba było ścieśnić się na noc: Tenna znalazła się w jednym pokoju z Rosą, Spacją i pochodzącą z południa Delfie. Pokój usytuowany był od frontu, toteż aż do świtu słyszały za oknem ruch i gwar. Tennie w ogóle to nie przeszkadzało – spała smacznie całą noc.

–Może zjemy na zewnątrz – zaproponowała Rosa z serdecznym niesmakiem. – W środku jest taki tłok, że nie ma gdzie usiąść.

Rozsiadły się więc na ławie z talerzami i kubkami w rękach. Spacją mrugnęła do Tenny porozumiewawczo i dopiero to uświadomiło dziewczynie, że za propozycją Rosy

kryło się coś więcej niż tylko wygoda. W sali było co prawda kilka wolnych miejsc, ale za to pojedynczych, Penda zaś i jej pomocnice miały mnóstwo pracy przy wydawaniu chleba, sera, owsianki i napojów.

W dodatku na zewnątrz było znacznie ciekawiej: ulicami toczyły się kolorowe wozy zjeżdżające na wyznaczone pole, stragany, które wieczorem były jeszcze tylko drewnianymi konstrukcjami, przyozdobiono w proporce i pokryto dachami w barwach cechów. Budowano też kolejne wzdłuż frontowej ściany warowni. Na środku kończono zbijać długą scenę do tańców i podest dla harfiarzy. Tenna nigdy dotąd nie widziała przygotowań do takiej

zabawy, zwłaszcza w dużej warowni. Ponieważ poprzedniego dnia pokonała trasę do portu, nie miała wyrzutów sumienia, że nie uparła się, by dokończyć Przejście. Gdyby tak się stało, wiele by straciła, między innymi pojawienie się nad Fortem smoków wraz z jeźdźcami.

–Są piękne! – westchnęła, obserwując zgrabne lądowania.

–Jeźdźcy też – dodała dziwnym nieco tonem Rosa, co było prawdą: wszyscy ubrali się z wyszukaną elegancją. – Tylko żeby przestali mówić, że zbliża się Opad.

–A sądzisz, że się nie zbliża? – zdziwiła się Tenna, która dopiero co była kilka razy w stacji Benden.

Jeźdźcy oraz mieszkańcy weyru byli pewni, że nadchodzi czas Opadu Nici, gdyż podczas zimowego przesilenia Czerwona Gwiazda widoczna była w Skalnym Oku.

Rosa wzdrygnęła się.

–Nie wiem, czy się zbliża czy nie, ale nie lubię się za wcześnie bać – przyznała. – Jeśli Opad nastąpi, będziemy mieli poważne kłopoty z dostarczaniem przesyłek.

–Wszystkie schrony na terenach Benden zostały ostatnio naprawione – powiedziała cicho Tenna.

Tym razem wzdrygnęła się Spacia.

–Bylibyśmy głupcami, gdybyśmy się nie przygotowali, wołałabym jednak nie być w którymś z tych pudeł, kiedy Nici zaczną spadać dokoła. Szafy Silviny są większe. A jeśli schron będzie miał jakieś pęknięcie i Nić dostanie się do środka, ja zaś nie będę się mogła wydostać? – W głosie Spacji słychać było najoczywistsze obrzydzenie.

–Do tego nie dojdzie – zapewniła ją Rosa.

–Wokół warowni wycięto całą roślinność – zauważyła Spacia.

–Głównie z powodu jarmarku, choć podobno jeźdźcy też na to nalegali. – Rosa wzruszyła ramionami. – Oho, przybywają posłańcy z Boli...

I zerwała się, machając do grupy nadbiegającej zgodnym rytmem południową drogą. Wyglądali, jakby poruszali się bez najmniejszego wysiłku, a krok utrzymywali taki, że Tenna poczuła się dumna.

–Musieli wyruszyć w nocy – oceniła Rosa. – Spacia, widzisz może gdzieś Cleve'a?

–W trzecim rzędzie od tyłu, trudno go zresztą nie zauważyć. – Spacia mrugnęła do Tenny i dodała ciszej: – A taka była pewna, że się nie zjawi...

Tenna uśmiechnęła się: teraz stało się jasne, dlaczego Rosa chciała zjeść przed stacją i dlaczego to Spacia poszła po dokładkę.

Niespodziewanie, zupełnie jakby przybycie posłańców stanowiło sygnał, zakończono przygotowania: stragany zapełniły się towarami, na podium zjawiała się pierwsza grupa harfiarzy, a Rosa wskazała na szerokie stopnie prowadzące do wejścia do właściwej Warowni Fort. Schodzili po nich powoli i dostojnie Lord i Lady, przystrojeni w brązy będące barwą jarmarku, by oficjalnie rozpocząć uroczystość. Wyglądali wspaniale w otoczeniu jeźdźców smoków i gromady krewnych. Rosa miała rację: Lord Groghe rzeczywiście miał liczną rodzinę.

–Zaczyna się otwarcie – oświadczyła Spacia.

Słowa skierowane były właściwie tylko do Tenny, gdyż Rosa i Cleve weszli już do środka: Rosa pomagała Pendzie podać drugie śniadanie wygodniałym po długim biegu posłańcom z Boli. Z werandy miały doskonały widok na lordowską parę, która oficjalnie spacerowała po całym jarmarku.

–Jest Haligon – warknęła nagle Spacia.

–Który to?

–Ten ubrany na brązowo.

–Wszyscy są ubrani na brązowo!

–Idzie zaraz za Lordem Groghe'em.

–Cała kupa ludzi za nim idzie! – zirytowała się Tenna.

–Jest najbardziej kudłaty z nich wszystkich – odpaliła Spacia. – No, ma najbardziej kręcone włosy.

Opisowi odpowiadało dwóch młodzieńców, ale Tenna zdecydowała, że to ten niższy, gdyż poruszał się z niezwykłą pewnością siebie. Był też wystarczająco przystojny, by pasowało to do obrazu uwodziciela, jaki pojawiał się w opowieściach. Dziewczynie natomiast bardziej spodobał się wyższy: nie był tak przystojny, za to miał znacznie przyjemniejszy uśmiech. Mina Haligona świadczyła zaś o przekonaniu, że właśnie on jest najlepszy w okolicy.

–Chodź, musimy się przebrać, nim na górze zrobi się tłok – popędziła ją Spacia, widząc przytakujące jej myśлом skinienie towarzyszki.

Tenna obejrzała cel i była gotowa wyglądać możliwie najatrakcyjniej, a Spacia postanowiła jej w tym pomóc: rozpuściła i uczesała włosy dziewczyny, umalowała usta i podmalowała delikatnie oczy.

–Tak naprawdę to są szare, nie niebieskie, prawda? Cienie tylko pomagają oszukać wzrok? – spytała.

–Zależy od tego, w co jestem ubrana. – Tenna obróciła się na pięcie przed wysokim lustrem, patrząc na siebie krytycznym wzrokiem.

Skarpety, zgodnie z sugestią Spacji, wypełniły wolne miejsca w butach, które wyglądały zresztą zupełnie inaczej: nie było jakoś widać długich stóp, do których zdążyła się już przyzwyczaić. Suknia leżała jak ulał i w gruncie rzeczy Tenna była zadowolona ze swojego wyglądu. Musiała przyznać z pewną satysfakcją, że wyglądała „ładnie”.

Spacia także się przebrała i jej żółta suknia doskonale kontrastowała z granatem stroju Tenny.

–Oj, zapomniałam o sznurach! – jęknęła. – Zaraz znajdę ci jakieś w barwach pościelców, bo inaczej wszyscy wezmą cię za nową adeptkę harfiarzy.

Okazało się jednak, że nigdzie nie ma zapasowych sznurów, choć Spacia przewróciła wszystkie możliwe szuflady.

–Może tak będzie lepiej... w ten sposób nie będzie niczego podejrzewał – odezwała się po namyśle Tenna.

Do pokoju, rozbierając się w biegu, wpadła Rosa.

–Co ci się stało? – zainteresowała się Spacia, gdy tamta sięgnęła po różową sukienkę w kwiaty wiszącą na wieszaku. – Potrzebujesz pomocy?

–Nie potrzebuję i jeszcze nic się nie stało, ale muszę zaraz zejść i odpędzić Felishę od Cleve’a. Ta flądra uparła się go mieć, wparadowała tu, zanim skończył jeść, i uwiesiła się na jego ramieniu jak na kłamce. – Głos Rosy dobiegał jakby z oddali, gdyż wkładała suknię przez głowę, a potem umilkł zupełnie, kiedy rozległ się cichy, za to charakterystyczny trzask dartego materiału.

–Tylko nie to! – jęknęła Rosa, zmieniając się w posąg z połową sukni na głowie. – Co podarłam?! Mocno?! Widzicie?! Ruszcie się!

Okazało się, że puścił tylko kawałek szwu, czemu dało się zaradzić na poczekaniu: Spacia zajęła się nawlekaniem igły, a Tenna zgłosiła na ochotnika do zejścia na dół.

–Wiesz, który to Cleve? – zaniepokoiła się Rosa, już bez sukni na głowie.

Tenna skinęła głową i wyszła.

Cleve’a rozpoznała bez trudu: był wysoki, miał potężną, kwadratową szyję, uroczy,

wyglądający na nieco odruchowy uśmiech i zerkał co chwila ku schodom, co jednoznacznie świadczyło, że Rosa niepotrzebnie się martwiła. Poza tym widać było, że obecność brunetki o kręconych włosach, które zasłaniały częściowo twarz, i jej dość bezceremonialne zaloty wcale nie przypadły mu do gustu. Szczególnie irytował go sposób, w jaki odrzucała loki na ramię, muskając nimi za każdym razem jego twarz.

–Cleve? – spytała Tenna, podchodząc i ignorując niezycziwe spojrzenie Felishy.

–Tak? – Cleve czym prędzej zrobił krok w jej kierunku, co jednocześnie oznaczało, że znalazł się krok dalej od tamtej.

Felisha zmieniła pozycję i ujęła go pod ramię gestem właścicielki. Nie spotkało się to z aprobatą mężczyzny.

–Rosa mówiła, że też miałeś spotkanie z Haligonem, to prawda? – Tenna podjęła najpopularniejszy temat.

–Miałem. – Cleve natychmiast skorzystał z okazji i próbował wyplątać się z objęć adoratorki. – Wpadł na mnie na szlaku Boli z półtora miesiąca temu. Solidnie zwichnąłem sobie wtedy nogę. Rosa mówiła, że wepchnął cię w cierniowce i mocno się pokłutaś. Zaskoczył cię na skalnym łuku?

Zamiast odpowiedzi Tenna podniosła dłonie, ukazując dopiero zablizniające się ślady.

–Straszne! – oceniła nieszczerze Felisha. – Ten chłopak jest zbyt nieostrożny.

–Rzeczywiście – przyznała Tenna słodko, czując do niej odruchową antypatię i zastanawiając się, co tamta robi, bo na posłańca była zbyt gruba, a włosy skutecznie zasłaniały sznury, jeśli naturalnie w ogóle je nosiła. – Spacia mówiła mi, Cleve, że dobrze znasz się na tutejszych skórkach, więc chciałam cię prosić o pomoc. Potrzebuję nowych butów.

–A tam, skąd jesteś, nie ma skór? – zapytała ostro Felisha.

–Stacja Dziewięćdziesiąta Siódma, prawda? – Cleve wyszczerzył się radośnie. – Chodź, sam muszę poszukać porządnych skór na buty, a im większy jarmark, tym większa szansa na dobrą cenę, prawda?

Tym razem uwolnił się zdecydowanie od swej adoratorki, ujął Tennę pod rękę i poprowadził ją ku drzwiom. Dziewczyna dostrzegła przez ramię wściekłe spojrzenie Felishy i znaleźli się na zewnątrz, gdzie Cleve odetchnął, aż echo poszło.

–Dziękuję ci – powiedział z uczuciem, kierując się w stronę straganów. – Ta dziewczyna to prawdziwe zagrożenie.

–Skąd ona tak w ogóle jest, bo się nie przedstawiła?

–Z Siedziby Tkaczy, moja stacja często przekazuje wiadomości jej Mistrzowi.

–Tenna? – zawołał od drzwi Torlo, więc oboje stanęli, by mógł do nich dołączyć. – Ktoś już pokazał ci Haligona?

–Rosa i Spacia. Jak się tylko spotkamy, już ja sobie z nim porozmawiam – obiecała.

–Dobra dziewczynka. – Torlo uśmiechnął się zachęcająco, uścisnął jej ramię i wrócił do stacji.

–Naprawdę? – Cleve, zaskoczony, wytrzeszczył oczy.

–Co, naprawdę? Że zamierzam odpłacić mu pięknym za nadobne? Zamierzam. Zasłużył na to samo, co mnie spotkało.

–Gdzie ty znajdziesz w okolicy cierniowiec? – zmartwił się Cleve.

–Niech już będzie moja strata: zmierzę nim podłogę do tańca i będziemy kwita.

W takim tłoku nie powinno być trudno spowodować upadek, a do rozliczenia zobowiązała się raczej publicznie, i to kilka razy. Nawet Beveny słyszał to i pomagał jak mógł, więc teraz nie miała wyjścia. Z powodu nieodpowiedzialnego młokosa, który zasługiwał na publiczną nauczkę, nie zamierzała tracić szacunku obecnych na stacji. Zastanawiała się tylko, czy to wystarczy, i doszła do wniosku, że prywatnie i owszem. Oficjalnie, mając dowody i poparcie uzdrowiciela, sprawą zajmował się Torlo. A na dodatek całe wydarzenie uziemiło ją na trzy dni, zmniejszając poważnie dochody.

–Och! – westchnęła na widok straganu tkaczy mieniącego się różnobarwnymi materiałami.

Były tam tkaniny barwione jednolicie, drukowane w kwiaty, w pasy o żywych i stonowanych barwach. Splotła dłonie za plecami, żeby opanować nieodpartą ochotę ich pogłaskania...

–Wyroby cechu Felishy. – Cleve skrzywił się odruchowo.

–Ta czerwień jest śliczna...

–To dobry cech...

–Pomimo Felishy? – zachichotała.

–Pomimo... – przyznał niechętnie.

Przeszli obok straganu Szklarzy. Pełno w nim było luster zarówno w ozdobnych, jak i prostych, drewnianych ramach, kielichów rozmaitej wielkości i kształtu, butelek, szklanic i



innych naczyń o różnych barwach i fasonach. W jednym z lusterek Tenna dostrzegła swoje odbicie i gdyby nie to, że obok stał Cleve, nie poznałaby samej siebie. Odruchowo wyprostowała się i uśmiechnęła do obcej, eleganckiej dziewczyny w zwierciadle.

Stragan Krawców wypełniały kuszące ubrania, suknie, bluzy, koszule i bielizna. Koło niego aż tłoczno było od klienteli, jako że towar ten zawsze był atrakcyjny.

–Gdzie Rosa podziewa się tak długo? – spytał Cleve i obejrzał się w stronę stacji. Wciąż było ją widać, gdyż nie minęli jeszcze narożnika.

–Chce wyglądać dla ciebie bardzo ładnie.

–Zawsze wygląda ładnie – wypalił Cleve i nie wiedząc czemu się zaczerwienił.

–To dobra i miła dziewczyna – powiedziała szczerze Tenna.

–Aha, są. – Cleve wskazał nieznacznie stragan w narożniku. – Myślałem, że będzie ich kilka... to wystarczająco duża impreza... Zobaczmy, jakie mają skóry... Dobrze się

targujesz? Bo jeśli nie, to poczekamy na Rosę: jest w tym doskonała. I znają ją tu, więc wiedzą, że nie da się oszukać. Ty jesteś nowa w Forcie i mogą próbować to wykorzystać.

–Myślę, że nie musimy czekać na Rosę – odparła, uśmiechając się skromnie.

–Chyba się wygłupiłem – przyznał przeproszającym tonem.

Uśmiechnęła się tylko i przeszła powoli wzdłuż straganu. W tym czasie dołączyła do nich Rosa; ucałowała Tennę w policzek, jakby nie widziały się wieki. Cleve objął dziewczynę i zaczął jej coś szeptać na ucho. Zachichotała i cała trójka stanęła na środku szerokiej alejki, zmuszając innych, żeby ich obchodzili, co nie było proste, gdyż zaczynał się tłok. Tenna skorzystała z okazji, by niepostrzeżenie obejrzeć skóry, a stojący za ladą czeladnik udał, że tego nie widzi. Rozglądała się też, czy gdzieś nie zobaczy Haligona.

Nim skończyli pierwszy obchód jarmarku, zrobił się taki ścisk, że ledwo można się było poruszać. Im to akurat nie przeszkadzało: posłańcy tak długo przebywali samotnie, i to również w porach, w których większość ludzi kończyła pracę i spędzała czas wolny z rodzinami oraz przyjaciółmi, że te przypadki, gdy wokół było tłoczno, stanowiły dla nich miłą odmianę. Owszem, mieli satysfakcję, że to, co robią, jest ważne, ale nikt nie myśli o tym, biegnąc pod wiatr czy podczas ulewy: wtedy myśli się o tym, że inni siedzą w cieple i odpoczywają.

Stragany z jedzeniem oferowały mnóstwo napojów i przekąsek, więc kupili jedno i drugie i siedli przy stole niedaleko podium dla harfiarzy.

–Jest! – oświadczyła nagle Rosa, wskazując na przeciwległą stronę placu, gdzie grupa

młodzieńców przyglądała się wystrojonym odświętnie dziewczętom.

Zazwyczaj przy takich okazjach łączono się w pary, by razem się bawić, tańczyć i robić, na co tylko przyszła ochota, a ponieważ nie wszyscy mieli stałych partnerów, lepiej było znaleźć tymczasowego wcześniej i uzgodnić szczegóły, żeby nikt nie padł ofiarą złudzeń. Była to idealna sytuacja, by dać mu nauczkę, tym bardziej że stał na poboczu, gdzie pełno było kurzu, zwierzęcych odchodów oraz innych śmieci. Ponieważ był wystrojony tak, że aż bolały oczy, oprócz śmiechu upadek spowoduje dodatkowo dość dokładne zabrudzenie ubrania.

–Przepraszam. – Tenna odstawiła szklanke. – Mam rachunki do wyrównania.

–Och! – zdziwiła się Rosa, ledwie jednak Tenna zrobiła kilka kroków, dotarł do niej dopingujący zew posłańców.

Przeszła na skos przez podłogę taneczną ku Haligonowi stojącemu z wyższym od siebie kompanem. Wszyscy przyglądali się dziewczętom parującym wzdłuż placu i śmiali się, wymieniając uwagi. Moment, żeby odplacić za wypadek, był idealny. Podeszła prosto do niego i popukała go w ramię. Gdy się odwrócił, jego uśmiech zmienił się w zaskoczenie, a zaraz potem w zainteresowanie – oczy mężczyzny rozblęły, kiedy

zmierzył ją od stóp do głów. Tak był tym zajęty, że nie zauważył, jak Tenna bierze zamach, a potem było już za późno: trzasnęła go z półobrotu pięścią w szczękę, wkładając w cios całą wagę ciała. Padł na plecy, jak rażony gromem, prosto w okazałą kupę. Siła uderzenia wstrząsnęła dziewczyną, ale nie dała tego po sobie poznać. Otrzeptała z satysfakcją dłonie, obróciła się na pięcie i ruszyła z powrotem.

Dotarła mniej więcej do połowy wyłożonego deskami placu, gdy usłyszała, że z tyłu ktoś pospiesznie się do niej zbliża. Dzięki temu była gotowa, kiedy czyjaś dłoń ujęła ją za ramię i zatrzymała w pół kroku.

–O co chodziło? – Był to wyższy ze wskazanych przez Spację mężczyzn. Przyglądał się jej z zaciekawieniem i autentycznym zaskoczeniem.

–Dałam mu posmakować tego, co bezmyślnie sprowadza na innych – odparła, uwalniając ramię i ruszając przed siebie.

–Momencik! Co on ci niby zrobił? Nie widziałem cię dotąd w Forcie lub w okolicy warowni, on zaś nie wspominał o spotkaniu z kimś takim. A możesz mi wierzyć, że wspomniałby – dodał z uznaniem.

–Tak? – Tenna nawet nie musiała unosić głowy, by spojrzeć mu w oczy: byli prawie równego wzrostu. – Wepchnął mnie w cierniowce.

Gdy pokazała mu dłonie, na jego twarzy pojawiło się zatroskanie.

–Są wyjątkowo groźne o tej porze.

–Coś o tym wiem, jeśli nie zauważyłeś.

–Ale... kiedy?... Gdzie?

–To akurat jest mało ważne. Wyrównałam rachunki.

–W rzeczy samej. – Uśmiechnął się z szacunkiem. – I jesteś pewna, że to był mój brat?

–A ty znasz wszystkich przyjaciół Haligona?

–Haligona? – Zamrugał gwałtownie i po kilku sekundach przerwy, w trakcie której widać było, że myśli intensywnie, dodał: – Sądziłem, że znam.

Wskazał uprzejmym gestem, by nie przerywała. Ostrożność, z jaką ją traktował, była oczywista, a to sprawiło Tennie dodatkową radość i satysfakcję, więc dodała:

–Jest wiele spraw, które Haligon wolałby ukryć przed innymi. Zaczynając od tego, że jest zupełnie nieodpowiedzialny.

–A ty postanowiłaś nauczyć go dobrych manier? – Zasłonił usta dłonią, ale i tak oczy zdradzały, jak bardzo jest rozbawiony.

–Ktoś w końcu musi.

–Tak? A czym konkretnie cię obraził? Nieczęsto... ma okazję tak gwałtownie stykać się z ziemią i to całą swoją długością. Nie mogłaś znaleźć mniej zatłoczonego miejsca na lekcję? Zniszczyłaś mu też odświętny strój.

–Miejsce i czas wybrałam celowo: niech posmakuje, jak to jest zostać niespodziewanie przewróconym.

–No tak... A gdzie on cię przewrócił?

–Na szlaku posłańców, w środku nocy, gdy jechał nim jak wariat.

–Och. – Mężczyzna stanął jak wryty z dziwną miną winowajcy i spytał już bez śladu rozbawienia: – Kiedy to było?

–Cztery noce temu, na łuku w pobliżu skał.

–I?

–I wylądowałam w krzaku cierniowca. – Podciągnęła suknię i pokazała mu ślady na prawej

nodze, po czym podsunęła pod nos lewą dłoń.

–Wdało się zakażenie? – Był szczerze zatroskany, najwyraźniej zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

–Opiekował się mną uzdrowiciel Beveny, a kolce zachowałam jako dowód. Przez trzy dni nie mogłam pracować.

–Przykro mi to słyszeć – powiedział poważnie, następnie zaś potrząsnął głową i dodał weselej, lecz wciąż ostrożnie: – Jeśli obiecasz, że mi nie przyłożysz, to muszę przyznać, że nie przypominasz posłańców, jakich dotąd spotykałem... – Zatrzymał wzrok na dekolcie, odchrząknął i dodał pospiesznie: – Lepiej sprawdzę, co z Haligonem.

Tenna rzuciła okiem na grupkę skupioną wokół nieprzytomnego młodzieńca, skinęła łaskawie głową swemu rozmówcy i wróciła do Rosy i Cleve'a.

Oboje byli bladzi i wyglądali na zszokowanych.

–No to wyrównałam rachunki – oświadczyła zadowolona, siadając.

Rosa i Cleve spojrzeli na siebie wymownie.

–Nie wyrównałaś. – Rosa złapała ją za ramię. – Ten, którego przewróciłaś, to nie Haligon.

–Jak to nie?! Obie mi go pokazałyście: kudłaty, młody, w brązowym stroju.

–Wszystko się zgadza, tyle że Haligon to ten, który poszedł za tobą i z którym rozmawiałaś. Jakoś nie wyglądało, żebyś miała ochotę mu przylać.

–Och! – Tenna opadła na oparcie krzesła. – Uderzyłam niewłaściwego?

–Zgadza się.

–O rany! – Zaczęła wstawać, ale Rosa ponownie chwyciła ją za rękę.

–Nie sądzę, żeby przeprosiny były potrzebne – oświadczyła.

–Nie? To kogo w końcu pobiłam?

–Horona, jego brata. Też niezłe ziółko, choć w inny sposób.

–Przyglądał mi się raczej bezczelnie...

–To brutal i cham. Zarozumialec, jakich mało. Uważa się za ideał urody i męskości i ciągle podrywa, kogo się da. Przyglądał ci się, jak na siebie, całkiem normalnie, czyli natrętnie i bezczelnie. Sądziłeś, że dlatego mu przyłożyłaś.

Tenna odruchowo potarła obolałe kostki prawej dłoni.

–Komuś oddałaś dużą przysługę. – Cleve uśmiechnął się szeroko. – Z opuchniętą gębą nie będzie żadnej podrywał. A będzie miał opuchniętą, bo rąbnęłaś go naprawdę solidnie.

–Bracia mnie nauczyli – odparła odruchowo, przyglądając się, jak Horon, przy pomocy kilku towarzyszy, zbiera się, zatacza i jest odprowadzany do warowni.

Widok ten sprawił jej dziwną satysfakcję. Zaraz potem jednak zobaczyła Haligona zmierzającego ku stacji.

–Po co on tam idzie? – zaniepokoiła się.

–Nie wiem, ale nie przejmowałabym się. – Rosa wstała. – Torlo z przyjemnością przypomni mu wszystkie krzywdy wyrządzone posłańcom.

–Nawet jeśli nie byli tak ładni jak ty – dodał Cleve. – Chodźmy obejrzyć skóry.

Chociaż sporo osób wchodziło i wychodziło ze stacji, ani Haligon, ani Torlo nie pojawili się na zewnątrz. Tenna zastanawiała się, czy Haligonowi też będzie musiała przyłożyć, by wypełnić zobowiązanie. Jeśli tak, to sprawa nie będzie łatwa: nawet kiedy nie wiedział jeszcze, za co brat oberwał, miał się na baczności. Teraz, znając prawdę, zachowa podwójną ostrożność.

Po drugim okrążeniu placu okazało się, że skóry są w trzech miejscach, więc postanowili zorientować się w cenach. Przy pierwszym straganie rozmowę prowadził Cleve, by uchronić ewentualną klientkę, to jest Tennę, od komentarzy i zachęt sprzedającego skóry czeladnika imieniem Ligand.

–Niebieski dla harfiarza czy śpiewaczki – zagał Ligand, przyglądając się Tennie, ledwie stanęli przed ladą. – Tak myślałem, że prędzej czy później przyjdiesz tutaj.

–Jestem posłańcem – wyprowadziła go z błędu.

–Tylko najlepiej wygląda w niebieskim – dodała pospiesznie Rosa.

–Rzeczywiście? – zdziwił się czeladnik. – Nigdy bym się nie domyślił, że jest posłańcem.

–Tak? A dlaczego? – spytała ostrzegawczo Rosa.

–Bo jest ubrana na niebiesko. W takim razie jaki kolor życzysz sobie w ten piękny dzionek?

–Ciemnozielony. – Tenna wskazała leżącą za jego plecami stertę skór w rozmaitych barwach zieleni.

–Doskonały wybór dla posłańca – pochwalił i wprawnym ruchem przerzucił ciężki

stos z półki na ladę, po czym natychmiast przeszedł na drugi koniec straganu, gdzie dwóch mężczyzn oglądało grube, solidne pasy.

–Na tym kolorze mech nie zostawi zacieków – oceniła Rosa, pomagając Tennie przekładać delikatne, dobrze wyprawione skóry.

–W Boli wolimy rdzawobrazowy, bo większość ziemi w okolicy ma tę barwę. A w upały mech nie ma tyle soku ile tu, na północy – wtrącił się Cleve.

–W Igen jest podobnie jak tu – dodała Tenna.

–Zgadza się. Ta mi się podoba. – Przytrzymał skórę, nim Tenna ją odłożyła. – Dobry, głęboki kolor.

Dziewczyna też od kilku sekund właśnie nad tą się zastanawiała.

–Wystarczyłoby na letnie buty, takich właśnie potrzebuję... I nie trzeba byłoby jej dzielić.

–Znalazłaś coś ładnego? – Ligand najwyraźniej miał podzielną uwagę. Teraz podszedł, sprawdził znaki na spodzie i dodał: – Jak dla ciebie dziewięć marek. To dobra cena.

–Pięć to rozbój w biały dzień! – wybuchnęła Rosa i ugryzła się w język: to nie ona przecież kupowała.

–Całkowicie się zgadzam – poparła ją Tenna.

Pogłaskała skórę, uśmiechnęła się uprzejmie do Liganda i odeszła, zmuszając towarzyszy do tego samego.

–Lepszych nie znajdziecie nigdzie! – zawołał za nimi czeladnik.

–Rzeczywiście były dobrej jakości. Ale ja mam tylko cztery marki – powiedziała cicho Tenna.

–Powinniśmy znaleźć mniejszą skórę za te pieniądze – pocieszyła ją Rosa. – Chociaż może nie zieloną.

Gdy jednak obeszli już trzy razy stragany i obejrzelili wszystkie oferowane skóry, okazało się, że nie znaleźli ani podobnej w barwie, ani równie miękko wyprawionej.

–Nie mam pięciu marek, nawet gdyby udało się stargować cenę – podsumowała Tenna. – Ta brązowa na trzecim straganie będzie dobra. Spróbujemy?

–Oho – mruknęła nagle Rosa, stając z zaalarmowaną miną.

Cleve też się zatrzymał, ale Tenna nie potrafiła dostrzec powodu ich zachowania, dopóki z

tlumemu nie wyłonił się wysoki, siwowłosy mężczyzna i nie skierował prosto ku nim. Rozpoznała w nim Lorda Groghe'a.

–Posłaniec Tenna? – spytał formalnie, lecz z wesołym błyskiem w oczach.

–Tak – odparła, unosząc lekko głowę i zastanawiając się, co ją teraz spotka: cokolwiek to będzie, nie miała najmniejszego zamiaru przyznać, że uderzyła niewłaściwą

latorośl rodu.

–Możemy tu usiąść, z twoimi przyjaciółmi, naturalnie? – spytał, wskazując najbliższy wolny stół i nie czekając na odpowiedź, ujął ją pod ramię i łagodnie, acz zdecydowanie poprowadził z dala od ciżby.

Tennę zaskoczył jego głos i zachowanie: żadne nie było władcze czy urażone, były za to uprzejme. Lord Groghe był masywnym mężczyzną o okrągłej twarzy i początkach brzucha – uśmiechał się do wszystkich, przyglądając się im, a było ich naprawdę sporo. Gdy siedli, skinął na oberżystę i pokazał cztery palce. Ten zakrzętnął się i niemal natychmiast przyniósł cztery kielichy wina.

–Muszę cię przeprosić, Tenno – powiedział Lord Groghe w taki sposób, by usłyszeli go tylko siedzący z nim przy stole.

–Tak? A za co?

–Sprawdziłem i wiem, że cztery noce temu mój syn Haligon spowodował wypadek, w wyniku którego odniosłaś poważne obrażenia i nie mogłaś pracować. – Zmarszczył brwi, ale nie tyle na nią, ile z powodu sytuacji. – Przyznaję, że słyszałem pogłoski o tym, iż już wcześniej używał szlaku posłańców do jazdy wierzchem. Agent Torlo poinformował mnie o kilku zdarzeniach, które nieomal skończyły się wypadkami, nie miałem jednak pewności. Teraz możesz być pewna, podobnie jak wszyscy posłańcy, że Haligon nie pojawi się więcej na waszych szlakach. Jesteś ze stacji Dziewięćdziesiątej Siódmej? Warownia Keroon?

Tenna skinęła głową, nie bardzo mogąc uwierzyć w to, co słyszy, i w to, kto ją przeprasza.

–Haligon nie miał pojęcia, że prawie na ciebie wpadł – dodał Groghe. – Można mu zarzucić brak rozwagi czy wręcz głupotę, ale nie zdarzyło się, by świadomie chciał kogoś zranić.

Rosa dała Tennie solidnego kuksańca, co przypomniało jej, że powinna wykorzystać okazję, bo druga taka może się długo nie nadarzyć nie tylko jej, ale żadnemu posłańcowi.

–Lordzie Groghe, ja... i my wszyscy jesteśmy wdzięczni, wiedząc, że możemy przemierzać szlaki bez niespodzianek. To, że zdążyłam uskoczyć, zawdzięczam bardziej przypadkowi, gdyż szlak biegł łukiem i zasłaniała go skała. Gdyby nie to, mogłam zostać naprawdę poważnie ranna, bo szlaki nie są szerokie. Wykonano je dla pieszych, a nie dla jeźdźców.

Jestem pewna, że stacja Fort będzie wdzięczna za twoją pomoc w utrzymaniu wszystkich niepożądanych gości z dala od szlaków – wypaliła, a potem nie mogła już wymyślić niczego rozsądnego, więc siedziała, uśmiechając się trochę nerwowo.

–Obiecałem, że będziecie mieli szlaki tylko dla siebie, i zrobię, co będę mógł. Powiedziano mi też prawdę w innej sprawie: jesteś rzeczywiście ładna, a w niebieskim ci

do twarzy. – Poklepał ją po dłoni i wstał, dodając głośniejszym głosem: – Torlo już wie, że nie będzie następnych wypadków. Miłego jarmarku, posłańcy. Wypijcie za moje zdrowie.

Po czym oddalił się, odpowiadając z uśmiechem na liczne pozdrowienia.

Cała trójka siedziała przez dłuższą chwilę osłupiała. Pierwsza ocknęła się Rosa i upiła solidny łyk ze swego kielicha.

–Torlo miał rację: dokonałaś tego. A to wino jest przednie – oznajmiła.

–A co niby mieli podać Lordowi Warowni? Sikacza? – zdziwił się Cleve, opiekując się sprawnie zostawionym przez Lorda Groghe’a kielichem, z którego ten ledwo co upił. – Zaraz je rozdzielimy.

–Nie wierzę! – Tenna odzyskała głos. – Lord Warowni mnie przeprosił... mnie...

–To ty ucierpiałaś w wypadku, zgadza się? – przypomniała Rosa.

–Tak, ale...

–Skąd się dowiedział? – dokończył Cleve za Tennę.

–Wszyscy widzieli, że Haligon poszedł do stacji. – Rosa upiła kolejny łyk i mruknęła z zadowoleniem. – A Lord Groghe ma swoich informatorów... no i jest uczciwy, choć uważa, że większość kobiet to półgłówki. To, że jesteś ładna, też pomogło: Haligon, podobnie jak tatuś, lubi ładne dziewczęta, tyle że ten ostatni ogranicza się jedynie do patrzenia.

Byli do tego stopnia zajęci rozmową, że przybycie Haligona zauważyli dopiero wtedy, gdy ten rozwinął przed Tenną ciemnozieloną skórę ze straganu Liganda.

–Na przeprosiny, posłańcu Tenno. Naprawdę nie wiedziałem, że tamtej nocy byłaś na łuku obok skały – powiedział z ukłonem, nie spuszczać wzroku z jej twarzy, i dodał pospiesznie: – Oberwałem już za głupotę od agenta Torlo i od ojca.

–A co, nie wierzyłeś Tennie? – Rosa była bojowo nastawiona.

–Jak mogłem nie uwierzyć, gdy zobaczyłem świeże blizny? – Haligon skinął na oberżystę.

Cleve wskazał mu wolne krzesło.



–Jak tam twój brat? – spytała Tenna, nie mając odwagi spytać o to Lorda Groghe’a.

–Kuruje piękny siniak na dolnej szczęce. – W oczach Haligona błysnęło rozbawienie. – Dałaś mu porządną lekcję dobrych manier, wiesz?

–Przeważnie nie walę ludzi w szczęki – zaczęła Tenna i dostała od Rosy kolejnego kuksańca, więc dodała: – Chyba że na to zasłużą. To ciebie chciałam posłać w tę kupę, wiesz?

–Bardzo się cieszę, że tego nie zrobiłaś. – Haligon odruchowo potarł szczękę. – Agent Torlo zdradził mi, że przez trzy dni nie mogłaś pracować, a potem opowiedział o innych posłańcach, których niemal strąkowałem. Czy przyjmiesz tę skórę jako

zadośćuczynienie wraz z moimi przeprosinami?

–Twój ojciec już mnie przeprosił.

–Mam zwyczaj sam regulować swoje długi – odparł poważnie i z pewnym naciskiem.

–Przyjmuję, ale... – Tenna chciała odmówić przyjęcia skóry, gdy dostała kolejnego kuksańca od siedzącej obok Rosy. – Przyjmuję.

–To doskonale, bo bez twojego przebaczenia miałbym raczej smutną zabawę. – Haligon uśmiechnął się i uniósł jeden z czterech właśnie przyniesionych kielichów. – Mogę liczyć na taniec wieczorem?

Tenna udała, że się zastanawia, choć pytanie ucieszyło ją: coś w Haligonie ją pociągało, mimo że sama nie wiedziała co. Na wszelki wypadek odsunęła się też od Rosy – obolałe żebra nie były miłą rzeczą, zwłaszcza dla posłańca.

–Miałam nadzieję na podrzucanego – zaczęła, a gdy otworzył usta, dodała: – Ale wolę nie nadwerężyć prawej nogi.

–A spokojniejsze tańce? – spytał. – Chodzisz całkiem normalnie.

–Chodzenie rzeczywiście nie sprawia mi kłopotu... – zawahała się nieznacznie – i miło będzie mieć partnera.

W ten sposób pozwalała mu poprosić o więcej niż jeden taniec.

–W takim razie wolniejsze? – upewnił się.

–Beveny prosił cię o taniec, pamiętasz? – przypomniała jej Rosa.

–Kiedy zaczyna się zabawa? – odpowiedziała pytaniem.

–Dopiero po zmierzchu i po kolacji – wyjaśnił Haligon. – Zechcesz mi w niej towarzyszyć?

Rosa westchnęła głośno, lecz Tenna stwierdziła, że zaproszenie jest jak najbardziej na miejscu, toteż odparła:

–Z przyjemnością.

Uzgodnili porę i miejsce, Haligon dopił wino, skłonił się i odszedł.

–No, no – mruknęła Rosa, obserwując wysoką postać, która wtapiała się w tłum.

–Doskonała robota, Tenno. – Cleve uśmiechnął się. – Mam nadzieję, że wrócisz szybko przy okazji kolejnego Przejścia, gdybyśmy mieli jeszcze jakieś problemy.

–Daj spokój. – Tenna dopiero teraz pogładziła ciemnozieloną skórę. – Jak sądzicie, skąd wiedział? Obserwował nas?

–Nikt nigdy nie mówił, że jest tępy – uśmiechnęła się Rosa. – Jeśli naturalnie odliczyć galopady po naszych szlakach.

–Sądzę, że sam powiedział ojcu... – ocenił z namysłem Cleve. – Jeżeli tak się stało, to może da się go jeszcze polubić...

–Pamiętaj, że do tej pory nigdy nie przyznał się do korzystania ze szlaków, mimo że Torlo nieraz o tym mówił – przypomniała mu Rosa i dodała z uśmiechem: – Chociaż ładne dziewczęta zawsze zyskują większą uwagę od przeciętnych, takich jak ja.

–Wcale nie jesteś przeciętna! – zaprotestował odruchowo Cleve, nim się zorientował, że zmusiła go do prawienia komplementów.

–Naprawdę? – Uśmiechnęła się niewinnie.

–Ech! – westchnął do siebie z niesmakiem i niespodziewanie roześmiał się, nalewając wino Lorda Groghe'a do ich kielichów. – Za dobre, żeby miało się marnować.

Tenna wróciła do stacji, by zostawić skórę na buty. Przy okazji zasypano ją zaproszeniami do tańca i prośbami o towarzyszenie w czasie kolacji. Otrzymała również gratulacje.

–Ci powiedziałam, nie? – rzuciła uśmiechnięta od ucha do ucha Penda, przechwytyjąc Tennę przy drzwiach. – Ładne dziewczyny zawsze zostają wysłuchane.

Tenna roześmiała się.

–Ważne, że Haligon nie będzie jeździł po naszych szlakach – odparła.

–Tak obiecał jego ojciec. Już my przypilnujemy, żeby tak było.

–Sama go przypilnuję – palnęła Tenna, doskonale się bawiąc.

Przy jamach, w których pieczono mięso, ustawiały się kolejki po kolację i Tenna właśnie zaczynała się zastanawiać, czy Haligon nie wystawił jej do wiatru, nie zamierzając wcale się zjawić. Nim jednak zdążyła poważniej zwątpić w jego honor, wyrósł obok i podał jej ramię.

–Nie zapomniałem – powiedział cicho.

Partnerka syna Lorda Warowni miała pewne przywileje: na przykład znacznie szybciej obsługiwano ją w krótszej kolejce, dzięki czemu zjedli, nim Cleve i Rosa dostali w ogóle kolację. Haligon zamówił to samo wino co po południu, więc gdy zaczęły się tańce, była radosna i odprężona.

Pierwszy taniec obiecała Grolly’emu – głównie dlatego, że nie spodziewał się z nią bawić, a poprosił pierwszy – lecz była zaskoczona, gdy Haligon z nikim go nie zatańczył. Zaczekał przy stole, aż ledwie zipiący Grolly odprowadzi ją na miejsce. Utwór był szybki, nie tak szybki jednak jak podrzucany. Ani tak skomplikowany. Następny był wolniejszy, zatem podała dłoń Haligonowi, mimo że połowa gości obecnych na jarmarku tłoczyła się wokół, licząc na łut szczęścia.

Wziął ją w ramiona delikatnie, lecz stanowczo i nagle znaleźli się blisko, niemal policzek przy policzku. Był tylko odrobinę wyższy, więc doskonale im się tańczyło. Wystarczyło jedno okrążenie, by Tenna miała pełne zaufanie do jego prowadzenia. Uścisnął ją lekko i zapytał:

–Wiesz, kiedy zaczniesz pracować?

–Już miałam krótką trasę do portu. W sam raz, żeby się rozgrzać.

–Jak możesz pokonywać takie odległości na własnych nogach?! – Odsunął ją nieznacznie, by przyjrzeć się jej twarzy, i było widać, że jest naprawdę zaciekawiony.

–Po części dzięki treningowi, po części zaś dlatego, że pochodzę ze starego rodu posłańców. Pewne cechy mam po prostu we krwi.

–Czyli co, nic innego nie możesz robić?

–Mogę, ale lubię biegać. To... to taki rodzaj magii. Czasami czuję się, jakbym mogła obieć świat... A w nocy... w nocy czuję się, jakbym była jedyną przytomną i ruszającą się istotą...

–Dopóki jakiś półgłówek nie wjedzie na szlak, na którym nie powinno go być – dodał. – Jak długo jesteś posłańcem?

Pytanie zabrzmiało tak, jakby naprawdę był tym zainteresowany, więc postanowiła zaryzykować i zdradzić jeszcze trochę prawdy o czymś tak prozaicznym jak bieganie i zawód posłańca.

–Prawie dwa pełne Obroty. To moje pierwsze Przejście.

–A ja jak ciężki kretyn ci je przerwałem.

Tennę zaczynało złościć to samooskarżanie.

–Ile razy mam ci powtarzać, że ci wybaczyłam i sprawa jest już zamknięta?! Z tej skóry będę miała doskonałe buty. Skąd wiedziałeś, że właśnie tę bym chciała? I dlaczego akurat skóra?!

–Ojciec nauczył mnie, że jeśli chce się komuś wynagrodzić krzywdę lub za coś przeprosić, należy ofiarować coś, co sprawi mu radość, a nie pieniądze...

–Nie zapłaciłeś przypadkiem Ligandowi tej złodziejskiej ceny?! – spytała ostro, odchylając się, by móc zobaczyć jego twarz.

–Nie powiem ci ile, ale obaj uznaliśmy cenę za uczciwą. Sytuację komplikował nieco fakt, że doskonale wiedział, iż muszę mieć tę konkretną skórę. Wiedział zresztą o tym cały jarmark, a gdybyś miała wątpliwości, to jesteśmy tematem rozmów i nie tylko.

Z tego akurat Tenna zdawała sobie sprawę: miała tylko nadzieję, że dotrze do rodziny przed plotkami, co jednak było wysoce wątpliwe.

–Powinam się tego spodziewać – przyznała. – Z tej skóry uda mi się może zrobić dwie pary letnich butów. Będę myślała o tobie za każdym razem, gdy je włożę.

–To uczciwe – ocenił, przyciągając ją do siebie. – Miałem ułatwione zadanie, bo tak naprawdę zainteresowała cię tylko ta jedna skóra. Tak w ogóle, nie miałem pojęcia, że posłańcy sami robią sobie buty.

–Dzięki temu są lepiej dopasowane, wygodniejsze i bardziej miękkie. A jak ktoś otrze sobie nogi, może mieć pretensje wyłącznie do siebie.

–Często się to zdarza?

–Znacznie rzadziej niż lądowanie w cierniowcu.

–Kiedy skończyłem, to ty zaczynasz mi wypominać? – jęknął Haligon. – Czy kiedykolwiek się od tego uwolnię?

–Próbuj.

Był z pewnością najlepszym partnerem, z jakim kiedykolwiek tańczyła, a bawiła się już z wieloma, toteż miała nadzieję, że nie skończy się na tym jednym tańcu. Był inny niż wszyscy, także w tańcu: znał wiele kombinacji kroków i ruchów, które były dla niej nowością. Musiała cały czas uważać, by nie wypaść z rytmu. Być może ta wiedza była

niezbędna dla syna Lorda Warowni...

–Być może te umiejętności są niezbędne, żeby być dobrym posłańcem. – W pewien sposób powtórzył jej słowa, zaskakując Tennę zbliżonym tokiem myślenia. – Jesteś najlepszą partnerką, z jaką tańczyłem.

Przytulił ją i oboje zamilkli, koncentrując się na zawilościach kroków.

Dla dziewczyny taniec skończył się zdecydowanie za szybko. Prawdę mówiąc, nie miała ochoty wypuścić partnera z objęć. Jak się okazało, on też nie, więc pozostali na deskach, stojąc blisko siebie i czekając na kolejny utwór. Rytm okazał się szybszy, lecz nim Tenna zdążyła cokolwiek powiedzieć, Haligon wziął ją w objęcia i ruszył w tany. Tym razem musieli uważać nie tylko na kroki, lecz również na inne pary, ponieważ na deskach zrobiło się nagle tłoczno.

Po trzecim z rzędu tańcu – korzystając ze zmiany przygrywającego zespołu harfiarzy, co wiązało się z dłuższą przerwą – Haligon zaprowadził Tennę do stolika. A raczej nie do stolika, gdyż ledwie dostali po kielichu schłodzonego białego wina, powiódł ją w cień pustego o tej porze straganu. Po drodze Tenna sprawdziła na wszelki wypadek repertuar złośliwości, choć nie sądziła, by były jej potrzebne.

–Nie sądzę, żebyś miała kłopoty z nogą. Tym bardziej że agent Torlo pozwolił ci na kurs do portu – zauważył. – Może jednak zatańczysz podrzucanego?

–Zobaczymy – odparła, nie dając się sprowokować.

–A więc jutro będziesz już na szlaku? – spytał po chwili milczenia.

–Jeśli dalej będę piła w tym tempie, to znajdę się w łóżku z bólem głowy.

–Dotrzesz stąd do morza bez przystanku?

–Najprawdopodobniej. O tej porze na przełęczy nie powinno być śniegu.

–A gdyby był?

–Nie ma, bo ktoś wspomniałby o tym w stacji. Przed jarmarkiem w stacji Fort

zebrało się wielu posłańców, a nikt o nic o tym nie mówił, więc śniegu na przełęczy nie ma – wyjaśniła zdecydowanie.

–Godna podziwu orientacja.

–Posłaniec zawsze musi się orientować, co może go spotkać na szlaku – przypomniała z naciskiem.

–Dobrze, jasne. Już zrozumiałem.

–Miło słyszeć.

Zapadła cisza.

–Jesteś zupełnie inna, niż się spodziewałem – powiedział nagle z szacunkiem Haligon.

–Mogę to samo powiedzieć o tobie, i to bez złośliwości.

Nowy zespół zagrał pierwsze takty kolejnego utworu i Tenna poczuła na ramieniu dłoń Haligona. Nie opierała się ani w tym momencie, ani w następnym, gdy objął ją i pocałował. Pocałunek był miły, prosto w usta, i wskazywał na duże doświadczenie. Była to dla niej nowość, podobnie jak to, że obejmował ją pewnie, lecz nie dusił. Zrobił to z szacunkiem – może nie było to najwłaściwsze określenie, ale tylko takie przyszło jej do głowy. A potem pocałunek pogłębił się przy jej pełnej współpracy i nie myślała już o niczym...

Haligon zatrzymał ją dla siebie na resztę wieczoru, wykazując błyskawiczny refleks: zawsze zdążył pierwszy poprosić ją do tańca. W przerwach całowali się, ale ku jej zdziwieniu ograniczył się tylko do tego, traktując ją z większym szacunkiem, niż się spodziewała. Nie omieszkała mu tego powiedzieć.

–Przy twoim ciosie możesz być pewna, że nie zamierzam ryzykować. Nie chcę podzielić losu brata – uświadomił jej z błyskiem rozbawienia w oczach, ale jak najbardziej poważnym tonem.

Podawał jej też inne napoje chłodzące zamiast wina, co jeszcze bardziej ją ujęło. Zwłaszcza gdy rozbrzmiały pierwsze takty podrzucanego i na deskach pozostało zaledwie kilka par.

–Zatańczymy? – spytał z uśmiechem.

Prawa noga dawała nieco o sobie znać, nabrała jednak do niego takiego zaufania, że zdecydowała się zaryzykować i skinęła głową.

Dziewczyna była podrzucana tak wysoko, jak tylko partner potrafił – stąd zresztą nazwa – a jeśli była sprytna, wykonywała w powietrzu obrót, nim zdążył ją złapać. Taniec był niebezpieczny, ale i niezwykle zabawny. Tętnę nauczył go starszy brat. Udzielił jej tylu lekcji, że bez trudu wykonywała obroty. Ponieważ była lekka i zwinna, na jarmarkach we wschodniej części kontynentu uznawano ją za jedną z lepszych w tym

tańcu. Nigdy też nie narzekała na brak partnerów. Po pierwszym podrzucie musiała jednak przyznać, że Haligon był bezkonkurencyjny. Gdy zrobiła dwa obroty, oboje dostali brawa, a podczas jednego z niewielu spokojnych momentów wyszeptał jej pospiesznie instrukcje dotyczące finałowego podrzutu. I potrafił wykonać to, co obiecał, łapiąc ją o dłoń nad podłogą. Wywołało to w pierw jęk, a potem aplauz widowni. Głuche łupnięcie o deski

świadczyło, że jedna z tańczących nie miała tak dobrego partnera.

Gdy zeszli ze sceny, Cleve, Spacia, Rosa, Grolly i większość przytomnych jeszcze posłańców otoczyli ich, obsypując gratulacjami i proponując zimne napoje oraz przysmaki.

–Dzielnie broniliście honoru stacji – ogłosił gromko Cleve, po czym niezwłocznie dodał: – I warowni.

–Tenna jest najlepszą partnerką, jaką w życiu miałem – odparł szczerze Haligon, ocierając twarz z potu.

–Jesteś na jutrzejszej liście dyżurnych, Tenno – oznajmił Torlo, gdy wreszcie się do niej dopchał.

–Na wybrzeże?

–Tak jak chciałaś – potwierdził, przyglądając się odrobinę nieżyczliwie synowi Lorda Groghe'a.

–Odprowadzić cię do stacji? – zapytał młodzieniec, ignorując spojrzenie agenta.

Harfiarze zaczęli wolny taniec, więc Rosa i Spacia patrzyły na nią wyczekująco, lecz Tenna nie potrafiła jednoznacznie zinterpretować ich spojrzeń. Znała jednak swoje obowiązki.

–W takim razie to ostatni taniec – zdecydowała, biorąc Haligona pod ramię i prowadząc na deski.

Przytulił ją, a dziewczyna, całkowicie odprężona, pozwoliła mu się prowadzić. Nigdy dotąd nie uczestniczyła w takim jarmarku i była mu niemal wdzięczna za brak rozwagi, który zapoczątkował wydarzenia kończące się w tak uroczy sposób. Żadne z nich się nie odzywało, pozwalając, by muzyka i taniec zawładnęły nimi.

Gdy utwór się skończył, Haligon – trzymając Tennę za prawą dłoń – sprowadził ją z podłogi tanecznej i powiódł ku oświetlonemu wejściu do stacji.

–Skończysz wkrótce pierwsze Przejście – odezwał się, gdy stanęli tuż przed kręgiem blasku. – Nie jest to również ostatnie, prawda?

Delikatnie pogładził jej włosy.

–Na pewno nie. Zamierzam biegać tak długo, jak tylko będę mogła.

–W takim razie będziesz dość często kończyła Przejścia.

Skinęła głową.

–Gdyby się więc zdarzyło w przyszłości, kiedy będę miał już własną warownię, że... będę chciał mieć swoich biegaczy... to jest, chciałem powiedzieć, biegusy – dodał czym prędzej.  
– Od dawna chciałem znaleźć linię godną rozmnażania, a na szlakach sprawdzałem ich krok, bo nawierzchnia jest tam gładka i można to doskonale porównać... Chodzi mi o to, czy jest szansa, żebyś... może... była skłonna rozważyć... częstsze misje w te rejony?

Przyjrzała się mu uważnie, zaskoczona niespodziewanym brakiem elokwencji i tonem.

–Może... – Uśmiechnęła się. Haligon stanowił większą pokusę, niż zdawał sobie sprawę.

Teraz także uśmiechnął się z błyskiem wyzwania w oczach.

–W takim razie poczekamy i zobaczymy, tak? – spytał już nieco normalniej.

–Sądzę, że tak.

Pocałowała go w policzek i weszła do stacji, obawiając się, że jeśli nie zrobi tego zaraz, to powie więcej, niż należałoby po tak krótkiej znajomości. Zaczynała się bowiem zastanawiać, czy posiadanie młodych, zarówno czworonożnych, jak i dwunożnych istot, które lubią biegać – zwłaszcza tu, na zachodzie – było takim złym pomysłem. I dochodziła do wniosku, że wcale nie...

*Przełożył Jarosław Kotarski*

## **Wojna o Rift**

**Raymond E. Feist**

### **Trylogia „Wojna O Rift”**

*Magician (1982, wyd. poprawione 1992) Adept magii (1996)*

*Sitherthorn (1985) Srebrzysty cierń (1996)*

*A Darkness in Sethanon (1986) Mrok w Sethanon (1997)*

### **Trylogia „Imperium” (Z Janny Wurts)**

*Daughter of the Empire (1989) Córka Imperium (1995) Seruant of the Empire (1990)  
Sługa Imperium (1996) Mistress of the Empire (1992) Władczyni Imperium (1996)*

### **Samodzielne Powieści Dotyczące „Wojny O Rift”**

*Prince of the Blood (1989) Książę krwi (1998)*

*The Kings Buccaneer (1992) Królewski bukanier (1998)*





# CYKL „WOJNA Z WĘŻOWYM LUDEM”

*Shadow of a Dark Queen (1994) Cień Królowej Mroku (1999) Rise of a Merchant Prince (1995) Księżę kupców (2000) Rage of a Demon King (1997) Furia króla demonów (2001) Shards of a Broken Crown (1998)*

Seria fantasy autorstwa Raymonda E. Feista zwana „Riftware” nie doczekała się w Polsce tytułu, toteż można ją nazywać „Wojną o Rift” lub „Wojną o Pęknięcie”. Sagę zaczynają przygody pary chłopców, Puga i Tomasa, którzy pragną się wznieść ponad swe plebejskie pochodzenie. Każdy realizuje marzenia dzięki przyrodzonym zdolnościom i ingerencji czynników zewnętrznych. Pug dostaje się do niewoli w czasie wojny z najeźdźcami z planety Kelewan. Podczas pobytu w Imperium okazuje się, że ma magiczne zdolności, zaczyna więc szkolenie. Takie były początki kariery jednego z największych magów tamtych czasów. Tomas z kolei napotyka umierającego smoka,

który wręcza mu magiczną zbroję. Dzięki niej chłopak został wojownikiem, a jego dokonania przeszły do legendy.

Dzieje młodzieńców przeplatają się z opisami obu planet – Midkemii i Kelewanu – oraz toczącej się wojny, nazywanej wojną o Rift lub o Pęknięcie. Atak Midkemii stał się bowiem możliwy dzięki magicznie wywołanemu i utrzymanemu Pęknięciu czasoprzestrzeni, określanemu także mianem Riftu. Midkemia to młody i pełen konfliktów średniowieczny świat. Kelewan jest znacznie starszy i przepojony tradycją (można go porównać do Japonii za szogunatu), bynajmniej jednak nie spokojniejszy, choć otwartą wojnę zastępują tam często skomplikowane intrygi. Zamieszkujący go Tsurani przy pierwszej okazji zaatakowali Królestwo Wysp na Midkemii, chcąc zarówno podbić nowe ziemie, jak i zdobyć bogate złoża metali, które są prawdziwą rzadkością na Kelewanie. Jedynym łącznikiem między planetami był magiczny portal zwany Riftem, dzięki któremu inwazja była całkowitym zaskoczeniem, a najeźdźcy podbili sporo terenów należących do Królestwa. Tomas stopniowo odkrywa, że posiadał moc Valheru, mitycznej istoty z Midkemii, która – jak głosiły legendy – była prawie równa bogom i walczyła z nimi. W ostatnim tomie trylogii rozstrzygają się losy wojny. Najeźdźcy zostają przepędzeni, Tomas zdobywa kontrolę nad starą magią, która próbowała go sobie podporządkować, a Pug – już jako wielkiej mocy Mag – wraca na ojczystą planetę.

Trylogia „Imperium” opisuje konflikt z przeciwnego punktu widzenia, przedstawiając Kelewan, jego mieszkańców, ich spory i życie. Bohaterką jest Pani Mara, która w wieku siedemnastu lat zostaje głową rodu Acoma i natychmiast znajduje się w centrum gry o władzę, intryg i zamachów. Jedynie dzięki rozumowi, umiejętności improwizacji oraz grupie ślepo oddanych doradców i oficerów udaje się jej wyjść zwycięsko z rozmaitych pułapek zastawianych przez wrogów. Stopniowo zwiększa swe siły, aż w końcu zdobywa dominującą pozycję w Imperium Tsuranuanni, i to mimo miłości do Kevina, niewolnika z Midkemii, oraz konfrontacji ze stojącymi ponad prawem Magami.

Najnowszy cykl, „Wojna z Wężowym Ludem”, to opowieść o Eriku, bękarcie szlachetnie urodzonego, i jego najlepszym przyjacielu – uliczniku Roo. Królestwo zostaje ponownie napadnięte, tym razem jednak zagrożenie przychodzi teoretycznie z morza, a w praktyce także z innej planety. Najeźdźcy nie są nawet ludźmi. W tym cyklu magiczny portal ma postać mostu, a przeciw siłom ciemności obok zbrojnych formacji występują ponownie Tomas i Pug.

Feist uważa Midkemię za swój główny wirtualny świat, a wszystkie dziejące się na niej opowiadania traktuje jako prozę historyczną opisującą fikcyjną, acz spójną rzeczywistość. *Sprawa Dirka* to opowieść z początkowego okresu Wojny o Rift, gdy

Tsurani podbijali Królestwo Wysp.

Sprawa Dirka

Opowieść Z Czasów Wojny O Rift

Raymond E. Feist

Księżę uniósł głowę.

–Czy Wasza Wysokość mógłby na chwilę wyjść z namiotu? – zapytał stojący w wejściu oficer. Borric, Księżę Crydee i głównodowodzący Królewskich Armii na Zachodzie, wstał, zazdroszcząc w duchu swojemu staremu przyjacielowi Brucalowi, który siedział teraz zapewne w ciepłej komnacie w LaMut i pisał do władcy Krondoru

kolejny długi list, skarżąc się na zaopatrzenie. Kończyła się druga zima wojny i w końcu udało się ustalić ciągłą linię frontu – przebiegała dziesięć mil od obozu. Borric był weteranem: od młodości walczył z goblinami i z czarnymi elfami. Tym razem czuł w kościach, że będzie to długa wojna. Otulił się ciepłą opończą i wyszedł z namiotu.

Powitała go dziwna scena: w oddali, ledwie widoczna w wirującym śniegu, rysowała się jakaś grupa. Dopiero po chwili Borric zorientował się, że szare postacie przesłonięte przez padającą biel to powracający do obozu patrol. Żołnierze zmarudzili, gdyż postać, którą otaczali, ciągnęła ciężkie sanie; posuwała się wolnym, lecz równym krokiem kogoś, kto od dawna już walczy ze sporym ładunkiem i porusza się głównie dzięki uporowi i odruchom. Kiedy podeszli bliżej, okazało się, że ciągnącym jest młody chłopak, najwyraźniej ze wsi, zdeterminowany samodzielnie dotaszczyć sanie do obozu.

Borric obejrzał go dokładnie: widać było, że ostatnio sporo przeszedł. Blond włosy miał pełne lodu, szyję i twarz otulone grubą, kilkakrotnie zawiniętą chustą, ubrany był natomiast w ciężką kurtkę i spodnie, grube, mocne buty oraz wełnianą opończę poplamioną zakrzepniętą krwią. Sanie, które ciągnął, wypełniał przedziwny zgoła ładunek: na spodzie leżał spory skórzany miech, do niego zaś i do sań przywiązane były dwa trupy – wojownik w skórzanym pancerzu wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w niebo, a młoda, otulona w futro dziewczyna wyglądała, jakby spała. Wojownik nie miał lewej rękawicy i miecza, po którym została jedynie pochwa, dziewczyna zaś, bez wątpienia ładna za życia, po śmierci zyskała porcelanowe, prawie idealne rysy.

–Kim jesteś? – spytał cicho Borric.

–Chłopakiem od drewna. – Jego głos był ledwie słyszalny, a oczy puste, jak gdyby wpatrzone w siebie, choć spoglądał wprost na pytającego.

–Co powiedziałeś?

Chłopak zamrugnął i jakby się ocknął.

–Nazywam się Dirk, panie. Jestem sługą Lorda Paula z White Hill. To posiadłość po drugiej stronie doliny Kakisaw – odparł rzeczowo, wskazując na zachód. – Jakies trzy dni

marszu stąd. Do moich obowiązków należało roznoszenie drewna na opał.

–Znam tę posiadłość. Wielekroć odwiedzałem Lorda Paula. To trzydzieści pięć mil stąd i dwadzieścia za liniami wroga. – Borric wskazał sanie. – Co to jest?

–Skarb mego pana. A to jego córka i jej morderca. Kiedyś był moim przyjacielem – odparł zmęczonym głosem Dirk.

–Lepiej chodź do namiotu i opowiedz mi wszystko – zdecydował dowódca Królewskich Armii i dał znak żołnierzom, by chwycili liny, z których sporządzona była uprząż, i odsunęli sanie na bok.

Inny żołnierz pomógł chłopakowi dojść do namiotu, a na przyzwalający gest swego zwierzchnika usadowił go na najbliższym zydlu i wyszedł. Borric wezwał ordynansa i polecił przygotować Dirkowi gorącą herbatę oraz coś do jedzenia, a gdy ten wybiegł, zaproponował:

–Może byś tak, Dirk, zaczął od początku?

Wiosną zjawili się Tsurani. Co prawda już rok wcześniej donoszono o ich obecności w łańcuchu górskim Szare Wieże, a ostrzeżenia o inwazji nadeszły zarówno od władcy Królestwa, które leżało po przeciwnej stronie gór, jak i od ważniejszych kupców i szlachetnie urodzonych z Wolnych Miast, ale nikt się nimi zbyt nie przejął. Niewiarę i sceptycyzm budziły zwłaszcza informacje o tym, że pojawili się znikąd dzięki magii, a także wzmianki o ich niesamowitej waleczności. W dodatku boje toczyły się gdzieś daleko w górach i brali w nich udział głównie ludzie Borrica z Crydee oraz krasnoludy.

Pierwsze prawdziwe ostrzeżenie przyniósł jeden z kawalerzystów z Natal i pogalopował dalej. Następnego dnia na drodze pojawiła się kolumna niewysokich zbrojnych w jaskrawo malowanych pancerzach. Lord Paul nakazał swym ludziom pozostać w gotowości, ale nie stawiać oporu, jeśli nie zostaną sprowokowani. Na podwórzu posiadłości zgromadzili się wszyscy poza jego córką – zarówno zbrojni, jak i służba.

Obserwując stojącego samotnie pana White Hill, Dirk zastanawiał się, co dało mu pozostawienie młodej córki we dworze, lecz nie potrafił wymyślić nic rozsądnego. Za to podziwiał odwagę Lorda Paula, gdyż wieści o zaciekłości napastników potwierdzały się po każdej z bitew. Ponieważ w kwestii obrony Wolne Miasta były całkowicie uzależnione od Królestwa, położone za murami Walinor posiadłości takie jak White Hill nie mogły liczyć na niczyją pomoc. Oprócz osobistej ochrony Lord Paul dysponował kilkunastoma najemnikami, lecz ci nadawali się głównie do ochrony wozów przed bandytami. W przypadku regularnego oblężenia czy w starciu ze zdyscyplinowaną armią nie mieliby szans. A maszerujący drogą oddział był zdyscyplinowany i doskonale wyszkolony.

Mimo to Lord Paul stał samotnie, bez śladu strachu, przyodziany w ceremonialną szkarłatną szubę z gronostajowym kołnierzem. Odkąd przed stuleciem Imperium Wielkiego Kesh opuściło te tereny, uznawane poprzednio za północne kolonie, mieszkańcom Wolnych Miast nie nadano żadnych nowych tytułów. Ci, którzy takowe mieli, szczylicili się rodowodem, traktując pogardliwie wszystkich pretendentów. Lord Paul powtórzył zalecenie, by nie stawiać oporu, a oddział w pomarańczowo-czarnych zbrojach wmaszerował przez bramę. Pancerze i hełmy wyglądały na malowaną i lakierowaną skórę lub drewno i w niczym nie przypominały metalowych zbroi noszonych przez oficerów z garnizonu w Natal. Zresztą dowódcę napastników można było rozpoznać jedynie dzięki nieco bardziej ozdobnemu hełmowi z przypiętą kitą czarnych, sięgających ramion włosów.

Gdy oficer wyprężył się przed Lordem Paulem, ten skłonił się oficjalnie i wysłuchał żądań przełożonych przez jedynego nie mającego broni przybysza noszącego długą, czarną szatę. Posiadłość wraz z otaczającymi je ziemiami znalazła się pod panowaniem Tsurani, a konkretniej kogoś zwanego Minwanabi, choć Dirk nie był do końca pewien, czy to osoba, czy też może raczej coś w rodzaju Królestwa. Był jednak zbyt przerażony, by próbować to wyjaśnić. Podobnie zresztą jak to, kim właściwie jest odziany w czerń mężczyzna, którego oficer traktował niezwykle uprzejmie i z szacunkiem.

Dowódca nazywał się Chapka i rozkazy bardziej wykrzykiwał, niż wypowiadał.

–Broń może zatrzymać jedynie pan tego domu i jego zaufany sługa.

Wszyscy pozostali mają natychmiast złożyć całe posiadane uzbrojenie – ubrany na czarno mężczyzna przetłumaczył kolejne polecenia.

Zbrojni spojrzeli wyczekująco na Lorda Paula, po czym dopiero na jego znak zaczęli podchodzić do wyznaczonego miejsca i składać tam broń. Jedynym, który tego nie zrobił, był Hamish – osobisty strażnik Lorda Paula.

–To wszystko? – spytał tłumacz, gdy umilkł brzęk rzucanego na stos oręża.

Jeden z najemników drgnął nagle, spojrzął na towarzysza, wyjął zza cholewy niewielki nóż do rzucania i dołożył go do oddanej wcześniej broni. Nim zdążył wrócić do szeregu, oficer szczerknął krótki rozkaz i kilku żołnierzy rzuciło się, by zrewidować najemników. Zrobili to szybko i sprawnie – tylko przy jednym znaleziono niewielki nóż, również w cholewie buta. Chapka powiedział coś do tłumacza, nakazując podkomendnym przyprowadzenie winowajcy.

–Ten człowiek nie wykonał rozkazu i ukrył broń – powiedział czarny. – Zostanie ukarany.

–Co chcecie z nim zrobić? – spytał Lord Paul.

–Miecz to honorowa śmierć. Nieposłuszny sługa nie ma honoru, więc zostanie powieszony.

–Przecież to był zwykły kozik! Zapomniałem o nim! – zaprotestował poblady nagle najemnik.

Protesty przerwał celny cios zadany drzewcem włóczni przez któregoś z napastników. Jackson – tak się nazywał pechowiec – trafiony w potylicę, padł bez przytomności i już jej nie odzyskał. Dwóch Tsurani błyskawicznie zaciągnęło go pod wrota stodoły, a trzeci przerzucił linę przez belkę. Nieprzytomnemu założono pętlę i wprawnie podciągnięto. Jego ciało targnęło się dwukrotnie i znieruchomiało. Dirk obserwował to wszystko z mieszaniną fascynacji i lęku.

Widział już martwych i umierających – Walinor, w którym dorastał, kilkakrotnie było obiektem ataków zarówno

większych band zbójceckich, jak i oddziałów czarnych elfów. Kiedyś potknął się o pijaka, który zamarzył w rynsztoku przed gospodą, ale ta błyskawiczna egzekucja była czymś obrzydliwym, mimo że powieszono go ledwo znał. Zaczął się bać.

–Powiesimy każdego sługę i niewolnika, który będzie miał broń – ostrzegł tłumacz.

Oficer wrzasnął gardłową komendę i większość oddziału rozbiegła się we wszystkich kierunkach: część do domu, część do budynków dla służby, piwnic, stajni i stodoły, słowem wszędzie. I niemal natychmiast żołnierze zaczęli wracać, meldując zwięźle, tyle że nie było wiadomo co. Z szybkości i tonów wypowiedzi oraz pytań dowódcy Dirk wynioskował, że meldowali o tym, co znaleźli. Inni nie wracali z meldunkami, tylko z różnymi przedmiotami codziennego użytku, o przeznaczenie których oficer i tłumacz starannie wypytywali Lorda Paula. Po wyjaśnieniach dotyczących żelaznej brytfanny czy narzędzi garbarskich oficer wskazywał na jedną z dwóch stert. Większa znajdowała się na rozłożonej płachcie namiotowej. Kiedy przynoszono dwa takie same przedmioty, jeden od razu łądował na większej stercie, drugi czasami do niego dołączał, czasami zaś nie.

–Popatrzcie no – mruknął stary ogrodnik William, gdy kilku żołnierzy chwyciło rogi płachty i wyniosło ją za bramę.

–Na co? – spytał Dirk na tyle głośno, by tamten go usłyszał.

–Wszystko, co zabrali, było z metalu. Przyjrzyj się ich broni – odparł cicho stary.

Dopiero w tym momencie do Dirka dotarło to, co powinien zauważyć już wcześniej: żaden element broni, zbroi czy ubioru napastników nie był metalowy – nawet ostrza wykonano z przemyślnie uformowanego drewna czy skór. Nigdzie nie było śladu sprzączki, spinki czy choćby gwoździa, od sandałów poczynając, a na hełmach kończąc.

–Dlaczego? – spytał szeptem ogrodnika.

–Pojęcia nie mam, ale dowiemy się. Tego akurat jestem pewien.

Śledztwo w sprawie wyposażenia posiadłości ciągnęło się niemal do zachodu słońca, a potem służbie nakazano zabrać swoje rzeczy i wynieść się do kuchni albo do stodoły, ponieważ jej kwatery zostały zajęte przez Tsurani. Dirka najbardziej zaskoczyło to, że oficer zamieszkał razem z żołnierzami miast we dworze, z Lordem Paulem i jego córką.

Była to pierwsza z wielu rzeczy, które miały go zaskoczyć w ciągu najbliższego roku.

Gdy wykrzywiony z bólu Alex, zwinięty w kłębek na klepisku, poruszył się, rozległ się krzyk Hamisha:

–Nie wstawaj!

Tsurański wojownik, który powalił chłopaka ciosem w brzuch, stał nad nim z dłonią o kilka cali od rękojeści miecza. Chłopak jęknął, Hamish powtórzył ostrzeżenie, a Dirk – podobnie jak pozostali służący obecni w stodole – wstrzymał oddech, spodziewając się najgorszego. W ciągu dwóch miesięcy, które upłynęły od rozpoczęcia okupacji posiadłości, Tsurani udowodnili, że są zarówno bezwzględni, jak i na swój sposób sprawiedliwi, lecz niektórych zachowań nie dało się ani przewidzieć, ani pojąć. Często, choć nieregularnie dochodziło do jakichś obraz, które dla mieszkańców White Hill były niezrozumiałe, a miały bolesne lub krwawe konsekwencje. Ot, choćby przed miesiącem stary chłop Samuel, upiwszy się wywarem z kukurydzy, uderzył któregoś z najeźdźców, gdy ten kazał mu wracać do domu. Biedaka stłukli wpięrowo do nieprzytomności, a potem powiesili, zmuszając przerażoną żonę i dzieci, by się temu przyglądały.

Alex jęknął ponownie, ale zgodnie z poleceniem Hamisha nawet nie drgnął. Po dłuższej chwili wojownik chyba się uspokoił, powiedział coś w swoim języku, splunął na leżącego, odwrócił się i odszedł. Hamish odczekał chwilę, skinął na Dirka i obaj pomogli Alexowi wstać.

–Co się stało? – spytał Dirk.

–Nie wiem. Tylko na niego spojrzałem i już mi przylał.

–I ani chybi żeś się głupio uśmiechnął – dodał Hamish. – Jak byś na mnie tak spojrzał, też bym ci dał w zęby. Dość się napatrzyłem na głupie uśmiešky młokosów w armii, nim nauczyłem ich szacunku. Możesz gardzić tymi

rzeźnikami, ale jeśli chcesz żyć, nie okazuj im tego, bo mogą cię powiesić choćby dlatego, że się im nudzi.

Przemowa nie przeszkadzała byłemu sierżantowi zbadać Alexa.

–Możesz być pewien, że tak zrobię – zapewnił go chłopak, rozcierając brzuch.

–Będzie lepiej dla ciebie. – Zwrócił się do Drogena: – Puść między ludzi wiadomość, że dzisiaj gnojki są szczególnie drażliwe. Pewnie nie wiecie się im na wojnie. Niech wszyscy robią, co im każą, i będą uprzejmi – polecił i rzucił do Alexa: –

Nic ci nie będzie, chłopcze.

Drogen wyszedł, a Dirk pomógł Alexowi przejść kawałek i zauważył:

–Oni chyba nie chcą, żeby ich pozdrawiać.

–Chyba chcą, żebyśmy milczeli i gapili się w ziemię.

Dirk tak właśnie robił, bo – zwłaszcza będąc w pobliżu Tsurani – nazbyt się bał, żeby na nich patrzeć. Wychodziło na to, że przez przypadek zachowywał się najwłaściwiej.

–Możesz zanieść drewno? – spytał niespodziewanie Alex.

–Jasne – odparł Dirk, nim się zorientował, o co chodzi.

Ale gdy już powiedział, nie miał wyjścia. Przez chwilę mocował się z nieporęcznym ładunkiem, zanim dobrze go złapał, i rad nierzad wyszedł, kierując się ku swojej dawnej kwaterze, którą obecnie zajmowali tsurańscy wojownicy. Przed drzwiami zawahał się, lecz w końcu zebrał się na odwagę i odsunął drewniany skobel.

Drzwi się uchyliły, toteż pchnął je nogą i wszedł. Przez moment stał, mrugając, nim wzrok przyzwyczał się do panującego wewnątrz półmroku. Na postaniach siedziało około pół tuzina wojowników, rozmawiając cicho i oporządzając broń oraz ekwipunek. Na jego widok zamilkli, ale Dirk zmusił się, by to zignorować. Podszedł do znajdującego się obok paleniska pojemnika na drewno i starannie ułożył w nim przyniesiony ładunek. Palenisko umieszczono na środku tylnej ściany, więc żeby tam dotrzeć, musiał przemierzyć całe pomieszczenie, co wszyscy obecni obserwowali z obojętnymi minami.

Pokonał tę trasę dwukrotnie i wyszedł nie zaczepiony, ledwie pamiętając, że kilka tygodni temu postanie w najdalszym kącie należało do niego. Teraz wraz z pozostałymi spał w stodole. Tylko służba domowa kładła się na noc na podłodze kuchni dworskiej. W zasadzie ogień wykorzystywano jedynie do gotowania, gdyż letnie noce były ciepłe, zatem nie potrzeba było wiele drewna. W kwaterach najeźdźców należało je jednak regularnie uzupełniać, gdyż gotowali sobie sami, wypełniając okolicę dziwnymi i intrygującymi zapachami.

Korzystając z chwili czasu, rozejrzał się: White Hill, niby znajoma, wyglądała jednak obco, ponieważ cały czas miało się świadomość obecności najeźdźców. Jedynymi, którym to nie przeszkadzało, byli Mikia i Torren, zaręczeni tydzień przed nocą świętojańską. Akurat szli wydoić krowy, trzymając się za ręce i nie zwracając na nikogo uwagi. Dochodzące z kuchni głosy i brzęk naczyń świadczyły, że zbliża się pora obiadu, co uświadomiło mu, że jest głodny. Najpierw jednak musiał roznieść drewno do pozostałych pomieszczeń. Pomyślał, że im pręcej zacznie, tym szybciej skończy, i skierował się do drewni. Wchodząc, dostrzegł kątem oka pomarańczowo-czarnego wojownika idącego w stronę stodoły i przez moment zastanawiał się, czy doczeka dnia, w którym wrogowie zostaną przepędzeni. Jak dotąd nic na to nie wskazywało: o wojnie

wieści nie było, a Tsurani zachowywali się, jakby mieli tu zostać na stałe.

W środku zastał Alexa zajętego rąbaniem drewna.

–Porozność je, a ja będę rąbał – zaproponował, toteż Dirkowi nie pozostało nic innego, jak tylko się zgodzić.

Jako najmłodszy ze służby zawsze wykonywał najgorsze prace, a teraz wychodziło na to, że do jego obowiązków doszło jeszcze roznoszenie drewna. Nie ułatwiało to życia, ale nie narzekał: przed przybyciem do White Hill był nikim, najmłodszym z trzech synów kamieniarza. Bracia przewidziani byli do terminu, a z nim nie bardzo było co zrobić, więc ojciec wykorzystał okazję, jaką stanowiła praca przy dworze Lorda Paula, by uzgodnić oddanie

najmłodszego syna na służbę.

Tu przynajmniej miał jakieś perspektywy: mógł z biegiem czasu awansować na pisarczyka czy pasterza albo jeszcze lepiej – otrzymać gospodarstwo w zamian za coroczną daninę w płodach. A przy dużym szczęściu mógł w końcu zostać wolnym kmiem – byłby właścicielem ziemi zwolnionym z obowiązku składania daniny. W takim wypadku, a był to już szczyt marzeń, mógłby spotkać jakąś dziewczynę, ożenić się i mieć dzieci... Być może – mimo obecności Tsurani – wciąż istniała szansa zrealizowania tych marzeń.

Mając przed oczyma duszy tę piękną perspektywę, wziął kolejny ładunek drewna i wyszedł z drewni...

Jesień przyniosła zmianę pogody: dni wciąż jeszcze były słoneczne, ale już chłodne, natomiast noce zaczęły się robić zimne. Zebrano jabłka i wyciśnięto z nich sok, który wyjątkowo zasmakował okupantom, toteż polecili zostawić sporą jego część do swego użytku. Resztę odstawiono, by sfermentowała, a okolice kuchni wypełnił aromat świeżych placków.

Dirk przyzwyczał się do roznoszenia drewna po całej posiadłości i do pomagania Alexowi, który je rąbał. Stała praca fizyczna sprawiła, że zmęźniał, rozrósł się w barach i nabrał muskulatury, która powiększała się praktycznie z tygodnia na tydzień. Potrafił udźwignąć więcej niż którykolwiek chłopak w posiadłości, a prawie tyle samo ile niektórzy mężczyźni. Zresztą im noce robiły się chłodniejsze, tym przybywało pracy, ponieważ większość zajęć trzeba było skończyć przed nadejściem zimy. Należało naprawić zagrody dla bydła i owiec, bo stada musiały przebywać w pobliżu domu, żeby nie wytrzebiły ich schodzące z gór drapieżniki. Trzeba też było zapełnić piwnice i spiżarnie, jako że na podgórzu Yabon zimy zaczynały się szybko, i to obfitymi opadami śniegu, który najczęściej topniał dopiero na wiosnę.

Dirk pracował ze wszystkimi i rzadko miał okazję odpocząć, a na pogawędki mógł

sobie pozwolić głównie przed snem. Oprócz chłopaków w swoim wieku najczęściej rozmawiał z Litią, starą kobietą, która wcześniej zajmowała się drobiem i jagniętami, teraz zaś dożywała już swoich dni. Była wyrozumiała i otwierała mu oczy na zawilosci tego świata, pomagając zrozumieć rzeczy, z których istnienia nie zdawał sobie dotąd sprawy, albo zmiany, które czasami następowały z dnia na dzień, burząc dotychczasowe plany i wyobrażenia. W końcu dotarło do niego, że ma marne perspektywy. Marzenia o własnym gospodarstwie okazały się nierealne, podobnie jak terminowanie u mistrza murarskiego, a to dlatego, że Lord Paul przestał płacić służbie za dodatkowe zajęcia. Powód był prosty: Tsurani zabrali jego pieniądze i kosztowności, choć plotka głosiła, że dwie trzecie zdołał przed nimi ukryć. Jeśli nawet tak było, to na pewno nie zamierzał ryzykować, płacąc służbie.

W posiadłości nie było też dziewczyn w wieku Dirka, nie licząc naturalnie córki Lorda Paula. Zazwyczaj noc świętojańska czy święto śródzimia były czasem spotkań mieszkańców posiadłości i miast i większość par wtedy właśnie się poznawała, ale najeźdźcy zabronili podróżować z okazji nocy świętojańskiej, więc zapewne zabronią również przed zimowym świętem. Noc świętojańska była w White Hill smętną uroczystością: izolacja oraz brak wyszukanych potraw i napitków nie sprzyjały radości. To wszystko oznaczało zaś, że jedyną perspektywą, jaką Dirk miał na przyszłość, była wieczna służba w posiadłości Lorda Paula.

Pocieszało go tylko to, że zbliżające się święto powinno być radośniejsze, gdyż i zapasy były większe, i jablecznika pod dostatkiem, choć to ostatnie niekoniecznie musiało być miłe. Dirk dobrze pamiętał, jak ponury bywał jego pijany ojciec, a Hamish znany był z tego, że w zimie lubił sobie popić. Częstokroć upijał się wówczas całkowicie, co zazwyczaj kończyło się napadami ślepej furii.

Te ponure rozmyślenia nie przeszkadzały mu w pracy, toteż cieszył się opinią przeciętnego, acz robotnego chłopaka.

Święto śródzimia okazało się bladym cieniem dawnej świetności.

Tradycyjnie już mieszkańcy posiadłości leżących w pobliżu miast świętowali razem z mieszczuchami. Spomiędzy tych ostatnich wybierano mężczyznę, który miał grać rolę Starej Zimy. Wybraniec przybywał do miasta saniami z wilczym zaprzęgiem, choć wilki zastępowano psami stanowiącymi przedziwną i często śmieszoną zbieraninę. Dzieciom rozdawał słodycze, a dorosłym drobne upominki, które wcześniej zebrał, potem zaś rozpoczynało się obżarstwo i opilstwo, mimo że w tym drugim nie wszyscy uczestniczyli.

No i był to czas wielu ślubów.

Tego roku Tsurani zabronili podróżować, więc Dirk, podobnie jak pozostali

mieszkańcy posiadłości Lorda Paula, mógł jedynie obserwować zaślubiny Mikii i Torrena odbywające się pod baczynym okiem Lorda Paula i w przytomności jego córki. Ślubu udzielał kapłan Dali, po którego Dirk wyprawił się do świątyni, mając zgodę oficera dowodzącego pomarańczowo-czarnymi wojownikami. Nowożeńcy byli też jedynymi szczęśliwymi ludźmi na podwórzu, a do powstania kwaśnych nastrojów skutecznie przyczyniło się przejmujące zimno, jakie panowało mimo rozpalenia wielkiego ogniska. Jak zwykle w takich wypadkach, rozgrzana była jedynie zwrócona ku niemu część ciała, pozostałe zaś kąsał mróz. Dzień był zimny, szary, wietrzny – a wiało od gór – i ponury.

Przygotowano najlepszy w tych okolicznościach posiłek i choć niewyszukany, był przynajmniej obfity. Dirk natomiast miał pierwsze spotkanie z applejackiem, czyli brandy ze sfermentowanego soku jabłkowego. Skończyło się nadużyciem i chłopak odkrył, że jego żołądek szybciej niż żołądki współbiedniaków informuje go o przekroczeniu limitu. Ku radości pozostałych rzygał jak kot za stodołą, chory ponad wszelkie wyobrażenie: w skroniach mu dudniło, cały świat falował, a żołądek uparł się zwrócić więcej, niż przyjął w depozyt.

Jakoś zdołał go poskromić i dotrzeć do stodoły. Ponieważ był najmłodszy, spał w najgorszym miejscu, tuż przy wrotach, którymi wyrzucano siano na podwórze. Miejsce było zimne i przewiewne, a przytulić można się było do kogoś tylko z jednej strony. Tym razem jednak wcale mu to nie przeszkadzało: ledwie się położył, zapadł w kamienny sen.

W nocy obudziły go dobiegające zza ściany wrzaski.

–Co się dzieje? – zainteresował się Hemmy, rozbudzony jak i pozostali.

Dirk uchylił drzwi i wyrzwał na zewnątrz – księżyc oświetlał znajomą postać, która chwiała się na środku podwórza i wywijiała dziko mieczem dzierzonym w prawej dłoni. W lewej Hamish trzymał gliniany dzbanek i wcale nim nie wymachiwał, co znaczyło, że zawiera alkohol. Wykrzykiwał przy tym coś, czego nie dało się zrozumieć.

–Znowu toczy jakąś starą bitwę – skomentował Hemmy.

–Tsurani! – Alex nagle się ocknął. – Jak ich pobudzi, to go zabiją! Musimy go uciszyć!

–Jak chcesz z nim gadać, kiedy wywija tym żelazem, to wolna droga. Mnie jeszcze życie miłe – oznajmił Hemmy. – Widziałem go już pijanego i wolę nie włączyć mu w drogę.

–Musimy coś zrobić – włączył się Dirk.

–Co? – spytał rzeczowo Hemmy.

–Nie wiem – przyznał uczciwie zapytany.

W pole widzenia wbiegło dwóch zbrojnych i zatrzymało się poza zasięgiem miecza starego żołnierza.

–Śmierdzące ścierwa! – wrzasnął wyraźniej Hamish. – Chodźcie no, to wam pokażę, jak się walczy, kurwie syny!

Obaj Tsurani wyciągnęli wolno miecze, ale nie spieszyli się z atakiem. Porozmawiali chwilę, po czym jeden schował broń i zniknął szybko w mroku.

–Pognał po pomoc – szepnął Dirk, nie chcąc, by usłyszał go ten, który został.

Hamish tymczasem popił sobie trochę i wciąż wymachiwał mieczem, mrużąc coś. Każdemu jego oddechowi towarzyszyły kłęby pary.

–Może mu tylko zabiorą miecz i dadzą w łeb, żeby zasnął – zasugerował Hemmy.

–Może – przyznał Dirk, ale bez przekonania.

Do czekającego dołączyło pół tuzina żołnierzy i oficer, który wrzasnął coś do Hamisha.



–Chodźcie tu, psie syny, to inaczej zaśpiewacie! – zaproponował stary, szczerząc zęby na wilczą modłę.

Oficer wydawał się bardziej poirytowany niż przestraszony całym zajściem. Warknął coś do podkomendnych i odszedł, nie odwracając się.

–Może zostawią go w spokoju... – zaczął Hemmy, lecz zamilkł, gdyż z mroku wyleciała strzała i trafiła Hamisha w pierś.

Ten spojrział na nią zaskoczony i powoli przyklęknął. A potem padł na prawy bok, nie puszczając miecza i dzbanka.

–Bogowie! – szepnął Dirk.

Tsurani odwrócili się zgodnie i odeszli, zostawiając zabitego tam, gdzie padł.

–Co robimy? – spytał cicho Dirk.

–Nic. Dopóki nie każą nam go jutro pochować, nie zrobimy nic – odparł Alex.

–To nie jest właściwe. – Dirk ledwie panował nad frustracją i gniewem.

–Ostatnio nic nie jest właściwe. – Hemmy sięgnął przez niego i przymknął drzwi.

Dirk zwinął się na posłaniu, czując wewnątrz chłód znacznie dotkliwszy niż ten, który sprowadziła mroźna noc.

–Czekaj, pomogę ci – zaofiarował się Drogen, widząc, że Dirk bezskutecznie usiłuje zamknąć drzwi nogą.

Na dworze wył wiatr, a on już piąty raz szedł z drewnutni do kuchni. Nowy osobisty strażnik Lorda Paula zamknął drzwi za objuczonym chłopakiem, który wyjaśnił:

–Muszę to zanieść do sali jadalnej.

I zanurzył się w płataninę sal, korytarzy oraz przedsionków, jako że dwór był stary i rozległy.

Gdy dotarł do celu, Lord Paul i Anika kończyli właśnie śniadanie. Jak zwykle w komnatach, układał drewno starannie, tym razem korzystając z okazji, by przyrzeć się dziewczynie. Była rok młodsza – latem skończyła piętnaście lat – i jego zdaniem stanowiła ideał doskonałości. Delikatne rysy, drobny, lecz pełny łuk ust, szeroko osadzone błękitne oczy i włosy o barwie bladego złota. W lecie jej skóra nabierała lekko złocistego odcienia, w zimie zaś stawała się jednolicie różowa. Figurę miała foremną, ale nie przypominała korpulentnych dziewczek kuchennych, i poruszała się z gracją, od której pod Dirkiem ugięły się kolana. Doskonale zdawał sobie sprawę, że nie znała nawet jego imienia, jednak o sławie i pozycji marzył każdy, toteż nic dziwnego, że miał jej obraz przed oczami przez cały dzień.

–Coś się stało, chłopcze? – Głos Lorda Paula wybił go z rozmarzenia, uświadamiając, że się zagapił.

–Nie, panie! – Dirk poderwał się czym prędzej, trafiając przy tym głową w okap kominka. – Właśnie skończyłem uzupełniać drewno.

Anika zasłoniła usta, nie chcąc pokazać rozbawienia, a Lord Paul polecił spokojnie:

–W takim razie wracaj do kuchni.

Lord Paul był Elektorem Miejskim Walinor i przed inwazją głosował we wszystkich ważnych dla miasta sprawach. Wcześniej był nawet delegatem do Rady Elektorów Wolnych Miast. Naturalnie, należał do najbogatszych ludzi w okolicy: miał statki przemierzające Morze Goryczy, majątki rozsiane zarówno po Królestwie Wysp, jak i po Imperium Wielkiego Kesh, prowadził też inwestycje w wielu innych miejscach.

A Dirk był beznadziejnie zakochany w jego jedynej córce.

To, że nawet nie zauważała jego obecności, nie miało znaczenia – i tak nie mógł przestać o niej myśleć, zwłaszcza w ciągu ostatnich dwóch tygodni, po śmierci Hamisha. Pamięć i wyobrażenia wielokrotnie przypominały

mu jej uśmiech, sposób, w jaki się poruszała czy pochylała głowę, słuchając opowieści ojca. Naturalne było, że Anika nosiła ubrania jedynie z najlepszych tkanin, a włosy upinała grzebieniami z drogich muszli, które wyławiano z Morza Goryczy. Jeśli ich nie upinała, otaczały jej twarz delikatnymi splotami. Zawsze była uprzejma, nawet dla służby, i miała najśłodszy głos, jaki Dirk kiedykolwiek słyszał.

–Napatrzyłeś się na panienkę? – spytała Jenna, starsza kucharka, ledwie chłopak wrócił do kuchni.

Drogen roześmiał się, a Dirk zarumienił: służba wiedziała dobrze, że durzył się w córce Lorda Paula, i nieustannie śmiała się z tego w kuchni. Dirk miał jedynie nadzieję, że nie wyjdzie to poza kuchnię, bo nie dano by mu żyć w stodole. A i tak wiódł tam smętną egzystencję.

–To ładna dziewczyna – powiedział Drogen i uśmiechnął się. – Każdy normalny mężczyzna lubi popatrzeć na ładną dziewczynę.

Dirk lubił Drogena, który do śmierci Hamisha był zwykłym, pozbawionym oręża zbrojnym. Po awansie przeprowadził się do dworu, toteż Dirk miał sporo okazji, by zamienić z nim kilka słów. W przeciwieństwie do swego poprzednika, który miewał napady złego humoru, był spokojny i niemal się nie odzywał, chyba że zadano mu pytanie. Cieszył się też reputacją jednego z najlepszych szermierzy w Wolnych Miastach i łatwo nawiązywał znajomości. Nie dało się ukryć, że Drogen był również przystojny na wschodnią modłę i jak wieść niosła, wiele służących w różnych miastach obdarzyło go swymi łaskami. Faktem było, że co młodsze dziewczki ocierały się o niego przy każdej okazji. Mimo zjadliwych komentarzy Jenny, która twierdziła, że Drogen nie potrafi myśleć o niczym innym poza walką i babami, Dirk uważał go za sympatycznego człowieka.

–Muszę jeszcze zanieść drewno tym tam. – Wszyscy wiedzieli, że ma na myśli Tsurani.

Wyszedł na mróz i szybkim krokiem skierował się do drewnutni. Zabrał narąbane drewno i ruszył do pierwszego z trzech budynków zajmowanych przez najeźdźców. Jak zwykle siedzieli na kwaterach i zajmowali się bronią oraz oporządzeniem. Kilku grało w coś, do czego używali kamieni i patyków, dwóch innych bawiło się grą planszową przypominającą szachy, ale większość posłań była pusta. Lwia część garnizonu przebywała na rutynowym patrolu, na które zazwyczaj wychodziło około połowy żołnierzy. Czasami nie było ich dzień, innym razem – kilka. Czasem wracali wszyscy, czasem nie, ale rzadko zdarzało się, by nie przynosili swoich rannych. Tym razem rozesłano prawie wszystkich – w posiadłości został ledwie tuzin. Dirka – jak zawsze – obserwowali obojętnie, a on też jak co dzień odetchnął z ulgą dopiero wtedy, gdy uzupełnił już zapasy drewna we wszystkich trzech pojemnikach, które znajdowały się w ich kwaterach. Jakkolwiek by go traktowali, był wystarczająco często świadkiem ich beznamiętnych mordów, tak więc gdy tylko ich spotykał, ledwie powstrzymywał panikę. Świadomość, że aż do następnego dnia nie będzie miał z nimi do czynienia, była równie uspokajająca, jak myśl o jakimś sanktuarium, w którym nic nie mogłoby mu zagrozić.

Ponieważ zrobił, co do niego należało, poszedł na kolację, czyli cieką zupkę i suchy chleb. Najlepsze z tego, czego nie zabrali najeźdźcy, trafiło naturalnie na stół Lorda Paula i jego córki, która zresztą narzekała na jedzenie, aż w końcu ojciec zwrócił jej uwagę, że biorąc pod uwagę okoliczności, nie jest bynajmniej takie złe. Resztki łądowały w kuchni, lecz jako że Dirk był ostatni w kolejce, nigdy nic dla niego nie zostawało. Nie znaczyło to naturalnie, że chodził głodny, ale też nie mógł powiedzieć, że chodził syty.

Po posiłku wrócił do stodoły, ignorując odgłosy dochodzące z posłania Mikii i Torrena, którym zupełnie nie przeszkadzała świadomość, że nie mają prywatności. Chłopak zresztą dość dawno już doszedł do wniosku, że wieśniacy mniej się przejmują zasadami skromności niż mieszkańcy miast. Torren był pasterzem, a Mikia dojarką. W kącie, trzęsąc się z zimna pod pojedynczym kocem, siedziała Litia. Niewielkie ognisko, które jej rozpalono, dawało zdecydowanie więcej światła niż ciepła. Dirk pomachał jej, na co odpowiedziała bezzębnym uśmiechem.

–Jak się czujesz? – spytał, podchodząc.

–Nieźle – szepnęła ledwie słyszalnie.

Chłopak był pewien, że Litia nie przeżyje zimy bez ciepła i odpowiedniej stawy, ale tylko jego obchodził los starej kobiety. Dla pozostałych sprawa była prosta: jak się człowiek starzeje, to wkrótce umiera, bo nikomu nie jest już potrzebny.

–Plotki? – spytała z nadzieją.

Wielbiała ten rodzaj informacji, a ostatnio tylko one były dla niej istotne. Dirk powtarzał Litii wszystko, co tylko zasłyszała, chcąc zapewnić jej jakąś rozrywkę, ale tego dnia nic ciekawego się nie wydarzyło.

–Dziś, niestety, nie było żadnych plotek.

–A panienka zaszczyciła cię wreszcie spojrzeniem, byczku? – Staruszka uśmiechnęła się porozumiewawczo.

Dirk poczuł, że się czerwieni, lecz próbował nadrabiać miną.

–Nie wiem, o czym mówisz – odparł.

–Wiesz, wiesz – zachichotała. – I nie ma się czego wstydzić. To jedyna dziewczka w twoim wieku, nienormalne byłoby, jak by cię do niej nie ciągnęło. Gdyby nie te bezbożniki, co nam łóżka ukradli, to już byś se znalazł panienkę w jakiejś wsi. Pierwsza rozsądna, jaką wiosną spotkasz, wybije ci z głowy tę rozpieszczoną pannę.

–Dlaczego ją tak nazywasz?!

–Bo zawsze stawia na swoim, a nasz pan nie potrafi jej niczego odmówić. Ty, chłopcze, potrzebujesz normalnej, zdrowej i silnej dziewczyny. Takiej ze wsi, z szerokimi biodrami, co to i synów ci urodzi, i zatroszczy się o ciebie na stare lata. – W jej głosie wyraźnie słychać było żal: jedyny syn Litii utopił się przed kilkoma laty i od tego czasu nie miał się kto nią opiekować.

–Jutro spróbuję ci przynieść drugi koc – obiecał, tknięty współczuciem.

–Ino cobyś przeze mnie w kłopoty nie wpadł – zastrzegła, ale słychać było i widać po jej minie, że jest wdzięczna za pamięć.

Dirk wspiał się po drabinie na sąsiedzi, gdzie spał razem z innymi. Był najmłodszy; jeszcze młodsi nocowali z rodzicami. Alex, Hans i Leonard już spali, a Hemmy i Petir

byli na najlepszej drodze, by do nich dołączyć. Dirk zaczął się zastanawiać, jak załatwić i sobie drugi koc, bo Hemmy ogrzewał go tylko z jednej strony – z drugiej miał nieszczelne wrota. Nie wymyślił jednak nic sensownego, nim zasnął, przytulony do starszego chłopaka i owinięty jedynym posiadanym kocem. Pocięczała go tylko świadomość, że do wiosny zostały zaledwie dwa miesiące...

Dirka obudził dziwny dźwięk, którego w pierwszej chwili nie potrafił rozpoznać. Dopiero później dotarło do niego, że usłyszał czyjś krzyk. Był stłumiony, a wokół panowały ciemności, toteż przekręcił się na drugi bok pełen podziwu dla młodej pary.

Nim zdążył zasnąć, usłyszał skrzypienie drabiny: ktoś wspinał się na górę. Zaraz potem coś głucho łupnęło i rozległo się dziwne charczenie. Zaintrygowany, uniósł się na łokciu, ale zapanowała już cisza. Opadł na postanie z mocnym postanowieniem, że rano pogada z Torrenem: może tamtemu to nie przeszkadzało, on jednak nie miał ochoty być co noc budzony przez ich igraszki.

Niemal zapadł już w sen, gdy dotarło doń, że coś jest nie w porządku – odgłosy nie brzmiały właściwie. Odwrócił się i dostrzegł zbliżającą się, ciemniejszą od mroku postać. Odruchowo usiadł, próbując się cofnąć, i jednocześnie nastąpiły dwie rzeczy: zbliżająca się postać cięła go, trafiając w obojczyk, natomiast plecy Dirka trafiły w drzwi. Pisnął cienko bardziej z zaskoczenia niż ze strachu, a już w następnym momencie zważyło się nań czyjeś ciało i skobel puścił pod podwójnym ciężarem. Chłopak ze stłumionym okrzykiem runął w dół w zaspę nawianego pod ścianę śniegu. Upadł z impetem, który wypchnął mu powietrze z płuc, ten zaś, kto wylądował na nim, pozbawił go przytomności.

Obudził się, gdy zaczęło świtać. Był przemarznięty i z trudem oddychał. Lewe oko miał czymś zlepione i coś przyciskało go do śniegu. Spróbował się poruszyć i odkrył, że to Hemmy.

–Złaż ze mnie! – wychrypiał dziwnie cicho.

Pałący ból poniżej szyi przypominał mu wydarzenia ostatniej nocy. Leżał w zaspie i prawie nie czuł nóg, toteż pozostało mu jedynie wypełznąć spod Hemmy'ego. Gdy to zrobił i usiadł, stwierdził, że tamten nie żyje – ktoś poderżnął mu gardło. Przerażenie dodało Dirkowi sił. Odsunął trupa na tyle, by móc wstać, i zmusił nogi do

posłuszeństwa. Co prawda wszystkie mięśnie protestowały, ale gnany strachem szybko wy dostał się z zasp. Dopiero wtedy zobaczył, że całe ubranie ma aż sztywne od zamrożonej krwi. Krwi Hemmy'ego.

–Co się stało? – szepnął.

Odpowiedziała mu cisza.

Gdy, zataczając się, podszedł do wrót stodoły, zorientował się, że słońce wzejdzie

dopiero za jakieś pół godziny. Było już jednak wystarczająco jasno, więc wszystko dobrze widział. Wrota zastał otwarte; ślady na śniegu wyraźnie mówiły, że ktoś wyciągnął sanie, a ich głębokość wskazywała, iż miały ciężki ładunek. Mimo to ciągnęła je jedna osoba, bo między odciskami płóz widać było tylko jedno ślady butów. W normalnych warunkach pewnie zaprzęgnięto by do sań konia, ale Tsurani zjedli wszystkie jeszcze poprzedniej zimy.

Po wejściu do stodoły zobaczył najpierw Torrena i Mikię. Leżeli objęci i martwi – ktoś fachowo podciął im gardła. Litia leżała tam, gdzie spała, w kałuży zakrzepniętej krwi i z szeroko otwartymi oczyma. Wspiął się po drabinie i w sąsiedku także znalazł same zwłoki. Na początku przyszło mu do głowy, że był to nagły napad szału okupantów, którzy wyrznęli wszystkich, ale przeczyły temu ślady, a raczej ich brak. Poza tym w posiadłości zostało ich akurat wyjątkowo mało... Wiedziony strachem o Anikę postanowił sprawdzić dwór.

Drzwi do kuchni również zastał otwarte. W środku była taka sama jatka jak w stodole. Pobiegł do sypialni dziewczyny i wszedł bez pukania. Łoże było puste; na wszelki wypadek zajrzał jeszcze pod nie, lecz i tam nikogo nie było. To go nieco otrzeźwiło: zauważył, że w pokoju w ogóle nie ma śladów krwi. Postanowił sprawdzić sypialnię Lorda Paula.

Tu akurat krwi było pod dostatkiem: przesiąkło nią całe łóżko, a w środku nie zaschniętej jeszcze kałuży leżał trup pana White Hill. Był tak posieczony, że Dirk nawet nie próbował sprawdzać, czy żyje. Obok łoża widniały otwarte drzwi skrytki, pomalowane tak jak ściana, w której je umieszczono. Schowek opróżniono, ale jasne było, że to tu właśnie Lord Paul ukrył swój majątek. Co prawda Tsurani zażądali wydania wszystkich monet – obojętnie złotych, srebrnych czy też miedzianych – oraz kosztowności, nie bardzo jednak mieli pojęcie, ile i gdzie rzeczywiście powinno się ich znajdować. Dlatego spekulacje służby, że Lord Paul oddał ledwie jedną trzecią, a resztę ukrył, nie były bezpodstawne. Może właśnie odkryli skrytkę i w ten sposób wszystkich ukarali...

–Nie! – oświadczył cicho, lecz zdecydowanie.

Tsurani wieszali tych, których uważali za pozbawionych honoru – śmierć zadana mieczem była tylko dla godnych szacunku przeciwników. Ten zaś, kto wymordował wszystkich, zrobił to z wprawą, ale cicho, czyli obawiał się wszczęcia alarmu, bo wtedy zostałby złapany. A to znaczyło, że działał sam i zabijał po kolei. Jedynym uzbrojonym człowiekiem poza Tsurani i Lordem Paulem był...

Drogen!

Dirk był tak zaskoczony odkryciem, że zamknął schowek, nie zwracając nawet uwagi

na to, jak dobrze był wykonany: po zamknięciu drzwiczki były nie do odróżnienia od ściany. Z sypialni poszedł do jadalni, gdzie nad kominkiem wisiały skrzyżowane miecze należące do rodu Lorda Paula. Chciał zabrać jeden, by nie wyruszać bez broni, ale przypomniał sobie, co najeźdźcy obiecali zrobić ze służącym, u którego znajdą broń. Doszedł do wniosku, że jeśli złapią go z mieczem, zostanie powieszony, nim zdąży cokolwiek wyjaśnić, więc czym prędzej zrezygnował i wrócił do kuchni. Na bloku obok piekarnika leżał solidny nóż rzeźnicki z drewnianym trzonkiem, którym posługiwał się nieraz i którego kształt nie dość, że był znajomy, to jeszcze wzbudzał dziwne zaufanie.

Odkąd bowiem odkrył prawdę, wiedział, że musi znaleźć dziewczynę, którą Drogen zabrał wraz ze złotem. Uspokoił się i sprawdził wszystkich w kuchni i w stodole – poza nim nikt nie przeżył. Nie licząc naturalnie Tsurani. Nie bardzo wiedział, jak zacząć ratować Anikę, w dodatku paraliżowała go świadomość, że jeśli któryś z żołnierzy znajdzie go z nożem, to i tak go powieszają. Wsunął więc broń w zanadrze i wspiął się na sąsiek. Obok posłania miał worek, który – odkąd wyrzucono ich z pomieszczeń dla służby – służył mu za skrzynię na ubrania. Zdjął kurtkę i stwierdził, że pod kołnierzem jest rozcięta i że cofając się odruchowo, uratował życie: Drogen zaczął od niego, gdyż Dirk się podniósł, a potem zmyliła go krew Hemmy'ego. Trup zwałił się na chłopaka i obaj wypadli na śnieg.

Dzięki temu stracił przytomność i nie jęczał, toteż Drogen uznał go za nieboszczyka. Inaczej na pewno sprawdziliby, czy żyje, i go dobił.

Dirk włożył zapasową koszulę, ignorując fakt, że ta, którą miał już na sobie, lepiała się od krwi – dodatkowe warstwy odzieży mogły stanowić różnicę między życiem a śmiercią. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zdjąć tuniki z któregoś z zabitych, ale nie mógł się na to zdobyć. Włożył kurtkę i opończę, po czym wyjął z worka jedyne rękawice, jakie miał, oraz wełnianą chustę zrobioną w zeszłym roku przez Litę. Poza tym w worku nie było nic, co mogłoby mu się przydać.

Ubrany, zszedł po drabinie z postanowieniem podążenia tropem mordercy. Mógł zrobić tylko to, gdyż już sama myśl o obudzeniu Tsurani sprawiała, że włosy stawały mu dęba, a poza tym nie był pewien, czy w ogóle zainteresuje ich wymordowanie ludzi, których uważali za znacznie gorszych od siebie. Mogli nic nie zrobić albo też zrzucić winę na niego i go powiesić. Musiał uratować Anikę i jej złoto, choć nie miał pojęcia, jak pokona Drogena. Musiała mieć złoto, gdyż inaczej znalazłaby się na łasce mieszkającej w mieście rodziny, a tego Dirk nikomu nie życzył. Był jednak zbyt przerażony, żeby się ruszyć, zatem stał na środku stodoły niczym sparaliżowany. Trwało to dopóty, dopóki nie usłyszał okrzyku: któryś z Tsurani musiał się obudzić i coś go zaniepokoiło. Świadomość, że najeźdźcy zaraz wpadną do stodoły, o czym świadczyły zaskoczone głosy dobiegające z podwórza, wyrwała go z letargu.

Dygocząc z zimna i ze strachu, ukrył się w najciemniejszym i najbardziej oddalonym od wejścia kącie, a chwilę później do środka wpadli pomarańczowoczarni wojownicy, niebywale jak na siebie rozgadani. Dwóch przeszło obok niego, ale musieli go uznać za trupa, bo nie zwrócił ich uwagi. Przeszukali szybko stodołę i wyszli. Gdy głosy nieco się oddaliły, Dirk zebrał się na odwagę, podszedł do drzwi i wyjrzał na zewnątrz.

Na podwórzu zebrali się wszyscy żołnierze, którzy zostali w posiadłości. Słuchali poleceń jednego, pewnikiem podoficera. Poparte gestami rozkazy były wymowne: mieli przeszukać cały teren, toteż Dirk zdecydował, że najbezpieczniej będzie przeczekać zamieszanie w stodole, którą już sprawdzili. Poszukiwania nie trwały długo, meldunki były zwięzłe, a jedyny problem stanowiły ślady sań. Debatowano nad nimi dłuższy czas, najwyraźniej zastanawiając się, czy ruszyć w pościg za mordercą. W końcu podoficer powiedział coś rozkazującym tonem, pozostali skłonili się i wszyscy wrócili na kwaterę.

Wyszło na to, że nie będzie żadnego pościgu za zabójcą prawie trzydziestu osób. Podoficer albo nie uznał tego za wystarczająco ważne, albo – co bardziej prawdopodobne – postanowił zaczekać ze wszczęciem pościgu do powrotu dowódcy i reszty garnizonu. A wtedy i tak prawdopodobnie będzie na to za późno. Dirk, rozumiejąc, że musi sam uratować Anikę, wymknął się ze stodoły i starając wykorzystywać znajomość terenu, dotarł do najbliższego wzgórza. Dopiero stamtąd, normalnym krokiem i nie kryjąc się, ruszył do lasu – z dworu nikt nie mógł go dostrzec. Krótkie poszukiwania między brzozaami i świerkami zostały uwieńczone powodzeniem: odnalazł ślady sań i ruszył po nich.

Szedł otulony chmurą swojego oddechu po płytkim na szczęście śniegu. Nie czuł stóp, był słaby i głodny, lecz pragnienie dogonienia Drogena pchało go do przodu. Krajobraz był monotony: zielone sosny i biała reszta, a wszystko przykryte warstwą śniegu. Dotarł do charakterystycznego zagajnika i zorientował się, że jest na granicy posiadłości. Drogen miał niezłe tempo, mimo iż ciągnął obciążone sanie. Dirk co prawda wiedział, że gdy szedł pod górę, poruszał się szybciej, podejrzewał jednak, iż tamten zjeżdżał ze stoku, odzyskując część tego, co stracił podczas wspinaczki. A trasa prowadziła przez szereg łagodnych wzgórz.

Zatrzymał się na krótki odpoczynek. Wiedział, że największe szanse na odnalezienie mordercy ma w nocy, ale nie miał pojęcia, jaka właściwie była pora. Szedł dość długo, a szare, zasnuwane chmurami niebo nie ujawniało położenia słońca, toteż nie wiedział, ile czasu zostało mu do zmroku. Między pobliskimi pniami pojawił się zając, stanął słupka i węszył. Ponieważ Dirk nie miał łuku ani czasu na założenie wnyków, zwierzak był zupełnie bezpieczny, czego chłopak szczerze żałował: upieczony na rożnie, byłby miłym uzupełnieniem dotychczasowej diety, ale było to marzenie z gatunku tych, które się nie

spełniają.

Odsapnął i ruszył dalej.

Zaczęło padać o zmierzchu, który nadszedł szybciej, niż Dirk się spodziewał. Śnieg oznaczał koniec nocnych poszukiwań Drogena, bo skutecznie ograniczał widoczność. Chłopak próbował iść dalej, ale było zbyt ciemno,

więc zatrzymał się, by nie zgubić śladu płóz. Była to najciemniejsza noc, jaką pamiętał, i był przerażony.

Na szczęście dostrzegł w pobliżu kępę drzew, a w jej środku pochyłą sosnę tworzącą coś na kształt dachu, i wczołgał się pod najniższe, przykryte śniegiem gałęzie. Wokół zbudował niski wał ze śniegu, gdyż ktoś powiedział mu kiedyś, że nieźle chroni en przed wiatrem.

I tak bardziej przedzemał, niż przespał do świtu.

Obudził go dziwny, cichy dźwięk. Dopiero gdy rozległ się ponownie, chłopak zrozumiał, że wywołało go osunięcie się śniegu z gałęzi sosny, pod którą spał. Wyczołgał się, gdyż było już szaro, i zaczął szukać śladów. Miejscami śniegu napadało więcej, tak że tworzył równą powierzchnię, miejscami jednak mniej i tam właśnie wyżłobienia zostawione przez płozy były całkiem dobrze widoczne. Ogólny kierunek udało mu się ustalić bez specjalnych kłopotów.

Rozpoczął polowanie na mordercę.

O zmierzchu dostrzegł ogień na zboczu wyższego niż pozostałe wzgórze, położonego nieco na wschód. Drogen kierował się w stronę wolnego od najeźdźców Natal. Gdyby do niego dotarł, mógłby się dostać do Ylith, a stamtąd wszędzie do Królestwa, Kesh czy Queg. Jak zamierzał przekroczyć linię frontu, Dirk nie miał pojęcia, ale doszedł do wniosku, że Drogen ma plan. Był w końcu znacznie lepiej zorientowany w tym, co działo się w okolicy, niż najmłodszy służący w posiadłości. Być może zimą Tsurani nie oddalali się od ognisk albo trzymali w większych oddziałach, rzadziej patrolując teren. Z tego, co sam wiedział, po pierwszych opadach śniegu walki z wojskami Królestwa czy Wolnych Miast praktycznie ustały.

Dirk wzruszył ramionami i poszedł w stronę ogniska – to, jak ominąć patrole, nie było jego problemem, lecz Drogena.

Dotarł w końcu do miejsca, z którego mógł obejrzeć obóz Drogena. Podchodził powoli i tak cicho, jak tylko umiał. Tamten siedział na saniach, grzejąc dłonie przy ogniu. Musiał być pewien bezkarności, gdyż ani się specjalnie nie rozglądał, ani też nie zachowywał żadnych środków ostrożności. U jego stóp leżała Anika. Była zakutana w futra, które Dirk osobiście wietrzył co jesień, toteż chłopak doskonale wiedział, jak dobrze chronią przed mrozem. Wyglądało na to, że śpi, co zresztą było zupełnie normalne – musiała być śmiertelnie przerażona.

Podobnie jak Dirk, który nie wiedział, co ma teraz zrobić. Po drodze ułożył i odrzucił kilkanaście planów ataku, gdyż nie miał pojęcia, jak mógłby pokonać wyszkolonego najemnika. Stał więc jak sparaliżowany, patrząc na przygasający nieco ogień, a potem przyglądając się, jak Drogen je. Zimno, głód i strach omal nie doprowadziły go do łez. Później najemnik dorzucił do ognia, otulił się kocem i położył między saniami a Aniką, która nie zbudziła się przez cały ten czas. Dirk zrozumiał, że zabicie go we śnie jest jego jedyną szansą.

Nie miał żadnych skrupułów: Drogen wymordował podczas snu wszystkich, których Dirk znał i lubił od czasu, gdy opuścił rodzinę, więc teraz chłopak zamierzał zabić go dokładnie w ten sam sposób. Taka śmierć była nawet czymś sprawiedliwym. Dirk obawiał się czego innego: że albo nie zdoła zabić najemnika, albo przypadkiem obudzi go przed czasem, toteż poruszał się nadzwyczaj wolno i ostrożnie. Najpierw chodził w miejscu, by przywrócić krążenie w nogach, a gdy uznał, że wszystko jest już w porządku – w kierunku ognia. Zesztywniałe nogi i trudności z oddychaniem wywołały wzmożone bicie serca. Na dodatek ręce tak mu się trzęsły, że ledwie zdołał wyjąć z zanadrza nóż, którego znajoma rękojeść jakoś sama pasowała do dłoni i działała dziwnie uspokajająco. Chyba jedynie dzięki temu nie wpadł w panikę.

Zatrzymał się po drugiej stronie sań, nie bardzo wiedząc, od której strony podejść. W końcu zdecydował, że lepiej będzie zbliżyć się do Drogena od strony jego głowy, i skradał się tak ostrożnie, jak tylko mógł, unosząc jednocześnie nóż wysoko nad głowę. Był od niego ledwie o parę stóp, gdy najemnik zmienił pozycję, przytulając się do dziewczyny. Ta nawet nie drgnęła. Dirk znieruchomiał, ale po kilku sekundach przełamał się, zdając sobie sprawę, że jeśli teraz się nie ruszy, to już nie zmusi się do ataku. Skoczył i dźgnął z całych sił.

Trafił Drogena w ramię. Ten wrzasnął i szarpnął się tak silnie, że niemal wyrwał chłopakowi nóż z ręki. Dirk wyciągnął broń i pchnął raz jeszcze, gdy tamten próbował wstać. Ponownie trafił go w ramię, tyle że głębiej wbił ostrze. Drogen zawył i tym razem zawtórowała mu Anika, przebudzona jego krzykiem. Wykopała się z futer i zerwała na nogi, próbując zorientować się, co się dzieje. Dirk zdołał wyszarpnąć nóż z rany i gotów był uderzyć trzeci raz, ale Drogen zdołał wstać i rzucił się na niego. Chłopak, trafiony ramieniem w brzuch, padł na ziemię,

przetoczył się i najemnik siadł mu na piersiach, wznosząc jednocześnie pięść do ciosu.

–Ty?! – Dopiero w tym momencie rozpoznał napastnika w słabym świetle ogniska i zawahał się.

Dirk nie popełnił tego błędu: ciał na osłep trafiając tamtego w twarz, a gdy Drogen odruchowo złapał się za rozcięty policzek, wykorzystał okazję i pchnął go w odłonięty

brzuch tuż pod ostatnim zębem. Mężczyzna wyprostował się, otworzył szeroko oczy, w których malowało się bezbrzeżne zdumienie, i prawą dłonią złapał go za ubranie, przyciągając do siebie, jakby chciał o coś zapytać. Nic jednak nie powiedział, tylko powoli zwałił się na plecy, a ponieważ nie zwolnił uchwytu, Dirk wprawdzie zmuszony był sięgnąć, a potem pochylić się nad nim.

Gorączkowo rozgiął palce Drogena, który wciąż leżał na jego nogach, i dopiero gdy wypelzł spod niego, poczuł przejmujący ból w boku. Okazało się, że tkwi w nim sztylet, chociaż w ogóle nie pamiętał, kiedy przeciwnik zdążył go pchnąć. Odruchowo wyciągnął z nieruchomego mężczyzny nóż, jak przez mgłę słysząc zapłakane:

–Nie!

Odwrócił się w stronę, z której dobiegał głos, i usłyszał go wyraźniej:

–Nie! – wrzasnęła Anika, skacząc ku niemu. – Zabiłeś go!

Dirk – nie do końca pewien, co się dzieje – próbował się skupić, lecz ból powodował, że wszystko wokół łagodnie pływało.

–Ja... – zaczął.

Ale dziewczyna była już przy nim.

–Zabiłeś go! – krzyknęła ponownie.

Cofnął się, a raczej próbował, bo zahaczył obcasem o ciało i padł, a Anika – nie mając oparcia, na które liczyła – upadła ciężko na niego. Podźwignęła się z zaskoczoną miną i spojrzała w dół, między swoje a jego ciało. Dirk podążył za jej wzrokiem i zobaczył, że wciąż trzyma w prawicy nóż, na który właśnie się nadziała. Anika popatrzyła w końcu na jego twarz i spytała dziwnie miękko:

–Nosłeś drewno do kominka?

A potem padła na niego.

Dirk odsunął ją delikatnie, ale nie wypuścił z objęć. Przesunął się nieznacznie i położył dziewczynę na śniegu. Spoglądała w niebo szklanymi, niewidzącymi oczyma, toteż zamknął je łagodnie. Nagły ból w boku przypomniał mu, że jest ranny. Ostrożnie dotknął rękodojeści sztyletu i o mało co nie zemdlął, gdy przeszła go fala gorąca. Wiedział, że nie zdoła się ruszyć, jeśli nie wyjmie broni, zacisnął więc zęby, złapał sztylet za rękodojeść i szarpnął. Zawył tak głośno, że aż echo poszło, a z najbliższych drzew posypał się śnieg.

Po chwili ból zelżał na tyle, iż Dirk przestał być pewien, że umiera. Wstał powoli i spojrzał na Anikę.

A potem zemdlął.

–Pomogła mu zabić ojca i pozostałych? – spytał Borric.

–Chyba nie, panie... Myślę, że Drogen ją oszukał, przekonał, żeby zdradziła, gdzie

ojciec trzymał złoto. Była młoda i niedoświadczona, a on cieszył się względami wielu kobiet. – Dirk wyglądał, jakby miał się rozplakać, lecz dokończył zdecydowanie: – Jeśli zabił ich, nie budząc dziewczyny, a potem owinął ją w futra i zaniósł prosto do sań, to mogła o niczym nie wiedzieć. Gdyby zaś dotarli do Wolnych Miast, nie dowiedziałyby się już nigdy. Ocknęła się w trakcie walki i rzuciła na mnie, nie wiedząc nawet, kim jestem... Gdyby wiedziała, co zaszło, nie wzburzyłaby jej tak śmierć Drogena... Tego jestem pewien, panie. A do jej śmierci, choć przypadkowej, doszło tylko z mojej winy.

–To na pewno nie była twoja wina, chłopcze – sprzeciwił się Borric. – Jak sam rzekłeś, był to przypadek, i tak musisz ją pamiętać. Powiedz mi teraz, dlaczego tu przybyłeś?

–Bo nie wiedziałem, gdzie indziej miałbym pójść. Pomyślałem, że skoro Drogen planował tu dotrzeć, to tak będzie najlepiej. Tsurani zabraliby złoto, a mnie pewnie obwiesili... to już wolałem przyjąć do swoich.

–Dobrze zrobiłeś – pochwalił go Borric. Dirk odstawił kubek i skrzywił się.

–Dziękuję za posiłek... – zaczął, lecz Borric przerwał mu:

–Opatrzyłeś ranę?

–Tak jak potrafiłem...

Borric wezwał ordynansa i polecił mu zaprowadzić chłopaka do namiotu medyków, by zajęli się jego bokiem. Gdy Dirk wyszedł, obecny przy jego opowieści oficer przerwał milczenie:

–Zadziwiająca historia, Wasza Wysokość.

–Ten chłopak ma rzadko spotykany rodzaj odwagi – przyznał Borric.

–Ta dziewczyna... wiedziała?

–Oczywiście, że tak. Znałem dobrze Paula, często robiłem z nim interesy przez mojego agenta, Talbota Kilrane'a z Bordon. Bywałem w jego domu, on bywał w moim w Crydee... i znałem jego córkę. – Borric westchnął. – Była rówieśniczką mojej Carline, ale na szczęście na tym podobieństwo się kończyło. Anika była urodzoną intrygantką i pewien jestem, że to właśnie ona wszystko obmyśliła, choć nie wiem, czy przewidziała mord, zwłaszcza zgładzenie całej służby. Mogła chcieć tylko ukraść złoto i uciec, a ten cały Drogen wolał się zabezpieczyć. Tego się już nigdy nie dowiemy... Gdyby ojciec został za linią frontu – a uciec by nie zdołał, to pewne – miałyby do dyspozycji fortunę i wolną rękę. Na pewno prowadziłyby ciekawe życie towarzyskie i stałyby się znaną postacią, jeśli nie w Rillanon, to na pewno w Krondorze. Wspólnika mogłaby się wówczas pozbyć bez trudu, a on bez wątplenia do niczego by się nie przyznał, bo zapłaciliby za to gardłem. Jeśli zaś kazała mu wszystkich wybić... Cóż, kiedy wieść o mordzie doszłaby do nas, wszyscy byłiby przekonani, że to sprawka Tsurani, którzy

zgładzili ich z sobie tylko znanych powodów... W kościach czuję, że to wszystko jej sprawka, ale pewności nie będziemy mieć nigdy.

–Nie, Wasza Wysokość – zgodził się oficer. – Co mamy zrobić z ciałami?

–Pogrzebać. Nie ma sposobu, by dostarczyć je rodzinie do Walinor, więc trzeba je pogrzebać.

–Wyznaczę ludzi, ale to trochę potrwa: ziemia jest zmarznięta. A złoto?

–Zostaje skonfiskowane. Gdyby Tsurani je znaleźli, przepadłoby, a my mamy do wykarmienia armię i musimy wygrać wojnę. Wyślij to pod eskortą Brucalowi do LaMut. – Borric przerwał, zastanowił się i dodał: – Chłopaka też tam wyślij. Napiszę o nim Brucalowi, niech mu znajdzie sensowne zajęcie w sztabie. To zmyślny dzieciak, a jak powiedział, nie ma dokąd pójść... Szkoda, żeby się zmarnował.

–Tak, Wasza Wysokość.

–I jeszcze jedno: To, co powiedziałem o córce Paula, zatrzymaj dla siebie. Chłopak nie musi wiedzieć.

–Jak Wasza Wysokość sobie życzy. – Oficer skłonił się i wyszedł.

Borric siadł i próbował skupić się na bieżących sprawach, ale to, co niedawno usłyszał, natrętnie wracało. Usiłował sobie wyobrazić, co mógł czuć ten podrostek uzbrojony jedynie w nóż, lecz nie potrafił. Od młodości szkolony był w walce i choć doskonale wiedział, co to strach lub niepewność, nie potrafił postawić się na jego miejscu. Nie miał natomiast wątpliwości, że Dirk wykazał się rzadko spotykanym rodzajem odwagi i samozaparciem. Prawda, że na pewno miało na to wpływ miłosne zaślepienie, lecz i tak niewielu zakochanych poszłoby nocą w nieznane, by ratować obiekt swych uczuć z rąk wielokrotnego mordercy, w dodatku silniejszego, lepiej uzbrojonego i umiejącego walczyć. Chłopak zasłużył w pełni na to, by żyć złudzeniami co do Aniki. Choć tyle



należało mu się od życia.

*Przełożył Jarosław Kotarski*

Koło Czasu

Robert Jordan

*The Eye of the World (1990) Oko Świata, t. 1, 2 (1994) The Great Hunt (1990) t. 1, Wielkie Polowanie (1995), t. 2, Rog Walere (1995) The Dragon Renborn (1991) t. 1, Smok Odrodzony (1995), t. 2, Kamień Łzy (1996) The Shadow Renborn (1992) t. 1, Wschodzący Cień (1996), t. 2, Ten Który*

*Przychodzi ze Świtem (1997)*

*The Fires of Heaven (1993) t. 1, Ognie niebios (1997), t. 2, Spustoszone ziemie*

*(1998)*

*Lord of Chaos (1994) 1.1, Triumf chaosu (1998), t. 2, Czarna Wieża (1998)*

*A Crown of Swords (1996) t. 1, Czara Wiatrów (1999), t. 2, Korona mieczy (2000)*

*The Path of Daggers (1998) Ścieżka sztyletów (2001)*

Świat Koła Czasu Roberta Jordana obejmuje zarówno naszą przyszłość, jak i przeszłość, a jest to świat królów, królowych i Aes Sedai, czyli kobiet potrafiących czerpać z Prawdziwego Źródła i władać Jedyńą Mocą, która obraca Kołem Czasu, napędzając uniwersum-świat, w którym każdy dzień stanowi nową odsłonę wojny między Światłością a Cieniem.

W chwili Stworzenia Stwórca uwięził Czarnego z dala od świata ludzi, ale przed ponad trzema tysiącami lat Aes Sedai – a wtedy byli nimi zarówno mężczyźni, jak i kobiety – nieświadomie przebili ściany jego więzienia położonego poza czasem. Czarny zdołał musnąć świat jedynie przelotnie, otwór zaś został w końcu zapieczętowany, mimo to doszło do skażenia *saidina*, męskiej połowy Mocy. W wyniku tego wszyscy mężczyźni Aes Sedai popadli w obłąd – podczas wydarzeń zwanych Pęknięciem Świata zniszczyli cywilizację i zmienili oblicze ziemi, zatapiając nawet góry. Tam, gdzie niegdyś rozpościerały się lądy, powstały nowe morza.

Teraz tylko kobiety mają prawo do tytułu Aes Sedai. Poddane Zasiadającej na Tronie Amyrlin i podzielone na siedem Ajah – czerpiących swe miano od noszonych barw – władają Tar Valon, wielkim wyspiarskim miastem, gdzie mieści się ich Biała Wieża. Wiążą je Trzy Przysięgi, wszczępione im aż w podstawy ich istot przez *saidara*, żeńską połowę Mocy. Oto one: Nie wypowiadać ani słowa, które nie jest prawdą; nie tworzyć broni, którą jeden człowiek mógłby zabić drugiego; nigdy nie używać Jedynej Mocy w charakterze broni, chyba że przeciwko Pomiotowi Cienia, względnie w obronie własnego życia, życia swojego Strażnika bądź innej siostry.

Na świat nadal przychodzą mężczyźni zdolni się nauczyć przenoszenia Mocy albo – co gorsza – tacy, którzy pewnego dnia i tak zaczną ją przenosić, niezależnie od swej woli. Ich losem jest obłąd, zniszczenie i śmierć od skazy na *saidinie*. Jako że stanowią zagrożenie nie tylko dla siebie, ale i dla świata, Aes Sedai polują na nich, a potem poskramiają, odcinając na zawsze od Mocy. Oczywiście żaden mężczyzna nie poddaje się tej operacji dobrowolnie. Nawet jeśli udaje mu się przeżyć polowanie, to – poskromiony – małe ma szanse na długie życie.

Od ponad trzech tysięcy lat, podczas których powstawały i upadały narody i państwa, niczego tak bardzo się nie obawiano jak mężczyzny, który potrafi przenosić Moc. Ale przez te trzy tysiące lat zawsze pamiętano o Proroctwach Smoka, które głoszą, że pieczęcie więzienia Czarnego słabną i słabnąć będą, aż wreszcie świat pozna ciężar jego ręki, a wtedy Smok, który zamknął tamten pierwszy otwór, odrodzi się, by znowu stawić mu czoło. Na zboczach Góry Smoka, na oczach mieszkańców Tar Valon urodzi się dziecko, które wyrośnie na Smoka Odrodzonego. Stanie się on jedyną nadzieją ludzkości w Ostatniej Bitwie – a będzie to mężczyzna, który potrafi przenosić. Niewielu wszakże ludzi zna więcej niż tylko skrawki Proroctw, niewielu też w ogóle ma ochotę zapoznać się z nimi bliżej.

Oto świat królów i królowych, narodów i wojen, gdzie Biała Wieża panuje rzekomo jedynie w Tar Valon, ale nawet królowie i królowe drżą przed machinacjami Aes Sedai. Świat, gdzie Cień i Proroctwa przeplatają się ze sobą.

Poniższa opowieść poprzedza pierwszy tom cyklu. Kolejne książki należy czytać według przedstawionego wyżej porządku.

## Nowa Wiosna Robert Jordan

Powietrze Kandoru wciąż jeszcze tchnęło świeżością nowej wiosny, kiedy Lan wrócił do kraju, o którym od zawsze wiedział, że w nim właśnie umrze. Na drzewach pojawiła się pierwsza czerwień nowych pędów, a tam, gdzie cienie nie przywarły do łańcuchów śniegu, brązowiła w zimie trawę nakrapiały z rzadka dzikie kwiaty.

Niemniej jednak blade słońce dawało niewiele ciepła w porównaniu z ziemiami południa, porywisty wiatr ciął przez kaftan, a szare chmury zwiastowały nie tylko deszcz. Był już prawie w domu. Prawie.

Stopy setek pokoleń wędrowców oraz kopyta ich wierzchowców i koła pojazdów tak ubiły szeroki trakt, że jego nawierzchnia stała się niemal równie twarda jak kamień z okolicznych wzgórz – kurzu więc unosiło się nad nim niewiele, mimo że po porannym handlowaniu targowiska w Canluum opuszczał nieprzerwany strumień zaprzężonych w woły fur, a w stronę szarych murów miasta zdążyły sznury wysokich kupieckich wozów, otoczone oddziałami strażników w stalowych hełmach i zbrojach. Tu i ówdzie połyskiwał łańcuch na piersi kandoryjskiego kupca, dzwonki w warkoczach jakiegoś Arafelianina, czyjeś męskie ucho zdobił rubin, brosza z perłami kobiecą pierś, niemniej jednak przyodziewek większości handlarzy był równie ponury jak ich nastroje. Kupiec, który za bardzo chętnie się swoimi zyskami, przekonywał się, jak trudno mu dobić z kimś targu. Inaczej było z rolnikami – przybywając do miasta, wręcz ostentacyjnie dawali znać, jak to im się powodzi. Workowate spodnie kroczących dumnie wieśniaków dekorowały jaskrawe hafty, a ich płaszcze rozdymały się butnie na wietrze. Niektóre kobiety nosiły kolorowe wstążki we włosach albo zdobiły swe szaty wąskim kołnierzem z futra. Wystrojeni byli niczym na tańce i uczty z okazji Bel Tinę. Ale obcym przyglądali się równie czujnie jak strażnicy, patrzyli spode łba, potrząsali włóczniami lub toporami i spieszyli dalej. Jakieś nerwowe piętno znaczyło obecne czasy w Kandorze, może i na całych Ziemiach Granicznych. Minionego roku bandyci rozplenili się niczym chwasty, a i Ugór przysparzał więcej niepokojów niż zazwyczaj. Krążyły nawet plotki o mężczyźnie, który przynosił Jedyną Moc, ale to z kolei był raczej klasyczny temat wszelkich plotek.

Lan, prowadząc swego konia w kierunku Canluum, zwracał równie mało uwagi na spojrzenia, które przyciągali on i jego towarzysze, jak na krzywe grymasy i kąśliwe uwagi Bukamy. Bukama wychowywał go od kolebki, pospołu z innymi mężczyznami, obecnie już nieżyjącymi, i Lan nie potrafił sobie przypomnieć innego niżli chmurny wyraz na tej wyniszczonej twarzy, nawet wtedy, gdy Bukama go za coś chwalił. Tym

razem zrzędził na temat naruszonego na kamieniach kopyta, z powodu którego musiał iść pieszo, ale on zawsze potrafił znaleźć powód do gderania.

Istotnie przyciągali uwagę: dwaj wyjątkowo rośli mężczyźni prowadzący wierzchowce i konia jucznego z dwoma postrzępionymi wiklinowymi koszami na grzbiecie. Ich proste odzienie było zniszczone i ubrudzone od podróży, lecz uprząż i broń – w bardzo dobrym stanie. Młodzieniec i starzec, z włosami opadającymi na ramiona i przytrzymywanymi na skroniach splecionym rzemieniem. *Hadori* przykuwała wzrok. Zwłaszcza tutaj, na Ziemiach Granicznych, gdzie ludzie mieli jakieś pojęcie, co oznacza.

–Durnie – burknął Bukama. – Myślą, że jesteśmy bandytami? Myślą, że zamierzamy ich wszystkich obrabować, w biały dzień, na środku gościńca? – Zrobił wzdorczą minę i poprawił miecz na biodrze w sposób, który natychmiast sprawił, że w oczach wielu kupieckich strażników rozbłysły iskierki uważnych spojrzeń. Jakiś krzepki rolnik pognął batem swego wołu, obchodząc ich szerokim łukiem.

Lan nie odpowiedział. Ci Malkieri, którzy nadal nosili *hadori*, cieszyli się swoistą reputacją, lecz bynajmniej nie bandytów, ale przypomnienie o tym Bukamie mogło jedynie wprawić go w ponury nastrój, i to na wiele dni. Jego pomrukiwania dotyczyły teraz szans zdobycia porządnego łóżka na tę noc, a przedtem porządnego posiłku. Bukama rzadko narzekał, gdy nie było ani łóżka, ani posiłku; narzekał zazwyczaj na brak perspektyw i jakieś błahostki. Oczekiwał niewiele i wierzył w jeszcze mniej.

Lan nie zaprzętał sobie głowy ani jedzeniem, ani noclegiem, mimo odległości, jaką pokonali. Stale odwracał głowę w stronę północy. Jego świadomość wypełniali wszyscy ludzie w pobliżu, zwłaszcza ci, którzy zerkali na niego częściej niż raz, a także pobrzękiwanie uprzęży i chrzęst siodeł, postukiwanie podków, trzepotanie płótna źle zamocowanego do pałaków wozów. Każdy nienaturalny dźwięk odbierał niczym krzyk. Tak brzmiała pierwsza lekcja, której Bukama i jego przyjaciele udzielili mu w dzieciństwie: Zwracaj uwagę na wszystko, nawet gdy śpisz.

Tylko martwi mogą sobie pozwolić na bez troskę. Lan zwracał uwagę na wszystko, choć Ugór przecież rozpościerał się daleko na północy. Wiele mil za wzgórzami, a mimo to czuł go, czuł zniekształcenie rozkładu.

Tylko igraszki wyobraźni, choć niewiele odbiegające od rzeczywistości. Ugór przyciągał go, kiedy znajdował się na południu, w Cairhien i w Andorze, nawet w Łzie, odległej o blisko pięćset lig. Dwa lata z dala od Ziemi Granicznych – prywatną wojnę porzucił dla innej i z każdym dniem czuł coraz silniejsze przyciąganie Ugoru. Dla większości ludzi oznaczał on śmierć. Śmierć i Cień, gnijąca kraina skażona oddechem Czarnego, gdzie zabić może dosłownie wszystko. Dwa rzuty monetą zdecydowały, gdzie zacząć od nowa. Z Ugorem graniczyły cztery państwa, ale front wojny obejmował

całą granicę, od Oceanu Aryth po Grzbiet Świata. Każde miejsce było równie dobre jak inne, by zetrzeć się ze śmiercią. Był już prawie w domu. Prawie z powrotem na Ugorze.

Mury Canluum otaczała sucha fosa o szerokości pięćdziesięciu kroków i głębokości dziesięciu. Przerzucono nad nią pięć szerokich kamiennych mostów z wieżami na obu końcach równie wysokimi jak te, które stały wzdłuż muru. Zagony trolloków i Myrddraali z Ugoru często docierały głębiej w obszar Kandoru niż tylko do Canluum, ale nigdy nie udało im się pokonać murów miasta. Nad każdą z wież powiewał Czerwony Jeleń. Lord Varan, Głowa Domu Marcasiev, był człowiekiem pełnym pychy; królowa Ethenielle nie wywieszała aż tak wielu sztandarów nawet w samym Chachin.

Strażnicy przy zewnętrznych wieżach, w hełmach zwieńczonych jelenimi rogami – znakiem lorda Varana – i z Czerwonym Jeleniem na piersiach, sprawdzali budy wozów, zanim pozwalali im się wtoczyć na most, co jakiś czas też skinieniem ręki nakazywali komuś, by odchylił kaptur. Wystarczał sam gest; prawo we wszystkich Ziemiach Granicznych zabraniało skrywać twarz w obrębie wioski albo miasta, a zresztą nikt nie chciał, by wzięto go omyłkowo za Bezokiego, który próbuje wedrzeć się ukradkiem do ludzkiej siedziby. Lana i Bukame odprowadzały twarde spojrzenia, kiedy przejeżdżali przez most. Ich twarze było widać wyraźnie. A także *hadori*. A jednak w tych obserwujących oczach nie pojawił się błysk rozpoznania. Dwa lata to długi czas na Ziemiach Granicznych. W ciągu dwóch lat wielu ludzi mogło umrzeć.

Lan zauważył, że Bukama umilkł, co zawsze stanowiło zły znak, ostrzegł go więc.

–Ja nigdy nie sprowadzam kłopotów – zachnął się starszy mężczyzna, ale przestał gładzić rękojeść miecza.

Strażnicy stojący na murze nad okutymi żelazem otwartymi bramami podobnie jak ci na moście zamiast pełnych zbroi nosili jedynie napierśniki, ale byli nie mniej czujni, zwłaszcza dwóch Malkieri z włosami związanymi z tyłu głowy. Bukama z każdym krokiem coraz gniewniej zaciskał usta.

–Al'Lanie Mandragoran! Oby Światłość nas uchroniła, słyszeliśmy, żeś ponoć poległ, walcząc z Aielami u Lśniących Murów! – Te słowa padły z ust młodego strażnika, wyższego od innych, prawie tak rosnącego jak Lan. Był młody, może rok albo dwa od niego młodszy, choć wydawało się, że dzieli ich lat dziesięć. Całe życie. Strażnik skłonił się głęboko, wspierając lewą rękę na kolanie. – *Tai'shar Malkieri* - rzekł, co znaczyło: „Prawdziwa krew Malkier”. – Trwam w gotowości, Wasza Wysokość.

–Nie jestem królem – odparł cicho Lan.

Malkier już nie istniała. Istniała tylko wojna. Przynajmniej w jego duszy.

Bukama nie zmilczał.

–Trwasz w gotowości na co, chłopcze? – Grzbiet nagiej dłoni uderzył w napierśnik

strażnika, tuż nad Czerwonym Jeleniem, sprawiając, że mężczyzna wyprężył się i zrobił krok w tył. – Strzyżesz włosy krótko i nie przewiązujesz ich! – wycedził jadownicę. – Jesteś zaprzysiężony jakiemuś kandoryjskiemu lordowi! Jakim prawem twierdzisz, żeś Malkieri?

Młodemu mężczyźnie poczerwieniała twarz, kiedy plątał się w odpowiedziach. Inni strażnicy ruszyli w ich stronę, ale zatrzymali się, kiedy Lan wypuścił wodze z rąk. Tylko tyle, teraz wszakże znali już jego imię. Gniadego ogiera, stojącego nieruchomo i czujnie za jego plecami, zmierzli wzrokiem niemal równie ostrożnie, jak przyjrzeni się samemu Lanowi. Rumak bojowy to potężna broń, a zresztą nie mogli wiedzieć, że Koci Tancerz przeszedł dopiero połowę szkolenia.

Wokół nich zrobiło się nieco luźniej. Ludzie, którzy już przeszli przez bramy, przyspieszali kroku i dopiero potem odwracali się, by popatrzeć, natomiast ci na moście cofnęli się jak jeden mąż. Z obu stron dobiegały okrzyki tych, którzy chcieli wiedzieć, co tamuje ruch. Bukama nie zwracał na to wszystko uwagi, patrząc zawzięcie na strażnika z poczerwieniałą twarzą. Nie wypuścił z rąk wodzy ani jucznego konia, ani swego deresza.

Z kamiennego budynku straży w obrębie wieży bramnej wyłonił się jakiś oficer. Pod pachą trzymał hełm z pióropuszem, ale drugą dłoń, w rękawicy ze stalowym wierzchem, wspierał na rękojeści miecza. Alin Seroku, szorstki, siwiejący mężczyzna z twarzą pociętą białymi bliznami, wojował przez czterdzieści lat na granicy z Ugorem, a mimo to na widok Lana nieznacznie wytrzeszczył oczy. Najwyraźniej on też słyszał opowieści o jego śmierci.

–Oby cię Światłość opromieniła, lordzie Mandragoran. Syn el’Leanny i al’Akira, niech pamięć o nich będzie błogosławiona, jest tu zawsze mile witany. – Oczy Seroku błysnęły w stronę Bukamy, ale nie było w nich radości. Rozstawiwszy szeroko nogi, stanął pośrodku bramy. Z obu stron mogło go bez trudu wyminąć pięciu konnych, ale on uważał się za kratę i w istocie nią był. Żaden z gwardzistów nie drgnął nawet, jednak dłonie wszystkich jak na komendę sięgnęły do rękojeści mieczy. Wszyscy, oprócz najmłodszych, odpowiedzieli Bukamie takimi samymi groźnymi spojrzeniami. – Lord Marcasiev rozkazał nam za wszelką cenę zachować spokój – ciągnął Seroku, na poły przepraszająco. Ale tylko na poły. – W mieście wrze. Wszystkie te opowieści o przenoszącym mężczyźnie są dostatecznie złe, ale w tym miesiącu i wcześniej dochodziło do mordów na ulicy i do dziwnych wypadków, w biały dzień. Ludzie szepczą, że w murach miasta kręci się Pomiot Cienia.

Lan lekko skinął głową. Bliskość Uguru powodowała, że ludzie zawsze przebąkaliwali o Pomocie Cienia, kiedy nie znajdowali żadnego innego wytłumaczenia dla czyjejs

nagłej śmierci czy niespodziewanie złych zbiorów. Nie ujął jednak wodzy Kocięgo Tancerza.

–Zamierzamy tu odpocząć kilka dni, nim udamy się na północ – wyjaśnił.

Przez chwilę myślał, że Seroku jest zdziwiony. Czy ten człowiek spodziewał się obietnic spokojnego zachowania albo przeprosin za Bukamę? Jedno i drugie w tej chwili przyniosłoby Bukamie wstyd. Byłoby szkoda, gdyby jego wojna miała się skończyć tutaj. Lan nie chciał ginąć, zabijając Kandoryjczyków.

Stary przyjaciel odwrócił się od młodego strażnika, który stał, dygocząc, z pięściami zaciśniętymi u boków.

–Cała wina jest moja – obwieścił Bukama beznamiętnym głosem, jakby nie kierował tych słów do nikogo. – Nie mam wytłumaczenia na to, co zrobiłem. Na imię mojej matki, utrzymam pokój lorda Marcasieva. Na imię mojej matki, nie będę dobywał miecza w murach Canluum.

Seroku opadła szczęka, a Lan z trudem ukrył wstrząs. Wahając się tylko przez chwilę, oficer z poblížnioną twarzą odstąpił na bok, kłaniając się i dotykając rękojeści miecza, a potem serca.

–Lan Mandragoran Dai Shan jest tu zawsze mile widziany – powiedział ceremonialnie. – A także Bukama Marenellin, bohater Salinary. Obyście obaj któregoś dnia zaznali pokoju.

–Pokój znajdziesz w ostatnim uścisku matki – odparł Lan równie oficjalnie, dotykając miecza i serca.

–Oby ona powitała nas w domu, któregoś dnia – dokończył Seroku. Nikt tak naprawdę nie tęsknił za grobem, ale na Ziemiach Granicznych było to jedyne miejsce, po którym człowiek mógł oczekiwać spokoju.

Bukama, z twarzą przywodzącą na myśl żelazo, ruszył przodem, ciągnąc za sobą Słoneczną Lancę i konia jucznego. Nie zaczekał na Lana, co nie wróżyło nic dobrego.

Canluum było miastem pobudowanym z kamienia i cegły, jego brukowane ulice wiły się śród wysokich wzgórz. Najazd Aielów wprawdzie nie dosięgł nigdy Ziem Granicznych, niemniej jednak echa wojny zawsze osłabiały aktywność handlową, nawet z dala od pól bitewnych, a teraz, kiedy skończyły się już i walki, i zima, miasto wypełniło się ludźmi z wszystkich krajów. Mimo że Ugór praktycznie stał u bram miasta, kamienie szlachetne wydobywane z okolicznych wzgórz przysparzały Canluum bogactw. I, o dziwo, także najlepszych w świecie krawców. Okrzyki sokołników i sklepikarzy zachwalających swoje towary wzbijały się ponad pomruk tłumu, docierający na sporą odległość od tarasowych targowisk. Na wszystkich skrzyżowaniach dawali przedstawienia barwnie odziani muzycy, żonglerzy albo akrobaci. Kilka lakierowanych

powozów przedzierało się z kołysaniem przez gęstą masę ludzi, wozów, fur i ręcznych wózków, a konie ze złoconymi albo posrebrzаныmi siodłami i uzdami torowały sobie drogę przez ciżbę; przyodziewek ich jeźdźców był haftowany równie zdobnie jak uprzęż zwierząt i obrzeżony futrem z lisów, kun oraz gronostajów. Ulice rzadko gdzie były puste. Lan dostrzegł nawet kilka Aes Sedai, kobiet o spokojnych twarzach, pozbawionych piętna upływu lat. Sporo ludzi musiało je rozpoznawać na pierwszy rzut oka, bo w tłumie tworzyły się nagle zawirowania, ludzie rozstępowali się, żeby dać im przejście. Szacunek albo przezorność, groza lub strach stanowiły dostateczny powód, by sam król ustąpił z drogi siostrze. Kiedyś można było przez rok nie uświadczyc Aes Sedai nawet na Ziemiach Granicznych, ale teraz wydawało się, że są wszędzie, odkąd poprzednia Zasiadająca na Tronie Amyrlin umarła przed kilkoma miesiącami. Może to przez te opowieści o mężczyźnie przenoszącym Moc – gdyby była prawdziwa, nie pozwoliłyby mu długo wędrować samopas. Lan nie patrzył na nie. Już sama *hadori* mogła wystarczyć, by ściągnać uwagę siostry szukającej Strażnika.

Zaskakiwały osłaniające twarze wielu kobiet woale z cienkiej koronki, przejrzystej jedynie na tyle, aby widać było oczy – choć nikt nigdy nie widział kobiety Myrddraala, Lanowi nie pozostało w głowie, że prawo może stanowić o zwykłej modzie. Niebawem pewnie zdejmą lampy oliwne wiszące rzędami przy ulicach, by noce mogły szernieć. Bardziej jeszcze niż woale zaskakiwało to, że Bukama, choć zmierzył spojrzeniem kilka tak wystrojonych kobiet, w ogóle nie otwiera ust. Potem tuż przed nim przejechał obdarzony wydatnym nosem mężczyzna o imieniu Nazar Kurenin, a on nawet nie mrugnął. Tamten młody strażnik z pewnością urodził się już po tym, jak Ugór wchłonął Malkier, ale Kurenin, z włosami ostrzyżonymi na krótko i z widlastą bródką, był dwakroć starszy od Lana. Lata nie wymazały do końca śladów po jego *hadori*. Takich jak Kurenin spotykało się wielu i jego widok powinien był sprowokować Bukamę do kolejnej tyrady. Lan spojrział z troską na przyjaciela.

Zdążali jednostajnie ku centrum miasta, wspinając się w stronę najwyższego wzgórza, zwanego Stanicą Jeleni. Cały jego szczyt zajmowała bardziej podobna do fortecy niż do pałacu siedziba lorda Marcasieva, niżej zaś, na tarasach, wznosiły się domostwa ostatnich lordów i lady. Każdy próg na tych zboczach oferował ciepłe powitanie dla al'Lana Mandragorana. Być może cieplejsze, niż obecnie pragnął. Bale i polowania z udziałem arystokratów spraszanych nawet z miejsc oddalonych o pięćdziesiąt mil, włącznie z mieszkającymi na granicy z Arafel. Czyli ludzi, którzy łaknęli usłyszeć o jego „przygodach”. Zarówno młodych mężczyzn pragnących razem z nim dokonywać najazdów na Ugór, jak i starców, którzy chcieli porównywać z nim swoje doświadczenia. Kobiet żądnych dzielić łożę z mężczyzną, którego, jak zapewniały

głupie opowieści, Ugór nie był zdolny zabić. W Kandorze i Arafel bywało równie źle jak na południu – wśród tych kobiet zdarzały się męzkatki. A także mężczyźni tacy jak Kurenin, którzy dokładali wszelkich starań, by zatrzeć wspomnienia o utraconej Malkier, oraz kobiety, które przestały już malować na czole *ki'sain* na dowód, że zaprzysięgną swych synów, by walczyli z Cieniem, póki im starczy tchu. Lan potrafił ignorować te fałszywe uśmiechy człowieka tytułowanego al'Lan Dai Shanem – koronowanego władcy bitew i niekoronowanego króla narodu, który został zdradzony, kiedy on był jeszcze w kołysce. Bukama, w swoim obecnym nastroju, był zdolny do mordu. Albo czegoś jeszcze gorszego, biorąc pod uwagę jego przysięgi złożone przy bramach. Dotrzyma ich do śmierci.

–Varan Marcasiev zatrzyma nas na tydzień albo i dłużej z całym ceremoniałem – powiedział Lan, skręcając w węższą ulicę, która wiodła od Stancy. – Z tego, cośmy słyszeli o bandytach i im podobnych, wynika, że będzie równie uszczęśliwiony, jeśli się nie pojawię, żeby mu się pokłonić. – Było to całkiem prawdopodobne. Spotkał Głowę Domu Marcasiev tylko raz, przed wieloma laty, ale zapamiętał go jako człowieka oddanego wyłącznie swoim powinnościom.

Bukama poszedł za nim bez słowa skargi, że ominie go pałacowe łożę albo ucztę. To było doprawdy niepokojące.

W kotlinach przy drodze wiodącej do północnego muru próżno było szukać pałaców, natykali się jedynie na sklepy i tawerny, gospody, stajnie i dziedzińce dla wozów. Przy długich magazynach faktorów było gwarno i tłoczno, ale do dzielnicy zwanej Odmętami nie zapuszczały się powozy; na większości ulic z trudem mieściły się zwykłe fury. Niemniej jednak ludzi kręciło się tam tyle samo i panował taki sam hałas. Tutaj ulicznym artystom brakowało nieco polotu, ale nadrabiali to wrzawą, a kupujący i sprzedający jednak zdzierali gardła, jakby chcieli, by ich słyszano na następnej ulicy. Zapewne w tej ciżbie była moc kieszonkowców i innych opryszków najrozmaitszego autoramentu, którzy właśnie pomyślnie zakończyli poranne interesy albo kierowali się tutaj na popołudniową zmianę. Nic dziwnego, skoro w mieście przebywało tylu kupców. Za drugim razem, gdy czyjeś niewidzialne palce musnęły w tłumie jego kaftan, Lan schował sakiewkę pod koszulę. Każdy bankier udzieliłby mu pożyczki pod zastaw shienarańskiego majątku, który nadano mu po osiągnięciu wieku męskiego, ale utrata złota, które miał przy sobie, zmusiłaby go do skorzystania z gościnności Stancy Jeleni.

W pierwszych trzech oberżach, do których zawitali – bryłach z szarego kamienia krytych spadzistymi dachami i z kolorowymi sztyldami od frontu – oberżyci nie mieli nawet klitki do zaoferowania. Pomniejsi handlarze i strażnicy kupieccy wypełniali je aż po poddasza. Bukama zaczął mruzczeć o legowisku na jakimś stryszku z sianem, ale nic

nie wspomniał o puchowych materacach i Inianej pościeli czekających w Stanicy. Pozostawiwszy konie u stajennych z „Niebieskiej Róży”, czwartej z kolei oberży, Lan wszedł do środka, zdecydowany znaleźć jakieś miejsce dla nich, choćby miało mu to zająć resztę dnia.

Siwiejąca kobieta, wysoka i przystojna, doglądała spraw w tłocznej głównej izbie, gdzie odgłosy rozmów i śmiechy niemal zagłuszały szczupłą młodą śpiewaczkę przygrywającą sobie na cytrze. Fajkowy dym owiewał belki stropowe, a od kuchni napływał zapach pieczonej jagnięciny. Na widok Lana i Bukamy oberżystka obciągnęła nerwowo fartuch i ruszyła w ich stronę z ostrym spojrzeniem w ciemnych oczach.

Lan nie zdążył nawet otworzyć ust, gdy chwyciła Bukamę za uszy, pociągnęła mu głowę w dół i pocałowała go. Kobietom z Kandoru rzadko zależało na prywatności, ale i tak był to nadzwyczaj rzetelny pocałunek na oczach tyłu ludzi. Przy stołach zamigotały wycelowane palce i szydercze uśmiechy.

–Ciebie też dobrze znowu widzieć, Racelle – wymamrotał Bukama z nieznacznym uśmieszkiem, kiedy go nareszcie puściła. – Nie wiedziałem, że masz tu oberżę. Czy myślisz...? – Spuścił wzrok, zamiast spojrzeć jej beczelnie w oczy, i to się okazało błędem. Pięść Racelle trafiła go w szczękę z taką siłą, że aż włosy rozwiały mu się na ciśniętej w tył głowie.

–Sześć lat bez słowa – warknęła. – Sześć lat! – Schwyciwszy go znowu za uszy, obdarzyła go kolejnym pocałunkiem, tym razem dłuższym. Czy raczej wzięła sobie pocałunek, miast nim obdarzyć. A potem każda jego próba zrobienia czegokolwiek, by tylko nie stać zgięty wpół i nie pozwalać jej robić tego, co chce, spotykała się z silnym szarpnięciem za ucho. Przynajmniej nie mogła wbić Bukamie noża w serce, kiedy go całowała. Być może.

–Myślę, że pani Arovni mogłaby znaleźć jakąś izbę dla Bukamy – odezwał się sucho znajomy męski głos za plecami Lana. – I dla ciebie też, jak przypuszczam.

Odwróciwszy się, Lan uchwycił obiema dłońmi przedramiona jedyne go prócz Bukamy mężczyzny w izbie, który dorównywał mu wzrostem. Ryne Venamar, jego najstarszy przyjaciel, nie licząc Bukamy. Oberżystka nadal zajmowała uwagę Bukamy, kiedy Ryne prowadził Lana do niewielkiego stołu w kącie izby. O pięć lat odeń starszy Ryne też był Malkieri, ale włosy miał zebrane w dwa warkocze z wplecionymi dzwoneczkami, kolejne srebrne dzwoneczki zdobiły wywrócone cholewy butów i biegły przez rękawy żółtego kaftana. Bukama nie żywił nadmiernej awersji do Ryne’a, niemniej w jego obecnym nastroju jedynie pojawienie się Nazara Kurenina mogło mieć gorszy efekt.

Kiedy obaj usadowili się już na ławach, usługująca dziewczyna w pasiastym

fartuszkę przyniosła im grzanego wina przyprawionego korzeniami. Najwyraźniej Ryne złożył zamówienie, gdy tylko zobaczył przyjaciela. Obdarzona ciemnymi oczyma i pełnymi wargami dziewczyna otwarcie zmierzyła Lana wzrokiem od stóp do głów, kiedy stawiała przed nim kielich, po czym szepnęła mu do ucha swoje imię – Lira – a wraz z nim zaproszenie, gdyby miał się tu zatrzymać na noc. Lan miał chęć jedynie na sen, toteż spuścił wzrok, mrużąc, że to dla niego zbyt wielki zaszczyt. Lira nie pozwoliła mu dokończyć. Z chrapliwym śmiechem pochyliła się, by ugryźć go w ucho – z całej siły – a potem oznajmiła, że do pierwszego brzasku chętnie będzie go tak zaszczycać, że aż ugną się pod nim kolana. Po okolicznych stołach poniósł się jeszcze głośniejszy śmiech.

Ryne zareagował pierwszy. Rzucił jej okazałą monetę i klepnął po dolnej części pleców, żeby ją odprawić. Lira wsunęła srebro za dekolt, obdarzając go przy tym uśmiechem z dołeczkami, ale na odchodnym obrzuciła Lana namiętными spojrzeniami. Westchnął. Gdyby teraz spróbował odmówić, mogła nawet dobyć noża wobec takiej zniewagi.

–A więc wciąż dopisuje ci szczęście z kobietami. – W śmiechu Ryne’a słyszało się rozdrażnienie. Może sam upodobał sobie dziewczynę. – Światłość wie, że nie mogą cię uważać za przystojnego, z każdym rokiem stajesz się coraz szpetniejszy. Może powinienem spróbować trochę tej bojaźliwej skromności, pozwolić, by kobiety wodziły mnie za nos.

Lan otworzył usta, ale zamiast coś powiedzieć, upił łyk wina. Nie musiał się tłumaczyć, niemniej to właśnie ojciec Ryne’a zabrał go do Arafel w roku, w którym ukończył dziesięć lat. Mężczyzna ów nosił wprawdzie jeden miecz

przy biodrze zamiast dwóch na plecach, był jednak Arafelianinem od stóp do głów i często zagadywał kobiety, które nie odezwały się do niego pierwsze. Lan, wychowany przez Bukamę i jego przyjaciół w Shienarze, dorastał pośród niewielkiej społeczności, która zachowała obyczaje Malkieri.

Sporo ludzi w izbie obserwowało ich stół, spoglądając ukradkiem znad kubków i pucharów. Pulchna miedzianokóra kobieta nosząca suknię z materii znacznie grubszej, niżli to miały w zwyczaju kobiety Domani, nie starała się ukrywać swoich spojrzeń, kiedy mówiła coś z podnieceniem do jegomościa z podkręconymi wąsami i wielką perłą w uchu. Prawdopodobnie zastanawiała się, czy przez Lirę nie będzie jakichś kłopotów i czy mężczyzna noszący *hadori* rzeczywiście jest gotów zabijać nawet wtedy, gdy ktoś choćby upuści szpilkę.

–Nie spodziewałem się spotkać cię w Canluum – powiedział Lan, odstawiając kielich. – Strzeżesz jakiejś karawany kupieckiej?

Bukama i oberżystka gdzieś się zapodziali. Ryne wzruszył ramionami.

–Z Shol Arbeli. Pilnowałem wozów najszcześliwszego handlarza w Arafel, jak powiadają. Powiadali. Nie na wiele to mu się zdało. Przybyliśmy wczoraj i w nocy bandyci poderżnęli mu gardło dwie ulice dalej. Nie dostanę reszty pieniędzy za tę wyprawę. – Błysnął smutnym uśmiechem i upił głęboki łyk wina, może opijając pamięć kupca, może utraconą połowę zarobku. – Ażebym szczęśliwy, jeśli się spodziewałem zobaczyć cię tutaj.

–Nie powinieneś słuchać plotek, Ryne. Odkąd pojechałem na południe, nie odniosłem rany wartej wzmianki. – Lan postanowił, że jeśli dostaną obiecaną izbę, wypyta Bukamę, czy już została opłacona, a jeśli tak, to w jaki sposób. Reprimenda być może wydobędzie go z ponurego nastroju.

–Aielowie – parsknął Ryne. – Nawet przez moment nie wierzyłem, że uda im się ciebie wykończyć. – Sam, rzecz jasna, nigdy nie wypróbował swych sił z Aielami. – Spodziewałem się, że będziesz tam, gdzie akurat jest Edeyn Arrel. Czyli obecnie w Chachin.

Na dźwięk tego imienia Lan gwałtownie odwrócił głowę w stronę mężczyzny siedzącego po drugiej stronie stołu.

–Czemu miałbym być blisko lady Arrel? – spytał cicho. Cicho, ale podkreślając przynależny jej tytuł.

–Spokojnie, człowieku – odparł Ryne. – Nie chciałem... – Roztropnie nie dokończył zdania. – Ażebym szczęśliwy, chcesz powiedzieć, żeś nie słyszał? Została wyniesiona na tron Złotego Żurawia. W twoim imieniu, ma się rozumieć. Wraz z nastaniem nowego roku wyjechała z Fal Moran do Maradonu i teraz wraca. – Ryne potrząsnął głową, cicho pobrzękując dzwoneczkami w warkoczach. – Tu w Canluum jest jakich dwustu albo trzystu ludzi gotowych pójść za nią. Znaczą się za tobą. Nie uwierzyłybyś, słysząc o niektórych. Stary Kurenin łkał, kiedy jej słuchał. Wszyscy gotowi znów wykroić Malkier z Ugoru.

–„To, co umiera w Ugorze, odchodzi bezpowrotnie” – zacytował zmęczonym głosem Lan. Wewnątrz odczuwał coś znacznie bardziej dojmującego niż chłód. Nagle zdziwienie Seroku, że zamierzał udać się na północ, nabrało nowego znaczenia, podobnie jak zapewnienie młodego strażnika, że trwa w gotowości. Nawet spojrzenia w tej głównej izbie jakby nabrały odmiennego wyrazu. A więc za tym wszystkim kryje się Edeyn. Zawsze lubiła stawać w samym sercu burzy. – Muszę zajrzeć do mojego konia – powiedział Ryne'owi, głośno odsuwając ławkę.

Ryne bąknął coś o wyprawie po tawernach tej nocy, ale Lan ledwie go słyszał. Pospiesznie przeszedł przez kuchnię tchnące żarem żeliwnych pieców, kamiennych piecyków i otwartych palenisk, wyszedł na chłód dziedzińca stajennego przepełnionego

mieszanią zapachów bijących od koni, siana i drzewnego dymu. Na skraju dachu stajni śpiewał skowronek. Skowronki przylatywały wiosną jeszcze wcześniej niż drozdy. Skowronki śpiewały w Fal Moran, kiedy Edeyn po raz pierwszy szeptała mu do ucha.

Konie zostały już wprowadzone do stajni, uzdy, siodła i sakwy leżały na derkach przy drzwiach przegrody, ale wiklinowe kosze zniknęły. Najwyraźniej pani Arovni przekazała stajennym, że on i Bukama otrzymają pokoje.

W ciemnej stajni nie było nikogo oprócz wygarniającej gnój szczupłej kobiety o surowej twarzy. Nie przerywając pracy, patrzyła w milczeniu, jak Lan, stąpając w słomie, dogląda Kociego Tancerza i innych koni. Próbował pozbierać myśli, ale w głowie stale wirowało mu imię Edeyn. Jej twarz okolona jedwabistymi, sięgającymi do pasa czarnymi włosami, piękna twarz o wielkich, ciemnych oczach, które potrafiły wessać duszę mężczyzny nawet

wtedy, gdy był w nich tylko rozkaz.

Po jakiejś chwili stajenna mruknęła coś w jego stronę, dotykając przy tym warg i czoła, a potem pospiesznie wytoczyła do połowy wypełniony wózek ze stajni, oglądając się przez ramię. Przystanęła, by zatrzasnąć wrota, również pośpiesznie, i zamknęła go w mroku rozjaśnionym jedynie odrobiną światła padającego z otworu, przez które ze stryszku zrzucano siano. W jasnożółtych promieniach wirowały drobiny kurzu.

Lan skrzywił się. Czyżby aż tak się bała mężczyzny noszącego *hadori*? Dostrzegła zagrożenie w samych jego ruchach? Nagle zauważył, że jego dłonie błędzą po długiej rękojeści miecza, poczuł napięcie mięśni twarzy. Chód? Nie, wykonał układ kroków zwany Lampartem w Wysokiej Trawie, stosowany wtedy, gdy przeciwnicy otaczają szermierza ze wszystkich stron. Potrzebował spokoju.

Usadowiwszy się ze skrzyżowanymi nogami na słomie, uformował w umyśle obraz płomienia i wprowadził doń emocje, nienawiść, strach, wszystko, wszystko do ostatka, aż o władnęło nim wrażenie, że unosi się w pustce. Po latach ćwiczeń osiągnięcie *ko'di*, jedności, trwało krócej niż jedno uderzenie serca. Myśl i nawet jego własne ciało wydawały się odległe, ale w tym stanie był bardziej świadom wszystkiego niż zazwyczaj, stając się jednym z tą słomą, ze stajnią, z mieczem w pochwie leżącym z tyłu. „Czuł” konie skubiące paszę, i muchy, które bzykały w zakamarkach pomieszczenia. To wszystko stanowiło jego część. Zwłaszcza miecz. Tym razem jednak szukał tylko pozbawionej emocji pustki.

Z sakwy przy pasie wyjął ciężki złoty sygnet zdobny wizerunkiem żurawia w locie i jął go obracać w palcach. Pierścień królów Malkier, noszony przez mężczyzn, którzy stawiali odpór Cieniowi od co najmniej dziewięciuset lat. Przerabiano go niezliczone razy, w miarę jak niszczył go czas, zawsze ten sam stary pierścień, który przetapiano, aby uczynić zeń nowy. Wciąż mogła w nim istnieć jakaś cząsteczka pierścienia noszonego

przez władców Rhamdasharu, który istniał jeszcze przed Malkier, i władców Aramaelle, które istniało przed Rhamdasharem. Gruda metalu, która symbolizowała ponad trzy tysiące lat walk z Ugorem. Należał doń od urodzenia, ale nigdy go nie nosił. Nawet patrzenie na pierścień wiązało się zazwyczaj z wielkim wysiłkiem. Wysiłkiem, do którego przymuszał się codziennie. Nie sądził, by tego dnia to mu się udało bez doświadczenia pustki. W *ko'di* myśl unosiła się swobodnie, a emocje kryły za horyzontem.

W kołysce otrzymał cztery podarunki. Ten pierścień, który teraz obracał w dłoniach, zamykany medalion wiszący na szyi, miecz przy biodrze i przysięgę złożoną w jego imieniu. Medalion był najcenniejszy, największą wagę miała przysięga. „Opierać się Cieniowi, póki żelazo twarde, a kamień nieugięty. Bronić Malkieri do ostatniej kropli krwi. Mścić to, czego nie dało się obronić”. A potem został namaszczonej olejem i nazwany Dai Shanem, konsekrowany na nowego króla Malkier i zabrany z ziemi, która wiedziała, że czeka ją śmierć. Na tamtą wyprawę wyruszyło dwudziestu mężczyzn, do Shienaru dotarło pięciu.

Nie zostało nic do obrony, jedynie naród do pomśzczenia, i do tego szkolono go od czasu, gdy zrobił pierwszy krok. Z darem od matki na szyi i mieczem ojca przy biodrze, z piętnem pierścienia odcisniętym w sercu od swych szesnastych imienin walczył, by pomścić Malkier. Nigdy jednak nie poprowadził żołnierzy do Uguru. Jeździł z nim Bukama i inni, ale tam nie poprowadził nikogo. Ta wojna należała wyłącznie do niego. Martwych nie da się wskrzesić – ani człowieka, ani ziemi. A jednak Edeyn Arrel chciała teraz tego dokonać.

Jej imię rozbrzmiało echem w wypełniającej go pustce. Sto emocji groźnie majaczyło w pustce, podobnych do nagich górskich szczytów, ale dopóty karmił nimi płomień, dopóki wszystko się nie uspokoiło. Dopóki rytm jego serca nie zgrał się z powolnym postukiwaniem kopyt zamkniętych w przegrodach koni, dopóki furkotanie muszych skrzydeł nie stało się nagłym kontrapunktem dla jego oddechu. Ona była jego *carneira*, jego pierwszą kochanką. Krzyczała o tym tysiącletnia tradycja, krzyczała wbrew tej martwocie, która nim oładnęła.

On miał piętnaście lat, Edeyn zaś dwakroć tyle, albo i więcej, gdy zebrała w dłonie włosy, które jemu nadal zwisały do pasa, i zdradziła szeptem swe intencje. W owym czasie kobiety ciągle jeszcze nazywały go urodziwym, radując się jego rumieńcami, ona zaś przez pół roku uwielbiała paradować z nim pod ramię i wciągać go do swego łóżka. Dopóki Bukama i inni nie dali mu *hadori*. Dar miecza na dziesiąte imieniny, zgodnie z obyczajem obowiązującym wzdłuż Granicy, uczynił zeń mężczyznę – o wiele lat za wcześnie – a mimo to wśród Malkieri ta przepaska ze splecionej rzemyka była

ważniejsza. Kiedy już raz obwiązano mu nią głowę, decydował samodzielnie, dokąd pójdzie, kiedy i dlaczego. A mroczna pieśń Uguru stała się wyciem, które wchłaniało każdy inny dźwięk. Przysięga, która od jakże dawna



mruczała w jego sercu, stała się rytmem, do którego poruszały się w tańcu jego stopy.

Edeyn patrzyła, jak odjeżdżał z Fal Moran przed dziesięciu laty, a kiedy wrócił, jej z kolei już nie było, a mimo to wciąż pamiętał jej twarz wyraźniej niż twarz każdej innej kobiety, z którą od tamtego czasu dzielił łożo. Nie był już małym chłopcem, by sądzić, że kochała go tylko dlatego, iż postanowiła zostać jego pierwszą kochanką, a jednak wśród ludu Malkier znane było porzekadło: „Twoja *carneira* zawsze nosi część twojej duszy niczym wstążkę we włosach”. Działo się tak za sprawą obyczaju równie silnego jak prawo.

Zaskrzybiało jedno ze skrzydeł wrót stajni i ukazał się w nich Bukama, w koszuli wetkniętej niechlujnie do spodni. Bez miecza wyglądał jak nagi. Ostrożnie, jakby się wahał, otworzył na oścież oba skrzydła i dopiero wtedy wszedł do środka.

–Co zamierzasz? – spytał w końcu. – Racelle powiedziała mi o... o Złotym Żurawiu.

Lan schował pierścień, uwalniając pustkę. Twarz Edeyn zdawała się unosić wszędzie, tuż poza zasięgiem wzroku.

–Ryne mówi, że nawet Nazar Kurenin jest gotów pójść – odparł niefrasobliwym tonem. – Czyż to nie byłoby wspaniałe widowisko? – Przy próbie pokonania Ugoru mogła zginąć cała armia. I rzeczywiście ginęły tak całe armie. Ale wspomnienia Malkier już umierały.

Naród stawał się takim samym wspomnieniem jak jego kraj. – Tamten chłopak przy bramach mógłby zapuścić włosy i poprosić ojca o *hadori*. – Ludzie zapominali, starali się zapomnieć. Czy kiedy umrze ostatni mężczyzna, który przewiązuje sobie włosy, ostatnia kobieta, która maluje sobie czoło, Malkier też przestanie istnieć? – No jakże, Ryne mógłby nawet pozbyć się tych warkoczy. – Wszelkie ślady rozbawienia zniknęły z jego głosu, kiedy dodał: – Ale czy to warte tej ceny? Niektórzy zdają się tak uważać.

Bukama parsknął wprawdzie, ale nic nie powiedział. Być może należał do tych właśnie, którzy tak uważają.

Starszy mężczyzna energicznym krokiem podszedł do przegrody, w której stała Słoneczna Lanca, i zaczął majstrować przy jej siodle, jakby nagle zapomniał, po co w ogóle ruszał się z miejsca.

–Wszystko ma swoją cenę – powiedział, nie podnosząc wzroku. – Ale są ceny i ceny. Lady Edeyn... – Zerknął na Lana, po czym stanął z nim twarzą w twarz. – To ona zawsze domagała się każdego prawa i wymagała wypełnienia najdrobniejszych zobowiązań. Obyczaj nakłada na ciebie wędzidło i cokolwiek byś wybrał, pociąga za

wodze, dopóki nie znajdziesz sposobu, by tego uniknąć.

Lan z rozmysłem wsunął kciuki za pas miecza. Bukama wywiózł go z Malkier na własnych plecach. Ostatni z pięciu. Bukama miał prawo mówić, co chce, nawet kiedy to dotyczyło *carneiry* Lana.

–Jak, twoim zdaniem, miałbym się uwolnić od swoich zobowiązań, unikając hańby? – spytał ostrzej, niż zamierzał. Zrobił głęboki wdech i powiedział, łagodniejszym już głosem: – Chodź, w głównej izbie pachnie znacznie lepiej niż tutaj. Ryne zaproponował, byśmy tego wieczoru przeszli się po tawernach. Chyba że pani Arovni oczekuje czegoś od ciebie. A, właśnie... ile nas będą kosztowały te izby?

Czyste? Mam nadzieję, że są niezbyt drogie.

Bukama ruszył wraz z nimi do drzwi stajni. Poczerwieniała mu twarz.

–Niezbyt – zapewnił pospiesznie. – Dla ciebie postanie na poddaszu, a ja... hm... ja przenocuję w izbach Racelle. Też miałbym chęć na taką przechadzkę, ale Racelle chyba... chyba mi nie pozwoli... Ja...

Młoda jędza! – warknął. – Jest tu pewna dziewczyna imieniem Lira, która rozgłasza wszem i wobec, że tej nocy ani nie skorzystasz z postania, ani nie zaznasz wiele snu, nie sądz więc, że możesz sobie...! – Urwał, kiedy wyszli na światło słoneczne, oślepiające po mroku w stajni.

Skowronek wciąż śpiewał o wiosnie.

Przez pusty dziedziniec maszerowało sześciu mężczyzn. Sześciu zwykłych mężczyzn z mieczami, jakich można było spotkać na dowolnej ulicy w tym mieście. A mimo to Lan wiedział, zanim ich ręce choć drgnęły, zanim ich

wzrok skupił się na nim, zanim przyspieszyli kroku. Zbyt wiele walk stoczył z takimi, którzy chcieli go zabić, by teraz nie wiedzieć. I u jego boku stał Bukama, związany przysięgami, które nie pozwoliłyby mu podnieść na nikogo ręki, nawet gdyby miał przy sobie swój miecz. Gdyby obaj spróbowali wrócić do stajni, ci ludzie zaatakowałiby ich, zanim zdążyliby zatrzasnąć wrota. Czas zwolnił, płynął niczym stężyła miód.

–Do środka i zarygluj drzwi! – warknął Lan. Jego ręka wędrowała już ku rękojeści. – Bądź mi posłuszny, żołnierzu!

Nigdy w życiu nie wydał Bukamie rozkazu w taki sposób i mężczyzna zawahał się na mgnienie oka, po czym wykonał oficjalny ukłon.

–Moje życie należy do ciebie, Dai Shanie – powiedział stłumionym głosem. – Jestem ci posłuszny.

Kiedy Lan ruszał już do przodu, by stawić czoło napastnikom, usłyszał głuchy szcęk opadającej sztaby. Poczł ulgę, ale jakby z oddalenia. Dryfował w *ko'di*, stał się jednym z mieczem, który wyśliznął się gładko z pochwy. Jednym z mężczyznami, którzy pędzili

prosto na niego, głucho łomocząc butami o twardo ubity grunt i obnażając stal.

Na czoło wysforował się mężczyzna podobny do wychudłej czapli i Lan zaczął tańczyć formy. Czas niczym stężyła miód. Skowronek śpiewał, a chudy wrzasnął przeraźliwie, kiedy Przecinanie Chmur odjęło mu prawą dłoń, Lan zaś płynnym ruchem uskoczył w bok, by pozostali nie mogli zaatakować go hurmą, przeszedł płynnie od formy do formy. Miękki Deszcz o Zmierzchu rozplątał twarz grubemu mężczyźnie i odebrał mu lewe oko, ale cienki jak szczapa rudowłosy młodzieniec rozplątał Lanowi żebra Czarnymi Kamykami na Śniegu. Tylko w opowieściach można się zmierzyć z sześcioma przeciwnikami naraz, nie odnosząc obrażeń. Rozkwitająca Róża odrąbała lewe ramię łysemu mężczyźnie, za to rudowłosy naznaczył stałą powiekę Lana. Tylko w opowieściach można się zmierzyć z sześcioma przeciwnikami naraz, nie odnosząc obrażeń. O tym wiedział od samego początku. Obowiązek jest ciężki jak góra, śmierć lekka jak pióro, a jego obowiązek wiązał z Bukamą, który dźwigał go kiedyś na własnych plecach. Ale żył jeszcze, więc walczył, kopiąc rudowłosego w głowę, tańcem torując sobie drogę ku śmierci, tańczył i odnosił rany, krwawił i tańczył na ostrej krawędzi między życiem a śmiercią. Czas niczym stężyła miód, płynący od formy do formy – zakończenie mogło być tylko jedno. Myśl stała się odległa. Śmierć była piórkiem. Żonkil na Wietrze otworzył gardło jednookiemu teraz grubemu mężczyźnie – Lan niemal się nie zatrzymał, masakrując mu twarz – a osobnik z widlastą bródką i ramionami jak u kowala głośno wciągnął oddech ze zdziwienia, kiedy Całowaniem Żmii stał Lana przeszyla mu serce.

I nagle Lan zorientował się, że stoi samotnie, a dziedziniec stajni jest usłany ciałami napastników. Rudowłosy po raz ostatni zabębnił piętami o ziemię i w tym momencie Lan stał się jedynym spośród wszystkich siedmiu, który jeszcze oddycha. Strząsnął krew z głowni, pochylił się, by wytrzeć ostatnie krople o kaftan zbyt cienki jak na kowala, po czym wsunął miecz do pochwy ruchem tak ceremonialnym, jakby ćwiczył formy pod okiem Bukamy.

Naraz z oberży wylał się strumień ludzi, kucharek i stajennych, pokojówek i gości. Wszyscy krzyczeli, koniecznie chcąc się dowiedzieć, co było przyczyną tego hałasu, i wytrzeszczali oczy na widok zabitych. Pierwszy podszedł do Lana Ryne, z mieczem w ręku, z obojętną twarzą.

–Sześciu – mruknął, przypatrując się ciałom. – Ty naprawdę masz cholerne szczęście Czarnego.

Ciemnooka Lira podeszła do Lana zaledwie chwilę przed Bukamą, oboje delikatnie rozchylali cięcia na jego odzieniu, by obejrzeć rany. Drżała nieznacznie przy każdej znalezionej, ale wzięła udział w dyskusji, czy należy posłać po Aes Sedai, która by go

Uzdrowiła, i ile mu trzeba założyć szwów. Mówiła tonem równie spokojnym jak Bukama, choć z oburzeniem odrzuciła jego propozycję szycia, obiecując, że sama weźmie igłę do ręki. Pani Arovni obchodziła dookoła scenę rzezi, zadzierając spódnice, żeby ich nie unurzac w krwawym błocie, i łypiąc groźnie na trupy zaścielające dziedziniec przed jej stajnią, głośno narzekała na bandytów, którzy nigdy by się nie włóczyli w świetle dziennym, gdyby Straż Nocna przykładała się do swojej pracy. Kobieta Domani, która przypatrywała się Lanowi w oberży, zgodziła się z nią równie głośno i za swoje utyskiwania otrzymała ostre polecenie od oberżystki, by sprowadziła strażników, wraz z kuksańcem, który wprawił ją w ruch. To, że pani Arovni tak potraktowała jednego ze swych gości, mówiło wiele o tym, jak jest wstrząśnięta, to zaś, że kobieta Domani pobiegła bez słowa, powiedziało wiele o tym, jak wszyscy są wstrząśnięci. Oberżystka, nie przestając pomstować na bandytów, zaczęła dyrygować ludźmi,

by usunęli ciała.

Ryne przeniósł wzrok z Bukamy na stajnię, jakby nie rozumiał, co zaszło – może zresztą rzeczywiście nie rozumiał – ale powiedział:

–Moim zdaniem to raczej nie byli bandyci. – Wskazał na mężczyznę o posturze kowala. – Ten przysłuchiwał się Edeyn Arrel, kiedy tu była, i spodobało mu się to, co usłyszał. Jeden z tamtych też, jak mi się zdaje. – Pokręcił głową, pobrzękując przy tym dzwoneczkami. – Sprawa jest osobliwa. Po raz pierwszy powiedziała o wzniesieniu sztandaru Złotego Żurawia wtedy, gdy doszły nas słuchy, żeś poległ pod Lśniącymi Murami. Twoje nazwisko przyciąga ludzi, ale po twojej śmierci ona byłaby el'Edeyn. – Rozłożył ręce na widok spojrzeń, które posłali mu Lan i Bukama. – Ja nie oskarżam – zapewnił pośpiesznie. – Nigdy bym nie oskarżył lady Edeyn o coś takiego. Jestem pewien, że serce ma czułe i łaskawe, jak przystało na kobietę.

Pani Arovni chrząknęła, a Lira mruknęła pod nosem, że piękny Arafelianin nie bardzo się zna na kobietach.

Lan potrząsnął głową. Edeyn mogła zdecydować, że każe go zabić, jeśli to będzie współgrało z jej zamysłami, mogła zostawić rozkazy tu i tam na wypadek, gdyby pogłoski na jego temat okazały się nieprawdziwe, ale jeśli nawet tak uczyniła, wciąż nie było powodu, by wymawiać jej imię w związku z tym, co tu zaszło, zwłaszcza przy obcych.

Ręce Bukamy znieruchomiały, gdy rozwarła rozcięcie w rękawie Lana.

–Dokąd stąd pojedziemy? – spytał cicho.

–Do Chachin – odparł po chwili Lan. Zawsze istniał jakiś wybór, ale czasem wszystkie możliwości były jednak ponure. – Będziesz musiał zostawić Słoneczną Lancę. Chcę wyjechać jutro z pierwszym brzaskiem. – Jego sakiewka znacznie schudnie,

gdy sprawi Bukamie nowego wierzchowca.

–Sześciu! – warknął Ryne, wsuwając gwałtownie miecz do pochwy. – Chyba pojedę z wami. Wolalbym nie wracać do Shol Arbela, dopóki się nie upewnię, że Ceiline Noreman nie obarczy mnie winą za śmierć swojego męża. I dobrze będzie znowu zobaczyć łopoczącego na wietrze Złotego Żurawia.

Lan skinął głową. Położyć rękę na sztandarze i poniechać tego, co sobie obiecał przed tyloma laty, albo powstrzymać ją, jeśli zdoła. Tak czy inaczej będzie musiał się zmierzyć z Edeyn. Walka z Ugorem z pewnością byłaby znacznie łatwiejsza.

Pogoń za widmem proroctwa, stwierdziła Moiraine pod koniec pierwszego miesiąca, niewiele miała w sobie ze smaku przygody, była za to bolesna z powodu obtarć od siodła i frustrująca. Nieodwołalna konieczność stosowania się do Trzech Przysięg wywoływała wrażenie, że pierzchnie jej skóra. Okienne zaszczekały na wietrze, przesunęła ciężkie drewniane krzesło, przeganiając zniecierpliwienie łykiem herbaty bez miodu. W kandoryjskim domu żałoby wygody przykrawano do minimum. Nie byłaby całkiem zdziwiona, gdyby zobaczyła szron na rzeźbionych w liście meblach albo na metalowym zegarze ustawionym nad zimnym paleniskiem.

–To wszystko było takie dziwne, moja lady – westchnęła pani Najima i po raz dziesiąty przytuliła swoje córki. Trzynasto-, może czternastoletnie Colar i Eselle, stojące przy krześle matki, miały jej długie czarne włosy i wielkie niebieskie oczy pełne żalu. Oczy matki, w twarzy skurczonej od tragedii, też wydawały się duże, a jej prosta szara suknia wyglądała jak uszyta na roślejszą kobietę. – Josef zawsze uważał na latarnie w stajni i nigdy nie pozwalał wnosić otwartego ognia, pod żadną postacią. Chłopcy pewnie zabrali małego Jerida, żeby sobie popatrzeć na ich ojca przy pracy, i... – Kolejne głuche westchnienie. – Wszyscy znaleźli się w potrzasku. Jakim sposobem cała stajnia tak szybko stanęła w płomieniach? To zupełnie nie ma sensu.

–Niewiele z tego, co się dzieje, nie ma sensu – pocieszyła ją Moiraine, odstawiając filiżankę na mały stolik, tuż obok łokcia. Współczuła jej, ale kobieta zaczynała się już powtarzać. – Nie zawsze możemy dostrzec powód, ale możemy pocieszać się wiedzą, że jakiś istnieje. Koło Czasu wplata nas do Wzoru tak jak chce, ale sam Wzór to dzieło Światłości.

Musiała stłumić grymas, gdy dotarła do niej treść własnych słów. Tę rotę należało wypowiadać z namaszczeniem i powagą, na które z racji młodego wieku nie było jej stać. Gdyby tylko czas potrafił biec szybciej. Za pięć lat

powinna osiągnąć pełnię sił i nabyć niezbędnego dostojęstwa i powagi. Ale z kolei wyraźny brak piętna wieku na obliczu, który przychodził wraz z dostatecznie długim paraniem się Jedyną Mocą, jedynie by jej

utrudnił obecne zadanie. W żadnym razie nie mogła sobie pozwolić na to, aby ktoś powiązał jej wizyty ze sprawami Aes Sedai.

–Jako rzeczesz, moja pani – mruknęła uprzejmie druga kobieta, ale niebacznym ruch jasnych oczu zdradził jej myśli: Ta cudzoziemka jest głupim dzieckiem. Mały niebieski kamyk kesierey zwisający z cienkiego złotego łańcuszka na czole Moiraine oraz ciemnozielona suknia z biegnącymi przez pierś sześcioma podbitymi innym kolorem rozcięciami – mimo że miała prawo do znacznie liczniejszych – sprawiały, że pani Najima uważała ją za poślednią cairhieńską szlachciankę, jedną z wielu wędrujących po świecie od czasu, gdy Aielowie zrujnowali Cairhien. Szlachcianka z pomniejszego domu,

o imieniu Alys, a nie Moiraine, która składała wizyty kondolencyjne, sama w żałobie po

swym królu zabitym przez Aielów. Tę fikcję utrzymywała bez trudu, mimo że

w najmniejszej mierze nie opłakiwała śmierci swego wuja.

Być może wyczuwając, że jej myśli są aż nadto widoczne, pani Najima powiedziała szybko:

–Tu idzie o to, że Josef miał zawsze wiele szczęścia, moja lady. Wszyscy tak mówili. Powiadali, że kiedy Josef Najima wpadnie do jakiej dziury, to na dnie znajdzie opale. Kiedy odpowiedział na wezwanie lady Kareil, by walczyć z Aielami, zamartwiałam się, a on tymczasem wyszedł z tego bez jednego zadrapania. Kiedy wybuchł dur, nie tknął ani nas, ani dzieci. Josef wkradł się do łask lady, nawet się nie starając. Wydawało się wówczas, że Światłość zaiste nam sprzyja. Jerid urodził się cały i zdrowy, wojna zaś dobiegła końca, wszystko w ciągu paru dni, a kiedyśmy przybyli do domu, do Canluum, lady dała nam te stajnie w zamian za służbę Josefa i... i... – Przełknęła łzy, których nie chciała uronić. Colar zaczęła łkać i matka przytuliła ją mocniej, szepcząc słowa otuchy.

Moiraine wstała. Kolejny raz to samo. Nic tu po niej. Jurine też wstała – niewysoka kobieta, a mimo to prawie o dłoń wyższa od niej. Obie dziewczynki mogły jej spojrzeć prosto w oczy. Od wyjazdu z Cairhien zdążyła się do tego przyzwyczaić. Z wysiłkiem się pohamowała, wymamrotała kolejne kondolencje i kiedy dziewczynki poszły po jej podbity futrem płaszcz oraz rękawiczki, spróbowała wcisnąć w dłoń kobiety irchową sakiewkę. Małą sakiewkę. Zdobywanie funduszy wiązało się z wizytami u bankierów i zostawianiem wyraźnych śladów. Co wcale nie znaczyło, by Aielowie zostawili jej majątki w takim stanie, żeby mogły jeszcze przez wiele lat dostarczać jakichś pieniędzy.

1 żeby ktoś mógł jej szukać. A mimo to byłoby zdecydowanie nieprzyjemnie, gdyby ją

jednak zdemaskowano.

Kobieta hardo odmówiła przyjęcia sakiewki. Moiraine zirytowała się. Nie dlatego, że odrzucono jej pomoc. Rozumiała, czym jest duma, poza tym lady Kareil już zadbała o tę

kobietę. Powodem irytacji było pragnienie, by nareszcie sobie stąd pójść. Jurine Najima straciła męża i trzech synów podczas jednego ognistego poranka, ale jej Jerid urodził się w niewłaściwym miejscu, o jakieś dwadzieścia mil za daleko. Poszukiwania trwały. Moiraine nie podobało się, że czuje ulgę na wieść o śmierci niemowlęcia. A mimo to ją czuła.

Na zewnątrz, pod szarym niebem, otuliła się szczelnie płaszczem. Ignorowanie zimna było prostą sztuczką, ale każdy, kto by się przeszedł ulicami Canluum w rozpiętym płaszczu, przyciągnąłby spojrzenia. A w każdym razie każdy cudzoziemiec, chyba że była to ewidentnie Aes Sedai. Poza tym niedopuszczanie do siebie zimna bynajmniej nie sprawiało, że człowiek go nie zauważał. Nie pojmowała, jak ci ludzie mogą to nazywać „nową wiosną” bez choćby odrobiny ironii.

Mimo lodowatego wiatru, który wiał ponad dachami, kręte ulice były zatłoczone i musiała się przeciskać przez skłębioną masę ludzi, fur i wozów. Do Canluum z całą pewnością zawitali przybysze z całego świata. Obok niej przepchnął się Tarabonianin z sumiastymi wąsami, mrużąc pospieszne przeprosiny, i oliwkowej karnacji kobieta z Altary, która spojrzała wzgardliwie na Moiraine, potem zaś Illianin z brodą, ale wygolony pod nosem, bardzo urodziwy i bynajmniej nie za wysoki.

Innego dnia, w innym mieście cieszyłby ją jego widok. Teraz ledwie go zauważyła. To kobiety obserwowała, zwłaszcza te dobrze odziane, w jedwabiach albo cienkich wełnach. Gdyby jeszcze nie było wśród nich aż tylu w woalach. Dwukrotnie spostrzegła Aes Sedai kroczące przez tłumy, żadnej jednakże nie знаła. Żadna nie spojrzała w jej stronę – spuszczały głowę i trzymały się drugiej strony ulicy. Być może i ona powinna była przywdziać woal. Otarła się o nią jakaś krępa kobieta, koronka skrywała rysy twarzy. W czymś takim nie rozpoznałaby Sierin Vayu z odległości dziesięciu stóp.

Moiraine zadygotała pod wpływem tej myśli, jakby nie była niedorzeczna. Gdyby nowa Amyrlin dowiedziała się, co ona zamierza... Realizowanie jakichś sekretnych planów, z własnej inicjatywy i bez powiadomienia, nie ujdzie bez kary. Nieważne, że Amyrlin, która je ułożyła, umarła we śnie i że teraz inna kobieta zasiada na Tronie Amyrlin. W najlepszym razie mogła się spodziewać zesłania na jakąś samotną farmę, dopóki poszukiwania nie dobiegną końca.

To nie było sprawiedliwe. Ona i jej przyjaciółka Sivan pomogły ułożyć listę nazwisk, pod pozorem udzielenia pomocy każdej kobiecie, która urodziła dziecko podczas tych dni, kiedy Aielowie zagrażali samemu Tar Valon. Z wszystkich kobiet, które należały do tej grupy, tylko dwie znały prawdziwy powód. To one przesiały te nazwiska na użytek Tamry. Tak naprawdę liczyły się tylko dzieci urodzone za murami miasta, ale oczywiście wszystkie znalezione kobiety otrzymały obiecaną pomoc. W istocie jednak chodziło

wyłącznie o chłopców urodzonych na zachodnim brzegu rzeki Erinin, chłopców, którzy mogli się urodzić na zboczach Góry Smoka.

Za jej plecami jakaś kobieta krzyknęła piskliwie, gniewnie i Moiraine aż podskoczyła, zanim się zorientowała, że ta kobieta jest woźnicą i że wymachuje batem nad głową ulicznego sprzedawcy, chcąc, by usunął jej z drogi ręczny wózek pełen parujących placków z mięsem. Światłości! Farma to naprawdę najlepsze, czego może się spodziewać! Kilku mężczyzn obok Moiraine zaśmiało się ochryple, kiedy podskoczyła, a jeden z nich, ciemnolicy Tairenianin w pasiastym kaftanie, zażartował grubiańsko z tego, że zimny wiatr podwiał jej spódnice. Śmiech przybrał na sile.

Moiraine szła sztywno przed siebie, ze spurpurowiałymi policzkami, z całej siły zaciskając dłoń na srebrnej rękojeści noża wetkniętego za pas. Nie myśląc, objęła Prawdziwe Źródło i Jedyna Moc zalała ją radością życia. Wystarczyło jedno spojrzenie rzucone za siebie; dzięki *saidarowi* zapachy stały się ostrzejsze, kolory żywsze. Potrafiłaby policzyć nitki w płaszczu roześmianego Tairenianina. Utknęła pięć splotów z Powietrza i workowate spodnie opadły mu na wysokie buty z wywróconymi cholewami, mimo że wcale ich nie rozsznurował. Mężczyzna, krzycząc, opatulił się płaszczem pośród fal na nowo wybuchłego śmiechu. Niech sam zobaczy, czy mu się podobają chłodne wiatry i chuligańskie żarty!

Satysfakcja trwała tyle, ile trzeba do uwolnienia Źródła. Skłonność do kierowania się odruchami i porywczy temperament zawsze były jej słabą stroną. Każda kobieta zdolna do przenoszenia zauważyłaby jej sploty, gdyby stała dostatecznie blisko, bez najmniejszego trudu dostrzegłaby otaczającą ją lunę *saidara*. Najślabsza siostra w Wieży wyczułaby je z trzydziestu kroków. Doprawdy wspaniały sposób zachowania anonimowości.

Przyśpieszyła kroku, starając jak najszybciej oddalić z tego miejsca. Za wolno i za późno, ale tylko tyle mogła teraz zrobić. Pogładziła niewielką książeczkę schowaną w sakwie przy pasie, starając się skupić na swoim zadaniu. Przytrzymywanie poły płaszcza tylko jedną ręką okazało się niemożliwe. Łopotał na wietrze i po chwili poczuła ziąb tnący niczym nóż. Siostry, które odprawiały pokutę z byle powodu, były głupie, ale pokuta mogła służyć wielu celom i być może ona potrzebowała czegoś, co odświeżałoby jej pamięć. Skoro nie pamiętała o przeczności, równie dobrze mogła już teraz wrócić do Białej Wieży i zapytać, od którego miejsca ma zacząć plewić rzepę.

W myślach zrobiła kreskę przy nazwisku Jurine Najimy. Inne pozycje w książeczce już zostały skreślone atramentem. Matki pięciu chłopców urodzonych w niewłaściwym miejscu. Matki trzech dziewczynek. Pod Lśniącymi Murami zebrało się blisko dwieście tysięcy mężczyzn pragnących się zmierzyć z Aielami. Moiraine wciąż zdumiewało, jak

wiele kobiet poszło za nimi, w tym wiele spodziewających się dziecka. Musiała jej to wyjaśnić jakaś starsza siostra. Ta wojna nie trwała krótko i mężczyźni, którzy wiedzieli, że być może polegną następnego dnia, pragnęli zostawić za sobą jakąś swoją część. Kobiety, które wiedziały, że ich mężczyźni być może polegą następnego dnia, pragnęły ową część zatrzymać przy sobie.

Podczas rozstrzygających dziesięciu dni wiele z nich rodziło i w tym zgromadzeniu uciekinierów i żołnierzy z niemalże wszystkich krain zbyt często krążyły tylko plotki na temat tego, gdzie albo kiedy jakieś dziecko zostało urodzone. Albo na temat miejsca, do którego udali się jego rodzice, kiedy wojna się skończyła i armia Koalicji rozproszyła się razem z samą Koalicją. W księżeczce Moiraine zbyt wiele było takich pozycji jak ta: „Saera Deosin. Mąż Eadwin. Z Murandy. Syn?” Cały kraj do przeszukania, znane tylko jakieś imiona i żadnej pewności, że ta kobieta urodziła chłopca. Za wiele takich jak: „Kari al’Thor. Z Andoru? Mąż Tamlin, drugi kapitan Illiańskich Towarzyszy, zdymisjonowany na własną prośbę”. Tych dwoje mogło się udać w dowolne miejsce na świecie, nadto istniały uzasadnione wątpliwości, czy ona rzeczywiście urodziła dziecko. Czasami na liście było tylko imię matki, a do tego z sześć albo i osiem odmian nazwy rodzinnej wioski, która mogła leżeć w jednym z kilku krajów. Lista tych łatwych do odszukania kurczyła się w gwałtownym tempie.

Niemniej jednak musiały odnaleźć dziecko. Niemowlę, które dożyje wieku męskiego i będzie władało skażoną męską połową Jedynej Mocy. Moiraine mimo woli wzdygnęła się na samą myśl o tym. Dlatego właśnie te poszukiwania były tak utajnione, dlatego Moiraine i Suan, zaledwie Przyjęte w czasie, gdy dowiedziały się przypadkiem o narodzinach dziecka, najpierw zostały zwyczajnie zbyte, a potem – do czego Tamra dołożyła wszelkich starań – trzymane w jak najgłębszej niewiedzy. To była sprawa dla doświadczonych sióstr. Ale w takim razie komu powierzyła wieść, że narodziny Smoka Odrodzonego zostały Przepowiedziane i, co więcej, że gdzieś już ssie on pierś swej matki? Czy ona też miewała takie same koszmary, jakie budziły Moiraine i Suan przez tyle nocy? A jednak ten chłopczyk miał osiągnąć wiek męski i uratować świat, bo tak głosiły Proroctwa Smoka. O ile nie zostanie znaleziony przez jakąś Czerwoną siostrę: głównym celem Czerwonych Ajah było polowanie na męzczyzn, którzy potrafili przenosić, i Moiraine była pewna, że Tamra nie ufa żadnej z nich, nawet w kwestii dziecka, jeśli jest płci męskiej. Czy można liczyć, że jakaś Czerwona będzie pamiętała, iż ma do czynienia ze zbawcą ludzkości? Dzień przez te wspomnienia nagle zdał się Moiraine chłodniejszy.

Oberża, w której wynajmowała niewielką izbę, „Bramy Niebios”, miała cztery przestronne kondygnacje, pokrywał ją dach z zielonego łupku. Najlepsza i największa

w Canluum. Pobliskie sklepy żywiły lordów i lady z górującej za oberżą Stanicy. Nie zatrzymałaby się tam, gdyby w mieście można było znaleźć jakąś inną izbę. Zrobiwszy głęboki wdech, wbiegła pospiesznie do środka. Ani nagle ciepło bijące od ognia na czterech dużych paleniskach, ani smakowite zapachy napływające od strony kuchni nie rozluźniły jej napiętych mięśni ramion.

Główna izba była duża, wszystkie stoły pod jaskrawoczerwoną powalą zajęte, przeważnie przez prosto odzianych kupców i garstkę zamożnych rzemieślników w kolorowych koszulach albo sukniach pokrytych bogatym haftem. Ledwie zwróciła na nich uwagę. W „Bramach Niebios” zatrzymało się aż pięć sióstr i gdy weszła do środka, zobaczyła je wszystkie w głównej izbie. Pan Helvin, oberżysta, zawsze robił miejsce dla Aes Sedai, nawet wtedy, gdy trzeba było zmusić innych gości, żeby się ścieśnili przy stołach. Siostry siadywały każda z osobna, ledwie przyznając się do pozostałych, niemniej jednak ludzie, którzy mogli nie rozpoznać Aes Sedai na pierwszy rzut oka, teraz już o nich wiedzieli, wiedzieli dość, by się nie narzucać. Przy każdym innym stole panował ścisk, ale jeśli przy Aes Sedai siedział jakiś męzczyzna, to był to jej Strażnik, wyglądający na niebezpiecznego męzczyzna o twardym spojrzeniu, chociaż niekiedy zupełnie przeciętnej powierzchowności. Siostra siedząca całkiem samotnie należała do Czerwonych; Czerwone nie brały sobie Strażników.

Wetknąwszy rękawiczki za pas i przewiesiwszy płaszcz przez ramię, Moiraine ruszyła w stronę kamiennych schodów na tyłach izby. Szła niezbyt szybko, ale też się nie ociągała. Patrzyła prosto przed siebie. Nie musiała widzieć twarzy, na których czas nie odcisnął śladu, względnie błysku złotego węża pożerającego własny ogon na palcu, by wiedzieć, że mija jakąś siostrę. Zawsze potrafiła wyczuć w drugiej kobiecie zdolność do przenoszenia, jej siłę. Siłę, której nikt inny tu nie zdołałby sprostać. Ona wyczuwała ich zdolności, a one wyczuwały je w niej. Wzrok, którym ją odprowadzały, muskał ją jak lekkie dotknięcia palców. Tylko muśnięcia, nigdy uściski. Żadna się do niej nie odezwała.

A jednak, kiedy dotarła już do schodów, za jej plecami przemówiła jakaś kobieta:

–Proszę, proszę. A to ci niespodzianka.

Moiraine obróciła się szybko. Z wysiłkiem zdołała zachować niewzruszony wyraz twarzy, wykonując prędkie dygnięcie, jakie mogłaby wykonać pośledniejsza szlachcianka przed Aes Sedai. Przed dwoma Aes Sedai. Jej zdaniem nie mogła spotkać gorszych niż te dwie w jedwabiach posępnej barwy.

Siwe pasma w długich włosach Larelle Tarsi podkreślały jej wyważoną elegancję i miedzianą karnację skóry. Moiraine uczęszczała do niej na wykłady z rozmaitych przedmiotów, jako nowicjuszka i jako Przyjęta – tamta miała zwyczaj zadawać

najbardziej niewygodne pytania, jakie można sobie wyobrazić. Pulchna i macierzyńska Merean Redhill była jeszcze gorsza. Prawie zupełnie siwe włosy zebrane nad karkiem niemal całkiem odciągały wzrok od nieznaczonych piętnem czasu rysów twarzy. Była Mistrzynią Nowicjuszek za Tamry i w porównaniu z nią Larelle wydawała się ślepa, kiedy przychodziło do wykrywania tego, co człowiek najbardziej chciał ukryć. Obie nosiły szale haftowane w pędy winorośli, przy czym szal Merean był obrzeżony błękitnymi frędzlami. Moiraine też należała do Błękitnych Ajah. Co mogło się jakoś liczyć. A może wcale nie. Widok ich razem zaskakiwał – nie sądziła, by szczególnie za sobą przepadały.

Obie, niestety, były sprawniejsze od niej we władaniu Mocą, chociaż któregoś dnia miało się to zmienić. Zgodnie z obowiązującym zwyczajem różnica była na tyle tylko istotna, by wymuszać ustępstwo, nie nakazując bezwarunkowego posłuchu. W każdym razie nie miały prawa ingerować w cokolwiek, co robiła. Chyba że brały udział w poszukiwaniach zorganizowanych przez Tamrę i znały jej rolę. Bezpośrednie rozkazy Amyrlin miały większą wagę niż najsilniej ugruntowane z praw zwyczajowych albo przynajmniej zdolne były je w dużej mierze zmieniać. Gdyby jednak któraś z nich powiedziała na głos coś niestosownego, wówczas wszystkie siostry zgromadzone w izbie dowiedziałyby się, że Moiraine Damodred podróżuje w przebraniu, a wkrótce zapewne wieść o tym dotarłaby do niepowołanych uszu. Tak właśnie kręcił się ten świat. Niedługo z pewnością zostałaby wezwana z powrotem do Tar Valon. Otworzyła już usta, by powiedzieć coś, co uprzedzi ewentualny niepomyślny rozwój wypadków, gdy usłyszała słowa:

–Z tą nie ma co próbować – powiedziała samotna siostra siedząca przy pobliskim stole, okręcając się na ławie. Felaana Bevaine, szczupła i jasnowłosa Brązowa o zgrzytliwym głosie, niegdyś pierwsza pokazała Moiraine, gdzie jej miejsce. – Powiada, że nie interesuje jej wyprawa do Wieży. A przy tym uparta jest jak kamień. I skryta.

Wprawdzie należałoby sądzić, że powinniśmy wiedzieć o jakiejś dzikusce, choćby pochodziła z najpośledniejszego cairhieńskiego Domu, ale to dziecko woli wszystko robić na własną rękę.

Larelle i Merean spojrzały na Moiraine, Larelle wyginając w łuk cienką brew, Merean najwyraźniej starając się ukryć uśmiech. Większość sióstr nie lubiła dzikusiek, kobiet, które samodzielnie uczyły się przenoszenia i jakoś wychodziły z tego cało, mimo braku szkolenia w Białej Wieży.

–W istocie, Aes Sedai – odparła ostrożnie Moiraine, zadowolona, że ktoś ją wyręczył. – Nie mam ochoty wstępować do nowicjatu i nie uczynię tego.

Felaana zmierzyła ją taksującym spojrzeniem, ale nadal mówiła do innych:

–Twierdzi, że ma dwadzieścia dwa lata, ale to prawo czasem już naginano. Wystarczy, by kobieta powiedziała, że ma osiemnaście lat, i jako taką wpisuje się ją do rejestrów. Chyba że jest to oczywiste kłamstwo, a ta dziewczyna...

–Nasze prawa nie zostały ustanowione po to, by je łamać – wtrąciła ostro Larelle, a Merean dodała kwaśno:

–Nie wierzę, by ta młoda kobieta chciała kłamać na temat swojego wieku. Ona nie chce być nowicjuską, Felaano. Niech idzie własną drogą.

Moiraine omal nie odetchnęła z ulgą.

Felaana, mimo że była od nich słabsza i powinna się godzić z tym, że jej przerywają, zaczęła się podnosić z miejsca, najwyraźniej zamierzając kontynuować spór. Prawie już stojąc, zerknęła na schody za plecami Moiraine; wytrzeszczyła oczy i nagle opadła z powrotem na ławę, skupiając uwagę na swoim talerzu pełnym czarnego groszku i cebulek, jakby na świecie nie istniało nic innego. Merean i Larelle otuliły się szalami, zafalowały szare i błękitne frędzle. Miały takie miny, jakby bardzo pragnęły się znaleźć daleko stąd. Niemniej nawet nie drgnęły, jakby stopy przybito im gwoździami do posadzki.

–A więc ta dziewczyna nie chce zostać nowicjuską – dobiegł je ze schodów kobiecy głos. Moiraine słyszała go tylko raz, przed dwoma laty, i nie potrafiła zapomnieć. Wiele kobiet było silniejszych od niej, ale tylko ta jedna mogła przewyższać ją aż tak zdecydowanie.

Mimo woli obejrzała się przez ramię.

Oczy, niemal całkiem czarne, przyglądały się jej spod siwego kocza udekorowanego złotymi ozdobami, gwiazdkami i ptakami, półksiężycami i rybami. Cadsuane też nosiła szal, obrzeżony zielonymi frędzlami.

–Moim zdaniem, dziewczyno – powiedziała oschle – przydałoby ci się dziesięć lat w bieli.

Od dawna wszyscy sądzili, że Cadsuane Melaidhrin umarła gdzieś w odosobnieniu, a tymczasem ona nagle pojawiła się jak spod ziemi na początku Wojny z Aielami, niemniej od tego czasu prawdopodobnie wiele sióstr życzyło jej, aby rzeczywiście znalazła się w grobie. Cadsuane była legendą, a legenda staje się czymś wielce niewygodnym, jeśli żyje i wpatruje się w ciebie czarnymi oczyma. Połowa opowieści o niej brzmiała zupełnie nieprawdopodobnie, druga połowa sprawiała wrażenie bajek, były jednak wśród nich i takie, które wspierały bezdyskusyjne dowody. W zamierzonych czasach jeden z królów Tarabonu został porwany ze swego pałacu, kiedy się dowiedziano, że potrafi przenosić, i zawieszony do Tar Valon, gdzie go poskromiono, mimo że cała jego armia, która nie uwierzyła w podaną wersję wydarzeń, próbowała go

odbić. Porwano króla Arad Doman i królową Saldaei, porwano potajemnie, jakby za sprawą czarów, a kiedy Cadsuane nareszcie ich uwolniła, wojna, która zdawała się wisieć na włosku, najzwyczajniej rozeszła się po kościołach. Mówiono, że Cadsuane Melaidhrin naginała prawo Wieży, kiedy jej to pasowało, że lekceważyła sobie obyczaje, że chadzała własnymi drogami i często wciągała inne siostry w swe knowania.

–Uprzejmie dziękuję Aes Sedai za jej zainteresowanie... – zaczęła Moiraine, po czym urwała porażona spojrzeniem tamtej. Bynajmniej nie było to jakieś szczególnie twarde spojrzenie. Zwyczajnie nieubłagane. Podobno nawet Zasiadające na Tronie Amyrlin przez całe lata postępowały z Cadsuane z wyjątkową ostrożnością. Szeptano, że kiedyś dopuściła się aktu bezpośredniej przemocy wobec którejś Amyrlin. Niemożliwe, ma się rozumieć: zostałyby natychmiast stracona!

Moiraine przełknęła ślinę i spróbowała zacząć od nowa, ale przekonała się, że na nic więcej jej nie stać, jak tylko na powtórne przełknięcie śliny.

Cadsuane zeszła ze stopnia i powiedziała do Merean i Larelle:

–Przyprowadźcie tę dziewczynę. – Nie spojrzawszy po raz drugi, posuwistym krokiem przeszła przez główną izbę. Siedzący przy stołach popatrzyli na nią, jedni zupełnie otwarcie, inni kątem oka, w tym również Strażnicy; wszystkie siostry spuściły głowy.

Twarz Merean stężała, a Larelle westchnęła ostentacyjnie, ale popchnęły Moiraine śladem rozkołysanych złotych ozdób. Nie miała wyboru, musiała pójść. Przynajmniej Cadsuane nie mogła być jedną z tych kobiet, które powołała Tamra; nie wróciła do Tar Valon od czasu tamtej wizyty na początku roku.

Cadsuane poprowadziła je do jednej z odosobnionych bawialni, na palenisku z czarnego kamienia płonął ogień, czerwone płyciny ścian zdobiły srebrne lampy. Blisko ognia, dla zachowania ciepła, stał wysoki dzban, a na lakierowanej tacy na małym rzeźbionym stoliku – srebrne kielichy. Merean i Larelle wzięły dwa krzesła z kolorowymi poduszkami, ale kiedy Moiraine ułożyła płaszcz na krzesło i chciała usiąść, Cadsuane wskazała miejsce przed pozostałymi siostrami.

–Stań tu sobie, dziecko – powiedziała.

Starając się nie zaciskać dłoni na fałdach sukni, Moiraine stanęła tak, jak jej kazano. Okazywanie posłuszeństwa zawsze przychodziło jej z trudem. Dopóki w wieku szesnastu lat nie udała się do Wieży, niewielu ludzi musiała słuchać. Większość słuchała jej.

Cadsuane powoli okrążyła całą trójkę, raz, drugi. Merean i Larelle wymieniły zdziwione spojrzenia, Larelle otworzyła nawet usta, ale spojrzawszy raz na Cadsuane, na powrót je zamknęła. Na ich twarzach malowało się całkowite opanowanie: postronny obserwator pomyślałby, że dobrze wiedzą, co się dzieje. Cadsuane czasami zerknęła na

nie, ale jej uwaga w większej części skupiona była na Moiraine.

–Większość nowych sióstr – odezwała się nagle legendarna Zielona – nieledwie nie zdejmuję szali do snu albo



kąpieli, ty natomiast jesteś tutaj bez szala czy choćby pierścienia, w jednym z najbardziej niebezpiecznych miejsc na świecie, jeśli nie liczyć Ugoru. Dlaczego?

Moiraine zamruwała. Oto szczere pytanie. Ta kobieta naprawdę ignorowała obyczaje, kiedy tak jej pasowało. Postarała się, by jej głos zabrzmiał lekko.

–Cechą niedawno wyniesionych sióstr jest to, że szukają sobie Strażników. – Dlaczego tamta traktuje ją w taki sposób? – Ja jeszcze nie związałam żadnego więzią zobowiązań. Powiedziano mi, że mężczyźni z Ziemi Granicznych znakomicie się nadają na Strażników.

Zielona posłała jej ostre spojrzenie, pod wpływem którego pożałowała niefrasobliwości swych słów.

Cadsuane zatrzymała się za Larelle i położyła rękę na jej ramieniu.

–Co wiesz o tym dziecku?

Każda dziewczyna, która chodziła na lekcje Larelle, uważała ją za doskonałą siostrę i traciła kontenans pod tym chłodnym, taksującym wzrokiem. Wszystkie jej się bały i zarazem pragnęły być takie jak ona.

–Moiraine była pilną i bystrą uczennicą – powiedziała z namysłem. – Ona i Suan Sanche zasłużyły na miano dwóch najbardziej zdolnych, jakie kiedykolwiek zawitały do Wieży. Ale zapewne wiesz o tym. Niech pomyślę... Była raczej nazbyt swobodna ze swymi opiniami i temperamentem, dopóki nie przywołałyśmy jej do porządku.

Na tyle, na ile nam się udało. Ona i ta Sanche wiecznie, z upodobaniem, płatały jakieś figle. Ale inicjację Przyjętych przeszły za pierwszym razem i potem szybko otrzymały szale. Ona oczywiście musi dojrzeć, ale być może coś z niej jeszcze będzie.

Cadsuane stanęła za plecami Merean i zadała jej to samo pytanie, po czym dodała:

–Upodobanie do płatania figli, powiedziała Larelle. Niesforne dziecko?

Merean z uśmiechem potrząsnęła głową. Żadna z dziewcząt nie chciała być taka jak Merean, ale każda wiedziała, gdzie szukać ramienia, na którym można się wyplakać, albo rady, gdy nie sposób się było podzielić kłopotem z najbliższą przyjaciółką. Więcej dziewcząt odwiedzało ją z własnej woli niż w celu odebrania zasłużonej kary.

–Nie tyle niesforne, ile żywe – odparła. – Figle, które płała Moiraine, nigdy nie były nikczemne, ale za to bardzo liczne. Jako nowicjuszkę i Przyjętą odsyłano ją do mojego gabinetu częściej niż dowolne trzy inne dziewczyny. Nie licząc jej przyjaciółki od poduszki, Suan. Rzecz jasna przyjaciółki od poduszki często wplątują się razem w tarapaty, ale w wypadku tych dwóch jedna nigdy nie trafiała do mnie bez drugiej.

Ostatni raz były tej samej nocy, kiedy zostały wyniesione do godności pełnych sióstr. – Jej uśmiech zamienił się w taki sam grymas, jaki miała na twarzy owej nocy. Nie wyrażał gniewu, lecz raczej niedowierzanie, że młode kobiety są zdolne do takich postępów. I lekkie rozbawienie z ich powodu. – Zamiast spędzić noc na kontemplacji, próbowały podrzucić myszy do łóżka innej siostry, Elaidy a’Roihan, i zostały przyłapane. Wątpię, czy często się zdarzało, by inne kobiety wynoszone do godności Aes Sedai miały siedzenie wciąż jeszcze obolałe po ostatniej wizycie u Mistrzynie Nowicjuszek. Tuż po tym, jak zostały związane Trzema Przysięgami, potrzebowały poduszek przez tydzień.

Moiraine zachowała gładką twarz, nie zacisnęła dłoni, ale nie mogła nic poradzić na pałające policzki. Ta mina Merean, wyrażająca ubolewanie i rozbawienie, jakby ona nadal wciąż jeszcze była Przyjętą. A więc powinna dojrzeć, tak? Cóż, może i tak, trochę, ale w końcu... I rozpowiadanie o tych wszystkich intymnych sprawach!

–Myślę, że wiesz o mnie wszystko, co powinnaś wiedzieć – powiedziała sztywno do Cadsuane. Jak bliskie są sobie ona z Suan, to tylko ich sprawa i nikomu nic do tego. I to przypominanie ich kar, szczegółów kar... Elaida była powszechnie znienawidzona, wiecznie wywierała na kogoś presję, żądała doskonałości za każdym razem, gdy zjawiała się w Wieży. – Jeśli jesteś już usatysfakcjonowana, to przepraszam, ale muszę się spakować. Wyjeżdżam do Chachin.

Zdusiła jęk nabrzmiewający jej w gardle. Wciąż nie potrafiła dostatecznie zapanować nad tym, co mówiła, kiedy temperament brał nad nią górę. Jeżeli Merean albo Larelle uczestniczyły w poszukiwaniach, to mają przynajmniej część listy z jej książeczki. Łącznie z Jurine Najimą tutaj, lady Ines Demain w Chachin i Avene Saherą, która mieszkała w „wiosce przy górskiej drodze wiodącej od Chachin do Canluum”. Żeby rozwiać podejrzenia, wystarczy, jeśli teraz powie, że potem zamierza spędzić jakiś czas w Arafel i Shienarze. Cadsuane uśmiechnęła się. Nie był to miły uśmiech.

–Wyjedziesz, kiedy ci pozwolę, dziecko. Milcz, dopóki nie każą ci mówić. W tym dzbanie powinno być wino z korzeniami. Nalej nam.

Moiraine zadrżała. Dziecko! Nie była już nowicjuszką. Ta kobieta nie miała prawa jej

rozkazywać, decydować, dokąd może jeździć. Ani ustalać, co może, a czego nie może powiedzieć. Ale nie zaprotestowała. Podeszła do paleniska – sztywnym krokiem – i podniosła srebrny dzban z długą szyjką.

–Zdajesz się bardzo interesować tą młodą kobietą, Cadsuane – zauważyła Merean, odwracając się nieznacznie, by popatrzeć, jak Moiraine nalewa wino. – Czy jest w niej coś, o czym powinniśmy wiedzieć?

W uśmiechu Larelle kryło się nieco drwiny. Tylko odrobina, z uwagi na Cadsuane.

–Czyżby któraś Przepowiedziała, że ona któregoś dnia zostanie Amyrlin? Nie mogę tego stwierdzić, ponieważ nie miewam Przepowiedni.

–Mogę przeżyć następne trzydzieści lat – odparła Cadsuane, wyciągając rękę po kielich, który podała jej Moiraine – albo tylko trzy. Któż to wie?

Moiraine wytrzeszczyła oczy i poląła sobie nadgarstek gorącym winem. Merean głośno wciągnęła oddech, a Larelle miała taką minę, jakby kamień trafił ją w czoło. Każda Aes Sedai splunęłaby na stół, zanimby coś powiedziała o wieku innej siostry albo własnym. Tyle że Cadsuane nie była pierwszą lepszą Aes Sedai.

–Przy pozostałych kielichach bądź trochę uważniejsza – powiedziała Zielona, nie przejmując się tymi spojrzeniami. – Dziecko? – Moiraine wróciła do paleniska, wciąż wytrzeszczając oczy, a Cadsuane ciągnęła: – Meilyn jest znacznie starsza. Kiedy ona i ja odejdziemy, najsilniejsza będzie Kerene. – Larelle wzdrygnęła się. – Wzbudziłam może wasz niepokój? – Pojednawczy ton Cadsuane nie mógł być bardziej zwodniczy, zresztą wcale nie miała zamiaru czekać na odpowiedź. – Milczenie w kwestii naszego wieku wcale nie sprawia, że ludzie nie wiedzą, iż żyjemy od nich dłużej. Ba! Kerene od następnych pięciu dzieli wielką przepaść. Pięciu, kiedy to dziecko i ta Sanche osiągną szczyt swych możliwości. A jedna z nich jest moją rówieśniczką i na dodatek lada chwila wycofa się ze spraw tego świata.

–Jaki stąd wniosek? – spytała Merean nieco zbolalym głosem.

Larelle, z poszarzałą twarzą, przycisnęła ręce do łona. Ledwie spojrzały na wino, które podała im Moiraine, po czym bezgłośnie odmówiły przyjęcia kielichów. Moiraine trzymała swój kielich w dłoniach, aczkolwiek nie sądziła, by mogła przełknąć bodaj łyk.

Cadsuane nachmurzyła się: perspektywa była dość przerażająca.

–Od tysiąca lat w Wieży nie pojawiła się żadna, która mogłaby mi dorównać. Od prawie sześciuset żadna, która by dorównała Meilyn albo Kerene. Tysiąc lat temu byłoby pięćdziesiąt sióstr albo więcej, które stałyby wyżej niż to dziecko. Za kolejne sto lat jednakże ona stanie w pierwszym szeregu. Och, w tym czasie może się znaleźć ktoś silniejszy, ale nie minie pięćdziesiąt lat i może nie być żadnej. Jest nas coraz mniej.

–Nie rozumiem – odparła ostro Larelle. Wydawało się, że się pozbierała i że jest zła na swoją poprzednią słabość. – Wszystkie zdajemy sobie sprawę z problemu, ale co ma z tym wspólnego Moiraine? Czy myślisz, że ona może jakoś sprawić, by do Wieży przybywało więcej dziewcząt, dziewcząt o większych możliwościach? – Jej parsknięcie powiedziało, co o tym myśli.

–Byłoby mi żal, gdyby ją zmarnowano, zanim zaczniesz odróżniać górę od dołu. Wieża nie może sobie pozwolić na taką stratę z powodu jej ignorancji. Popatrzcie na nią. Piękna laleczka wyglądająca jak cairhieniańska szlachcianka. – Cadsuane podniosła palcem brodę Moiraine. – Zanim w taki sposób znajdziesz sobie Strażnika, dziecko, jakiś

włóczęga, który będzie chciał sprawdzić, co masz w sakiewce, przebij ci serce strzałą. Byle bandyta, który by zemdłał na widok pogrążonej we śnie siostry, rozbije ci głowę i ockniesz się w jakimś zaułku bez złota, a może i czegoś jeszcze. Podejrzewam, że swego pierwszego mężczyznę wolałabyś wybrać z równą starannością jak pierwszego Strażnika.

Moiraine gwałtownie targnęła podbródkiem, cała aż płonąć z oburzenia. Najpierw sprawy jej i Siuan, a teraz to. O pewnych rzeczach można mówić, o innych żadną miarą nie wolno!

Cadsuane zignorowała jej oburzenie. Spokojnie popijając wino, odwróciła się ku pozostałym.

–To dziecko koniecznie trzeba chronić przed jego żywiołową naturą, dopóki nie znajdzie sobie Strażnika, który będzie strzegł mu pleców. Wy dwie zapewne wybieracie się do Chachin. W takim razie ona pojedzie z wami. Spodziewam się, że ani na moment nie spuścicie jej z oka.

Moiraine odnalazła język w gębie, ale jej protesty zdały się na tyleż samo, co wcześniejsze oburzenie. Merean i Larelle również się sprzeciwiły, tak samo energicznie. Aes Sedai nie potrzebują „opieki”, nieważne, jak są młode. Mają własne sprawy, o które winny zadbać. Nie wyraziły się specjalnie jasno, czego owe sprawy dotyczą – niewiele sióstr zwykło to czynić – ale najwyraźniej nie życzyły sobie towarzystwa. Cadsuane nie zwracała uwagi na nic, czego nie chciała słyszeć, zakładała, że zrobią, co ona chce, naciskała bezwzględnie, gdy choć na jotę ustępowały. Niebawem obie zaczęły wiercić się na krzesłach i mówiły już tylko, że spotkały się zaledwie dzień wcześniej i że nie są pewne, czy dalej będą podróżowały razem. W każdym razie zamierzały spędzić jeszcze dwa albo trzy dni w Canluum, podczas gdy Moiraine chciała wyjechać jeszcze tego dnia.

–To dziecko zostanie do waszego wyjazdu – zapewniła je dziarsko Cadsuane. – Dobrze więc, to już mamy załatwione. Jestem pewna, że wy dwie chcecie jak najszybciej dopatrzeć tych spraw, które was sprowadziły do Canluum. Nie będę was zatrzymywała.

Taka nieoczekiwana odprawa sprawiła, że Larelle z irytacją poprawiła szal, po czym wymaszerowała, mrużąc, że Moiraine pożałuje, jeśli będzie jej wchodziła w paradę albo spowoduje jakąkolwiek zwłokę w podróży do Chachin. Merean przyjęła to lepiej,

powiedziała nawet, że będzie się opiekowała Moiraine jak córką, aczkolwiek w jej uśmiechu trudno byłoby się doszukać choć śladu zadowolenia.

Gdy wyszły, Moiraine zapatrzyła się z niedowierzaniem w Cadsuane. W życiu nie spotkała kogoś takiego. Przypominała jej zjawisko przyrodnicze, lawinę, którą raz widziała. Nie widziała innego wyjścia z tej sytuacji, jak zachować milczenie, dopóki nie znajdzie okazji do wyjazdu, gdy Cadsuane albo tamte spuszczą ją z oka. Tak będzie

znacznie roztropniej.

–Na nic się nie zgodziłam – rzekła chłodno. Bardzo chłodno. – A jeśli w Chachin czekają na mnie sprawy, które nie cierpią zwłoki?

A jeśli nie zechcę czekać tu przez dwa albo trzy dni? – Być może naprawdę powinna poćwiczyć panowanie nad językiem.

Cadsuane, w zamyśleniu wpatrująca się w drzwi, które zamknęły się za Merean i Larelle, teraz skierowała świdrujące spojrzenie na Moiraine.

–Nosisz szal od pięciu miesięcy i już czekają na ciebie sprawy, które nie cierpią zwłoki? Ha! Nie otrzymałaś nawet pierwszej lekcji, wedle której szal oznacza tylko gotowość przystąpienia do prawdziwych nauk. Tematem drugiej lekcji jest rozważa. Wiem bardzo dobrze, jak trudno się jej nauczyć, kiedy jest się młodym i ma się *saidara* w czubkach palców, a u stóp cały świat. Tak, jak ci się wydaje.

Moiraine usiłowała wtrącić słowo, ale równie dobrze mogła stać przed tamtą lawiną.

–Nieraz będziesz podejmowała wielkie ryzyko, o ile pożyjesz dość długo – ciągnęła Cadsuane. – Już ryzykujesz bardziej, niż zdajesz sobie sprawę. Przemyśl dobrze to, co ci mówię. I postępuj, jak ci przykazano. Sprawdzę dziś twoje łóżko i jeśli cię w nim nie będzie, odnajdę cię i sprawię, że będziesz płakała jak wtedy, przez tamte myszy. Potem, jeśli zechcesz, osuszysz sobie łzy tym szalem, który w twoim mniemaniu czyni cię niewidzialną. Co jednak nie jest prawdą.

Zapatrzona w drzwi, które się zamknęły za Cadsuane, Moiraine nagle sobie uświadomiła, że wciąż trzyma w ręku kielich z winem. Opróżniła go do dna. Ta kobieta była... niesamowita. Obyczaj zabraniał używania fizycznej przemocy przeciwko innej siostrze, ale swą pogroźką Cadsuane nie uchybiła mu ani o włos. Powiedziała to wprost, więc zgodnie z Trzema Przysięgami dokładnie to, co miała właśnie na myśli. Niewiarygodne. Czy wymieniła Meilyn Arganyę i Kerene Nagashi przypadkiem? Te dwie brały udział w poszukiwaniach zarządzonych przez Tamrę. Czy Cadsuane mogła być jeszcze jedną? Tak czy inaczej bardzo sprawnie uniemożliwiła Moiraine poszukiwania, na najbliższy tydzień albo i dłużej. O ile Moiraine w ogóle uda się przyłączyć do Merean i Larelle. Ale dlaczego tylko na tydzień? Jeżeli ta kobieta brała udział w poszukiwaniach... Jeżeli Cadsuane wiedziała o niej i o Siuan... Jeżeli... Stanie w miejscu i bawienie się pustym kielichem nie prowadziło donikąd.

Pochwyciła płaszcz.

Kiedy weszła do głównej izby, obejrzało się za nią wielu ludzi, niektórzy ze współczuciem w oczach. Bez wątpienia wyobrażali sobie, jak to jest, gdy człowiek ściąga na siebie uwagę trzech Aes Sedai, ale nie potrafili doszukać się w tym niczego dobrego. Na twarzach sióstr nie było krzty współczucia. Felaana uśmiechała się z zadowoleniem:

prawdopodobnie uważała, że lady Alys została już wpisana do księgi nowicjuszek. Nigdzie nie było widać ani Cadsuane, ani pozostałych dwóch.

Moiraine czuła, że cała drży, kiedy tak przeciskała się między stołami. Za wiele pytań, a ona nie potrafiła znaleźć ani jednej właściwej odpowiedzi. Żałowała, że nie ma tu Suan, która świetnie sobie radziła z rozwiązywaniem zagadek i nie byłaby aż tak wstrząśnięta tą sytuacją.

Z ulicy do oberży zajrzała jakaś młoda kobieta, po czym natychmiast zniknęła. Moiraine prawie się potknęła. Jeśli się czegoś pragnie z całej duszy, to czasem się wydaje, że to właśnie widać. Kobieta zajrzała raz jeszcze, kaptur jej płaszcza opadł na tobolek zarzucony na plecy... i to była naprawdę Suan, silna i przystojna, w prostej błękitnej sukni, noszącej ślady uciążliwej podróży. Tym razem spostrzegła Moiraine, ale zamiast do niej podbiec, skinęła głową w stronę ulicy i znowu zniknęła.

Z sercem w gardle Moiraine narzuciła płaszcz na ramiona i wyszła z oberży. W głębi ulicy Suan przemykała się przez tłum, oglądając się co trzeci krok. Moiraine szła za nią szybko, coraz bardziej zdenerwowana.

Suan powinna być sześćset mil stąd, w Tar Valon, i pracować dla Cetalii Delarme, która kierowała siatką agentów Błękitnych Ajah. Przyjaciółka zdradziła jej tę tajemnicę, użalając się nad swoim losem. Przez cały ten czas, kiedy obie były nowicjuszkami i Przyjętymi, Suan stale mówiła, że chciałyby pójść w świat, zwiedzać rozmaite kraje, jednak w dniu, w którym otrzymały szale, Cetalia wzięła ją na bok i już tego wieczoru Suan porządkowała raporty od mężczyzn i kobiet rozproszonych wśród różnych narodów. Miała umysł dostrzegający prawidłowości tam, gdzie inni ich nie widzieli. Cetalia dorównywała Merean w Mocy i upłyną pewnie jeszcze trzy albo cztery lata, zanim Suan zbierze dość siły, by jej powiedzieć, że rezygnuje z zajęcia. Prędzej w Niedzielę spadnie śnieg, niż Cetalia pozwoli jej skrócić ten okres. A jedyne wytłumaczenie dla jej obecności w Canluum, jakie pozostawało... Moiraine jęknęła z zaskoczenia. Jakiś wielkouchy mężczyzna sprzedający szpilki z tacy posłał jej zatroskane spojrzenie, lecz tak go spiorunowała wzrokiem, że aż się cofnął.

Zapewne Sierin przysłała Suan, by sprowadziła ją z powrotem, więc podczas długiej jazdy będą się mogły poużalać przed sobą. Sierin była twardą kobietą, niezdolną do okazania bodaj odrobiny litości.

Od Amyrlin oczekiwano, że udzieli amnestii i złagodzi kary w dniu, w którym zostanie

wyniesiona na tron; Sierin kazała wychłostać dwie siostry, a trzy ukarała wygnaniem z Wieży na rok. Niewykluczone, że powiedziała Siuan, jaką karę zamierza wyznaczyć Moiraine. Zadrżała. Najprawdopodobniej Sierin uda się jakoś połączyć w jedno Ciężką Pracę, Utratę Praw, Umartwienie Ciała i Umartwienie Ducha.

Sto kroków za oberżą Siuan obejrzała się raz jeszcze, przystanęła, by się upewnić, że Moiraine ją widzi, po czym wbiegła w jakąś boczną uliczkę. Moiraine przyspieszyła kroku i poszła za nią.

Jej przyjaciółka szła pod jeszcze nie zapalonymi oliwnymi lampami, które wisały rzędem nawet w tym wąskim, brudnym zaułku. Siuan Sanche, córka rybaka z najniebezpieczniejszej dzielnicy Łzy, nie bała się niczego, ale teraz w jej zdecydowanych niebieskich oczach lśnił strach. Moiraine otworzyła usta, żeby podzielić się z nią swymi obawami co do decyzji Sierin, ale wyższa kobieta odezwała się pierwsza:

–Powiedz mi, że go znalazłaś, Moiraine! Powiedz mi, że jest nim chłopiec Najimy, że możemy go oddać Wieży na oczach stu sióstr, i będzie po sprawie. Sto sióstr?

–Nie, Siuan. – Tu chyba nie szło o Sierin. – Co się stało?

Siuan zaczęła płakać. Siuan, która miała lwie serce i nigdy nie uroniła nawet jednej łzy, dopóki nie opuściły gabinetu Merean, zarzuciła ramiona na szyję Moiraine i objęła ją z całej siły. Trzęsła się.

–One wszystkie nie żyją – wymamrotała – Aisha i Kerene, Valera, Ludice i Meilyn. Podobno Aishę i jej Strażnika zabili bandyci w Murandy. Kerene rzekomo podczas burzy spadła z pokładu statku i utonęła w falach Alguenyi. A Meilyn... Meilyn...

Moiraine tuliła ją i uspokajała. Skonsternowana patrzyła ponad ramieniem Siuan. Poznały imiona pięciu kobiet wybranych przez Tamrę i one wszystkie teraz nie żyły.

–Meilyn raczej... nie była młoda – powiedziała powoli. Wahala się, czy w ogóle o tym napomknąć, skoro jednak Cadsuane mówiła o tym tak otwarcie... Zdumiona Siuan szarpnęła się w jej objęciach, Moiraine jednak z wyraźnym wysiłkiem ciągnęła: – Podobnie zresztą jak pozostałe, nawet Kerene. – Blisko dwieście lat to niemało nawet dla Aes Sedai. – I wypadki naprawdę się zdarzają. Bandyci. Burze. – Samej trudno jej było w to uwierzyć. Wszystkie naraz?

Siuan odepchnęła się.

–Nie rozumiesz. Meilyn! – Krzywiąc się, potarła oczy. – Rybie bebechy! Mętnie to tłumaczę. Weź się w garść, ty przeklęta idiotko! – To ostatnie warknęła do siebie. Merean i inne zadały sobie sporo trudu, żeby oczyścić jej język z wulgaryzmów, ale Siuan zbuntowała się, gdy już miała szal na ramionach. Poprowadziła Moiraine do beczki bez szpuntu i usadziła na niej. – Nie będziesz mogła ustać, kiedy usłyszysz to, co mam do powiedzenia. A skoro już o

tym mowa, to ja też cholernie chętnie bym usiadła.

Z głębi uliczki przywlokła skrzynkę z powyłamywanymi listewkami i usiadła na niej. Miętoszyła fałdy spódnic, zerknęła w stronę ulicy i gderła na ludzi, którzy im się przyglądali. Im dłużej się tak ociągała, tym bardziej Moiraine ścisnęło w żołądku. Na stan żołądka Suan też najwyraźniej nie wpływało to najlepiej. Kiedy znowu zaczęła

mówić, stale przerywała, by przełknąć ślinę, jak ktoś, komu zbiera się na wymioty.

–Meilyn wróciła do Wieży prawie miesiąc temu. Nie wiem po co.

Nie powiedziała, gdzie była ani dokąd się wybiera, zamierzała zostać tylko przez kilka nocy. Ja... usłyszałam o Kerene tego ranka, gdy przybyła Meilyn, o innych wiedziałam wcześniej. Postanowiłam więc, że z nią porozmawiam. Nie patrz tak na mnie! Potrafię być ostrożna! – „Ostrożna” było słowem, którym Moiraine nigdy by nie określiła Suan. – W każdym razie zakradłam się do jej pokoi i ukryłam pod łóżkiem. Dlatego słudzy mnie nie widzieli, kiedy szykowali jej posłanie. – Suan burknęła kwaśno. – Zasnęłam tam. Obudził mnie wschód słońca, ale jej łóżko było puste, nie spała w nim. Wymknęłam się więc i poszłam na śniadanie. I kiedy nakładałam sobie owsiankę, weszła Chesmal Emry... Ona... ogłosiła, że Meilyn znaleziono w jej łóżku, że umarła w nocy. – Urwała raptownie, wpatrując się w Moiraine.

Moiraine była bardzo zadowolona, że siedzi. Jej kolana nie utrzymałyby nawet piórka. Wychowała się wśród *Daes Dae'mar*, wśród knoń i spisków, które zdominowały życie w Cairhien, najszybszych odcieni znaczeniowych, jakie można nadać każdemu słowu, każdemu działaniu. Tutaj było tego zbyt wiele, szło o zwykłe subtelności. Popołniono morderstwo.

–Czerwone Ajah? – zasugerowała w końcu. Czerwona byłaby zdolna zabić siostrę, która jej zdaniem zamierzała chronić mężczyznę potrafiącego przenosić.

Suan parsknęła.

–Meilyn nie miała na ciele ani śladu, a Chesmal wykryłaby truciznę, ewentualnie zczadzenie czy... To oznacza Moc, Moiraine. Czy Czerwoną byłoby na coś takiego stać? – Mówiła zapalczywym tonem, ale ściągnęła tobolek z pleców i przycisnęła go do łona. Wyglądała, jakby szukała za nim osłony. Niemniej na jej twarzy mniej teraz widać było strachu. – Zastanów się, Moiraine. Tamra też rzekomo umarła we śnie. Tylko my wiemy, że z Meilyn tak nie było, nieważne, gdzie ją znaleziono. Najpierw Tamra, potem zaczęły umierać inne.

Jedyne, co ma sens, to że ktoś zauważył, jak wzywała siostry, i tak bardzo chciał wiedzieć po co, że poważył się przesłuchać samą Amyrlin. Musiały mieć coś do ukrycia, skoro to zrobiły, coś, dla ukrycia czego gotowe były na każde ryzyko. Zabiły ją, żeby to ukryć, a potem zabrały się do zabijania pozostałych. Co oznacza, że nie chcą, by chłopiec został



odnaleziony, a przynajmniej odnaleziony żywy. Nie chcą dopuścić, by Smok Odrodzony walczył w Ostatniej Bitwie.

Moiraine nieświadomie zerknęła w stronę wyjścia z uliczki. Nieliczni przechodnie zerkali w ich stronę, żaden więcej niż raz. Nikt się nie zatrzymał na widok dwóch siedzących tam kobiet. O niektórych sprawach lepiej było mówić, rezygnując

z dosłowności. „Amyrlin” została poddana przesłuchaniu; została zabita. Nie Tamra, nie to imię, które kojarzyło się ze znajomą, pełną determinacji twarzą. „Ktoś” ją zamordował. „One” nie chciały, by znaleziono Smoka Odrodzonego. Morderstwo z użyciem Mocy z pewnością naruszało Trzy Przysięgi, nawet jeśli tu szło... podobnie jak Suan Moiraine nie chciała nazywać pewnych spraw po imieniu.

Z trudem wygładziła rysy, przymusiła głos do spokoju i wydusiła z siebie:

–Czarne Ajah.

Suan drgnęła. Z chmurną miną skinęła głową.

Każdą siostrę można było rozjuszyć najłżejszą sugestią, że wśród Aes Sedai kryją się nie rozpoznane Ajah oddane Czarnemu. Większość sióstr nie chciała nawet o czymś takim słyszeć. Biała Wieża oddana była Światłości już od trzech tysięcy lat. Ale niektóre siostry nie zaprzeczały tak od razu istnieniu Czarnych. Niektóre w nie wierzyły. Jednak bardzo niewiele przyznałoby się to tego w obecności innej siostry. Moiraine nie chciała tego przyznać nawet przed sobą.

Suan szarpnęła za tasiemki przy tobołku, ale powiedziała energicznie:

–Nie sądzę, by znały nasze imiona: Tamra tak naprawdę nigdy nie przyjęła do wiadomości, że też bierzemy we wszystkim udział. W przeciwnym razie nam też przytrafiłby się jakiś „wypadek”. Tuż przed wyjazdem wsunęłam pod drzwi Sierin list, w którym opisałam swe podejrzenia. Nie wiem tylko, do jakiego stopnia można jej ufać. Zasiadającej na Tronie Amyrlin! Pisałam lewą ręką, ale trzęsłam się tak mocno, że i tak nikt nie rozpoznałby mojego charakteru pisma, nawet gdybym pisała prawą. Ażeby mi wątroba szeszła! Nawet gdybyśmy wiedziały, komu ufać, i tak mamy kozie bobki zamiast dowodów.

–Dla mnie dowodów jest dosyć. Jeżeli one wiedzą wszystko, jeśli znają imię każdej z kobiet wybranych przez Tamrę, to być może nie została już ani jedna oprócz nas. Będziemy musiały działać szybko, jeśli chcemy pierwsze odnaleźć chłopca. – Moiraine też starała się mówić energicznym tonem i poczuła wdzięczność, gdy zobaczyła, że Suan spokojnie kiwa głową. Suan się nie podda mimo tych opowieści o tym, jak się to się trzęsła; na pewno w ogóle jej nie przyszło do głowy, że Moiraine mogłaby zrezygnować. Bardzo dobrze. – Może o nas wiedzą, a może nie. Może uważają, że dwie siostry mogą zostawić w spokoju. W każdym razie nie możemy ufać nikomu oprócz siebie. – Krew odpłynęła jej z twarzy. – Och, Światłości! Dopiero co miałam okropne przejścia w oberży, Suan.

Próbowała przywołać każde słowo, każdy niuans wypowiedzi, od chwili gdy Merean odezwała się pierwsza. Suan słuchała z nieobecnyim spojrzeniem, sumując i sortując wszystko, co usłyszała.

–Cadsuane może być jedną z wybranych przez Tamrę – zgodziła się, kiedy Moiraine skończyła. – Ale może też być Czarną Ajah. – Tylko trochę się zawahała przy tych słowach. – Może stara się tylko usunąć cię z drogi, dopóki nie będzie mogła się ciebie pozbyć tak, by nie wzbudzać podejrzeń. Problem polega na tym, że w ogóle każda może należeć do jednej albo drugiej kategorii. – Wsparłszy się na swoim tobołku, dotknęła kolana Moiraine. – Możesz wyprowadzić konia ze stajni tak, żeby cię nie widziano? Mam dobrego wierzchowca, ale nie wiem, czy udźwignie nas obie. Będziemy już wiele godzin stąd, zanim się zorientują, że zniknęłyśmy.

Mimo woli Moiraine uśmiechnęła się. Bardzo wątpiła w tego dobrego wierzchowca. Jeśli chodzi o znajomość koni, jej przyjaciółka nie miała większej wiedzy i umiejętności, niż okazywała w praktyce – czasem udawało jej się niemal spaść z siodła, zanim koń w ogóle się ruszył. Jazda na północ musiała być dla niej istną katorgą. I pewnie cały czas bardzo się bała.

–Nikt nie wie, że tu jesteś, Suan – powiedziała. – Najlepiej będzie, jeśli tak zostanie. Masz swoją książeczkę? Znakomicie. Jeżeli zostaną do rana, będę miała nad nimi przewagę całego dnia, zamiast kilku godzin. Ty teraz jedź do Chachin. Weź trochę moich pieniędzy. – Sądząc po stanie jej sukni, Suan podczas ostatniego etapu podróży musiała sypiać pod krzakami. Córka rybaka nie miała majątków, które dostarczałyby złota. – Zaczynj szukać lady Ines, znajdę cię na miejscu.

Oczywiście nie poszło gładko. Suan była uparta jak muł. A poza tym, kiedy jeszcze były nowicj uszkami, a potem Przyjętymi, to córka rybaka, a nie siostrzenica króla wodziła prym, co z początku zaskoczyło Moiraine, kiedy sobie to uświadomiła, dopóki nie zrozumiała, że z jakiegoś powodu wydaje się to jak najbardziej naturalne. Suan urodziła się, żeby władać.

–Tego, co mam, wystarczy na moje potrzeby – burknęła, ale Moiraine uparła się, by dać jej połowę monet ze swojej sakiewki, i dopiero kiedy przypomniała jej o przysiędze, którą sobie złożyły podczas pierwszych miesięcy spędzonych w Wieży, tamta mruknęła: – Przysięgłyśmy, że znajdziemy pięknych młodych królewiczów, których zwiążemy ze sobą, a potem poślubimy. Dziewczęta mówią najrozmaitsze głupstwa. Odtąd się pilnuj. Jak mnie zostawisz samą, skręcę ci kark.

Kiedy się obejmowały na pożegnanie, Moiraine stwierdziła, że trudno jej rozstać się z Suan. Godzinę temu martwiła się, czy przypadkiem nie utknie na jakiejś farmie albo czy nie zostanie wychłostana. A teraz... Czarne Ajah. W żołądku ścisnęło ją tak, że miała ochotę wymiotować. Gdybyż tylko miała odwagę Suan. Patrząc, jak przyjaciółka wymyka się z zaułka z tobołkiem na plecach, Moiraine żałowała, że nie jest Zieloną. Tylko Zielone wiązały więcej niż jednego Strażnika, a ona teraz bardzo chciała mieć przy

sobie co najmniej trzech albo czterech wojowników, którzy by jej strzegli.

Kiedy wyszła na ulicę, nie potrafiła się powstrzymać przed przyglądaniem się podejrzliwie każdej mijanej osobie, czy to był mężczyzna, czy kobieta. Jeżeli w całej sprawie uczestniczyły Czarne Ajah klębiło jej się w żołądku za każdym razem, gdy o nich pomyślała – z pewnością maczali w niej również palce zwykli Sprzymierzeńcy Ciemności. Nikt nie zaprzeczał istnieniu wykołajeńców wierzących, że Czarny ofiaruje im nieśmiertelność, ludzi, którzy zabijali i czynili wszelkiego rodzaju zło, żeby tylko otrzymać spodziewaną nagrodę. I jeśli każda siostra mogła być Czarną Ajah, to w takim razie każdy, kogo napotka na ulicy, może się okazać Sprzymierzeńcem Ciemności. Miała nadzieję, że Siuan o tym pamięta.

Kiedy już się zbliżała do „Bram Niebios”, zauważyła na progu jakąś siostrę. Czy raczej przelotne mgnienie sylwetki siostry: Moiraine spostrzegła tylko ramię w szalu z frędzlami. Jakiś wysoki mężczyzna, który właśnie stamtąd wyszedł, z włosami zaplecionymi w dwa warkocze ozdobione dzwoneczkami, odwrócił się i rozmawiał z nią przez chwilę, ale ramię w szalu wykonało rozkazujący gest i człowiek ów przeszedł obok Moiraine z chmurną miną. Nie pomyślałaby o tym dwa razy, gdyby nie te rozważania o Czarnych Ajah i Sprzymierzeńcach Ciemności. Światłość wiedziała, że Aes Sedai rozmawiały z mężczyznami, a niektóre nie tylko rozmawiały. Ale rozmyślała przedtem o Sprzymierzeńcach Ciemności. I o Czarnych siostrach. Gdyby tylko udało jej się określić kolor frędzli. Ostatnie trzydzieści kroków przebiegła ze zmarszczonym czołem.

Merean i Larelle siedziały razem obok drzwi, obie wciąż miały na sobie szale. Niewiele siostr je nosiło, chyba że podczas ceremonii albo w milczącej demonstracji. Przypatrywały się Cadsuane, która właśnie wchodziła do wynajętej bawialni, wiodąc dwóch mężczyzn, siwowłosych, ale przywodzących na myśl dęby. Ona też nosiła szal, z białym Płomieniem Tar Valon odznaczającym się jaskrawo na plecach. To mogła być każda z nich. A Cadsuane być może szukała nowego Strażnika: Zielone zawsze zachowywały się tak, jakby szukały kolejnego mężczyzny. Moiraine nie wiedziała, czy Merean i Larelle mają Strażników. Niewykluczone, że ten mężczyzna tak się krzywił, bo usłyszał odmowę. Wyjaśnić tę sytuację można było na sto sposobów, toteż przegnała tamtego mężczyznę ze swych myśli. Niebezpieczeństw było dosyć, żeby jeszcze wymyślać kolejne.

Nie zdążyła jeszcze wejść na trzy kroki do wspólnej sali, gdy wtargnął tam pan Helvin w fartuchu w zielone paski, łysy mężczyzna, niemal równie szeroki w barkach jak wysoki, dając jej nowy powód do irytacji. Do jego oberży przybyły trzy nowe Aes Sedai, więc będzie musiał „przesuwać łóżka”, jak to ujął. Lady Alys nie przeszkodzi chyba, że w takich okolicznościach będzie z kimś dzieliła swoje posłanie. Pani Palan to doprawdy

przemiała osoba.

Haesel Palan okazała się kupcem z Murandy, handlującym dywanami, w jej głosie słyszało się śpiewny akcent z Lugardu. Moiraine od chwili, gdy weszła do małej izdebki, która przedtem należała wyłącznie do niej, słyszała go częściej, niżby chciała. Jej ubrania zostały

przeniesione z szafy na kołki w ścianie, grzebień i szczotka zdjęte z umywalki, by zrobić miejsce kosmetykom pani Palan. Pulchna kobieta byłaby zapewne nieśmiała wobec „lady Alys”, ale nie wobec dzikuski, o której wszyscy mówili, że wyjeżdża rano do Białej Wieży, gdzie zostanie nowicjuszką. Wygłosiła na użytek Moiraine wykład na temat obowiązków nowicjuszek, w którym zresztą wszystko pokręciła. Potem zeszła za nią do jadalni, gdzie zgromadziła przy swoim stole wszystkich znajomych kupców, a każda kobieta w tej gromadzie miała chęć podzielić się tym, co wie o Białej Wieży. Czyli w istocie kompletnie niczym. A jednak nie oszczędziły jej najdrobniejszego szczegółu. Postanowiła, że ucieknie natychmiast, ale pani Palan zjawiała się, ledwie Moiraine zdjęła suknię, a potem gadała, póki nie zasnęła.

Noc nie należała do przyjemnych. Łóżko było wąskie, a kobieta miała kanciaste łokcie i lodowate stopy, mimo grubych koców, które zatrzymywały ciepło bijące od małego piecyka umieszczonego pod łóżkiem. Rozpętała się wreszcie burza, na którą zanosilo się przez cały dzień, wiatr i pioruny przez wiele godzin wstrząsały okiennicami. Moiraine wątpiła, czy w ogóle zaśnie. W głowie tańczyli jej Sprzymierzeńcy Ciemności i Czarne Ajah. Widziała Tamrę wywlekaną z łóżka, ciągniętą do jakiegoś ukrytego miejsca i torturowaną przez kobiety władające Mocą. Czasami te kobiety miały twarz Merean, Larelle, Cadsuane i w ogóle każdej siostry, jaką poznała w życiu. A czasami twarz Tamry stawała się jej własną twarzą.

Kiedy o szarych godzinach przedświtu rozległo się skrzypienie powoli otwieranych drzwi, Moiraine w mgnieniu oka objęła Źródło. *Saidar* wypełniał ją do momentu, w którym słodycz i radość stały się bliskie bólu. Jeszcze nie taka ilość Mocy, jaką byłaby w stanie zaczerpnąć w następnym roku, o wiele mniej niż za pięć lat, a jednak o włos więcej wypaliłoby w niej zdolność albo zabiłoby ją na miejscu. Jedno byłoby równie złe jak drugie, a mimo to pragnęła zaczerpnąć więcej, i to nie tylko dlatego, że Moc zawsze sprawiała, iż pragnęło się mieć jej w sobie więcej.

W uchylonych drzwiach zobaczyła głowę Cadsuane. Moiraine zapomniała o jej obietnicy, o pogroźce. Cadsuane oczywiście widziała łunę, czuła, ile ona obejmuje.

–Głupia dziewczyna – tyle tylko powiedziała i wyszła.

Moiraine powoli policzyła do stu, po czym wysunęła nogi spod kołdry. Moment był równie dobry jak każdy inny. Pani Palan obróciła się na bok i zaczęła chrapać. Moiraine

przeniosła Ogień, zapaliła jedną z lamp i ubrała się pośpiesznie. Tym razem w suknię do konnej jazdy. Niechętnie zdecydowała się zostawić sakwy podróżne razem z wszystkim, co musiała porzucić. Ktoś, kto ją zauważy, raczej nie pomyśli sobie za wiele mimo tak wczesnej pory, ale nie wtedy, gdy będzie miała sakwy przerzucone przez ramię. Wzięła tylko to, co się zmieściło do kieszeni wszytych w podszewkę płaszczka, czyli niewiele więcej oprócz kilku zapasowych pończoch i czystej bielizny. Kiedy Moiraine zamykała za sobą drzwi, pani Palan wciąż chrapała.

Chuderlawy stajenny z nocnej zmiany zdziwił się, że widzi ją w porze, gdy niebo dopiero zaczyna szarzeć, ale na widok srebrnej monety potarł kłykciami czoło i osiodłał jej gniadą klacz. Żałowała, że zostawia jucznego konia, ale nawet głupia szlachcianka – usłyszała, jak mężczyzna mruczy te właśnie słowa za jej plecami – nie brałaby jucznego konia na poranną przejażdżkę. Wspiąwszy się na siodło Strzały, obdarzyła stajennego chłodnym uśmiechem zamiast drugiej monety, którą dostałby bez tamtego komentarza, i wyjechała powoli na wilgotne, puste ulice. Tylko na przejażdżkę, nieważne, że tak wcześniej. Zapowiadał się ładny dzień. Niebo wypogodziło się wreszcie i prawie nie było wiatru.

Na ulicach i w zaułkach ciągle jeszcze paliły się lampy, które nigdzie nie zostawiały nic oprócz bladych cieni, a mimo to nie było widać żadnych ludzi oprócz patroli Straży Nocnej i Latarników, którzy uzbrojeni po zęby obchodzili miasto, by sprawdzić, czy któraś lampa nie zgasła. Cud, że ci ludzie potrafili żyć tak blisko Ugoru, gdzie z każdego cienia potrafił wyłonić się Myrddaal. Nikt tu nie wychodził na ulice po nocy. Nie na Ziemiach Granicznych.

Dlatego właśnie zdziwiło ją, gdy stwierdziła, że nie jest bynajmniej pierwszą osobą u zachodnich bram. Ściągnęła wodze Strzały, zatrzymała się w sporej odległości od trzech nadzwyczaj roślących mężczyzn czekających z wierzchowcami i jucznym koniem. Cała ich uwaga była skupiona na okratowanych bramach, co jakiś czas zamieniali słowo ze strzegącymi ich strażnikami. Na nią ledwie zerknęli. Dzięki ulicznym lampom widziała wyraźnie ich twarze. Szpakowały starszy mężczyzna i młodzieniec o twardej twarzy, obaj w przepaskach ze splecionego rzemienia na czołach. Malkieri? Jej zdaniem te przepaski to właśnie oznaczały. Ten trzeci, sądząc po warkoczach ozdobionych dzwoneczkami, był Arafelianinem. Ten sam mężczyzna, który wychodził z „Bram Niebios”.

Zanim jaskrawe pasmo jutrzeńki nad horyzontem dało znak, że czas otworzyć bramy, ustawiło się pod nimi kilka karawan kupieckich. Trzej postawni mężczyźni przejechali pierwsi. Moiraine przepuściła kilkanaście ośmiokonnych zaprzęgów, zanim wjechała na most i na drogę biegnącą między wzgórzami. Nie spuszczała jednak tych trzech z oka. Na razie jechali w tym samym kierunku.

Przemieszczali się szybko, wytrawni jeźdźcy, którzy rzadko zmieniali uchwyt wodzy w dłoniach, ale tempo jej odpowiadało. Im większy dystans między nią a Cadsuane, tym lepiej. Wozy kupców zostały z tyłu o wiele wcześniej, zanim około południa dotarli do pierwszej wioski, niewielkiego zbiorowiska kamiennych domostw z łupkowymi dachami, pobudowanych wokół maleńkiej oberży na zalesionym zboczu. Moiraine zatrzymała się tylko na tak długo, by zapytać, czy ktoś tam zna kobietę zwaną Avene Sahera. Odpowiedz brzmiała „nie”, więc pogalopowała dalej, nie zwalniając, dopóki przed nią, na ubitym trakcie, nie pojawili się znowu trzej mężczyźni na koniach, które nadal stałym rytmem pokonywały drogę. Może nie znali nic oprócz imienia siostry, z którą rozmawiał Arafelianin, ale jej mogło przydać się wszystko, czego się dowie na temat Cadsuane albo pozostałych dwóch.

Opracowała kilka planów zbliżenia się do nich i każdy odrzuciła. Trzej mężczyźni na pustej

leśnej drodze mogli równie dobrze stwierdzić, że samotna młoda kobieta to dla nich gratka, zwłaszcza jeśli zaliczali się do takich, których należy się obawiać. W razie czego bez problemu dałaby im radę, ale wolała uniknąć rozprawy. Lasy ustąpiły miejsca rozproszonym farmom, potem te stawały się coraz mniej liczne, aż znowu po obu stronach drogi niepodzielnie zapanowały bory. Orzeł z czerwonym czubem, który krążył nad nimi, stał się ciemną plamką na tle zachodzącego słońca.

Kiedy towarzyszący jej cień znacznie się wydłużył, postanowiła zapomnieć o mężczyznach i znaleźć jakieś miejsce na nocleg. Jeśli szczęście dopisze, niebawem zobaczy kolejne farmy i jeśli za odrobinę srebra nie dostanie łożka, będzie jej musiał wystarczyć stryszek z sianem.

Wyprzedzający ją trzech mężczyzn zatrzymali się i chwilę naradzali. Jeden zabrał konia jucznego i zboczył do lasu. Pozostali wbili pięty w boki zwierząt i pogalopowali przed siebie.

Moiraine odprowadziła ich wzrokiem. Arafelianin był jednym z tych dwóch, którzy pognali drogą, ale skoro podróżowali razem, to być może napomknął swemu towarzyszowi o spotkaniu z Aes Sedai. I jeden mężczyzna z pewnością sprawi mniej kłopotów niż trzech, jeżeli będzie ostrożna. Dojechała do miejsca, gdzie zniknął jeździec z jucznym koniem, i zsiadła ze swojej klaczy.

Tropienie stanowiło zajęcie, które większość dam pozostawiała swoim łowczym, ale ona interesowała się nim w tym wieku, kiedy to wspinaczka po drzewach i brudzenie się są jednak zabawne. Śladem połamanych gałązek i rozkopanych liści mogłoby pójść dziecko. Po jakichś stu krokach w głąb lasu wypatrzyła między drzewami staw w niewielkiej kotlinie. Mężczyzna już rozsiadł i spętał swojego gnadosza – zwierzę

wyjatkowej urody – i właśnie układał siodło na ziemi. To był ten młodszy z Malkieri, z bliska wyglądał na jeszcze rośniejszego. Rozpiął pas miecza i usiadł twarzą do stawu, pas i miecz ułożył obok, ręce na kolanach. Zdawał się patrzeć na skroś wody, nadal połyskującej w cieniach późnego popołudnia.

Moiraine zastanowiła się. Najwyraźniej miał tu rozbić obóz. Tamci dwaj wrócą. Kilka pytań nie zabierze dużo czasu. A jeśli będzie nieco zdenerwowany – choćby widokiem kobiety nagle stojącej tuż za nim – to może, odpowiadając bez namysłu, zdradzi jej prawdę. Uwiązawszy wodze Strzały do niskiego konaru, podkasła płaszcz i spódnice, po czym ruszyła przed siebie tak cicho, jak to było możliwe. Weszła na niewielki pagórek, który stał tuż za nim. Nie zawadzi, jeśli wyda się wyższa. Był wyjątkowo roslym mężczyzną. I na pewno nie zawadzi, jeśli będzie trzymała nóż w jednym ręku, a jego miecz w drugim. Przeniosła Moc, dzięki czemu mogła wysunąć ostrze z pochwy leżącej u jego boku. Wszystko po to, by wywołać odpowiednio wstrząsające...

Poruszał się szybciej niż myśl. Zacisnęła dłoń na pochwie miecza, a on rozprostował się, wykonując obrót, jedną ręką chwycił trzymaną przez nią pochwę, drugą złapał za przód jej sukni. Nim przyszło jej do głowy, żeby przenieść, frunęła przez powietrze. Zdażyła tylko

zobaczyć zbliżającą się powierzchnię stawu, krzyknąć – i już całym ciałem uderzyła w wodę, tracąc oddech, i z donośnym pluskiem poszła na dno. Woda okazała się zimna jak lód! Pod wpływem wstrząsu utraciła kontakt z *saidarem*.

Niezdarnie przebierała nogami, aż stanęła po pas zanurzona w lodowatej wodzie, kaszląc, z mokrymi włosami oblepiającymi twarz, w przemokniętym płaszczu ciężącym na ramionach. Rozwścieczona zwróciła się ku swemu napastnikowi, raz jeszcze objęła Źródło. Sprawdzian umiejętności wymaganych do przywdziania szala obejmował przenoszenie z absolutnym spokojem w stanie wielkiego napięcia – robiono jej znacznie gorsze rzeczy. Odwróciła się, gotowa powalić go na ziemię i tłuc tak długo, aż zacznie pisać!

On tymczasem stał, kręcąc głową, i skrzywiony wpatrywał się w miejsce, gdzie przedtem stała, oddalone o cały długi krok od miejsca, gdzie wcześniej siedział. Potem nareszcie raczył zwrócić na nią uwagę, podszedł do brzegu stawu i pochylił się, by podać jej rękę.

–Próba rozdzielenia mężczyzny i jego miecza to nierozważny czyn – powiedział i zerknąwszy na kolorowe rozcięcia w jej sukni, dodał: – Moja pani. – Raczej nie były to przeprosiny. Jego zdumiewająco niebieskie oczy unikały jej wzroku. Jeżeli ukrywał rozbawienie...!

Mruczając coś pod nosem, niezdarnie dobrnęła do miejsca, gdzie mogła ująć jego

wyciągniętą rękę... i podźwignęła się całym ciężarem. Niełatwo zignorować lodowatą wodę ściekającą ci po żebrach, a poza tym, jeśli ona była mokra, to niech i on będzie, na dodatek bez potrzeby korzystania...

Wyprostował się, podniósł ramię i Moiraine wynurzyła się z wody, zawisnąwszy na jego ręce. Wpatrywała się w niego z konsternacją, dopóki jej stopy nie dotknęły ziemi. Cofnęła się wtedy.

–Rozpalę ognisko i rozwieszę koce, żebyś mogła się osuszyć – mruknął, wciąż nie patrząc jej w oczy.

Okazał się słowny i zanim pojawili się pozostali mężczyźni, stała obok niewielkiego ogniska przesłoniętego kocami, które wygrzebał ze swoich sakw i rozwiesił na gałęziach. Oczywiście nie potrzebowała ani ognia, ani prywatności, żeby wyschnąć. Odpowiedni splot Ognia wyciągnął każdą kroplę z jej włosów i odzienia, które zostawiła na sobie. On jednak jakby tego nie dostrzegwał. Niemniej jednak rozkoszowała się ciepłem płomieni, a zresztą i tak musiała pozostać za kocami dostatecznie długo, by mężczyzna pomyślał, że osuszyła się przy ogniu. Z premedytacją przywarła do *saidara*.

Przybyli pozostali dwaj mężczyźni i wypyтали go, czy „ona” wjechała w ślad za nim do lasu. A więc wiedzieli? Ludzie wprawdzie w tych czasach strzegli się bandytów, ale zobaczyli samotną kobietę i uznali, że jedzie za nimi? To wydawało się podejrzane.

–Cairhienianka, Lan? Ty już pewnie widziałeś kiedyś taką w samej skórze, ale ja nigdy. – Dzięki wypełniającej ją Mocy usłyszała te słowa, a także inny jeszcze odgłos. Szelest stali ocierającej się o skórę.

Miecz opuszczający pochwę. Przygotowawszy kilka splotów, które powstrzymałyby tych trzech, zrobiła szczelinę w kocach, by wyrzeć na zewnątrz.

Ku jej zdumieniu, mężczyzna, który ją wrzucił do wody – Lan? – stał tyłem do koców. To on trzymał miecz w ręku. Patrzący mu w oczy Arafelianin wyglądał na zdziwionego.

–Pamiętasz chyba widok Tysiąca Jezior, Ryne – rzekł zimno Lan. – Czy kobieta potrzebuje ochrony przed twoim wzrokiem?

Przez chwilę myślała, że Ryne dobędzie miecza, mimo że Lan swój już trzymał w ręku, ale starszy mężczyzna, mocno wyniszczony i siwiejący, aczkolwiek równie wysoki jak pozostali, załagodził sytuację, odwodząc tamtych na pewną odległość i mówiąc o jakiejś grze, która nazywa się „siódemki”. Dziwna to była gra. Lan i Ryne usiedli na skrzyżowanych nogach, z mieczami w pochwach, po czym dobyli je bez żadnego ostrzeżenia, ostrze jednego błysnęło przed gardłem drugiego, zatrzymując się tuż przy skórze. Starszy mężczyzna wskazał Ryne’a, pochowali miecze, po czym zrobili to znowu. I tak to jakiś czas trwało. Być może Ryne nie był aż taki pewien siebie, na

jakiego wyglądał.

Gdy tak czekała za kocami, usiłowała sobie przypomnieć, czego ją uczono o Malkier. Niewiele tego było oprócz faktów historycznych. Ryne pamiętał Tysiąc Jezior, więc on też musiał być Malkieri. I jeszcze było coś związanego z kobietami, które znalazły się w potrzebie. Skoro już jest z nimi, to postąpi właściwie, jeśli z nimi zostanie i dowie się, ile można.

Kiedy wyszła zza koców, wiedziała już, co robić.

–Powołuję się na prawo samotnej kobiety – oznajmiła oficjalnie. – Podróżuję do Chachin i dopraszam się ochrony waszych mieczy. – Wcisnęła w dłoń każdego z mężczyzn grubą monetę. Nie była tak do końca pewna, na czym polega ten nedorzeczny pomysł z „samotną kobietą”, ale srebro zazwyczaj dobrze działało na ludzi. – I jeszcze dwie, płatne w Chachin.

Reakcje nie były takie, jakich się spodziewała. Ryne obrócił monetę w palcach, przyglądając się jej ponuro. Lan popatrzył na swoją bez wyrazu i chrząknawszy, schował ją do kieszeni kaftana. Dała im wprawdzie kilka swoich ostatnich marek wybitych w Tar Valon, ale monety z Tar Valon można było znaleźć wszędzie, na równi z walutą innych krajów.

Dowiedzenie się czegokolwiek okazało się trudne. Niemożliwe. Najpierw byli zajęci rozbijaniem obozowiska, doglądaniem koni, rozpalaniem większego ognia. Bez niego wyraźnie nie mieli zamiaru stawiać czoła nocy nowej wiosny. Bukama i Lan ledwie



powiedzieli słowo przy kolacji złożonej z sucharów i suszonego mięsa, której ona bardzo starała się nie jeść zbyt zachłannie. Jej żołądek aż za dobrze pamiętał, że tego dnia jeszcze nic nie wzięła do ust. Ryne zagadywał ją, i to ze sporym wdziękiem, uśmiechał się, ukazując dołki w policzkach, a w jego niebieskich oczach igrały iskierki, ale nawet nie dał jej wspomnieć o „Bramach Niebios” czy o Aes Sedai. Kiedy wreszcie spytała, po co jadą do Chachin, znienacka posmutniał.

–Każdy mężczyzna musi gdzieś umrzeć – powiedział cicho i odszedł na bok, by rozłożyć sobie koce.

Lan pierwszy wziął wartę, usadowiwszy się na skrzyżowanych nogach nieopodal Ryne’a, a kiedy Bukama ugasił ognisko i owinął się w koce obok Lana, utkała wokół każdego z mężczyzn zabezpieczenie z Ducha. Sploty Ducha, które nałożyła na śpiących, obudzą ją, gdyby któryś choćby poruszył się w nocy, nie alarmując ich samych. Oznaczało to budzenie się za każdą zmianą warty, ale to nie było takie straszne. Jej koce leżały w sporej odległości od legowisk mężczyzn i kiedy się kładła, Bukama mruknęła coś, czego nie dosłyszała. Za to dostatecznie wyraźnie usłyszała odpowiedź Lana:

–Prędzej zaufałbym jakiegś Aes Sedai, Bukama. Idź spać.

Cały gniew, który do tej pory w sobie tłumiła, rozgorzał na nowo. Ten człowiek wrzucił ją do lodowatego stawu, nie przeprosił, on...! Przeniosła, splot Powietrza z Wodą i odrobiną Ziemi. Od powierzchni stawu uniósł się gruby słup wody, który jął rosnać coraz wyżej i wyżej w świetle księżyca, a potem zginać się w łuk. Wreszcie spadł na tego durnia, który nie strzegł swego języka!

Bukama i Ryne, klnąc głośno, poderwali się na nogi, ale ona nie przerwała tej ulewy, dopóki nie doliczyła do dziesięciu. Uwolniona woda gwałtownie zalała całe obozowisko. Spodziewała się zobaczyć przemokniętego, w połowie zamrożonego mężczyznę gotowego się uczyć należytego szacunku. Ociekał wilgocią, u jego stóp miotano się kilka małych rybek. Stał. Z dobytym mieczem.

–Pomiot Cienia? – spytał Ryne z niedowierzaniem, a Lan natychmiast mu odpowiedział:

–Może! Strzeż tej kobiety, Ryne! Bukama, ty od zachodu, ja od wschodu!

–To nie Pomiot Cienia! – warknęła Moiraine, sprawiając, że zatrzymali się jak wryci i spojrzeli na nią wytrzeszczonymi oczyma. Żałowała, że nie widzi dokładniej ich twarzy ukrytych w księżycowych cieniach, ale one z kolei, rozedrgane od chmur, wspomagały ją także, maskując jej tajemnicę. Z wielkim wysiłkiem nadała swemu głosowi cały chłód opanowania Aes Sedai, jaki mogła z siebie wykrzesać. – Okazywanie Aes Sedai czegokolwiek innego oprócz szacunku to nierozważny czyn, panie Lan.

–Aes Sedai? – szepnął Ryne. Mimo mętnego światła wyraźnie było widać zgrozę na jego twarzy. A może był to strach.

Żaden się nie odezwał, tylko Bukama burczał pod nosem, wywlekając posłanie z błota. Ryne długo przenosił swoje koce, kłaniając jej się nieznacznie za każdym razem, gdy zerknęła w jego kierunku. Lan nie próbował się osuszyć. Najpierw zaczął wybierać miejsce, gdzie mógłby pełnić wartę, potem jednak zatrzymał się i usiadł tam, gdzie stał, w błocie i wodzie. Moiraine byłaby to uznała za gest pokory, gdyby na nią nie spojrział, tym razem niemalże patrząc jej w oczy. Jeżeli to była pokora, to królowie byli najpokorniejszymi ludźmi na ziemi.

Rzecz jasna ponownie utkała wokół nich zabezpieczenia. Zdradziła się, więc tym bardziej było to konieczne. Niemniej jednak jeszcze przez jakiś czas nie kładła się do snu. Miała sporo tematów do przemyśleń. Przede wszystkim żaden z mężczyzn nie zapytał, dlaczego za nimi pojechała. I ten Lan, który nie dał się zaskoczyć, tylko od razu poderwał się na nogi! A kiedy już odpływała w sen, z jakiegoś powodu myślała o Rynie. Szkoda, że zaczął jej się bać. Miał dużo wdzięku, poza tym nie miała nic przeciwko temu, że jakiś mężczyzna pragnął zobaczyć ją bez ubrania, tylko że mówił o tym innym.

Lan podejrzewał od początku, że o podróży do Chachin z pewnością będzie chciał

jak najszybciej zapomnieć, i jego obawy się potwierdziły. Dwakroć przeżyli burzę, lodowaty deszcz ze śniegiem, ale to wcale nie było najgorsze. Bukama był wściekły, że Lan odmówił okazania należnych względów niepozornej kobiecie, która mieniła się Aes Sedai, ale znał też racje, jakie za tym stały, i nie naciskał. Tylko narzekał, bez przerwy właściwie, kiedy sądził, że Lan niczego nie słyszy: niezależnie od tego, czy tamta jest Aes Sedai, czy nie, mówił, przyzwoity mężczyzna powinien przestrzegać określonych form. Jakby jego przekonania różniły się od przekonań Lana. Ryne krzywił się i patrzył na nią rozszerzonymi oczami, usługiwał i biegał dookoła, nie ustając w komplementach, jak choćby: „śnieżny jedwab skóry” albo: „głębokie, ciemne stawy jej oczu”, zachowując się niczym dobrze wytresowany dworak. Wydawał się całkowicie rozdarty między pełnym ogłupieniem a przerażeniem, czego nie potrafił przed nią ukryć. To już byłoby wystarczająco źle, jednak Ryne zachowywał się rozsądnie. Lan zaś więcej niżli raz w życiu miał okazję spotkać się oko w oko z Cairhienianami, a każdy z nich próbował wplątać go w jakąś intrygę albo nawet kilka. Podczas dziesięciu dni spędzonych w południowym Cairhien, które szczególnie wbiły mu się w pamięć, sześć razy omalże nie został zabity i dwukrotnie prawie nie ożeniony. Cairhienianka i jednocześnie Aes Sedai? Nie było chyba gorszej kombinacji.

Ta Alys – sama kazała nazywać się Alys, w co zwątpił od początku, tak zresztą, jak nie dowierzał pierścieniowi z Wielkim Wężem, który mu pokazała, szczególnie po tym, gdy natychmiast schowała go do sakwy, mówiąc, iż nikt nie może się dowiedzieć, że ona jest Aes Sedai – otóż ta „Alys” była doprawdy wredna. Normalnie nie zwróciłby na to uwagi, czy to u mężczyzny, czy kobiety, niezależnie od tego, czy byłby gorący, czy zimny. Ona była zimna jak lód. Tej pierwszej nocy siedział w całkiem przemoczonych rzeczach, aby dać jej do zrozumienia, że akceptuje to, co zrobiła. Skoro mieli podróżować razem, lepiej żeby od początku było jasne, iż rachunki zostały wyrównane. Z tym że ona nie zrozumiała.

Jechali ostrym tempem, ani razu nie zatrzymując się na dłużej w mijanych wioskach, większość nocy przespali pod gwiazdami, ponieważ żadne z nich nie miało pieniędzy na nocleg w gospodzie, przynajmniej nie dość, by zapłacić za czworo ludzi i ich konie. Spał przy każdej nadarzającej się okazji. Drugiej nocy „Alys” nie zmrużyła oka aż do świtu i zadbała o to, aby on również się nie położył; gdy tylko skłonił głowę, czuł ostre podcięcia niewidzialnego bata. Trzeciej nocy jakimś sposobem do jego ubrania i butów dostał się piasek, całe garście. Udało mu się go częściowo wytrześć, ale mnóstwo jeszcze zostało i następnego dnia jechał cały upiaszczony. Czwartej nocy... Nie potrafił pojąć, jak jej się udało zmusić mrówki, by wpełzły pod jego bieliznę, i sprawić, by

wszystkie gryzły go równocześnie. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że było to jej dzieło. Stała nad nim, kiedy gwałtownie otworzył oczy, i wydawała się zaskoczona, że nie krzyczy. Najwyraźniej zależało jej na jakiejś reakcji z jego strony, jakimś działaniu, ale nie potrafił zrozumieć, co to miałyby być. Z pewnością nie prośba o ochronę. Ochrona Bukamy była całkowicie wystarczająca, a poza tym ona dała im pieniądze. Ta kobieta nie potrafiła rozpoznać obrazy, nawet wtedy, gdy sama dawała powód.

Kiedy po raz pierwszy zobaczyli ją na drodze, a mijała właśnie wozy kupców i towarzyszących im strażników, Bukama podsunął im myśl, dlaczego też samotna kobieta miałaby podążać za trzema mężczyznami. Jeżeli sześciu uzbrojonych w miecze mężczyzn nie zdoła zabić człowieka w pełni dnia, rozumował, być może uda się to kobiecie po nocy. Bukama oczywiście nie wspominał nawet o Edeyn. W rzeczywistości było to zupełnie nieprawdopodobne, ponieważ już by wówczas nie żył, miast tylko zostać przemoczony do nitki, jednak Alys nawet się nie zająknęła, żeby coś wyjaśnić, mimo że aż było widać, jak bardzo Bukama na to czeka. Edeyn mogła posłać tę kobietę, aby ich śledziła, sądząc, że w jej obecności nie będzie zbyt czujny. A więc Lan ją obserwował. Jednakże jego podejrzenia, jeśli w ogóle można było to tak nazwać, wzbudziło tylko to, że w każdej wiosce rozpytywała się o coś, zawsze trzymając się z dala od nich i milknąc, gdy podchodzili bliżej. Jednak dwa dni za Canluum przestała indagować ludzi. Być może znalazła odpowiedź na swoje pytanie w wiosce targowej zwanej Ravinda, jeśli jednak nawet tak było, nie potrafił dostrzec zadowolenia na jej twarzy. Tej nocy odkryła w pobliżu ich obozowiska kępę pęcherzycy, a wtedy, ku swemu zawstydzeniu, Lan omalże nie stracił panowania nad sobą.

Jeżeli Canluum można było określić jako miasto wzgórz, Chachin należało nazwać co najmniej miastem gór. Trzy najwyższe wznosiły się niemalże na milę ku niebu, mimo ściętych szczytów, a wszystkie lśniły w słońcu glazurowaną różnymi barwami dachówką na domach i pałacach. Dachy najwyższego z nich, Pałacu Aesdaishar, błyszczały najjaśniej ze wszystkich, czerwienią i zielenią, Czerwony Koń w skoku powiewał ponad jego największą kopułą. Miasto otaczały potrójnym kręgiem zwieńczone wieżami mury obronne, ponadto sucha fosa szerokości stu kroków, przez którą przerzucono ponad dwadzieścia mostów, przy czym krańca każdego bronił potężny barbakan. Ruch uliczny był tutaj tak gęsty, natomiast Ugór tak odległy, że gwardziści z Czerwonym Koniem na piersiach nawet w części tak nie przykładali się do swych obowiązków jak w Canluum; niemniej pokonanie Mostu Jutrzenki w strumieniach ludzi i wozów płynących w obie strony wciąż zabierało

nie mało czasu. Kiedy już znaleźli się w środku, Lan nie marnował czasu nawet na ściąganie wodzy.

–Znajdujemy się pod osłoną murów Chachin – powiedział, zwracając się do kobiety.

–Wywiązałem się ze ślubowania. Zatrzymaj swoje monety – dodał zimno, gdy sięgnęła do sakiewki.

Ryne natychmiast zaczął coś mamrotać o obrażaniu Aes Sedai i uśmiechać się przepaszająco, natomiast Bukama basem gderał o mężczyznach, co mają maniery wieprzy. Sama kobieta popatrzyła na Lana z takim brakiem wyrazu, że naprawdę mogłaby być tą, którą się mieniła. Niebezpieczne pretensje, jeśli bezpodstawne. Jeżeli jednak prawdziwe, to...

Zawrócił Kocięgo Tancerza i pogalopował ulicą, roztrącając zarówno pieszych, jak i nielicznych konnych. Bukama i Ryne dogonili go dopiero w połowie drogi na górę, na której znajdował się Aesdaishar. Jeżeli Edeyn była w Chachin, z pewnością tam właśnie ją znajdą. Bukama i Ryne uznali, że mądrzej będzie zachować całkowite milczenie.

Pałac zajmował cały spłaszczony szczyt górski. Ogromna, lśniąca budowla gęsto utkana kopułami i wysokimi balkonami, rozpościerała się na obszarze pięćdziesięciu hajdów. Właściwie było to niewielkie miasto. Zdobione Czerwonym Koniem wielkie bramy z brązu stały otwarte na oścież pod pokrytymi czerwoną glazurą łukami, a kiedy już Lan się przedstawił – jako Lan Mandragoran, nie zaś al'Lan – sztywni strażnicy natychmiast się uśmiechnęli i zgięli w ukłonach. Służący w czerwieniach i zieleniach podbiegli, aby zabrać ich konie i wskazać drogę do pokoi odpowiednich dla ich pozycji. Bukama i Ryne dostali po małym pomieszczeniu nad kozłami, Lana ulokowano w trzypokojowym apartamencie o ścianach wyłożonych jedwabnymi draperiami, z sypialnią, której okna wychodziły na pałacowe ogrody, a ponadto przydzielono mu trzy służące o surowych twarzach oraz chudego młodzieńca na posyłki.

Trochę czasu poświęcił na ostrożne wypytywanie służby, aż w końcu zdobył odpowiedzi, na których mu zależało. Królowa Ethenielle nie wróciła jeszcze z podróży po centrum kraju, jednak Brys, Książę Małżonek, był w pałacu. Podobnie jak lady Edeyn Arrel. Kobieta uśmiechnęła się, kiedy o tym wspomniała – od początku wszyscy wiedzieli, o co mu chodzi.

Umył się sam, potem jednak pozwolił, aby kobiety go ubrały. To, że były służącymi, nie stanowiło powodu, by je obrażać. Miał ze sobą białą jedwabną koszulę, która znajdowała się w dość przyzwoitym stanie, oraz dobry kaftan z czarnego jedwabiu haftowany na rękawach w złote róże z gatunku krwawniczych na tle ich haczykowatych kolców. Róże te symbolizowały utratę i pamięć o niej. Potem odesłał kobiety, nakazując im strzec swoich drzwi, i usiadł, czekając. Spotkanie z Edeyn musi się odbyć w miejscu publicznym, najlepiej na oczach tak wielu ludzi, jak to tylko możliwe.

Przyszło zaproszenie do jej prywatnych komnat, które zignorował. Zwykła grzeczność wymagała pozostawienia mu trochę czasu, by mógł wypocząć po podróży,

jednak wydawało mu się, że zanim *shatayan* przyniosła zaproszenie od Brysa, upłynęła wieczność. *Shatayan* okazała się stateczną, siwiejącą kobietą zachowującą godność, której pozazdrościć by jej mogła niejedna królowa. Była przełożoną całej pałacowej służby i stanowiło dlań zaszczyt, że zechciała być jego przewodnikiem. A goście potrzebowali przewodnika, by znaleźć drogę w labiryntach Pałacu. Miecz zostawił na lakierowanym stojaku obok drzwi. Tutaj na nic mu się nie przyda, poza tym, gdyby go przypasał, Brys mógłby się poczuć obrażony, znaczyłoby to bowiem, że gość nie czuje się bezpieczny w jego dziedzinie.

Z początku spodziewał się całkowicie prywatnej audiencji, jednak *shatayan* zawiodła go do komnaty pełnej ludzi. Służący poruszali się bezszelestnie, proponując przyprawiane korzeniami wino lordom i damom w jedwabiach haftowanych w godła ich Domów oraz bardziej pospolitym gościom ubranym w świetne wełny zdobione godłami ważniejszych gildii. I jeszcze innym... Lan dostrzegł *hadori* na czołach mężczyzn, którzy, jak doskonale wiedział, nie nosili ich od dziesięciu lat albo i więcej. Kobiety z włosami równo przyciętymi na wysokości ramion albo i wyżej miały namalowane na czołach maleńkie kropki *ki'sain*. Niektórzy witali go skinieniem głowy, inni głębokimi ukłonami – oto byli mężczyźni i kobiety, którzy postanowili przypomnieć sobie o Malkier.

Księżę Brys, krępy mężczyzna o grubych rysach, był już dobrze w średnich latach. Od pierwszego spojrzenia widać było, że bardziej stosownie wyglądałby w zbroi niżli w tych zielonych jedwabiach, chociaż po prawdzie należało stwierdzić, że przywykł do obu tych strojów. Brys był nie tylko małżonkiem Ethenielle, lecz również jej Mistrzem Miecza i generałem jej armii. Chwycił Lana za ramię, kiedy ten chciał się ukłonić.

–Lan, nie mam zamiaru dopuścić, by człowiek, który dwukrotnie uratował mi życie na Ugorze, zachowywał się wobec mnie w ten sposób. – Zaśmiał się. – Poza tym twoje przybycie sprawiło chyba, że część twego szczęścia przeszła na Diryka. Rano spadł z balkonu, z dobrych pięćdziesięciu stóp, i nie złamał sobie nawet jednej kości. – Skinął na swego drugiego syna, ładnego ośmioletniego chłopca o ciemnych oczach, w podobnym kaftanie, jaki nosił on sam. Skroń chłopca znaczył wielki siniak, poruszał się też dosyć sztywno, co wskazywało na inne jeszcze, niewidoczne obrażenia, jednak udało mu się ukłonić Lanowi, nie łamiąc etykiety, i tylko szeroki od ucha do ucha uśmiech psuł nieco wrażenie ceremonialności. – Powinien być na lekcjach – powiedział Brys – ale tak bardzo chciał się z tobą zobaczyć, że zupełnie zapomniał o wszystkim, czego się nauczył, nadto skaleczył się mieczem.

Chłopak zmarszczył brwi i zaprotestował, że to nieprawda, nigdy by się przecież nie skaleczył bronią.

Lan równie ceremonialnie odpowiedział Dirykowi na jego ukłon, po czym musiał

sobie poradzić z zalewem pytań chłopca. Tak, walczył z Aielami, zarówno na południu, jak i w marchiach Shienaru, ale oni byli tylko ludźmi, choć wielce niebezpiecznymi, nie zaś gigantami wysokimi na dziesięć stóp; rzeczywiście przed walką zasłaniali twarze, ale nie zjadali swoich zmarłych. Nie, Biała Wieża nie jest tak wysoka jak góra, chociaż wyższa od wszelkich ludzkich budowli, jakie Lan widział w życiu, nawet od Kamienia Łzy. Gdyby dać mu taką możliwość, chłopak byłby gotów wyciągnąć z niego wszystko, co wiedział o Aielach, oraz cudach wielkich miast na południu – Tar Valon i Far Madding. Z pewnością by nie uwierzył, że Chachin jest równie wielkie jak każde z tamtych.

–Lord Mandragoran z pewnością później chętnie wypełni luki w twojej wiedzy – zwrócił się Brys do syna. – Teraz jednak będzie musiał się spotkać z kimś innym. Zmiataj do Pani Tuval i swoich książek.

Edeyn wyglądała zupełnie tak samo, jak Lan ją zapamiętał. Och, postarzała się o dziesięć lat, siwizna oprószyła jej skronie, w kącikach oczu pojawiło się kilka nowych zmarszczek, ale te wielkie ciemne oczy pochwyciły go z całą swoją siłą. Jej *ki'sain* wciąż był biały, jak przystoi wdowie, a włosy dalej zwisały rozplecione, czarnymi falami spływając do talii. Przywdziała suknię z czerwonego jedwabiu, na modłę Domani, bardzo ściśle przylegającą do ciała i nieco zbyt przezrystą. Była piękna, jednak na to nawet ona nie mogła nic poradzić.

Kiedy jej się skłonił, przez krótką chwilę tylko na niego patrzyła, zimno i z namysłem.

–Chyba byłoby ci... łatwiej, gdybyś przyszedł na moje pokoje – powiedziała cicho, zdając się nie dbać o to, że Brys wszystko słyszy.

A potem, ku jego całkowitemu zdumieniu, uklękła wdzięcznie przed nim i ujęła jego ręce w swe dłonie. – Ja, Edeyn ti Gemallen Arrel, składam przysięgę wierności lennei al'Lanowi Mandragoranowi, Lordowi Siedmiu Wież, Lordowi Jezior, prawdziwemu Mieczowi Malkier. Niech z jego ręki zginie Cień!

Nawet Brys wydawał się zdziwiony. Gdy Edeyn całowała palce Lana, w powietrzu zawisła przedłużająca się cisza. Potem ze wszystkich stron rozległy się wiwaty. Okrzyki: „Złoty Żuraw!”, a nawet: „Kandor nie opuści Malkier!”

W tym zamieszaniu mógł wreszcie uwolnić dłonie, po czym pomógł jej wstać.

–Moja pani... – zaczął napiętym głosem.

–Będzie, co musi być – powiedziała, kładąc mu dłoń na ustach. A potem rozpląnęła się w tłumie tych, którzy chcieli być blisko niego, gratulując mu, i którzy w tej samej chwili również przysięgli mu wierność, gdyby im tylko na to pozwolił.

Uratował go Brys, odciągając na długi krużganek o kamiennej balustradzie, z którego

rozciągał się widok na dachy położonych dwieście stóp niżej domów. Krużganek ten cieszył się sławą miejsca, do którego Brys wycofywał się, kiedy potrzebował odrobiny prywatności, toteż nikt nie poszedł za nimi. Prowadziły doń tylko pojedyncze drzwi, nie było okien, z pałacu nie docierał żaden dźwięk.

–Co zrobisz? – zapytał wprost starszy mężczyzna, kiedy spacerowali po krużganku.

–Nie mam pojęcia – odparł Lan. Wygrał jedynie potyczkę, ale czuł się zupełnie ogłuszony tym, jak łatwo mu poszło z tak groźnym przeciwnikiem, kobietą, która część jego duszy wplotła sobie we włosy.

Przez resztę spotkania rozmawiali przyciszonymi głosami o polowaniu i bandytach oraz o tym, czy tegoroczne zamieszki na Ugorze mogą wkrótce się skończyć. Brys żałował, że wycofał swoją armię z wojny przeciwko Aielom, ale nie było innego wyjścia. Omawiali plotki dotyczące mężczyzny, który potrafił przenosić – każda z nich wskazywała inne miejsce jego pobytu, Brys sądził, że to kolejny twór rozgorączkowanych wyobraźni, a Lan zgodził się z nim – oraz o Aes Sedai, które zdawały się być wszędzie, ale dlaczego, tego nie wiedział nikt. Ethenielle napisała do niego, że w wiosce na trasie, którą zdążała, dwie siostry złapały kobietę udającą Aes Sedai. Kobieta potrafiła przenosić, ale na nic jej się to nie zdało. Te dwie prawdziwe Aes Sedai powlokły ją piszczącą przez całą wioskę, a potem zmusiły, by wyznała swoje zbrodnie przed wszystkimi mieszkającymi tam mężczyznami i kobietami. Potem jedna z sióstr wyruszyła, by odwieźć tamtą do Tar Valon, gdzie czekała na nią prawdziwa kara, na czymkolwiek by ona miała polegać. Lan przyłapał się na tym, że ma nadzieję, iż owa Alys nie kłamała, mówiąc, że jest prawdziwą Aes Sedai.

Miał także nadzieję, że tego dnia uniknie spotkania z Edeyn, kiedy jednak odprowadzono go do jego komnat, czekała już tam nań, rozmarzona, w jednym ze złoconych foteli. Nigdzie nie było widać służących.

–Obawiam się, że już wcale nie jesteś piękny, najdroższy – powiedziała, gdy wszedł. – Sądzę, że być może nawet będziesz wstrętny, kiedy się zestarzejesz. Ale zawsze bardziej niż twoja twarz podobały mi się twoje oczy. I twoje ręce.

Przystanął jak wryty, wciąż ściskając klamkę.

–Moja pani, nie minęły dwie godziny, jak przysięgałaś...

Przerwała mu:

–I będę posłuszna mojemu królowi. Ale król nie jest królem sam na sam ze swoją *carneira*. Przyniosłam twoje *daori*. Podaj mi je.

Jakby kierowane własną wolą, jego oczy podążyły za jej gestem ku płaskiej lakierowanej szkatułce na niewielkim stoliczku obok drzwi. Podniesienie osadzonego na prostych zawiasach wieczka wymagało odeń tyle wysiłku, jakby dźwigał głaz. Wewnątrz

spoczywało zwinięte pasmo splecionych włosów. Potrafił przypomnieć sobie każdą chwilę tego ranka po ich pierwszej nocy spędzonej razem, kiedy zabrała go do kobiecej części Królewskiego Pałacu w Fal Moran, a potem pozwoliła damom i służącym patrzeć, jak obcina jego włosy do ramion. Nawet powiedziała im dokładnie, co to oznacza. Wszystkie kobiety były rozbawione, żartowały, kiedy siedział u stóp Edeyn i splatał dla niej *daori*. Edeyn stosowała się do obyczajów, ale na swój własny sposób. Włosy z upływem lat zrobiły się miękkie i giętkie – musiała myć je mydłem każdego dnia.

Powoli przeszedł przez pomieszczenie, ukląkł przed nią i w wyciągniętych dłoniach podał jej *daori*.

–Jako symbol tego, co jestem ci winien, Edeyn, teraz i na zawsze. – Jeśli nawet w jego głosie nie było już nic z zapachu tamtego pierwszego ranka, z pewnością zrozumiała.

Nie przyjęła splotu. Zamiast tego wpatrzyła się weń uważnie.

–Nie było cię aż tak długo, żebyś zapomniał nasze obyczaje – oznajmiła na koniec. – Chodź.

Powstała, schwyciła go za nadgarstek i zaciągnęła go do okna wychodzącego na ogród znajdujący się dziesięć kroków poniżej. Dwaj służący podlewali rośliny wodą z wiader, młoda kobieta kroczyła po ścieżce w błękitnej sukience jaskrawej jak wczesne kwiaty, które rosły pod drzewami.

–Moja córka, Iselle. – Na moment głos Edeyn zabarwiły duma i uczucie. – Pamiętasz ją? Teraz ma siedemnaście lat. Jeszcze nie wybrała swego *carneira* - młodzi mężczyźni byli wybierani przez swoją *carneira*, młode kobiety same wybierały swoich – ale sądzę, że już czas, by wyszła za mąż.

Niewyraźnie, jak przez mgłę, pamiętał dziewczynkę, która zawsze sprawiała, że służący mieli mnóstwo do roboty, oczko w głowie matki. Wówczas jednak jego myśli całkowicie wypełniała Edeyn.

–Nie ma najmniejszych wątpliwości, że jest równie piękna jak jej matka – powiedział grzecznie. Skręcał *daori* w palcach. Póki je trzymał, miała nad nim przewagę, niepodważalną przewagę, ale w końcu musiała je wziąć. – Edeyn, musimy porozmawiać.

Zignorowała jego słowa.

–Czas, abyś ty również się ożenił, najdroższy. Ponieważ żadna z twoich kuzynek nie żyje, ja będę musiała wszystko zaaranżować.

Aż dech mu zaparło w piersiach, gdy pomyślał o możliwych implikacjach. Z początku nie mógł uwierzyć.

–Z Iselle? – zapytał ochryple. – Z twoją córką? – Mogła sobie na własny sposób



dochowyać obyczajów, ale to już było coś skandalicznego. – Nie dam się

wmanewrować w coś tak haniebnego, Edeyn. Ani przez ciebie, ani przez to. – Potrząsnął *daori* przed jej oczyma, jednak ona tylko spojrzała na nie i uśmiechnęła się.

–Oczywiście, że nikt cię nie będzie do tego zmuszał, najdroższy. Jesteś mężczyzną, a nie chłopcem. Po prostu zastosujesz się do obyczaju. – Urwała, przesunęła placem po splocie włosów drżącym w jego dłoni. – Być może rzeczywiście powinniśmy porozmawiać.

Zaprowadziła go jednak do łóżka.

Moiraine spędziła większość dnia na zadawaniu dyskretnych pytań w gospodach najbardziej niebezpiecznych dzielnic Chachin, gdzie jej jedwabna suknia i spódnice rozcięte do konnej jazdy przyciągały spojrzenia zarówno właścicieli, jak i klientów. Jeden pomarszczony człowiek, na którego twarzy zastygł na trwałe złośliwy grymas, powiedział jej, że jego przybytek zupełnie się nie nadaje dla kogoś takiego jak ona, i próbował ją zaprowadzić w bardziej stosowne miejsce. Zezwata kobieta o okrągłej twarzy zarechotała i oznajmiła, że wieczorni klienci zjedzą taką delikatną ślicznotkę na kolację, jeżeli nie zemknie stąd szybko, natomiast starszy mężczyzna o ojcowskiej twarzy, różowych policzkach i radosnym uśmiechu zbyt chętnie częstował ją przyprawionym korzeniami winem, które przyrządzał tak, by nie mogła tego widzieć. Nie pozostawało jej nic innego, jak tylko zacisnąć zęby i pójść dalej. To było właśnie miejsce z rodzaju tych, w których Siuan tak lubiła bywać, kiedy jako Przyjętym pozwalano im na jedną z rzadkich wypraw do Tar Valon, tanie i z pewnością omijane przez siostry, jednak pod żadnym nazwiskiem nie zatrzymała się tu niebieskooka Tairenianka. Chłodny dzień powoli ustępował miejsca mroźnej nocy.

Prowadziła właśnie Strzałę wśród wydłużających się cieni, wpatrując się w mrok, który jakoś podejrzanie dygotał w zaułkach, i myślała, że na dziś będzie musiała już chyba zrezygnować, kiedy od tyłu podeszła do niej Siuan. Zaskoczyła ją.

–Liczyłam, że tu zajrzysz, kiedy już przyjedziesz do miasta – powiedziała, ponaglając biorąc ją pod ramię. – Wejdźmy do środka, zanim zamarznę.

Siuan również nie spuszczała oka z tych cieni w mrocznej alejce. Muskała rękojeść noża przy pasie, jakby Moc nie mogła sobie poradzić z dziesiątkami napastników. Co prawda, by się nie zdradzić, nie mogły jej użyć. Zapewne najlepiej było szybko stąd odejść.

–To nie jest odpowiednia dla ciebie okolica, Moiraine. Są tutaj ludzie, którzy przyrządziliby z ciebie potrawkę, zanimbyś się zorientowała, że trafiłaś do garnka. Śmiejesz się czy krztusisz?

Jak się okazało, Siuan zatrzymała się w najbardziej szacownej z okolicznych oberży,

„Gwieździe Wieczornej”, która służyła średnio zamożnym kupcom, zwłaszcza kobietom, pragnącym uniknąć hałasu i nieprzyzwoitego zachowania we wspólnej sali. Dwóch

mężczyzn zbudowanych niczym byki dbało, by nic takiego się tu nie zdarzyło. Izba Suan była schludna i ciepła, choć raczej mała. Szczupła oberżystka, sprawiająca wrażenie osoby bardzo rzeczowej, nie czyniła żadnych obiekcji, by Moiraine dołączyła do Suan. Tyle że miały zapłacić za dwie osoby.

Kiedy Moiraine wieszała swój płaszcz na kołku, Suan umościła się ze skrzyżowanymi nogami na nieszczerólnie szerokim łóżku. Od czasu Canluum najwyraźniej odzyskała nieco ducha. Wyraźny cel zawsze sprawiał, że aż kipiała entuzjazmem.

–Ale miałam przejścia, Moiraine, zaraz ci opowiem. Ten głupi koń omal nie stratował mnie na śmierć, gdy tu jechałam. Stwórca zrobił ludzi po to, aby chodzili albo pływali łodziami, a nie wytrząsali się na grzbietach zwierząt. Przypuszczam, że ta kobieta, Sahera, nie była tą, o którą chodziło, bo podskakiwałabyś pewnie jak składający ikrę czerwonogon. Ja znalazłam Ines Demain niemal natychmiast, ale w miejscu, gdzie za nic nie mogłam się do niej dostać. Niedawno owdowiała, z pewnością jednak ma syna. Nazwała go Rahien, ponieważ widziała świt nad Górą Smoka. Tyle głosi uliczna plotka. Wszyscy uważają, że to głupi powód, by tak nazwać dziecko.

–Syn Avene Sahery urodził się o tydzień za wcześnie i do tego o trzydzieści mil od Góry Smoka – oznajmiła Moiraine, kiedy Suan przerwała, by nabrać tchu. Stłumiła dreszcz, który ją na chwilę przeszedł. Że tamta kobieta widziała świt nad górą, nie dowodziło, iż dziecko musiało się na niej urodzić. W pokoju nie było krzesła czy choćby stołka, nie było zresztą na nie miejsca, usiadła więc w nogach łóżka. – Skoro jednak znalazłaś Ines i jej syna, dlaczego nie mogłaś się z nią zobaczyć? – Lady Ines, jak się okazało, przebywała w Pałacu Aesdaishar, gdzie Suan mogłaby z łatwością wejść jako Aes Sedai, w innej jednak roli tylko wówczas, gdyby zatrudniono ją jako służącą. Pałac Aesdaishar.

–Zajmiemy się tym rano – westchnęła Moiraine. To oznaczało podjęcie ryzyka, jednak lady Ines należało przepyttać. Żadna z kobiet, do których dotarła Moiraine, nawet z daleka nie widziała Góry Smoka, kiedy rodziła dziecko. – Czy odkryłaś jakieś ślady działalności... działalności Czarnych Ajah? – Musi przywyknąć do używania tego miana.

Suan spod zmarszczonych brwi wbiła wzrok w swoje kolana i wygładziła spódnice.

–To dziwne miasto, Moiraine – oznajmiła po chwili milczenia. – Lampy na ulicach i kobiety, które się pojedynkują, nawet jeśli temu zaprzeczają, a także więcej plotek, niż potrafi rozpowszechnić dziesięciu mężczyzn po dziurki w nosie pełnych piwa. Niektóre z nich są nawet interesujące. – Pochyliła się i położyła dłoń na kolanie Moiraine. –

Wszyscy gadają o młodym kowalu, który umarł z przetrąconym karkiem kilka nocy temu. Nikt wiele się po nim nie spodziewał, ale mniej więcej przed miesiącem zrobił się z niego prawdziwy mówca. Przekonał swoją gildię, aby zbierała pieniądze na biedaków, którzy w obawie przed bandytami przybywali do miasta, na ludzi w żaden sposób nie związanych z którąś z gildii bądź którymś z Domów.

–Siuan, co, na Światłość...?

–Tylko posłuchaj, Moiraine. Ten kowal zebrał mnóstwo srebra, było tego z osiem sakw, i wygląda na to, że właśnie szedł z nim do siedziby swej gildii, kiedy został zamordowany. Głupiec niósł wszystko sam. Ja zaś zmierzam do tego, że ci, którzy mu to zrobili, nie zabrali nawet jednej przeklętej monety, Moiraine. A na jego ciele nie było choćby śladu przemocy, pominąwszy złamany kark.

Przez dłuższą chwilę patrzyły sobie w oczy. Moiraine pokręciła głową.

–Nie pojmuję, jak to miałoby się wiązać z Meilyn albo Tamrą.

Kowal? Siuan, oszalejemy, jeśli będziemy podejrzewały wszędzie obecność Czarnych sióstr.

–Ale jeśli uznamy, że ich tutaj nie ma, stracimy życie – odparowała Siuan. – Cóż, może potrafimy być jak srebrawy w sieci, zamiast zachowywać się niczym chrząkacze. Tylko musimy pamiętać, że srebrawy lądują w końcy na targu rybnym. Coś ci chodzi po głowie w związku z lady Ines?

Moiraine powiedziała jej. Siuan bynajmniej nie spodobał się pomysł i tym razem przekonywanie jej zabrało większą część nocy. Po prawdzie Moiraine pragnęła niemalże, by przyjaciółka przekonała ją do spróbowania czegoś innego. Ale lady Ines widziała świt nad Górą Smoka. Dobrze przynajmniej, że Aes Sedai, doradczynie Ethenielle, przebywała z nią na południu.

Poranek przyniósł prawdziwy wir zajęć, niewiele jednak było z nich satysfakcji. Moiraine dostała, czego chciała, przedtem jednak musiała wiele razy gryźć się w język. A Siuan znowu zaczęła protestować, wysuwać argumenty, które Moiraine odparła poprzedniej nocy. Siuan nie lubiła, gdy komuś udawało się ją przekonać, że pogląd, który uważała za słuszny, nie ma podstaw. Nie lubiła, gdy Moiraine brała na siebie całe ryzyko. Niedźwiedź z bolącym zębem byłby lepszym towarzyszem. Nawet ten mężczyzna, Lan!

Jeszcze przed świtem zaszły do kantoru po złoto. Kobieta o surowym spojrzeniu użyła lupy, by się dokładnie przyjrzeć pieczęci cairhieńskiego bankiera u dołu listu zastawnego, który przedstawiła jej Moiraine. Lupa! Na szczęście po kąpieli w stawie atrament rozmazał się tylko trochę. Pani Noallin nawet nie kryła zaskoczenia, gdy obie zaczęły chować sakiewki ze złotem pod poły płaszczy.

Na zewnątrz Siuan wymamrotała, że tamten kowal, mimo swego zawodu, musiał

ledwie iść, obciążony niczym muł sakwami ze srebrem. I któż mógł skrócić mu kark w ten sposób? Niezależnie od powodu, musiały to być Czarne Ajah. Władczo wyglądająca kobieta z grzebieniami z kości słoniowej we włosach usłyszała dość, by aż się wzdrygnąć.

Podciągnęła spódnice nad kolana i pobięła, zostawiając za sobą zdumionych służących,

k którzy musieli przepychać się za nią przez tłum. Suan zarumieniła się, ale wciąż za nic nie chciała okazać skruchy.

Szczupła szwaczka o hardym obejściu poinformowała Moiraine, że to, czego sobie zażyczyła, nie nastręczy najmniejszych trudności.

Stroje będą gotowe na koniec miesiąca, być może. Wiele dam zamówiło sobie nowe suknie. W Pałacu Aesdaishar bawił z wizytą król. Król Malkier!

–Ostatni Król Malkier umarł dwadzieścia pięć lat temu, pani Dorelmin – oznajmiła Moiraine, odliczając na kontuarze trzydzieści złotych koron. Silene Dorelmin z chciwością wpatrzyła się w grube monety, a jej oczy rozbłysły niemą zgodą, kiedy usłyszała, że dostanie jeszcze raz tyle, gdy sukienki będą uszyte. – Ale odejmę po sześć koron za każdy dzień zwłoki – zastrzegła Moiraine. Nagle okazało się, że mimo wszystko sukienki da się skończyć szybciej niż przed upływem miesiąca. Znacznie szybciej.

–Widziałaś, co ta chuda dziwka miała na sobie? – zapytała Suan, gdy tylko wyszły. – Powinnaś kazać jej tak właśnie skroić nasze suknie, by wyglądały, jakby w każdej chwili można je było zrzucić. Niech mężczyźni mają trochę przyjemności, patrząc na ciebie, kiedy już położysz swój głupi łeb na katowskim pieńku.

Moiraine wykonała ćwiczenie zalecane nowicjuszkom, wyobrażając sobie pączek róży otwierający się ku słońcu. Jak zawsze ćwiczenie przyniosło jej spokój. Wyszczерbiłaby sobie zęby, gdyby nie przestała nimi zgrzytać.

–Nie ma innego sposobu, Suan. Sądzisz, że karczmarz wynajmie nam jednego ze swoich siłaczy? – Król Malkier? Światłości!

Ta kobieta musiała ją uważać za kompletną idiotkę!

W południe drugiego dnia po tym, jak Moiraine przyjechała do Chachin, pod Pałac Aesdaishar zajechał lakierowany na żółto powóz, powożony przez mężczyznę zbudowanego niczym byk, za powozem szły luzem dwie klacze, jedna gniada o pięknym karku, druga siwa, smukłej budowy. Lady Moiraine Damodred, w ciemnoniebieskiej sukni z kolorowymi rozcięciami od wysokiego karczku aż po kolana, została przyjęta ze wszelkimi należnymi jej honorami. Imię Domu Damodred było znane, nawet jeśli nikt nie słyszał o lady Moiraine, a wraz ze śmiercią Króla Łamana właściwie każdy z Damodredów mógł zasiąść na Tronie Słońca. Oczywiście, jeśli nie zagarnie go inny Dom. Przyznano jej stosowne do pozycji apartamenty, trzy pokoje od północy, z których miała widok, ponad miastem, na pokryte śniegiem szczyty, wyższe jeszcze od góry, na

której wznosił się Pałac. Opuściwszy wzrok, zauważyła przydzielonych jej służących, którzy uwijali się, rozpakowując okute mosiądzem skrzynie damy i przygotowując gorącą perfumowaną wodę, by dama mogła się umyć. Żaden ze służących, oprócz jednego, nawet nie spojrzał na Suki, pokojówkę damy.

–W porządku – mruknęła Siuan, kiedy służący w końcu zostawili je same w salonie – przyznaję, że w tym stroju jestem niewidzialna. – Miała na sobie szarą suknię z dobrej wełny, o skrajnie prostym kroju, wyjąwszy kołnierz i rękawy ozdobione barwami Domu Damodred. – Ty natomiast wyglądasz jak Wysoki Lord za wiosłem sterowym. Światłości,omalże nie połknęłam języka, kiedy zapytałaś, czy w Pałacu nie ma jakichś sióstr. Jestem tak zdenerwowana, że zaczyna mi się od tego kręcić w głowie. Nie mogę złapać tchu.

–To kwestia wysokości – uspokoiła ją Moiraine. – Przywykniesz. Każdy gość mógł zapytać o Aes Sedai, sama widziałaś, że służący nawet nie mrugnęli. – Ona jednak również wstrzymywała oddech, póki nie uzyskała odpowiedzi. Obecność jednej choćby siostry mogła wszystko zmienić. – Nie mam pojęcia, dlaczego wciąż muszę ci to powtarzać. Pałac królewski to nie karczma. Nikomu tutaj nie wystarczy, jeśli oznajmię: „Możecie mówić do mnie lady Alys”. To jest kwestia faktu, a nie mniemania. Muszę być sobą. – Trzy Przysięgi pozwalały na mówienie wszystkiego, co subiektywnie uważało się za prawdę, nawet jeśli nie potrafiło się tego dowieść, podobnie zresztą jak pozwalały na odpowiedzi wymijające. Jedynie te słowa, co do których miało się pewność, że stanowią jawne kłamstwo, nie mogły zagościć na ustach. – Może skorzystasz ze swojej niewidzialności, aby sprawdzić, czego się możesz dowiedzieć o lady Ines? Będę zadowolona, gdy wyjedziemy stąd najszybciej, jak to tylko możliwe.

Niemniej nie da się tego zrobić wcześniej niż jutro rano, nie obrażając gospodarzy i nie wywołując gadania. Siuan miała rację. Wszystkie oczy w pałacu będą się bacznie przypatrywać obcej szlachciance, której Dom wywołał Wojnę o Aiel. Każda Aes Sedai, która przybędzie do Aesdaishar, natychmiast o niej usłyszy, a każda Aes Sedai, która przejeżdżała przez Chachin, może tu przybyć. Siuan miała rację: teraz stała jakby na jakimś podwyższeniu, niczym cel, nie mając choćby śladu wskazówki, kto może być łucznikiem. Jutro, wcześniej rano.

Siuan wyslizgnęła się z komnaty, ale wróciła szybko, niosąc złe wieści. Lady Ines trwała w odosobnieniu, odprawiając żałobę po mężu.

–Dziesięć dni temu przy śniadaniu padł martwy, głową prosto w stojącą przed nim owsiankę – doniosła Siuan, osuwając się na jeden z foteli w salonie i przerzucając ramię przez oparcie. Lekcje właściwego zachowania jakoś poszły w niepamięć, odkąd mogła włożyć szal. – Był znacznie od niej starszy, wygląda jednak na to, że bardzo go kochała.

Ulokowano ją w dziesięciu pokojach z ogrodem, w południowym skrzydle Pałacu, jej mąż był bliskim przyjacielem Księcia Brysa. Ines pozostanie w odosobnieniu przez pełen miesiąc, nie widując nikogo prócz swej rodziny. Jej służba wychodzi na zewnątrz tylko wówczas, gdy to absolutnie konieczne.

–Zobaczy się z Aes Sedai – westchnęła Moiraine. Nawet kobieta w żałobie nie odmówi spotkania z siostrą.

Siuan skoczyła na równe nogi.

–Oszalałaś? Lady Moiraine Damodred już ściąga na siebie zbyt wiele uwagi. Moiraine Damodred Aes Sedai równie dobrze mogłaby od razu rozesać gońców na wszystkie strony świata! Sądziłam, że pomysł polega na tym, by odjechać, zanim ktokolwiek poza Pałacem odkryje, że w nim jesteśmy!

W tej samej chwili weszła jedna ze służących, aby zaanonsować *shatayan*, która przyszła eskortować Moiraine do Księcia Brysa. Najwyraźniej była bardzo zaskoczona, gdy zobaczyła, że Suki stoi nad swą panią i celuje w nią wyciągniętym palcem.

–Powiedz *shatayan*, że zaraz do niej wyjdę – oznajmiła spokojnie Moiraine i zaraz po tym, jak kobieta, z wyrazem zaskoczenia wciąż obecnym na twarzy, ukloniła się i wyszła, wstała, by wyrównać swe szanse w pojedynku słownym z przyjaciółką, chociaż Siuan niełatwo było stawić czoło, nawet jeśli się miało po swej stronie wszelką możliwą przewagę. – Co więc proponujesz? Pozostanie tutaj przez dwa tygodnie w oczekiwaniu, aż się pokaże, byłoby równie złe, a ty nie możesz się zaprzyjaźnić z jej służącymi, ponieważ zamknęły się wraz z nią.

–Mogą sobie wychodzić tylko na posyłki, Moiraine, ale sądzę, że potrafię jakoś sprawić, by mnie tam zaproszono.

Moiraine już otworzyła usta, by powiedzieć, że może to zabrać równie dużo czasu jak rozwiązanie sugerowane przez nią, jednak Siuan schwyciła ją mocno za ramiona i obróciła dookoła, przyglądając się krytycznie.

–Pokojówka powinna się upewnić, że jej pani jest stosownie ubrana – oznajmiła i popchnęła Moiraine ku drzwiom. – Idź. *Shatayan* czeka na ciebie. A przy odrobinie szczęścia młody foryś o imieniu Cal czeka na Suki.

*Shalayan* rzeczywiście czekała: wysoka, przystojna kobieta, otulona niczym grubym płaszczem atmosferą godności własnej i nieco rozeźlona, że przyjęto ją w taki sposób. Migdałowe oczy mogłyby chłodzić wino. Każda królowa, która niewłaściwie potraktowała *shalayan*, dałaby dowód głupoty, toteż Moiraine próbowała ją udobruchać, kiedy wędrowały po korytarzach. W pewnym momencie doszła nawet do wniosku, że zrobiła pewne postępy, jeśli chodzi o stopień lodu tamtej, jednak trudno jej było naprawdę skoncentrować się na zadaniu. Młody foryś? Nie miała pojęcia, czy Siuan

kiedykolwiek była z mężczyzną, z pewnością jednak nie zrobi tego tylko po to, by dotrzeć do służących Ines! No i nie z forysiem!

Ściany korytarzy zdobiły posągi i draperie, przy czym to, co przedstawiały, stanowiło prawdziwe zaskoczenie, biorąc pod uwagę wiedzę, jaką wpojono jej na temat Ziemi Granicznych. Marmurowe rzeźby kobiet z kwiatami i bawiących się dzieci, jedwabne sploty układające się w kwietne pola oraz postaci szlachty w ogrodach i tylko kilka scen

myśliwskich, bez choćby jednej batalistycznej. Łukowe okna na korytarzach wychodziły na znacznie większą liczbę ogrodów, niż się spodziewała, oraz na kwadratowe dziedzińce, niekiedy ozdobione marmurowymi fontannami rozpryskującymi wodę. Na jednym z nich zobaczyła coś, co natychmiast przegnało jej z głowy wszelkie myśli o Siuan i forysiu.

Był to prosty dziedziniec, bez fontanny lub choćby krużganka, stali na nim rzędami pod ścianami ludzie i przyglądali się dwóm obnażonym do pasa mężczyznom walczącym na drewniane miecze ćwiczebne. Ryne i Bukama. To była prawdziwa walka, nawet jeśli tylko w ramach ćwiczeń, miecze uderzały w ciała z odgłosami tak donośnymi, że nawet ona je słyszała. Bukama zbierał baty. Powinna ich unikać, a także Lana, jeśli on również znajdował się w pałacu. Nieszczególnie zadbał o to, by skryć swe wątpliwości, mógł zacząć zadawać jej pytania, na które nie odważyłaby się odpowiedzieć. Czy jej prawdziwe imię to Moiraine, czy Alys? Lub gorzej: czy jest prawdziwą Ees Sedai, czy dzikuską udającą siostrę? Niewykluczone, że wszystkie te pytania już jutrzejszej nocy przybrałyby formę plotki ulicznej, którą będzie mogła usłyszeć każda siostra, a ta ostatnia pogłoska z pewnością stałaby się przedmiotem dochodzenia. Na szczęście tych trzech żołnierzy z pewnością nie uzyska dostępu do miejsca, w którym jej wolno przebywać.

Książę Brys, mocno zbudowany zielonooki mężczyzna, udzielił jej prywatnej audiencji w wielkiej komnacie o ścianach wykładanych czerwienią i złotem. W spotkaniu uczestniczyły również dwie zamężne siostry Księcia w towarzystwie swoich mężów, oraz jedna z sióstr Ethenielle z małżonkiem; mężczyźni odziani byli w stonowane jedwabie, kobiety w suknie o jaskrawych barwach ściągnięte tuż pod biustem szerokimi pasami. Służący w liberiach roznosili słodczyce i orzechy. Moiraine przyszło na myśl, że od zadzierania głowy może dostać skurczu mięśni karku – najniższa z obecnych kobiet była wyższa od Siuan, wszyscy trzymali się wyprostowani niczym struna. Ich karki – zarówno męskie, jak i kobiece – z pewnością ugięłyby się nieco na widok siostry, jednak lady Moiraine uważali za równą sobie.

Poruszane w rozmowie tematy sięgały od muzyki oraz najlepszych jej wykonawców wśród szlachty przebywającej na dworze do trudów przebytej podróży, od kwestii, czy plotki o mężczyźnie potrafiącym przenosić są prawdziwe, do pytania, skąd nagle

w okolicy znalazło się tak wiele Aes Sedai. Moiraine przekonała się, że nie potrafi o tym rozmawiać swobodnie i dowcipnie, jak tego od niej oczekiwano. Niewiele dbała o muzykę oraz o to, kto gra na jakim instrumencie: w Cairhien muzyków się wynajmowało, a potem natychmiast o nich zapominało. Wszyscy musieli wiedzieć, że podróż jest niezwykle męcząca, skoro nie ma pewności, że pod koniec dnia, po przebyciu dwudziestu lub trzydziestu mil, uda się znaleźć łóżko na noc i że jest tak nawet wówczas, gdy pogoda sprzyja. To oczywiste, że niektóre z sióstr pojawiły się w tej okolicy ze względu na plotki o tym mężczyźnie, inne zaś po to, by zacieśnić więzi, które mogły się rozluźnić podczas Wojen o Aiel, zadbać, by trony i Domy pojęły, że wciąż oczekuje się od nich respektowania zobowiązań względem Wieży, zarówno publicznych, jak i prywatnych. Jeżeli nawet żadna Aes Sedai nie przybyła jeszcze do Aesdaishar, to wkrótce tak się stanie – uświadomienie

sobie tego przysporzyło jej kolejnego powodu, dla którego z jeszcze większym trudem znosiła te głupie pogawędki. Oraz wywołaną tym przypomnieniem myśl o innych powodach obecności sióstr w kraju. Mężczyźni znosili jej brak towarzyskości z kamiennymi twarzami, podejrzewała jednak, że kobietom wydaje się szczególnie tępa.

Kiedy wprowadzono dzieci Brysa, Moiraine poczuła głęboką ulgę. Skoro przedstawił jej dzieci, oznaczało to, że ją akceptuje na swoim dworze, ale co ważniejsze, stanowiło to sygnał końca audiencji. Najstarszy syn, Antol, był na południu wraz z Ethenielle w charakterze jej dziedzica, toteż śliczna, zielonooka Jaremę, dwunastoletnia, przewodziła swej siostrze i czterem braciom, oficjalnie uszeregowanym według wieku, chociaż po prawdzie dwaj najmłodszy chłopcy wciąż jeszcze byli w powijakach i niosły ich niańki. Moiraine stłumiła przemożną chęć, by się dowiedzieć, co odkryła Suan, i stosownie skomplementowała zachowanie dzieci, zachęcając je do postępów w nauce. Musiały ją uznać za równie nudną jak przedtem dorośli. Co w niewiele większym stopniu ją obeszło.

–A jak zdobyłeś te blizny, lordzie Diryku? – zapytała. Ledwie słuchała ponurej opowieści chłopca o jego upadku, dopóki nie...

–Mój ojciec mówi, że chyba udzieliło mi się szczęście Lana, iż nie zginąłem, moja pani – powiedział Diryk i oczy aż mu się zaświeciły, choć ani głos, ani postawa w niczym nie uchybiały etykietce. – Lan jest Królem Malkier i ma ze wszystkich ludzi na świecie największe szczęście, jest też najlepszym szermierzem. Wyjąwszy oczywiście mego ojca.

–Królem Malkier? – zapytała Moiraine, mrugając.

Diryk żywo skinął głową i zaczął obszernie opowiadać o wyprawach Lana na Ugór oraz o Malkieri, którzy przybyli do Aesdaishar, by służyć u niego, póki ojciec gestem nie nakazał mu milczenia.

–Lan jest królem wtedy tylko, gdy sobie tego zażyczy, moja pani – powiedział Brys. Bardzo dziwna wypowiedź, a jego osobliwy ton czynił ją jeszcze dziwniejszą. – Przez większość czasu nie opuszcza swoich pokoi – to również jakby wprawiało Brysa w konfuzję – ale spotkasz się z nim, zanim... moja pani, dobrze się czujesz?

–Nie bardzo – odparła. Miała nadzieję na następne spotkanie z Łanem Mandragoranem, nawet je sobie zaplanowała, ale przecież nie tutaj! Jej żołądek skręcał się w ciasny supeł. – Ja również wolałabym przez kilka dni zostać w swoich pokojach, jeśli mi wybaczysz, panie.

Oczywiście, co miał zrobić, wszyscy pozostali również bardzo żalowali, że nie będą mogli się cieszyć jej towarzystwem, wyrażali współczucie, że trudy podróży tak mocno musiały dać się jej we znaki. Chociaż usłyszała, jak jedna z kobiet szepce do drugiej coś o wydelikacowanych południowcach.

Młoda kobieta o bardzo jasnych włosach, odziana w zielenie i czerwienie, czekała, by



wskazać Moiraine drogę do jej pokoi. Elis kłaniała się za każdym razem, gdy wypowiedziała choć słowo, co oznaczało, że z początku kłaniała się szczególnie często. Poinformowano ją już o „zasłabnięciu” Moiraine, toteż co dwadzieścia kroków pytała, czy dama nie życzy sobie usiąść i złapać tchu albo czy nie chciałaby, aby do jej pokoi przyniesiono wilgotny ręcznik i cegły dla rozgrzania stóp, ewentualnie sole trzeźwiące czy kilkanaście innych tego rodzaju leków na „rozjaśnienie myśli”, póki wreszcie Moiraine grzecznie nie kazała jej być cicho. Głupia dziewczyna prowadziła ją odtąd w całkowitym milczeniu, z twarzą pozbawioną wyrazu.

Moiraine nie dbała o to, czy tamta się obraziła. Teraz chciała tylko usłyszeć, że Suan przyniosła dobre wieści. Najlepiej, żeby w ramionach trzymała chłopca urodzonego na Górze Smoka, a jego matka siedziała już w powozie. Przede wszystkim jednak pragnęła się schronić w swoich komnatach, by nie natknąć się na Lana Mandragorana.

Wciąż bojąc się ewentualnego spotkania, za zakrętem korytarza stanęła oko w oko z Merean, w szalu obrzeżonym niebieskimi frędzlami. Prowadziła ją sama *shatayan*, a za plecami siostry szła cała procesja służących. Jedna kobieta niosła jej czerwone rękawice do konnej jazdy, inna podbity futrem płaszcz, trzecia ciemny aksamitny kapelusz. Po dwóch mężczyzn dźwigało wiklinowe kufry, z którymi poradziłby sobie jeden człowiek, inni nieśli naręczna kwiatów. Aes Sedai przyjmowano z większymi honorami niż zwykłą damę, niezależnie od tego, z jakiego by pochodziła Domu.

Oczy Merean zwęziły się, gdy dostrzegła Moiraine.

–To doprawdy niespodzianka spotkać cię tutaj – powiedziała powoli. – Sądząc po twojej sukni, zrezygnowałaś z przebrania? Ale nie. Wciąż nie masz pierścienia, jak widzę.

Moiraine była tak zaskoczona nagłym pojawieniem się Merean, że ledwie słyszała, co ona mówi.

–Jesteś sama? – zapytała bez namysłu.

Na krótką chwilę oczy Merean zmieniły się w wąskie szparki.

–Larelle postanowiła pojechać swoją drogą. Na południe, jak mi się zdaje. Więcej nie wiem.

–Myślałam raczej o Cadsuane – wyjaśniła Moiraine, mrugając z zaskoczenia. Im więcej myślała o Cadsuane, tym bardziej była przekonana, że musi być Czarną Ajah. Zaskoczyła ją natomiast Larelle. Larelle z pozoru bardzo chciała dotrzeć do Chachin, i to bez zwłoki. Plany oczywiście można zmieniać, Moiraine jednakże nagle zdała sobie sprawę z czegoś, co powinno być dla niej oczywiste od początku. Czarne siostry mogły kłamać. To nie do pomyślenia, Przysięg nie da się złamać... jednak tak właśnie musiało być.

Merean podeszła bliżej, a kiedy Moiraine cofnęła się o krok, ruszyła za nią. Moiraine wyprostowała się najbardziej, jak tylko mogła, wciąż jednak nie sięgała jej wyżej niż do podbródka.

–Tak bardzo chciałabyś się spotkać z Cadsuane? – zapytała Merean, spoglądając na nią z góry. Ton jej głosu był miły, gładka twarz spokojna, w oczach jednak lśniło zimne żelazo. Nagle spojrzała na otaczających je służących, zrozumiała, że nie są same. Stalowe spojrzenie złagodniało, ale nie całkiem. – Z pewnością rozumiesz, że Cadsuane miała rację. Młoda kobieta, której się wydaje, że jest mądrzejsza niż w rzeczywistości, może się wpakować w poważne tarapaty.

Proponuję, abyś zachowywała się bardzo spokojnie i bardzo cicho, zanim nie będziemy mogły porozmawiać. – Rozkazującym gestem dała znak *shatayan*, że mają już ruszać w drogę, i pełna godności kobieta aż podskoczyła, chętna usłuchać. W niełaskę *shatayan* mogli popaść król lub królowa, ale przenigdy Aes Sedai.

Moiraine patrzyła na Merean, póki tamta nie zniknęła w oddali za rogiem korytarza. Wszystko, co Merean właśnie powiedziała, mogło pochodzić od jednej z wybranych przez Tamrę. Czarne siostry potrafią kłamać. Czy Larelle zmieniła swoją decyzję odnośnie do Chachin? Czy też leżała gdzieś martwa, jak Tamra i pozostałe? Nagle Moiraine przyłapała się na tym, że wygładza suknie. Opanowanie dłoni było sprawą prostą, nie potrafiła jednak pohamować leciutkiego drżenia, które czuła na całym ciele.

Elis patrzyła na nią, rozdziawiwszy usta ze zdumienia.

–Ty również jesteś Aes Sedai! – pisnęła, a potem aż podskoczyła, mylnie biorąc mrugnięcie Moiraine za grymas dezaprobaty. – Nikomu nie powiem ani słowa, Aes Sedai

–wyszeptała bez tchu. – Przysięgam, na Światłość i grób mego ojca! – Jakby cały orszak zdążający za Merean nie słyszał tego co ona. Z pewnością nie pohamują języków.

–Zabierz mnie do apartamentów Lana Mandragorana – nakazała jej Moiraine. Co było prawdą o świecie, południem mogło zmienić się w fałsz, podobnie bywało z tym, co konieczne. Wyjęła z sakwy swój pierścień z Wielkim Wężem i nałożyła na palec prawej dłoni. Czasami nie można sprostać warunkom rozgrywki.

Po dłuższej wędrówce, przebiegającej zasadniczo w litościwym milczeniu, Elis zastukała do czerwonych drzwi i oznajmiła siwowłosej kobiecie, która jej otworzyła, że lady Moiraine Damodred Aes Sedai pragnie widzieć się z królem al'Lanem Mandragoranem. Moiraine obruszyła się na jej słowa. Król, dobre sobie! Ku swojemu całkowitemu zaskoczeniu otrzymała odpowiedź, że lord Mandragoran nie życzy sobie rozmawiać z żadną Aes Sedai. Siwowłosa kobieta, której zastygł na twarzy wyraz całkowitego zgorszenia, nieustępliwie zamknęła drzwi.

Elis spoglądała na Moiraine szeroko rozwartymi oczyma.

–Pokażę mojej pani Aes Sedai drogę do jej apartamentów – zaczęła niepewnie -jeśli... –  
Pisnęła, kiedy Moiraine otworzyła drzwi i weszła do środka.

Siwowłosa służąca i druga, młodsza, zajęte cerowaniem koszul, aż podskoczyły. Kościsty młodzieniec siedzący przy kominku niezgrabnie podniósł się na nogi, zerkając na kobiety zmieszonym wzrokiem. One zaś tylko patrzyły na Moiraine, póki nie uniosła pytająco brwi. Wtedy siwowłosa wskazała na jedne z dwojga drzwi wiodących w głąb apartamentów.

Drzwi te prowadziły do salonu bardzo przypominającego przydzielony Moiraine, w tym jednak wszystkie fotele zostały ustawione pod ścianami, dywany zaś zrolowane. Lan, bez koszuli, ćwiczył formy miecza na wolnej przestrzeni. Na jego szyi tańczył niewielki złoty medalion, ostrze miecza tworzyło mgłę metalicznego lśnienia. Pokrywał go pot i więcej blizn, niżli mogła się spodziewać u tak młodego mężczyzny. Nie wspominając już o licznych na poły zagojonych ranach, poznaczonych ciemnymi szwami. Pełnym wdzięku ruchem wyszedł z kolejnej formy i stanął twarzą w twarz z Moiraine, sztych kierując ku płytce posadzki. Wciąż nie całkiem potrafił spojrzeć jej w oczy, uciekał spojrzeniem w ten osobliwy sposób właściwy również Bukamie. Jego włosy były zupełnie mokre i lepiły się do twarzy mimo wiążącego je skórzanego rzemienia, jednak piersi nie podnosił przyspieszony oddech.

–To ty – warknął. – A więc dzisiaj jesteś i Aes Sedai, i Damodred.

Nie mam czasu na twoje gierki, Cairhienianko. Oczekuję kogoś. – Spojrzenie chłodnych błękitnych oczu pomknęło ku drzwiom za jej plecami. Po wewnętrznej stronie gardy miecza dostrzegła osobliwą rzecz, coś, co wyglądało na kosmyk włosów

splecionych w wypracowany węzeł. – Ona nie będzie zadowolona, jeśli zostanie tu inną kobietę.

–Dama twojego serca nie musi się mnie obawiać – oznajmiła sucho Moiraine. – Po pierwsze, jesteś dla mnie zbyt wysoki, a po drugie, wolę mężczyzn, którzy mają choć odrobinę wdzięku. I stosowne maniery. Przyszłam do ciebie po pomoc. Istnieje przysięga, obowiązująca od czasu Wojny Stu Lat, w myśl której Malkier wyruszy na wezwanie Białej Wieży. Ja jestem Aes Sedai i ja cię wzywam!

–Wiesz, że wzgórza są wysokie, ale nie wiesz, jak daleko się ciągną – mruknął, jakby cytując jakieś malkierskie powiedzenie. Przeszedł na drugą stronę pomieszczenia, porwał pochwę i gwałtownym ruchem wsunął do niej miecz. – Możesz liczyć na moją pomoc, jeśli odpowiesz mi na jedno pytanie. Przez wiele lat pytałem o to rozmaite Aes Sedai, ale one wykręcały się od odpowiedzi niczym węże. Jeśli jesteś Aes Sedai, odpowiedz mi.

–Jeżeli będę znała odpowiedź, odpowiem ci. – Zamiast po raz kolejny zapewniać go, że naprawdę jest tą, za którą się podaje, objęła tylko *saidara* i przesunęła jeden ze złożonych foteli na środek komnaty. Nawet nie ruszyłaby go z miejsca, gdyby musiała polegać wyłącznie na swej sile fizycznej, jednak na splotach powierza sunął z łatwością, mógłby być

nawet dwukrotnie cięższy. Usiadła i oparła dłonie na skrzyżowanych kolanach w taki sposób, aby wyraźnie było widać złotego węża. Wyższa osoba ma przewagę nad rozmówcą, kiedy oboje stoją, jednak ktoś stojący przed kimś, kto siedzi, z pewnością musi się czuć niczym podsądny, szczególnie jeśli siedzącym jest Aes Sedai.

Na nim jednak najwyraźniej to położenie nie wywierało stosownego wrażenia. Po raz pierwszy, odkąd go spotkała, spojrzał jej prosto w oczy, a jego spojrzenie było niczym błękitny lód.

–Kiedy umarła Malkier – oznajmił głosem dźwięczącym jak delikatnie trącona stal – Shienar i Arafel wysłały swoich ludzi. Nie mogli liczyć na to, że powstrzymają zalew trolloków i Myrddraali, a jednak przybyli... z Kandoru, nawet z Saldaei. Za późno, jednak przybyli. – Błękitny lód w jego oczach zamienił się w błękitny ogień. Mówił tym samym tonem, jednak palce ściskające rękojeść miecza pobiełały. – Przez dziewięć stuleci przybywaliśmy na wezwanie Białej Wieży, ale gdzie była Biała Wieża, kiedy ginęła Malkier? Jeżeli jesteś Aes Sedai, odpowiedz mi na to pytanie!

Moiraine zawahała się. Odpowiedź, której się domagał, obłożona była Pieczęcią Wieży, nauczano o niej Przyjęte na lekcjach historii, zakazywano jednak dzielenia się nią z innymi, wyjąwszy inicjowane Wieży. Ale czym była dowolna nawet pokuta za złamanie zakazu wobec tego, z czym musiała się zmierzyć?

–Do Malkier odkomenderowano przeszło sto sióstr – powiedziała znacznie bardziej spokojnie, niż wydawało się możliwe, biorąc pod uwagę jej uczucia. Wedle wszystkiego, czego ją nauczono, sama powinna była zażądać wymierzenia sobie pokuty za to, co już mu powiedziała. – Jednak nawet Aes Sedai nie potrafią latać. Przybyły zbyt późno. – Gdy pierwsza z nich pojawiła się na polu bitwy, armie Malkier zostały już zmiażdżone przez niezliczone rzesze Pomiotu Cienia, ludzie uciekli bądź leżeli martwi. Zagłada Malkier była bezwzględna, krwawa i szybka. – Stało się to jeszcze przed moimi narodzinami, ale nie potrafię wyrazić, jak mi przykro. Żałuję też, że Wieża postanowiła utrzymać swoje wysiłki w tajemnicy. – Lepiej, aby sądzono, że Wieża nie zrobiła nic, niż aby się rozeszło, że próbowała i zawiodła. Porażka oznaczała cios dla wizerunku, tajemnica natomiast była potrzebną Wieży zbroją. Aes Sedai zawsze miały powody, by coś zrobić lub czegoś nie robić, lecz znane one były wyłącznie im. – To wszystko, co mogę ci powiedzieć. Więcej, niż powinnam, więcej, niż zdołasz wydobyć od każdej innej siostry, jak mniemam.

Czy to wystarczy?

Spojrzał na nią, ogień w jego oczach powoli zamieniał się znowu w lód. Potem umknął spojrzeniem.

–Niemałże mogę w to uwierzyć – wymruczał na koniec, nie mówiąc w co. Potem zaśmiał się gorzko. – Jak mam ci pomóc?

Moiraine zmarszczyła brwi. Naprawdę bardzo by się przydało spędzić z tym mężczyzną trochę czasu sam na sam, aby mu pokazać, gdzie jego miejsce, jednak to mogło poczekać.

–W Pałacu przebywa również inna siostra, Merean Redhill. Chcę wiedzieć, dokąd chadza, co robi, z kim się spotyka.

Zamrugnął oczami, ale nie zadał oczywistego pytania. Być może wiedział, że nie uzyska żadnych odpowiedzi, a jednak jego milczenie sprawiło jej ulgę.

–Przez ostatnich kilka dni nie opuszczałem moich pokoi – powiedział, znowu patrząc na drzwi. – Nie bardzo wiem, jak miałbym ją śledzić.

Nie potrafiła powstrzymać parsknięcia. Ten mężczyzna obiecał jej pomoc, a potem natychmiast zaczął się przejmować swoją damą. Być może wcale nie był tym, za kogo go wzięła. Ale nikogo innego nie miała.

–Nie ty – powiedziała. Wizyta w jego apartamentach wkrótce stanie się tajemnicą całego Aesdaishar, jeśli już tak nie było, a gdyby ponadto został przyłapany na szpiegowaniu Merean... To mogło się okazać całkowitą katastrofą, nawet jeśli tamta była niewinna jak niemowlę. – Sądziłam, że możesz poprosić jednego z Malkieri, którzy, jak zrozumiałam, zbierają się tu pod twoim sztandarem. Kogoś o bystrym oku i ustach zamkniętych na kłódkę. Trzeba tego wszystkiego dokonać w najściślejszym sekrecie.

–Nikt tu nie zbiera się pod moim sztandarem – zaprotestował ostro. Raz jeszcze spojrzął na drzwi, nagle zaczął sprawiać wrażenie zmęczonego. Nie zgarbił się, ale podszedł do kominka i położył obok niego swój miecz, troskliwie i uważnie niczym starzec. Wciąż odwrócony do niej plecami, powiedział: – Poproszę Bukamę i Ryne'a, żeby mieli na nią oko, ale nie mogą nic obiecać w ich imieniu. To wszystko, co mogę dla ciebie zrobić.

Udało jej się nie parsknąć z irytacji. Niezależnie od tego, czy naprawdę było to wszystko, co mógł zrobić, nie miała żadnego instrumentu nacisku.

–Bukama – powiedziała. – Tylko on. – Sądząc po tym, jak zachowywał się względem niej, Ryne będzie zbyt zajęty przyglądaniem się Merean, żeby cokolwiek widzieć bądź słyszeć. Jeśli od razu wszystkiego nie wyzna, gdy tamta tylko na niego spojrzy. – I nie mów mu dłaczego.

Już chciał przecząco pokręcić głową, jednak po chwili przytaknął. I znowu nie zadał pytania, które z pewnością zadałaby większość ludzi. Informując go, że ma jej przekazywać wiadomości przez jej pokojówkę Suki, miała nadzieję, że nie popełnia niewybaczalnego błędu.

Po powrocie do swych komnat przekonała się, jak szybko rozchodzą się wiadomości. W salonie Suan właśnie częstowała słodkościami odzianą w bładozielone jedwabie wysoką młodą kobietę o pełnych ustach, która dopiero niedawno wyszła z wieku dziewczęcego.

Czarne włosy spływały jej dobrze poniżej bioder, a niewielka błękitna kropka widniała na czole w tym samym miejscu, gdzie u Moiraine wisiała kesiera. Twarz Suan była zupełnie bez wyrazu, jednak w głosie znać było napięcie, kiedy przedstawiała gościa. Lady Iselle szybko rozwiała wszelkie wątpliwości co do przyczyn takiego stanu Suan.

–Wszyscy w Pałacu mówią, że jesteś Aes Sedai – oznajmiła, mierząc Moiraine powątpiewającym spojrzeniem. Nie podniosła się, nie ukloniła, nawet nieznacznie nie pochyliła głowy. – Jeśli to prawda, potrzebuję twojej pomocy. Chcę udać się do Białej Wieży. Moja Matka natomiast życzy sobie, żebym wyszła za mąż. Nie mam nic przeciwko Lanowi jako mojemu *carneira*, nawet jeśli Matka stała się tym dla niego, kiedy jednak wyjdę za mąż, sądzę, że to będzie jeden z moich Strażników. Zostanę Zieloną Ajah. – Nieznacznie zmarszczyła brwi, spoglądając na Suan. – Nie kręć się tak, dziewczyno. Stań sobie z boku i zaczekaj, aż będziesz potrzebna. – Suan podeszła sztywno do kominka, ręce założyła na piersiach. Żadna prawdziwa służąca nie stałaby w ten sposób ani nie marszczyłaby tak brwi, jednak Iselle już nie zwracała na nią uwagi. – Proszę usiądź, Moiraine – ciągnęła z uśmiechem lady Iselle – a ja ci powiem, czego chcę od ciebie. Jeśli oczywiście naprawdę jesteś Aes Sedai.

Moiraine patrzyła na nią bez słowa. Poproszono ją o zajęcie krzesła w jej własnym salonie. To głupie dziecko z pewnością doskonale odpowiadałoby Lanowi, jeśli chodzi o rozmiary arogancji. Jej *carneira*? W Dawnej Mowie oznaczało to „pierwszy”, ale tutaj najwyraźniej coś zupełnie innego. Z pewnością nie to, co zdawało się oznaczać z pozorów: ci Malkieri nie mogli być tak dziwaczni! Siadając, powiedziała sucho:

–Z wybieraniem Ajah możesz poczekać przynajmniej do czasu, aż sprawdzę, czy w ogóle jest sens wysłać cię do Wieży. W ciągu kilku chwil przekonamy się, czy jesteś zdolna nauczyć się przenoszenia, oraz poznamy twoją potencjalną siłę, jeśli...

W tym momencie dziewczyna beztrząsco wtrąciła:

–Och, byłam już sprawdzana wiele lat temu. Aes Sedai powiedziała, że mogę być bardzo silna. Powiedziałam jej, że mam piętnaście lat, jednak ona odkryła prawdę. Nie rozumiem, dlaczego nie mogłam się udać do Wieży w wieku lat dwunastu, jeżeli miałam na to ochotę. Matka była wściekła. Zawsze mówiła, że pewnego dnia mam zostać Królową Malkier, ale to oznaczało małżeństwo z Łanem, czego bym nie chciała, nawet gdyby matka nie była jego *carneira*. Kiedy jednak ty jej powiesz, że zabierasz mnie do Wieży, będzie musiała cię posłuchać. Wszyscy wiedzą, że Aes Sedai zabierają do Wieży na nauki wszystkie kobiety, które tylko zechcą, i nikt nie może im się przeciwstawić. – Pełne usta wydał grymas. – A ty jesteś Aes Sedai, nieprawdaż?

Moiraine wykonała ćwiczenie z pękiem róży.

–Jeżeli chcesz jechać do Tar Valon, droga wolna. Ja z pewnością nie mam czasu cię odwozić. Znajdziesz tam siostry, względem których nie będziesz żywiła żadnych

wątpliwości. Suki, możesz odprowadzić lady Iselle do drzwi? Bez wątpienia nie będzie chciała zwlekać, skoro matka może ją w każdej chwili przyłapać.

To impertynenckie dziecko oczywiście natychmiast się obraziło, jednak Moiraine chciała tylko zobaczyć jej plecy, natomiast Siuanomalże nie wypchnęła jej na korytarz.

–Ta dziewczyna –oznajmiła Siuan, kiedy wróciła, zacierając ręce –nie wytrzyma nawet miesiąca, choćby dorównała siłą Cadsuane. –Wieża zatapiała swe żelazne pazury w każdej kobiecie, która miała choćby najmniejszą szansę zdobycia szala, jednak te, które nie potrafiły bądź nie chciały się uczyć, szybko się przekonywały, że oto już zostały wyrzucone; przenoszenie w istocie stanowiło jedynie część nauk.

–Jeśli o mnie chodzi, to sama Sierin może ją zrzucić ze szczytu Wieży –warknęła Moiraine. –Dowiedziałas się czegoś?

Wychodziło na to, że Siuan dowiedziała się, iż młody foryś umie całować. Mówiąc o tym, nawet się nie zarumieniła, poza tym jednak nie osiągnęła niczego. Dziwne, ale wiadomość o tym, że Moiraine zwróciła się do Lana po pomoc, zdenerwowała ją bardziej niż pojawienie się Merean.

–Obedrzyj mnie ze skóry i posyp solą, Moiraine, a dalej będę uważała, że podejmujesz idiotyczne ryzyko. Mężczyzna, który rości sobie prawo do tronu martwego kraju, jest niczym dziewięciu głupców. Zacznie kłapać jęzorem na twój temat, gdy ktokolwiek tylko zechce nadstawić przekłętą ucha! Jeśli Merean się dowie, że kazałaś ją obserwować... Niech szczesz!

–Z pewnością jest głupi na wiele sposobów, Siuan, ale nie sądzę, by „kłapał ozorem”. Poza tym „nie możesz wygrać, jeśli nie zaryzykujesz choć miedziaka”, jak zawsze powtarzasz, cytując swego ojca. Nie mamy innego wyjścia, musimy zaryzykować. Skoro Merean jest tutaj, to być może zaczyna już nam brakować czasu. Musisz dotrzeć do lady Ines tak szybko, jak to tylko możliwe.

–Zrobię, co będę mogła –odburknęła Siuan i wyszła na korytarz, napinając ramiona, jakby gotowała się do walki. Ale równocześnie wygładzała spódnice, by opinały się bardziej na biodrach.

Kiedy Siuan wróciła, dawno już zapadł zmrok. Moiraine, która próbowała czytać przy świetle lampy, odłożyła książkę. Przez ostatnią godzinę wpatrywała się tępo w tę samą stronę. Tym razem Siuan przyniosła interesujące wieści, które przekazywała jej, przerzucając suknie i bieliznę uszyte dla nich przez panią Dorelmin.

Po pierwsze, kiedy wracała do apartamentów Moiraine, podszedł do niej „żyłasty stary bocian”, który zapytał, czy to ona jest Suki, po czym powiedział jej, że Merean spędziła niemal cały dzień w towarzystwie Księcia Brysa, a potem wróciła na noc do swoich apartamentów. Więcej mężczyzna nie wiedział. Siuan udało się jednak ostrożnie poruszyć

kwestię Rahiena w rozmowie z Calem. Foryś nie był jeszcze na służbie u lady Ines, kiedy chłopak się urodził, znał jednak datę: był to dzień po tym, jak Aielowie rozpoczęli odwrót spod Tar Valon. Moiraine i Suan spojrzały sobie głęboko w oczy. Dzień po tym, gdy Kitara Moroso wypowiedziała swoją Przepowiednię dotyczącą Smoka Odrodzonego i padła trupem od wysiłku, jaki ją to kosztowało. Świt ponad górami i narodzony w ciągu dziesięciu dni, zanim nagła odwilż stopiła śnieg. Kitara szczególną wagę przykładła do śniegu.

–W każdym razie – ciągnęła Suan, zwijając tobolek z ubrań i pończoch – skłoniłam Cala, by mi uwierzył, że zostałam wyrzucona ze służby od ciebie, ponieważ wylałam ci wino na suknię, on zaś zaproponował mi łóżko u służących lady Ines. Sądzi, że być może znajdzie mi również miejsce u swej pani. – Parsknęła z rozbawieniem, pochwyciła spojrzenie Moiraine i parsknęła ponownie, tym razem ostrzej. – To nie jest jego przeklęte łóżko, Moiraine. A nawet gdyby było, cóż, on ma subtelne maniere i najpiękniejsze piwne oczy, jakie w życiu widziałas. Pewnego dnia z pewnością się przekonasz, że jesteś gotowa, by zrobić coś więcej, niż tylko śnić o jakimś mężczyźnie, a ja mam nadzieję, że

będę tam, by móc to zobaczyć!

–Nie gadaj głupstw – skarciła ją Moiraine. Stojące przed nimi zadanie było zbyt ważne, aby tracić czas na myślenie o mężczyznach. Przynajmniej tak, jak myślała Suan. Merean spędziła cały dzień z Brysem? Nie znalazła się nawet w pobliżu lady Ines? Jeśli była jedną z wybranych przez Tamrę albo Czarną Ajah, nie miało to najmniejszego sensu. Nie chciała jednak wierzyć, by Merean nie była jedną lub drugą. Coś jej umknęło i nie potrafiła przestać się tym zamartwiać. To, czego nie wiedziała, mogło ją zabić. Gorzej – mogło zabić Smoka Odrodzonego, już w kołysce.

Lan przemykał się korytarzami Aesdaishar, wykorzystując wszelkie umiejętności, jakich nabył na Ugorze, by uniknąć spojrzeń ludzi, których mijał po drodze. Obecnie nawet osobiste służące przedkładały rozkazy Edeyn ponad jego życzenia, jakby sądziły, że jest to część jakichś obyczajów Malkier. Sama zresztą mogła tak im właśnie powiedzieć. Oczekiwał niemal, że każdy w Aesdaishar, kto nosi liberię, gotów będzie donieść Edeyn, gdzie może go znaleźć. Sam natomiast nie do końca wiedział, gdzie się obecnie znajduje. Mimo wcześniejszych wizyt w pałacu, bez przewodnika dwakroć się zgubił. Bez miecza czuł się jak ostatni głupiec. Stał jednak na nic się nie przyda w tej bitwie.

Kątem oka pochwycił jakiś ruch, przywarł płasko do ściany za posągiem odzianej w obłok kobiety z naręczem kwiatów. W samą porę. Dwie kobiety wyszły zza załomu korytarza przecinającego ten, na którym się znajdował, zatrzymały się na krótką rozmowę. Iselle i ta Aes Sedai, Merean. Trwał nieruchomy niczym posąg, za którym się schował.

Nie lubił takiego czajenia się, jednak kiedy Edeyn rozwiązywała węzeł na jego *daori*, którym więziła go przez dwa dni w zamknięciu, stwierdziła jasno, że wkrótce zamierza zapowiedzieć oficjalnie jego małżeństwo z Iselle. Bukama miał rację. Edeyn wykorzystywała jego *daori* niczym wędzidło, a on nie wierzył, by przestała tylko dlatego, że ożeni się z jej



córką. Kiedy staje się wobec przeciwnika, którego nie jest się w stanie pokonać, można tylko uciec, i on właśnie miał taki zamiar.

W odpowiedzi na ostry gest Merean, Iselle skwapliwie skinęła głową i odeszła tam, skąd przyszły. Przez chwilę Merean patrzyła za odchodzącą, jej twarz była zupełnie nieodgadniona w tym wyrazie niewzruszonej pogody typowym dla Aes Sedai. Potem, ku jego zaskoczeniu, podążyła za nią, tym kołyszącym krokiem, który sprawiał, że Iselle wydawała się przy niej niezgrabna.

Lan nie marnował czasu na zastanawianie się, o co chodzi Merean, interesowało go to nie bardziej niż wcześniej to, dlaczego Moiraine chciała, by ją obserwował. Mężczyzna mógł oszaleć, jeśli próbował odgadnąć motywy Aes Sedai. Którą Moiraine

musiała być, w przeciwnym bowiem razie Merean dawno już wlokłaby ją rozsłochaną po korytarzach. Zaczekał dosyć długo, by zniknęły znowu z jego oczu, a potem cicho podkraść się do rogu i zerknął. Obie zniknęły, więc ruszył szybko przed siebie. Nie czas przejmować się Aes Sedai, uznał. Musi porozmawiać z Bukamą.

Jeżeli ucieknie, zrujnuje małżeńskie plany Edeyn. Jeżeli dostatecznie długo będzie jej unikał, może znajdzie innego męża dla Iselle. Jego ucieczka rozwieje sen Edeyn o odzyskaniu Malkier: kiedy ludzie odkryją, że go nie ma, poparcie dla niej zniknie jak mgła w południowym słońcu. Ucieczka zakończy wiele marzeń. Jednak mężczyzna, który wiózł przytroczone do pleców niemowlę, poświęcił się słusznym marzeniom. Obowiązek jest niczym góra, a jednak dźwigać go trzeba.

Stał przed szerokimi schodami z kamienną balustradą. Miał już ruszyć w dół, gdy nagle poczuł, że spada. Zdażył się tylko skulić, a potem toczył się po kolejnych stopniach, aż wreszcie zatrzymał się z łomotem na pokrytej płytkami posadzce. Upadek pozbawił jego płuca resztek powietrza. Przed oczyma latały mu kolorowe iskry. Z wysiłkiem zaczerpnął tchu, dźwignął się na rękach.

Jakby znikąd pojawili się służący, pomogli mu powstać na uginające się nogi, wszyscy w głos zachwalali szczęście, które musiało mu sprzyjać, że nie zabił się przy takim upadku, pytali, czy go zaprowadzić do jednej z Aes Sedai, by go Uzdrowiła. Spod zmarszczonych brwi wpatrywał się w klatkę schodową, mamrocząc coś w odpowiedzi, cokolwiek, byle tylko sobie poszli. Przyszło mu do głowy, że być może jeszcze nigdy w życiu tak się nie potłukł, jednak siniaki kiedyś znikną, a ostatnim, na czym mu teraz zależało, było znaleźć się w obecności siostry. Większość mężczyzn próbowałaby powstrzymać jakoś upadek i mieliby szczęście, gdyby skończyli z połową połamanych kości. Tam, w górze, coś schwyciło go za kostki. Coś uderzyło go w plecy. A mogło to być tylko jedno, choć wydawało się nieprawdopodobne: próbowała go zabić jakaś Aes Sedai.

—Lordzie Mandragoran! — Krępy mężczyzna w pasiastym kaftanie gwardii pałacowej próbował raptownie się zatrzymać iomalże nie upadł, ponieważ równocześnie chciał się

ukłonić. – Szukaliśmy cię wszędzie, mój panie! – zadyszał się. – Chodzi o twojego człowieka, Bukamę! Chodź szybko, mój panie! Może jeszcze żyje!

Przeklinając, Lan pobiegł za gwardzistą, pokrzykując na niego, by biegł szybciej, ale i tak przybyli za późno. Za późno dla człowieka, który niósł dziecko. Za późno dla marzeń.

Gwardziści tłoczyli się w wąskim przejściu tuż obok jednego z podwórców, na których ćwiczą z bronią. Rozstąpili się, by przepuścić Lana. Bukama leżał twarzą ku ziemi, krew zbierała się w kałużę wokół jego ust, pośrodku ciemnej plamy na jego

kaftanie sterczała prosta drewniana rękojeść sztyletu. W otwartych oczach zamarło zaskoczenie. Lan ukląkł, zamknął te oczy i wymruczał modlitwę o ostatni uścisk matki witającej Bukamę w domu.

–Kto go znalazł? – zapytał, ale ledwie słyszał odpowiedzi wygłaszane jeden przez drugiego. Miał nadzieję, że Bukama odrodzi się w świecie, gdzie Złoty Żuraw wciąż unosi się na wietrze, Siedem Wież stoi nietkniętych, a Tysiąc Jezior Iśni niczym naszyjnik w promieniach słońca. Jak mogło się stać, że dopuścił do siebie kogoś na tyle, by mógł mu to zrobić? Bukama potrafił wyczuć obnażaną w jego pobliżu stal.

Tylko jedno nie pozostawiało wątpliwości: Bukama nie żył, ponieważ Lan wplątał go w knowania Aes Sedai.

Lan podniósł się i poderwał do biegu. Jednak tym razem nie miał zamiaru uciekać. Miał wyraźny cel. I nie dbał o to, kto go zobaczy.

Stłumione łomotanie w drzwi przedpokoju oraz wściekłe krzyki służących kobiet poderwały Moiraine z fotela, na którym siedziała, czekając. Wszystkiego zresztą się spodziewała, tylko nie tego. Objęła *saidara*, ruszyła do drzwi salonu, zanim jednak zdołała do nich dotrzeć, rozwarły się gwałtownie. Lan strzasnął z siebie trzymające go za ramiona kobiety w liberii, zatrzasnął im drzwi przed nosem, a potem, podparłszy je plecami, spojrzał w zaskoczone oczy Moiraine. Jego twarz znaczyły purpurowe obtarcia, poruszał się, jakby został straszliwie pobity. Z zewnątrz nie docierały żadne odgłosy. Cokolwiek zamierzał, tamte były pewne, że sama sobie z nim poradzi.

Absurdalnym zupełnie gestem ujęła rękojeść noża przy pasie. Wykorzystując Moc, mogła go spętać niczym dziecko, niezależnie od tego, jak był wielki, a jednak... Nie patrzył na nią wściekle. Z pewnością jego oczy nie ciskały gromów. Miała jednak ochotę się cofnąć. Nie miał ognia w oczach, tylko śmiertelne zimno. Pasował do niego ten ciemny kaftan z okrutnymi cierniami i bujnym złocistym kwieciem.

–Bukama nie żyje, znaleziono go z nożem w sercu – powiedział spokojnie. – A nie dalej jak godzinę temu ktoś próbował mnie zabić, używając Jedynej Mocy. Z początku myślałem, że musiała to być Merean, ale ostatni raz, kiedy ją widziałem, śledziła Iselle i nawet gdyby mnie widziała i chciała uśpić, nie miałyby na to czasu. Zresztą niewielu potrafi mnie

zobaczyć, kiedy nie chcę być dostrzeżony, toteż nie sądzę, by jej się udało. Więc zostajesz tylko ty.

Moiraine zamrugnęła, ale jedynie po części spowodowała to pewność bijąca z jego głosu. Powinna wiedzieć, że ta głupia dziewczyna pójdzie prosto do Merean.

–Byłbyś zaskoczony, gdybyś wiedział, jak niewiele umyka uwagi sióstr – poinformowała go. Szczególnie jeśli siostrę akurat wypełnia *saidar*. – Być może nie powinnam prosić, żeby Bukama obserwował Merean. Ona jest bardzo niebezpieczna. –

Więc jednak tamta była Czarną Ajah; Moiraine nie miała już w tej kwestii żadnych wątpliwości. Siostry potrafiły zrobić okrutny przykład z tych, których przyłapały na podsłuchiowaniu, nie zabijały ich jednak. Ale co ona ma z nią zrobić? Pewność nie stanowiła dowodu, nie przed trybunałem Tronu Amyrlin. A jeśli Sierin sama jest Czarną... Nie ma się czym przejmować, teraz i tak niczego nie robi. A właściwie co ta kobieta robiła, marnując czas z Iselle? – Jeżeli zależy ci na tej dziewczynie, sugeruję, byś ją natychmiast odnalazł i trzymał z dala od Merean.

Lan odchrząknął.

–Wszystkie Aes Sedai są groźne. W tej chwili jednak Iselle jest dostatecznie bezpieczna. Idąc tutaj, widziałem, jak spieszyła dokądś z Brysem i Dirykiem. Dlaczego Bukama zginął, Aes Sedai? W co ja go przez ciebie wplątałem?

Moiraine uniosła dłoń, nakazując mu milczenie, i drobną cząstką świadomości poczuła zaskoczenie, kiedy posłuchał. Reszta jej umysłu pracowała na najwyższych obrotach. Merean z Iselle. Iselle z Brysem i Dirykiem. Merean próbowała zabić Lana. Nagle dostrzegła wzorzec, doskonały w każdej linii; nie miał najmniejszego sensu, była jednak pewna, że jest jak najbardziej prawdziwy.

–Diryk powiedział mi, że masz największe szczęście ze wszystkich ludzi na świecie – powiedziała, pochylając się ku niemu z napięciem. – Oby miał rację, dla własnego dobra. Gdzie uda się Brys, żeby go nikt nie zobaczył ani nie podsłuchał? – To musi być odosobnione miejsce, gdzie będzie się czuł swobodnie.

–W zachodnim skrzydle Pałacu jest taki jeden krużganek... – zaczął powoli Lan. I dodał szybciej: – Jeżeli Brysowi grozi niebezpieczeństwo, muszę zbudzić gwardię. – Na poły już się odwrócił, z dłonią na klamce.

–Nie! – powiedziała. Wciąż jeszcze nie wypuściła Prawdziwego Źródła, przygotowała się do splecenia Powietrza, by go zatrzymać w razie konieczności. – Księżciu Brysowi nie spodobałoby się, gdyby gwardziści wpadli do środka, jeśli Merean zwyczajnie tylko z nim rozmawia.

–A jeśli nie rozmawia? – zapytał.

–Niczego nie potrafimy jej dowieść, Lan. Podejrzenia wobec słowa Aes Sedai.

Jego głowa podskoczyła w gniewie, a potem warknął coś na temat Aes Sedai, czego z całym rozmysłem postanowiła nie słyszeć.

–Zabierz mnie na ten krużganek, Lan – poprosiła. – Pozwól, by Aes Sedai zajęła się Aes Sedai. I pośpieszmy się. – Jeśli nawet Merean w ogóle miała zamiar rozmawiać, Moiraine nie oczekiwała, by rozmowa trwała długo.

Lan rzeczywiście wziął sobie jej słowa do serca – długie nogi migotały w biegu. Moiraine mogła tylko podkasać suknie i pobiec za nim, ignorując spojrzenia

i mamrotanie służby oraz innych ludzi mijanych na korytarzu, dziękowała tylko Światłości, że Lan zanadto jej nie wyprzedza. Pozwoliła, by w biegu wypełniła ją Moc, póki słodycz i radość nie osiągnęły granic bólu. Próbowwała jednocześnie obmyślić, co zrobi, co będzie w stanie zrobić, kobiecie dysponującej znacznie większą siłą niż ona, kobiecie, która była już Aes Sedai sto lat przed tym, zanim urodziła się prababka Moiraine. Żałowała, że aż tak bardzo się boi. Żałowała, że nie ma przy niej Siuan.

Przemknęli szaleńczo przez lśniące komnaty reprezentacyjne, zastawione posągami korytarze i nagle odgłosy Pałacu zostały za nimi, wypadli na otwartą przestrzeń długiego, szerokiego na dwadzieścia kroków wykładanego kamieniami krużganek z widokiem na rozpościerające się daleko w dole dachy miasta. Zimny wiatr dął, jakby zwiastował burzę. Merean była tutaj, otoczona poświatą *saidara*, a Brys i Diryk stali przy poręczy, skręcając się w bezowocnej walce przeciwko więzom i kneblom Powietrza. Iselle spod zmarszczonych brwi spoglądała na Księcia i jego syna, a ku jej zaskoczeniu, w głębi krużganek stał Ryne z pałającymi oczyma.

–...nie udało mi się przyprowadzić ci Diryka samego, bez ojca – mówiła zdenerwowana Iselle. – Upewniłam się, że nikt o niczym nie wie, ale dlaczego...?

Splatając tarczę Ducha, Moiraine natarła na Merean, ciskając przeciwko niej każdą cząstkę Mocy i wbrew wszelkiej nadziei wierząc, że uda jej się odciąć ją od Źródła. Tarcza uderzyła i rozsypała się w drzazgi. Merean była zbyt silna, zaczerpnęła zbyt wiele, aby Moiraine mogła coś zdziałać.

Błękitna siostra – Czarna siostra – nawet nie mrugnęła.

–Dobrze zrobiłeś, zabijając szpiega, Ryne – powiedziała spokojnie, kiedy splotła knebel z Powietrza, aby zatkać Iselle usta, a potem związała ją, sztywną, z wytrzeszczonymi oczyma. – Zobaczymy, czy poradzisz sobie również z młodszym. Mówiłeś, że jesteś lepszym szermierzem.

Z pozoru wszystko wydarzyło się równocześnie. Ryne ruszył naprzód, krzywiąc się, dzwoneczki w jego warkoczach zaśpiewały cichutko. Lan ledwie zdążył wydobyć miecz i się

zastawić. A zanim rozległy się pierwsze szczęknięcia stali o stal, Merean uderzyła na Moiraine tym samym splotem, którego wcześniej użyła przeciwniczka, lecz znacznie silniejszym. Zdjęta krańcowym przerażeniem Moiraine zrozumiała, że być może Merean rzeczywiście dysponuje dostateczną siłą, by odgrodzić ją od *saidara*, mimo że czerpała zeń tyle, ile była w stanie. Szaleńczo uderzyła Powietrzem i Ogniem, Merean jęknęła, gdy uderzyły ją odcięte sploty. Zyskawszy trochę czasu, Moiraine spróbowała przeciąć więzy Diryka oraz pozostałych, zanim jednak jej sploty dotknęły splotów Merean, Czarna zdążyła przejść do kontrataku. Tym razem stworzona przez nią tarcza omal nie osiągnęła celu, zanim Moiraine zdążyła ją zniszczyć. Jej żołądek próbował splątać się

w supeł.

–Zbyt często pojawiaasz się na mojej drodze, Moiraine – oznajmiła Merean takim tonem, jakby prowadziły zwyczajną towarzyską pogawędkę. I miała taką minę, jakby nic się nie działo: pogodna, macierzyńska, w najmniejszym stopniu nie zaniepokojona. – Obawiam się, że muszę cię wypytać, dlaczego i jak to się dzieje. – Moiraine właśnie udało się odciąć splot Ognia, który spaliłby jej suknie i zapewne sporą część skóry, a Merean uśmiechnęła się niczym matka rozbawiona psotą córeczki. – Nie martw się, dziecko. Uzdrwię cię, żebyś mogła odpowiedzieć na wszystkie moje pytania.

Jeżeli Moiraine miała jeszcze jakieś resztki wątpliwości, czy Merean jest Czarną Ajah, ten splot Ognia upewnił ją ostatecznie w słuszności podejrzeń. W ciągu następnych paru chwil uzyskała kolejne dowody: sploty, od których iskry zatańczyły po jej sukni, a włosy podniosły się na głowie, sploty, które kazały jej rozpaczliwie łykać powietrze, którego nie było tam, gdzie były jej usta, sploty, których nie potrafiła rozpoznać, była jednak pewna, że zostawiłyby ją połamaną i pokrwawioną, gdyby tylko na nią opadły, gdyby nie zdążyła ich przeciąć...

Kiedy jednak mogła, wciąż próbowała przeciąć więzy pętające Diryka i pozostałych, oddzielić tarczą Merean, a nawet ją znokautować. Wiedziała, że walczy o życie – umrze, jeśli Czarna zwycięży, umrze teraz albo po tym, jak już zostanie poddana przesłuchaniu – ale nawet na moment nie brała pod uwagę możliwości wykorzystania choćby szczeliny w wiążących ją Przysięgach. Sama zresztą miała pytania, które chciałaby zadać tej kobiecie, a od odpowiedzi na nie mogła zależeć przyszłość świata. Na nieszczęście było ją stać niemal tylko na samoobronę, a i to zawsze na krawędzi ostatecznego załamania. W miejscu żołądka rzeczywiście tkwił ciasny supeł i próbował się zawiązać następny. Mimo że trzymała troje ludzi związanych, Merean była dla niej równorzędnym przeciwnikiem, a może nawet lepszym. Gdyby tylko Lan zdołał jakoś ją rozproszyć.

Pośpieszne spojrzenie na drugą walkę ukazało jej próżność tych nadziei. Lan i Ryne tańczyli formy, klingi ich mieczy były niczym trąby powietrzne, lecz jeśli ich umiejętności różniły się choć o włos, porównanie wypadało na korzyść Ryne'a. Po policzku Lana spływała strużka krwi.

W ponurym milczeniu Moiraine wyęczała resztki sił, skoncentrowana z całych sił, by ignorować chłód. Drżąc, zaatakowała Merean, zasłoniła się i zaatakowała znowu, broniła się i uderzała na przemian. Gdyby tylko udało jej się ją zmęczyć albo...

–Doprawdy, to już trwa nazbyt długo, nie sądzisz, dziecko? – powiedziała Merean.

Diryk wyleciał w powietrze i walcząc z więzami, których nie potrafił dostrzec, powoli dryfował nad poręczą. Głowa Brysa podążyła za synem, jego usta poruszały się, usiłując wypluć niewidzialny knebel.

–Nie! – krzyknęła Moiraine. Rozpaczliwie wyrzuciła strumienie Powietrza, próbując ściągnąć chłopca z powrotem w bezpieczne miejsce. Merean chlasnęła je, kiedy tylko uwolniła swoje sploty trzymające chłopca. Diryk runął, zawodząc cicho, a w głowie Moiraine eksplodował biały płomień.

Zupełnie oszołomiona otworzyła oczy, cichnący krzyk chłopca wciąż jeszcze echem rozbrzmiewał w jej uszach. Leżała na plecach na kamiennej posadzce krużganka, kręciło jej się w głowie. Zanim przestało, zrozumiała, że ma równe szanse objęcia *saidara*, jak kot zaśpiewać. Chociaż teraz i tak nie robiło to większej różnicy. Widziała tarczę, którą otoczyła ją Merean, a nawet słabsza kobieta potrafiła utrzymać raz założoną tarczę. Próbowana się podnieść, upadła, wsparła na łokciu.

Minęły w istocie tylko chwile. Lan i Ryne wciąż tańczyli swój śmiertelny taniec do wtóru szczęku stali. Brys, zupełnie zeszywniały, i to nie tylko z powodu trzymających go więzów, patrzył na Merean z nienawiścią tak niewzruszoną, iż wydawało się, że sama siła gniewu może rozerwać jego więzy. Iselle wyraźnie drżała, pociągając nosem, płacząc i patrząc szeroko rozwartymi oczyma na miejsce, gdzie spadł chłopiec. Gdzie spadł Diryk. Moiraine zmusiła się, by wypowiedzieć w myślach jego imię, drgnęła na wspomnienie roześmianej radości. Trwało to tylko chwilę.

–Poczekasz na mnie chwilę, jak mniemam – powiedziała Merean, odwracając się od Moiraine. Nieruchome ciało Brysa uniosło się ponad balustradę krużganka. Wyraz twarzy krępego mężczyzny nie zmienił się nawet na moment, spojrzenie skrzeptych nienawiścią oczu wbijał w Merean.

Moiraine próbowała podnieść się na kolana. Nie była w stanie przenieść. Nie została jej nawet odrobina odwagi, żadnych sił. Tylko determinacja. Brys przeleciał ponad balustradą. Moiraine powstała. Determinacja. Z grymasem najczystszej nienawiści wciąż wykrzywiającej twarz Brys spadł, nie wydawszy nawet jęku. To się musi skończyć. Iselle uniosła się w powietrze, ciskając się szaleńczo, żyły na jej gardle nabrzmiały, gdy próbowała wrzasnąć przez knebel. To musi się zaraz skończyć! Zataczając się, Moiraine postąpiła chwiejnie kilka kroków i wbiła nóż w plecy Merean. Poczwała, jak krew ścieka jej po dłoniach.

Razem padły na kamienne płyty krużganka, poświęta otaczająca Merean nikła, w miarę jak uchodziło z niej życie, tarcza oddzielająca Moiraine również stopniowo słabła. Iselle wrzeszczała, kołysząc się tam, gdzie cisnęły ją sploty Merean, na kamiennej balustradzie. Najwyższym wysiłkiem woli zmuszając się do działania, Moiraine przekroczyła ciało Merean i schwyciła słabnącą dłoń Iselle w tej samej chwili, gdy pantofle dziewczyny ześlizgnęły się z kamienia.

Szarpnięcie przyciągnęło Moiraine aż do samej balustrady, wisiała teraz przyciśnięta do niej brzuchem, patrząc w dół na Iselle trzymaną tylko w jej śliskim od krwi uchwycie, ponad przepaścią, która zdawała się nie mieć dna. Moiraine mogła ją tylko trzymać, cała drżąc z wysiłku. Jeżeli spróbuje wciągnąć dziewczynę, spadną obie. Twarz Iselle była wykrzywiona, jej usta niczym rozwarta szczelina. Ręka ześlizgnęła się odrobinę w uścisku Moiraine. Siłą narzucając sobie spokój, Moiraine sięgnęła do Źródła... i nic. Spoglądanie w dół na te odległe dachy w niczym nie pomagało na zawroty głowy. Spróbowała znowu, ale to było jak próba zaczerpnięcia wody rozczapierzonymi palcami. Może uda jej się uratować jedno z trojga, choćby była to ta najbardziej bezużyteczna osoba. Tłumiąc ogarniające ją zawroty głowy, przemocą próbowała sięgnąć do *saidara*. I wtedy dłoń Iselle wyslizgnęła się z jej pokrytych krwią palców. Moiraine mogła tylko patrzeć na upadek tamtej, z dłonią wciąż wyciągniętą, jakby jeszcze wierzyła, że ktoś zdoła ją uratować.

Czyjeś ramię odciągnęło ją od balustrady.

–Nie przyglądaj się śmierci, jeśli nie musisz – powiedział Lan, stawiając ją na nogi. Jego prawa ręka zwisała bezwładnie, długa rana biegła wzdłuż nasiąkniętego krwią rękawa, ukazując mięso pod skórą, prócz tego dorobił się cięcia na głowie, z którego płynęła cienka strużka krwi, i jeszcze paru innych, drobniejszych skaleczeń. Ryne leżał na plecach w odległości dziesięciu kroków, patrząc w niebo pełnymi zaskoczenia niewidzącymi oczyma. – Czarny dzień – mruknął Lan. – Tak czarny, jakiego jeszcze nigdy nie widziałem...

–Chwilę – powiedziała. – Zbyt kręci mi się w głowie, żebym daleko zaszła. – Kolana jej drżały, gdy podchodziła do ciała Merean. Nie będzie żadnych odpowiedzi. Czarne Ajah nadal będą spiskować w ukryciu. Pochyliła się, wyciągnęła z rany swój nóż i wytarła o suknie tamtej.

–Zimna jesteś, Aes Sedai – bezbarwnym głosem stwierdził Lan.

–Tak zimna, jak być muszę – odparła. Krzyk Diryka wciąż jeszcze brzmiał w jej uszach. W tle zamigotała twarz Iselle. – Wygląda na to, że Ryne mylił się, jak przystało na Sprzymierzeńca Ciemności. Byłeś lepszy od niego.

Lan nieznacznie pokręcił głową.

–On był lepszy. Ale uznał, że z jedną tylko ręką jestem skończony.

Nigdy nie zrozumiał. Poddajesz się dopiero wtedy, gdy nie żyjesz.

Moiraine pokiwała głową. Poddajesz się dopiero wtedy, gdy nie żyjesz. Tak.

Minęło trochę czasu, zanim w głowie rozjaśniło jej się do tego stopnia, by zdolna była znowu objąć Źródło, Lanowi musiała pozostawić poinformowanie *shatayan*, że Brys i Diryk nie żyją, zanim się rozejdzie, iż ich ciała znaleziono na dachach domów. Zrozumiałe, że jeszcze mniej chętnie miał ochotę poinformować lady Edeyn o śmierci jej

córki. Moiraine również martwiła się o czas, choć niezupełnie z tych samych powodów. Uzdrawiła go tak szybko, jak tylko potrafiła. Aż mu dech zaparło od wstrząsu, jakim przeszły go skomplikowane sploty Ducha, Powietrza i Wody, które zespoliły jego rany, łącząc rozerwane ciało w pozbawioną nawet śladu blizny całość. Jak to się działo z każdym, kogo poddano Uzdrawieniu, był potem słaby, tak słaby, że przez kilka chwil bezradnie łapał oddech, opierając się o kamienną balustradę. Przez jakiś czas donikąd nie będzie zdolny pobiec.

Moiraine ostrożnie przeniosła ciało Merean nad balustradą, a potem opuściła trochę, zbliżając je do stoku góry. Ciało Czarnej siostry objęły strumienie Ognia, a ułamek sekundy później rzeczywiste płomienie tak gorące, że właściwie nie dawały dymu, tylko drżało powietrze oraz od czasu do czasu rozlegał się trzask pękającej skały.

–Co ty...? – zaczął Łan, ale natychmiast zmienił pytanie: – Dlaczego?

Moiraine, częściowo wyrwana z koncentracji, poczuła narastające ciepło, ruch powietrza gwałtowny jak nad paleniskiem.

–Nie ma żadnego dowodu, że była Czarną Ajah, w oczach świata dalej pozostaje Aes Sedai. – Biała Wieża potrzebowała w dalszym ciągu swej zbroi sekretów, teraz nawet bardziej niż wówczas, gdy zguba spotkała Malkier, jednak nie mogła mu tego powiedzieć. Jeszcze nie. – Nie mogę skłamać na temat tego, co się tutaj wydarzyło, ale mogę milczeć, gdy będą mnie pytać. Czy ty również będziesz milczał, czy też może postanowisz wykonać robotę Cienia?

–Jesteś bardzo twardą kobietą – oznajmił na koniec. Nic więcej już nie powiedział, ale tego było dosyć.

–Jestem tak twarda, jak być muszę – odparła. Krzyk Diryka. Twarz Iselle. Zostało jeszcze ciało Ryne'a, którego należało się pozbyć, oraz krew. Będzie tak twarda, jak być musi.

Następny ranek zastał Aesdaishar pogrążone w żałobie, białe sztandary powiewały z każdego wyższego punktu jego zabudowań, służący przed pracą obwiązali ramiona długimi pasami białej materii. Plotki krążące po mieście już pełne były znaków zapowiadających tamte śmierci, komet na nocnym nieboskłonie, ogniu na niebie. Ludzie swoim zwyczajem włączali to, co dane im było widzieć, w ramy tego, co wiedzieli i w co chcieli wierzyć.



Zniknięcie prostego żołnierza i nawet Aes Sedai umknęło uwagi pogrążonych w przemożnym smutku.

Wracając z komnaty Merean, gdzie przed chwilą zniszczyła cały jej dobytek – po przetrząśnięciu go w poszukiwaniu jakichś wskazówek mogących naprowadzić na ślad Czarnych sióstr – Moiraine natknęła się na Edeyn Arrel, która sunęła korytarzem w białej szacie, z włosami przyciętymi nierówno i krótko. Szeptane plotki głosiły, że chce się

wycofać ze spraw tego świata. Moiraine sądziła, że to już się stało. Oczy tamtej patrzyły nieco nieprzytomnie z wymizerowanej i postarzałej twarzy. Do pewnego stopnia przypominała ona Moiraine twarz jej córki, takiej, jaka wbiła jej się w pamięć.

Siuan aż wyskoczyła z fotela, kiedy Moiraine weszła do swoich apartamentów. Miała wrażenie, że od ich ostatniego spotkania minęło wiele tygodni.

–Wyglądasz, jakbyś sięgnęła do ładowni z rybami i znalazła tam rybokła – jęknęła Siuan. – Cóż, nie ma się czemu dziwić. Zawsze nienawidziłam żaloby po ludziach, których znałam. W każdym razie możemy ruszać, gdy tylko będziemy gotowe. Rahien urodził się na farmie prawie dwie mile od Góry Smoka. Merean nawet nie zbliżyła się do niego, przynajmniej nie tego ranka. Nie przypuszczam, by zrobiła mu krzywdę, kierując się zwykłym podejrzeniem, nawet jeśli okazałaby się Czarną.

Nie ten. Jakimś sposobem Moiraine oczekiwała właśnie takich wieści.

–Merean już nikomu nie robi krzywdy, Siuan. Uruchom ten swój świetny umysł i spróbuj rozwiązać dla mnie zagadkę. – Rozsiadła się w fotelu i zaczęła opowiadać wszystko od końca, nie zwracając uwagi na głośne westchnienia Siuan i żądania bardziej szczegółowej relacji. To było niemalże jak przeżywanie wszystkiego od nowa. Kiedy dotarła wreszcie do początku, do tego, co spowodowało całą konfrontację, poczuła bezmierną ulgę. – Przede wszystkim chciała, żeby zginął Diryk, Siuan. Zabiła go najpierw. I próbowała zabić Lana. Jedynym, co ci dwaj mieli ze sobą wspólnego, było niezwykle szczęście. Diryk przeżył upadek, który powinien był go zabić, wszyscy też mówią, że Lan ma największe szczęście ze wszystkich żyjących, w przeciwnym razie Ugór powinien był go zabić już wiele lat temu. To wszystko układa się w pewien wzór, ale w moich oczach wygląda on na czyste szaleństwo. Być może nawet twój kowal stanowi jego część. Oraz Josef Najima, wtedy w Canluum, o ile się orientuję. On również miał szczęście. Rozwiąż to dla mnie, jeśli potrafisz. Sądzę, że musi to mieć jakieś znaczenie, nie mogę go jednak dostrzec.

Siuan przechadzała się w tę i w tę, energicznymi wymachami nóg rozkopując fałdy spódnic i pocierając policzek, mruzczała o „mężczyznach mających szczęście” oraz o „zniecka wyniesionym kowalu” i inne jeszcze rzeczy. Moiraine nie potrafiła ich dosłyszeć. Nagle przyjaciółka zatrzymała się jak wryta i powiedziała:

–Nawet nie zbliżyła się do Rahiena, Moiraine. Czarne Ajah wiedziały, że Smok się Odrodził,

ale za cholere nie wiedziały kiedy! Być może Tamra nie zdołała im tego zdradzić albo były zbyt brutalne i umarła, zanim to z niej wydarły. To musi być właśnie tak! – Radość, że udało jej się to zrozumieć, zmieniła się nagle w przerażenie. – Światłości! Zabijają każdego mężczyznę i chłopca, który być może zdolny jest przenosić! Niech szeszne, mogą zginąć tysiące, Moiraine. Dziesiątki tysięcy.

To rzeczywiście miało sens, chociaż przerażający. Mężczyźni, którzy potrafili przenosić, rzadko kiedy wiedzieli, co właściwie robią, przynajmniej na początku. Zrazu często wydawało się, jakby po prostu mieli niesamowite szczęście. Wydarzenia układały się po ich myśli, często też, jak to było z kowalem, stawali się ludźmi znanymi, i to zupełnie nieoczekiwanie. Siuan miała rację. Czarne Ajah wszczęły rzeź.

–Ale one nie wiedzą, że należy szukać młodego chłopca – powiedziała Moiraine. Tak twarda, jak być musi. – Niemowlę nie będzie zdradzać żadnych oznak. – W najlepszym razie przynajmniej nie skończy szesnastu lat. Żaden mężczyzna, po którym został jakiś ślad w archiwach, nie był zdolny do przenoszenia, dopóki nie osiągnął tego wieku, zdolności niektórych ujawniały się nawet dekadę albo i więcej lat po tym. – Mamy więcej czasu, niż nam się wydawało. Chociaż nie jest go dość, by zachowywać się beztrusko. Każda siostra może być Czarną. Sądzę, że jest nią Cadsuane. Wiedzą, że inne też szukają.

Jeżeli jedna z poszukujących Tamry zlokalizuje chłopca, a potem tamte znajdą ją wraz z nim, albo jeśli postanowią przesłuchać jedną, zamiast zabijać tak szybko, jak tylko im się spodoba... Siuan patrzyła na nią nieruchomym spojrzeniem.

–Wciąż stoi przed nami zadanie – dodała Moiraine.

–Wiem – odparła powoli Siuan. – Po prostu nigdy nie przyszło mi to do głowy. Cóż, kiedy jest praca do wykonania, ciągniesz sieci lub patroszysz rybę – przytoczyła powiedzenie, brakowało mu jednak siły. – Przed południem możemy już być w drodze do Arafel.

–Ty wracasz do Wieży – powiedziała Moiraine. Razem i tak nie będą szukać dużo szybciej niż w pojedynkę, a jeśli i tak będą musiały się rozdzielić, cóż lepszego można było wymarzyć dla Siuan niżli pracę u Cetalii Delarme przy przeglądaniu raportów ze wszystkich siatek szpiegowskich Błękitnych Ajah? Błękitne nie tworzyły szczególnie licznej Ajah, jednak każda siostra gotowa była przyznać, że ich siatka szpiegowska większa jest od wszystkich pozostałych. Kiedy Moiraine będzie polować na chłopca, Siuan może się dowiedzieć, co się dzieje we wszystkich krainach, a wiedząc, czego szuka, może znaleźć każdy ślad działalności Czarnych Ajah lub Smoka Odrodzonego. Choć Siuan potrafiła dostrzec sens jakiegoś przedsięwzięcia, kiedy już się go jej okazało, teraz cała sprawa kosztowała Moiraine sporo wysiłku, a kiedy przyjaciółka wreszcie się z nią zgodziła, uczyniła to doprawdy w wyjątkowo nieprzyjemny sposób.

–Cetalia każe mi uszczelniać kominy za to, że wyjechałam i nie wróciłam odpowiednio szybko – narzekała. – Niech szeszne! Powiesi mnie w Wieży na słupku do suszenia bielizny!

Moiraine, tam się intryguje tak strasznie, że w środku zimy można wypocić z siebie kubły potu! Nienawidzę tego! – Ale już przeszukiwała kufry, żeby

sprawdzić, co powinna wziąć na powrotną drogę do Tar Valon. – Zakładam, że ostrzegłaś tego Lana. Wydaje mi się, że on sobie na to zasłużył, niezależnie od tego, ile na tym może skorzystać. Słyszałam, że wyjechał godzinę temu, kierując się ku Ugorowi, a jeśli to go nie zabiło... Dokąd biegniesz?

–Nie skończyłam jeszcze swoich spraw z tym mężczyzną – rzuciła Moiraine przez ramię. Decyzję, co z nim zrobi, podjęła już pierwszego dnia, gdy go zobaczyła, i teraz zamierzała wszystko doprowadzić do końca.

W stajni, gdzie trzymano Strzałę, srebrne marki rzucone niedbale niczym miedziaki sprawiły, że klacz została osiodłana i okiełznana, niemal zanim jeszcze monety dotknęły ziemi. Po chwili Moiraine już wskakiwała na siodło zwierzęcia, zupełnie nie dbając o to, że zadarły jej się spódnice i że ma obnażone aż do kolan nogi. Ścisnęła łydkami boki wierzchowca i pognęła galopem ku bramom Aesdaishar, a potem dalej na północ przez miasto. Ludzie umykali jej z drogi, raz tylko musiała osadzić Strzałę, by wykonać czysty skok ponad wozem, którego woźnica zbyt wolno zjeżdżał na bok. Za jej plecami nabrzmiwał zamęt, niosły się krzyki i przybywało wygrażających pięści.

Na drodze wychodzącej z miasta na północ, zatrzymała się na chwilę, by rozpytać woźniców jadących w przeciwnym kierunku, czy nie wiedzieli Malkieri na siwym ogierze, i poczuła co najmniej ulgę, gdy po raz pierwszy usłyszała odpowiedź twierdzącą. Przecież ten mężczyzna po tym, jak przekroczył most ponad fosą, mógł pojechać co najmniej w pięćdziesięciu kierunkach. A mając nad nią godzinę przewagi... Złapie go jednak, choćby miała za nim gonić do samego Ugoru!

–Malkieri? – Kościsty kupiec w ciemnoniebieskim płaszczu spojrzał na nią zaskoczony. – Cóż, moi strażnicy powiedzieli mi, że jest jeden na górze. – Odwrócił się na koźle i wskazał porośniętą trawą wzgórze jakieś sto kroków od drogi. Na jego szczycie wyraźnie rysowały się sylwetki dwóch koni, w jednym łatwo można było rozpoznać zwierzę juczne. Na lekkim wietrze wiła się cienka smużka dymu.

Lan ledwie uniósł wzrok, kiedy zsiadała z konia. Klęcząc obok szczątków niewielkiego ogniska, rozgrzebywał popioły długą gałązką. Dziwne, ale w powietrzu unosiła się woń palonych włosów.

–Miałem nadzieję, że już ze mną skończyłaś – powiedział.

–Jeszcze nie całkiem – odparła. – Palisz swoją przyszłość? Wielu się zasmuci, jak mniemam, kiedy się okaże, że zginąłeś na Ugorze.

–Palę moją przeszłość – oznajmił, wstając – Palę wspomnienia. Naród. Żółty Żuraw już nigdy nie wzięci. – Zaczął stopą zagarniać ziemię na ognisko, lecz nagle się zawahał.

Pochylił się, by nabrać w dłoń wilgotnej gleby, i niemal ceremonialnie ją rozsypał. – Nikt po mnie nie będzie się smucił, kiedy umrę: ci, którzy by mogli, dawno już nie żyją.

A poza tym wszyscy ludzie umierają.

–Tylko głupcy wybierają śmierć, zanim po nich przyjdzie. Chcę, byś został moim Strażnikiem, Lanie Mandragoran.

Patrzył na nią, nawet nie mrugnawszy, w końcu pokręcił głową.

–Powinienem był się domyślić, że o to chodzi. Mam wojnę do stoczenia, Aes Sedai, i żadnej ochoty, by pomagać ci w snuciu pajęczyn Białej Wieży. Znajdź sobie kogoś innego.

–Toczę tę samą wojnę co ty, przeciwko Cieniowi. Merean była Czarną Ajah. – Potem opowiedziała mu wszystko, począwszy od Przepowiedni Kitary w obecności Zasiadającej na Tronie Amyrlin oraz dwu Przyjętych, a skończywszy na tym, czego się domyśliły razem z Siuan. Gdyby chodziło o innego mężczyznę, większość z tego by przemilczała, jednak między Strażnikiem a jego Aes Sedai niewiele dawało się utrzymać sekretów. Gdyby chodziło o innego mężczyznę, osłabiłaby grozę i wymowę swej opowieści, ale nie sądziła, by przerażali go ukryci wrogowie, nawet jeśli były nimi Aes Sedai. – Rzekłeś, że pogrzebałeś swoją przeszłość. Niech więc przeszłość zabierze sobie swe popioły. To jest ta sama wojna, Lan. Najważniejsza bitwa, ale w tej samej wojnie. Tę jednak możesz wygrać.

Przez dłuższą chwilę stał, patrząc na północ, w kierunku Ugoru. Nie miała pojęcia, co pocnie, jeśli on odmówi. Powiedziała mu więcej niż komukolwiek prócz swego Strażnika.

Nagle odwrócił się, błysnął wyciągany z pochwy miecz i przez sekundę myślała, że chce ją zaatakować. Zamiast tego jednak padł na kolana, miecz spoczął na płask w dłoniach.

–Na imię mej matki, obnażę go, kiedy powiesz „wyciągaj”, i schowam do pochwy, gdy powiesz „schowaj”. Na imię mej matki, przybędę, gdy powiesz „przybądź”, i odejdę, kiedy rzekniesz „odejdź”. – Pocałował klingę i spojrzał na nią w oczekiwaniu. Nawet klęcząc, roztaczał wokół siebie taką atmosferę, która króla zasiadającego na własnym tronie czyniłaby niepozornym. Dla jego własnego dobra musiała nauczyć go nieco pokory. I dla dobra jego stawów.

–Jest jeszcze coś – powiedziała, kładąc dłonie na jego głowie.

Ten splot Ducha był jednym z najbardziej skomplikowanych, jakie znały Aes Sedai. Oplotła go nim ściśle, sprawiła, że zatopił się w jego ciele, zniknął. Nagle stała się świadoma jego obecności w ten sposób, jak to zwykle bywa między Aes Sedai a ich Strażnikami. Jego uczucia były niby niewielki węzeł gdzieś w głębi jej głowy, wszystkie zabarwione twardą jak stal determinacją, ostrą niczym klinga jego miecza. Poznała stłumiony ból dawnych obrażeń, zdławiony i ignorowany. Będzie odtąd zdolna czerpać

z jego siły, jeśli zajdzie taka potrzeba, znajdzie go niezależnie od tego, jak daleko by odszedł. Połączyła ich więź zobowiązań.

Powstał zgrabnie, schował miecz do pochwy, popatrzył na nią.

–Ludzie, których tam nie było, nazwali ją Bitwą Lśniących Murów – powiedział zniecka. – Ludzie, którzy tam walczyli, mówią na nią Krwawy Śnieg. Nic więcej. Wiedzą, że chodzi o bitwę. Rankiem pierwszego dnia dowodziłem prawie pięcioma setkami żołnierzy. Kandoranie, Saldaeanie, Domani. Wieczorem trzeciego dnia połowa z nich była martwa lub ranna. Gdybym dokonał innych wyborów, niektórzy z tych ludzi wciąż by żyli. A inni byłiby martwi zamiast nich. Na wojnie odmawiasz modlitwę za poległych i atakujesz dalej, ponieważ za następnym horyzontem zawsze czeka cię kolejna walka. Odmów więc modlitwę za poległych, Moiraine Sedai, i ruszaj.

Zaskoczona,omalże nie zagapiła się na niego z rozdziawionymi ustami. Zapomniała, że więź zobowiązań działa w obie strony. On również poznał jej uczucia i najwyraźniej potrafił zrozumieć je znacznie lepiej, niż ona była w stanie pojąć jego emocje. Po chwili skinęła głową, chociaż nie miała pojęcia, jak wielu modlitw będzie trzeba, aby oczyścić myśli.

Podał jej wodze Strzały i zapytał:

–Dokąd pojedziemy najpierw?

–Z powrotem do Chachin – odparła. – A potem do Arafel i... – Zostało już tak niewiele nazw, że nietrudno było je wszystkie wymieniść. – Cały świat, jeśli będzie trzeba. Wygramy tę bitwę albo świat zginie.

Ramię w ramię zjechali ze wzgórza, potem skręcili na północ. Niebo za nimi pociemniało, przetoczył się po nim grzmot. Kolejna spóźniona burza spływała na świat z Ugoru.

*Przełożyła Katarzyna Karłowska*

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-04-20

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/